

JÓZEF TULISZKOWSKI

Paweł Rochala

Człowiek,
dzieło
i jego
rezonans



Paweł Rochala

JÓZEF TULISZKOWSKI. Człowiek, dzieło i jego rezonans

Dotychczas jeszcze niektóre mniej świadome jednostki sądzą, że gasić ogień i dowodzić strażą – to jedna z łatwiejszych czynności; a nawet większość społeczeństwa naszego nie zdaje sobie sprawy, że od ludzi, stojących na czele zawodowych straży ogniowych, wymagany jest zagranicą cenzus wyższego technicznego wykształcenia i gruntowna znajomość zasad statyki, termodynamiki, hydrauliki i chemji, że technika pożarnicza i taktyka zostały szczegółowo opracowane, ujęte w ramy teorii i podniesione do poziomu nauk ścisłych, wykładanych w wyższych uczelniach.

Józef Tuliszkowski,
Projekt reorganizacji Straży Ogniowej m. st. Warszawy,
Warszawa 1918.

Redakcja i korekta językowa:

Aleksandra Grzęda

Anna Golińska

Elżbieta Muszyńska-Poleć

Katarzyna Szulejewska

Skład i projekt okładki:

Małgorzata Żurniewicz-Turno

ISBN: 978-83-958583-9-0

DOI: 10.17381/2024.3

© Copyright by Centrum Naukowo-Badawcze

Ochrony Przeciwpóżarowej

im. Józefa Tuliszkowskiego

Państwowy Instytut Badawczy,

Józefów 2024

Pewne prawa zastrzeżone.

Publikacja jest udostępniona na licencji CC BY-SA 4.0.

Wydawca:

Centrum Naukowo-Badawcze Ochrony Przeciwpóżarowej

im. Józefa Tuliszkowskiego

Państwowy Instytut Badawczy

05-420 Józefów k. Otwocka

ul. Nadwiślańska 213

www.cnbop.pl



Druk i oprawa: drukujzsensem.pl

Nakład: 100 egz.

Spis treści

Wstęp	7

Część I.

Dzieciństwo i czas pobierania nauk (1867–1897)	11
Szczypta historii Polski zabarwiona goryczą	11
Dzieciństwo i wczesne nauki gimnazjalne	18
Studia na Politechnice Ryskiej	23

Część II.

Inżynier (1898–1905)	38
Polskie idee niepodległościowe w zaborze rosyjskim na przełomie wieków XIX i XX	38
Praca na etacie	55
Praca na swoim	62
Rewolucja 1905–1907 w Imperium Rosyjskim i w Królestwie Polskim	66

Część III.

Kłeska pożarowa w Królestwie Polskim na początku XX wieku	76
Wzorcowa straż pożarna z innego zaboru, opisana w podręczniku z 1901 roku	76
Przepisy przeciwpożarowe, a praktyki budowlane w Królestwie Polskim	88
Ubezpieczenia od ognia w Królestwie Polskim	97
Nauka i wynalazczość przeciw pożarom	101
Straże pożarne w Królestwie Polskim	107

Część IV.

Ordynacja Zamoyska (1906–1909)	134
Zatrudnienie Tuliszkowskiego w przedsiębiorstwie Zamoyskich	135
Poradnik <i>Walka z pożarami</i> (1909)	142
Sprawy rodzinne	158

Część V.

Centralne Towarzystwo Rolnicze (1910–1915)	161
Ziemiaństwo w propagandzie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej	161
Centralne Towarzystwo Rolnicze	167
Tuliszkowski w CTR	172
Budowle wiejskie zdrowe, ogniotrwałe i tanie (1913)	181
Podsumowanie działalności Tuliszkowskiego w CTR	197
Publikacje w miesięczniku „Strażak”	200
Powstanie „Przeglądu Pożarniczego”	217
Rozwój „Przeglądu Pożarniczego”	227

Towarzystwo Świętego Floriana.....	238
Początek Wielkiej Wojny.....	249

Część VI.

Warszawska Straż Ogniowa (1915–1918)	254
Straż Ogniowa miasta st. Warszawy.....	254
Ewakuacja Rosjan z Królestwa Polskiego w lipcu 1915 r. i jej skutki.....	264
Tuliszkowski Komendantem WSO.....	271
Związek Floriański.....	279
Próby utworzenia systemu ochrony przeciwpożarowej.....	291
Strajk warszawskich strażaków na początku 1918 roku.....	296
Projekt reorganizacji Straży Ogniowej m. st. Warszawy (1918).....	307
Zaczyna się Niepodległość.....	315

Część VII.

W wojsku (1920–1926)	320
Rok 1919.....	320
Tuliszkowski w wojsku.....	326
Zorganizowanie ochrony przeciwpożarowej w zjednoczonej Polsce (1919).....	341
Zjednoczenie polskich strażaków.....	351
Perypetie polityczne i strażackie.....	362
Straż pożarna a społeczeństwo, czyli nowa taktyka prezesa Chomicza.....	365
Sierpniowy zjazd strażaków (1924).....	373
Szkoła Pożarniczo-Budowlana (1924–1925).....	380
Margines dochodzi do głosu.....	386

Część VIII.

Na kolei (1926–1933)	394
Przewrót (zamach) majowy Józefa Piłsudskiego.....	394
Ochrona przeciwpożarowa w transporcie kolejowym.....	398
Konstruktor drabiny mechanicznej.....	415
Organizacja ochrony przeciwpożarowej w Polsce w latach 1926–1933.....	418
Przepisy przeciwpożarowe w systemie, czy poza systemem ochrony przeciwpożarowej?.....	434
Kilka słów o Związku Zawodowych Oficerów Straży Pożarnych.....	446
Miesięcznik „Strażactwo Zawodowe” (1927–1932).....	449
<i>Obrona przed pożarami</i> (1927) – tom I.....	463
<i>Taktyka pożarna</i> (1929) – tom VII.....	469

Część IX.

W przemyśle cukrowniczym (1934–1939)	473
Tuliszkowski naprawia cukrownie.....	474

Ustawa o ochronie przed pożarami i innymi klęskami oraz jej skutki.....	490
Pomaturalna szkoła strażacka	504
Hydraulika w pożarnictwie (1938)	505
Zakończenie, czyli o rezonansie (1939 i dalej)	516
Aneks	521
Wstęp (do tomu I <i>Obrony przed pożarami</i>).....	526
Słowo wstępne (do tomu VII <i>Obrony przed pożarami</i>)	530
Bibliografia dzieł Józefa Tuliszkowskiego	527
Chronologia i logika powstawania dzieł	527
Wykaz publikacji zwartych	529
Publikacje w czasopismach dot. ochrony przeciwpożarowej	531
Literatura	536
Publikacje (książki, druki, czasopisma i prasa codzienna).....	536
Strony internetowe.....	546
Akty prawne omówione lub przytoczone na łamach opracowania	547
Ryciny	550

Pożary były, są i będą.

Nazbyt spontaniczne zwerbalizowanie przez jednego z komendantów Szkoły Głównej Służby Pożarniczej ogólnie przyjętej filozofii pożarniczej. W istocie jest to podświadome wyznanie egocentrycznego widzenia świata przez strażaków, którzy walkę z pożarami pojmują wyłącznie jako groźny dla zdrowia spektakl.

Wstęp

To Władysław Pilawski był pierwszy, bo w 1989 r. stworzył pierwsze dzieło okładkowe o Józefie Tuliszkowskim. Nieduże, na 21 stron, ale zawsze to był pierwszy druk zwarty o tej postaci. Punktem odniesienia jest dla nas jednak nie praca Pilawskiego, a pierwsze dzieło książkowe, mianowicie Wojciecha Jabłonowskiego *Józef Tuliszkowski. Pionier polskiego pożarnictwa* (Warszawa 1995). Tytuł tej niezmiernie pożytecznej publikacji bardzo dobrze oddaje nasze, strażackie postrzeganie sensu życia pana Józefa. Autor poniósł przy tym niemały trud, by w formę przystępną dla czytelnika masowego pod względem zarówno języka, jak i objętości, wtłoczyć bez przycinania postać prawdziwie wielką. Dzięki temu książka nie odstrasza czytelnika, gdyż ma jedynie 107 stron tekstu i 45 stron ilustracji. Tym samym nie można usprawiedliwiać braku wiedzy o Tuliszkowskim – człowiek po maturze jest w stanie przeczytać to dzieło w góra dwa–trzy wieczory.

Czemu więc powstało niniejsze opracowanie?

Żeby dowiedzieć się o naszym bohaterze znacznie więcej, niż wyznacza to strażacka powinność. Aby jednak tę wiedzę należycie przekazać, ramy dzieła Witolda Jabłonowskiego trzeba nie tylko mocno rozsadzić, ale też przemodelować je całe. Wszak osobowości nie kształtują się, ani w próżni, ani w warunkach specjalnie dla nich tworzonych, tylko w rzeczywistości, w jakiej przyszło im żyć.

Dlatego musimy ukazać okoliczności, w jakich przyszło Tuliszkowskiemu działać. Należy wspomnieć o ludziach i instytucjach, z którymi współpracował, stan wiedzy, jakim dysponował on sam i inni, wartościach, jakie go ukształtowały i poglądach, jakie wyznawał. Nie możemy ominąć aspektów politycznych, jak się okazuje, wcale nie neutralnych dla ochrony przeciwpożarowej, a może nawet pierwszorzędnych, gdyż niektóre prądy polityczne premiuje etatyzm, a ten jest zabójczy dla służb zaufania publicznego. Nawet coś takiego jak światopogląd miało i ma w tym zakresie

niebagatelne znaczenie, więc konieczne jest oczyszczenie dziejów Tuliszkowskiego z naleciałości propagandowych i uzupełnienia przemilczeń w tym zakresie.

Bo przecież, jak to zwykle bywa, dopiero prawda jest najbardziej interesująca, a tylko zmyślenia nadają informacjom wymiar nudnej, urzędowej poprawności, zwykle służącej zaciemnieniu, a nie rozjaśnieniu rzeczywistości. Patos i urzędowy ton to pierwsze symptomy fałszerstwa. Uprzedzam więc osoby o słabych nerwach, że w niniejszej publikacji odtworzone zostaną sceny niepoprawności politycznej w najlepszym znaczeniu tego słowa. Najwrażliwsi z czytelników niech więc włożą hełmy, bo życie jest trudne, a prawda bywa bolesna. Przecież uczciwość nakazuje nie kłamać, prawda...?

Czego więcej może spodziewać się czytelnik?

Był nasz bohater w zakresie ochrony przeciwpożarowej jednym z ludzi najlepiej na świecie poinformowanych. Niestety, w strażackiej hierarchii miewał nad sobą jednych z poinformowanych najgorzej. Dlaczego?! Czytelnik się dowie. Miał wpływ Tuliszkowski na kształtowanie prawa – pokażemy, jaki i dlaczego nieskuteczny. Miał też cele prywatne w życiu zawodowym, więc wiemy i to, że za uczciwą, owocną pracę należy się uczciwe wynagrodzenie. Aż za często bywało, że bijął głową w twardy mur ignorancji pożarowej (*pożary były, są i będą*), zwłaszcza zaprowadzanej strukturalnie, choć musiał wiedzieć, że głową tego muru nie przebiję, bo on z mniemania całej strażackiej społeczności jest postawiony. A jednak wierzył, że warto, więc nasz obowiązek moralny w tym, by źródła tej wiary pokazać. Mnóstwo publikował, polszczyznę prawdziwie soczystą i krwistą, więc nieoddanie mu głosu wykraczałoby dalece poza granice nietaktu, nie będziemy więc mówić za niego. Wielbił swojskość – pokażemy jaką.

Musimy też dobitnie pokazać rozdźwięk między złożonością ówczesnej ochrony przeciwpożarowej, na co wielu było już wtedy ślepych aż po kresy żywotów, a dzisiejszym stanem badań nad nią, bywa że nadal obarczonym piętrem owej ślepoty. Niestety, stan tych badań nie poraża w sensie ilościowym, z wyjątkiem historii polskiego ruchu ochotniczego. Ta zaś jest raczej bardziej obfita, niż rzetelna, gdyż z jednej strony pomija się w niej aż za wiele informacji wstydliwych, a z drugiej aż nazbyt często za dobrą w niej monetę bierze slogany propagandowe z omawianych czasów. Niestety, na tym nie koniec. Bo cóż znaczy mówić o istotnych aspektach walki z pożarami, o zrozumieniu istoty tej walki, nie mówiąc już o celu, które to kwestie dla osób nietrudniących się zawodowo zapobieganiem pożarom jawią się jako czarna magia...?

Przykładowo wiemy, kiedy powołano ochotniczą straż ogniową w danej wsi, kiedy ufundowano sztandar, a nawet jak przy tej okazji paradowano, ale nijak nie zanotowano, jak się sprawiła ta straż przy akcji (tego lepiej było nie mówić). A już w szczególności nigdy nie odnotowuje się faktu, bo to z jakichś zupełnie nieracjonalnych przyczyn nikogo nie obchodziło i nie obchodzi (i obchodzić nie będzie w tej gałęzi historii, czy raczej propagandy), zbudowania w tejsze miejscowości pierwszej

chałupy murowanej, krytej dachówką cementową, co raz na zawsze samym swym istnieniem położyła kres pożarom masowym. Ba! Nawet tak frapujące dzieje, jak ruch Samarytanek (i jego skuteczność), to nadal *terra incognita* historii ochrony przeciwpożarowej, choć ile było sikawek, to niby dokładnie wiemy (a przynajmniej zadawane są o to pozbawione głębszego sensu merytorycznego pytania na turniejach dla dzieci i młodzieży).

I znów ubolewać należy, a też uświadomić sobie, że nawet dziurawa nauka, jak ta o dziejach ochotniczych straży pożarnych aż nazbyt często służy nie za gałąź, a za pełną historię polskiej ochrony przeciwpożarowej. Co zresztą odpowiada w jakimś sensie tradycji z 20-lecia międzywojennego, bo między strażakami już wówczas część interwencyjną ochrony przeciwpożarowej miano za jej całość, o innych jej gałęziach nie wiedzano i nie chciano wiedzieć. Kto próbował to zmienić, jak np. Józef Tuliszkowski, ten nie przyjaciel, a może nawet wróg. Opis życia zawodowego Józefa Tuliszkowskiego jest doskonałym pretekstem, by ten historyczny fałsz przez zamilczanie choć po części zniwelować. Czytelnik dowie się więc o strażach ogniowych ochotniczych bardzo dużo szczegółów skrętnie dotychczas ukrywanych pod wiekiem propagandy, z którą tym trudniej walczyć, że przyjęła miano i cały zewnętrzny sztafaż służby bliźniemu.

Zdajmy sobie też sprawę, że dzisiejsze zapatrywania zniekształcają postrzeganie problemów przeszłych, bo z braku konkretów o epoce (propaganda albo nic) archaizujemy swą wiedzę, by wyobrazić sobie przeszłość, o ile zajmuje nas ona choć trochę jeszcze. W niniejszym opracowaniu zdejmujemy archaizację z historii i wyrzucimy ją precz! Niech ludzie tamtych czasów przemówią raz jeszcze, a ówczesne wydarzenia niech zadzieją się w okolicznościach faktycznych, a nie zmyślonych bądź przemilczanych.

Takim to sposobem doszliśmy do przedstawienia celu głównego publikacji. Bo ukazanie dokonań Tuliszkowskiego z jego punktu widzenia, na szerokim i w miarę szczegółowym tle historycznym i merytorycznym, pozwoli nam lepiej zrozumieć problemy naszych czasów, a przez to zidentyfikować i nazwać niebezpieczne zjawiska cykliczne. A identyfikacja to klucz do zapobieżenia. Bez obaw – czytelnik zidentyfikuje je wszystkie bez najmniejszych trudności, gdyż tak są tożsame z problemami doby dzisiejszej, że może wydawać się to niewiarygodne. Czytelnik, czytając o sprawach tak zamierzchłych, będzie odnosił nieodparte wrażenie, iż autor opracowania – wbrew zawartym tu deklaracjom – zmyśla, archaizuje, ubiera współczesne wydarzenia i osoby nawet w stuletni kostium i każe wierzyć, że tak było. Że zamiast informować, czyni tu własną propagandę.

Cóż na to mogę powiedzieć?

Powiem raz jeszcze: można odnieść podobne wrażenie, bo historia kołem się toczy, we wciąż niby zmiennych, a podobnych okolicznościach. Cele do osiągnięcia mamy te same, co sto lat temu, a ludzkie dążenia i charaktery nijak zmienić się nie chcą. Niestety, niezmienną była, jest i chyba będzie swoistość czynnej ochrony

przeciwpożarowej, gdzie wiele opiera się z jednej strony na deklaracjach, a z drugiej na bezkrytycznym zaufaniu. Nie wypracowano systemu weryfikacji działań (Tuliszkowski próbował). Bez zdrowych kryteriów obejmowania stanowisk i rozliczania za skuteczność działań, nadmiar społecznego zaufania pozwalał, pozwala i będzie pozwalać na coś, co już przed stu laty widać było w całej jaskrawości – etatyzm.

Oczywiście, jak każdy autor, nadałem książce rys subiektywny nawet choćby przez dobór faktów i komentarze. Przecież ściśle się faktów trzymam, a obrazuję je obszernymi cytatami bezpośrednich uczestników wydarzeń. Przypisy są po to tylko, by wiedzieć, skąd te informacje wziąłem. Dlatego w kluczowych momentach biografii to nie moje komentarze, a znacznie od nich większe cytaty tworzą obraz całości.

Zatem naprzód czytelniku! Nie ustawaj w wytrwałości, bo przed Tobą dzieje człowieka, kto zawsze nazywał rzeczy po imieniu i dosłownie nigdy nie kłaniał się nikomu, kto na to nie zasługiwał. Zresztą właściwie nikomu się nie kłaniał. Stać Go było na to.

Pożarolog w st. spocz. Paweł Rochala
Józefów, czerwiec 2024 r.

Dzieciństwo i czas pobierania nauk (1867–1897)

Józef Tuliszkowski, jak każdy, nawet wielki człowiek, musiał się urodzić jako zupełnie mały i bezradny. Było to dawno, dawno temu, za siedmioma lasami i siedmioma rzekami. W miejscu i datach bardzo konkretnych: 4 lutego 1867 r. w dworcu majątku Radziwiłłów na Wołyniu k. Krzemieńca, czyli ostoji polskości na Ukrainie. Polskości nie tylko szlacheckiej, ale również chłopskiej, a przy tym zamożnej, co skreśliły dopiero wydarzenia II wojny światowej, w trzech podejściach, rękoma trzech nacji: rosyjsko-sowieckiej (deportacje i mord katyński), niemiecko-nazistowskiej (szykany okupacyjne, w tym mord lwowskich profesorów) i ukraińsko-nacjonalistycznej (rzeź wołyńska 1943).

Sama informacja o dworcu w Radziwiłłowie może być nieco myląca, bo sugeruje, jakoby Tuliszkowscy mieszkali w majątku własnym. Otóż nie. A zanim to zagadnienie wyjaśnimy, przybliżmy nieco warunki, w jakich przyszło żyć Polakom na terenach, które jeszcze 100 lat wcześniej nazywane były Rzeczypospolitą Obojga Narodów.

Szczypta historii Polski zabarwiona goryczą

Od czasu przymierza Polski z Litwą pod koniec XIV w., co zobrazowało się w tytule królewskim dla Litwina, Władysława Jagiełły, obydwie te kraje, połączwszy potencjały, zyskały pozycję mocarstwową. Na skutek podboju ziem ruskich (białoruskich, czarnoruskich, wielkoruskich i rusińskich, czyli ukraińskich) Litwa była niezmiernie rozległa i gotowa do dalszych podbojów.

Rzeczypospolita w czasach unii i świetności

Niestety, to, co tak wspaniale wychodziło Litwie w II połowie XIV w. na dzikim wschodzie (wycofywali się z niego Tatarzy, a Litwini wchodzili w pustkę polityczną), nie sprawdzało się na zachodzie w walce z przeciwnikiem systematycznym, dobrze zorganizowanym, a przy tym planującym na pokolenia, czyli z Krzyżakami. Przykładowo biegli w bitwach lądowych Litwini nie rozumieli dostatecznie, jak strategiczne znaczenie mają ujścia rzek. W związku z tym nigdy nie pokusili się o zdobycie ujścia Niemna, ich rodzimej rzeki, a przecież dokonanie tego zagwarantowało by im rozwój gospodarczy.

Pogańska Litwa, zarządzana wedle humorów jej władców, była więc wówczas na krawędzi decyzji o przeniesieniu się na wschód pod naporem Krzyżaków. Polska propozycja zawiązania unii personalnej spadła jej z nieba: pogański książę litewski miał zostać królem chrześcijańskiej Polski. Było kilka warunków do spełnienia. Litwa nie mogła być królestwem. Miała przyjąć chrzest i przybrać miano księstwa (jako że ogarnęła wiele księstw ruskich, musiała zostać wielkim księstwem). Książę litewski, który miałby zostać królem Polski, musiał absolutnie utożsamić się z nowym krajem. Doszło też do kilku korekt terytorialnych na rzecz Polski, co nie było żadnym problemem dla bogatej w pustki osadnicze Litwy.

Królem Polski został Władysław Jagiełło. By dostać całe, bogate królestwo, rękę królowny oraz spokój dla Litwy choć z jednej strony, zgodził się na postawione mu warunki, a przede wszystkim przyjął chrzest i imię Władysław. Chrzest przyjął, nową wiarę wyznawał ostentacyjnie, ale ten z gruntu ostrożny człowiek, lubiący zwlekać (obok lenistwa niektórych egzemplarzy okazało się to cechą osobniczą całej dynastii, dodać można jeszcze upór, chwilami naprawdę tępy), zawsze zostawiał sobie jakieś wyjście awaryjne. To po jego postępkach zostało powiedzenie: „Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek”, bo w jednym z kościołów, po tym jak zapalił świecę przed ołtarzem, kazał postawić choć małe świece przy sugestywnie namalowanych postaciach diabłów, które gdzieś z boku zauważył.

Po różnych, kilkupokoleniowych perturbacjach unia personalna z czasem przybrała postać unii zjednoczeniowej. Tak powstał kraj złożony z dwóch odrębnych organizmów państwowych, administracyjnych, obyczajowych i etycznych: Rzeczpospolita Obojga Narodów, składający się z Korony Królestwa Polskiego oraz Wielkiego Księstwa Litewskiego. Część ziem ruskich (Ukraina) w wyniku ustaleń w czasie Unii Lubelskiej (1569 r.) przypadło Koronie, zgodnie zresztą z ciążeniem gospodarczym do Rusi Halickiej (źródłosłów nazwy „Galicja”).

Rzeczpospolita Renesansu i wczesnego Baroku była mocarstwem, tylko jak na mocarstwo zbyt mało agresywnym, a jeśli już, to w tej agresji niekonsekwentnym. Niemniej na koniec XVI w. trwała w rozpędzie nadany jej przez króla Stefana Batorego, który odkładane dziesiątkami lat plany ostatniego z Jagiellonów doprowadził do końca. Smoleńsk na 80 lat przypadł Rzeczypospolitej, Rosja musiała uznać jej wyższość. Kraj umiał obronić się sam przed potęgą turecką. Niestety, następne awantury moskiewskie nikomu nie wyszły na dobre, poza tym Polska uwikłana została przez dynastię szwedzką Wazów w zupełnie jej niepotrzebne wojny. Tak jak weszła w posiadanie Inflant (Łotwa, Estonia), stąd tam zadomowiona Polonia, tak też je częściowo utraciła. Ale za czasów Tuliszowskiego pamięć o polskich Inflantach jeszcze trwała.

Kryzys państwa

Paradoksalnie, zbyt wiele na raz Polska prowadziła wojen, których nawet pozytywnych wyników nie potrafiono spożytkować, bo zaledwie odpychano zagrożenia, zamiast niszczyć pokonanych wrogów. Niemniej kultura polska kwitła. Zapomnieliśmy dziś ówczesne dzieła literatury, sztuki użytkowej, muzyczne i architektury. Były one tak imponujące, że naśladowano je w Rosji przez całe stulecie, nim Piotr Wielki pod administracyjnym przymusem nie wprowadził mody na niemieczyznę. Szlachta litewska szybko się spolonizowała, podobnie stało się ze szlachtą ruską. Nawet chłopom pańszczyźnianym nie było źle, pod warunkiem, że przez ich siola nie przetoczyła się wojna. W kwestiach religijnych Rzeczpospolita była tolerancyjna, oczywiście w porównaniu do innych ówczesnych państw. Protestantyzm nie przyjął się na

obszarach wiejskich, bo chłopcy wolli mieć gwarantowanych 150 dni w roku wolnych od pracy na pańskim (święta kościelne) niż tylko 50 niedziel.

W połowie XVII w. nastał kryzys, również w zakresie tolerancji religijnej. Najpierw udane na skutek warcholstwa magnatów powstanie kozackie Chmielnickiego (prawosławne), porażki w wojnie z Rosją, przedłużone w Potop Szwedzki (protestantyzm), znów udany za sprawą zdrad kilku możnych i nieudolności politycznej polskiego władcy, przetrząciły Rzeczypospolitą kregosłup. Podniosła się, ale to już nie było to samo państwo. Ubytki terytorialne na Ukrainie i pacyfikacje obydwu stron konfliktu dały się odczuć. Wojna z Rosją, toczona na terenie litewskim, nie pozostała bez śladu. Dał o sobie znać ubytek w ciągu jednego pokolenia od 1/3 do połowy ludności, a zwłaszcza zniszczenia materialne i grabież dosłownie wszelkich przedmiotów użytkowych, dokonane przez Szwedów. Kozacy, w rajdzie wspólnym z siedmiogrodzkim księciem Rakoczym, sięgnęli po Warszawę. Polska odbiła się na chwilę, dopierając Turków pod Chocimiem, ale tracąc Kamieniec. Odparto ataki Moskwy, ale nie dokonano na niej zemsty – Smoleńsk bezpowrotnie stracono. Zwycięstwo nad Turkami pod Wiedniem nie do końca Polsce służyło; żadne następne plany militarne nie wyszły. Nie dało się też namówić Kozaków do powrotu (nie było z kim rozmawiać) i mimo wspaniałego planu, nie utworzono Rzeczypospolitej Trojga Narodów. Zdziwiona Kozaczyzna znalazła się pod butem carskim, Kijów też, choć ziemie z trzech jego stron nadal należały do Rzeczypospolitej.

Upadek

W ciągu XVIII w. ościenne mocarstwa kontynuowały zwyczaj z poprzedniego stulecia: dawania pensji najwyższym urzędnikom Rzeczypospolitej. O ile wcześniej ci brali je, a robili swoje, to potem czuli się zobowiązani do wdzięczności. Doszło do tego, że obce kraje prowadziły na terenie Rzeczypospolitej wojny, a polskie wojska niezorganizowane w wyniku zaniedbań systemowych i celowych nic na to nie mogły poradzić. Ościenne mocarstwa rozgrywały przy tym ambicje rodowe magnatów, którzy mieli wojska prywatne silniejsze od rządowego. Wreszcie ostatnim królem Polski został człowiek, który z jednej strony przeszedł do naszej historii jako mecenas sztuki oraz organizator obiadów czwartkowych, z drugiej zaś jako słaby polityk i strateg. Pierwsze określenie wydaje się być przeceniane (i utrwalane w podręcznikach szkolnych), a drugie brzmi – w ocenie wielu historyków – zbyt łagodnie, by określić właściwie cechy jego charakteru i sposób postępowania. W istocie monarcha ten panował z łaski carycy Katarzyny, której przychyłność zaskarbił sobie w jej sypialni. Rządzili za niego Polską jej ambasadorzy, rozlokawszy w całej Rzeczypospolitej kilkudziesięciotysieczną armię rosyjską, przeciw czemu nie protestował. Fakty są takie, że król Stanisław August Poniatowski dbał przede wszystkim o własne przyjemności. Zgodził się bez oporów na trzy rozbiory kraju, a w chwili zrywu zbrojnego w obronie ojczyzny stanął po stronie zdrajców,

tj. targowiczán, którzy zwrócili się do carycy, by im zagwarantowała ich złote wolności. Oj, zagwarantowała!

W wyniku rozbiórów Warszawa przez parę lat była pruska, a Siedlce austriackie, aż w 1807 r. przyszedł Napoleon Bonaparte. Utworzono namiastkę kraju: Księstwo Warszawskie, którego byt trwał sześć lat.

Prawie cała Europa zjednoczyła się w 1813 r., żeby pokonać cesarza Francuzów Napoleona Bonaparte. Operacja ta się powiodła. Mocarstwa postanowiły się dogadać. Obrady toczyły się w stolicy chyba najbardziej upokorzonej, ale też docenionej przez Bonapartego dynastii – Hohenzollernów, czyli w Wiedniu. Trwały ponad półtora roku, a uświetniały je bale. Zasadnicze ustalenia miały zapaść, gdy zaistniał epizod 100 dni Napoleona, którego finałem była klęska poniesiona w dniu 18 czerwca 1815 r., tuż po zakończeniu obrad Kongresu Wiedeńskiego (akcja Napoleona przyspieszyła obrady). Ten ostateczny cios zadały połączone armie brytyjska i pruska pod miejscowością Waterloo w Belgii.

Mocarstwa na koniec wielomiesięcznych balów, przedstawień teatralnych i targów zadbały o to, by wytworzyła się między nimi swoista równowaga sił. Gwarantowały też sobie, że wszelkie ruchy w celu zmiany ustalonego porządku zostaną zdławione. Głównym żandarmem lądowym Europy stała się Rosja, która była w stanie wystawić największą armię – taką, jak reszta Europy razem wzięta, co udowodniła w czasie wyprawy moskiewskiej Napoleona w 1812 roku. Porządek na morzach gwarantowała Wielka Brytania – i miał to być porządek brytyjski, a symbolem tego było osadzenie Napoleona Bonaparte na niewielkiej Wyspie Św. Heleny, położonej na środkowo-zachodnim Atlantyku, z dala od szlaków morskich. Francja ocaliła granice, pozycję omal mocarstwową i spoistość terytorialną, tylko przywrócono jej starą dynastię królewską.

W obradach Kongresu Wiedeńskiego brali udział przedstawiciele 16 państw. Nie było wśród nich posła z Polski – tę samowładczo reprezentował car Rosji Aleksander I. Po ostatecznej przegranej Napoleona w 1815 r., w wyniku Kongresu Wiedeńskiego, Austria, Prusy i Rosja podzieliły się Rzeczypospolitą na nowo. Utworzono Wielkie Księstwo Poznańskie z ziem wielkopolskiej i bydgoskiej, podporządkowane Prusom. Małopolska z częścią karpacką Ukrainy, zwane pod wspólną nazwą Galicji, dostały się Austrii. Kraków i pobliska okolica okazały się Rzeczypospolitą Krakowską, zarządzaną wspólnie przez zaborców, ale zwyciężyły wkrótce wpływy austriackie. Rosja zagarnęła z ziem Rzeczypospolitej całe Wielkie Księstwo Litewskie oraz Wołyń i Ukrainę, tzn. nie oddała ich. Z pozostałej części Księstwa Warszawskiego utworzono Królestwo Polskie. Jako że zdecydowano o jego kształcie na Kongresie Wiedeńskim, zwano je w Polsce Królestwem Kongresowym, albo Kongresówką.

Królestwo Polskie, czyli Kongresówka

Należy podkreślić, że Królestwo Kongresowe był to kadłubek wielkiego niegdyś kraju, że znaczne połacie ziem etnicznie polskich były odcięte od niego liniami

zaborów, które zaczęto nazywać kordonami, gdyż nader często stacjonowało na nich wojsko. Z kadłubka na północny wschód wychodziła macka z Augustowem, ale Grodno i Białystok to była już Rosja. Prusy były pruskie, więc polskie ziemie ze wschodu na zachód rozciągały się na linii Łomża – Płock – Ciechocinek, ale już nie Toruń (Prusy). Zachodnią ścianę wyznaczały miasta Konin i Kalisz.

Na południu granicę Królestwa wyznaczały Dąbrowa Górnicza, a potem Sosnowiec i kąt trzech krajów zaborczych (na koniec XIX w. stanowiący atrakcję turystyczną: Kąt Trzech Cesarzy) w Mysłowicach, przy czym same Mysłowice nie należały do Kongresówki. Kongresówka to były Olkusz, Kielce i Lublin, a nad Lublinem Biała Podlaska. I mamy cały kraj, cieszący się względną autonomią, a jednak z zaprowadzeniem systemu policyjnego, a zatem cenzury i donosicielstwa.

Względna autonomia polegała na tym, że władcą tego królestwa, tj. królem, był rosyjski car Aleksander I, wielkorządcą zaś jego brat, u którego bez wątpienia można dopatrzyć się cech psychopatycznych, a przy tym pasjonat wojskowy, Wielki Książę Konstanty. Na czele rządu stał generał Józef Zajączek, weteran jeszcze powstania kościuszkowskiego, były jakobin (rewolucjonista), a w opisywanym czasie skrupulatny realizator rosyjskich poleceń.

Autonomia polegała na tym, że Kongresówka miała swój rząd, bez możliwości prowadzenia polityki zagranicznej, własną liczną armię, którą zarządzał przedstawiony wyżej Konstanty Romanow (znany m.in. z wywołania fali samobójstw w ponapoleońskiej kadrze oficerskiej), i deficyt budżetowy, powodowany przez nadużycia rządzących i przeinwestowanie w nierentowne przedsięwzięcia (np. budowa Teatru Wielkiego). Rosyjskich wojsk nie było na miejscu. Stacjonowały tuż za granicą: w Grodnie, Białymstoku, Brześciu. No i była cenzura, zaprowadzona przez Namiestnika Zajączka już w 1915 r., a więc zaraz na starcie.

Niemniej działały Uniwersytet Warszawski i Akademia Muzyczna (absolwent m.in. Fryderyk Chopin).

Ziemie zabrane na wschodzie ciążyły jednak nie ku Rosji, a ku co prawda ułomnemu, ale królestwu, więc rosyjska administracja Litwy, Białorusi i Ukrainy dopatrywała się wszędzie spisków przeciw „legalnej” władzy. Niższa kadra oficerska wojsk Kongresówki miała dosyć Konstantego, który bicie uważał za niezbędny element dyscypliny wojskowej, a za najskuteczniejszy jej wyraz poniżanie oficerów, również wyższych, w obecności podwładnych. Dla absolwentów rozbudowanej Szkoły Podchorążych w Warszawie nie było miejsca w armii, bo etaty były zajęte, więc podchorążym było się bardzo długo, w atmosferze coraz bardziej dusznej. Podchorążowie wywołali powstanie w dniu 30 listopada 1830 roku. Jeszcze tego wieczora wystrzelano większość potencjalnych jego przywódców (generałowie, na swą zgubę, o jednej porze jechali w karetach na przedstawienie w teatrze), którzy brali zryw za szaleństwo, a których brakło potem na polach bitew. Konstanty – główny cel – ocalał, uciekłszy w przebraniu żony.

Powstanie upadło, mimo że sięgnęło daleko poza granice wschodnie Kongresówki. Upadło również przez to, że generałowie polscy celowo źle prowadzili kampanie wojenne, nie doprowadzając do zwycięstw. Nic im to nie pomogło, bo podlegali potem represjom, jakby walczyli dobrze. Bo polskie wojsko walczyło bardzo dobrze, ku uciesze Konstantego, który zachwalał je do rosyjskich generałów.

Represje rosyjskie sięgnęły daleko poza Kongresówkę. Car Mikołaj I, którego zdetronizowano z Króla Polskiego, zlikwidował szkolnictwo wyższe: Uniwersytet w Wilnie (rok założenia przez króla Stefana Batorego: 1579, rok likwidacji: 1832), Liceum Krzemienieckie, mające status szkoły wyższej (rok założenia: 1804, rok likwidacji: 1832), Uniwersytet Warszawski, Szkołę Podchorążych, Akademię Muzyczną, Szkołę Techniczną oraz szereg gimnazjów na ziemiach objętych działaniami powstańczymi. Nie było już mowy o przywróceniu autonomii ani armii. Tysiące młodych mężczyzn emigrowało, pędząc potem żywoty tułacze, na ogół nieudane rodzinie. Prawo niby się nie zmieniło, Królestwo Polskiego nie zniesiono, ale zarządzali nim Rosjanie na zasadzie stanu wojennego, który wówczas nazywano stanem oblężenia. Był to najdłuższy w dziejach ludzkości stan oblężenia, bo prawnie trwał nieprzerwanie od 1832 r. do 1917 r., czyli po kres imperium carów. Dlatego administrację w Kongresówce aż do I wojny światowej sprawowali wojskowi.

Dalej było powstanie styczniowe w latach 1863–64, czyli wojna partyzancka polskiej szlachty przeciw armii Imperium Rosyjskiego. Liczby nie oddają hekatomb i skali represji, ale warto je w tym miejscu przytoczyć. Zginęło 10–20 tys. Polaków i Litwinów, 50–60 tys. poddano zsyłce na Syberię, kilka tys. majątków szlacheckich w samym Królestwie Polskim przejęto na rzecz skarbu imperialnego, podobnie postąpiono z majątkami na ziemiach zabranych.

Kolejne represje zachwiały bytem wielu patriotycznych rodzin. Znów z jednej strony emigracja dotknęła tysiące młodych mężczyzn, niemających nadziei na stabilizację życiową. Zesłania to również ubytek żywotnych sił, tych najbardziej patriotycznych i najlepiej wykształconych. Nagle zubożenie oznaczało konieczność poszukiwania nowych form zarobkowania. Skutkiem pozytywnym było tylko uwłaszczenie chłopów i zniesienie pańszczyzny, ale świetny taniec pt. „Biały Mazur” wydał muzyk Stefan Osmański w 1865 r. nie w Warszawie, tylko w Paryżu. Dlaczego tam? Bo dedykował go damom, które pojechały za swoimi mężami i narzeczonymi na Syberię, na poniewierkę, by już nigdy nie wrócić. Sama treść dedykacji mogłaby spowodować, że dowcipny kompozytor nie z własnej woli, a na zawsze, pojechałby za damami, którym oddał muzyczny hołd.

Rusyfikacja przybrała rozmiary zatrważające. Książek polskich zakazywano, za ich posiadanie trafiało się do więzień. Zakazani byli poeci, powieściopisarze, historycy, np. wszelkie opracowania z zaboru austriackiego w j. polskim musiały przejść przez cenzurę. Wszystkie pisma urzędowe należało pisać w j. rosyjskim, wszelkie akta sądowe, czy księgi parafialne – również. Car zniósł nazwę Królestwo Kongresowe, oficjalnie nazywając je Krajem Przywiślańskim.

Polacy pograżyli się w marazmie, z którego zaczęły ich wyrwywać hasła pozytywizmu, pracy u podstaw. Romantyzm, piękna idea, niemniej nie dawał szans na wyzwolenie, bo już dwa razy się okazało, że sama racja nie wystarcza do wygranej. Rację miał Napoleon, dając taki przykład również nam, że Bóg stoi po stronie silniejszych batalionów – wiedział co mówi, był bogiem wojny. Co robić? Poddać się?

Etos szlacheckiej inteligencji

Skoro wiele rodzin szlacheckich pozbawiono podstawy egzystencji – ziemi, ukierunkowały się na wykształcenie. Nie mogło to już dotyczyć pokolenia dorosłych, ale edukację dzieci i młodzieży obdarzono swoistym kultem. Nowe pokolenie Polaków musiało przewartościować swoje podejście do niepodległości. Nieważnie, czy byli mieszkańcami Królestwa Kongresowego (tę zdelegalizowaną nazwę, którą wcześniej lekceważono, od czasów powstania styczniowego pielęgnowano, nigdy nie używając pogardliwej rosyjskiej), czy ziem zabranych, jak nazywano tereny Rzeczypospolitej objęte zaborem rosyjskim, położone na wschód od Kongresówki. Zrozumieli oni, że jest to praca nie na lata nawet, a na pokolenia. Że należy czekać na okazję ku temu. Tymczasem trzeba pracować, uczyć się, zyskiwać zawód, piąć się po szczeblach karier, budować. I cierpliwie czekać. Cóż, były charaktery, którym to odpowiadało. Byli tacy, co to rozumieli. Ale nie wszyscy romantycy wyginęli, a ci niecierpliwi się.

Nauka była wybitnie utrudniona. Mało szkół podstawowych, jeszcze mniej gimnazjów, nauka w języku rosyjskim (po rosyjsku uczono nawet języka polskiego), wyrzeczenia rodziców, by nie zbankrutować, póki potomstwo nie uzyska wykształcenia, a zatem samodzielności zawodowej, wszystko to było zestawieniem trudności, które nie tyle kształtowały charaktery, co wiodły na różne pokusy. Marzeniem wielu było studiować w Petersburgu, czyli w imperialnej stolicy. Dla pokolenia urodzonego po powstaniu oferty pracy na ziemiach polskich czy litewskich były rzadkością, bo pod względem inwestycji były to obszary celowo marginalizowane przez zaborcę. Miejskowa administracja złożona była z Rosjan. Kusily za to wielością perspektyw ogromne przestrzenie rosyjskie, gdzie niesłychany awans był niemalże automatyczny i najczęściej natychmiastowy, dając możliwość pogardzania podwładnymi, jak to było w rosyjskich zwyczajach. Ceną – odrobina służalstwa i mnóstwo podłości. Oporni trafiali „w żołdacy” i dziesiątkami lat żyli w obozach wojskowych od Kaukazu po Władywostok. Najzdolniejszych kusily wyjazdy poza imperium, ale wielu wsiąkało w jego ogrom, jak sobie myśleli – na chwilę – by ostatecznie nigdy nie wrócić.

I tym również sposobem odbywał się drenaż mózgów z Polski. Kto nie wierzy, niech prześledzi, któż to dokonywał odkryć geograficznych, przyrodniczych czy geologicznych na ogromnych połaciach Syberii i przyległościach.

I jak już to wszystko wiemy, możemy zająć się życiem rodziny Tuliszkowskich oraz miejscem, jakie zajmował w niej Józef.

Dzieciństwo i wczesne nauki gimnazjalne

Tuliszkowscy wywodzili się z Tuliszkowa, ze starej, polskiej szlachty z ziemi konińskiej, nazywanej też kaliską. Sięgali wstecz pamięcią rodową bardzo daleko, bo aż do średniowiecza, gdy w Tuliszkowie mieszkał Jan, względnie Janusz Zaręba Tuliszkowski, Kasztelan Kaliski, który w 1414 r. pojechał na sobór w Konstancji, gdzie Paweł Włodkowic, rektor Uniwersytetu Krakowskiego, bronił czystą łaciną „barbarzyńskiej” Polski przed europejskim potępieniem za tak „bezbożny” czyn, jakim było wybijcie Krzyżaków pod Grunwaldem. Tudzież za wybijcie przy okazji ich zbrojnych gości z całej Europy, jakby byli jakimiś poganami, a nie dzielnymi rycerzami, walczącymi za chrześcijaństwo przeciw wschodnim dzikusom. Sto lat później Mikołaj z Tuliszkowa dopracował się na Akademii Krakowskiej tytułów doktora medycyny i profesora teologii. Tyle, jeśli idzie o najstarszą pamięć rodową.

Wczesne dzieciństwo

W młodszej pamięci rodowej zachowała się pamięć o dziadku Józefa Tuliszkowskiego, co za Sejmu Czteroletniego został chorążym w Kawalerii Narodowej. Ta informacja wydaje się nieco złudną, ze względu na znaczne interwały pokoleniowe, ale nikt nie miał zabronione późno się żenić i żyć długo, zwłaszcza że w latach wojennych młodzieńcy nie kwapili się do zakładania rodzin (*matki zwaryjują* – napisała pewna pamiętnikarka okresu Księstwa Warszawskiego, widząc szereg starzejących się panien, których nie miał kto prosić do tańca – wojny napoleońskie i ich skutki likwidowały całe roczniki młodzieńców). W późniejszym czasie Józef Tuliszkowski twierdził, że melodie sygnałów dla strażaków spisał z nut podarowanych mu przez dziadka, który służył w Kawalerii Narodowej. Jeśli w 1794 r. człowiek ten miał 20 lat, to w czasie swego dzieciństwa Józef miał do czynienia z 90-latkami. W takim razie było czego i o czym słuchać.

Prawdę mówiąc, ze starych dziejów pozostało rodzinie niewiele ponad wspomnienia i herb, którym się Tuliszkowscy pieczętowali: „Tuczyński”. Mianowicie Feliks Tuliszkowski i jego żona, Zofia z d. Kowalczyńska, mieszkali w Radziwiłłowie Wołyńskim nie na swoim, a co najwyżej na dzierżawionym. Można powiedzieć, że byli stadłem w rodzaju Bogumiła i Barbary Niechciców z powieści Marii Dąbrowskiej *Noce i Dnie*, z tą jednak różnicą, że mniej naiwnie podchodzili do życia i dzieci mieli nieporównanie bardziej udane. Z czasem, na starość, nabyli kawałek ziemi i dom w tym samym Radziwiłłowie Wołyńskim, jednak nie można tego nazwać majątkiem, a raczej spokojną ostoją (co się spełniło). Feliks Tuliszkowski był rejentem (notariuszem) i tym w głównej mierze zarabiał na rodzinę. Dochód ten zagospodarowywali bardzo jednoznacznie – liczyła się wyłącznie przyszłość potomstwa. Bardzo to przypomina zarówno sposób życia, jak i nastawienie rodziny Chomiczów¹.

¹ Patrz: P. Rochala, *Bolesław Chomicz i jego czasy. Biografia strażacka*, Komenda Główna Państwowej Straży Pożarnej, Warszawa, s. 23–36.

Tuliszkowscy dochowali się trojga dzieci. Oprócz Józefa mieli jeszcze starszą od niego Marię i młodszą Jadwigę. Maria wyszła za mąż za Antoniego Karłowskiego, za którym wyprowadziła się do Rewla w Inflantach. Jej mąż pracował tam jako urzędnik portu morskiego. Ich syn Jerzy poszedł ścieżką wydreptaną potem przez wuja Józefa – ukończył Politechnikę Ryską, przy czym należał (zgodnie z obowiązującą wtedy tradycją) do korporacji studenckiej Welecja. Po rewolucji bolszewickiej Karłowscy przeprowadzili się do Warszawy. Jerzy Karłowski zaciągnął się wcześniej do legionów, a potem, jako oficer Wojska Polskiego, utonął w Wiśle w 1921 roku. Niedługo potem zmarli jego rodzice.

Jadwiga Tuliszkowska była równie uzdolniona, jak jej brat. Rodzina nie żałowała pieniędzy i córka ukończyła studia medyczne w Szwajcarii. Wyszła za mąż za lekarza, Ludwika Narkiewicza. Lekarskie małżeństwo zamieszkało w Odessie. Rewolucja bolszewicka zmusiła ich do wyjazdu w 1919 roku. Zamieszkali w Warszawie, gdzie zmarli w 1953 roku.

Skoro zasadniczym celem życiowym państwa Feliksa i Zofii Tuliszkowskich było dać dzieciom wykształcenie, musieli dokonać zmian życiowych bądź oddać syna obcym ludziom w dozór. Bo przecież ani Radziwiłłów Wołyński, ani nawet Krzemieniec nie dawały w tym zakresie wystarczających możliwości. Krzemieniec może by dawał, gdyby – jak to wyżej wspomniano – nie wola carska likwidacji tamtejszego liceum jako jednej z represji po powstaniu listopadowym. Trzeba było znaleźć miejsce kształcenia dorastających dzieci, czyli gimnazjum, które wówczas dawało świadectwo dojrzałości, to jest maturę.

Do gimnazjum nie posyłano dzieci nic nieumiejących. Podstawowe wykształcenie zyskiwały w domu. Obejmowało ono to, czego uczy się dzieci w nauce wczesnoszkolnej, tylko nikt wówczas nie psuł im głów ułamkami. Za to w tradycji szlacheckiej i dobrych domów mieszczańskich było nauczanie dzieci muzyki od jak najwcześniejszych lat. Śpiew, gra na jakimś instrumencie – to wchodziło w zakres nauk podstawowych. Józef Tuliszkowski przeszedł tę naukę. Potem przez całe życie wykazywał zainteresowania i nawet zdolności muzyczne, poparte solidną znajomością reguł. Np. chciał napisać nuty rozkazodawstwa strażackiego na trąbkę, to rozpisał. Często też chodził do opery i filharmonii, i to nie dla snobizmu towarzyskiego, tylko z autentycznego zamiłowania.

W zakresie wykształcenia podstawowego Józef Tuliszkowski zyskał coś jeszcze, co ani wówczas, ani wcześniej, ani potem sprawą oczywistą nie było. Otóż być może nadprogramowo nabył umiłowania kultury ludowej we wszystkich jej aspektach. I nie była to bezkrytyczna chłopomania Młodej Polski, tylko fascynacja pięknem, mądrością i poczuciem smaku dla tych, co tworzyli ludową architekturę, stroje i pieśni. On, szlachcic, wykształcony na trzech kierunkach politechnicznych jednocześnie, nigdy nie gardził chłopami, a w życiu dojrzałym dawał im doskonale rady inżynierskie na poprawę życia nie tylko pod względem bezpieczeństwa pożarowego.

Wyjazd ze wsi w tej sytuacji nie był dla małego Józka najlepszą perspektywą. Dzieciństwo w Radziwiłłowie wspominał jako sielskie i anielskie: przyroda, spokój, szczęście, beztroska, ludowe stroje, pieśni i zabudowa. Niestety, w 1878 r. Tuliszkowscy zamieszkali w Mikołowie k. Odessy, gdzie 11-letniego Józefa oddali do gimnazjum filologicznego. Musiał więc uczyć się języków. Ale i w Mikołowie znalazł sobie zajęcie i nie czuł się nieszczęśliwy. Po latach wspominał, jak to pływał po Morzu Czarnym, i jak o tym opowiadał kolegom, co takich przygód nie zaznali.

Mieszkając przez kilka lat nad brzegami morza Czarnego jeszcze jako uczeń, zaprzyjaźniony z kapitanem torpedowca „Batum”, odbyłem dużo morskich podróży i manewrów na tym statku. Opowiadałem więc z zapalem o przygodach i podróżach na torpedowcu i na żaglowych jachtach do Oczakowa, Odessy, Chersoni, Sebastopola i Jaltę, o burzach i „szkwałach”, o oroku pięknych nocy południowych, o egzotycznej przyrodzie Krymu².

Ciekawostką jest, że dzieci trafiały do takich klas gimnazjalnych, w których mogły sobie poradzić z programem, bazując na dotychczas zdobytej wiedzy. Nic zatem dziwnego, że w tych samych klasach widziano dzieciaki, подростки i młodzieńców z sypiącym się wąsem³.

Gimnazjum w Mikołowie i matura w nim nie były celami samymi w sobie. Rodzice Tuliszkowskiego patrzyli znacznie dalej, niż na wybrzeża Morza Czarnego. Ich starsza córka zamieszkała w Inflantach, tj. na Łotwie. Niedaleko stamtąd było do Politechniki Ryskiej, to jest jedynej i najlepszej w imperium z przyległościami uczelni technicznej, która uczyła konkretnych zawodów, której absolwentów poszukiwano, a więc dawała absolutnie pewną przyszłość co do posady. Gimnazjum w Mikołowie mogło się okazać w tej sytuacji ślepą uliczką, bo żywy i inteligentny chłopak mógł w nim co najwyżej opanować język rosyjski, tymczasem w Politechnice Ryskiej wykładano po niemiecku. Zatem po czterech latach, w 1883 r. Tuliszkowscy przenieśli się całą rodziną do Rygi. Mieli bliżej do starszej córki, praca dla Feliksa jakaś się znalazła, a Józef znacznie przybliżył się do studiów politechnicznych. Przygotowaniem do nich było gimnazjum w Rydze, gdzie język imperialny, czyli rosyjski, nadal obowiązywał, ale też należało pojąć jak własny język niemiecki. Zatem szesnastolatek zaczął naukę gimnazjalną w nowych warunkach. Bo też gimnazjum ryskie to była zupełnie inna jakość, niż mikołowskie.

Gimnazjum filologiczne w Rydze

Jak uzdolniony Józef by nie był, pod względem językowym musiał odstawać od miejscowych. Nadrobienie braków musiało potrwać. I tak, gdy inni zdawali matury

² J. Tuliszkowski, S. Haykowski, *Yacht „Trio”, Garsć wspomnień z życia studentów Polaków w Rydze*, Stowarzyszenie Fili-strów Korporacji Weleccji, Warszawa 1935.

³ Chcącym poznać gimnazjalne międzyuczniowskie stosunki ówczesnych lat polecam książkę Bolesława Prusa, *Grzechy dzieciństwa* (Warszawa 1883). Mniej ogólnoludzko, a bardziej pod względem nastawienia zaborcy do uczniów traktuje lektura szkolna Stefana Żeromskiego *Szyfrowe prace* (Lwów 1898).

jako siedemnasto- lub osiemnastolatki, on nosił mundur gimnazjalisty z perspektywą jeszcze kilku lat nauki.

W sposób naturalny Tuliszkowski dobrał sobie nowe towarzystwo, złożone z takich jak on przybyszy, bądź z okolicznych Polaków czy też chłopców innych narodowości, ale wczuwających się w polskość. Mówimy to o chłopcach wychowanych w duchu patriotyzmu polskiego, z rodzin, z których każda miała kogoś prześladowanego za udział w zrywach niepodległościowych. Szybko zainteresowania młodzieńców poszły ścieżką zdrową moralnie, acz niebezpieczną przez wzgląd na obsesyjną czujność zaborcy.

Jeszcze w gimnazjum rosyjskim w Rydze, gdy przechodzić musieliśmy w 5-ej czy 6-ej klasie dzieje Rosji i najdrażliwszy dla każdego Polaka okres rozbiorów Polski, - oburzeni byliśmy do żywego ustępami w podręczniku Iłowajskiego, pełnemi kłamstw i oszczerstw miotanych na nasz naród. Zebraliśmy się, przypominam, w jedną niedzielę kilku nas gorętszych, zwierając się z naszych myśli najskrytszych i bólów. Powstała wtedy myśl dążenia do niepodległości i cichej przygotowawczej pracy i zawiązane zostało „kółko przyszłych powstańców”.

Wzięliśmy się z zapalem do studjowania strategicznych książek, zaczytywaliśmy się w utworach Czajkowskiego (Sadyk Basza), Miłkowskiego (Jeż) i innych, biliśmy się z werwą na palasze, z uciulanymi z korepetycji pieniądze nabywaliśmy stare Winchester’y.

Jeszcze się nie śniło nikomu w Anglii o harcerstwie, kiedyśmy co niedziela i święto na pustem wybrzeżu morza, wśród diun i wzgórz piaszczystych, wśród lasów czyniliśmy podchody, wzajemne tropienia i uczyliśmy się strzelać do celu. Ze nas nie polapano, zawdzięczać należy kolegom z Litwy i Kowieńszczyzny, nadzwyczaj ostrożnym i przeczującym, jedynym do prac konspiracyjnych.

Jednak parę niebaczących wycieczek, a zwłaszcza strzelanie i parokrotne bijatyki z kolegami moskalcami — wzbudziły podejrzenie władz. Zaczęły się rewizje, śledzenia, trwające prawie dwa lata, srodze paraliżujące nasze prace.

W końcu poczęło nas ogarniać zniechęcenie. Doszliśmy stopniowo do wniosku, że, pomimo ścisłej konspiracji, niewiele się da w kraju uczynić, że jedynie teren wolny od wrażeń okupantów mógłby się nadawać do wojennych przygotowań⁴.

Tak zrodziła się idea zamorskich podbojów, co zostanie omówione dalej. Wśród tych przygód trzeba wspomnieć, że będący pod wąsem gimnazjaliści naprawdę zamierzali wywołać powstanie zbrojne i balansowali na krawędzi zsyłki na Sybir, a nawet gorzej. Bo jak zakwalifikować mieli Moskale utworzenie oddziału partyzackiego na kowieńszczyźnie, liczącego ok. 20 ludzi? Jak wyjaśnić transport broni koleją z Rygi do Kiejdan, co wpadła w oko żandarmom? Tylko dzięki przytomności umysłu młodzi konspiratorzy, Tuliszkowski i Ćwirko, nie wpadli, gdy żandarmi na którejś stacji zainteresowali się zawartością paki z bronią – gimnazjaliści szybko kupili bilety do innej stacji, niż docelowa na pacy. Doszło nawet do działalności szpiegowskiej!

⁴ J. Tuliszkowski, *Yacht „Trio”...*, s. 5–6.

Łatwo sobie wyobrazić, że ujawnienie poniżej opisanych czynów mogłoby się skończyć dla sprawców sprawami gardłowymi.

W Niemcach widziano wówczas naturalnych sprzymierzeńców w walce ze znenawidzonym zaborcą rosyjskim, a w Niemczech nie było wtedy jeszcze jaskrawych objawów dyskryminowania Polaków, nie znano hasła „Austrotten”, nie było Wrześni. Przybyły na miejsce oficer sztabowy obiecał dostarczenie broni; w zamian zażądał zdobycia planów twierdzy Ujść-Dźwińska (Dünamunde). Propozycję przyjęto, a do wykonania tego zadania zgłosił się Tuliszkowski.

Żeby wykonać konspiracyjne zadanie (...) musiał, wbrew swej woli, zaprzyjaźnić się z kolegą szkolnym Rosjaninem Boczkariowem, którego ojciec, będąc inżynierem wojskowym, służył w tej twierdzy. (...) Plany zdobył, „przyjaźń” zakończyła się w sposób „naturalny”, tzn. ostrą bójką po wygłoszeniu przez kolegę B. obelg pod adresem polskich powstańców '63 roku. Za dostarczone do Berlina plany twierdzy, oddział Laudański otrzymał partię najnowszych karabinów i amunicję, a Józef Tuliszkowski za sprowokowanie bójki z Rosjaninem z powodów politycznych, omal nie wyleciał ze szkoły z wilczym biletem. Obroniła go pozycja prymusa szkoły i opinia inspektora szkolnego Tichomirowa, u którego uczeń Tuliszkowski miał z języka rosyjskiego piątki i któremu przepowiadano karierę literacką⁵.

Policja znów zaczęła mocniej interesować się „powstańcami”. To do tamtego czasu można odnieść słowa Tuliszkowskiego o zniechęceniu. Ale spiskowcy nie poddawali się. Już wtedy padła myśl o zdobyciu kolonii, utworzeniu tam armii i przybyciu z nią do ojczyzny, żeby pobić Moskali. Ale nasz niewielki oddział powstańczy miał nieco większe ambicje, niż złapać w ręce karabiny, rzucić się na wroga i zginąć. Pomysłowości mogliby się od nich uczyć polscy wodzowie z XX w., którzy przeszli na karty historii. Mianowicie gimnazjaliści postanowili, że powstanie trzeba naprawdę gruntownie przygotować, a przede wszystkim oni sami muszą się odpowiednio wykształcić na jego wodzów. A że nie wszyscy na raz mogą dowodzić, to trzeba też umieć zarządzać wszelkimi elementami walki, również tymi z zaplecza. Abstrahując od zasadniczych powodów, ta bardzo mądra myśl szła już po tych samych ścieżkach co pragnienia ich rodziców, kto wie, czy również nie ku ich uldze.

Chcąc zrealizować nowe marzenia konspiracyjne, określili swoje role jako przyszłych kierowników różnych działów organizacji konspiracyjnej i postanowili zdobyć solidną wiedzę na politechnice w Rydze: Ćwirko na inżynierii lądowej i wodnej, Jozepajtis na chemii, Tuliszkowski na budowie maszyn, Ejdrygiewicz chciał studiować prawo na uniwersytecie w Dorpacie, a kilku kolegów obrało specjalnie służbę wojskową⁶.

Niestety nie będziemy już pamiętać tych nazwisk, a też do historii powszechnej Polski żadne z nich nie przeszło. A szkoda, bo każdy z nich mógłby wykazać się jako bardzo dobry gospodarz, wódz czy polityk. Może nawet lepiej niż znane nam postacie

⁵ W. Jabłonowski, Józef Tuliszkowski. Pionier polskiego pożarnictwa, Warszawa 1995, s. 13.

⁶ Tamże, s. 14.

historyczne. Warto podkreślić, że byli polskimi patriotami, zjednoczonymi wokół wspólnego celu, mimo pochodzenia z różnych narodowości: Ćwirko – Polak z Białorusi, Jozepajtis – Litwin, Tuliszkowski – Polak z Wołynia, Ejdrygiewicz – Tatar.

Studia na Politechnice Ryskiej

Ryga miała strategiczne położenie od zawsze. Już w czasach średniowiecza sporo znaczyła jako miasto hanzeatyckie, położone daleko na wschodzie. Jeśli hanzeatyckie, to z portem i oczywiście z osadnikami niemieckimi.

Znaczenie Rygi wzrosło dodatkowo, gdy w ślad za osadnikami pojawili się w niej kawalerowie mieczowi, tj. zakon rycerski ludzaco podobny do Zakonu Szpitalników Najświętszej Marii Panny, czyli aż nazbyt nam dobrze znanych Krzyżaków. Powody i metody działania mieli takie same, a wkrótce upodobnili się w strojach (zamiast czerwonego miecza z gwiazdą wzięli czarny krzyż), więc prowadzili ekspansję. Nie sięgała ona za daleko, bo np. książę Aleksander Newski co prawda musiał się słuchać Tatarów, ale armię kawalerów mieczowych i Krzyżaków pokonał w bitwie na lodzie jeziora Pejpus (Czudzkiego) w 1242 r., po której stan posiadania ziem zagwarantowały sobie obydwie strony traktatem pokojowym. Po Grunwaldzie (1410) Krzyżacy znaleźli się w strategicznej defensywie, ich gałąź w Inflantach uniezależniła się do gałęzi pruskiej, a ich ostatni wielki mistrz, przerażony postępami i postępkami wojsk cara Iwana Groźnego (jeden z władców na tronie carskim o cechach psychopatycznych) złożył hołd lenny królowi polskiemu. Inflanty, w tym Łotwa, stały się księstwem, mającym niemieckie mieszczaństwo i szlachtę oraz łotewskie chłopstwo. Przez czas jakiś znajdowała się pod panowaniem Polski, by przejść na początku XVII w. pod władztwo szwedzkie, a potem pod rosyjskie.

Ryga, pełniąc w odniesieniu do zaplecza lądowego podobną funkcję, jak Gdańsk w odniesieniu do Rzeczypospolitej (i Królewiec dla Litwy), nie traciła pod żadnym panowaniem, wręcz przeciwnie: handel trwał niezależnie od koniunktur politycznych. Działo się tak, gdyż handlowało się za pośrednictwem Rygi.

Okoliczności utworzenia Politechniki Ryskiej

W połowie XIX w. Ryga okazała się jednym z najlepiej rozwiniętych gospodarczo miast Imperium Rosyjskiego, a dysponujący przewagą ekonomiczną nad resztą populacji Niemcy nie mieli problemów takich jak ówcześni Polacy na ziemiach polskich. Wzorowa lojalność wobec cara dawała Niemcom przywileje, zresztą carowie zwykle podziwiali niemieckiego ducha. Kilka carów płci żeńskiej było pochodzenia niemieckiego, np. niezmiernie kochliwa Katarzyna II Wielka, której „oświeconym” rządowi zawdzięczano szereg śmiałych podbojów (o koszty nikt nie pytał), czy Maria Fiodorowna albo Elżbieta Aleksiejewna itd. I niech nas nie mylą te imiona i odczeka: przybierano je na modłę rosyjską, czasami zmieniając imię na jakieś miejscowe, mowę jednak nie zawsze opanowując. Bo dosłownie wszyscy carowie od połowy

XVIII w., przez cały XIX w. aż do końca brali za żony niemieckie księżniczki tak konsekwentnie, że aż dopracowali się chowu wsobnego i hemofilii. Zatem w Rosji stale trwała moda na niemieckość, np. na generałów. Nic zatem dziwnego, że lojalne, niemieckojęzyczne Inflanty łotewskie zyskiwały szereg przywilejów, a buntownicza, polskojęzyczna Polska, odwrotnie.

Zatem Ryga zyskiwała, podobnie jak sąsiedni Dorpat w Estonii i jego uniwersytet, który po likwidacji polskich uczelni stał się największym w imperium. Jak to zanotowano w historii łotewskiego szkolnictwa wyższego, patrzono wówczas na Łotwie raczej na własne podwórko, acz po cichu rachowano (a umiano tam liczyć) zapewne na więcej. Nie przeliczono się.

Wraz z gwałtownym rozwojem przemysłu wytwórczego i transportu kolejowego, wznoszeniem mostów i innych obiektów inżynieryjnych. Ryga szybko przekształcała się w rozwinięty ośrodek przemysłowy⁷.

Potrzeba było w związku z tym kadr inżynieryjnych. Zauważono pewnie, że mimo ogromu, Imperium Rosyjskie nie posiadało ani jednej wyższej uczelni technicznej, gdzie mogliby kształcić się inżynierowie, bardzo potrzebni, by kraj rósł w siłę. Co nie znaczy, że takiej uczelni nie było. Otóż w Warszawie funkcjonowała taka szkoła od 1826 r. pod nazwą Szkoła Przygotowawcza do Studiów Technicznych⁸, tylko car Mikołaj I (kierowany mściwością za powstanie listopadowe i za pozbawienie go tronu króla Polski) zniósł ją w 1831 r. i nie powołał żadnej, nawet własnego imienia. Wiedząc o tym dojmującym braku na polu myśli technicznej, której samym knutem nie wykrzesasz, choćbyś nie wiem jak się starał, potrafiący liczyć pieniądze mieszczenie i szlachcice rycy, czyli „łotewscy”, zaproponowali carowi utworzenie na ich własny koszt uczelni wyższej technicznej. Oficjalnie *głównym zadaniem szkoły byłoby kształcenie i szkolenie inteligencji technicznej, która byłaby zdolna do pracy z nowymi urządzeniami produkcyjnymi i proponowania nowych pomysłów na nowe osiągnięcia⁹.*

Podparto się przy tym nie byle czym, tylko rekomendacjami licznych przedstawicieli niemieckich uniwersytetów¹⁰, które administracja carska raczyła skrupulatnie sprawdzić, nim podjęła decyzję o wsparciu utworzenia prywatnej politechnicznej szkoły wyższej w Rydze, do której nie musiała nic dopłacać. Była to pierwsza uczelnia wyższa na obecnym terytorium Łotwy. Miała zapewnić regionowi samowystarczalność intelektualną. Nie mówiono na głos, żeby administracja carska nie zrobiła bezinteresownie na złość, że uczelnia techniczna zadziała jak lep na muchy, ściągając najwybitniejsze umysły z całego imperium, a zatem zapewniając cały szereg dodatkowych dochodów zarówno ojcom założycielom, jak i okolicy. Kto wie, może niektórzy liczyli na poprawę miejscowego materiału genetycznego?

⁷ <https://www.rtu.lv/en/university/history>, [dostęp: październik 2023].

⁸ <https://www.pw.edu.pl/Uczelnia/O-nas/Historia>, [dostęp: październik 2023].

⁹ <https://www.rtu.lv/en/university/history>, [dostęp: październik 2023].

¹⁰ Tamże.

Pozwolenie cara rosyjskiego Aleksandra II na utworzenie wyższej uczelni uzyskano w maju 1861 r., a 14 października 1862 r. pierwsi studenci rozpoczęli kurs przygotowawczy i rozpoczęli studia. Ten dzień obchodzony jest jako urodziny RTU¹¹.

Uczelnię zorganizowano na wzór dwóch uczelni niemieckich: Zurychu i Karlsruhe. Wykładowcami byli Niemcy. Car, w swojej łaskawości, zezwolił na to, by językiem wykładowym był język niemiecki (w 1896 r. zmieniono nazwę uczelni i język wykładowy na rosyjski).

Tak oto Lotwa zyskała swoją pierwszą uczelnię wyższą, a imperium pierwszą szkołę politechniczną – od Kalisza po Władywostok i od Petersburga po Tbilisi.

Swoją drogą jakże uderzająca różnica jest między carami Rosji a królami łacińskimi. Ci pierwsi łaskawie zezwalają na założenie uczelni wyższej ludziom, którzy chcą za to zapłacić, ci drudzy fundują uczelnie, płacąc z własnej szkatuły przynajmniej na start i kilka najbliższych mu lat.

Kto zatem chciał się kształcić na inżyniera specjalności mechanicznej, chemicznej, budowlanej (architektury) lub na handlowca, ten jechał do Rygi. Oczywiście, jak go było stać, mógł wybrać się do szacowniejszych uczelni zagranicznych, ale wkrótce okazało się, że o dalszych wyprawach naukowych mógł decydować tylko snobizm, bo poziom ryskiej politechniki był nie tyle wystarczający, co naprawdę wysoki. Istniały następujące wydziały: Inżynierii, Chemii Technicznej, Rolnictwa, Mechaniki, Handlu, Architektury oraz Geodezji.

W popowstaniowej Polsce było sporo rodzin szlacheckich zubożałych, ale samoświadomych. W wielu z nich doceniano wagę wykształcenia (jak już wiemy, formowała się z nich inteligencja) oraz znaczenie postępu technicznego. Wysyłanie dzieci na studia poza granice zaborów niezbyt się kalkulowało, o ile dysponowano daną możliwością w imperium. Zresztą jechać do Rygi to i tak było jakby na studia zagraniczne młodego człowieka wysłać, a zarazem do Polski, bo znaczny odsetek studentów to byli Polacy. Zatem Ryga stała się mekką dla polskich studentów o inklinacjach technicznych, podobnie jak Uniwersytet w Kijowie dla młodzieży o inklinacjach humanistycznych. Uczelnia ryska (kijowska również) szybko nabrała polskiego charakteru, co zobrazowało się w aż dwóch studenckich korporacjach polskich: Arkonii i Welecji. I w ten sposób, poniekąd, walka niepodległościowa przybrała tam postać walki sportowej na studenckie dyplomy. Innymi słowy, skoro byłeś Polakiem, to powinieneś uczyć się dobrze. No, chyba że zostałeś „socjalistą”...

Tak wyglądał pierwszy etap realizacji idei tudzież konieczności pozytywistycznych.

¹¹ Tamże.

Korporacje

Działanie w praktyce korporacji studenckich w duchu XIX-wiecznym możemy zobaczyć w nieco krzywym zwierciadle na przykładzie amerykańskich filmów komedyjnych, pokazujących życie dzisiejszych studentów. Przeważnie chodzi o dobrą zabawę na dorosło, ze śmiertelnie poważnym podchodzeniem do różnych symboli, jak: Lambda, Beta, Delta, ze skandowaniem haseł, piciem alkoholu na wyścigi itd. Bo kiedyś, kiedyś korporacje miały na celu rozwijanie i pogłębianie zainteresowań w formie samokształceniowej, ale też bez zadęcia właściwego wykładom. Aż za często zostało z tego głównie „bez zadęcia”.

Korporacje były też miejscem na tradycyjne dokazywanie i psoty żakowskie rodem ze średniowiecza, tolerowane, jeśli odbywały się w myśl przyjętych rytuałów (nie wykazywano odruchów samobójczych – kadra naukowo-dydaktyczna pozostawała poza zasięgiem rażenia), bo przecież rozumiano, że młodzież musi się jakoś wyszumieć, inaczej może poczynić znaczne szkody zarówno na uczelni, jak i w jej otoczeniu. Były też miejscem podniesienia kulturalnego czy etycznego, tudzież fizycznego. Wielkie znaczenie na tym polu miały pojedynki, początkowo na broń ostrą. W końcu dopracowano się międzykorporacyjnych regulaminów.

Zakazano pojedynków inną bronią niż studencki rapier oraz wprowadzono tak zwane menzury, czyli starcia szermiercze niegroźne dla życia, skutkujące jedynie lekkimi zranieniami. Blizny powstałe po takich skaleczeniach były powodem dumy, swoistym dowodem odwagi i symbolem wyższego wykształcenia. Odgłosy dobiegające z sal ćwiczeń szermierczych dały początek stosowanemu do dziś powiedzeniu, że studenci „kują”¹².

Zatem gdy jakiś wojskowy pozwał studencika za plamę na oficerskim honorze uczynioną mu za konkury do tej samej „damy”, mógł się srogo zdziwić, bo nie dość, że przeciwnik był bardziej inteligentny, to jeszcze świetnie władał bronią białą.

Wykształciły się zwyczaje przyjmowania do korporacji kandydatów, którzy przeszli okres próbny. W okresie próbnym kandydat nosił miano fuksa (stąd wzięło się fuksovanie, tj. konieczność cierpliwego znoszenia głupkowatych, acz niewykraczających poza przyjęte zwyczaje prześladowań przez starszych kolegów). Potem zostawało się *comilitionem* (z łaciny towarzyszem) lub *burszem* (z niemieckiego, też towarzyszem), a po zakończeniu studiów filistrem, z obowiązkiem wspierania korporacji. Z czasem korporacje zakładały stowarzyszenia swych filistrów.

Korporacje były też jednym z istotnych sposobów na prowadzenie życia towarzyskiego, co całkiem łatwo przeradzało się w libacje alkoholowe, oczywiście z korporacyjnym sznytem niezwykle inteligentne, np. pójście w zakład o beczkę piwa, kto szybciej wypije beczkę piwa.

Korporacje pomagały też słabszym studentom przetrwać trudy nauki, a zdolniejszym, czy bardziej przedsiębiorczym, wypracować sobie pozycje liderów, czasami

¹² <https://www.sarmatia.pl/historia-polskich-korporacji-akademickich>, [dostęp: październik 2023].

na całe życie, bo kto kim i jaki był za życia w korporacji, bardzo mogło się liczyć w życiu dorosłym. Na ogół członkiem korporacji pozostawało się aż do końca życia, już jako filister, chyba że zostało się wykluczonym z korporacji, np. za przestępstwo.

Arkonia i Welecja

Zakładając jakiegokolwiek stowarzyszenie w carskiej Rosji, trzeba było bardzo uważać, by władze nie doszukały się w tym spisku antypaństwowego, jak to zdarzyło się w przypadku Filomatów i Filaretów, u których aby doszukać się złej woli, należało mieć iście paranoiczne podejście do sprawy spisków. Rosyjska administracja tym dysponowała, za takie postawy policji, jak aresztowanie kilkunastu chłopców za to, że bawią się w wojsko, nagradzano, a pochwały szły od samych carów. Tymczasem każda korporacja studencka mogła przyprowadzić paranoicznie przywiązanego do swoich obowiązków urzędnika carskiego o rozkoszne podniecenie faktem odkrycia kolejnego spisku na życie władcy tudzież potęgę „matuszki Rossiji” (tak pieściotliwie mówili innym Rosjanie o kraju knuta). Mianowicie każda korporacja studencka dysponowała pełnym wachlarzem atrybutów tajnych spisków: wyrazistą nazwę, nośne hasło, własny herb i barwy. Musiała się różnić od innych korporacji, a zarazem mówić sama sobą, czym jest. Zatem ze względów oczywistych w oczach każdej policji politycznej, właściwej dla państw tyrańskich, wyglądała na spiszek przeciw władzy, a zatem na zbrodnię przeciwustrojową. Kilka tak potraktowano, nie tylko w Rosji, bo np. we Wrocławiu rozwiązano wszelkie polskie stowarzyszenia.

Pierwszą trwałą polską korporacją studencką (wszystkie wcześniejsze władze zaborcze Prus, Austrii i Rosji likwidowały) był Konwent Polonia¹³ („Jeden za wszystkich wszyscy za jednego” i „1 > 2”, czyli jedność większa od dwóch) na Uniwersytecie w Dorpacie. Założono ją w 1828 roku. Brała prosto z towarzystw Filomatów i Filaretów, które mimo niewinnego charakteru, zostały potraktowane jako antycarskie organizacje niepodległościowe, tym sposobem dostarczając polskiemu romantyzmowi rysu męczeńskiego i czyniąc carat nienawistnym Polakom po wsze czasy. „Polonii” udało się przetrwać nawet okresy powstań. Np. po chwilowym zawieszeniu po powstaniu listopadowym została wskrzeszona w 1834 roku. Nie było w niej *burszów*, tylko po okresie fuksa zostawało się barwiarzem (tj. tym, który mógł nosić pełną barwę korporacji, a nie tylko dekiel, czyli czapkę z daszkiem), a potem zamiast *burszem* zostawało się *comilitonem* (z łaciny). Nawet i ta łacina miała tu swoje znaczenie, wszak nie pisano jej cyrylicą.

Pierwszą korporacją na Politechnice Ryskiej była niemiecka Rubonia (1875). I zasadniczo polskie korporacje wzorowały się na niej co do ogólnej organizacji, więc gdyby ktoś spojrzał na studenta niemieckiego i polskiego „Polentechnicum” Riga,

¹³ Chętni mogą się zapoznać z historią tej korporacji na jej stronie internetowej: <https://www.konwentpolonia.pl/>, [dostęp: październik 2023].

ujrzałyby ten sam typ sylwetki, czapkę innego koloru, ale bardzo zbliżoną krojem, sposób zachowania nie do odróżnienia. Ba! Jedni i drudzy swobodnie posługiwali się językiem niemieckim. W szczegółach jednak wszystko byłoby inne, zwłaszcza w zwyczajach korporacyjnych. Niemcom chodziło o dobrą zabawę studencką, a Polakom o pielęgnowanie polskości. A tu należało być sprytnym. Jak ukryć polskość w taki sposób, by była zrozumiała dla każdego, a nie budziła skojarzeń wśród urzędników carskich lub władz uczelni? Wolno było wiele, przecież nikt nie chciał przeciągania wrażliwej, a nawet niezmiernie drażliwej struny cierpliwości carskiej. Polacy wymyślili sobie coś, co było niebanalnym dowcipem antyniemieckim, a zarazem kalamburem nie do rozwiązania dla carskiej policji. Tylko wykształconym w historii Polakom wiele to mówiło (niby to była również niemiecka historia, ale Niemcy znali inną). Chodzi o nazwy korporacji.

Jako pierwsza z dwóch polskich korporacji powstała w dniu 9 maja 1879 r. – Arkonia. Cóż ta nazwa oznacza? Otóż Arkona to nazwa grodu słowiańskiego z czasów jeszcze pogańskich. Znajdował się na wybrzeżu Bałtyku na wyspie Rugii, noszącej wówczas miano Rana. Arkona, będąca również pogańskim ośrodkiem wiary słowiańskiej, bardzo długo, a właściwie najdłużej opierała się chrześcijaństwu, a zarazem niemczyźnie, bo aż do XII wieku. To, że upadła w wyniku krucjatowego oblężenia duńskiego, znaczenia dla założycieli nie miało. Ważna była ta ostentacyjna słowiańskość, wytrwałość i ostateczność. Jednak założyciele Arkonii nie mieli zamiaru wskrzeszać pogaństwa. Po prostu wzięli sobie z historii nazwę, której w sposób właściwy nie kojarzyłby, ani Niemiec, ani Rosjanin, nawet najbardziej uczony. I wykazali akcent przynależności etnicznej, a zarazem historii starszej, niż to przyjęło się uważać.

Forma zewnętrzna została zapożyczona od korporacji niemieckich, a treści nadano charakterystyczne polskie cechy. Przyjęte przez korporację barwy, najważniejszy symbol korporacji, oznaczają do dziś odpowiednio: granat - wierność ideałom, biel - prawdę, zieleń - nadzieję na odzyskanie niepodległości¹⁴.

A oto treść podania Stefana Kozłowskiego, które było swoistym manifestem korporacji.

Cel i moralne obowiązki członków Arkonii formułują się w ten sposób:

Koło Arkonii ma za zadanie wykształcenie i dostarczenie Krajowi ludzi dobrze myślących, połączonych ze sobą solidarnie, dążących do polepszenia położenia Kraju pracą i postępowaniem opartym na pewnych przyjętych zasadach, a mianowicie: przez rozwijanie i popieranie czynnie samodzielnej pracy narodowej nad podniesieniem bytu moralnego i materialnego Kraju, wolnej od niechęci i uprzedzeń do jakichkolwiek warstw w społeczeństwie naszym i ze szczególnym uwzględnieniem potrzeb mniej oświeconych warstw narodu¹⁵.

¹⁴ <http://arkonia.pl/Historia>, [dostęp: październik 2023].

¹⁵ http://arkonia.pl/Podstawy/Podanie_Kozlowskiego_1881, [dostęp: październik 2023].

Dewiza Arkonii to: *veritate ac labore* czyli prawdą i pracą. Widzimy zatem, że konserwatywna Arkonia chciała przyjmować w swoje szeregi ludzi ze wszelkich stanów, aby tylko chcieli pracować czynnie, samodzielnie lub narodowo nad podniesieniem bytu moralnego i materialnego Kraju. Którego kraju? Takiego Kraju¹⁶.

Druga polska korporacja ryska, która istnieje również i dziś, po powstaniu z popiołów, to Welecja¹⁷. Założono ją 26 października 1883 roku. Aktem założycielskim był rozłam w łonie Arkonii, co omówimy dalej.

Welecja koniecznie musiała się wyróżnić. Oczywiście wyróżniała się barwą: zielony, srebrny i niebieski (czyli nadzieja, prawda i przyjaźń) oraz bardziej skomplikowaną symboliką i herbem niż Arkonia. Zawołanie to: *Vivat crescat floreat veletia*, czyli: *Żyj, rozwijaj się, rośnij Welecjo*. Jej dewiza to: *Viribus Unitis Suum Cuique*, czyli: wspólną siłą każdemu co należy. I tu mamy przyczynę rozłamu z Arkonią podaną jak na dłoni. Otóż do Welecji mógł należeć każdy, kto wyznawał ideały równości, niezależnie od pochodzenia społecznego i etnicznego, niezależnie od zapatrywań politycznych. W skrócie chodziło o to, że w Arkonii nie tolerowano nowego prądu politycznego: socjalizmu. W Welecji socjalizm zwyciężył jako opcja, której tam nie zwalczano, nad którą dyskutowano i przyglądano się jej z uwagą. I która zaczęła przeważać nad pracą narodową na rzecz Tego Kraju.

W gruncie rzeczy różnice między Arkonami i Weletami nie były tak duże, jak to deklarowano, bo ani ówczesny konserwatyzm nie oznaczał skazywania innowierców na stosy, ani socjalizm nie przybrał jeszcze formy drapieżnego komunizmu. Z całą pewnością w Arkonii znalazłoby się więcej wierzących katolików, a w Welecji więcej ateistów, protestantów czy żydów. Dyskusje prowadzono, wrogości nie było.

Fakt, że Welecja dryfowała w stronę socjalizmu, nie oznaczał, że otwarta była na jego wpływy bez reszty. Bardziej tu miały znaczenie idee braterstwa ponad podziałami, niż nauki Karola Marksa czy Fryderyka Engelsa. Aczkolwiek pośród działaczy założonej później Polskiej Partii Socjalistycznej znaleźlibyśmy Weletów, jak Ignacy Mościcki, rówieśnik Tuliszowskiego. Należy również pamiętać, że Welecja była korporacją polską, więc przede wszystkim chodziło w niej o polskość i to od poparcia Polski zależała przynależność do niej.

Zatem na Politechnice Ryskiej działały dwie polskie korporacje: kapłańsko-konserwatywna Arkonia i powszechno-ludowa Welecja.

Bo też i nazwa Welecja nie wzięła się znikąd. Otóż i tu, jak przy Arkonii, miała swoją wagę konotacja do Słowian Zachodnich. Mianowicie istniał na północnym Połabiu związek kilkunastu plemion, zwanych Wioletami. Nie wykształcili sobie książąt (właściwe bez ich zgody zdjęli istniejących ze stanowisk), a dogadywali się

¹⁶ Z. Ray (muz.), J. Pietrzak (tekst), *Taki kraj*, piosenka z filmu *Męskie sprawy*, 1988.

¹⁷ Chcącym zgłębić dzieje tej korporacji poleca się: M. Laszczkowski, *Welecja. Dzieje korporacji*, Warszawa, 2012; F. Trzaska, *Polska Korporacja Akademicka Welecja 1883–1988*, Warszawa 1989.

na zasadzie wiecu, co pasuje trochę do założeń socjalistycznych, zawsze i wszędzie przybierających demokratyczny sztafaż. O jednym wszakże założyciele Welecji zapomnieli, lub nie wiedzieli. Dziś ustrój rządowy wczesnośredniowiecznego Związku Wieleckiego nazywa się teokracją, gdyż wszelkie ich inicjatywy, tyjące się polityki zagranicznej, np. podejmowania interwencji zbrojnych (a lubili wojować), działały się pod przewodnictwem duchowym słowiańskich żerców z grodu Retra, a ich sztandary wojenne były wizerunkami bóstw... Nigdy żadni prawdziwi socjaliści nie powoływaliby się w nazwie założycielskiej na jakieś stowarzyszenie religijne, nawet pogańskie.

Jak by nie było, Politechnika Ryska stała się bardzo ożywionym źródłem polskości, z którego wypływały dwa równoległe strumienie, obrazowane korporacjami akademickimi. W korporacjach tych hołdowano innym wartościom niż w niemieckich. W dużej cenie były osiągnięcia na polu nauki, znajomość historii Polski należała do dobrego szyku, podobnie jak rozważanie w niedalekiej przyszłości powstania zbrojnego, poprzedzonego pracą organiczną.

Korporacje polskie w Rydze, prócz życia koleżeńkiego i wzajemnej pomocy, miały za zadanie kształtowanie charakterów i przygotowywanie swych członków na przyszłych obywateli Polski. Głęboka wiara w odrodzenie Ojczyzny wyrażała się w uroczystych obchodach, okazjnych przemówieniach, w kształtowaniu serc i umysłów¹⁸.

Że nic nie było tak proste, jak to można by przedstawić, weźmy pod uwagę, że konserwatysta Józef Tuliszkowski, sympatyk i członek późniejszej Ligi Narodowej Romana Dmowskiego, należał do Welecji, a przyjaźnił się z Ignacym Mościckim, zdeklarowanym socjalistą, późniejszym pilsudczykiem, czyli kimś Dmowskiemu wrogim.

Polaków na Politechnice Ryskiej było wielu. Tak wielu, że błąka się po świecie informacja, iż Gustav von Kieseritzky, dyrektor Politechniki w latach 1875–1885 podobno powiedział: *Politechnika bałtycka powinna właściwie nazywać się Polentechnikum, bowiem Polacy dominują na niej nie tylko pod względem liczebności, lecz również pod względem postępów w nauce¹⁹.*

Żeby nie było, że Polacy na uczelni przeważali. Otóż nie, byli za to z całą pewnością drugą co do liczebności nacją. Wynika to z pośrednio z ogólnej liczby korporacji. Tu głos oddajmy Tuliszkowskiemu jako naocznemu świadkowi.

Naonczas przy politechnice w Rydze istniały 2 kor. polskie: „Arkonia” i „Welecja”, 3 niemieckie: „Baltica”, „Rubonia” i „Concordia” oraz rosyjska „Arktica”. Potem przybyły 2 kor. łotewskie: „Selonia” i „Talavia” oraz estońska „Vironia”²⁰.

Niemniej polskość na Politechnice była daleko posuniętą. Ot, taki cytat literacki, oddający z całą pewnością część stosunków, jakie w Rydze panowały. Być może wziął się z faktycznie wypowiedzianego zdania, bo Władysław Stanisław Reymont lubił

¹⁸ J. Tuliszkowski, *Yacht „Trio”*, dz. cyt.

¹⁹ Wyjątek z listu filistra Jerzego Kalinowskiego, za: <https://arkonia.pl/>.

²⁰ Tamże, przypis 1, s. 7.

zapamiętywać charakterystyczne sytuacje i dialogi, i przenosić je na karty swych powieści. Zatem mówi Max Baum, jeden z trzech Lodzermenschów (czyli „łódzkich ludzi”, coś w rodzaju bezwzględnych ludzi sukcesu, pozostali dwaj to: Polak Karol Borowiecki i Żyd Maurycy Welt) z powieści *Ziemia obiecana* z 1898 r.

*Niech was diabli wezmą z tymi porozumiewaniami się! Ach, te Polaki! W Rydze całe trzy lata mało co spałem, bo wszyscy się całe noce u mnie porozumiewali... I w Łodzi to samo*²¹.

Welecja, socjalizm, jacht „Trio” i inne przygody

Józef Tuliszkowski zdał egzaminy celująco i podjął studia na Politechnice Ryskiej od 1889 roku. Był wówczas 22-letnim młodzieńcem. Natychmiast wstąpił do Welecji, zaczynając oczywiście staż fuksiarski. Jego oldermanem był rówieśnik metrykalny, acz już starszy student, mianowicie Ignacy Mościcki, uczący się od 1887 r. na Wydziale Chemicznym. Już jako bursza wciągnął Tuliszkowskiego Mościcki do tajnego Związku Młodzieży Polskiej. Związek ten zajmował się pracą socjalistyczną. Wymagał od swoich członków jeszcze więcej, niż korporacje, np. by poświęcać swój czas, by uczyć robotników czytania i pisanie.

Tuliszkowski zaangażował się w to całkiem mocno, przy czym jego działalność nie ograniczała się do samych tylko pogadanek wśród robotników. Zajął się też agitacją umoralniającą pośród braci studenckiej.

*Miał wiele nieprzyjemnych starć z kolegami – studentami, biesiadującymi w knajpach, którym wytykał niestosowność takiego zachowania, wobec ogromu nędzy robotniczej*²². Z czego można pośrednio wnosić, że wielu było w korporacji takich, co hołdowali niemieckim wzorcom studenckim spędzania wolnego czasu.

Aby dobrze wykonywać swoje obowiązki, Tuliszkowski pilnie czytał literaturę socjalistyczną. I tu, jak wielu, co zgłębiło tę tematykę, im bardziej się zagłębiał, tym większego rozdzźwięku doznawał, bo niejeden błąd logiczny zauważył. Przede wszystkim socjalizm dla niewtajemniczonych przedstawiał się jako wyższa forma miłosierdzia chrześcijańskiego, z tym, że z nadaniem temu nie formy dobrowolnej jałmużny, ale zbioru praw. Tuliszkowski, będąc w fazie kaznodziei socjalistycznego, kazał współczuć (wy tu pijecie, a oni tam głodują), pokazywał aspekt humanitarny pracobiorców i niehumanitaryzm pracodawców, domagał się lepszych warunków pracy, w tym skrócenia go, opieki zdrowotnej, odszkodowań i godnego traktowania ludzi. Do tego momentu każdy zdrowo myślący człowiek, któremu od dziecka wpojono wartości chrześcijańskie, byłby skłonny mniej lub bardziej przytaknąć tym postulatom. Socjalizm miał jednak więcej twarzy. Jak już ktoś wszedł do kręgu wtajemniczonych, to dowiadywał się, że chrześcijaństwo wymyślono po to, by cieżżyć robotników (i chłopów). I to zniosłoby wielu, wszak i wówczas opowiadano

²¹ W. St. Reymont, *Ziemia Obiecana*, wyd. Świat Książki, Warszawa 2000, s. 83.

²² W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski. Pionier polskiego pożarnictwa*, Warszawa 1995, s. 16.

sobie dowcipy o księżach. Co innego jednak dowcipkować, uznając porządek rzeczy, a co innego naprawdę go burzyć.

Nie był to koniec złych wrażeń odnośnie socjalizmu. Okazywało się bowiem z dalszych lektur, że państwa i narody to przeżytek, że wystarczy, gdy robotnicy zmiotą władców z tego świata, to zmieni się on na lepsze, gdyż sami sobą będą rządzić.

Dla krytyków socjalizmu był to system idei, mających na celu wywoływanie niezadowolenia wśród robotników, powodowanie zazdrości i zawiści, pobudzanie do strajków i buntów. No i jak sobie radzić z postulatem: Dajcie nam pracę? Przecież praca nie jest towarem, który da się wytworzyć!

Głęboko wierzący student Tuliszkowski znalazł się w dysonansie poznawczym. Ale i na takich ruch socjalistyczny miał sposoby. Mianowicie mogli się przydać do taktycznych etapów walki. Skoro byli patriotami, skoro mieli żądzę czynu, to przecież carat był wrogiem wspólnym zarówno robotników bez względu na ich narodowość, jak i Polski. To z kolei bardzo mocno trafiło do przekonania Tuliszkowskiemu, który, jak wiemy, od dawna przygotowywał powstanie zbrojne. I to zazwyczaj działało na wielu młodych ludzi, którym spieszno było do zmian świata na lepszy, nim się zestarzeją.

Tuliszkowski, jak zwykle, gruntownie wziął się do tej pracy. On i jego grupa zaczęli odbywać długie marsze i ćwiczenia fizyczne, odrzucili alkohol, pijąc tylko wodę i mleko. Tym samym w Welecji zaistniała frakcja, na którą niezbyt przychylnie patrzono. Z jednej strony wysokie wymagania, jakie sobie postawili, czyniły ich jakby lepszymi od reszty. Z drugiej zaangażowanie, z jakim przystąpili do własnych działań, dalece przekroczyło zaangażowane reszty towarzyszy z Welecji (studenci gdzieś chcieli i musieli należeć, bo nieracjonalnym było pozostawać poza korporacjami, ale angażować się, to już inna sprawa), co część idei socjalistycznych wpuszczało jednym uchem, a drugim wypuszczało, podobnie jak mrzonki o powstaniu zbrojnym.

I byłoby to może i do przyjęcia, gdyby nie wyraźny rys narodowy, jaki nadał swej grupie Tuliszkowski: to źle działało na tych, co upatrywali receptę na wszelkie zło w socjalizmie importowanym z dzieł niemiecko- i rosyjskojęzycznych. W nich o Polsce nie było nic, wszak mistrzowie socjalizmu nie przewidywali dla niej miejsca. W ślad za mistrzami szli pilni uczniowie. I mieli już ustalone porządki w głowach, póki ze swoimi zakłóceniami nie wkroczył Tuliszkowski. Musieli go sobie jakoś zracjonalizować. Zrobili to takimi słowami: „stary szlachecki romantyk”²³. Jako że pił mleko, został przezwany, jak każdy mlekopijca, „cyckiem”²⁴. Trzeba jednak wiedzieć, że wszystkie te uwagi nawet najwięksi imprezowicze i najbardziej bojowi socjaliści podawali w trybie koleżeńskim, gdyż kolega Józek był co prawda dusza człowiek, ale cokolwiek porywczy, a poza tym wysoki, wysportowany i silny, i mógł chcieć dochodzić natychmiast swoich praw, nie czekając na sekundantów. Zresztą nawet

²³ W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski...*, s. 17.

²⁴ J. Tuliszkowski, *Yacht „Trio”...*, s. 23.

gromadne niezadowolenie niewiele by dało, bo miał Tuliszkowski takich samych jak on kolegów „cycków” co najmniej trzech, równie silnych i wysportowanych. Poza tym „stary szlachecki romantyk” miał też wybitne dwa walory towarzyskie. Pierwszy w postaci sporej grupy takich samych, jak on pasjonatów sportu. Drugim był przedmiot materialny, mianowicie łódź z żaglem. Ta łódź przeważała nad wszelkimi wrażeniami i ideami, nawet socjalistyczną. Tym bardziej, że sprawa socjalistycznego zaangażowania zakończyła się w sposób niespodziewany dla zainteresowanych, a przecież bardzo łatwy do przewidzenia. W 1892 r. kolejna warszawska, socjalistyczna akcja zmiany świata na lepszy nie powiodła się. Ignacy Mościcki, już absolwent uczelni, w którym Tuliszkowski proroczo upatrywał przyszłego prezydenta Polski, musiał uciekać za granicę, a z nim kilku co bardziej zaangażowanych kolegów i łączników „Polentechnikum” Ryga ze źródłami wiedzy rewolucyjnej. Skończył się ideowy wpływ na studentów ryskich, a ci zajęli się innym hobby, nieco bardziej bezpiecznym politycznie: żeglarstwem.

Żeglarstwo w tym środowisku nie było uprawiane wyłącznie dla przyjemności. Sam zainteresowany nie mówił wprost, że niemieckie korporacje miały własne środki żeglugi w postaciach pełnomorskich jachtów. Zatem nie mówił też, jak Niemcom tego Polacy zazdrościli, zwłaszcza jako narzędzia życia towarzyskiego. Co to, to nie! Chodziło, oczywiście i przede wszystkim, o niepodległość Polski. W tym celu grupa „cycków” podjęła odpowiednie kroki.

Doszlśmy stopniowo do wniosku, że, pomimo ścisłej konspiracji, niewiele się da w kraju uczynić, że jedynie teren wolny od wrażych okupantów mógłby się nadawać do wojennych przygotowań. Zaświtała idea przyszłych kolonji pod protektoratem narazie któregośkolwiek państwa, wrogo odnoszącego się do Moskwy... „Wyćwiczona tam na swobodzie dzielna armja, wspomagana potężną flotą, przewieziona, roiliśmy w zapale, do kraju w godzinie wyzwolenia, zasilona oddziałami powstańcami, dopiero będzie mogła zaważyć na szali zwycięstwa...”

Rzucone zostało hasło: „Tworzyć zaczątki floty i przygotowywać zastępy marynarzy, hartować ducha i ciało!” Wstąpiliśmy więc wszyscy do „Turn-Verein’u” (Tow. gimnastyczne) i do straży pożarnej w Rydze; nabyliśmy dużą starą łódź rybacką z żaglem. W święta i chwilach wolnych zaprawialiśmy się w żeglowaniu na rzece, jeziorze, a nawet na morzu. Jednak ciężka, niezgrabna łódź nie zadawała nam i marzyliśmy ciągle... o yachcie, co się zrealizowało niebawem²⁵.

Tymczasem, choć łódź była ciężka, do pływania nią garnęło się sporo ludzi, prawdopodobnie znacznie więcej, niż do socjalistycznych zajęć z robotnikami i na ich rzecz.

Dzięki częstym morskim wycieczkom yachtem po burzliwym nieraz morzu, dzięki kolejnym zmianom załogi i zapraszaniu coraz to nowych kolegów, żeglować się nauczył spory zastęp, liczący około 20-stu studentów²⁶.

²⁵ Tamże, s. 6.

²⁶ Tamże.

Wkrótce los uśmiechnął się do polskich żeglarzy. Okazało się, że można nabyć całkiem tanio prawdziwy, pełnomorski jacht w dobrym stanie i za okazjną cenę. Studenci, nie tacy znów biedni (ten dostał coś od rodziców, ów do wuja napisał, oszczędności własne wyskrobali z korepetycji) i nabyli prawdziwy jacht, którym można było imponować otoczeniu w pełnej skali. I imponowali. Biedny socjalizm całkiem poszedł w odstawkę. Nauka, prawdę mówiąc, również.

Zapał morski ogarnął nas: człek, zapominając o nauce w politechnice, badał tylko codziennie stan nieba, kierunek wiatru i marzył o dobrej pogodzie, Dwa, trzy razy na tydzień odbywaliśmy krótsze i dłuższe wycieczki, a kosztowały one dwa lata przerwy w studiach na politechnice²⁷!

Co i jak dalej się działo, warto przeczytać w niewielkiej książce autorstwa Tuliszkowskiego, wydanej nakładem Stowarzyszenia Filistrów Korporacji Weleji w 1935 roku. Koniec końców jacht uległ katastrofie, żeglarze ledwie uszli z życiem. Co oczywiste, nie zdobyli żadnej kolonii, bo też i żeglowanie, jak to bywa najczęściej, było w istocie celem samym w sobie. Jacht, a właściwie wrak, trzeba było sprzedać. Tak skończył się żeglarski bzik raz „wilków”, a raz „psów morskich”, jak o tym pisał żartem po latach Tuliszkowski. Ale napisał też coś takiego.

*Pomimo protestów z mej strony „większością jednego głosu” (a głosowało trzech) zapadła fatalna uchwała: „sprzedać jacht”! Żegnałem ze smutkiem drogę „Trio”, jakby żywą istotę...
... Sic transit gloria navigationis!...*

Intensywny udział I-ej kolumny straży pożarnej ochotniczej, do której należeliśmy, w gaszeniu szeregu groźnych pożarów odwrócił uwagę i w żalu otulił...²⁸.

I takim oto sposobem, po kilkunasu stronach o tematyce ogólnej, przechodzimy wreszcie do spraw strażackich.

Ryska ochotnicza straż ogniowa

Już od paru lat gimnazjalista Tuliszkowski przebywał w towarzystwie strażaków, podążał za nimi do pożarów, pompował (czyli był sikawkowym), związał węże, aż wszystkich oswoił ze swoim widokiem. Polubili go.

Tu natrafiamy na mały problem z datami, gdyż można znaleźć informacje, jakoby wstąpił do Ochotniczej Straży Ogniowej w Rydze równo ze wstąpieniem na studia, tj. w 1889 roku. Sam mówił jednak kilka razy, że służył w niej sześć lat. Zatem skoro skończył studia w 1897 r., to regularną służbę w straży mógł rozpocząć nie wcześniej, niż 1891 r., czyli jeszcze za czasów jachtu „Trio”, wiedziony z jednej strony ekscytującą przygodą, a z drugiej doznając tym samym namiastki służby wojskowej, której tak łaknął on sam i jego koledzy konspiratorzy. Służba ta, początkowo postrzegana jedynie jako surogat prawdziwego wojska, dla Tuliszkowskiego z czasem okazała się wyborem zawodu.

²⁷ Tamże, s. 10.

²⁸ Tamże, s. 44.

Gdy mówi się o niemieckich ochotniczych strażach ogniowych, trzeba wziąć pod uwagę kilka ważnych składników tego pojęcia. Chodzi głównie o to, by nie rozciągać na nie obrazu naszych straży ochotniczych, zwłaszcza współczesnych. Były to bowiem zupełnie inne jednostki organizacyjne, oparte na różnych systemach wartości, z odmiennym podejściem do poczucia obowiązku.

Przed wszystkim straże niemieckie ochotniczość zawierały głównie w nazwie, mającej w gruncie rzeczy podkreślić nie tyle ochoczość, co nieprofesjonalizm. Wiele z tych straży było przymusowymi. Co prawda najczęściej opierano je na dobrowolnej służbie, ale kto się na nią zgodził bądź został do niej wyznaczony częściowo tracił swobodę osobistą. Można powiedzieć, że na tym polegał powszechny obowiązek czynnej ochrony przeciwpożarowej w krajach niemieckich. Coś takiego było możliwe, gdyż przynależność do straży pożarnej nobilitowała w danej społeczności, co przekładało się na konkretne zyski. Np. żaden ofiarny strażak nie miał problemów z pracą. Za to opornych zachęcano do wstąpienia przy pomocy szykan policyjnych, gdyż straże pożarne w niemieckich krajach podlegały policji porządkowej, która na tę rzecz miała władzę policji ogniowej.

Istniała też w tych strażach, zwłaszcza miejskich, częściowa odpłatność za służbę, np. funkcji dowódców czy stangretów. Oczywiście wiele zależało od składu osobowego, ale Niemcy potrafili wyciągać wnioski organizacyjne i mieli założone zrzeszenia strażackie, tworzące struktury pionowe zarządzania jakością sprzętowo-usługową. Do tych zrzeszeń poszczególne straże pożarne należały nie dla chwały władz korporacyjnych, tylko by się uczyć jak lepiej działać. Bywały różnice regionalne, ale kilka zagadnień sprawdzało się zawsze i wszędzie. Zatem w niemieckich strażach zawsze stawiano na dyscyplinę i wyćwiczenie. I tego właśnie doznał nasz strażak.

Tuliszkowski, wspominał, że jako szeregowiec dostał się od razu pod komendę starszego kominiarza (którzy służyli w strażach ze względu na umiejętność chodzenia po dachach, przy gaszeniu pożarów kominowych i dachowych), byłego podoficera armii pruskiej, który surowo przestrzegał obowiązującej dyscypliny. Pewnego razu, za 5-minutowe spóźnienie się na ćwiczenia, strażak Tuliszkowski musiał stać dwie godziny w postawie na baczność. Płacił też kilkakrotnie kary pieniężne za drobne uchybienia regulaminowe²⁹.

Nie można powiedzieć, że tylko Polacy podlegali karom regulaminowym. Warto sobie przy tym uzmysłwić, że nie trzeba by ustanawiać systemu kar, gdyby wszyscy Niemcy byli aż tak zdyscyplinowani, jak to się przyjęło uważać. Wspomniane kary nie były jakąś wielką ujmą dla Tuliszkowskiego, dla jego przełożonych również nie.

Działalność jego w straży pożarnej w Rydze została bardzo wysoko oceniona przez przełożonych, a to z racji wyjątkowej odwagi i bohaterstwa, które prezentował przy gaszeniu pożarów. Za uratowanie życia swojemu komendantowi (I kolumny) podczas pożaru tartaku w Rothe Düne, pod Rygą, przez rzucenie się pojedynczo

²⁹ W. Jabłonowski, Józef Tuliszkowski..., s. 22.

w płonącą przestrzeń i przykrycie go własnym ciałem, gdy ten wpadł tam po zapaleniu się podłogi, otrzymał publiczną pochwałę przed frontem wszystkich oddziałów ryskiej straży pożarnej, podczas dorocznej rewii. Z kolei za uratowanie dwojga dzieci, z narażeniem własnego życia, podczas pożaru domu na Petersburskim Przedmieściu w Rydze – otrzymał medal srebrny na wstędze Włodzimierza, zmieniony w Polsce Odrodzonej na „Krzyż za Ratowanie Ginących”³⁰.

Tuliszkowskiemu trudno było rozstać się z ryską strażą. Jeszcze kilka miesięcy po ukończeniu uczelni służył w jej szeregach. Jak to sam wspomniał po latach, spędził tam jako strażak sześć lat, przechodząc „wszystkie stopnie, z szeregowca do topornika i prądownika włącznie”³¹. Jednak przyszedł i tu czas rozstania, które w jego przypadku przybrało postać kilkuetapową. Oczywiście pierwszym z tych etapów było ukończenie studiów.

W 1897 r., zatem po aż ośmiu (zamiast po czterech) latach studiów, ukończył je jako 30-latek – z wyróżnieniem, jako inżynier mechanik, ze specjalizacją „budowa maszyn”, ze specjalnościami uzupełniającymi budowlaną i pożarniczą.

Gdyby kto myślał, że ówczesny program był łatwiejszy od dzisiejszego, więc studenci mogli się bawić w korporacje, pływanie, biesiadować i dyskutować, to jest w błędzie. Wszystkie nauki: matematyka, fizyka, chemia, osiągnęły już poziom dzisiejszy. Można powiedzieć, że to dzisiejsi studenci mogliby mieć trudniej, bo ładuje im się do głów wiedzę aż nadto teoretyczną. Wówczas bardziej zwracano uwagę na aspekt praktyczny umiejętności. Oznaczało to, że jeśli ktoś uzyskiwał tytuł inżyniera, to oczywiście umiał coś skonstruować.

Brakowało jedynie fizyki kwantowej i jej pochodnych, ale i to miało się zmienić, np. wkład w nią wniosła pewna polska guwernantka, niemogąca studiować w Rydze, bo kobiet nie przyjmowano na politechnikę (długo jeszcze obowiązywała tam doktryna Kinder – Küche – Kirche). Pojechała więc do Paryża, gdzie ukończyła Sorbonę. Tam zajmowała się interesującymi właściwościami niektórych ziem, więc przez okres kilkuletnich badań postarała się o co najmniej dekadę – tak działa promieniowanie przenikliwe. Nazywała się Maria Skłodowska, po mężu Curie.

Tymczasem świeżo upieczony inżynier kilku fakultetów Tuliszkowski dostał ofertę pracy na uczelni jako asystent na Wydziale Budowy Maszyn, ale nie zdecydował się na jej przyjęcie³². Podjął pracę od czerwca 1897 r. jako inżynier na kolei wąskotorowej Parnawa – Wolk, co już było jakąś przeszkodą w działaniu w straży ryskiej. Wcześniej zrobił sobie krótkie wakacje, w trakcie których zwiedzał Inflanty i straże pożarne w: Mitawie, Rewlu, Wenden, Dorpacie i Parnawie. W tzw. międzyczasie nadal brał udział w akcjach straży ryskiej.

³⁰ Tamże, s. 6.

³¹ J. Tuliszkowski, *Wspomnienia*, „Lubelska Gazeta Strażacka” 1932, nr 10, s. 92.

³² S. Pągowski, *Pionier polskiego pożarnictwa i piśmiennictwa pożarniczego*, „Przegląd Pożarniczy” 1981, nr 11, s. 9.

Widać tu w jego życiu jakieś niezdecydowanie, poszukiwanie. W sierpniu 1897 r. rozwiązał umowę z kolejami parnawskimi i zawędrował do Białegostoku, ostatecznie zrywając ze strażą w Rydze. Tam zaangażował się w założenie białostockiej straży pożarnej, ale nie zagrzał za długo miejsca. Tak jak rodzice, udał się na południe, na Ukrainę. Osiadł w Kijowie, a rodzice we własnym domu w Radziwiłłowie Wołyńskim.

Tym samym w życiu Tuliszkowskiego zaczął się nowy okres: prawdziwie inżynierski, a zarazem pożarniczy.

Inżynier (1898–1905)

Jak już wiemy, późno przysłała pełna dojrzałość Tuliszkowskiemu, głównie za sprawą niestandardowo długoletnich nauk. W normalnym trybie tak zdolny człowiek powinien skończyć gimnazjum i dostać świadectwo maturalne w wieku 18 lat, a następnie jako 23-latek zostać inżynierem – czyli o rok później, niż Tuliszkowski studia zaczął. Pytanie brzmi, czy 23-letni inżynier jest dojrzały do samodzielnych decyzji...?

Trzydzieści lat to nadal młodość, a jednak już nie młodzieńczość. Przedłużył sobie Tuliszkowski tę beztroskę młodzieńczą do granic, a przecież wykorzystał czas na uczynienie wykształcenia gruntowniejszym. Okazało się przy tym, że służba w straży pożarnej jest czymś więcej niż tylko młodzieńczą pasją: uczynił ją elementem zarówno własnego wykształcenia, jak i celem życiowym. Co prawda inżynierów było wówczas niewielu, a przecież znalazłoby się w razie potrzeby zarówno inżyniera mechanika, jak i inżyniera budowlanego. Takiego, który skutecznie łączyłby obydwie funkcje – już nie. A cóż dopiero takiego, który przy okazji ma specjalność pożarniczą, podpartą sześcioletnią praktyką w gaszeniu pożarów, a więc ich gruntownej znajomości, próżno było szukać.

Tym samym Tuliszkowski wbił się w zawodową niszę, praktycznie dziewiczą.

Zanim jednak zobaczymy, jak powiodło się mu na niwie zawodowej, przyjrzyjmy się ofercie politycznej dla ówczesnych młodych Polaków. Ofercie, oczywiście, patriotycznej. Innych rozpatrywać nie będziemy – tę od Rosji już znamy.

Polskie idee niepodległościowe w zaborze rosyjskim na przełomie wieków XIX i XX

Porównajmy daty urodzenia kilku ludzi – dwóch strażaków: Józefa Tuliszkowskiego (1867), Bolesława Chomicza (1878) oraz trzech polityków: Romana Dmowskiego (1864), Józefa Piłsudskiego (1867), Władysława Grabskiego (1874). Strażacy to założyciele nowoczesnej ochrony przeciwpożarowej. Politycy to ludzie, którzy byli założycielami odrodzenia Polski. Pomijamy tu inne postaci przyszłej sceny politycznej – Wincentego Witosa, Ignacego Jana Paderewskiego czy Wojciecha Korfante, gdyż albo pochodzili z innych zaborów (Witos i Korfanti), albo rzadko przebywali w kraju (Paderewski).

Rówieśnicy: pięciu Polaków z Kongresówki

Można powiedzieć, że tych pięciu tworzyło grupę rówieśniczą. Zatem jako rówieśnicy inaczej postrzegali siebie nawzajem, niż my na nich patrzymy z perspektywy czasu. Niekoniecznie czuli się gorsi, nie mogli uwzględniać zasług, których jeszcze nie zdążyli położyć, znali swoje zalety i przywary. I nie mieli możliwości spojrzenia na słowa i czyny z dystansu.

Wszyscy pochodzili ze szlachty, legitymującej się herbami, niestety, podupadłej (w tym jeden z podupadłej aż tak, że odebrano jej szlachectwo – w istocie był synem nie szlacheccą, tylko robotnika). Wszystkich łączyło wykształcenie wyższe bądź próby jego zdobycia. Różnych zawodów się wyuczili, różne wykonywali. Tuliszkowski: strażak. Chomicz: prawnik, ubezpieczyciel, bankier. Dmowski: polityk. Piłsudski: polityk, żołnierz „polityczny”. Grabski: rolnik wielkoobszarowy, ekonomista, spółdzielca.

Powtórzmy: byli niemal rówieśnikami, patrzyli na siebie jak rówieśnicy. Kategorie lepszości i gorszości miały więc u nich zupełnie inne podłoże, niż gdyby pochodzili z różnych pokoleń. Każdy miał wybitne osiągnięcia własne, a osiągnąć kolegów czy konkurencji (traktowali się tak i tak) nie uważał za lepsze. Przede wszystkim śmiało można powiedzieć, że byli dziećmi tej samej epoki.

Jak widać, tylko dwaj z nich zarabiali na życie poprzez politykę. Oni właśnie wywarli największy wpływ na sobie współczesnych, zarówno na początku XX wieku, jak i w ciągu następnego pokolenia. Tak się przy tym złożyło, że stanęli na różnych biegunach politycznych, a każdy pociągnął za sobą setki tysięcy zwolenników. Z nich weźmy cytaty charakterystyczne dla przełomów wieków, gdy byli już ludźmi dojrzałymi na sposób starożytnych Rzymian z czasów republiki, gdy umieli już pisać mądrze i sprytnie, używając najbardziej celnej argumentacji. Ich wypowiedzi powiedzą nam więcej o tamtych czasach, niż opracowania historyczne, z których każde (niniejszego nie wyłączając) jest zabarwione subiektywizmem.

Dwóch Polaków mających rządy dusz

Wróćmy na chwilę do starożytnego republikańskiego Rzymu.

Jeśli ktoś chciał tam pełnić najwyższe funkcje państwowe, tj. zostać konsulem, musiał dojść do tego w ustalonym zwyczajem politycznym trybie. Trybem tym była wypróbowana ścieżka, tzw. *cursus honorum*, gdzie start i meta były ściśle określone, podobnie jak etapy pośrednie. Marne miał wówczas szanse ktoś, kto chciał z tej ścieżki zboczyć lub pominąć jakiś etap. I nawet jeśli nie miał ambicji najwyższych, szczeble niższe, wiodące do skromnego celu, musiał z powodzeniem zaliczyć.

Mianowicie bierne prawo wyborcze na pierwsze, najniższe urzędy miejskie (edylów), dające istotną władzę administracyjną nad innymi ludźmi, zyskiwało się w starożytnym Rzymie z wiekiem 30 lat, nie wcześniej. Bo przecież czas młodości nie kojarzy się z rozsądkiem i doświadczeniem – pierwsze to cecha raczej wrodzona, a drugiego nabywa się po odejściu od młodzieńczych mrzonek. U Rzymian był to wymiar całkiem praktyczny politycznie. Mianowicie przed 30-tką, by móc potem kandydować w wyborach, należało wziąć udział w wojnach w charakterze trybuna wojskowego, gdzie przechodziło się próbę nie tyle waleczności nawet, co dyscypliny, charakteru i ... umiejętności prowadzenia spraw administracyjnych. Bo armia rzymska to była przede wszystkim rozbudowana administracja na terytorium zajętym, z zastosowaniem prawa rzymskiego i jakiegoś miejscowego, dalej aprowizacja,

sprawozdawczość, rozkazodawstwo i – chwilami – dyplomacja. Zdarzały się i działania wojenne, gdy wódz chciał chwały triumfalnej (nierzadkie przypadki, warunek – 5 tys. poległych przeciwników) bądź wróg poczuł się silnym na tyle, by uderzyć. Wtedy młodzieniec jako trybun wojskowy uczył się też wydawania rozkazów i dowodzenia w czasie gorącym, zmiennym i nieprzewidywalnym, gdzie przestrzeni na zastanowienie nie było. I jeszcze jedno – taki młodzieniec miał możliwość pokazania się z dobrej strony wodzowi, czyli politykowi, który pociągnie go za sobą jako przydatnego, nietracącego głowy w chwilach trudnych, a na co dzień niezmiernie użytecznego w sprawach żmudnych.

Zarówno Józef Piłsudski, jak i Roman Dmowski na przełomie wieków mieli już za sobą swoiste trybunaty wojskowe, spędzone nie w armiach, ale na polach walki politycznej. W walce z tym samym wrogiem każdy zyskał nieco inne doświadczenia, choć podobne. Nauczył się innej taktyki i inną potem stosował. Bo też zupełnie inne wnioski ci dwaj ludzie powyciągali.

Chorowity Dmowski jakoś przetrwał najwcześniejsze dzieciństwo, co kilkorgu jego rodzeństwa się nie udało. Rodzinie zaczęło się lepiej powodzić – ojciec z robotnika brukarskiego stał się właścicielem firmy, a Warszawa mocno się brukowała, można więc było edukować dzieci. W wieku lat 11 Roman rozpoczął naukę gimnazjalną, zakończył ją maturą w 1886 r. już jako młodzieniec 22-letni, po drodze z trzykrotnym repetowaniem klas. Raczej nie przez nieuctwo – mając lat 17 założył „Strażnicę”, tj. organizację uczniowską, gdzie potajemnie uczono się języka polskiego, historii, geografii. Za taką działalność groziło wiele, np. więzienie, a po odsiadce dostawano wilczy bilet na dalszą naukę. Po maturze wstąpił na Wydział fizyczno-matematyczny Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie już bez obsunięcia terminów uzyskał tytuł kandydata nauk przyrodniczych. Napisał i obronił pracę pt. *Przyczynek do morfologii wymoczków włoskowatych*. To był ostatni raz, gdy zajmował się tego rodzaju pantofelkami.

W 1888 r. Dmowski wszedł do patriotycznej organizacji młodzieżowej „Zet”, w której natychmiast awansował. Na koniec 1889 r. wstąpił do Ligi Polskiej. Była to organizacja patriotyczna ponad zaborami, o zabarwieniu mocno narodowym i konserwatywnym. Powstała poniekąd jako reakcja na rosnący w siłę ruch socjalistyczny, gdzie sprawy narodowe schodziły na plan dalszy, a na plan bliższy coraz bardziej wysuwała się walka klasowa. Zaczął pisać pierwsze artykuły, co oznaczało grę z cenzurą. Półtora roku studiował w Paryżu, po czym wrócił do Warszawy. W kwietniu 1893 r. ten 29-latek miał już grupę zwolenników na tyle silną, że Ligę Polską przekształcił na Ligę Narodową.

Jeszcze w tym samym 1893 r. Dmowski stracił wolność za nazbyt aktywny udział w organizacji masowych obchodów setnej rocznicy Konstytucji 3 Maja. Trafił do więzienia na Cytadeli Warszawskiej, a potem na zesłanie. Nie na Sybir, bo różne były rodzaje zesłań, zależne od winy. Wylądował w Mitawie, skąd w lutym 1895 r. uciekł

i osiadł w najłagodniejszym z zaborów, we Lwowie. W wieku 31 lat objął redakcję dwutygodnika „Przegląd Wszechpolski”. Do Warszawy mógł przybyć tylko pod przybranym imieniem i nazwiskiem i często przybywał. Bardzo energicznie kierował Ligą Narodową, jeździł po Europie, spotykał się z działaczami niepodległościowymi z innych krajów podporządkowanych Rosji i uzgadniał z nimi taktyki działania na wypadek wielkich wydarzeń. W ten sposób już na początku XX w. zorientował się, że taka podległa Rosji Finlandia czy niepodległa Szwecja życzą sobie udanego powstania zbrojnego w Polsce, same jednak mają zamiar czekać, aż ono się powiedzie, by w chwili pomyślnej chwycić za broń. Uznał, że Polacy muszą stosować podobną taktykę, by nie walczyć nadaremnie i nie narażać dorobku materialnego kraju na ponowne, bezowocne zniszczenie, podczas gdy inni z tego skorzystają. Ta lekcja na jego *cursus honorum* nie jest szczególnie eksponowana, ale okazała się jedną z najważniejszych.

Józef Piłsudski miał wyjątkowo szczęśliwe dzieciństwo. Bardzo bogatej rodzinie udało się wyjść bez większego szwanku z represji popowstaniowych, mimo że we wspomnieniach rodzinnych udział w tym zrywie miał być znaczny. Piłsudskim nie skonfiskowano majątku, będącego posagiem Marii z Billewiczów Piłsudskiej (12 tys. ha), nikt nie trafił też na Syberię. Zatem już po zakończeniu walk ojciec Józefa i gromadki dzieci mógł przeprowadzić eksperyment wielkoskalowy, mianowicie unowocześnić całe gospodarstwo. Po dekadzie skończyło się to strasznym bankructwem, bo jak wszystko na raz unowocześniono, tak wszystko na raz padło. Co samo w sobie zasługuje na osobne opracowanie krytyczne, bo naprawdę trudno uwierzyć, że młyny, gorzelnie i tartaki nie przynosiły dochodu, i że wszystkiemu winien był jeden pożar.

Nie miał ojciec Piłsudski głowy do dochodowej gospodarki (syn Józef podobnie). Rodzina trafiła więc do miasta i zaczęła żyć skromnie. Ale na edukację bardzo zdolnych dzieci wystarczyło, więc chłopcy, uformowani przez domowych guwernerów w naukach humanistycznych oraz przez matkę w patriotyzmie na podłożu romantycznym, w 1877 r. trafili do wileńskiego gimnazjum, gdzie poddano ich intensywnej rusyfikacji. Trzeba tu dodać, że rusyfikacja następowała w całym zaborze, ale na ziemiach litewskich była szczególnie ciężka.

W gimnazjum Bronisław z Józefem założyli kółko kształceniowe o nazwie „Spójnia”, ucząc się po polsku z polskich książek. Nie było tu wpadek i w 1885 r. Piłsudski zdał maturę. Studia podjął aż w Charkowie na Ukrainie. Po pierwszym roku próbował przenieść się bliżej Litwy, do Dorpatu, ale że wcześniej został zatrzymany przez policję w czasie jednej ze studenckich manifestacji antycarskich, podanie odrzucono.

Piłsudscy (starszy Bronisław i młodszy Józef) zaangażowali się w romantyczną działalność, mającą na celu obalenie caratu. W skrócie prawdopodobnie myśleli, jak wszyscy młodzi wywrotowcy, którymi kierowały najwyższe emocje bądź najszczytniejsze idee, że jak zabije się głowę państwa, to państwo powinno upaść, bo stoi przecież na tej

głowie. Jakoś nie potrafili zrozumieć, że państwo to system skomplikowanej maszyny i pajęczyna zarazem, że opróżnione stanowisko chętnie zajmą następni, których trzeba będzie zabijać. Zatem nie dość, że ulegli socjalizmowi, to na dokładkę postanowili pomóc obalić carat siłą. W dodatku natychmiast.

W dniu 22 marca 1887 r. uniwersytecki student drugiego roku Józef Piłsudski (lat 20) został aresztowany pod zarzutem udziału w spisku na życie cara. Więzienie miejscowe było zbyt mało prestiżowe dla tego rodzaju przestępców, więc szybko znalazł się w Twierdzy Pietropawłowskiej, w której pobyt nobilitował w oczach rewolucjonistów, pospolitym tu epizodem był areszt śledczy w Petersburgu. Nie udowodniono mu większej winy, więc jako świadek, a nie sprawca, dostał w sprawie wyrok 5 lat zsyłki na Syberię.

Już prawie na miejscu, w Irkucku, w miejscowym więzieniu w sam raz natrafił na bunt więźniów, więc likwidatorzy wybili mu dwa przednie zęby, walnie tym samym przyczyniając się do ukształtowania charakterystycznego wizerunku przyszłego Marszałka: mianowicie od tego czasu zaczął nosić bujne wąsy.

Bardziej obwiniony brat Bronisław trafił jeszcze dalej, na Sachalin, gdzie został wybitnym historykiem antropologii i ogólnie nawiązał kontakty z kulturą japońską, budując solidny grunt do późniejszych kontaktów Józefa z japońskim wywiadem wojskowym.

Piłsudski odbył cały okres zsyłki, po czym wrócił do Wilna w 1892 roku. Natychmiast zajął się działalnością konspiracyjną i publicystyczną świeżo powstałej (1892) Polskiej Partii Socjalistycznej, która robiła wiele czynności utrudniających życie administracji rosyjskiej, jednak ustroju nie była w stanie zmienić. Czy naprawdę wierzyli, że każdy następny bój będzie ostatnim (dla niektórych takim się okazywał)? Trudno powiedzieć, jedno było jednak pewne. Za sprawą zamachów, napadów na banki i strajków, zaborcza administracja Królestwa Kongresowego trwała w nieustannej czynności kontrrewolucyjnej, więc wszelkie inicjatywy obywatelskie skazane były na porażkę (np. zakładanie straży ogniowych), a rusyfikacja nie folgowała nawet na trochę.

W PPS szybko piął się Piłsudski po szczeblach kariery partyjnej i zasadniczo był przy okazji współpracownikiem kilku konspiracyjnych pism (w tym „Przedświtu” i „Robotnika”). Wiele w związku z tym podróżował, w tym za granicę, np. w 1896 r. do Anglii na kongres Międzynarodówki Socjalistycznej, gdzie próbował przeforsować niepodległość Polski jako cel działania socjalizmu międzynarodowego. Wniosek ten utraciła m.in. Róża Luksemburg, o której trudno powiedzieć, że była jego rodaczką.

Potem Józef Piłsudski zawarł znajomość z Romanem Dmowskim. Dwóch ludzi, z których każdy na swój sposób kilkanaście lat później przywrócił Polskę, ubiegało się o rękę samej kobiety. „Piękna Pani”, bo taki pseudonim nosiła Maria z Koplewskich Juskiewiczowa, wybrała młodszego od niej o 3 lata Józefa, a nie rówieśnika Romana.

Za wyborem mógł stać jeszcze jeden walor Piłsudskiego: też była socjalistką, a Roman wręcz przeciwnie. Wybite zęby Józefa nie były przeszkodą, mogły zresztą uchodzić za zaszczytną bliznę. I jak to polscy socjaliści tamtych lat, a przyszli rewolucjoniści, sakramentalne „tak” powiedzieli sobie w świątyni, w roku pańskim 1899. I to w protestanckiej, bo Piłsudski tak mocno kochał, że zmienił wyznanie z rzymskokatolickiego na luterzańskie! Jak widać nie dla wszystkich socjalistów tamtych czasów sprawy wyznania były obojętne.

Roman głęboko przeżył tę porażkę i nigdy więcej nie starał się o rękę żadnej pięknej pani. Co nie znaczy, że żadną się nie interesował, o nie! Ale nie małżeńsko.

Piłsudscy nie uniknęli aresztowania. Józef, oskarżony m.in. o zabójstwo dwóch agentów, trafił do Cytadeli Warszawskiej. Zdołał uciec z więzienia (ze szpitala) i od tamtej chwili musiał pędzić żywot tułaczy, podobnie jak Dmowski. I rzadko mógł z żoną przebywać razem, co na związek wpłynęło w ten sposób, że może nie stracił na trwałości, ale na spójności wiele.

Tak oto doszliśmy do przedednia Rewolucji Lutowej 1905 r. w Imperium Rosyjskim. Jej przyjrzymy się w stosownym momencie. Tymczasem poznajmy próbki tego, czym uwodzili tłumy obaj konkurenci polityczni i matrymonialni.

Cytaty bierzemy z nich również z tego powodu, że zarówno Józef Piłsudski, jak i Roman Dmowski byli bardzo uzdolnionymi pisarzami, posługującymi się nie tylko niesłychanie komunikatywnym językiem, ale też zdumiewająco czystą logiką. A że poglądy mieli skrajnie różne – również na odzyskanie niepodległości – czytelnik dostaje szansę, by zobaczyć może nie komplet ówczesnych idei, ale ich przeważającą część i poczuć to, co czuli ówcześni, czytając te same teksty.

Jeszcze jeden czynnik skłonił autora, by przytoczyć tu wypowiedzi zarówno Dmowskiego, jak i Piłsudskiego. Mianowicie obaj okazali się skutecznymi w działaniu patriotami, więc jak któremu z nich jaki Polak wierzył, dużego błędu życiowego nie popełnił.

Musimy jednak wziąć pod uwagę jeden aspekt. Aż do 1905 r. włącznie Józef Piłsudski był bardziej rewolucjonistą niż wyzwolicielem Polski, co w tekstach będzie widać.

Roman Dmowski

Przyjęło się patrzeć na tę postać przez pryzmat naszych czasów, czyli przez wieloletnią propagandę komunizmu, doświadczenie Holokaustu będącego efektem skrajnego rasizmu Niemców oraz całkiem długą propagandę sanacji, czyli piłsudczykowską. W związku z tym zarzuca się Dmowskiemu poglądy, których nie wyznawał, wypowiedzenie słów, których nie wypowiedział i czyni odpowiedzialnym za czyny, których nie popełnił ani do nich nie namawiał.

Kompletnie pomija się bolesne doświadczenia, jakie z mniejszościami narodowymi mieli Polacy bijący się o niepodległość tudzież nastawienie owych mniejszości do kraju, w jakim żyli od pokoleń, a przyzwyczaili się, że ten kraj nie istnieje.

Mniejszości narodowe miały przecież prawa wyborcze i swoje reprezentacje w Sejmie II Rzeczypospolitej. Ich przedstawiciele głosowali, jak głosowali, co tajne dla nikogo nie było i sympatii im nie przysparzało u żadnych dosłownie u Polaków, również tych z obozu pilsudczykowski, chyba że głosowali przeciw Narodowej Demokracji – wtedy cel uświęcał środki. I co najważniejsze – mniejszości dysponowały własnymi bojówkami. Zatem czynienie z nich ofiar Dmowskiego bądź czynienie Narodowej Demokracji odpowiedzialną za politykę mniejszościową rządów sanacyjnych, to grube nadużycie historyczne. Rządy sanacyjne po 1926 r. prowadziły samodzielną politykę wobec mniejszości narodowych, w tym wyjątkowo niekonsekwentną wobec mniejszości ukraińskiej.

Zobaczmy zatem, co Dmowski stworzył na przełomie wieków, co tak uderzyło Polaków, że najmożliwiej z nich i najbardziej utytułowani, nawet książęta, ordynaci i biskupi, powierzali rząd nad sobą człowiekowi bez majątku i koneksji, a też dosyć obojętnemu pod względem praktyk religijnych. Wedle tradycji był bowiem Dmowski synem robotnika pochodzenia szlacheckiego, a nie szlachcica. Co nie przeszkadzało mu pisać tak:

Jestem Polakiem – więc całą rozległą stroną swego ducha żyję życiem Polski, jej uczuciami i myślami, jej potrzebami, dążeniami i aspiracjami. Im więcej nim jestem, tym mniej z jej życia jest mi obce i tym silniej chcę, żeby to, co w mym przekonaniu uważam za najwyższy wyraz życia stało się własnością całego narodu.

Jestem Polakiem – więc mam obowiązki polskie: są one tym większe i tym silniej się do nich poczuwam, im wyższy przedstawiam typ człowieka.

Bo im szerszą stroną mego ducha żyję życiem zbiorowym narodu, tym jest mi ono droższe, tym większą ma ono dla mnie cenę i tym silniejszą czuję potrzebę dbania o jego całość i rozwój. Z drugiej strony, im wyższy jest stopień mego rozwoju moralnego, tym więcej nakazuje mi w tym względzie sama miłość własna. Na niższych szczeblach moralności postępowanie człowieka względem bliźnich, o ile nie wypływa z życzliwości dla nich, uzależnia się wyłącznie od obawy odwetu, kary, czy to w życiu doczesnym, czy w zagrobowym. W miarę wszakże cywilizacyjnego postępu coraz wyższe postacie miłości własnej kierują naszą moralnością. Człowiek cywilizowany nie postępuje nikczemnie dlatego przede wszystkim, że zanadto siebie samego szanuje. (...) Poczucie swej godności, które zabrania człowiekowi kraść lub żebrać, nie pozwala mu również korzystać z dóbr narodowych, nie dokładając nic do nich od siebie, nie pracując nad ich pomnożeniem i nie biorąc udziału w ich obronie¹.

Proszę bardzo – bez wielkich słów godnych wiecu dowiadujemy się, na czym polega patriotyzm i służba społeczeństwu. Ale też dowiadujemy się, że walka o byt narodowy, czy jak inni by chcieli nazwać – państwowy, nigdy nie była, nie jest i nie będzie szlachetną. Że niczego nie zyska się na mocy samych tylko praw moralnych. Potrzeba też siły i zdecydowania, by jej użyć. Zważmy przy tym, że słowa te napisano,

¹ R. Dmowski, *Myśli nowoczesnego Polaka*, w: *Cyfrowa Biblioteka Myśli Narodowej*, s. 17, [dostęp: wrzesień 2023].

zanim Wielka Wojna pochłonęła całe pokolenia młodzieży, gdy jednym rozkazem skazywano na śmierć kilkadziesiąt tysięcy podwładnych, a kilkaset tysięcy przyprawiano o trwale kalectwo. Gdy wyginęły całe roczniki młodych mężczyzn.

Historia coraz wyraźniej udowadnia, że np. energiczna bezwzględna polityka Prus, posługująca się fałszem i wiarołomstwem, nie cofająca się przed najbrutalniejszym gwałtem, że polityka ta dała potęgę istotną Prusom i stała się pomimo wszystko źródłem odrodzenia Niemiec; że w dobie upadku ducha obywatelskiego w Niemczech przed stu laty, w dobie upodlenia, mogącego tylko budzić pogardę dla imienia niemieckiego, jedne Prusy, te właśnie Prusy, na gwałcie, na naszej krzywdzie zbudowane, składały dowody jakiego takiego patriotyzmu, zrozumienia interesów niemieckich, a nawet niejakiego poczucia narodowej godności; że potem te Prusy rozsądną i konsekwentną polityką skupiały dookoła siebie rozbite cząsteczki narodu niemieckiego, że one odbudowały w końcu z tych cząsteczek nowe cesarstwo niemieckie, państwo potężne, oparte na dobrych ustawach, w którego ramach naród niemiecki znalazł znakomite warunki szybkiego, gospodarczego i cywilizacyjnego postępu, stopniowo wysuwając się znów na przodujące w świecie cywilizowanym stanowisko. To świadectwo historii, że wszelka zdobycz, bez względu na to, jaką drogą osiągnięta, może stać się podstawą pomyślności narodu i jego postępu (nie względ tedy na dobro narodu, ale tylko czysty ludzki wstręt do pewnych środków może nas powstrzymywać od używania ich w narodowej walce) (...)².

Czy znalazłby się ktoś, kto zaprzeczyłby tej prawdzie historycznej...? A przecież dalej Dmowski pisał w tym samym akapicie, że owa bezwzględność Prus będzie kiedyś zgubą dla Niemiec, które zatraciły swoją kulturę, co omal nie ziściło się jako wynik II wojny światowej, kiedy Niemcy przekroczyli wszelkie granice pruskiej bezwzględności. Nie sposób też nie zgodzić się z takim oto zdaniem:

Codziennie doświadczenie nas uczy, że na tym świecie coraz mniej jest miejsca dla słabych i bezbronnych, że coraz mniej uwagi poświęca się tym, którzy biernie, z uległością znoszą krzywdy, ale to nam nie przeszkadza podnosić swej słabości fizycznej i moralnej do godności cnoty i z jej stanowiska ferować wyroków o postępowaniu innych³.

Można tu jednak zapytać: a co w takim razie z powstaniem niepodległościowymi? Wszak nie podnoszono wówczas słabości jako cnoty! Brano broń w ręce i walczono. Bardziej tu jednak chodzi o cierpiętniczość, wziętą opacznie z kazań, gdzie ten drugi policzek kazano nadstawiać. Nie należał Dmowski do ludzi, którzy uważali, że trzeba nadstawiać drugi policzek, zwłaszcza gdy przystąpiło się do walki z silniejszym. Nadstawienie wtedy policzka to żaden spryt, żadne wykazanie wyższości moralnej, żaden sygnał do pokoju, tylko głupota. Wiele tu wyjaśniają następujące zdania.

² Tamże, s. 21–22.

³ Tamże, s. 22.

Mysł nasza we współczesnych pokoleniach ma pewną szczególną właściwość. Znamienne rysy umysłu polskiego – jasność, trzeźwość, realizm, które tak wybitnie występują u pisarzy naszych we wszystkich dobach dziejowych, zupełnie nie ujawniają się dziś w naszym sposobie traktowania najdonioślejszych zagadnień bytu narodowego. Sprawy narodowe są przedmiotem, wobec którego przeciętny wykształcony Polak przestaje być człowiekiem realnym, dzisiejszym, nowoczesnym.

W naszej ojczyźnie ludzie, którzy w sprawach techniki, ekonomii, nawet często zagranicznej polityki trzymają się najświeższych wyników ludzkiego doświadczenia, gdy przechodzą na stół sprawy narodowe polskie, kwestie naszej polityki narodowej, zaczynają tak rozumować, jakby dla nich nie istniała druga połowa dziewiętnastego wieku. O Rosji, Niemczech, Anglii, Francji umieją jeszcze myśleć, biorąc choć w części w rachubę to, co te kraje przez ostatnie pół stulecia przeżyły, przechodząc zaś do Polski, tak rozumują, jakby się razem z nią po półwiekowym śnie obudzili. Stąd wytwarza się dla Polski jakieś wyjątkowe stanowisko: innym narodom wolno mieć najbrudniejsze interesy, dążyć do ekspansji, uważa się za zupełnie naturalne, że posiadają silną organizację państwową; dla Polski zaś byłoby to wszystko w ich przekonaniu nieprzyzwoitym, niezgodnym z jej duchem. (...) jak często w tych samych warunkach, w których uważamy za zupełnie naturalne, że ktoś walczy, sobie nakładamy obowiązek umoralniania przeciwnika, pouczenia go o zasadach chrześcijańskich (...)⁴

Polityk mówiący, że w polityce należy być bezwzględnym, bo ma się do czynienia z ludźmi wyłącznie bezwzględnymi, to rzadkość. Również rzadkością jest, że polityk, przemawiając do czytelnika, w żaden sposób nie zamierza mu się przypochlebić.

Jednocześnie, choć z tych cytatów wyziera promocja fałszu, obłudy, brutalizmu jako narzędzi skutecznego uprawiania polityki, jakoś mamy pewność, że ich autor, targując się o coś w naszym imieniu, nie sprzedaje nas. To jeszcze większa rzadkość wśród polityków.

A oto, co napisał o charakterze naszym narodowym:

Im społeczeństwo więcej posunięte jest w rozwoju, im więcej jest społeczeństwem, tym mniej jednostka w stosunku do innych członków społeczeństwa jest, czym chce być, a tym więcej, czym być musi. Nie trzeba się tym martwić, bo ten przymus społeczny prowadzi do poddania szablonowi bardziej powierzchownych sfer życia duchowego jednostki, nie naruszając głębszej istoty ducha, i tam, gdzie jest ona silna, ułatwia tylko rozwój jej indywidualnej odrębności na wyższych szczeblach. Anglicy np. są społeczeństwem, w którym przymus społeczny, a stąd sformalizowanie zewnętrznej strony życia jest najsilniejsze, a jednocześnie nigdzie nie spotykamy tak silnych jak w Anglii indywidualności duchowych.

W społeczeństwie szlacheckim w Polsce wzajemne uzależnienie jednostek było niesłychanie słabe, tak słabe, że nie było to w całym tego słowa znaczeniu społeczeństwem. Dzięki przelaniu całej sfery funkcji społecznych pierwszorzędnej wagi na żywioł obcy [chodzi autorowi

⁴ Tamże, s. 23.

o żydowskie mieszczaństwo – PR], żadnymi węzłami moralnymi z resztą ludności nie związany, to społeczeństwo szlacheckie znakomicie izolowało się od reszty narodu i w nie zwalczanym przez nikogo przywileju wytworzyło sobie warunki egzystencji wprost cieplarnianej, prowadzonej bez współzawodnictwa, bez walki, bez wytężania energii, bez zużytkowania zalet osobistych, bez narażania się na zgubę przez wady i słabości własne. Los przeciętnego szlachcica nie zależał zupełnie od jego zdolności i właściwości charakteru, był on tak obwarowany przywilejem i normą życia, że osobiste przymioty bardzo mało o nim decydowały: mógł on być geniuszem i kretyńcem, mógł być człowiekiem chrystusowej moralności i nikczemnikiem, mógł być wcieleniem energii i klasycznym niedołęgą, w końcu nawet, w okresie upadku mógł być równie dobrze tchórzem jak rycerzem – zawsze mógł według normy szlacheckiej żyć i zachować swe moralne stanowisko wśród braci-szlachty, bo przez to, że był szlachcicem, był członkiem rodziny. (...)

Porównajmy to położenie społeczne z położeniem np. kupca. Ten nie może być głupi, ale nie wolno mu być zbyt wyrafinowanym umysłowo; nie może być nieuczciwym, ale też źle by wyszedł, gdyby był idealistą; nie może być niedołącznym, ale też zgubiłaby go energia rozpierająca konieczne ramy. Słowem, ten musi być czymś, podczas gdy szlachcic polski bardzo mało musiał, a przeważnie był, czym chciał. Chciał siedzieć w księgach – to siedział, chciał gardzić sztuką czytania i pisania – mógł gardzić; chciał być dobroczyńcą swego otoczenia – to był, chciał być jego plagą – mógł także; chciał życie oddać za ojczyznę – to je oddał, chciał ją zdradzać – to zdradzał. W Polsce jak kto chce – mówiło przysłowie.

I tu leży tajemnica naszego indywidualizmu, którym, zdaje się, zanađto się szczycimy, obejmując nim wszelką dowolność, kapryśność, fantazję, która hula, gdy nie znajduje przeszkody. Przecież ten szlachcic polski z ostatnich czasów Rzeczypospolitej i z okresu porozbiorowego, przy całej swej bujnej indywidualności, był dzieckiem, istotą bez charakteru, łamiącą się a raczej gnącą pod ładą naciskiem⁵.

Uwaga – za tak mówiącym człowiekiem poszła nie tylko szlachta. Poszli też ziemianie, najwięksi posiadacze. Wbrew temu, co mogłoby się wydawać, a o czym w ogóle się nie mówi, masowo poszli robotnicy.

Zobowiązani jesteřmy przytoczyć też inne cytaty z Romana Dmowskiego. Dotyczą one kwestii, z których obecnie największe czyni mu się zarzuty. Oto co myślał o socjalizmie, wyznawanym przez Józefa Piłsudskiego:

Założyciele socjalizmu byli to żydzi. Od czasu, jak partie socjalistyczne istnieją, żydzi garną się do nich wszędzie [...] socjalizm jest bardzo życzliwy dla żydów, pisma socjalistyczne nigdzie nie mówią ani słowa o nadużyciach żydowskich, o tym jak żydzi krzywdzą i wyzyskują ludność ubogą, a za to pełno w nich jest bluźnierstw przeciw religii oraz najplugawszych oszczerstw na Kościół i duchowieństwo.

Czytając te pisma myślałby kto, że dola robotnika od razu się poprawi, jak tylko ludzie przestaną wierzyć w Boga i chodzić do kościoła. I nieraz trudno byłoby zrozumieć, o co

⁵ Tamże, s. 32–33.

*chodzi, gdyby człek nie wiedział, że tam za stolikiem w redakcji siedzi jakiś żydziak folgujący swej nienawiści do Kościoła katolickiego i do społeczności chrześcijańskiej*⁶.

Kogo zatem widzimy w postaci Dmowskiego? Na pewno nie romantyka, któremu wielkie słowa, racja moralna i przekonanie o boskiej sprawiedliwości wystarczały, by przystępować do walki zbrojnej z przeciwnikiem silniejszym pod każdym względem (Napoleon Bonaparte żył w początkach romantyzmu, a jednak nie przeszkadzało mu racjonalnie twierdzić, że Bóg stoi po stronie silniejszych batalionów). Dmowski znał Mickiewicza czy Słowackiego, czytał, ale teksty mesjanistyczne miał za bełkot. Powstania narodowe, wybuchły z samego przekonania, że tak trzeba, miał za niepotrzebny wypływ krwi i zasobów. Zauważył, że po każdym z nich następuje uciszenie, a nawet zdławienie Polaków na 30 lat, że nawet szlachta jest wtedy upodlona. I że znów latami należy budować podłoże do tego, by móc rachować na zwiększenie swobód.

Zarzucono mu prorosyjskość, z czasem coraz większą. A on mówił tak: nie dajmy zniszczyć kultury. Budujmy sobie pomyślność gospodarczą. Wykorzystajmy w chwili sposobnej słabość rosyjską do zyskania autonomii w ramach imperium, co oznaczałoby własny rząd i armię. Tak zyskamy narzędzia, by sięgnąć po niepodległość, gdy imperium wpadnie w większe jeszcze kłopoty. Mrzonki? Nie takie rzeczy obiecywał car po wybuchu Wielkiej Wojny!

W 1918 r. Dmowski, mając takie, a nie inne poglądy, dysponując we Francji jedną zaledwie armią utworzoną naprędce i efemerycznym gabinetem (z charyzmatycznym i ustosunkowanym Paderewskim), potrafił stawić czoła politykom angielskim i niemieckim, odmawiającym Polsce Śląska i innych ziem. A potem wykorzystywał każdą sposobność, by coś więcej uszczknąć przy stole rokowań. Również i wtedy mówiono, że jest antysemitą. Był nim, nie krył tego na żadnym z etapów życia. A przecież nie zawdzięczamy niepodległości woli i czynom żadnej z mniejszości narodowych, również i tej.

Widzimy zatem pozytywistę z krwi i kości, aż do bólu. Żadnych porywów romantycznych, żadnego mesjanizmu, tylko czysty pragmatyzm, cierpliwość i systematyczna praca na wielu polach, które w końcu muszą przynieść efekt synergiczny. I czyhanie na okazję, którą należy wykorzystać z całą bezwzględnością.

Józef Piłsudski

Wiemy wszyscy, że w dniu 11 listopada 1918 r. został wskrzesicielem Polski na mocy własnego autorytetu oraz posiadania zaplecza w postaci wojska (szczątki Legionów i Polska Organizacja Wojskowa). Ale co było wcześniej...? I o nim, jak i o Dmowskim, wiemy więcej z tekstów propagandowych niż z rzetelnych opracowań historycznych. W końcu został marszałkiem, potem sam siebie ustanowił władcą ponad organami

⁶ <https://rewolucja1905.pl/dmowski-a-socjalizm-niepodleglosciowy/>, [dostęp: wrzesień 2023].

konstytucyjnymi, wzbudzał miłość i nienawiść. Niechże najlepiej sam zaprezentuje za co.

Ponieważ brakło publikacji zwartej Piłsudskiego, z której można by wziąć jego myśli dla przełomu wieków, autor posłużył się tu szczególnie wdzięcznym opracowaniem naszych czasów. Wszystkie cytaty pochodzą zatem z dzieła Bohdana Urbankowskiego, *Józef Piłsudski do Polaków: myśli, mowy i rozkazy*, Kraków 2017.

Zaczynamy od myśli wypowiedzianej co prawda dużo później, bo w roku 1923, ale tak trafnej, że musiała w pewnym sensie być wspólną znacznie wcześniej wielu ludziom, zupełnie niezależnie od poglądów politycznych, wiary czy wyznania.

*W psychice i moralności społeczeństwa naszego niewola polityczna poczyniła takie spustoszenia jak w strategicznym urządzeniu kraju*⁷.

Tu znajdujemy bardzo podobną myśl Bolesława Chomicza, wypowiedzianą po zamachu na prezydenta Gabriela Narutowicza. Oto ona, z tego samego czasu, co znacznie bardziej lakoniczna myśl Piłsudskiego.

Niewola długoletnia wyryła na organizmie narodu ślady i szczyrby, nie świadczące bynajmniej o spoistości społeczeństwa, a wysuwając przed partiami wąskie, niekiedy atawistyczne cele, programy, przyćmiła wprost ogólny cel istnienia państwa (...), opartego na woli zbiorowej narodu, bynajmniej zaś nie na samowoli i nadużywaniu hasel przez poszczególne partie i ich ambitnych przywódców.

Ale wróćmy do młodego Piłsudskiego, jeszcze z XIX wieku.

Gdyby ode mnie zależało kierownictwo sprawy rusyfikacji kraju tutejszego, doprawdy użyłbym do tego naszych klas uprzywilejowanych. Jesteśmy Polacy, a więc popędy stańczykowskie są w nas bardzo silne; dosyć jest na nas kiwnąć palcem, a zagrzmi wśród nas okrzyk: „Przy Tobie, Panie, stoimy i stać chcemy”⁸.

Z myśli tej, której jakże łatwo przyklasnąć w odruchu emocjonalnym, znać, niestety, brak planu strategicznego. Młody człowiek, który swe najlepsze lata spędził zamiast na studiach na zesłaniu, nadal ufa romantycznym porywom. Bo chyba tak to należy rozumieć ten sprzeciw za wszelką cenę, bez baczenia na to, że do walki potrzeba zasobów, a zasoby te trzeba wypracować. A właśnie teraz wszystkie armie świata dokonały rewolucji na polu uzbrojenia indywidualnego żołnierza: każda przeszła na naboje mniejszego kalibru, bo na proch bezdymny. Karabiny zyskały magazynki na 5 naboí, bardzo celnych i dalekosiężnych. Nowy proch nie brudził broni jak poprzedni, więc umożliwił dalszy postęp: zastanawiano się, który z proponowanych systemów karabinów maszynowych przyjąć do uzbrojenia. I przyjęto. I gromadzono latami zasoby, z wielkim zaangażowaniem przemysłu, by milionowym armiom nie skończyła się amunicja po miesiącu walk.

⁷ J. Piłsudski, *Sprawa obrony państwa – odpowiedź na ankietę „Drogi”*, maj–czerwiec 1923, za: B. Urbanowski, *Józef Piłsudski do Polaków: myśli, mowy i rozkazy*, Kraków 2017.

⁸ J. Piłsudski, *Korespondencja*, „Przedświt” 1894, nr 5, s. 30–31, za: Urbanowicz.

Jak sobie wyobrażali walkę z takimi machinami ludzie pokroju Piłsudskiego? I czym walczyć...? Wyrzucanie arystokracji, że chce budować dobrobyt ogólny w oparciu o spokój, to typowa zagrywka rewolucjonistów. Tylko obecnie siła ognia jednej kompanii wojska była taka, jak wcześniej batalionu, a nawet pułku. Już za Kościuszki kosy były przeżytkiem, liczyły się karabiny. Teraz zaczynały liczyć się nie karabiny nawet, co karabiny maszynowe i szybkostrzelna artyleria.

Oportunizm polski, który już od dawna lawirował, nie znajdując wyjścia pomiędzy Scyllą patriotyzmu i Charybdą tchórzostwa, z przyjemnością porzucił burzliwe wody, śpiesząc zawinąć do spokojnego portu z nadpisem „patriotyzm lojalny”⁹.

Bardzo ładna i trafna myśl, tylko wypowiedziana z perspektywy kogoś, kto nie musi troszczyć się o rodzinę. Łatwo nie pamiętać skutków powstania styczniowego, łatwo je gloryfikować, tylko jakie skutki przyniosło, wiemy z poprzednich rozdziałów. Bo jest też w tym podsłonna myśl, że każde działanie, poza zrywem zbrojnym, jest niewystarczające. Czyżby zbyt słabym świadectwem polskości było prowadzenie w Grodnie przez rodzinę Bolesława Chomicza biblioteki polskiej dla gimnazjalistów? Skończyło się aresztowaniami, konfiskatą. Czy to również było za mało...? Nie dowiemy się tego od 30-letniego Piłsudskiego, ale możemy się domyślać, że i Chomicze zostaliby skrytykowani za oportunizm, bo przecież nie robili zamachów na urzędników carskich, tylko zaledwie czytali i propagowali książki niedozwolone przez cenzurę (opatrywali je sfalszowaną pieczęcią cenzorską).

W tej myśli Piłsudskiego, przeciw której tak łatwo się zbuntować, jest jednak pierwiastek, któremu zaprzeczyć nie można. Mianowicie sposób postępowania, jaki piętnował, doskonale mógł zamaskować wszelkie podłości, popełniane w imię uniknięcia niedookreślonych represji.

Młody Piłsudski chłostał społeczeństwo polskie, czasami słusznie, czasami niesprawiedliwie, ale też pokazywał co innego: stosunki panujące w głębi Imperium Rosyjskiego. To, co on pisze, jest zgodne z obserwacjami praktycznie wszystkich, których w Rosji interesowało coś więcej niż turystyka. Długa, w dużej mierze pieszna podróż przez imperium do miejsca zesłania i z powrotem dawała Piłsudskiemu mnóstwo okazji do obserwacji szczegółowych, pozwalających na wiarygodne uogólnienia. I niejako – uprawniających myśl rewolucyjną, bo ujrzawszy tamtejsze stosunki nie sposób było sobie wyobrazić, że mogą na drodze ewolucji zmienić się na lepsze przed kresem dziejów ludzkości.

Długa i ciężka niewola tatarska, która trwała kilka wieków, niezatarte zostawiła ślady w historii Rosji i wyryła swe piętno na charakterze ludności. Wszczepiła ona ten duch niewolniczy, tę pokorę wobec władzy, to zgadzanie się z losem, jakie cechują lud rosyjski (...).

⁹ J. Piłsudski, *Dzieje pomnika Mickiewicza w Warszawie*, pismo ulotne wydane w tajnej drukarni PPS, rozpowszechnione na początku 1899, za: Urbanowicz.

W przekonaniu chłopów rosyjskich car myśli tylko o ich szczęściu i, jeżeli oni doznają tylko krzywdy, jeżeli szczęście nigdy im się nie uśmiecha, winą do panów i urzędników, którzy oszukują cara opowiadaniem, że chłopom dobrze się dzieje¹⁰.

A ta obserwacja, z którą zgodzić musi się każdy, kto się o to otarł, to mistrzostwo ujęcia problemu w krótkiej formie. Oto, z czym tak naprawdę walczyć musiał codziennie każdy człowiek, który miał zamiar zrobić coś więcej, niż tylko trwać. Dotyczy to również Królestwa Kongresowego, bo zwyczajnie rosyjskie urzędnicy przynosili tu we własnych głowach.

Niezdolna do żywszej pracy, zepsuta do szpiku kości biurokracja rosyjska wszędzie i zawsze jest przeszkodą w pracy społecznej, chociażby najlegalniejszej. Życie przykryje ona stosem zapisanych papierów, zasuszy je formalizmem, a jeżeli jeszcze po tej operacji będzie ono oddychać, uderzy je po twarzy nahajką i zapluje oczy¹¹.

Albo coś, co było elementem charakterystycznym systemu edukacji na modłę rosyjską, przeciw czemu Polacy buntowali się już od lat szkolnych.

Ucznia od pierwszej klasy naucza się odróżniać człowieka z gwiazdką na czapce od zwykłego śmiertelnika, naucza się pokory i uległości przynajmniej zewnętrznej, nabiera on przekonania, że najlepiej popłaca podła służalczość, a samodzielność tylko przez zapomnienie nie została zaliczona do grzechów głównych, dowiadyuje się, że Polska jest stekiem brudów, a Rosja czystą i świętą¹².

Albo innymi słowy podany „testament” cara Piotra Wielkiego, o którym sobie mówiono, że na łożu śmierci powiedział: „Ogłupić Polskę do zrównania z Rosją”.

Carat, będąc odpowiednim ustrojem politycznym dla społeczno-ekonomicznych stosunków w Rosji, a mając do czynienia z narodami stojącymi na innych szczeblach kultury, dąży, naturalnie, do cofnięcia wstecz rozwoju tych narodów¹³.

Piłsudski nie cieszył się z małych ustępstw zaborcy, nie pojmował ich w kategorii małych kroków i nawet działania obiektywnie rzecz biorąc dobre, umiał pokazać w świetle ucisku. No cóż: on by Sokrata Starynkiewicza nie považał, a warszawiacy považali i považają tak, że jest rondo jego imienia i do dziś na jego grobie ktoś kładzie kwiaty. Czytając poniższe zdanie, miejmy na uwadze, jak ogromny wysiłek finansowy musieli czynić rodzice wysyłający dzieci na obczyznę, pod jak różne, często zgubne wpływy oddawali wtedy dzieci, i jeszcze do tego dopłacali – bo nie wszyscy mogli zrobić tak, jak rodzice Józefa Tuliszkowskiego: zamieszkać w miejscu studiów dziecka.

Politechnika stanęła w Warszawie nie dlatego, że ugodowcy razem ze swym honorem złożyli u stóp „ukochanego monarchy” milionową łapówkę, lecz dlatego, że „śledztwa polityczne” wykazały udział w ruchach rewolucyjnych młodzieży kształcącej się za granicą, i rząd woli tę młodzież mieć pod okiem i stałą kontrolą¹⁴.

¹⁰ J. Piłsudski, *Rosja*, „Robotnik” 1895, s. 36–94, za: Urbanowicz.

¹¹ J. Piłsudski, *Korespondencja...*, s. 18–19.

¹² Tamże.

¹³ J. Piłsudski, *Rusyfikacja*, „Robotnik” 1895..., s. 1–2.

¹⁴ J. Piłsudski, *Bankructwo ugody*, „Robotnik” 1898, nr 29, s. 2–3, za: Urbanowicz.

Zacytowaną wyżej myśl podzielało wówczas wielu ludzi. Oto, jak ten fragment historii Politechniki Warszawskiej jest przedstawiony przez nią samą. Jest w tym również echo przekupstwa władz i to najwyższych.

Dopiero w ostatnich latach XIX wieku car Mikołaj II uległ sugestii społeczeństwa polskiego, by zebraną sumę jednego miliona rubli przekazał - wraz ze swoją zgodą - na budowę w Warszawie Instytutu Politechnicznego swego imienia. W ten sposób powstała uczelnia, w której jesienią 1898 roku rozpoczęto zajęcia w języku rosyjskim na trzech wydziałach: Mechanicznym, Chemicznym i Inżynieryjno-Budowlanym. Rok później rozpoczęto budowę pierwszych gmachów dla nowej szkoły. W skład wzniesionego wówczas kompleksu wchodził Gmach Główny, Gmach Chemii, Gmach Fizyki i Gmach Mechaniki. Fakt obowiązywania rosyjskiego języka wykładowego był powodem częściowego bojkotu szkoły ze strony młodzieży polskiej, która wybierała często studia na uczelniach Niemiec, Francji czy Rosji. Żądanie wprowadzenia do szkoły polskiego języka wykładowego było jednym z hasel fali strajków, która przetoczyła się przez ziemie Królestwa Polskiego w 1905 roku. Ich efektem było zamknięcie Instytutu Politechnicznego na okres następnych czterech lat¹⁵.

Co zatem było myślą przewodnią Piłsudskiego, poza oczywiście kolejnym zrywem zbrojnym w celu uzyskania niepodległości Polski? Jak dla wielu z jego pokolenia i jego pochodzenia – socjalizm. Znana już od lat utopia, ubrana w słowa przez Marksa i Engelsa, a będąca oficjalnym programem Polskiej Partii Socjalistycznej od dnia jej założenia w 1892 roku. Echa pism „mędrców” pobrzmiwają u młodego Piłsudskiego, który – przefiltrowawszy je przez polskość szlachecką – umiał je zaszczerpać w społeczeństwie. Tu, tym samym, wchodzimy na grunt mrzonek, prowadzących do założeń, że zbiorowa mądrość tłumu może zastąpić rozumy inżynierów, że sam zapal zastąpi menedżera szukającego rynków zbytu. Tak wyposażeni w wiedzę o gospodarce mogli wywoływać rewolucje, a w szczególności niezadowolenie mas robotniczych. Ktoś tak myślący, mając dowolny majątek prywatny, doprowadziłby go do upadłości. Bo, jak to Dmowski mówił, do zarządzania majątkiem (i państwem też) nie wystarczy być idealistą. Wizja to też za mało. Trzeba jeszcze mieć wiedzę i doświadczenie. Ale jak się ma doświadczenie polityczne, to się wie coś innego jeszcze. I akurat to Piłsudski wiedział bardzo dobrze.

Każda klasa społeczna, dochodząc do świadomości, formułuje swoje żądania, swój program. Sformułowanie takiego programu i wprowadzenie go w życie nie może się nigdy obejść bez organizacji: pojedyncze usiłowania i walka na ślepo nic tu nie pomogą i tylko w zgodnym i świadomym celów współdziałaniu leży siła, zapewniająca zwycięstwo. (...) Klasa, która z siebie partii nie wydała, do żadnej poważnej o swe interesy walki nie będzie zdolną¹⁶.

Przez ustanowienie wspólnego władania środkami produkcji urzeczywistnimy swój cel ostateczny - zupełną wolność i równość społeczną wszystkich ludzi¹⁷.

¹⁵ <https://www.pw.edu.pl/Uczelnia/O-nas/Historia>, [dostęp: październik 2023].

¹⁶ J. Piłsudski, *Czym jest Polska Partia Socjalistyczna*, „Robotnik” 1895, nr 9, s. 3–5, za: Urbanowicz.

¹⁷ J. Piłsudski, *W rocznicę*, „Robotnik” 1896, nr 13, s. 1–2, za: Urbanowicz.

Jakże łatwo takimi hasłami uwodzić ludzi, umordowanych przy warsztatach pracy! A przecież te hasła działały nie na wszystkich robotników i na jeszcze mniej chłopów. Wielu z nich wiedziało, jak działa wymiana towarowo-pieniężna, w szczególności chłopów, gdyż każdy z nich musiał po trosze być przedsiębiorcą. Dlatego socjalizm nie był atrakcyjny dla polskich chłopów. A już najmniej działały na nich poniższe hasła, gdyż osobiście doświadczali, czym są etniczne podziały, np. w handlu środkami pierwszej potrzeby.

*Obcą jest nam wszelka nienawiść plemienna i narodowościowa. Bojownicy wolności wszystkich krajów i narodów są naszymi braćmi. Umiemy hołd oddać wszelkiej wielkiej myśli, w jakimkolwiek języku się zrodziła, umiemy uczcić wszelkiego poetę i myśliciela, jakiegokolwiek naród go wydał*¹⁸.

Od tej zasady Piłsudski czynił wyjątki. Np. Puszkina nie považał, bo poeta ten okazał się antypolakiem i uniżonym sługą u carskiego dworu. A przecież Puszkina, sławiący imperializm carski, czczony był, jest i będzie w Rosji, bo sam czcił w istocie imperializm rosyjski... Tyle o wyjątkach, bo przecież programowo nie uznawał Piłsudski wielkiej myśli, jeśli zrodziła się w środowisku posiadaczy lub w pozytywnym do niego odniesieniu. Tu jego ocena była surowa i jednoznaczna, tym bardziej, że właśnie musiał zmierzyć się z efektami zaproponowanych społeczeństwu polskiemu innych idei narodowych, opartych o etykę chrześcijańską, które okazały się wyjątkowo konkurencyjne dla socjalistycznych marzeń. Bo Liga Narodowa odnosiła na tym polu wyraźne sukcesy i to również wśród robotników!

Wielu robotników rozumiało, że przekształcenie surowców w wyroby gotowe nie dzieje się przez samo uruchomienie maszyn i ich obsługę. Tak samo, aby uruchomić maszynę, trzeba ją mieć, to jest kupić (a ktoś ją wymyślił, ktoś zbudował), a do niej węgiel. Że produkcja czegośkolwiek to proces złożony, wymagający na wielu etapach wdrożenia w czyn zawilej myśli technicznej, a przede wszystkim woli zarządzającego. A znów ta wola bierze się z tego, że zarządzający wie, iż gdzieś tam ktoś potrzebuje jakichś przedmiotów i gotów jest ponieść cenę ich wytworzenia. Nie baczyl na to Józef Piłsudski, jak swego czasu nie baczyl na koszty modernizacji majątku jego ojciec. Zatem nie bez powodu zżymał się takimi słowami: *Patriotyzm burżuazji, czy jest zaborczym, czy obronnym, ma jedną wspólną cechę. Jest nią dążenie do przykrycia przeciwieństw klasowych płaszczykiem solidarności narodowej wobec innych narodów i chęć wstrzymania w ten sposób rozkładu obecnego ustroju, gdzie burżuazja jest panią położenia*¹⁹.

Tak pisał Piłsudski za młodu, jako gniewny człowiek, który wrócił z zesłania. Pomyślimy, że dojrzał potem, jak to sam mówił, wysiadł na tym przystanku

¹⁸ J. Piłsudski, *Z powodu jubileuszu Puszkina*, „Robotnik” 1899, nr 31, s. 2–4, za: Urbanowicz.

¹⁹ J. Piłsudski, *O patriotyzmie*, „Walka” 1902, nr 1, s. 4–6, za: Urbanowicz.

niepodległość, zrozumiał coś więcej, a tramwaj PPS pojechał dalej... Można tak powiedzieć, jednak nie sposób oprzeć się wrażeniu, iż ten charyzmatyczny człowiek nawet po wielu latach nie rozumiał istoty socjalizmu. Że mimo samodzielności myślenia i twardego, niezależnego charakteru, za młodu pisał i postępował zgodnie ze wzorcami, jakie odbierał od socjalistów rosyjskich. Jedyne, co im wyrzucał (zwłaszcza rosyjskim żydom), to coś, co osobiście odbierał jako dojmującą przykrość: rusyfikację. Mianowicie zgłaszał im uwagę, że jeśli kierują odezwą do robotników litewskich lub polskich, nie powinni posługiwać się językiem rosyjskim, bo źle to jest przyjmowane. Pisał wprost: nie rusyfikujcie! Do treści odezw uwag nie miał, ani wtedy, ani na starość.

W swoich analizach nie był więc Józef Piłsudski Władysławem Grabskim, rozumiejącym mechanizmy gospodarcze, czy Romanem Dmowskim, niemającym złudzeń co do interesów politycznych narodów czy państw, które to narody i państwa nieważne, jakie hasła głoszą, interes narodowy lub państwowy zawsze postawią na pierwszym miejscu. Chciał czy nie, nienawidząc Rosji, realizował za młodu wizję rosyjskich socjalistów, którzy tak samo, jak carowie, myśleli kategoriami imperialnymi. Dobrze dla niego i dla nas wszystkich się stało, że nadeszło otrzeźwienie, bo miał dar przekonywania jak mało kto. Do końca jednak żywił złudzenia społeczne. Tak oto wyraził się o rozczarowaniu socjalizmem, już jako władca nieusuwalny metodami demokratycznymi.

Socjalizm był przed wojną najdalszą metą postępu społecznego, a przynajmniej za taki postęp uchodził. Po wojnie socjalizm zaczął przegrywać i nadal będzie przegrywał. W dwóch państwach, tak pod każdym względem różniących się od siebie, doszedł do władzy i w obu państwach zawiódł. Mam na myśli Rosję i Anglię. W Rosji stał się nową formą niewolnictwa, które jest nie do przyjęcia dla kulturalnych społeczeństw i dlatego nie ma widoków utrwalenia się w świecie. W Anglii socjaliści ujęli w swe ręce ster władzy, a jednak nie stworzyli nic nowego, nie wydobyli z siebie nic, co wpłynęłoby na losy świata lub chociażby tylko na losy Anglii. Socjalizm ugrzązł w przedwojennym szablonie, ten szablon niewiele ma już wspólnego z życiem rzeczywistym²⁰.

Tak się złożyło, że pół wieku później, po słowach rozczarowania podobnych do tych wypowiedzianych przez Piłsudskiego, mówiono krócej i jaśniej o epoce stalinizmu: „Socjalizm – tak, wypaczenia – nie!”.

Takimi oto zestawami idei, przy czym jedne i drugie były mniej lub bardziej nielegalne, mogli rozporządzać ludzie pokolenia Tuliszkowskiego i Chomicza. Innych idei dla młodych, patriotycznych Polaków Królestwa Kongresowego, czyli Kraju Przywiślańskiego, nie było. Przypomnieć wypada wątpiącym, że partia chłopska, czyli Stronnictwo Ludowe Wincentego Witosa co prawda istniała wówczas, ale nie w zaborze rosyjskim, tylko w austriackim, a jej oddziaływanie na Kongresówkę jeśli

²⁰ J. Piłsudski, W rozmowie z Arturem Śliwińskim z 23 listopada 1931 r., „Niepodległość” 1938, t. XVIII, z. 1/45, za: Urbanowicz.

jakieś było, to absolutnie marginalne. W dodatku „ludowe” w nazwie tego stronnictwa znaczy nie tylko „chłopskie”, co „powszechne”, co też czyni różnicę z tym, co komuniści z tej partii zrobili po II wojnie światowej.

Tymczasem na terenie Kongresówki liczyły się zaledwie dwie myśli: konserwatywna i socjalistyczna, na potrzeby niniejszego opracowania podane w subiektywnym wyborze i komentarzu.

Z pewnością czytelnik, który dotrwał do tego miejsca, pomyślał: „A co to wszystko ma wspólnego z ochroną przeciwpożarową? Co polityka ma do straży pożarnych?”.

Jak się przekonamy dalej, polityka miała i ma w tym zakresie znaczenie zasadnicze. Okaże się bowiem, kto, co i jak budował, a kto głównie wykorzystywał to, co już zbudowano. Na którą z tych opcji politycznych zdecydował się w swoim życiu Józef Tuliszkowski, już wiemy. Teraz wiemy też dlaczego.

Praca na etacie

Józef Tuliszkowski nie od razu znalazł klientów na wyspecjalizowane usługi własne. Kilka osób znających go osobiście poczyniło wyraźne skróty informacyjne, i to w dobrej wierze. Oto, co możemy przeczytać w informacjach wspomnieniowych.

*Powrócił do kraju. Rozpoczął pracę w przedsiębiorstwie Fitznera i Gampera przy budowie cukrowni w Sosnowcu, a następnie w Kijowie*²¹.

*Po ukończeniu studiów w 1897 r. zatrudnił się w firmie „Fitzner i Gamper” w Sosnowcu i pracował przy budowie cukrowni na Ukrainie*²².

Niby prawie to samo, niby podobnie, a przecież nie tak to wyglądało, jak w pierwszym i drugim zdaniu.

Kierunek – Kijów

Białystok i jego straż okazały się zaledwie przystankiem w drodze Tuliszkowskiego. Przystankiem na dłużej – bo nie stacją końcową – okazał się Kijów. W 1898 r. zatrudnił się jako inżynier w tym mieście, w miejskiej kanalizacji. Praca ta nie odpowiadała mu jednak z jakichś względów, więc nie stał się dla Kijowa tym, kim był William Lindley dla Warszawy. Jeszcze w tym samym roku zatrudnił się jako inżynier w firmie budownictwa przemysłowego „Fitzner & Gamper” z Kongresówki, tj. aż z Sosnowca, górniczo-przemysłowego miasta położonego na granicy z cesarstwami austriackim i niemieckim, będącego miejscem łagodnych zsyłek niewygodnych caratowi ludzi z głębi imperium.

Jednak Tuliszkowski nigdy chyba nie był w Sosnowcu, bo nie zaszła taka potrzeba. Powyższe informacje, że budował cukrownię w Sosnowcu, a potem w Kijowie, z braku innych powtarzane potem w różnych opracowaniach, to raczej pomyłki lokalizacji

²¹ S. Pagowski, *Pionier polskiego pożarnictwa i piśmiennictwa pożarniczego*, „Przegląd Pożarniczy” 1981, nr 11, s. 9.

²² W. Piławski, *Zasługi działaczy polskiego pożarnictwa. Inżynier Józef Tuliszkowski*, „Muzealny Rocznik Pożarniczy” 1991, t. 2, s. 43, oraz tegoż autora, *Pionier Polskiego pożarnictwa*, inż. Józef Tuliszkowski, „Przegląd Pożarniczy” 1990, nr 2, s. 13.

siedziby firmy i inwestycji. Inwestycje w samym Sosnowcu obstawiali inżynierowie przemysłowi ze Śląska, którym nie chciało się jeździć na odległe budowy. Dlatego firma „Fitzner & Gamper” miała filię w największym mieście Ukrainy – w Kijowie. I to tam Tuliszkowski znalazł zatrudnienie i stamtąd jeździł po świecie, realizując inwestycje pracodawcy, w tym również budując cukrownię. Zatem ochrona przeciwpożarowa nie okazała się jeszcze niwą do wzięcia. Lecz i na to przyszedł czas.

Jak rzutkim i samodzielny inżynierem był Tuliszkowski, świadczy fakt, że w 1899 r. trafił wreszcie do Kongresówki, by w okolicach Płocka prowadzić budowę cukrowni „Mała Wieś”. Miał się z tą inwestycją spotkać na koniec życia, gdy znów powrócił do przemysłu cukrowniczego. Tymczasem nie dość, że cukrownię postawił zgodnie z szykanami technologicznymi i budowlanymi (a jedno i drugie nie zawsze idzie w parze), to dodatkowo zadbał o jej ochronę przeciwpożarową. Skoro bowiem siedział tam tyle czasu jako główny inżynier aż do uruchomienia produkcji, zorganizował w niej fabryczną straż pożarną. Straż ta, będąca jedną z kilkuset założonych za jego sprawą od podstaw, brała potem udział w różnych przedsięwzięciach, którym Tuliszkowski jeśli nie patronował, to w nich przynajmniej współuczestniczył. Jako że Płock jest niedaleko od Warszawy, Tuliszkowski i ją odwiedzał.

Los inżyniera-budowniczego jest losem tułacza. Oto Tuliszkowski w 1900 r. znów samodzielnie kierował budową – tym razem koło Odessy i nie cukrowni, tylko dużego wodociągu o długości 24 km. I zbudował. I znów, jeśli wziąć pod uwagę dzisiejsze kryteria, można powiedzieć, że kiedyś budowało się jakby szybciej.

W środowisku kijowskim inżynier Tuliszkowski zyskał sporą renomę. W 1901 r. „podkupiła” go inna kijowska filia pozakijowskiej firmy. Tym razem warszawskiej. Było Towarzystwo Akcyjne „August Repphan”. Młody inżynier zyskał tym samym nowe możliwości, dzięki którym mogła błysnąć jego gwiazda pożarowa. Przedstawiły się one następująco.

W owym czasie spłonęła na Ukrainie cukrownia „Mironówka”, należąca do prywatnych dóbr carskich. Jako że biorące się z płatnych protekcji (łapówek) dotychczasowe sposoby zabezpieczania fabryki przed pożarem zawiodły, postanowiono postąpić według standardów, jakie znano w cywilizowanym świecie już od średniowiecza, mianowicie urządzając konkurs na projekt odbudowy i zabezpieczeń przeciwpożarowych cukrowni. Konkurs w średniowieczu? – ktoś zapyta z powątpiewaniem. Ano tak, może nie jako praktyka powszechna wszędzie, acz we Florencji wszystkie inwestycje państwowe, czyli miejskie, a zwłaszcza najbardziej dziś, po 500 i więcej latach podziwiane (budowle publiczne, dzieła sztuki), powstały na zasadzie konkursów. Jak widać już z początkiem XX w. z błogosławieństw konkursów zdano sobie sprawę w feudalnej Rosji. Dla Tuliszkowskiego była to świetna okazja. Skorzystał z niej.

W roku 1902, pracując jeszcze w Kijowie, wziął udział w konkursie na plan odbudowy zniszczonej przez pożar wielkiej cukrowni na Ukrainie. Zgłosił dwa projekty i otrzymał za nie dwie nagrody: pierwszą i drugą²³.

Skoro wygrał, prawdopodobnie wybrano go również do kierowania robotami. Zatem kontrakt z warszawską firmą musiał ulec rozwiązaniu. Dostał nagrodę za pracę konkursową i pensję za poprowadzenie prac. Z zadania wywiązał się bardzo dobrze, acz jednocześnie okazał się, pod względem wykonywania zawodu, człowiekiem do wzięcia, bez stałego zatrudnienia – to również cecha wziętego inżyniera. Niestety, lepiej jest, gdy taki inżynier ma biuro konstrukcyjne, zatrudnia podwykonawców, a zasadniczo wchodzi w skład firmy, potrafiącej zorganizować front robót, przeprowadzić go i zamknąć. Jednak pojawiła się oferta, która inżyniera Tuliszkowskiego w wieku lat 35 uczyniłaby człowiekiem zatrudnionym na stałe i bardzo zamożnym, bez konieczności ubiegania się o kontrakty. Mianowicie pożar „Mironówki” spędzał sen z powiek nie tylko zarządcom cukrowni carskich, ale również właścicielom innych cukrowni, na pewno nie lepiej urządzonych i zarządzanych od fabryk należących do cara. Odbudowa i system zabezpieczeń przeciwpożarowych „Mironówki” były zatem pilnie śledzone, z wyciągnięciem należytych wniosków.

W następstwie tego właściciel 16 cukrowni na Zadnieprzu Charytynienko, zaproponował Tuliszkowskiemu objęcie na stałe posady inżyniera prowadzącego nadzór techniczny i remonty w swoim przedsiębiorstwie, z bardzo wysokim wynagrodzeniem. Tuliszkowski propozycję odrzucił, gdyż w tajnym stowarzyszeniu, do którego aktualnie należał, złożył wraz z kolegami przyrzeczenie nie wyjeżdżania do pracy poza dawne granice Polski, tj. Dniepr, Dźwinę, pragnąc poświęcić się sprawom społecznym, rozwojowi przemysłu i ochronie przeciwpożarowej²⁴.

O co chodziło? Właśnie o to, co opisywaliśmy wcześniej. Dobra posada w granicach imperium, ale poza granicami zaborów, oznaczała na ogół dla Polski stratę inteligentnego, przedsiębiorczego człowieka. Stratę całkowitą. Rosja zyskiwała, a Polska traciła. Jednocześnie nie było to tak, że na terenach dawnej Rzeczypospolitej nie było co robić i nie dałoby się zarobić. Były lepiej zurbanizowane od Rosji, pod względem kulturalnym stały nieporównanie wyżej, ludność chłopska miała inną mentalność (kult pracy i zamiłowanie do porządku), a też poszanowanie człowieka przedstawiało się zupełnie inaczej. Kraj potrzebował inwestycji, nauki, podniesienia na wyższy poziom, a przede wszystkim powszechnej edukacji. Pewne było, że żadni obcy tego nie przeprowadzą i tylko sami Polacy mogą to zrobić. No i była w Polsce klęska pożarów masowych, do czego wrócimy jeszcze nie raz.

Tuliszkowski, odmawiając tak lukratywnej propozycji, wiedział więc, co i dlaczego czyni, zresztą zebrał szereg doświadczeń również na polu idei, jaka przyświecała mu w zakresie nieprzyjmowania zleceń poza granicami I Rzeczypospolitej.

²³ S. Pągowski, *Pionier polskiego pożarnictwa i piśmiennictwa pożarniczego*, s. 9.

²⁴ W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski. Pionier polskiego pożarnictwa*, Warszawa 1995, s. 26.

Doświadczenia te miały początek w jego pracy przy budowie cukrowni „Mała Wieś” w Płockiem, czyli niedaleko Warszawy. Tak to zostało przedstawione.

Będąc w Kijowie działał w tajnym stowarzyszeniu oświatowym. W czasie jednego z pobytów w Warszawie został przyjęty do bardzo aktywnej i prześladowanej przez władze carskiej „Ligi Narodowej”, tajnej trójjaborowej organizacji politycznej, utworzonej w 1883 r. przez grupę polityków z Romanem Dmowskim na czele. Przez parę lat był jej założycielem i emisariuszem Kijowie²⁵.

Można też domyslać się, że Kijów nie był najwdzięczniejszym miejscem do uprawiania polskiej polityki narodowej. Co prawda miał znaczącą mniejszość polską, ale była to inteligencka mniejszość, skupiona wokół Cesańskiego (imperatorskiego) Uniwersytetu Kijowskiego, kilkunastu przedsiębiorców. A poza tym żywił ukraiński i ruski, tudzież trochę niesłowiańskich mniejszości, doskonale obojętnych na sprawę polską. Polskiej inteligencji nie trzeba było przekonywać do polskości – oni (w tym kilku Chomiczów) i tak robili bardzo dużo, by Kijów miał polski charakter. Zresztą przyczynił się do tego sam car, kradnąc kadre oraz bibliotekę Liceum Krzemienieckiego i podarowując obydwie zdobycze nowo założonej kijowskiej uczelni, która natychmiast zyskała odpowiedni wymiar, niezatarty nawet po upływie pokolenia. Działalność oświatowa wśród ludności niepolskiej była marnowaniem czasu, a przy tym niebezpieczna. Co prawda na ziemiach uznanych przez cara za rosyjskie polskość miała większe swobody niż na ziemiach zabranych, przecież nakłanianie do niej każdy urzędnik carski uznałby za zamach na cara i na „matuszkę Rosyję”. Wiele za to było do zrobienia na ziemiach zabranych, pod każdym narodowościowym względem, również tym pożarowym. Oczywiście nie chodziło tylko o samą pracę u podstaw do rychłej śmierci, na wzór literackich bohaterów. Chodziło też o to, że za godziwą pracę można było otrzymać wynagrodzenie.

Zatem gdy trafiła się oferta pracy nie dość, że z samej Kongresówki, to na dokładkę z Warszawy, Tuliszkowski nie wahał się ani chwili. Zamknął w sposób należyty kijowskie sprawy i od początku 1903 r. stał się mieszkańcem byłej stolicy Polski, Księstwa Warszawskiego, Królestwa Polskiego, które właśnie podźwignął pod względem higienicznym i estetycznym z celowo zaprowadzanego przez carskie władze upadku najlepszy z carskich zarządców: Sokrat Starynkiewicz. Warszawa, po wyposażeniu w kanalizację i wodociągi, stała się miastem ładnym.

Kijowska straż pożarna

Rozstawał się Tuliszkowski nie tylko z pracą inżyniera, Ukrainą i Wołyniem, ale też z Kijowską Strażą Pożarną, gdzie spędził całe cztery lata. No, może nie całe, bo przecież długie tygodnie tkwił na budowach. Przecież w czasie projektowania siedział za biurkiem lub stał przed pulpitem kreślarskim w Kijowie właśnie.

²⁵ Tamże, s. 26.

Praca papierkowa kępowała młodego człowieka, ponieważ przypominając mu zajęcia na studiach, od których uciekał do żeglowania, żołnierskich zwyczajów czy straży ogniowej. Zatem i w Kijowie potrzebował innego rodzaju wrażeń, gdyż chciał odreagowania godzin bezruchu i precyzyjnego skupienia. Wstąpił więc szeregi kijowskiej ochotniczej straży ogniowej.

Traf chciał, że Ochotnicza Straż Ogniowa w Kijowie właśnie się organizowała, więc inżynier-strażak jakby spadł jej z nieba. Przede wszystkim jeśli już był w Kijowie, to często brał dyżury i wyjeżdżał do akcji, działając nie inaczej niż przez całe życie – z pełną odwagą, ale i rozważą. Już samo to powodowało, że ten młody, inteligentny człowiek zaangażował się w sposób niebywały i budzący podziw. Przecież jego działalność nie ograniczała się do udziału w ćwiczeniach i akcjach gaśniczych. Postanowił wesprzeć rozbudowującą się straż na inne sposoby, również te inżynierskie.

Według jego projektu urządzony został samodzielny oddział straży z dyżurującymi ochotnikami i płatnymi stangretami. On też zaprojektował wzorcową remizę na sikawkę i drabinę mechaniczną i stajnię na 22 konie, będące w posiadaniu straży²⁶.

Zatrzymajmy się na chwilę na tym samodzielnym oddziale, bo w nim można upatrywać początku pomysłu Tuliszkowskiego na pogotowia strażackie, tak przez niego propagowane przez całą służbę. Z informacji wynika bowiem typowy skład pogotowia: sikawka, a więc i wóz rekwizytowy na podstawowy sprzęt burząco-gaśniczy. Jest jeszcze drabina mechaniczna, gdyż kilkukondygnacyjna zabudowa ówczesnego Kijowa (bogate, zadbane miasto) przysparzała problemów podczas pożarów wysoko zlokalizowanych mieszkań i poddaszy, tudzież ewakuacji odciętych przez ogień z wysokości przekraczających możliwość skoku gwarantującego przeżycie. Liczba koni wskazuje, że projekty Tuliszkowskiego dotyczyły raczej rozbudowy istniejącego stanu, niż układaniu porządku od zera. Zwykle do jednego pojazdu zaprzęgano parę koni, zatem oddział miałby 11 takich par. Były tam również inne wozy, niezbędne do gaszenia pożarów, zwłaszcza że zaopatrzenie w wodę Kijowa nie było najlepsze, a na jego przedmieściach praktycznie nie istniało. Zatem musiały być beczki na wodę, wozy dla strażaków i kolejne wozy rekwizytowe, musiała tam gdzieś być sikawka parowa (o wydajności zbliżonej do pomp dzisiejszych samochodów średnich) – wówczas już standard w dużych miastach.

Radzenie sobie z istniejącym stanem i dążenie, by go poprawić to również rys charakterystyczny dla Tuliszkowskiego i jego pracy. Bardzo rzadko miał w przyszłości ten komfort, by budować od podstaw (gdy tak było, odnosił największe sukcesy) i większość jego projektów dotyczyła rozbudowy bądź przebudowy istniejącego stanu. Radził z tym sobie doskonale, niemniej, jak każdy, wołał, by wszystko było zawczasu obmyślane jak należy. Dlatego zobaczymy w przyszłości wiele jego autorskich projektów strażnic różnej wielkości, ale też różnego sprzętu interwencyjnego.

²⁶ W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski...*, s. 25.

Będą więc jego autorskie wozy rekwizytowe, drabiny, bosaki, hełmy itd., a przede wszystkim sikawki – oczywiście nie wszystko z jego patentów, ale wszystko według najlepszych, znanych mu wzorców.

Jak by nie było, pierwszy projekt strażnicy autorstwa inż. Tuliszkowskiego powstał w Kijowie.

Skoro projektował, to znaczy, że miał jeszcze odrobinę mocy przerobowych na skupienie. Co nieco wiemy, kiedy owo projektowanie mogło się dziać.

Straż kijowska miała tę specyfikę, że zaprowadzono dyżury. Tuliszkowski często je brał. A dyżur, jak to dyżur. Rzadko jest to tak, że jak się jest w straży, to natychmiast pojawiają się pożary trwające całą służbę. Na ogół w czasie dyżuru (a w straży zawodowej w czasie służby) sporo jest wolnego czasu do zagospodarowania. Tuliszkowski nie znosił bezczynności. Ciągłe więc przychodziły mu do głowy wnioski racjonalizatorskie. Niektóre z nich zrealizował, np. organizację owej półzawodowej jednostki czy projekt strażnicy. Ale były też inne pomysły. Jak to sam zanotował po latach.

W Kijowie przede wszystkim trzeba było ułożyć sygnały dla taboru konnego, zbiórki, zmian tempa jazdy, wsiadania na wozy i t. p. Jako podstawę przyjąłem dawne sygnały Kawalerji Narodowej, opracowane na schyłku panowania Króla Stanisław a Augusta, kiedy to po uchwaleniu przez Sejm 4-letni wzięto się energiczne do tworzenia armji i reform. Sygnały te przeszły potem do pułków ułańskich i konnych strzelców Armji Królestwa Kongresowego, skąd dostały się do kawalerji rosyjskiej. Ta wspólność bardzo ułatwiła przyjęcie mego projektu przez Radę Sztabową Str. Och. Kijowskiej²⁷.

Zauważono zaangażowanie młodego, wszechstronnego organizatora. Jako że straż ciągle była w organizacji, nie dopracowano się w niej jeszcze twardej, nienaruszalnej struktury władz. A przy tym, co zawsze występuje w strażach ochotniczych, skoro trafia się ktoś, kto jest chętny do pracy, to na pewno ją dostanie do wykonania. Zwłaszcza roboty papierkowej większość strażaków boi się jak ognia, traktując ją jako karę. W Kijowie nie było inaczej.

W 1900 r. w uznaniu jego umiejętności i wielkiego zaangażowania został wybrany na starszego pomocnika naczelnika kijowskiej straży. Teraz do jego obowiązków należało prowadzenie administracji całego oddziału²⁸.

Jednocześnie strażacy niezmiennie gardzą czynnościami urzędowymi, podnosząc niejednokrotnie (słusznie, jeśli nie przebiorą miary), że prawdziwy strażak powinien gasić pożary, bo tam się dopiero sprawdza, kto jest kim. Przecież bywały też służby, kiedy działo się sporo. Wtedy Tuliszkowski działał tak, że nikt nie śmiał traktować go jako gryzipiórka-mądrali.

Wobec dużej liczby pożarów, górzystego terenu i częstych, zwłaszcza na przedmieściach, braków wody do gaszenia, służba tutaj miała duży wpływ na dalsze fachowe przygotowanie

²⁷ J. Tuliszkowski, *Sygnalizacja tonowa*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 5, s. 18.

²⁸ W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski...*, s. 25.

Tuliszkowskiego. (...) Przez okres czterech lat już samodzielnie prowadził wiele trudnych akcji gaśniczych w dużym przecież mieście, wywiązując się z tych obowiązków znakomicie. Działalność jego w kijowskiej straży wyróżniono srebrnym znakiem „Za 3-letnią gorliwą i pożyteczną służbę”, a za projekt remizy i stajni otrzymał specjalne podziękowanie od gubernatora i zarządu straży²⁹.

Pozycja jego w hierarchii była bardzo wysoka – stanowisko w Rosji to zawsze stanowisko. Znając rosyjski etatyzm, można się domyślać, że naczelnikiem kijowskiej straży był ktoś, komu się to po prostu należało. O ile był to człowiek rozsądny, a sporo poszlak (czyli niekwestionowanych sukcesów Tuliszkowskiego) na to wskazuje, nie mieszał się do działań swego zastępcy. Zatem faktycznym naczelnikiem strażaków kijowskich był Tuliszkowski, oczywiście o ile przebywał na miejscu.

To wówczas ujawniły się pierwsze cechy szczególne charakteru Józefa Tuliszkowskiego. Mianowicie miał niezmiernie małą tolerancję na ludzką głupotę. Bo przecież zazwyczaj za jakimś kompletnym tumanem (to pejoratywne słowo na określenie stanu umysłowego niektórych rosyjskich urzędników owych czasów użyliśmy za Bolesławem Chomiczem) stała oczywiście absolutna niekompetencja. W wielu miejscach niekompetencja jest dokuczliwa, bywa irytująca, ale przy pożarach jest po prostu groźna dla ludzkiego życia. A że Tuliszkowski, z różnych, sobie znanych powodów, nie znosił również zwyczajów rosyjskich...

Będąc w kijowskiej straży krytykował pewne zwyczaje i naleciałości nie sprzyjające pracy strażaka, jak np. zwyczaj bardzo rozpowszechniony w Cesarstwie Rosyjskim, używania przez prądowników (tzn. operujących prądem wody) w czasie gaszenia pożarów, skórzanych fartuchów i obowiązkowych czapek zamiast kasków, co należało do szyku prądownika. Tuliszkowski wysmiewał ten ubiór, mówiąc, że bardziej przystoi on rzeźnikowi, niż strażakowi. Ochotnicy pod wodzą Tuliszkowskiego starali się przy akcjach niby niechcący trafić prądem wody w „nie osłonięty łeb” (cytat za J.T.) prądowników. Zmusiło to straż miejską w Kijowie do założenia kasków³⁰.

W czasie akcji gaśniczych nie tylko psikusy były mu w głowie. Często angażował się osobiście w działania, szczególnie ratownicze. Bo inaczej niż działania przykładem dowódcy, nie można wytłumaczyć takiego zdarzenia.

Podczas opanowywania jednego z groźnych pożarów uległ poważnemu obrażeniu oka, co spowodowało częściowe inwalidztwo wzroku³¹.

Śledząc jego życiorys nie raz napotkamy tę brawurę. Przyznajmy – nadmierną. Przecież jakąś wadę musiał tak wielki człowiek posiadać, inaczej nikt rozsądny nie uwierzyłby w jego istnienie.

²⁹ Tamże, s. 25.

³⁰ Tamże, s. 26.

³¹ S. Pągowski, *Pionier polskiego pożarnictwa...*, s. 9.

Praca na swoim

Z początkiem 1903 r. Józef Tuliszkowski przeniósł się do Warszawy. Jak to czytamy w najobszerniejszej z biografii.

Przeniósł się do Królestwa, by tu natychmiast rozpocząć działalność na polu pożarnictwa, była to bowiem jedna z wielu możliwości legalnego zrzeszania się, nawet używania mundurów, sztandarów, bez narażania się na represje i szykany ze strony władz zaborczych, co stanowiło namiastkę polskiego wojska³².

Ładnie brzmi to zdanie, wzięte prosto z życiorysów uzasadniających przyznanie odznaczeń lub zajęcie stanowisk. I jako takie zawiera kilka uproszczeń, które musimy zawczasu wyjaśnić, by nie wypaczyć wiedzy historycznej.

Przed wszystkim sposobności do legalnego zrzeszania się nie było wiele, acz z pewnością więcej niż na ziemiach cesarskich. Lepiej byłoby powiedzieć, że ruch pożarniczy, jak to wówczas mówiono: strażactwo, był jedną z niewielu takich form. A jak wyglądało to w praktyce, przekonany się w dalszych częściach książki. To tylko przykład: po wielu sztucznych przeszkodach administracji dawało się założyć ochotniczą straż ogniową, ale żeby kilka takich straży mogło się spotkać, by coś razem postanowić, trzeba było osobnych starań, zwykle zakończonych niepowodzeniem. W ślad za tym używanie mundurów i sztandarów było ściśle reglamentowane (zakaz paradowania), z szykanami władz zaborczych, a to w jednym celu: by dany oddział strażaków nie stał się poddziałem polskiego wojska...

Cele Tuliszkowskiego były nieco inne. Królestwo Polskie niewiele już posiadało ze swego majestatu, niezbyt okazałego już na starcie, z łaski Kongresu Wiedeńskiego, a przez sto bez mała lat utraciło jeszcze więcej. Rosjanin Sokrat Starynkiewicz, darzony miłością Warszawiaków, mógł chodzić spokojnie po jej ulicach – i nikt więcej z administracji zaborczej. Bo Sokrat Starynkiewicz był jedyny w swoim rodzaju. Administracja rosyjska miała postać okupacji wojskowej, wszelkie główne stanowiska piastowali wojskowi, którzy obstawiali się innymi wojskowymi. Nie było mowy o rozwoju, trwała russyfikacja. W dodatku Polska Partia Socjalistyczna ustawicznymi czynami zbrojnymi, trącającymi często o pospolity bandytyzm, przyczyniała się do zacieśniania okupacyjnego uścisku. Królestwo Polskie wymagało pomocy, by nie obróciło się w Przywiślański Kraj bez reszty. A w szczególności pomocy wymagały wiejskie ochotnicze straże ogniowe (wówczas mówiono: straże ogniowe ochotnicze). Sprzęt, jaki oferowali producenci, pozostawiał wiele do życzenia nie tylko pod względem relacji jakości – cena, lecz w szczególności w relacji masa – użyteczność. I tu również mamy ogromne pole do popisu dla Tuliszkowskiego.

Powiedzmy o jeszcze jednym czynniku, który mógł wpłynąć na decyzję o zmianie przez Tuliszkowskiego powietrza z kijowskiego na warszawskie. Przecież przy należał on do Ligi Narodowej, a nawet pełnił znaczące funkcje i – jak się za chwilę

³² W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski...*, s. 26.

przekonamy – brał w niej bardzo aktywny udział. Tymczasem nazwiska właścicieli firm, dla których pracował w Kijowie, nie brzmiały polsko: Fitzner, Gamper, Repphan. W Warszawie przyjął się do firmy produkującej sprzęt pożarniczy, a mającej w nazwie polsko brzmiące nazwisko. Przy czym poczuł się wreszcie na siłach, by założyć firmę własną.

Warszawa, tj. Ignis – Rzewuski & S-ka

A oto, jak sprawa przedstawiała się w skrócie telegraficznym, który w miarę upływu lat skracał się jeszcze bardziej, aż do zatracenia pierwotnego sensu.

Zaproponowano mu z kolei prowadzenie nadzoru technicznego w przedsiębiorstwie jednoczącym 16 cukrowni na Zadnieprzu. Nie skorzystał jednak z tej propozycji i podjął pracę w firmie Rzewuskiego produkującej sikawki pożarnicze, zresztą bardzo ciężkie i niepraktyczne w użyciu. Ulepszył te sikawki, a także drabiny strażackie i różny sprzęt pożarniczy, w tej liczbie przedmioty uzbrojenia osobistego strażaków, jak: hełmy, tarcze ochronne (azbestowe), topory i bosaki³³.

I znów nic nie przedstawiało się aż tak prosto, jak to zostało przekazane, bo sprawa zatrudnienia w warszawskiej firmie „Ignis – Rzewuski i S-ka” miała kilkietapowy przebieg. Można się domyślać, że obydwie strony zawczasu doskonale wiedziały, co i po co robią, że doszło do rozmów wstępnych, a oferta pracy była poprzedzona całkiem merytoryczną dyskusją o pożarach, ochronie przeciwpożarowej i sprzęcie gaśniczym oraz zasięgu handlem narzędziami pożarniczymi. Z jednej strony spotkała się fachowość i zapal, z drugiej doświadczenie i chęć ekspansji, również na rynki rosyjskie (przy czym Kijów byłby tu przyczółkiem). By jednak odnieść sukces należało produkować sprzęt odporny na niefachową obsługę, a jednocześnie łatwy do przemieszczania.

Śladem tego jest pewna podróż, mająca na celu ni mniej, ni więcej, tylko szpiegostwo przemysłowe. Otóż nim Tuliszkowski zaczął działać w Warszawie, w samym końcu 1902 r. odbył kilkutygodniową podróż do Niemiec i Austrii, by zapoznać się z fabrykowanymi tam maszynami i narzędziami pożarniczymi. Wycieczka miała jeszcze szerszy wymiar, bo choć miał głównie zwiedzać fabryki, przy okazji zwiedzał strażę pożarne. To wtedy po raz pierwszy zobaczył motoryzację i pożytki z niej płynące, która była wówczas zaledwie ciekawostką, a nie powszechną praktyką. Przede wszystkim zapoznał się z wytwarzaniem pojazdów i sprzętu pożarniczego.

Zwiedził fabryki Brauna w Norymberdze, Magirusa w Ulm, Knausta, Kenreitera i Millera w Wiedniu, a także wiele mniejszych w Berlinie, Hamburgu, Stuttgarcie, Kolonii, Moguncji i Frankfurcie³⁴.

Przeciwpożarowa podróż po krajach niemieckich młodego inżyniera z Polski, znającego perfekcyjnie język niemiecki, wypadła bardzo dobrze. Na spożytkowanie

³³ S. Pągowski, *Pionier polskiego pożarnictwa*, s. 9.

³⁴ W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski...*, s. 2.

jej owoców byli gotowi zarówno on, jak i jej zleceniodawca i potencjalny pracodawca. Zatem kontrakt na działalność projektowo-techniczną inż. Tuliszkowskiego w firmie „Ignis – Rzewuski i S-ka” podpisano, ku korzyści obu stron. Pracę podjął w dniu 1 stycznia 1903 roku. Umowę rozwiązano w dniu 1 maja 1906 r., gdy już nie było co robić z przyczyn politycznych³⁵.

Jaki miał zakres obowiązków? Oto, co zachowało się z tamtych lat:

(...) w firmie „Ignis” zorganizował dział pożarniczy z warsztatami, by zaoferować strażom ogniowym dobry, sprawny i lekki sprzęt pożarniczy. Firma ta dotychczas produkowała stacjonarne sikawki strażackie bardzo ciężkie i niepraktyczne w użyciu, szczególnie trudne w transporcie na ówczesnych polskich drogach. Tuliszkowski ulepszył je, jak również drabiny strażackie i inny sprzęt pożarniczy. Zaprojektowana przez niego sikawka przenośna ze stożkowatymi zaworami we wspólnej komorze zyskała duże uznanie i na konkursie sikawek, zorganizowanym w 1904 r. przez Ziemstwo Kijowskie, zajęła pierwsze miejsce³⁶.

Już konstrukcja sikawki dawałaby Tuliszkowskiemu miejsce w podręcznikach historii pożarnictwa (gdyby je napisano), ważniejsze niż powołanie do życia straży pożarnych. Przecież prócz tego zaprojektował kilka jeszcze narzędzi i urządzeń. Do sprawy sikawek będziemy kilka razy wracać, gdyż na linii walki merytorycznej „inż. Tuliszkowski – reszta świata” okazywały się kluczowymi wręcz dziejotwórczo. Tymczasem znalazł czas na liczne inicjatywy, wszystko w ciągu 3,5 roku zatrudnienia, przy czym końcowy rok należy określić jako jałowy, gdyż trwały już strajki i zamieszki związane z rewolucją lat 1905–1907 w Imperium Rosyjskim, rozlaną również na Królestwo Kongresowe. Zatem w 2,5 roku dokonania Tuliszkowskiego były następujące:

W okresie tym usprawnił hamulec ratunkowy klamrowy do przyrządu Heniga (zamiast zawodnego ślimakowego), kasku dla naczelników ochotniczych straży pożarnych, wzorowanego na starych polskich hełmach husarskich, przyjętego później przez Związek Floriański i Warszawską Straż ogniową, opracował szkolne ćwiczenia z sikawką przenośnią i drabiną zestawną polską. Ulepszył hełm dymowy, respirator, zatrzaśnik do linki ratowniczej, podpinkę, bandaż etc. Myślał już wtedy o ochronnych naramiennikach łuskowych³⁷.

Wiemy też, jak firma „Ignis” reklamowała się np. w 1904 r., czyli już po solidnym zadomowieniu się w niej rzutkiego inżyniera Tuliszkowskiego. Otóż firma ta oferowała nie tylko kompleksowe wyposażenie straży pożarnych w sprzęt: wozy, sikawki, drabiny, maski przeciwgazowe, ubrania ochronne, hełmy itd., ale również proponowała usługi organizacyjne. Zatem można było zakupić w niej projekt wozowni, strażnicy, stajni. Miasto mogło zamówić sobie sieć sygnalizatorów pożarowych miejskich. A straż pożarna mogła wynająć sobie kogoś, kto by ją wytrenował i urządził jej ćwiczenia³⁸.

³⁵ Tamże.

³⁶ Tamże, s. 27.

³⁷ Tamże.

³⁸ Reklama firmy „Ignis” Rzewuski i S-ka, „Strażak” 1904, nr 12.

Na swoim

Tuliszkowski, przystępując do kontraktu z warszawską firmą Rzewuskiego, stał na całkiem mocnej pozycji. Działał znacznie szerzej niż na samym tylko polu ochrony przeciwpożarowej. Zaangażował się bardzo mocno w upowszechnianie oświetlenia gazowego, będącego szczytem techniki, mianowicie opartym na ciśnieniowym podawaniu gazu do palników, z centralnym sterowaniem mocą płomieni. System miał handlową nazwę „Millenium”. Miał być tańszy od „tradycyjnego” oświetlenia gazowego o 50%, a od elektrycznego nawet o 90%³⁹. O silnym zaangażowaniu w to przedsięwzięcie świadczy fakt, że stało się ono powodem debiutu nie tyle książkowego, bo rzecz była kilkunastostronicowa, co broszurowego Tuliszkowskiego⁴⁰.

Ponadto Tuliszkowski założył własną firmę projektową. Jednocześnie przeprowadzka do Warszawy nie oznaczała zerwania z Kijowem, gdzie wypracował sobie świetną markę własną.

Jakim cudem znajdował czas na pogodzenie obowiązków dla firmy „Ignis” (wynalazki tam dokonywane i usprawnienia techniczne i technologiczne, których nie wystarczyło tylko wymyślić, ale należało jeszcze przełożyć na projekt techniczny technologii wykonania) oraz na działalność własną, naprawdę trudno powiedzieć. Projektowanie na własny rachunek nie było jego główną działalnością, raczej dorywczą, ale tym sposobem nie zdejmował ręki z pulsu rynku projektów budowlanych i inżynierskich. Pozostaje faktem, że jest to czas, w którym nastąpiła ustawiczna praktyka życiowa Tuliszkowskiego, to jest zajmowanie dwóch etatów jednocześnie, jak niektórzy mówili „zawsze siedział na dwóch stołkach”. Może w tym jest jedna z przyczyn, że zwykle nie dostawał najwyższych stanowisk w organizacjach strażackich o charakterze społecznym. Jednak i na nie znajdował czas.

Działalność pożarniczą rozpoczął w Królestwie od prowadzenia wykładów na tematy pożarnicze w kilku szkołach. W szkole rolniczej w Pszczelinie zorganizował szkolną straż ogniową, gdzie przez kilka lat prowadził wykłady i ćwiczenia praktyczne. W 1904 r. zorganizował straż ogniową ochotniczą w Puławach, a później Brzozowej, Kijanach i Nałęczowie. Szkoły i straże tam działające odwiedzał potem wiele razy. W strażach tych spośród pewnych członków tworzył organizacje paramilitarne, gromadząc w niektórych wsiach broń⁴¹.

Jak widać Tuliszkowskiemu wszystko splotało się w zagadnienia wspólne. Te zagadnienia przybrały bardzo wyrazistą postać. Miało to związek z wydarzeniami w skali światowej, dotyczącymi tak Imperium Rosyjskiego, jak rosyjskiego imperia- lizmu. I jego kompromitacji.

³⁹ J. Tuliszkowski, *Światło „Millenium”*, „Przegląd Techniczny” 1904, nr 9, s. 120–123, nr 11, s. 148–150.

⁴⁰ J. Tuliszkowski, *Millenium: lepsze światło gazowe*, Warszawa 1904.

⁴¹ Tamże, s. 26–27.

Rewolucja 1905–1907 w Imperium Rosyjskim i w Królestwie Polskim

Ogromne zamieszanie dziejące się w Imperium Rosyjskim w latach 1905–1906, przesunięte na jego krańcach na 1907 r. miało kilka przyczyn. Jedną z najważniejszych były stosunki feudalne w samej Rosji, czyli nieznośny wprost bezwład administracji, wrogiej jakimkolwiek inicjatywom obywatelskim. Tu należy poczynić zastrzeżenie: w Rosji nigdy nie było obywateli, tylko poddani. Nie było też parlamentu. Każdą formę samowładzy musiała zaakceptować władza.

Stosunki feudalne, skrzyżowane w nierozłączny splot z etatyzmem, nie dawały widoków na przyszłość praktycznie żadnej grupie społecznej nieposiadającej znacznego majątku czy stanowisk w administracji. Edukacja, zdrowotność, rozwój gospodarczy, wolności osobiste – wszystkie te zagadnienia w kraju dysponującym całą tablicą Mendelejewa surowców i możliwości przedstawiały się wprost tragicznie, gdyż niemal każdym aspektem życia rządili urzędnicy, wobec których należało zachowywać się w sposób uniżony, a bez łapówki nawet nie podchodzić.

Deficyt wolności i samowładność administracji powodowały naturalne odruchy oporu. Dobrze zatem miały się w Rosji ruchy wywrotowe, gdyż znajdowały cały szereg uzasadnień do działania. Nawet w kwestiach wiary nie było ładu, gdyż prawosławie rosyjskie wprost popierało system sprawowania władzy jako boski, jednocześnie nie wymagając za wiele pod względem moralnym od mas ludności. Cechą szczególną było sekciarstwo, ruchy mistyczne, a też, tępieni aż do opisywanych wydarzeń tzw. starowierowie, którzy w tym grzesznym świecie, przesiąkniętym jednakowoż fatalizmem, narzucali sobie nie tyle bardzo surowe kryteria życia, co nie przyjmowali nowinek, jak reformy, mające uczynić prawosławie bardziej światowym bądź poddanym carowi. To też przeszkadzało urzędnikom carskim, wszak to wiara w dobrą wolę cara była elementem systemu rządzenia, a nie ustawiczne gadanie o rządach antychrysta i końcu świata. Zatem w Rosji administracja carska ustalała wzorzec poddanego, tj. człowieka potulnego i niezadającego zbędnych pytań, realizującego polecenia, znoszącego wszelkie szykany i niesprawiedliwości bez słowa skargi, do którego to wzorca właściwie nikt nie pasował, bo wzorców było tyle, co nierozumnych urzędników. Kraj tak ogromnych możliwości pozostawał stale zacofany, na obraz i podobieństwo zarządzających nim urzędników. Prawomyślności pilnowała policja polityczna, tzw. „Ochrana”, która wszelkim innym działom biurokracji rosyjskiej podobno mogła służyć jako przykład uporządkowania spraw własnych, jak archiwa, a przecież gubiła się w prowokacjach, hodując ludzi pokroju Włodzimierza Uljanowa (Lenina) i Josipa Dżugaszwilego (Stalina).

Ekspansja terytorialna kolosa na glinianych nogach

W dodatku Rosja, z racji rozmiarów i konieczności udowadniania, że jest wielka, wchodziła w ustawiczne konflikty zbrojne z ościennymi krajami. Rozrastała się terytorialnie, ale nie umiała skonsolidować nabytków. Brakowało ku temu pomysłów,

a zwłaszcza wyobraźni rządzących. Np. w czasie, gdy zachodnią Europę (łącznie z Królestwem Polskim) spowiła sieć połączeń kolejowych, w Rosji wielkim wysiłkiem budowano pojedyncze nitki dróg żelaznych (dla starowierców – wynalazek szatana). Oczywiście w Rosji odległości były ogromne, przecież interesy strategiczne wymagały sprawnego przesuwania mas wojsk i towarów.

Odległości były aż za wielkie, bo i podboje nazbyt łatwe, szczególnie, że dotyczyły pustek osadniczych bądź ziem należących do ludów z epoki plemienniej. Czasami można też odnieść wrażenie, że dany podbój był dokonywany jako cel sam w sobie, by udowodnić, że nikt nie może sprzeciwiać się imperialnej myśli rosyjskiej, choćby do interesu dokładano. Już w XVIII w. Rosjanie opanowali terytorium Alaski, co się nazywało Rosyjską Ameryką. Sprzedano Alaskę Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej w 1866 roku. Niemniej prestiż mocarstwa wymagał, by nad Oceanem Spokojnym trwać. W 1860 r. Rosjanie założyli miasto-port Władywostok w części kontynentalnej Azji, rozciągając swoje panowanie wzdłuż północno-wschodniej granicy Chin.

O ile przedsiębiorczy ludzie radzili sobie, to administracja już nie. Niemniej polityka wymagała, by Rosja ciągle rosła w siłę, tj. w terytoria. Więc skoro pod koniec XIX w. takie mocarstwa jak Cesarstwo Niemieckie, Imperium Brytyjskie, Francja, a nawet Stany Zjednoczone Ameryki zainteresowały się sytuacją w Chinach, które właśnie przegrały wojnę z Japonią. Rosja też postanowiła pokazać, że jest wielka, mimo że nie potrafiła zagospodarować dotychczasowych zdobyczy, w czym rolę decydującą odgrywały dwa czynniki: korupcja i niekompetencja administracji tak cywilnej, jak wojskowej. Zatem gdy wybuchło w Chinach tzw. powstanie bokserów, tj. powszechny ruch antykolonizacyjny a zarazem antychrześcijański, Rosja ochotczo włączyła się do jego likwidacji. Miała znów wielki zysk terenowy, gdyż zajęła Mandżurię, potrzebną jej, by połączyć krótszą linią kolejową Władywostok z imperium. Co prawda miała się wycofać z Mandżurii po zakończeniu interwencji, bo okupacja tych obszarów nie była opłacalna, ale postanowiła pozostać. Kuszący był tu niezamarzający port, zwany Port Artur, który wydzierżawiła od Chin, ale umocnić już nie potrafiła. Ani pogłębić, by pancerniki mogły wpływać i wypływać niezależnie od pływów morskich.

Cesarstwo Japonii jeszcze nie było mocarstwem, a przed pokoleniem mogło uchodzić za kraj gotów, by go kolonialnie podbić, mianowicie żywy skansen średniowiecza i kastowości feudalnej. Jednak w ciągu zaledwie jednego pokolenia Japonia zmodernizowała się do stadium kolei żelaznych, przemysłu ciężkiego tudzież szkolnictwa podstawowego, średniego i wyższego na wzór najlepszych ośrodków zachodnich. Zaczęła produkować towary w pełnym asortymencie i mogła bogacić się na ich zbywaniu, by móc produkować środki do budowy niezależności, tj. broń. Brała jako wzorce to, co najlepszego znalazła na świecie. Np. w zakresie walki lądowej naśladowała armię pruską, a w zakresie morskim brytyjską marynarkę wojenną, gdzie zamówiono budowę okrętów i nabywano licencje.

Doskonale w Japonii rozumiano, że dla rozwoju, czyli wzrostu zamożności obywateli, potrzebne są czynniki, jakich nie posiadała: surowce i rynki zbytu, inaczej zostanie zredukowana do stadium kolonii przez któreś z mocarstw. Japonia, tak samo jak kolonialne mocarstwa zachodnie i Rosja, postanowiła wykorzystać słabość Chin. Tymczasem zyskała kilka baz morskich, w tym wyspę Tajwan.

Rosja, opanowując Mandżurię, zaczęła graniczyć z Koreą, która dopiero co wyszła za sprawą Japonii spod władania chińskiego. W perspektywie procesów dziejowych ery kolonializmu uzyskanie wpływów w Korei to dla Japonii być albo nie być. Rosja zaś, co wreszcie dociągnęła jedną nitkę kolejową do Władywostoku, nie zgodziła się na żadne gwarancje traktatowe, a postanowiła przejąć rolę chińską, czyli wpływać na Koreę.

Wojna rosyjsko-japońska, czyli kompromitacja Rosji

Kryzys narastał, głównie z powodu zlekceważenia Japonii przez Rosję. Co prawda przebazowano z Europy do Port Artur i Władywostoku szereg ciężkich okrętów, tworząc tym samym 1 Eskadrę Oceanu Spokojnego (7 pancerników, 8 krążowników, 13 niszczycieli i 2 kanonierki), wzmacniającą dotychczasową Flotyllę Syberyjską (4 krążowniki i kilkanaście innych jednostek) oraz wiele oddziałów armii lądowej. Do obydwu rodzajów wojsk kierowano teoretycznie najlepszy materiał ludzki, ale oprócz niektórych głównych dowódców mało komu uśmiechała się służba tak daleko od domu.

Okazało się, że dobrze zarządzana Japonia potrafiła wypracować nad Rosją nie tyle przewagę materiałową, bo tej nie miała (mniej pancerników), ale taktyczną, co z uwagi na skrajną niekompetencję wyższej kadry oficerskiej armii i marynarki wojennej rosyjskiej okazało się całkiem łatwe. W dniu 8 lutego 1904 r. flota japońska zaatakowała z zaskoczenia flotę rosyjską w Port Artur, uszkadzając kilka pancerników za sprawą ataków torpedowych. W pojedynkach artyleryjskich niewiele się rozstrzygało, ale to Japończycy stopniowo zyskiwali przewagę. Po kilku miesiącach walk to strona rosyjska notowała coraz większe straty, w dodatku z utratą głównodowodzących siłami morskimi. Latem 1904 r. 1 Eskadra Oceanu Spokojnego straciła inicjatywę manewrową, a próba przebicia blokady zakończyła się porażką i rozproszaniem. Tymczasem Japonia od początku wojny przerzucała bez przeszkód przez morze masy wojsk i zaopatrzenia dla nich, a Rosja mogła tylko się temu biernie przyglądać. Rosja przegrywała też bitwy lądowe wokół Port Artur.

Gdyby te sprawy miały się w części europejskiej, Rosja poradziłaby sobie z Japonią bez większych kłopotów. Wojna dotyczyła jednak terytoriów bardzo odległych, połączonych z imperium linią kolejową nie dość, że jednotorową, to niekompletną. Jako że Rosja nie potrafiła przekształcić podbitych terenów w rejony samowystarczalne gospodarczo, czy wytworzyć w nich choć podstawowego zaplecza przemysłowego, większość sprzętu należało transportować przez całe jej terytorium, co generowało olbrzymie koszty i było nie mniejszą stratą czasu. Czy naprawdę było

wielką trudnością uruchomienie fabryki amunicji karabinowej lub nawet artyleryjskiej w takim Władywostoku? Albo szyc tam mundury...?

W Rosji dopiero jesienią 1904 r. uruchomiono plan udzielenia pomocy morskiej osłabionej flocie dalekowschodniej, mianowicie wysłania floty bałtyckiej jako II Eskadry Oceanu Spokojnego, jednak bez oglądania się na stan sprawności okrętów, wyszkolenie załóg czy ogólną przydatność (zadysponowano m.in. również żaglowe okręty pancerne i bardzo powolne pancerniki obrony wybrzeża, nieprzystosowane do pływania po oceanach, nie wyposażono okrętów w pełne jednostki ognia – amunicji miało wystarczyć na jedną bitwę morską). Dzieje tej wyprawy, trwającej ponad pół roku, pełnej kompromitujących epizodów i udręczenia załóg okrętów (brak miesiącami informacji o świecie, listów od rodzin i ciepłej strawy), zakończyły się w bitwie morskiej pod Cuszimą absolutnym pogromem eskadry rosyjskiej. Z końcem 1904 roku absurd sytuacji widział bądź czuł każdy rozsądny człowiek. Port Artur padł, a jego flota spoczęła na dnie (Japończycy podnieśli i wyremontowali kilka pancerników), a flota bałtycka i tak parła powoli, mozolnie przez oceany.

Do bitwy pod Cuszimą doszło w dniach 27–28 maja 1905 r. Japończycy bez strat własnych w okrętach ciężkich zatopili bądź zdobyli, nie licząc kilkunastu mniejszych jednostek, 20 ciężkich okrętów artyleryjskich. Łącznie Rosja straciła w tej wojnie ponad 30 pancerników i krążowników.

Kryzys wewnętrzny Rosji

Sposób zarządzania Rosją był zły, więc działo się źle. Ludność ciągle karmiona informacjami o wielkości i sile Rosji, pocieszająca się tym, że wzbudza strach w otoczeniu, nie mogła pojąć, jak to możliwe, że jakiś daleki, nieznany kraj potrafi zyskiwać przewagę nad świętą matką Rossiją (tak mówiono na imperium), zresztą w walce o terytorium, które nikomu do niczego nie było potrzebne. Okazało się, że do tej wojny należy zaangażować ogromne masy wojsk i wszelkie zasoby. Mobilizacji podlegali zarówno chłopci z Kongresówki, jak i lekarze z Kijowa. I że musi tam popłynąć cała flota wielkich okrętów z Bałtyku, inaczej wojny się nie wygra.

W kręgach rządzących wiadomo było, że Rosji nie stać na tę wojnę. Ogromny kraj, bogaty we wszelkie bogactwa naturalne i czarnoziem, próbował zaciągać pożyczki zagraniczne, bo własne finanse wyczerpał. Jednocześnie wszelkie ceny wzrosły o kilkadziesiąt procent. Pamiętano też wielki głód z lat 1891–1892. Ludność całego imperium wrzała, a środki policyjne zaprowadzania porządku zawodziły. Od 1901 r. wielotysięczne strajki robotników głównych miast Rosji szły w parze z buntami chłopskimi. W znacznej mierze nie były to działania spontaniczne, gdyż ruchy wywrotowe przygotowywały się do zamieszek. Potrafiły skanalizować niezadowolone masy ludzi, zwłaszcza robotników, a jednocześnie skoordynować wystąpienia tak, by demonstracje i zamieszki wybuchły w wielu miejscach jednocześnie. Socjaldemokratyczna Robotnicza Partia Rosji i jej partie satelickie, jak Polska Partia

Socjalistyczna, w 1903 r. podjęły przygotowania do rewolucji, niemal otwarcie narażając się nad środkami i zasobami ku temu. Aktywnie wspierał je wywiad japoński, dostarczając pieniądze i broń.

Upadek Port Artur, będący kompromitacją wojsk rosyjskich (poddano twierdząc, choć można się było jeszcze długo bronić), był sygnałem do wybuchu kolejnych protestów społecznych, mających w sobie coś ze zbiorowej histerii. Zbierały się wielotyśne, pokojowe manifestacje. Zbierano podpisy pod petycjami do cara, z wiarą, że tylko on jeden nie wie, jak źle zarządzana jest Rosja. W dniu 22 stycznia 1905 r., w niedzielę, w Petersburgu, jedna z tych manifestacji, licząca do 100 tys. ludzi, bogato wyposażona w portrety cara, chorągwie cerkiewne, obrazy świętych, pomaszerowała ze śpiewem pieśni ojczyźnianych i nabożnych pod Pałac Zimowy, by wręczyć carowi petycję ze 135 tys. podpisów, z uniżoną prośbą o 8-godzinny dzień pracy i uwolnienie więźniów politycznych. Zachodni monarchowie, krewni cara Mikołaja II, zgodni byli, że sam jeden zażegnałby niebezpieczeństwo, osobiście przyjmując petycję z rąk ludu bądź do niego po prostu przemawiając. Car jednak rozkazał wojsku strzelać, a sam uciekł do Carskiego Sioła. Wojsko wykonało polecenia, przy czym oddawaniu salw przez piechotę do bezbronnego tłumu towarzyszyły szarże kozaków, tnących ludzi szablami.

Kilkuset zabitych, kilka tysięcy rannych, wśród ofiar kobiety i dzieci. Krwawa Niedziela, bo tak nazwano ten dzień, zapoczątkowała tysiące strajków, protestów i buntów w całym imperium. Protestowały wszystkie grupy społeczne, za wyjątkiem arystokracji. Nastąpiły bunt y żołnierzy. Manifestacje i strajki zmieniały się w zamieszki i walki uliczne, tym bardziej, że wszędzie odbywały się według scenariusza z Krwawą Niedzieli.

Nie inaczej działo się w Królestwie Polskim.

Przygotowania do rewolucji w zaborze rosyjskim

Z perspektywy ponad 100 lat możemy obejrzeć niektóre wydarzenia niczym scenariusz filmu sensacyjnego niezbyt wysokich lotów. Bo jak zrozumieć, że podróżuje przez pół świata ideowy zwolennik opcji politycznej, by zyskać od obcego kulturowo kraju pomoc dla przewrotu rewolucyjnego, mającego przywrócić wolność jego ojczyźnie? I jak zrozumieć, że jedzie za nim jego główny przeciwnik polityczny, by kierując się dobrem własnego kraju, to jest by nie wystawić go na zniszczenie, namawiać tych samych obcych ludzi, by nie udzielali pomocy temu pierwszemu emisariuszowi?

W 1904 r. w Tokio przebywali zarówno Józef Piłsudski, jak i Roman Dmowski. Piłsudski miał dla Japończyków, a ściślej rzecz biorąc ich wywiadu, dwie propozycje. Pierwsza, to utworzenie legionu polskiego z jeńców rosyjskich pochodzenia polskiego, co Japończycy z miejsca odrzucili. Druga, to poparcie PPS-u pieniędzmi i bronią, by partia ta mogła wywołać skuteczną rewolucję na terenie Królestwa Polskiego – nad

tym się wahali. Dmowski próbował poprawić los tych jeńców, tłumacząc jednocześnie Japończykom, że PPS poza awanturą niewiele może zrobić na terenie Polski.

Koniec końców Japończycy nie wsparli PPS-u, a Dmowski z Piłsudskim rozmawiali osobiście, zresztą było to niejako podsumowanie wcześniejszych rozmów, bo zarówno PPS, jak i Narodowa Demokracja zastanawiały się, jak wykorzystać kryzys Imperium Rosyjskiego dla sprawy polskiej. Doszły jednak do wniosków rozbieżnych. Działacze PPS uznali, że jest to wielka okazja do wywołania wreszcie skutecznego powstania zbrojnego. Działacze ND uznali, że Rosja i tak poradzi sobie z takim powstaniem, bo PPS nie działa na rzecz Polski, tylko na rzecz międzynarodówki socjalistycznej, a z zamieszania na terenie Kongresówki skorzystają inni, jak Finlandia czy Szwecja. Po latach Piłsudski wspomniał chyba właśnie tamte wydarzenia takimi słowy:

*(...) zapluty karzeł na krzywych nóżkach, wypływający swą brudną duszę, opluwający mnie zewsząd (...), śledzący moje kroki, robiący małpie grymasy, przekształcający każdą myśl odwrotnie; ten potworny karzeł pełzał za mną jak nieodłączny duch (...), krzyczący frazesy, wykrzywiający potworną gębę, wymyślający jakieś niesłychane historie; ten karzeł był moim nieodstępnym druhem, nieodstępnym towarzyszem doli i niedoli, szczęścia i nieszczęścia, zwycięstwa i klęski*⁴².

Natomiast z kręgu współpracowników Dmowskiego zapamiętano taki przebieg rozmów między rodakami w Japonii: *miał on usłyszeć od PPS-owca procesję mętnych frazesów, wygłoszonych z ogromną pewnością siebie*⁴³.

Współpraca z wywiadem japońskim jednak się odbywała, w szerszym kontekście niż sprawa polska – Japończycy po prostu wspierali wszelkie zamieszki na terenie Rosji, a już w szczególności bunt żołnierskie. Nastawienie patriotyczne części PPS-u było dla nich wartością marginalną.

W ramach PPS-u utworzono organizację bojową i przystąpiono do działań rewolucyjnych na terenie Kongresówki. Narodowa Demokracja przystąpiła do organizacji własnych oddziałów, nastawionych lojalnie wobec administracji rosyjskiej.

Na terenie Kongresówki działało jeszcze kilka innych partii socjalistycznych o nastawieniu bojowym. Były to zdecydowanie marksistowska Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy oraz Bund, socjalistyczna partia żydowska (antyreligijna i antysyjonistyczna) – obie działały jako części Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji, realizując jej cele. Zatem nie całe zamieszanie lat 1905–1906 było dziełem bardziej patriotycznie nastawionej PPS.

⁴² E. Maj, „Zapluty karzeł”, czyli fragment dziejów stosunków między Narodową Demokracją a Józefem Piłsudskim w latach 1918–1921, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska” 1997, nr 4, s. 47–58.

⁴³ A. Garlicki, *Józef Piłsudski: 1867–1935*, Warszawa 1988, s. 85.

Wydarzenia z lat 1905 i 1906 w Królestwie Polskim

W podręcznikach do historii zwykło się przedstawiać rewolucję 1905–1906 w Kongresówce jako zdrowy odruch ucisnionych mas, które car i jego wojska postanowili rozbić salwami z karabinów i roznieść na szablach. Tak też było. A przecież aż za często wypadki, zasze ze szlachetnych pobudek, przekształcały się w pospólity bandytyzm, zresztą bandyci wykorzystywali wszelkie demonstracje do własnych celów. Przeciętni obywatele mogli zobaczyć, że starcia zbrojne są prowokowane, że wiele manifestacji odbywa się pod czerwonymi sztandarami, a ich celem jest wywołanie zamieszek. W Warszawie strzelano do ludzi, zginęło ponad 100 osób. W Łodzi doszło do przewlekłych walk ulicznych z budową barykad i wymianą ognia. Bojówki rewolucyjne strzelały do wszelkich „posiadaczy”, wierząc, jak wszelkiego autoramentu anarchiści, że jak przejmą ich majątki i fabryki to wszystkim będzie lepiej. Efekty: zginęło do 1000 osób. Co gorsza, na kilka miesięcy zamknięto wszystkie fabryki, więc bez środków do życia pozostało ponad 100 tys. ludzi. Nic dziwnego, że górę wzięły robotnicze bojówki, związane z Narodową Demokracją.

Od drugiej połowy roku 1904 Imperium Rosyjskie, w tym Królestwo Polskie, ogarnęło wrzenie rewolucyjne. Kilkutysięczne rzesze robotników gromadziły się podczas manifestacji ulicznych i strajków. Na ulicach zapanowało bezprawie, z czego korzystały także środowiska przestępcze. Dochodziło do rabunków, napadów, strzelanin oraz ataków z użyciem materiałów wybuchowych. Do tego krążące plotki o kolejnych wybuchach przemocy i samosądach nie pozostawiały mieszkańcom złudzeń, że ich codzienność wróci do normy. Policja straciła kontrolę nad sytuacją w miastach, a ich ludność musiała szukać nowych sposobów na wymierzanie sprawiedliwości i ochronę.

Słabość władz i kruchość porządku społecznego stały się widoczne dla wszystkich obserwujących fale przemocy, które zalewały większe ośrodki cesarstwa. Jednakże wiosną 1905 roku Warszawa wydawała się być ogarnięta anarchią bardziej niż jakiekolwiek inne miasto w Rosji⁴⁴.

W tejże publikacji określono, do kogo ludzie zwracali się o pomoc, by czuć się bezpiecznie.

A. Ascher, „*The Revolution of 1905*, t. 1: *Russia in Disarray*, Stanford 1988, s. 134.” Autor wskazuje, że w niektórych miastach, np. Nowomińsku (dziś Mińsk Mazowiecki) pod Warszawą, obowiązki władz przejęły grupy robotnicze, do których mieszkańcy zwracali się o pomoc w rozwiązywaniu ich problemów czy sporów⁴⁵.

Piłsudski zarządzał walkami aż z Zakopanego. Głównym jego narzędziem był telegraf. Dmowski widział to tak:

Cały ten syfilis polityczny, którym nas zarażali Moskale przez lat czterdzieści, wysypał się obecnie i nie wiadomo jak się skończy. Socjały w r.z. [Rzeczypospolitej] uwierzyły, że

⁴⁴ A. Jakubczak, *Pogrom domów publicznych w Warszawie*, Warszawa 2022, s. 9.

⁴⁵ Tamże, przypis 1.

czas przyszedł „obalić carat” – gdy im się „rewolucja” nie udała mszczą się na własnym społeczeństwie, niszczą je strajkami, rabują, mordują burżuazyjnych fabrykantów i narodowców (ci ostatni odpłacają im nieraz tem samem). Wierząc w rewolucję utworzyli sobie drużynę bojową, złożoną z chłopaków od lat 15 do 20, z robotników bez pracy, z nożowców i złodziei nawet zwyczajnych. Dla tej drużyny sztabem są żydzi, histerycy i najzwyczajniejsi wariaci (...). Z taką rewolucją zmuszeni jesteśmy walczyć na noże⁴⁶.

Warto poznać i ten punkt widzenia, bo przecież wspomina się w opracowaniach historycznych głównie patriotyczne elementy rewolucji, a przecież w większości wystąpienie nie o to chodziło. Dmowski znał socjalizm międzynarodowy. Uważał, że zamieszanie ma na celu dojście do władzy socjalizmu, którego źródła były w Rosji. Nie w Niemczech, Francji, czy Anglii, ale w Rosji. Rosyjski socjalizm uważał za tak samo imperialny, jak carat, co zresztą miało się ziścić, gdy komuniści doszli w Rosji do władzy.

Ale nie z samych zaburzeń społecznych składały się wydarzenia zimy i wiosny 1905 roku. Przecież doszło do strajku szkolnego polskich dzieci – w obronie języka polskiego. Doszło też do strajków urzędników w obronie języka polskiego, w tym Bolesława Chomicza. Strajkowali ludzie naprawdę dobrze uposażeni, niemający powodów do narzekania, poza tymi, że nie mogli używać mowy ojczystej w dokumentach oficjalnych.

Większość czynności rewolucyjnych w Królestwie Polskim, w tym strajki szkolne i urzędnicze, działa się od grudnia 1904 r. do lutego 1905 roku. Z perspektywy opisów demonstracji i walk można odnieść wrażenie ich znacznej wielkości. Jednak demonstracje były wszędzie bardzo sprawnie rozpraszane przez rosyjskie oddziały wojskowe. Z czasem walka partii robotniczych przybrała postać zamachów na urzędników oraz strajków z wykorzystaniem bojówek i starć tych bojówek. PPS działała całkiem skutecznie, zresztą ustanie rewolucji nie oznaczało dla niej zaprzestania działań zbrojnych. W skoordynowanym ataku w ciągu jednego dnia potrafiła przeprowadzić kilkadziesiąt zamachów na urzędników carskich, z wielkim powodzeniem.

Czynny udział w wydarzeniach wziął również Józef Tuliszkowski.

Przez pewien czas brał udział w kole młodzieży niepodległościowej im. J. Kilińskiego. Później związał się z zakonspirowanym i tępiącym przez zaborców „Kolem Kresowym”. W roku 1905 z ramienia tego koła organizował „część techniczną” wiecu włościańskiego, tzn. zabezpieczał kwatery dla jego uczestników oraz zajmował się ochroną samego wiecu, kierując grupą 120 uzbrojonych członków oddziału bojowego⁴⁷.

I tu powinniśmy zapytać, kto miałby zagrozić wiecowi włościańskiemu? Czyżby ta uzbrojona grupa, jakby inni powiedzieli „bojówka”, była kierowana przeciw władzom zaborczym? Raczej nie. Raczej też nie polscy urzędnicy i dzieci, strajkujący bez użycia przemocy wówczas po to, by język polski przywrócić do obrotu urzędowego

⁴⁶ R. Dmowski w liście z 1906 r. do Zygmunta Milkowskiego, za: Marta Sikorska-Kowalska, *Wybory do Dumy w cieniu rewolucji 1905–1907 roku w świetle łódzkiej gazety „Rozwój”*.

⁴⁷ W. Jabłonowski, Józef Tuliszkowski..., s. 26.

i szkolnego, mogli zagrozić zbierającym się na wiecu rolnikom, których osłaniał Tuliszkowski i jego ludzie. Kto więc? Siły, które nie lubiły zarówno cara i jego administracji, jak wszystkich pracodawców i każdego z nich z osobna. Czyli bojówki socjalistyczne różnych opcji.

Natomiast wyniki rewolucji lat 1905–1907 były następujące.

Car zakończył większość wystąpień, tj. już po zawarciu pokoju z Japonią odebrał masowe poparcie działaniom wywrotowym manifestem z października 1905 r., w którym dał szereg wolności obywatelskich. Powołał parlament (Dumę), do której ogłoszono wybory. Z Kongresówki dostali się do niej m.in. Roman Dmowski i Władysław Grabski.

W Kongresówce dozwolono język polski jako urzędowy i szkolny, czego już cofnąć się nie dało, mimo różnych zakusów rosyjskiej administracji (ta nie zważała do samego końca). SDKPiL i Bund nadal były ukierunkowane na rosyjskie wzorce socjalizmu, to jest antyreligijność i anarchię społeczną, w szczególności nienawiść do pracodawców. Przyszłym państwem miał być ponadnarodowy twór socjalistyczny, a komu by się to nie podobało, w imię tak rozumianego postępu powinien być usunięty. PPS rozbiła się na dwie części. Lewa poszła drogą rosyjskich socjalistów, a prawa wytworzyła „PPS Frakcję Rewolucyjną”, która przyjęła walkę o niepodległość Polski jako zasadnicze hasło własnych sztandarów. Nadal siała skuteczne zamieszanie, trzymające w czujności carską administrację, jak napady na konwoje pieniędzy.

Plan Narodowej Demokracji, by odzyskać autonomię Królestwa Polskiego w zamian za poparcie rządu w czasie rewolucji, okazał się płonny. Autonomię zyskało za to Wielkie Księstwo Finlandii, gdzie nie było żadnych gwałtownych wystąpień przeciw posiadaczom czy rosyjskim okupantom: tak oto spełniły się rachuby i plany obcych na to, że na warcholstwie Polaków da się zyskać więcej od nich samych.

Ponadto warto powiedzieć, że wydarzenia rewolucyjne i strajki polityczne – przez ogólne zachwianie zarówno produkcją, jak i zbytem – pozbawiły wielu ludzi, w tym Józefa Tuliszkowskiego, zatrudnienia, a więc środków do utrzymania. Nikt nie budował w tak niepewnym czasie, więc prywatnych projektów mu nie zlecano. Dotyczyło to również wyrobów firmy „Ignis” – pożary były i to intensywniejsze niż w czasie pokoju, ale pieniądze oszczędzano na przeżycie trudnych czasów.

Na szczęście dla Tuliszkowskiego pojawiła się nowa oferta pracy, której nie odrzucił.

Inżynier Tuliszkowski pracował w tej firmie do 1906 roku, kiedy to długotrwałe strajki i zastój w fabryce „Ignis” zmusiły go do porzucenia Warszawy i przyjęcia posady dyrektora Fabryki Wyrobów Drzewnych w Ordynacji Zamojskich w Zwierzyńcu Lubelskim⁴⁸.

Tak nastała nowa era w życiu Józefa Tuliszkowskiego. Miał wtedy 39 lat. Można więc powiedzieć, że był w najlepszym momencie sił witalnych i umysłowych.

Zanim jednak przejdziemy do kolejnego etapu życia naszego bohatera, zrobimy sobie dłuższą przerwę na coś bardziej ogólnego, czego zajawki już dostawaliśmy.

⁴⁸ Tamże, s. 27.

Rzecz w tym, żebyśmy zagadnienie poznali od podszewki. Chodzi o tło i przedmiot działań Józefa Tuliszkowskiego, czyli o ochronę przeciwpożarową. I niech nikt się nie spodziewa, że będzie lekko, łatwo i przyjemnie. Ostrzegam, że to nie będą wiadomości dla osób o słabych nerwach.

Klęska pożarowa w Królestwie Polskim na początku XX wieku

Niniejsze opracowanie dotyczy życia strażaka, zatem warto się dowiedzieć, z czym ten człowiek się mierzył. Wiemy z motta do wstępu, że pożary były, są i będą. Ale jakie wówczas były pożary? Kto je gasił? Jakie przepisy stosowano? Na te pytania spróbujmy sobie odpowiedzieć. Oczywiście najlepiej słowami współczesnych postaci, a spośród nich Józefa Tuliszkowskiego i Bolesława Chomicza, bo są najbardziej wiarygodni. Nie będziemy tu cofać się do zamierzchłych dziejów¹, tylko odniesiemy się do stanu wiedzy z przełomu XIX i XX wieku.

Wzorcowa straż pożarna z innego zaboru, opisana w podręczniku z 1901 roku

Nim jednak przejdziemy do opisu stosunków budowlano-społeczno-pożarowych, właściwych dla Królestwa Polskiego, warto zyskać jakiś punkt odniesienia, to jest wzorzec, do którego może odwołać się wyobraźnia czytelnika. Niechże będzie nim polska straż pożarna zawodowa z miasta Przemyśl, w zaborze austriackim. Czemu ona właśnie? Z kilku względów.

Przede wszystkim o niej mamy więcej niż solidne świadectwo, współczesne owym czasom jak żadne inne, gdyż pochodzi równo z 1901 roku. Jest nim opracowanie Józefa Zagórskiego, naczelnika owej straży, a więc Polaka, myślącego i piszącego po polsku, a przy tym kategoriami pozytywistycznymi, czyli włożenia solidnej pracy ku dobru jego małej ojczyzny, z którą wyraźnie się utożsamiał na całe życie: Przemyśla.

Po drugie, praca Zagórskiego to zwarty podręcznik dla strażaków, a ściślej, dla zarządzających strażakami, w którym przedstawiono wszelkie aspekty strażackiego życia, a w szczególności obowiązków, na tle sytuacji pożarowej całkiem zamożnego, acz niedużego miasta pogranicza.

Tym samym zyskujemy jako wzór obraz straży pod każdym względem pozbawionej „naj”, czyli takiej, jaka była w zasięgu wyobraźni i finansów większości miast, miasteczek i wsi: nieprzodującej pod względem technicznym, nieprzytłaczającej wielkością, bez skomplikowanej struktury, za to zasobnej we wszystko co trzeba i bardzo dobrze zorganizowanej. Bo przecież dla większości straży pożarnych

¹ Możemy tu polecić szereg opracowań Bogusława Ulickiego, m.in.: *Publikacje z historii ochrony przeciwpożarowej*. Tom I, (lata 1981–1991), tj. zbiór interesujących i świetnie udokumentowanych artykułów nt. historii ochrony przeciwpożarowej; *Materiały do historii ochrony przeciwpożarowej w Volumina Legum: prawa, konstytucje i przywileje Królestwa Polskiego, Wielkiego Xięstwa Litewskiego i wszystkich prowincji należących na walnych sejmach koronnych od seymu wiślickiego Roku Pańskiego 1347 aż do ostatniego seymu*, wyd. 3., Warszawa 2018; *Budownictwo ognioodporne w polskiej literaturze naukowej i technicznej XVIII–XIX i początku XX stulecia*, „Kwartalnik historii nauki i techniki” 2019, t. 64, s. 93–145; *Gaszenie pożarów dawnego Gdańska na przykładzie porządków ogniowych z XVI w.*, „Rocznik Gdański” 2020, t. 80, s. 17–42; *Pożary dawnej Warszawy: materiały do historii ochrony przeciwpożarowej (1261–1795)*, Warszawa 2021.

Kongresówki nijak nie mogły być wzorami straże pożarne wielkich miast.

Po trzecie, o ile autor wyraża emocjonalną więź z małą ojczyzną, to przecież nie dysponuje wiedzą zaściankową, tylko najnowszymi zdobyczami nauki, techniki i organizacji, wziętymi z najlepszych, sprawdzonych wzorów i bardzo dobrze dostosowanych do wyrażnie skromniejszych potrzeb miejscowych.

Po czwarte, podręcznik ten napisany jest bardzo przejrzysto, bez silenia się na piękną, literacką polszczyznę, za to językiem prostym, można rzec – technicznym. Ma więc w sobie uniwersalną, niejako ponadczasową komunikatywność regulaminową. Z tym, że jest czytelniejszy niż najlepsze nawet regulaminy, bo napisany przez człowieka wrażliwego nie tylko na aspekty zewnętrzne kultury i porządku, ale również na jej aspekty wewnętrzne, tj. etos służby i etos munduru. Mamy tu też pierwociny zapobiegania pożarom, przypisane do strażaków. Ponadto ogólnie czuć, że napisał to człowiek znający każdy opisywany element nie tylko w jego powierzchownej wymowie, ale też co do przyczyny, dla której dał temu taki, a nie inny wyraz.

A czemu nie weźmiemy jako wzorów dzieł Antoniego Szczerbowskiego? To jemu przecież przypada palma pierwszeństwa, jeśli chodzi o publikacje poradników dla strażaków czy też w zakresie ochrony przeciwpożarowej². Nie bierzemy go pod uwagę z prostej przyczyny: trzeba by przeczytać wszystkie monografie (ok. 7 szt. do roku 1900), by mieć obraz względnej całości. Tymczasem podręcznik Zagórskiego jest uniwersalny w odbiorze, kompletny co do poruszanej tematyki, pozwala zatem bez większego wysiłku na wyrobienie sobie orientacji w ówczesnej problematyce. I ma tę zaletę, że jest dostępny w wolnych zasobach.

Czytając dziełko Zagórskiego, mijamy jednak na uwadze, że chodzi o miejsce, w którym prawo było racjonalne, administracja nie żerowała na ludności i jej nie gnębiła, tylko jej służyła. Miasto miało pełną swobodę samorządu, a samorząd ten działał w celu dobra ogólnego, a nie tylko dla dobra własnego. Ogólnemu zdyscyplinowaniu i porządkowi mógł służyć również fakt, że Przemysł był miastem garnizony, więc często dochodziło do konfrontacji wizualnej mundurowych. Wszystko to razem sprawiało, że ambicje władz miejskich miały swoje, niespotykane gdzie indziej punkty odniesienia, a zatem straż pożarna w mieście była zawodowa, dobrze wyposażona i uposażona, bo musiała się prezentować. Straż nie tylko gasiła, ale

² *O chemii w pożarnictwie*, Lwów 1896; *Znaki do planów sytuacyjnych z rysunkami*, Lwów 1897; *Obrona Pożarna w gminach wiejskich*, Lwów 1898; *Podręcznik dla instruktorów straży pożarnych*, Lwów 1898; *Sygnaly Dwutonowe*, Lwów 1899; *Krajowy Związek OSP w Galicji i Lodomeryi z Wielkim Księstwem Krakowskim*, Lwów 1900; *Szkola Pożarnictwa, Podręcznik dla instruktorów straży pożarnych*, Lwów 1900; *Regulamin ćwiczeń z sikawkami*, Lwów 1901; *Pogotowia Pożarnicze podczas publicznych widowisk*, Lwów 1902; *Strażackie ćwiczenia gimnastyczne*, Lwów 1903; *Przyrządy do samoratownia*, Lwów 1904; *Służba prądnika*, Lwów 1904; *Sekretarz Strażacki. Zbiór wzorów ksiąg*, Lwów 1904; *Regulamin ćwiczeń z drabinami*, Lwów 1905; *Regulamin służbowy*, Lwów 1905; *Katechizm strażaka*, Lwów 1905; *Regulamin nowy ćwiczeń rządowych*, Lwów 1906; *Jak obliczać zapasy wody*, Lwów 1907; *Ustawy budownicze o ile dotyczą bezpieczeństwa ogniowego*, Lwów 1907; *Rodzaje Straży Pożarnych i wskazówki do ich zakładania*, Lwów 1907; *Podręcznik dla naczelników i instruktorów straży pożarnych*, Lwów 1908; *Podręcznik dla uczestników powiatowych kursów pożarnictwa*, Lwów 1908; *Instrukcja dla kierowników powiatowych kursów pożarniczych*, Lwów 1910; *Jak przeprowadzać lustracje straży pożarnych*, Lwów 1910; *Przyrządy, przybory i ćwiczenia strażackie*, Lwów 1910; *Typy budynków strażackich i wykazy materiałów*, Lwów 1912.

też miała dozór nad obiektami i oświetleniem miasta. Przyjrzyjmy się tym stosunkom jako wzorcowym, bo zgoła inny obraz tego wszystkiego ujrzymy na ziemiach Kongresówki.

Przeznaczenie podręcznika

Józef Zagórski, naczelnik straży w Przemyśle, swoją książkę uczynił dziełem życia, co zawarł w dedykacji: *Świetnej Reprezentacji król. wol. Miasta Przemyśla w dowód głębokiej czci po trzydziestoletniej służbie owoc swej pracy i doświadczenia poświęca Autor*³. W dodatku wydał ją nakładem własnym, z 60 rycinami w tekście. Można więc być pewnym, że zawarł w niej wszystko, co uznał za konieczne. Oczywiście sama chęć napisania nie daje gwarancji, że dzieło wyszło zgodne z zamierzeniem i satysfakcjonowało odbiorców. W tym przypadku możemy mieć pewność, że tak było.

Podręcznik, choć w tytule kierowany dla przemyskich strażaków, mógł przecież mieć zastosowanie wszędzie, gdzie tylko język polski sięgał. Wszędzie bowiem palącą potrzebą było to, co autor podał na wstępie:

*By wykształceniu całej straży pożarnej nadać jednolity kierunek, i aby ona mogła wypełniać zadanie swoje należycie i rzeczywiście odpowiadała swojemu celowi, mają komendanci plutonów jako instruktorzy trzymać się ściśle pod rącznika, a przytem co do samego przedmiotu ograniczać się z jednej strony do tego co jest niezbędnie potrzebnem dla umiejętnego wyćwiczenia pompierów, z drugiej zaś strony bacząc na cel nauki mają uzupełniać żywem słowem niniejszy pod rącznik, okazując wszystko przytem praktycznie*⁴.

Mimo że podręcznik był sporządzony w zakresie interwencyjnym, autor nie skupił się wyłącznie na tym, co wszyscy od zawsze lubili najbardziej, czyli na laniu wody. Szczególnie ujął nas takimi oto stwierdzeniami ze wstępu – zauważmy – napisanymi przed lipcem 1901 r., co wcale nie czyni ich mniej aktualnymi obecnie, w dobie czystej formy w osiąganiu wiedzy, często bez refleksji nad jej przydatnością.

Pożarnictwo jest to nauka zajmująca się ogóle pożarami, a w szczególności gaszeniem ich. Że pożarnictwo jest rzeczywiście nauką, na to dowodów nie trzeba, przyzna to każdy, kto tylko widział tabor ratunkowy, spieszący do pożaru: przyjrzał się dokładnie wszelkim przyrządom do gaszenia. i ratowania.

*Pożarnictwo jest nauką opartą dzisiaj na innych umiejętnościach ścisłych, wymaga ono znajomości fizyki, mechaniki, chemii i z postępem tych ostatnich nauk postępuje i nauka pożarnictwa. Zajmując się pożarami w ogóle, znać ono musi ich przyczynę, musi je umieć podzielić systematycznie, a mając na celu gaszenie pożarów, posiadać odpowiednie środki ku temu*⁵.

Podręcznik jest napisany językiem prostym, można by rzec, że potocznym, zwłaszcza w zakresie przyjętych sformułowań. Np. takim sposobem opisywane są zjawiska samozapalności.

³ J. Zagórski, *Podręcznik dla straży pożarnej król. woln. miasta Przemyśla*, Przemyśl 1901.

⁴ Tamże, *Przedmowa*.

⁵ Tamże, s. 1.

Nauka pod tym względem daje nam następujące przykłady: Chemiczne działania stają się przyczynił gorenia. Mieszanina. ze sadzy i oleju konopnego zapala się sama od siebie. Zgnieciona wełna tłusta, pogniecione chustki wełniane nim się je pozbawia tłuszczu, materye gumowe, len, konopie, szmaty przesiąkłe oliwą, lakierem, które pochłaniają wiele kwasorodu, wszystkie ogrzewają się same od siebie i mogą się zapalić, także mokre siano, koniczyna, gnój, trociny, zboże, mąka, otręby na kupie leżąc, gniją i ogrzewają się mocno. Sproszkowany węgiel drzewny pochłania powietrze, zgęszcza je i zapala się jak to wypadki we fabrykach prochu strzelniczego stwierdzają.

Węgiel drzewny w kawalkach jest mniej niebezpieczny. Te przedmioty tem łatwiej się zapalają, gdy są wilgotne i nagromadzone w znacznej ilości, - gdy nieco ogrzane i zanieczyszczone. Ostatnie odnosi się szczególnie do wełny, lnu, konopi, bawełny tak w skutek tego, że się je podczas przerabiania tłuszczem napuszcza, jak i wskutek smarowania maszyn oliwą.

W ten sposób przez samozapalność powstały pożar trudno ugasić prędko, bo zwykle powstaje on w środku nagromadzonych materyałów, a woda dopiero wtedy działa ze skutkiem, gdy płomień wydostał się już na wierzch⁶.

Opracowanie liczby – wraz ze spisem treści – 166 stron, dodatkowo jest kilkanaście stron materiału ilustracyjnego z ówczesnej pierwszej pomocy kwalifikowanej. Autor podzielił dzieło na działy główne, acz w spisie treści nie wyodrębniono ich, więc mamy kilkadziesiąt rozdziałów (ok. 70) szczegółowych, uporządkowanych w kolejności logicznej od przyczyn pożarów, przez ich rodzaje i sposoby gaszenia, po regulamin służby i zestawy ćwiczeń ze sprzętem.

W większości jest to doskonale świadectwo epoki, mogące być przydatnym nie tylko do zrekonstruowania warunków służby strażaków, ale też różnych, charakterystycznych aspektów życia. Przypatrzmy się kilku wybranym zagadnieniom, dającym nam wyjątkowy wgląd w to, co było żywe przed ponad stu laty. Zaznaczam, że będzie to tylko wybór z podręcznika, podany w układzie nieoryginalnym, przyjętym na potrzeby niniejszej publikacji.

Przyczyny pożarów

Bardzo dobrze, że autor zaczął od tego właśnie zagadnienia, jakże działającego na wyobraźnię człowieka. Opisał je w 11 rozdziałach, zaczynając od samozapalności, a kończąc na nieostrożności. Używał przy tym terminu „zapalność”. Poznaliśmy samozapalność, dowiedzmy się zatem, jakie były według autora „przedmioty łatwo zapalne”. Na pierwszym miejscu wymienił „gaz świetlny”, którym mógł być zarówno metan, jak i – uwaga! – tlenek węgla.

Autor, oprócz zapobiegania wybuchowi gazów, gdzie dał kilka prostych porad, zalecał również inne środki ostrożności na wypadek zdarzeń, których chyba byśmy nie umieli przewidzieć. Trochę napawa grozą, jakie należało mieć oświetlenie

⁶ Tamże, s. 1–2.

ewakuacyjne na wypadek awarii oświetlenia głównego (gazowego) w obiektach użyteczności publicznej, ale pokażmy i to.

W teatrach, cyrkach, salach koncertowych, a szczególnie na gankach i korytarzach tych lokali, gdzie się zbiera liczna publiczność, powinny być zaświecone rezerwowe lampy olejne. To konieczne jest dlatego, aby w razie zamknięcia głównego gazomierza nie zapanała ciemność grobowa w całym gmachu. Smutny przykład daje nam pożar teatru w Nicei 24 marca 1881 r., gdzie w skutek braku rezerwowego oświetlenia straciło życie około 300 ludzi, a pożar w Ringteatrze powstały w dniu 8. grudnia 1881 r. przewyższa grozą swoją. dotychczasowe podobne katastrofy. Tam w skutek nagłego zamknięcia gazu, gdy lampy olejne nie były zaświecone, a nadto wyjścia były zamknięte, zginęło częścią w płomieniach, częścią w skutek uduszenia około 317 osób.

Gdzie jest to oświetlenie rezerwowe, to publiczność nawet po zgaszeniu gazu może wyjść spokojnie i bez natłoku⁷.

Innego rodzaju niebezpieczeństwa autor wykazuje przy gazie acetylenowym.

Gaz acetylenowy otrzymuje się przez połączenie nowo odkrytego „Calcium-Carbid” z wodą zwyczajną i daje przy spalaniu równych ilości 2 1/2 razy większe gorąco aniżeli zwykły gaz węglowy⁸.

Oświetlenie elektryczne przyjmuje autor z niechęcią. Warto poznać tę argumentację, niemal identyczną z argumentacją sceptyków elektromobilności.

Gorący zapal, z jakim przyjęto oświetlenie za pomocą elektryczności ostygła nieco po zbadaniu ryzyka. jakie ten rodzaj oświetlenia pociąga. Przekonano się bowiem, że w wielu fabrykach, które w ostatnich czasach spłonęły, oświetlenie elektryczne było bezpośrednią przyczyną pożaru. Towarzystwa asekuracyjne, które tę nowość przyjęły z radosną nadzieją większego bezpieczeństwa w ryzykach i nawet zniżyły premię dla fabryk, elektrycznością oświetlonych, przychodzą powoli do przekonania, że radość była przedwczesna⁹.

Dalej opisuje właściwości palne różnych materiałów, przytacza wyniki pierwszych badań naukowych palności.

Gdy nafta do zapalenia swego potrzebuje pewnego stopnia ogrzania, spirytus pozostający płynnym nawet w 70°R. niżej zera zapala się po bezpośrednim zbliżeniu płomienia¹⁰.

Autor włożył naprawdę wiele trudu w przedstawienie różnych zagrożeń dnia codziennego, wynikających głównie z używania ognia otwartego i posługiwania się materiałami łatwopalnymi. Niechże i nas nieco pouczy.

Wyroby z celluloidu są łatwo zapalne. Przedmioty z tego materiału wyrabiane, w handlu sprzedawane muszą być zaopatrzone napisem: „Wyroby z celluloidu – łatwo zapalne!”

Zapalenie się odzieży powstaje najczęściej z porzuconych cygar, papierosów, w skutek eksplozyi lampy naftowej, przez nieostrożne napełnianie lamp naftą przy gołym świetle i t. d. - na kobietach przez podpalanie w piecu naftą i zanadto wielkie zbliżenie się do ognia kuchennego.

⁷ J. Zagórski, Podręcznik dla straży pożarnej król. wołn. miasta Przemyśla, Przemyśl 1901, s. 6.

⁸ Tamże, s. 9.

⁹ Tamże, s. 10.

¹⁰ Tamże, s. 19.

Pomiędzy pożarami powstającymi z winy ludzkiej najistotniejszym objawem są wypadki podpalenia, tych pożarów można niestety liczyć przynajmniej 60 na 100, a powodem ich jest złość, chęć zemsty lub spekulacja.

Do pożarów powstających z winy ludzkiej) należy w końcu zaliczyć te wypadki, gdzie ogień powstaje w skutek niedbalstwa, lekkomyślności i nie przestrzegania przepisów policyi ogniowej. Ostrożność w tym kierunku powinna być wpajana już w szkołach w umysły dziecięce jak się to dzieje za granicą¹¹.

Przepisy dot. służby strażaków i podział czynności pojedynczych oddziałów

W rozdziale tym możemy wyczytać, jak wyglądała lub jak wyglądać miała przymyska straż pożarna, którą autor wyraźnie traktował jako wzorcową. Możemy ten układ zapamiętać jako typowy oddział straży tamtych czasów, o liczebności warunkowanej skutecznością działań, tj. możliwością obsługi sprzętu i armatury niezbędnych do gaszenia ognia.

Straż pożarna składa się z naczelnika, 34 pompierów różnych stopni i z 10 fornali, ogółem 45 ludzi; dalej 20 koni i podzielona jest na 3 oddziały t. j.

- a) na jeden oddział z 4 ludzi pełniących służbę obserwacyjną na wieży zegarowej miejskiej, a pozostających pod bezpośrednim i rozkazami naczelnika i,*
- b) na dwa plutony pompierów po 14 ludzi; na czele każdego plutonu jest przewodnik lub nad pompier. Nadto przydzielonem jest do każdego plutonu 5 fornali i pięć par koni do pełnienia służby pogotowia pożarnego¹².*

Charakterystyczne są szczegółowe stopnie strażaków, określające istotne i faktycznie wykonywane funkcje. Tę hierarchię funkcyjną również można uznać za wzorową. Co ważne, wynika z niej przede wszystkim dbałość o główną siłę pociągową: konie.

Sierżant – kowal podlega bezpośrednio rozkazom naczelnika (...) Nadto ma obowiązek uskutecznić roboty kowalskie w kuźni straży pożarnej około naprawy rekwizytów, i kucia koni z pociągów miejskich; (...)

Nadpompier – stelmach przydzielonemu jest sierżantowi - kowalowi do pomocy i ma obowiązek wykonywać również wszelkie naprawy około rekwizytów i wozów należących do straży pożarnej. Po każdym pożarze sierżant wraz z nadpompierem-stelmachem mają obejść wszelkie rek wizy ta i w razie potrzeby uskutecznić natychmiast naprawę; (...)

Przewodnik lub nadpompier starszy ma bezpośrednią komendę nad swoim plutonem, odpowiedzialnym jest za utrzymanie w nim karności, za utrzymanie w dobrym stanie rekwizytów należących do plutonu, ma dbać o to, aby przydzielone do plutonu konie były zawsze okute; należycie oczyszczone, nakarmione regularnie o godzinie 3 rano, 11 przed południem i o 1 wieczorem; (...)

Pompierzy bez różnicy stopnia. Ci winni swym przełożonym bezwarunkowe posłuszeństwo a nadto zachować się winni tak w koszarach jak i na ulicy wzorowo i przyzwoicie,

¹¹ J. Zagórski, *Podręcznik dla straży pożarnej...*, s. 23.

¹² Tamże, s. 25.

a z publicznością grzecznie się obchodzić. Żadnemu z pompierów pełniących pogotowie pożarne nie wolno bezwarunkowo wychodzić z koszar, w dniu zaś, w którym mają 1. rozprawę tylko za pozwoleniem przewodnika lub nadpompiera służbowego (...)¹³.

Jak zwykle w podobnych przypadkach zdajmy sobie sprawę z przyczyn powtarzania niektórych zaleceń bądź nadawania im szczególnego charakteru, przez podkreślanie słowami wzmacniającymi przekaz. Te przypadki to objaw kłopotów z realizacją danego zagadnienia, a brak argumentacji innej, niż wzmocnienie przekazu, w istocie świadczy o bezradności autora. Co zresztą ma swoje uzasadnienie, bo szkoda słów do tłumaczenia spraw oczywistych tym nielicznym osobom, które ich nie rozumieją.

Alarm

Jak wyglądał alarmowy wyjazd wzorcowej jednostki zawodowej straży pożarnej? Było to przedsięwzięcie samo w sobie całkiem skomplikowane, a zarazem niezwykle malownicze. Nic dziwnego, że wielu artystów usiłowało je uwiecznić, że „publiczność” garnęła się do zdarzenia, i że cała ta atmosfera udzielała się najbardziej bezpośrednim uczestnikom owego teatrum, tj. strażakom. Bo zadanie odpowiedniego szyku, przybranie pól bojowych, były częścią zdarzenia nie mniej ważną, jak sama akcja gaśnicza.

Na dany znak alarmowy z wieży obserwacyjnej lub też na doniesienie prywatne o powstałym pożarze pełniący służbę przy telefonach na strażnicy alarmuje dzwonkami elektrycznymi pogotowie pompierów i stajnie. Pompierzy stosownie do niżej ustanowionego podziału czynności, wyciągają z magazynów wozy rekwizytowo, sikawki i beczkowsy - zapalając w nocy latarnie na nich umieszczone.

Fornale wyprowadziwszy tymczasem konie ze stajen zaprzęgają je natychmiast. Jeżeli z wieży obserwacyjnej sygnalizowano większy pożar albo niezwykle dym wyrusza w nocy pogotowie pożarowe natychmiast zaś I. rezerwa o ile zdoła szybko za niem, w dzień zaś zdąży I. rezerwa za pogotowiem pożarnym natychmiast skoro dostateczna liczba koni zostanie z roboty ściągnięta (...)¹⁴.

Każdy wyjazd do pożaru wyglądał jak ewakuacja całego sprzętu, ludzi i koni, gdyż aby straż była skuteczna na miejscu zdarzenia, musiała posiadać odpowiednie ukompletowanie sił i środków. Zwłaszcza środki były wymagające co do zaangażowania w ich obsługę odpowiednich sił. Do pożaru jechały trzy najważniejsze sprzęty, każdy z parą koni: wóz rekwizytowy (5 ludzi), sikawka (4 ludzi), beczkowóz (4 ludzi). Późniejsze działania Tuliszkowskiego w zakresie pogotowi pożarnych, funkcjonalności oraz masy (sikawek) były istic rewolucyjnymi, bo pozwoliły ograniczyć liczbę wozów do dwóch, a nawet do jednego, jeśli zastosowano jego systemowe

¹³ Tamże, s. 25–26.

¹⁴ Tamże, s. 29–30.

rozwiązania odnośnie do zaopatrzenia w wodę budynków (zbiorniki przeciwpożarowe i sadzawki).

Jazda do pożaru odbywała się w określonej kolejności, a warunkiem bezwypadkowości było ściśle przestrzeganie porządku, swoista dyscyplina. Strażacy mieli swoje miejsca zależne od sprawowanych funkcji, a że wszyscy stali lub siedzieli na stanowiskach otwartych, to musieli się pilnować, by nie stracić równowagi, nie spaść czy o coś nie zaczepić. I żadna słota czy śnieg nie mogły ich zatrzymać.

Pierwszy jedzie wóz rekwizytowy, na którym na koźle siedzi fernal i trębacz plutonu trzymający w dzień czerwoną chorągiew, a w nocy czerwoną latarnię, za nimi stoi przewodnik lub nadpompier, dalej po jednej stronie wozu trzech (...), a po drugiej czterech pompierów. Za wozem rekwizytowym jedzie sikawka, na której z przodu na koźle siedzi fernal i pompier Nr. 2, na tylnym zaś koźle siedzi dwóch pompierów, a za sikawką podąża dwa beczkowsy, na których siedzą fornale i pompierzy.

Skoro pompierzy, dla udania się do sygnalizowanego pożaru obsadzili już dotyczący wóz rekwizytowy, ma przewodnik lub nadpompier każdym razem w ten sposób pouczyć ostatniego pompiera, aby tenże zwrócony był twarzą od koni ku tyłowi i baczną uwagę zwracał na wszelkie za wozem zajść mogące wydarzenia. Przy sikawce sprawują tę czynność pompierzy na tylnym koźle s i siedzący.

Nigdy nie wolno po wyruszeniu do pożaru zwracać z drogi, lecz należy przybyć na miejsce wskazane nawet w tym wypadku, gdyby przechodnie wołali, dawali znaki, że niebezpieczeństwo usunięte. Zawsze należy przekonać się, co byto przyczyną alarmu¹⁵.

Konie nie dyżurowały przy pojazdach, tylko w stajniach, zatem każdorazowo były zaprzęgane, a po powrocie wypręgane. Zasadniczo pełniły funkcję wyłącznie transportową, więc na miejscu zdarzenia, skoro nie wykonywały żadnej pracy, należało się nimi zajmować, by np. spłoszone ogniem nie odjechały sobie w siną dal ze sprzętem, czyniąc po drodze wypadki i inne szkody. Nie dziwny się więc, jak wielkie staranie będziemy widzieć o konie w strażach pożarnych, by były należyte, tj. odpowiednio utrzymane, silne i ułożone. Powodowało to specyficzne nastawienie strażaków zawodowych do koni, wręcz nabożne, znacznie przekraczające obecne utożsamianie się z pojazdami gaśniczymi. W ówczesnych ochotniczych strażach pożarnych bywało z tym nastawieniem różnie, zwłaszcza gdy końmi nie dysponowano. Co też, łącznie z umundurowaniem i obserwowanymi typami zachowań strażaków zawodowych, doprowadzało niejednokrotnie do mimowolnego parodiowania ich zachowań, bez głębszego zrozumienia przyczyn takich, a nie innych pów, które, jak widać, miały racjonalne podstawy.

Zachowanie na miejscu akcji

Książka informuje nas również, jak strażacy powinni zachowywać się na miejscu zdarzenia. Warto się tego dowiedzieć.

¹⁵ J. Zagórski, *Podręcznik dla straży pożarnej...*, s. 31.

Jeżeli obowiązkiem pompierów jest posłuszeństwo przełożonym zawsze, to w razie pożaru jest ono prawem, od którego pod najostrzejszą karą nie wolno odstąpić. Każdy pompier ma spełniać rozkazy swych przełożonych ślepo, z pospiechem, bez namysłu i rozważą. Ponieważ każdy pompier ma regulaminem musztry raz na zawsze z góry i stale miejsce przy rekwizytach ratunkowych przeznaczone, przeto zając je powinien natychmiast po przybyciu na miejsce pożaru i nie wolno mu go nigdy opuszczać, chyba na wyraźny rozkaz sierżanta, przewodnika, nadpompiera lub naczelnika. Podczas ratowania ma panować spokój i porządek, zakazane są wszelkie krzyki, hałasy i nawoływania.

Naczelnik daje rozkazy trąbką, przewodnik i nadpompierzy powtarzają swoim plutonom gwizdkiem, a pompierzy w razach wołania o pomoc, wodę, rekwizyta. i t. d. używać mają, o ile to możebne, gwizdka¹⁶.

Czyli akcja pełna była sygnałów trąbką, gwizdków, gestów, tworzących swoisty spektakl. Nic dziwnego, że każda gromadziła mnóstwo ludzi, nie zawsze patrzących z życzliwością na pracę strażaków. Na ogół był to tłum obojętny względem cudzego nieszczęścia, za to żądny rozrywki. Nigdy nie brakowało komentarzy czy uwag, nierzadko uszczypliwych. Autor podręcznika dał rady, jak w takiej sytuacji się zachowywać, co może przydać się i dziś.

Pompierom nie wolno wdawać się w rozmowy z publicznością, zapytani jednak mają dawać zwięzłe i grzeczne odpowiedzi, odsyłając pytających po dokładniejsze objaśnienia do kierownika ratunku.

Wszelką czynność przy pożarze, przy ratowaniu życia i mienia ludzkiego winni pompierzy odbywać cicho, spokojnie, z natężoną uwagą szybko i dokładnie wypełniać otrzymane rozkazy, a nie tracić zimnej krwi i odwagi nawet przy widocznym niebezpieczeństwie. Pompierzy mają z wszelką dokładnością i przytomnością umysłu wykonywać te tylko czynności, do jakich zostali przeznaczeni, inne zaś tylko w tym wypadku, jeżeli takowe w bezpośredniej bliskości ich stanowisk i bez ujmy czynności głównych wykonać się dadzą¹⁷.

Strażacy mieli obowiązek ryzykowania własnym zdrowiem:

- 1) nie oszczędzać siebie tem bardziej, gdy gmina zapewnia wszystkim w razie poniesienia uszkodzenia, a tem spowodowanej nieudolności do pracy zaopatrzenia lub emeryturę,
- 2) nie słuchać nikogo jak tylko swoich przełożonych,
- 3) pamiętać o tem, że rozkaz raz dany obowiązuje tak długo póki nie zostanie cofnięty lub zmieniony.

Przyjmowanie wszelkich podarunków ze strony publiczności jak i częstowań jadłem lub napitkiem jest surowo wzbronione. Naczelnik jednak może w razie nadzwyczajnego utrudzenia się pompierów przy ogniu zwolnić ich od tego rozkazu jednakże pod warunkiem, że nadużycie napojów będzie ostro karanem.

¹⁶ Tamże, s. 36.

¹⁷ Tamże, s. 36–37.

Jeżeliby w czasie pożaru pompier uratował kosztowności, pieniądze, słowem każdą rzecz mającą wartość, to ma zaraz po spotkaniu pierwszego lepszego świadka opowiedzieć mu to w krótkich słowach, a przy najbliższym spotkaniu się z przełożonym o tem mu raportować¹⁸.

Przekonamy się jeszcze, jak wielkie problemy były w Kongresówce z wdrożeniem tych – zdawałoby się oczywistych – nakazów.

Gaszenie pożarów

Autor omówił zasady gaszenia różnych pożarów: kominowych, piwnicznych, mieszkaniowych, na piętach, dachu gontowego, stodół i spichlerzy, teatrów, fabryk, lasów, torfowisk, a nawet szybów naftowych, bo przecież w Galicji, czyli w Małopolsce, znajdowały się złoża ropy naftowej. Zapoznajmy się z problemami na tym dosyć egzotycznym polu. Wszak niezmiernie interesujące jest, jak w owym czasie widziano te problemy i próbowano rozwiązywać.

Powodem pożaru szybu naftowego jest zwykła w kopalniach nafty eksplozya, poprzedzająca wytrysnięciem ropy, która udziela się przewodom gazowym, używanym do palenia (w miejsce węgla) i do oświetlenia t. zw. kieratów i powoduje tym sposobem wybuch.

Skoro tylko płomień objął raz szyb naftowy w swe posiadanie, musi się stać jego pastwą. Akcja ratunkowa w takich wypadkach z natury rzeczy ograniczyć się jedynie musi do zlokalizowania pożaru. Nadmienić tu wypada, że w kopalniach naftowych wszystkie prawie wieże wiertnicze i rezerwuary naftowe są drewniane, a w pośród tego na ziemi, jakby żyłami sączy się ropa naftowa. W tym celu należy robić tamy, t. j. okopać głębokim i odpowiednio szerokim rowem paląc się przestrzeń, by gorejąca ropa naftowa nie rozpyływała się i nie roznosiła ognia.

Wieżom wiertniczym, jeśli o ugaszeniu i rozebraniu ich nie ma mowy, należy pozwolić im się wypalić, bacząc jedynie na to, by pożar nie rozszerzył się ponad zajęętą pierwotnie przestrzeń, poczem otwory wiertnicze w szybach szybko nakryć należy odpowiednimi przykrywkami żelaznymi, które przysypać należy ziemią dla zapobieżenia wypływowi ropy i gazów na zewnątrz, a nie mniej, by nie dopuścić możliwemu dostaniu się pożaru do podzielní. W razie pożaru w szybie należy we wszystkich przyległych szybach czem prędzej zastanowić wszelką robotę, zagasić światła, ogniska i wezwać wszystkich robotników, którzy znajdują się w szybach do opuszczenia natychmiast swych stanowisk¹⁹.

Widzimy całkiem racjonalne zalecenia, najprawdopodobniej wynikające z bolesnych doświadczeń, nabranych nie inaczej, jak metodą prób i błędów.

Po akcji i w koszarach

Komplet działań operacyjnych strażaków kończył się wraz z powrotem do jednostki. Idealny oddział również i tu postępował wzorowo.

¹⁸ J. Zagórski, *Podręcznik dla straży pożarnej...*, s. 37.

¹⁹ Tamże, s. 56–58.

Po ugaszeniu pożaru przeziernaczelnik pogorzelisko, i gdyby tego wymaga przezorność pozostawia odpowiednią liczbę ludzi na straży i potrzebne rekwizyta. Reszta ludzi staje plutonami w szeregi przy wozach rekwizytowych, a po sprawdzeniu przez właściwych komendantów plutonów, czy wszyscy pompierzy na miejscu i z czy rekwizytów należących do plutonów, a przywiezionych do pożaru co nie zapomniano i czy są poskładane na wozach rekwizytowych, wraca się do koszar.

Powrót odbywa się wolnym kłusem, w porządku tym, że każdy pluton wraca tak jak przyjechał t. j. wóz rekwizytowy naprzód, dalej sikawka, następnie beczkowóz²⁰.

O konie i sprzęt należało zadbać. To działo się zaraz po powrocie. Stelmachowie natychmiast zajmowali się końmi. Dokonywano przeglądu sprzętu.

W razie dostrzeżonych braków raportują o nich natychmiast naczelnikowi. Sikawkę, wóz rekwizytowy, beczkowóz należące do oddziału pełniącego służbę pogotowia oczyszcza się jednakże tylko o tyle, by w razie nowego alarmu czynność ta nie stanęła na przeszkodzie powtórnemu natychmiastowemu wyruszeniu do pożaru. Do dokładnego oczyszczenia wszystkich użytych przy pożarze rekwizytów i przyrządów do ratowania, tudzież smarowania sikawek i beczkowozów przystępują oba plutony jeżeli pożar był w nocy na drugi dzień²¹.

Jak to zawsze bywa, gdy gromada młodych mężczyzn przebywa razem, z jednej strony dyscyplina, a z drugiej likwidacja nudy, okazują się sprawami niezbędnymi. Podobnie jak dbanie o porządek ogólny i higienę osobistą. Oto garść jakże pożytecznych nakazów i zakazów, dotyczących wszystkiego, co składa się na wrażenie zbiorowego porządku i indywidualnej kultury osobistej.

Każdy pompier obowiązany jest do przyzwoitego zachowania się w koszarach. Nie wolno wyprowadzać krzyków i hałasów. Dalej każdy oprócz pieczy o rekwizyta oddziału ma dbać o czystość i całość munduru pościeli, uzbrojenia i pomieszkania, w którym ma panować wzorowa czystość.

Kolejno odbywają wszyscy pompierzy bez stopnia t. zw. inspekcję, do nich należy zamieszczenie pomieszkania, przyniesienie wody, słowem utrzymanie porządku w pomieszkaniach.

Od maja. do końca września o godzinie 5, a od października do końca kwietnia, o godzinie 6 rano na wezwanie przewodnika lub nadpompiera pełniącego pogotowie pożarowe winien każdy pompier wstać z łóżka, umyć się i ubrać należycie, następnie pościelić swoje łóżko tak, ażeby o oznaczonej godzinie mógł stanąć do ćwiczeń. Porządek zupełny w mieszkaniach pompierskich powinien być zrobiony w letniej porze co dzień do godziny 7, a w zimie do godziny 8 rano, za który odpowiedzialnym jest komendant plutonu.

Woda po każdorazowym umyciu się, ma być natychmiast z naczynia wylaną.

Gry hazardowe, krzyki i pijatyki są wzbronione. W koszarach nie wolno przyjmować odwiedzin osób podejrzanych lub niemoralnego prowadzenia się.

W czasie do spania przeznaczonym nie wolno nikomu przerywać ciszy.

²⁰ Tamże, s. 38.

²¹ Tamże, s. 28.

*Wieszanie w oknach bielizny, mundurów, pościeli, wyrzucanie resztek cygar i papierosów, wytrępywanie tytoniu z fajek przez okna na ulicę jest wzbronione*²².

Inne czynności wzorcowych strażaków

Zawodowa straż pożarna już z końcem XIX w. miała szereg obowiązków nie tylko interwencyjnych, ale również zapobiegawczych. Co prawda ograniczały się one do czynności głównie wartowniczych, tj. wymuszania obecnością strażaków przestrzegania przepisów porządkowych czy stosowania się do zdrowego rozsądku, niemniej i to wiele stanowiło w sytuacji technologicznej, gdy ogień otwarty używany w celach oświetleniowych traktowano jako bezpieczniejszy od elektryczności.

W swojej pieczy strażacy przemyscy mieli dwa zagadnienia. Pierwszym było zajmowanie się oświetleniem elektrycznym i naftowym miasta, drugim zabezpieczanie wszelkich zgromadzeń ludzi, w tym imprez, powiedzmy że masowych.

*Kontrolę nad oświetleniem miasta, wykonuje co dzień wieczorem sierżant, przewodnik i nad pompierzy. O tem, czy światło w porządku lub dostrzegł, który z nich jakie braki w oświetleniu i w jaki sposób zarządził usunięcie wady, ma o tem raportować każdy naczelnikowi*²³.

W przypadku teatrów, cyrków i innych zgromadzeń publiczności (nie mówimy tu o pożarach, tylko o widowiskach kulturalnych), podział obowiązków strażackich wyglądał następująco:

Pogotowie straży pożarnej pełniące służbę w teatrze składać się ma: z 5 ludzi. Pompierzy tego oddziału szykują się w koszarach tak wcześnie, aby już na półgodziny przed rozpoczęciem przedstawienia, wyruszyć mogli do budynku teatralnego lub cyrku.

Po skończeniu przedstawienia i zgaszeniu światła w sali amfiteatralnej i na scenie opuszcza ten oddział budynek teatralny i pod wodzą komendata pogotowia udaję się do koszar.

*Na koncerty, bale itp. widowiska idzie nadpompier i pompier - i pełni tam służbę pożarną, publicznego. W razie pożaru obowiązkiem ich jest, o ile zdołają, dać pierwszą pomoc, a dalej zwracając szczególnie uwagę na to, by przedsiębiorcy zachowali wszelkie przepisy bezpieczeństwa natychmiast uwiadomić o wypadku pogotowie pożarne na strażnicy*²⁴.

Dalej bardzo dużo miejsca zajmują opisy musztry i ćwiczeń z różnym sprzętem, w tym z drabinami, wzbogacone pouczającymi rycinami. Ciekawostką jest, że na kilku rysunkach strażacy po roztawieniu kilkuprzęsłowej drabiny, wnoszą po niej jeszcze dodatkowe, pojedyncze przęsła i dostawiają je od góry. Przyznać trzeba, że było to karkołomne zajęcie.

Książka kończy się ilustrowanymi opisami udzielania pomocy medycznej osobom nieprzytomnym i rannym. Trudno oprzeć się wrażeniu, że zawartą tam wiedzę w identyczny sposób wykładano i ilustrowano aż do końca lat 80. XX w., zwłaszcza w podręcznikach do przedmiotu „Przysposobienie obronne”.

²² J. Zagórski, *Podręcznik dla straży pożarnej...*, s. 40–41.

²³ Tamże, s. 40.

²⁴ Tamże.

Niewątpliwie książka była, jeśli nie wzorem, to punktem odniesienia do późniejszych o dekadę publikacji Józefa Tuliszkowskiego. Jest doskonałym świadectwem organizacji strażackiego życia. Czytając jednak – czy wyimki z niej, czy też całość – musimy pamiętać, że dzieło to nie opisuje rzeczywistości, lecz wskazuje, jaką być powinna. W dodatku musimy wziąć margines na fakt, że opisy dotyczą jednostki zawodowej, gdzie utrzymanie na należytych poziomach wszelkich poruszonych w poradniku aspektów było ułatwione przez dobór ludzi, system motywacji i ciągłość służby. Niektóre z nakazów i zakazów świadczą o tym, że wystarczyłoby tylko trochę poluzować dyscyplinę, odpuścić nadzór nad starannością wykonywania właściwych czynności, a i ta straż zmieniłaby się we własną karykaturę. Co więc powiedzieć o ochotniczych strażach ogniowych, gdzie siłą rzeczy dobór ludzi był ograniczony zasobami miejscowymi...?

W dodatku musimy ciągle mieć na uwadze, że straż pożarna królewskiego wolnego miasta Przemyśl nie należała do Królestwa Polskiego, gdyż była położona w zaborze austriackim. Działała więc w zupełnie innej rzeczywistości, niż straże pożarne Kongresówki. Zatem możemy ją sobie trzymać w pamięci jako wzór aż nazbyt często niedościgły. Rzeczywistość, w której działał Tuliszkowski, była zgoła inna. Przejdźmy więc do niej.

Przepisy przeciwpożarowe a praktyki budowlane w Królestwie Polskim

Bardzo trudno mówić o rozwiązaniach systemowych ochrony przeciwpożarowej w Imperium Rosyjskim, gdzie nawet gdy się coś z tego zaistniało, to miało wymiar formalny i pokazowy. Np. jest prawo, nawet ogłoszone powszechnie i napisane przejrzyście. Co z tego, skoro nikt go nie przestrzega? Ba! Co z tego, że ono jest, skoro urzędnicy zabraniają go stosować, na ogół z powodu widoków na korzyść materialne, acz nierzadko i z takiego, że dane prawo nie przyjęło się w ich głowach...? Jest to naprawdę niepojęte: obywatele dają oficjalne łapówki aparatowi urzędniczemu po to, by ten zechciał nie przeszkadzać w przestrzeganiu prawa, na którego straży stoi.

By te swoiste paradoksy administracji carskiej wykazać w odniesieniu do Królestwa Polskiego w ich pełnej krasie, najlepiej oddać głos współczesnym.

Stan zabudowy wiejskiej i małomiejskiej na początku XX wieku

Oto, jak przeszłość i przyszłość budownictwa widział Bolesław Chomicz:

Prawo (...) zaznaczyć winno swą ingerencję i w zakresie policji budowlanej, stawiając tamę nierozważnemu wznoszeniu budynków, narażonych na łatwe powstawanie i dalsze rozprzestrzenianie się ognia. Wszelako odpowiednie normy prawne, tak zwana policja ogniowa, rozwinięte są w naszym prawodawstwie nader skąpo, szczególnie zaś w stosunku do wsi. Budowanie domów włościańskich (...) wyłączone jest z pod rygoru norm budowlanych,

pozostawiając całkowitą dowolność w wyborze materiałów budowlanych oraz w rozplanowaniu zagród i urządzaniu ognisk.

Jedyną uchwałą, która zachowała moc obowiązującą do dnia dzisiejszego, jest postanowienie dawnej Rady Administracyjnej z roku 1844, nakazujące murować kominy z cegły, nie zaś z desek lub chrustu z gliną, jak to miało miejsce dawnymi czasy. (...) uchwałą z dnia 13 września 1836 r. powołany został do życia przepis, na mocy którego za każde trzy nieruchomości wiejskie powinien znajdować się bosak, wiadro, drabina i.t.p. narzędzia prymitywne²⁵.

Stanowi prawnemu początków XX w. odpowiadał budzący grozę stan faktyczny i przedstawiał się następująco:

Kraj nasz (wyluczając Warszawę) na początku roku 1911 posiadał ogółem 1.065.726 nieruchomości z 2.445.120 budynków (...) 86% budynków z drzewa, 7% – z muru i 7% – konstrukcji mieszanej. Słomą pokryto w kraju 80% budowli, gontem i.t.p. materiałami – 12% i zaledwie 8% budowli mają pokrycia ogniotrwałe (blacha, dachówka, papa i.t.p.). Tym sposobem 9/10 budowli w Królestwie mają dachy łatwo palne²⁶.

Tyle jeśli chodzi o ogóły. W odniesieniu do budownictwa wiejskiego, zagrodowego było jeszcze wiele zaszłości. Klęska ogniowa nie zniszczyła jeszcze całej zabudowy, z kolei zniszczoną aż nazbyt często odbudowywano w kształcie utraconym.

Poniżej znajduje się opis tego, jak wyglądały tradycyjne budowle wiejskie, sięgające rodowodem połowy XIX w., a więc czasów pańszczyźnianych.

Żle u nas w kraju jeszcze mieszkają ludzie na wsi. Chałupy niskie, bez posad, zapadnięte często w ziemię, o ścianach wilgotnych, zimnych. Izdebki niewielkie, ledwie ze oświetlone małymi okienkami, a powietrze w nich ciężkie i duszne, bo to nieraz i drób się razem mieści lub prosięta mają swój stały pobyt zimowy. Jeżeli nawet jest jaka izba trochę lepsza i chędożniejsza, to choć stoją w niej łóżka o czystej pościeli i porządniejszy statek się znajdzie, służy ona jednak tylko do rzadkich przyjęć kumotrów i sąsiadów, a cała rodzina mieści się zazwyczaj w jednej ciasnej kuchni, gdzie pełno gryzącego śwędu od gotującej się strawy, a opary od karmy wieprzowej unoszą się w powietrzu²⁷.

Dajmy tu przykłady przeciw i za. Najpierw przykład przeciw temu, co Tuliszkowski napisał. Przekaz tym bardziej wiarygodny, że pochodzący od wroga, tj. bolszewika.

Nocujemy w Pniewsku. Porządna, polska rodzina chłopska. Uderzająca różnica między Rosjanami a Polakami. Polacy żyją czystiej, weselej, bawią się z dziećmi, ładne obrazy święte, ładne kobiety²⁸.

A teraz przykład za, z pamiętników włościanina, opisujący budynek z ok. 1870 roku.

Dom mieszkalny gospodarza czy komornika składał się z jednej tylko izby mieszkalnej, przy tym z dużej sieni i komory, a gospodarz posiadał nadto stajnię na konie, krowy, świnie i stodółę.

²⁵ B. Chomicz, Akcja przeciwpożarowa, „Przegląd Pożarniczy” 1914, nr 5, s. 108.

²⁶ B. Chomicz, Ubezpieczenie od ognia a budownictwo kraju, „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 1, s. 22–24.

²⁷ Tamże, s. 3.

²⁸ I. Babel, Dziennik 1920, przeł. J. Pomianowski, Warszawa 2000, s. 234.

Wszystkie zabudowania włościańskie wznoszone były z drzewa okrągłego, tak jak rośło w lesie, mało co ociosanego. Węgły wystawały prawie na pół metra, tak że gdy później drzewo zdrożało, to węgły te obrzynano na opał, a niektórzy robili to celem nadania domowi zgrabniejszego wyglądu.

Po wsiach okolicznych, zwłaszcza dalszych od Wisły, osiadłych w lasach na gruntach piaszczystych, były jeszcze prawie wyłącznie chałupy dymne, w których paliło się na tak zwanej babce, tj. na słupie ulepionym z gliny, a dym rozchodził się po całej izbie i drzwiami wydobywał się do sieni, a stąd na strych. W czasie palenia izba musiała być otwarta, a ludzie siedzieli nisko przy ziemi lub chodzili chyłkiem, bo inaczej dławili ich dym. Ściany były okopcone (nigdy nie bielone), ludzie czarni i przesiąknięci dymem.

W Dzikowie były już wtedy przeważnie kominy wyprowadzone na dach, ale ulepione były z gliny, zarobionej ze słomą. Były też i ówdzie kominy urządzone z wypróchniałego pnia drzewnego, obrzuconego gliną. Pierwsze kominy murowane z cegły zaczęły nastawać u chłopów dopiero około roku 1870, równocześnie z blachami kuchennymi, rozpowszechnionymi obecnie, służącymi do gotowania.

Na razie w Dzikowie znane było tylko palenie „na kominie”, przy czym garnki ze strawą do gotowania przystawiane były do ognia albo stawiane wśród ognia, jeśli się chciało gotowanie przyspieszyć, a tu i ówdzie były w tym celu używane dynarki, czyli żelazne podstawki pod garnki.

Prócz tego w każdej izbie znajdował się piec chlebowy tak duży, że można w nim było upiec chleb z pół korca mąki naraz, i piec do ogrzewania, do którego paliwo nakładało się z sieni przez długą szyję, czyli tzw. grubę. Piece te budowane były z cegły surowej, niepalonej i zajmowały dużo miejsca w izbie, a sklepienie pieca chlebowego — „nalepa” i pieca do ogrzewania — „wierzchnica” było razem tak obszerne, że mogło spać na nim czworo ludzi. Sypiały tam też stale, zwłaszcza zimą, dzieci i dziewczka służąca, a także każdy z domowników, ilekroć czuł się niezdrowym i zbierały go dreszcze, wylazł na piec, żeby tam się wyleżeć i wygrzać. Między piecami a ścianą był znaczny odstęp i stanowiło to tak zwany zapiecek, gdzie także zwyczajnie sypiały dzieci²⁹.

Skoro mamy przeciw i za, oddajmy głos Tuliszkowskiemu.

Wyjrzyć na podwórko, to tam jeszcze gorzej: tuż przy drzwiach chałupy kupa cuchnącego nawozu; obok studnia, w której woda jest zaprawiana stale gnojowicą, wokół zaś budynków gospodarskich pełno różnych „upiększeń”, babek z ludzkich nieczystości. Smród jeno i strata dla gospodarki! Z nawozu bowiem, tak „troskliwie przechowywanego”, tylko mało warte śmiecie do wywiezienia w pole pozostaje, a i z nawozu ludzkiego, który jest najlepszy, również żadnego pożytku niema

Choróbka też różne ludzi trapią, od tej wody brudnej, zakażonej, od tego smrodu i zaduchu, od braku świeżego powietrza i światła oraz od wilgoci w mieszkaniach.

A do tego wszystkiego głównym materiałem budowlanym naszych wiejskich budynków jest przeważnie drzewo i słoma. Stawiane są, przytem jeden budynek przy drugim, tak, że

²⁹ J. Słomka, *Pamiętniki włościanina od pańszczyzny do dni dzisiejszych*, Kraków 1929, s. 26–28.

strzechy się nieomal stykają. Wieś nasza nieraz przedstawia jakby 2 szeregi stosów po obu stronach ulicy, a przytem jeszcze jakby „na podpalkę” słomą pokrytych. Płoną też one za lada iskrą i kraj cały corocznie ogromne straty ponosi³⁰.

Płoną tym bardziej, że bardzo często ze zlej woli człowieka.

Jedną z częstszych przyczyn pożarów u nas, bywa podpalenie przez zemstę. Rozwielmżniona plaga pogrózek i aluzji do spełnienia tej zbrodni, które pojęcie jej czynią bądź co bądź powszedniem, powinna być stanowczo energiczniej prześladowana i karana. Jak błahych powodów potrzeba nieraz do wywołania obietnicy puszczenia „czerwonego koguta”, może służyć fakt, że często wędrowni żebracy, otrzymawszy jałmużnę, którą uważają za niewystarczającą, odgrają się spaleniem zabudowań: cóż dopiero mówić o zatargach innej natury³¹.

Były przepisy porządkowe, tylko dosłownie nikt ich nie przestrzegał, bo i nikt nie miał woli ich egzekwowania.

Istniejące u nas i obowiązujące przepisy prawne na tyle dokładnie określają, jak się ludność ma zachowywać, by uniknąć powstawania pożarów i co ma czynić w razie, gdy pożar wybuchnie, iż gdyby się do nich stosowano, to ilość pożarów znakomicie by się zmniejszyła. Niestety, mało kto z mieszkańców gmin, a nawet z wójtów, jest z temi przepisami obeznany, wobec czego uważam za niezbędne powtórzyć je w streszczeniu.

- 1) Przepisy te wkładają na mieszkańców gmin obowiązek zwracania bacznej uwagi na następujące rzeczy:
- 2) Przy stawianiu nowych budynków i ich utrzymywaniu należy mieć na uwadze bezpieczeństwo takowych na wypadek ognia.
- 3) Dla zabezpieczenia się od podpalania winny być utrzymywane po wsiach stróże nocne.
- 4) Kominy winny być dokładnie wycierane.
- 5) W pobliżu domów mieszkalnych, budynków gospodarskich, fabryk i zakładów przemysłowych nie wolno gromadzić łatwopalnych materiałów.
- 6) W miejscach nie zabezpieczonych dokładnie od ognia nie wolno wyrabiać lub przerabiać łatwopalnych materiałów.
- 7) Pośród budynków nie wolno puszczać ogni sztucznych lub fajerwerków.
- 8) Strzelanie do celu i z moździerzy może się odbywać li tylko w miejscach wskazanych przez władze administracyjne.
- 9) Pośród zabudowań gospodarskich nie wolno strzelać.
- 10) Na strychach domów mieszkalnych nie wolno urządzać składów węgla, słomy i t.d.
- 11) Osoby, wchodzące w nocy do stajni, stodoł, lub na strychy, albo tam, gdzie znajdują się łatwo palne materiały, winny używać latarni.
- 12) W stajniach, zajazdach i t. d. nie wolno przystawiać świec do słupów.
- 13) Nie wolno używać luczywa i przenosić żaru w niezakrytych naczyniach.
- 14) W stajniach i na podwórzach nie wolno palić tytoniu.

³⁰ Tamże, s. 3–4.

³¹ O walce z ogniem, referat p. Konst. Jagmińskiego (wedł. Gaz. Radomskiej), „Strażak” 1902, nr 8, s. 6.

- 15) Popiołu nie wolno wyrzucać na miejsca odkryte, na strychy i do drewnianych naczyń.
- 16) Kominy i piece winny być smarowane gliną z wapnem.
- 17) Pieców w budynkach nie wolno zakrywać drewnianymi zasłonami, lub workami ze słomą.
- 18) Na piecach nie wolno suszyć lnu lub konopi—do tego celu winny być urządzone specjalne piece w oddaleniu od budynków gospodarskich.
- 19) Nie wolno rzucać sieczki w nocy przy niezakrytym ogniu.
- 20) Bednarze winni wypalać beczki w miejscach bezpiecznych.
- 21) Rodzicom nie wolno pozostawiać małych dzieci w domu bez opieki, o ile wprzód nie pogaszą ognia w piecach i kominach.
- 22) W czasie procesji nie wolno urządzać ołtarzy przy łatwopalnych budynkach.

Wójt gminy winien prócz tego pilnować:

- 1) By wodociągi, pompy i studnie były w zupełnym porządku.
- 2) By przy każdym domu była przynajmniej jedna beczka napełniona wodą.
- 3) By w każdej wsi były sikawki, zbiorniki wody, wiadra, drabiny, topory i bosaki (na 3 zagrody jeden bosak).
- 4) By przynajmniej 4 razy do roku sprawdzano sikawki i inne instrumenta ogniowe przy współudziale osób obowiązanych do ratownictwa w czasie pożarów.
- 5) By przy studniach stały zbiorniki — w lecie napełnione wodą, zaś w zimie obrócone dnem do góry.
- 6) By prócz gminnych były jeszcze narzędzia ratownicze w majątkach i klasztorach.
- 7) By każdy właściciel domu posiadał siarkę potrzebną do gaszenia ognia kominowego.

W razie niewypełnienia przez mieszkańców wspomnianych przepisów, wójt gminy jest obowiązany wnosić skargi do sądu gminnego czy pokoju, który na mocy art. 29 i 66 do 68 włącznie Ustawy o karach, nakładanych przez sędziów pokoju, może naznaczać kary do 100 rubli, jak również art. 88 do 98 włącznie może karać aresztem do 1 miesiąca lub grzywną do 100 rubli³².

Prawdę mówiąc, nikt tych przepisów nie znał, łącznie z wójtami (czyli sołtysami), którzy mieli tych porządków pilnować. A przecież nie były nowe, gdyż większość punktów nakazowo-zakazowych pochodziła jeszcze z epoki Księstwa Warszawskiego! Czyżby brakło czasu na zapoznanie się z nimi?

Pożary

Nie pozostawało tego rodzaju budownictwo bez wpływu na liczbę i jakość pożarów. Ludziom wrażliwym sen z powiek spędzały pożary zbiorowe (zwane też masowymi). Bardzo było o nie łatwo, bo nawet porządnie zbudowane wsie i miasteczka, nawet domy zamożnych ludzi, nawet dwory i ich zabudowania folwarczne, kryte były strzechą lub gontem. Nierzadki był widok budynku murowanego, którego dach był, jak to mówiono z „drzewa”. To z takiego powodu spłonęła 1/3 Krakowa w 1850 r.,

³² J. Tuliszkowski, *Walka z Pożarami dla użytku miast mniejszych, gmin, dworów i osad*, Warszawa 1909, s. 84–85.

wysuszonego brakiem opadów od końca kwietnia do dnia pożaru, czyli do 18 lipca; zresztą zaborca austriacki robił co w jego mocy, by utrudnić alarmowanie i początki gaszenia, w tym zawrócił z granicy Warszawską Straż Ogniową. Oto niepełna kronika zdarzeń z 1904 r., obejmująca koniec lipca i niepełny sierpień. Zaznaczyć należy, że jest to wybór zdarzeń. Za „palność” odpowiadały zarówno czynniki budowlane, jak i pogoda. Najpierw zbierała swoje żniwo na strzechach długotrwała susza (dzisiaj zwana anomalią pogodową), naturalna na tej szerokości geograficznej i o tej porze.

D. 21 lipca, w nocy, we wsi Janina, pow. stopnickiego, skutkiem podpalenia stodoły, spłonęło 18 domów mieszkalnych i kilkadziesiąt budynków gospodarczych.

D. 22 t. m. we wsi Czemierniki, pow. lubartowskiego, spłonęło 19 domów i 30 zabudowań; we wsi Zagroda, pow. nowoaleksandryjskiego (od porzuconego papierosa w stodole) — 20 zabudowań.

W Ożarowie, w pow. opatowskim, d. 27 z.m. zgorzało 28 domów mieszkalnych i 9 zabudowań gospodarskich, ubezpieczonych na rb. 11.420. Straty w mieniu nieubezpieczonym obliczają na rb. 14.335. Do zmniejszenia pożaru przyczynili się obywatele okoliczni pp.: Świczynski, Bieliński i Rusocki, którzy z majątków swoich przybyli na pomoc z sikawkami.

D. 27 lipca w osadzie Lipno, w pow. rawskim, spaliło się kilkadziesiąt zabudowań, ubezpieczonych zaledwie na 10,000 rb.

We wsi Mokra w pow. olkuskim spłonęło 28 domów włościańskich oraz 25 zabudowań — Również uległa doszczętnie pożarowi wieś Wyszków, w pow. węgrowskim, Straty olbrzymie, ubezpieczenie pokryje 27.000 rb.

W tymże czasie zaszły pożary: na folwarku Kopernia — spaliły się stodoły, obora i stajnie z kilkunastu końmi. We wsi Klików, w pow. pińczowskim — kilkanaście domów mieszkalnych i budynków gospodarskich. We wsi Belno, w pow. kieleckim, ogień podłożony przez zemstę, strawił znaczną część zabudowań; ubezpieczenie zwróci 13.200 rb. strat.

W nocy z d. 29 na 30 lipca w Raciborowicach (gub. piotrkowska) pożar zniszczył mrowane stajnie i wozownie, uratowano tylko konie, pastwą ognia padł cały inwentarz martwy. Straty z górą 1000 rb.

D. 4 sierpnia spaliła się prawie cała osada Wierzbica, w pow. radomskim; pożar zniszczył 88 domów mieszkalnych i liczne zabudowania gospodarskie oraz ruchomości. Straty przewyższają 100.000 rb.

Tegoż dnia ofiarą pożaru padły w osadzie Kłodawa 22 domy mieszkalne i kilkadziesiąt pomniejszych budynków, straty wyniosły 25.000 rubli.

W osadzie Jeżów, w pow. brzezińskim, d. 2-go b. m., pastwą płomieni stało się 30 posiadłości z 80 budynkami. Straty rządowego tow. wzajemnego ubezpieczenia wynoszą rb. 16.068.

D. 2-go b.m. szerzył się pożar w mieście Kraśniku, w pow. janowskim, gdzie spłonęły 34 budynki w 9 posesjach.

Dnia 3-go b. m. w osadzie Ślesin, w pow. konińskim, ogień ogarnął dom spadkobierców Sibilskiego. a następnie rozszerzył się na 9 sąsiednich posiadłości.

W Chmielniku w pow. stopnickim, d. 4 -go b. m. pożar strawił 6 posesyj, wraz z 19 zabudowaniami.

We wsi Dębów, w pow. bialskim, spalonej doszczętnie, ogień strawił 211 budynków mieszkalnych i gospodarskich.

We wsi Sulkowice, w pow. łączyckim, pożar, wynikły w posesyach małżonków Stawińskich i W. Błaszczyka, zniszczył 41 budynków, wartości kilkunastu tysięcy rubli.

Łódź. D. 5 sierpnia w południe wynikł pożar w domu No 136 przy ulicy Widzewskiej, mieszczącym tymczasowe składy towarowe moskiewskiego Towarzystwa przewozowego.

D. 5 b. m. w Młodzowach, w pow. pińczowskim, spłonęło 36 posiadłości z całym dobytkiem. Straty znaczne³³.

Wreszcie nastąpiła wyczekiwana zmiana pogody. To przyniosło nowe kłęski, bo pojawiły się burze z piorunami. Pożarów pojedynczych zabudowań w kronice nie podawano.

Pożary od piorunów. Na folwarku Promniki, w gub. kieleckiej, spaliła się w d. 1 sierpnia stodoła i brodło z żytem. Podczas burzy w d. 7 b. m. spaliła się duża wieś Wylazy, w pow. siedleckim. Ocalały tylko dwie zagrody na uboczu stojące. D. 7 b. m., wieczorem, spłonęła znaczna część osady Kamięńsk, w pow. piotrkowskim; 74 posesye ze wszystkimi zabudowaniami gospodarczymi padło ofiarą pożaru; straty przeszło 100.000 rb. W niedzielę, d. 7 -go b. m., w pow. ostrołęckim, spłonęła prawie cała wieś Krysiaki. Silna wichura uniemożliwiła wszelki ratunek. Spaliło się 110 budynków i inwentarz żywy. Wzajemne ubezpieczenie wypłaci około rb. 14.000³⁴.

Front burzowy przeszedł, więc przyczyny pożarów powróciły do standardowych, tj. nieostrożności w posługiwaniu się ogniem i – zwłaszcza – podpaleni.

Strasznej kłęsce uległ folwark Kamionka, około Piotrkowa, należący do p. Józefa Mikulskiego. Spaliły się prawie wszystkie większe zabudowania i zbiory tegoroczne. Ogień wzniecił przez zemstę parobek, wydalony ze służby. Straty sięgają kilkunastu tysięcy rubli.

Podpalenie. W Sieradzu w ciągu 36 godzin pięć razy ktoś podpalał dom Moszkowicza przy ulicy Dominikańskiej, i pięć razy domownikom udało się dostrzedz to w porę i ugasić. W d. 17-y m. b.m. podłożono ogień po raz szósty i tym razem ogarnął on budynek tak szybko, że straż umiejscowiła pożar w ciągu dwóch godzin.

D. 20 b. m. pożar w Błazkach zamienił w gruzy 20 domów. Kościół ocalał. Prócz straży miejscowej ratowała opatówkowska.

Skierniewice dnia 21 b. m. podczas bytności J. E. ks. arcybiskupa Popiela u ks. dziekana Skrzypkowskiego na obchodzie jubileuszowym, nastąpił wybuch jednej z lamp. Wybuch był tak silny, że kawał dachu altany został wyrwany. Ogień przedostał się na pobliskie zabudowania. Altana i stodoła spaliły się. Kilku członków straży ogniowej uległo pokaleczeniu.

Tegoż dnia w Konstantynowie wybuchł pożar. Ogień groził całemu miastu. Telefonicznie przyzwana straż łowicka ogień stłumiła. Straty znaczne.

³³ Kronika pożarów, „Strażak” 1904, nr 8, s. 13–15.

³⁴ Tamże.

Dnia 21 w południe, w Zgierzu przy ul. Piaski, wybuchł wielki pożar w stodołach obywateli zgierskich. Kiedy płomienie ukazały się w trzech miejscach, spostrzeżono trzech ludzi, uciekających do lasu. Puszczono się za nimi w pogoń, ale pościg ich nie dosięgnął: skryli się w gęstwinie. Straty wynoszą 50.000 rb., zboże nie było ubezpieczone³⁵.

Tu uwaga: co prawda lata 1903–1904 uchodziły za szczególnie obfite w klęski pożarowe, ale na tle statystyk wieloletnich, jak to dalej zobaczymy, nie wyróżniały się szczególnie. Da się przy tym zaobserwować nasilenia pożarów cyklach 3–4 letnich. Zresztą definicja pożarów zbiorowych również jest wielce wymowna, ze względu na liczbę kwalifikującą. Jak to ujął w owym czasie Chomicz: *Dla ścisłości nadmieniamy, że pożarem zbiorowym będziemy nazywali taki, który strawił jednorazowo **więcej, niż 25 nieruchomości*** [podkreślenie ówczesne – PR]. Dane w tym zakresie są szokujące.

Tabela 1. Pożary zbiorowe

Liczba pożarów	Rok	Liczba spalonych		Straty [rb.]
		nieruch.	budyn.	
58	1904	3181	8628	1.484.670
21	1905	844	2087	383.946
34	1906	1456	4690	721.486
40	1907	2090	5890	1.045.344
38	1908	1371	3806	692.052
16	1909	405	1322	254.556
57	1910	1679	5318	924.421

Źródło: B. Chomicz, *Stan palności a ubezpieczenia w Królestwie Polskiem*, „Przegląd Pożarniczy” 2014, nr 1, s. 29.

Ogólne straty roczne we wszystkich pożarach (łącznie ze zbiorowymi) szacowano w 1910 r. (a był to cykliczny, ciepły sezon) na 10 mln rubli. Zatem jeśli w pożarze za 1 mln rubli płonęło ok. 5 tys. budynków, to rocznie paliło się w całości nawet do 50 tys. budynków! Statystycznie rzecz biorąc, żaden budynek nie miał szans przetrwać dłużej, niż 50 lat, a roczne straty w tym zakresie równały się poważnym działaniom wojennym!

Przebudowa jednak kraju – (stosownie do wymagań bezpieczeństwa ogniowego) – z różdżki czarodziejskiej nie nastąpi – wiemy o tem dobrze. Trzeba na to dziesiątków lat i pracy planowej, mozolnej – a głównie duchem obywatelskim ożywionej³⁶.

Kształtowanie ducha oparto na sprawdzonych wzorcach zagranicznych. I choć nie ukrywano, że w Rosji gdzieś tam stan organizacji ochrony przeciwpożarowej jest lepszy niż w Kongresówce (np. gubernia Permska miała duże nasycenie strażami

³⁵ Tamże.

³⁶ B. Chomicz, *Akcja przeciwpożarowa*, „Przegląd Pożarniczy” 1914, nr 5, s. 108.

ogniowymi), sięgnięto do znacznie solidniejszych podstaw, niż rosyjskie, bo ogólnie rzecz biorąc, rosyjskiej rzeczywistości nijak nie dało się brać pod uwagę jako przykładowej. Najbliższym krajem, gdzie ochrona przeciwpożarowa stała na wysokim poziomie, bo opartym o trzeźwy osąd sytuacji (lepiej zapobiegać niż leczyć – wypracowany na podstawie bolesnych doświadczeń pożarowych) i o celowe badania naukowe, były Niemcy. To stamtąd czerpano pełnymi garściami. W przypisku redakcji do cyklu artykułów dr. inż. Meyera (przekładanych przez Brunona Świętochowskiego) zawarto znamienne słowa.

*Fachowa literatura ojczysta nie posiada u nas dotychczas specjalnej pracy, traktującej o bezpieczeństwie budowni w związku z ich konstrukcją. To też pozwalamy sobie na ten skrót pracy autora niemieckiego, z nadmienieniem wszakże, że w szeregu artykułów będziemy podawali prace oryginalne, na materiale krajowym oparte*³⁷.

To z publikacją artykułów Meyera należy wiązać karierę słowa brandmur, co spolszczano na mur ogniowy oraz ogniomur, czyli ścianę murowaną, której pożar nie pokona. Oto jak to wówczas wyglądało w idealnej, nowoczesnej zabudowie Berlina:

*Wszystkie budynki, które dotyczą sąsiednich bezpośrednio i bliżej niż 6 m. położone, powinny być zabezpieczone brandmurami. Tego rodzaju brandmury powinny być minimalnie grubości 0,25 m. i powinny wychodzić w jednym ciągu przez wszystkie piętra, oraz ponad dach do wysokości 0,20 m. Dla oświetlenia wewnętrznych ubikacji [pomieszczeń – PR] dozwolone są jednakże otwory, które winny być zamurowane mocnym szkłem, minimalnej grubości 1 cm. (...) Przy długich frontach domów trzeba przeprowadzić cały na długości 40 m. brandmur. Otwory drzwiowe w takich brandmurach są dozwolone, lecz z zachowaniem szczególnych przepisów (patrz dalej rozdział „Ogniotrwale drzwi”)*³⁸.

Ogniomury Berlina znakomicie sprawdziły się w praktyce i to w okolicznościach, które trudno było przewidzieć na początku XX w., mianowicie w czasie II wojny światowej³⁹. Ponieważ – jak się dalej przekonamy – berlińskie brandmury już pod polską nazwą ścian przeciwpożarowych znalazły sobie miejsce za kilkanaście lat w polskich przepisach budowlanych, można przypuszczać, że „Przegląd Pożarniczy” przyczynił się do tego rozwiązania prawnego.

Tymczasem pod koniec XIX w. i na początku XX w. można było przeczytać o środkach dających nadzieję na uodpornienie ścian, stropów i konstrukcji dachowych na działanie ognia.

³⁷ dr inż. Meyer (przekład B. Świętochowski), „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 1, s. 19.

³⁸ Tamże, s. 20.

³⁹ O zagadnieniu wywoływania pożarów miast przy pomocy ataków lotniczych patrz m.in.: P. Rochala: *Powietrzni podpalacze - pożary wywołane z powietrza, poprzez działania lotnictwa*, dostępne w internetowych wydaniach „Przeglądu Pożarniczego”, *Powietrzni podpalacze: z dziejów historii: cz. I (I wojna światowa)* nr 9/2007, cz. II (*Guernica 1937 r. - naloty dywanowe na Warszawę 1939 r.*) nr 10/2007, cz. III (*bitwa o Anglię 1940 r.*) nr 11/2007, cz. IV (*naloty na Hamburg 1943 r.*) nr 12/2007, cz. V (*II wojna światowa w Japonii*) nr 1/2008. Ujęcie kompleksowe zagadnienia nalotów alianckich na niemieckie miasta: D. Irving, *Drezno. Apokalipsa 1945*, Pruszków 2004; J. Friedrich, *Požoga. Bombardowania Niemiec w latach 1940–1945*, Warszawa 2011.

W Londynie utworzyło się wielkie towarzystwo akcyjne, które zamierza budować fabryki dla wyrobu drzewa ogniotrwałego. Już przed laty wynaleziono roztwór dla przesycania drzewa w Ameryce, gdzie takie drzewo ogniotrwałe używane jest do budowy statków marynarki. W Anglii wynalazek został ulepszony i zastosowano go praktycznie w muzeum brytańskim, oraz przy budowie teatrów. Obecnie drzewo ogniotrwałe ma być wyrabiane na większą skalę, aby je udostępnić szerszym warstwom ludności. Skład roztworu chemicznego, zabezpieczającego drzewo od spalania się, jest tajemnicą wynalazcy, a dom z takiego drzewa jest od 2 do 6% droższy od budowli z drzewa zwykłego⁴⁰.

Ubezpieczenia od ognia w Królestwie Polskim

Ubezpieczenia od ognia były jednym ze sposobów radzenia sobie ze szkodami pożarowymi. Oczywiście mogło tu dochodzić do nadużyć, ale generalna zasada, by zagwarantować sobie brak utraty wszystkiego, przynosiła więcej korzyści niż strat, szczególnie w zakresie rozwoju przepisów przeciwpożarowych. Poza tym, wraz ze zgromadzonymi pieniędzmi, pojawiała się szansa finansowania przedsięwzięć z zakresu ochrony przeciwpożarowej, jak budowa wodociągu, wymiana strzechy na dachówkę czy subwencjonowania straży ogniowej.

Obowiązkowe ubezpieczenia od ognia

W Królestwie Polskim ubezpieczenia budynków od ognia były obowiązkowe na zasadzie ustawy z 1900 roku. Miało to przeważnie dobre skutki, ale też nie mogło zastąpić działań policji ogniowej, mającej uprawnienia do stosowania kar administracyjnych za nieprzestrzeganie przepisów przeciwpożarowych. Niemniej sam fakt konieczności ubezpieczenia budynku powodował, że myślano o obniżeniu składki. Wiele osób ubezpieczało się dobrowolnie, widząc w tym szansę na uniknięcie skutków powszechnej klęski ogniowej. W 1905 r. pewna instytucja ubezpieczeniowa obchodziła jubileusz 5-lecia działalności. Nie było to prawdą – instytucja mogłaby obchodzić 100-lecie działalności, tylko dwukrotnie ten sam zaborca przeszkodził w jej ciągłości działania, likwidował, po czym wymyślał ją od nowa. Firma w tamtym czasie nosiła nazwę: Instytucja Wzajemnych Ubezpieczeń od Ognia. Jeden z jej pracowników, mgr prawa Uniwersytetu Kijowskiego Bolesław Chomicz, przenosił się ze stanowiska likwidatora szkód w Opatowie w Świętokrzyskiem do Janowa Podlaskiego, na kierownika tamtejszej placówki. Zapoznajmy się z tym krótkim tekstem, pozwalającym na zrozumienie zasad działania tej instytucji.

Wzajemne ubezpieczenia od ognia w Królestwie Polskiem ukończyły w r. b. pięciolecie swego istnienia, które dodatnio zapisało się w życiu ekonomicznem naszego kraju.

Od roku 1870 aż do 1900 ubezpieczenia były w zawiadywaniu rządów gubernialnych, aż do wprowadzenia reformy w roku 1900, dzięki której weszły w życie ubezpieczenia

⁴⁰ Drzewo ogniotrwałe, „Przewodnik Pożarniczy” 1902, nr 12, s. 124.

całkowitej wartości nieruchomości w Królestwie. Jak zasada ta była trafna i przyjęła się w Królestwie, dowodzą następujące dane, zaczerpnięte z nieukończonego jeszcze bilansu za r. z.

Pomijając wszystkie nieruchomości których wartość nie przewyższa 5.000 rb., a które powinny być obowiązkowo zaasekurowane w pełnej wartości we wzajemnym ubezpieczeniu, posesyj większej wartości nad 5.000 rb., do dnia 14-go stycznia 1904 roku, ubezpieczonych było 21.458 z 237.631 budynkami, których wartość wynosiła sumę 380.261.920 rb. Z sumy tej 99.078.290 rb. przypada na ubezpieczenia obowiązkowe, posiadłości bowiem większe również do 5.000 rb. muszą być zaasekurowane we wzajemnym ubezpieczeniu; dalej 95.100.390 rb., przypada na ubezpieczenia dobrowolne, a dopiero pozostała suma na Towarzystwa prywatne, nieruchomości nie przyjęte przez zarząd do ubezpieczenia oraz takie, na których przyjęcie tymczasowo nie pozwala ustawa, jak np. większe fabryki i zakłady przemysłowe ponad wartości 30.000 rb. Nadmienić przytem należy, iż wartość dobrowolnych ubezpieczeń, jak wykazują dane statystyczne za ubiegłe trzecie, zwiększa się rocznie o 20% zezwoliło to zarządowi na dokonanie całego szeregu ulg, jak zmniejszenie składek ogniowych, wydawanie pożyczek bezprocentowych na dachówki, lub zniesienie opłaty za sporządzenie szacunków w posiadłościach do 1.000 rubli.

Na dobro instytucji zaznaczyć należy, iż na posady taksatorów przyjmowani są ludzie z wyższym wykształceniem pochodzenia miejscowego, jak również, iż zarząd stara się wyzbyć wielu cech biurokratycznych⁴¹.

Prawdą jest, że zarząd, w którym znaczną rolę odgrywali Polacy, kładł nacisk na sprawy wymienione w ostatnim akapicie cytatu. Instytucja przystąpiła więc do strajku w obronie j. polskiego, jak wiele urzędów i szkół, by nie przedstawiać do podpisu ledwie piśmiennym (albo wcale) chłopom dokumentów do podpisywania w j. rosyjskim. A nawet całe akta kościelne wypisywano wówczas po rosyjsku! Strajkujących pracowników spotkały represje: 123 Polaków straciło posady, z zakazem wykonywania zawodu, z koniecznością zapłacenia wysokich grzywien i odsiedzenia kar. Jedną z ofiar był Bolesław Chomicz, który nie dał się władzom, ani przekupić, ani zastraszyć⁴².

Zasada różnicowania składek nie wystarczała w przypadku budownictwa indywidualnego do zrekompensowania kosztów budowy budynku ogniotrwałego, ale zmuszała do myślenia o tym. Tak to przedstawił bohater niniejszej książki.

Towarzystwa asekuracyjne, a szczególnie działające u nas obowiązkowe ubezpieczenie od ognia, pobierają tem mniejszą opłatę, im więcej odporne na ogień są budynki i mniejsze jest ryzyko dla nich. Dołączam tu tablicę opłat od różnego rodzaju budynków, wypracowaną przez Wzajemne ubezpieczenie od ognia w Królestwie Polskiem⁴³. Tablice dla każdej ziemi są różne, ale różnice nie są znaczne. Podaję tu tablicę ziemi Piotrkowskiej opłat rocznych za każde 100 rb. sumy ubezpieczonej⁴³.

⁴¹ Wzajemne ubezpieczenia od ognia w Królestwie Polskiem, „Strażak” 1905, nr 9, s. 11.

⁴² Więcej o tym patrz: P. Rochala, Bolesław Chomicz i jego czasy. Biografia strażacka, s. 52–57.

⁴³ J. Tuliszkowski, Walka z Pożarami dla użytku miast mniejszych, gmin, dworów i osad, Warszawa 1909, s. 49–50.

Tabela 2. Opłaty roczne za każde 100 rb. sumy ubezpieczonej na terenach ziemi Piotrkowskiej

Rodzaj budynku i jego pokrycia dachowego	Za każde 100 rubli rocznie	
	Dla wsi	Dla osad i miasteczek
Budynek murowany z pokryciem ogniotrwałym	0.15 k.	0.25 k.
Budynek murowany pokryty gontem	0.40 k	0.65 k.
Budynek murowany pokryty słomą	0.44 k.	0.78 k.
Budynek drewniany z pokryciem ogniotrwałym	0.65 k	1 rb. 10 k.
Budynek drewniany pokryty gontem	0.75 k.	1 rb. 25 k.
Budynek drewniany pokryty słomą	0.82 k.	1 rb. 50 k.

Źródło: J. Tuliszkowski, *Walka z Pożarami dla użytku miast mniejszych, gmin, dworów i osad*, Warszawa 1909, s. 49–50.

Widzimy tu, że dla wsi jest opłata mniejsza, ponieważ budynki dalej stoją od siebie, otoczone są często zadrzewieniem. W miasteczkach zaś gęsto zabudowanych, gdzie jest obawa masowych pożarów, opłata jest prawie 2 razy większa.

Również ogromną różnicę w płaceniu za ubezpieczenie widzimy pod tym względem, z jakiego materiału stawiamy budynek. Jest ona aż 6 razy większa dla drewnianych słomą krytych budowli niż dla budynku ogniotrwałego. I to winno nas zachęcić do porządnego budowania się, bo mniej wydatków będziemy mieli potem, a co najważniejsze zupełne bezpieczeństwo od pożaru⁴⁴.

Widzimy też jeszcze jedno – ubezpieczyciel nie premiował krycia dachów materiałami niepalnymi, co nie jest logiczne, a co najlepiej widać na przykładzie budynku ogniotrwałego krytego słomą i budynku drewnianego z pokryciem ogniotrwałym – składka od tego drugiego jest większa. Ponadto bardzo wysokie były składki od budynków drewnianych krytych strzechą, sięgając na wsi 0,82%, a w mieście 1,5% wartości sumy ubezpieczenia (jak ktoś chciał płacić mniej, dostawał potem mniejsze odszkodowanie). No ale takie było prawdopodobieństwo całkowitego zniszczenia budynku. W sumie nic dziwnego, że taksatorów witano po wsiach widłami – drugą praktyką chłopów było zaniżanie wartości ubezpieczanych budynków bądź ubezpieczanie ich na sumę minimalną 5 tys. rubli. Taksatorzy nie wypłacali jednak takiej sumy, tylko proporcjonalną do ogólnej wartości budynku i zakresu zniszczeń pożarowych.

Ubezpieczenia od ognia zakładów przemysłowych

Najpełniejszy obraz skuteczności ich oddziaływania, a raczej możliwości, ukazał kto inny niż Bolesław Chomicz, niestety podpisany anonimowo, bo jako

⁴⁴ Tamże, s. 50.

inż. B. Kr-ski, w artykule pt. *Wpływ ubezpieczeń od ognia na zwiększenie palności*⁴⁵. Dane tam zawarte i dziś robią wrażenie. Otóż autor przywołał doświadczenia, o dziwo, rosyjskie, gdy w 1902 r. wreszcie opracowano taryfę rabatową składek dla budynków wybitnie łatwo zapalnych i przynoszących same straty, to jest dla młynów. System upustów składkowych wyglądał następująco: zmiany w technologii przesiewania mąki na bezpieczną – 15%, ulepszenia konstrukcyjne budynku – 30%, za całkowitą ogniotrwałość budynku – 65%, oraz dodatkowe rabaty za stałe urządzenia gaśnicze tryskaczowe i inne urządzenia zabezpieczające. W sumie rabaty obniżały składkę do 12–13% wymaganej w odniesieniu do młynów palnych i niezabezpieczonych!

Zwrócić musimy uwagę, że ktoś bardzo mądrze przemysłał system rabatów jako rozwiązanie kompleksowe, nakłaniające do różnych rodzajów zabezpieczeń, a nie tylko jednego ich rodzaju, więc nie skupiono się tylko na stałym urządzeniu gaśniczym, ale również eliminowano źródła powstawania pożarów oraz wpływno na ograniczenie ich swobodnego rozwoju przegrodami budowlanymi. Uzyskane tym sposobem wyniki palności mówiły same za siebie.

Tabela 2. Wyniki palności w latach 1901–1904

Rok	Straty w % zbioru składek	Palność w %
1901	175%	4,3%
1902	173%	4,9%
1903	58%	2,5%
1904	45%	1,6%

Źródło: B. Kr-ski, *Wpływ ubezpieczeń od ognia na zwiększenie palności...*, „Przegląd Pożarniczy” 1914, nr 1, s. 24–27.

Doświadczenia z młynami doprowadziły do wniosków ogólnych, dotyczących nie samego tylko przemysłu zbożowego. Skoro bowiem udało się tak drastycznie ograniczyć straty w młynach, to przecież można było się pokusić o takie same rozwiązania systemowe w innych gałęziach przemysłu. Na skutek tego przestano ubezpieczać obiekty przemysłowe niemające zabezpieczeń – a to oznaczało, że ich właściciele, w razie pożaru, bankrutowali. Dzięki temu oświetlenie elektryczne *stało się tańszem od nafty, a (...) gdzie została jeszcze nafta, świadczy jedynie o wadliwym kalkulowaniu kosztów własnych przez właścicieli zakładów*⁴⁶.

Dalej dowiadujemy się, że dzięki rabatom składkowym (i niepodjęmowaniu przez ubezpieczycieli najwyższych ryzyk) nastąpił niesamowity boom na tryskaczowe stałe urządzenia gaśnicze (w artykule napisano – sprinkerowane).

⁴⁵ B. Kr-ski, *Wpływ ubezpieczeń od ognia na zwiększenie palności*, „Przegląd Pożarniczy” 1914, nr 1, s. 24–27.

⁴⁶ Tamże.

Sprinklery (...) uzyskały prawo obywatelstwa na szerszą skalę jedynie dzięki towarzystwom asekuracyjnym, które dla zakładów opatrzonych w tryskacze stosują rabat 45%. Dzięki temu koszt nakładu, jaki pociąga za sobą przeprowadzenie tryskaczy, pokrywa się rabatem taryfowym w ciągu lat 5-6 (...) Dzięki tym właśnie czynnikom, Cesarstwo wraz z Królestwem Polskiem wyprzedziły Niemcy pod względem ilości fabryk sprinklerowanych, których w państwie Rosyjskiem liczy się około 300, w Niemczech zaś, znacznie więcej uprzemysłowionych, zaledwie około 200. Ten postęp i ta różnica tłumaczą się tem, że u nas przemysł, jako nowszy, chętnie korzysta ze wskazówek taryfowych (...)»⁴⁷.

Autor nie omieszczał stwierdzić, że doświadczenia przemysłowe można przenieść na grunt miasteczek i wsi, wzorem istniejących w świecie pozytywnych doświadczeń.

Tak na przykład, za urządzenie w miastach wodociągów nieraz ustanawia się rabat taryfowy, sięgający 10-20%, jak również za posiadanie w majątkach środków ratunkowych stosuje się 5-10% rabatu (...). Za model docelowy w tym zakresie pokazał doświadczenia amerykańskie: (...) tam się nie czeka biernie na stosowanie się klienta do zaleceń taryfowych, lecz dzięki sztabowi wykwalifikowanych techników, inżynierów, monterów oraz funkcjonowania specjalnych doświadczalnych stacji przeciwpożarowych sporządza się propriomotu kosztorysy, finansuje się je kosztem własnym, ubezpieczonemu zaś na mocy umowy potrąca się koszt mielinacji z premii. Tym sposobem ubezpieczenia od ognia osiągają swoje zadanie, poza swym celem ekonomicznym bowiem wpływają jednocześnie na podniesienie kultury w drodze zwiększenia bezpieczeństwa ogniowego i zmniejszenia palności»⁴⁸.

Dodać można, że w krajach rozwiniętych firmy ubezpieczeniowe zaczęły się zrzeczać nie tylko po to, by gwarantować sumy odszkodowań, ale również, by kształtować ochronę przeciwpożarową. Dokumenty wypracowane w ten sposób były skuteczniejsze daleko poza granicami kraju wytworzenia. Takie były pierwociny standardów budowlanych, a zwłaszcza technicznych (urządzeń) z zakresu ochrony przeciwpożarowej.

Nauka i wynalazczość w walce z pożarami⁴⁹

Zwyczajne budowlane i gaśnicze z epoki porządków ogniowych, zawodne już w czasach ich świetności, od początku XIX w. coraz boleśniej zderzały się z rzeczywistością. Powstawały budynki z użyciem cegieł i żelazobetonu, mieszczące w sobie setki, a nawet tysiące ludzi – biura i fabryki, dające uludę wielkiej trwałości.

Ogniotrwałość to jeszcze nie bezpieczeństwo

To, że wznoszono budynki z materiałów niepalnych, nie czyniło ich bezpieczniejszymi, tylko większymi. O warunkach ewakuacji początkowo nie myślano wcale: robotnicy fabryk przeciskali się alejkami pomiędzy maszynami i stosami palnych towarów, a pracownicy biur gnieździli się w wypełnionych szafkami i aktami

⁴⁷ Tamże.

⁴⁸ Tamże.

⁴⁹ O ile nie zaznaczono inaczej, informacje wzięto z: P. Rochala, *Bolesław Chomicz i jego czasy. Biografia strażacka*, s. 17–22.

kantorkach. Głównym źródłem światła sztucznego były lampy naftowe, więc zapasy nafty musiały być stale pod ręką. Wszystko to razem, jeśli idzie o pożary wewnętrzne, dało doświadczenia budzące grozę. Ofiary śmiertelne pojedynczych pożarów liczone nawet w setkach ludzi. W dodatku długotrwały pożar ogromnego magazynu czy fabryki, postawionych z materiałów niepalnych, miewał taką energię, że przepalał stropy, dachy, a nawet ściany, a poprzez promieniowanie przenikał oknami do sąsiednich budynków niepalnych. Stosowania nowych technologii w taki sposób, by budynki nie poddawały się pożarom, dopiero uczono się.

Zresztą nadal zdarzały się przypadki absolutnej niefrasobliwości, czyli budynki wykonane w całości z drewna. W dniu 4 maja (tak! – w dniu Świętego Floriana!) 1897 r., w Paryżu przy Champ d'Elise (od jednego z pierwszych kinematografów) spłonęła szybko i w całości wielka, drewniana szopa handlowa, zwana *Bazar de Charity*, a w niej 126 osób, głównie zamotanych w suknie arystokratek, a tylko czterech dorosłych mężczyzn i dwóch chłopców (panowie wyszli cało z tej opresji, porzucając wszelkie konwenanse i ratując się w pierwszej kolejności przy pomocy kopniaków, pięści i lasek). Zginęła również dzielna w owej godzinie próby Zofia z Bawarii, równie piękna jak jej rodzona siostra, cesarzowa austriacka Sissi. Zofia odmówiła ratunku od strażaków, którzy się do niej przedarli. Uznała, że jako organizatorka imprezy, przemienionej w piekło, musi wyjść ostatnia albo wcale. Powiedziała im: *Ratujcie moje ekspedientki!*, po czym na klęczkach, modląc się w otoczeniu kilku zakonnic, czekała na ogień⁵⁰. Ponad 200 osób było rannych. To był symboliczny koniec epoki lekceważenia pożarów.

Rozum w walce z ogniem

Ale też nie czekano na zdarzenia symboliczne. Oto czytamy o następującej inicjatywie z końcówki XIX wieku:

*Komitet ochrony od pożarów zawiązał się w Anglii i postawił sobie na zadanie propagować znajomość środków przeciwpożarnych wśród wszystkich klas ludności. W tym celu będzie urządził odczyty, na które zaprosi osoby wskutek swego zajęcia zmuszone interesować się kwestią pożarów. Założy także czytelnię, a przy niej bibliotekę specjalną, oraz publikować będzie wydawnictwa w przedmiocie pożarów*⁵¹.

Do radzenia sobie z pożarami już wcześniej angażowano wybitnych wynalazców, ale dopiero z końcem wieku zdobyte doświadczenia zaczęto przekuwać w instrukcje, czyli normy.

Zasadniczą trudnością w realizacji potrzeb społecznym w tym zakresie, był brak metod badań zjawiska pożaru i nieumiejętność ilościowego opisu własności palnych materiałów i konstrukcji budowlanych, uwzględniającego zmienną dynamikę pożaru.

Pierwsze próby w omawianym problemie podjęto pod koniec dziewiętnastego wieku. W 1891 r. amerykańskie laboratorium Underwriters Laboratories Inc, zdefiniowało w sposób

⁵⁰ A. Koniuch, *Ratujcie moje ekspedientki*, „Przegląd Pożarniczy” 2017, nr 3, s. 47–49.

⁵¹ „Przewodnik Pożarniczy” 1898, nr 5.

ilościowy pojęcie „obciążenia ogniowego” i metodę badań tej wielkości. Przeprowadzone według tej metody badania, a ściślej uzyskane liczbowe wyniki tej wielkości, stały się jedną z podstaw klasyfikacji konstrukcji budowlanych.

Był to pierwszy, istotny krok tworzący podwaliny inżynierskiego podejścia do opisów zagrożeń stwarzanych przez pożar i w konsekwencji w okresie późniejszym, już w dwudziestym wieku, rozwój naukowych metod badań palności materiałów i wyrobów, modeli rozwoju pożarów i w konsekwencji opracowania metod ograniczających jego rozwój⁵².

A prowadzono bardzo intensywne badania ogniowe: kolumn, słupów, stropów, podłóg, dachów i ścian, w tym wszechstronnie przebadano odporność ogniową cegieł. I choć krzywa temperatura-czas ukazała się po raz pierwszy w formie znormalizowanej w 1917 r.⁵³, to przecież zdobycze badań, znane już 30 lat wcześniej, stosowano w praktyce budowlanej i przekładano je do takich przepisów.

Jednocześnie poprawiano jakość działań ratowniczo-gaśniczych. Powstawały świetne stráže ochotnicze, przekształcane w niezwykle brawurowe stráže zawodowe, wyposażane w coraz lepszy sprzęt. Powiedzmy jasno: to dzięki ofiarnym działaniom tych strażaków w razie pożaru płonął tylko jeden budynek. Niestety, mimo wysiłków – z kilkunastoma mieszkańcami lub kilkudziesięcioma (i więcej) pracownikami. To co robić...?

W różnych krajach odpowiadano sobie na to pytanie jednakowo, i jest to spostrzeżenie aktualne po dziś dzień: zauważyć pożar jak najwcześniej i zabić go, póki nie urośnie. Już wtedy istniały techniczne możliwości, by owo spostrzeżenie zastosować w praktyce. Oto one.

W pierwszej kolejności, jak to jakoś naturalnie i łatwo się dzieje, myśłano o poprawieniu interwencji. Tu przyszedł ludziom z pomocą rewolucyjny wynalazek, to jest wąż pożarniczy. Z chwilą, gdy gdzieś opanowano jego produkcję, natychmiast następowały zmiany w sposobach gaszenia. Używając węży, można było gasić z daleka, trafiając prądem wody całkiem precyzyjnie w ognisko pożaru. Sikawka, węże i prądownice spowodowały istotne zmiany w porządkach ogniowych.

A skąd wzięły się węże strażackie? Pomińmy tu próby starożytnych Greków z pompami i węzami (wynalazca – Ktesibios), bo to było ciekawostką nawet w czasach wynależenia. Zarówno pompy, jak i węże wymyślono w Europie od nowa w erze nowożytnej. Na tym polu pierwszeństwo przypadło Holendrom. W 1672 r. Jan van den Heyden, malarz pejzaży miejskich, a zarazem budowniczy i przedsiębiorca, gasił pożary w Amsterdamie przy pomocy giętkich węży tłocznych. W 1764 r. zaczęto wyrabiać węże strażackie w Filadelfii w USA. W ciągu XIX w. węże tłoczne i ssawne stały się

⁵² M. Pofit-Szczeptańska, *Nasze wspomnienia*, odczyt w dniu 1 grudnia 2023 r. w czasie obchodów 40-lecia Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Pożarnictwa.

⁵³ A. Krasuski, A. Krauze, W. Kowalski, A. Szarycki, P. Łukaszczyk, *Scenariusze rozwoju pożaru na potrzeby analizy nośności konstrukcji*, <https://www.sitpkrakow.pl>, [dostęp: sierpień 2023]; szerzej na ten temat patrz: W. Węgrzyński, *Ocena odporności ogniowej – historia i perspektywy*, „Ochrona Przeciwożarowa” 2019, nr 2; V. Babrauskas, R. Williamson, *The historical basis of fire resistance testing*, „Fire Technology” 1978, nr 14, s. 184–194.

niezbędnym i powszechnym już elementem wyposażenia sikawek konnych. Ale nie tylko. Dynamiczny rozwój przemysłu ciężkiego pozwolił na produkcję rur żeliwnych i stalowych, a te zastosowano do doprowadzania wody do budynków. Same wodociągi to stary wynalazek, w średniowiecznym Krakowie woda była dobrem dostępnym powszechnie (ale za słoną opłatą) przy pomocy drewnianych wodociągów. Stal i żeliwo zmieniły tu wiele, bo instalacje zrobiły się trwalsze i pozwalały na zwiększenie ciśnienia wody. Skoro woda była w domach, zastosowanie strażackich węży z prądownicami nie tylko do podlewania ogrodów, ale i jako wyposażenie budynków, by gasić pożary, nim straż je dostrzeże (na ogół za późno), nasuwało się samo. To nastąpiło w II połowie XIX wieku. Gdzieś tamhydranty wewnętrzne przyjęły się naprawdę późno, bo doprowadzenie bieżącej wody do każdego budynku to jeszcze większy wysiłek cywilizacyjny niż elektryfikacja. Hydranty wewnętrzne najszybciej upowszechniły się w zakładach przemysłowych i towarzyszących im magazynach, bo tam woda była na ogół niezbędna do produkcji, a zagrożenie pożarowe wysokie.

Ale choć można się obyć bez wodociągu, bez wody nie da się żyć. Do wielu domów i mieszkań donoszono ją codziennie po kilka wiader na rodzinę, a porządki ogniowe wymagały, by nawet gromadzić jej zapasy w beczkach. Pomysłowi ludzie postanowili usprawnić tu co nieco. I zanim nastały stacjonarne hydranty wewnętrzne, oni pomyśleli o czymś gaśniczym, co byłoby przenośne. Pierwszeństwo w wynalezieniu tego czegoś mieli Anglicy. Już w 1726 r. Ambrose Godfrey opatentował bombę wodną, czyli beczkę lub szklany balon z wodą i z ładunkiem prochowym. Jednak coś, co wybucha, nie jest urządzeniem przyjaznym w użyciu, więc wynalazek nie upowszechnił się za bardzo. Przełom nastąpił w 1818 r. i znów w Anglii, gdy kapitan George W. Manby wziął cylinder o pojemności 13,6 litra, napełnił go nie wodą, a proszkiem gaśniczym na bazie węgla potasu, wstawił w to rurkę syfonową z zaworem, zakręcił i doładował powietrzem. I w sensie zarówno kształtu, budowy, sposobu działania, jak i środka gaśniczego, praktycznie nic nie zmieniło się od tamtego czasu w gaśnicach proszkowych pod stałym ciśnieniem, tylko zamiast powietrza stosuje się azot. W ciągu XIX w. wykorzystywano w gaśnicach inne rodzaje proszków i gazy pod ciśnieniem (dwutlenek węgla) oraz wymyślono najtańszą i najbardziej zawodną – na pianę chemiczną – co na domiar wszystkiego parzyła kwasem. Co więcej, na skutek zasady uruchamiania jej poprzez uderzenie o ziemię, użytkownicy zaczęli psuć inne rodzaje gaśnic. Na początku XX w. zastosowano halony. Nic już zatem nie stało na przeszkodzie w upowszechnieniu gaśnic, prócz ich ceny i sformułowania wymagań w ich stosowaniu przepisami lub warunkami ubezpieczenia. No i najważniejsze – wiedzy o ich istnieniu i skuteczności gaśniczej. W Królestwie Polskim zwano gaśnicę różnie: „urządzeniem do gaszenia”, „gasicielem” przez spolszczenie nazwy rosyjskiej rodzaju męskiego „tuszytiel”, ale wkrótce przyjęło się nowe, polskie słowo rodzaju żeńskiego: „gaśnica”⁵⁴.

⁵⁴ Więcej o gaśnicach patrz: P. Wolny, *Historia podręcznego sprzętu gaśniczego*, „Przegląd Pożarniczy” 2022, nr 12, s. 23–27.

Oczywiście powszechnie dostępne było inne urządzenie gaśnicze, to jest zbiornik z tłokiem, krótkim wężykiem i prądowniczką, co się nazywa hydronetką, którą podówczas zaliczano do rodzaju sikawek. Tańsza od wodociągów, tańsza od gaśnic, a jakże pożyteczna. Po prostu szpryca, wiadro i konewka w jednym.

Szybko zorientowano się, że głównym zagrożeniem dla życia ludzi w pożarach wcale nie jest ogień, lecz dym, a ściślej rzecz ujmując – tlenek węgla. Bardzo „demokratyczny” gaz, zabijający ludzi biednych i bogatych. Groźny dla ówczesnych mieszkańców wielkich miast i bez pożarów, bo był głównym składnikiem produktu ubocznego koksowni – gazu miejskiego. Gazem tym, nim nastąpiła elektryczność, oświetlano ulice, domy, szpitale i urzędy, bo nie śmierdział i nie kopcił, jak nafta. Specjalne osoby miały dbać o zapalanie i gaszenie tysięcy lamp. I była to praca bardzo odpowiedzialna, bo jeśli zgaszono płomyczek, a nie zakręcono zaworka lub zaworek okazał się nieszczelny, to po kilku godzinach znajdowano ludzi zapadłych w sen wieczny.

Próbowano bronić się przed tymi zagrożeniami. Niemcy chwalą się, że pierwsi wynaleźli czujkę pożarową. Nie pierwsi, ale ich wynalazek jest tak oryginalny, że dajmy im pierwszeństwo. Otóż w 1894 r. opatentowano w Niemczech następujące urządzenie alarmowe: para kanarków siedziała sobie w klatce, której dno miało kształt lejka, zakończonego wagą, co po naciśnięciu zwierala styki instalacji elektrycznej. Lejkowaty kształt dna nie zachęcał ptaszków do latania w dół, co zapobiegało alarmom fałszywym. Jeśli oba ptaszki opadły na podłogę, ciężarem swoich ciałek wznicały alarm pożarowy czy gazowy. Dwa, bo jeden mógł przypadkiem usiąść na wadze, ale nigdy dwa na raz – powiedzmy to jasno – żywe. To była pierwsza czujka dymu czy tlenku węgla. A dlaczego kanarki? Bo owe ptaszki były znacznie wrażliwsze na działanie trujących gazów niż człowiek, więc dużo szybciej traciły przytomność i spadały na wagę, włączając obwód syreny. Miały też w sobie wartości dodane – udomowienie od dawnych czasów, kanarkowy kolor i wesoły śpiew.

Zastosowanie w praktyce śpiewających czujek było wielce kłopotliwe, ale możliwe. Zresztą nawet i bez wagi uruchamiającej alarm trzymano powszechnie kanarki w biurach, urzędach czy domach, nie tylko dla ich śpiewu. Bacznie zwracano uwagę na to, czy nie padają, bo ich wrażliwość na trucizny była znana już wcześniej. Nie tylko kanarki. Ogólnie rzecz biorąc, starano się o trzymanie oswojonych zwierząt w miejscach niebezpiecznych, jak kopalnie, by swoim zachowaniem powodowanym wyczulonymi zmysłami informowały o nadciągających zagrożeniach.

Tymczasem pierwszy elektroniczny alarm przeciwpożarowy, którego zasada działania nie opierałaby się na śmierci sympatycznych zwierzątek, opatentowano w USA cztery lata przed niemieckimi ptaszkami (w 1890 r.). Autorem patentu był Francis R. Upton. Patent patentem, ale na wdrożenia przyszło czekać aż do wieku XX, gdy w 1902 r. w Anglii George A. Darby opatentował czujki z prawdziwego zdarzenia: czujkę płomienia i czujkę dymu. Ich zastosowanie w praktyce było już tylko kwestią elektryfikacji osiedli ludzkich.

Jednak inny wynalazek był już w powszechnym użyciu pod koniec XIX wieku. Wynalazek ten sam wykrywał pożar i samodzielnie go gasił. Anglik William Congreve (ten sam, który adaptował na potrzeby europejskie innowację z Dalekiego Wschodu – rakiety bojowe, zwane od nazwiska zawłaszczyciela pomysłu racami kongrewskimi), sprytnie opatentował w 1812 r. instalację zraszaczową. Sprytnie, bo – podobnie jak raket – sam tego nie wynalazł, a jedynie podpatrzył. Ktoś, kogo imię nie przeszło do historii, zastosował wówczas w jednym z teatrów nawiercone rury pod sufitem, zasilane grawitacyjnie wodą ze zbiornika. Potem stosowano te urządzenia w fabrykach tekstylnych, a Congreve na tym zarabiał. Jednak nie były to samoczynne urządzenia gaśnicze, bo ich uruchomienie wymagało przestawienia dźwigni zaworu przez człowieka. Samoczynność gaśnicza przyszła na świat w USA za pół wieku z górą. Henry S. Parmalee z New Haven w stanie Connecticut, prężny przedsiębiorca w wielu branżach, właściciel m.in. fabryki fortepianów, za wszelką cenę nie chciał zbankrutować za sprawą pożaru. Postanowił zatem chronić swoje mienie skuteczniejszym i mniej przysparzającym o straty urządzeniem gaśniczym niż instalacja zraszaczowa systemu Congreve, gdzie otwarcie zaworu oznaczało lanie wody ze wszystkich na raz otworów rury, czyli przypadkowe moczenie wszelkich przedmiotów, również tych niepalących. Przy tekstyliach mogło nie mieć to aż takiego znaczenia, ale w przypadku instrumentów muzycznych oznaczało straty równie wysokie, jak od pożaru. Parmalee wpadł na pomysł, by pożar sam otwierał sobie odpowiednią rurkę z sitkiem, a wtedy woda tryśnie na ogień tylko w tym miejscu, co trzeba. Wtedy zawilgocone będzie tylko to, co i tak by się spaliło, więc straty będą ograniczone. A jeśli pożar rozwinie się dalej, to sam sobie inne rurki z wodą pootwiera. Tylko jak to zrobić? Czyżby pożar był w stanie przekręcać sobie jakieś zaworki...?

Pomysł był prostszy, bo bezzaworkowy. Temperatura pożaru powodowała zsuniecie kapturka, założonego i naklejonego na sitko. Woda była w rurze pod ciśnieniem, więc gdy kapturek się rozszerzył i stopił się klej, sama go spychała z sitka. Działo to na tyle pewnie, że w 1874 r. fabryka fortepianów Henry'ego Parmalee została zabezpieczona pierwszym w świecie, działającym automatycznie, czyli bez udziału człowieka, stałym samoczynnym urządzeniem gaśniczym tryskaczowym.

Parmalee chciał zarobić na wynalazku. Występował z odczytami w Ameryce i w Europie, demonstrował działanie urządzenia, starał się nim zainteresować właścicieli fabryk i firm ubezpieczeniowych. W 1883 r. kilka fabryk tekstylnych w Boltonie wyposażono w urządzenia systemu Parmalee, co pozwoliło na znaczące obniżenie składki ubezpieczeniowej tych szczególnie palnych zakładów. Tak znaczące, że kariera urządzeń tryskaczowych zaczęła nabierać pędu – koszt zabudowy urządzeń zwracał się w kilka lat.

Pęd ten zyskał jeszcze większą dynamikę nie za sprawą Henry'ego Parmalee, lecz dzięki jego tryskaczowemu podwykonawcy – Fryderykowi Grinnelowi. Obmyślił on tryskacz tak udany, że jego budowa nie zmieniła się od czasów wynalezienia przed ponad 100 laty. Ma on postać wkręcanego w rurę śrubunku z otworem zatykanym mosiężnym koreczkiem, wypieranym elementem ognioczułym, trzymanym przez strzemionko.

Na strzemionku jest rozpraszacz strumienia wody (deflektor). Element ognioczuły to zamek topikowy – dwie blaszki zlutowane metalem, topiącym się w temperaturach niższych od temperatury wrzenia wody. Taki tryskacz był tańszy w produkcji i bardziej niezawodny od kapturkowego. To nie wszystko. Grinnel opracował pierwsze metody projektowania urządzenia tryskaczowego: diagramy wydatków wody w zależności od ilości mogącego płonąć materiału, optymalne wysokości montażu tryskaczy, udoskonalił zawór kontrolno-alarmowy, by nie trzymać stale w instalacji nazbyt dużego ciśnienia wody. W kilku słowach – ten wynalazca doprowadził urządzenie tryskaczowe do takiej doskonałości, że praktycznie nie uległy one zmianom od jego czasów! Oczywiście są teraz lepsze pompy, precyzyjne ampulki szklane zamiast zamków topikowych, subtelniejsze główki tryskaczy i urządzenia tryskaczowe na mgłę wodną, ale to szczegóły. O tym zaś, że urządzenia tryskaczowe pochodzą z wieku pary, a nie elektryczności, świadczy urządzenie alarmowe nieodłącznie z nimi związane – dzwon uruchamiany turbiną wodną.

Ale...

Wkrótce ugaszenie pożaru, nawet samoczynne, przestało wystarczać, szczególnie gdy trudno było orzec, co spowodowało większe straty – ogień, czy woda. Oczekiwano „czystych” środków gaśniczych, mających kombinację właściwości chemicznych i fizycznych, które pozwalają gasić pożary bez potrzeby usuwania niszczących skutków akcji gaśniczej.

Pod koniec XIX w. odkryto zalety gaszenia przy użyciu substancji gazowych, traktowanych jako czyste środki (ang. cleanagents). Pierwsze stałe urządzenie gaśnicze na dwutlenek węgla powstało przed 1910 r. w Niemczech (Siemens&Halske)⁵⁵.

Jednak stałe urządzenia gaśnicze mogły dotyczyć tylko wybranych budynków, najczęściej w przemyśle. W budownictwie powszechnym nawet natychmiastowe wprowadzenie dobrych przepisów przeciwpożarowych przyniosłoby widoczne efekty nie wcześniej, niż za dekadę. Walka doraźna z pożarami jawiła się jako niezbędna, a dla wielu – jedyna.

Wieże ciśnień, wodociągi i hydranty zewnętrzne były już zestandaryzowanymi oczywistościami, o których nauczano na politechnikach. Między innymi takie gruntowne nauki pobrał Józef Tuliszkowski i stosował je w praktyce przez całe życie zawodowe.

Straże pożarne w Królestwie Polskim

Pożary masowe nie były jedynie polską specyfiką. W tym samym, tragicznym sierpniu 1904 r. odnotowano za granicą poniższe zdarzenia.

Praga Czeska d. 6 sierpnia. Miejscowość Cirkwice zupełnie spłonęła. Spaliły się cztery osoby.

Hellbron 6 sierpnia. W miasteczku Imsfeldzie padło ofiarą znacznego pożaru trzysta domów. Zginęło 5 osób, w tej liczbie 3 dzieci, które wywołały pożar. Ciężkich poparzeń doznało 20 osób. (...)

⁵⁵ N. Tuśnio, P. Wolny, *Niektóre możliwości walki z pożarami na początku XX w.*, „Przegląd Pożarniczy” 2020, nr 8, s. 28.

*Tulon 8 sierpnia. W arsenale tutejszym wszczął się olbrzymi pożar, trwający całą dobę. Rannych jest 19 ludzi, dwaj bardzo ciężko. Straty wynoszą 200 tysięcy franków*⁵⁶.

Każde z tych zdarzeń wymagało interwencji strażaków – gaśniczej, ewakuacyjnej czy medycznej. W każdym z tych krajów była bardzo dobrze rozwinięta sieć straży ogniowych, zarówno ochotniczych, jak i zawodowych, z ludźmi przeszkolonymi w ww. aspektach akcji, dobrze wyposażonymi oraz dowodzonymi. Na nich w niedalekiej przyszłości mieli się wzorować strażacy z Królestwa Polskiego.

Wyposażenie straży pożarnych

Początek XX w. przyniósł wykrystalizowanie wzoru straży pożarnej. Jednocześnie w przodujących jednostkach następowała rewolucja: konie żywe zastępowano mechanicznymi, ale na to pozwalały sobie wyłącznie najbogatsze miasta świata. Jedno było pewne, a i obecnie pewnym pozostaje.

*Najlepszym i najsukuteczniejszym środkiem do walki z ogniem jest woda. Aby jednak woda dobrze mogła gasić pożar, trzeba ją wprowadzić do ognia zwartym silnym strumieniem. Do wytwarzania takiego prądu służy sikawka*⁵⁷.

I ówczesna sikawka ręczna miała być najważniejszym narzędziem aż do pełnej motoryzacji straży pożarnych. Z sikawkami na łamach niniejszego opracowania będziemy się często spotykać. Rodzajów sikawek było mnóstwo, rozróżnianych m.in. ze względu na sposób pompowania wody, przewożenia czy ich wielkość.

*Zależnie od siły, która je porusza, dzielą się one na parowe, gazowe (rzadko używane, tylko w dużych miastach) i ręczne. Zależnie od wozu, na którym są przewożone, sikawki bywają czterokołowe, dwukołowe, stale przytwierdzone, zdejmowane i przenośne*⁵⁸.

Pierwsze zdanie z poniższego cytatu dla Tuliszkowskiego było świętością – powtarzał je co najmniej kilkaset razy, a kilkanaście publikował.

*Najpraktyczniejszą sikawką dla wsi, osad i folwarków jest typ nieduży, od 3-ch do 4-ch cali średnicy cylindrów, przenośny, umieszczony na specjalnym wózku dwukołowym na półresorach. Dyszel tego wózka ma na końcu żelazny hak i pasy skórzane, którymi się przytwierdza do tylnej osi wozu strażackiego lub zwyczajnego. Na tym wózku zwykle bywa pod platformą zamykana skrzynia na drobiazgi przy sikawce, jak: klucze do naśrubków, zapasowe pyszczki, konopie i t. p. Jeżeli sikawka nie ma specjalnego wózka, to ją się przewozi na wozie strażackim lub zwyczajnym*⁵⁹.

Do osprzętu sikawki zaliczano węże tłoczne i ssawne, smoki, prądownice. Sikawka i jej osprzęt to jednak nie wszystko. Do dostarczania wody do sikawki służyły beczki, kadzie, wiadra. Beczki napełniano pompą, hydroforem lub czerpakami. Do zrywania dachów i obalania ścian przeznaczano bosaki (duże i podręczne), kotwice, drągi

⁵⁶ „Strażak” 1904, nr 8.

⁵⁷ J. Tuliszkowski, *Walka z pożarami dla użytku...*, s. 88.

⁵⁸ Tamże, s. 100–101.

⁵⁹ Tamże, s. 101.

żelazne, topory, piły. W pracach przydawały się piły, łopaty, oskardy i widły. Niezbędnym urządzeniem gaśniczym była tłumica.

Trudno straż pożarną wyobrazić sobie bez drabin. Tych było kilka rodzajów: mechaniczna (doczepiana do wozu), wysuwana, hakowa (kilka rodzajów), dachowa, zestawiana, przystawna itd. Instrukcje ćwiczeń z drabiną hakową lub dachową wychowywały prawdziwych wirtuozów tego sprzętu. Do przyrządów ratunkowych zaliczano: koc ratunkowy (skokochron), wór ratowniczy, płachtę ratowniczą, przyrząd sznurowy.

Strażacy już wtedy wkraczali zarówno w zasięg promieniowania ciepłego, jak i w dym. Od ognia chroniły tarcze ochronne, od dymu kaptur dymowy i maska, okulary z gąbką. Teren akcji oświetlano pochodniami i latarkami.

Jak widać, sprzętu było całkiem sporo, więc jakoś trzeba było dostarczać go na miejsce akcji. Do tego celu służyły wózki i wozy, oczywiście strażackie. Do przewozu drabin, bosaków i innych narzędzi długich służyły wozy rekwizytowe. Gdy wóz miał sikawkę, węże oraz ludzi, nazywał się pogotowiem. Napędem tego wszystkiego były, oczywiście, konie lub mięśnie ludzkie. Z końmi bywały ogromne problemy, z czym zetknęliśmy się przy opisach przykładowych akcji gaśniczych.

Zatrzymajmy się na chwilę przy ochronie dróg oddechowych, bo wówczas próbowano kilku sposobów.

Branżowe amerykańskie legendy głoszą, że strażacy zapuszczali długie brody, aby móc oddychać w gęstym dymie. Miało to polegać na tym, że strażak zanurzał zarost w wiadrze z wodą, a następnie wciskał mokrą brodę między zęby i oddychał przez usta, używając jej jako filtra. (...)

W 1863 r. udzielono A. Lacourowi patentu na jego wynalazek – „ulepszony aparat oddechowy”. Miał postać hermetycznej torby wykonanej z dwóch warstw płótna, oddzielonych podszewką z gumy indyjskiej. Urządzenie było noszone na plecach i trzymane w miejscu za pomocą dwóch pasków naramiennych i paska wokół talii. Worek za pomocą pary miechów napełniano czystym powietrzem, zależnie od rozmiaru zawierał zapas na czas od 10 do 30 min oddychania. Z górnej części torby prowadziły do ustnika dwie gumowe rurki. Przed rozpoczęciem oddychania należało ustnik odkorkować. Ustnik przytrzymywano przez zagryzienie zębami. Użytkownik wyposażony był w gogle chroniące oczy przed dymem, gumowy zacisk na nos i alarm dźwiękowy, który można było uruchomić ręcznie w celu wezwania pomocy.

W latach 70. XIX w. amerykańska straż pożarna używała masek przeciwdymowych Nelly'ego. Maska ta składała się z zawieszanego na szyi małego worka z wodą, do którego podłączone były dwa filtry z gąbki (żeby je nawilżyć, ściskano worek), maski twarzowej i przewodu. Powietrze było wciągane przez filtry do ustnika w masce twarzowej⁶⁰.

Bardzo podobne kaptury opisywał w swoich pracach Józef Tuliszkowski.

⁶⁰ N. Tuśnio, P. Wolny, *Niektóre możliwości walki z pożarami na początku XX w.*, „Przegląd Pożarniczy” 2020, nr 8, s. 28.

Skład idealny wiejskich straży pożarnych

Podamy przykład taboru dla straży malej, bo gdyby w taki wyposażono każdą OSP, sytuacja przedstawiałaby się idealnie. Niestety, owego minimum, o jakim mowa niżej, nie spełniało 90% straży wiejskich.

A) Oddział toporników.

Wóz strażacki, przerobiony z drabiaka do zaprzęgu pary koni, o ile drogi są dobre i ludzi na wozie jedzie niewielu. W przeciwnym razie lepiej jest, szczególnie na jesieni, podczas błota, zaprzęgać w czwórkę w poręcz przy drogach szerokich, w lejce przy wązkich. Na tym wozie znajdują się:

- 1) Drabina 8 — 10 łokci długa sosnowa z jesionowymi szczeblami, okuta.
- 2) 1 bosak duży z dziobem i hakiem (1 0 — 12 funtów wagi) na drążku 8 — 10 łokci długim, 2- 2 1/2 cala grubym.
- 3) 2 bosaki lekkie mniejsze po 7 funtów wagi na drążkach po 7-8 łokci długich i 3/4 — 2 cala grubych.
- 4) 2 bosaki trójzębne do rwania dachów słomianych na takichże samych drążkach.
- 5) 2 bosaki podręczne
- 6) 1 drąg żelazny zakrzywiony do zrywania podłóg wagi 10-12 funtów, 4 stopy długi.
- 7) 2 łopaty żelazne z drążkami.
- 8) 2 widel z drążkami.
- 9) duży topór 5 funtowy.
- 10) 4-6 tłumnie na drążkach 8 — 10 łokci długich.
- 11) 1 sito kominowe druciane i parę płacht z grubego płótna.
- 12) Apteczka zawierająca środki do tamowania krwi, leczenia poparzeń i środki do cucenia.
- 13) Skrzynka z narzędziami do kucia koni, zawierająca młotek, szczypce (obcęgi), tarnik (raszpla), ucinek, wybiórek (strużek), kilkanaście gwoździ do podków (hufnali) i kilka haceli.
- 14) 2 pochodnie naftowe.

B) Oddział sikawek.

Sikawka (...) z oliwiarką i kluczem do naśrubków. Przy sikawce powinno się znajdować:

- 1) Wylot czyli prądownica owinięta sznurem, z pyszczkiem.
- 2) Wąż ssący 6 — 7 łokci długi, ze smokiem i pływakiem (wąż zapasowy takiż z półłącznikami).
- 3) Zwijadło z nawiniętymi 3 — 4 częściami węża parcianego tłoczącego po 20 łokci długimi z łącznikami. (Do każdej sikawki w handlu dodaje się wąż ssący ze smokiem i około 20 łokci tłoczącego, dokupić więc trzeba jeszcze 2 — 3 kawałki węża tłoczącego z łącznikami i 6 łokci węża ssącego z półłącznikami).
- 4) Torba parciana lub skórzana, zawierająca:
 - a) 2 podpinka do zawieszania węzłów,

- b) 4 bandaże do tamowania wody w pękniętych węzłach,
 - c) Siodełko do przewieszania węża przez płot, lub krawędź dachu w celu uniknięcia załamania.
 - d) Klucz do dokręcania naśrubków w łącznikach.
 - e) Ściskacz do węży.
- C) Oddział wodny.
- a) 3-4 beczki jednokonne drewniane dwukołowe, 20 — 25 wiader zawartości, z koziołkiem i oparciem do nóg dla woźnicy (lepiej mieć beczki takie same żelazne z rezerwuarciem na smok).
 - b) 3-4 czerpaki z drążkami do czerpania wody do beczek ze stawów i rzek.
 - c) 2 wiadra żelazne do wyciągania wody ze studni z linkami.
 - d) 8- 12 wiaderek parcianych.
 - e) 1 pochodnia niewielka do oświetlenia miejsca czerpania wody.
- Do obsługi takiego taboru potrzeba od 6-8 toporników, od 8-12 strażaków II-go oddziału i tyleż wodnego⁶¹.

Straże pożarne miejskie różniły się ilością i wielkością sprzętu. Rekwizytów było więcej, drabiny dłuższe, sikawki zamiast ręcznych parowe bądź wielkie ręczne, obsługiwane przez kilkunastu ludzi. W składzie nawet ochotniczych straży bywali zawodowcy, tj. płatni stangreci i kominiarze.

Jak widać, do obsługi tych wszystkich narzędzi nawet w małej wiejskiej straży ogniowej potrzeba było sporo ludzi na raz – oznaczało to zgromadzenie min. 25 ryszunków dla strażaków, tj. mundurów, hełmów, pasów, toporków, butów. Nic też dziwnego, że ówczesne straże pożarne były bardzo liczne – ich prezesi i naczelnicy bardzo starali się o przyjęcie w poczet OSP jak największej liczby chętnych, bardzo często nie oglądając się na wiarygodność etyczną czy moralną takich kandydatów – jednorazowo trudno było dysponować wszystkimi pożądanymi cechami na raz. Jednocześnie wyjazd do pożaru, zwłaszcza dla jednostki wiejskiej, wcale nie był sprawą prostą. Należało zebrać te załogi, nadać im kierunek, a przede wszystkim znaleźć konie do przewozu sikawek, beczek i rekwizytów. Zatem nim to wszystko zmobilizowano... Użycie narzędzi burzących, szpadli i wideł było jak najbardziej pierwszoplanowe. No i zawsze brakowało koni.

Nie wystarczyło jednak znaleźć kandydatów, narzędzia, beczki, sikawki. To zawsze jakoś dawało się załatwić (wg Tuliszkowskiego w latach 1910–1915 do 10% straży miało właściwe uкомплекowanie, tj. takie, jak wykazane wyżej). Problem był z przekonaniem władz zaborczych, że straż jest naprawdę potrzebna. Gubernator mógł widzieć z okna swego gabinetu dym, gdy podnosił zatroskane oblicze z monoklem znad wzorcowo uniżonej supliki. Z rezydencji, gdy w otoczeniu rodziny jadł kolację, mógł też podziwiać łuny pożarów, ale nadal miał wątpliwości, czy ci Polacy nie zakładają mu pod bokiem,

⁶¹ J. Tuliszkowski, *Walka z pożarami dla użytku...*, s. 132–133.

zamiast straży pożarnej, jakiś załążek armii polskiej. Poza tym ciągle się obawiał, że wieszony powozem do pracy czy z z niej może dostać do środka dymiący przedmiot, zawierający kilka funtów prochu strzelniczego... Zatem niech się pali.

Jak gubernatorzy przeszkadzali w zakładaniu polskich ochotniczych straży ogniowych

Polacy chcieli zakładać straże ogniowe, tylko im na to nie pozwalano w ich własnym kraju⁶². Zdławienie powstania styczniowego (1863–1864) to był znaczny wysiłek dla imperium, ale też, na skutek zarządzeń administracji zaborczej, cofnięcie terenów II Rzeczypospolitej w rozwoju gospodarczym i społecznym o dwa pokolenia. Z pozytywów za funkcjonowało jedynie zniesienie pańszczyzny. Urzędnicy carscy, a zwykle byli nimi starzy generałowie armii, co jako ludzie w sile wieku walczyli z powstańcami (nie tylko styczniowymi, bo też np. na Kaukazie), wprost alergicznie reagowali na Polaków w mundurach, chyba że był to mundur żołdaka gdzieś za Uralem (można z tego wnosić, że walka z powstańcami styczniowymi wcale nie była łatwym spacerkiem). Zatem poddani pisali supliki, by móc gasić pożary na sposoby przyjęte w krajach cywilizowanych, czyli oddziałami zorganizowanymi, umundurowanymi, zdyscyplinowanymi, ale urzędnicy wszelkich szczebli dawali ku temu opinie negatywne, gdyż czytając supliki nie widzieli oczyma wyobraźni drobnych oddziałów strażackich, tylko wielkie armie powstańcze. Swoje znaczenie miała swoista cierpliwość łapownicza, wszak łapówki w imperialnej administracji nie były niczym zdrożnym, tylko praktyką. Pamiętajmy również, że teren Królestwa Polskiego nieustannie pozostawał, od 1831 r., w stanie oblężenia, co każdemu urzędnikowi w mundurze armii carskiej dawało możliwość dowolnego traktowania prawa. Ów stan oblężenia miał wymiar etniczny. Oto dowody.

Gdy w latach 70. XIX w. występowali o założenie ochotniczych straży ogniowych Polacy, nie zyskiwali zgód. Bywało że gdy z trudem po kilku latach oczekiwania, w końcu ją dostawali i gdy już się udało pierwsze pożary ugasić, była cofana. Natomiast gdy robili to osiedleni w polskich miastach Niemcy, zgody przychodziły, jak na standardy rosyjskiej biurokracji, bez większych przeszkód, np. już po dwóch latach (jednak gdzie indziej te „łatwe” zgody byłyby przyczyną składania skarg na opieszałość administracji). Zatem szereg straży ogniowych, szczycących się rodowodem 150-letnim, miało w swoich zaczątkach mnóstwo nazwisk niemieckich. Obiektywnie rzecz biorąc, były potrzebne wszystkim, niezależnie od narodowości. Trudno jednak mówić w ich przypadkach o ponad stuletniej historii polskiej.

Tu oddajemy głos Tadeuszowi Olejnikowi, który zagadnienie szczegółowo zbadał i najgruntowniej wyjaśnił. Dokonał przy tym czegoś, co nie zawsze ma miejsce w pracach dotyczących historii ruchu ochotniczego, mianowicie badań podstawowych i krytycznego podejścia do materiałów źródłowych.

⁶² Więcej patrz: T. Olejnik, *Towarzystwa ochotniczych straży ogniowych w Królestwie Polskim*, Warszawa 1996.

Pierwsza powstała OSP w Kaliszu, w 1864 r., a więc jeszcze w czasie powstania styczniowego. Powstała na zasadzie faktów dokonanych, bo administracja carska kilkanaście lat zastanawiała się, co robić ze strażą, co jest i jeździ do pożarów. Ale nie zabroniła działania⁶³.

Przypomnieć trzeba, że w dobie szybkiej industrializacji Królestwa Polskiego Kalisz stał się znaczącym ośrodkiem przemysłowym. Od lat 20 XIX w. przybywało do miasta dużo osadników ze Śląska i z Niemiec. Wkrótce wielu z nich stało się właścicielami fabryk. Inni skupili w swych rękach handel, usługi oraz drobną wytwórczość, tworząc silną ekonomicznie i niezmiernie wpływową grupę społeczną. Ponadto, co nie było bez znaczenia, bogatych osadników cechowała lojalność wobec zaborczych władz rosyjskich. Byli również najbardziej zainteresowani powołaniem w mieście dobrze zorganizowanej straży ogniowej, ponieważ dbali o bezpieczeństwo swych fabryk, warsztatów i domów. Nie jest więc rzeczą przypadku, że wśród organizatorów straży znaleźli się przede wszystkim osadnicy niemieccy. Oni też obsadzili prawie wszystkie stanowiska funkcyjne (...) ⁶⁴.

Drugą była straż w Częstochowie (1971). Trzecią – w Kielcach (1873). Została ona jednak w 1885 r. rozwiązana przez władze, a ponownie utworzona dopiero w 1898 r. ⁶⁵.

Straż w Koninie powstała w 1870 r. (...). Reaktywowano ją ponownie w 1874 i tę datę uznać należy za czas jej powstania. Podobnie jak w Kaliszu, organizatorami straży, a zarazem członkami jej zarządu, byli osadnicy z Niemiec (...).

Pod koniec 1874 r. z inicjatywy niewielkiej grupki osadników z Niemiec, powstała ochotnicza straż ogniowa w Turku ⁶⁶.

W podlódzkim Zgierzu, mieście intensywnego rozwoju przemysłu włókienniczego, straż pożarną zorganizowano w 1874 r. również z inicjatywy osadników niemieckich ⁶⁷.

W następnych dwóch latach powstały towarzystwa pożarnicze w Płocku, Łęczycy [Niemcy – dop. PR], Włocławku (1875) oraz w Łodzi [Niemcy – dop. PR] i Sieradzu (1876). Straż w Płocku powstała z inicjatywy gubernatora płockiego Przewłockiego. Jej statut został zatwierdzony przez ministra spraw wewnętrznych na początku 1875 r. ⁶⁸

Trzeba powiedzieć, że inicjatywa urzędnika rosyjskiego, by założyć straż ogniową, była czymś wyjątkowym w realiach Królestwa Polskiego. Pozostaje sprawą poboczną, czy mu się podobało własne dzieło... No ale powstawały też straże pożarne z polskiej inicjatywy.

Wiele lat upłynęło nim władze zezwoliły na otwarcie straży ogniowej w Radomiu. Inicjatorami jej powołania już w 1872 r. byli m. in. Prezydent miasta Feliks Maciejewski oraz radca prawny Radomskiego Rządu Gubernialnego Ludwik Jałowiecki. Opracowany przez organizatorów statut oczekiwał na zatwierdzenie przez kilka lat, do 9 V 1877 r.

⁶³ T. Olejnik, *Rozwój organizacyjny towarzystw ochotniczych straży ogniowych*, „Muzealny Rocznik Pożarniczy” 1993, t. 4, s. 7.

⁶⁴ Tamże.

⁶⁵ Tamże, s. 8.

⁶⁶ Tamże.

⁶⁷ Tamże, s. 9.

⁶⁸ Tamże.

Mieszkańcy Piotrkowa Trybunalskiego w 1873 r. wystąpili do władz z projektem urządzenia towarzystwa ochotniczej straży ogniowej. Nie spotkał się on jednak z poparciem ze strony władz. Starania o założenie straży ponowiono w 1875 i rozpoczęto jednocześnie gromadzenie środków na zakup niezbędnego sprzętu gaśniczego i umundurowania. Dopiero po wprowadzeniu w Królestwie w 1877 r. statutu normalnego władze wyraziły zgodę na założenie straży ogniowej⁶⁹.

Tworzenie faktów dokonanych nie było mile widziane, nawet gdy sprawy te zostały częściowo uregulowane wspomnianym wyżej statutem normalnym, czyli wzorcowym. Oto przykład raczej typowej reakcji władz. Otóż Wielunianie założyli ochotniczą straż ogniową i wybrali jej naczelnika. Ale władza powiatowa nie chciała tego naczelnika zatwierdzić i zażądała zmiany na innego. Wieluńscy strażacy odmówili – na piśmie. Na to władza poinformowała zwierzchność (gubernatora kaliskiego) takim oto sposobem, bardzo dobrze ilustrującym sposób myślenia urzędników carskich, łączących formalizm ze złą wolą i – jakże często – z pospolitą głupotą.

„Podobne, sprzeczne z duchem uległości oświadczenie członków drużyny pożarnej dokonane, o ile można domniemać, z wcześniej obmyślonym celem, jest świadectwem wielkiego zarozumiałstwa tego towarzystwa i daje pojęcie o tym, jak dalekie jest ono od myśli, aby podporządkować się rozporządzeniom władz wyższych. Choć wedle mojego mniemania” — pisał do gubernatora naczelnik powiatu — „stanowi to już samo w sobie dostateczne przekonanie dla Waszej Wysokości, że wieluńska straż pożarna przepojona takimi oto kierunkami, których wpływ przy podobnej samowoli mógłby w czasem dość szkodliwie odbić się na społecznym działaniu, jako że podrywa autorytet naznaczonych przez rząd kierowniczych osób, nie mniej jednak uważam za niezbędne wskazać na drugi wypadek, który równie dobitnie będzie ukazywał niesubordynację straży pożarnej (...). Podobne początki towarzystwa pożarniczego, przy jego bardzo słabym przygotowaniu do obchodzenia się ze sprzętem pożarniczym, nie mogą przynieść tej rzeczywistej korzyści, której należałoby oczekiwać po jego utworzeniu, jeśliby ono zrozumiało w całej rozciągłości swoje zadanie. W związku z tym mam honor usilnie i pokornie prosić Waszą Wysokość o wydanie rozporządzenia o rozwiązaniu Wieluńskiego Towarzystwa Pożarniczego (...)”⁷⁰.

Koniec końców, mimo pełnego niepokoju zainteresowania nielegalną strażą samego generał-gubernatora z Warszawy, sprawy nie rozwiązano⁷¹.

Istniejące straże napotykały na szereg szykan i zakazów. Nakazywano im służyć przy akcjach policmajstrów, zakazywano musztry, zakazywano maszerowania w takt muzyki, a nawet powoływania orkiestr i jakiegokolwiek maszerowania, tudzież organizowania uroczystości rocznicowych, festynów i zabaw. Zakazywano noszenia mundurów poza ćwiczeniami i akcjami ratowniczymi. Szereg zakazów świadczyć może o tym, że ich nie przestrzegano, ale dochodziło do przypadków drastycznych, przekraczających granice groteski i śmieszności.

⁶⁹ T. Olejnik, *Rozwój organizacyjny towarzystw ochotniczych straży ogniowych*, „Muzealny Rocznik Pożarniczy” 1993, t. 4, s. 10.

⁷⁰ Tamże, s. 11.

⁷¹ Tamże.

Dla przykładu, naczelnika żandarmerii kaliskiej niepokoił fakt, że podczas pogrzebu członka miejscowej straży ogniowej, Jana Lewenberga, strażacy maszerowali w zwartej kolumnie przy dźwiękach marsza żałobnego, niosąc przy tym czerwony sztandar. Z tymże czerwonym sztandarem kaliscy strażacy mieli wyjeżdżać za miasto dla odbywania ćwiczeń. Podobnie naczelnika pow. łęczyckiego niepokoiło to, że w pogrzebie członka straży uczestniczyła orkiestra straży ogniowej⁷².

W miarę upływu lat przybywało ochotniczych straży ogniowych, już głównie polskiej proveniencji, ale kłopoty nie ustawały. Wydawać by się mogło, że po latach rewolucji 1905–1906, gdy prawo zliberalizowało się nieco, a język polski zagościł w polskich urzędach, gdy wolno już było stowarzyszać się, gdy straże ogniowych organizowanych w oparciu o ustawę carską było ponad 400, prymitywne szykany nie będą możliwe. Były, wszak inteligencja urzędników rosyjskich wymykała się miarom zwyczajnym i to na wszystkich szczeblach, a stan obłączenia, również umysłowego, trwał.

Oto w 1911 r. gubernator płocki rozesłał do wszystkich straży ogniowych w podległej mu guberni pismo okólne, w którym nakazywał, aby strażacy organizując zbiórki nie używali w tym celu żadnych sygnałów, zabronił też oddziałom noszenia chorągiewek, chodzenia w zwartym szyku z orkiestrą, odbywania ćwiczeń i musztry, wydawania komend. Wobec tego rodzaju ograniczeń wszyscy członkowie czynni sierpeckiej straży złożyli mundury, a straż się rozwiązała. Mundury złożyło około stu strażaków, nie uczynili tego tylko członkowie zarządu. Na fakt ten zwróciła uwagę polskojęzyczna prasa, zarówno lokalna płocka jak i o zasięgu przy ogólnokrajowym. Podnoszono tym fakt wzrostu zagrożenia pożarowego miast, gdy straż na skutek przez wprowadzanych władze ograniczeń będą się rozwiązywać. W obronie strażaków wystąpił naczelnik pow. sierpeckiego i gubernator płocki uchylił zarządzenia zawarte w piśmie okólnym, zezwolił też na przywrócenie straży sierpeckiej dawnego stanu, wobec czego straż ta ponownie się zorganizowała. Do podobnego incydentu doszło w Dobrzyniu nad Wisłą w tejże Guberni Płockiej (...) ⁷³.

Ale też nie opuszczała fantazja urzędników carskich w chwilach ich zadowolenia z życia. Oto bardzo wymowna korespondencja, pokazująca zarówno problemy strażaków, jak ochrony przeciwpożarowej oraz potrzebę „istnienia” zaborczej administracji.

W Gaz. Radomskiej czytamy: Pan Gubernator Radomski, troszcząc się o pomyślny rozwój straży ogniowych ochotniczych w gubernii naszej, rozesłał w tych dniach do p. policmajstra radomskiego i do wszystkich naczelników powiatów cyrkularz treści następującej: „Nie ulega wątpliwości, że do głównych warunków użytecznej działalności straży ogniowych należą osobiste przymioty strażaków, a więc: zdrowie, wytrzymałość odwaga, zręczność i inteligencja, a niemniej i doświadczenie ich naczelników. Wszystkie te jednak zalety wydać mogą prawdziwie świetne rezultaty w walce z niszczącym żywiołem—ogniem, dopiero wtedy, gdy oddziały pożarnicze będą rozporządzały niezbędnymi urządzeniami i narzędziami, które ułatwią prędkie dostarczenie potrzebnego materiału na miejsce

⁷² T. Olejnik, *Funkcja wojskowa stowarzyszeń ochotniczych straży ogniowych*, „Muzealny Rocznik Pożarniczy” 1991, t. 2, s. 14.

⁷³ Tamże, s. 16.

pożaru, pozwolą szybko opanować ogień i uchronić ludzi przed niebezpieczeństwem”. Dalej mówi okólnik: „Aby straż ogniowa mogła być dobrze zaopatrzona, potrzebne są koniecznie odpowiednie środki materialne; bowiem narzędzia ogniowe, szczególniej więcej złożone, są bardzo drogie”.

„Ustawa normalna z r. 1898, na zasadzie której tworzą się i przekształcają strażę ogniowe ochotnicze, wskazuje na cały szereg źródeł, mogących środki te powiększyć, a mianowicie: 1) Wkłady od członków rzeczywistych, honorowych i ofiarodawców; 2) ofiary; 3) zasiłki pieniężne; 4) dochody z zabaw publicznych, urządzanych na rzecz straży; 5) dochody z nieruchomości; 6) procenty od kapitałów; 7) opłaty za czyszczenie kominów; 8) dochody z gry orkiestry i t. p. Tymczasem, jak się okazuje z wiadomości zebranych przez podległy mi rząd gubernialny, dochody straży ogniowych, z małymi wyjątkami, składają się przeważnie ze skromnych opłat członkowskich i mniejszych lub większych zapomóg jednorazowych i stałych, które asygnują kasy w miastach i osadach”.

„Nie przecząc, że miasta i osady mają obowiązek przychodzenia z pomocą pieniężną strażom ogniowym i przyznając im zupełne do tego prawo, jednocześnie uważam, że podobny sposób zaspakajania potrzeb towarzystw ogniowych, nie jest odpowiedni, ani dla nich samych, ani dla spraw finansowych kas w miastach i osadach, które w ogóle mają środki bardzo ograniczone i nie zawsze wystarczające nawet na zaspokojenie wydatków gospodarki bieżącej. Wobec tego, uważam za potrzebne zwrócić uwagę towarzystw pożarniczych na konieczność zwiększenia inicjatywy, w celu wynajdywania, na drodze wskazanej przez ustawę, środków potrzebnych dla utrzymania straży i dla dalszego ich rozwoju”.

Jak widzimy p. Gubernator w konkluzji radzi uciekać się do zwiększenia inicjatywy, lecz pozwalamy sobie zapytać się, na co się może przydać inicjatywa chociażby najgorętsza, gdzie niema możliwości jej zastosowania? Czyż np. taki Przytyk taki Jedlińsk przedstawia jakiegokolwiek pole podatne do eksploatacji, chociażby w jednym z 8 kierunków wskazanych przez ustawę normalną, oprócz punktu 7-go. Kto tam będzie koncerty urządzał, a kto ich będzie słuchał? A przede wszystkim kto będzie za nie płacił? W miejscowościach, gdzie działalność ma widoki powodzenia, tam inicjatywa bynajmniej nie zasypia i wszędzie prawie zasłużonem cieszy się powodzeniem. Lecz takich miejscowości stosunkowo jest mało, gdy większość małych miasteczek (za wyjątkiem osad fabrycznych) przedstawiają na ogół furę nędzy, ciągnioną przez hetkę biedę⁷⁴.

Z redakcją „Strażaka” nie można tu się zgodzić. Bo czy przecież nie powinna pałać radością z faktu, że gubernator radomski pozwolił orkiestrom strażackim grać...? Przecież gdzie indziej było to zabronione! A tu nareszcie wolno! No i zawsze wolno było gasić. A tu występowały problemy swoiste, o których carska administracja nie wiedziała i wiedzieć nie chciała, bo w końcu były to problemy polskich strażaków. A zresztą... jakie wzorce mogli przynieść ci ludzie z Rosji? Oto przykład pożaru w mieście, które potem było nazwane Stalingradem, a teraz jest Wołgogradem.

⁷⁴ Środki utrzymania dla straży ogniowych ochotniczych, „Strażak” 1901, nr 8, s. 1–2.

Carycyn 12-go września. Szerzy się wielki pożar na przedmieściu zwanem „Kaukaz”. Spłonęło już przeszło 800 domów z ludnością 4.000. Pożar trwa. Niebezpieczeństwo spalenia się zagraża również nadbrzeżnym przystaniom drzewnym nad Wołgą. Pogorzelnicy potrzebują pomocy.

Carycyn 12-go września. W składzie towarowym stowarzyszenia młynarskiego spaliło się 11.000 worków mąki pszennej i 5.000 mąki żytniej. Straty wynoszą około rb. 150.000⁷⁵.

Albo taka informacja, wbrew pozorom, mająca wiele wspólnego z pożarami:

Według wiadomości organu urzędowego rosyjskiego ministerium skarbu, wypito w Rosji w r. 1909 ogółem 84.283.000 wiader wódki, t.j. na głowę przypada średnio przeszło pół wiadra (0.6). W Królestwie Polskiem przypadało na głowę 2 rb. 8 kop. wydatku rocznego na wódkę, w okręgu t. zw. południowo-zachodnim 4 rb. 23 kop., a w południowym 5 rb. 12 kop. Z obliczeń tych wynika, że największa trzeźwość panuje w Królestwie Polskiem, ale i tu alkoholizm jest klęską, która pochłania rocznie około 20 mil. rb. wydatku i zabiera tysiące ofiar.

W związku z tem zestawieniem podają pisma rosyjskie obliczenia, dokonane przez posła do Izby, Czernyszewa, a odnoszące się do ilości ofiar, jakie pochłonęło używanie wódki w Rosyi w przeciągu jednego roku. Liczby te przedstawiają się następująco.

Zmarło na zatrucie alkoholem 3.276 osób, utopiło się w stanie upojenia – 9.176 osób, porzbijało się o stopnie i latarnie – 2.896, zabiło się wskutek upadku w stanie upojenia – 8.858, spaliło się w stanie upojenia – 6.895, powiesiło się w stanie upojenia 1.350 osób, otrulo się w stanie upojenia 375 osób. Razem zginęło bezpośrednio wskutek używania alkoholu w jednym roku 35.668 osób. Dodać należy, że z całej liczby ofiar 80 proc. przypada na klasy ubogie, a więc głównie na robotników⁷⁶.

Dodać można, że administracja carska była bliska osiągnięcia na terenie Królestwa Polskiego podobnych wzorców, o czym przekonamy się dalej.

Pożarnictwo w szkołach, czyli o przyczynku do braku inteligencji w strażach ogniowych

Pod tym tytułem ukazał się w 1911 r. w „Strażaku” artykuł Józefa Tuliszkowskiego, opublikowany pierwotnie w „Gazecie Warszawskiej”. Ten tekst pokazuje, jak niesłusznie zamilczany jest Tuliszkowski w polskich opracowaniach o historii ruchu ochotniczego.

Ponadto w tym tekście, będącym świadectwem epoki, jest coś niepokojąco aktualnego. Pozornie dotyczy braku aktywności fizycznej dzieci i młodzieży, szczególnie, jak niedwuznacznie wynika z kontekstu, z rodzin inteligenckich. W istocie jest to informacja nie tylko o kompletnej bezdomności pożarniczej dzieci i młodzieży, tj. braku zagospodarowania potencjału. Jest o czymś więcej jeszcze – o ogólnym nastawieniu ludzi wykształconych do ćwiczeń i prac fizycznych, a więc do tego, czym była służba w strażach ogniowych. Aż do II wojny światowej nawoływano

⁷⁵ „Strażak” 1910, nr 9.

⁷⁶ „Strażak” 1911, nr 6.

inteligencję do udziału w strażach ogniowych – powtarzane nawoływania najlepiej świadczą o tym, że braki w tym zakresie występowały stale. Tuliszkowski próbował ten problem rozwiązać poprzez wychowanie sobie inteligencji, trochę na wzór działań własnych i kolegów jeszcze z czasów gimnazjalnych, a trochę na podobieństwo dobrych, sprawdzonych i podpatrzonych wzorów obcych.

Poza tym tekst jest uniwersalnym świadectwem epoki, w czym możemy doszukiwać się wielu innych jeszcze czynników, pozwalających nam wejść w realia tamtych czasów. Dlatego nie będziemy przerywać autorowi żadnym komentarzem.

W prasie naszej odezwały się głosy, omawiające krytycznie nowy kierunek w austriackich, rosyjskich i francuskich szkołach, który zaleca ćwiczenia wojskowe, wskazując zaś na inne ćwiczenia fizyczne, jak gimnastykę i gry sportowe, które mają zdaniem autorów równie dobrze „wdrażać młodzież do rygoru, karności, punktualności itp. zalet”, i podkreślające, że „należenie (w Niemczech) do straży ogniowych ochotniczych oddaje świetne usługi młodzieży szkolnej”.

Pragnę myśl tę ostatnią, godną uwagi, rozwinąć nieco i omówić obszerniej.

Ze stowarzyszeń, egzystujących w kraju naszym, straże ogniowe ochotnicze stoją pod względem ideowym najwyżej. Miłość bowiem bliźniego jest w nich podstawą. Walka nie-raz ciężka i niebezpieczna z groźnym rozszalałym żywiołem hartuje ducha, wyrabia silną wolę i wytrwałość duchową. Ciężka praca toporników w pobliżu ognia w strasznym żarze i w dymie, lub kilkogodzinna robota przy sikawce i przy zasilaniu jej wodą, często podczas sloty, lub na mrozie znakomicie wpływają na wyrobienie wytrwałości, hartują i zaprawiają strażaków do trudów i zwiększają wogóle fizyczną tężyznę.

Korpus straży ogniowej wtedy tylko może być prawdziwie sprawnym pogotowiem, niosącym szybko skuteczną pomoc mieszkańcom, jeżeli do tej akcji należycie jest przygotowany, tj. ma odpowiednie dobre narzędzia ogniowe i jest dobrze wyćwiczony, a jeszcze ważniejsze, jeżeli członkowie tego korpusu pełni są ducha ofiarności i gotowi do poświęceń w imię idei ratowniczej. Poczucie to idzie najczęściej w parze z inteligencją.

W naszych organizacjach strażackich w kraju inteligentny ogół nie bierze, niestety, dużego udziału. Wrodzone lenistwo, apatya, obojętność, brak uczucia ofiarności, wreszcie ospałość i sybarytyzm są wynikiem wadliwego wychowania. (Pisma zawodowe zagraniczne również narzekają na brak inteligencji w strażach ogniowych. Red.) [przypis red. „Strażaka” – PR].

Niedawne są jeszcze czasy, kiedy szerokie bary i zdrowa rumiana twarz młodzieńca, i zdaniem większości niedorozwiniętych fizycznie i zwyrodniałych duchowo naszych domorostłych filozofów, były znamieniem ograniczonego umysłu. (...) Młodzież ta wskutek anormalnych stosunków szkolnych, przez przeciążenie umysłu, a również wskutek warunków niehygienicznych w szkołach średnich, przedstawiała w wyższych zakładach naukowych obraz fizycznego zwyrodnienia. (...)

Ostatnio jednak zmiany w szkolnictwie naszym wpłynęły dodatnio na kierunek wychowania. Od lat kilku na gimnastykę i rozwój fizyczny większą zaczęto zwracać uwagę: wprowadzono ją w wielu szkołach. Sport i różnego rodzaju gry (w piłkę nożną) zajęły młodzież,

która na wzór angielskich kolegów zaczęła się łączyć w drużyny i kluby sportowe, rywalizujące z sobą i ubiegające się na ogólnych igrzyskach o palmę pierwszeństwa.

A jednak gimnastyczne ćwiczenia i gry te nie porwały całej młodzieży, a tylko pewną, a nawet niewielką jej część. (...) Ogół zaś jak i dawniej zachowuje się wobec ćwiczeń gimnastycznych i fizycznych gier i igrzysk biernie, a nawet często niechętnie.

Jaka jest tego przyczyna?

Przyczyna właśnie leży w pewnej, że się tak wyrażę, niezastosowalności tych ćwiczeń w życiu późniejszym, praktycznym. (...) Otóż należy gimnastyczne ćwiczenia jak najwięcej urozmaicać, a przede wszystkim nadać im pewną celowość. (...)

Jednym z rodzajów ćwiczeń fizycznych dla szkół średnich, który zasługuje na szczególną uwagę przez, swoją celowość, jest tworzenie organizacyi ratowniczych i strażackich, złożonych z zastępów uczącej się młodzieży. Myśl ta została podjęta i szeroko zastosowana przed laty przez niemieckich pedagogów w kraju Nadbałtyckim. W szkołach realnych i gimnazyach filologicznych w Mitawie, Libawie, Rewlu i innych miejscowościach (...) członkowie straży uczniowskiej z zapalem oddawali się ćwiczeniom z narzędziami i mustrze strażackiej.

Widoczny pożytek ćwiczeń, rywalizacya ze współtowarzyszami, nadzieja zostania z czasem naczelnikiem, a głównie udział w gaszeniu pożarów były znakomitą bodźcem do gimnastyki i tych celowych ćwiczeń. Podczas pożaru młodociane oddziały śpieszyły na ratunek i dzielnie pomagały miejscowym strażom, od lat młodych uczył się już chłopiec nieść pomoc bliźniemu.

Na ostatnim zjeździe straży ogniowych w Rydze w lipcu r. z. zachwyceni byliśmy chłopięcym oddziałem strażackim, uformowanym z dzieci letników w Bilderlingshofie, na morskiem wybrzeżu pod Rygą. Składa się on z 53 chłopców od lat 12 do 15, podzielonych na 3 oddziały, toporników i ratowników, sikawkowy i wodny. Mają oni dwie niewielkie sikawki i kilka beczek oraz parę drabinek i osęków; wszystko na lekkich 2-kołowych wózkach. Dzielni ci chłopcy spieszą do wszystkich pobliskich pożarów, ciągnąc rękoma swój lekki, zgrabny taborek. W kilkunastu wypadkach ugasili nawet większe ognie, a towarzystwa ubezpieczeń nieraz dawały im za dzielny ratunek nagrody i wyrażały swe podziękowanie. (...).

Warunki nasze tymczasowe w Warszawie i Królestwie nie zawsze pozwolą na szerszą czynną tego rodzaju akcyę podczas pożarów. Jednakowoż, aby zachęcić młodzież do tej celowej gimnastyki i musztry, należy przy szkołach tutejszych urządzić oddziały ogniowe, tembardziej, że wielu uczniów na prowincyi, jak słyszałem od kolegów strażaków, w razie pożaru chętnie spieszy z pomocą, gorliwie pompując lub pomagając w dostawie wody sikawkom. (...)

Uczniowskie organizacye pożarowe mogą również wywierać na swych członków wpływ moralny, tworząc ściślejszy łącznik i ucząc solidarności w działaniu. Oparte na zasadach szczerze demokratycznych, mogą one również współdziałać zanikowi wszelkich cech kastowości społecznej, stawiając w jednym szeregu obok syna bogatych rodziców, dziecko drobnego rolnika lub robotnika. A podczas wyborów nie „wysokie” urodzenie i nie zamożność decyduje, lecz tylko osobista dzielność i charakter kandydata.

*Należenie do tych celowych, użytecznych korporacji, częste ćwiczenia, udział w gaszeniu pożarów i widoczny pożytek tej akcji, podnosi godność osobistą i uszlachetnia, chroni od wielu złego, a odciąga również od szkodliwej często przedwczesnej politykomanii*⁷⁷.

W następnej części książki ujrzymy, że Tuliszkowski nie rzucał słów na wiatr, a pisał tu na podstawie doświadczeń własnych. Wszędzie, gdzie tylko dopuszczono go do głosu, uczył młodzież pożarnictwa. Również w zakresie zapobiegania pożarom.

Jak widać i z tego rodzaju problemami, jak mentalnościowe, jak „delikatność” utożsamiana z „inteligencją”, należało sobie radzić, zakładając strażę ogniową w Królestwie Polskim, na co zaborca żadnego celowego wpływu nie wywierał. Ale też nic nie robił, by ten stan zmienić na lepsze. Można powiedzieć, że takiego stanu pożądał.

Akcje gaśnicze typowe i nietypowe

Poniżej podamy kilka przykładów akcji gaśniczych. Większość materiału pochodzi z dobrze już nam znanego numeru sierpniowego „Strażaka” z 1904 r., obrazującego w telegraficznych skrótach klęskę ogniową: tak, to są ciągle przykłady pożarów nie tylko z tego samego roku, ale również tego samego miesiąca, bo było wówczas ponadstandardowo ciepło i sucho, więc nastał czas próby na „system” ochrony przeciwpożarowej. Tu zobaczymy kilka przybliżeń. Każda z akcji to inne wyzwanie, inny zestaw problemów, a też świadectwo innego kawałka rzeczywistości, których suma da nam jakiś obraz. Niezbyt przyjemny.

Zanim przystąpimy do zapoznania się z przykładowymi pożarami, dajmy coś charakterystycznego dla owych czasów, co już wspominaliśmy: brak koni w ochotniczych strażach ogniowych. Bo niby wszystko jest: straż, ludzie, sikawki i inne rekwizyty, a nawet wozy są. Tylko trzeba to jakoś przetransportować na miejsce pożaru. A koni brak. Oto głos o kilka lat późniejszy, acz bardzo trafnie charakteryzujący problem o wiele głębszy, niż artykułowany w nim brak koni. Jest nim w istocie brak zaufania do strażaków, w ich dobrą wolę czy wreszcie pożytek działań. Niechże przemówi do nas niezbyt mądry, za to przemyślały strażak-ochotnik, przejęty aż do absurdu poczuciem misji własnej, a przy tym nigdy niezrażający się przeszkodami, jakie niesie mu „los”.

O obowiązkowym prawie z roku 1816 o dostarczaniu bezpłatnym koni do wożenia wody na pożary, to już lepiej nie wspominać, dodam tylko, że w naszym kraju sprawa ta zupełnie jest zarzuconą, a zwłaszcza po wsiach, osadach i małych miasteczkach, gdzie w razie pożaru na odgłos trąbki lub dzwonka alarmowego, właściciele koni albo salwują się ucieczką z końmi, albo zamykają je nieraz na kilka kłódek. Na nic się to zdało, że strażę ogniową nieraz swoim ostatnim groszem płacą za wynajęcie koni zwykle po 2 do 3-ch rubli za godzinę. Nieraz zdarza się nawet, że strażę ogniową zabierają konie przejeżdżnym przemocą, chociaż to nie zawsze się udaje, jak tego dowiodę przykładem: Do jednego wielkiego pożaru, który wybuchnął w nocy po za miastem, nie dostarczono ani jednej pary koni, a gdy posłano dwóch członków straży

⁷⁷ J. Tuliszkowski, *Pożarnictwo w szkołach*, „Strażak” 1911, nr 5, s. 4–7.

ogniowej do pewnego obywatela olkuskiego, p. F. po sprzężaj, ten ostatni z rewolwerem w rękę bronił swej własności i o mało, Boga ducha winnych, strażaków—nie pozbawił życia. Drugi raz również nie dostarczono wcale koni do pożaru, zabierano je więc przemocą, staczając formalne bitwy z właścicielami koni i policją miejscową, która wzięła stronę tych ostatnich, choć jej obowiązkiem było wprost przeciwnie, to jest dać pomoc straży ogniowej⁷⁸.

To był rok 1909. A co było w przykładowym dla nas 1904? Oto przykład działania, gdy również konie się znalazły i nikt nie zwlekał z podjęciem akcji gaśniczej.

Konny posłaniec zaalarmował straż ogniową fabryki Fitzner i Gamper [tej samej firmy, w której filii kijowskiej pracował Józef Tuliszkowski na przełomie wieków; posiadała zakładowe straże ogniowe – PR] do wybuchłego pożaru w Zagórze o godzinie 2 i pół po południu. Straż natychmiast ruszyła w drogę i w 20 minut z całym taborem na miejscu stanęła; tu zastali cały rząd palących się domów włościańskich blisko kościoła parafialnego, przeto rozwinąwszy akcję ratunkową jednocześnie telefonicznie straż wezwała do pomocy i drugie straże. Na pomoc pośpieszyli: straż ochotnicza z Będzina, straż kopalni Jerzy z Niwki, straż huty Katarzyny, z walcowni Miłowice i straż fabryki Huldzyńskiego⁷⁹.

Jest to sprawozdanie z wyjątkowo sprawnie przeprowadzonej akcji alarmowania, której, przyznać trzeba, sprzyjały okoliczności. Teren był ztelefonizowany, a sosnowieckie straże fabryczne miały przecież to do siebie, że ich członkowie, stale gotowi do akcji (bo pracujący), byli na miejscu. Wystarczyło tylko założyć drelichy, hełmy, konie odpiąć od wozów towarowych i zaprząć do rekwizytowych, beczek i sikawek, i wyruszyć.

Pierwsza trudność była standardowa – brak wody. Bowiem żadne przepisy nie nakazywały budowy sadzawek, stawów, nie mówiąc już o celowych zbiornikach przeciwpożarowych. A nawet jakby przepisy były, nie miałby kto ich egzekwować. Poradzono jednak sobie, oczywiście natarcie musiało być osłabione o sprzęt użyty do przetłaczania.

Największą trudność nasi dzielni strażacy mieli w tem, że w bliskości wody nie było, tak że zmuszeni byli sikawki ustawić w długi łańcuch i jedna sikawka pompując wodę ze stawu dawała wodę do drugiej sikawki, a ta dopiero prąd na ogień kierowała⁸⁰.

Wydawać by się mogło, że skoro było całkiem sporo strażaków, w dodatku dobrze dowodzonych, to z pomocą ludności miejscowej szybko da się opanować rozwój pożaru. W gruncie rzeczy chodziło o przerwanie łańcucha ogniowego, idącego dachami zagród. Było inaczej.

Pomocy ze strony zebranych tam włościan żadnej nie mieli, gdy zaś jeden z będzińskich strażaków naganiał ich by przynajmniej pomagali pompować wodę przy sikawce, rzucili się na niego i byliby go bardzo poturbowali, lecz bracia po toporze w pomoc mu pośpieszyli, z czego wywiązała się bójka, że jednak strażaków było sporo, przez to udało im się napastników rozpędzić⁸¹.

⁷⁸ Z opisu akcji gaśniczej fabryki papy w Olkuszu, „Strażak” 1909, nr 1, s. 7–8.

⁷⁹ Korespondencja z Sosnowca, „Strażak” 1904, nr 8, s. 8.

⁸⁰ Tamże.

⁸¹ Tamże.

Owa scenka rodzajowa bitwy strażaków z miejscowymi, co nie chcą gaszenia, nie była wcale sytuacją wyjątkową. I nie wynikała z przesądów, jakim oddawała się ludność ruska, co uważała, że pożarów gasić nie trzeba, bo „Boh dał, Boh wziął”. Tu mogła pojawić się innego rodzaju kalkulacja. Wszak doskonale wiedziano, jak taksatorzy oceniają szkody. Jak jest coś niedopalone, znaczy niespalone, to nie należy się odszkodowanie... Zatem nawet skuteczne działania strażaków na ogień co do istoty niczego nie ratowały, tylko dawały preteksty taksatorom do nieuczciwego naliczania odszkodowań.

Ale... Skoro był wielki pożar, z nieszczęściem dla kilkuset ludzi, to na miejscu powinna być policja, owa żandarmeria, jakże czuła na marsz strażaków w szyku z orkiestrą. Zatem zapytajmy: A policja....?

A policja? No, policja zachowała neutralność nie mieszając się do niczego. W trakcie ratunku, dano znać że i w kościele przy wielkim oltarzu pali się, jeden więc oddział wpadł do kościoła i ogień momentalnie przytłumił, przyczem tam obecny ks. Puchalski ręce sobie poparzył — jednocześnie złodzieje korzystając z tego, że ks. proboszcz pobiegł do kościoła, wpadli na plebanię i porządnie ją obrali z rozmaitych rzeczy na większą sumę.

Zgorzało wszystkiego 40 domów włościańskich. Pożar powstał wskutek wystrzału z pistoletu, od którego stodoła się zapaliła⁸².

Zatem mamy obraz dosłowny zdżyczenia obyczajów, na co współcześni narzekali nie raz, tylko ogłędnymi słowy. Przypatrzmy się innemu zdarzeniu. Nie można go uznać za typowe, ale nieco dziwne, z uwagi na zwyczajową obojętność mieszkańców wsi położonych na wschód od Bugu na zjawisko pożarów, zwłaszcza od pioruna. Tu było inaczej, być może z powodu podpalenia. Zatem jeśli to nie siła wyższa w postaci np. pioruna działała, tylko człowiek, można było wyrazić z tego powodu niezadowolenie w taki sposób, jak to nakazywała miejscowa kultura.

Czytamy w „Kurj. Codz.” „Donoszą o fakcie wychodzącym po za miarę zwykłych wydarzeń codziennych, który tragizmem swym przewyższa nawet słynne „lynchy” amerykańskie. Zdarzył się on we wsi Lepieszach, odległej od kilka wiorst od miasta powiatowego Kobrynia. W pomienionej wsi dnia tego wybuchł pożar, który wkrótce objął ośm zagród włościańskich. Jak zwykle do ognia zbiegli się wszyscy mieszkańcy wsi. Zaczęto mówić o podpaleniu i gubiono się w domysłach. Podejrzanie padło na jednego z sąsiadów. Nie sprawdzwszy faktu, roznamiętniony tłum wykonał zemstę. Przywleczono nieszczęśliwą ofiarę podejrzeń do tlejących zgłiszcz i związano, poczem dwóch z tłumu rozpalilo w żarzących się węglach kawałek żelaza, którym wypalono naprzd nieszczęsnemu oczy a następnie poczęto przypiekać całe ciało. Straszny, przerażający krzyk ofiary dziekij zemsty tłumu, rozległ się po całej wsi, lecz nikt nie stanął w jego obronie. W końcu z tłumu wystąpił jakiś drab i jednym zamachem topora odrąbał męczonemu głowę. O tej strasznej, wstrząsającej zbrodni zawiadomiono władzę, która natychmiast sześciu najgłówniejszych sprawców uwięziła i rozwinęła energiczne śledztwo⁸³.

⁸² Tamże.

⁸³ „Przewodnik Pożarniczy” 1900, nr 10, s. 108.

Samosądy nie były zjawiskiem powszechnym przy pożarach, ale przytaczamy ten przykład jako ilustrację obyczajowości.

Następny przykład jest z Olkusza. Tu już nie było tak łatwo, bo oczywiście nie było koni (i nie było ich przez wiele następnych lat, o czym świadczy pierwszy cytat w podrozdziale, ten z bitwą o konie).

W nocy z 17-go na 18 sierpnia o godz. I i pół z naszej czatowni strażackiej zauważono na horyzoncie w stronie północno-wschodniej okropną łunę; wartownicy wnet rozbudzili naczelnika straży ogniowej i miejskie władze. Jednocześnie prawie otrzymaliśmy wiadomość telefoniczną, że osada Wolbrom odległa o 20 wiorst stoi w płomieniach i prosi o pomoc. Po zaalarmowaniu straży, która stawiała się w komplecie w 15 minut, zabrano 2 sikawki i 2 beczki z wodą i w połowicznym składzie udano się na stację Olkusz, tam atoli dyżurny naczelnik puścił w stronę Wolbromia towarowy pociąg, a na nadejście drugiego należało czekać półtorej godziny⁸⁴.

Zauważmy, że strażacy w szyku pieszym, z wozami i narzędziami, poszli na stację Olkusz. Bez uzgodnienia tego z dyżurnym ruchu nie można było zrobić, a jednak tenże ściśle trzymał się własnego rozkładu jazdy pociągów, choć zgodnie z regulaminami Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej powinien aktywnie włączyć się w akcję ratowniczą. Zatem strażacy czekali półtorej godziny (!) na tejże stacji, by pojechać kolejnym pociągiem. Odległość do pokonania – 15 km w linii prostej. Jazda pociągiem też zajęła czas jakiś. Zatem przybyli na miejsce w ponad 2 godziny od zaalarmowania – jest to rekord, ale też świadectwo skutków braku posiadania koni własnych, tudzież niezłomności w dziele chęci lania wody (zastanawiający jest brak obawy sprawozdawcy przed śmiesznością). Widok, jaki zastali w tej sytuacji, dziwić ich nie mógł.

Po przybyciu na miejsce oczom naszym przedstawił się zgrozą przejmujący widok: 160 domów i tyleż zabudowań kąpało się w morzu płomieni, dachów już nie było, tylko ściany drewniane domostw paliły się jak stosy sążni drew, nie dając na 50 kroków do siebie przystępu.

Krzyk, zgiełk i płacz połączony z trzaskiem ognia słyhać było o 2 wiorsty, księgi żydowskie z spalonej synagogi, unoszone wirem ognia pod obłoki, płonąc, spadały, okrywając czar-nemi niedopalkami ziemię. Starcy, dzieci i kobiety w jednych koszulach stojąc na rozpalonych kamieniach bruku błagały o pomoc, której niestety w braku wody trudno było udzielić.

Straż ogniowa wolbromska, wyczerpana, rozbiegła się w części ratować swoje mienie, a część jej z nadludzkim wysiłkiem ratowała na sucho, burząc domy i robiąc luki, tym sposobem ocaliła miejscowy kościół, w chwili jednak przybycia naszej straży była tak wyczerpaną, że od niej nic więcej żądać nie można było⁸⁵.

Strażacy z Olkusza przystąpili do działania, jak potrafili.

Rozpoczęliśmy akcję ratunkową od zalewania wodą tych punktów, które najwięcej zagrażały reszcie osady, jednocześnie udało nam się odkryć przy starym żydowskim cmentarzu

⁸⁴ Korespondencja z Olkusza, „Strażak” 1904, nr 8, s. 9.

⁸⁵ Tamże.

cuchnącą strugę, w którą zapuściwszy węże sikawek, ocaliliśmy składy skór w 4-ch garbarniach i wielki skład jaj w murowanym budynku wartości około 12,000 rub., uratowaliśmy również kilka piwnic, do których w panice pogorzelnicy schronili całe swe mienie i towary, po spaleniu jednak domów ogień dostał się do drzwi piwnic i gdyby nie szybka pomoc, napewnoby się spaliły.

Spaliły się: synagoga, 2 duże domy modlitwy, monopol, na urzędzie pocztowym zerwano dach, komunikacja telegraficzna z powodu spalonych słupów i drutów przerwana na dni kilka. Nie obeszło się i bez ofiar ludzkich, spaliło się żywcem dwoje dzieci żydowskich 8 i 3 lat oraz przywalony przewracającym się kominem izraelita skonał tego samego dnia. Straty w spalonych budynkach towarach i ruchomościach obliczają kompetentni na 200.000 rubli, z tych atoli czwarta część zaledwie wynagrodzoną będzie z towarzystw ubezpieczeń. Bez dachu pozostaje 600 rodzin⁸⁶.

Bo też z końmi dla straży stale były wielkie kłopoty. Przy próbach ich rekwizycji na czas akcji dochodziło do bitew, jak ta straży sosnowieckiej i będzińskiej, przy czym policja, o ile ingerowała, brała stronę przeciwną strażakom. Olkуска straż również kilka takich bitew stoczyła, z efektami w postaci skarg sądowych z obydwu stron. Zaznaczyć też należy, że straszliwe w skutkach pożary żydowskich miasteczek i dzielnic zawsze miały bardzo gwałtowny przebieg, gdyż zabudowa z reguły była drewniana, a w dodatku szła wwyż, ponieważ nie sprzedawano im ziemi pod zabudowę. Akcje gaśnicze z reguły były spóźnione, tym bardziej, że o ile Niemcy (ewangelicy) i Polacy (katolicy) chętnie zakładali straże, to starozakonni bardzo rzadko (choć bywały takie przypadki), co najwyżej przyłączali się do istniejących, a i to niechętnie. Zatem składy osobowe straży pożarnych małomiasteczkowych były odwrotnie proporcjonalne do zaludnienia etnicznego, a też i do jakości i liczby pożarów. Pożary masowe miasteczek tamtych czasów dotyczą głównie zwartej zabudowy żydowskiej.

Następny przykład pochodzi z miasta Łódź, czyli z najlepszej po warszawskiej (w pełni zawodowej) ochotniczej straży pożarnej (półzawodowej).

Dnia 18 b. m. o godz. 9-ej minut 20 wieczorem, w stolarni przemysłowca Ottona Gehliga, przy ulicy Przejazd pod nr. 13, wybuchł groźny pożar. Mieszkańcy okoliczni zaskoczeni alarmem, poczęli wołać o pomoc, a drugi oddział straży ogniowej ochotniczej, nie czekając na wezwanie, wyruszył do ognia. Jednocześnie telefonem i „syreną” zaalarmowano wszystkie oddziały straży ogniowej.

Ogień szerzył się z niesłychaną gwałtownością. Strażacy II-go oddziału, będąc w małej garstce, zajęli się ratowaniem budynku, w którym mieścił się skład posadzek. W czasie tym nadbiegały jeden za drugim oddziały straży ogniowych, z których I, II, III, IV i miejska zajęły pozycję w podwórzu fabrycznym, a oddziały fabryczne V, VI i VII na posesyi nr 42, od strony ulicy Mikołajewskiej. Przy energicznej akcji ratunkowej o godz 11 i pół ogień został opanowany, część budynku fabrycznego, stojącego frontem do ulicy Przejazd, uratowano⁸⁷.

⁸⁶ Tamże.

⁸⁷ Korespondencja z Łodzi, „Strażak” 1904, nr 8, s. 12.

Do tego momentu akcja miała przebieg standardowy, co się objawiało laniem wielkich ilości wody, w ogień i obok, póki pożar się nie wypali. Pożar zlokalizowano, sąsiednią, równie intensywną zabudowę przemysłową uratowano, a nawet obrotiono część budynku objętego pożarem, co należy nazwać wyczynem owych czasów, a i dziś niełatwym by było. Stało się jednak coś, co dowódcy powinni przewidywać.

W czasie tym dach maszyny i sufit, przepalone, zapadły się. Po chwili rozległ się ogłuszający huk i słyszać było rozpaczliwe krzyki. Runął mur od ulicy Mikołajewskiej. Strażacy V, VI i VII oddziałów, stojąc za murem szczytowym przez wierzch jego przerzucali strumienie wody. Naraz ściana ta na całej swej długości runęła, przysypując gruzami bliżej stojących strażaków. Porzucono sikawki, aby nieść ratunek znajdującym się pod gruzami. Zawieszano trzy karetki Pogotowia, przyniesiono nosze, inni w tym czasie zajęli się wydobywaniem rannych i zabitych. Nie było to zadanie łatwe, dym i piekielny żar od płonących jeszcze części fabryki utrudniały pracę do tego stopnia, że od czasu do czasu potrzeba było wodą zalewać rozpalone części gruzów. Po pewnym czasie zdołano wydostać strażaków ciężko rannych i zabitych [wydobyto 12 zwłok – PR].

Bezpośrednią i główną przyczyną katastrofy była wadliwa konstrukcja muru, który był zbyt cienki i nie miał żadnego oparcia (...)»⁸⁸.

To twierdzenie wymaga kilku słów komentarza. Wiemy, jak Łódź Fabryczną budowano – z reguły byle jak, na krótko, z wyrachowaną kalkulacją zniszczenia. Ziemia obiecana Reymonta ma tu wartość niemal dokumentu, słowo „tandeta” oznaczało coś bardzo konkretnego. A można tak było robić, bo brakowało zarówno przepisów, jak i policji budowlanej.

O ile nam wiadomo to członkowie ochotniczej straży łódzkiej są ubezpieczeni, więc rodzinom poległych nędza zagrażać nie powinna. Zresztą jeżeli straż łódzka przez czas jakiś ze swoich funduszy ofiarowywać będzie po parę tysięcy rubli rocznie na rzecz wdów i sierot, to sobie tem wielkiego uszczerbku nie zrobi...»⁸⁹.

Tu redakcja „Strażaka” była nieco złośliwa, bo Łódzka Straż Ogniowa Ochotnicza zamawiała bardzo mało egz. miesięcznika, a uchodziła za najbogatszą w Królestwie. A jeśli chodzi o ubezpieczenie na życie... Problemem wszystkich straży była wypadkowość przy akcjach i... pozostawienie kogoś okaleczonym bądź nieżywym. Rodzina traciła jedyną osobę, zdolną dać jej utrzymanie. Wielokrotnie domagano się ustanowienia specjalnych funduszy, bo przecież normą ówczesnych sposobów prowadzenia działań ratowniczo-gaśniczych było ryzykanctwo. Niestety! Strażacy, powodowani miłością bliźniego, nie mogli tu liczyć na miłość zwrotną. Znano te problemy, mocno one chłodziły zapał do realizacji hasła: „Bogu na chwałę, ludziom na ratunek”. W dodatku aż za często, by tego nie uznać za normę, zdarzały się przypadki wyciągania dodatkowych korzyści z faktu przystąpienia do akcji ratowniczej.

⁸⁸ Tamże.

⁸⁹ Tamże.

Problemy strażaków z samymi sobą

Brak struktury powodującej świadomość istnienia w większej całości, brak pozytywnych przykładów, brak środków na utrzymanie, obojętność, a nawet wrogość administracji, nieprzykładającej wagi do jakości działania – wszystko to razem tworzyło podłoże do tego, by straże pożarne zmieniały się w karykatury samych siebie.

Oto przykład funkcjonowania jednej z najlepszych w kraju straży – wrocławskiej, która potrafiła na siebie zarobić organizacją zabaw, festynów, loterii fantowych. Aż przychodziło do pożarów. Warto prześledzić, jakim językiem napisana jest ta relacja, przez świadka będącego osobą postronną wydarzeń.

Nie mniejszą atrakcją był pożar w mieście. Syrena z wieży strażackiej donośnie ogłaszała alarm pożarowy, wtórowały jej dzwony na przedmieściach. Cóż to był za widok! Klusem pędziły do remizy dorożki, kto bowiem przybył pierwszy, otrzymywał wyższą stawkę za dostarczenie koni do beczkowozów i wozów strażackich. Za nimi biegli strażacy, którzy porzucali pracę lub odpoczynek dzienny czy nocny, w pośpiechu wkładając mundury i buty niosąc nieraz w rękach. My, dzieciarnia, nie bacząc na zakazy rodziców rzucaliśmy wszystko, by zobaczyć niecodzienny widok. Zaobserwowałem wówczas rodzajową scenkę na pogorzelsku, gdzie jeszcze tliły się szczątki domostwa. Strażacy zapytali właściciela, czy będzie antalek piwa. Otrzymawszy zapewnienie, że będzie, bosakami rozrzucaли do fundamentów nadwątłony komin. Później wyjaśnił mi ojciec, że „fajer kasa” płaciła mniejsze odszkodowania, jeżeli komin pozostawał na pogorzelsku [...]. W remizie na ścianie widniała dewiza: „Nasze hasło – nasza broń – miłość, zgoda, bratnia dłoń”; którą zresztą wcielano w życie⁹⁰.

Dla autora relacji, który podówczas był dzieckiem, pożar był oczywiście atrakcją, ale nie mniejszą wydawał się dla strażaków. Najpierw ścigali się do remizy, bo wrocławska straż rozwiązała sobie nierozwiązywalny gdzie indziej problem z końmi w sposób bardzo przejrzysty – płaciła za ich wynajem strażakom. Potem pojechali do pożaru, oczywiście z odpowiednim fasonem, wszak chmary dzieciarni im towarzyszyły. Cóż ugasił? Kupę zgłiszcz. I czegoż za to zażądali od pogorzańca, który stracił właśnie wszystko? Na przykład antalka piwa, bo inaczej nie przewrócą tego mitycznego komina, co zawsze i wszędzie był (i niekiedy nadal bywa) dla formalistów ubezpieczeniowych wyznacznikiem niecałkowitości zniszczenia... A mówimy o straży mobilnej, zdyscyplinowanej, prowadzonej przez ludzi inteligentnych, którzy dali pomysł na powołanie pisma „Strażak” i udzielali gościny zjazdom strażaków z całego Królestwa! Cóż mówić o innych strażach...?

Zaznaczyć należy, że nie jest to przykład ekstremalny, tylko na swój sposób reprezentatywny: zarówno „gasciele”, jak i pogorzalec doskonale wiedzą, w jakiej konwencji działają. Nikt do nikogo nie ma żadnych pretensji, bo dewiza: nasze hasło – nasza broń – miłość, zgoda, bratnia dłoń po prostu tak działa w praktyce, ku satysfakcji wszystkich zainteresowanych. Ekstremalnie wyglądało to inaczej.

⁹⁰ R.T. Michalczyk, *Od Włocławka do Wrocławia 1900–1950*, Wrocław 1976, s. 37, za: Z.J. Zasada, *140 lat straży pożarnej we Włocławku (1874–2014)*, Włocławek 2014, s. 67.

Przeszło od roku uformowana w Jędrzejowie straż ogniowa ochotnicza na zasadach ogólnej ustawy; z tego powodu radość powszechna z początku: jednych, dla przyjemności należenia do szeregów ostentacyjnie defilujących po ulicach miasteczka w umundurowaniu strażackim, drugich, (poza strażą) z wiary, że już od chwili zaprowadzenia straży pożary na zawsze szkodliwemi być przestaną. Gdy zjawiał się ogień, to poza strażą, z tak zwanych cywilnych, tylko nader mała mniejszość, rozumie się z inteligencji, niosła z siebie ofiarę dla dobra ogółu; reszta, to jest większość lekceważy sobie całą sprawę pochłaniającego pracę ludzką żywiołu — ognia. Z onej to ogromnej większości zaledwo kilku z poświęceniem dla drugich narażali się; reszta myślała, że znanym krzykiem i wrzaskiem: „aj waj miję! aj waj miję!” już całkowicie spełnia swoją powinność.

Gdyby to tylko na tem był koniec złego, ale przy takich wypadkach znajdują się sławetni i mniej sławetni obywatele z daleko niższymi instynktami, którzy potrafią zdobyć się na ucieczkę z końmi na pole, aby uniknąć dostawy tychże do wyprowadzenia z szopy do ognia narzędzi pożarnych. Rozporządzający się zaś zdobędą się na łapanie koni pocztowych wbrew przepisom, lub koni włościańskich, spotkanych na trakcie z dalekich stron. Nie dosyć na tem, znalazł się bohater, który, gdy biedna żona pogorzelca posiadając pewien fundusik i jakiś cenniejszy drobiazg zdążyła zamknąć do komody i ledwo zdolowała własną siłą komodę tę wyszarpać w dal, od ognia, — toporem rozbił komodę i własność cudzą potrafił zabrać⁹¹.

Tekst ten nie wymaga komentarza, oprócz tego, że nie opisywał sytuacji wyjątkowej. Współcześni widzieli podobne przypadki jako regułę i nie mylili się. Bo, dziwna sprawa — straż nie kontaktowały się między sobą, a podobne postęпки wytwarzały się u nich samoistnie... Oto duże fragmenty wykładu o niedomaganiach straży pożarnych tamtych czasów.

Na zebraniu ogólnem Spółki Rolnej w Radomiu toczyły się żywe rozprawy nad kwestyą walki z ogniem na wsi, wśród których, swoją wszechstronnością i jasnością wykładu dominował odczyt p. Konst. Jagmińskiego. (...) prelegent przystąpił do przedstawienia środków i narzędzi obrony, kładąc na to nacisk, żeby te ostatnie miały prawo nietykalności⁹².

O co chodzi? O to, że zakupione, wytworzone i zgromadzone z niemałym trudem narzędzia nie są codziennie używane, bo pożar codziennością nie jest. Za to codziennością jest niedbałość o nie, lub — przeciwnie — nadmierna dbałość o to, by się nie marnowały. Zatem nie powinno się ich ruszać (to dlatego wiadra przeciwpożarowe miały potem półsferyczne dna), bo nazbyt często przez osoby, którym je powierzono „(...) przedmioty te bywa[ły] używane w gospodarstwie i porozrzucane po różnych składach, w razie wypadku okaz[ywało] się, że beczki napelnione są kapustą lub melasą, siekiery zabrano do lasu, bosaki leżą gdzieś przywalone w kącie szopy, drabiny zmuszające się, jeżeli po nich wejść trzeba i t.d.” Jako pierwsze (no i pierwotne) przybory do

⁹¹ Z listu do redakcji, „Strażak” 1903, nr 11, s. 8–9.

⁹² O walce z ogniem, referat p. Konst. Jagmińskiego (wedł. Gaz. Radomskiej), „Strażak” 1902, nr 8, s. 6–7.

gaszenia autor zaleca wiadro, a następnie beczkę, a potem dopiero szczegółowo opisaną sikawkę, ale, dodaje, że naprzód należy pomyśleć o wodzie, bo inaczej sikawka będzie tylko zawalidrogą⁹³.

Autor referatu nie był zwolennikiem masowości ochrony przeciwpożarowej czynnej. Wolał mieć niewielu ludzi niezawodnych, niż masę, na którą liczyć nie można z powodu wad moralnych lub fizycznych. Narzędzia skomplikowane razil powierzać opiece ludzi obeznanych z techniką. Mianowicie o (...) zorganizowaniu i przysposobieniu ludzi wzmiankowano nazbyt pobieżnie zalecając „wybrać pomiędzy służącymi 10–15 parobków sprytniejszych, zaś majstrom majątkowym, kowalowi lub stelmachowi powierzyć ciągłą pieczę o sikawce”(…) W zakończeniu prelegent omawiał stan pogotowia przeciwogniowego w Galicyi i W. Ks. Poznańskim i rzucił jaskrawe światło na stosunki ratownicze większości naszych miasteczek⁹⁴ – co każe domyślać się większego tam porządku, płynącego zarówno z etosu służby, jak nadzoru policji ogniowej (w Prusach) nad nią. Redakcja dała interesującą uwagę końcową, dotyczącą porządku na miejscu akcji, wyraźnie przy tym chodzi o to, by gaszący nie pomylili dobra społecznego z własnym.

Na jeden szczegół zwracamy uwagę. Prelegent nawołuje do wysyłania służby dworskiej z pomocą ratowniczą okolicznych sąsiadów, ale zarazem słusznie ostrzega, żeby to się odbywało pod wodzą oficjalistów [właścители majątków – PR], nigdy samopas, na ochotnika⁹⁵.

Cóż zatem się działo zdrożnego, że taka ostrożność? W czasie obrad zjazdowych we Włocławku zebrani delegaci strażacy z całego Królestwa zajęli się m.in. kwestią etyki strażackiej. Problemy nazwali po imieniu i – trzeba powiedzieć – celnie zidentyfikowali zarówno przyczyny, jak i środki zapobiegające. Ale nie od razu. W pierwszym dniu obrad referat na ten temat wygłosił Emil Balcer z Łowicza.

Wszystko idzie z postępem czasu naprzód, wszystko zmienia się na lepsze, poprawia, uszlachetnia; tylko Strażactwo w niczem nie postępuje, w Strażactwie nic się nie robi, nic nie polepsza. Przed laty 30-tu i więcej, gdy zakładano straże, społeczeństwo było z szacunkiem i uznaniem, dziś można zauważyć zupełną obojętność, a nawet lekceważenie strażactwa; przed laty można było widzieć i więcej inteligencji w straży, dziś trzyma się ona zdaleka; co jest przyczyną tego?

Przyczyna tego leży w samych strażach; jakże możemy żądać zainteresowania się społeczeństwa Strażą, gdy ci, którzy stoją na czele, sami mało się nią zajmują i interesują; jakże możemy żądać szacunku, kiedy wewnątrz Straży się nie szanują? Kto chce być szanowany, powinien szanować przede wszystkim sam siebie; często daje się słyszeć, jak starszyzna lekceważy szeregowców, urządza im poczęstunki i przygląda się ich awanturom, robiąc uwagi w rodzaju: „hołotka się dobrze bawi” lub „hołotka się porznęła” i t.p. (...)

Spółczenstwo składa datki na straż, ma więc i pełne prawo kontrolować, na co my tych datków używamy, czy na polepszenie taboru strażackiego, na uświadamianie i wyszkolenie

⁹³ O walce z ogniem, referat p. Konst. Jagmińskiego (wedl. Gaz. Radomskiej), „Strażak” 1902, nr 8 s. 6–7.

⁹⁴ Tamże.

⁹⁵ Tamże.

strażaków, czy też na pijatyki i bibki. Często spotykamy się z takim zarzutem, że składane pieniądze przepijamy, urządzamy sobie zabawy itp.; więc aby uniknąć tych zarzutów i żeby nawet cień podejrzenia na nas nie ciążył, że marnujemy składane pieniądze, powinniśmy się wystrzegać przede wszystkim pijaństwa; wpłynąć na szeregi, aby mundur strażacki szanowali, nie plamili go i nie narażali na pośmiewisko i pogardę (...)»⁹⁶.

Dłużej jeszcze mówił p. Balcer z Łowicza, ale zebrani, których wyraźnie wskazał winnymi zjawisk negatywnych, niechętnie tego słuchali. Jak to zanotowano w protokole: Referentowi podziękowano, dyskusja nad wygłoszonym referatem nie rozwinęła się⁹⁷.

A jednak zasiane ziarno wykiełkowało. W drugim dniu obrad w podobnym tonie wygłosił referat St. Piaszczyński, pomocnik naczelnika Straży w Kowalu. Mówił jakby do innych ludzi, ale też zaczął opisywać zjawisko od dołu, a nie od góry, jak jego tematyczny przedmówca.

Chcąc jaknajprędzej zapłacić szeregi, nie sprawdzwszy poprawnej konduity danego członka, przyjmujemy ludzi, którzy tylko narażają straż na wstyd swoim ujemnym postępowaniem, zaniedbywaniem swoich obowiązków, złem postępowaniem w życiu prywatnym i na służbie. Zdarza się bardzo często, że stojący na czele Straży nie wypełniają swoich obowiązków, a mianowicie: nie przychodzą do pożaru, ani na ćwiczenia, nie wiedzą, co się w Straży dzieje (...).

Bardzo powinniśmy zwracać uwagę, a co się mało praktykuje w strażach, na nieposzanowanie cudzej własności (...). Bardzo często daje się to zauważyć w strażach (przeważnie w małomiasteczkowych), gdzie stronność i kłamstwo są ogromnie rozpowszechnione. Ma to miejsce najczęściej w tych strażach, gdzie jest mało inteligencji, gdzie członkowie straży są pomiędzy sobą spowinowaceni (...)»⁹⁸.

Czyżby w strażach ogniowych ochotniczych rozgościły się prywata i kumoterstwo? Czyżby ton szlachetnym organizacjom nadawali ludzie nieuczciwi...?

Dalej zebrani dowiedzieli się czegoś o nich samych. I smutna przy czytaniu pojawia się refleksja, gdy utrzymująca się z datków społeczeństwa instytucja, ostentacyjnie się bawi.

Pozostaje powiedzieć słów kilka o interesowności i zbytkach, na które każda prawie straż sobie pozwala. Często bywa, że strażak przychodzi do pożaru dla tego tylko, że się spodziewa jakiegoś wynagrodzenia od pogorzańcy, a nawet nieraz do tego stopnia uchybia swojej godności, że śmie się upominać, żądając pieniędzy na poczęstunek. Podobnych wykroczeń po większej części powodem jest wódka, do której sama starszyzna swoje drużyny przyzwyczaja, wyprawiając za sute majówki, za kosztowne rocznice, na których starszyzna siada przy osobnych stołach, raczy się smakołykami, drużynę pozostawiając samą sobie (...).

Powinniśmy zaniechać wszelkich poczęstunków po pożarach, a szczególnie po ćwiczeniach, a w ten sposób wpoimy w szeregi przekonanie, że daleko pożyteczniej obrócić dany

⁹⁶ E. Balcer, Stanowisko strażackie w społeczeństwie, referat wygłoszony w czasie zjazdu strażackiego we Włocławku w październiku 1910 r., „Strażak” 1911, nr 3.

⁹⁷ Tamże.

⁹⁸ St. Piaszczyński, Wpływ moralny i etyczna strona Strażactwa, referat wygłoszony w czasie zjazdu we Włocławku w październiku 1910 r., „Strażak” 1911, nr 4.

*grosz na dobro instytucji, której służą, aniżeli zostawić go w szynku lub piwiarni. Reasumując poprzednie wywody musimy przyjść do przekonania, że podniesienie moralnej i etycznej strony strażactwa zależy wprost od nas i na tem polu należy pracę naszą rozprzestrzenić*⁹⁹.

Referat zrobił znaczne wrażenie na zebranych, a prelegent dostał, jak to zanotowano, rzęsiste brawa. Wszak problem znany był dosłownie wszystkim, bo w większym czy mniejszym natężeniu występował w każdej straży ogniowej. Był też groźny, co wielu zebranych uświadomiło sobie z pełną mocą, bo nawet dobra straż pożarna, za sprawą kilku bezkarnych osobników zmieniała się w potwora. To z wykazanych wyżej powodów opuszczali taką jednostkę ludzie ideowi. Pozostawała wtedy więc żerowiskiem dla prymitywnej bufonady, niesклонnej niczego się uczyć, łasej na pochlebstwa, a wreszcie szantażującej pogorzalców na wykazane wyżej sposoby. Działalność tego rodzaju osobników z całą pewnością nie zwiększała zaufania do strażaków w społeczeństwie. W końcu dana jednostka staczała się do miejsca libacji, zaś one stawały się celem działania samym w sobie. Co oczywiste, niewiele to pomagało na klęskę pożarów.

Tym razem wywiązała się bardzo ożywiona dyskusja. W jej toku padło kilka interesujących zdań, bo po tym uderzeniu w stół również nożyce się odezwały. Zanim do nich przejdziemy, przyjrzyjmy się temu, o co pytana jest młodzież w czasie turniejów wiedzy pożarniczej.

Środki zaradcze przeciw zwyrodnieniu straży pożarnych

Niemcy po prostu chcieli gasić, ale polscy założyciele towarzystw ochotniczych straży ogniowych zawsze mieli dodatkowy cel, oprócz gaśniczego. I wcale nie był to cel wojskowy, acz dla zaborcy jakby groźniejszy, niż gdyby karabiny brali w ręce. Nie był on nawet kulturowy, choć orkiestry i temu służyły. Sięgano głębiej, nawet może nie zdając sobie sprawy, jak głęboko. Straże pożarne miały być źródłem etyki dla lokalnych społeczności, przykładem, że z działania wspólnego wszyscy odnoszą większe korzyści, niż przez ciężką nawet pracę w osamotnieniu, w zapatrzeniu w czubki własnych nosów. Ochotnicze straże ogniowe miały być jak ruch spółdzielczy w rolnictwie, wówczas mocno propagowany przez prawe umysły.

Tymczasem obraz egzystencji polskich straży ogniowych ochotniczych był zgoła inny niż ten, jaki mieli przed oczyma ich założyciele. Brak realizacji tego celu oznaczał klęskę, której skutki społeczne pogłębiały się w miarę istnienia takiej zwyrodniałej jednostki. Uczestnicy zjazdu wrocławskiego pierwszego dnia obrad niezbyt mieli ochotę wysłuchiwać pretensji o brak strażackiego etosu. Jednak drugiego dnia zjazdu, po przespaniu się z problemami zrozumieli, że nie o sam brak etosu strażackiego chodzi, a o coś znacznie więcej. Że ubierając w strażackie mundury złodziei, pijaków i leni, spowodowali groźne skutki dla etosu obywatelskiego. Że w sumie przez odkładanie rozwiązywania problemów na później wychowali warstwę pasożytniczą, żerującą na

⁹⁹ St. Piaszczyński, Wpływ moralny i etyczna strona Strażactwa...

szczytnej idei pomocy bliźniemu. Ich dotychczasowe próby radzenia sobie z problemami tego rodzaju okazały się absolutną porażką. Odcinając się od problemów, odezwali się od rzeczywistości i żyli w złudnym przekonaniu, że sami są ponad to zło w szeregach. Tym samym pozwolili na jego rozplenienie i rozkwit. Nie wiedzieli jeszcze jednego, może najgorszego – że to samo zło osiągnie również ich, elit, gdy dopuszczą między siebie różnego rodzaju karierowiczów, zwłaszcza politycznych.

A przecież wiedzieli, że elity zawsze mają tendencję do wyobcowywania się ze społeczności, nawet jeśli jest to elita powstała z kilku niepiśmiennych parobków. W średniowieczu panowały ideały rycerskie, ale byli też rycerze-rabusie, rozbójnicy z zamków, których sposób życia polegał na napadaniu innych i grabieniu. Z tym procederem walczone również, nakłaniając, by stan szlachecki przyjął ideały zbrojnej opieki nad innymi jako własne.

A przecież wszyscy strażacy mieli być rycerzami. Z podobnych pobudek Leopold Szyller-Racki opracował *Dziesięcioro przykazań prawego strażaka*¹⁰⁰. Oto ich skrót:

1. *Nie wyobrażaj sobie, że samo przywdzianie munduru strażackiego czyni cię już strażakiem, albowiem jeśli paradujesz w mundurze, a zaniedbujesz swoich obowiązków, jesteś jako wilk w owczej skórze.*
2. *Bądź zawsze trzeźwy. Trzeźwość jest podstawą wszystkich cnót, jakie prawego strażaka zdobić powinny.*
3. *Bądź czujny – czujny jak kogut w nocy, jak orzeł w dzień. Zawsze gotów bądź na ratunek. Śpij jak zając, a bądź mężny jak lew.*
4. *Bądź odważny, ale i rozważny. Nie narażaj życia i zdrowia tam, gdzie osiągnąć się nic nie da, lub gdzie oczywiste niebezpieczeństwo życiu zagraża. Nie czyn brawury, dla popisu, lecz wszystko czyn co każe obowiązek, co każą przełożeni, co wymaga dobrego dzieła, któremu służysz.*
5. *Będziesz posłuszny przełożonym swoim. Strażak to żołnierz armii dobrego dzieła i jak żołnierz winien w rzeczach służby wyrzec się własnej woli.*
6. *Przestrzegaj porządku. Przysłowie głosi: „Porządek jest duszą świata”. Bez porządku ani państwo, ani dom ostać się nie może.*
7. *Bądź dumny z tego, że należysz do towarzystwa pożarniczego, że należysz do niezliczonej rzeszy bojowników walczących pod sztandarem najczystszej miłości bliźniego. (...) Możesz być dumny ze swego munduru, ze swego udziału w szlachetnej pracy swego towarzystwa, lecz strzeż się niegodnym czynem splamić tego munduru.*
8. *Będziesz towarzyszem dobrym. Przepiękne hasło strażackie: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego” uczy, jakiego rodzaju ma być koleżeństwo w drużynach strażackich.*
9. *Będziesz spełniał obowiązki swoje z ochotą. Jesteś ochotnikiem, więc nie czyn jak najemnik, który rad wykręca się od roboty.*
10. *Będziesz się starał o zabezpieczenie losu swojej rodziny na wypadek twojej śmierci lub kalectwa.*

¹⁰⁰ „Strażak” 1901, nr 1, s. 4–5.

Powyższy cytat to skrót każdego z haseł. Większość tych punktów była rozwijana, uszczegóławiana i zasadniczo – gdyby je konsekwentnie wszystkie rozbudować – byłyby regulaminem służby i etyki strażackiej. Samo ich zestawienie świadczy o tym, że strażackie grzechy występowały od zarania, inaczej nie trzeba by ich piętnować i nazywać po imieniu. Niestety, środków do ich egzekwowania nie przewidziano...

...Wracamy do dyskusji zjazdowej o etyce i moralności strażackiej, która odbyła się ponad 10 lat po pierwszym opublikowaniu *Dziesięciorga przykazań prawego strażaka*.

Okazało się, że większość słuchaczy nie całkiem zrozumiała intencje mówcy. Natychmiast zaprotestowano przeciw likwidacji imprez (odpłatnych popijaw tanecznych), na których strażę zarabiają na swoje istnienie, choć nikt tego rodzaju pożytków nie negował. Dyskusja zawierała więc kilka sprostowań i wyjaśnień. Prześledźmy je, jako obrazujące skalę problemów do rozwiązania. Dowiedzmy się, że najszlachetniejsze strażackie elity umysłowe Kongresówki też miały własne kalkulacje zysków i strat.

P. Balcer z Lowicza jest również zdania, że poczęstunków nie można wykorzystać, ale powinny one być urządzane ze składek strażaków, lecz nie z kasy Straży.

P. Czajkowski przeciwnego jest zdania, poczęstunki po próbach i ćwiczeniach powinny być wyrugowane, poczęstunki po pożarach powinny być wyznaczane na koszt kasy Straży.

Dr. Stanisławski z Lowicza gorąco zwalcza poczęstunki, wódka nie jest posilną, rozpijanie w gromadzie jest bardzo szkodliwe. Starszyzna powinna dawać przykład i przykładem działać na straż. W podkomendnej mu straży poczęstunki zostały zupełnie zniesione.

P. Bukowiński zaznacza, że kiedy w Kaliszu skasowano poczęstunki, zmniejszyła się znacznie ilość strażaków, przychodzących na próby, zaznacza też, że poczęstunki nie obciążają kasy Straży, a urządzane są z własnych funduszy Starszyny.

P. Kon z Częstochowy, zaznacza, że w Straży Częstochowskiej bywały bardzo sute libacje tak po próbach, jak i pożarach, obecnie straż otrzymuje poczęstunek w wyjątkowych razach, po bardzo ciężkiej i długiej pracy przy pożarze; libacje te zastąpione zostały przez zabawę raz do roku dla Strażaków i ich rodzin, podczas której przestrzega się jak najmniejszego zużycia napojów wysokokowych¹⁰¹.

Zebrani wypowiedzieli swoje racje. Niektórzy ochłonęli ze wstydu ujawnienia skrzętnie omijanej patologii. Zgłoszono wnioski. Zebrani wyrazili za pożądane możliwie zmniejszyć, ewentualnie usunąć używanie alkoholu w poczęstunkach¹⁰², co miało ograniczyć ekscesy zarówno światłej starszyny, jak jej niepiśmiennych (na ogół) podwładnych.

Poza tym, w toku innej dyskusji, ustanowiono komisję dla opracowania regulaminu i instrukcji dla ochotniczych straży ogniowych. Oba te dokumenty, po ich wdrożeniu, dawałyby podstawy do dyscyplinowania strażaków, bez konieczności zastanawiania się, jakich środków i dla czego użyć. Sama jednolitość korporacyjna i zdrowe zasady naboru rozwiązałyby szereg problemów. Niestety – na jednolitość nie zanosilo się, bo zaborca nie pozwalał. A spożywanie alkoholu miało być przez

¹⁰¹ Protokół ze zjazdu we Włocławku, „Strażak” 1911, nr 4.

¹⁰² Tamże.

długie lata wstydlwą bolączką straży pożarnych, będąc zresztą raczej świadectwem choroby całego społeczeństwa niż samych tylko strażaków.

Tak czy inaczej, jednoś korporacyjna, z wytworzeniem jakiejś struktury pionowej, jawiła się jako konieczność, a wobec braku na nią widoków, trzeba było wytworzyć jej namiastkę. Niepewny, bo zależny od zezwolenia władz zjazd, pełnił taką funkcję tylko częściowo.

Oczywiście byli jeszcze idealisci-formaliści, którzy od czasu do czasu uspokajali sumienia wygłoszeniem kilku frazesów. Im mogło wystarczyć owe *Dziesięcioro przykazań prawego strażaka*, które od lutego 1901 r. były dostępne jako druk osobny¹⁰³, o czym przypominano w każdym kolejnym numerze pisma. Kosztowały niewiele, bo 3 kopiejki za sztukę, a przy większej ilości można było liczyć na rabat.

¹⁰³ Pierwsza informacja, „Strażak” 1901, nr 2.

Ordynacja Zamoyska (1906–1909)

Prawdopodobnie każdy Polak choć raz w życiu widział film *Trędowata*¹, powstały na podstawie powieści pod tym samym tytułem². W skrócie: bogaty panicz Waldemar kocha się w relatywnie biednej Stefanii, z absolutną wzajemnością. Ona jest biedna, choć pochodzi z rodziny szlacheckiej. Nazywa się Rudecka. On jest nieprzyzwoicie wprost bogaty, nosi nazwisko Michorowski, a mówi się na niego „ordynat”. To ostatnie słowo, chyba najbardziej niezrozumiałe dla widzów, ma kluczowe znaczenie dla akcji powieści.

Ordynat, to właściciel ordynacji, czyli niepodzielnego majątku. W jej skład wchodziły nie tylko gospodarstwa rolne, ale również związane z nimi wszelkiego rodzaju przedsiębiorstwa. Innymi słowy, ordynacja to była zazwyczaj wielka, wielopodmiotowa firma, niełatwa w zarządzaniu, mająca przy tym swoje tradycje, zwyczaje i prawa.

Najważniejsza zasada stanowiła, że ordynacji nie wolno było podzielić między potomstwo ordynata czy innych krewnych. Ordynat mógł być tylko jeden, w dodatku w grę wchodziła wyłącznie pleć męska. Rodzeństwo ordynata musiało więc zadowolić się perspektywą skromniejszego bytu, ale powodu do narzekania, czy raczej litości otoczenia nad ich losem nie było. Już szybciej słabsze pośród nich charaktery zyskiwały opinie synów (córek) marnotrawnych. Bo przecież zdobywali wykształcenie na najwyższym możliwym poziomie, zyskiwali kontakty towarzyskie niedostępne dla zwykłych śmiertelników, tudzież obycie w świecie geograficznym i tzw. wielkim, co pozwalało inteligentnym jednostkom zapewnić samodzielny i dostatni byt sobie i własnym rodzinom. Mężczyźni zwykle robili (lub nie) kariery w wojsku, polityce, kościele, rzadziej w nauce, ostatecznie zatrudniali się u ordynata na jakimś stanowisku. Część żeńska oprócz wykształcenia dostawała posag w wysokości gwarantującej dobre zamążpójście. Na koniec, w razie niepowodzeń życiowych, ordynacja służyła członkom rodu obojga płci jako szpital, przytułek czy dom spokojnej starości – zawsze w warunkach ponadstandardowych, a że żyli na drugim/trzecim planie, bądź jeszcze dalej, no to zarówno los tak chciał, jak i ich wolna wola.

Ogólnie ordynacje uczyły członków rodów odpowiedzialności za siebie i innych. Ordynat był co prawda słońcem, wokół którego wszystko się kręciło, posiadał swój kolejny numer niczym jakiś monarcha (u monarchów liczono imiona, zaś u ordynatów numery następstwa), ale odpowiednio świecić musiał. Jeśli tego nie robił, narażał się na prawne ubezwłasnowolnienie – dla dobra ordynacji. Toteż ordynat Michorowski, gdy sobie upatrzył Stefcie na towarzyszkę życiową, społecznie dla jego sfery trędowatą, musiał liczyć się z oporem rodziny.

¹ *Trędowata*, film, scen. Stanisław Dygat, reż. Jerzy Hoffman, muz. Wojciech Kilar, Polska 1976.

² H. Mniszkówna, *Trędowata*, Kraków 1909.

Ordynacje miały jedną wspólną cechę. Nieodrodną wiązały się z konkretnymi obszarami na mapie, widocznymi nawet w dużych podziałkach, np. z kosmosu. Bo ordynacja to obszar ziemi, na którym znajdują się wsie, miasta, fabryki, pola, łąki, lasy itd. I o ile nieruchomości ręką człowieka czynione ulegają zmianom (powstają, nikną), to ziemia, podstawa ordynacji, pozostaje.

Ordynacji w Królestwie Polskim nie było wiele: Radziwiłłów, Myszkowskich i Zamoyskich. Nieco innego rodzaju, niż kapitałowo-gruntowa, była ordynacja zarządzająca muzeum i biblioteką Czartoryskich, utworzona w 1897 roku. Czytelnicy powieści i widzowie filmu (z ekranizowano ją w okresie międzywojennym) mieli więc niewielkie pole do domysłów, kogóż to miano na myśli, opisując historię delikatnej Stefci, co jej miejsce zajęła odporniejsza życiowo bankierówna. „Idź złoto do złota” – powiedział w legendzie rodowej Skarbek z Gór i to się w praktyce sprawdzało najlepiej.

Warto wiedzieć, że wszystkie dzieła Heleny Mniszkówny, łącznie z *Trędowatą*, zostały objęte przez komunistów całkowitą cenzurą w 1952 r., wycofane z bibliotek, a następnie spalone. Tak oto władza ludowa traktowała dzieła o niesprawiedliwości społecznej.

Zatrudnienie Tuliszkowskiego w przedsiębiorstwie Zamoyskich

Tuliszkowski nie miał dylematów czytelniczek powieści Mniszkówny, ponieważ gdy XV ordynat Maurycy Klemens Zamoyski (panował w latach 1892–1939) zaproponował, by podjął u niego pracę z początkiem 1906 r., niezwykle popularnej powieści Mniszkówny jeszcze nie było. Ale była ordynacja, której charakter i jej skrócone dzieje warto poznać, bo i nasz bohater musiał.

Dzieje Ordynacji Zamoyskiej

Cała fortuna rodowa wzięła się od jednego człowieka: Jana Zamoyskiego, który z mocno zamożnego szlachcica-posesjonata, ale nie magnata, pod koniec XVI w. stał się najpotężniejszym po królu człowiekiem w I Rzeczypospolitej. Zamoyskich na Lubelszczyźnie było sporo, ale tylko ten jeden wybił się, mianowicie jako poseł na sejm, następnie mówca sejmowy, wreszcie przedstawiciel stanu szlacheckiego, w opozycji do stanu magnackiego jeszcze za ostatniego Jagiellona. Jak meteor przeleciał przez Rzeczypospolitą król malowany, to jest Henryk Walezy, ale twardo osiadł na jej tronie Stefan Batory. Ten postawił na wyjątkowo zdolnego Zamoyskiego, który został wkrótce hetmanem i kanclerzem – i tak miało być do końca jego dni. Co prawda następny władca, niezbyt rozumny Zygmunt III Waza, robił co mógł, by Zamoyskiego zepchnąć ze stanowisk, ale nie udało mu się to, jak zresztą nic, za co osobiście się wziął.

Zamoyski zdobył w ciągu pracowitego życia ogromny majątek, przy czym tak kierował sprawami mienia, by tworzyły zwartą całość. Metody były czyste i nieczyste, acz skutek odniósł taki, że włości tworzyły coś na kształt udzielnego państwa. Nie byłoby to dziwne na kresach wschodnich, gdzie ziemi było wiele, a ludzi

mało, ale żyzne lubelskie zawsze należało do ziem najlepiej zagospodarowanych, więc wykrojenie z nich okazałego, zwartej obszaru przez jednego człowieka było wielką sztuką. Co ważne, Zamoyski założył Zamość, a z rdzenia majątności wykroił ordynację, by owoców życia nie przejadło bezproduktywnie jego potomstwo. Znał się na ludziach. Słusznie uczynił.

W II połowie XVII w. ordynacja, po małej wojnie domowej, przeszła do bocznej linii Zamoyskich na tle, o którym warto wspomnieć, choć w skrócie.

Ostatni z linii prostej, Jan Sobiepan Zamoyski (wnuk założyciela), co nie dał się ani Kozakom za powstania Chmielnickiego, ani Szwedom za potopu szwedzkiego, dzieci nie miał, bo w młodym wieku zachorował na chorobę wstydliwą i ta go przedwcześnie położyła trupem. Pozostała po nim piękna wdowa francuskiego pochodzenia, Maria Kazimiera, czyli Marysiénka, którą bardzo pragnął pojąć hetman Jan Sobieski. Za parę lat pojął ją, łącznie z chorobą (co i jemu skróciła życie, a nad wyraz odpornej Marysiénce nic!), choć majątku uszczknąć nie mógł. Ale ktoś te włości musiał wziąć, zwłaszcza ordynację!

Oczywiście znaleźli się chętni, ufni w stan posiadania umożliwiający najęcie siły zbrojnej tudzież w pokrewieństwo z ostatnim Sobiepanem, dające namiastkę podstaw prawnych do roszczeń. Bo pozostały po Sobiepanie dwie siostry – jedna, Gryzelda, wyszła za kniazia Jeremiego Wiśniowieckiego, a druga, Joanna, za Aleksandra Koniecpolskiego (syna Stanisława Koniecpolskiego, który był wielkim hetmanem koronnym i wybitnym człowiekiem). Książ Jeremi Wiśniowiecki jest znany powszechnie z obrony kresów przed powstańcami Chmielnickiego, zwłaszcza z *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza, a mniej z historycznej niesubordynacji, przez którą powstanie się powiodło (nie stawiał się, zresztą nie tylko on, z wojskiem prywatnym w obozie hetmana alkoholika Mikołaja Potockiego, przez co Chmielnicki zyskał przewagę i wygrał dwie pierwsze bitwy, kluczowe dla powodzenia awantury). Syn Jeremiego, Michał Korybut Wiśniowiecki, mimo wyraźnego braku zalet, ze względu na zasługi ojca został wybrany w 1669 r. na króla, był więc bezpośrednim konkurentem do tronu dla mającego podobne ambicje Jana Sobieskiego, który już był hetmanem wielkim koronnym, czyli wodzem naczelnym armii i ministrem spraw zagranicznych w jednym.

Aleksander Koniecpolski nie jest nikomu znany, acz wspomniany Chmielnicki swego czasu mówił na niego z lekceważeniem „Dziecina”, gdy przeciw niemu stanął jako jeden z trzech wodzów polskiego wojska w bitwie, która się nie odbyła, to jest pod Piławcami (na pozostałych wodzów Chmielnicki mówił z nie mniejszym lekceważeniem: „Pierzyna” i „Łacina”). Tenże Aleksander „Dziecina” Koniecpolski miał syna Stanisława, co pragnął Ordynacji Zamoyskiej.

Królem Korybutem gardził Sobieski nie tylko przez sam wzgląd na konkurencję polityczną – miał go za miernotę i głupka, co w chwili groźnych wojen z potęgą moskiewską i turecką niczego, dosłownie niczego nie przedsięwziął. Niemniej niezwykle

żywotna matka Michała Korybuta uważała, że ordynację powinna ona odziedziczyć, czyli jej syn, na którego patrzyła oczami matki, więc żadnych jego wad nie widziała. Tak czy inaczej twardo dzierżyła dobra po bracie aż do śmierci własnej w 1672 roku. Wówczas Michał Korybut zrzekł się tych dóbr na rzecz Marcina Zamoyskiego, reprezentanta bocznej linii rodowej, ale znów zgłosił militarne pretensje Stanisław Koniecpolski, który po słynnym dziadku, hetmanie Stanisławie Koniecpolskim, odziedziczył tylko imię, nazwisko i niezmiernie włości. Ordynację po prostu obrabował. Wszystkie te działania prowadzono z użyciem wojsk prywatnych. Takim to sposobem rozpętała się o ordynację mała wojna domowa, przedłużając nieszczęścia ludności miejscowej na przeciąg pokolenia (od powstania Chmielnickiego w 1648 roku).

Wreszcie Jan Sobieski, już jako król, poparł siłą państwową znanego sobie z wojen, dzielnego Marcina Zamoyskiego, by ten, zgodnie z obowiązującym prawem (takie były wyroki sądowe, bo też statut ordynacji był jednoznaczny – konieczny potomek w linii męskiej), objął niepodzielny majątek i ze średniaka stał się pierwszym w koronie bogaczem (przyległości nieobjęte ordynacją dostał Koniecpolski). Tak to wyglądało zakulisowo, bo oficjalnie musiał się w tej sprawie wypowiedzieć Sejm, *przyznając w 1674 r. prawo do ordynacji Marcinowi Zamoyskiemu, który zapoczątkował tzw. młodszą linię ordynatów. Czwarty ordynat mógł przejąć Ordynację dopiero w 1676 r. po wyparciu z jej ziem prywatnych wojsk Stanisława Koniecpolskiego, syna siostry Jana „Sobiepana” Zamoyskiego*³.

Ostatecznie należyty stan prawny wyegzekwowała szlachta lubelska, mająca dość ekscesów, a opowiadająca się za najmniejszym złem, to jest za jednym spośród siebie. Szlachta ta urządziła zbiorowy zajazd na Koniecpolskiego. Ten przegrał, bo raz, że nie stało za nim prawo, a dwa, że talenty wojskowe nie po dziadku, a po ojcu odziedziczył.

Marcin Zamoyski zapoczątkował linię ordynatów, którzy potrafili przeprowadzić majątek w postaci zwartej przez wszelkie zawieruchy dziejowe, zawsze w stanie kwitnącym. Na przełomie XIX i XX w. stan ordynacji przedstawiał się następująco: 156 folwarków podzielonych między trzy klucze ziemskie (godziszowski, księżopolski, zwierzyniecki) i tzw. administrację michałowską; pracowało w niej 36 młynów, 15 leśnictw, 14 cegielni, 3 browary, 3 wapienniki, 2 tartaki, cukrownia w Klemensowie, fabryka wyrobów drzewnych, wyluszcarnia nasion, klinkiernia i kamieniołomy. Funkcjonowała ordynacka kolejka wąskotorowa (Płoskie k. Zamościa – Klemensów)⁴.

Inżynier Józef Tuliszkowski znalazł zatrudnienie ogólnie w Ordynacji Zamoyskich, a w szczególności w Zwierzyńcu (dziś Zwierzyniec Lubelski), a konkretnie jako dyrektor Fabryki Wyrobów Drzewnych oraz organizator miejscowej ochotniczej straży pożarnej⁵.

³ G. Jędrejek, *Regulacje prawne dotyczące Ordynacji Zamoyskiej*, „Roczniki nauk prawnych” 2012, t. 2, s. 14–15.

⁴ Wikipedia.pl, [dostęp: sierpień 2023].

⁵ 30-lecie istnienia Ochotniczej Straży Pożarnej Zakładów Przemysłowych Ordynacji Zamoyskiej w Zwierzyńcu nad Wieprzem woj. lubelskiego, nakładem „Przeglądu Pożarniczego” i „Gazety Strażackiej”, Warszawa 1936, s. 1.

Dyrektor fabryki

Zwierzyniec to przykład świetnego zarządzania terenem, który obecnie ma postać m.in. Roztoczańskiego Parku Narodowego.

Zwierzyniec powstaje obok wsi Ruda, w lasach, gdzie najpierw wybudowano dworek myśliwski o wymiarach 60x14m, którego gośćmi byli nie tylko najwyżsi dostojnicy państwa, ale także królowie. Wokół dworku powstaje nowa osada Zwierzyniec, której nazwa pochodziła od założonego tutaj w końcu XVII wieku pierwszego w Polsce zwierzyńca, obejmującego dolinę Świerszcza, dzisiejsze Stawy Echo, Czarny Staw i lasy sięgające do Malowanego Mostu. Zwierzyniec ten zwany był „Parkanem”, a jego powierzchnia wynosiła 150 ha i miała obwód 3 km. W Zwierzyncu hodowano jelenie, sarny, łosie, daniela i tarpany.

Od 1806 r. stopniowo przenoszono do Zwierzynca administrację Zarządu Ordynacji Zamojskiej. Na jej potrzeby wybudowano murowane oficyny dworku, dla plenipotenty i Zarządu O.Z.

W lasach prowadzono planową gospodarkę i w XIX wieku stosowano metodę okresowo – powierzchniową, która wymagała planu urządzania lasu dla obrotu na całą kolej rębny (80-120 lat). Natomiast w okresie międzywojennym stosowano metodę kombinowaną urządzania lasu, polegającą na połączeniu: metody klas wieku i metody drzewostanowej, a plany zrębów zupełnych sporządzono na 10 lat, a przerębnych na 20 lat. Należy wspomnieć, że za Stanisława Koski Zamoyskiego prowadzono szkołę dla leśniczych typu kursowego⁶.

Zauważmy, że te ogromne połacie leśne wokół Zwierzynca i przemile jego otoczenie przetrwały nie wbrew, a dzięki planowej gospodarce leśnej, liczonej pokoleniami przez kilkaset lat.

Gospodarka leśna wiązała się też z posiadaniem tartaków. Skoro obrabiano drewno w celach handlowych, to naturalna była chęć jego dalszego przetworzenia na przedmioty użytkowe: najpierw powstała manufaktura powozów, a potem, między pożarami (tak!) browaru, likierni i gorzelni (1851 i 1875), powstała fabryka wyrobów drzewnych i posadzek (1873), która w sposób naturalny rozwinęła się do postaci fabryki mebli⁷, czy działająca nieco później w „mechanice” stolarnia produkująca wytworne powozy⁸. Oprócz tego były w Zwierzyncu zakłady mechaniczne.

Można więc powiedzieć, że Zwierzyniec był osadą, łączącą w sobie praktyczne nowinki w zakresie wiedzy i nauki z solidną wiedzą, wywodzącą się z tradycji. Łączył przyrodę z przemysłem, a też zysk z urokiem miejsca. Co zauważono.

Na przełomie XIX i XX w Zwierzyniec stał się modną miejscowością letniskową. Z myślą o letnikach i mieszkańcach urządzono park zwany ogrodem skarbowym i umieszczono w nim pomnik szarańchy przeniesiony z Hamernii. W 1905 roku definitywnie rozebrano ogrodzenie zwierzyńca myśliwskiego⁹.

⁶ <https://zwierzyniec.lublin.lasy.gov.pl/historia/>, [dostęp: sierpień 2023].

⁷ <https://roztocze.net.pl/zwierzyniec-historia/>, [dostęp: sierpień 2023].

⁸ Tamże.

⁹ <https://www.perlypolski.pl/miasta-i-wsie/historia/140-zwierzyniec/297>, [dostęp: sierpień 2023].

W takim miejscu zamieszkał Józef Tuliszkowski, jednak nie dla jego walorów krajobrazowych, a dla rozwiązania istotnych problemów społeczno-techniczno-pożarowych. Bo gdy tak czyta się o Zwierzyńcu, można by pomyśleć, że był rajem na ziemi. Po części to prawda, był. Ale też miał cały szereg przyziemnych problemów, z których jako zasadnicze jawiło się niebezpieczeństwo pożarów.

W 1905 r. w Zamościu, (...) ostatnimi czasy rozwiązano obywatelską straż ochotniczą i zorganizowano płatną straż stałą. Zakupiono tabor, konie, wozy, lecz niestety, straż skompletowano przeważnie z ludzi niewycwiczonych i niefachowych¹⁰.

Skoro w dalekim „Strażaku” o tym wiedziano, skutki działań tej straży musiały dać się odczuć na miejscu w sposób dotkliwy. Oczywiście o wszystkim dowiedział się XV ordynat, choć Zamość był z ordynacji wyłączony. Jednocześnie nie był to koniec zmian na lepsze w tamtych stronach. Postanowiono poprawić ochronę czynną przed pożarami również gdzie indziej.

Pełnomocnik ordynacji Zamoyskich złożył gubernatorowi lubelskiemu do zatwierdzenia projekt ustawy straży ogniowej ochotniczej w Zwierzyńcu¹¹.

Administracja rosyjska, niekompetencje, niepewny czas rewolucji... Potrzebny był ktoś, kto doprowadzi przedsięwzięcie do należytego końca.

Wódz strażaków

Przedsiębiorstwo pracowało własnym trybem, wszak miało cały personel zarządzający. Dyrektor był tu tylko i aż zwornikiem. Przede wszystkim zakład rozregulował się na ogólnej fali strajków i nieporządków, więc rola Tuliszkowskiego bardziej tu była dyscyplinująca, niż menadżerska. Pomyślem na uporządkowanie stosunków pracy było powołanie służby porządkowej. Tę najlegalniej można było zawiązać pod pozorem porządkowania stosunków ogniowych, bo i na tym polu zakład mocno szwankował. Tuliszkowski, który miał już wprawę w urządzaniu straży ogniowych i zarządzaniu nimi, tudzież poradził sobie z osłoną porządkową zajazdu włościańskiego, wziął się ostro do roboty. Można powiedzieć, że utworzenie wysokiej jakości Ochotniczej Straży Pożarnej przy Fabryce WYROBÓW DRZEWNYCH w Zwierzyńcu stało się jego zasadniczym zadaniem jako dyrektora. Ordynacja nie miała zamiaru żałować grosza, zwłaszcza że wybryki idących w bandytyzm grup, z którymi nie radziła sobie policja, dawały się we znaki spokojnym mieszkańcom Zwierzyńca i okolic, a mogły się okazać bardzo kosztowne dla majątku zakładowego, wszak podpalenia były wówczas plagą. Tuliszkowski niemal natychmiast po przybyciu ogłosił nabór do straży.

Zgłosili się wówczas do szeregów Straży niemal wszyscy urzędnicy, robotnicy fabryczni i innych zakładów przemysłowych oraz młodzież wiejska z pobliskich wiosek.

Straż została zarejestrowana 1 lipca 1906 roku. Kandydaci na strażaków w liczbie 120 musieli przechodzić twardą szkołę: odbywać niemal codziennie „ćwiczenia rządowe”

¹⁰ „Strażak” 1905, nr 9, s. 12.

¹¹ Tamże.

i z narzędziami, słuchać wykładów o pożarnictwie, uczyć się regulaminu, a poza tym odbywać nocne dyżury na wieży strażackiej. Po odbyciu przedwstępnego szkolenia Tuliszkowski wyeliminował 64 młodych członków Straży. Pozostali kandydaci tworzyli grono sympatyków organizacji i jej członków popierających, z których najczęściej wybierano Zarząd Straży¹².

Warto zwrócić uwagę, że niedostanie się do szeregów bojowych nie oznaczało pokazania komuś, że się do niczego nie nadaje. Tuliszkowski z kandydatów niespełniających kryteriów fizycznych stworzył grono wspierające, również pośród nich rozdzielając zadania. Można powiedzieć, że na tej zasadzie zarząd fabryki stał się tym samym Zarządem OSP.

Ochotnicza Straż Pożarna Zwierzyniecka otrzymała następującą organizację:

- 1) Oddział toporników z 12 druhów z wozem rekwizytowym i z przydziałem odpowiednich narzędzi;
- 2) Dwa oddziały sikawkowe po 10 druhów do każdej sikawki;
- 3) Oddział wodny z hydroforem, beczkowozami i wiadrami parcianymi w składzie 12 druhów;
- 4) Oddział porządkowy z 12 druhów;
- 5) Dwóch sygnalistów;
- 6) Sztab Straży (...).

Prezesem Straży był śp. Karol Czarnowski, plenipotent jenerálny Ordynacji Zamoyskiej (...)¹³.

Straż pożarna została zorganizowana i przystąpiła do działań porządkowych już w 1906 r., jednak uroczystość nadania jej sztandaru i wręczenia go przez Hrabiego Ordynata odbyła się dopiero w dniu 15 sierpnia 1907 roku. Nie było w tym żadnej opieszałości, bo zaprojektowanie i sporządzenie sztandaru, który zawsze pozostawał sprawą bardzo poważną, bo symboliczną, musiało zająć czas jakiś. Jak to zapisano jako świadectwo historyczne.

Sztandar zdobi z jednej strony rycerska postać św. Floriana, z drugiej godła Zamoyskich, zdobiące niegdyś sztandary regimentów twierdzy Zamościa¹⁴.

Już samo zakrzętniecie się energicznego człowieka wokół spraw ochrony przeciwpożarowej spowodowało jej uzdrowienie. Pożary ustały, jak ręką odjął. Odnotowano to z niejakim zdziwieniem, choć przyczynę wskazano prawidłowo, z jednym wyjątkiem: mowy być nie może o szczęśliwym zbiegu okoliczności. Ten szczęśliwy zbieg okoliczności wypracował jeden człowiek.

W pierwszych latach swego istnienia Straż Zwierzyniecka nie miała do czynienia z groźnymi pożarami, jakie nawiedzały poprzednio Zwierzyniec. Był to z jednej strony szczęśliwy zbieg okoliczności, z drugiej strony naturalny wynik przedsięwzięcia przez Komendę Straży środków zapobiegawczych przeciwko pożarom, ciągle czuwanie Straży oraz popularyzowanie

¹² 30-lecie istnienia Ochotniczej Straży Pożarnej Zakładów Przemysłowych Ordynacji Zamoyskiej w Zwierzyni nad Wieprzem woj. lubelskiego, nakładem „Przeglądu Pożarniczego” i „Gazety Strażackiej”, Warszawa 1936, s. 1.

¹³ Tamże, s. 1–2.

¹⁴ Tamże, s. 2.

przez druha inż. Tuliszkowskiego wiedzy o środkach ostrożności i sposobach tłumienia ognia w zarodku przez najbliższe otoczenie¹⁵.

Jakość tego przedsięwzięcia nie mogła być więc mierzona normami skuteczności przy gaszeniu wielkich pożarów, zresztą tego rodzaju normy są bardzo zwodnicze, a zarazem podatne na propagandę, bo przecież nie da się czasu cofnąć i z dymu zrobić z powrotem budynku. Jakość Ochotniczej Straży Pożarnej w Zwierzyńcu mierzona była inaczej, na zasadzie pokojowego porównania z innymi strażami. Tuliszkowski wspomina to tak.

(...) rozpocząłem działalność od zorganizowania tam bardzo sprawnej straży poż., złożonej z urzędników i robotników, która to organizacja na kilku konkursach otrzymywała zawsze nagrody¹⁶.

Na tym jednak dyrektor fabryki nie poprzestał, wszak cała ordynacja miała podobne potrzeby.

W latach 1906 i 1908 współpracowałem przy tworzeniu straży ochotniczych we Frampolu i w Jastkowie, przy ochronie przeciwpożarowej pałacu w Klemensowie, oraz przy reorganizacji straży w Janowie; przeprowadziłem również szereg lustracji w strażach w Szczepieszynie, Izbicy, Krasnymstawie i innych¹⁷.

Tym samym Tuliszkowski stał się niekwestionowanym liderem ochrony przeciwpożarowej w całej okolicy. Jako że praca ta szła jak z płatka, a efekty były widoczne gołym okiem, przystąpił pod patronatem ludzi możliwych do śmielszych działań organizacyjnych.

W roku 1908-m podczas wystawy rolniczej i przyrodniczej w Lublinie został zwołany zjazd miejscowych straży pożarnych. Był to pierwszy zjazd na ziemi Lubelskiej, a drugi w ogóle w Królestwie (pierwszy, połączony z zawodami był urządzony w roku 1905 w Płocku, też podczas wystawy rolniczej, gdzie wzięły udział między innymi straż szkolna z Pszczelina pod moim dowództwem, oraz fabryczna z cukrowni Mała Wieś, również zorganizowana przeze mnie). Na zjazd przybyły straż z Puław, z Krzczonowa, ze Zwierzyńca i Jastkowa. Obie ostatnie straż z taborami konnymi odbyły wspólny wjazd do Lublina, mając na czele naczelników swych, t.j. mnie i barona Bukshewdena, którzy jechali konno w otoczeniu sztabu¹⁸.

Konno, w otoczeniu sztabu, na czele oddziałów... Nie obyło się więc bez zatargu z administracją carską, widzącą wszędzie zarzewia powstań zbrojnych.

Ten wjazd po głównych ulicach miasta, odbyty „konno, ludno i zbrojno”, wzbudził popłoch wśród moskiewskich władz i ówczesny gubernator, Menkin, zawezwał obu naczelników do tłumaczenia się. Ostre postawienie się ich o mało nie spowodowało aresztowania. Dobrze, że ćwiczenia pokazowe straży, biorących udział w zjeździe, odbyły się przedtem i rozkaz rozwiązania zjazdu trafił w próżnię¹⁹.

¹⁵ Tamże.

¹⁶ J. Tuliszkowski, Wspomnienia, „Lubelska Gazeta Strażacka” 1932, nr 10, s. 92.

¹⁷ Tamże.

¹⁸ Tamże.

¹⁹ Tamże.

Zakres zajęć Tuliszkowskiego nie obejmował wyłącznie działań organizacyjnych. Nie zapominajmy, że był inżynierem i konstruktorem. Pracę podjętą w tym zakresie w Warszawie kontynuował na mniejszą skalę w Zwierzyńcu.

W tym okresie zajmowałem się również ulepszeniem narzędzi pożarniczych i metod szkolenia: w Zwierzyńcu została udoskonalona sikawka przenośna przez połączenie zaworów i zastosowanie ruchomego zwijadła, składana tarcza azbestowa i pierwszy wóz pogotowia oraz opracowana była dla straży ochotniczych sygnalizacja gestowa.

W 1909 r. na zaproszenie hr. Potockiego i ks. Sanguszkii byłem delegowany przez Ordynację na lustrację straży do Antonin i Szepetówki oraz na konferencję straży poż. do Częstochowy²⁰.

Rok 1909 był ostatnim rokiem zatrudnienia Tuliszkowskiego w ordynacji. Rozstał się w pokoju, z dobrymi wspomnieniami i dobrze wspominany jeszcze przez trzy dekady. W rozstaniu, tj. podjęciu pracy ponownie w Warszawie, okazała się pomocna pewna książka.

Poradnik *Walka z pożarami* (1909)

Praca w Zwierzyńcu była brzemienną w jeszcze jeden skutek z zakresu ochrony przeciwpożarowej – Tuliszkowski postanowił spisać swoje doświadczenia, by w oparciu o nie dowolni ludzie dobrej woli (i o odpowiedniej sile sprawczej, co dotyczyło raczej ludzi zamożnych) mogli zatroszczyć się o ochronę przeciwpożarową własnego otoczenia, w tym włościan. Ludzie dobrej woli znajdowali w otoczeniu chętnych do działania, tylko, jak to mógł się Tuliszkowski niejednokrotnie przekonać, miewali wiele dobrych chęci, niestety – nie wiedzieli jak. On wiedział jak, co udowodnił najlepiej dodatkową działalnością w Zwierzyńcu, czyli zakładaniem straży ognio- wych, czego w kontrakcie dyrektora fabryki nie było. Wielokrotnie namawiano go więc, skoro tyle wie, by podzielił się wiedzą z innymi. Bo zasadniczo do tej pory nie powstało ani jedno grubsze od pojedynczego artykułu opracowanie, wszechstronnie ukazujące problemy ochrony przeciwpożarowej obszarów wiejskich i sposoby ich rozwiązania. Tuliszkowski ustąpił. Jak to sam napisał:

W 1906 r. rozpocząłem w Zwierzyńcu opracowywanie książki pt.: „Walka z pożarami”, którą ukończyłem w 1909 roku²¹.

Niewątpliwie dzieło Zagórskiego było tu pierwowzorem, podobnie jak dzieła Szczerbowskiego, które ukazały się niemal w komplecie, jednak Tuliszkowski stworzył zupełnie inną jakość. Książka Zagórskiego była o zawodowej straży pożarnej, wobec tego wyłącznie do jej zakresu działania się odnosiła, tj. problemów działania w – bądź co bądź – dużym mieście. Książki Szczerbowskiego omawiały różne problemy, gdzie – z uwagi na ilość tomów – trudno było o wytworzenie sobie oglądu całości, przy czym wionęły nieco biurokracją i nadmiernym teoretyzowaniem.

²⁰ J. Tuliszkowski, *Wspomnienia*, „Lubelska Gazeta Strażacka” 1932, nr 10, s. 92.

²¹ Tamże.

Tuliszkowski stworzył nie tyle podręcznik o ochotniczych strażach pożarnych dla obszarów wiejskich, co już by znacząco różniło jego pracę od książki Zagórskiego, ale też coś znacznie szerszego, zresztą odpowiadającego tytułowi *Walka z pożarami...* Od opracowań Szczerbowskiego różniła się jego praca tym, że całość zagadnień znalazła się w jednej publikacji i była znacznie konkretniejsza w wymowie.

Oczywiście, jak ktoś odczyta sobie jako walkę z pożarami wyłącznie akcje gaśnicze, to jego sprawa. Przecież Tuliszkowski walczył w książce z pożarami, zanim one wystąpiły, podając na to szereg recept, w szczególności budowlanych, ale nie tylko. Tym samym jego poradnik ma charakter pionierski. Po skończonej pracy, w styczniu 1909 r. napisał:

*Na prośby znajomych strażaków oraz osób zamierzających w przyszłości oddać się organizowaniu straży ogniowych, dziełko to napisałem, posilkując się w części doświadczeniem kilkunastoletnim, jakie nabyłem jako czynny członek kilku straży ogniowych wiejskich, fabrycznych i miejskich, oraz czerpiąc niektóre wiadomości i dane z wykazanych na końcu książek poświęconych pożarnictwu i budownictwu*²².

Tak oto powstała nakładem autora niemała – bo licząca 243 stron – publikacja zwarta pt. *Walka z pożarami dla użytku miast mniejszych, gmin, dworów i osad*. Zapoznajmy się z tym dziełem, wykładającym kompleksowo całkiem złożoną materię w sposób prosty i przyswajalny, a przy tym możliwy do zastosowania, jako rzadki w dziejach przypadek nie tyle zbioru dobrych rad, odsyłających do przepisów czy instrukcji, ale faktycznych wskazań, co i jak zrobić. I może najważniejsze: szczególnie w zakresie zapobiegania pożarom wartość poradnika jest tym większa, że owo zapobieganie daje znacznie więcej korzyści niż same tylko przeciwpożarowe. Praktycznie rzecz biorąc, chodzi autorowi o to, by przy niewielkiej zmianie zapatrywania na sprawy ogólne i socjalno-bytowe zyskać solidną ochronę przeciwpożarową. Jaka szkoda, że myśl ta została zapomniana i od stu lat wszelkie przepisy przeciwpożarowe służą raczej same sobie. Są pożyteczne, tu nie ma dyskusji, ale nie niosą ze sobą wartości dodanej, jak to sprytnie proponował Józef Tuliszkowski, czyli tej części przekonania, że zysk z ich stosowania będzie dotyczył dnia powszedniego, a nie tylko przypadku pożarowego, co zdarza się raz na całe życie.

Struktura poradnika

Autor głęboko przemyślał sobie, co ma do powiedzenia. I niczym dobry lekarz, który ma zamiar zwalczyć chorobę, wyjaśnił, na czym ona polega, jak jej skutecznie zapobiegać, a dopiero na koniec dał receptę, jak ją leczyć. Zresztą posłużył się w tym celu terminologią medyczną. Przecież wiadomo, czego od niego żądano – recepty wyłącznie na leczenie objawów. Nie zgodził się na to, bo w wielu chorobach nawet zażegnanie objawów nie oznacza wyleczenia. Ba! Nader często bywa, że zaleczony pacjent nadal zaraża.

²² J. Tuliszkowski, *Walka z pożarami dla użytku miast mniejszych, gmin, dworów i osad*, Warszawa 1909, s. 3.

Dzieło składa się z dwóch części zasadniczych. Pierwsza część to *Zapobieganie pożarom*, część druga to *Gaszenie pożarów*. Szkoda, że nie umieli tego dostrzec twórcy przepisów przeciwpożarowych od czasów Tuliszkowskiego, po współczesne. Wystarczyłoby bowiem tak właśnie, w tej kolejności nazywać części ustaw, by wszystko robiło się proste i czytelne już w założeniach pierwotnych, by następnym pokoleniom użytkowników i urzędników ustawiało sposób myślenia w naturalnym porządku rzeczy. Niestety, nigdy ugrupowania strażackie nie lubiły zbyt głęboko pochyłać się nad niewdzięcznymi w swej istocie zagadnieniami zapobiegania pożarom, nigdy też tej trudnej dziedziny nie chcieli propagować zapalenicy akcji gaśniczych. Jasno należy tu powiedzieć – kto nie zapobiega pożarom, ten nie powinien mieć żadnego głosu w sprawach ochrony przeciwpożarowej, gdyż swoją ignorancją przyczynia się albo do opóźnień, albo do nieskuteczności działań, a im wyższe piastuje stanowisko, tym więcej szkód przynosi.

W ówczesnej rzeczywistości, gdy pożary masowe były plagą, również nie brakło entuzjastów koncentrowania głównych wysiłków ratowniczo-gaśniczych na bezproduktywnym w większości przypadkach laniu wody. Tuliszkowski zdawał sobie z tego sprawę doskonale, dlatego przytłoczył potencjalnych zapaleńców danymi na temat zapobiegania pożarom, dalej o sprzęcie pożarniczym, taktyce walki z pożarami, a dopiero w ostatnim rozdziale podał praktyczne sposoby na założenie ochotniczej straży pożarnej.

Część zapobiegawcza jest ponad dwukrotnie krótsza (74 strony) od części interwencyjnej (154 strony) – to również dowód na to, czego od Tuliszkowskiego żądano i oczekiwano. Oczywiście z części interwencyjnej dałoby się wyodrębnić część organizacyjną ochotniczej straży pożarnej, co w skład taktyki gaszenia pożarów nie wchodzi. Zresztą znajdziemy w podrozdziałach taktycznych próby uczynienia z OSP ośrodka wiedzy pożarniczej, z czynnym propagowaniem budownictwa ogniotrwałego. Jednak autor uważał, że wszelkie czynności związane z działalnością OSP sprowadzają się do interwencji na wypadek pożaru, więc powinny znaleźć się w części *Taktyka pożarna*.

Charakterystyczny dwupodział ochrony przeciwpożarowej znajdziemy w dalszej działalności Tuliszkowskiego, z konsekwencją w postaci wielotomowego dzieła życia, którego początki właśnie omawiamy. Bo z raz przyjętej struktury, pokazanej wyżej, już do końca życia nie zrezygnował, tylko ją uzupełniał, aż do rozmiarów dzieła monumentalnego, które w całości, niestety, nigdy nie zostało wydane.

Uważne przyjrzenie się tytułom głównych rozdziałów dzieła daje wiele do myślenia, więc zachęcam czytelnika do przeanalizowania całego spisu treści. Poniżej omówimy szczegółowo kilka wybranych rozdziałów. Niektóre omijamy, bo będą w dalszej twórczości autora omówione szerzej i lepiej, więc przypatrzymy się im w swoim czasie. Wybieramy zaś ciekawostki, którym nikt raczej się nie przyjrzy z własnej woli, a wyjaśniają bardzo dużo. Na przykład tyle przecież będzie mowy o samorządach, tyleż pięknych słów im Bolesław Chomicz poświęcił, więc wiemy,

że samorządność dobrą jest. Od Tuliszkowskiego dowiemy się czegoś więcej w tym temacie, np. jakie praktyczne korzyści dawało powołanie przez chłopów spółki, dajmy na to – budowlanej.

Ściany ogniotrwałe

Spośród wielu rozdziałów warto dowiedzieć się, w jaki sposób Tuliszkowski proponował odejść od stosowania drewna w budownictwie wiejskim na rzecz ścian – jak je nazywał – ogniotrwałych. Oto co wiedzano o takich ścianach w 1909 roku.

a) *Na ściany budynków najlepsze materiały są kamienie naturalne i sztuczne.*

Pierwsze w postaci granitu spotykamy na polach w dużych i mniejszych kamieniach bardzo twardych. Większe sztuki rozsadza się zwykle prochem na mniejsze, zdatne na mur. Najlepsze są te kamienie na fundamenta.

Oprócz tego spotykamy często wapniak bardzo miękki i łatwy do obróbki. O ile w wapniaku zawartość wapna jest znaczna, nie jest on dobry na ściany domu mieszkalnego, wciąga bowiem znacznie wilgoć z powietrza i ziemi i tem czyni mieszkanie wilgotnem i niezdrowem. Jednym z lepszych kamieni jest piaskowiec: bo łatwo daje się obrabiać, a ściany z niego są suche.

Mury z kamienia naturalnego budować jest trudniej, bo obróbka ciężka i układanie muru z różnych wielkości i form jest żmudne.

b) *Praktyczniej jest wytwarzać kamienie sztuczne o jednakowych i łatwych do układania kształtach.*

Z tych najczęściej używana jest ogólnie znana cegła. Tam, gdzie gliny jest dosyć i opał nie drogi, można mieć mury z cegły tanio. Kilka wsi może na spółkę założyć cegielnię i nie tylko z niej korzystać, stawiając swoje budynki, ale i ciągnąć zyski, sprzedając cegłę sąsiadom. [podkr. PR]

c) *W wielu okolicach, szczególnie u nas w Polsce, wszędzie prawie jest u nas pod dostatkiem piasku; otóż wskazaniem jest budowanie chat, a również zabudowań gospodarskich z mieszaniny wapna z piaskiem. (...)*

Budowlę z mieszaniny piasku z wapnem wznosimy albo przygotowując zawczasu z niej cegły, lub wprost ubijając ściany całemi warstwami w odpowiednio urządzonych formach. Formy na cegłę piaskową używa się często większe, niż na zwykłą z gliny, a to w tym celu, aby szybciej i łatwiej można z niej było wznosić budowle. A przytem cegła piaskowa nie potrzebuje wypalania i schnie szybko, więc jej rozmiary mogą być większe. (...)

Piasek na taką mieszaninę winien być stosunkowo czysty, i o ile można gruby, bez domieszki mulku. Jeśli tego ostatniego jest znaczna zawartość i piasek jest wogóle nieczysty, lepiej jest przemyć piasek w wodzie. Wapno winno być brane tłuste i czyste. Im piasek grubszy i czystszy, a wapno tłustsze, tem mniej wapna wychodzi. 1 miara wapna wtedy wystarcza aż na 15 miar piasku.

Przy drobniejszym piasku i nieczystem a chudem wapnie na 1 miarę wapna idzie nieraz tylko 6 miar piasku. (...)

Mieszaniny przygotowuje się tyle, aby ją całą w tym samym dniu dało się wyrobić czy to na cegły, czy na ściany, bo na drugi dzień traci ona już swoją własność wiążącą.

Jeden z praktyków podaje przepis mieszaniny z domieszką smołowca i sody, które mają tę własność, że mur z tej mieszaniny szybciej i tężej krzepnie i nie lęka się tak wilgoci (...)²³.

Oczywiście autor podał metody robienia form, proporcje mieszanek, sposoby zestawiania cegieł, a w istocie bloczków. Jest to konkret, którego uczył potem na wykładach w szkołach rolniczych i w czasie kursów dla rolników.

Materiał ogniotrwały na dachy

Znów jako ciekawostkę przytoczmy fragmenty rozdziału, dotyczące wyrobu dachówki cementowej. Tuliszkowski rozwijał te myśli i publikował je w formie większych artykułów m.in. w założonym przez siebie „Przeglądzie Pożarniczym”. Tu po raz pierwszy pokazał, że prowadzenie spółki przez gospodarzy wiejskich pomoże im uzyskać odporność dachów na ogień lotne tanim kosztem, bo z zastosowaniem robocizny własnej i posiadanego piasku. Kupić należało tylko cement i maszyny – do czego właśnie potrzebna była spółka, bo były zbyt drogie dla jednego inwestora wiejskiego.

Najpraktyczniejszym dotychczas pokryciem dachu okazała się dachówka wypalana z gliny [obecnie nazywana ceramiczną – PR], z powodu trwałości i odporności na ogień.

a) Najlepsza dachówka jest t. zw. marselska żłobkowana, szczególnie przystaje jedna do drugiej i jest stosunkowo lżejsza od t. zw. holenderskiej i karpiówki, i nie wymaga tak silnego wiązania, jak ta ostatnia. Tylko cena jej nie jest niska: 1000 sztuk dobrej dachówki kosztuje na miejscu w fabryce od 40 do 50 rb. a do tego przewóz, podczas którego część dachówki zawsze się tłucze. Korzystać więc z niej mogą tylko mieszkańcy osad sąsiednich z fabrykami.

b) Jak ściany budowli są dobre z piasku, tak również i dachówka z tegoż materiału z cementem zyskuje sobie coraz większe uznanie i rozpowszechnia się coraz więcej. Dachówka cementowo-piaskowa ma wiele zalet: jest odporna na ogień, trwała, wytrzymała na mróz i gorąco; daleko tańsza od dachówki glinianej i łatwiejsza znacznie do wyrabiania, nie wymaga bowiem żadnych urządzeń ani pieców, jak to jest koniecznym dla dachówki glinianej, jest przytem lżejsza od niej, więc nie potrzebuje tak silnego wiązania (...)

Piasek do tego wyrobu używa się bardzo czysty bez mulku przerafowany. Piasek ten, mierzamy z cementem, który powinien być dobrego gatunku t. zw. Portlandzki. Na 3 części piasku używa się 1 część cementu. Przerabiamy na sucho dobrze całą mieszanicę, od dokładnego bowiem wymieszania zależy dobroć wyrobu. Następnie dolewamy niewielką ilość wody. (...)

Forma dachówki najlepsza jest prostokątna żłobkowana z podwójnymi falcami bocznymi, zabezpieczającymi od zacieków. (...)

Maszyna do wyrobu dachówek służąca, składa się ze skrzyni formowej, przytwierdzonej do mocnego stołu, na dnie której włożona jest żelazna podkładka. Spoczywa ona na czterech trzpieniach, regulujących grubość dachówki i może być za pomocą pedału podnoszona. Nad skrzynią na wspólnym wálku obsadzone są 2 ramy ruchome. Jedna — obcinacz, służy do obcinania brzegów dachówki, druga grzebieniowa, do wyrobu szczytowego grzebienia.

²³ J. Tuliszkowski, *Wálka z pożarami...*, s. 17–18.

Do maszyny należą jeszcze narzędzia: kielnia, młotek płaski do ubijania masy, strychulec i linijka do grzebienia szczytowego. Oprócz tego potrzeba jeszcze paręset żelaznych podkładek.

Ponieważ robotnik z pomocnikiem chłopcem, może wyrobić dziennie około 160-180 dachówek, a dachówka każda winna spoczywać w ciągu jednego do dwóch dni na podkładce, zatem tych być winno 300-400 sztuk.

Rozpoczynając robotę regulujemy 4-ma śrubami grubość dachówki i smarujemy oleonaftą części maszyny stykające się z masą oraz na początek 30-40 podkładek. Po włożeniu do formy podkładki napelniamy ją szczelnie zapomocą kielni i mocno młotkiem ubijamy, i strychulcem nadajemy powierzchnię żłobkowaną. Potem przez sitko posypujemy czystym cementem lub jeszcze lepiej z dodaniem farby i jeszcze raz przeciągamy strychulcem, od czego dachówka przyjmuje powierzchnie barwną i gładką z połyskiem (glazurą). Potem opuszczamy podniesione dotychczas ramy, obcinacz i ramę do robienia grzebienia, napelniamy szparę tej ostatniej masą i ubijamy. Dla lepszego związania grzebienia z dachówką poruszamy i dziobiemy masę teje kielnią przez szparę i dopiero wtedy formujemy i ubijamy grzebień. Poczem podnosimy ramę grzebieniową ostrożnie przytrzymując linijkę, aby nie uszkodzić grzebienia. Wyjmujemy dachówkę naciskając pedał nogą a ręką lewą przytrzymując ramę-obcinacz, przez który dachówka przechodząc dostaje równo obcięte kanty.

Dachówkę świeżą wraz z podkładką chłopak układa na półkę pod szopą. Włożywszy do maszyny nową podkładkę dalej czynimy to samo. (...) Dachówka na półkach leży 1-2 dni; poczem zdejmuje się ją ostrożnie z podkładek lekko postukując w nie od spodu i ustawia się sztorcem w szeregu na podłodze lub deskach, opierając na listewkach. Polewa się ją dwa razy dziennie przez sitko wodą w ciągu tygodnia, aby cement stwardniał; czynić to należy pod szopą w cieniu. Po 6-ciu tygodniach dachówka jest już zdatna do użyciu i przewozu²⁴.

Po przeczytaniu tego opisu trudno oprzeć się wrażeniu, że technika wyrobu dachówek cementowych, zaproponowana przez Tuliszkowskiego, przyjęła się powszechnie na polskiej wsi, ale dopiero w okresie powojennym. Autor w rodzinnych stronach (Rawskie w Mazowieckiem) widział bardzo dużo budynków krytych taką właśnie dachówką, mających się dobrze jeszcze w końcu XX wieku. Można ją również napotkać w skansenach, gdyż chętnie wymieniano pokrycie słomiane na dachówkowe, oczywiście stosując najtańszy jej wariant – cementowy.

Jednocześnie, broniąc ogniotrwałości dachów, czy raczej zwalczając ich łatwą zapalność, Tuliszkowski zbijał również takie argumenty, jak zwiększona masa dachu przez pokrycie ogniotrwałe.

Mniemanie rozpowszechnione u nas, że dach z dachówki jest za ciężki na zwyczajne budynki wiejskie, jest mylne, gdyż jeżeli zważymy grube często strzechy naszych chat, szczególnie gdy są namoknięte, przekonamy się, że ważą więcej od każdego innego dachu. Dla porównania warto przytoczyć wagi porównawcze różnego rodzaju dachów, wraz z wliczeniem

²⁴ Tamże, s. 28–29.

już wagi krokwi, lat i desek [warto zapoznać się z poniższą tabelą również z tego powodu, że autor podaje masę przykrycia dachowego w trzech różnych miarach – tradycyjnej polskiej, rosyjskiej oraz nowej, metrycznej – PR]²⁵.

Tabela 1. Średnie wartości wagi różnych rodzajów dachu

Rodzaj dachu	Średnia waga dachu		
	Funtów na 1 łokieć kwadrat.	Pudów na 1 sążeń kwadrat.	Kilogram, na 1 metr kwadrat.
Dachówka płaska	82	28	102
Dachówka holenderska	62–73	22–25	76–90
Dachówka marselska	58	20	70
Tektura smołowcowa (papa)	28	8	30
Gruba strzecha słomiana namoknięta	70	24	85
Słoma bez gliny	50	17	61
Słoma z gliną	61	21	75
Dachówka cementowo-piaskowa	29–44	10–15	35–54

Źródło: J. Tuliszkowski, *Walka z pożarami...*, s. 35.

Utrzymanie budynków we właściwym stanie

Trudno oprzeć się wrażeniu, że Tuliszkowski mocno wiązał ochronę przeciwpożarową budynków z ich stanem technicznym oraz z ogólnym ładem w obejściu i zagrodzie. Można to również wnioskować z rozdziału *Podtrzymywanie budynków*. Zatem ochrona przeciwpożarowa jest elementem ogólnej kultury, zapobiegliwości i pracowitości. Bonusem jest tu tabela opłat ubezpieczeniowych (asekuracyjnych) – zauważmy, że obowiązkowych. Poza tym, trzeba przyznać, dawane rady są uniwersalne.

Pierwszym warunkiem utrzymania budowli w dobrym stanie, jest naprawianie ich natychmiast bez odkładania, jak tylko zauważymy najmniejsze uszkodzenie, szczególnie baczna uwaga zwracając na utrzymanie w dobrym stanie dachów. Przez wczesne zarządzenie złemu zapobiegnie się większym stratom, przez zapuszczenie i niedbalstwo wynikłym.

Z obawy przed ogniem należy pilnować i często oglądać czy piec lub komin na strychu nie pękł, tynk nie opadł, na strzesze glina nie splukana, nie zamulił się ściek i zaraz glinę nalepiać, pęknięcia tynkować, ścieki czyścić. Zwłaszcza przed zimą i na wiosnę, dbały gospodarz szczególnie obchodzi wszystkie kąty swej zagrody i baczne na wszystko zwraca spojrzenie. Im lepiej gruntowniej odrazu były postawione budynki i wszystko dokładnie koło zagrody zrobiono, tem mniej potem mamy z tem wszystkim kłopotu, bo mniej się wszystko psuje.

²⁵ J. Tuliszkowski, *Walka z pożarami...*, s. 35.

Prawda, że od razu wyłożyć więcej grosiwa jest trudno, ale to sownie się opłaci: raz, że nie będą potrzebowały porządnie postawione budynki ustawicznych żmudnych i kosztownych nieraz łatanin; powtóre – podczas pożaru człek nie zostanie bez chleba i dachu nad głową; a po trzecie, stawiając ogniotrwale budynki, mniej rocznie będzie za ich ubezpieczenie płacił. Towarzystwa asekuracyjne, a szczególnie działające u nas obowiązkowe ubezpieczenie od ognia, pobierają tem mniejszą opłatę, im więcej odporne na ogień są budynki i mniejsze jest ryzyko dla nich. A ubezpieczenia od ognia, jak już wiemy, były obowiązkowe, a w przypadku palnych ścian i niezabezpieczonych od ognia strzech lub gontów gospodarz musiał wysupłać corocznie wartości nie promilowe, a procentowe sumy ubezpieczenia.

Studnie, sadzawki i stawy

I znów, jak przy innych elementach ochrony przeciwpożarowej, Tuliszkowski sugeruje, że istnieje ona nie jako cel sam w sobie do wykorzystania raz na pokolenie, gdy ratuje dorobek życiowy, ale przy okazji innych, codziennych korzyści. Przecież świeża woda to podstawa zdrowia i bytu. A gdy trochę wokół tej wody poczynić dodatkowych zabiegów, to i pożar można z jej pomocą ugasić. Przede wszystkim robi się te studnie, sadzawki i stawy dla potrzeb bytowych... I to tu, to tam zdarza się zdanie wtrącone jakby mimochodem: to otwór na wąż ssawny, tam dojazd dla sikawki, ówdzie kądź na wodę na terenach suchych, bo woda się przydać może do podlewania roślin...

Studnie najczęściej budujemy drewniane, rzadko murowane. Do studzien głębokich należą artezyjskie, złożone z rur żalaznych, do płytkich zaś t. zw. abisyńskie.

Najczęściej u nas budują studnie, dając po rogach 4 słupy pionowe 8" x 8" i okładając dokoła nich z grubych czterocalowych bali zw. cembrowinę. Ta winna być możliwie szczelną, aby do studni nie mogła się dostać woda deszczowa, ani z koryta, ani z kałuży obok, zanieczyszczonej zwykle nawozem pojonego przy studni bydła. W tym celu też koniecznem jest wybrukować lub dobrze ubić gliną wzgórek, który dokoła cembrowiny studni usypiemy i dać ściek od koryta do pobliskiego rowu.

Dobrze jest zrobić u spodu cembrowiny tuż przy ziemi otwór na cali 6" — 8" zatykany szczelnie deseczką, aby ułatwić ssanie sikawką wody ze studni w czasie pożaru, bo wtedy smok sięgnąć może głębiej, niż gdyby był przez krawędź studni wpuszczony.

Drewniane ocembrowanie studni jest jednak niepraktyczne i niezdrowe, ponieważ drzewo gnijąc zaraża wodę, a woda pełna zgnilizny ujemnie wpływa na stan zdrowia mieszkańców. Studnie takie przytem wymagają nieraz kosztownej naprawy i zamiany zgniłych cembrowin na nowe.

Daleko lepsze i pod względem zdrowia i trwałości jest ocembrowanie stadni wyrobione z cementu i piasku. Jak cegłę i dachówkę piaskowo-cementową, tak i ocembrowanie studni wyrabiamy za pomocą specjalnych form²⁶.

²⁶ Tamże, s. 52.

Oczywiście, jak już wiemy, dobrze jest w tym celu założyć spółkę, by cała wieś mogła korzystać z jednej formy i wyrabiać sobie cembrowiny.

Studnię warto zadaszyć i wyposażyć w stałą pompę ręczną.

Korzystnie jest założyć staw, jeśli jest tylko w pobliżu jakaś rzeczka. Można hodować ryby: karpie, liny, w ostateczności karasie, a raz na kilka lat wybrać muł i mieć nawóz na pola.

W największe posuchy, kiedy nieraz wszystkie studnie wysychają, mamy w stawie zapas wody, zdatnej do użytku gospodarskiego, dla pojenia bydła, do prania, kąpeli i t.d.

Podczas pożaru ogromne usługi ten zbiornik okazać może i tylko należy zrobić dobry dojazd dla sikawek i beczek i pomost nieduży z brzegu, aby wygodnie wodę było czerpać do beczek, a jeszcze lepiej stałą pompę urządzić²⁷.

Nie ma rzeczki, to może jest jakieś zagłębienie terenu w pewnym oddaleniu od zabudowy? Wtedy kopimy sadzawkę.

Mają one [sadzawki – PR] wielu przeciwników, twierdzących, że woda łatwo się w nich psuje i że są wtedy rozsodnikami woni i chorób. Otóż przy odpowiednim utrzymywaniu sadzawek, zbiorniki te można uczynić nie tylko nieszkodliwymi, ale i pożytecznymi. Przede wszystkim sadzawkę należy wykopać opodal mieszkań, gdzieś za opłotkami, wybierając jednak na nią miejsce blisko przejazdu z łatwym dostępem, co szczególnie jest koniecznym podczas pożaru²⁸.

Bywa jednak teren niesprzyjający budowie stawów, a nawet sadzawek. Ale żyją tam ludzie, mają swoje gospodarstwa, które wcześniej czy później pożar nawiedzi. Są sposoby i na to.

Po osadach i wsiach leżących na wysokich płaszczynach, na których wykopanie sadzawki lub stawu przedstawia nieraz wiele trudności, a gdzie studnie są bardzo głębokie, niezbędnym jest urządzenie zbiorników²⁹ — kadzi służących do przechowywania zapasu wody na wypadek pożaru.

W miejscowościach biednych w wodę należy ją zbierać skrzętnie. Jeżeli mamy przy dachu rynny, to dobrze jest podstawić pod nie beczki, aby woda ściekała w nie. Zalecić też można trzymanie beczki z wodą na strychu na wypadek pożaru. Pilnować tylko trzeba, aby woda za długo w beczkach nie stała i nie psuła się.

Tak zaopatrzone zagrody i wsie w wodę zawsze będą mogły skutecznie walczyć z pożogą³⁰.

Roślinność jako środek przeciwpożarowy

Nie było pomysłem Tuliszkowskiego sadzenie roślinności jako barier przeciwpożarowych. Bardzo jednak ten sposób zalecał, rozwijając go latami. Pierwsze wspomnienie o tym na ziemiach polskich należy do, co trzeba przyznać, zaborcy. Oto w numerze 2 „Strażaka” z 1901 r. ukazało się ogłoszenie następującej treści.

²⁷ J. Tuliszkowski, *Walka z pożarami...*, s. 56.

²⁸ Tamże, s. 58.

²⁹ Tamże.

³⁰ Tamże, s. 59.

Pozostający pod najdostojniejszym Przewodnictwem J. C. W. Wielkiego Księcia Włodzimierza Aleksandrowicza, Komitet Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa pożarniczego, rozpisuje Konkurs na ułożenie popularnego przewodnika w przedmiocie zaprowadzania plantacji drzewnych po wsiach, osadach i miastach, w celach przeciwpożarowych. Warunki konkursu:

- 1) Utwory powinny być napisane w języku rosyjskim i opracowane, zgodnie z ułożonym przez Osobną Komisję programem.
- 2) Za pracę odpowiadającą warunkom konkursu, naznaczono dwie nagrody: pierwsza 300 druga 200 rubli.
- 3) Przysądzenie nagród ma nastąpić na zasadzie orzeczenia Osobnej Komisji ekspertów, złożonej z specjalistów, wybranych przez Radę Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa pożarniczego.
- 4) Prace nagrodzone wydrukowane zostaną przez Radę w liczbie dowolnej, poczem dalsze wydania zostają własnością autorów.
- 5) Ostateczny termin do prac, naznacza się na dzień 14 maja 1901 roku do godziny 1 p. poł.
- 6) Prace należy nadsyłać do Rady Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa pożarniczego, St. Petersburg, Dworcowa nab. 22, w kopertach zamkniętych pod godłem lub dewizą, z drugą takąż zamkniętą kopertą, zawierającą imię i nazwisko autora.
- 7) Nazwiska osób, które uzyskają nagrody, podane zostaną do wiadomości powszechnej za pośrednictwem tych samych gazet, w których konkurs ogłoszony został³¹.

Nic nie wiadomo o tym, by Tuliszkowski przystąpił do tego konkursu, bo też „Strażak” nie ogłosił listy zwycięzców – widocznie Polaków wśród nich nie było. Możliwe, że żaden Polak nie wziął udziału w tym przedsięwzięciu, mimo spodziewanego, sporego zysku. Wcale nie przez konieczność pisania w języku rosyjskim – tę umiejętność posiadali ludzie wykształceni. Po prostu w Królestwie Polskim brakowało znawców tematu. Bo też polityka władz była całkowicie dwulicowa na terenie zaboru. Z jednej strony władze gubernialne nie pozwalają na zakładanie przez Polaków straży pożarnych, z drugiej władze naczelne pozwalają na ogłoszenie w gazecie konkursu o drzewach, będących ochroną przed pożarami. Niewiele wcześniej zaprowadzają przymus ubezpieczeniowy od ognia, a jednocześnie pozwalają na budownictwo wbrew podstawowej wiedzy z zakresu pożarnictwa, jakby chciały, by kraj ustawicznie pogrążony był w klęsce pożarów masowych.

Tym razem udziału w konkursie nie wziął świeżo upieczony inżynier Józef Tuliszkowski, ale w późniejszym czasie często namawiał do sadzenia drzew liściastych, gdzie się tylko da. W omawianym podręczniku tak o tym zagaił:

Podczas pożaru na wsi, przy wietrze, ogień szybko przechodzi na sąsiednie budynki, które zda się zapalają od samego gorąca, a wiaterek niesie na nie płonące żagwie i iskry z objętych ogniem strzech. W takich razach ogromnie ułatwiają ratunek i zmniejszają spustoszenia pożogi drzewa liściaste. One nieraz podczas pożaru grają rolę tarcz ochronnych, na których

³¹ „Strażak” 1901, nr 2, s. 1–2.

iskry się zatrzymują, osłon, chroniących od promienistego ciepła, jakie bije od płonących w pobliżu budowli. Nieraz budynek otoczony drzewami ocalał sam jeden podczas najstraszniejszej pożogi.

Do środków więc ochronnych przeciw pożarom zaliczyć należy roślinność: drzewa, krzewy, żywopłoty, rośliny wijące się, otaczające dach i ściany domu, jak wino dzikie, chmiel, fasola i t.p. Im więcej rośnie drzew pomiędzy budynkami i wokół obejścia, tern większe jest bezpieczeństwo od ognia. Na ten cel nadają się tylko drzewa liściaste³².

Tuliszkowski chciał, by sadzenie drzew stało się elementem kultury.

Dobrzeby było by w każdej gminie, parafii i wsi urządzona była, choć parę razy do roku t. zw. „uroczystość sadzenia drzew” jak to się praktykuje w krajach o wysokiej kulturze. W które to dni pod przewodnictwem księdza, nauczyciela, sami włościanie, a głównie ich dzieci sadziliby koło swych chat, na nieużytkach, przy drogach drzewka owocowe i wytrzymałe; a gdy tak sami je posadzą, więcej szanować będą.

Z czasem pokryłby się nasz kraj pięknymi wioskami i osadami tonącymi w obfitej zieleni, drogami obsadzonemi użytecznymi drzewami, a mieszkańcy mieliby zysk i ochronę od ognia³³.

Ochronki dla dzieci...

...Czyli przedszkola. W idei chodziło o to, by dzieci nie stawały się podpalaczami, ale cel był oczywiście znacznie szerszy, wychowawczy.

Dziećmi po wsiach mało kto się zajmuje. Puszczone samopas narażone są na pokąsanie psa wściekłego, na przejechanie, utonięcie. Swawolą one, biją się między sobą, krzywdzą, dokuczają różnym Kruczkom i Burkom, wydzierają młode ptaszęta z gniazd i w męczeniu ich znajdują uciechę. Wyrasta potem taki okrutnik, za młodu znieprawiony, na człowieka nikogo nie szanującego, podnoszącego rękę nieraz na rodziców, krzywdzącego sąsiadów, a jak pójdzie dalej, na złodzieja, podpalacza, a nawet bandytę.

Zkąd u nas bandytyzm tak się szerzy i grasuje? Z braku zasad pocziwych, co już wyłącznie jest winą niedbalstwa rodziców, bo wpoić zasady można tylko w latach dziecinnych, kiedy duszyczka dziecka podobna jest do sadzonki — dziczki. Zaszczepione i przywiązane do kołka drzewko wyrasta na proste, dobre, urodzajne drzewo; porzucone zaś samopas daje roślinę o pokręconym pniu, skarłatą a rodzącą nędzny, cierpki owoc.

Jak w szkołkach ogrodniczych uszlachetniają sadzonki, tak i w ochronach wyrabiają charakter i serce dziecka, ucząc miłości bliźniego, zamilowania do pracy i zgodnego współżycia³⁴.

Przepisy przeciwpożarowe (porządkowe)

Tuliszkowski przytoczył również przepisy, głównie porządkowe, jakie obowiązywały w Królestwie Polskim na terenach wiejskich. Dowiedzieliśmy się o nich w innym miejscu. Natomiast tutaj poznajmy władzę wykonawczą tych przepisów. Był nią wójt.

³² J. Tuliszkowski, *Walka z pożarami...*, s. 60.

³³ Tamże, s. 62.

³⁴ Tamże, s. 63–64.

W razie niewypełnienia przez mieszkańców wspomnianych przepisów, wójt gminy jest obowiązany wnosić skargi do sądu gminnego czy pokoju, który na mocy art. 29 i 66 do 68 włącznie Ustawy o karach, nakładanych przez sędziów pokoju, może naznaczać kary do 100 rubli, jak również art. 88 do 98 włącznie może karać aresztem do 1 miesiąca lub grzywną do 100 rubli³⁵.

Na wójcie spoczywało sporo obowiązków, a nie miał nikogo do pomocy, by je wykonywać. W związku z tym wszelkie przepisy były martwe, zresztą nikt ich nikomu nie ogłaszał, więc pozostawały nieznane ogółowi.

Koc ratunkowy

Omijamy cały szereg urządzeń ratowniczych, w tym sikawkę, która zostanie omówiona w rozdziale o piśmie „Strażak”, gdzie stanie się ona bezpośrednim przyczynkiem do krytyki periodyku przez Tuliszowskiego. Jako ciekawostkę przytoczmy urządzenie zapomniane, a obecne w wielu filmach o minionej epoce. Oto koc ratunkowy.

Jest to płótno żaglowe, mocno zeszyte, długie i szerokie po 7 łokci w kwadrat. Pod płótnem tern jest podszyta siatka spleciona ze szpagatu, a wokół wszyta linka mocna, która formuje ucha do trzymania koca. Skok jest połączony zawsze z niebezpieczeństwem i dlatego należy koc używać tylko w ostateczności³⁶.

Czyli jest zupełnie tak samo, jak przy współczesnych skokochronach.

Kaptur dymowy i respirator

W tamtych czasach, gdy nie było tworzyw sztucznych, jedyną trucizną w czasie pożaru był tlenek węgla, który zidentyfikowano jako główne zagrożenie i nazwano je zgodnie ze wzorem chemicznym. Oto, jak wyglądało profesjonalne zabezpieczenie przed nim w 1909 roku.

Kaptur dymowy składa się z worka z zamszu czarnego, podszytego płótnem gumowanym i zamszem żółtym, ściągany u szyi gumą i paskiem skórzanym z szybkami na oczy z miki, zabezpieczonymi kratką drucianą od uszkodzenia, z respiratorem t. j. rurką na nos i usta, na końcu której pomiędzy sitkami drucianymi znajduje się parę gąbek nasiąkniętych octem lub wapnem oczyszczonym, wchłaniających tlenek węgla i oczyszczających przez to powietrze wdychane od dymu. Na respiratorze znajduje się klapka do wypuszczania zużytego powietrza. Przy kapturze na łańcuszku wisi gruszka gumowa z trąbką, za naciśnięciem ręki wydającą sygnały³⁷.

Uzbrojenie dla dowódcy

Przy tej okazji możemy poznać, jak łatwo każda formacja obrasta w niepotrzebne, a nawet szkodliwe gadżety, których pojawienie się jest motywowane głównie chęcią

³⁵ Tamże, s. 85.

³⁶ Tamże, s. 118.

³⁷ Tamże, s. 120.

wyróżnienia się kogoś, a gdy sprawdziło się jako wyróżnik, przechodzi jako zwyczaj na innych, nieświadomych, skąd to się wzięło.

Dowódca i każdy naczelnik powinni być tak uzbrojeni jak topornicy, aby w razie potrzeby mogli pokazać druhom, jak się działa, a nie stali bezradni na dachu. Dziwne jest, według mego zdania, i bezcelowe noszenie przez naczelników malutkich toporków od parady lub też kordelasów, albo w miejskich strażach pałaszy przez brandmajstrów. Niezrozumiałe to dla mnie i nieracjonalne naśladowanie wojskowych. Po co tu oręż do ognia? Długi pałasz tylko zawadza i płącze się po nogach przy włożeniu na drabinę (Widziałem raz w jednym mieście, będąc tam ochotnikiem, podczas pożaru, jak na klatce schodowej, u góry której szalał ogień i sypały się w dół kawałki rozpalone szkła, cegieł, ram, stał taki brandmajster z pałaszem i w czapce, przytulony do ściany i bezradny; mógł wyjść dopiero ztamtąd w pożyczonym przez nas ochotników kasku).

Uniform strażacki spotyka się z wielu przeciwnikami, zwalczającymi potrzebę tegoż. Niepowołani ci wszelako krytycy nie mają racji. Uniform bowiem ludzi z jednej straży jednoczy, podnosi koleżeństwo i wywiera pewien wpływ moralny: niejeden strażak nieraz powstrzymuje się od złego, „aby nie splamili munduru“. Względy estetyczne przemawiają też za mundurem. Bluza lub mundur powinien być skromny i bez świecideł³⁸.

Kilka porad gaśniczych

Tuliszkowski, pisząc omawiany podręcznik, korzystał z najlepszych wzorów, zresztą sam uczestniczył w wielu akcjach i wiedział, co najlepiej sprawdza się w praktyce. Oceńmy sami jego umiejętności i aktualność dawanych porad.

W piwnicach i suterrenach: *Tu niezbędne jest stosowanie przyrządów ochronnych od dymu: helmu, maski dymowej lub respiratora i okularów, które nakłada wylotowy. W braku przyrządu takiego należy włożyć w usta gąbkę, zmaczaną w wodzie z octem, lub chustkę. Wchodzić do piwnicy napęłnionej dymem należy chylkiem lub pełzając, gdyż przy podłodze zawsze jest przewiew i powietrze mniej nasycone dymem. Wchodzić trzeba tylko z latarkami elektrycznymi, bo nieraz w piwnicach są składy nafty, benzyny, gazy których przy zetknięciu się z ogniem wybuchają (...)*³⁹.

Wskazanem jest od czasu do czasu puszczać prąd deszczowy, kroplisty i tem przybijać dym i odświeżać powietrze w piwnicach. Należy zbadać, czy piwnica ma sklepienia czy też belki. Wystrzegać się trzeba lać wodę do góry przy pierwszych, aby nie popękały, zaleca się natomiast zlewać obficie wodą ostatnie, aby nie dopuścić przez sufit ognia do parteru⁴⁰.

Pożary przyziemia i piętrowe: *Na przyziemiu często mieszczą się sklepy i magazyny, należy więc nacierać na rdzeń ognia, uważając, aby towary najmniej ucierpiały od wody.*

Podczas pożaru na piętrze czynność straży polega przedewszystkiem na obronie schodów; posyła się przeto na nie wylotowego i przeprowadza się wąż, jeden lub dwa, po schodach,

³⁸ J. Tuliszkowski, *Walka z pożarami...* s. 127.

³⁹ Tamże, s. 214–215.

⁴⁰ Tamże, s. 215.

układając je z boków przy bocznicach, aby węże nie przeszkadzały i nie były narażone na uszkodzenie. Innymi strumieniami naciera się przez okna za pomocą drabin.

Jeden z wylotowych winien dostać się o piętro wyżej, aby czuwać w mieszkaniu położonym nad piętrem, gdzie jest pożar, i w razie przepalenia się sufitu i ukazania się ognia zalewać go z góry.

Szafować zbyt woda nie trzeba, bacząc na szkody, jakie ona wyrządzić może meblom, obrazom, dywanom i t. p.

Jeżeli ogniska pożaru w pokojach nie widać, należy go szukać w podłodze, ścianach, sufitach, rozrąbując toporami miejsce zagrożone, które daje się wyczuć ręką przez ciepłość⁴¹.

Pożary poddaszy: Najlepiej wziąć ogień w obroty z dwóch stron poddasza i nacierać wytrwale, posuwając się ku środkowi pożaru; pilnować trzeba przytem, aby ogień nie przedostał się przez polepę i sufit do wnętrza budynku.

Toporników zadaniem jest usuwać rupiecie i wyrzucać takowe przez okienka lub przez wyrąbany otwór w dachu — w dół, ostrzegając stojących na dole okrzykiem: „baczność na dole!”

Jeżeli dostęp na poddasze z dołu jest trudny, przerywamy dach w najcieplejszym miejscu i z góry przez otwór skierowujemy wyloty⁴².

Pożary dachów słomianych i gontowych: Tu należy działać podwójnie, nacierając wodą i rozrywając dach za pomocą bosaków. Przy początku pożaru, gdy tylko część dachu zaczyna płonąć, należy rozebrać dach przedewszystkiem w miejscu nad ogniskiem pożaru i przez otwór nacierać wodą do wnętrza. (...)

Jeżeli ogień ogarnął cały dach, to natarcie prowadzi się z zewnątrz z dachu pobliskiego budynku. Części dachu, o ile gorąco nie jest za duże, należy rozrywać i ściągać na ziemię. Przy rozrywaniu dachu, szczególnie słomianego, powstaje dużo iskier, więc w kierunku wiatru posyła się kilku strażaków z mokreimi tłumnicami na dachy pobliskich budynków, dla ochrony tych od lecących snopków, iskier i głowni.

Przy zrywaniu dachu koło kominów, naczelnik toporników daje baczenie, aby dachowcy ostrożnie to czynili, bywały bowiem wypadki, że komin runął, przygniatając nieostrożnych⁴³.

Ogień kominowy: Najlepiej jest dać się wypalić sadzom, tylko zachować przytem środki ostrożności, mianowicie: posłać paru ludzi do komina na dach i pokryć komin specjalnem sitem, nie przepuszczającym większych iskier. Poddasze też obsadzić strażą, któraby pilnowała, żeby komin nie pękł. Jedni i drudzy, zaopatrzeni w mokre ściereki i płachty, pilnują i gaszą iskry. Dachy sąsiednich budynków obsadzić w kierunku wiatru ludźmi z tłumnicami⁴⁴.

Umiejętności OSP, które można wykorzystać dla zysku

Tuliszkowski wielokrotnie informował, że utrzymanie straży pożarnej to trudne zadanie, szczególnie gdy opiera się na ofiarodawstwie. Proponował, by straż pożarna

⁴¹ Tamże, s. 215–216.

⁴² Tamże, s. 216.

⁴³ Tamże, s. 216–217.

⁴⁴ Tamże, s. 217.

utrzymywała się sama, najlepiej poprzez pełnienie usług z zakresu ochrony przeciwpożarowej. Tym samym nie dość, że zyskałaby samodzielność finansową, to w dodatku podniosłaby poziom bezpieczeństwa, gdyż za jej sprawą powstawałyby budynki ogniotrwałe.

Duże usługi może oddać straż jak to pod względem pieniężnym, tak i podniesieniem powagi i pożyteczności zorganizowanie przy strażi specjalnego działu rzemieślniczego, dostarczającego ludności okolicznej zastępu dobrych, sumiennych majstrów. Dział ten możemy rozdzielić na kilka grup, a z tych dobrze mieć jedną lub dwie, a jeszcze lepiej wszystkie pod opieką i firmą straży ogniowej, bo są one naprawdę związane fachowo i pokrewne z zadaniem pożarnictwa.

Kominiarstwo dobrze zorganizowane przynosi nieraz duże dochody strażom. (...)

Stawianie pieców i murowanie budynków z piasku powierzać można jednym i tym samym majstrom, bo to jest ściśle połączone z sobą. Aby ułatwić im to zadanie, dobrze jest mieć kilkanaście planów i rysunków różnych budynków. (...)

Krycie dachów. Każdy majster tego działu, specjalista od krycia dachów, winien umieć kryć słomą z gliną, tekturą smołowcową, oraz być dobrze obeznanym z wyrobem dachówki z piasku i cementu. (,,) Praktycznem jest nabyć parę maszyn do wyrobu dachówki i je wynajmować posyłając z nimi majstra. Jak kominiarzy, tak i majstrów przedsiębiorstwo opłaca, dając im pensję i % od robót⁴⁵.

Można powiedzieć, że ten pomysł Tuliszkowskiego nie został zastosowany. Przyznać trzeba, że jest świetny, bo domyka system ochrony przeciwpożarowej (nie omawialiśmy szerzej ubezpieczeń od ognia, ale o nich jest w podręczniku sporo miejsca, w szczególności w kontekście uzyskania dotacji na straż), a przy tym uczy, że zapobieganie pożarom jest nieodłączną częścią działalności strażackiej. Gdyby był realizowany, ulokowanie w strażach pożarnych policji ogniowej byłoby formalnością. Tymczasem miało się okazać, że nie ulokowano jej nigdzie – ani za zaboru, ani w całym 20-leciu międzywojennym.

Wzór podania o założenie OSP

Realizacja wszystkich tych dobrych rad, dotyczących czynnej walki z pożarami, możliwa byłaby pod jednym warunkiem – że nie wniesie sprzeciwu władza, czyli pan gubernator. Tuliszkowski opracował wzór podania, w dwóch językach – polskim i rosyjskim. Oto wyimki ze wzoru w polskiej wersji językowej.

(...) mamy honor donieść Waszej Ekscelencji, że wobec pożóg, szerzących spustoszenie w naszej miejscowości, mamy zamiar założyć Towarzystwo pod nazwą Straż Ogniowa Ochotnicza, działalność którego będzie się rozszerzać na

Cel towarzystwa — zapobieganie i gaszenie pożarów w wyżej wskazanych miejscowościach.

Dla osiągnięcia oznaczonego celu, towarzystwo:

⁴⁵ J. Tuliszkowski, *Walka z pożarami...*, s. 235.

- 1) *ma w obrębie swej działalności dozór nad trzymaniem się ściśle ustanowionych przepisów pożarowych i budowlanych, przytem w razie zauważenia pogwałcenia tych przepisów, towarzystwo przez zarząd zwraca się o współdziałanie miejscowych władz policyjnych dla pociągnięcia przez nie winowajców do odpowiedzialności prawnej,*
- 2) *nabywać za pieniądze ze składek członków swych i z widowisk płatnych, przyrządy i narzędzia ogniowe,*
- 3) *urządzać ćwiczenia, rewje i parady,*
- 4) *dawać przedstawienia i widowiska płatne na korzyść towarzystwa.*

Założycielami towarzystw a są osoby niżej podpisane⁴⁶.

O ile pan gubernator w ciągu miesiąca nie odpowiedział odmownie, straż pożarną ochotniczą można było założyć. Obecnie coś takiego nazywa się milczącą zgodą.

Oddziaływanie książki

Książka była bezkonkurencyjna, bo wcześniej nic podobnego nie powstało – podręcznik Zagórskiego był napisany z perspektywy bolączek strażackich, a nie ochrony przeciwpożarowej. Oczywiście nie pisano o książce Tuliszkowskiego w gazetach, bo poruszała zbyt niszowy temat. Przecież dziwić się trzeba, że nawet specjalistyczne i jedyne w Królestwie Polskim pismo „Strażak” nie zauważyło jej istnienia, a przecież tak uważnie śledzono w tym miesięczniku wszelkie wzmianki prasowe o pożarach... A jednak poradnik Tuliszkowskiego oddziaływał na ochronę przeciwpożarową, może nie od razu bezpośrednio, ale również przez wzbudzanie podziwu dla autora. Jednocześnie przyczynił się do zmiany w życiu autora, a mianowicie zmiany pracy, co zobaczymy w następnym rozdziale. W nowej pracy Tuliszkowski przyczynił się do powstania kilkuset ochotniczych straży pożarnych (osobiście współzakładał ich kilkadziesiąt), jak również kilkadziesiąt spółek budowlanych. Można to uznać za długofalowe efekty napisania *Walki z pożarami*.

Śmiało można powiedzieć, że książka nie straciła swoich walorów poznawczych i praktycznych do dziś. W 1909 r. jej zalecenia były nie tylko na czasie, ale i przyszłościowe, w dodatku aż do II połowy XX w. pozostawały w pełni aktualne, a do końca XX w. częściowo (zwłaszcza w zakresie budownictwa wiejskiego). Szereg jej zaleceń – jak budowanie sadzawek, stawów i studni – ma wymiar ponadczasowy, bo przecież susze nie są dzisiejszym zjawiskiem, a i w przyszłości nikt się przed nimi całkowicie nie ustrzeże. Obecnie zaś książka ta jest niespotykane trafnym świadectwem epoki, źródłem wiedzy historycznej, niejako wierną fotografią z opisywanych czasów. Żadne opracowania historyczne, łącznie z niniejszym, nie mogą zastąpić podanych w niej informacji.

Czy jednak powinni ją znać wyłącznie specjaliści od historii pożarnictwa i jej pasjonaci? Otóż nie! *Walka z Pożarami dla użytku miast mniejszych, gmin, dworów i osad*

⁴⁶ Tamże, s. 238–239.

powinna być lekturą obowiązkową dla wszystkich przyszłych techników i inżynierów pożarnictwa oraz osób kierujących ochotniczymi strażami pożarnymi. Dzisiejsze poradniki nie potrafią w tak kompleksowy sposób opisać poruszanych zagadnień, jak ta jedna, łatwa do przeczytania pozycja. Oto jej zalety:

- 1) łatwo ją przyswoić, bo jest napisana językiem bardzo przystępnym, a przy tym daje możliwość obcowania z czystą polszczyzną, nie jest obciążona sztuczną precyzją, tylko pozwala na słuszny domysł,
- 2) nie wprowadza w błąd nawet w odniesieniu do współczesnych technik gaśniczych czy udzielania pierwszej pomocy kwalifikowanej,
- 3) pokazuje omawiane zagadnienia kompleksowo,
- 4) porządkuje wzorcowy sposób myślenia o ochronie przeciwpożarowej,
- 5) jako pierwszy podręcznik w języku polskim do kompleksowej nauki pożarnictwa, jest elementem naszej kultury i ...
- 6) ... z uwagi na kulturę słowa pozwoli na jej choć częściowe nabycie, co jest bardzo przydatne w zawodzie strażaka.

Może najważniejszym faktem pozostaje, że treści tej właśnie publikacji 15 lat później stały się podstawą do budowy o wiele szerszego dzieła literackiego o ochronie przeciwpożarowej, tj. zamierzoną na 7 tomów złożonych z 32 części (*de facto* tomów) pracą pt. *Obrona przed pożarami: podręcznik dla użytku Straży Pożarnych, Organów Samorządowych, Miast, Gmin i Dworów*.

Za podsumowanie działalności Józefa Tuliszkowskiego w Lubelskiem niech posłużą słowa o nim, spisane po latach. Poza błędną datą rozstania – 1909 r. (nową pracę podjął w 1910 r.) wszystkie poniższe słowa są trafne, dobrze oddające tak dzieło, jak i postrzeganie jego autora.

W roku 1909 druh Tuliszkowski opuszcza Zwierzyniec i naszą Straż; był on nie tylko niezrównanym organizatorem strażactwa i krzewicielem fachowej wiedzy pożarniczej, lecz niepospolitym wychowawcą, umiejącym tchnąć ożywczą energię i zapal dla każdej dobrej sprawy i dla umiłowanej przez siebie idei pożarnictwa⁴⁷.

W tym czasie Józef Tuliszkowski miał za sobą 42 lata życia.

Sprawy rodzinne

Na chwilę zajmiemy się sprawami rodzinnymi Józefa Tuliszkowskiego, by już do nich nie wracać. Józef Tuliszkowski zmienił stan cywilny nie gdzie indziej, tylko w Ordynacji Zamoyskiej. Mianowicie poznał tam Jadwigę Łuczyńską, którą poślubił w dniu 18 stycznia 1908 r. w kościele katedralnym w Lublinie⁴⁸. Zgodnie z opinią publiczną ówczesnej epoki pan młody był już starym kawalerem, bo w chwili zawarcia związku małżeńskiego miał 41 lat bez kilkunastu dni. Panna

⁴⁷ 30-lecie istnienia Ochotniczej Straży Pożarnej Zakładów Przemysłowych Ordynacji Zamoyskiej w Zwierzyni nad Wieprzem woj. lubelskiego, nakładem „Przeglądu Pożarniczego” i „Gazety Strażackiej”, Warszawa 1936, s. 1.

⁴⁸ W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski ...*, s. 33.

młoda oczarowała doświadczonego życiowo kawalera wdziękiem, urodą i mądrością, mając w chwili zawarcia ślubu 24 lata (ur. w 1884 r.). Państwo Tuliszkowscy doczekali się dwójki dzieci, już mieszkając w Warszawie: Zofii (ur. w 1911 r.) i Andrzeja Janusza (ur. 26 kwietnia 1919 r.).

Córka Zofia w 1934 r. wyszła za mąż za szczytającego się tatarskim pochodzeniem Stanisława Haykowskiego (ur. w 1902 r.), który lata wojen o niepodległość (1919–1921) spędził jako ochotnik w I Pułku Ułanów Krechowieckich⁴⁹. Stanisław Haykowski był utalentowanym malarzem-batalistą, ilustratorem m.in. dzieł Józefa Tuliszkowskiego. W tym czasie był również znanym ilustratorem powieści historycznych, w tym przede wszystkim powieści Ferdynanda Ossendowskiego, pt. *Pod sztandarami Sobieskiego*. Wspólnie z Tadeuszem Nitmanem wykonywał ilustracje do *Małego Piłsudczyka* (między 1935–1939 rokiem)⁵⁰. Zilustrował również Gizeli Gebertowej *Historię dla 5 klasy szkół powszechnych 3 stopnia* (1937), a jego bodajże najbardziej rozpoznawalnym dziełem była monumentalna *Księga jazdy Polskiej* (1938) oraz praca *Mundury Wojska Polskiego* (1939). W 1939 r. państwu Haykowskim urodził się syn – Michał⁵¹.

Andrzej Tuliszkowski po ukończeniu gimnazjum dostał się na Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej. Odbił służbę wojskową w Szkole podchorążych, kończąc ją w 1939 r. W czasie okupacji żołnierz AK, w stopniu ppor., ps. „Nowina”, zastrzelony przez niemieckiego konfidenta Jerzego Nakoniecznikoff-Klukowskiego 7 września [na grobie widnieje data 7 sierpnia – PR] 1943 roku w Warszawie, również żołnierza AK, na którego wydano wyrok likwidacyjny (wspomnienia siostry, Zofii Haykowskiej z d. Tuliszkowskiej)⁵². To nie był koniec strat. W grudniu tego samego 1943 r. Niemcy schwytali w łapance ulicznej por. AK Stanisława Haykowskiego, męża Zofii, po czym go rozstrzelali. Wojciech Gorczyca, jego krewny, o tych okolicznościach pisze tak:

29 listopada został zatrzymany w tramwaju przez Gestapo por. Stanisław Haykowski, ps. *Audar*. Okrutnie przesłuchiwany na Pawiaku, nikogo, jak zapewniała jego siostra Krystyna, matka mojej żony Barbary, nie wydał. Egzekucję grupy 30 osób, w której był autor *Szarży pod Rokitną*, arcydzieła polskiego malarstwa batalistycznego i o którym Władysław Bartoszewski pisze, że był znanym artystą malarzem, przewidziano na 2 grudnia 1943 roku⁵³.

Egzekucję 50 osób wykonano, kładąc na nią patrzeć zatrzymanym przechodniom. Miejsce pochówku Stanisława Haykowskiego jest nieznane, jego nazwisko symbolicznie umieszczono na grobie rodziny Tuliszkowskich i Haykowskich. Strata całego męskiego pokolenia w jednej rodzinie to bardzo dużo, a tak należy liczyć śmierć w 1943 r. Andrzeja Tuliszkowskiego i Stanisława Haykowskiego.

⁴⁹ W. Gorczyca, *Stanisław Haykowski (1902–1943). Ułan i malarz batalista*, Bielsko-Biała 2018.

⁵⁰ Tamże.

⁵¹ Tamże, s. 84.

⁵² Tamże, s. 66.

⁵³ W. Gorczyca, *Stanisław Haykowski (1902–1943). Żołnierz Armii Krajowej* https://www.phil.muni.cz/journal/proudy/filologie/materialy/2019/2/gorczyca_stanislaw_haykowski_2.php, [dostęp: grudzień 2023].

Jadwiga z Łuczyńskich Tuliszkowska zmarła 2 marca 1966 r. w wieku 82 lat. Córką i wnukiem Józefa Tuliszkowskiego, Zofia i Michał Haykowscy, w 1984 r. wyemigrowali do Szwecji. Pomogli Wojciechowi Jabłonowskiemu w pisaniu biografii Józefa Tuliszkowskiego. Zofia zmarła w 2011 r., przeżywszy 100 lat. Michał Haykowski, dziennikarz i publicysta, zmarł w 2015 roku. Pochowani są we wspólnym, rodzinnym grobie, miejscu spoczynku ich bliskich, w tym Józefa Tuliszkowskiego, na warszawskich Wojskowych Powązkach (kwatery A17-1-18).

Centralne Towarzystwo Rolnicze (1910–1915)

Zanim opiszemy Centralne Towarzystwo Rolnicze, musimy zarysować sytuację polskiego rolnictwa na terenie zaboru rosyjskiego. Jednak żeby to zrobić, trzeba najpierw zdjąć odium z ziemiaństwa, narosłe w czasach PRL-u.

Ziemiaństwo w propagandzie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej

W naukach historycznych, w czasie trwania Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, wytworzono swoisty obraz szlachty, a w szczególności arystokracji. Typowym przedstawicielem tej ostatniej był tzw. obszarnek, czyli posiadacz ogromnego majątku. Słowo to miało bardzo negatywne znaczenie, oznaczało bowiem wyzyskiwacza-krwiopijcę (*O cześć wam panowie, magnaci!* – śpiewali czterej pancerni, a pies tylko słuchał). Nigdy nie używano wobec takich ludzi sformułowań oddających istotę rzeczy, jak np. przedsiębiorca rolny. W kontraście do obszarneków przedstawiano chłopów, którzy swoją biedę klepali w cieniach latyfundiów oraz gospodarstw szlachty posiadającej, tj. mającej duże gospodarstwa obrabiane przymusową bądź najemną siłą roboczą, zwane folwarkami. Tu znów, jeśli używano słowa „chłop”, to z nieodłącznym przymiotnikiem „pańszczyźniany”, co musiał krwawy obowiązek odrabiać, niczym niewolnik. I nikt oczywiście nie chciał ulżyć jego doli.

Zatem z jednej strony był opływający we wszelkie dostatki jaśniepan, czyli leń i pasożyt, a z drugiej biedny, niedojadający, nierozumny chłop, którego grzbiet ugiął się pod ciężarem powinności. Co istotne, pan był absolutnie nieczuły na niedolę chłopca. Wrażenie to pogłębiał staranny dobór lektur szkolnych, gdzie dało się przeczytać *Janko Muzykant*², ale już nie *Zakłęty dwór*³. Ba! Wszelkie prace, również naukowe, które podważałyby jedynie słuszną narrację komunistyczną, skazano na zapomnienie, natomiast gdy powstawało jakieś opracowanie odnoszące się do czasów pańszczyzny, a i późniejszych również, jakaś uszczypliwość musiała się pojawić. Wszak obraz nierówności społecznych i niesprawiedliwości dziejowej musiał być przekonujący.

Niestety obraz ten utrwalił się, czego przykłady znajdujemy nawet w najnowszych opracowaniach, w których przedstawionemu kontekstowi historycznemu można zarzucać brak obiektywizmu⁴. Co ważne – opracowania takie łatwo znajdują powszechny poklask, wszak potwierdzają to, co znane. Dlatego – dane historyczne, rzetelne obrazy tego zagadnienia zza naszych wszystkich granic czy opracowania, takie jak *Cham niezbuntowany*⁵, dla masowego czytelnika nie mają znaczenia.

¹ G. Ehrenberg, *Gdy naród do boju*, pieśń z 1835 r., hymn Armii Ludowej w czasie II wojny światowej.

² H. Sienkiewicz, *Janko muzykant*, „Kuryer Warszawski” 1879, nr 159.

³ W. Łoziński, *Zakłęty dwór*, 1859.

⁴ K. Janicki, *Pańszczyzna. Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa*, Poznań 2021.

⁵ R. Ziemkiewicz, *Cham niezbuntowany*, Lublin 2020.

Jak to powiedział inżynier Mamon w Rejsie: *Ja jestem umysł ścisły. Mnie się podobają melodie, które już raz słyszałem... No poprzez reminiscencje*⁶. Rzeczywistość przedstawiała się jednak inaczej niż w znanych melodiach i była bardziej złożona niż jej obraz propagandowy.

Nie wszyscy chłopci byli biedakami, a zdarzało się, że większą biedę od chłopów pańszczyźnianych klepała szlachta zaściankowa, której słomy po zbiorach ledwie do wyściółki butów wystarczało. Bo też powiedzenie „słoma z butów wystaje” nigdy nie odnosiło się do chłopów, którzy wówczas rzadko kiedy wysokie skórzane buty posiadali (jeśli już, to niskie trzewiki), tylko do drobnej szlachty – jeden z magnatów powiedział, że jego wyborcy słomy mu w butach nanieśli do salonu. Tylko że szlachtę, co słomę w butach nosiła do salonów, w chłopów obrócili dopiero ukazy carskie. Od tamtej pory były regiony w Polsce, gdzie barwny strój ludowy nie ukształtował się wcale, tylko zawsze był jakiś taki fabryczny – to dawne strony szlacheckie.

Oczywiście byli wśród posesjonatów (szlachty posiadającej dobra ziemskie) skrajni egoiści, sadyści też się zdarzali (patrz wyżej charakterystyka szlachty polskiej, sporządzona przez Romana Dmowskiego). Z drugiej strony, w co trudno uwierzyć, na polskiej wsi pańszczyźnianej rzadko miał miejsce strukturalny głód, ale już w wolnej wsi w XX w. częstym zjawiskiem było strukturalne niedożywienie włościan, na co narzekano w armii II Rzeczypospolitej – że rekruta najpierw trzeba odżywić, a dopiero potem można go wyszkolić. Prawdziwy głód przyszedł później, w okresie gospodarki socjalistycznej, gdy przedsiębiorców rolnych, z dziada-pradziada wychowanych w szacunku do ziemi, w poczuciu odpowiedzialności nie tylko za własny majątek, zastąpili urzędnicy z klucza partyjnego, w najlepszym razie stosujący w praktyce sowieckie metody uprawy roli, bądź po prostu nieudacznicy lub złodzieje.

W owej socjalistycznej rzeczywistości, gdy hołubiono pamięć chłopów pańszczyźnianego sprzed 80 lat, który ziemi nie miał na własność, łupiono współczesnych chłopów (pogardliwie zwanych kulakami) z ostatnich zapasów zboża, chowanych na siew, ukrywanych nawet przed rodziną. Docelowo zamierzano im, jak w Rosji sowieckiej, wszelką ziemię odebrać, by utworzyć kolchozy, co szczęśliwie nie wyszło. Owoce gospodarki socjalistycznej, a zatem absolutnie nie pańszczyźnianej, tylko państwowej (w rozumieniu – partyjnej) przyszły bardzo szybko. Leopold Tyrmand opisał to przy okazji Drugiego Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, który odbył się w marcu 1954 roku. Delegaci wypowiadali się na wszelkie tematy, również o gospodarce rolnej, ich przemówienie przedrukowywała w całości „Trybuna Ludu”, a bezrobotny pisarz Tyrmand miał czas, więc czytał to i komentował do swojego dziennika. W taki sposób odniósł się do kwestii rolnej:

(...) ponury blondyn nazwiskiem Zenon Nowak mówił przez wiele godzin o rolnictwie. Powiedział wszystko prócz, jak się dzieje, że kraj, który w swej tysiącletniej historii, w trakcie

⁶ Rejs, scen. M. Piwowski, J. Głowacki, reż. M. Piwowski, 1970.

*najdłuższych i najokrutniejszych wojen, nigdy nie zaznał klęski głodu, dziś sprowadza zboże z zagranicy. Ale wprowadził nowy termin: gospodarny średniak. Co to znaczy? To kulak, któremu musimy dać żyć, abyśmy mogli wyżyć*⁷.

Naprawdę niewiele Tyrmand przesadził w tym opisie stosunków rzeczywistych. Również i później, gdy ustał zasadniczy nurt zamordyzmu socjalistycznego, nie można było dowiedzieć się prawdy o czasach minionych. Wiedźmy zatem, że wielkoobszarowe gospodarstwa w czasach popańszczyźnianych pełniły rolę dzisiejszych fabryk. Dawały nie samo tylko zatrudnienie, czyli płacę za pracę, ale też sposobność do nabywania rzadkich umiejętności oraz podpatrzenia wzorców gospodarzenia (na to ostatnie chłopci bywali wyjątkowo odporni w myśl przysłowia: „Ty se mów, ale Józek swoje wi”). Prawdziwy majątek, by dawał zysk, nie mógł tylko polegać na samej produkcji zboża czy żywca – musiał też zajmować się przetwórstwem. Zatem w skład dobrego przedsiębiorstwa wielkoobszarowego wchodziły oprócz stodół, obór i chlewni również stawy rybne, masarnie, młyny, gorzelnie, zakłady przetwórstwa mlecznego, a bywało też, że wytwórnie materiałów budowlanych. Mechanizacja była nieodzowna, zatem potrzebne były warsztaty naprawcze. Te potrzeby rodziły konieczność szkoleń, z kolei one wymuszały edukację podstawową, choćby w formie szczątkowej, co wszystko razem bystrym ludziom dawało całkiem niezłe szanse rozwoju, oczywiście na miarę ówczesnych warunków, choć wielu dzisiejszych ludzi, nawet wykształconych, nie dorównywałaby umiejętnościami praktycznymi tamtejszym ludziom, ledwie czytającym i piszącym.

Rzeczywisty obraz Królestwa Polskiego zależał od regionu, bo gdy już w wolnej Polsce w majątku pod Kutnem w pole wyjeżdżały żniwiarki, to na Polesiu, jak w dawnych czasach, wylegała do żniwa gromada chłopów z kosami, a za nimi kobiet wiążących snopki powrośłami. Nad zniesieniem tych różnic regionalnych usilnie pracowali ziemianie – paradoksalnie – dla dobra własnego.

Niedole ludności wiejskiej brały się wówczas przeważnie z przeludnienia i – w ślad za tym – rozdrobnienia gruntów, które to zjawiska były całkowicie niezależne od pańszczyzny. Ba! W czasach pańszczyźnianych bywały wręcz marginalne, bo chłop bez ziemi pańszczyzny odrabiać nie musiał, chyba że wynajął go do tego bogaty chłop, by za niego na pańskim pracował. Zatem posesjonat wyznaczał następne nieużytki z podległych mu gruntów na zagospodarowanie, z czasem tzw. wolnizny, czyli kilku lat bez konieczności odrobku na pańskim, aż się rodzina chłopska zagospodarowała. W ten sposób dziedzic zakładał nowe osady. Bo chłop, by móc obrabiać pola dworskie, musiał siły ku temu czerpać z pól dla siebie uprawianych.

Pańszczyzna była złem – krępującym wolność osobistą, nie dawała czasu na pracę na swoim, zamykała drogę rozwoju czy też zniewalała całe grupy społeczne, a przecież nie postrzegano jej jako zła absolutnego, tylko jako stan przyrodzony danym

⁷ L. Tyrmand, *Dziennik 1954*, Warszawa 1989, s. 297–298, 305–306.

czasom. System wzajemnego uzależnienia chłopów i dziedziców bodajże najlepiej oddał słynny Władysław Grabski, opisując rzeczywistość XVII i XVIII wieku. Oto wymyki z dzieła, imiennie skazanego na zapomnienie w czasach PRL-u za „nielewomyślność”, tj. za prawomyślność, czyli za prawdę. Nie krył Grabski, że pańszczyzna w wiekach XVI–XVII przemieniła się w ustrój niewolniczy, wydoskonalony w wieku XVIII do wyzysku, zwłaszcza na czas zaborów.

Ubezprawienie włościanina wyrażało się w zupełnej zależności jego stanu cywilnego od właściciela. Nie mógł włościanin dokonywać żadnej czynności prawnej, wychodzić ze wsi i żenić się bez pozwolenia właściciela, który nawet miał prawo karania go śmiercią, z czego jednak nie korzystał z uczucia ludzkości i ze względu na to, że włościanin był jego własnym inwentarzem gospodarczym. Natomiast powszechnie stosowano kary cielesne. Włościanin był zatem niczem innym, jak tylko stworzeniem pozbawionem wszelkich praw społecznych i ludzkich, narzędziem produkcji większej własności⁸.

Są to szczerze słowa i współcześni badacze doszukujący się zła w historii, by im nie zaprzeczali. Czemu więc komuniści skreślili tę książkę i przeznaczili ją na paliwo do hut? Czemu chcieli wykreślić ją z ludzkiej pamięci? Z powodu poniższych treści:

Na korzyść jednak ówczesnego bytu społecznego włościan przemawiała jedna okoliczność ekonomiczna, nieodłączna od ówczesnego stanu rzeczy, ta mianowicie, że był on jedynym narzędziem produkcji rolnej, posiadał monopol uprawy roli. Monopol ten oczywiście nie prawny, lecz faktyczny, wystarczał, żeby byt ludności włościańskiej jako tako uczynić znośnym⁹.

Dalej czytamy jeszcze większe herezje, oczywiście w odniesieniu do tak chętnie powielanej propagandy doby PRL-u.

(...) Powiększenie pól dworskich przez włączanie do uprawy przestrzeni poleśnych, zwiększenie intensywności uprawy na istniejących polach przez rozszerzanie uprawy pszenicy, dwa jedyne procesy ewolucji i produkcji rolnej w XVIII w., wymagały z konieczności rzeczy zwiększania li oby jedynych wówczas czynników produkcyjnych, jakimi były zagrody włościańskie; stąd ludność przybywająca miała gdzie się pomieścić. Los włościan był ciężkim, lecz zabezpieczonym; nie mógł nigdzie włościanin znaleźć wówczas bytu samoistnego, więc go też i nie pożył; pracując dla siebie, zmuszony był zawsze pracować i dla pana swego, lecz pracując dla pana, miał zarazem kąt własny, chałupę i zagrodę, gdzie byt swój z rodziną spokojnie mógł pędzić, miał też wydzieloną dla siebie rolę, któryby ten mogła mu zabezpieczyć.

Prawo własności ruchomej, osobistej, zawsze włościanom służyło, bo chociaż prawa własności ziemi nie mieli, znajdowali ją w swym faktycznym posiadaniu. Prawda, że posiadanie to prawnie nie było im przyznane, ale też nie było im odejęte ani prawnie, ani faktycznie. W imię przywiązania do gruntu posiadanego, znosili w dawnych wiekach włościanie w pokorze ciężki swój byt i poddawali się wielokrotnie pomiarom, przy których zawsze coraz to uciążliwsze warunki przyjmować musieli. Gdy we wsi nagromadziło się w miarę

⁸ W. Grabski, *Historia Towarzystwa Rolniczego: 1858–1861 r.* T. 1, *Historia rozwoju rolnictwa i sprawy włościańskiej w pierwszej połowie XIX wieku*, Warszawa, Kraków 1904, s. 3.

⁹ Tamże.

wzrostu ludności, więcej rodzin (...) właściciel tworzył nowe osady na dawnych gruntach przez pomiar, przy czym oczywiście zmniejszał się obszar posiadanych przez oddzielne osady gruntów, ale każda rodzina na swej osadzie utrzymać się mogła, a właściciel korzystał z tej sposobności, by podnosić względny ciężar robocizny. (...)

Szczupłość posiadanej roli, ciężar odrabianej pańszczyzny, łagodziło szerokie użytkowanie wspólności pastwiska i lasu. Na wspólne pastwisko dwór zaledwie parę sztuk własnych krów i źrebaków wypędzał. Włościanie natomiast trzymali liczne stada bydła, owiec, trzody i gęsi. Z lasu korzystać mogli, ile tylko potrzebowali. Inwentarz przy ściółce leśnej dostarczał dużej ilości nawozu, toteż szczupłe role włościańskie lepiej znacznie od obszernych pól dworskich rodziły¹⁰.

Gdy Napoleon Bonaparte na początku XIX w. zniósł pańszczyznę w Księstwie Warszawskim (małym kraju, który przez kilka lat był namiastką Rzeczypospolitej, mniejszym nawet od Kongresówki), nie omieszkiał poinformować o tym mas chłopskich słowami: „Zdjąłem wam z nóg kajdany!”, na co wielu chłopów odpowiadało „Ta, i z butami!”, bo mało komu z ludu się to opłacało. Oddajmy znów głos Grabskiemu, który zagadnienie to gruntownie zbadał i kompetentnie opisał.

Wprowadzenie kodeksu francuskiego u nas przy uznaniu ziem włościańskich za własność obywateli, zatamowało ewolucję naturalną stosunków pańszczyźnianych. Zbyt od tych stosunków odległy kodeks nie miał siły wpłynąć na ich zniesienie, skutkiem tego stały one poza prawem. Zapodatkowane przez Rząd Księstwa Warszawskiego umowy notarialne nie doszły do skutku; cała sfera bytu włościan oddana została na igraszkę interesów osobistych; za tę wolność przenoszenia się z miejsca na miejsce, którą otrzymał chłop, szlachcicowi przyznano tytuł prawny nieograniczonej własności ziem posiadanych przez chłopą. W prawodawstwie Księstwa Warszawskiego i późniejszym posiadanie roli zostawało w zależności od spełnienia zobowiązań jedynie w ciągu roku. W terminie tym właściciel miał prawo wypowiedzieć zupełnie zagrodę włościaninowi lub obciążyć warunki, a w zamian za to chłop mógł się przenieść, gdzie mu się podobało. Fikcja swobodnej umowy dawała właścicielowi zupełną przewagę w nakładaniu warunków, przyznawała panom to, co stanowiło cel ich wiekowych usiłowań: pełną własność wszystkich gruntów wiejskich¹¹.

Jak by jednak nie było, na przełomie wieków XIX i XX rzeczywistość przedstawiała się zupełnie inaczej. Wszak ludność wiejska Kongresówki już od czasów powstania styczniowego była na swoim, bo nie dość, że dano im wolność od pańszczyzny, to uwłaszczono na posiadanych gruntach, tradycyjnie pozostawiając wspólne z dworem (serwitutowe) lasy i pastwiska (powszechnie zauważano w tym dzieło cara i go za to jeśli nie wielbiono, to lubiano). Jednak w miarę upływu lat ziemię dzielono między potomstwo. Ziemi nie wystarczało do wyżywienia rosnących rodzin, zwłaszcza przy gospodarce bardzo ekstensywnej. W dodatku nawet spory areal bywał

¹⁰ Tamże, s. 4.

¹¹ Tamże, s. 20–21.

zapuszczany, gdyż trudno było do niego dotrzeć sprzężajem przez inne zagonki. Próby intensywnej uprawy powodowały konflikty sąsiedzkie. „Trzy palce”¹² z filmowego sporu Kargula z Pawlakiem to nie była abstrakcja, tylko rzeczywistość.

Na katastrofalny stan zagrożenia pożarowego, stwarzanego przez coraz gęściejszą zabudowę w miarę podziału gruntów między potomstwo na „kiszki” szerokości kilku kroków, Tuliszkowski widział lekarstwo w tzw. komasacji gruntów (czyli obmiarze wszystkich ziem, zatarciu granic i podziale ziemi od nowa na równej wielkości działki, przydzielane w drodze losowania). W przeniesieniu zabudowy nie widział problemu, gdyż ówczesne domy i zabudowania gospodarcze łatwo było rozebrać i przenieść w nowe miejsca. Tym sposobem wieś z ciasnoty utrudniającej życie przemieniłaby się w wygodną zabudowę kolonijną. Nie był to pomysł abstrakcyjny, gdyż takie praktyki stosowano, zwłaszcza gdy podziałom poddawano jednocześnie użytki i nieużytki wspólne, pozwalające na zaokrąglenie arealów.

Komasacji gruntów Tuliszkowski sam nie wymyślił. Pośród ziemian nie brakowało ludzi zatroskanych o te sprawy. Oczywiście, zależało im przede wszystkim na własnych majątkach – przecież gdyby ze szczerem spłonęła inna bogata wieś, natychmiast odczuliby skutki z tym związane. Zresztą biedne wsie ciążyły ekonomicznie sąsiednim przedsiębiorstwom rolnym. Jednocześnie nie było tak, by obszarnicy czy pomniejsi posesjonaci, czy też w ogóle zamożni właściciele ziemi byli wyłącznie nieczuli na niedole wiejskiej biedoty. Wielu z nich było absolwentami szkół i uczelni rolniczych, szczególnie Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Puławach. Widzieli zatem, jak ogromny niedostatek wiedzy o uprawie roli mają chłopci, a przy tym jak odporni są na próby jej przekazywania – niektórzy uparcie trzymali się wyuczonych w dzieciństwie wzorców. Tu dysponujemy świadectwem od jednego z samych zainteresowanych, co prawda chłopca z zaboru austriackiego, ale tuż zza granicy, w Dzikowie k. Tarnobrzegu.

Powodzenie moje polegało na tym, że słuchałem światlejszych ludzi, zwłaszcza czytając gazetki i książki, i że nie poprzestawałem na samej tylko roli, z której dochód niewielki, ale w miarę możliwości brałem się też do innych przedsiębiorstw. Nie siedłem więc za owczym pędem, który na wsi panuje, a polega na tym, że wszyscy grzebią się tylko w gruncie, i to przeważnie lichu, i nawet powiedzieć sobie nie dadzą i zrozumieć tego nie chcą i nie starają się, że źle robią i kiepsko gospodarzą i jaka gospodarka byłaby lepsza. Co jeden robi, to robią wszyscy inni, i jak gęsi idą za sobą, i mało jest takich, którzy by na coś nowego się odważali, coś nowego wymyślali i robili, i szli w ten sposób do lepszej przyszłości¹³.

Brak oświaty na wsi powszechnie rozumiano, ale też wiedziano, że nastały czasy, w których konieczne jest postawienie edukacyjnego kroku dalej, poprzez utworzenie szkolnictwa zawodowego. Nie chodziło o same sposoby upraw i hodowli. Ważne też były takie zagadnienia, jak: przetwórstwo rolne, mechanizacja, upowszechnienia

¹² *Sami swoi*, scen. A. Mularczyk, reż. S. Chęciński, Polska 1967.

¹³ J. Słomka, *Pamiętniki włościanina od pańszczyzny do dni dzisiejszych*, Kraków 1929, s. 292.

rzemiosł, umiejętności techniczne i mechaniczne. W tym zakresie prosta nauka czytania i pisania to było za mało, a przecież nawet i to zaborca utrudniał, bo za cel zasadniczy postawił sobie rusyfikację, a nie edukację. Zakładane przez utytułowanych pasjonatów szkoły podstawowe dla ludności wiejskiej były czymś lepszym niż nic, ale nie mogło się obyć bez rozwiązań systemowych, to znaczy bez realizacji określonych programów nauki, w tym również szkolnictwa zawodowego. Rozwiązania takie mogły się pojawić dopiero z chwilą podejmowania inicjatyw ponadindywidualnych. Oczywiście jest, że powinna stać za nimi władza, czyli odpowiednia administracja. Jednak administracja rosyjska nie była tym tematem zainteresowana. Nie mógł tego zmienić nawet tak światły i uczciwy człowiek jak Sokrat Iwanowicz Starynkiewicz, p.o. prezydenta Warszawy w latach 1875–1892, który po polsku tylko bardzo dobrze rozumiał, ale nie mówił. Taki człowiek trafiał się jeden na kilkuset okupantów. Niemniej pozostali przyjeżdżali na te ziemie, żeby się na nich obłowić jak najmniejszym kosztem własnym.

Pozostawały więc inicjatywy stowarzyszeń obywatelskich, czyli tak naprawdę żadnych, bo do końca XIX w. car nie pozwalał ich zakładać nawet ziemianom. Jednak to oni, ziemianie, byli jak najbardziej zainteresowani kumulacją wiedzy o rolnictwie i zyskach z niego, bo nawet najpotężniejszy z nich mógł niewiele w konkurencji z latyfundiami carskimi czy związkami kupców żydowskich. Taki człowiek, jak bohater *Rodziny Połanieckich*¹⁴, Stanisław Połaniecki, mógłby zdziałać więcej i dla siebie, i dla dobra ogółu, gdyby stanął na czele nie tylko swego własnego przedsiębiorstwa zbożowego. Poza wiedzą i techniką potrzeba było też nowoczesnych instrumentów prawnych i finansowych.

W końcu władza carska zezwoliła na zrzeszenia rolnicze, bo naciskali na to nie tylko sami producenci rolni, ale również ci, którzy ponosili instytucjonalne ryzyko, mianowicie ubezpieczyciele i bankowcy. Pojawiły się szanse na podniesienie rolnictwa wielkoobszarowego na wyższy poziom, również przez system kontraktowania upraw. To dawało oczywiście bodźce do rozwoju gospodarstwom dużym, ale jak się okazało, małe również mogły na nich skorzystać. Zwłaszcza gdy do pracy wzięli się ludzie kompetentni i uczuleni na sprawy włościan, np. tacy jak Władysław Grabski.

Centralne Towarzystwo Rolnicze

Centralne Towarzystwo Rolnicze (CTR) nie urodziło się na pniu – powstało jako szczybel wyższy względem o kilka lat dosłownie starszych towarzystw regionalnych, tudzież kółek rolniczych. Miało na celu rozwój majątków – tak to sobie wyobrażali wstępujący doń ziemianie. Ale założyciele tegoż towarzystwa mieli w zamyśle ogólne podniesienie stanu rolnictwa.

¹⁴ H. Sienkiewicz, *Rodzina Połanieckich*, Warszawa 1894.

Brak reprezentacji politycznej i gospodarczej dla polskich rolników na terenie zaboru rosyjskiego

Słowo „centralne” nie wzięło się znikąd ani nie było abstrakcją w nazwie. Wcześniej zaistniały towarzystwa regionalne, to jest gubernialne, zawiązujące się w celach jak najbardziej handlowych. Powoływały do życia syndykaty, czyli stowarzyszenia kupieckie o płynnym charakterze, zarządzane przez profesjonalistów, za opłatą zdejmujących z członków troskę o zyskowny zbyty płodów produkcji rolnej. To jednak było za mało, bo wrzała w Królestwie Kongresowym chęć wymiany myśli, uporządkowania stosunków rolnych, a też i stosunków społecznych, tudzież przeniesienia na grunt rodzimy rozwiązań sprawdzonych gdzie indziej, jak spółdzielnie produkcyjne. Okazało się miało, że ziemianie byli do tego wrzenia zaledwie dodatkiem, acz niezbędnym, ze względu na dar przekonywania władz, np. przez ustosunkowanie na dworze carskim.

Ziemianie, jeśli chcieli jakoś zaistnieć, musieli przyłączyć się do działaczy politycznych. I nie mieli innego wyboru jak Liga Narodowa, bo tylko ta gwarantowała zadbanie o ich interesy, bez uszczerbku dla ich znaczenia społecznego, godności osobistej i – pozornie – stanu posiadania (bo w Lidze Narodowej dyskutowało się o konieczności kolejnego po carskim z czasów powstania styczniowego uwłaszczenia chłopów, czyli uszczknięcia ze stanu posiadania obszarów wielkich). Władysław Grabski, który już swoje odsiedział w carskiej tiumie za działalność nazbyt propolską, a po odwilży związanej z wydarzeniami lat 1905–1906 został posłem do rosyjskiej Dumy (powołanej w wyniku przegranej wojny z Japonią i dla uspokojenia rewolucyjnego wrzenia), napisał list do siostry socjalistki. Wczytajmy się uważnie w te słowa, w których nie ma ani krzty przesady.

Jeszcze przed pojechaniem do Petersburga zdecydowałem się, że zasada uwłaszczenia leży w interesie ludności włościańskiej, a skoro tak, wydałem pensję moralną, by stronnictwo Demokratyczno-Narodowe poufnie tę zasadę zaakceptowało i Koło Polskie następnie tę zasadę publicznie poprawiło (...). W Królestwie Polskim ani jedno stronnictwo lewicowe nie stoi na gruncie 70% ludności, to jest ludności włościańskiej (...)¹⁵.

I trudno odmówić racji temu twierdzeniu – to nie na terenie zaboru rosyjskiego powstała partia chłopska, czyli Stronnictwo Ludowe (później – Polskie Stronnictwo Ludowe, stały sojusznik Narodowej Demokracji), lecz na terenie zaboru austriackiego, w Galicji. To tam, gdzie przed pół wiekiem trwała rabacja, tak trafnie ukazana w Weselu Wyspiańskiego na tle chłopomanii, Wincenty Witos, przyszedł premier II Rzeczypospolitej, osobiście orał ziemię. Warto przy tym zwrócić uwagę na słowo „ludowe” w nazwie partii. W ówczesnym odbiorze powszechnym nie oznaczało ono, że była to z nazwy partia chłopska, lecz że powszechna, do której mógł należeć każdy. Partię chłopską nazwano by po prostu chłopską lub włościańską.

¹⁵ <http://patron.zsp4.lowicz.pl/praca.htm>, [dostęp: sierpień 2023].

Na terenie Kongresówki żadnych chłopskich partii nie było, a lewicowe – owszem, których retoryka dotyczyła głównie robotników, tj. przedstawienia utopii, że jak tylko przejmą fabryki z rąk posiadaczy, natychmiast wszyscy oni zyskają dobrą, świetnie płatną pracę. Tylko skąd na to pieniądze wziąć? – nie wiedzano i nawet o tym nie mówiono (z praktyki rewolucyjnej znamy odpowiedź – z grabieży). O rolnikach ledwie wspomiano, bo też na ogół działacze owych partii niewiele mieli do czynienia z uprawą ziemi. Na ogół pochodzili z rodzin mieszczańskich i ze zubożałych szlacheckich. Nigdy więc sami nie pracowali na roli, nie wykształcili zatem w sobie specyficznej mentalności rolniczej, za to skłonni byli każde zagadnienie intelektualnie roztrząsać. To naprawdę charakterystyczne, że socjaliści nigdy nie znali się na gospodarce, zwłaszcza rolnej, bo zawsze i wszędzie chcieli nią zarządzać w sposób urzędowy, zaprowadzając swoisty feudalizm. Czym innym były jednak deklaracje socjalistyczne, dotyczące przewrotów społecznych, ukierunkowane na sytuację życiową robotników miast, a czym innym zaledwie hasłowe wspomnianie o kwestii chłopskiej. Zresztą wszelkie działania po lewej stronie miały na celu nie tyle uzdrowienie stosunków społeczno-gospodarczych, bo przecież żadnej utopii nie da się wcielić w życie, co pozyskanie masy rewolucyjnej.

Spółdzielczość na przykładzie działań Władysława Grabskiego

Nie hasel samych, lecz także czynów dopuścił się wcześniej Władysław Grabski. Oto one, podane za hasłem encyklopedycznym (faktycznie mogły się nie podobać zaborcy).

W 1897 r., po kilkuletnich studiach i praktykach zagranicznych: *Grabski osiadł w rodzinnym majątku w Borowie, gdzie prowadził działalność gospodarczo-społeczną i naukową, zajmując się głównie tematyką wiejską. W 1899 założył pod Kutnem rolniczą stację doświadczalną (drugą tego typu w Królestwie Polskim), w 1901 – fabrykę spółdzielczą Spójnia, w 1903 – drugie na ziemiach polskich chłopskie kółko rolnicze Jutrzenka w Bocheniu pod Łowiczem oraz jedną z pierwszych spółdzielni mleczarskich, a w 1904 zorganizował i przez pewien okres prowadził Towarzystwo Melioracyjne w Warszawie. W 1905 natomiast założył pierwsze w Królestwie Polskim spółdzielcze chłopskie Powiatowe Towarzystwo Rolnicze w Łowiczu. Grabski tworzył również kasy spółdzielcze dla chłopów, wspierał szkoły rolnicze, a w Borowiełożył na nielegalną polskojęzyczną szkołę dla dzieci włościańskich¹⁶, co zresztą było bezpośrednią przyczyną jego aresztowania. Dodajmy, że był też związany z Towarzystwem Ubezpieczeń Ruchomości Rolnych „Sноп”, to zaś mocno współpracowało z CTR, co na kwestie pożarowe pozostawiało instytucję otwartą.*

Takimi to ścieżkami chodzili wybitni przedstawiciele Narodowej Demokracji, co później, za dekadę, jednym strzałem z rewolweru raz na zawsze zniszczył jeden z nich, Eligiusz Niewiadomski¹⁷.

¹⁶ Uchwała Nr 19 – 2002/2003 Senatu Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie z dnia 24 lutego 2003 r.

¹⁷ W dniu 16 grudnia 1922 r. Eligiusz Niewiadomski, malarz, głośny i czynny działacz Narodowej Demokracji, przeprowadził w gmachu „Zachęty” zamach na prezydenta Gabriela Narutowicza, spychając własną formację polityczną do narożnika nieodpowiedzialnych awanturników.

Te właśnie efekty i dzieła Grabskiego to istotne cele działania CTR, które wstępujący doń członkowie musieli zaakceptować. CTR powstało bowiem w wyniku działań Narodowej Demokracji (mającej posłów w Dumie) i Stronnictwa Polityki Realnej. Warto zauważyć, że gdy Polska Partia Socjalistyczna dochodziła swego przy pomocy zamachów bombowych, wspomniane wyżej partie dochodziły do celu podniesienia sprawy polskiej do rangi państwowości za pomocą pracy organicznej, to jest przez rozwój intelektualny i gospodarczy całego społeczeństwa, by zwiększyć jego dobrobyt. W tym samym czasie Niemcy na terenie Wielkopolski przegrywali wszczęty przez siebie Kulturkampf, bo polskie społeczeństwo pracą organiczną zostało doprowadzone do znacznej siły ekonomicznej, wziętej również z wykształcenia i etosu pracy, powstających nie dzięki, ale obok niemieckich porządków.

Wkrótce po utworzeniu CTR stało się nie tylko motorem ruchów spółdzielczych czy to majątków ziemiańskich, czy włościańskich, ale też istotnym partnerem dla następujących instytucji, będących równie świeżego chowu: Towarzystwa Przemysłowców Guberni Królestwa Polskiego, Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego oraz Towarzystwa Popierania Przemysłu i Handlu. Ale nie chodziło o sam handel – celem było ogólne wzbogacenie się Polaków, wytworzenie pośród nich masy kapitałowej, a więc siły gospodarczej.

Można powiedzieć, że CTR strukturą i celami działania przypominało dobrze zorganizowane ministerstwo rolnictwa, działające jednak nie na rzecz samego siebie, tylko własnych członków. Składało się z następujących m.in. wydziałów: rolnego, hodowlanego, mleczarskiego, leśnego, rybackiego, społeczno-ekonomicznego, doświadczalno-naukowego, kółek rolniczych.

CTR komunikowało się z członkami i światem za pomocą organów prasowych, tj. Gazety Rolniczej oraz Przewodnika Kółek i Spółek Rolniczych. Wyodrębnienie odrębnej gazety dla kółek rolniczych pokazuje, jak wielkie miały one znaczenie. Dla kogóż i z czym udziałem je tworzone...? Wyobrażamy sobie ziemian w kółkach rolniczych...?

CTR miało ambicję rozwiązywać wszelkie problemy rolnictwa, tj. zarówno ziemian, jak włościan. Okazało się, że pośród różnych problemów wsi włościańskiej i dworskiej niebagatelny jest problem ochrony przeciwpożarowej, tj. jej absolutnego braku.

CTR a ochrona przeciwpożarowa w rolnictwie

Członkowie założyciele CTR mieli wiele problemów do rozwiązania. Związane one były z poparciem wszelkiego rodzaju ruchu spółdzielczego, tudzież z oświatą, która była niezbędna do osiągnięcia założonych przez nich celów. Jak widać, proste cele, by je osiągnąć, wymagają stosowania skomplikowanych narzędzi.

Okazało się i okazywać miało, że kwestia masowych pożarów wsi Kongresówki to istotny element ogólnej biedy i znacznego obciążenia społecznego, ale też zacofania, wszak pogorzelcy nie są w stanie utrzymać nauczyciela czy nauczycielki. Ludność

wiejska nie była tylko rezerwuarem rąk do pracy, ale też klientelą ziemian. Jakim klientem może być pogorzelec bez domu, zabudowań, zboża na siew i inwentarza? Swego czasu ktoś taki nie pełnił powinności pańszczyźnianych!

Lektura kroniki ówczesnych pożarów napawa grozą, co już wiemy. Płonęły nie tylko wsie, ale też folwarki, młyny, gorzelnie i browary – zwłaszcza te ostatnie. Maurycy Klemens Zamoyski nie omieszkiał pochwalić się, że jego ordynacja, za sprawą działalności strażaka Józefa Tuliszkowskiego, przynosi dochód nierównie większy niż przed jego zatrudnieniem. Inni ziemianie z ciekawością nadstawiali ucha, tylko nie wiedzieli, co z taką wiedzą począć.

Członkowie CTR prenumerowali wszelkie pisma. Nie uszedł ich uwadze Bolesław Chomicz, wcześniej nikomu nieznany, młody nauczyciel (z przymusu) z Łodzi, a z zawodu prawnik i ubezpieczyciel od ognia, który przez udział w 1905 r. w strajku w obronie języka polskiego musiał swoje odsiedzieć, zapłacić półroczne pobory, a na pracę w zawodzie prawnika i ubezpieczyciela dostał wilczy bilet. Takim oto sposobem mogli zapoznać się z artykułem Chomicza *Pożary a samorząd*¹⁸, a następnie z jego broszurą o tym samym tytule¹⁹, które dobitnie wykazywały, że bez inicjatyw obywatelskich w postaci zrzeszeń nie da racjonalnie gospodarzyć. To musiało się podobać urodzonym spółdzielcom, wszak nie ma spółdzielni bez samorządności. Wreszcie natrafili na coś, co naprawdę nie tylko pobudzało wyobraźnię, ale dawało serię recept do zastosowania od zaraz, książeczkę pt. *Budynki ogniotrwałe a tanie: poradnik dla gospodarzy wiejskich*²⁰. Szczególnie tą ostatnią publikacją Chomicz wychodził naprzeciw – w jak najbardziej dosłownym sensie – palącym potrzebom polskiej wsi, bo dawał zrozumiałe rady zarówno techniczne, jak i organizacyjne. Podobać się musiało, że widział problem braku budownictwa ogniotrwałego nie tylko w stosowaniu materiałów palnych (w swojej publikacji proponował glinę bitą ze słomą), ale też w braku samorządu, to jest samodzielności inicjatyw oddolnych, tłumionych na wszelkie sposoby przez administrację carską. I nie o samo zakładanie ochotniczych straży pożarnych chodziło, lecz również o wspólne działanie dla dobra ogółu (w zamian za apatię, skoro na swoim nic zrobić nie można).

Wkrótce niektórzy mogli przekonać się osobiście o wiedzy i charyzmie Chomicza. Dzięki publikacjom z zakresu ubezpieczeń od ognia i ochrony przeciwpożarowej w 1908 r. zagościł na zebraniu Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości m. st. Warszawy, gdzie wygłosił referat pt. *O walce z klęską ognia*, kreśląc projekt kompletnego, samofinansującego się, trójczłonowego systemu ochrony przeciwpożarowej. Na członki te składać się miały: ubezpieczenia od ognia, budownictwo ogniotrwałe, straże pożarne. Wywarł tak duże wrażenie na słuchaczach, że znalazł zatrudnienie w Warszawskim Towarzystwie Ubezpieczeń S.A. i w 1909 r. przeprowadził się z Łodzi do Warszawy.

¹⁸ B. Chomicz, *Pożary a samorząd*, „Ekonomista” 1906, t. 2.

¹⁹ B. Chomicz, *Pożary a samorząd*, Warszawa 1907.

²⁰ B. Chomicz, *Budynki ogniotrwałe a tanie: poradnik dla gospodarzy wiejskich*, Warszawa 1908.

Jak to on, sprawy nazywał po imieniu, problemy trafnie identyfikował, a na ich rozwiązanie dawał recepty tak proste, że nie można się było nadziwić, czemu na takie pomysły nie wpadano masowo. Powód był jeden – zatrucie administracją carską, która nawet własnych, ograniczonych zadań na terenie Królestwa Kongresowego (w innych częściach Imperium Rosyjskiego również) nie potrafiła udźwignąć intelektualnie, więc na wszelki wypadek wszystkie inicjatywy zapobiegawczo tłumiała.

Sprawa z Tuliszkowskim miała się nieco inaczej. Bo początek współpracy z CTR, jakże owocnej, przedstawił jako inicjatywę własną. Wkrótce miało się okazać, że Bolesław Chomicz działał w CTR raczej dorywczo, a Józef Tuliszkowski był stałym pracownikiem. To dzięki nim kwestia pożarów w rolnictwie (tzn. klęski ogniowej obszarów wiejskich, dającej corocznie straty równe wojennym) stała się jednym z punktów działania CTR. Widać przy tym, że Chomicz zajmował się sprawami organizacji systemu ochrony przeciwpożarowej w sensie zarówno ideowym, jak i prawnym, to jest nauczania, że tak być musi, żeby działało. Tuliszkowski wziął się za praktyczne tworzenie elementów systemu.

Tuliszkowski w CTR

O podjęcie współpracy z CTR Tuliszkowski starał się wcześniej, bo już w połowie 1909 r., z zamiarami ku temu jeszcze wcześniejszymi. Miał wówczas świeże przemyślenia w związku z ujęciem problematyki organizacji ochrony przeciwpożarowej obszarów wiejskich w formie książkowej, doświadczeń również sporo. Widział w tym znacznie większy potencjał, niż tylko dla jednej ordynacji czy nawet powiatu. Działania na większą skalę możliwe były tylko przy pomocy instytucji. Taką było CTR, znane mu ze skutecznej działalności. Jednocześnie formuła jego pracy w charakterze dyrektora przedsiębiorstwa drzewnego zdawała się wyczerpywać – skoro w skali Lublina-Zamościa udało mu się ograniczyć liczbę pożarów, to czuł się na siłach uczynić to samo w skali kraju.

Zapoczątkowanie współpracy z CTR

Okazją do wizyty Tuliszkowskiego w Warszawie było wydanie *Walki z pożarami dla użytku miast mniejszych, gmin, dworów i osad*. Jak to sam napisał²¹, ze świeżo wydaną książką w ręce udał się do siedziby CTR.

Gościa przyjął sekretarz CTR, Antoni Wieniawski oraz jeden z członków, Jerzy Gościcki. Tuliszkowski zaproponował, by znacznie rozszerzyć prowadzoną akcję z zakresu ochrony przeciwpożarowej obszarów wiejskich poprzez: *nie tylko organizowanie straży ogniowych na wsi, lecz i działalność zapobiegawczą powstawaniu pożarów, a pomiędzy innymi [również] środkami prewencyjnymi*²², w szczególności z zakresu budownictwa ogniotrwałego.

²¹ J. Tuliszkowski, *O działalności przeciwpożarowej Centralnego Towarzystwa Rolniczego słów parę*, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 13, s. 177.

²² Tamże.

Gość przekonał urzędników CTR do swoich pomysłów na tyle skutecznie, że Gościcki obiecał poprzeć tę sprawę i spopularyzować w prasie, a Wieniawski zadeklarował wyszukanie na ten cel funduszy (można się domyślać, że chodziło głównie o uposażenie pomysłodawcy i zapewnienie mu środków do działania, tj. pokrywania kosztów podróży). Sprawy od razu przyjęły postać zamierzeń strukturalnych, gdyż gość przyszedł z niemalże gotowym programem działania, a gospodarze zdawali sobie sprawę z korzyści wdrożenia tych zamierzeń. Innymi słowy, gdyby dogadali się między sobą, program można by wprowadzać od zaraz. Strony traktowały się z pełną powagą, więc Tuliszkowskiego poproszono o przysłanie *dokładnie opracowanego programu przyszłej organizacji przeciwpożarowej*²³.

Antoni Wieniawski, jako ubezpieczyciel, dysponował więcej niż dobrą orientacją, gdzie zwrócić się o pieniądze, a pomysł Tuliszkowskiego potraktował jak własny. Klęska ogniowa co prawda bezpośrednio dotyczyła pogorzelców, ale pośrednio była znaczną dolegliwością dla ubezpieczycieli – wszak ubezpieczenia od ognia były obowiązkowe. W dodatku – prawdę mówiąc – działalność, jaką zaproponował Tuliszkowski, mieściła się w zakresie obowiązków firm ubezpieczeniowych. Zatem gdy spadł im z nieba ktoś, kto problem z nich zdejmował, nie szczędzili środków: zostały wyjednane stałe subsydia roczne od Towarzystw Ubezpieczeniowych, najwięcej w tej sprawie zainteresowanych. *Warszawskie Tow. Ubezp. od ognia przyrzekło udzielać po 1800 rb. rocznie, Tow. „Snop” 600 -rb. i Centr. Tow. Roln. 600 rb.*²⁴. Charakterystyczne, że najbardziej zrusyfikowana Instytucja Ubezpieczeń Wzajemnych od Ognia (czyli pierwszy pracodawca Chomicza, skąd za strajkowanie w obronie języka polskiego został w 1905 r. wyrzucony) – największy gracz na rynku ubezpieczeń – nie dała nic.

Żeby sprawę doprowadzić do końca, jesienią 1909 r. odbyło się pierwsze zebranie przedstawicieli ubezpieczycieli, na którym zdecydowano utworzenie w CTR Komisji do Spraw Budownictwa Ogniotrwalego i Pożarnictwa. W skład tej komisji weszli od Warsz. Tow. Ubezpieczeń – Dyrektor p. Andrzej Świętochowski (później p. Paweł Górski i p. Bolesław Chomicz), od Tow. Ubezp. „Snop” – Prezes p. Stanisław Dzierzbicki i p. Kazimierz Strzeszewski (później Dyrektor p. Jan Kowerski) i od Centr. Tow. Rolniczego p. Antoni Wieniawski (później p. Władysław Grabski). Na zebraniu tym zaakceptowano szczegółowy Plan działalności, opracowany przez inż. Józefa Tuliszkowskiego, którego uchwalono zaangażować na stałego instruktora i kierownika tych prac od dn. 1 stycznia 1910 roku²⁵.

Takim sposobem Tuliszkowski z dniem 1 stycznia 1910 r. zmienił miejsce pracy ze Zwierzynca na Warszawę, a Władysław Grabski stał się jego dobrym znajomym. Jerzy Gościcki dotrzymał słowa i rozpropagował program Tuliszkowskiego w CTR-owskiej prasie. Dodatkowo, samo rozpoczęcie działalności przez Tuliszkowskiego było reklamą.

²³ J. Tuliszkowski, *O działalności przeciwpożarowej Centralnego Towarzystwa Rolniczego słów parę*, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 13, s. 177.

²⁴ Tamże.

²⁵ Tamże.

Od pierwszych miesięcy zatrudnienia otrzymywał liczne zgłoszenia od okręgowych towarzystw rolniczych, straży ogniowych oraz od organizatorów ruchomych i stałych kursów rolniczych²⁶.

Komisja w osobie Tuliszkowskiego rozpoczęła tak energiczną działalność, że zaskoczyła wszystkich. Był to splot nieustannych lustracji, szkoleń, pogadanek, wykładów i porad. Tuliszkowski był w ciągłych rozjazdach i – zasadniczo – wszędzie. Wkrótce sponsorzy przekonali się o wyjątkowej trafności wydatkowania środków. Działalność, którą zamierzano załatwić formalnie w celu realizacji zobowiązań statutowych, co zwykle zapisywano (w myślach) po stronie strat, okazała się poważna, zyskowną inwestycją. W związku z tym ubezpieczyciele systematycznie zwiększali swoje zaangażowanie finansowe w aktywności Tuliszkowskiego, a to przekładało się na efekty jego poczynañ.

Przyjęcie w poczet komisji pożarniczej CTR Władysława Grabskiego miało również i ten pozytywny skutek, że wystarał się on w Petersburgu, w Departamencie Rolnictwa, o przyznanie na nią pieniędzy w wysokości 2400 rubli rocznie. Tym samym finanse komórki Tuliszkowskiego podwojono, zresztą pierwotni darczyńcy również zwiększyli swoje zaangażowanie.

Program prac Komisji Tuliszkowskiego

W związku z tym od 1911 r. w działalności Komisji pojawili się jeszcze inni członkowie merytoryczni: budowniczy Kazimierz Rutkowski i majster instruktor Piotr Myszka. Ich kierownik (od teraz instruktor główny) zreorganizował program działalności dla nich trzech. Podzielił ją na dwie części: teoretyczną i praktyczną.

I. Teoretyczna działalność instruktora polegała:

- 1) *na pouczaniu na zebraniach Towarzystw i Kółek Rolniczych, na kursach i pokazach rolniczych członków, przeważnie małorolnych, o materiałach budowlanych, ogniotrwałych i- tanich, o zastosowaniu ich do budownictwa wiejskiego, o wznoszeniu budowli trwałych, odpornych na ogień, ze specjalnym zwróceniem uwagi na zdrowotność, wygodę, estetykę oraz swojskość stylu;*
- 2) *na zachęcaniu mieszkańców w miejscowościach, obfitujących w dobrą glinę, do palenia cegły i dachówki, w miejscowościach, obfitujących w dobry piasek, do wyrabiania dachówki cementowej, pustych kamieni betonowych, cembrowin i t.p., oraz do zrzeszania się w tym celu w kooperatywy;*
- 3) *na wyjaśnieniu przyczyn pożarów przez nieostrożne obchodzenie się z ogniem; światłem, przez dzieci pozostawione samopas, od pioruna i t.d., oraz na pouczaniu o środkach zaradczych przeciw temu nieszczęściu: o elektryczności i piorunochronach, o wiejskich ochronkach, o sadzeniu drzew przy budynkach, o kopaniu studni, sadzawek, stawów i t.p.*
- 4) *na zachęcaniu do ubezpieczania od ognia budynków, zapasów zboża, maszyn rolniczych, inwentarza i innych ruchomości;*

²⁶ Tamże.

5) na zachęcaniu do zaopatrywania osad i wsi w narzędzia ogniowe, do zawiązywania straży, wreszcie na pouczeniu o sposobach gaszenia i umiejscowiania ognia.

II. Praktyczna działalność polegała:

- 1) na sporządzaniu rysunków, planów, szkiców i kosztorysów na domy mieszkalne, budynki gospodarcze dla członków kółek rolniczych, oraz remiz dla straży i domów ludowych;
- 2) na oglądaniu i wyborze placów pod projektowane budowle, na pomiarach tych placów, na oznaczaniu odległości pomiędzy budynkami i t.p.;
- 3) na zwiedzaniu budynków wadliwych i na poradach, tyjących się usunięcia różnego rodzaju wad;
- 4) na badaniu piasku i żwiru, gliny, cegły i t. p. materiałów budowlanych, znajdujących się na miejscu budowy, oraz przysyłanych do analizy mechanicznej, na wskazywaniu ich użyteczności i odporności na ogień;
- 5) na pomocy, przy zawiązywaniu spółek budowlanych, na wyjednywaniu bezpłatnej nauki wyrobów betonowych dla członków tych spółek, oraz pieniężnych zapomóg dla spółek;
- 6) na pomocy technicznej przy organizowaniu, ekwipowaniu i wyćwiczeniu nowopowstających straży ogniowych;
- 7) na lustracji istniejących drużyn strażackich i pouczeniu ich o obchodzeniu się z narzędziami, o ich pielęgnowaniu, o sposobach gaszenia różnego rodzaju pożarów i t. p., na mustrze i ćwiczeniach praktycznych zastępów strażackich, na rozwiązywaniu zadań z taktyki pożarnej i t.p.

Oprócz tego po każdej prawie pogadance kierownik udzielał na miejscu bardzo wielu porad zainteresowanym słuchaczom, dając szkice i wyjaśnienia szczegółowe²⁷.

Wiele z owych szkiców i wyjaśnień szczegółowych dotyczyło nie tyle spraw budownictwa ogniotrwałego, co czynnej walki z pożarami. Ochotnicze straże pożarne były chronicznie niedofinansowane, więc liczyła się każda oszczędność. Wykonać sikawkę we własnym zakresie było bardzo trudno, ale wóz dla niej już nie, nie mówiąc o drobniejszych narzędziach, takich jak drabiny, bosaki, tłumice. Dlatego Tuliszkowski przy organizowaniu straży odbywał narady z zarządami o wyborze narzędzi, z rzemieślnikami o budowie wozów, drabin, sporządzaniu tłumnic, bosaków na miejscu, przy tym dawał szkice i wymiary²⁸.

To z tych właśnie powodów wszystkie artykuły Tuliszkowskiego poświęcone sprzętowi pełne są zwymiarowanych rysunków technicznych – narzędzia ratownicze musiały być nie za ciężkie, a wytrzymałe, więc podawanie sprawdzonych wymiarów miało bardzo głęboki sens.

²⁷ J. Tuliszkowski, O działalności przeciwpożarowej Centralnego Towarzystwa Rolniczego słów parę, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 13, s. 178.

²⁸ Tamże.

Sprawy budownictwa ogniotrwałego

Specjalna uwaga instruktora była zwrócona na teoretyczną naukę budownictwa i pożarnictwa na kursach rocznych w szkołach rolniczych w Pszczelinie i Mieczysławowie, Krzyżewie i Sobieszynie, gdzie były zorganizowane z kursistów wzorowe młodociane zastępy strażackie, przy czym każdy kursista przechodził praktycznie kurs wszystkich oddziałów i ćwiczeń przy wszystkich narzędziach, przygotowując się tym samym do objęcia kierownictwa przyszłą strażą w zakątku rodzinnym. W szkołach rolniczych oraz na pokazach majster-instruktor uczył praktycznie wychowanców szkół i uczestników kursów pokazów wyrobu pustych kamieni betonowych i dachówki cementowej, krycia dachów słomą, impregnowaną w glinie²⁹.

Wiejskie budownictwo ogniotrwałe, czyli zasadniczy cel powstania komisji, Tuliszkowski propagował nie tylko w istniejących szkołach. Działalność jego polegała również na pomocy w zakładaniu spółek budowlanych, z podkreśleniem, że miały to nie być przedsiębiorstwa jednostek, a spółki złożone z co najmniej kilku uświadomionych ludzi. Tu on i jego zespół wykazywali się elastycznością, gdyż zmieniali profil działania zależnie od warunków miejscowych.

Obfite pokłady dobrego piasku, żwiru, znajdujące się w wielu miejscowościach Polski, ubogich w glinę, zwróciły uwagę kierownika na ten materiał i skłoniły do pracy w kierunku zrzeszenia włościan w kooperatywy i spółki budowlane. Gospodarze malorolni przekonali się o dobrym materiale budowlanym, jaki przedstawiają puste kamienie betonowe, dachówki cementowe, o łatwym prostym i szybkim wznoszeniu z nich budowli, tudzież o niskich kosztach budynków³⁰.

Tu wystąpił po raz pierwszy element umiłowania przez Tuliszkowskiego regionalizmów architektonicznych, w których – niczym Chopin w muzyce ludowej – doszukiwał się rodzimego piękna. Żał, że przez całe epoki żaden czynnik rządowy nie zwrócił na to uwagi i nie zaprowadził ochrony prawnej regionalizmów jako wartości kulturowych.

Aby budowle te nie zatracaly wyglądu rodzimego, instruktor specjalnie zwracał, uwagę na tynkowanie i bielenie ścian, oraz na pokrywanie dachem o charakterze swojskim³¹.

Zgodnie ze sprawozdaniem Tuliszkowskiego prace te przyniosły dobre efekty, tym bardziej, że Komisja zazwyczaj dostawała wsparcie ze strony przedstawicieli instytucji o największym autorytecie pośród włościan. Warto byłoby rozszerzyć tę współpracę na instytucje, np. z zaangażowaniem kurii biskupich, ale tego nie spróbowano. Niemniej praca u podstaw dawała dobre efekty.

W miejscowościach, gdzie powstały spółkowe warsztaty do wyrobu tego tworzywa, jak w Piotrkowskim, Łowickim, Siedleckim, mieszkańcy okoliczni niedowierzający narazie i ostrożni, po wypróbowaniu tych materiałów zamówieniami swymi wprost zarzucali wiejskie

²⁹ Tamże, s. 178.

³⁰ J. Tuliszkowski, O działalności przeciwpożarowej Centralnego Towarzystwa Rolniczego słów parę, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 14/15, s. 200.

³¹ Tamże.

warsztaty spółek budowlanych. W dużej mierze przyczynili się do tego dobrym przykładem dzielni kapłani nasi, wnosząc w swych parafiach domy ludowe, plebanje oraz wychowawcy Pszczelina [tj. szkoły rolniczej, gdzie Tuliszkowski prowadził kursy – PR], budując we wsiach rodzinnych chaty i obory.

Muszę tu wspomnieć o dzielnej pracy czcigodnego księdza Jana Adamskiego, proboszcza w Ceranowie, który swym wytrwałym poświęceniem się dla dobra swej parafii, szczególnie dużo włożył energii i podniósł sprawę wiejskich zrzeszeń budowlanych w Siedleckim³².

Tuliszkowski podał bardzo wymowne dane statystyczne, komentując, że progres w zakładaniu przez niego spółek budowlanych miał postać arytmetyczną³³.

Tabela 1. Liczba założonych spółek budowlanych w podziale na lata (1910–1915)

Rok	Liczba założonych spółek budowlanych
1910	2
1911	7
1912	13
1913	15
1914*	18
1915	2
Razem	57

*Tylko do sierpnia 1914 r., ze względu na wybuch wojny.

Źródło: J. Tuliszkowski, *O działalności przeciwpożarowej Centralnego Towarzystwa Rolniczego słów parę*, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 14/15, s. 200.

W ciągu pięciu i pół roku powstało 57 spółek budowlanych, przy czym dziwić się można, że jeszcze dwie w 1915 r., czyli w czasie przetoczenia się przez teren Polski wielkiej ofensywy niemiecko-austro-węgierskiej, gdzie państwa centralne zwyciężyły nad Rosją carską i poddały teren Królestwa Polskiego okupacji własnej aż do końca Wielkiej Wojny.

Władze CTR, zorientowane w postępach prac Tuliszkowskiego, postanowiły przekuć je w jeszcze większy sukces, aby użyć ich jako argumentu w rozmowach z władzami Imperium Rosyjskiego. Poza tym chodziło o udokumentowanie pozytywnych przykładów oraz nadanie im większego ładunku strukturalnego. Kto wie, co wykroiłoby się z podobnych przedsięwzięć, gdyby nie wybuch Wielkiej Wojny? Wiceprezes Władysław Grabski, doskonale czujący żywioł administracyjny, zgodził się postawić urzędniczą kropkę nad „i” zamierzeniom Tuliszkowskiego. W związku z tym:

W końcu 1913 roku (10-grudnia). w C. T. R. pod przewodnictwem wiceprezesa p. Władysława Grabskiego odbył się Zjazd przedstawicieli Spółek Budowlanych, na który

³² J. Tuliszkowski, *O działalności przeciwpożarowej Centralnego Towarzystwa Rolniczego słów parę*, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 14/15, s. 200.

³³ Tamże.

przybyło 54 uczestników, reprezentujących 34 spółki. Na istniejących 37 spółek były więc reprezentowane 34 spółki. Niebawem w dziejach naszych kooperatyw procent, bo wynoszący 92%, wymownie świadczy o bardzo znacznym zainteresowaniu się zrzeszonych, a co najważniejsze, o zdrowych podstawach, na których te Spółki były oparte³⁴.

Można powiedzieć, że dla zwiększenia efektów działania Komisja Tuliszkowskiego postępowała elastycznie i w miarę pojawiających się potrzeb.

P. Rutkowski stale udzielał porad technicznych interesowanym z zakresu budownictwa i porad prawnych przy zakładaniu spółek budowlanych i straży, robił analizy piasku (wykonał w ciągu 4 lat 225 analiz) i prowadził obszerną korespondencję, zastępując i będąc wielką pomocą dla instruktora głównego, podczas jego ciągłych wyjazdów. P. Rutkowski wyjeżdżał również na pogadanki na prowincję. P. Myszka wyjeżdżał na pokazy i wystawy rolnicze, gdzie demonstrował wyroby materiałów budowlanych, bywał zapraszany do spółek, w których uczył członków wyrabiać puste kamienie betonowe, wznosić z nich ściany, dachówkę cementową i t.p., a w kilkunastu wsiach nauczył krycia dachów okazowych strzechą słomiano-glinianą³⁵.

Dostrzec można, że w razie potrzeby Komisja stawiała się dobrze prosperującym biurem projektowym, które zresztą Tuliszkowski prowadził stale, zarówno przed, w czasie prac w Komisji, jak i – wykorzystując rozmach z czasów działania w CTR – długo po.

Po sezonie letnim w zimie p. Myszka, jako wychowaniec 3-letnich kursów murarskich, obeznany dobrze z rysunkami, kreślił plany domów mieszkalnych dla małorolnych, budynków dla inwentarza i sporządzał wykazy materjatów do tych budowli pod kierunkiem i ze szkiców instruktora i jego pomocnika³⁶. Bo można powiedzieć, że również Komisja uczyła się na własnym przykładzie.

Tuliszkowski i jego współpracownicy słusznie mogli być z siebie dumni. Oczywiście bez wsparcia finansowego, o którym wyżej, niewiele lub zgoła nic nie mogliby zdziałać. Niemniej to oni trzej przekuli w czyn zamiary, dzięki czemu obserwowali następujące skutki własnych działań.

Coraz to więcej ludzie zwracali uwagę na racjonalne budowanie się, na ubezpieczenie mienia od ognia, kopali studnie i sadzawki, obsadzali zagrody drzewami, stawiali piorunochrony i t.d.³⁷.

I o to właśnie chodziło. W innej już rzeczywistości politycznej, w wolnej Polsce, Chomicz kontynuował prace Komisji Tuliszkowskiego w formie rozszerzonej również o budownictwo miejskie, jako tzw. „Patronat spółdzielni budowlanych”, tj. przedsiębiorstw zakładanych przez pogorzelców na zasadzie wsparcia udzielanego przez Polską Dyрекcję Ubezpieczeń Wzajemnych (PDUW, wcześniej Instytucja

³⁴ J. Tuliszkowski, *O działalności przeciwpożarowej Centralnego Towarzystwa Rolniczego* słów parę, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 14/15, s. 200.

³⁵ Tamże, s. 201.

³⁶ Tamże.

³⁷ Tamże.

Ubezpieczeń Wzajemnych, późniejsze PZU). Przedsięwzięciu temu próbował nadać ramy instytucjonalne, poprzez włączenie do administracji państwowej, jednak nie powiodło mu się to, gdyż nie natrafił na przychylny grunt we władzach ministerialnych. Przedsięwzięcie było zatem uzależnione od woli PDUW, ta zaś była należyta, póki Chomicz był prezesem. Po jego – wymuszonych intrygami środowiska rządowego – dymisjach ze stanowisk: prezesa PDUW (w 1923 r.) oraz prezesa Głównego Związku Straży Pożarnych RP (na przełomie 1925–1926 r.), nikt już tego przedsięwzięcia nie kontynuował³⁸.

Ochrona przeciwpożarowa czynna

By wykazać skuteczność budownictwa ogniotrwałego, musiało ono zaistnieć powszechnie, tymczasem ciągle raczkowało i miało wymiar incydentalny. Praca zamiany kilku milionów strzech na dachówkę musiała potrwać dziesiątki lat, więc nawet kilkaset postawionych w myśl zaleceń Tuliszkowskiego budynków wiele tu zmienić nie mogło, mimo że dawało dobre przykłady. Zatem i jego zwierzchnicy mogli tylko wyrazić dobrą wolę, że założone przez inspektora spółki budowlane i wszelkie wykłady na ten temat przynoszą jakieś efekty.

Za to statystyka z nieco innej dziedziny nie wymagała pokładów dobrej woli, bo przekonywała nawet dyletantów pożarniczych. Mianowicie każdy intuicyjnie czuje, że aby walczyć z pożarami, potrzebna jest straż pożarna. Zatem by uchodzić za skutecznego Tuliszkowski nie mógł pominąć czynnej ochrony przeciwpożarowej. Zresztą nie chciał, bo w istnieniu ochotniczych straży pożarnych widział istotny element bezpieczeństwa pożarowego wsi i miasteczek. Mógł więc z czystym sumieniem napisać tak: *Nie mniej intensywne były prace Komisji w dziedzinie pożarnictwa. Ta dziedzina, wskutek hamowania rozwoju straży ogniowych przez b. rząd rosyjski, szczególnie straży wiejskich, była bardzo zaniedbana. W całym Królestwie bowiem zamiast kilku tysięcy Straży było zaledwie około 400 tych organizacji [stan na 1910 r. – PR] i to w znacznej części niedomagających, zaopatrzonych w nieodpowiednie, przestarzałych typów narzędzia, czerpiących skąpe środki, zbierane z wielkim trudem przeważnie drogą uciekania się do ofiarności publicznej, przesładowane i gnębione przez władze miejscowe. Ze względów powyższych działalność instruktora musiała być bardzo ostrożna i często bywała przez władze paraliżowana. Jednak i tu było włożone bardzo dużo pracy, a rezultaty nie dały długo na się czekać*³⁹.

Podobnie, jak przy zakładaniu spółek budowlanych, Tuliszkowski pokusił się o podsumowanie statystyczne⁴⁰.

³⁸ Patrz: P. Rochala, *Bolesław Chomicz i jego czasy. Biografia strażacka*, Warszawa 1919, o dymisjach s. 158–160 i 201–217, o „Patronacie” s. 150–151. Zaznaczyć należy, że Patronat Spółdzielni Budowlanych nie doczekał się żadnych innych opracowań historycznych.

³⁹ J. Tuliszkowski, *O działalności przeciwpożarowej Centralnego Towarzystwa Rolniczego...*, s. 201.

⁴⁰ Tamże.

Tabela 2. Liczba założonych i wyćwiczonych ochotniczych straży pożarnych w podziale na lata (1910–1915)

Rok	Liczba założonych i wyćwiczonych ochotniczych straży pożarnych
1910	12
1911	18
1912	12
1913	20
1914*	7
1915*	2
Razem	71

* Wojna sparaliżowała działalność założycielską.

Źródło: J. Tuliszkowski, *O działalności przeciwpożarowej Centralnego Towarzystwa Rolniczego stów parę*, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 14/15, s. 201.

Zauważmy, że znacznie łatwiej – mimo sprzeciwów administracji carskiej – było zakładać ochotnicze straże pożarne niż spółki budowlane, gdzie o takich sprzeciwach nie wspomina się, bo czynnikiem decydującym o niechęci do budownictwa ogniotrwałego był opór tych, co powinni nim być żywotnie zainteresowani. Niestety, już wówczas widać było, że potoczne wyobrażenie o walce z pożarami (jednorazowa mobilizacja zamiast ciągłej pracy) zyskuje zwolenników w naturalny sposób, w czym na pewno odgrywały swoją rolę względy ekscytacji ogniem, perspektywa czynów bohaterskich, możliwość imponowania mundurem czy aura strażaka-bohatera...

*Oprócz tych czynności instruktor, stojąc na czele Komisji wybranej na Zjeździe Strażackim we Włocławku, opracował szczegółową instrukcję i regulamin dla Straży Ogniwych w kraju*⁴¹.

Komisja Tuliszkowskiego była ewenementem nie tylko na skalę Królestwa Polskiego, ale również całego Imperium Rosyjskiego. Z roku na rok jej efektywność rosła, a skutki działania słusznie jej twórca nazywał podstawami do organizacji ochrony przeciwpożarowej. Można powiedzieć, że w sposób naturalny stawał się Tuliszkowski jedną z głównych postaci do organizacji tejże, drugą (a jak się okazało – pierwszą) był Bolesław Chomicz, mający większe inklinacje od Tuliszkowskiego do niezbędnej w nowoczesnym państwie pracy biurokratyczno-prawnej. To dzięki pracy w Komisji obaj brali udział w kilku międzynarodowych kongresach pożarnictwa w Petersburgu, Turynie, Lipsku oraz w kilkunastu zjazdach i konferencjach strażackich w kraju, przenosząc na grunt krajowy mocne postanowienie założenia związku na rzecz ochrony przeciwpożarowej, czyli – jak to obaj określali – na rzecz „higieny pożarnej”.

⁴¹ Tamże, s. 201.

Budowle wiejskie zdrowe, ogniotrwałe i tanie (1913)

Nie byłby Tuliszkowski sobą, gdyby dorobku w CTR nie spróbował utrwalić na piśmie. Kto wie, czy już wówczas nie planował dzieła wielotomowego, mającego opisać całą ochronę przeciwpożarową. W każdym razie, skoro tyle obcował z polską wsią (w dwa lata zwiedził prawie 300 miejscowości), postanowił wypowiedzieć się o budownictwie wiejskim w sposób już nie tyle poradnikowy, co podręcznikowy. Co do podjęcia tematu pionierem nie był, bo wyprzedził go Bolesław Chomicz z wyżej wspomnianej książką pt. *Budynki ogniotrwałe a tanie: poradnik dla gospodarzy wiejskich*. Jednak różnica była istotna, gdyż Tuliszkowski stworzył publikację obszerniejszą, konkretniejszą i pod każdym względem lepszą, bo wszechstronniejszą, która dotyczyła nie samego tylko budownictwa ogniotrwałego, ale wyjaśniała jednocześnie w sposób podręcznikowy jego szczegóły. Zresztą na tym polu wyprzedził sam siebie – omówiona wyżej książka jego autorstwa pt. *Walka z Pożarami dla użytku miast mniejszych, gmin, dworów i osad* (1909) to pierwowzór publikacji niżej omówionej, z poruszeniem tych samych zagadnień budownictwa ogniotrwałego na wsi, z tym że w kolejnym opracowaniu napisane wcześniej rozdziały wyodrębnił i rozwinął.

Być może ostatecznym impulsem do napisania książki był konkurs w CTR na publikację popularną, pozwalającą na podniesienie poziomu życia włościan. Konkurs zakładał wydanie prac zwycięskich. O wyróżnieniu dla książki Tuliszkowskiego pt. *Budowle wiejskie zdrowe, ogniotrwałe i tanie*⁴² informowano na jej stronie tytułowej: *Praca nagrodzona na konkursie imienia D-ra Alfreda Sokołowskiego, wydana z zapisu d-ra Chwieckowskiego*. Ze sposobu wydania tej publikacji wynika, że szereg świątłych ludzi pracowało w CTR na rzecz wiejskiego oświecenia, a niektórzy z nich skłonni byli przeznaczać na ten cel własne pieniądze.

Książka ta nie była ani pierwszym, ani ostatnim podejściem Tuliszkowskiego do tematu budownictwa ogniotrwałego obszarów wiejskich. Po jej napisaniu szeregu rozdziałów opublikował w formie przekształconej i rozszerzonej w „Przeglądzie Pożarniczym”, a potem użył ponownie w publikacji zwartej pt. *Obrona przed pożarami*, gdzie zostały nieco przekształcone i rozwinięte ponownie, zwłaszcza wzbogacone o bardzo obszerny dział pt. *Swojski wygląd budowl*. Niemniej już na obecnym etapie w miarę szczegółowe zapoznanie się z zagadnieniem ogniotrwałości zabudowy wiejskiej ma kilka walorów. Pierwszym jest poznanie podstaw budownictwa, co daje umiejscowienie dziś stosowanych zasad sztuki budowlanej w znacznie odleglejszym od wyobrażanego czasie – ponad sto lat temu. Drugim jest fakt, że zapoznajemy się z istotnymi treściami kursów prowadzonych przez Tuliszkowskiego, bo przecież tego właśnie uczył w szkołach rolniczych czy na zebraniach kółek rolniczych. Trzecim, że poznamy język potoczny ówczesnego człowieka wykształconego, uproszczony na rzecz słuchaczy, zatem wszystko powinniśmy pojąć bez żadnego trudu.

⁴² J. Tuliszkowski, *Budowle wiejskie zdrowe, ogniotrwałe i tanie*, Warszawa 1913.

Przedmowa

Trochę przesadził Tuliszkowski w przedmowie, ale nie pisał po to, by poprawiać stan dobrego budownictwa wiejskiego, tylko złego. A tego widział mnóstwo przykładów. To właśnie pragnął zmienić na lepsze, czego nie wymyślał, tylko widział.

Celem tej książeczki jest wskazanie właśnie Wam, szanowni gospodarze, na materiały budowlane tanie a ogniotrwale i podanie sposobów stawiania z nich budynków, a również zwrócenie głównej uwagi na to, aby ludziska mieli na wsi mieszkania i zabudowania gospodarskie trwałe, zdrowe, niedrogie i zabezpieczone od pożarów⁴³.

Zważmy, kiedy te słowa napisano. Mianowicie w trzy lata od pełnej publikacji wielotomowego, ponadczasowego dzieła Władysława Stanisława Reymonta pt. *Chłopi*.

Rozplanowanie wsi

Zasadniczym problemem polskich wsi Kongresówki była nawet nie łatwopalność zabudowy, co – wspomniana w przedmowie – jej zwartość, w dodatku z reguły idąca w parze z biedą. Zatem im bardziej skupiona w sobie wieś, tym biedniejsza, a więc mniej podatna na poprawę okoliczności pożarowych. Wsie, na skutek podziału gruntów na coraz węższe pasy, tworzyły niekończące się ciągi budynków – chałupa w chałupę, stodoła w stodołę. Tuliszkowski radził, by przynajmniej nowe zabudowania wznosić w sposób bezpieczny.

Należy się budować t. zw. kolonjami bo najpożyteczniej dla gospodarki mieć pola swe dokola zagrody⁴⁴.

Pośród wielu zalet dotyczących doglądania i pilnowania gospodarstwa niemal bez wychodzenia z domu, łatwości i szybkości przeprowadzenia prac polowych oraz zwózki płodów rolnych, zabudowa taka miała niezaprzeczalne walory ze względu na ochronę przeciwpożarową i ochronę od innych klęsk, takich jak epidemie chorób zakaźnych.

Podczas pożaru jednej kolonji, ogień nie zagraża innym, bo są, one o parę staj położone; ratunek więc i umiejscowienie ognia jest bardzo ułatwione⁴⁵.

Tak samo podczas chorób zakaźnych, jak tyfus, oспа, szkarlatyna i t.p., przerwy między kolonjami chronią w części sąsiadów od zarazy i nie dają, chorobie się rozszerzyć⁴⁶.

Ideal zabudowy kolonijnej nie zawsze był możliwy, więc autor polecił inne jeszcze sposoby budowania.

Niemożliwym jednak jest odrazu wszystkie wsie rozbić na kolonje, więc trzeba się starać, aby zagrody pojedyncze we wsi nie stały w skupieniu, szczególnie przy nowem ich zakładaniu. Kiedy naprz. po śmierci ojca bracia dzielą się, to nie należy dopuszczać, aby chata stawiała przy chacie, stodoła — przy stodole. (...) Przy wązkich działach ziemi, aby uniknąć skupienia budowli stawia się je w t. zw. szachownicę (...).

⁴³ Tamże, s. 3–4.

⁴⁴ Tamże, s. 5.

⁴⁵ Tamże.

⁴⁶ Tamże, s. 6.

Często się u nas w Polsce spotyka wsie, które mają po jednej stronie ulicy chałupy i obory, a po drugiej stodoły. Takie rozplanowanie ma podczas pożaru swoje znaczenie, łatwiej bowiem obronić stodoły w razie pożaru chat i odwrotnie, ogień z palących się stodół nie tak łatwo przez szeroką, ulicę się przerzuca na inne zabudowania⁴⁷.

Zalecał przy tym szerokość prowadzącej przez wieś ulicy nie mniejszą niż 15–20 łokci oraz uliczki poprzeczne szerokości 8 łokci co 4–6 zagród. Z ówczesnych miar – 1 łokieć to 0,6 m.

Przerwy te również ułatwiają, walkę z ogniem i pozwalają, obrońcom szybko się przedostać poza opłotki i dowozić ze znajdujących się tam najczęściej sadzawek wodę⁴⁸.

Mamy zatem bierną obronę przed pożarem rozumianą jako bezpieczną odległość między budynkami. Musimy zdać sobie sprawę, że przy łatwopalnym pokryciu dachów nawet większe z tych odległości wcale nie były bezpieczne – one miały ułatwić działania w obronie sąsiednich zabudowań nie tylko strażakom, ale również, a może przede wszystkim, samym mieszkańcom.

Rozplanowanie zagrody

Z całą pewnością osobom pamiętającym dawną zabudowę wiejską rzuciła się w oczy prawidłowość w rozplanowaniu zagród, tworzących zwykle czworobok, mniej lub bardziej zamknięty (z przerwami na bramy wiodącymi na przestrzał). Dom stał równolegle do drogi, za nim było podwórze. Naprzeciw domu stała stodoła. Łącznikiem między domem a stodołą były inne zabudowania gospodarcze, na ogół obora ze stajnią po jednej stronie, a po drugiej szopa, wozownia, spichlerz. Czasami była to zabudowa w kształt litery C: dom, obora, stodoła, z widokiem z podwórza od strony niezamkniętej na tył obory sąsiada.

Otóż ta powtarzalność, ułatwiająca wszelkie prace, wykształcona przez wieki praktyki rolniczej, była też celowym zamierzeniem. Takie porady zawarł w swojej książce Tuliszkowski, zalecając maksymalne powiększenie odległości między zabudowaniami. *Również dla ochrony od masowych pożarów, dla ułatwienia gaszenia płonących pojedynczych zabudowań, a także ze względów zdrowotnych należy zagrodę tak urządzić, aby budynki, w jej skład wchodzące, były w pewnej odległości od siebie postawione, żeby i podwórko było obszerniejsze. Wtedy niema mitręgi podczas zwózki i powietrze jest czystsze, bo gnojownię na nawóz można opodał mieszkania urządzić.*

Dowiedzionem jest z praktyki, że odległość między budynkami powinna wynosić najmniej 15 łokci, a stodoła, mieszcząca plon całorocznej pracy, o 20 łokci od najbliższej budowli przynajmniej winna być oddalona. Nie tylko dla obrony od pożaru, ale i dla zdrowia ludzkiego pożądanym jest takie odsunięcie budynków, szczególnie oddalenie obory i stajni od domu mieszkalnego.

⁴⁷ J. Tuliszkowski, *Budowle wiejskie zdrowe, ogniotrwałe i tanie...*, s. 6.

⁴⁸ Tamże, s. 6.

Najczęściej budynek dla inwentarza stoi wpoprzek do długości chałupy, a zwierzęta w nim powinny być rozmieszczone w następującym porządku: najbliżej domu znajduje się stajnia, za tem przedział na krowy, a na końcu najdalszym od mieszkania, chlewy dla trzody. Za szczytową ścianą tego budynku, w odległości paru kroków kopie się dół na gnojownię ze studzienką, dla gnojówki, a tuż obok wychodek. W ten sposób chlew, gnojownia i wychodek, dające najwięcej smrodliwych wyziewów, najdalej będą odsunięte od mieszkania⁴⁹.

Autor wzbogacił treść o wielce wymowne rysunki (również gnojowni i wychodka), przedstawiające różne warianty zabudowy, zależne głównie od szerokości działek. Jako element ochrony przeciwpożarowej Tuliszkowski proponował celowe nasadzenie drzew, nie tylko jako sadów, ale również jako żywopłotów. Zobaczmy, co radził.

8–10 lokciowe oddalenie mieszkania od ulicy i obsadzenie od frontu drzewami i krzewami chroni mieszkańców od szkodliwego dla płuc i oczu kurzu, a całą zagrodę broni od ognia, powstałego w zabudowaniach, leżących po drugiej stronie ulicy. Szczególnie do tego celu nadają się szeroko rozgałęzione i gęsto ulistwione drzewa, stanowiąc rodzaj tarcz ochronnych, na których zatrzymują się głównie i iskry, niesione wiatrem od pobliskiego pożaru, i o które odbija się promieniste gorąco – żar od gorejących w pobliżu budowli.

Najlepsze są drzewa owocowe, dając i obrony od ognia i owoce. Sadźmy więc je z tych względów wszędzie dokoła budynków i w przerwach między nimi, bo one również wpływają na zdrowie, odświeżając powietrze w zagrodzie i dając podczas upałów miły cień i chłód. Zamiast płotu chruścianego, łatwopalnego i szybko psującego się, lepiej jest obsadzić zagrody żywopłotem z grabiny, akacji żółtej, leszczyny i t.p. gęsto rosnących krzewów, a przed chałupą urządzić ładny kwiatowy ogródek, miły dla oka, napełniający aromatem powietrze w całej zagrodzie⁵⁰.

Budynki mieszkalne na wsi

Przy sporządzaniu planu domu mieszkalnego trzeba, jakśmy już mówili, przedewszystkiem dać dobry rozkład, starając się, aby izby przeznaczone na spanie i na przebywanie rodziny były duże, aby okna ich wychodziły na południe i wschód (od sypialni), aby wejście do każdej izby było wygodne, aby piece były zgrupowane koło jednego, w większych budynkach koło dwóch kominów i nie stały przy zewnętrznych ścianach. Praktycznie jest dać sieni od głównego wejścia i drugi od kuchennego i od tych sieni dać drzwi do każdej izby. Trudno jest tak obszernie omawiać całe urządzenie mieszkania, najlepiej o tem przekonywa i objaśnia tych sześć załączonych tu planów o różnym rozkładzie, odpowiadających różnej ilości posiadanej ziemi, różnym wymaganiom i potrzebom gospodarza⁵¹.

Na tych sześciu planach, w oparciu o które i dziś dałoby się zbudować wygodne domy, autor zaproponował sześć wariantów budynków mieszkalnych. Zaczął od niedużego domku z jedną izbą mieszkalną i z osobną kuchnią oraz od jego wariantu powiększonego o komorę (izbę bez okien) i szerszą sieni. Dalej dał przykłady budynków dla

⁴⁹ J. Tuliszkowski, *Budowle wiejskie zdrowe, ogniotrwałe i tanie...*, s. 7.

⁵⁰ Tamże, s. 11.

⁵¹ Tamże, s. 16.

średniozamożnych, gdzie zaplanował dwie izby mieszkalne, kuchnię i komorę, po dwa wieloizbowe projekty dla zamożnych gospodarzy, przypominające rozkładem dworki, ale o kształcie wiejskich chałup, przewidujące zagospodarowanie strychu na cele mieszkalne. Wszystkie projekty zawierały schody na strych, przewidziano w nich miejsce na spiżarnię. Bardzo starannie zaprojektowano sposób ogrzewania – w centrum znajduje się trzon kominowy z piecem i kuchnią, w odróżnieniu od tysięcy dzisiejszych nienajlepszich projektów, zawsze wychodzący centralnie, przez kalenicę. Wszystkie projekty mają duże okna. Wygląd budynków zobrazowano w postaci rysunków elewacji.

Ponadto autor zaprojektował budynki mieszkalne dla robotników gospodarstw folwarcznych, tzw. czworaki, przeznaczone dla czterech rodzin. Tu niemożliwe było zlokalizowanie funkcji względem stron świata, niemniej każde z mieszkań zachowywało własną funkcjonalność i odrębność. Rysunki elewacji z uwzględnieniem nasadzeń drzew dają przykłady, jak zachować estetykę włościańską w budownictwie wielorodzinnym – w opinii autora dzisiejsi architekci krajobrazów budowlanych mogliby się wiele nauczyć, a przynajmniej być odpytywanymi z zagadnień estetyki regionalnej na ocenę, z zagrożeniem dyskwalifikacją za mylenie Podhala z Mazowszem oraz bezmyślne stosowanie modernizmu, co zawsze przecież starzeje się najszybciej – na przykład płaski dach w zabudowie wiejskiej cieszy tylko przez krótki czas.

Budowa domu mieszkalnego

Oczywiście pierwszorzędne znaczenie dla autora miało zastosowanie materiałów ogniotrwałych. Wyjaśnił jednak w sposób przystępny znaczenie części składowych budynku i ich odpowiedniego wykonania dla zdrowia mieszkańców. Jeśli ktoś by pytał – tak, ponad 100 lat temu starano się o zapewnienie drenażu i izolacji przeciwwilgociowych.

Pierwszym warunkiem zdrowotności mieszkańców jest zabezpieczenie domu od wilgoci. Ponieważ posada (fundament) znajduje się w ziemi, skąd ciągnie wilgoć, przede wszystkim ją należy od tejże ochronić. Na obranem pod mieszkalny dom miejscu (możliwie najwyższym) kopie się rowy pod posadę tak głęboko, aby dno ich było cokolwiek niżej linii przemarzania gruntu. W naszym klimacie około 1 i 1/2 łokcia. Spód posady powinien oprócz tego spoczywać na twardym gruncie.

Jeżeli miejscowość jest w ogóle niska lub bagnista, trzeba poniżej posady od węgła posadowego rowu, najbliższego do niższego miejsca, wykopać rowek 12-18 cali szerokości i głębokości, ze spadem do pobliskiej niższej miejscowości, łączki, bagienka, rowu lub rzeczki. Rowek ten zapełnia się polowemi kamieniami wielkości pięści, pokrywa się faszyną lub gałęziami i zasypuje się ziemią. Będzie to więc rodzajem drenu, odciągającego z pod posady nadmiar wody zebranej z ulewnych dreszczów lub roztopów wiosennych.

Jeszcze lepiej jest dać dokoła posady, równo z jej dnem, nazewnątrz sączki (rurki z gliny palonej) ze spadem. Rurki te, okalające posadę, trzeba dać 2-3 calowe, a wspólną, odprowadzającą dalej wodę, 4-5 calowej średnicy⁵².

⁵² Tamże, s. 25–26.

A jak miała wyglądać izolacja przeciwwilgociowa zewnętrzna?

Posada dla budynku mieszkalnego powinna być wyniesiona nad poziom najmniej na 18 cali, a dokoła jej na zewnątrz dają stoki, które dochodzą do płaskiego ścieku 3-4" głębokiego, 5-6" szerokiego, okalającego budynek równo pod okapem dachu.

Stoki i rowek winny być ubite gliną, lepiej jeszcze betonem lub szczelnie wybrukowane. Służą one w braku rynien na wsi, do odprowadzania wody z dachu i zabezpieczają posadę od wilgoci zewnętrznej. Najczęściej u nas na tę ochronę nie zwracają, ludzie uwagi i cała woda z dachu podchodzi pod budynek po wkłnięciu, jakie przez osiadanie budynku dokoła się formuje. Stąd głównie bierze się w mieszkaniu wilgoć, sprzyjająca rozrostowi pleśni i grzyba drzewnego, będących główną przyczyną ciągłych chorób⁵³.

Warto też wiedzieć, że podłoga na legarach była bardzo dawnym wynalazkiem, której stosowanie niejako znormalizowano w ówczesnych zwyczajach budowlanych. Wiedzano, jak ją chronić przed podciąganiem wilgoci, jak wentylować, jak zabezpieczać prze zimnem.

Zarodki grzyba w suchem powietrzu giną. Aby więc zabezpieczyć podłogę od tego grzyba, od murszenia i gnicia, trzeba w podłużnych ścianach posady na wysokości 10–12 cali nad ziemią dać co 3–4 łokcie otwory 8–12 cali szerokości, 4–6 cali wysokie (tzw. lufta) lub zamurować rurki drenowe (3–5 cali średnicy). Dzięki tym otworom jest stały przewiew pod podłogą, która jest w skutek tego zabezpieczona całkiem od grzyba.

Najlepsza, najzdrowsza podłoga jest drewniana. Używane u nas często na wsi posadzki z cegły lub bite z gliny a nawet z ziemi są bardzo złe, bo trudne do utrzymania w czystości, pełno w nich zawsze kurzu, a na jesieni i w zimie błota⁵⁴.

Izolacji przeciwwilgociowych ciąg dalszy przedstawiał się następująco: Aby podłoga drewniana była zdrowa, dobra i długotrwała, należy przed ułożeniem legarów pod nią wewnątrz izby ubić warstwę gliny na 5-6 cali grubą i nasypać na to parę cali suchego piasku lub gruzu. Jeszcze lepiej jest zamiast gliny powierzchnię tą wybetonować na 3–4 cale.

W tych miejscach, gdzie mają być ułożone legary, daje się co 1 i 1/2–2 łokcie podkłady z cegieł, ułożonych na płask. Zamiast cegły można użyć płaskich kamieni lub klocków drzewa, 3–4 cale wysokich, przykrytych kawałkami tektury smołcowej (papy). Na tych podporach dopiero dajemy legary (...) ⁵⁵.

Wnoszenie ścian również podlegało regułom izolacji.

Po wzniesieniu posady na 18–24 cali nad poziom, trzeba jej powierzchnię wygładzić, dając zaprawę piaskowo-wapienną, a jeszcze lepiej piask.-cementową (1 miara cementu 4–6 miar czystego piasku) na wierzchu, warstwą na 1–2 cali. Po dobrem skrzepnięciu jej, przyczem piask.-cementową warstwę polewa się przez 8–10 dni dwa razy dziennie wodą i po wyschnięciu tej powierzchni, układa się na niej tekturę smołcową o 2 cale szerszą od mających się murować ścian. Pasek tektury calowej szerokości, wystający z pod muru,

⁵³ J. Tuliszkowski, *Budowle wiejskie zdrowe, ogniotrwałe i tanie*, Warszawa 1913, s. 26.

⁵⁴ Tamże, s. 27.

⁵⁵ Tamże.

zabetonowuje się na zewnątrz ze spadem dokoła budynku. Tektura ta powinna być gruba N 000 lub N 0000; jeszcze lepiej dać t.zw. płótno gudronitowe. Zarówno tektura, jak i płótno mają, za zadanie nie dopuszczenie wilgoci z posady do ścian. Oddzielenie, t. zw. izolacja, jest koniecznym warunkiem każdego suchego domu⁵⁶.

Piece

Jedynym wówczas sposobem na wytwarzanie ciepła w budownictwie mieszkalnym było spalanie ciał stałych pochodzenia organicznego, czyli drewna i węgla. Do tego potrzeba było odpowiednich urządzeń. Tak o tym napisał Tuliszkowski – i tu sięgamy również do ochrony przeciwpożarowej. Najważniejszym bodaj urządzeniem wewnętrznym, wpływającym na zdrowie mieszkańców, są piece. Od ich rozkładu, wielkości, od dobrego stanu zależy równomierne nagrzewanie powietrza w izbach, dobre ich przewietrzanie. Piece mają trojaki przeznaczenie: służą do ogrzewania mieszkania, do gotowania strawy i do pieczenia chleba⁵⁷.

Dalej następuje opis różnych pieców, z czym warto się zapoznać, bo kto wie, czy kiedyś nie wrócimy nagle do czasów zbierania chrustu na opał.

Ogrzewalne piece robią z blachy żelaznej, z lanego żelaza, budują z cegły i kafli. Żelazny piec czy to znitowany z blachy, czy też odlany nie jest praktyczny, bo szybko się ogrzewa ale i szybko stygnie i potrzebuje więcej opalu, a co najgorsze, że kurz, osiadając na jego rozpalonej powierzchni, spala się i wydaje przykrą woń i swąd. Piece murowane z cegły tańsze, kaflowe są droższe. Ostatnie daleko lepsze, ponieważ dłużej trzymają ciepło, dają się utrzymywać w czystości i porządku, pięknie wyglądają. Zarówno jedne jak i drugie mają pionowe kanały tak rozmieszczone, że jedna ze ścianek każdego kanału jest zewnętrzną ścianką, pieca. Gorące gazy, przewijając się po tych kanałach przed wyjściem do komina, oddają im część ciepła, wskutek tego piec przy malej nawet ilości paliwa dobrze przez dłuższy czas grzeje, oddając po trochu z powrotem izbie zatrzymane z opalu ciepło. Dobry piec nieraz całą dobę potrafi ciepło utrzymać⁵⁸.

Autor pokazał przekroje pieców, wyjaśnił zasadę ich działania, również na szczegółowych przekrojach, tj. schłodzenia spalin poprzez przechodzenie przez ciąg pionowych kanałów, oddających ciepło do pomieszczenia. Z uwagą przeczytajmy ustęp o bezpiecznym obchodzeniu się z piecem.

Tego rodzaju piece mają, zwykle hermetyczne, t. j. szczelne drzwiczki zarówno do opalu jak i do popielnika i są bez zasuwy. Wtedy najmniej zużywa się opalu, bo drzwiczki zamyka się szczelnie dopiero podczas dobrego rozpalenia się pieca i dobrze rozżarzone paliwo nagrzewa jeszcze pewien czas cały piec i to mocno, ponieważ dostęp do kanałów zimnego, chłodzącego je powietrza jest przerwany. Piec więc wchłania w siebie całe prawie pozostałe opalowe ciepło i potem przez długi czas ten zapas oddaje izbie.

⁵⁶ Tamże, s. 28–29.

⁵⁷ Tamże, s. 33.

⁵⁸ Tamże, s. 34.

*Zdrowie i życie ludzkie przy takich piecach nie jest narażone na niebezpieczeństwo zaczadzenia, jak to się nieraz zdarza przy zwykłych piecach, kiedy zasuwę za wcześniej się zamknie*⁵⁹.

Niestety, nic autor nie wspomina o konieczności zapewnienia nawiewu, gdyż ten warunek nie występował jako krytyczny przy ówczesnym stanie szczelności budownictwa. Ówczesny nawiew do komory spalania pieca odbywał się głównie przez nieuszczelne okna i wentylowaną podłogę zbudowaną z desek na legarach. Gdyby były to elementy równie szczelne, jak dzisiejsze, musiałby Tuliszkowski zauważyć mnóstwo przypadków zaczadzeń. Tymczasem mógł napisać o gotowaniu posiłków bez informowania o konieczności uchylania okien, drzwi, czy zrobienia celowo kanału nawiewnego, jak to czyni się obecnie do kominków.

*Do gotowania strawy dawniej używali ludzie kominów lub otwartych pieców, gdzie do ognia przystawiane były bokiem garnki i długo, długo trzeba było je tam trzymać, a dobrze palić, zanim strawa była ugotowana. Teraz już takie urządzenia spotyka się coraz rzadziej, a wszędzie po wsiach ludzie nauczyli się stawiać kuchnie z blachą, t. zw. angielskie. Taki piec jest bezpieczny, bo ogień jest dokoła zamknięty, mniej zużywa opalu i szybko, doskonale gotuje. Aby lepiej wyzyskać ciepło potrzebne do gotowania, można angielski piec połączyć z ogrzewalnym. Przy piecu tym wznoszą piec ogrzewalny, albo w kuchni, jeżeli ją pragną ogrzewać lub też wysuwają go do przyległej izby (...). Ostatnie ustawienie pieca jest praktyczne dlatego, że nie przedstawia żadnej obawy zaczadzenia w izbie. Tego rodzaju bowiem połączenie pieców wymaga dwóch zasów tak nazw. letniej i zimowej. Latem otwarta bywa pierwsza i gazy gorące wychodzą z pod blachy wprost do komina; zimą zaś odwrotnie przewód ten jest zamknięty i gazy z pod blachy przechodzą przez kanały pieca ogrzewalnego i, pozostawiając w nich część ciepła, wchodzi już oziębione do komina. Ponieważ drzwiczki od tych połączonych pieców są w kuchni, więc niebezpieczeństwa od czadu nie ma*⁶⁰.

Jako że jesteśmy coraz dalsi od zasad bezpiecznego używania narzędzi grzewczych na paliwa stałe, zapoznajmy się i z poniższymi, bardzo praktycznymi zaleceniami. Szczególną uwagę trzeba zwracać na szczelne zamknięcie otworu pieca zasłoną z blachy wtedy, gdy w nim jest zarzewie, bo nieraz silny podmuch wiatru przez komin może gorejący węgiel wyrzucić na izbę i wszcząć pożar. Aby uchronić się od takich wypadków na podłodze przed każdym piecem zarówno piekarskim jak i kuchennym i ogrzewalnym powinna być przybita blacha 1 łokieć szeroka i ½ łokcia najmniej długa. Popiół drzewny powinien być wyrzucany z pieców do osobnej skrzyni na dworze opodal budynków, bo stanowi dobry nawóz w gospodarstwie. Jeżeli skrzynia jest z drzewa, to lepiej obić wewnątrz blachą żelazną. Lepszy do tego byłby murowany lub z betonu ubity dół, bo nieraz nieostrożna gospośka wraz z popiołem wyrzuca zarzewie⁶¹.

⁵⁹ J. Tuliszkowski, *Budowle wiejskie zdrowe, ogniotrwałe i tanie*, Warszawa 1913, s. 34–35.

⁶⁰ Tamże, s. 36–37.

⁶¹ Tamże, s. 38.

Kominy

Dostajemy interesującą informację, jak to z tymi kominami bywało i jak być powinno.

Komin stanowi bardzo ważną część każdego budynku mieszkalnego i powinien być gruntownie postawiony. Tymczasem po wsiach niewiele tego pilnuje. Dają ludziska często komin na płytkiej posadzce i ten nierównomiernie osiadając pęka. Pęknięcia zaś te są szczególnie niebezpieczne na strychu, gdzie zawsze jest pełno starych skrzyń, rupieci, słomy i t.p. łatwopalnych przedmiotów.

Jak wypadnie piec opodal komina naprz. z drugiej strony przez sień, to prowadzą niektórzy przewód dymowy od niego do komina t. zw. czopuch na strychu, murując z cegieł wprost na deskach powały. Przez osiadanie powały czopuch taki nieraz pęka i wysuszone na pieprz deski łatwo się zapalają.

Domorosły cieśla nieraz, jak mu przy układaniu belek lub krokwi, wypadnie która na komin, wprost ją, w mur kominowy pakuje i obrzyna jej koniec równo z kanałem komina. Koniec ten powoli od gorąca zwęglą się i nie wiemy kiedy i jak zaczyna się pożar.

Na to wszystko jest rada.

Jeżeli musi być krokiew lub belka skierowana na komin, to ją w odległości 10-12 cali od komina trzeba obciąć i obsadzić w t. zw. przejmę, rygiel zamocowany na dwóch sąsiednich belkach. Również należy unikać prowadzenia „czopuchów“ lecz od każdej grupy pieców osobny komin pionowo wystawiać⁶².

Odnosnie do pożarów kominów autor przede wszystkim zalecał częste czyszczenie ich przewodów, czopuchów itp. Przy pożarze zalecenie było następujące – po prostu nie gasić, tylko założyć sito kominowe, by iskry nie padały na sąsiednie budynki. Z opowieści starszych ludzi autor wie, że nocne pożary sady wzbudzały wprost zabobonny lęk u mieszkańców wsi. Kto to zjawisko widział, ten wie, skąd ten strach się brał – po uzmysłowieniu, że wokół zionącego kilkumetrowym snopem iskier komina nic nie widać, tylko strzechy lub gonty.

Powała

Dobre urządzenie powały i sufitu wpływa na bezpieczeństwo ogniowe, na umiarkowanie powietrza w izbie t. j. w zimie chroni od chłodu, a latem od gorąca i zaduchu⁶³.

Tak to zagaił Tuliszkowski, żeby nie było, iż jakiś zwyczaj budowlany powstał wyłącznie dla ochrony przeciwpożarowej. Każdy musiał wiedzieć, że celowa obrona przed pożarami dzieje się przy okazji innych jeszcze korzyści. Dalej więc napisał:

Na ścianach układają podbelcza (murlaty), a na tych belki. (...) Na tych belkach układają deski powały, najczęściej półtorówki, rzadziej półcalówki, albo na tak zw. zakładkę, albo dla oszczędności deska od deski w odstępach 4–6 calowych, a te odstępy przykrywają obrzynkami (obladrami, opolami, oszastami), które znacznie taniej od desek kosztują. Na powale ubijają na 1–2 calowej warstwie targanej słomy t. zw. polepę, glinę z mchem, wrzosem lub

⁶² Tamże, s. 45.

⁶³ Tamże, s. 47.

sieczką, ze słomy, warstwą na 1½–3 cali, a najmniej tak grubo, aż nad garbami obrzynków było jeszcze z półtora cala bitej gliny. Belki u spodu podbijamy t. zw. podsiębitką z calówek, trzciniemy lub jeszcze lepiej nabijamy siatką, żelazną (ciągniętą, z blachy) i podrzucamy tynkiem z zaprawy piaskowo-wapiennej.

Gliniana polepa doskonale chroni wewnątrz budynku od ognia podczas pożaru dachu. Bywały wypadki, że cały dach zapadł się i spalił na polepie, a warstwa jej nie dopuściła ognia do środka izb.

Warstwa tynku sufitowego w razie wewnętrznego pożaru również przez pewien czas chroni powalę i dach od ognia⁶⁴.

Budynki dla inwentarza

Tuliszkowski szczegółowo rozpiął i rozrysował sposoby wznoszenia obór, stajni i chlewni. Wiele zaleceń jest zbieżnych z zaleceniami dla siedzib ludzkich (z wyjątkiem ogrzewania i niektórych izolacji przeciwwilgociowych). Duże znaczenie nadał oświetleniu tych obiektów oraz doprowadzeniu świeżego powietrza do nich i wyprowadzeniu zużytego. Dał również ważne zalecenia co do ratowania zwierząt na wypadek pożaru. Ewakuację należało przewidzieć zawczasu, a nawet zaprojektować.

W miejscach, gdzie stoją krowy, są przynitowane krótkie haki z półcalowego żelaza, zasunięte każdy w dwa skobelki, pomiędzy którymi jest nanizane na hak kółko od łańcucha uwięzi. Podczas pożaru wystarczy pociągnąć za rączkę; wtedy wszystkie kółka spadają z haków, zwalniając krowy z uwięzi⁶⁵.

Kto dziś projektuje otwarcia klatek czy uwięzi na wypadek pożaru?! A przecież 100 lat temu już takie rozwiązania przewidywano i stosowano! Przeczytajmy zatem inne jeszcze praktyczne rady, jak postępować ze zwierzętami w czasie pożaru.

Ponieważ pożary u nas wciąż wybuchają, i tyle nieraz inwentarza ginie w ogniu głównie przez nieumiejętne wzięcie się do ratowania, więc nie weźmiesz mi chyba za złe, szanowny czytelniku, że kilka wierszy poświęcę, jako doświadczony strażak, na udzielenie rad praktycznych w tym względzie.

Ratowanie zwierząt z ognia nie jest łatwe. Przerażone zgiełkiem, jaki panuje przy pożarze, widokiem łuny i kłębow dymu, rzucają się zwierzęta, szarpią, stają dęba i nie dają się łatwo spuścić z uwięzi.

Aby wyprowadzić konia, należy przedewszystkiem uspokoić rozhukane zwierzę klepiąc po szyi i nazywając po imieniu, i narzucić część uprzęży, czy to okiełznać, czy też nałożyć siodło lub chomonto. Koń, myśląc, że go mają zaprzęgać, bez oporu wyjdzie ze stajni.

Krowy i woły po spuszczeniu z uwięzi sposobem opisanym dają się wyprowadzić tylko z zawiązanymi oczami. Trzeba więc narzucić na łeb zwierzęciu worek, kapotę, wreszcie bluzę strażacką i wyciągnąć z obory.

⁶⁴ J. Tuliszkowski, *Budowle wiejskie zdrowe, ogniotrwałe i tanie...*, s. 48.

⁶⁵ Tamże, s. 59.

Przy ratowaniu owczarni należy złapać barana – prowodyrę za rogi i wyciągnąć z budynku, a za nim wyjdzie całe stado.

Nierogaciznę można tylko siłą z chlewu wyciągnąć, drób zaś pakuje się w worki i wynosi.

Po usunięciu zwierząt z budynków drzwi natychmiast trzeba zamykać, bo spłoszone widokiem jeszcze jaskrawszym ognia, głośniejszym zgielkiem, usiłując do płonących obór i stajen powrócić.

Konie i krowy odprowadza się do budynków inwentarskich stojących opodal ognia, poza wiatrem i oddaje się pod dozór ludzi pewnych⁶⁶.

Stodoła

W niektórych gospodarstwach widzieć można małe stodołki, mieszczące tylko klepisko i trochę zboża, resztę zaś zboża ustawiają w sterty. To znów spotyka się zamiast stodoły otwartą szopę, składają się z dachu przeważnie papowego na nieobrobionych słupach i nieobrobionym lekkim wiązaniu dachowym, służącą do przechowywania zboża w snopach, a tylko mała część tej szopy posiada ściany, służące do zamykania wymłotu i maszyn. Prawda, że takie urządzenie jest tanie, jednak przedstawia podczas pożaru większe niebezpieczeństwo, bo lotny ogień po drewnianej nawet ścianie stodoły ześlizgnie się i zgaśnie, a jak zaleci taka iskra lub głównia na stertę lub pod otwartą szopę i padnie na słomę, mamy niebezpieczeństwo gotowe⁶⁷.

Jak widać, stodoła jest bezpieczniejsza od sterty lub brogu... Stawia się ją w sposób następujący:

Ponieważ stodoła jest lekkim budynkiem, więc zamiast posad można dać pod podwaliny pniaki lub kamienie. Na ściany można użyć gorszych desek i nabijać je wbrew przyjętemu zwyczajowi dosyć szczelnie, a to przez wzgląd na lotny ogień, natomiast porobić w ścianach podłużne wąskie otwory dla ułatwienia przewiewu i zaopatrzyć je w gęste siatki, chroniące zboże od ptaków. Dobrzeby było wymalować na zewnątrz drewniane ściany płynem, nadającym drzewu odporność na ogień i wilgoć⁶⁸.

Autor podał przepis na płyn dający drzewu odporność na ogień – zauważmy, że chodzi o powierzchnię zewnętrzną, mającą kontakt z czynnikami atmosferycznymi!

Do trzech wiader gotującej się wody wsypać: 2 funty chlorku magnezu, 2 amoniaku, 2 kwasu fosforowego, 1 soli zwyczajnej, 1 sody, 1 węglanu wapna, 1 kwasu borowego. Tym płynem pomalować ściany parę razy, aby drzewo było dobrze nasycone⁶⁹.

Możemy się zdziwić, ale Tuliszkowski traktował dachy słomiano-gliniane jako bezpieczne – od przeniesienia pożaru przez ognie lotne.

Ze względu na szczególnie częste po wsiach pożary na jesieni, kiedy stodoła jest pełna i mieści w sobie pion całorocznej pracy, dach na stodole powinien być bezwarunkowo ogniotrwały.

⁶⁶ Tamże, s. 60–61.

⁶⁷ Tamże, s. 62.

⁶⁸ Tamże, s. 63.

⁶⁹ Tamże.

*Ponieważ jest to budynek lekki, bez posad, więc i dach powinien być nieciężki. Najlepszym jest dla stodoły dach słomiano-gliniany*⁷⁰.

Gnojownik i wychodek

Duże znaczenie dla Tuliszkowskiego miała higiena obejścia, np. zabezpieczenie studni przed zanieczyszczeniem gnojówką. Proponował, by przy gospodarstwie budować specjalny pojemnik na gnój: gnojownik z zadaszeniem, gdzie nawóz kompostowałby się bez zatrutowania smrodem terenu zagrody, a deszcze nie wypłukiwałyby z niego wartościowych składników. Przy nim autor widział umiejscowienie wychodka dla ludzi. Popatrzmy, a przekonamy się, że to nie sanacyjny minister Sławoj-Składkowski był autorem sławojek, co tak z dumną podkreślał. Za jego czasów budowano sławojki pokazowe – głowa rodziny zakazywała używania przybytku, bo służył on po to, by ładnie wyglądać w czasie kontroli i wówczas udostępniano go przez wyrwanie gwoźdźcia z drzwi (bo też powstawały owe budyneczki nie z potrzeby, a z nakazu). Można przypuszczać, że byłby skuteczniejszy w swoich działaniach Sławoj-Składkowski, gdyby przeczytał dzieło Tuliszkowskiego i zastosował jego argumentację, a nie tylko perorował o higienie, jak to mają w zwyczaju niektórzy lekarze, gdy już jest za późno na udzielenie skutecznej pomocy. Oto, jak powinna wyglądać profesjonalna propaganda, czyli rzetelne informacje.

Gdy się tak pisze o tych nie pachnących urządzeniach, to już z porządku rzeczy wypada tu powiedzieć o gorszym jeszcze, bo o ludzkim kale. Porządek utrzymać koło budynków gospodarskich nie jest tak łatwo, bo zawsze coś ciągnie ludzi w potrzebie za oborę lub stodołę, a nie wiedzą oni, że marnują ten najcenniejszy ze wszystkich nawozów i zabrzydzą obejście, a nieraz narażają się na zaziębienie [nie zawsze się narażali – w oborze było ciepło, więc nie wystawiano się niepotrzebnie na pastwę wiatrów, ślot i mrozu – PR]. Wiadomo jest, że dorosły, zdrowy człowiek może przysporzyć tego nawozu rocznie za kilkanaście rubli. Należy więc skrzętnie zbierać ten cenny dla roli nawóz i wybudować ustęp.

*Miejsce trzeba wybrać nie za blisko domu, najlepiej w pobliżu gnojowni. Drewnianą budkę uszczelnioną listwami stawia się z możliwie szczelnymi drzwiczkami z tyłu do wyciągania przez nie kubła albo skrzyni na płozach z hakiem do orczyka. Z pod deski, na której się siada, daje się pionowy wywietrznik, rurę drewnianą, 8-10 cali szeroką, wychodzącą, po nad dach ustępu z daszkiem u góry. Świeże powietrze, wchodząc przez otwór w desce, wyciąga wyziewy do wywietrznika i przez to w ustępie niema żadnej prawie woni. Dla zupełnego jej usunięcia i dla lepszego przechowywania nawozu dobrze jest przesypywać odchody często torfem; gdy zaś go trudno dostać, to próchnicą lub zwykłą ziemią. Nawóz z ustępu najlepiej jest wywozić na kupę kompostową którą należy założyć w pobliżu*⁷¹.

Te bardzo dobre rady są obarczone jednym błędem – autor wyraźnie nie wiedział o rozsiewaniu groźnych chorób pasożytniczych: glistnicy, tasiemczycy itd.

⁷⁰ J. Tuliszkowski, *Budowle wiejskie zdrowe, ogniotrwałe i tanie...*

⁷¹ Tamże, s. 68.

Ogniotrwałe i tanie ściany

Bardzo dużo miejsca autor poświęcił ogniotrwałym ścianom i dachom (20 stron, ale i tak ostatniego słowa nie powiedział, więc w kolejnych edycjach było tego miejsca jeszcze więcej). Z tej obfitości materiału przytoczmy to, co za uznawał za ściany ogniotrwałe:

- murowane ściany z kamienia polowego lub łomowego,
- » --- » ciosów, obrobionego piaskowca, wapniaka.
- » --- » cegły palonej z gliny.
- » --- » niepalonej glinianej surówki.
- » --- » cegły piaskowo-wapiennej.
- » --- » cegły piaskowo-cementowej.
- » --- » pustaków betonowych.
- ściany ubijane z piaskowo-wapiennej zaprawy.
- ściany ubijane z gliny⁷².

Najmniej polecał na budynki mieszkalne ściany z kamienia, jako zimnych ubijanych z samej gliny nie oceniał dobrze, ze względu na trzymanie wilgoć i łatwość pęknięcia. Za najlepsze uważał ściany z pustaków. O ścianach drewnianych, najpowszechniej stosowanych, też napisał:

Nie miejsce tu na opisywanie sposobów stawiania ścian z drzewa, tembardziej, że jest ono łatwopalne i coraz droższe, a tylko chodzi mi o to, aby pouczyć o zabezpieczeniu tych ścian od ognia, a budynków od chłodu. Z powodu drożyzny drzewa ściany dają często cienkie z 4, nawet i 3 calowych bali. Wtedy, aby ochronić mieszkanie od wciskającego się zewsząd przez te cienkie ściany zimna, ludziska, jak tylko nadchodzą chłody jesienne, zaczynają gacić swe chałupy. Gacą słomą, ściółką, mchem, objając żerdkami i t.d. Gacone w ten sposób chaty nadają naszej wsi brzydki wygląd, a co gorsze, narażone są, bardzo na ogień, bo iskra od pożaru lub papieros rzucony niedbale ślizgnie się po gładkiej ścianie drewnianej i zgaśnie, ale niech wpadnie, broń Boże, na gac, strzeli płomień pod okap i mamy nieszczęście. Zamiast tego gacenia czyż nie lepiej ściany otynkować? W tym celu nabijamy z listewek lub prętów kratówkę na calowych podkładach, aby tynk nie zagluszal ściany i zarzucamy tynkiem na 1– 1 1/2 cala grubo. Jeszcze lepiej robić na tych podkładach zamiast kratówki, siatkę ciągniętą z blachy, choć to drożej kosztuje, i wytynkować. Warstwa tynku, a szczególnie powietrze pomiędzy nim a ścianą chronić będzie doskonale izbę od zimna, a drzewo od ognia. Dla zabezpieczenia drewnianych ścian w stodolach i oborach od pożaru można je pociągać płynem lub farbą ogniotrwałą⁷³.

Ogniotrwałe i tanie dachy

O dachach, jako częściach budynków najmniej odpornych na rozprzestrzenianie ognia, Tuliszkowski napisał tak:

⁷² Tamże, s. 70.

⁷³ Tamże, s. 80.

Na wsi spotykamy dachy przeważnie słomą lub gontem kryte. O nich, ma się rozumieć, niema co mówić, a tylko zwalczać je należy, jako główną przyczynę naszych klęsk pożarowych. Więcej lub mniej ogniochronne pokrycie na dachy jest następujące:

Blacha żelazna, żelazna cynkowana lub cynkowa.

Tektura smołowcowa (papa).

Dachówka palona z gliny.

Dachówka cementowa.

Dach betonowy na siatce.

Dach słomiano-gliniany.

Ruberoid, eternit i t.p. wynalazki⁷⁴.

Odnośnie do dachów Tuliszkowski dał szereg porad, z jakich materiałów je stawiać. Nie wykluczył całkowicie słomy i trzciny, tylko podał szczegółowe instrukcje, jak z nich zrobić pokrycie słomiano-gliniane. Oto jego opinie o niektórych rodzajach dachów, przy czym niezwykle interesujące są wstawki kulturowe.

Dach kryty tekturą smołowcową, tak samo jak i blaszany nie potrzebuje ciężkiego wiązania i jest płaski, a tektura jest niedroga. Ale tekturowy dach jest bardzo nietrwały. Lada kamyk rzucony, lada ptak jak usiądzie i dzióbnie, dziurawi i psuje tekturę. Wymaga więc ten dach ciągłych reparacji i smarowania przynajmniej raz na dwa lata smołowcem, który tani nie jest. Tani na razie, dach ten jest drogi. To coś tak samo wypada, jak ubranie — tandeta żydowska lub niemiecka, co ją tak chętnie teraz nasi szczególnie młodzi kupują, wstydząc się stroju ludowego. Po roku podle, tandetne sukno już na łokciach i kolanach wydziera się. Dasz łatę, a tu dokoła niej sukno się rozłazi. I znów po roku kupuj nową tandetę. Tanie bo tanie. Ale policzmy, co człek na to ubranie przez kilkanaście lat wyda! Tymczasem sukmana ze samodziātu jest mocna i niezdarta, nieraz przechodzi z ojca na syna. Miło spojrzeć na starszych gospodarzy z lubelskiego, kieleckiego i łowickiego, jak oni w swych sukmanach dostatnio, barwnie a swojsko wyglądają. A młodzi przy ojcach to wyglądają w swej tandecie kuso i niepozornie. Jak sukmana odbija od tandetnego ubrania, tak i dachówka poważnie się przedstawia wobec płaskiego, czarnego dachu papowego⁷⁵.

Oto, co napisał o dachach słomiano-glinianych, których opis technologii powstawania pominiemy.

Lepiej jest kryć w dzień pochmurny, bo dach nie tak prędko wysycha. W dzień słoneczny trzeba miejsce dachu trochę przyschnięte przed czesaniem zwilżyć rzadko rozrobioną gliną.

Jeżeli dach dobrze jest wyczesany, to źdźbła z sobą doskonale się zlepiają, i nie pozwalają największej ulewie głębiej wypłukać glinę niż na 1/2 cala.

Dachy te są tanie i proste, materiał na nie, słoma, jest zawsze pod ręką, wychodzi jej przy tem dwa razy mniej, niż na zwykłą strzechę. Dachy te są niepalne: głównie gorejące gasną na nich prędko⁷⁶.

⁷⁴ Tamże, s. 82.

⁷⁵ Tamże, s. 83.

⁷⁶ Tamże, s. 88–89.

Choć miesięcznik „Strażak” miał wady, to przecież nie podawał nieprawdziwych informacji, tylko niepełne lub za mało. Raz podał, prawdopodobnie za „Przewodnikiem Pożarniczym” z Galicji, informacje o badaniach dachów, jakie w skali 1:1 wykonano w Austrii. Wyniki są godne uwagi, więc zacytujemy je w całości. A potem dodamy do nich coś, czego, jak zwykle, poskąpiła redakcja „Strażaka” – komentarz pozwalający zrozumieć istotę badania i jego wyników.

W roku 1903 obszernie omawialiśmy kwestię uodpornienia dachów słomianych za pomocą gliny, na zasadzie doświadczeń poczynionych w niektórych guberniach Cesarstwa. Obecnie chcemy podać rezultaty prób odbytych z takimiż dachami dnia 21 czerwca 1909 r. na placu wyścigowym pod Rostokiem. Zanim jednak przystąpimy do właściwego opisu musimy zanotować, że uodpornienie słomianego poszycia systemu Gerneutz znacznie się różni od sposobów rozpowszechnionych w Rosji. Tu bowiem cała manipulacja polega na maczaniu snopów w zrobionej glinie, gdy p. Gerneutz płyty słomiane nasycza mieszaniną z gliny, gipsu, wody żółciowej, roztworu amoniakalnego albo solnego.

Budynek poddany próbie ogniowej, stanowiła szopa 20 metr. długości 3 m., szerokości, 2 m wysokości do okapu; ściany były tylko zagrodzone deskami półmetrowej szerokości od ziemi i od okapu. Wnętrze szopy napełnione zostało materiałem palnym, złożonym ze słomy, chróstu, łuczywa i drzewa. Dach na szopie pokryty był rozmaitymi materiałami, które następnie wyliczymy.

Zapalenie szopy dokonane zostało z czterech stron jednocześnie. Wskutek tego zarządzenia, jako też dzięki obfitemu polaniu paliwa naftą, osiągnięto ten rezultat, że cały budynek w jednej chwili stanął w płomieniach, rozwijając ogromne gorąco. Dwu z obecnych na miejscu inżynierów wzięło na siebie obowiązek podpatrywania działania ognia na pojedyncze rodzaje pokrycia dachowego; notatki tych panów zawierają uwagi następujące.

1. Smółcem (papą) pokryta 1,60 metr. szerokości działka południowego stoku, w 9 minutach po zapaleniu ukazała przebijające płomienie. Pokrycie spadło po 13 minutach.
2. Słomą impregnowaną (systemu Gerneutza) gliną, gipsem i roztworem żółciowym, pokryty szczyt dachu 2,90 metrowej szerokości, pokazał przebijające płomienie: u wierzchołka, po 3 minutach, w części wyższej po 6 min., środek zaś dachu po 8-miu minutach. Po 13-tu minutach dach zapadł się wskutek przepalenia się krokwi i łat.
3. Dach trzcinowy metrowej szerokości, zajmujący środek budynku spadł już po 1 minucie, pomimo, że krokwie jeszcze się trzymały.
4. Fugowane dachówki cementowe pokrywające dach na 2,40 metr. szerokości zaczęły spadać po 8 minutach, a po dalszych 5-u minutach reszta się zapadła.
5. Glazurowaną glinkową dachówką fugowaną pokryty obszar dachu 2,40 metr. szerokości po 9 minutach miał łaty przepalone, utraciwszy kilka pojedynczych dachówek, zapadł się w sobie po 14 minutach.
6. Trzcinowe pokrycie nasyczone roztworami z gliny, gipsu i żółci (met. Gerneutza) na obszarze 2,50 metr. pokazało przebijające płomienie: od strony wschodniej u góry i u dołu po 3-ch minutach i zaraz spadło, od strony zaś zachodniej płomienie pokazały

się w tym- samym czasie, lecz pokrycie spadło dopiero po przepaleniu się lat — po 13 minutach.

7. Drutem wiązane pokrycie trzcinowe na dachu szerokości 1,60 m spadło po 4 minutach, gdy ogień przebił je po jednej minucie. Pokrycie trzcinowe przy paleniu się wydzielalo dużo ognia lotnego, czego przy gorzeniu dachu słomianego systemu Gerneutza wcale nie zauważono.

Po zawaleniu się budynku nastąpiło dogaszanie ognia za pomocą sikawek oraz uprzęta- nie zgłiszcz, przy czym wyciągano hakami płyty słomiane niezmiennego kształtu, które nie uległy spaleniu, a tylko zwęgleniu i stały się kruchemi, tak, że przy wstrząsaniu pojedyncze słomki łamały się.

Rezultat tej ponownej próby wypadł korzystnie dla słomianego poszycia systemu Gerneutza tak dalece, że pomiędzy przedstawicielami towarzystw asekuracyjnych odbyła się narada nad pytaniem, czy słomiane dachy Gerneutza można pod względem technicznego szacowania przyjmować, na równi z innymi twardymi pokryciami dachów. Większość obra- dujących była za przyjęciem, inni radzili poczekać, ponieważ trwałość uodpornienia dachów nie jest jeszcze stwierdzona; ukazali też na to, że mniej dokładne przygotowanie może nara- żić na niebezpieczeństwo (...) ⁷⁷.

Wypada zauważyć, że badano dachy na odporność od ognia wewnętrznego, a nie zewnętrznego. Z tego względu zbadano w istocie odporność krokiew i lat na przepale- nie i utratę nośności – ta wyszła w 8–14 minucie. Podobne do najlepiej wypadającego w powyższej próbie pokrycia omawiał w swojej książce Tuliszkowski, stwierdzając, że jest dobre, ale drogie w wykonaniu. Za łatwiejsze i pewniejsze uważał pokrycie ze słomy czesanej, z warstwami nakładanymi gliną.

Z badania niemieckiego wynika jeszcze jeden wniosek – lepsze jakiegokolwiek zabezpieczenie niż żadne. No i taki, że trzcinę jest niezmiernie trudno uodpornić jakimkolwiek sposobem.

Zakończenie książki

Zakończenie książki było bardzo krótkie. Autor życzył czytelnikom wyciągnięcia korzyści z – jak ją nazwał – książeczki. A dalej: *Dbając o zdrowie swych bliskich i swoje, stawiajcie porządne, suche, widne mieszkania i obsadzajcie je drzewami. Zakładajcie spółki budowlane, aby jak najwięcej powstało ładnych, niedrogich, wygodnych, dobrze zagospodaro- wanych budowli, aby zarościło się w kraju od zagród i kolonij, tonących w zieleni drzew i zabez- pieczonych od klęsk ogniowych* ⁷⁸.

Chodziło zwłaszcza o tę zabudowę w typie kolonijnym, tj. wzdłuż drogi, ale w oddaleniu od siebie, z sadami drzew owocowych między sąsiednimi zagrodami i drzewami liściastymi, oddzielającymi budynki od dróg.

⁷⁷ Próby ogniowe z uodpornieniem dachami słomianymi, „Strażak” 1910, nr 1.

⁷⁸ Tamże, s. 90.

Podsumowanie działalności Tuliszkowskiego w CTR

Praca Tuliszkowskiego w CTR była, co trzeba przyznać, niebывale owocna. Niestety, próżno szukać o niej informacji w opracowaniach poświęconych CTR, bo każdy autor ma na widoku tylko to, co go najbardziej interesuje i ledwie wystarcza mu miejsca na omówienie wszystkich spraw rolniczych (tudzież wyrażenie opinii o ziemianach i włościanach). I trudno temu się dziwić – w końcu zasadniczym celem powstawania różnych organizacji rolniczych – od kółek począwszy, a na Centralnym Towarzystwie skończywszy – było zwiększenie efektywności gospodarki rolnej, a ochrona przeciwpożarowa była tu marginesem. Nawet jeśli ktoś o niej wiedział, to jako pierwszy usuwał o tym informacje dla zmieszczenia w opracowywanym wydaniu najważniejszych dla niego treści.

Interesujące jest, jak z perspektywy czasu postrzegano CTR w zakresie jego głównych celów. Można powiedzieć, że nawet w PRL-u ta ocena była wysoka, choć przyznawano ją uczyniwszy kilka zastrzeżeń z zakresu ideologii komunizmu. I niechże nam wystarczy ta pozytywna ocena, sporządzona za rządów ideologicznych wrogów wszelkiej prywatnej własności rolnej. Poniżej wytłuszczeniem zaznaczono fragment stwierdzający prawdę.

CTR utworzono przede wszystkim dla obrony interesów gospodarczych większej własności folwarcznej a także towarowego gospodarstwa chłopskiego. W centrum programu gospodarczego znalazła się intensyfikacja produkcji rolnej oraz praca fachowo-organizacyjna. W tych zakresach działalność Towarzystwa przyniosła szereg pozytywnych wyników. W polityce społecznej motywem zasadniczym jest dążność ziemianstwa do odegrania wiodącej roli na wsi. Próba ta była historycznie spóźniona, z czego zdawano sobie w pewnej części sprawę. Dla realizacji swych celów użyto atutów ekonomicznych i społeczno-oświatowych znajdujących się w rękach ziemian. Wykorzystano skwapliwie wszystkie możliwości, jakie dawał ustrój polityczno-prawny utrzymywany przez zaborcę oraz aktualny układ sił partyjno-politycznych. Ta strona działalności stała się obiektem krytyki antyobszarniczych ugrupowań ludowych⁷⁹.

Cytatu tego nie można zostawić bez komentarza, który nawet po pobieżnym przyjrzeniu się działalności tej organizacji, nasuwa się sam. I tak:

- 1) CTR utworzono po prostu dla obrony interesów polskiego rolnictwa poprzez wdrożenie w nim nowoczesnych sposobów upraw i spółdzielczości, o czym świadczy istotna rola kółek rolniczych,
- 2) ziemianstwo odgrywało wiodącą rolę na wsi,
- 3) dobrze świadczy o ziemianstwie to, że chciało silniejszego ekonomicznie włościanstwa i lepiej wyedukowanego, co realizowano w CTR efektywniej, bo przy pomocy środków zespolonych i w myśl opracowanych programów edukacyjnych, a nie w rozproszeniu i wedle zdolności indywidualnych,
- 4) ustrój polityczno-prawny utrzymywany przez zaborcę nie pozwalał wcześniej

⁷⁹ S. Dzieciolowski, *Centralne Towarzystwo Rolnicze w Królestwie Polski i jego program w latach 1906–1908*, „Przegląd Historyczny” 1969, 60/1, s. 45–73.

na jakiegokolwiek zrzeszanie się, natomiast aktualny układ sił partyjno-politycznych był taki, że nikt w Królestwie Polskim nie interesował się chłopstwem, o czym pisał Grabski. Od tego założenia można zrobić tylko jedno zastrzeżenie – sprawami włościan inne ugrupowania niż Liga Narodowa interesowały się o tyle, by w nich wywoływać niezadowolenie i podburzać do zamieszek, by je potem tym łatwiej zniewolić,

- 5) antyobszarnicze ugrupowania ludowe na terenie Królestwa Polskiego pojawiły się dopiero po odzyskaniu niepodległości, warto przy tym zauważyć, że były bardziej antyobszarnicze, niż prochłopskie.

Obecnie inaczej ocenia się CTR, bo po zapoznaniu się z konkretnymi działalnościami tej instytucji wnioski muszą być inne.

Przeprowadzanie intensyfikacji rolnictwa wymagało, zwłaszcza wśród chłopów, szybkiego spopularyzowania umiejętności nowoczesnego gospodarowania na roli. W tym celu w 1908 r. dla drobnych rolników zorganizowano pierwsze wycieczki zagraniczne do Szwecji i Danii. Wycieczki miały zaznajamiać z rozwojem europejskiego rolnictwa, z rozwiniętą tam siecią stowarzyszeń i związków rolniczych oraz z wysokim poziomem oświaty.

Drugi kierunek organizowanych przez Towarzystwo wycieczek wiodł na Morawy i do Czech. W wycieczce uczestniczyła 51-osobowa grupa członków kółek rolniczych CTR, która mogła liczyć na pomoc czeskich producentów rolnych zrzeszonych w tamtejszych organizacjach rolniczych. W Czechach zwiedzano wsie Běstovice, Bohdaneč i Vyšehněvice, które stawiano za wzór, oraz miasto Pardubice, gdzie wytwarzano artykuły przemysłowe. Na Morawach zwiedzano średnią szkołę rolniczą w Přerowie oraz trzy niższe szkoły rolnicze w Kroměříżu. Dalsza trasa wycieczki wiodła do wsi Przykazy, gdzie zwiedzano wzorcowe gospodarstwa i to zarówno te małe, jak i duże. W gospodarstwach tych dokonano „uszlachtowania” bydła, co wiązało się z większą mlecznością krów. Zwiedzający zainteresowani byli głównie spółdzielniami rolniczymi, zakładami przetwarzającymi płody rolne oraz browarami, gorzelniami, cegielniami, elektrowniami oraz magazynami zbożowymi.

Zasadniczym celem organizowanych przez CTR wycieczek rolniczych było naoczne pokazanie zwiedzającym, że gospodarka chłopska może wspiąć się na wyższy poziom bez ingerencji w stosunki własnościowe ziemi. W grupie wycieczkowej nastąpiło przekonanie o dobroczynnych skutkach oświaty rolniczej. Latem 1912 r. zorganizowano ponownie dla chłopów wycieczkę do Czech i Moraw. Celem zwiedzania były dwie wzorowe wsie: Rokycany i Sány oraz wcześniej wspomniane Przykazy. Uwaga zwiedzających skupiła się na: spółkach hodowlanej i handlowej, kasie pożyczkowo-oszczędnościowej, domu ludowym, straży ogniowej, miejskiej łaźni oraz szkole początkowej⁸⁰.

Jak widzimy, we wzorcowej wsi, do stworzenia której dążono w CTR, powinny być: gospodarstwa rolne, spółki – hodowlana i handlowa, kasa oszczędnościowa, dom ludowy, szkoła początkowa oraz, co dla nas bardzo istotne, straż ogniowa.

⁸⁰ H. Biały, Rola i działalność Centralnego Towarzystwa Rolniczego w procesach modernizacyjnych wsi Królestwa Polskiego w latach 1907–1914, „Zeszyty Wiejskie” 2020, nr 26, s. 65–85.

Niestety, odnośnie do ostatniego zakresu działania CTR, wiedza pozostaje szczątkowa lub żadna nie tylko u specjalistów od historii rolnictwa na ziemiach polskich, ale nawet w środowisku, które powinno o tym wiedzieć więcej z racji wykonywanego zawodu czy pasji życiowej. Bo również i my, strażacy, o dziele Tuliszkowskiego i jego komisji niewiele wiemy – znacznie mniej, niż powinniśmy. Nie dociera do nas ani zakres, ani rozmiar dzieła Tuliszkowskiego, ani tym bardziej jego skutki pozostają dla nas niewiadomą. W szczególności działalność Józefa Tuliszkowskiego na rzecz poprawy ochrony przeciwpożarowej polskiej wsi w Królestwie Polskim pozostaje na dalekim marginesie zainteresowań historyków ruchu ochotniczego straży pożarnych, na ogół koncentrujących zainteresowania badawcze wokół powołania i ufundowania sztandaru poszczególnych ochotniczych straży ogniowych. A przecież założenie takiej straży było tylko elementem systemu ochrony przeciwpożarowej. Istotnym, ale zaledwie elementem, a więc nie celem samym w sobie.

A oto podsumowanie działalności Tuliszkowskiego w CTR jego ręką uczynione. Trzeba powiedzieć, że zarówno on, jak i jego komisja, dokonali w ramach CTR więcej niż czynniki rządowe w ciągu całej II Rzeczypospolitej. Bo też powstanie tysięcy OSP nie było zasługą rządu czy też pasjonatów tworzących Związek Floriański i Główny Związek Straży Pożarnych. I uwaga – w tym dziele należy oddzielić owych pasjonatów od tych, którzy przejęli po nich stanowiska na zasadzie etatyzmu rządowego.

Tabela 3. „5 i ½-letnia działalność instruktora głównego.”⁸¹

Rok	Ilość wyjazdów	Ilość dni spędzonych w drodze	Zwiedził miejscowości	Ilość czynności	Ilość słuchaczy
1910	133	nie notowano	132	192	13933
1911	89	184	154	322	15942
1912	89	202	147	297	15686
1913	92	212	172	399	17323
1914	34	78	57	145	6271
1915	9	53	29	56	934
Razem	456	–	691	1411	70089

Źródło: J. Tuliszkowski, *O działalności przeciwpożarowej Centralnego Towarzystwa Rolniczego słów parę*, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 14/15, s. 178.

Wszystko to załamała Wielka Wojna. Ale i tu działacze CTR nie poddawali się. Jednymi z ważniejszych czynów Tuliszkowskiego w ramach tej organizacji, już w czasie Wielkiej Wojny, były prace doraźne w zażegnaniu jej skutków w 1914 roku. Wtedy

⁸¹ J. Tuliszkowski, *O działalności przeciwpożarowej Centralnego Towarzystwa Rolniczego słów parę*, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 14/15, s. 178.

to szczególnym spustoszeniom uległy wsie obszarów walk manewrowych, toczących się na terenie Królestwa Polskiego. Tuliszkowski wspominał to tak:

W 1914 r. w listopadzie, po odparciu armii państw centralnych, zostałem wydelegowany przez ówczesny Komitet Obywatelski i Cetr. Tow. Rolnicze w Lubelskie dla zbadania stopnia zniszczenia wsi pod Lublinem i dla zaradzenia złemu przez zaprojektowanie i budowę na zimę baraków i ziemianek. Zwiedziłem wtedy Niedrzwicę, Kraśnik, Opole, Krzczonów, Piotrowice i szereg innych zniszczonych wsi, dając bezdomnym rady i wskazówki, organizując budowę prowizorycznych ziemianek i baraków⁸².

Ostatnie czynności Tuliszkowskiego w CTR miały miejsce w pierwszej połowie 1915 r., gdy jeszcze udało się powołać do życia jakieś OSP i spółki budowlane. Samych działań w CTR wystarczyłoby, by Tuliszkowskiemu zapewnić poczesne miejsce w historii polskiej ochrony przeciwpożarowej – o ile pamięć o tych czynach by przetrwała.

Warto podkreślić, że wszelkie udane działania Tuliszkowskiego, które omówiliśmy w niniejszej części, mogły się zrealizować wyłącznie dzięki CTR. Do końca życia z wielką atencją, ale też z uczciwym samozadowoleniem, wspominał okres burzy i naporu w CTR jako najefektywniejszy czas działania. Należy też podkreślić, że kształt wsi pod zaborem rosyjskim, jaki ludzie mojego pokolenia jeszcze pamiętają z dzieciństwa, to zasługa CTR, w tym Tuliszkowskiego. Bo na czym mieli się wzorować działacze II Rzeczypospolitej? Zresztą często ci sami ludzie działali w CTR, a potem zostawali ministrami i premierami, jak Władysław Grabski. I to właśnie ci ludzie mieli największe osiągnięcia w zakresie budowania dobrobytu obywateli. Żal, że takiej możliwości działania nie dostał Józef Tuliszkowski już w wolnym kraju, bo wszystko wyglądałoby jeszcze lepiej, nie tylko pod względem ochrony przeciwpożarowej. I zamożniej.

Jak widać, już samych działań w ramach CTR wystarczyłoby, żeby Tuliszkowskiego ogłosić patronem ochrony przeciwpożarowej wsi polskiej. A przecież w tym samym czasie dokonał jeszcze innych czynów, bardziej znanych w historii pożarnictwa, które możemy nazwać dziejotwórczymi. W skrócie można powiedzieć, że bez CTR nie byłoby „Przeglądu Pożarniczego”, a więc i Towarzystwa Świętego Floriana, a potem Związku Florianckiego. Przyjrzyjmy się, jak doszło do ich powstania, bo i tu napotkamy na cały szereg ciekawostek i niuansów, które umknęły w dotychczasowej historiografii.

Publikacje w miesięczniku „Strażak”

Widząc powodzenie własnych działań w ramach CTR, Tuliszkowski postanowił nadać im większe znaczenie poprzez publikacje w prasie. Wiemy, że pisał do „Gazety Warszawskiej”, co miało swój oddźwięk, tym samym ochrona przeciwpożarowa z nisz

⁸² J. Tuliszkowski, *Wspomnienie*, „Lubelska Gazeta Strażacka” 1932, nr 10, s. 92.

dla specjalistów stawała się elementem wiedzy powszechnej. Dla historii pożarnictwa istotniejsza jest jego współpraca z miesięcznikiem „Strażak”. Poznajmy to pismo.

Miesięcznik „Strażak”

Bardzo trudno jest być pionierem. Doświadczyli tego założyciele jedyne go przez długie lata w Kongresówce periodyku, poświęconego sprawom pożarów – „Strażaka”. Założyli go dwaj pasjonaci o nazwisku Szyller-Racki, ojciec Leopold i syn Emil Karol, jak napisali w 1910 r.⁸³ – za namową strażaków z Włocławka. Co prawda wcześniej był wydawany rocznik „Strażak”, ale nowo założona gazeta nie miała z nim nic wspólnego. Wystartowali z numerem pierwszym w styczniu 1901 r., co oznaczało, że Kongresówka wkraczała w XX wiek z własnym miesięcznikiem dotyczącym ochrony przeciwpożarowej. Nie zależało jednak od ich woli, czy tytuł będzie samodzielny, zresztą – jak sami obliczali – istniało wówczas ok. 76 ochotniczych straży pożarnych w całym Królestwie Polskim⁸⁴ (czyli okrojonym zaborze rosyjskim) – to jest bardzo mało. Co gorsza, nie wolno było napisać, dlaczego tych straży jest tak mało, bo nie zezwalali gubernatorzy polskich ziem. Niemniej pierwszy numer pisma rozszedł się nadspodziewanie dobrze, co wykorzystano jako informację marketingową w numerze drugim.

Z powodu nadspodziewanego zapotrzebowania „Strażaka” zmuszeni jesteśmy pierwsze dwa numery na nowo przedrukować. W ciągu dwu tygodni rozeszliśmy je tym pp. Prenumeratorom którzy ich dotąd nie otrzymali⁸⁵.

Numer 2 „Strażaka” nie był już samodzielnym pismem, ukazał się jako comiesięczny dodatek do periodyku, wydawanego zresztą przez tę samą spółkę, pt.: „Kolarz, Wioślarz i Łyżwiarz”. Tym samym „Strażak” został ulokowany przez władze zaborcze na półce hobbyistycznej, a nie w obszarze służby obywatelskiej. Na mocy uchwały Wydziału Prasy z d. 29 marca 1901 r. za Nr. 2656 p. Emil Karol Szyller zatwierdzony został w charakterze redaktora i wydawcy czasopisma „Kolarz, Wioślarz i Łyżwiarz” oraz „Strażaka”. Od dnia dzisiejszego przeto podpisywać on będzie te wydawnictwa jako odpowiedzialny redaktor. Kierownikiem „Strażaka” jak dotąd tak i nadal pozostaje p. Leopold Szyller (Racki)⁸⁶.

Początkowy entuzjazm twórców pisma szybko zgaśł. Próbowali nadawać ton ruchowi ochotniczemu, pełnić nieformalną rolę zwornika, ale wychodziło z tego niewiele, a nawet żałośnie mało. I tak w numerze 3 umieścili ankietę dla czytelników, z której wyników mieli zamiar zrobić analizę. Jako że po miesiącu dostali tylko 15 odpowiedzi, postanowili poczekać jeszcze, po czym całkiem zrezygnowali z analizowania niereprezentatywnych materiałów. Za to stałą rubryką stały się wezwania nie tyle do prenumeraty, co do zapłaty za prenumeratę. Oto apel z 1902 r.: *Z powodu*

⁸³ „Strażak” 1910, nr 10.

⁸⁴ „Strażak” 1910, nr 4.

⁸⁵ „Strażak” 1901, nr 2.

⁸⁶ „Strażak” 1901, nr 3.

rozpoczętego Nowego Roku mamy zaszczyt prosić uprzejmie szanownych pp. Prenumeratorów o wczesne nadsyłanie zamówień na „Strażaka”. Sz. Towarzystwa raczą wskazać nam liczbę potrzebnych egzemplarzy, ażebyśmy mogli unormować nakład. W tym celu załączamy przy obecnym numerze listy zwrotne, o których wypełnienie uprzejmie prosimy. Przedpłaciele prywatni zechcą nadesłać po rb. 1 kop. 25 za egzemplarz wraz z przesyłką, rocznie. Przedpłatę, liczniejsze Towarzystwa wnosić mogą w 2-ch ratach, to jest w Lutym i w Lipcu, mniejsze zaś należności prosimy wnieść jednorazowo na początku roku. Pojedyncze egzemplarze tylko za uprzedniem opłaceniem wysyłane być mogą. „Strażak” wychodzić będzie nadal pod temsamem kierownictwem z tą samą, co dotychczas, dążnością służenia strażactwu krajowemu. Miło nam stwierdzić na tem miejscu, że w ciągu pierwszego roku pracy naszej otrzymywaliśmy ze strony czytelników, tyle dowodów życzliwości, że ich w żaden sposób na poczet swoich zasług policzyć nie możemy, raczej uważamy je za uznanie dla naszych dobrych chęci. Z wdzięcznością dla przyjaciół naszego pisma, notując te wyrazy, mamy otuchę, że owe dobre chęci w czyn wprowadzić uda się nam w przyszłości⁸⁷.

Przyszłość wykazała, że te namowy, mające poruszyć w czytelnikach struny uczuciowości, nie odnosiły skutku. Pod koniec 1902 r. ukazał się tekst o podstawach do dalszego działania, mający wstrząsnąć czytelnikami.

„Być albo nie być?” takie Hamletowskie pytanie nasuwa się nam przy przeglądaniu tego-rocznego bilansu naszego miesięcznika. Czy mamy dalej pchać tę taczkę, czy zaprzestać? Zbyt mało mamy środków do pełnego życia i rozwoju, a nazbyt wiele, żeby od śmierci głodowej zakończyć istnienie. Wprawdzie w ciągu bieżącego roku przybyło kilkudziesięciu nowych prenumeratorów a 8 Towarzystw powiększyło liczbę żądanych egzemplarzy ogółem o 36, lecz z drugiej strony kilka Towarzystw zmniejszyło zamówienia razem o 70 egzemplarzy (między innymi jedno poważne i zamożne, o połowę) czyli, że zostaliśmy prawie na tym samym punkcie co w roku zeszłym. (Towarzystwo Łódzkie ze swojemi 600 strażakami i 30-tu tysiącami rubli dochodu stoi niewzruszenie przy swoich trzech egz. „Strażaka”). (...)

Kto ma jakie-takie pojęcie o wydawnictwach, musi przyznać, że 655 płatnych prenumeratorów przy cenie rocznej jednego rubla za 12 zeszytów o 16 kolumnach ścisłego druku, stanowi liczbę strasznie małą. Zważmy, że po odtrąceniu księgarskich rabatów zostaje nam się zaledwie 645 rubli, które muszą starczyć na koszt papieru, druku, korekty na administrację oraz na honoraria i inne wydatki redakcyjne. „Muszą starczyć”, ależ 200 rubli nawet w czwartej części ani jednych ani drugich nie pokryje—choćby przyszło tylko po 1 kopiejce za wiersz płacić, nie licząc właściwej redakcji. Jakimże cudem „Strażak” dotąd się trzyma⁸⁸?

Stalość i cykliczność tych apeli świadczy o tym, że ochotnicze straże pożarnej ani czytać, ani tym bardziej płacić nie chciały. Nie była to sytuacja wyjątkowa. Ten sam problem miał późniejszy „Przegląd Pożarniczy” czy galicyjski „Przewodnik Pożarniczy”, prowadzony przez legendarnego Antoniego Szczerbowskiego. „Strażak” jakoś się trzymał i nie same apele o czytelnictwo go wypełniały. W latach 1901–1907, na

⁸⁷ Od redakcji, „Strażak” 1902, nr 1.

⁸⁸ „Strażak” 1902, nr 10.

wspomnianych 16–18 kolumn, 8–9 z nich przeznaczonych było na artykuły merytoryczne, potem liczba kolumn merytorycznych spadła do 6. W ich ramach publikowano regulaminy, przykazania, instrukcje, porady. Niestety, do artykułów merytorycznych zaliczała redakcja również sprawozdania z działalności poszczególnych straży ogniowych ochotniczych czy komunikaty strażackich władz z samego Petersburga – tym ostatnim nadawano poczesne miejsca, zaczynając ich druk od strony nr 1. Czy polscy strażacy skłonni byli czytać, kto komu składał gratulacje albo czy uroczystości były wspaniałe? Trudno orzec z perspektywy czasu, ale oceńmy sami taki tekst:

Uchwały Rady Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa Pożarniczego.

D. 17 maja Cesarskie Towarzystwo Pożarnicze obchodziło ósmą rocznicę swego założenia. Po nabożeństwie dziękczynnem miało miejsce posiedzenie nadzwyczajne Rady Towarzystwa. Prezes Rady Głównej książę A. D. Lwów wysłał telegram do najdostojniejszego Prezydenta Towarzystwa, Jego Cesarskiej Wysokości Wielkiego Księcia Włodzimierza Aleksandrowicza. Jego Cesarska Wysokość raczył uszczęśliwić Towarzystwo następującą odpowiedzią, na imię księcia Lwowa.

„Serdecznie dziękuję członkom Rady Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa pożarniczego i szanownym gościom za wyrażone w telegramie uczucia i życzenia. Winszuję Panu i wszystkim członkom Rady ósmej rocznicy i zarazem życzę dalszego rozkwitu Towarzystwa przez wiele lat na pożytek drogiej nam wszystkim ojczyzny”.

„Włodzimierz”⁸⁹

Miedzy wierszami tej informacji można przeczytać, że Cesarskie Towarzystwo Pożarnicze miało tak nikłe znaczenie, że jego prezes nie pofatygował się nawet na uroczyste obchody, a informacje o tym przekazywały sobie władze, w ramach tego samego miasta, za pomocą żenujących telegramów: „my Wam pokornie donosimy, że mamy rocznicę, A My wam gratulujemy z tego powodu”. Co z tego mieli polscy strażacy? Nic! Ale z innej informacji mogli dowiedzieć się, jak silne jest owo towarzystwo.

Uchwałą Rady Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa Pożarniczego z d. 24 kwietnia i 17 maja s. st. 1901 roku zaliczone zostały do składu rzeczywistych członków Towarzystwa, towarzystwa ogniowe: Siewskie (gub. Orłowska), Koneckie (gub. Radomska), Sochaczewskie (gub. Warszawska), Nowo-Myskie (gub. Mińska) i Opatowskie (gub. Radomska). (...) liczba korporacyj wynosi 545: 376 towarzystw pożarniczych, 135 drużyn, 30 straży ogniowych i 4 urzędy: 1 gubernialny ziemski, 2 powiatowe ziemskie i 1 miejski⁹⁰.

Jak na tak wielkie imperium – złożone ze stu guberni i innych obszarów, dziesiątek wielkich miast z przemysłem ciężkim, stoczniowym i naftowym, tysięcy powiatów – centralna organizacja pożarnicza, działająca osiem lat, liczyła niewielu członków. Ale też miewała pożyteczne inicjatywy, jak zakreślone z rozmachem konkursy i zjazdy z bogatym programem.

Pozostałe 8–10 kolumn pisma wypełniały rubryki nazywane: *Korespondencye, Różne, Na dobre*, przy czym redakcja bardzo sobie ceniła listy od prenumeratorów,

⁸⁹ „Strażak” 1901, nr 7.

⁹⁰ „Strażak” 1901, nr 10.

np. zawierające zestawienia statystyczne o danej OSP, bo mogła nimi zapełniać szpalty. Większość tych rubryk wypełniały informacje o pożarach czy innych zdarzeniach tak z kraju, jak i ze świata.

W roku 1903 od numeru 3 „Strażak” zaczął wychodzić jako samodzielny tytuł. Redakcja z tej okazji dała taką oto programową informację:

Uchwałą Wydziału Prasy z d. 25 lutego r. b. za N° 1 556. „Strażak” nasz został uznany jako pismo samodzielne ze znacznie rozszerzonym programem z prawem dwukrotnego wychodzenia w ciągu każdego miesiąca, za podwójną opłatą. Dziękując się z szerokiem kołem przyjaciół pisma naszego tą pocieszającą wiadomością, możemy ich zarazem zapewnić, że sumiennie korzystać będziemy z uzyskanej swobody, mianowicie w kierunku kulturalnym. Użytkowanie z prerogatywy drugiej, na teraz zmuszeni jesteśmy odłożyć do lepszej przyszłości.

Pisma zagraniczne, tego co Strażak rodzaju, będące najczęściej organami związków strażackich całych prowincyj, większą część swoich łamów zapełniają najrozmaitszemi sprawozdaniami, odezwami, bilansami i t.p., resztę miejsca poświęcając działowi instrukcyjnemu, a w malej części literackiemu i reklamom. Przeciwnie my, nie posiadając bogatych materiałów urzędowych, jakich każdy Związek z pewnej liczby korporacji złożony, dostarcza swemu organowi, zmuszeni jesteśmy działowi zawodowemu największy obszar poświęcić. Odtąd wszakże, uzyskawszy pożądane pozwolenie, część beletrystyczną i popularno-naukową, bardziej niż dotąd, uwzględnić będziemy⁹¹.

Te zapowiedzi to raczej wyraz słabości niż siły. Jak się wkrótce miało okazać, redakcja, choć nie reprezentowała żadnej organizacji strażackiej, bardzo chętnie zamieszczała wszelkie urzędowe pisma, a największy obszar przeznaczyła nie na dział zawodowy, a na kronikę wydarzeń, głównie pożarów, ale też powodzi i trzęsień ziemi. Irytujące, że niezależnie od nazwy działu zawsze wychodzi to samo – wyliczanka zdarzeń, bardzo często bez ładu i składu.

Przyznać należy, że redakcja podejmowała różne inicjatywy, napotykała jednak na ścianę obojętności ze strony czytelników albo na opór władz rosyjskich. Nie dość, że wydanie każdego numeru pisma zależało od cenzora, to władza tłumiła wszelkie inicjatywy według niej groźne, zwłaszcza trącające samorządnością. Tak było przy próbie zjednoczenia polskiego ruchu strażackiego, gdy redakcja „Strażaka” zmuszona była wycofać się z tego pomysłu, odsyłając do ofiarodawców zebrane na ten cel pieniądze, przy czym skorzystała z okazji, by wyrównać rachunki z zalegającymi prenumeratorami⁹².

Zgodnie z zapowiedzią w „Strażaku” publikowano też próby literackie, acz sporo z tym było kłopotów, gdyż wystawiono się na natręctwo grafomanów, którym dobitnie, z przykładami próbek ich twórczości, odmawiano publikacji utworów. Ale „Strażak” okazał się wydawcą pierwszego w Królestwie Polskim poradnika dla strażaków, co znów, jak wynika z przytoczonych rozdziałów, było materiałem wtórnym.

⁹¹ „Strażak” 1903, nr 3.

⁹² „Strażak” 1910, nr 6.

Redakcja publikowała też coś, co mogło być konkurencją dla książki Tuliszkowskiego: *Praktyczny przewodnik dla straży ogniowych ochotniczych*. Jak to reklamowano od nr 2 z 1904 r.:

Treść składa się z 3-ch części: 1. Przewodnik dla straży w miejscowościach mniejszych. 2. Regulamin dla straży ochotniczych miejskich. 3 Ustawa Normalna dla straży w Królestwie Polskiem. Do pierwszych 2-ch części dołączono naukę o sygnałach na świstawkę, na trąbkę dwutonówkę i na trąbkę zwyczajną, do części 3-ej dołączono opis umundurowania dla straży og. Ochotniczych, oraz Dodatki: a) Pogotowie ogniowe w teatrach prowincjonalnych. b) Pożary leśne. c) Pogotowie samaryckie. Cena egzemplarza kartonowego kop. 60. Nadsyłający należność wprost do redakcji Strażaka, kosztów przesyłki nie ponoszą⁹³.

Niestety, to wszystkie informacje na temat tego dzieła, a z uwagi na brak zachowanych egzemplarzy trudno odnieść się do jego jakości czy zawartości. W dodatku redakcja ani razu nie zamieściła informacji, kto jest autorem. I to wydanie również należy zapisać na poczet zasług miesięcznika „Strażak”, czyli obu Szyllerów-Rackich.

Najważniejsze były artykuły merytoryczne, których było bardzo mało: 2–3 na numer, w tym zazwyczaj jeden autorstwa kogoś z Szyllerów-Rackich, drugi autora zewnętrznego, trzeci stałego autora o pseudonimie „warszawski”, albo „warsz”, czasem pisał coś „Stary Strażak” (ten pseudonim powtarzał się co pokolenie), a najwięcej było artykułów bezimiennych. Pod każdą z tych postaci można podejrzewać aktywność obydwu Szyllerów-Rackich, chcących stworzyć pozór pisma wielu autorów (którym płacą), więc się nie ujawniali. I zasadniczo na tym był koniec pisma odautorskiego, bo resztę szpalt zapełniały stałe rubryki pożarowe, listy i reklamy.

W związku z tym zasadniczym wrażeniem z czytania „Strażaka” jest niedosyt. Powodują go, paradoksalnie, nie tyle skąpe ilościowo oraz informacyjnie rubryki merytoryczne, co obszerne rubryki pożarowe, gdzie dowiadujemy się, że tu spłonęło 40 domów, ówdzie 60, a gdzieś 400. Chciałoby się przeczytać szczegółowe opisy tych akcji, ale nic takiego nie znajdziemy i to przez kilkanaście lat wydawania pisma. Tylko w następnym miesiącu znów pojawi się kolejne zestawienie zdarzeń, z bardzo krótkimi wnioskami, a najczęściej bez, w formie dosłownie telegraficznych skrótów. Dłuższe artykuły i materiały merytoryczne dzielono na odcinki, więc nadal część merytoryczna zajmowała w danym numerze nie więcej niż 5–6 kolumn, wyjątkowo 8. W dodatku wbrew zapowiedziom „Strażak” nie stał się dwutygodnikiem, tylko stale wychodził jako miesięcznik. Tym trybem, nawet jeśli miał do przekazania istotne wiadomości, zajmowało mu to po kilka miesięcy, a nawet lata. Np. instrukcja sprawiania drabiny (najpewniej przepisana z instrukcji producenta) stała się niekończącym cyklem. Ustawa o obowiązkowych ubezpieczeniach od ognia z 1900 r.⁹⁴ została przedstawiona w odcinkach dopiero w 1906 r., zresztą rozciągnięto jej

⁹³ „Strażak” 1904, nr 2, nr 5, s. 16.

⁹⁴ Ustawa Najwyższej zatwierdzona z 10 czerwca 1900 r. o wzajemnem ubezpieczeniu budynków od ognia w gubernjach Królestwa Polskiego.

druk na prawie cały rok. Niezmiernie interesujący protokół ze strażackiego zjazdu we Włocławku, który odbył się w październiku 1910 r., ukazywał się w odcinkach od marca do czerwca 1911 r. Jak tu więc mówić o aktualności i akuratności? Praktycznie ledwie zaczęło się czytać gazetę, a już następował jej koniec, bo zaczynały się wyliczanki tego rodzaju:

Petersburg 7-go czerwca. O godz. 5-ej po południu wynikł pożar w laboratorium pyrotechnicznym. Zginął chłopiec, 5 osób uległo poparzeniu.

Drezno 8-go czerwca. W chwili, gdy 177 pułk piechoty wchodził do nowego obozu w pobliżu Koenigsbruck, w jedną z kompanii uderzył piorun. Trzech żołnierzy zabitych, 10 ranionych ciężko, a 5 lekko.

D. 8 b. m o godz. 3-ej po południu, w Grochowie, w wytopialni łoju S. Ł. Wysypki, wynikł groźny pożar. Na ratunek pośpieszył oddział praski. Ogień szybko ogarnął prymitywne urządzenia fabryczki tak, że o jej uratowaniu nie mogło być mowy. Mimo to udało się ocalić kocioł i niektóre urządzenia. Niebezpieczeństwo jednak groziło sąsiednim zabudowaniom drewnianym oraz fabryce chemicznej Gebera. Energiczna akcja straży nie dopuściła wszakże ognia, korzystając przy tem z wody z tej ostatniej fabryki. Wobec obfitości łoju i innych łatwopalnych materiałów, zadanie straży było trudne, tem większa też zasługa opanowania pożaru. Ratunkiem kierował kapitan Hłasko. Straty wynoszą około 2,000 rb. Fabryka nie była ubezpieczona.

Avellino 9-go czerwca. Oddział okrętów udał się na miejsce trzęsienia ziemi, aby nieść pomoc. W Sanfele runął dom; zginęło pod gruzami 6 osób.

Calitri 9-go czerwca. Przybył tu król z królową i był obecny przy akcji ratunkowej.

Rzym 9-go czerwca. Dotychczas z pod gruzów domów, które runęły podczas trzęsienia ziemi w prowincji Avelino, wydobyto 50 trupów⁹⁵.

Jak widać informacja krajowa, jako miejscowa, miała do przekazania kilka konkretnych, jednak reszta to po prostu życiem z telegrafu wzięte tzw. zajawki. Ale również odnośnie do informacji krajowych często stosowano daleko idący skrót, co stawało pod znakiem zapytania logikę przekazu:

Mińsk gub. W Brodcach, w pow. ihumeńskim wskutek podpalenia, którego dokonał chłopiec obłąkany, spaliło się 65 zagród. (...)

Mińsk gub. 18-go lipca. Spłonęła wieś Jakszyce w pow. ihumeńskim, 108 zagród⁹⁶.

I znów nic o okolicznościach pożaru!

Można też znaleźć analogie między jakością galicyjskiego „Przewodnika pożarniczego” a „Strażakiem”. Dla wydawców „Strażaka” miesięcznik z Galicji był wzorem wydawniczym i źródłem informacji zarazem, np. można w nim znaleźć te same ciekawostki ze świata, brzmiące tak samo, jak te opublikowane przed miesiącem w „Przewodniku”. Ogólnie dużo też jest o galicyjskich sprawach. W latach 1901–1908 poziom „Strażaka” był całkiem niezły, bo takiż był poziom galicyjskiego pierwowzoru. Niestety,

⁹⁵ „Strażak” 1910, nr 6.

⁹⁶ „Strażak” 1910, nr 7.

wtórność pozostaje wtórnością, więc gdy sędziwy Antoni Szczerbowski radził sobie słabiej z redakcją „Przewodnika Pożarniczego”, to niezbyt czytelnie prowadzony „Strażak” stał się pismem chaotycznym.

O ile z perspektywy czasu kroniki pożarowe ze „Strażaka” dają nam jakiś ogłód ówczesnej sytuacji bez konieczności wertowania rubryk sensacyjnych z prasy codziennej, to współczesnych musiało to razić. „Strażak” informował, że przedstawia wybór informacji, z tym, że były to wybrane informacje pospolite. Tym samym pismo, w założeniach i tytule specjalistyczne, niewiele różniło się od dzienników czy popołudniówek, z których czytelnicy mogli dowiadywać się tego samego, jeśli nie więcej nawet.

Zatem „Strażak” sam sobie wytworzył błędne koło. Ukazywał się głównie dzięki determinacji wydawców, borykających się zarówno z cenzurą, jak i z czytelnictwem. Z racji małej ilości materiałów merytorycznych nie był jednak popularny – miał niespełna 700 prenumeratorów. Przez brak popularności borykał się z trudnościami finansowymi, więc redakcji nie było stać, by płacić za materiały merytoryczne, zatem pojawiała się ich niewiele w następnym numerze... Niewielu autorów pisało do „Strażaka”, co wydawcy tłumaczyli brakiem pieniędzy, jednak brak miejsca na łamach pisma dla autorów spoza rodziny również robił swoje. A trwał „Strażak”, bo był monopolistą, a jego twórcy ciągle mieli znaczne ambicje nadawać ton polskiej ochronie przeciwpożarowej.

„Strażak” miał zalety. Z jego łamów płynęła, co prawda wątłym strumieniem, gruntowna wiedza o ochronie przeciwpożarowej, jak np. wspomniane wyżej wyniki badań dachów słomianych. Wydawca i redaktor bywali w strażackim świecie i przywozili stamtąd różne nowinki. Brali też udział we wszelkich przedsięwzięciach krajowych, dzięki czemu dowiadujemy się m.in. o kilku charakterystycznych cechach ówczesnych ochotniczych straży ogniowych Królestwa Polskiego, których nie zapisano w ich kronikach.

W 1910 r. Józef Tuliszkowski dokonał pierwszej publikacji w „Strażaku”. Jego współpraca z tym miesięcznikiem trwała niespełna 2 lata. Zakończyła się ogromną awanturą, będącą zasadniczym przyczynkiem do założenia innego miesięcznika – „Przeglądu Pożarniczego”. Pozornie poszło o sikawki dla straży wiejskich ochotniczych, jednak sprawa miała znacznie szerszy wymiar. Chodziło bowiem o przyszłość polskiej ochrony przeciwpożarowej i kto będzie decydował o jej kształcie.

Pierwszy tekst Tuliszkowskiego: „Sikawki dla straży wiejskich”

Temat sikawek, zajmujący w publikacjach książkowych Tuliszkowskiego naprawdę wiele miejsca, omijaliśmy i omijać będziemy przy okazji omawiania tych książek nie dlatego, że sikawek już się nie używa (a szkoda, bo za czasów naszego bohatera osiągnęły one doskonałość techniczną), tylko z tego powodu, że możemy go omówić teraz, uzyskując jednocześnie wartości dodane. Bo za sprawą Tuliszkowskiego sikawki w „Strażaku” wystąpiły w takim natężeniu i okolicznościach, iż dowiemy się

o nich naprawdę wiele, a przy okazji poznamy istotne powody powstania „Przeglądu Pożarniczego”, co miało zasadnicze przełożenie na utworzenie Towarzystwa Świętego Floriana i Związku Floriańskiego. Zatem sprawa sikawek w „Strażaku” zyskała siłę dziejotwórczą, czego nie spodziewali się nawet najbardziej zainteresowani.

Nie tylko Tuliszkowski pisał o sikawkach do tego miesięcznika, wcześniej omawiano zasadę ich działania, rodzaje, odmiany i budowę, co typowo dla pisma zajęło szmat czasu i co również w sposób charakterystyczny miało postać przedruków z „Przewodnika Pożarniczego”. Tuliszkowski, zachęcony powodzeniem własnych wykładów w CTR, dotyczących palących kwestii wyposażenia wiejskich ochotniczych straży ogniowych w niedrogi i nieciężki sprzęt, postanowił przełożyć na rzecz „Strażaka” (czyli drastycznie skrócić) odpowiedni rozdział z *Walki z Pożarami dla użytku miast mniejszych, gmin, dworów i osad*. Tym samym w „Strażaku” zaistniał jego artykuł pt. *Sikawki dla straży wiejskich*. Oto obszernie z niego fragmenty, pokazujące istotę problemów techniczno-sprzętowych, na jakie natrafiali zapaleńcy, chcący utworzyć czynną ochronę przeciwpożarową. Artykuł ukazuje też istotne okoliczności pożarów wiejskich i niebywałą wiedzę autora o spalaniu i gaszeniu, tudzież jego talent pisarski. Słowem – co akapit, to jakiś smaczek. Oddajmy głos autorowi:

Jako instruktor-specjalista dla wiejskich straży niejednokrotnie spotykałem się z faktami nabywania przez nie starych sikawek wybrakowanych od straży ogniowych w miastach i miasteczkach, a to z powodu rzekomej ich taniałości. Tego rodzaju transakcje, aczkolwiek i korzystne dla sprzedawców, należy kategorycznie potępić.

Przedewszystkiem sikawki stare są to przedpotopowe przeważnie typy, najczęściej ze skrzynią tylko, bez węża ssącego; a nawet nieraz się spotykają prastare muzealne okazy bez węży tłoczących, tylko z ruchomą o dwu przegubach rurą wylotową. A co gorsza, sikawki te są bardzo ciężkie, niezgrabne, nieporęczne i trudne do obsługi. Dostęp do wentyli jest nielatwy, a przysięgam one przeważnie lichy, bo mają od długiego używania wytarte cylindry i tłoki. (...)

Wiemy wszyscy, jak nielatwo jest u nas założyć straż ogniową, wiele to trzeba starań, zużyć i zachęty, namawiań, póki apatye mieszkańców się przezwycięży. Po długich usiłowaniach nareszcie straż się zorganizowała i nabyła niedrogo sikawkę u pobliskiego starszego bratniego stowarzyszenia, które, jako dawna i wyrobiona straż, mająca za sobą tradycję, mimowoli staje się jakoby opiekunką i wzorem dla nowopowstałej instytucji. Lecz zamiast być matką, straż taka dla swej młodocianej sąsiadki staje się najgorszą macochą. (...)

Zaczynają się ćwiczenia, próby, wyjazdy na pożary i tu właśnie duża waga sikawki, ciężka robota przy niej, mała jej sprawność, a nawet i nędzny wygląd zaczynają zrażać młodych i nieobeznanych strażaków. Niechętnie biorą się oni do ćwiczeń przy takiej sikawce, z trudem wytaczają stary grat i ciężko mozolnie pracują, pompując wodę (...)⁹⁷.

Tak przedstawiała się sprawa borykania się ze sprzętem nienadającym się do działania. Nie opisywał tu Tuliszkowski sytuacji wyjątkowej, lecz bardzo powszechną.

⁹⁷ J. Tuliszkowski, *Sikawki dla straży wiejskich*, „Strażak” 1910, nr 9, s. 5–7.

Ówczesne straże pożarne, zwłaszcza ochotnicze, a już w szczególności wiejskie, mierzyły się z wszelkimi trudnościami. Brakowało wiedzy, jaki sprzęt jest potrzebny. Kupowano za uciulane pieniądze narzędzia i urządzenia zwyczajnie nieprzydatne, których obsługa wymagała wielkiego samozaparcia przy niewielkiej skuteczności. A oto typowy opis jazdy do pożaru, jakże odmienny od tych utrwalonych na obrazach!

O konie trudno jest na wsi, a tem trudniej do ciężkiego wozu sikawkowego. Biedne szkapę pomimo nawoływani i przekleństw strażaków wloką się po piaszczystej lub błotnistej drodze noga za nogą i straż przybywa do ognia najczęściej zapóźno, bo pożar wiejski, którego główną strawę stanowi słoma i drzewo, szybko wybucha i również prędko się dopala.

Narażeni na drwiny, zmęczeni i zniechęceni biorą się młodzi strażacy do dogaszania ognia. Zaczyna się ciężka mozolna robota przy pompowaniu, przy nalewaniu wiaderkami skrzyni sikawkowej. (...) Brak węża tłoczącego zmusza do postawienia sikawki blisko ognia. Gorąco i upał bijące od ognia utrudnia pompowanie i donoszenie wiaderkami wody, nie mówiąc już o beczkach, dowożonych płoszącymi się końmi. (...)

Nieraz bywa tak, że w pobliżu płonącego budynku jest studnia lub sadzawka. Nie mając sikawki z wężem ssącym, nie możemy z tego zbiornika bezpośrednio skorzystać i ludzie muszą się męczyć, czerpiąc wodę i podając do skrzyni sikawkowej kubelkami. Sikawka pracuje wtedy z przerwami, bo ilość dostarczanej wody jest znacznie mniejsza od potrzebnej sikawce. Przerwy zaś te znacznie opóźniają akcję ratunkową⁹⁸.

Spraw oczywistych nie ułatwiał sprzęt, który już od początku nadawał się głównie do pokazów, bo miał po prostu podawać wodę i już. A oto ciekawostka, świadcząca nie tylko o wybitnej wiedzy Tuliszkowskiego, ale o wysokim stanie wiedzy pożarniczej w ogóle. I jest to coś, co wiedzieć powinien każdy lubiący łać bezproduktywnie wodę w ogień.

Co gorsza, przerwy długie przy silnym ogniu powodują nawet zwiększenie się tegoż: wodę w miejscu rozżarzonem, polanem krótkotrwałym strumieniem, duża ilość gorąca szybko zamienia na parę, ta zaś od żaru podlega dysocjacji, t.j. rozkłada się chemicznie na tlen i wodór, z których pierwszy gaz ogromnie podsycy ogień, a drugi sam dobrze się pali. Widzimy więc nieraz w takich wypadkach, że po krótkim zalaniu ognisko cokolwiek przygasa, a potem wybucha z daleko większą siłą⁹⁹.

Czy było jakieś wyjście z takiego splotu okoliczności? Było. Oto ono:

Wobec złego stanu naszych dróg, wobec niewielkich środków materialnych i małej przeważnie ilości wody po wsiach, wiejskie sikawki powinny być następujące:

- 3 i 3/4 lub 4 calowe, lekkie, przenośne, aby z łatwością je można było przewozić na zwykłym drabiaku lub specjalnym lekkim wozie rekwizytowym,
- (...) bez skrzyń wodnych, które uważam za bezużyteczny anachronizm (...).
- do nalewania wody kubelkami lub podawania jej od sikawki do sikawki wystarczy zwykajna kadź lub jeszcze lepiej składany zbiornik z nieprzemakalnego płótna.

⁹⁸ Tamże.

⁹⁹ Tamże.

(*Chyba nie do przewożenia wody! Red.*) [uwaga ówczesnej redakcji „Strażaka” wytłuszczona na rzecz niniejszej publikacji; ówczesna redakcja, co jej się często zdarzało w różnych sprawach, wyraźnie nie zrozumiała, że chodzi o zbiornik co prawda przenośny, ale rozstawny, zatem nie do przenoszenia wody; prawdopodobnie redakcja nigdy osobiście nie gasiła pożarów różnymi typami sikawek – PR],

- *dostęp do wentyli powinien być bardzo łatwy, aby w ciągu paru sekund je można było wraz zanieczyszczenia się wyjąć i oczyścić;*
- *każda sikawka, a tembardziej wiejska powinna posiadać 2 części węża ssącego z łącznikami o sumarycznej długości około 13 łokci, aby mogła czerpać wodę i z głębszej (do 10–12 łokci) studni; oraz na zwijadle 3–4 węże tłoczące ogólnej długości 60–80 łokci.*

Jeżeli straż nabywa 2–3 sikawki, to należy kupować tylko bezwarunkowo jednakowe, tak aby węże każdej sikawki mogły być użyte do innych. Straż ogniowa, będąc zaopatrzona w dobre, lekkie i sprawne narzędzia przy ochocie i dobrej woli swych członków, staje się instytucją rzeczywiście pożyteczną dla całej okolicy. Strażacy chętnie i ochoczo pracują przy takich narzędziach, a widząc dodatnie skutki swych usiłowań podczas pożarów, nabierają otuchy i wiary w swe siły, uczęszczają pilnie na ćwiczenia i stają się dzielnym pogotowiem¹⁰⁰.

I cóż redakcja „Strażaka” na to, że trafił im się autor piszący ze znajomością istoty rzeczy, z werwą, konkretnie, bez owijania w bawełnę, zajmująco? Zamówiła następne artykuły? Nie! Bo następnym tekstem Tuliszkowskiego w tym miesięczniku był przedruk jego artykułu z „Gazety Warszawskiej” pt. *Pożarnictwo w szkołach*¹⁰¹, dokonany ponad pół roku po publikacji tego o sikawkach dla OSP wiejskich. Można z tego wnosić, że „Strażak”, będący przedsięwzięciem prywatnym i rodzinnym, miał takim pozostać jak najdłużej...

Bezrefleksyjność redakcji

Tuliszkowski okazał się sojusznikiem „Strażaka” w czasie zjazdu strażackiego w październiku 1910 r. we Włocławku. Redakcja liczyła, co przyznała na łamach miesięcznika¹⁰², że przedstawiając opłakany stan finansów pisma, zyska dotację od któregoś z obecnych w czasie zjazdu przedstawicieli Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń i/lub Towarzystwa Ubezpieczeń „Snop”. Nic z tego nie wyszło, bo z tej strony napotkała na obojętność. Za to Tuliszkowski:

(...) stawia wniosek zaproponowania miesięcznikowi „Strażak” ulepszenia wydawnictwa kosztem podniesienia prenumeraty. Zebrani zgadzają się na to i upoważniają p. Tuliszkowskiego do wyrażenia tego życzenia wydawnictwu „Strażak”¹⁰³.

Składkę istotnie podniesiono, a artykuły merytoryczne zaczęły zajmować nieco więcej miejsca niż dotychczas. Nie był to jednak wyraźny skok jakościowo-ilościowy

¹⁰⁰ Tamże.

¹⁰¹ J. Tuliszkowski, *Pożarnictwo w szkołach*, „Strażak” 1911, nr 5, s. 4–7.

¹⁰² „Strażak” 1910, nr 10.

¹⁰³ Protokół ze zjazdu strażackiego we Włocławku w październiku 1910 r., „Strażak” 1911, nr 6.

pisma. Zarówno Tuliszkowski, jak i inni uczestnicy zjazdowej dyskusji, widzieli możliwość poprawy „Strażaka”. Sposób mieli prosty. Chodziło o zwiększenie objętości merytorycznej pisma. Ale... Skoro widzieli możliwość poprawy, to jednocześnie nie byli zadowoleni z dotychczasowego kształtu pisma. Już w 1910 r. klarowała się grupa strażaków, z wiodącą rolą Józefa Tuliszkowskiego z CTR, do nadawania tonu ochronie przeciwpożarowej, jeśli nie oficjalnie, to choć nieformalnie. Tak czy inaczej, potrzebowali trybuny do wygłaszania przemówień, a przecież „Strażaka” stworzono do pełnienia takiej funkcji.

Ale czy poczytność artykułów Tuliszkowskiego i wniosek o wspomnienie finansowe pisma zmieniły coś w dotychczasowej polityce wydawniczej „Strażaka”? Czy spowodowały, że piszący tak akuratnie autor zaistniał szerzej w miesięczniku? Otóż nie. Bo następny artykuł Tuliszkowskiego ukazał się w „Strażaku” dopiero w styczniu 1912 r., a więc znów w siedem miesięcy po poprzednim. Przy tym sposób ukazania zakrawał na kpinę. Artykuł pt. *Węże tłoczące i ich zwijanie*¹⁰⁴, był zaledwie nie całostronicową zajawką, z informacją „c.d.n.” Co prawda ograniczenie miejsca w numerze 1 z 1912 r. było uzasadnione – wydrukowano wówczas niezmiernie interesujące wyniki austriackich badań odporności różnych pokryć dachowych na ogień¹⁰⁵, jednak ciąg dalszy nie ukazał się w następnym numerze ani w jeszcze następnym. Wydruk reszty artykułu nastąpił dopiero w numerze 4.¹⁰⁶ miesięcznika, zajmując wówczas 1,5 kolumny (stronicy). Czy nie mógł ukazać się wcześniej? Wyszło bowiem tak, że dwukolumnowy artykuł podzielono na dwie części, robiąc mu przerwę dwumiesięczną.

Jednak może tak działo się bez zlej woli wydawców. Oto w tym samym numerze 4. z 1912 r., gdzie dokończono artykuł o węzach, ukazał się w całości artykuł Tuliszkowskiego pt. *Przekłęte narzędzie*¹⁰⁷. Tekst ten okazał się gwoździem do trumny wyobrażenia o tym, że ówczesny miesięcznik „Strażak” może być reprezentantem nowoczesnej ochrony przeciwpożarowej.

Sprawa artykułu pt. *Przekłęte narzędzie*

Gwoźdź do trumny miesięcznika powstał nie tyle za sprawą treści artykułu i reakcji na nią (czego zresztą autor chciał), co późniejszych postępów redakcji. Najpierw jednak przypatrzmy się treści *Przekłętego narzędzia*. Uwaga! Wracamy do tematu sikawek! I znów nie będziemy przeszkadzać autorowi w logice jego przekazu.

Może zbyt dosadny dałem tytuł niniejszemu artykułowi, jednak na samo wspomnienie o tem narzędziu ogniowem, jako strażak, wzdrygam się „a serce me opanowyywa złość sroga”. Tem narzędziem jest... dwukółowa niezdejmowana sikawka, tak, niestety, rozpowszechniona w taborach naszych straży ogniowych ochotniczych. Zkąd ta „złość?” - Dlaczego tak ostra nazwa „przekłęta”?

¹⁰⁴ J. Tuliszkowski, *Węże tłoczące i ich zwijanie*, „Strażak” 1912, nr 1, s. 2.

¹⁰⁵ *Próby ogniowe z uodpornieniem dachami słomianymi*, „Strażak” 1911, nr 1.

¹⁰⁶ J. Tuliszkowski, *Węże tłoczące i ich zwijanie*, „Strażak” 1912, nr 4, s. 2.

¹⁰⁷ J. Tuliszkowski, *Przekłęte narzędzie*, „Strażak” 1912, nr 4, s. 8–11.

Bo narzędzie to opóźnia przybycie straży do ognia, męczy konie i ludzi, trudniejsze jest od każdej innej sikawki tak w przygotowaniu do działania, jak i przy podawaniu wody do ognia. (...)

Przy lustracjach straży ogniowych spotykałem jednak, choć bardzo niewiele zwolenników takiej sikawki. Będę niezmiernie rad, jak oni wystąpią w szranki rzeczowej polemiki i będą się starali przytoczyć argumenty, przemawiające za taką sikawką. Chętnie podejmę tę papierową walkę, bo chodzi mi głównie o to, aby ogół czytelników-strażaków z niej skorzystał.

A więc rzucam rękawicę.

Zwykły typ sikawki dwukołowej niezdejmowanej, zaopatrzony jest w dyszel i parę orczyków do zaprzęgu parą końmi. Dyszel ten podczas jazdy sikawki do ognia wskutek nierównowagi (sikawka ma tylko dwa punkty oparcia kół o ziemię (mówiąc językiem naukowym, jest to równowaga chwiejna) szarpie się gwałtownie i rzuca na wsze strony, bijąc konie dyszlem po pyskach i kalecząc je. Samo narzędzie rzuca się ustawicznie, kiwając się i chwiejąc, a często na zmarzłej ziemi zatacza się. Jazda na takiej sikawce musi się odbywać powoli, w przeciwnym bowiem razie i konie i ludzie na niej jadący, narażeni są na kalectwo. Sam, pędząc kiedyś do ognia na tem miłym narzędziu, potłukłem się srodze, a woźnica uległ złamaniu nogi.

Zabrać więcej jak dwóch ludzi takie narzędzie nie jest w stanie, pomimo, że nawet widzieć się dają sikawki z siedzeniem na 4 ludzi. Tu już doprawdy naiwność pp. fabrykantów, koncypujących swe pomysły teoretycznie przy biurku, przechodzi wszelkie pojęcie. Kto tylko ze strażaków miał przyjemność przejechania się do ognia na tej dwukołowce, ten unika jej i odżegnywa się jak od złego ducha, bo jak słyszałem od druhów „wszystkie wnętrzości się trzęsą i przewracają podczas tej jazdy piekielnej”.

Dobry był rydwan dwukołowy za rzymskich czasów, ale w lokomocyi od owych zamierzchłych czasów datuje się olbrzymi postęp: postawienie wozu na 4 kołach to duży krok naprzód. Dwukołowki jeszcze się spotykają wśród dziczy tatarskiej lub w stepach azyatyckich, lecz „arba” taka posuwa się wolno, kołysząc miarowo w takt powolnej jazdy wołu lub wielbłąda. (...)

Nie mogę zrozumieć również zdania, które stale spotyka się w przedmowach niektórych cenników narzędzi ogniowych, że „tylko waga sikawki może stanowić jej mocy i dobroci” (!? Red.) [już wiemy, że to przypis redakcji „Strażaka”, PR]. Lecz przeglądając takie cenniki widzi się, że tu chodzi o zareklamowanie starych typów narzędzi o spodach z lanego żelaza. Postęp jednak w budowie sikawek poczynił w ostatnich czasach duże zmiany i ulepszenia, zastępując właśnie grube, ciężkie, kruche żeliwo (żelazo lane) ciekami, lekkimi, a mocnymi materiałami: miedzią i bronzem. Przykład mały z dziedziny awiatyki: silniki samolotów, chociaż dochodzą do 120 koni par. są jednak mocne i lekkie. Porównajmy ich wagę z ciężarem niezgrabnych maszynowych silników do ropy naftowej!

U wszystkich prawie małomiasteczkowych i wiejskich straży ogniowych włoskich, szwajcarskich, węgierskich i francuskich na zeszłorocznym konkursie straży w Turynie we Włoszech, widziałem sikawki lekkie, zdejmowane na małych ręcznych dwukołowych wózkach. Rozejrzyjmy się w cennikach firm zagranicznych, a nawet rosyjskich, nie znajdziemy tam nigdzie niezdejmowanej sikawki dwukołowej z dyszlem dla koni. Niestety, ten... swojski, krajowy pomysł panów, co nigdy dymu nie wachali, i którym potrzeby straży są nieznane, trapi

tylko nasz kraj, hamuje rozwój i postęp tych straży, które miały nieszczęście nabyć to przekłete narzędzie.

Inżynier J. Tuliszkowski.

Ps. Jedyna rada pozbycia się tego wadliwego urządzenia: przerobienie tych dwukółówek na czterokołowe sikawki przez dodanie przodu z kozłem.

J. T.

Uwaga Redakcyi. Drukujemy, przejęskrawiony cokolwiek, artykuł powyższy, polegając na znanej kompetencji naszego Szanownego Współpracownika; łamy jednak „Strażaka” gotowe są przyjmując uzasadnione sprostowania ze strony osób zainteresowanych w sprawie omawianej¹⁰⁸.

Jak na razie wszystko było w porządku. Ukazał się zadziorny tekst, o którym autor z góry założył, że jest polemiczny. Na polemikę zdecydował się główny, a w początkach pisma jedyny reklamodawca „Strażaka”, Józef Troetzer, podwarszawski producent sikawek.

Przyznać trzeba, że autor polemiki albo niewiele z artykułu Tuliszkowskiego pojął, albo nie chciał go zrozumieć. Użył przy tym kilku niezręcznych chwytów erystycznych, polegających na przypisaniu Tuliszkowskiemu treści, jakich ten w *Przekłętym narzędziu* nie wypowiedział bądź wyraźnie wypowiedzieć nie miał zamiaru. Redakcja, ze swojej strony, nie umiała powstrzymać nietrafionej argumentacji swojego głównego sponsora. Bardzo obszerna polemika ukazała się bardzo szybko, bo w numerze 5. z 1912 r., czyli w następnym. Oto jej skrócona treść:

W numerze kwietniowym „Strażaka” zamieszczono artykuł p. J. Tuliszkowskiego, omawiający „Przekłete narzędzie”, to jest dwukółową sikawkę na stałym wozie, do zaprzęgu końmi. Moje wystąpienie nie ma na celu podjęcia rzuconej „rękawicy”, ani też stawiania w obronie „Przekłętego narzędzia”, a jedynie chcę wykazać sprzeczności artykułu, który przez to traci na wartości i utrudnia w orjentowaniu się, o co p. T. chodzi, a zarazem chcę stwierdzić, że typ sikawki – proponowany przez Autora, Strażom Ogniom – jest nie do przyjęcia.

Autor krytykując to „Przekłete narzędzie” mówi: „Bo narzędzie to (czytaj: dwukółowa sikawka na stałym wozie do pociągu końmi) opóźnia przybycie Straży do ognia, męczy konie i ludzi, trudniejsze jest od każdej innej sikawki, tak w przygotowaniu do działania, jak i przy podawaniu wody do ognia”. W końcu zaś artykułu znajdujemy taką konkluzję Autora: „Tylko w takie narzędzie (czytaj: dwukółową sikawkę zdejmowaną z wozu, do ręcznego pociągu) Straż każda powinna być zaopatrzona, ustawione na dwukółowych platformach, z ręcznym dyszelkiem do szybkiego dostarczania, bez koni, do pobliskiego ognia”. Z zestawienia tych zdań wynika, że gdy sikawka będzie urządzona do ręcznego, przez strażaków, pociągu to:

- 1) prędzej przybędzie na miejsce pożaru, aniżeli sikawka ciągniona końmi i
- 2) strażacy będą mniej zmęczeni, ciągnąc sikawkę do ognia, aniżeli wtedy, gdyby jej nie ciągnęli.

Przyznając otwarcie, że takie wywody są wprost niezrozumiałe.

¹⁰⁸ J. Tuliszkowski, *Przekłete narzędzie*, s. 8–11.

Między innemi Autor także mówi: „Dobry był rydwan dwukolowy za rzymskich czasów (...)”. Sądząc z tych słów należałoby przypuszczać, że Autor już dwukolowej sikawki nie zaleci, że rzuci jaką nową myśl, a już przynajmniej zaleci sikawkę 4-o kolową, to też propozycją rozpowszechnienia dwukolowych sikawek, jestem bardzo zdziwiony, tem więcej, że Autor zaraz dalej tak twierdzi: „Dwukółki jeszcze się spotykają wśród dziczy tatarskiej lub w stepach azyatyckich...i t. d.” to jednak zupełnie nie przeszkadza p. T. przyznać, wypowiadając w tymże artykule: „U wszystkich prawie małomiasteczkowych i wiejskich straży ogniowych włoskich, szwajcarskich, węgierskich i francuskich, na zeszłorocznym kongresie straży w Turynie we Włoszech, widziałem sikawki lekkie, zdejmowane na małych ręcznych dwukolowych wózkach”. W tym wypadku przyznaję rację p. T. gdyż również zagranicą i ja widziałem nie tylko takie dwukolowe sikawki, ale także i wozy do wielkich ciężarów i, jak w Londynie, dorożki (kab’y).

W kulturalnych zagranicznych państwach, o których Autor wspomina, mogą być rozpowszechnione typy sikawek dwukolowych ręcznych, na to składa się dużo względów, jak: 1) drogie utrzymanie koni; 2) dobre drogi w rejonie działalności straży; 3) gęsta sieć rozrzuconych straży, przez co zmniejszenie do minimum terytorium działalności straży i t.p., a u nas wręcz przeciwnie i dlatego mogą za-pewnić p. T., że będąc ciągle w ciągłym kontakcie z różnemi Strażami Ogniowemi, i w obecnych warunkach, Straże uznają tabor narzędzi ogniowych umieszczonych na 4-o kolowych wozach za najlepszy i gdyby nie różnica kosztu, napewno nie widzielibyśmy w Strażach ani „Przekłętego narzędzia”, ani typu wyidealizowanego przez p. T. Jestem często świadkiem jak Członkowie Zarządów Straży Ogniowych, wobec braku funduszków, łamią sobie głowy, by uniknąć taboru 2-u kolowego i dlatego często różnicę kosztu dopłacają z własnych funduszków, lub przyjmują osobiste zobowiązania, by tylko nabyć tabor narzędzi na 4-o kolowych wozach. (...).

W krytykę dotyczącą konstrukcji „Przekłętego narzędzia”, a wypowiedzianą przez p. T. nie wdaję się, gdyż różne fabryki, różnie konstrukcyę tę rozwiązują i zresztą – po tem zasadniczem wyjaśnieniu – uważam to za zbyteczne. Również zaznaczam, że walka papierowa, o której p. T. wspomina jest wyłączona i nie doprowadzi do celu, a tych wszystkich, którzy mieliby wątpliwość do tego co powyżej powiedziałem, po uprzednim powiadomieniu mnie, zaproszę do Ochotniczej Straży Ogniowej w Pruszkowie i Żbikowie, w której mam zaszczyt być Naczelnikiem, a w której i „Przekłęte narzędzia” i typ zalecony przez p. T. będzie można dokładnie wypróbować.

Józef Troetzer. Pruszków, dnia 28 maja 1912 r.

Uwaga Redakcyi. Drukujemy replikę, ponieważ sam autor artykułu „Przekłęte narzędzie” tego żądał, ale nam się zdaje, że zachodzi tu zasadnicze nieporozumienie. Autorowi chodzi głównie o lekkość sikawki tak, żeby, nie męcząc się kilku ludzi mogło ją przeprowadzić na miejsce pożaru, oraz żeby z łatwością dała się zdjąć z wózka. Z drugiej strony p. Tul. swoją wzmianką o rzymskiej kwadrydze mógł czytelnika naprowadzić na mylny wniosek, że on pragnie aby Straż każda bezwzględnie zaprowadzała u siebie tylko 4-kolowe sikawki¹⁰⁹.

¹⁰⁹ J. Troetzer, W sprawie przekłętego narzędzia, „Strażak” 1912, nr 5, s. 6–8.

Oczywiście dałoby się z tego zrobić przyczynek do zwiększenia sprzedaży, należało jednak postępować roztropnie. Pierwszym nierozważnym czynem redakcji był zacytowany wyżej przypis od niej do artykułu Troetzera, w którym – na zasadzie by wilk był syty i owca cała – słusznie wykazuje nieporozumienie, ale niesłusznie zatrzymuje się na informacjach o rzymskich kwadrygach, wyraźnie nie rozumiejąc, o co autorowi chodziło. Nic dziwnego, że Tuliszkowski, po zapoznaniu się z polemiką Troetzera, wzmocnioną jakże na pozór neutralną uwagą redakcji, odpisał na nią natychmiast. Co istotne, uczynił to z Karlsbadu (dziś Karlowe Vary), gdzie przebywał na wycieczce z rodziną. Niestety redakcja, przyzwyczajona pouczać autorów, straciła w tym miejscu instynkt samozachowawczy i artykuł prostujący Tuliszkowskiego odłożyła *ad acta* – fakt, był bardzo obszerny i zjadłby cały numer „Strażaka”, nie zostawiając żadnego miejsca na plotki pożarowe. I ta właśnie opieszałość stała się gwoździem do trumny zasłużonego czasopisma.

Spóźniona publikacja odpowiedzi Tuliszkowskiego na krytykę *Przekłętego narzędzia*

Koniec końców redakcja opublikowała ten artykuł dopiero w numerze 11/12 z 1912 r., jako obszerny dodatek, który *de facto* ukazał się w styczniu 1913 r., czyli w pół roku od otrzymania tekstu. Była to bardzo spóźniona reakcja, na rynku zaistniała bowiem, za sprawą m.in. Tuliszkowskiego, konkurencja dla „Strażaka”, mianowicie „Przegląd Pożarniczy”.

Oto treść, która nie ukazała się w porę, jak to zaznaczyła redakcja: „na kategoryczne żądanie” oraz wyłączną „odpowiedzialność” Szan. Autora¹¹⁰.

Spędziwszy 23 lat mego życia od 1889 r. jako czynny członek-ochotnik wielu straży ogniowych, między innymi Ryskiej i Kijowskiej (uznanych za wzorowe), walcząc z pożarami setki razy w ogniu i dymie, z tytułu nabytego doświadczenia, jak i z tytułu fachu i stopnia naukowego, jaki posiadam (inżyniera-mechanika) sądziłem, że mam prawo i obowiązek nakazujący mi, jako instruktorowi zabrać głos na łamach „Strażaka”, w sprawie braków, które dostrzegam w taborze naszych straży ogniowych i na które koledzy moi, naczelnicy, nieraz mi się skarżyli. Niestety, jednak artykuł mój, widać niepożądany dla fabrykantów narzędzi ogniowych, skłonił jednego z nich, mianowicie p. Troetzera do odpowiedzi, która zamiast być fachową i rzeczową dysputą w sprawie braków, jakie wskazałem w narzędziach ogniowych i dysputa nad którymi na łamach „Strażaka” mogła być bardzo użyteczną, jest artykułem wyszukującym tylko rzekome sprzeczności w moim artykule, przy pokryciu milczeniem kwestii technicznych, które ja poruszyłem.

Ironizując pod moim adresem na 5 kolumnach „Strażaka”, ze stroną techniczną sprawy załatwił się p. Troetzer w kilku wierszach: „w krytykę konstrukcyi nie wdaję się, uważam to za zbyt techniczne”. Przepraszam, więc po co zajmujemy miejsce w „Strażaku?” (...) Choć p. Troetzer

¹¹⁰ J. Tuliszkowski, Jeszcze o przekłętym narzędziu, „Strażak” 1912, nr 11/12, s. 21–24.

mógł mieć pewne trudności w daniu odpowiedzi, gdyż na to trzeba długoletniej praktyki strażackiej, z którą przed paru miesiącami założona straż ogniowa w Pruszkowie dopiero z czasem zapoznać go może, jednak mimo to, jeżeli chciał głos zabrać to mógł się poradzić jakiego inżyniera, którego zapewne ma w fabryce [red - o ile nam wiadomo p. Józef Troetzer sam jest dyplomowanym inżynierem] jak i doświadczonych strażaków, którzy poradziliby mu co i jak, w sprawie tak zlekceważonej przez niego dysputy nad konstrukcją sikawek, odpisać należy. (...) podkreślić tu muszę, że artykuł mój nie miał na celu atakowania p. Troetzera lub jego wyrobów, wszak oprócz pana Troetzera mamy w kraju jeszcze parę fabryk narzędzi ogniowych (...). Chciałem zwrócić tylko uwagę p.p. fabrykantów na zalety sikawek lekkich, tanich, na dwukółowych wózkach, bez siedzeń dla ludzi, zarówno do pociągu ręcznego w obrębie zabudowań wsi lub osady jak i dla przypinania z tyłu za wozem dwu lub czterokonnym w razie potrzeby.

Sikawki te zdejmują się przy ogniu na ziemię z dwukółowego wózka, i ten typ właśnie uważam za lepszy od sikawek na stałe do wozu dwukółowego przymocowanych nazwanych przeze mnie za przykładem jednego ze strażaków „przeklętem narzędziem”, a które p. Troetzer w swoim artykule wziął w tak gorącą obronę.

Polecane przeze mnie zdejmowane sikawki na wyrzut 13–14 wiader wody na minutę, na wysokość 4 pięter razem z wózkiem ważą tylko 12–14 pudów i kosztują od 250 do 300 rb. Sztuka (...). Nie mogę posądzić p. Troetzera o tak wielką nieznamość rzeczy, by tego typu nie znał i o nim nie słyszał; typ ten jest w cennikach wielu krajowych i zagranicznych fabryk. Jednak dla efektu polemicznego pan Troetzer jakoby nie zrozumiał, o jaką sikawkę mi idzie i tryumfuje, że jego sikawka dwukółowa, dostarczana końmi będzie prędzej na miejscu ognia jak polecana przezemnie ciągniona ludźmi. Innymi słowy z artykułu p. Troetzera wypada, jakobym ja, zalecał sikawki do pociągu ręcznego, wymagając od strażaków, aby zamiast koni latali w dyszlu do pożarów po całej okolicy!!!

Zaznaczyć należy, że spór ten o typ sikawki nie obejmuje sikawek dla straży miejskich (...) posiadających wyszkoloną komendę, lepsze drogi środki materialne na kupno 4-kółowych sikawek, jest to spór dotyczący odpowiedniego narzędzia dla tych setek mniejszych straży ogniowych rozrzuconych po całym kraju, którym stosownie od ich skromnych środków materialnych jak najodpowiedniejsze sikawki i tanie zalecać należy. Dla takich mniejszych straży tylko sikawka lekka, zdejmowana z dwukółowego wózka, łatwa do przewiezienia między budynkami i opłotkami, łatwa do ustawienia nad wodą, będzie zawsze lepszą od sikawki dwukółowej na stałe umocowanej do wozu, zaprzężonej w parę koni w dyszlu, z której, nim się ją uruchomi trzeba wyprzęgać konie, następnie otwierać podpórkę i sadzać ludzi na dyszlu dla równowagi, aby się nie bujała.

Mimo tych kilku przedwstępnych czynności zajmujących czas przy uruchomieniu sikawki p. Troetzer utrzymuje, że taką sikawkę da się prędzej wprowadzić w ruch, jak sikawkę zdejmowaną z wozu i że jego sikawka na stałe z wozem złączona „jest lżejsza od zdejmowanej z wozu”.

Jednak niestety, własny cennik pana Troetzera przeczy temu. Według tego cennika sikawka dwukółowa z cylindra- mi 3 cala średnicy na stałe przytwierdzona do wozu waży 17 pudów

(str. 44), zaś także zdejmowana wraz z wozem waży 14 pudów (str. 50). Czyli własny cennik pana Troetzer stwierdza, że ja mam rację. (...)

Kończąc powyższe wyjaśnienia sikawek o konstrukcyi których dysputę p. Troetzer uważał „za zbyteczną” myślę, że ogół czytelników „Strażaka” właśnie to interesować będzie, co odnosi się do budowy i konstrukcyi sikawek i stwierdzam raz jeszcze, iż artykuł mój był pisany o „sikawkach”, a nie o fabrykantach i (...) mam nadzieję, że pan Troetzer zamiast dalszych wyszukiwań nieistniejących sprzeczności w moim artykule zajmie się ulepszeniem łamanych dźwigni, kaleczących ludzi, jazdy trudnej na dwukółkach, zwróci uwagę na nadmierny ciężar narzędzi, na wagę sikawki, jako probierz jej dobroci, na nieudolność ciężarnego wozu, mylnie zwanego „pogotowiem” itp. Wszelkie zmiany na lepsze narazie kosztowne z tytułu zmiany rysunków i modeli, w skutkach przyniosą większy pożytek fabryce jak nieudolna obrona i usilne przekonywanie strażaków, że to co ja napisałem o brakach narzędzi ogniowych niema słusznej podstawy.

Inżynier Józef Tuliszkowski, Karlsbad, d. 18 czerwca 1912 r.^{III}.

Próżno liczył Tuliszkowski na opublikowanie sprostowania, bo redakcja „Strażaka” wyraźnie wystraszyła się tej sprawy. Niezręczność jawiła się jako gruba – powyższy tekst przytoczono wyżej w mocnym skrócie, ograniczonym do najważniejszych kwestii. W pełnej treści dostało się Toezerowi również za rusycyzmy i germanizmy, tudzież za nietrafione odnoszenia się do dwukółek. Trudno więc było redakcji opublikować tekst, który podważał wiarygodność jej głównego reklamodawcy. Możliwe, że Tuliszkowski nie chciał iść na żaden kompromis i skrócić tekstu, możliwe, że żądał, by ukazał się on w całości w jednym numerze – ale to tylko domysły. Faktem jest, że polemika nie ukazała się pod żadną postacią, gdy był na to jeszcze czas.

Tymczasem nadszedł zjazd strażacki we Włocławku, a reakcji Tuliszkowskiego na krytykę jego artykułu „Strażak” nie opublikował nawet we fragmencie. Na zjazd pojechali zarówno redaktor Szyller-Racki, jak i inż. Tuliszkowski, który zdążył nie tylko przeświecić zagmatwany cennik wyrobów Toezer, ale w ślad za tym bardzo uważnie przyjrzeć się profilowi informacyjnemu milczącego o jego sprawie „Strażaka”. Jak się miało okazać, nie tylko on.

Tuliszkowski, podbudowany istotnymi już sukcesami w CTR, przygotował na zjazd coś jeszcze: referat o sikawkach dla straży wiejskich...

Powstanie „Przeglądu Pożarniczego”

Nie mogli polscy strażacy założyć własnego towarzystwa, które jednoczyłoby ich ruch, ale mogli wytworzyć jego namiastkę. Mianowicie dogadali się, że podczas zjazdów strażackich będą wymieniać doświadczenia w sposób zobowiązujący do stosowania wniosków z nich płynących.

^{III} Tamże.

Organizacja zjazdu nie była sprawą prostą nie tylko przez wzgląd na skomplikowanie przedsięwzięcia, ale też z uwagi na czynny opór władz rosyjskich. Wiemy, jakie kłopoty mieli Tuliszkowski i inni w lubelskiej guberni, gdy zwartymi oddziałami przededefilowali przez Lublin. Z czasem władze zaborcze złagodniały w tym zakresie, bo okazało się, że strażacy może i sobie defilują, ale też urządzają zawody, festyny i nie nawołują do rewolucji, nie wyciągają broni. Mówiąc kolokwialnie, leją dużo wody, gadają, bankietują i to wszystko. Oczywiście większość zjazdów odbywała się przy okazji spotkań kółek rolniczych, bo tak się składało, że członkowie kółek często byli również członkami ochotniczych straży ogniowych. To jednak, dobre dla regionów, nie wystarczało dla całego zaboru. Bo jak uzasadnić udział oddziałów strażackich z odległych guberni w zjeździe kółek rolniczych guberni piotrkowskiej?

Pierwszym dużym zjazdem, gdzie spotkali się upoważnieni do podejmowania kluczowych decyzji przedstawiciele wiodących nie tyle może ochotniczych straży pożarnych, co towarzystw straży pożarnych, miał miejsce we Włocławku w 1910 roku. Włocławek nie był miejscem przypadkowym. Działała tam jedna z najlepiej zorganizowanych w Królestwie Polskim straży ogniowych ochotniczych, bo wyposażona w inteligencję, w dodatku mającą służbę społeczeństwu nie za sam frazes. W czasie zjazdu omówiono szereg problemów, o czym można przeczytać wyżej w rozdziale o kłęsce ogniowej w Królestwie Polskim. Co istotne dla wątku polskiej prasy pożarniczej, całkiem nieufnie odniesiono się wówczas do pisma „Strażak”, ale dano mu szansę, przy czym pomysłodawcą, jak to się miało okazać nie naprawy, a przedłużenia agonii, był Tuliszkowski. W 1911 r. taki zjazd się nie odbył, nie z powodu braku ochoty, a przez obstrukcję władz rosyjskich. Udało się do niego doprowadzić dopiero w 1912 r., za to znów we Włocławku – gospodarze byli z siebie dumni. Możliwe, że koronnym argumentem ku finalizacji zjazdu przed gubernatorstwem było ogłoszenie przez Centralne Rosyjskie Towarzystwo Pożarnicze wielkiego zjazdu strażackiego na jesień 1912 r. w Petersburgu, z bogatym, a nawet wszechstronnym programem ochrony przeciwpożarowej. Co mieli przedstawić tam strażacy z Królestwa Polskiego, jeśli nie mogli dogadać wspólnego stanowiska? Musieli się spotkać, by wyłonić jakąś reprezentację. Władze zgodziły się na ten zjazd, ale chciały mieć nad nim kontrolę.

Uczestnicy włocławskiego zjazdu

Rolę kontrolną miał pełnić pplk Edward Lund, naczelnik Warszawskiej Straży Ogniowej (zawodowej). Jednocześnie był to skoncentrowany na zawodzie strażaka profesjonalista, całkiem dumny z tego, że od kilku lat z powodzeniem zarządzał uchodzącą za jedną z lepszych w całym Imperium Romanowych jednostką gaśniczą. Oprócz niego przedstawicielami Warszawy byli Bolesław Chomicz i Józef Tuliszkowski – pierwszy jako reprezentant Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń, a drugi CTR. Jako że spotykali się w CTR (Chomicz wrócił ze studiów zagranicznych i natychmiast skierowano go w miejsce jego zwierzchnika, Pawła Górskiego, do pracy w komisji

Tuliszkowskiego), jadąc do Włocławka ogólny plan dalszego działania mieli nakreślony, co można poznać po tym, co zrobili w nieodległych w czasie pierwszych numerach „Przeglądu Pożarniczego”. Bynajmniej nie chodziło o to, co widać w postaci efektu materialnego ich starań, czyli o wytworzenie periodyku pożarniczego. Cele były bardziej dalekosiężne, bo systemowe, a organ prasowy jawił się im nie tyle jako cel sam w sobie, jak „Strażak” dla Szyllerów-Rackich, lecz jako narzędzie do celu wiodące.

Chomicz, dla którego był to zjazd debiutancki, sporo dowiedział się od Tuliszkowskiego zarówno o zjeździe wcześniejszym, jak i o ludziach w nim uczestniczących. A w czasie poprzedniego zjazdu włocławskiego dało się poznać ludzi i ich problemy, które razem można było określić jako chocholi taniec z *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego: wszyscy czegoś chcą, niby tego samego, ale nie potrafią oderwać się od spraw przyziemnych, rozdrabniając wysiłki na jałowe utarczki; wreszcie ci inteligentni ludzie, najlepsi działacze w kraju, zebrani razem niewiele potrafią postanowić twórczego, bo ruch strażacki, praktycznie rzecz biorąc, nie zaistniał, mimo teoretycznego funkcjonowania ponad 400 towarzystw.

Rzecz w tym, że zarządzanie ochroną przeciwpożarową za pośrednictwem zjazdów, na które gubernatorzy dawali pozwolenia lub nie, oznaczało ogromny bezwład organizacyjny. Np. poprzedni zjazd włocławski z 1910 r. miał swoje ustalenia – powołał komisję, w skład której wszedł Tuliszkowski. Jej zadaniem było opracowanie wzorców dwóch dokumentów dla OSP: regulaminu i instrukcji. Aby jednak sfinalizować działania komisji, należało wyniki jej prac przedstawić na następnym zjeździe – prawie dwa lata później, bo do tego zapętlonego w niemożności korowodu, który z trudem zdobywa się na oderwanie od problemów naprawdę pospolitych (a urosłych do rangi głównych), przygrywa z boku zaborca swoimi zarządzeniami i zwlekaniem (czasem kilkuletnim) chętnie wypychający polskich strażaków w marazm.

Chomicz i Tuliszkowski zgodni byli w tym, że towarzystwem strażackim należy wstrząsnąć, czyli przejąć nad nim władzę, pokazać kierunki i dać przykłady działania – słowem zarządzać nim w sposób jednolity, z jedną myślą przewodnią, wystającą wyraźnie ponad partykularne interesy, a w szczególności ponad problemy egzystencjalne. Zarządzanie, by okazać się sprawnym, wymagało zarówno szybkości akcji, jak i reakcji – liczonych w dniach, tygodniach, co najwyżej w miesiącach, ale nie w latach! Wobec braku zgody władz rosyjskich na powołanie organizacji jednoczącej Towarzystwa Straży Pożarnych Królestwa Polskiego, która wysyłałaby do swoich członków okólniki, pisma informacyjne i polecenia, rolę taką mógł pełnić wyłącznie jakiś periodyk, któremu ton nadawałaby grupa inicjatywna. I który reagowałby również nie w latach, a co najwyżej w miesiącach.

Oczywiście przedyskutowano, czy „Strażak” może być takim pismem jednoczącym, nadającym ton, wyznaczającym wzorce. Jasne było dla tej grupy (poza Chomiczem i Tuliszkowskim znalazło się w niej jeszcze kilka osób), że miesięcznik Szyller-Rackich nie spełnia tych kryteriów. Przede wszystkim nie ma autorytetu pośród własnych

czytelników, nie powoduje fermentu twórczego, jest tubą wyłączną dla właścicieli pisma i kilku ich znajomych, i – zasadniczo – dla nikogo więcej. Przy jego bezwładzie czasowym sięgającym pół roku i roku nawet, nie da się reagować na bieżąco na różne problemy. Istotna próba zwiększenia objętości merytorycznej tego pisma przez dobrowolne powiększenie ceny przez prenumeratorów całkowicie zawiodła, bo od połowy 1910 r. profil wydawnictwa nie zmienił się, podobnie jak podejście jego wydawców. Tymczasem nie tylko ochrona przeciwpożarowa poszła naprzód, ale też przybyło ludzi posiadających dużą wiedzę na ten temat i gotowych się nią podzielić. Sam Chomicz zastał/zgromadził w WTU grupę specjalistów od budownictwa ogniotrwałego, mających wiele do powiedzenia, tylko nie mających gdzie publikować. Tuliszkowski dysponował podobnym zespołem w CTR. Nie wiemy tego z pewnością, ale poza *Przekłętym narzędziem* musiano coś proponować wydawcom „Strażaka”, na co miejsca nie znaleźli, ewentualnie w kolejnym półroczu lub nawet roku...

Co charakterystyczne, nie tylko Chomicz nie napisał do „Strażaka” dosłownie niczego. Nie zaistniał też żaden z autorów, którzy od pierwszych numerów „Przeglądu Pożarniczego” z wielkim powodzeniem propagowali ubezpieczenia od ognia, budownictwo ogniotrwałe i urządzenia przeciwpożarowe. Weźmy więc pod uwagę, że istniał „Strażak” przez kilkanaście lat, a dopiero w „Przeglądzie Pożarniczym” objawiły się talenty i solidna, nowoczesna wiedza kilkunastu osób, np. Konstantego Wyszackiego. Zarówno Chomicz, jak i Tuliszkowski byli w stanie założyć lepsze pismo od „Strażaka”. Oni mieli wyraźne sukcesy, a „Strażak” – nie. Awantura o sikawki była tylko kropką nad „i”, bo próby uczynienia „Strażaka” głosem fachowym ludzi mających zmysł organizacyjny, wiedzę i determinację spелzły na niczym znacznie wcześniej. Zatem gdy tylko sprawa polskiego pisma pożarniczego zawisła przed gremium zjazdowym, poglądy na ten temat Chomicza i Tuliszkowskiego były kategoryczne i pozbawione jakichkolwiek sentymentów.

Fatalny dla „Strażaka” przebieg obrad

Potocznie sądzi się, że to Tuliszkowski spowodował odepchnięcie „Strażaka” od ruchu strażackiego. Nie do końca tak to wyglądało. Delegatów było kilkudziesięciu, a kilku spośród nich wypowiadało się w tej sprawie. Jeśli prześledzić te wypowiedzi szczegółowo (co zrobimy), głos Tuliszkowskiego okaże się pierwszym krytycznym, najwyraźniejszym, a przecież nie jedynym. Poza tym, co ważniejsze od wypowiedzi, głosowano nad wnioskami przeciw „Strażakowi” i wnioski te przyjęto, a skoro przyjęto, to większość spośród kilkudziesięciu delegatów strażackich głosowała za nimi. Zatem opór przed stylem reprezentowanym przez „Strażaka” był znacznie szerszy niż opinia jednej osoby. Tuliszkowski po prostu najcelniej i całkiem reprezentatywnie dla „ogółu” (takie sformułowanie padnie w dyskusji) nazwał praktykę wydawniczą Szyllerów-Rackich. Przyjrzyjmy się protokołowi z obrad, a dowiemy się, jak to było, a szczególnie, w jakim kontekście odbyła się kluczowa dla polskiej ochrony przeciwpożarowej dyskusja.

Najwięcej głosu miał podpułkownik Lund. W gruncie rzeczy to on otworzył obrady, nadając im legalny charakter, pilnując jednocześnie, by nie działo się nic nieprawomyślnego, tzn. by były zgodne z gubernatorskim zezwoleniem. Można odnieść wrażenie, że bardzo mu zależało na doprowadzeniu ich do końca w taki sposób, by nie było pretekstu do odmowy zwołania następnego zjazdu.

Początkowo nic nie wskazywało na to, że „Strażaka” spotka katastrofa. Redaktor Szyller-Racki przybył na obrady spóźniony (co prawda w pierwszym dniu obrad, 18 sierpnia, ale o godz. 18), co oczywiście zauważono.

*Pan plk Lund proponuje, aby zaprosić do prezydjum przybyłego w trakcie tego redaktora „Strażaka” p. Szyllera: zebrani przez aklamację powołują do prezydjum redaktora Szyllera*¹¹².

Dzięki spóźnieniu redaktor Szyller nie musiał wysłuchiwać aż nadto dobrze mu znanych wywodów Tuliszkowskiego nt. najlepszych sikawek dla wiejskich straży ogniowych, ale ominęły go również takie tematy, jak: wyniki prac komisji regulaminowej i organizacyjnej i dyskusja o regulaminie i instrukcji dla wszystkich straży pożarnych Królestwa Polskiego, przy czym konieczne było wyjaśnienie obecnym różnic między regulaminem a instrukcją; modeli sikawek ułatwiających naukę, które zlecono komisji opracować jako tekturowe, z przeznaczeniem na nie całkiem okazałego budżetu; tematyki i miejsc kursów dla naczelników straży ogniowych ochotniczych; wyboru łączników węzowych spośród istniejących systemów; otwarcia klubów towarzyskich w strażach; sposobu zdobienia krepą sztandaru; kar regulaminowych dla strażaków. Był natomiast świadkiem ostatecznych dyskusji nad regulaminem, a na koniec dnia obrad spotkała go kolejna przyjemność: odsłuchał tekst własnego referatu pt. *Etyczne znaczenie ochotniczych straży ogniowych*, odczytanego przez Bolesława Chomicza – i to był jedyny raz, gdy Bolesław Chomicz miał w czasie tego zjazdu warty odnotowania głos. Zatem można powiedzieć, że redaktor Szyller-Racki spotkał się ze znaczną atencją, co musiał zauważyć i – dzięki temu – zanadto optymistycznie spojrzeć w przyszłość.

W drugim dniu obrad, 19 sierpnia, członkowie zjazdu zatwierdzili przez głosowanie instrukcję dla ochotniczych straży ogniowych, długo wcześniej dyskutując nad poszczególnymi punktami. Następnie wypowiadał się skarbnik zjazdu i omawiano istotne zagadnienie: czy można przyjmować od ubezpieczycieli datki w naturze, zamiast w pieniądzu, np. sikawki. Nie zgodzono się na to, choć taką właśnie praktykę przyjęto w Galicji. I gdy ucichła debata na ten temat, stanęła sprawa „fachowego organu”, czyli periodyku nt. ochrony przeciwpożarowej.

Jeśli wierzyć cytowanemu protokołowi (sprawę fachowego organu wyróżniono wyodrębnionym tytułem wielkimi literami jako jedyną w druku w „Przeglądzie Pożarniczym”, podczas gdy inne zagadnienia – nawet tak ważne jak regulamin czy instrukcja – podano bez żadnych tytułów, w ciągu akapitów, jedynymi wyróżnikami były tu

¹¹² *Porządek dzienny zjazdu delegatów Straży Ogniowych Ochotniczych we Włocławku w dn. 18 i 19 sierpnia rb.*, „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 1, s. 14.

nazwiska zabierających głos, które pogrubiono), wilka z lasu wywołał sam redaktor Szyller-Racki, wiedziony prawdopodobnie tą samą myślą, co przy zjeździe poprzednim, w październiku 1910 roku. Znow chciał skłonić delegatów do zwiększenia prenumeraty, sformułowania wniosku o dotację dla pisma od ubezpieczycieli lub innych form poparcia, co – biorąc pod uwagę tragiczny stan jego „Strażaka” – byłoby działaniem naturalnym. Przystąpił jednak do działania w sposób nieco prowokacyjny.

Na porządku dziennym staje sprawa wydawnictwa „Strażaka”, daje to powód redaktorowi Szyllerowi do wystąpienia z zapytaniem, czy Ogół jest niezadowolony z wydawnictwa. Nie sądzi aby tak było, gdyż przez cały czas istnienia wydawnictwa nie otrzymał reklamacji lub skarg. Redaktor Szyller prosi o wypowiedzenie się, czy Ogół ma zaufanie do wydawnictwa, jakich pożąda zmian. Przy poparciu ze strony straży wydawnictwo dążyć będzie ku postępowi¹¹³.

Zatem mamy powtórzony mniej więcej ten sam motyw co przed dwoma latami, zmodyfikowany o elementy awantury z Tuliszkowskim o *Przekłęte narzędzie*, czyli sprowokowanie obecnych, prawdopodobnie nieświadomych kulisów tej sprawy, do wypowiedzenia się odnośnie profilu pisma. Element samokrytyki miał tu uniemożliwić ewentualną dyskusję nt. jakości pisma – redaktor sam przyznawał, że coś jest nie tak, więc nie ma co się rozwodzić nad brakami, tylko pokazać, co można pożytecznego zrobić, a ludzie kulturalni nie powinni wątku rozwijać.

Jeśli red. Szyller myślał, że skoro zasiada w prezydium zjazdu, to jego pytanie onieśmieli uczestników do dawania głosów krytycznych, głęboko się pomylił. Pierwszy odezwał się nikt inny, tylko najbardziej osobiście zainteresowany, tj. inż. Józef Tuliszkowski, nadal niemogący się doczekać publikacji sprostowania. Wystąpił co prawda z atakiem może i spodziewanym, ale o niespodziewanej intensywności.

P. Tuliszkowski oświadcza, że był on zawsze usposobiony życzliwie do wydawnictwa, zasiliał je fachowymi artykułami, zjednywał prenumeratorów, dla dostarczenia większych środków pieniężnych na ulepszenie wydawnictwa przeprowadził na zjeździe 1910 r. wyższą opłatę za prenumeratę, zmuszony jednak przy całej życzliwości do wydawnictwa wypowiedzieć się, że wydawnictwo nie stoi na wysokości zadania, zawiera przeważnie bezwartościową treść, przedruki z innych miesięczników, zawiera bezcelową, niepouczającą, zebraną z gazet codziennych kronikę pożarów z całego tygodnia. Co najgorsza jest zależne od fabrykantów, subwencjonujących wydawnictwo swemi ogłoszeniami¹¹⁴.

Gdyby na tym Tuliszkowski poprzestał, byłby to jeszcze jeden głos w kłótni i świadectwo jej przedłużenia na forum publicznym. Powiedział jednak coś więcej, co przenosiło dyskusję na poziom dobra ogólnego. Mianowicie nakreślił, jakie są potrzeby strażaków Królestwa Polskiego, nie widział jednak sensu, by te potrzeby zapewniał „Strażak”.

Wydawnictwo, przeznaczone dla straży, należy gruntownie zreformować, należy je uniezależnić od postronnych wpływów. Przeznaczone ono być winno dla pouczenia i doskonalenia

¹¹³ Tamże, s. 18.

¹¹⁴ Tamże.

straży. Powinno zawierać artykuły oryginalne. Doświadczonych współpracowników z pośród strażaków nie brakuje wydawnictwu, opisy pożarów mogą się znaleźć na łamach wydawnictwa, o ile połączone będą z krytyką ratownictwa. Gdy wydawnictwo bogate będzie w treść pouczającą, stanie się niezbędne dla każdego strażaka, a istnienie wydawnictwa będzie zapewnione. P. Tuliszkowski stawia więc wniosek, aby na dzisiejszym zebraniu postanowić założenie własnego organu strażackiego¹¹⁵.

Redaktor Szyller-Racki był zaskoczony. Tuliszkowskiego nie skłoniło do milczenia osobiste zaangażowanie w sprawę, zaś wniosek końcowy miał skutek znacznie dalej idący, niż można się było spodziewać – „Strażak” następnej szansy na poprawę nie dostanie i to bez względu na przeszłe zasługi, borykanie się z cenzurą, kary finansowe i więzienia dla członków redakcji. Wszystko to Tuliszkowski skreślił, stawiając na pierwszym miejscu zagadnienia merytoryczne, jako najistotniejsze dla „ogółu”. Co oczywiste, „Strażak” próbował się bronić, całkiem zrećnie wskazując motywy osobiste wystąpienia przedmówcy, a więc jego stronniczość.

P. Szyller, redaktor „Strażaka”, zbija zarzuty, stawiane jego wydawnictwu, nie z jego winy wynika polemika, która sprowokowała życzliwego dotychczas „Strażakowi” pana Tuliszkowskiego do zmiany usposobienia. Redaktor uważa swój miesięcznik za niczem nie ustępujący wydawnictwom galicyjskim, które umieszczają przedruki nawet ze „Strażaka”. O współpracownictwo niejednokrotnie zwracał się Redaktor do swych czytelników, prosi o nie i obecnie. Redaktor uważa, że sumiennie i według sił spełniał swój obowiązek względem społeczeństwa i nadal go spełniać będzie. Nie staje on na przeszkodzie, by p. Tuliszkowski wydawał własne pismo strażackie, będą w takim razie dwa pisma¹¹⁶.

Na to padły cztery głosy poczciców, skłonnych, by nie stawiać sprawy na ostrzu noża. Te ugodowe głosy świadczyły jednak nie tyle o poparciu dla „Strażaka”, co o niezadowoleniu „ogółu” z dotychczasowej jakości pisma, a wyłącznie ludzkie odruchy, grzeczność i obawa przed nieznanym skłaniały tych ludzi do wskazania jakiegoś kompromisu. Bo przecież nikt nie nazwał ataku Tuliszkowskiego niesprawiedliwym, nikt nie wziął w obronę wydawnictwa – wady „Strażaka” były poważne i powszechnie znane. Tym sposobem, wbrew intencjom tych poczciców, oni tylko dokładali cegiełki do wystąpienia Tuliszkowskiego.

P. Olkusi z Końskich proponuje, by utworzyć przy „Strażaku” komitet redakcyjny, któryby dbał o poprawę wydawnictwa.

P. Gyżewski z Łęczycy proponuje, aby podwyższyć cenę prenumeraty i tem umożliwić redakcji „Strażaka” opłacać oryginalne artykuły, które zastąpią obecne bezwartościowe przedruki.

P. Cywiński z Radomia proponuje, aby strażę nabyły od p. Szyllera koncesję na wydawnictwo „Strażaka”.

¹¹⁵ Porządek dzienny zjazdu delegatów Straży Ogniwych Ochotniczych we Włocławku w dn. 18 i 19 sierpnia rb., „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 1, s. 18.

¹¹⁶ Tamże.

*P. Biesiekierski z Grodziska proponuje, aby „Strażaka” wydawać pod redakcją p. Szyllera, któremu wyznaczyć należy pensję, kierownictwo objąłby komitet redakcyjny wybrany z pośród wybranych członków straży. Bezpłatnymi współpracownikami byli by liczni spośród nas działacze strażacy*¹¹⁷.

Głosy te świadczyły o chęci zachowania tytułu, do którego wszyscy się przyzwyczaili. I może „ogół” znów byłby skłonny, by zastosować jakieś półśrodki, gdyby nie wystąpienia dwóch następnych osób, niewidzących możliwości zreformowania prywatnego miesięcznika, jakim był „Strażak”, który głosów „ogółu”, na który się powołał, na swe łamy po prostu nie wpuszczał. Zresztą niektóre z szans, proponowanych przez pocziwców, red. Szyller-Racki dostał przed niespełna dwu laty i niewiele to pomogło zmienić pismo na lepsze. Bo problem tkwił w strukturze tytułu, w zarządzaniu nim, wreszcie skostnieniu w wygodnej dla właścicieli formie. Następne dwa głosy w dyskusji nie miały więc na celu pielęgnacji złudzeń, bo droga ta prowadziła donikąd, tamując w istocie myśl konstruktywną.

*P. Nell z Aleksandrowa proponuje, aby wybrać komisję, któraby rozpatrzyła sprawę wydawnictwa, czy to nabycie od Szyllera koncesji, czy to wydawanie niezależnie od „Strażaka” nowego wydawnictwa; do komisji tej proponuje pp. Jakóba Kona, Bolesława Chomicza i Józefa Tuliszkowskiego*¹¹⁸.

Warto zwrócić uwagę, że w tej dyskusji Bolesław Chomicz pojawia się po raz pierwszy, wywołany z cienia. Dlaczego akurat on? Nie były to jednak ostatnie ciosy wymierzone w „Strażaka”.

*Pan pułkownik Lund jest za własnym wydawnictwem, niezależnym od prenumeraty, na które by Strażełożyły ustanowione wpłaty. Wydawnictwo winno być wszystkim strażom bezpłatnie wysyłane. Trudno to teraz urzeczywistnić, gdyż nie ma organizacji prawnej, któraby się podjęła wydawania gazety. Taką organizacją będzie w przyszłości oddział Cesarzowskiego Towarzystwa Pożarniczego*¹¹⁹.

Można podejrzewać, że Lund nie lubił „Strażaka” programowo, z rosyjskiego urzędu, a nie tylko ze względu na skąpe i wybiórcze przedstawianie ochrony przeciwpożarowej. Wszak w czasie rewolucji lat 1905–1906 „Strażak” ośmielił się nazwać sprawę wyraźnie po imieniu, pisząc dosłownie: z jednej strony krwawa szmata (strajkujący i rewolucjonisci), a z drugiej czarne sotnie (carscy kozacy), zaś między nimi Polacy. Co oczywiste Lund chciał pisma, nad którym ktoś, czyli władza rosyjska, sprawowałby kontrolę.

Na tym głosy w dyskusji się wyczerpały. Możliwie, że o czymś jeszcze dyskutowano, lecz o niczym istotnym – opublikowany protokół, jak zaznaczył wydawca, jest skrótem. Powodowany ekonomiką obrad ich przewodniczący zarządził głosowanie wniosków i (...) przechodzi wniosek powołania komisji w osobach pp. Chomicza, Kona i Tuliszkowskiego dla

¹¹⁷ Porządek dzienny zjazdu delegatów Straży Ogniowych Ochornicznych we Włocławku w dn. 18 i 19 sierpnia rb., „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 1, s. 18.

¹¹⁸ Tamże.

¹¹⁹ Tamże.

*przeprowadzenia w najwłaściwszy i najdogodniejszy sposób reorganizacji specjalnego wydawnictwa dla straży*¹²⁰.

Zjazd jeszcze chwilę trwał, ale dyskutowano już tylko o terminie i miejscu, gdzie ma się odbyć następny. Tym sposobem zamknięto zjazdową sprawę zepchnięcia na tor boczny miesięcznika „Strażak”. Jest to przebieg zdarzeń wiarygodny o tyle, że na łamach „Strażaka”, choć przystąpiono do samoobrony, nie protestowano przeciwko sposobowi przedstawienia dyskusji.

Obrona „Strażaka”

Redaktor Szyller-Racki nie spodziewał się aż takiego ataku, jaki go spotkał. Ba! Nie spodziewał się, że głos Tuliszkowski go zostanie poddany pod głosowanie, a co gorsza, że padnie kolejny wniosek idący za głosem krytyki i spotka się z większościovym poparciem delegatów. W istocie miałości „Strażaka” i pretensjonalności jego właścicieli miano zwyczajnie dosyć. Oczywiście byli entuzjaści comiesięcznego przeglądania kroniki wydarzeń, jaką z trudem sobie odcyfrowywali jako szczyt rozwoju informacyjnego, no ale na takich ludziach i informacjach skutecznej ochrony przeciwpożarowej budować się nie dało.

Otrząśnięcie się z szoku pozjazdowego zajęło redakcji czas jakiś – z rozpędu wyszły numery 9 i 10, ale numer 11 już się nie ukazał. Być może myślała, że grupie zapaleńców nie uda się powołać do życia konkurencyjnego pisma, bo skoro Szyller-Raccy, właściciele nie tylko tytułów prasowych, ale też drukarni, mieli problemy wydawnicze, to zapaleńcy powinni liczyć się z nie mniejszymi. Jednak zapaleńcy skutecznie działali, o czym Szyllerowie funkcjonujący w branży wydawniczej od lat, byli doskonale poinformowani. Trzeba było się bronić. Obrano taktykę obrony ostatniej twierdzy szlachetności pożarniczej.

Redaktor „Strażaka” sięgnął do pomocy sojuszników zagranicznych. Postąpił przy tym metodą – którą Tuliszkowski, jak wynika z powszechnego nastawienia, słusznie krytykował – przedruku. Posiłkował się artykułem z numeru 11 w „Przewodniku Pożarniczym”. Być może z tego powodu, by móc się powołać na ten tekst, opóźniono wydanie nr 11 „Strażaka”, publikując numer łączony 11/12. Zatem w grudniowym numerze „Strażaka” czytamy, co o sprawie pisano w listopadowym numerze galicyjskiego „Przewodnika Pożarniczego”. A od kogóż tamtejsza redakcja dowiedziała się o sprawie?

Doszła nas wieść, że na Zjeździe Straży Ochotniczych we Włocławku, w Królestwie Polskim, garstka niezadowolonych rzuciła się na wydawnictwo „Strażaka”, czasopisma pożarniczego, wydawanego w Warszawie przez znanego przyjaciela strażyactwa, p. Szyllera-Rackiego z Warszawy i czyniła temu wydawnictwu zarzuty, które, jakkolwiek w rzeczy samej niewielkiego znaczenia, wpłynąć mogą niekorzystnie na dalszy rozwój pisma, zniechęcić wydawcę, który dla idei a nie dla interesu wydawnictwo to podtrzymuje, a w następstwie Strażę Królestwa pozbawić jedyne go pisma pożarniczego

¹²⁰ Tamże, s. 18–19.

Ze względu na pismo samo, bardzo pożyteczne i w danych warunkach dla duchowej łączności Strażactwa po tamtej stronie Wisły konieczne, ze względu na osobę wydawcy, prawdziwie dla tego Strażactwa jak i pożarnictwa w Królestwie zasłużonego, napad ten na pismo uważamy za postępek co najmniej lekkomyślny.

Nie chcemy przypuszczać, aby niezadowoleni byli nieprzyjaciółmi strażactwa tamtejszego, owszem, pana T. poznaliśmy nawet z dobrej strony i sądziłoby należało, że na rozwoju obrony pożarnej wielce mu zależy, dlatego niezrozumiałem jest dla nas to niechętnie odnoszenie się do „Strażaka” ze strony bądź co bądź poważnej. Bo gdyby nawet zarzuty czynione, zresztą drobne, słusznymi były, piętnowanie ich na miejscu publicznem w takim tylko razie byłoby uzasadnionem, gdyby „Strażak” pobierał zasiłki z funduszy publicznych, gdyby przynosił wydawcy znaczne dochody i był obliczony na zyski, ale, o ile nam wiadomo, pismo to jest raczej wynikiem posłannictwa idei, a nie interesu, należy go zatem dla ogólnego dobra popierać, co najmniej radą i pracą — a nie publiczną krytyką istnienie jego podkopywać. A co postawicie szan. Panowie na tem miejscu, gdyby go zbrakło?

Przeście, bo źle się bawicie! Czcigodny, sędziwy, a zasłużony wydawca, godzien ogólnego uznania, oby w tych kilku słowach naszych znalazł zadosyćuczynienie¹²¹!

Redaktor Szyller-Racki dopisał do tego zdanie: *Podobnych, tchnących uznaniem i zachęcających do dalszej pracy listów, moglibyśmy tu przytoczyć całe mnóstwo, poprzestaniemy jednak na zdaniu poważnego organu jakim jest „Przewodnik Pożarny”¹²².*

Może i były jakieś listy, w co należy wątpić, mając na względzie ustawiczne kłopoty redakcji ze ściąganiem należności za prenumeratę, a co tu dopiero mówić o listach, które nie dość, że należałoby napisać, to jeszcze zapłacić urzędowi pocztowemu za ich dostarczenie. Istotny jest argument, który w Galicji w owym czasie podnoszono często, a skutecznie: czcigodny, sędziwy... Na czele galicyjskiego związku stali od kilkunastu lat ludzie czcigodni i sędziwi, doprowadzając do jego zastoju, łącznie z „Przewodnikiem Pożarniczym”, a tylko przeszłe zasługi uzasadniały ich trwanie na stanowiskach. Niestety, nie nadążali za rzeczywistością, co wkrótce na całym tamtejszym ruchu miało się srogo zemścić.

Aby wyjść na człowieka uczciwego i szlachetnego, redaktor Szyller-Racki poniewczasie zdecydował, by opublikować w tymże samym numerze 11/12 „Strażaka” bardzo obszerną replikę Tuliszkowskiego na replikę Toezerę, co już znamy. Nic jednak tym nie zyskał. W tym kontekście postawmy jeszcze raz pytanie zza kordonu austriackiego:

A co postawicie szan. Panowie na tem miejscu, gdyby go [„Strażaka” – PR] zbrakło?

Szanowni panowie dali odpowiedź i coś konkretnego „na tem” właśnie miejscu postawili. W tym samym miesiącu grudniu, gdy „Strażak” przedrukował z „Przewodnika Pożarniczego” artykuł we własnej obronie oraz wydrukował z prawie półrocznym spóźnieniem replikę Tuliszkowskiego, ukazał się pierwszy numer „Przeglądu Pożarniczego”.

¹²¹ O nas, „Strażak” 1912, nr 11–12, s. 5, za: „Przewodnik Pożarniczy” 1912, nr 11.

¹²² Tamże.

Można odnieść wrażenie, że pierwszy numer „Przeglądu Pożarniczego” z grudnia 1912 r. zawierał więcej treści niż cały rocznik 1912 „Strażaka”, zresztą lepiej zredagowanych i wyraźnie konkretniejszych. Co prawda liczył 28 stron tekstu wobec 16 w „Strażaku”, ale o ile w odniesieniu do „Strażaka” wrażenie niedosytu przychodzi już po kilku stronach, o tyle wrażenie nawału informacji dla pierwszego numeru „Przeglądu Pożarniczego” jest nieodparte. Ale... Następne numery czasopisma, tj. rocznik 1913 i do połowy 1914 r., nie miały już po 28 stron, tylko po 20. Nadal jednak treścią merytoryczną, wagą poruszanych problemów i zawartością testów prześcigały dowolny numer „Strażaka”, zresztą większość łamów drukowano w „Przeglądzie Pożarniczym” mniejszą niż w „Strażaku” czcionką (szczególnie materiały urzędowe, jak protokół z wrocławskiego zjazdu), by zmieścić wszystko w jednym, góra dwóch numerach, a nie pompować w sposób sztuczny wielkości pisma.

„Strażak” trwał jeszcze kilka lat, jednak była to wegetacja, wspomagana przedrukami z gasnącego „Przewodnika Pożarniczego”. Bo i z tym drugim, podobnie jak z galicyjskimi strażami pożarnymi, nie najlepiej się wówczas działo. W 1912 r. zmarł Antoni Szczerbowski, znaczna siła sprawcza tamtejszej ochrony przeciwpożarowej, który o dekadę-dwie wcześniej był tytanem myśli pożarniczej. Ostatnimi jednak laty, będąc człowiekiem w sędziwym wieku, nie panował już niestety jak należy nad wydawnictwem ani – co gorsza – nad Związkiem Galicyjskim. Bardzo silna liczebnie, od lat pogrążająca się w walkach wewnętrznych organizacja, po utracie Szczerbowskiego nie miał już nikogo, kto umiałby stanąć ponad podziałami, któremu jej członkowie udzieliliby autorytetu. Nowemu prezesowi związku i zarazem redaktorowi naczelnemu „Przewodnika Pożarniczego” brakowało nie tylko posłuchu, ale też zespołu fachowców, którzy by go popierali.

W nierównie gorzej stojącym pod względem ochrony przeciwpożarowej Królestwie Polskim miało być inaczej.

Rozwój „Przeglądu Pożarniczego”¹²³

Pierwszy numer „Przeglądu Pożarniczego” ukazał się 15 grudnia 1912 r., zatem z całą pewnością przed „Strażakiem”, którego wszelkie akcje obronne okazały się nie dość, że chybione, to dosłownie spóźnione. Z tego, w jaki sposób wydrukowano w nowym periodyku protokół z wrocławskiego zjazdu, a zwłaszcza jak w nim wyodrębniono sprawę „Strażaka” wynika, że ani w dacie wydania czasopisma, ani w jego składzie do druku nie było nic przypadkowego. Tym bardziej, że numer 1 „Przeglądu Pożarniczego” wydrukowano w zwiększonej liczbie egzemplarzy, zarówno w celach reklamowych, jak i ze świadomością, że protokół wrocławski – jako zawierający w sobie nutkę skandalu – jest magnesem przyciągającym czytelników¹²⁴.

¹²³ Informacje o „Przeglądzie Pożarniczym” w niniejszym rozdziale, o ile nie zaznaczono inaczej, pochodzą z biografii Bolesława Chomicza: P. Rochala, *Bolesław Chomicz i jego czasy. Biografia strażacka*, Warszawa 1919, s. 73–90.

¹²⁴ „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 1, s. 11.

Poniżej przedstawimy „Przegląd Pożarniczy” w kontekście czasowym znacznie szerszym, niż okres zatrudnienia Tuliszkowskiego w CTR. Chodzi bowiem o kompletne zaprezentowanie idei, jaka szła za tym wydawnictwem, póki jego twórcy mieli na nie wpływ. I właśnie te idee szeroko omówimy poniżej.

„Przegląd Pożarniczy”, czyli system ochrony przeciwpożarowej

Nagłówek pisma skomponowano ze stylizowanej nazwy z literami w kształcie płomieni. Tytuł uzupełniała informacja o treści: *pismo poświęcone: strażom ogniowym, ubezpieczeniom od ognia i budownictwu ogniotrwałemu*, które to elementy miały się składać na system ochrony przeciwpożarowej, ograniczający skutecznie liczbę pożarów, ich wielkość oraz skutki. Redaktorem naczelnym został Bolesław Chomicz, redaktorem działu technicznego – Józef Tuliszkowski.

Może wydawać się zaskakujące, że to Chomicz, który praktycznie dotychczas nie zaistniał na strażackim polu publicznym, wyprzedził jakże czynnego Tuliszkowskiego. Nie ma czemu się dziwić – Tuliszkowski reprezentował głównie siebie i własne talenty, nie dysponował jednak kapitałem. Chomicz reprezentował głównego płatnika i organizatora prawnego „Przeglądu Pożarniczego”, tj. Warszawskie Towarzystwo Ubezpieczeń, gdyż to ono wystąpiło o koncesję na wydawanie nowego miesięcznika. Jak się miało okazać, Chomicz – podobnie jak w zakresie ubezpieczeń, także i na polu ochrony przeciwpożarowej – dał się poznać jako świetny organizator i publicysta, a przy tym człowiek idei. Perfekcyjnie operował słowem, celowościowo, przy czym używał retoryki cycerońskiej. Każde jego słowo pisane i mówione miało w sobie coś porywającego. Tuliszkowski był bardziej pragmatykiem, a słów wielkich używał rzadko, acz i jego wypowiedzi pozostają mistrzowskimi, można więc rzec, że był przedstawicielem retoryki cezariańskiej. W użyciu wielkich słów prawnik i ubezpieczyciel Chomicz był mistrzem, dalej ujrzymy próbki jego stylu pisarskiego i daru przekonywania.

Redakcja wspólnym głosem poinformowała czytelników w artykule wstępnym, że pismo ma: (...) *wszechstronnie obsługiwać nasze straże ochotnicze, obrazując ich życie, stan obecny, organizację i rozwój dalszy. Dalej dodano: Pismo nasze doskonalić będziemy ustawicznie, podnosząc jego aktualność, jego treść i sprawność, czuwając nad rozwojem straży ogniowych i odzwierciedlając ich potrzeby najszerzej*¹²⁵.

Dalej redakcja rzuciła rękawicę „ludziom czcigodnym i sędziwym”, zamieszczając następującą informację, wyraźnie dla odróżnienia od „Strażaka”, a też wykazania, kto popiera grupę śmiałków.

Pragnąc pismu naszemu zapewnić współudział sił fachowych, pozyskałiśmy dotychczas szereg wybitniejszych jednostek, na niwie pożarnictwa krajowego pracujących. Współpracownictwo swe przyrzekli:

- *w dziale straży ogniowych: pp. E. Balcer z Łowicza, Jakób Kon z Częstochowy, Józef Troezer z Pruszkowa, inż. Józef Tuliszkowski z Warszawy,*

¹²⁵ „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 1, s. 1.

- w dziale budownictwa ogniotrwałego: pp. inż. Bronisław Rogowski, inż., Kazimierz Rutkowski, inż. Władysław Zaleski,
- w dziale ubezpieczeń od ognia i spraw ekonomicznych z tym związanych: pp. Zygmunt Kmita, Ludomir Grendyszyński, Jan Hoser, I.S. Stoiński¹²⁶.

Spośród wyżej wymienionych nie każdy zaistniał w „Przeglądzie Pożarniczym” w całej pełni, czasami były to kontakty epizodyczne, ale imponuje, że zespół redakcyjny okazał się tak duży i uniwersalny. Wszyscy jego członkowie byli już znani w środowisku jako najwyższej klasy fachowcy, co podkreślało wykształcenie techniczne wielu z nich. To już nie były 3–4 (a raczej dwie) osoby jak w „Strażaku”. Można tylko się zdziwić, że dwaj Józefowie – Troezer i Tuliszkowski, polemiści ze „Strażaka”, których to polemika była źródłem upadku zasłużonego pisma, sąsiadują ze sobą na powyższej liście. Ale interes jest interesem.

Udało się też pozyskać przychylność „Przewodnika Pożarniczego” z Galicji. Tego podjął się osobiście Józef Tuliszkowski, pisząc artykuł o odpowiedniej treści – co prawda po roku, gdy „Przegląd Pożarniczy” mocno okrzepł, ale jednak. Z artykułu tego bije pewność siebie autora, a poniekąd nawet duma, podszyta ledwie wyczuwalnym poczuciem wyższości (współtworzył lepsze pismo). I znaczna doza sprytnej dyplomacji.

Przewodnik Pożarniczy. Pod tym tytułem od lat 27 wychodzi we Lwowie miesięcznik poświęcony sprawom fachowym Galicyjskiego Strażactwa jako „Organ Krajowego Związku Straży Pożarnych w Galicji i Lodomerii z Wielkim Księstwem Krakowskim”. Dzięki uprzejmości b. Redaktora ś.p. Antoniego Szczerbowskiego od lat 8-iu otrzymuję stale numery tego czasopisma i bardzo wiele zawsze korzystałem z cennych wskazówek w artykułach Przewodnika zawartych (...).

Jednak każdy człowiek się wyczerpuje przez intensywną i długoletnią pracę, a tembardziej mógł się wyczerpać działacz tej miary jakim był nieodżałowanej pamięci Redaktor czasopisma fachowego, dyrektor biura Związku i sekretarz oraz organizator licznych kursów i w dodatku autor całej biblioteki strażackiej, który całą duszę zda się wkładał w ukochaną sprawę.

„Ciągłe muszę się powtarzać niestety”: skarżył się nieraz przedemną ś.p. Redaktor: „daję te same potrawy tylko z coraz to innym sosem” dowcipkował. (...)

Odbijało się to i na czasopiśmie, którego numery w ostatnich latach mniej zamieszczały fachowych artykułów i były nieraz przepełniane tylko oficjalnymi, suchymi sprawozdaniami z sesji, posiedzeń zarządów, zebrań poszczególnych Okręgów. (...)

Jednak z objęciem kierownictwa przez nowe siły ogromnie to pismo się ożywiło.

W każdym numerze zjawiają się jędrne, dzielne, fachowe artykuły Redaktora i Kierownika p. Bolesława Wójcikiewicza. (...) Fachowe są i bardzo pouczające artykuły p. Józefa Wierzejskiego (...).

Szczerze i z całego serca życzę „Przewodnikowi Pożarniczemu” rozwoju na tej nowej drodze postępu, a dzielnemu Kierownikowi jego zasylam staropolskie „Szczęść Boże” i serdeczne koleżeńskie „Czołem!”¹²⁷.

¹²⁶ Tamże, s. 2.

¹²⁷ J. Tuliszkowski, *Przewodnik Pożarniczy*, „Przegląd Pożarniczy” 1913, nr 12, s. 11–12.

Czyż nie śmiesznym uczynił Tuliszkowski pouczenie sprzed roku z „Przewodnika Pożarniczego”...?

Idea „Przeglądu Pożarniczego”, wyrażona w jego tytule, była bardzo konsekwentnie przekładana na łamy miesięcznika i to nie jako ciekawostka, o której warto wiedzieć, ale jako wiedza niezbędna do właściwego wykonywania służby pożarniczej. Straże ogniowe nie mogły jednak służyć same sobie, musiały współistnieć z pozostałymi składnikami systemu. Przecież nie sam akt gaszenia pożarów był i jest celem ochrony przeciwpożarowej, tylko ich eliminacja. Oczywiście całkowicie wyeliminowanie pożarów nie było i nadal nie jest możliwe (choć dziś niektórzy daloby się wyrugować z rzeczywistości), niemniej pokuszenie się o ograniczenie ich liczby i rozmiarów było wówczas i pozostaje dziś działaniem pożądanym i realnym. Wszak samym gaszeniem nie poradzi się za wiele na klęskę ogniową. Aby z nią walczyć, należało zastosować rozwiązania kompletne. W pierwszym numerze „Przeglądu Pożarniczego” wypowiedział się o tym Chomicz bardzo precyzyjnie.

Pragniemy na tem miejscu (...) narysować główne środki zaradcze, jakimi posługuje się ogół w obronie przed pożarami. Środki te dadzą się podzielić na trzy kategorie: doraźne, zapobiegawcze i ekonomiczne. (...) Straż ogniowa gasi pożar, budownictwo ogniotrwałe zapobiega szerzeniu się ognia, hamując jego rozwój, ubezpieczenie natomiast zapewnia poszkodowanemu zwrot strat materialnych.

Widzimy więc że te trzy – napozór rozbieżne – czynniki mają jedno na celu: obronę mienia ludzkiego od wrogiego żywiołu, jakim jest pożar. Te trzy odłamy pracy kulturalnej wiążą się bezpośrednio w jedną całość i stanowić powinny pilną troskę każdego społeczeństwa¹²⁸.

Tak właśnie Bolesław Chomicz przedstawił w swym programowym artykule system ochrony przeciwpożarowej – jako pracę kulturalną. Wiedział, o czym mówi. Niedawno odbył roczne studia i praktyki zawodowe na koszt pracodawcy w Akwizgranie i w Paryżu. Przywiózł ze sobą najlepsze z możliwych wzorce. Co ważne, jak się przekonaliśmy wcześniej i dalej przekonamy, zdanie Chomicza odnośnie systemu ochrony przeciwpożarowej podzielał Tuliszkowski. System ten, nazwany słowami Chomicza, miał wyglądać, jak przedstawiono na poniższej rycinie.

Kategoria I – zapobiegawcze (budownictwo ogniotrwałe)

Kategoria II – ekonomiczne (ubezpieczenia od ognia)

Kategoria III – doraźne (działania gaśnicze)



Ochrona przed pożarami

Rycina 1. Środki zaradcze, jakimi posługuje się ogół w obronie przed pożarami

Źródło: B. Chomicz, *Praca społeczna*, „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 1, s. 4.

¹²⁸ B. Chomicz, *Praca społeczna*, „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 1, s. 3–4.

Zatem obrona przed pożarami, czyli – w dzisiejszym zakresie pojęciowym – ochrona przeciwpożarowa, to przedsięwzięcie trojakiemu rodzaju i pełne tylko w swej troistej postaci. Same działania gaśnicze są tylko jedną z części ochrony przeciwpożarowej i jej całości zastąpić skutecznie nie mogą. Podobnie samo ubezpieczanie czy zapobieganie pożarom bez pozostałych gałęzi ochrony nie mogło należycie działać. Wyrażanie tych poglądów w 1912 r. było większą rewolucją, niż wyrażanie ich obecnie.

Idee ochrony przeciwpożarowej pojawiły się w całej pełni w „Przeglądzie Pożarniczym” nr 1 w 1912 r., a potem, celem utrwalenia, kilka razy powtarzano je w postaci rozbudowanej o szczegóły, zmodyfikowanej o nabytą wiedzę i dostosowanej do sytuacji politycznej... I tak przez najbliższe 14 lat, z przerwą na Wielką Wojnę. Koniec ich konsekwentnego przedstawiania nadszedł w 1925 r., gdy nasi obydwa patroni stracili wpływ na ruch strażacki oraz na ubezpieczenia od ognia: Chomicz – bardziej, Tuliszkowski – częściowo. Wtedy na dobre zwyciężyła przeważająca liczebnie opcja doraźna, gaśnicza, utożsamiająca siebie z całością ochrony przeciwpożarowej, co trwało do 1950 roku. Nim nastąpił ten przewrót – czy też powrót do tego, co najprostsze (i najmniej skuteczne) – nasi protoplaści i ich współpracownicy wykonali tytaniczną pracę edukacyjno-formacyjną, która koniec końców przyniosła kilka całkiem pozytywnych efektów w postaci przepisów przeciwpożarowych.

Po latach pierwszy redaktor naczelny „Przeglądu Pożarniczego” swoje zaangażowanie w utworzenie pisma sprowadził do krótkiej statystyki.

(...) dzięki staraniom ówczesnego członka Dyrekcji Warszawskiego Tow(arzystwa) Ub(ezpieczeń) Pawła Górskiego – uzyskuję koncesję na wydawanie czasopisma Przegląd Pożarniczy i oświadczyć je prowadzę i redaguję, aż do wybuchu wojny światowej, przez niespełna 2 lata, umieszczając na łamach pisma ponad 140 ilustracji obok artykułów fachowych oraz 51 korespondencji z życia straży z drukiem noweli osnutej na działalności straży: „Ludzie idei, czyli straż ogniowa w Gapsowie”, oraz nagrodzoną na konkursie nowelkę: „Poprzez pożogi dym – na jasny blask”¹²⁹.

Budownictwo ogniotrwałe i czynnik ekonomiczny – ubezpieczenie od ognia to składniki ochrony przeciwpożarowej biernej. Zobaczmy, jak one wyglądały w ujęciu ilościowym, w czasach największej chwały zarówno Chomicza, jak i Tuliszkowskiego w ich (podówczas) gazecie.

Myśl zapobiegawcza w „Przeglądzie Pożarniczym” w ujęciu ilościowym

Artykuły o charakterze zapobiegawczym w sposób uproszczony (bo wiele z nich ma części wspólne) podzielono na trzy grupy. Widać, że pionierzy mieli całkiem spore i aktywne grono współpracowników – jakże inaczej niż w „Strażaku”! Lista obejmuje co najmniej 27 nazwisk, w tym Chomicza i Tuliszkowskiego. O kilku z nich Chomicz napisał tak¹³⁰:

- inż. Stanisław Arczyński z Huty Raków z pod Częstochowy – człowiek o wysokiej kulturze,

¹²⁹ B. Chomicz, *Garść wspomnień...*, cz. I, „Zeszyty Historyczne”, t. V, s. 245.

¹³⁰ B. Chomicz, *Garść wspomnień...* (materiał niepublikowany).

- inż. Tadeusz Brzozowski, *komendant pierwszego oddziału ochotniczej straży łódzkiej, zaangażowany (...) do prac Związku w W-wie, jako jednostki oddanej sercem i duszą braci strażackiej,*
- Mieczysław Kwiatkowski (...) *o mrówczej pracy jednostka, b. ambitna i solidna, współredaktor „Czerwonego Sztandaru”,*
- Konstanty Wyszynski – *gorliwy działacz Instytucji Ubezpieczeń Wzajemnych od Ognia w zakresie prewencji i straży pożarnych, zamordowany w obozie hitlerowskim.*

Ze względu na to, że niektóre artykuły były bardzo długie (przedruki referatów i książek), publikowano je w odcinkach lub cyklach. W związku z tym jako liczbę publikacji przyjęto nie liczbę tytułów, a liczbę odcinków. Jako kwalifikację tematyczną określono myśl wiodącą w treści artykułu. Żaden artykuł nie był jednak ponownie liczony w innej rubryce.

Kilka artykułów poświęconych taktyce działań gaśniczych umieszczono w rubryce „Budownictwo ogniotrwałe”, ze względu na bardzo obszerne i fachowe przedstawianie spraw ogniotrwałości elementów budynków i ich znaczenia w prowadzeniu działań gaśniczych. W rubryce tej nie znalazły się artykuły „taktyczne”, w których tylko wspomniano o budownictwie ogniotrwałym, oraz oczywiście takie, gdzie o budownictwie ogniotrwałym nie wspomniano wcale (zob. tabela 4).

Żeby nie pozostawiać wątpliwości, jaką rolę w ochronie przeciwpożarowej mają do odegrania strażacy, spolszczono do numeru 1 „Przeglądu Pożarniczego” artykuł innego Niemca – Effenbergera – głównego komendanta straży ogniowej z Hanoweru. Artykuł nazywał się *Walka z ogniem*, a zaczynał się takimi słowami:

Na wstępie do rozprawy o walce z ogniem niepodobna nie wspomnieć o czynności, która przede wszystkim dla badaczy wypadków ogniowych doniosłe może mieć znaczenie, mianowicie: o wiedzy technicznej. (...) pragnę przekonać strażę ogniową (...) ażeby wszelkie dążenia swoje skierowały ku zdobywaniu sobie głosu decydującego w tej sprawie. (...) potrzeba koniecznie, ażeby kierownicy straży ogniowej, na podstawie wykształcenia technicznego, lub też innych czynników, zdolni byli wydawać sąd ścisły i trafny w kwestiach natury budowlanej. W takim bowiem tylko wypadku władze będą musiały liczyć się z nimi i stosować się do rad ich wskazówek¹³¹.

¹³¹ Effenberger, przeł. L. Zagrodzki, *Walka z ogniem*, „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 3, s. 5.

Tabela 4. Liczba publikacji w „Przeglądzie Pożarniczym” o tematyce zapobiegania pożarom w latach 1912–1925

Lp.	Nazwisko i imię, tytuł, ew. inny sposób przedstawienia autora	Liczba publikacji		
		Budownictwo ogniotrwale	Ubezpieczenia od ognia	Urządzenia przeciwpożarowe i gaśnice
1	Arczyński S. inż.	1	–	–
2	Bohusz B.	–	1	–
3	Brzozowski T.	1	–	–
4	Chomicz Bolesław	13	12	–
5	Efenberger (główny komendant straży w Hanowerze), z niemieckiego przeł. Zagrodzki L. inż.	1	–	–
6	Futasewicz Stanisław arch.	1	–	–
7	Gebethner H. inż.	1	–	–
8	Hoser Jan	1	2	–
9	Jesajtis J.	–	1	–
10	Karski K. inż.	1	1	–
11	Kolebski J. inż.	–	1	–
12	Kowalewski inż.	–	1	1
13	Kwiatkowski Mieczysław	1	1	–
14	Ligęza J. inż.	–	–	1
15	Łukaszewicz J. inż.	3	2	1
16	Meyer dr inż., z niemieckiego przeł. Świętochowski Brunon	4	–	–
17	Ostoja Juliusz	–	2	–
18	Pączkiewicz K.	–	–	1
19	Rogowski Brunon inż.	1	–	–
20	Służewski Zygmunt	–	–	1
21	Stoiński J. S.	–	2	–
22	Szterk O.	–	–	1
23	Świętochowski Brunon	1	–	–
24	Tuliszkowski Józef	20	–	10
25	Wysznacki Konstanty	9	2	3
26	Zagrodzki L. inż.	4	2	–
27	Zaleski W. inż.	2	–	–
28	Zbiorowi i anonimowi autorzy	11	3	3
	ŁĄCZNIE	76	33	22

Źródło: opracowanie własne.

Sprawy budowlane

W 1912 r. zdawano sobie sprawę, że budownictwa, szczególnie wiejskiego, nie sposób zmienić z dnia na dzień. Pionierzy: Chomicz, a zwłaszcza Tuliszkowski mieli w tym zakresie własne doświadczenia, bo już od kilku lat z powodzeniem organizowali kursy wyrobu cegły, dachówki, pustaków przy kółkach i szkołach rolniczych oraz przygotowali narzędzia prawne do uzyskiwania kredytów dla wytwórców tych materiałów i dla przedsiębiorców nimi handlujących. By system działał, ogniotrwały towar musiał być przecież powszechnie dostępny dla nabywców, a więc tani. Uczono więc absolutnych podstaw, np. w dużym cyklu artykułów w „Przeglądzie Pożarniczym” przedstawiono, czym jest cement.

Znamienne, że w artykule *Dachówka cementowa w budownictwie wiejskim*¹³² zmieścił się przegląd nie tylko tytułowego zagadnienia jako najtańszego z najlepszych, ale również technik wytwarzania strzech z domieszką gliny (co zobaczymy w publikacjach książkowych Tuliszkowskiego), co naprawdę mogło się przyjąć w tych rejonach kraju, gdzie z przyzwyczajenia i z powodu dostępności i ceny materiałów, strzechy nadal używano powszechnie. Szkoda, że tak się nie stało w praktyce, że ówczesnych rozważań teoretycznych nie przeniesiono do obowiązujących przepisów, bo z pewnością wypracowano by wówczas metody i technologie, do których obecnie próbuje się wracać, bądź odkrywać je na nowo. Autor omówił też istotne wady dachówki z gliny palonej, wytwarzanej systemem chałupniczym, konkludując, że jeśli dachówka ma być ceramiczna, to tylko z profesjonalnej wytwórni. Zatem szukano rozwiązań optymalnych cenowo i jakościowo w celu zasadniczym: pozbycia się pokryć ze słomy, trzciny i gontu, jako głównej przyczyny powstawania pożarów zbiorowych.

Chomicz i Tuliszkowski, jak to pozytywiści, wiedzieli, że nie rewolucja jest powodem stałego rozwoju ludzkości, a ewolucja. Bolesław Chomicz napisał o tym tak:

*Zaznaczyliśmy (...), że opracowanie ścisłej ustawy budowlanej dla wsi z rygiorem jej wykonywania napotyka duże i usprawiedliwione trudności, polegające w pierwszym rzędzie na tem, że zakaz stosowania przy budowie słomy i drzewa jest na wsi nie do urzeczywistnienia. Tu więc dla gospodarzy małoprolnych rygor powinien być zastąpiony przez środki zachęty (...)*¹³³, wśród których autor wymienił znane i sprawdzone, bo stosowane z powodzeniem pod egidą CTR przez Tuliszkowskiego wspieranie wytwórstwa materiałów ogniotrwałych, ruchu spółdzielczego z tym związanego i wydawanie materiałów popularyzatorskich, również w prasie ludowej.

Chomicz miał inny pogląd na tereny wiejskie:

Natomiast w miasteczkach rygor budowlany winien być stosowany z całą bezwzględnością. Jedynie takie postawienie sprawy może (...) zredukować pożary zbiorowe do wypadków pojedynczych, co powinno stanowić metę ostateczną higieny pożarnej. (...) Miasteczka bowiem nasze (...) zbudowane są wbrew najelementarniejszym zasadom bezpieczeństwa

¹³² I.W. Zaleski, *Dachówka cementowa w budownictwie wiejskim*, „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 1, s. 22.

¹³³ B. Chomicz, *Akcja przeciwpożarowa*, „Przegląd Pożarniczy” 1914, nr 5, s. 108.

ogniowego do tego stopnia, że (...) domy, aczkolwiek postawione są nieraz z cegły, połączone są jednak drewnianymi szczytami, przepierzeniami w dachach, tworząc dzięki temu jeden łańcuch palny. (...) należy opracować cały program, polegający w pierwszej mierze na tem, ażeby zabronić stawiania nowych budowli z materiałów łatwo-palnych oraz wprowadzić zakaz odnawiania takich budowli, skazując je przez to na zanik naturalny¹³⁴.

Tuż po I wojnie światowej pojawił się niezwykle interesujący głos, że budownictwo drewniane jest przeżytkiem nie tylko ze względu na pożary. Zauważono, że okupacja niemiecka pozbawiła kraj drewna konstrukcyjnego, ponieważ dobre drewno idzie w całości na eksport do Niemiec, które tym towarem spłacają swoje zobowiązania reparacyjne wobec Francji. Zatem biedni włościanie nie dostaną dobrego surowca na budowę ścian. Z tego względu pojawiła się okazja ekonomiczna, by w miejsce drewna stosować materiały trwale i bezpieczne pożarowo – wystarczy poczynić ku temu odpowiednie kroki prawne. Niestety, nie zrobiono ani jednego takiego kroku, a nawet uwstecznilo prawo.

Nie na samym tylko budownictwie ogniotrwałym opierano metody walki z pożarami. W „Przeglądzie Pożarniczym” starano się o upowszechnienie wiedzy, że zachowanie odpowiednich odległości między budynkami działa tak jak mury ogniochronne. Namawiano do sadzenia żywopłotów i sadów między sąsiednimi zabudowaniami, wskazując, że przeciw drzewa nie tylko ocieniają od słońca. W ramach budownictwa uczono o korzyściach płynących z uzdatniania zbiorników naturalnych na potrzeby akcji gaśniczych, budowy zbiorników sztucznych, studni i wodociągów. Jednocześnie dążono do tego, by w każdej wsi była jakaś sikawka i ludzie potrafiący ją obsłużyć, żeby ugasić pożar, zanim się on rozwinie.

Ujmujące było, że pionierzy przy propagowaniu budownictwa ogniotrwałego nie tracili z oczu spraw wyższej kultury materialnej. Józef Tuliszkowski pisał:

Im wyżej pod względem kultury stoi jakiś naród, tem więcej posiada odrębnych znamion, które go różnią od innych narodów, tem silniejszy i mniej poddaje się obcym, a zgubnym wpływom. Cechy te i znamiona stanowią język własny narodu, obyczaje odrębne, wiara, strój zewnętrzny i sposób budowania się. (...) Jakież są te znamiona zewnętrzne polskiego budownictwa? Rzucają się nam w oczy w rdzennie polskiej wsi przedewszystkiem ściany chałup, obrysy dachu, potem okna i drzwi, ganeczki, przyzba, na koniec sad, ogrodzenie i wrota¹³⁵.

Nawiasem mówiąc, Józef Tuliszkowski nie znosił budownictwa niemieckiego, a zwłaszcza pruskiego muru. Trzeba powiedzieć, że dążenia Tuliszkowskiego w zakresie budownictwa ogniotrwałego pokrywały się całościowo z programami rozwoju ubezpieczeń od ognia, no może poza „swojskim wyglądem budowli”.

Ubezpieczenia od ognia

Trudno wykazać jakikolwiek numer „Przeglądu Pożarniczego” z lat 1912–1925, który by nie zawierał choć jednego artykułu o ubezpieczeniach od ognia. Twardo stawiano kwestię podstawową: aby system działał, musiały to być ubezpieczenia na zasadach wzajemności.

¹³⁴ Tamże.

¹³⁵ J. Tuliszkowski, *Swojski wygląd budowli*, „Przegląd Pożarniczy” 1923, nr 4, s. 71–73.

Komercja (ubezpieczenia dla zysku) nie wchodziła w rachubę, jako obrzydliwa idea ubezpieczeń. Musimy też zdawać sobie dziś sprawę, że prawie cała wiedza zapobiegawcza o rozwoju pożarów, przyczynach ich powstawania i sposobach biernego i czynnego zabezpieczenia przed nimi skupiała się wówczas w towarzystwach asekuracyjnych – z pozostałych zasadniczo jedynym takim ośrodkiem wiedzy był Józef Tuliszkowski. Przecież z ubezpieczeń pochodziły wszelkie dane statystyczne – tu była podbudowa naukowa, stąd szły nowinki techniczne i tu też tkwiło źródło ekonomiki ochrony przeciwpożarowej. Dwie trzecie wykazanych wyżej (zob. tabela 4) autorów artykułów, to ludzie związani profesjonalnie z ubezpieczeniami od ognia – naszego bohatera też to miało dotyczyć. Nieco upraszczając, można powiedzieć, że gdyby dało się zarazić strażaków wiedzą i doświadczeniami ubezpieczycieli system ochrony przeciwpożarowej zadziałałby już w latach 20. XX wieku. Uprzedzając wypadki, powiedzmy już teraz, że – niestety – środowisko strażackie w swojej masie było uparcie odporne na wszelki szczep wiedzy budowlano-zapobiegawczej.

Najwięcej o ubezpieczeniach pisał Chomicz, ale najpełniejszy obraz skuteczności ich oddziaływania, a raczej możliwości, ukazał kto inny, niestety tylko raz, podpisany anonimowo, bo jako inż. B. Kr-ski, w artykule o tytule iście przewrotnym *Wpływ ubezpieczeń od ognia na zwiększenie palności*¹³⁶. Dane tam zawarte i dziś robią wrażenie. Otóż autor przywołał doświadczenia, o dziwo, rosyjskie (na łamach „Przeglądu Pożarniczego” na ogół starannie unikano tego kierunku), gdy w 1902 r. wreszcie opracowano taryfę rabatową składek dla budynków wybitnie łatwopalnych i przynoszących same straty, to jest dla młynów.

Sprawa ubezpieczeń systematycznie szła w dobrym kierunku. W 1918 r., gdy składkę ubezpieczeniową zaczęto nazywać podatkiem ogniowym, Chomicz napisał:

*Instytucja ubezpieczeń wzajemnych, czynna od 115 lat, jako posiadająca powszechny przymus w kraju, ogarnia swoim zasięgiem wszystkie 1.100.000 nieruchomości z 3.600.000 budynkami, może być przeto uważana za aparat administracji państwowej do walki z pożarami*¹³⁷.

I w tę właśnie stronę to zmierzało – by instytucja ubezpieczeń wzajemnych, a nie nastawiona na zysk firma komercyjna, stała się administracją państwową do walki z pożarami, czyli policją ogniową. Uprzedzając nieco fakty, musimy powiedzieć, że cel ten został osiągnięty tylko formalnie, co Chomicz odczuł jako osobistą porażkę, z którą nie pogodził się do końca życia. I co my również do dziś powinniśmy odczuwać jako porażkę, poniesioną przez substancję materialną majątku narodowego – w postaci kilkuset tysięcy zbytecznych pożarów, które niszczą miliony budynków. O straty w substancji materialnej, spowodowane przez te pożary, dziś jesteśmy ogólnie ubożsi i to z procentami kilkukrotnie przewyższającymi kwotę bazową. Komu to zawdzięczamy? Tym, którzy swego czasu byli przeciw rozwiązaniom systemowym, proponowanym na łamach „Przeglądu Pożarniczego”, zajmujących stanowiska wyłącznie dzięki etatyzmowi. Poznamy jeszcze tych ludzi.

¹³⁶ B. Kr-ski, *Wpływ ubezpieczeń od ognia na zwiększenie palności*, „Przegląd Pożarniczy” 1914, nr 1, s. 24–27.

¹³⁷ B. Chomicz, *Program higieny pożarowej*, „Przegląd Pożarniczy” 1918, nr 21/22, s. 174–178.

O czym pisano jeszcze...

To oczywiście, że w fachowym piśmie strażackim bardzo dużo artykułów dotyczyło organizacji straży ogniowych: regulaminy czy też – w ówczesnych realiach – długie dyskusje o regulaminach, przedstawienie sprzętu gaśniczego, armatury wodnej, taktyki gaszenia pożarów i relacji z działań strażaków przy akcjach gaśniczych czy innych ratowniczych, jak np. powodziowe. Były to bardzo obszerne materiały, często wieloodcinkowe, bądź serie artykułów tematycznych. Jasności przekazu i wniosków z nich płynących możemy pozazdrościć. Szczegółne pole do popisu miał tu Józef Tuliszkowski, któremu fachowa szczerłość co prawda przysparzała wrogów, ale jednocześnie dawała bardzo uczciwy materiał do nauki gaszenia.

Wiele miejsca poświęcono przedstawianiu różnych straży ogniowych. To czyniono przy dwóch okazjach – zjazdach regionalnych, z których pisano skrupulatne sprawozdania i publikowano je, oraz z okazji innych wizyt terenowych, w czym znów specjalizował się Tuliszkowski, używający całej gamy środków, by ochotnicze straże ogniowe czynić lepszymi: od nagany, przez pobłażliwą drwinę, aż po zachwyt. Prawdę mówiąc, chyba każda licząca się OSO została wspomniana na łamach „Przeglądu Pożarniczego” wraz z nazwiskami jej władz i choćby bardzo króciutką charakterystyką. To proste działanie budowało poczucie jedności i ważności, strażacy mogli odnaleźć siebie w druku pośród dziesiątek innych, sobie podobnych. Znalazło się miejsce dla pierwszych kobiecych drużyn pożarniczych, podane w nieco sensacyjnym tonie, ale też ze znacznym uznaniem i bez pobłażliwego poczucia wyższości.

Był też kącik humorystyczny, była również swoista kronika kryminalna na tle podpał, co samo w sobie jest pasjonujące, ale co w sumie zajmowało jedną, góra dwie kolumny, a nie połowę pisma, jak w „Strażaku”. No i to, o czym wspomniał Chomicz: drukowana w odcinkach powieść, ale też sporo strażackich wierszy, pieśni, w tym bardzo dużo o charakterze religijnym. Przyznać należy, że poziom artystyczny tych produkcji był jeśli nie dobry, to co najmniej dostateczny, zwłaszcza że powstawały dzięki swoistej więzi emocjonalnej społeczności ochrony przeciwpożarowej, którą ogólnie można nazwać strażakami. I tak twórczość jednych strażaków trafiała do innych strażaków, co odbiór utworów czyniło łatwiejszym za sprawą poczucia wspólnoty. W „Przeglądzie Pożarniczym” czasów Chomicza odwołań do Boga było bardzo dużo, co zresztą odzwierciedlało stan duchowości większości mieszkańców Kongresówki.

Dla porządku należy wspomnieć, że po Wielkiej Wojnie „Przegląd Pożarniczy” podjął starania o podniesienie ogólnego poziomu moralności. Zwracano uwagę na niebezpieczeństwa płynące ze spożywania alkoholu, a jeden duży artykuł poświęcono w całości spustoszeniom, jakie czyniły choroby weneryczne szczególnie pośród ludzi młodych, robiąc z nich 30-letnich starców i przyczyniając się do przedwczesnej śmierci kilkudziesięciu tysięcy ludzi rocznie.

Co istotne, na łamach „Przeglądu Pożarniczego” wypowiadały się strażackie władze (do 1914 r. jeszcze nieformalne), dokumentując w ten sposób swoje działania.

Zatem każdy prenumerator mógł się dowiedzieć, o czym radzono i jakie z tej dyskusji wyciągnięto wnioski. Za czasów Chomicza i Tuliszkowskiego wiedza o ochronie przeciwpożarowej nie była domeną wybranego grona wtajemniczonych. Kierowano ją chętnie – a nawet entuzjastycznie – do wszystkich, którzy chcieli czytać i ... płacić, bo uiszczanie należności za prenumeratę nie zawsze następowało terminowo.

Publikowano też listy do redakcji, podejmowano z nimi polemikę lub popierano zawartą w nich argumentację. To wszystko sprawia nieodparte wrażenie, że ówczesnej redakcji bardzo zależało na intelektualnym pobudzeniu strażackiego grona.

W „Przeglądzie Pożarniczym” znajdziemy też reklamy związane z działalnością jego twórców. Nie od pierwszego numeru, ale w 1913 r. w niemal każdym pojawiała się informacja, że budownictwo wiejskie oraz strażackie prowadzi firma inż. Józefa Tuliszkowskiego, a najlepsze nasiona i sadzonki roślin spożywczych można znaleźć w firmie braci Chomicz – jej siedziba odpowiada adresowi prywatnemu Bolesława Chomicza. Miało to trwać jeszcze przez kilka lat powojennych.

„Przegląd Pożarniczy” nie był dla jego twórców celem samym w sobie. Celem było wywalczenie od zaborcy choćby szczątkowej samorządności, by nie zarządzać sprawami ochrony przeciwpożarowej przy pomocy okazjonalnych zjazdów, a przez instytucję działającą permanentnie. Jednocześnie, zwłaszcza przez pierwszy, heroiczny okres wydawania periodyku, osiągnięto niebywały efekt edukacyjny pośród strażaków i nie-strażaków, choć zupełnie osobną sprawą pozostaje jego trwałość. Można zaryzykować twierdzenie, że późniejsze sukcesy zjednoczeniowe straży pożarnych możliwe były dzięki tej gazecie – po prostu każdy polskojęzyczny strażak, również z innego zaboru, mógł się z niej dowiedzieć naprawdę wiele, a przede wszystkim o istnieniu kilkudziesięciu ludzi, którzy w najbardziej niekorzystnej atmosferze wytwarzali niezwyklej jakości dobro wspólne. Że działają z sukcesami tam, gdzie warunki do działania są najgorsze – nie dość, że w zaprowadzanym strukturalnie bałaganie rosyjskich rządów, to jeszcze przy skrajnej niechęci władzy do jakiegokolwiek formy działalności oddolnej.

„Przegląd Pożarniczy” pokazał potencjał ochrony przeciwpożarowej, jej palące potrzeby, ale też konieczność zjednoczenia się, ustanowienia władz, słowem powołania do życia struktur, które zajęłyby się ochroną przeciwpożarową. Nie chodziło przy tym o samo zjednoczenie strażackiego ruchu ochotniczego, jak to się przyjęło uważać, lecz o organizację, która łączyłaby w sobie również i ten aspekt. Ani to w głowie było rosyjskim urzędnikom. Nasi pionierzy przechytrzyli władze i na tym polu. Skoro nie mogli założyć stowarzyszenia, mającego na celu organizację ochrony przeciwpożarowej Kongresówki, postanowili w to miejsce założyć towarzystwo religijne...

Towarzystwo Świętego Floriana

Widzieliśmy w rozdziale o klęsce ogniowej w Królestwie Polskim, jak wiele zła przynosiły carskie porządki (a właściwie nieporządki) w zakresie bezpieczeństwa pożarowego. Gubernatorom i oberpolicmajstrom carskim każda polska straż pożarna jawiła

się jako ognisko anarchii politycznej i rewolucji antycarskiej. Tym samym każda z tych straży działała niejako dla siebie, najpierw na podstawie indywidualnego statutu, potem co prawda na podstawie statutu wzorcowego i celowościowej ustawy, ale zła wola urzędników carskich była ponad prawo.

Widzieliśmy, jak łatwo te indywidualne komórki strażackie z czasem się alie-nowały, przybierając karykaturalną postać. Szybko odchodziła z nich inteligencja, a zaczęli na nich żerować różnej maści – nie wahajmy się użyć słowa adekwatnego – cwaniacy. Straże te potrzebowały standardów działania tudzież dyscypliny. Tymczasem ani jedno, ani drugie w Królestwie Polskim nie przychodziło łatwo.

Związki straży pożarnych w poszczególnych zaborach

Nawet w kwestiach dyscypliny, którą w owych czasach zaprowadzano za pomocą musztry, występowały ogromne braki, powodowane stanowczym sprzeciwem władz zaborczych wobec jakichkolwiek form działania straży pożarnych wziętych z wojska. Musztra więc, a nawet maszerowanie w takt muzyki, były zakazywane. Wypracowanie standardów również nie było możliwe. Przy polityce gubernatorów, zezwalających polskim strażakom na odbycie nie więcej niż jednego zjazdu na rok, czas między kolejnymi etapami wprowadzania danych standardów musiał być liczony w latach. W dodatku zjazdy, nawet gdy na nie łaskawie pozwolono, nie miały umocowania prawnego. Zjechali się strażacy, coś uchwalili, ale sobie, a nie strażom. Jeśli jakaś OSP tych uchwał nie wykonywała (p. o przyjęciu wzorcowych regulaminu i instrukcji z 1912 r.), to po prostu nie przyjęła i już – wszak nie było organizacji czy wspólnoty, która mogłaby napiętnować niewłaściwą postawę.

Wiele zmieniłoby utworzenie związku straży pożarnych. Wstąpienie do niego dawałoby określone profity: dostęp do wiedzy, wymianę myśli, poczucie przynależności do większej, silnej wspólnoty, wreszcie gotowe rozwiązania występujących problemów, a przede wszystkim standardy działania. Nieprzystąpienie do takiego związku jakiejś straży oznaczałoby, że nie spełnia ona związkowych standardów, co znów mogłoby być pretekstem do nieudzielania dotacji samorządowych takiej jednostce. Bo wówczas przynależność do związku straży oznaczała podniesienie standardów, przez konieczność podporządkowania się chociażby regulaminom wzorcowym czy uznaniu przyjętych standardów moralnych. Sytuacja pod tym względem nie była w Królestwie Polskim normalna. Wszędzie indziej było lepiej.

Niemiecki Związek Straży Pożarnych powstał w lipcu 1853 r., gdy komendant ochotniczej straży pożarnej w Ulm Konrad Dietrich Magirus (tak, to ten Magirus od drabin), zorganizował w miasteczku Plochingen zjazd przedstawicieli ochotniczych straży pożarnych¹³⁸ celem zjednoczenia się. Za pierwszym razem w niemieckim Związku Straży Pożarnych zrzeszyło się dziesięć jednostek, potem ruszyła lawina.

¹³⁸ W. Piławski, *Chronologia powstawania ochotniczych straży pożarnych na ziemiach polskich w latach 1845–1890, OSP ponad-stuletnie*, Warszawa 1998, s. 20.

Wkrótce organizacja stała się zbyt wielką, by móc nią sterować – potrzebowała szczebli pośrednich.

W 1862 r. VI Zjazd Niemieckiego Związku Straży Pożarnych (*Deutscher Feuerwehrverband*), który odbył się 10 i 11 sierpnia w Augsburgu, z udziałem przedstawicieli 165 straży pożarnych, stworzył prawną możliwość powoływania prowincjonalnych związków straży pożarnych¹³⁹. W efekcie końcowym powstały 3 związki prowincjonalne, działające na terenie zaboru pruskiego bądź późniejszych ziem polskich: Zachodniopruski (Gdańsk – 1880), w Poznaniu (1891) i na Górnym Śląsku (1891). Związki te miały dużą siłę sprawczą – regionalne władze na podstawie ich rekomendacji nakazywały powoływanie ochotniczych i przymusowych straży pożarnych¹⁴⁰.

Czyli było dobrze? Nie! Bo o ile Niemcy, jako ludzie wolni mogli się zrzeszać, to na terenie zaboru pruskiego sytuacja polskich strażaków wyglądała inaczej. Straże co prawda należały do niemieckiego Związku Straży Pożarnych, ale trudno było tam o polskich reprezentantów, bo na czele straży ogniowych przymusowych i ochotniczych stali wyłącznie Niemcy. Poza tym polityka germanizacyjna pod koniec XIX w. i na początku XX w. przybrała postać wręcz absurdalną, co tym bardziej utrudniało Polakom dostęp do strażackich władz. Dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości struktury organizacyjne tych związków zostały przejęte przez Polaków i funkcjonowały pod polskimi nazwami przez kilka lat, do przekształcenia się w związki wojewódzkie polskiej już organizacji.

Inaczej było w zaborze austriackim. Po początkowych, iście policyjnych rządach, od połowy XIX w. polityka zaborcy zaczęła łagodnieć. Jeśli chodzi o ochronę przeciwpożarową miał na to niewątpliwy wpływ wielki pożar Krakowa w 1850 r., do którego rozwoju nader aktywnie przyczyniły się władze zaborcze poprzez: zakaz trąbienia na alarm hejnałście na wieży mariackiej, aktywne utrudnienia w gaszeniu budynków przez otaczanie ich kordonami wojska czy zawrócenie pociągu ze strażakami z Warszawy. Čwierć wieku później nie przeszkadzano strażakom w samoorganizacji, być może na podstawie doświadczeń działań własnych strażaków, nie widząc w ich zrzeszaniu się nic złego. Wszak przekonano się, że istniejące od połowy 1869 r. dwa prowincjonalne związki dla Dolnej i Górnej Austrii¹⁴¹ niczego szkodliwego nie czynią. I tak (...) *niemceństwo galicyjskie 30 września 1875 roku oświadczyło, że nie ma nic przeciwko utworzeniu związku strażackiego pod nazwą „Krajowy Związek Ochotniczych Straży Pożarnych w Królestwie Galicji i Lodomerii z Wielkim Księstwem Krakowskim”. I Krajowy Zjazd odbył się we Lwowie w dniach 31 października – 1 listopada 1875 roku. Wzięło w nim udział 306 delegatów z 57 OSP i czterech miejskich straży pożarnych (z Krakowa, Lwowa, Przemyśla, Tarnopola).*

¹³⁹ Tamże, s. 22.

¹⁴⁰ Tamże.

¹⁴¹ Tamże, s. 21.

O tym jednak, że ustanowienie związku nie jest samo w sobie receptą na wszystkie bolączki strażaków, świadczą dzieje tamtejszego związku – również ta organizacja powinna spełniać jakieś standardy, a tych standardów nie powinna określać sama, tylko mieć je narzucone prawnie jako cel w działaniu. Szybko się okazało, że być działaczem strażackim w Galicji i Lodomerii nie było łatwo. W 1893 r. *na zjeździe kilkunastu straży w Dobromilu padły krytyczne głosy pod adresem władz związku, nie wykazujących większej aktywności. Postanowiono zwołać zjazdy wszystkich straży, który zaradziłby licznym niedomogom życia organizacyjnego związku*¹⁴², co okazało się bardzo trudne w realizacji, mimo kilku prób. Działacze galicyjscy byli bardzo uparci, a możliwość stania na czele jakiejś organizacji była celem samym w sobie – ot, taki regionalizm, któremu władza zaborcza dyskretnie patronowała. Niemniej związek pod przewodnictwem Antoniego Szczerbowskiego okazał się bardzo silny, a słabł w miarę, jak słabły siły żywotne prezesa. Na przełomie wieków był siłą zarówno wykonawczą, jak i sprawczą, a brał się też za politykę propolską na niwie strażackiej. Miał bowiem prastary Kraków niedaleko położone miasto Biała, opanowane przez obcy żywioł narodowościowy: w tym przypadku Niemców. W pobliżu, w mieście Bielsko zamieszkiwali Polacy. Obydwa żywioły narodowe przenikały się, a że sprawy narodowościowe bywały wówczas pierwszorzędne, to dochodziło do swoistych ekscesów, źle rokujących na przyszłość. I jakby ktoś mówił, że buta teutońska to wynalazek ery hitleryzmu, niechże przeczyta poniższe informacje.

Najpierw o sztuce gaszenia pożarów i braniu słusznych wzorców:

Pożar wybuchł na strychu domu piętrowego pokrytego papą, przy głównej ulicy („Hauptstrasse“) więc na linii największego ruchu i szerzył się bez przeszkody, zajął już dachy dwóch kamienic, wywołał popłoch między ludnością, zgromadził w ulicy co najmniej tysiąc ludzi zewsząd się zbiegających, gdy o nim jeszcze ani policja ani Straż ogniowa ochotnicza nie wiedziała, bo zwykłego alarmu dzwonkiem elektrycznym ani trąbką sygnałową nie było.

Nadaremnie oglądała się publiczność w stronę placu Józefa, od którego pomoc przyjść była powinna, nadaremnie dawała wyraz swemu oburzeniu. Zajaśniało jak we dnie, gorąco coraz większe, przeciwległe okna pękają od żaru, dachy parują, ale ani alarmu nie słysząc ani Straży z pomocą nie widać. Kiedy się to dzieje w miejscu pożaru wśród największego niepokoju zbiegającej się zewsząd publiczności, przy szopie rekwizytowej, pożarnej, nie więcej jak o 600 kroków odległej widzimy wybieranie się do pożaru. Wytacza się powoli fiakierskimi końmi zaprzężony wóz rekwizytowy i o 15 kroków przed bramą staje. Wewnątrz szopy dwóch strażaków naradza się, coby tu jeszcze wziąć? (...) Wśród tej narady dopiero i wykonania postanowienia, co najmniej w 20 minut po wybuchu pożaru słysząc alarm!

Na miejscu pożaru tymczasem ogień zająwszy 3 dachy papą kryte oparł się już o mur ochronny kamienicy blachą krytej i szalał po swojemu goniąc snopy iskier na dachy przeciwległe.

Nareszcie jawią się sikawki i dwoma prądami zaczynają operować, kierując przedewszystkiem obronę, jak słusznie należało, nad domy przeciwległe, które już płonąć zaczynały, że

¹⁴² W. Piławski, *Chronologia powstawania...*, s. 23.

zaś nie było odpowiednich drabin, prądy puszczano z dołu z ulicy do góry skraplając deszcznikiem brzegi dachów. Ten sposób gaszenia praktykowany już przed 300 laty i przerzucanie prądów z jednej strony ulicy na drugą ten skutek miały, że gościniec i mury ścian gruntownie wodą zalane zostały. (...)

W końcu, gdy pożar już się zlokalizował, dostawiają z szopy drabinę składaną i powoli ustawiają przy domu obok pożaru. Prądnik wylazi powoli, a luzem na dach próbując każdego szczebla, rozgląda się, złazi na dół i dąży powtórnie z rurą prądową. Zaczyna prądem operować z równego poziomu i zbliżając się staje na gzymsie domu płonącego. Gzyms pod ciężarem wali się na dół a zanim prądnik szczęśliwie i bez szwanku spada, bo się w drodze zaczepił.

Skończyło się na spaleniu trzech dachów. Zaslugą tut. Straży ochot, była ochrona domów przeciwnych, jednak cała akcja ratunkowa była tak powolną, niedołężną, nieumiejętną, a brak Straży pożarnej zawodowej i koni gminnych do pogotowia pożarnego tak ze względu na stosunki w Białej rażący, że pod względem obrony pożarnej niemiecka gospodarka tutejsza okazuje się gorszą niż w najlichszych galicyjskich miasteczkach¹⁴³.

Oczywiście w niejednym miasteczku galicyjskim widziano podobne obrazki (nie mówiąc już o Królestwie Polskim). Niemniej sprawy między miejscowościami Bielsko i Biała tak się miały, że mogą służyć za przykład, w co może na rodzimej ziemi przerodzić się brak posiadania własnej państwowości.

W dniu 19. października b. r. odbyło się w Bielsku poświęcenie „Domu Polskiego”. W uroczystości tej postanowiły wziąć udział ochotnicze straże pożarne z Łodygowic i z Buczkowic. Na strażach tych dopuszczono się gwałtu, a opis jego podajemy poniżej wskutek uchwały Rady Zawiadowczej z dnia 8. lutego 1902. Już na stacyi w Bielsku oznajmiła policja strażakom, że nie mogą iść w szeregu, tylko pojedynczo. Gdy strażacy wyszli na ulicę, kilkutyśiętny tłum Niemców, zgromadzony przed dworcem, poczęł nagle gwizdać, wrzeszczeć i wołać: *heraus polnische Schweine zurlick nach Polen, nach Saybusch, heraus!* (Precz polskie świnie, nazad do Polski, do Żywca, precz !) Zgiełk, jaki przy tem robili demonstranci jest nie do opisania. Straż nie zbита tem z tropu rozpoczęła pochód w szeregu, za nią zaś ruszył lud wiejski, robotniczy i inteligencya. Wtem dały się słyszeć 3 strzały rewolwerowe i tłum niemiecki otoczywszy strażaków, zaczął sypać kamieniami, błotem, jajami i zgniętymi jabłkami, farbą gryzącą (...). Tu przy szóstym ataku banda niemiecka zawrzała największą wściekłością w obawie, że straż dojdzie do „Domu polskiego”, który stąd już jest niedaleko. Straż została ze wszystkich stron osaczona, ulice wiodące do „Domu polskiego” zostały zamknięte ludźmi i rozpoczęła się w tem miejscu najgorsza walka. Demonstranci bili naszych, kłuli gwoździemi od lasek, pluli strażakom w oczy, przewracali ich do błota. Zastępcę naczelnika Józefa Filusia obrzucono tak błotem i farbą, że się musiał cofnąć do hotelu. Naczelnikowi Wojciechowi Imielskiemu napastnicy chcieli wyrwać szpadę, i kiedy ją ujął w ręce i podniósł do góry, policyjanci przyskoczyli ku niemu i zaaresztowali go. Zaprowadzono go do magistratu bez hełmu i bez szpady, gdzie musiał czekać 2 godziny na wypuszczenie. Na policji naigrawano

¹⁴³ Obrona pożarna w Białej, „Przewodnik Pożarniczy” 1900, nr 10, s. 106.

się z niego, mówiąc: „pocoście tu przyszli do niemieckiego miasta, my do was nie idziemy ; no dobrze, pan coś zafasujesz areшту“. Podczas tego oddział straży znajdował się w ciągłej walce. (...) Po zabraniu jednak naczelnika, oddział, okładany kijami i siekierkami, obrzucany błotem, z dziurami w głowie, z poprzecinanymi plecami, broczący krwią, nie mógł sobie już dać rady i cofnął się jedyną wolną ulicą w bok ku Białej. Za oddziałem pucila się natychmiast cała banda germańska rycząc i wyjąc jak drapieżne wilki, a przytem nie szczędząc ani uderzeń, ani kamieni. Dzięki jednak cofnięciu się straży w bok, mogła przynajmniej część gości przybyłych od Krakowa przedostać się spokojnie do „Domu polskiego“.

W taki to sposób odbył się ów prawdziwie pamiętny, krwawy pochód polskiej straży, przez miasto, stojące na ziemi polskiej, na granicy Galicyi. Podnieść należy z najwyższem uznaniem zarówno zachowanie się wszystkich strażaków, jak zwłaszcza zimną krew naczelnika Wojciecha Imielskiego, który zapobiegł straszemu krwi niemieckiej rozlewowi, bo gdyby był dał znak: „Do broni“ i gdyby strażacy zaczęli byli ciąć toporami, powaliliby się z pewnością trupy¹⁴⁴.

W zaborze rosyjskim sytuacja przedstawiała się na tyle źle dla polskich strażaków, że o swobodach galicyjskich mogli tylko pomarzyć, a już sokoły na hełmach należały do szczególnych mrzonek, chyba że byłyby dwugłowe (toteż hełmy pozostawały w zakresie symbolicznego ptactwa gładkie). Jednocześnie nikt nie zaprowadzał konsekwentnego porządku na polu ochrony przeciwpożarowej, jak to zrobili Prusacy w Wielkopolsce, na Pomorzu i na Śląsku. Pod koniec XIX w. istniało Rosyjskie Towarzystwo Pożarnicze, które zmieniło nazwę, za łaskawą zgodą cara, na Centralne Rosyjskie Towarzystwo Pożarnicze. W 1902 r. Towarzystwo to zrzeszało już 396 straży¹⁴⁵, w tym kilkadziesiąt z Królestwa Kongresowego, co jak na tak ogromny kraj i brak konkurencji, nie było imponującym wynikiem. Centralne czy nie centralne, ale rosyjskie, więc polskie straże pożarne nie garnęły się do niego, nauczone doświadczeniem tych, co dały się zwabić. Przynależność do tego towarzystwa nie dawała polskim strażakom żadnych korzyści, natomiast musiały one corocznie przysyłać do Petersburga stosunkowo wysoką składkę¹⁴⁶. Jak widać, należało płacić i nie oczekiwać w zamian za wiele. Czyli Towarzystwo nie miało zamiaru wpływać na władze rządowe, by te wpływały na władze miast i gmin w celu zakładania przez nie straży pożarnych bądź tworzenia warunków ku temu, jak to się działo w zaborze pruskim. No i nie do pomyslenia było stawianie przez członków wymagań władzom towarzystwa, jak to działo się w Galicji. Zresztą istniało ono wyłącznie jako centralne, czyli samo dla siebie. Organizowało świetne konferencje, jednak nijak ich ustalenia nie przekładały się na żadną dosłownie rzeczywistość, a już w szczególności rosyjską. Bo jak polska rzeczywistość wyglądała? Już wiemy: źle. A jak wyglądała tamtejsza?

W imperium niewiele mogło się dziać bez woli władz, więc popieranie, a zwłaszcza inicjowanie działalności obywatelskiej, polegającej na zakładaniu straży ogniowych,

¹⁴⁴ Gwałt popełniony przez Niemców w Bielsku, „Przewodnik Pożarniczy” 1902, nr 12, s. 123.

¹⁴⁵ W. Piławski, *Chronologia powstawania...*, s. 21.

¹⁴⁶ Tamże, s. 24.

nie mieściło się w głowie imperialnym urzędnikom. Rosjanie tego nie rozumieli, bowiem wychowali się w systemie, gdzie, jak to określił z niezwykłą trafnością Bolesław Chomicz, panował autokratyzm rządu, polegający na wszechstronnej opiece policyjnej, przy której myślano za obywatela i sprawy jego załatwiano bez jego udziału, a nawet wbrew jego woli¹⁴⁷. Taki system myślenia i rządzenia wydał swoiste owoce.

Jak to pisze M.K. Nowak: *Propagowanie i rozwój ruchu strażackiego w Rosji na początku wieku XX natrafiało na dwie zasadnicze trudności. Pierwszą z nich był lęk paraliżujący administrację rosyjską, zwłaszcza na szczeblu ministerialnym i gubernialnym, która obawiała się jakiegokolwiek ożywienia w społeczeństwie mającego zorganizowaną formę. (...) Jedną z najważniejszych barier, na jaką natrafiał ruch strażacki w Rosji, była nie tylko indolencja administracji, lecz przede wszystkim mentalność ludności (...). Trudno było się jednakże dziwić takiemu stanowi rzeczy, jeśli wczytamy się w relacje, jakie zamieściły na temat społeczeństwa rosyjskiego osoby postronne (...). Poza wielkimi miastami obraz społeczeństwa zamieszkującego Rosję mógł wzbudzać politowanie i przerażenie. Chaty z kominami stanowiły tam rzadkość, a dominowały kurne chatki z małymi okienkami i otworami w dachu zamiast kominów. Drzwi otwarte na oścież, dym gęsto wypełnia izbę, dorośli przebywają w sieni lub na dworze, dzieci siedzą na podłodze, na pół skostniałe z zimna, zawinięte w lachmany lub co najwyżej kożuch ojca (...). W zapadłych osiedlach ludzkich dominowała przede wszystkim opinia, iż pożar jeśli już rozgorzeje, to nie da się go ugasić, a na żywioł nie pomoże żadna strażacka organizacja. Powstanie pożaru często wiązano z karą zsyłaną na ludzi przez Boga, dlatego też mało kto kwapił się do tego, by ugasić ogień w zarodku (...)*¹⁴⁸.

Identyczny obraz rosyjskiej wsi i mentalności jej mieszkańców przekazał piszącemu te słowa jego dziadek, służący w wojsku pod koniec lat 30. XX w. na pograniczu z Rosją Sowiecką, za Baranowiczami. Choć sam pochodził z naprawdę biednej wsi spod Rawy Mazowieckiej, wioski rosyjskiego pogranicza i tamtejsze „gospodarstwa” wspominał jako brudne i zaniedbane, mimo bardzo urodzajnej ziemi (o takiej w powieści rawskim marzono), a ich gospodarzy wcale nie lepiej. Na każdym podwórku kupa gnoju, wszystko dziejące się staraniem i siłami kobiet, bo gospodarz wylegiwał się na piecu, a gdy wychodził za potrzebą, to nie zawsze w portkach. Jedna z tych wiosek zapaliła się, a że zabudowana była bardzo gęsto, pożar łatwo i szybko się rozprzestrzenił, niszcząc również dziesiątki bocianich gniazd, a zrozpaczone ptaki krążyły stadami wokół dymów. W gaszeniu kilkunastu płonących chałup brało udział wyłącznie polskie wojsko, gdyż dosłownie żaden z miejscowych nie wziął dobrowolnie do ręki nawet wiadra z wodą, zawzięcie wymawiając się z typowo rosyjskim fatalizmem: „Boh dał, Boh wziął”, co polskich żołnierzy doprowadzało wprost do pasji, więc oficer nakazał, by siłą zmusić „chadziajów”, jak ich nazywano, do wspomagania akcji gaśniczej. Zaznaczyć należy, że panowała tam

¹⁴⁷ B. Chomicz, *Jednością silni*, w: *Gore*, (jednodniówka wydana na pamiątkę Zjazdu Ochotniczych Straży Ogniwych w Warszawie), wrzesień 1921.

¹⁴⁸ M.K. Nowak, *Ruch strażacki w Królestwie Polskim i w Rosji w świetle pisma „Pożarnoje dielo” z lat 1905–1906*, *„Zeszyty historyczne...”* 2007, nr VI, s. 107, 111–112.

już od kilkunastu lat II Rzeczpospolita, a ludzie ci trwali w swoich nawykach, jakby konserwując porządki carskie rodem ze średniowiecza.

W Królestwie Polskim miało być lepiej, gdy tylko rozciągnie na nie skrzydła rosyjskie Towarzystwo. W 1912 r. ppłk. Lund zapowiadał, że dla Królestwa Polskiego zostanie powołana prowincjonalna filia tegoż Towarzystwa, ale tu, mimo że był naprawdę dobrym strażakiem, działał jednak jak typowy, lojalny rosyjski urzędnik, tj. pałał urzędowym optymizmem, w znacznej mierze opartym na posługiwaniu się nieprawdą. Zresztą nikt ze świadomych umysłowo polskich strażaków nie życzył sobie powstania takiej instytucji. Po pierwsze, bywali już na rosyjskich zjazdach centralnych i niewiele dobrego stamtąd przywieźli dla strażactwa polskiego. Po drugie znali carski sposób doboru władz do takich przedsięwzięć. Bo czy prezydium takiego zjazdu we Włocławku stałoby się władzą ogniwa rosyjskiego związku strażackiego? Wątpiono wówczas i wątpić należy obecnie. Obsiedliby to jacyś „general-gubernatorzy”, robiący to, co dotychczas, czyli wszystko, by pożarnictwo, a szczególności służbę bliźniemu, Polakom obrzydzić. A odnosili na tym polu sukcesy, jak mogliśmy się już nie raz przekonać.

Bezwładność rosyjskiego towarzystwa pożarniczego nie była cechą charakterystyczną tylko dla niego, lecz dla wszelkich imperialnych stowarzyszeń, urzędów, rządów i „samorządów”, zwłaszcza centralnych. Wynikało to z prostego faktu, że carat bardzo niechętnie patrzył na wszelkie inicjatywy obywatelskie już u siebie, w mateczniku, a cóż dopiero powiedzieć o takich inicjatywach dziejących się pod zaborami? Zakładanie straży ogniowych, czyli jednostek umundurowanych, kojarzyło się z tworzeniem wrogiej armii. Dlatego wszelkie próby zrzeszania umundurowanych organizacji dławiono w zarodku bądź przed nimi piętrono trudności administracyjne¹⁴⁹. Słusznie zaborca obawiał się, iż pod pozorem setek straży pożarnych powstaną setki przeszkolonych w dyscyplinie wojskowej, w odważnym działaniu oddziałów potencjalnie wojskowych – tak przecież miało być i było, gdzie tylko straże pożarne dysponowały odpowiednią siłą moralną. Bardzo precyzyjnie nazwał ten stan jeden z urzędników carskich, opisując niebezpieczeństwa:

*Duża liczba tego rodzaju drużyn pożarniczych powoduje, że elementy przeciwrządowe mają do swej dyspozycji w wielu okolicach gotowe, dobrze zorganizowane i w pełni zdyscyplinowane kadry aktywnych działaczy na wypadek rozmaitych rewolucyjnych wystąpień*¹⁵⁰. To nastąpiło w sprzyjającej chwili, tylko nie przeciw Rosjanom, a Niemcom.

Jak już wiemy, ludzili się swego czasu Szyllerowie-Raccy, że to oni stworzą polski związek straży ogniowych. Nie wyszło. Kilka lat później do działań przeszli inni ludzie, właściwie innego pokroju, a też mający oparcie w istniejących strukturach (CTR), których przykład działania wskazywał na to, że jednak można. Trzeba było tylko mieć odpowiedni pomysł.

¹⁴⁹ Szczegółowe zestawienie owych szykan carskich władz wobec polskich inicjatyw strażotwórczych zawierają prace Tadeusza Olejnika, m.in. *Rozwój organizacyjny ochotniczych straży ogniowych w Królestwie Polskim*, „Muzealny Rocznik Pożarniczy” 1993, t. 4, s. 6–51; *Towarzystwa straży pożarnych w Królestwie Polskim*, Warszawa 1996.

¹⁵⁰ T. Olejnik, *Rozwój organizacyjny ochotniczych straży ogniowych w Królestwie Polskim*, „Muzealny Rocznik Pożarniczy” 1993, t. 4, s. 29; cytata z Archiwum Państwowego w Łodzi, Kancelarii Gubernatora Kaliskiego, sygn. 248, bp.

Marzenia pionierów

Roilo się w głowach twórców polskiej ochrony przeciwpożarowej, a zwłaszcza Chomicza, że na kanwie nad wyraz pozytywnych działań społeczeństwa w obronie przed uniwersalnym wrogiem człowieka, jakim jest pożar, wytworzy się nie tylko moralna chęć służby innym, która nie tylko przezwycięży prywatę i nieposzanowanie cudzej własności, ale też ponadnarodowa i ponadpartyjna wspólnota, dająca przykład, jak działać w zetknięciu z każdym wrogiem, nie tylko z tym ogniowym. Że pobudzi się do wspólnego działania inteligencję – nauczycieli, sklepikarzy, lekarzy, aptekarzy i urzędników, księży i rabinów, jak również że rzemieślnicy, robotnicy i chłopci, katolicy, prawosławni i starozakonni nauczą się wybierać z tego grona najmądrzejszych i najlepiej ich organizujących. Słowem, że wszyscy nauczą się patrzeć nieco dalej, niż sięgają ich partykularne interesy własne, ale także religijne czy etniczne. Tym samym społeczności umiejące rządzić się same będą gotowe na samodzielność w chwili próby, by stworzyć polskie społeczeństwo obywatelskie, silne nie tylko dziesiątkami tysięcy karabinów, ale też samoświadomością ludzi je noszących, gotowych do posłuszeństwa wobec wybranych przez siebie przywódców, służące uświadomionemu dobru ponad etnicznemu, ponad kastowemu i ponad stanem posiadanych dóbr.

Skoro nie można było utworzyć konkurencyjnej wobec rosyjskiego Towarzystwa strażackiej organizacji samorządowej o charakterze polskim, ktoś wpadł na pomysł, by utworzyć zrzeszenie o charakterze religijnym, ale z takim patronem, który każdemu strażakowi kojarzyłby się z gaszeniem pożarów. Pomysł ten był o tyle trafny dla załatwienia bieżących bolączek ochotniczych straży ogniowych, że można było pod jego pozorem zadbać o sprawę moralności. Wszak trzeźwość i uczciwość powinny być pierwszymi cechami chrześcijanina, a niesienie pomocy bliźnim to postępek miłosiernych Samarytan. No i zrozumiałe było samo przez się w towarzystwie religijnym, że pierwsze miejsce miałyby 10 przykazań Bożych przed *Dziesięciorgiem przykazań prawego strażaka*. W dodatku towarzystwa religijne można było tworzyć, bo po rewolucji w 1905 r. zapanował ku temu sprzyjający klimat. A ponieważ wiara katolicka przeważała liczebnie (przy czym przewaga ta oznaczała tyle, że słowo katolik oznaczało Polaka), sprytni strażacy i ich przywódcy zdecydowali się na utworzenie towarzystwa o wykazanym wyżej profilu, by sprawę załatwić, jeśli nie dla wszystkich, to przynajmniej dla większości, tj. polskich strażaków. Profil ten mógł uspić czujność władz – przecież zdawały sobie sprawę z niesnasek religijnych, zresztą same je podsycaly w celu skłócenia ludności. Wszak poddani nie mieli żyć w dostatku, tylko w posłuchu.

Faktem jest, że chrześcijańskie – a już szczególnie katolickie – towarzystwo religijne nie mogło w społeczeństwie wieloreligijnym (przy czym wówczas wyznaczenie oznaczało narodowość) służyć celom ponadetnicznym, założonym przez Chomicza. Ale mogło i powinno nawet owo uniwersalne stowarzyszenie służyć ochronie przeciwpożarowej polskich wsi, a to był cel główny. No i od czegoś trzeba było zacząć.

Od czegoś, co dawałoby niezależność od carskiej władzy, uosabianej nie tylko przez administrację, rusyfikację ale i – niestety – przez prawosławie.

Pionierzy polskiego pożarnictwa dla obszaru zaboru rosyjskiego działali w rzeczywistości, której nie musieli sobie nawzajem opisywać. My musimy tę rzeczywistość raz jeszcze nieco przybliżyć, by wysilek Chomicza i Tuliszkowskiego pokazać na odpowiednim tle.

Towarzystwo Świętego Floriana

Gwoli ścisłości należy powiedzieć, że rzeczywistość rosyjska z końca XIX w. rozciągała się również i na ziemie polskie, a kilka pokoleń wcześniej podróżni z zachodnich stron notowali przejmujące współczuciem obrazy życia polskich wieśniaków z końca XVIII wieku. Na przełomie XIX i XX w. napotkać można było jeszcze w Polsce kurne chaty bez kominów. Oczywiście nie jako norma, obowiązująca w rosyjskim interiorze, którego obraz rosyjscy urzędnicy przywozili w swoich głowach na nasze ziemie, lecz jako wspomnienie z czasów pańszczyźnianych, a i to tylko dla niektórych obszarów.

W warunkach wolności osobistych i braku pańszczyźnianego chomąta etos rolniczy kształtował się samorodnie i wkrótce zrodziła się samoświadomość. Z chwilą, gdy powstały chłopskie partie polityczne, można było mówić o chłopskim społeczeństwie obywatelskim – fakt, że pod nieznoszącą żadnych form obywatelstwa władzą rosyjską. Kolejne pokolenia już uczyły się, jak żyć na swoim i jak o swoje walczyć, a nawet wiatraki i cegielnie budować. Kto poczuł się gospodarzem, szybko musiał stać się przedsiębiorcą, więc podejmował walkę z siłami natury i ludzi.

W każdym razie o ile w Rosji, wobec całkowitej bierności ludności wiejskiej, straże ochotnicze terenów wiejskich nie miały możliwości samoistnego powstawania i rozwoju, o tyle na terenach Kongresówki istniało ku temu podłoże. Powstawały więc ochotnicze straże ogniowe. Ba! Było ich więcej na terenie Królestwa Polskiego, a więc obszarze ponad dwukrotnie mniejszym od zaboru rosyjskiego, niż miało członków Centralne Rosyjskie Towarzystwo Pożarnicze. Było ich więcej, tylko nie mogły jednoczyć się w organizacje masowe – na to nie zezwalało żadne „generałgubernatorstwo”. Zatem Chomicz i jego współpracownicy użyli w 1914 r. omówionego wyżej podstępu o pozorze religijnym.

Tuż na parę miesięcy przed wybuchem wojny pierwszej – i to niemal wyłącznie przez starania Pawła Górskiego (pełnił honorową funkcję dworską – kamerjunkra przy dworze carskim) – osiągam zezwolenie władz Generałgubernatorstwa warszawskiego na założenie Tow. Św. Floriana, a statut ten podpisuję łącznie z Pawłem Górskim i Władysławem Grabskim, Prezesem Centr. Tow. Rolniczego. Przy istniejącym ówczesnie na całą Rosję carską centralistycznej organizacji straży pożarnych: „Wsiechrosijskoje Pożarnoje Obszczastwo”, pod zarządem kniazia Lwowa – niepodobna było myśleć o separatystycznym Związku Straży Pożarnych dla Królestwa Polskiego. Trzeba było przeto zmylić czujność władz zaborczych skromną nazwą

*klerykalną dla takiej organizacji, pod wezwaniem Św. Floriana, patrona w walce z klęską ogniową, a przeto i orędownika straży pożarnych*¹⁵¹.

Tylko dla porządku przypomnijmy, kto był kim spośród wymienionych wyżej osób. Paweł Górski to ten sam, znany nam dyrektor z Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń, czyli bezpośredni przełożony Bolesława Chomicza, a także jego poprzednik w komisji Tuliszkowskiego w CTR. Władysław Grabski to ten Władysław Grabski – przyszły kilkukrotny minister w odrodzonej Polsce oraz premier rządu, kojarzony z „reformą monetarną Grabskiego”, człowiek o zdecydowanie prawicowych poglądach, bo bliski współpracownik Romana Dmowskiego, poseł do Dumy, a zarazem prezes CTR. Brak w zestawieniu nazwiska Tuliszkowskiego, ale trudno wyobrazić sobie owo przedsięwzięcie bez jego udziału, nawet gdy to nie był udział pierwszoplanowy.

Założyciele Towarzystwa Świętego Floriana kuli żelazo, póki gorące. Charakterystycznym rysem tej organizacji była otwartość, nieco może wymuszona podstępem religijnym, ale mająca jednocześnie błogosławione skutki. Do towarzystwa mógł należeć dosłownie każdy, kto chciał i miał na sercu szeroko pojętą walkę z pożarami – bądź parął się tym zawodowo, bądź z tego żył, co tę miało zaletę, że samo w sobie zrzeszało ludzi czynu i idei, otwierając ich tym samym na idee ochrony przeciwpożarowej i samorządności. Oczywiście masowo akces stowarzyszeniowy miały zgłaszać towarzystwa straży pożarnych i to one miały w tym towarzystwie tworzyć większość. Dzięki temu strażacy mogli się policzyć i zorganizować w sposób spójny, bez podejrzeń, że zawiązują spisek w celu jeśli nie zabicia cara, to na zagładę „matuszki Rosji”. Niemniej założona otwartość Towarzystwa Świętego Floriana powodowała, że miało ono stać się organizacją na rzecz ochrony przeciwpożarowej, a nie na rzecz wyłącznie strażactwa. Tę cechę miał odziedziczyć za kilka lat Związek Florianów. Tak to wyszło, być może z pomocą siły wyższej, na którą się powołano.

Na przeszkodzie temu stanęły wydarzenia, na które nie mieli jednak żadnego wpływu – wybuch Wielkiej Wojny. Co prawda pojawiła się wraz z nią istotna pozytywna okoliczność, mianowicie w drugim jej roku kalendarzowym, tj. w 1915, najwyższa władza rosyjska, to jest car, zatwierdziła statut Towarzystwa Świętego Floriana. Byłby to istotny sukces Polaków, gdyby nie takie wydarzenie, że Rosja w tym czasie okazała się stroną przegraną na froncie własnym tej wojny, więc drobne gesty przychylności ze strony zaborcy w stronę narodu skrzępowanego miały bardzo ograniczone cechy dobrowolności. Mało tego – w 1915 r. Rosja miała tę wojnę przegrać, tracąc cały dosłownie zabór. Zatem ledwie Towarzystwo Świętego Floriana zaistniało, drastycznie zmieniła się rzeczywistość, w tym okupanci ziem polskich. Znowu trzeba było się dostosować.

¹⁵¹ B. Chomicz: *Garść wspomnień...*, „Zeszyty Historyczne ZOŚP RP”, t. V, s. 245.

Początek Wielkiej Wojny

W sierpniu 1914 r. wybuchła wojna, którą przepowiadano tak długo i tak jej wszyscy byli pewni, że powszechnie zlekceważono sobie taką możliwość. Np. nasz bohater postanowił spędzić zasłużony urlop w czasie podróży zagranicznej. Wybuch wojny zastał go w Belgii – tej samej, przez którą miała przejść wielka ofensywa niemiecka na Francję, zaplanowana przez feldmarszałka Alfreda von Schlieffena, szefa sztabu armii pruskiej. Na nieszczęście dla Niemiec, a na szczęście dla Polski, ten inteligentny i przewidujący człowiek zmarł na rok przed rozpoczęciem działań wojennych. I choć na łożu śmierci zaklinał podwładnych: *Niech prawa flanką będzie mocna!*, po roku jego zakłęcie osłabło. Przytęplił prawą flankę i... Ale nie uprzedzajmy faktów.

Wojna zaczęła się od zamachu w Sarajewie. Ludzie prości rozumieli to mniej więcej tak, jak to zanotowano w fikcyjnej kronice ochotniczej straży ogniowej: 1914: *w Zagajewie na zabawie zabili jednego ważnego... Ale żeby zaraz przez to wojnę światową zacząć?!¹⁵²*.

Oczywiście nie szło o śmierć jednego człowieka, nawet bardzo ważnego, tylko o konflikty interesów, których rozwiązania nie widziano już na drodze dyplomacji, to jest bez użycia sił zbrojnych. Bowiem kilka mocarstw doszło do kresu swego rozwoju, widząc na horyzoncie poważne kryzysy, jeśli dalszych kroków na drodze rozwoju zrobić się nie da. Tu musimy znów nieco cofnąć się w czasie, żebyśmy nie myśleli, że wojna wybuchła wyłącznie dlatego, że zabito kogoś ważnego. Kogoś, kto prawdopodobnie nie chciałby, żeby wybuchła z powodu jego śmierci. Zwłaszcza gdy umiałby przewidzieć jej rezultat.

Ustalenia Kongresu Wiedeńskiego

Bez mała 100 lat trwał porządek wiedeński w Europie. Porządek w znaczeniu układu państw głównych, bo do wrzenia dochodziło ciągle, ale mocarstwa: Rosja, Austria (potem jako Austro-Węgry), Prusy i Wielka Brytania pilnowały, by nie naruszyć zasadniczych ustaleń zawartych na koniec tzw. Kongresu Wiedeńskiego (trwał od września 1814 r. do 9 czerwca 1815 r.). Przymierze między potęgami europejskimi było trwałe co do utrzymywania w mocy zasadniczych postanowień Kongresu Wiedeńskiego, ale bardzo niestabilne. Wykazywało konsekwencję tylko w zakresie zwalczania zrywów niepodległościowych krajów Europy Środkowej. Tak oto w 1848 r., w czasie tzw. Wiosny Ludów, armia rosyjska przysłała z pomocą wojskom austriackim i zlikwidowała powstanie na Węgrzech. I to była ostatnia już współpraca między tymi mocarstwami. I ostatni raz, gdy Rosja mogła być żandarmem Europy. Wkrótce miało się okazać, że organizacyjnie i technicznie tkwi w epoce napoleońskiej, tymczasem inne mocarstwa weszły w wiek pary, kolei żelaznych i wielu innych jeszcze wynalazków.

¹⁵² J. Gajos, *Kronika ochotniczej straży pożarnej*, szkic, 1982.

Wielka Brytania bardzo szybko uznała, że stabilność w Europie nie leży w jej interesie i doszła do porozumienia z Francją. To miało się kilka razy zmieniać. Pod koniec XIX w. te kraje przeżywały okres znacznej wrogości, ale generalnie nie prowadziły ze sobą otwartych konfliktów. Rosja uznała Balkany za własną strefę wpływów, konsekwentnie zwalczając tam wpływy tureckie (Turcja była jeszcze bardziej zacofana od Rosji), przez co wchodziła w konflikty z ekspansją austriacką. Anglia i Francja uznały, że wesprą Turcję w wojnie z Rosją. Tak doszło do „Wojny Krymskiej” (1853–1856), gdy korpus brytyjsko-francuski wylądował na Krymie. Oblężono wtedy i zdobyto twierdzę Sewastopol, a brytyjska flota pływała swobodnie nie tylko po Morzu Czarnym, ale również Bałtyckim. Przegrana Rosji nie wpłynęła jednak na jej osłabienie jako mocarstwa lądowego, którego ekspansja została jedynie wyhamowana, a nie zatrzymana.

W II połowie XIX w. doszło do następnych zmian. Rosja nadal uderzała w Turcję. W siłę urosły Prusy, których program zjednoczenia ziem niemieckich pod kierownictwem pruskim zyskał akceptację ogólnoniemiecką. Tu kluczową rolę odegrał polityk pruski Otto von Bismarck. W wojnie Prus i ich sprzymierzeńców niemieckich (i Królestwa Włoch) z Austrią i jej niemieckimi sprzymierzeńcami (w tym Królestwem Bawarii) Prusy uzyskały Śląsk i terytoria kilku krajów niemieckich im przeciwnych (1866 r.). Wojna ustała, ale proces polityczny, któremu sprzeciwiło się cesarstwo francuskie, trwał dalej. Prusy i ich nowi sprzymierzeńcy zwyciężyli (1870 r.), biorąc do niewoli cesarza Napoleona III, jego głównego wodza i jeszcze 39 generałów. Tak oto w 1871 r. pod przewodnictwem pruskim powstało Cesarstwo Niemieckie. Wzmocnieniu uległo też Królestwo Włoch, a będąca w tym stuleciu cesarstwem, królestwem i znów cesarstwem Francja, bardzo boleśnie upokorzona, na dobre stała się republiką.

Kolonializm i wyścig zbrojeń morskich

Od tego czasu rywalizacja między potęgami europejskimi przeniosła się za morza i oceany, a względny pokój w Europie gwarantowały dodatkowe traktaty, jak Sojusz Trzech Cesarzy (Austrii, Niemiec i Rosji w 1873 r.). Sojusz przetrwał niespełna 20 lat, gdy rozczarowana stosunkami z Niemcami Rosja weszła w porozumienie z Francją.

Aż do I wojny światowej trwała ekspansja kolonialna państw europejskich. Kolonie posiadały nie tylko zasadnicze mocarstwa (Anglia, Niemcy, Francja), ale również Holandia, Belgia, Hiszpania, Portugalia i Włochy – niektóre z tych państw wycofały się z kolonializmu dopiero w II połowie XX wieku. W końcu XIX w. w sposób „cywilizowany” podczas organizowanych w Europie konferencji ustalano strefy wpływów, ale wybuchały również konflikty. Jednocześnie w Europie dokonywał się niebywały postęp techniczny. Kolonie były źródłami surowców i rynkami zbytu. Na początku XX w. nie było już czego podbijać – wszystkie dostępne krainy Azji i Afryki zagarnięto i skolonizowano. Można było tylko bić się o ziemie już podbite i ich zasoby.

Na początku XX w. Cesarstwo Niemieckie uznało, że główną przeszkodą w dalszym ich rozwoju jest Wielka Brytania – największa potęga kolonialna, a jednocześnie mocarstwo przemysłowe. Francja chciała rewanzu na Niemcach za upokorzenie z 1870 r. Austro-Węgry chwiały się pod własnym ciężarem, gdyż jako zlepek różnych narodowości borykały się z ruchami odśrodkowymi, a dla krajów związku niemieckiego przestały być siłą przewodnią – tu wysforowały się Prusy z ich agresywną polityką. Rosja przeszła kolejne reformy militarne, ale nie społeczne, niemniej miała ogromne terytorium i ambicje mocarstwowe, a przy tym kwestie sporne na Bałkanach z Austrią, np. poparła niepodległość Serbii. W latach 1905–1907 Rosję wstrząsnęła rewolucja, bo wcześniej ten na wskroś przeżarty korupcją kraj sam wprowadził się w kryzys gospodarczy, by prowadzić wojnę z Japonią, wspieraną przez Wielką Brytanię. Wojnę tę, jak już wiemy, Imperium Romanowów przegrało, ale obroniło się przed rewolucją, – na niewiele ponad dekadę.

Od tego czasu zmienić się miała polityka brytyjska. W Anglii budowano wielkie okręty liniowe (pancerniki i krążowniki z armatami kalibrów do 380 mm), na które Niemcy odpowiedziały budową własnych. Tak rozpoczął się wyścig zbrojeń morskich obydwu potęg, łącznie z budową okrętów podwodnych (tj. raczej nurkujących), uzbrojonych w nowy wynalazek, który wydoskonalono do stadium użycia: torpedy. W sposób naturalny sojusznikiem brytyjskim w rywalizacji z Niemcami stała się nie lubiana w Anglii Francja, mająca potężną armię lądową. Zawarto serdeczne porozumienie (entente cordiale 1904). W ten sposób w orbicie pozytywnej polityki brytyjskiej znalazła się Rosja, która przystąpiła do przymierza w 1907 roku.

Odpowiedzią na te układy było zacieśnienie sojuszu Niemiec, Austro-Węgier oraz Turcji, która niedawno wkroczyła na tory modernizacji, a więc – w domyśle – ponownej ekspansji terytorialnej. Każdy blok miał swoje kraje satelickie, które na mocy odrębnych traktatów odporno-zaczepnych wchodziły do przymierzy nawet już po rozpoczęciu działań zbrojnych.

Bałkański kocioł

Źródłem niepokoju były Bałkany, gdzie zatarg rosyjsko-turecki praktycznie nie ustawał, tylko chwilami przygasał. Stały nacisk rosyjski na Turcję tak ją osłabił, że najpierw pokonały ją Grecja, Serbia, Rumunia i Bułgaria (1912 r.). Potem pierwsze trzy kraje pobiły niezadowoloną z rezultatów wojny z Turcją Bułgarię (1913 r.). Później Serbia chciała rzucić wyzwanie Austro-Węgrom. Stan emocji politycznych wyglądał więc następująco.

Niemcy, dzięki stoczonym wojnom, silne jak nigdy dotąd, pragnęły następnej wojny, Turcy – zemsty na Grekach, Serbach i Bułgarach, Serbia – Bośni zagarniętej przez Austrię, kilka krajów Europy środkowej, jak Polska – samodzielności. Sytuacja polityczna przypominała więc beczkę prochu, choć ludziom, dzięki rozwojowi przemysłu, żyło się lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Niestety, zdobycze techniki dotyczyły również broni i sposobów jej użycia.

Lont został podpalony na Bałkanach. W dniu 28 czerwca 1914 r. następca austriackiego tronu cesarskiego, arcyksiążę Franciszek Ferdynand, wizytował Sarajewo w Bośni, będąc wożonym otwartym samochodem – był wyjątkowo źle chroniony za sprawą szefa policji, który stracił rozum w wyniku choroby, nazywanej „brzydką”. Jeden z kilku zamachowców Gavrilo Princip (Serb) wyczekał na odpowiedni moment i z bliska – niemal z przyłożenia – wystrzelił cały magazynek pistoletu, celując w arcyksięcia. Słabo strzelał, ale i to wystarczyło: trafił arcyksięcia w krtani, a jego żonę w podbrzusze. Arcyksiążę mówił jeszcze „to nic”, ale oboje zmarli w niedługim czasie.

Austro-Węgry, mocno wspierane przez Niemców, wystosowały wobec Serbii wielopunktowe ultimatum. Zostało ono odrzucone w jednym tylko punkcie, ale to wystarczyło, by rozpoczęła się lawina mobilizacji w krajach będących za i przeciw. W ciągu kilkunastu dni wszystkie mocarstwa Europy i sprzymierzone z nimi państwa zmobilizowały swoje armie i zaczęły ścierać się na polach bitew w nadziei, że wojna skończy się bardzo szybko. Ich rachuby były następujące. W każdym z tych państw dysponowano nowoczesnymi karabinami na proch bezdymny, karabinami maszynowymi na tę samą amunicję, artylerią, a co najważniejsze – siecią dróg żelaznych, którymi można było przerzucać całe armie z krańca na kraniec ziem do w kilka dni. Niestety, nikt nie uwzględniał faktu, że przeciwnicy dysponowali dokładnie tym samym.

Okazało się, że Rosja może odgrywać rolę mocarstwa wobec Austro-Węgier, nawet twierdząc „Przemyśl” zdobyć, ale wobec Niemców, mimo początkowych sukcesów, już nie. Ci zaś byli na tyle pewni siebie, że wbrew polityce Bismarcka (nie prowadzić wojny na dwa fronty) i wspomnianemu na wstępie, wielkiemu planowi ataku na Francję autorstwa von Schlieffena, który pół dojrzałego życia strawił na jego ułożenie (atakujące skrzydło prawe musi być jak najmocniejsze nie tylko w ramach tamtego frontu, ale nawet kosztem czasowej utraty Prus Wschodnich), postanowili wygrać wojnę na dwóch frontach na raz. Odciągnęli z Belgii kilka dywizji, dzięki czemu pokonali Rosjan w Prusach Wschodnich, ale we Francji utknęli w wojnie okopowej.

W ten sposób stała się faktem wielka, wyniszczająca wojna narodów. Pragnął takiej wieszcz Adam Mickiewicz, widząc w niej zbawienie dla Polski. Ziściła się jako wielki dla niej dramat, z niespodziewanie dobrym zakończeniem w 1918 roku.

Wydarzenia wojenne w Królestwie Polskim

Tymczasem wojna na wschodzie przez pierwszy rok toczyła się na ziemiach etnicznie polskich, przy czym w składzie wojsk obydwu stron znalazło się wielu Polaków. Front przesunął się dwa razy w pasie szerokim na 150 km, przez całą wysokość Polski, mniej więcej między liniami południków wyznaczonymi przez miasta Łódź i Warszawa. Walki kosztowały każdą ze stron konfliktu po około 200 tys. zabitych i rannych. Pod Bolimowem k. Skierniewic Niemcy użyli gazów bojowych. W kampaniach tych wzięli udział w okolicach Kielc m.in. żołnierze Legionów

Polskich, uformowanych przez Józefa Piłsudskiego pod austriackim dowództwem i patronatem.

W maju 1915 r. Niemcy wspólnie z Austriakami przeprowadzili operację zaczepną, która przeszła do historii jako bitwa pod Gorlicami, a w istocie była początkiem ogromnej ofensywy. Operacja zaskoczyła swymi dalekosiężnymi skutkami nie tylko zwyciężonych, ale i zwycięzców. Wszystko na raz stanęło na głowie. Jednym z elementów tej układanki było powołanie Bolesława Chomicza na prezesa Polskiej Dyrekcji Ubezpieczeń Wzajemnych, a Józefa Tuliszkowskiego na komendanta Straży Ogniowej m.st. Warszawy. Józef Tuliszkowski w chwili tych wydarzeń miał ukończone 47 lat.

Warszawska Straż Ogniowa (1915–1918)

W połowie 1915 r., w wyniku strategicznej porażki Rosjan w Wielkiej Wojnie, rozpoczął się nowy rozdział w życiu Józefa Tuliszkowskiego – został komendantem Straży Ogniowej miasta stołecznego Warszawy. Ta oficjalna nazwa jednostki organizacyjnej obowiązywała w czasach jego komendantury i potem, przecież zawsze nazywano ją Warszawską Strażą Ogniową.

Zanim więc przejdziemy do szczegółów działalności Tuliszkowskiego w nowym miejscu pracy, poznamy tę straż. A potem także spłot działań wojennych, który doprowadził naszego bohatera na tak eksponowane stanowisko.

Straż Ogniowa m. st. Warszawy

Nawet w zaborze rosyjskim Warszawa pozostawała miastem stołecznym Królestwa Polskiego. W tej sytuacji istotne jest, by używać nazwy prawidłowej. Współcześni przywiązywali do tego dużą wagę, wszak codziennie z Rosjanami wadzili się o pojedyncze słowa, by w tak małych skrawkach zachować odrobinę polskości i pamięci o przeszłej chwale. Zatem nawet mówiąc „Warszawska Straż Ogniowa”, myślimy „Miasta Stołecznego”.

O tej straży kilka razy wspominaliśmy przy różnych okazjach, to jest wtedy, gdy dochodził do głosu lub był wspominany Rosjanin szwedzkiego pochodzenia, Edward Lund, jeden z jej oficerów, a na koniec komendant. W miarę upływu lat awansował on z majora na podpułkownika. Gdy miał możliwość neutralności zawodowej, dumny był z faktu, że dysponuje jedną z najlepszych, jeśli nie najlepszą, jednostką gaśniczą w całym Imperium. Propagował tę wiedzę, gdzie mógł, również w czasie zjazdów w Petersburgu. Tych samych zjazdów, których szefostwo organizatora tych imprez, Centralnego Rosyjskiego Towarzystwa Pożarniczego, ani razu nie zaszczyliło swoją obecnością. Oczywiście Lund mógł usłyszeć tam słowa pochwały, nie zmieniało to sytuacji ogólnej, tj. fasadowości zarówno organizacji, jak i imprezy.

Zatem nawet jeśli Lund szerzył wiedzę o wysokiej jakości Straży Ogniowej m. st. Warszawy, to jakby grochem o ścianę rzucił. I tylko w miesięczniku „Strażak”, wiedzionym patriotyzmem lokalnym, ktoś to zauważał w sensie godnym chwały. My przyjrzyjmy się tej straży inaczej, tzn. mniej propagandowo. Posłużymy się słowami z jak najstarszych opracowań. Bo na ogół myśli się, że początki tej jednostki sięgają 1836 roku.

Trochę historii ze starych dziejów

Oto, co na ten temat powiedziano w 1930 roku.

Częste pożary w Warszawie i dotkliwe straty materialne, ponoszone z tego powodu, skłoniły mieszkańców Warszawy już w roku 1800 do zawiązania Towarzystwa Ogniowego, mającego na celu ratowanie mienia współobywateli. Był to pierwszy zaczątek organizacji do

walki z pożarami. W ślad za tem w roku 1806 został utworzony pod opieką władz miejscowych oddział pożarny przy policji, rozporządzający 15-ma sikawkami, odpowiednią liczbą beczek oraz ludzi i koni do obsługi. Dziesięć lat później przekształcono ten oddział w t. zw. „Magazyn Karowy”, który oprócz gaszenia powstałych pożarów, zajmował się także utrzymaniem czystości w mieście i polewaniem wodą w letnich miesiącach niektórych ulic i placów. Przy gaszeniu ognia współdziałali z nim mieszkańcy okolicznych domów, a każdy właściciel domu był obowiązany mieć zawsze w pogotowiu drabinę, bosak i skórzane wiadro do wody¹.

Te piętnaście sikawek to była znaczna siła, a jednostka miała wymiar półzawodowy, w znaczeniu „ludzi i koni do obsługi” – ludzie przebywali w niej stale, by móc zaprzęgać konie do sikawek. Jak już wiemy, nie dostęp do narzędzi, lecz do koni był największym problemem w strażach. Tu problemu nie było, bo też czynniki ekonomiczne sprawiały, że ani ci ludzie, ani konie nie czekali beczynnie w koszarach na pożary. Pełniący stale dyżury strażacy codziennie zajmowali się utrzymaniem miasta w stanie czystości i wilgoci. Tak też miało być potem, co jest racjonalne, bo przecież i koń, i człowiek, czy pracują, czy nie – jedzą. Była to zatem stała służba oczyszczania miasta, zmieniająca się w straż pożarną na wypadek pożaru. Wówczas uzupełniano jej skąd ludzki o pospolite ruszenie ery porządków ogniowych, gdy każdy mieszkaniec był zobowiązany do walki z ogniem.

Jednocześnie możemy zauważyć, że ta półzawodowa straż czyścicielsko-pożarna powstała co prawda nieco wcześniej, za pierwszego zaboru pruskiego, ale rozwinęła się w epoce Księstwa Warszawskiego, a więc w czasie становienia w Polsce całkiem dobrych praw w zakresie ochrony przeciwpożarowej. Niestety, straż owa łączyła gotowość operacyjną i porządek w zakresie środków z bałaganem ery porządków ogniowych w zakresie sił, bo w znacznej mierze opierano się na powszechnym przy-musie gaśniczym. I, jak to bywało w porządkach ogniowych od ery średniowiecza po oświecenie, łatwo było powiedzieć, żeby było wiadro, bosak i drabina w każdym domu, ale nie było obowiązków pełnienia przy nich dyżurów. A zresztą obowiązek bez siły kontrolnej, np. policji ogniowej, nie jest obowiązkiem. No i nikt od tych właścicieli budynków nie wymagał sprawności fizycznej w rodzaju biegania z posiadanym sprzętem po dachach. Co też odnotowano. Postanowiono więc przedsięwziąć lepsze środki, na wzory już znane.

Prymitywna ta organizacja, dość skąpo wyposażona w ludzi i narzędzia, nie zawsze mogła sprostać swemu zadaniu, a zwłaszcza w miarę coraz szybszego rozwoju miasta okazała się niewystarczającą. Niewątpliwie zdawali sobie sprawę z tego mieszkańcy miasta, czego dowodem, że w roku 1829 obywatel Jan Rudnicki, właściciel domu N.719 przy ul. Leszno, wystąpił z projektem utworzenia w Warszawie Straży Ogniowej, na wzór istniejącej w Petersburgu. Projekt został przychylnie oceniony przez Radę Administracyjną Królestwa Polskiego, która też w dniu 23 grudnia 1834 r. powzięła uchwałę założenia w Warszawie

¹ Komenda Warszawskiej Straży Ogniowej, *Zarys historii Straży Ogniowej m. st. Warszawy w ostatnim 15-leciu (1915–1930 r.)*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 11, s. 13–15.

*Straży Ogniowej na wzór Petersburskiej, z włożeniem na nią obowiązku oprócz gaszenia pożarów, utrzymania w należytej czystości ulic, polewania niektórych z nich, jak również i placów publicznych wodą w lecie i oczyszczania z sadzy przewodów kominowych*².

Zauważmy, że pomysł powstał tuż przed, a projekt tuż po traumie klęski powstania listopadowego. Królestwo Polskie już nie miało takiej autonomii, jak przed powstaniem, gdy tylko wojsko miało powody do drżenia ze strachu, bo nadchodził Wielki Książę Konstanty i brzydkimi słowy poniżał publicznie odważnych oficerów napoleońskich za pyłek na mundurze. Od teraz decyzje – wydawać by się mogło, że należące do magistratu miasta – były już kwestią polityczną i należały do urzędników zaborcy, choćby w zakresie wyrażenia zgody. Zgoda w ich wykonaniu była sprawą ciężką, wymagała sprytnych zabiegów korupcyjnych. Zrozumiałe było, że powoływano się na wzór z Petersburga – już wtedy tam wszystko było najlepsze i największe, tzn. największe, a więc najlepsze.

W krótkim stosunkowo czasie opracowano szczegółową ustawę i uzyskano jej zatwierdzenie, poczem w lutym 1835 r. poruczono dymisjonowanemu podpułkownikowi Janowi Roboszowi zorganizowanie i skompletowanie Straży Ogniowej.

Z dniem 1-go stycznia 1836 r. Straż Ogniowa w Warszawie rozpoczęła swą działalność. Składała się ona, zgodnie z ustawą, z trzech oddziałów: właściwego oddziału pożarowego, oddziału kominiarskiego i oddziału roboczego do oczyszczania ulic w mieście, istniejącego do końca r. 1882. Oprócz tego w r. 1841 utworzono jeszcze czwarty oddział do obsługi latarni ulicznych, który jednak, w miarę zaprowadzania oświetlenia gazowego, zmniejszał się liczebnie, i wreszcie w r. 1883 został zupełnie zwinięty. (...)

*Personel strażacki w chwili powstania Straży liczył ogółem 226 osób, w czym 212 szeregowców*³.

Tak wyglądały początki początków, gdy wszystko opierało się na sile mięśni ludzkich i końskich. Potem nastąpiła rewolucja przemysłowa, a z nią pomysły na wykorzystanie mechaniki w gaszeniu pożarów. No i nastał w Warszawie jedyny uczciwy na wysokim stanowisku Rosjanin tamtych czasów, a może całego okresu zaborów, mianowicie Sokrat Starynkiewicz. Miasto zyskało dzięki jego woli nie tylko kanalizację i czystą wodę pitną, ale też, zupełnie przy okazji, hydranty przeciwpożarowe. Oczywiście nie od razu i nie wszędzie, ale tam, gdzie one powstały, nie trzeba było blokować znacznych sił ludzkich i końskich do wozienia wody żelaznymi beczkami. I nie poskąpiono pieniędzy na nowoczesne sikawki parowe. Można to prześledzić na podstawie poniższego cytatu.

Wyposażenie Straży Ogniowej początkowo było dość skąpe w narzędzia. Rozporządzała ona między innymi 5-ma sikawkami ogniowymi 4-kołowymi większymi i 5-ma mniejszymi, 10-ma sikawkami przenośnymi, 4-ma drabinami o trzech i dwóch przesłach, 33-ma beczkami dowożącymi wodę do pożaru i t.p. Inwentarz pożarowy wzrastał jednak z biegiem lat

² Tamże.

³ Tamże.

i udoskonalał się w miarę technicznego postępu w tej dziedzinie. Tak więc między innymi w latach 1864–1865 zakupiono trzy parowe sikawki, w roku 1876 wprowadzono topory na model zagraniczny z automatycznie chwytającymi sprężynkami i linki ratunkowe z takimiż sprężynkami, w roku 1884 zastąpiono stare sikawki parowe nowymi, sprowadzonymi z Londynu, w okresie r.1889 do 1895 nabyto 6 dużych drabin ratunkowych, w czym 1-ną drabinę mechaniczną 4-przęsłową, sięgającą 6-go piętra⁴.

Odnosnie do wysokich drabin tamtych czasów warto wiedzieć, że nie miały tak wysokich poręczy, jak współcześnie nam znane autodrabiny, więc na to szóste piętro wchodziło się z duszą na ramieniu. Zresztą miało tak być również w czasach zaprowadzenia pierwszych drabin mechanicznych, sięgających jeszcze wyżej. Wyobraźmy sobie: ciemność, wiatr, dym, ogień i strażaków, którzy mogą się trzymać tylko szczebli, a jeszcze niosą ze sobą pojedyncze przęsła drabin przenośnych lub drabiny hakowe: a nuż przydadzą się do łażenia po dachach...

Organizacja

W miarę rozwoju miasta reorganizowano również jego walkę czynną z pożarami. Można jednak odnieść wrażenie (będzie pogłębione analizą jednego z dzieł Tuliszkowskiego), że właściwe rozmieszczenie jednostek gaśniczych było zagadnieniem ostatniej troski władz miasta. Problemy w tym zakresie były znaczne, bo zabudowa rosła nie tylko w szerz, ale również wwyż. A gdzieś te coraz dłuższe drabiny, coraz większe sikawki i coraz więcej ludzi i koni należało pomieścić, licząc czas ich dojazdu tak, by miały po co dojeżdżać. W tym aspekcie rozwój straży był zawsze spóźniony co najmniej o pokolenie lub dwa. Myśl, taka jak Tuliszkowskiego, by zadziałać nie reagując, ale wyprzedzając, była raczej obca władzom miasta. Wszystko zresztą zależało od pieniędzy, których nie wystarczało nawet na zaspokojenie potrzeb krzyczących, a co dopiero zamiarów i marzeń...

Właściwa Straż Ogniowa Warszawska, mająca za zadanie walkę z pożarami, dzieliła się w chwili swego powstania na cztery oddziały. I-szy Oddział mieścił się w domu przy ul. Nalewki 3, rozporządzając zrazu drewnianą czatownią, rozebraną w roku 1874 z powodu starości. II-gi Oddział Ratuszowy posiadał od roku 1867 po odbudowaniu spalonego w roku 1863 Ratusza, murowaną, najwyższą w mieście czatownię. III-ci Oddział mieścił się pierwotnie na rogu ulicy Nowy Świat N.6, gdzie w dziedzińcu zbudowano murowaną czatownię. IV-ty Oddział (obecnie V-ty) służył przede wszystkim potrzebom Pragi, i kilkakrotnie zmieniał pomieszczenie, przenosząc się kolejno z drewnianego budynku przy ulicy Petersburskiej do baraków rekruckich przy ulicy Namieśnikowskiej, potem do domów prywatnych przy ulicy Szerokiej, a wreszcie w roku 1878 do specjalnie zbudowanego murowanego gmachu i takiejże czatowni przy ulicy Sprzeczej N.2 (obecnie Marcinkowskiego 2). W roku 1851 utworzono jeszcze jeden oddział Straży Ogniowej i pomieszczono go w koszarach

⁴ Komenda Warszawskiej Straży Ogniowej, *Zarys historii Straży Ogniowej*, s. 13–15.

*Mirowskich przy ul. Chłodnej 3, nadając mu porządkową liczbę IV-go Oddziału Straży w Warszawie, z jednoczesnem przemianowaniem Oddziału Praskiego na V-ty Oddział (...)*⁵.

Zatem było pięć oddziałów, numerowanych cyframi rzymskimi, przy czym starano się, żeby oddział praski „za Wisłą”, zawsze miał numer ostatni. Taki stan trwał aż do wybuchu Wielkiej Wojny. Zauważmy, że ratusz miejski spłonął w 1863 r., w czasie powstania styczniowego, mimo że mieścił się w nim oddział straży pożarnej. Trochę to śmieszne, ale zdarza się. I jest najlepszym dowodem na to, że budynki straży pożarnych powinny podlegać tym samym przepisom przeciwpożarowym, co wszystkie inne. Bo ogień jest bezmyślny, więc wcale nie boi się strażaka.

Ludzie i warunki ich służby

Jak na jednostkę profesjonalną, nominalna służba w warszawskiej straży miała bardzo krótki przebieg, za to niezmiernie intensywny, obfity przy tym w przeżycia traumatyczne – wcale nie związane z pożarami, a z trudami życia koszarowego. Służba, jak to w rosyjskiej armii, zasadniczo polegała na umęczeniu strażaków, przypominając swym przebiegiem coś na kształt pobytu w jednostce karnej.

*W myśl pierwotnej ustawy z r. 1834 przyjmowano do Straży Ogniowej Warszawskiej tylko ochotników na obowiązkowy ośmioletni okres służby z uwolnieniem ich zupełnem od służby wojskowej. Podlegali oni dyscyplinie wojskowej i składali odpowiednią przysięgę. Uczniom kominiarskim przywilej uwolnienia od wojska liczył się dopiero z chwilą dojścia do wieku lat 20, względnie uzyskania stopnia podmajstrzego. Przywilej ten zniesiono dla całej Straży w r. 1867, a od tego czasu Straż rekrutowała się wyłącznie z poborowych, niezupełnie zdolnych do służby frontowej, któremi poprzednio uzupełniano jedynie kadry w razie braku właściwych ochotników. Wreszcie w r. 1873 skasowano wszelkie ulgi wojskowe, a kadry Straży Ogniowej składały się odtąd z ochotników, najmowanych przez Magistrat na określony termin od roku do lat trzech*⁶.

Jak widać, już dawno temu straż pożarną traktowano jako „odpadową” względem wojska. Niestety nie wiemy, jakie ułomności nie kwalifikowały do służby wojskowej, a pozwalały jeździć do pożarów i biegać po tych chybotliwych drabinach na szóste piętra.

Bardzo interesujący jest przedstawiony poniżej przebieg służby, to jest nie tyle sposób wchodzenia na szczeble drabiny awansowej (nie było ich wiele), co jej codzienny rozkład. Dla współczesnych, liczących skrupulatnie swoje nadgodziny służby, czuwania i odpocunku, system ten byłby z pewnością nieakceptowalny.

Wszyscy strażacy, kominiarze i robotnicy kawalerowie byli skoszarowani, żonaci posiadali mieszkania służbowe również w zabudowaniach koszar. Wszyscy strażacy i kominiarze sypiali na łóżkach żelaznych i siennikach wypchanych słomą [podobnie jak podchorążowie Szkoły Głównej Służby Pożarniczej w latach 80–90. XX w. – PR]. Do przechowywania rzeczy posiadali kuferki drewniane. Z biegiem czasu w salach urządzono umywalnie

⁵ Tamże.

⁶ Tamże.

miedziane z kranami z wodą bieżącą i rurami odpływowymi do kanałów dla wody zużytej. Tak więc warunki życia w koszarach Warszawskiej Straży Ogniowej były podobne do warunków życia koszarowego żołnierskiego, aczkolwiek były może nieco bardziej higieniczne.

Urządzenia koszarowe i warunki życia koszarowego posiadały bardzo doniosłe znaczenie dla strażaków i kominiarzy, ponieważ przez cały czas zarządu rosyjskiego warszawskiej straży ogniowej strażacy i kominiarze pełnili służbę codziennie przez całą dobę nie wyłączając niedziel i świąt. Jedynie od czasu do czasu otrzymywali urlopy, których udzielanie było uzależnione od tak zwanego dobrego sprawowania się strażaka i t. p.⁷

Jak widać, służba była męcząca, właściwie nigdy się nie kończyła i nie zaczynała, tylko trwała. Nic zatem dziwnego, że załoga była bardzo skłonna do buntów, strajków i ogólnie krnąbrna. Nic też dziwnego, że sporo czasu w trakcie strażackich zjazdów poświęcano na omawianie skuteczności kar dyscyplinarnych, zasadniczo nie znajdując metod idealnych. Stabilizacji dyscyplinarnej nie sprzyjała znaczna rotacja kadr. Takie zmiany nie były również dobre, aby wytworzyć koleżeńskie relacje między strażakami.

Do 1873 roku łatwiej było o współżycie koleżeńskie, a nawet o przyjaźń pomiędzy strażakami, ponieważ do tego czasu werbowano ochotników i wcielano rekrutów na lat osiem. Po roku 1873 przyjmowano ochotniczo na termin jedno lub trzyletni. Większość strażaków jednak prawie nigdy służby trzyletniej nie odbywała. Zmiany więc zespołu osobowego wszystkich oddziałów, dochodziły do 40–50, a niekiedy 60–70% w ciągu roku, co oczywiście wpływało niekorzystnie na życie się wzajemne towarzyszy pracy. To też zdarzały się często nieporozumienia, kłótnie, nawet bijatyki. Były one zresztą bardzo energicznie zwalczane przez Komendę.

Wszystko to jednak nie miało wpływu ujemnego na pracę służbową i na uspołecznienie strażaków. Donioslejszym i dotkliwszym dla służby był antagonizm i separatyzm pomiędzy oddziałami, również energicznie zwalczany przez Komendę Straży⁸.

W tej sytuacji wiele znaczyły osobowości kadry kierowniczej – wszak skoszarowani spędzali cały czas ze sobą i z dowództwem. Tu nie zanosilo się na nawiązanie jakichś wzajemnych więzi, czegoś w rodzaju braterstwa broni, wszak przeniesiono do tej Straży rosyjskie zwyczaje wojskowe, bezmyślnie wcześniej zaadaptowane z armii pruskiej, gdzie dyscyplina miała jakiś cel. W armii rosyjskiej dyscyplina była jeszcze jedną okazją do tego, by gnębić niżej stojących w hierarchii. Jednocześnie była różnica narodowościowa między dołem a górą. O ile w szeregach służyli Polacy, to w dowództwie byli głównie Rosjanie, co w miarę upływu lat stawało się sprawą pierwszorzędą, wszak dowódca straży dowodził oddziałem ludzi umundurowanych. Nominacje oficerskie strażaków zawodowych były w rosyjskiej administracji kwestią tak wieloszczeblową, że graniczyło z niemożliwością, by przez sito prześliznął się jakiś Polak-ideowiec. Acz bywało, że się prześlizgiwali, tylko jednak do funkcji naczelników oddziałów. Wyżej – nie! Ale i tak pod tym względem było lepiej niż

⁷ E. Boss, *Dzieje Warszawskiej Straży Ogniowej w latach 1836–1936*, Warszawa 1937, s. 19.

⁸ Tamże, s. 29–30.

pod porządkami pruskimi w Poznańskim, gdzie mowy nie było, by jakiś Polak został jakimkolwiek dowódcą.

*Straż Warszawska podporządkowana została zwierzchnictwu Warszawskiego Oberpolicmajstra. Bezpośrednim zarządzającym i dowodzącym całą Strażą był naczelnik Komendy Straży, mianowany przez General-Gubernatora Warszawskiego (pełniącego funkcje najwyższego zarządcy kraju) oraz Dowódcę Warszawskiego Okręgu Wojennego. Pozatem mianowanie komendanta Straży wymagało sankcji cesarskiej*⁹.

W czasie akcji polscy oficerowie pozwalali sobie przechodzić na język polski.

*Widać, że pełniona była ona [służba – PR] tylko pod przymusem. Szczególnie wymowne były masowe ucieczki, które w wypadku nieudania się miały dotkliwie dla dezertorów następstwa, a w pierwszym pięćdziesięcioleciu istnienia Straży wręcz nawet tragiczne. Za pierwszą ucieczkę schwytanemu dezertorowi wymierzano od 50 do 200 różeg lub pędzono go przez szpicruty 100–500 ludzi. Powtórne ucieczki oczywiście karane były jeszcze surowiej. Podobne lub cięższe kary wymierzano za przestępstwa i przewinienia takie, jak drobne kradzieże i upijanie się. Różgi, szpicruty, kije stosowano do początków ósmego dziesiątka ubiegłego wieku. Później kary te zastępowane były stopniowo tygodniami, miesiącami i latami aresztu, więzienia i rot aresztanckich w zależności od rodzaju przestępstwa (...)*¹⁰.

Zatem wśród strażaków zastosowano typowy rosyjski regulamin wojskowy, gdzie dowódca był tyranem, uprawnionym do zabicia żołnierza, gdy miał na to ochotę (bo do tego sprowadzała się kara już 100 różg). W szpalerze ustawiano ludzi z różgami, a delikwenta wożono (bo po kilkudziesięciu różgach mdlał) wzdłuż odpowiednią liczbę razy, co skrupulatnie odliczano. Dopiero pod koniec XIX w. kary te zelżały, prawdopodobnie w ślad za takim też zelżeniem w rosyjskiej armii, gdzie jakoś zrozumiano bezsens hodowania sadystów. Oczywiście nadal nie przystawało to do służby strażackiej, a przy tym angażowało siły nadzoru niewspółmierne do efektów. Można więc powiedzieć, że w czasach rekruckich etos strażacki wśród szeregowych członków Straży nie istniał. Później wcale nie było lepiej, bo uczynienie warunków służby z bezsensownych mało sensownymi nie rozwiązywało przecież żadnych problemów, a nadal premiowało jednostki psychopatyczne.

Niskie uposażenie, brak ubezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków, trudności wysłużenia emerytury i jej bardzo niski wymiar, niebezpieczność służby i fatalne jej następstwa dla zdrowia i życia — wszystko to sprawiało, że Warszawska Straż Ogniowa za czasów rządów rosyjskich nie mogła werbować ani właściwych ludzi, ani na dłuższy okres czasu. A przecież tylko dłuższa służba mogła z nich uczynić materiał prawdziwie wartościowy. Któż więc wstępował do Warszawskiej Straży Ogniowej? Bezrolni i małorolni nie będący w stanie wyżywić się na wsi, rzemieślnicy i robotnicy bezrobotni, a nawet wykolejenci życiowi, którzy nie mogli znaleźć dla siebie miejsca w żadnym zawodzie i w żadnej pracy. Ponieważ Warszawska Straż Ogniowa stale wykazywała braki w stanie osobowym, przeto przyjmowano chętnie wszystkich zgłaszających się bez przeprowadzania jakiegokolwiek selekcji. Nic też dziwnego,

⁹ Tamże, s. 14.

¹⁰ Tamże, s. 38–39.

że większość nowoprzyjętych, nie będąc odpowiednia tak pod względem fizycznym jak i psychicznym, wkrótce zwalniała się lub uciekała z szeregów straży¹¹.

Intensywność zajęć i działań przy pożarach czyniła z tych strażaków, nawet przy tak wielkiej rotacji kadr, najlepiej działającą jednostkę w Królestwie Polskim. Był to powód do zadowolenia ppłk. Łunda, ale warto wiedzieć, że niewielką miał na tym polu konkurencję.

Owo pierwszeństwo jest *de facto* swoistym świadectwem, jak niski ogólnie był poziom strażackich działań w Królestwie, głównie za sprawą krzyczących niedostatków w wyposażeniu. Rację miał Tuliszkowski mówiąc, że zaledwie 8–10% straży pożarnych spełnia wymagania minimalne. Straż z Warszawy spełniała owo minimum z naddatkiem, ale od zachwytów nad tą jednostką powinniśmy być dalecy.

Strażackie ubrania robocze i galowe

Można powiedzieć, że jakość strażackich ubrań, zarówno mundurów galowych, jak i bojowych, była wyższa niż analogicznego wyposażenia z czasów PRL-u. Głównie ze względu na materiał – sukno, a zatem wełna, chroniąca przed zimnem nawet po zmoczeniu, a świetnie zachowująca się w zetknięciu z ogniem.

Do pracy posiadali strażacy kurtki robocze z szarego sukna, kroju mundurowego i spodnie czarne z niebieskimi wypustkami. Następnie czapki belgijski koloru czarnego z lampasami i wypustkami niebieskimi, z daszkami i maleńkimi tarczami, z wyciśniętemu syrenami przypiętymi do runda czapki nad daszkiem. Płaszcze jednorzędowe z guzikami białymi, patkami niebieskimi na kołnierzach i czerwonymi numerami na niebieskich naramiennikach. Buty czarne z długimi cholewami.

Kominiarze natomiast posiadali mundury i kurtki robocze z czarnego sukna, dwurzędowe, z guzikami żółtymi miedzianymi z wyciśniętemi syrenami i z kołnierzami stojącymi. Płaszcze kominiarskie były z czarnego sukna, jednorzędowe. Czapki kominiarzy nosili podobne do czapek strażackich. Buty czarne z długimi cholewami.

Podczas parad i służby oraz przy akcji pożarowej zarówno strażacy, jak kominiarze nosili hełmy mosiężne z herbem miasta, zabezpieczające głowę od oparzeń i obrażeń. Hełmy strażaków na powierzchni miały grzebienie, kominiarzy zaś były bez grzebieni¹².

Poza działaniami bojowymi strażacy musieli dobrze wyglądać, np. na rzecz uroczystości, czy aby zadawać szyku w trakcie wyjść na przepustki lub urlopy. Zatem na czas kontraktu (trzy lata), będącego jednocześnie czasem zużycia (strażak był zobowiązany ciągle chodzić w którymś z rodzajów umundurowania).

(...) wszyscy strażacy posiadali mundury galowe dwurzędowe z czarnego sukna, z wywiniętym kołnierzem, z patkami niebieskimi oraz z niebieskimi naramiennikami znaczone czerwonymi numerami oddziałów i guzikami białymi ołowianymi; spodnie niebieskie¹³.

¹¹ E. Boss, *Dzieje Warszawskiej Straży Ogniowej...*, s. 30.

¹² Tamże, s. 20.

¹³ Tamże.

Mundury kadry oficerskiej były bardziej zbliżone w kroju do mundurów armii rosyjskiej, tylko jakby z epoki wcześniejszej. Zresztą umundurowanie wyjściowe straży pożarnych, zwłaszcza ochotniczych, na ogół pochodzące z demobilu wojskowego, zawsze miało w sobie – za sprawą przestarzałości, tudzież dowolności zdobień czy zapatrywań indywidualnych na określone fasony – coś operetkowego.

Potencjał bojowy straży w 1915 r.

Jakiż był skład – przynajmniej nominalny – WSO w 1915 r., gdy Wielka Wojna na terenie Królestwa Polskiego znajdowała się w apogeum? Źródła określają ten stan następująco.

Straż Ogniowa powiększyła się także liczebnie do 451 ludzi, w tej liczbie 313 strażaków i 138 kominiarzy. Na utrzymanie Warszawskiej Straży Ogniowej i na jej potrzeby asygnował Magistrat rocznie w ostatnich latach rosyjskich rządów sumę około 175.000 rubli¹⁴.

Według innego źródła w 1905 r. stan sił i uposażenie był następujący (zob. tabela 1). Niewielkie różnice z powyższym mogą wynikać z różnego odczytania tych samych danych przez autorów, np. pomylenia ręcznie pisanych cyfr 3, 5 i 7)¹⁵.

Tabela 1. Siły i uposażenie WSO w 1905 r.

Stanowisko	Liczba etatów	Uposażenie miesięczne na etat w rublach srebrnych
Naczelnik	1	250 + mieszkanie, opał, światło (dalej jako „+moś”)
Brandmajster	5	75 +moś
Sekretarz komendy	1	50 +moś
Lekarz	1	37,5
Weterynarz	1	37,5
Strażak	317	Feldfebel (wachmistrz) – 35 +moś Podoficer etatowy – 25 +moś Strażak kat. I – 20 Strażak kat. II – 15 Strażak kat. III – 12 (wszyscy strażacy skoszarowani, jeśli żonaci – mieszkania służbowe)
Kominiarz	142	Starszy majster kominiarski – 62,5 +moś Młodszy majster kominiarski – 37,5–50 +moś Starszy robotnik kominiarski – 25 +moś Młodszy robotnik kominiarski – 18–20 +moś Uczeń kominiarski – 8–15 + skoszarowanie
Robotnik do oczyszczania i oświetlania ulic	15	
Razem etatów	463	

Źródło: Komenda Warszawskiej Straży Ogniowej, *Zarys historii Straży Ogniowej...*, s. 18.

¹⁴ Komenda Warszawskiej Straży Ogniowej, *Zarys historii Straży Ogniowej...*, s. 13–15.

¹⁵ Tamże, s. 18 (stan osobowy w 1905 r. i uposażenie).

Uposażenie mogło być podwyższone nawet o 100% w odniesieniu do każdego ze stanowisk przez dotacje z towarzystw ubezpieczeniowych.

Z powyższego zestawienia wynika, że uposażenie kominiarzy było wyższe niż strażaków. Istniały ku temu trzy powody. Po pierwsze, oni najczęściej zarabiali na utrzymanie straży, poprzez wykonywanie czynności płatnych. Po drugie, jako wykonujący zawód wymagający specjalnych kwalifikacji w porównaniu ze zwykłymi strażakami z naboru, byli wiązani kontraktami na dłużej. Po trzecie, w czasie pożarów wykonywali najbardziej niebezpieczne czynności, np. topornicy chodzili po dachach i wchodziłi do płonących pomieszczeń używając: drabin (np. wchodząc na drabinę wieloprzęsłową, nieśli ze sobą przęsła drabin składanych).

Stan sprzętu w zestawieniu przedstawionym w tabeli 2 obejmuje wyposażenie wszystkich 5 oddziałów w roku 1915, nie licząc pomniejszego osprzętu (lin, kagańców, pochodni, wiader itp.)¹⁶.

Wyposażenie w maski ochronne przedstawiało się nader skromnie – łącznie 6 sztuk, przy równomiernym rozdzieleniu ich na oddziały nie było innej możliwości niż wpuszczania strażaka w dym samego, w dodatku w ekwipunku dodatkowym, w którym niewiele widział. Być może to było pierwotną przyczyną wieloletniego zwyczaju w warszawskich strażach, aż do końca XX w., by w dym wchodzić bez żadnej ochrony.

Można odnieść wrażenie, że od ludzi, których zawsze dawało się pozyskać i doszkolić (rotacja roczna sięgała 50%), ważniejsze były konie. Nie żałowano na nie pieniędzy, bo też musiały być silne, wytrzymałe i inteligentne, a przy tym – co było ważne już wyłącznie ze względów estetycznych – odpowiedniej maści (i jest to chyba jedyna fanaberia, na jaką sobie pozwolono, zgodnie zresztą ze zwyczajami wojskowymi). Były to naprawdę drogie konie – jeden kosztował tyle, co roczne pobory podoficera straży.

Komenda Straży płaciła za jednego konia do 285 rubli srebrnych. Kupna koni dokonywano bądź sposobem gospodarczym bądź w drodze licytacji. (...) W 1913 r. tabor konny składał się ze 193 koni. Konie strażackie były ćwiczone i przygotowywane do wyjazdów i akcji ratowniczej. Na dźwięk dzwonka alarmowego wybiegały ze stajni, same stawały przy wózkach i oczekiwały na zaprząg.

*Każdy oddział posiadał konie odrębnej barwy: Oddział I – kare, II – laciaste, siwe, III – gniade, IV – skaro-gniade, oraz V – kasztanowate*¹⁷.

Tak przedstawiały się siły i środki Warszawskiej Straży Ogniowej tuż przed jej ewakuacją, związaną z działaniami wojennymi. Przystąpmy zatem do ich omówienia.

¹⁶ E. Boss, *Dzieje Warszawskiej Straży Ogniowej...*, Warszawa 1937, s. 33.

¹⁷ Tamże, s. 34–35.

Tabela 2. Środki WSO w 1915 r.

Nazwa sprzętu	Stan ilościowy [szt.]	Uwagi
Omnibusy	11	Do przewozu ludzi, tzw. „linijki”
Wozy rekwizytowe	6	Do przewozu narzędzi (drabin, węży itd.)
Pompy 4-kołowe wielkie	15	Sikawki napędzanie ręcznie
Pompy małe	2	Sikawki napędzane ręcznie
Beczki pożarowe 4-kołowe	30	
Beczki 2-kołowych	3	
Beczki 4-kołowych do polewania ulic	10	
Maszyny parowe i wózki do nich	5 + 5	Sikawki parowe o mocy od 12 do 20 koni mechanicznych, wózki służyły do przewozu sprzętu i ludzi
Drabiny mechaniczne „Magirusa”	2	
Drabiny o 3 kolanach	11	W innym miejscu są to 2 kolana, są to drabiny dwóch systemów, w tym „wynalazku braci Boczkowskich w Lublinie, bardzo lekkiej i sięgającej IV piętra”
Drabiny hakowe	10	
Drabiny różne	15	
Maski „Koeniga”	5	
Maski francuskie	1	
Płótna ratunkowe	5	Do ewakuacji metoda zjeżdżania, długości 30–45 arszynów
Worki ratunkowe	4	Jw.
Rury hydrantowe	12	Chodzi o stojaki hydrantowe
Topory	282	

Źródło: E. Boss, *Dzieje Warszawskiej Straży Ogniowej w latach 1836–1936*, Warszawa 1937, s. 33.

Ewakuacja Rosjan z Królestwa Polskiego w lipcu 1915 r. i jej skutki

Przełamanie frontu Rosjan pod Gorlicami nie było niczym niezwykłym w realiach Wielkiej Wojny, która na wszystkich frontach przybrała wymiar stacjonarny. Niemcy Francuzom i Anglikom, i na odwrót, bez ustanku przełamywali umocnienia, jednak tylko pierwsze linie. Przy obronie urzutowanej w głąb na kilkanaście lub kilkadziesiąt kilometrów zwycięstwa taktyczne nic nie dawały, bo zwycięskie wojsko, gdy tylko wychodziło z osłony walca ogniowego własnej artylerii, trafiało pod walec ogniowy artylerii wroga, znajdującej się poza zasięgiem ognia kontrbaterijnego.

Zdobycwcom szybko kończyła się amunicja, a dostarczenie jej nie było możliwe bez obezwładnienia punktów ogniowych przeciwnika, a tego nie dawało się zrobić bez podciągnięcia artylerii. Tej zaś nie dawało się podciągnąć, bo zryty walkami teren na to nie pozwalał.

Okazało się, że rosyjska obrona nie ma żadnej głębi operacyjnej, nie tylko w sensie umocnień, na które dałoby się odskoczyć bez zamiany porażki taktycznej w strategiczną, ale nawet odwodów, jakimi można by zlikwidować wyłom. Nie było nawet planów na taką okoliczność. Zabrakło wojsk, by bronić granicy przedłużonej włamaniami wroga. Tak oto z rosyjskiego punktu widzenia Polska, wbita klinem w posiadłości niemieckie i austriackie, była pułapką dla rosyjskich armii. Bo też istotnie – na terenie Królestwa mogli się zaopatrywać wyłącznie w paszę, żywność i mundury. Cała produkcja zbrojeniowa była zlokalizowana w głębi Rosji. Armie rosyjskie walczyłyby czas jakiś (wszak teren był duży), ale jednocześnie zużyłyby materiały wojenne bez możliwości ich uzupełnienia oraz dostarczenia wsparcia, w postaci sił żywych. Przeciwnik w koncentrycznych atakach urządziłby Rosjanom to, co zrobił Francuzom w 1872 r., pod Sedanem. Byłby to koniec Wielkiej Wojny – po takich stratach Rosja by się nie podniosła, a uwolnione z tego frontu dywizje niemieckie i austro-węgierskie zaważyłyby z pewnością na działaniach na froncie zachodnim. Dowództwo rosyjskie wydało więc rozkazy o powszechnej ewakuacji wojsk, instytucji, urzędników i wszelkich zasobów.

Ucieczka Rosjan

Częściowa ewakuacja Rosjan dokonała się już w ciągu 1914 roku. O Warszawie tego czasu, podobnie jak o Radomiu, Kielcach i Lublinie, można mówić jako o mieście zaplecza frontowego, z wszelkimi tego konsekwencjami. Latem 1915 r., w wyniku gorlickiej klęski, zaczęła się ewakuacja totalna wojsk, urzędów, instytucji i zasobów. W jej końcowym etapie niszczone wszystko, czego nie można było zabrać. Ewakuowano też instytucje, nad którymi sprawowała nadzór władczy administracja zaborcza, jak banki i firmy ubezpieczeniowe. Nie chodziło o same tylko aktywa, ale również o personel i jego rodziny (szczególnie rosyjskie, ale Polacy również dostawali nakazy wyjazdu).

Na tej zasadzie m.in. ewakuowano dwie instytucje interesujące nas ze względu na związek z osobą Józefa Tuliszkowskiego. Pierwszą była Instytucja Ubezpieczeń Wzajemnych od Ognia, czyli pierwotny pracodawca Bolesława Chomicza¹⁸, drugą – Straż Ogniowa m.st. Warszawy. Obydwie firmy są dla nas niezmiernie ważne, gdyż to głównie dzięki ich skutecznym działaniom pod okupacją niemiecką, a właściwie dzięki ich szefom, nowa władza zaborcza zgodziła się na nadanie polskiej ochronie przeciwpożarowej należytej jakości poprzez powołanie Związku Floriańskiego.

¹⁸ Więcej zob. P. Rochala, *Bolesław Chomicz i jego czasy. Biografia strażacka*, Warszawa 2019, s. 90–105.

Pewne jest, że gdyby źle działały, administracja niemiecka nie poszłaby na żadne ustępstwa albo zaprowadziłaby własne porządki.

Samoorganizacja Polaków w obliczu krachu panowania rosyjskiego

Polacy nie czekali biernie na spakowanie się Rosjan. Nie mieli zamiaru utrudniać im wyjazdu, ale coraz śmielej sprzeciwiali się ogołoceniu kraju z dóbr, bez których ten funkcjonować nie mógł. Działali na granicy prawa, narażając się także na zarzut zdrady. Każdy rosyjski urzędnik cywilny – a zwłaszcza wojskowy – mógł z łatwością udowodnić, że przedsięwzięte przez Polaków środki służą wzmocnieniu przyszęłego okupanta, tj. Niemców. Z drugiej strony Polacy mogli używać argumentów, że administracja rosyjska ich porzuca, a zatem zobowiązania Polaków w pierwszej mierze muszą być ukierunkowane na ich własne bezpieczeństwo. Zatem fakt opuszczenia kraju przez wojsko nie może równać się jego spustoszeniu jak przez wrogą armię, a takie były zakusy. Innymi słowy, muszą Rosjanie pozostawić tyle zasobów, by w opuszczonym, a już w częściowo spustoszonej działaniami wojennymi Królestwie Polskim dało się żyć. Zatem muszą pozostać na miejscu zapasy zbóż, konie, bydło, maszyny i wyposażenie szeregu zakładów przemysłowych, niezwiązanych bezpośrednio z produkcją wojenną (tych ostatnich było bardzo mało, bo w czasie wojny wszystko da się podciągnąć pod produkcję militarną).

Chodziło również o to, by społeczeństwu pozbawionemu nagle nadzoru żandarmarii rosyjskiej zapewnić niezbędne minimum bezpieczeństwa fizycznego (kryminalnego). Nie wiadomo było, jak się zachowa okupacyjna armia niemiecka, ale nim ona zaczęła zarządzać terenem zdobytym, z całą pewnością objawią się różni bandyci. Warszawa była wówczas centrum handlu ludźmi (tj. kobietami), na czele którego stało Warszawskie Towarzystwo Wzajemnej Pomocy, czyli silna mafia żydowska, zapewniająca stały dopływ kobiet i dziewcząt do domów publicznych obu Ameryk, zwłaszcza do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i do Argentyny¹⁹. Na prowincji mogli się ujawnić różni regionalni watażkowie, a pospólstwo po prostu wyjść na ulice i pod dowolnym pretekstem (albo i bez) spustoszyć sklepy, jak to bywało w 1905 roku.

Wytargowanie od Rosjan gwarancji, że nie wysadzą w powietrze zakładów gazowniczych, stacji pomp wody pitnej, młynów czy mostów mogło przesądzić o jakości życia mieszkańców Warszawy, w tym spędzenia najbliższej zimy w stanie

¹⁹ W dziwnie pozytywnym, a nawet romantycznym świetle przedstawiono tę organizację w dwóch mini serialach telewizyjnych: *Król z 2020 r.* i *Polowanie na cmy z 2023 r.*, co jest mitologizowaniem przestępczego półświatka. Warszawskie Towarzystwo Wzajemnej Pomocy działało kilkadziesiąt lat, zapewniając ogromne dochody jego członkom i jednocześnie przyczyniając się do zrujnowania życia kilkudziesięciu tysięcy kobiet. Stałą praktyką było zawarcie przez przystojnego, dostatnio ubranego młodzieńca z zagranicy ślubu przed rabinem z jakąś biedną, ale koniecznie ładną i pracowitą dziewczyną, po czym już po podróży za ocean sprzedają żony do domu publicznego. Nie udało się całkiem zlikwidować tej mafii, chociaż polska administracja odniosła w tym zakresie dwa znaczące sukcesy (niestety, obydwie bardzo późno). Pierwszym, ważniejszym, była konsekwentna akcja komisarz Stanisławy Paleolog i jej policjantek i agentek, która pozbawiła warszawską mafię możliwości swobodnego działania (w USA to się nie powiodło), drugim pozbawienie przez rząd Argentyny, na żądanie polskiej dyplomacji, możliwości używania przez argentyńską filię mafii nazwy „Warszawskie”.

co prawda ubogim, ale znośnym. Jako alternatywa jawiły się chłód, głód i choroby epidemiczne. Ostatecznie Rosjanie mosty wysadzili, choć nie całkiem skutecznie.

Jest więc za co podziwiać ówczesnych Polaków, którzy w takiej chwili pokazali się z najlepszej strony, nie tylko Rosjan prosząc, ale też od nich żądając, zresztą przy pomocy instytucji powołanej na samym początku wojny: Centralnego Komitetu Opiekuńczego. Jego początkowym celem była rejestracja zabitych i rannych Polaków oraz niesienie pomocy wdowom i sierotom. CKO rozrastał się w miarę upływu czasu w ludzi i kompetencje, a teraz, jak się okazało, śmiało występował w roli reprezentacji społecznej o niektórych funkcjach rządu, zarówno wobec zaborcy ustępującego, jak i nadchodzącego. Oczywiście w Rosji wszystko można było załatwić w zamian za korzyści materialne, więc i tu bez takowych się nie obyło: odpowiedniej wysokości argumentacja deaktualizowała nawet najbardziej kluczowe kwestie militarne – poza mostami.

Jeszcze Rosjanie na dobre nie wyszli z Warszawy, a już Polacy przejmowali w zarząd „osierocone” ośrodki władzy, unikając tym samym ich spustoszenia przez żadne dóbr tłumpy marginesu społecznego. Działanie było ryzykownym również z tego względu, że nowe władze okupacyjne wcale nie musiały zaakceptować polskich rozwiązań, za to forsować własne.

Generalnie Polacy nie usuwali urzędów i instytucji – odtwarzali je bądź w zachowanych zajmowali opuszczone stanowiska. Nie działo się to samowolnie. Powołana w tym celu polska instytucja koordynująca wzięła na siebie obowiązki władzy wykonawczej, czyli rządu. Z jednej strony chodziło o to, by uniknąć anarchii, by odchodzącym Rosjanom miał kto pokwitować odbiór pozostawionych urzędów i nieruchomości, jakby odchodzili na chwilę, a z drugiej, by wobec Niemców wytworzyć serię faktów dokonanych, których cofnięcie równałoby się dezorganizacji kraju. Miało też znaczenie wywarcie na Niemcach wrażenia kompletności władzy, ładu i porządku, co oznaczałoby dla nich przejście zdobytego kraju z marszu i ciągnięcie z niego zwyczajnych pożytków pod postacią prostego wydawania rozkazów, które ma kto (siły) i czym (środki) realizować.

Na początku sierpnia 1915 r. Rosjanie ostatecznie opuścili Warszawę – jak się potem okazało, na bardzo długo, bo aż do stycznia 1945 roku. Niemcy zajęli Warszawę, Austriacy – Lublin, dzieląc Królestwo Polskie na dwie strefy okupacyjne. Wprowadzili administrację wojskową.

W warszawskiej części generalnym gubernatorem został generał Hans Hartvig von Bessler, frontowy dowódca niemiecki, specjalista od zdobywania twierdz. Miał się okazać człowiekiem bardziej życzliwym Polakom, niż tego od niego wymagali jego zwierzchnicy, czego znów Polacy nie postrzegali jako szczególnej łagodności, dopatrując się koniunkturalnego wyrachowania i surowości iście pruskiej, ale też poczucia sprawiedliwości.

Ofensywa państw centralnych na froncie wschodnim trwała nadal, więc na razie nowych okupantów obchodziło głównie zaopatrzenie wojsk na przesuwającym się

froncie. Przez kilka pierwszych tygodni po prostu zaakceptowali zastane porządki, na później odkładając zaprowadzenie własnych. W końcu października 1915 r. front ustabilizował się na linii miast: Baranowicze, Pińsk, Dubno, Kołomyja. Tym samym nie tylko całe Królestwo Kongresowe, ale również znaczna część dawnej Rzeczypospolitej znalazły się we władaniu Niemiec i Austro-Węgier.

Okazało się, że nowy okupant nie ma pretensji o to, że Polacy chcą być w Polsce Polakami, szczególnie w Warszawie – ważnym węźle kolejowym i drogowym, stolicy nie tylko podbitego Królestwa, ale też miasta stołecznego upadłej Rzeczypospolitej. General-gubernator szybko wykonał kilka gestów, mających świadczyć o tym, że niemiecka administracja okupacyjna będzie lepsza od dotychczasowej, rosyjskiej administracji zaborczej: pozwolił znieść rosyjskojęzyczne nazwy ulic (niektóre przy okazji powróciły do nazw historycznych), przywrócił działanie Uniwersytetu Warszawskiego i powołał do działania Politechnikę Warszawską, która na czas działań wojennych zamknęła podwoje. Dalej nie tylko pozwolił na zakładanie szkół podstawowych z polskim językiem wykładowym, ale nawet zaprowadził w tym zakresie obowiązek szkolny!

Aby nie robić sobie zbędnego zamieszania (w gruncie rzeczy nikt nie mógł przewidzieć, jak Wielka Wojna się rozwinie), okupant zachował dotychczasowe prawo rosyjskie i działalność instytucji, tudzież – a to już tymczasowo – pieniądź, nie ingerując w wolę Polaków, jak sobie z tym radzić, poza tym, że mieli sobie radzić dobrze i bardzo dobrze. Nie uszło jednak uwadze miejscowych, że niemal każdy polski urzędnik mający do wykonania jakąś władzę jest jednocześnie zakładnikiem własnych obowiązków, gdyż o ile do obsady stanowisk Niemcy wtrącają się mniej niż to robili Rosjanie, to ze skuteczności działania rozliczają na sposób iście okupacyjny, np. wtrącając do więzienia gdzieś na terenie Niemiec, biorąc za sabotaż nawet zwyczajną nieudolność. I że jest to jednoosobowa odpowiedzialność danego prezesa, prezydenta czy burmistrza.

Oczywiście chodziło o jak najskuteczniejsze wsparcie wysiłku zbrojnego i gospodarczego Niemiec i Austrii, to jest nie tylko wykonywanie pracy, ale też sprawne dostawy kontyngentów żywnościowych i materiałowych, bezwzględnie egzekwowane. Niemniej Prusacy doskonale zdawali sobie sprawę, że aby kraj nie uległ krachowi gospodarczemu, kiedy nie mieliby z tego dosłownie nic, tylko ciężar do utrzymania, muszą swobodnie działać banki i ubezpieczenia. W tej sytuacji nie zlikwidowali trwale żadnej zastanej w zajęтым Królestwie Polskim instytucji bankowej czy ubezpieczeniowej (zresztą za pierwszej okupacji pruskiej w Warszawie, ponad 100 lat wcześniej, zaprowadzono pośród nowych porządków pruskie prawo bankowe i ubezpieczeniowe, a polska szlachta zaciągała kredyty pod zastaw majątków i całkiem dobrze bawiła się na zgłiszczach Ojczyzny).

Jedynymi poważnymi zmianami w porównaniu do porządków rosyjskich była z czasem zamiana rubli na marki, tzw. polskie, oraz ogłaszanie nowych praw we własnym dzienniku urzędowym, tzw. *Verordungs Blatt*. Ale też administracja okupacyjna miała własne subtelności.

W jaki sposób wyglądała w praktyce pełnienia przez Polaków funkcji kierowniczych, możemy poznać na przykładzie znanego nam Bolesława Chomicza i jego niespodziewanego awansu na szefa największej firm z ubezpieczeniowych, którą ewakuowano przecież w znacznej części kard i zasobów. Władze okupacyjne powołały Chomicza na prezesa tego, co pozostało z firmy, z której w czasie rewolucji 1905–1906, ze względu na strajkowy upór w obronie języka polskiego, usunięto go z wilczym biletem z posady kierownika placówki w Janowie Podlaskim. Po 11 latach wrócił na najwyższe w niej stanowisko, mianowany przez Centralny Komitet Obywatelski (Chomicz wspomina w pamiętnikach o Radzie Głównej Opiekuńczej), tj. instytucję o charakterze rządu. Dotychczasowe władze instytucji ubezpieczeniowej, akta i aktywa w wysokości niemal 11,5 mln rubli ewakuowano do Moskwy, wraz z częścią urzędników pochodzenia rosyjskiego i polskich. Straty personalne nie powinny być w tym aspekcie kluczowe, teoretycznie firma po niewielkich uzupełnieniach mogła wznowić działalność ubezpieczeniową, niemniej w praktyce pracy do wykonania był ogrom.

Pracę wykonano, ale nie od razu, bo powołaną do życia w dniu 20 sierpnia 1915 r. przez polskie, samozwańcze ciało zarządzające instytucję ubezpieczeniową Niemcy rozwiązali, podobnie jak owo ciało²⁰. Jednak wskrzesili ją po kilku następnych tygodniach, przy tym – tak samo, jak zdecydował wcześniej Centralny Komitet Obywatelski – prezesem ustanowili Bolesława Chomicza. Z ich punktu widzenia Chomicz posiadał tę zaletę, że doskonale mówił po niemiecku, świetnie znał się też na niemieckich ubezpieczeniach.

Chomiczowi zależało jednak na czymś innym, niż na prostym mianowaniu na kogoś w rodzaju wielkorządcy firmy. Chciał, by za tym pojawiły się rozwiązania, ustanawiające bufor ochronny między nim a okupantami, czego w ustawie rosyjskiej nie było (generał-gubernator rosyjski mógł po prostu wtrącać się w działalność prezesa firmy), a co powinno istnieć w każdej spółce kapitałowej. Mianowicie chciał rady nadzorczej. Wiedział też, że tylko tyle zyska, ile od razu utarguje, bo właśnie ten jeden targ będzie miał moc prawa stanowionego – żaden niemiecki urzędnik nie będzie potem wnikał, co i dlaczego się działo, tylko będzie czytał, jak to ogłoszono w niemieckim dzienniku prawodawczym. Szczegółowe informacje o tym, jak wygrano tę bitwę o normalność, zachowały się tylko we wspomnieniach Chomicza.

(...) po trzech dniach ujrzałem w Verordungs Blatt nominację wyłącznie mojej osoby bez najmniejszej wzmianki o Radzie Nadzorczej. Rozumiałem dobrze, co to znaczy: wolą mieć mnie jednego w swej dyspozycji, jako uległego dla różnych ostrych zarządzeń a w razie uchylenia się od przyjęcia obowiązków – wywiezienie w głąb Niemiec, jak to uczynili z paroma innymi przedstawicielami społeczeństwa, którzy odmówili przyjęcia obowiązków prezydenta miasta lub burmistrza. (...) bez namysłu dłuższego wystosowałem od siebie na ręce hr. Hutten Czapskiego pismo z kategorycznym oświadczeniem, że pomimo już ogłoszonej

²⁰ Działalność Instytucji od 1915 do 1920 r., „Przewodnik Ubezpieczeniowy” 1922, nr 8–10, s. 120.

nominacji w *Verordungs Blatt* – nie przyjmę jednoosobowo tych obowiązków, zanim nie będzie ogłoszona nominacja składu Rady Nadzorczej.

W 2–3 dni później dostałem telefonicznie wezwanie od Niemców przybycia do Zarządu Cywilnego Gubernatorstwa i oczywiście domyśliłem się, co się święci.

Ponieważ Chomicz nie ułakł się stroszenia wąsów i groźnego lypania okiem, i nadal obstawał przy własnej dymisji, usłyszał.

„My Was Polaków nie rozumiemy. „Ja proponuję Panu lepszą formę rządzenia, a Pan chce rady nad sobą, to Pan będzie ją miał – ukaże się jej nominacja w *Verordungs Blatt*”. (Cały ten nasz dialog był stenografowany przez siedzącą obok stenotypistkę).

Zajście to utkwilo mi dotychczas świeżo pamięci i miało dla dalszego ugruntowania podstaw Instytucji zbawienne znaczenie: pozbyłem się wglądu okupanta wewnętrzne sprawy polskiej organizacji aparatu, ocalilem jej finanse od zagarnięcia przez okupanta, a co najglówniejsze miałem całkowicie wolną rękę w doborze personelu z Polaków wyłącznie złożonego²¹.

Zajście to sprawiło również, że pozycja Chomicza, w porównaniu do innych urzędników mianowanych z łaski nowego okupanta, była bardzo silna, bo jeśli jakiś Niemiec usiłował wyrzucić na nim własną wolę, Chomicz zasłania się radą nadzorczą. A żeby wyrzucić nacisk na ową radę, należało ją zebrać, ta musiała się zastanowić, a składała się z ludzi bardzo ustosunkowanych...

Miał jeszcze Bolesław Chomicz różne przygody z okupacyjną administracją niemiecką, ale generalnie rzecz biorąc, Prusacy szanowali go i pozwalali na działanie. Już w styczniu 1916 r. wznowili w Kongresówce aktywność taksatorzy, co oznaczało, że polskie ubezpieczenia znów działają²².

Przymusowa ewakuacja Warszawskiej Straży Ogniowej

Podobnie jak z ubezpieczeniami miały się sprawy na polu strażackim, jedynie przebieg działań i podejmowanie decyzji były gwałtowniejsze, bo czynione pod presją pożarów.

Straż Ogniowa Warszawska jako organizacja bezpieczeństwa publicznego podlegała zarządowi policji i była ściśle z organami policji zespolona. To też jak policję, tak i straż ogniową władze rosyjskie postanowiły ewakuować. Decyzję tę i częściowe jej wykonanie władze przeprowadziły bez porozumienia z Wojennym Komendantem Warszawy Daniłowem, który na interwencję Komitetu Obywatelskiego m. Warszawy w sprawie pozostawienia Straży w Warszawie, odpowiedział, że zarządzeń ewakuacyjnych co do Straży nie wydawał, przeciwnie, jest zdania, że tak wielkie miasto w takiej chwili nie może się zostać bez Straży i obiecał zarządzenia ewakuacyjne cofnąć²³.

²¹ B. Chomicz, *Garść wspomnień ...*, cz. I, „Zeszyty Historyczne ZOŚP RP” 1996, t. V, s. 253–254.

²² Więcej zob. P. Rochala, *Bolesław Chomicz i jego czasy. Biografia strażacka*, Warszawa 2019, s. 102–106.

²³ E. Boss, *Dzieje Warszawskiej Straży Ogniowej w latach 1836–1936...*, s. 42.

Powiedzmy jasno: nie cofnął.

Wycofując się władze administracyjne i wojsko zrabowały i wywiozły z miasta znaczną część narzędzi ogniowych i koni, oraz przymusiły do wyjazdu, z tytułu przynależności do wojska, wszystkich oficerów i duży zespół ludzi wyćwiczonych w pożarnictwie. Jeden z oddziałów (III) musiał opuścić Warszawę z całym taborem i w pełnym składzie. (...) z 400 prawie szeregowców pozostało zaledwie osmdziesięciu kilku, a Straż uległa zupełnej dezorganizacji. Wywiezione zostały również wszystkie nowe węże, zapasy uzbrojenia, umundurowania, uprząży i t.p.²⁴.

Jak w innych urzędach i instytucjach, tak również w magistracie miejskim i straży pożarnej Centralny Komitet Obywatelski zaprowadzał własne porządki. Działano w pośpiechu, by nie pozostawić pola do inicjatyw i manewrów Prusakom.

W dniu 26 lipca 1915 r. przejął Straż Ogniową w stanie zupełnej dezorganizacji Komitet Obywatelski, a utworzona z łona Komitetu Sekcja Straży Ogniowej, w składzie pp. St. Bruna, K. Życkiego i St. Popowskiego, przy współudziale inż. St. Szymanowskiego, który przyjął na siebie czasowo obowiązki Komendanta Straży, zajęła się energicznie wyszukiwaniem nowych sił kierowniczych oraz werbunkiem strażaków i wywiązała się ze swego zadania w krótkim stosunkowo czasie²⁵.

Owa Sekcja Straży Ogniowej zastąpiła w działaniu ewakuowaną komórkę magistratu, zajmującą się nadzorem Straży, rozliczaniem budżetu, a także pełniące częściowo rolę biura ds. kadr. Sekcja wspomagała komendanta (naczelnika) również w sprawach kwatermistrzowskich. Tym samym komendant mógł się skupić na sprawach merytorycznych. Sekcja szukała i – trzeba powiedzieć – znalazła. Trafiła przy tym, jak mogła najlepiej.

Tuliszkowski Komendantem WSO

Już w dniu 1 sierpnia powierzono kierownictwo Straży p. inż. Józefowi Tuliszkowskiemu, jako Komendantowi, na Kapitanów oddziałów zaangażowano, prócz p. Tadeusza Rychtera, który czasowo prowadził bezinteresownie Oddział II, do Oddziału I–p. Władysława Malcza, III–p. Adolfa Kubaszewskiego, IV–p. Edwarda Nebela, V–p. Jana Janowskiego. Ustalono preliminarz budżetu, przewidujący wydatki na sumę 31.711 rb. miesięcznie, opracowano projekt kontraktu z strażakami, zatwierdzono umundurowanie dla komendanta, kapitanów straży it.d.²⁶.

Te skromne słowa kryją nawał pracy organizacyjnej, który koniecznie trzeba uwidocznić.

Spolszczenie WSO

Spolszczenie nie wynikało z samego tylko ubytku Rosjan. Usuwano również pozostałości po nich. Przede wszystkim spolszczono nazwy funkcji. Zamiast naczelnika

²⁴ Komenda Warszawskiej Straży Ogniowej, *Zarys historii Straży Ogniowej...*, s. 15

²⁵ Tamże, s. 18.

²⁶ Tamże.

był komendant, zamiast brandmajstrów – kapitanowie straży. Uczyniono też coś naprawdę łatwego, a koniecznego. Skoro mundury zarządzającej kadry strażackiej różniły się od mundurów strażaków, będąc w istocie – jak można wnosić z kroju – mundurami proveniencji rosyjskich oficerów kawalerii, to nic nie stało na przeszkodzie, by z tym wzorem zerwać, a zaproponować własny. Coś takiego było z pewnością bardziej do przyjęcia dla nowego okupanta, niż mundur wrogiej armii, więc sam pomysł przyjęto z zadowoleniem.

Jednak to nie kwestie mundurów miały decydować o tym, czy Straż Ogniowa m. st. Warszawy uchowa się pod nowym zarządem, czy też będzie zupełnie nową jednostką z importu niemieckiego bądź z zarządem, złożonym z jakichś polskojęzycznych (lub nawet nie) Niemców. Polscy strażacy musieli wykazać się tym, czego się od strażaków wymaga, tj. profesjonalizmem. Szybkie uzupełnienie stanów ludzkich, oprócz oczywistej sprawy zapewnienia właściwej obsługi pożaru, miało jeszcze jedną przyczynę. Doświadczeni ludzie wiedzieli, że fakty dokonane bywają akceptowane, ale bardzo trudno potem je rozwinąć w coś więcej. Więc jaką straż się odbuduje, nim Niemcy wejdą, taką ona na jakiś czas pozostanie.

Luki sprzętowe łatano, jak się dało. Stany ludzkie uzupełniono całkiem sprawnie, gdyż przez poprzednie lata przewinęło się przez Straż mnóstwo ludzi. Wystarczyło ogłosić nabory, co w deficycie pracy powodowanym wojną musiało trafić na pozytywny odzew. Służbę uczyniono bardzo elastyczną, z możliwością obopólnego wypowiedzenia umowy w ciągu dwóch tygodni. Tym prostym sposobem załatwiono sprawy, którym nie mogła sprostać najrozsza rosyjska dyscyplina. Co bystrzejszych spośród tych, co uchowali się przed ewakuacją, zrobiono podoficerami. Natomiast stan Oddziału III, który został ewakuowany w całości, odtworzono w sposób najprostszy z możliwych.

Pomocą w trudnej sytuacji stała się częściowo Straż fabryczna z Żyrardowa, która uchodząc przed Niemcami, przybyła w połowie lipca 1915r. do Warszawy i objęła ogołocony z ludzi i narzędzi Oddział III na Nowym Świecie. Naczelnik tej straży A. Kubaszewski i 27 członków z pomiędzy 30 przybyłych nie powrócili już do Żyrardowa, lecz pozostali w Straży Warszawskiej²⁷.

Była to jednostka dobrze wyposażona, kompletna, zgrana i świetnie wyszkolona, a co najważniejsze, o bardzo wysokim morale (co, przyznać trzeba, nigdy nie było mocną stroną większości warszawskich strażaków).

Najtrudniejsza sytuacja dotyczyła koni. Choć we wspomnieniach ich brak nie figuruje jako poważny problem, to jednak musiał nim być, skoro także armie stron wojujących potrzebowały mnóstwa koni.

Tak więc w kilka dni udało się załatać najbardziej ziejące dziury, zapewniając stany minimalne oddziałów – wszak nawet żyrardowska straż liczyła zaledwie

²⁷ Tamże, s. 19.

30 osób, a przecież obsadzała oddział o dużym obszarze działania, wcześniej załadowany przez nie mniej niż 80 osób. Ważne było, żeby reagować na alarmy, przecież nie wszystkie pożary były duże, nie wymagały maksimum etatowego. A przy tych większych należało po prostu komasować szczupłe siły, co wymagało współpracy między oddziałami. W takich przypadkach najczęściej zależało od dowództwa na miejscu akcji. Tu jednak był najmocniejszy punkt Straży – jej Komendant, który znalazł się nie tylko na pożarach, ale też na dowodzeniu. Miał w tym zakresie niebagatelne doświadczenia, a jednocześnie niesamowity głód działania. I pasję.

Mało nas, ale działamy

Zaznaczyć należy, że mimo całej dezorganizacji, spowodowanej przez władze rosyjskie, Straż Ogniowa ani na chwilę nie przerwała swej czujnej i skutecznej działalności. A właśnie w tym okresie, jeszcze w stadium organizacyjnym, miała ciężką pracę. W pamiętnych dniach sierpnia, podczas ostatecznej ewakuacji Rosjan i w początkach okupacji niemieckiej wynikło kilkanaście pożarów, spowodowanych bądź wybuchem bomb, bądź wysadzeniem przez wojsko rosyjskie pewnych obiektów; zwłaszcza przy gaszeniu pożarów na Pradze strażacy pracowali dzień i noc bez wytchnienia pod gradem kul i wybuchających szrapneli²⁸.

Zatem nie obyło się bez ryzykownych działań, a ewakuacja Rosjan zyskała burzliwy przebieg. Doszło do walk po wschodniej stronie Wisły, na czym cierpiały zabudowania Pragi. Oczywiście można mieć wątpliwość, czy działania na rzecz nowego okupanta były właściwie moralnie, zwłaszcza gdy zna się realia okupacji niemieckiej z II wojny światowej. Pamiętać jednak trzeba, że płonęły również cywilne domy, że magazynów nie wypełniało wyłącznie dobro wojskowe i że zaniechanie gaszenia wojskowych magazynów mogłoby roznieść ogień na wszystkie okoliczne składy. Tuliszkowski nie miał żadnych wątpliwości, że gasić należało wszystkie pożary, bo od tego jest Straż.

Ogółem w ciągu pierwszych 5-ciu miesięcy nowego istnienia Straż była wzywana do 132 pożarów, w której to liczbie było: 6 pożarów bardzo groźnych 10 pożarów dużych i 24 pożary średnie. Z tych pożarów szczególnie groźny był pożar fabryki Ortweina i Karasińskiego w dniu 4 sierpnia, wskutek wysadzenia przez Rosjan kotłowni, gdzie Straż Ogn. uratowała większość budynków, a głównie modelarnię oraz w dn. 26 sierpnia pożar składów towarowych kolei Warsz-Wiedeńskiej, gdzie już zgromadzona przez okupantów niemieckich amunicja i dynamit groziły zagładą całej dzielnicy miasta. Komenda Straży z całą świadomością niebezpieczeństwa zagrożone składy dzielnie obroniła, budząc podziw w okupantach, którzy wobec możliwości wybuchu nakazali ewakuację całego terenu. Generał bawarski miał przedstawić podobno oficerów Straży Ogniowej do „Żelaznego Krzyża”²⁹.

Komenda Straży to oczywiście sam Pan Komendant Tuliszkowski. Ostatecznie z odznaczeń nic nie wyszło, ale po miesiącu działania okupanci nabrali przekonania, że szkoda energii i zasobów ludzkich na zaprowadzanie własnych porządków,

²⁸ Komenda Warszawskiej Straży Ogniowej, Zarys historii Straży Ogniowej..., s. 18.

²⁹ Tamże, s. 19.

skoro miejscowa straż działa wystarczająco dobrze. Nie przeprowadzili więc żadnych zmian. Te, które zaszły same przez się w organizacji Straży, dokonały się z woli Polaków.

Reorganizacja

Wiemy już, że Józef Tuliszkowski bardzo nie lubił rosyjskiego sposobu organizacji straży ogniowych pod żadnym względem. Miał go za opresyjny, kastowy i niewydolny, co dało się zaobserwować w WSO, nawet mimo jej ewakuacji. Zmiany musiały więc nastąpić. Objęły praktycznie wszystkie aspekty strażackiego życia, łącznie z prywatnymi – wszak strażacy i ich rodziny mieszkali w koszarach. Celem było otrzymanie jednostki profesjonalnej, sprawnej, zdyscyplinowanej, ale też silnej moralnie i nastawionej patriotycznie. Można powiedzieć, że Komendant chciał ukształtować strażaków warszawskich na własne podobieństwo. Nie działał sam.

*Wkrótce w Zarządzie Sekcji Straży zaszły jeszcze pewne zmiany osobowe. Ustąpił Stanisław Popowski, a weszli do Zarządu Sekcji II. Barylski i Cz. Baczyński. We wrześniu 1916 roku Sekcję Straży Ogniowej przekształcono na Delegację, w skład której wchodziło 2 członków Magistratu (St. Karpiński i St. Przanowski), 2 członków Rady Miejskiej (St. Brun i Wł. Piechowski) 2 obywateli miasta (H. Barylski i Cz. Baczyński) oraz Komendant Straży. Delegacja istniała do stycznia 1925 roku (...)*³⁰.

Była to grupa znająca się i nie tylko współpracująca, ale też wspierająca się nawzajem w chwilach zwątpienia. Z perspektywy czasu, wnioskując zwłaszcza z zachowanych materiałów sprawozdawczych wydaje się, że wszystko szło im jak z płatka. W istocie nic nie przychodziło łatwo. Tak np. Józef Tuliszkowski w 1930 r. wspominał pamięć zmarłego właśnie Henryka Barylskiego, członka Sekcji Straży Ogniowej (Delegacji), reprezentującego obywateli miasta.

*W najcięższych chwilach rozterki i depresji duchowej, a tych podczas okupacji nie brakło, świetlana, pogodna postać ś. p. Prezesa dodawała nam, oficerom Straży Warszawskiej, otuchy, krzepiła serca i usuwała zwątpienia*³¹.

Natychmiast przystąpiono do szeregu niezbędnych prac. Tym różniły się one w przeprowadzeniu od prac czasów rosyjskich, że nie wynikały z poleceń otrzymanych z góry, realizowanych z oporem na każdym dosłownie szczeblu, ale z istotnych potrzeb zarówno chwili bieżącej, jak i przyszłości. W większości przypadków prace te byłyby niezbędnymi nawet pod administracją rosyjską, choć nie wszystkie, bo przecież wzorce do działania brano wówczas gotowe z Petersburga jako raz na zawsze doskonałe, a nie z przemyśleń fachowców, analizujących stan bieżący z założeniem rażącego niedoboru sił i środków.

Sekcja Straży Ogniowej (...), dokonała wraz z Komendantem i Kapitanami jeszcze w ciągu r. 1915 szeregu prac organizacyjnych oraz wprowadziła rozmaite ulepszenia i zmiany. Między

³⁰ E. Boss, *Dzieje...*, Warszawa 1937, s. 43.

³¹ J. Tuliszkowski, *Ś.p. Prezes Henryk Barylski*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 3.

*innemi spisano dokładny inwentarz taborów i magazynów Straży, stworzono czytelną oraz wprowadzono naukę dla analfabetów z pośród strażaków*³².

Zauważmy, że kursy dla analfabetów pełniły kilka funkcji jednocześnie: dawały podstawę do dalszych szkoleń, czyniły ludzi światlejszymi, a jednocześnie zajmowały im czas na czynność ze wszech miar pożyteczną. Ale to nie był koniec działań.

*Komenda Straży ułożyła sygnały na trąbkę, zaczerpnięte ze starych ułańskich sygnałów i pobudek, celem szybkiego podawania rozkazów przy pożarach, wprowadziła naukę sygnałów gestowych, opracowała szczegółowy plan obrony przeciwpożarowej teatrów miejskich, przyczem odbyto dwa próbne ćwiczenia przy teatrach Letnim i Wielkim; opracowała szczegółowo dużą tablicę ćwiczeń celem jednolitego wyszkolenia personelu, rozpoczęła prace nad projektem ubezpieczenia funkcjonariuszów Straży od nieszczęśliwych wypadków oraz nad projektem regulaminu, określającego szczegółowo prawa i obowiązki: prezydium sekcji, komendanta, rady sztabowej, kapitanów, wszystkich stopni oficerskich i funkcjonariuszów Straży, aż do strażaków włącznie*³³.

To Józef Tuliszkowski ułożył wspomniane sygnały, a ściślej rzecz biorąc, skorzystał z własnych notatek sprzed lat kilkunastu, gdy także sygnały ułożył dla straży kijowskiej i nimi uzupełnił istniejącą sygnalizację straży warszawskiej³⁴. Sprawa była ważniejsza, niż nam może się to wydawać, a właściwie była z tych krytycznie ważnych. Nie było wówczas radiostacji, a jakimś sposobem polecenia czy ostrzeżenia należało przekazywać. Od zarania dziejów służyły do tego w wojsku różnego rodzaju trąbki i trąby. Od XVIII w. były to już przeważnie trąbki, na których zagranie odpowiedniej melodii oznaczało konieczność wykonania określonego polecenia. Żołnierzy i konie tresowano w wykonywaniu tych sygnałów. Bywało więc, że w czasie szczególnie srogich bitew, gdy trębacz zagrał na zbiórkę, konie pozbawione jeźdźców zbiegały z pola walki i same ustawiały się w szeregach. Podobną rolę pełniła nauka sygnałów gestowych (na te koni nie uczono reagować, dotyczyły tylko ludzi). Akcja gaśnicza wymagała dynamicznego dowodzenia. Czasami należało reagować błyskawicznie na sytuację i informacje o tym powinny być równie błyskawicznie przekazywane. O ile więc trąbka grała rozkazy, to sygnalizacja gestowa pełniła rolę rozmowy. Do tego dochodziły sygnały gwizdkami.

Plan obrony przeciwpożarowej teatrów czerpał ze wzorców wojskowych. Von Schlieffen szlifował swój plan wojny z Francją dziesiątki lat, a zakładał, że przeciwnik będzie myślący. Tuliszkowski przygotował plany na bezmyślnego przeciwnika, przewidywalnego co do jego poczynąń tak, jak to przy okazji spowodowali ludzie, projektujący i wznoszący budowlę (tu mogły się kryć niespodzianki, np. niedbałe wykonanie stropów). Na tych planach szkolił swoją kadrę dowódczą, (...) przy czym każdy wóz straży miał z góry wyznaczone miejsce zatrzymania, czas przyjazdu i zadanie

³² Komenda Warszawskiej Straży Ogniowej, *Zarys historii Straży Ogniowej...*, s. 19.

³³ Tamże.

³⁴ J. Tuliszkowski, *Sygnalizacja tonowa*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 5, s. 19.

w rozwinięciu akcji gaśniczej³⁵. Zresztą nie tylko te plany robił: (...) na biurku komendanta inż. J. Tuliszkowskiego widywałem zawsze dokumentację projektową różnych inwestycji³⁶.

Znajdziemy w tym samym źródle niepotwierdzoną gdzie indziej informację: Od zarania działań Warszawskiej Straży Ogniowej wprowadzono inspekcje obiektów użyteczności publicznej oraz uzgadnianie wymagań w zakresie zabezpieczenia przeciwpożarowego projektów budowlanych³⁷. W tym kontekście wieloznacznie sformułowanie „od zarania działań” można rozumieć jako od początku w 1837 r. albo od początku działań Tuliszkowskiego jako komendanta. Jak by nie było, jest to pierwszy wyraźny znak wykonywania czynności kontrolnych przez strażaków w obiektach, nad którymi mieli – jak to potem określano we wzorcowej instrukcji dla OSP – „pieczę”. Prawdopodobnie to Tuliszkowski wprowadził owe inspekcje przeciwpożarowe, dając dodatkowe zatrudnienie swoim oficerom.

Sporządzenie tablic ćwiczeń wszystkich oddziałów uczyniło ten harmonogram czytelnym dla wszystkich zainteresowanych. Przymiarki do ubezpieczenia strażaków od nieszczęśliwych wypadków były sprawą palącą – takich wypadków było kilkanaście rocznie, z jednym śmiertelnym na dwa lata. Natomiast regulamin służby, określający prawa i obowiązki pracowników, rozwiązywał zawczasu wiele sytuacji spornych, wynikających z nieznamomości reguł bądź ich braku, a zarazem dawał choć częściowo poczucie ładu i porządku.

Tuliszkowski zaprowadził ponadto kolejną innowację, jaką stosował prywatnie przez całe życie: gimnastykę poranną, częste ćwiczenia specjalistyczne i doskonalące. Wreszcie zmienił chorą rywalizację między oddziałami czasów rosyjskich w zdrową rywalizację sportową.

Praca nad rozwojem i usprawnieniem Straży trwała dalej w ciągu 1916 r. Dzięki wspomnianym już ulepszeniom organizacyjnym, dzięki wprowadzeniu systemu codziennych ćwiczeń specjalnych, oraz ćwiczeń gimnastycznych i z narzędziami, dzięki wreszcie urządzaniu konkursów międzyoddziałowych i próbnych akcji – udało się bardzo szybko wyszkolić i usprawnić surowy element, jakim był przeważnie zespół członków Straży w pierwszych chwilach jej istnienia po wyjściu Rosjan z Warszawy. Dowiodły tego popisy urządzane w końcu lata 1916 roku w Agrykoli, dowiodły tego przede wszystkim ugaszone pożary (w roku 1916 było ich ogółem 208, w czym 2 bardzo duże, 8 dużych i 13 średnich). Nowo zorganizowana Straż walczyła z nimi dzielnie i skutecznie, pomimo, że musiała pracować w stokroć gorszych warunkach, bo nie miała do rozporządzenia specjalnych telefonów, skład personalny było przeszło 100 ludzi mniejszy, a liczba koni zmalała prawie o 50 par w stosunku do ostatniego roku pod zaborem rosyjskim³⁸.

³⁵ S. Pągowski, Józef Tuliszkowski. Pionier polskiego pożarnictwa i piśmiennictwa pożarniczego, „Przegląd Pożarniczy” 1981, nr 11, s. 9–10.

³⁶ Tamże, s. 9.

³⁷ Tamże.

³⁸ Komenda Warszawskiej Straży Ogniowej, *Zarys historii Straży Ogniowej...*, s. 20.

Józef Tuliszkowski podał dokładnie, że koni było 130³⁹, ale prawdopodobnie liczba ta zawiera także konie żyrardowskie, czyli pozostające do dyspozycji, a nie będące własnością straży. Własnych koni było w warszawskiej straży w 1917 r. 97, a 108 w roku 1918⁴⁰. Stan sił ludzkich na przełomie 1915 i 1916 r. to 27 oficerów i urzędników, 9 oficjalistów oraz 372 strażaków i kominiarzy⁴¹.

Tuliszkowski zmienił też organizację oddziałów i zasady wyjazdu do pożarów, w czym upatrywał lepszej organizacji akcji gaśniczej, a zatem – lepszej skuteczności. Szkoda, że w tym zakresie nie prowadzono żadnych badań podstawowych⁴². Nowinki Tuliszkowskiego musimy zatem przyjąć, jakimi je przedstawiono: jako szybsze dotarcie do pożaru ze sprzętem gotowym do natychmiastowego działania, a więc ze znacznymi szansami na ugaszenie pożaru małym nakładem sił i środków.

Istotą zmian dysponowania do akcji było podzielenie sił danego oddziału na trzy plutony, nietworzące, jak dotychczas, jednego konwoju zmierzającego do ognia, gdzie najcięższe pojazdy dyktowały tempo jazdy, obniżane dodatkowo przez bezwład całości. Co istotne, pojazdy konieczne, by ową nowinkę zastosować (pluton pierwszy, czyli pogotowie na lekkich wozach), zbudowano własnym sumptem ze znacznym udziałem myśli Komendanta – tu procentowało doświadczenie Tuliszkowskiego nabyte zarówno w firmie Rzewuski i Ska, jak i podczas dyrektorowania w Ordynacji Zamoyskiej, gdzie dysponował najlepszymi rzemieślnikami od powozów. A oto jak to się odbywało w sprawozdaniu świadków naocznych, wykonujących zreformowane czynności alarmowe.

Z ważnych innowacji, wprowadzonych w tym okresie przez Komendanta i Radę Sztabową, wymienić przede wszystkim należy zmianę porządku wyjazdów wozów oddziałowych do ognia przez podzielenie każdego oddziału na 3 plutony.

Pierwszy pluton było to t. zw. pogotowie, t.j. wóz, zabierający 8 ludzi i komplet narzędzi, potrzebnych w pierwszej chwili do ratunku. Drugi pluton tworzył silną jednostkę bojową, złożoną z 3 wozów: parowej sikawki ze znaczną ilością węży, wozu rek wizytowego i wielkiej drabiny mechanicznej, w zespole 20 ludzi. Wyjeżdżał on wówczas, gdy sygnalizowano duży ogień. Wreszcie trzeci pluton, złożony z ręcznej sikawki, beczek i omnibusu, wyjeżdżał najczęściej do pożarów na przedmieścia, t.j. tam, gdzie należało oczekiwać braku hydrantów i konieczności dowożenia wody beczkami do miejsca pożaru.

Ten podział na plutony pozbawił wprowadzie Straż imponującego, malowniczego wyglądu przy wyjeździe do ognia, okazał się jednak bardzo pożyteczny ze względu na oszczędzanie taboru, koni i ludzi, a przede wszystkim dzięki temu, że wóz pogotowia wyjeżdżał

³⁹ J. Tuliszkowski, *Ś.p. Prezes Henryk Barylski*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 3.

⁴⁰ E. Boss, *Dzieje...*, Warszawa 1937, s. 54.

⁴¹ Tamże, s. 44.

⁴² Tych zakresów jest dużo więcej. Praktycznie rzecz biorąc, nie istnieje materiał krytyczny, oparty o badania podstawowe i analizy parametrów, dotyczący prowadzenia działań ratowniczo-gaśniczych w dawnych czasach, który by wytworzono po II wojnie światowej. Brak również analogicznych opracowań odnośnie do sprzętu. Pozostaje polegać na opiniach Józefa Tuliszkowskiego, który nie wahał się nazywać rzeczy po imieniu [PR].

momentalnie, bo w 10–20 sekund od chwili alarmu i mógł najczęściej ugasić jeszcze pożar w zarodku przy minimalnych trudach.

Stworzenie trzeciego plutonu stało się koniecznym zwłaszcza wobec rozszerzenia granic miasta, albowiem rozlokowanie oddziałów Straży Ogniowej w centrum Warszawy nie zabezpieczało dostatecznie przyłączonych do miasta przedmieść, które w owym czasie nie były jeszcze wyposażone w sieć wodociagową⁴³.

Zatem okazało się, że mniejszymi siłami da się gasić pożary znacznie skuteczniej, niż to czyniono większym nakładem za rosyjskich porządków.

Komendant Tuliszkowski w działaniach nie opierał się wyłącznie na swoich kapitanach oddziałów. Czuwał i osobiście angażował się w nadzór nad prowadzeniem akcji bądź przejmował dowodzenie, dając najbardziej widoczne przykłady osobistego zaangażowania.

Sam komendant podążał do pożarów dwukonnym powozem. Obok woźnicy stał strażak – trębacz oraz zatknięty był proporzec oznaczający następnie przy akcji stanowisko komendanta. Trębacz w czasie jazdy podawał sygnały dające pierwszeństwo przejazdu pojazdom straży, a na miejscu akcji wygrywał rozkazy ujęte w melodie: jak np. „Dajcie nam wody”, „Uwaga – Uwaga” lub „Wycofać się”⁴⁴.

Podsumowując, Sekcja Straży Ogniowej (delegacja) wraz z Komendantem Tuliszkowskim przeszła do porządku dziennego nad bólączkami w tej organizacji z czasów rządów rosyjskich, traktując je po prostu jako niebyłe. Tym samym w pół roku wytworzono całkowicie nową jakość – ludzi dobrze wyszkolonych i wyedukowanych, zdyscyplinowanych bez stosowania nadmiernych kar, zmotywowanych do działania środkami zachęty emocjonalnej, z czasem pełnienia służby sensownie uporządkowanym, choć nadal „nieustannym”. Mniejsza Straż kosztowała mniej niż przed wojną, dawała z siebie więcej, przy mniejszym zużyciu ludzi, koni i sprzętu. Zwłaszcza zaprowadzony przez Tuliszkowskiego system pogotowia sprawdzał się doskonale, angażując tylko tyle sił, ile było niezbędne.

Prasa rozpisывała się o strażackich akcjach, niezmiernie wychwalając pana Komendanta. Oto przykład:

*Podobnie brawurowa akcja miała miejsce w lutym 1916 r. (...) w historycznym młynie zbożowym na Solcu. Zbyt późno zawiadomiona warszawska straż dociera w chwili, kiedy całe II i III piętro jest już w ogniu. (...) Tuliszkowski skupia się na obronie spichlerza, pełnego mąki i zboża (o wartości ok. 90 tys. rubli), stanowiącego prawie cały zapas dla Warszawy. Czteropiętrowy spichlerz stanowi jeden budynek z młynem, oddzielony co prawda ścianą muirowaną, ale mająca drzwi metalowe na każdym piętrze. Zarządza silną obronę dachu i poddasza oraz obronę drzwi żelaznych na każdym piętrze.(...) 2 godzinne zmagania z żywiołem powoli zmieniają się w sukces. Cenne zapasy zostają uratowane. Warszawie nie zagrozi głód*⁴⁵.

⁴³ Komenda Warszawskiej Straży Ogniowej, *Zarys...*, s. 20.

⁴⁴ S. Pągowski, Józef Tuliszkowski, *Pionier polskiego pożarnictwa i piśmiennictwa pożarniczego*, „Przegląd Pożarniczy” 1981, nr 11., s. 9–10.

⁴⁵ W. Jabłonowski, Józef Tuliszkowski, *Pionier polskiego pożarnictwa*, Warszawa 1995, s. 47.

Okupant niemiecki wysoko sobie cenil działania Straży i jej Komendanta, podobnie jak Chomicza i jego ubezpieczenia. Jedno i drugie okazało się ważnymi przyczynkami do pozwolenia polskiej ochronie przeciwpożarowej na ziszczenie marzeń z czasów zaboru rosyjskiego – zjednoczenie strażackiego ruchu i wytworzenie wewnątrz struktury pionowej. Stało to oczywiście w parze z tym, że Niemcom i Austriakom niezbyt się wiodło na zachodnich frontach wojny, więc postanowili nieco uchylić wobec Polaków *pikiellhaub*, by ci wzięli na siebie większe ciężary wojny. Czyli by dali na nią mięso armatnie.

Związek Floriański

Okolo połowy 1916 r. Chomicz zaproponował Niemcom, by poprawić ochronę przeciwpożarową bylego Królestwa Kongresowego poprzez zwiększenie liczby ochotniczych straży ogniowych oraz nadanie im jednolitej struktury zarządzania i szkolenia. Na czele struktury stanęliby dobrze im znani fachowcy, czyli on sam i Józef Tuliszkowski jako jego zastępcą. Kto wie, czy nie polechtał mile Niemców kilkoma porównaniami, znanymi mu jeszcze sprzed wojny, jak to na terenie Niemiec jest kilka razy więcej straży ogniowych, jak świetnie działają na rzecz ochrony przeciwpożarowej niemieckie związki strażackie? Tymczasem w Kongresówce ileż to milionów rubli (marek polskich) rocznie spala się w pożarach masowych, a przez to ile żywności i paszy nie dostaje armia niemiecka. A przecież tak on, jak i Tuliszkowski działali przed wojną na rzecz ochrony przeciwpożarowej w Centralnym Towarzystwie Rolniczym. Czy nie byłoby dobrze, gdyby taki fachowiec jak Tuliszkowski znów miał możliwość oddziaływania na ochotnicze straże pożarne, tylko w ramach instytucji wyspecjalizowanej w tym obszarze?

Nasi pionierzy mieli dar przekonywania. Ledwie minął rok niemieckiej okupacji, a Chomicz i Tuliszkowski zyskali możliwość zjednoczenia strażackiego ruchu Kongresówki.

Strażacki zjazd

Nie sam spryt Bolesława Chomicza zdecydował, że jego plan się powiódł. U Prusaków nie dość, że istniały straże ochotnicze, to jeszcze w zakresie przynależności do strażactwa, o ile ochotników było za mało, obowiązywał przymus. Jeśli więc nie było gdzieś straży pożarnych i strażaków, pruska policja ogniowa powodowała ich powstanie. Przynależność takiej jednostki organizacyjnej do związku strażackiego, skąd otrzymywała wzorce należytego działania, materiały instruktażowe tudzież najzwyczajniejsze w świecie dobre rady, co robić, była zrozumiała sama przez się. Wobec tego, gdy zgłoszono się, jakby to było w którymś z niemieckich krajów, do niemieckiej policji porządkowej, by udzieliła zgody na organizację związku straży pożarnych dla ziem okupowanych, ta, podobnie jak administracja pruska w Wielkopolsce wobec wozu upartego chłopą Drzymały, nie umiała znaleźć argumentów przeciw. I choć zachowane do stosowania rosyjskie prawo i zwyczaje były przeciw, to jako pozbawione sensu,

musiały ustąpić, bo przecież niemieckie prawo było za, podobnie jak bieżące potrzeby. Ochrona przeciwpożarowa musiała działać na rzecz wojny, więc nowi okupanci chętnie słuchali argumentów o jej podźwignięciu na zajętych terenach. Słowo do słowa i doskonale rozumiejący Niemców Chomicz i Tuliszkowski zyskali coś, co pod czujnym okiem wystraszonych urzędników rosyjskich było niemożliwe.

Związek bowiem Floriański otrzymał zezwolenie od „oberpolizei-prezydium” na zwołanie konferencji fachowej delegatów straży pożarnych pod egidą Dyrekcji Ubezpieczeń Wzajemnych od Ognia dla łącznego rozważenia i opracowania środków do zwalczania pożarów masowych w kraju⁴⁶.

Takim sposobem udało się wyjednać zgodę na przyjazd do Warszawy nie kilkunastu, lecz niemal tysiąca delegatów z całej Kongresówki. Zjechali oni w dniach 8–10 września 1916 r., reprezentując ok. 300 straży ogniowych. Zjazd okazał się wielkim sukcesem osobistym jego organizatorów. Tym bardziej, że skoro delegaci mogli przyjechać do Warszawy i w niej obradować, to mogli też się po niej poruszać. Zatem poruszyli się wszyscy na raz, w uporządkowanych szykach, z pełnym składem Warszawskiej Straży Ogniowej na czele. A prowadził ten pochód Józef Tuliszkowski, mający – jak wiemy – słabość do takich pokazów. Tudzież wprawę w drażnieniu nimi władz.

Istną furorę, a zarazem i radość na ulicach Warszawy odizolowanej przez okupanta od reszty terenu Kongresówki, a to przez zakaz komunikacji kolejowej dla cywilnych – był przemarsz w liczbie około 1000 osób (przez N. Świat i Aleje Ujazdowskie) wojskowo uszeregowanych i umundurowanych uczestników delegatów straży z uroczystego nabożeństwa w Katedrze do Wielkiej Sali w Dolinie Szwajcarskiej na dwudniowe obrady⁴⁷.

Nim zaskoczona administracja niemiecka się zorientowała, przemarsz się odbył z jednego miejsca legalnego zebrania do drugiego miejsca legalnego zebrania. Nim ustalono, kto zezwolił, jakim prawem i kto za to odpowiada, zaplanowanym trybem odbył się cały porządek obrad.

W mowie inauguracyjnej Chomicz przeszedł samego siebie dawkami społecznego ducha, optymizmu i pozytywizmu. Słowa to były proste, a przy tym budzące nadzieję na znacznie więcej, niż samo tylko ożywienie strażackiego ruchu.

(...) gdy zaczyna usuwać się zasłona wiekowa, ukazując nam w bliskiej perspektywie urzeczywistnienie ideałów narodowych, zebraliśmy się tutaj licznie z całego kraju, by spędzić parę dni na skromnej pracy zawodowej⁴⁸.

Oczywiście mówca nie zaniedbał spraw edukacyjnych. Dobrze przecież wiedział, że przy zaczynaniu od nowa, a tak przecież było, bardzo ważne jest narzucenie sposobu myślenia tym, z którymi ma się zamiar współpracować. W dodatku to, co wówczas mówił, pozostaje aktualne do dziś.

W każdym społeczeństwie kulturalnym ochrona mienia ludzkiego przed zagładą od klęski ogniowej należy do podstawowych zadań władzy – bądź państwowych, bądź organów samorządowych.(...)

⁴⁶ B. Chomicz, *Garść wspomnień...*, cz. I, s. 246.

⁴⁷ Tamże.

⁴⁸ 1-szy Ogólnopolski Zjazd Straży Ogniowych Królestwa Polskiego, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 1.

*Instytucja obowiązkowych ubezpieczeń obracać będzie wszelkie zyski, poza konieczną normą rezerw, na inwestycje krajowe, związane z podniesieniem bezpieczeństwa ogniowego, a więc przede wszystkim udzielać będzie swej pomocy materialnej na krzewienie budownictwa racjonalnego i popieranie prawidłowej organizacji straży ogniowych*⁴⁹.

Przemawiał również Józef Tuliszkowski, kto wie, czy nie bardziej znany zebrany od Bolesława Chomicza. Znany był, ale czy popularny? Wszak to on oceniał, że tylko 10% straży ochotniczych Kongresówki spełnia podstawowe standardy wyposażenia, wykszolenia i gotowości bojowej. W czasie wojny sprawy musiały się przedstawiać jeszcze gorzej. Jeśli jednak był ktoś, kto miał podstawy do głosu krytycznego względem ochotniczych straży ogniowych, to był to właśnie on. Oddajmy mu głos.

O zacofaniu straży pożarnych

W drugiej połowie zeszłego stulecia, a szczególnie w czasach najnowszych, w różnych dziedzinach wiedzy technicznej skonstatować można potężny rozwój twórczej myśli ludzkiej. Widzimy cały szereg doniosłych wynalazków, praktyczne ich zastosowanie we technice, stopniowe udoskonalanie w różnych gałęziach wytwórczości.

Również i na pożarnictwo odkrycia i techniczne wynalazki wywarły swój wpływ potężny.

Ulepszenie telegrafu i telefonu dają sygnalizację pożarową, użycie odczynników chemicznych stwarza cały szereg ulepszeń, podnoszących własności gaśnicze wody; wyzyskanie siły odśrodkowej umożliwia wytworzenie silnego prądu wody w wirowych pompach; zastosowanie silników wybuchowych stwarza specjalny typ samochodu pożarowego, oddającego strażom miejskim olbrzymie usługi.

Pożarnictwo w kraju naszym, niestety, z powodu trudnych warunków politycznych i materialnych, bardzo mało korzystało z tych wszystkich ulepszeń.

W Królestwie Polskim, z wyjątkiem czterech miast, posiadających straże zawodowe (Warszawa, Łódź, Lublin i Zamość), resztę stanowią straże ochotnicze. Na 500 przeszło tych organizacji przed wojną zaledwie 8–10% było zaopatrzonych w odpowiednie i dobre, nowszego wzoru narzędzia. (...)

Sprawność korpusu straży zależy nie tylko od stanu taboru, ale również od kierunku oraz umiejętności prowadzenia ćwiczenia. (...)

*Nieumiejętnie prowadzone a nieraz dorywczo i niesystematycznie urządzane ćwiczenia ujemnie wpływają na wyrobienie ochotników, osłabiając ducha karności, sprowadzając pewien zamęt, a nawet zanik poczucia obowiązkowości i terminowości, tych najważniejszych czynników i podstaw każdej organizacji, tembardziej strażackiej (...)*⁵⁰.

Pojawił się tu również temat kompetencji dowódczych, jak widać ulubiony Komentanta Tuliszkowskiego. Wiedział, co mówi, widział przecież dziesiątki podobnych karykatur dowódców.

⁴⁹ 1-szy Ogólnopolski Zjazd..., s. 7.

⁵⁰ J. Tuliszkowski, Przyszła organizacja straży ogniowej w odrodzonej Polsce, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 2, s. 1–2.

Niestety, w kraju naszym panuje pojęcie, że wystarczy, aby kandydat na naczelnika był postawny, energiczny i miał głos tubalny. Ogół nasz nie wie, że technika i taktyka pożarowa, stopniowo się rozwijając, stały się już ścisłymi naukami, że przedmioty te są wykładane za granicą w politechnikach, jak w Wiedniu i w Akwizgranie, że do dobrego prowadzenia straży niezbędne są wiadomości z mechaniki, chemji i budownictwa (...) ⁵¹.

O niedoinwestowaniu straży

Z wyjątkiem tych może kilkunastu [autor wymienił straże ochotnicze z większych miast gubernialnych i fabryczne – PR] instytucji reszta straży żyła anormalnie, czerpiąc dochody z ofiarności publicznej, urządzając, na wzór towarzystw dobroczynności, koncerty, przedstawienia amatorskie, loterie fantowe, i. t.d. (...) ⁵².

O skutkach skrępowania wolą zaborcy

Sto dwadzieścia lat niewoli i ucisku, w jakim się nasz naród znajdował, wywarło fatalne piętno na wszystkich dziedzinach życia naszego, zatrzymało bieg jego, kulturę. Najwięcej bodaj zaciążyło na organizacjach strażackich, uważanych przez prześladowców za zawiązki wojska polskiego. Razila ich komenda polska, razily uniformy. Ażeby dojść do tego przeświadczenia, dość przejrzyć t. zw. Ustawę normalną, gdzie w każdym bodaj paragrafie wyczuwa się więzy. (...)

Przy zawiązywaniu nowych straży, założyciele ich musieli uzbrajać się w nadzwyczajną cierpliwość, bo nieraz podanie leżało lub wędrowało od gubernatora do naczelnika powiatu, do gminy i z powrotem, po parę lat.

Nic więc dziwnego, że kiedy na Zachodzie nie ma osady, wsi, w której nie byłoby choć niewielkiego oddziału straży ochotniczej, u nas na 12 z górą milionów mieszkańców Królestwa, na 3 miliony przeszło budowli mamy, a raczej mieliśmy, straży tylko około 500 ⁵³.

O receptach na poprawę stanu

Aby dorównać krajom zachodnim, musimy stworzyć w jednym tylko Królestwie około 7000 organizacji strażackich.

Do słabego rozwoju straży przyczynił się w znacznej mierze i nizki poziom kultury naszego społeczeństwa i wyśmiewanie nieraz tego, niestety, co jest wzniosłe i piękne. Nasze pisma humorystyczne stale pomieszczały aż do znudzenia strażaka w towarzystwie kucharki. Na zachodzie natomiast każda organizacja strażacka cieszy się opieką państwa i sympatią społeczeństwa. Pamiętam zjazdy strażackie w Wiedniu, Turynie, Lipsku i w kulturalnej Rydze, gdzie całe miasto przystrajało się odświętnie, a na zastępy strażackie, przeciągające przez ulice, sypał się z okien i balkonów istny deszcz kwiatów ⁵⁴.

⁵¹ Tamże, s. 6.

⁵² Tamże, s. 2.

⁵³ Tamże, s. 6

⁵⁴ Tamże.

Recepta w stanowiskach instruktorskich i szkoleniach

W powiatach z liczniejszemi strażami inspektor powiatowy może mieć jednego lub paru instruktorów do pomocy. Nad rozwojem i prawidłowem funkcjonowaniem wszystkich straży ogniowych województwa (ziemi) czuwa inspektor pożarny wojewódzki. Co parę miesięcy urządza on zebrania i narad inspektorów powiatowych, organizuje przynajmniej raz na rok ogólne zjazdy strażackie wojewódzkie i uczestniczy w zebraniach inspektorów wojewódzkich; zebrania te odbywają się 2 razy do roku w Warszawie, na wiosnę i na jesieni (...). Nad całą organizacją czuwa Zarząd T-wa Ś-go Floriana, a nad taktyką i rozwojem technicznym organizacji strażackich ma pieczę specjalna komisja techniczna, z 3 fachowców złożona⁵⁵.

Zgodnie z zapowiedzią Tuliszkowskiego Związek Floriański (bo już nie Towarzystwo Świętego Floriana) zajął się niemal z marszu intensywną pracą szkoleniową, organizując liczne kursy.

Na wdrożenie programu inspektorsko-instruktorskiego trzeba było jeszcze kilka lat poczekać, zresztą nigdy nie osiągnął on postaci zapowiadanej przez Tuliszkowskiego. Bywało potem, że jeden instruktor przypadał na dwa duże powiaty, zamiast dwóch instruktorów na taki powiat.

Związek Floriański

Zjazd miał trzy poważne następstwa, prócz wyżej wymienionych chwil radości patriotycznych. Po pierwsze, Towarzystwo Świętego Floriana, ukierunkowane wcześniej choćby z racji nazwy na osoby z kręgu rzymskokatolickiego, przemieniło się w Związek Floriański, neutralny w nazwie pod względem wyznania i bardziej odpowiadający celom budowania wspólnoty ponadetnicznej i ponadwyznaniowej, co rychło przyniosło pozytywne efekty. Po drugie, Prezesem Związku wybrano Bolesława Chomicza, a wiceprezesem został – rzecz jasna – Józef Tuliszkowski. Po trzecie, wreszcie nastał czas, że polskie ochotnicze straże ogniowe mogły się policzyć, wyłonić własną reprezentację i nadać swoim działaniom spójny charakter. Po czwarte, w odróżnieniu od Towarzystwa Świętego Floriana, Związek Floriański mógł być zrzeszeniem nie tylko osób fizycznych, ale również innych stowarzyszeń, co czyniło go bardzo uniwersalną instytucją. Co oczywiste, statut owej organizacji miał inną postać niż pierwotnej.

Autorem statutu był Chomicz, na co wyraźnie wskazuje napisanie go na wzór statutu instytucji finansowej o charakterze spółki. Wzór ten był najlepszym z możliwych, gdyż z powodzeniem sprawdzony przez dziesięciolecia działania w sprawach najwrażliwszych, mianowicie pieniężnych. Poniżej podajemy porównanie statutów Towarzystwa Świętego Floriana i Związku Floriańskiego dla wykazania różnic i podobieństw w pkt. 2 i 3, dotyczących zadań i uprawnień obydwu organizacji. Różnice zaznaczono wytłuszczeniem.

⁵⁵ J. Tuliszkowski, *Przyszła organizacja...*, s. 6.

Tabela 3. Porównanie przepisów o uprawnieniach ze Statutu (ustawy) Towarzystwa Świętego Floriana i Projektu Statutu Związku Floriańskiego

Towarzystwo Św. Florjana – tekst wg statutu (ustawy) zatwierdzonego w kwietniu 1915 r.	Związek Floriański – tekst wg. Projektu ogłoszonego drukiem, prawdopodobnie z końca 1916 r. ⁵⁶
2. Towarzystwo Św. Florjana ma na celu badanie spraw, dotyczących pożarnictwa, oraz popieranie sposobów walki z ogniem.	2. Związek Floriański ma na celu zjednoczenie Straży Ogniwych, badanie spraw, dotyczących pożarnictwa, oraz popieranie sposobów walki z ogniem.
3. Dla osiągnięcia zamierzonego celu Towarzystwo ma prawo: – zbierania informacji o ilości, rodzaju i natężeniu pożarów; – opracowywać materiały, dotyczące walki z pożarami; – udzielać zasiłków na wyrób materiałów ogniotrwałych oraz popierać spółki zakładane w tym celu; – utrzymywać instruktorów pożarnictwa; – popularyzować wiadomości o potrzebie ubezpieczenia się na wypadek pożaru; – popierać zakładanie straży ogniowych i udzielać im zasiłków; – zajmować się pożarnictwem oraz utrzymywać dla swych członków bibliotekę i czytelnię; – urządzać pogadanki i konferencje dla członków Towarzystwa oraz odczyty i zebrania dyskusyjne; – otwierać pracownie do badań i doświadczeń, urządzać wystawy i konkursy ćwiczeń w zakresie walki z pożarami; – zachęcać i popierać materialnie osoby, które położyły zasługi na polu owocnej walki z pożarami, a w tym celu udzielać im nagród i dyplomów; – w ogóle czynić to wszystko, co może sprzyjać krzewieniu budownictwa ogniotrwałego, ubezpieczania od ognia i gaszenia pożarów.	3. Dla osiągnięcia zamierzonego celu Towarzystwo ma prawo: – zbierania informacji o ilości, rodzaju i natężeniu pożarów; – opracowywać materiały, dotyczące walki z pożarami; – udzielać zasiłków na wyrób materiałów ogniotrwałych oraz popierać spółki zakładane w tym celu; – utrzymywać instruktorów pożarnictwa i dokonywać periodycznie lustracji Straży Ogniwych, związkowych; – popularyzować wiadomości o potrzebie ubezpieczenia się na wypadek pożaru; – zajmować się pożarnictwem oraz utrzymywać dla swych członków bibliotekę i czytelnię; – urządzać pogadanki i konferencje dla członków Towarzystwa oraz odczyty i zebrania dyskusyjne; – otwierać pracownie do badań i doświadczeń, urządzać muzea, wystawy i konkursy ćwiczeń w zakresie walki z pożarami; – zachęcać i popierać materialnie osoby, które położyły zasługi na polu owocnej walki z pożarami, a w tym celu udzielać im nagród i dyplomów; – wyjednywać u władz i instytucji państwowych i gminnych potrzebne poparcie dla Straży Ogniwych – premiować całe korpusy Straży Ogniwych lub poszczególne ich członków za znakomite odznaczenie się przy pożarach oraz za długoletnią, nieprzerwaną i nieposzlakowaną służbę w Straży Ogniowej – tworzyć fundusz pomocowy lub kasę wzajemnej pomocy dla strażaków poszkodowanych przy pełnieniu służby pożarnej albo dla rodzin po nich – urządzać zjazdy strażackie, połączone z popisami i wystawą przyrządów pożarnych oraz kursy zawodowe – wydawać czasopisma i broszury poświęcone sprawom pożarnictwa – prowadzić na zasadach kooperatywy dział handlowy na potrzeby swych członków (Sydykar Strażacki).

Źródło: opracowanie własne.

⁵⁶ Projekt Statutu Straży Ogniowej Ochotniczej w Królestwie Polskim, „Przegląd Pożarniczy” 1917, s. 33.

Towarzystwo zyskało osobowość prawną, miało prawo zawierania i rozwiązywania umów, zakładania oddziałów sztandar. Organami Towarzystwa były Walne Zgromadzenie i Zarząd. Ponadto powołano Komisję Rewizyjną i przewidziano możliwość powoływania oddziałów i komisji specjalistycznych.

Ze statutu wynika, że Związek Florjański przyjął postać instytucji zhierarchizowanej, z bardzo szerokim zakresem obowiązków. Sama koordynacja poczynań wymagała obsługi biurowej. Zatem powołano biuro, na czele którego stanął inż. Stanisław Arczyński z Częstochowy.

Oto ówczesny skład Zarządu Związku Florjańskiego: prezes – B. Chomicz, wiceprezesi – inż. J. Tuliszkowski (Warszawa) i dr A. Grohman (Łódź), sekretarz – inż. A.L. Zagrodzki (Warszawa), skarbnik – S. Szotkiewicz (Warszawa), kustosz – ks. M. Szkopowski (Warszawa), członkowie – E. Balcer (Łowicz), J. Kubicki (Zawiercie), I. Konopacki (Piotrków), S. Okulicz (Końskie), inż. E. Wagner (Łódź) i W. Zalewski (Lublin)⁵⁷.

Wznowienie wydawania Przeglądu Pożarniczego

Podsumowanie działań zjazdu znalazło się we wznowionym z łaski Prusaków „Przeglądzie Pożarniczym” w styczniu 1917 roku. Tam, na pierwszej stronie, Chomicz pisał bez ogródek o odrodzeniu Ojczyzny, a każdy wiedział, że nie o aktualnie panujące Niemcy ani tym bardziej o niebyłą Rosję chodzi. A pisał płomiennie i pozytywnie.

Jesteśmy na progu nowej ery bytowania politycznego narodu naszego.

Z gruzów rumowisk, jakie są udziałem toczącej się wojny, wśród ogólnej martwoty i trosk życiowych, powołujemy nanowo do życia placówkę, której pożytek znalazł dostateczną ocenę przed wojną. (...) odradzać to, co spoczywa w letargu, powtarzać nowe drogi wytyczne do ożywienia ustroju społecznego, jednoczyć rozproszone wysiłki w całość, uzupełniać szczyby i luki w gmachu społecznym i zachęcać do dalszej wytężonej pracy na odbudowę domu – będzie celem i zadaniem pisma naszego. (...)

„W jedności siła” – hasło to wyryliśmy na wieczne czasy na sztandarze Związku Florjańskiego i pod godłem tem odwołujemy się do wszystkich, komu nie są obce potrzeby kulturalne kraju, o pomoc i poparcie usiłowań i dążeń naszych⁵⁸.

Co istotne, Chomicz podkreślał wychowawczo-obywatelską rolę straży ogniowych, nieco idealizując to, co zastał, ale takimi chciał widzieć straże pożarne docelowo.

(...) W zarządach straży ogniowych (...) obok proboszczów i właścicieli ziemskich, nie brakło rejentów, doktorów, aptekarzy, kupców i przemysłowców, współzrędnie z rzemieślnikami i mieszczanami (...) ożywionych wspólną myślą bezinteresownej pomocy bliźniemu. Straż ogniowa stawiała się prawdziwym ośrodkiem miejscowego życia kulturalnego i towarzyskiego, udzielając chętnie swego dachu na przedstawienia, odczyty, pokazy⁵⁹.

⁵⁷ I Ogólnokrajowy Zjazd Straży Ogniowych w Warszawie, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 1–4.

⁵⁸ Tamże, s. 1.

⁵⁹ Tamże, s. 6.

Chomicz używał wielkich słów, natomiast Tuliszkowski zajął się sprawami przyziemnymi. W 2017 r. „reorganizował” na łamach „Przeglądu Pożarniczego” Straż Ogniową m. st. Warszawy, co zawarł potem w publikacji zwartej, którą omówimy dalej.

Reakcje władz okupacyjnych

Poniewczasie władze okupacyjne rozumiały, na co dały zezwolenie. W związku z tym Chomicz dostał wezwanie, by się wytłumaczyć z własnych czynów. Na miejscu załatwił sprawę krótko i bez okazywania strachu: (...) *na moje sprostowanie, że żadne inne sprawy prócz zawodowych, programem zatwierdzonym objęte – nie były omawiane, zarzuty stały się bezpodstawne*⁶⁰.

Bo istotnie, sprawy jakimi się zajmowano, to były sprawy zawodowe, bardzo istotne do ukształtowania nie tylko samych możliwości działań gaśniczych i niezbędnego ku temu zaplecza, ale całościowo pojmowanej ochrony przeciwpożarowej: ubezpieczenia wzajemne i akcja przeciwpożarowa, odbudowa wsi polskiej, zabezpieczenie bytu uczestników straży ogniowej i ich rodzin, finansowanie ochotniczych straży ogniowych – co w formie sprawozdań i przedruków referatów zajęło kilka numerów wznowionego Przeglądu Pożarniczego. Była to działalność mająca na celu podniesienie dobrobytu mieszkańców, a w ślad za tym możliwości rekwizycyjnych dla szanownego okupanta. Nie można było więc zarzucić temu działalności antyniemieckiej.

Być może – jak to z lekką drwiną odnotował nazwę instytucji okupanckiej Chomicz – „Oberpoizai-prezydium” zastosowałoby jakieś represję, ale nie sprzyjała temu ogólna koniunktura wojenna. Potrzeba było, by młodzi Polacy zechcieli chętnie przystępować do „*Polnische Wehrmacht*”, a ich rodzice chętniej oddawać kontyngenty żywnościowe. Już nie laskawe skinienia, ale życzliwe ukłony w stronę Polaków stały się koniecznością. Ukłony te uczyniły najbardziej koronowane głowy, bo cesarskie.

Propolskie deklaracje cesarzy niemieckich i ich efekty

W dniu 5 listopada 1916 r., a więc już po obradach zjazdu strażackiego w Warszawie, podsumowując swoją konferencję w Pszczynie, cesarze Niemiec i Austro-Węgier ogłosili uroczyste, że zamierzają polską państwowość wskrzesić jako byt niepodległy. Stało się to powodem do wyrażenia wielkich nadziei w polskich gazetach zaboru austriackiego. Między innymi w galicyjskim „Przewodniku Pożarniczym” na stronie tytułowej ukazała się treść pisana słowami tyleż wielkimi, co naiwnymi.

*Srebrnopióry ptak Piastów, Jagiellonów i Sobieskich, zerwał przez półtora wieku gnitące go więzy – wzbił się w górę ponad ziemie polskie i ogłosił światu, że Polska wolna – Zmartwychwstała i jako niepodległa żyć będzie! Z ust dwóch monarchów padło słowo, którego nikt już przemienić nie zdola (...). Rozkute kajdany Polski!*⁶¹.

⁶⁰ B. Chomicz: *Garść wspomnień...*, cz. I, s. 246.

⁶¹ *Zmartwychwstanie Polski*, „Przewodnik Pożarniczy” 1916, nr 3 (listopad–grudzień), s. 1.

Różnica między podejściem do sprawy strażaków z Galicji i strażaków z Kongresówki była taka, że ci drudzy nie wyrażali górnolotnie formułowanych nadziei, tylko przystępowali do tworzenia twardych faktów dokonanych. Wiadomo było, że w razie potrzeby „Oberpolizai-prezydium” cofnie zakres swobód do granic, jakie uzna za stosowne – pierwszy rok niemieckiej okupacji miał przecież bardzo surową postać. Tymczasem jednak generał-gubernator von Bessler dla części okupacyjnej pruskiej Kongresówki wydał w związku z tym taką oto deklarację, wydrukowaną na czerwonym papierze plakatowym w języku polskim.

Sprzymierzeni Monarchowie, biorąc należyty wzgląd na ogólne warunki polityczne Europy jako też na dobro i bezpieczeństwo własnych krajów i ludów, żywią niezłomną nadzieję, że obecnie spełnią się życzenia państwowego i narodowego rozwoju Królestwa Polskiego. Wielkie zaś od zachodu z Królestwem Polskim sąsiadujące mocarstwa z radością ujrzą u swych granic wschodnich wskrzeszenie i rozkwit wolnego, szczęśliwego i własnem narodowem życiem cieszącego się państwa⁶².

Słowem ludność Kongresówki miała żywić przekonanie, że Niemcy i Austriacy nie są tacy źli, choć wyznaczają oraz bezwzględnie ściągają kontrybucje i biorą zakładników.

W dniu 6 grudnia 1916 roku okupanci utworzyli Tymczasową Radę Stanu – quasi niezależny, polski rząd, znajdujący się pod ich nadzorem, który miał działać aż do odzyskania niepodległości. Powołane przy okazji instytucje współzarządzające przetrwały okupację i działały już w wolnej Polsce z pożytkiem dla kraju.

Okupant w okazywaniu dobrej woli poszedł dalej i na skutek tego przemarsz tysiąca strażaków, w którym organizatorzy chcieli widzieć wydarzenie państwowotwórcze, został wkrótce przyćmiony przez wkroczenie pod koniec roku do Warszawy 3 i 4 Pułku Legionów i 2 Pułku Ułanów Józefa Piłsudskiego. Poza tym w samej Warszawie już ze szczerem, a też ostentacyjnie zlikwidowano rosyjskie oznaki panowania: pomniki, nazwy ulic, a kościoły przemienione w cerkwie odzyskano dla wiary katolickiej.

Inne działania Tuliszkowskiego jako komendanta

W „Przeglądzie Pożarniczym” z 1917 r. Tuliszkowski dzielił się wrażeniami z wycieczki letniej, jaką odbył z rodziną w lipcu i sierpniu 1914 r. po krajach Europy Zachodniej. Oczywiście rytm starannie zaplanowanej podróży był dostosowany do nieformalnych inspekcji co lepszych strażnic, których dokonywał, jak to miał w zwyczaju. Niestety zawieszenie wydawania „Przeglądu Pożarniczego” odroczyło w czasie sprawozdawczość dostępną ogólnie, niemniej wrażenia co do wniosków pozostawały aktualne jeszcze w 1917 r. Oto co napisał o motoryzacji straży ogniowych, którą rozpoczął w Straży Ogniowej m. st. Warszawy.

W Berlinie.

Wszystkie samochody poruszane są siłą elektryczną, wytwarzaną w baterji akumulatorów, od których prąd przechodzi do dwóch elektromotorów, umieszczonych każdy na

⁶² [https://pl.wikipedia.org/wiki/Historia_Polski_\(1914–1918\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Historia_Polski_(1914–1918)) [dostęp: marzec 2016].

przedniem kole. Zapas energii elektrycznej wystarcza na jakieś 50-60 kilometrów. (...) Przy motorze znajduje się specjalna dynamo-maszyna. Zadanie jej jest następujące. W razie wyczerpania energii elektrycznej w baterii akumulatorów sikawki, pompa rotacyjna może być wprawiona w ruch energią elektryczną z innych samochodów, do czego tabor posiada ze 100 metrów kabla do włączenia baterji innych samochodów z samochodem sikawki.

Otóż po wyczerpaniu energii z tych baterji, mogą być one nabite przy pomocy dynamo-maszyny, poruszanej motorem benzynowym, umieszczonym przy rotacyjnej pompie. Teoretycznie może to i kombinacja niezła, ale praktycznie, śmiem sądzić, trochę za skomplikowana. Bo żeby nabić akumulatory do pewnego napięcia i do pewnego zapasu energii, to trzeba kilka godzin czasu.

Najprościej chyba byłoby nie wyczerpywać tych baterji, a urządzić pompę z motorem benzynowym. Elektryczny napęd wozów samochodowych, choć wprowadzony w strażach Berlińskiej i Wiedeńskiej, ma swoje słabe strony: ograniczony zapas energii elektrycznej i wyczerpywanie się jej nieraz, nawet kiedy samochód jest w stanie nieczynnym.

Coraz więcej jest obecnie zwolenników samochodów strażackich z motorami benzynowymi. To samo powiedział branddyrektor Straży Akwizgrańskiej, inż. Dr Scholz, bardzo wykształcony w swym zawodzie. Jest on zarazem profesorem wydziału asekuracyjno-pożarniczego politechniki Akwizgrańskiej [ukończył tam studia semestralne Bolesław Chomicz – PR], jedyne go tego rodzaju wyższego zakładu naukowego⁶³.

Przytaczamy ten interesujący w dzisiejszych czasach fragment z tego również powodu, że Tuliszkowski zapoczątkował motoryzację warszawskiej Straży. Nie wpadł przy tym w pułapkę ciężkich samochodów elektrycznych, tylko postanowił oprzeć się na sprawdzonej trakcji spalinowej.

W 1916 r. bawiąc w Bremie, podczas wizytacji tamtejszej straży, zakupił samochód pożarniczy marki Hans nLoyd, który był ówczesnym szczytem techniki. Posiadał on pompę odśrodkową (1800 l/min), 4 cylindrowy silnik benzynowy (60 KM), 3 przesłową wysuwaną drabinę oraz wygodne siedzenia dla 13 członków załogi. Ponieważ zachodziła obawa, że uliczne hydranty nie zapewnią odpowiedniej ilości wody autopompie, inż. Tuliszkowski zamontował w tym samochodzie zbiornik na wodę. Samochodem tym często wyjeżdżał osobiście do pożarów z załogą⁶⁴.

Sam fakt możliwości podróżowania służbowego w czasie okupacji jest symptomatyczny. Świadczy o poważnym traktowaniu obowiązków przez obydwie strony: okupanta i okupowanego. Zarazem zakup samochodu był czynnością zer wszechmiar pożyteczną dla Warszawy. Samochód nierównie szybciej wyjeżdżał alarmowo do akcji, a przy tym był sikawką, zbiornikiem, wozem rekwizytowym i omnibusem w jednym. Czyli zastępował cztery pary koni. Natomiast 13-tu strażaków wystarczyło do ogarnięcia większości zdarzeń.

Tuliszkowski nie porzucił na tym samochodzie.

⁶³ J. Tuliszkowski, *Garść wydarzeń z zagranicy*, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 4, s. 3–4.

⁶⁴ W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski...*, s. 52.

Z jego też inicjatywy przerobiono w warsztatach Oddziału I automobil osobowy marki Dürkopp, otrzymany zaraz po ewakuacji władz carskich od polskich władz miasta. Samochód ten otrzymano w oplakany stan, mocno zdekompletowany. Niewielkim kosztem doprowadzono go do pełnej sprawności własnymi siłami (jak wyliczono za równowartość jednego konia). Zamiast karoserii osobowej zamontowano na nim sprzęt pożarniczy (hydropult, gaśnice, aparat ratowniczy, zwijadło z węzami, bosaki, topory i lekką drabinę). Po tej przeróbce samochód stał się wysoko wyspecjalizowanym pojazdem pożarniczym, bardzo przydatnym w warunkach wielkomiejskich⁶⁵.

Warto wspomnieć, że samochód ten zastępował co najmniej dwa wozy i dwie pary koni, mianowicie omnibus do przewożenia ludzi i wóz rekwizytowy. Szybkość uruchomienia i sprawność dojazdu na miejsce zdarzenia, nieporównywalnie z trakcją konską, były także niezwykle cenne. Strażacy mieli też możliwość podjęcia samodzielnego gaszenia, wszak posiadali hydropult.

Z inicjatywy komendanta wprowadzono unowocześnione uzbrojenie osobiste strażaków.

Zorganizowano służbę sanitarną z dyżurami lekarzy w oddziałach oraz sanitariuszy w podziale bojowym. Zmieniono umundurowanie, przy czym wzorem strażactwa angielskiego zastosowano naramienniki metalowe (luskowe) z podpinkami pod pachy dla oficerów i bez podpinek dla podoficerów. Budziło to sensację wśród otoczenia. Ich inicjator uzasadniał celowość naramienników metalowych ochroną przed uderzeniami gruzów spadających podczas akcji ratowniczych oraz wzmocnieniem kości ramion przy przenoszeniu sprzętu lub wynoszeniu ze strefy pożarowej różnych przedmiotów. Szkolenie bojowe strażaków było przedmiotem szczególnej troski komendanta, który opracował ćwiczenia ze sprzętem pożarniczym na tempa i na czas oraz dbał o przygotowanie teoretyczne w zakresie prewencji przeciwpożarowej oficerów i podoficerów pożarnictwa⁶⁶.

Oprócz zaczątków motoryzacji Tuliszkowski pomógł też w innych pracach organizacyjnych. Co prawda teren Królestwa został podzielony na dwie strefy okupacyjne, niemiecką i austriacką, jednak granica między nimi nie należała do nieprzekraczalnych. Świadczy o tym fakt, że jeszcze w 1915 r. Tuliszkowski, który z takim powodzeniem odbudował Straż Ogniową m. st. Warszawy, został wysłany do Lublina, by w odniesieniu do tamtejszej straży zawodowej dokonać tych samych czynności. Wspomina to tak z perspektywy lat kilkunastu.

Powołany w 1915 r. na komendanta Straży Pożarnej m. st. Warszawy, zawsze pamiętałem o Lubelszczyźnie, czy to pomagając w reorganizacji zawodowej straży w Lublinie i desygnując na komendanta tej członka Straży Warszawskiej por. Jastrzębskiego (obecnego rotmistrza i referenta poż. w M.S. Wojsk.) czy też uczestnicząc w 2-gim Zjeździe Straży Pożarnych w Lublinie w 1917 r. w charakterze komendanta Zjazdu⁶⁷.

Tak działo się w czasach, gdy Niemcy i Austriacy uznawali polskość w Polakach. Miało to się zmienić. Wszystko zależało od sytuacji państw centralnych na frontach.

⁶⁵ W. Jabłonowski, Józef Tuliszkowski..., s. 52.

⁶⁶ S. Pągowski, Józef Tuliszkowski. Pionier polskiego pożarnictwa i piśmiennictwa pożarniczego..., s. 9.

⁶⁷ J. Tuliszkowski, Wspomnienia, „Lubelska Gazeta Strażacka” 1932, nr 10, s. 92.

Ta w 1917 r. zaczęła przedstawiać się źle, z widokami na jeszcze gorzej, gdy Stany Zjednoczone Ameryki północnej wejdą do wojny.

Kryzys przysięgowy

Kres paru miesięcy miodowych objawił się w najbardziej symboliczny sposób. Postanowiono poddać woli zaborców Legiony Polskie, włączając je do Polskiego Korpusu Posiłkowego (*Polnische Wehrmacht*), co samo w sobie już powodowało ferment wśród żołnierzy Legionów, ale wielkiego niepokoju pośród mieszkańców Kongresówki nie wywołało – poprzednie zarządzenia i złagodzenia kursu politycznego osiągnęły swój cel. W lipcu 1917 r. żołnierzy Legionów postawiono przed koniecznością złożenia przysięgi, w której rocie umieszczono dwa sformułowania, budzące już nawet nie niechęć, co opór. Były to słowa o wierności przyszłemu królowi polskiemu oraz o wiernym braterstwie broni z wojskami Niemiec i Austro-Węgier i państw z nimi sprzymierzonych. Józef Piłsudski takiej przysięgi nie złożył, a w ślad za nim podobnie postąpili żołnierze I i III brygady Legionów. Internowano ich w kilku miejscach, głównie w obozach w Beniaminowie i Szczypiornie. Piłsudskiego aresztowano w nocy z 21 na 22 lipca, a następnie osadzono go w twierdzy w Magdeburgu. Żołnierze II brygady Legionów, dowodzonej przez Józefa Hallera przeważnie złożyli przysięgę i wkrótce zostali wysłani na front wschodni w składzie *Polnische Wehrmacht*.

A jednak proces budowania polskiej samorządności w Kongresówce postępował według norm prawnych, ustalonych wcześniej w chwili słabości państw centralnych. Na polu ochrony przeciwpożarowej działano z niespotykaną wcześniej swobodą i z całkiem sporym rozmachem. „Przegląd Pożarniczy” ukazywał się, znów oferując strażakom wysoki poziom merytoryczny i formacyjny, a skoro cesarze nie określili granic wolności czy raczej podległości Polaków, teksty miały już postać jawnie wolnościową. Na fali euforii, ale też w dobrze pojętym interesie własnym, powstawały i rozwijały się straże ogniowe. Tuliszkowski w rozlicznych akcjach gaśniczych dawał dowody profesjonalizmu, a Chomicz z każdym miesiącem zyskiwał na autorytecie, również pośród okupantów pruskich i to na tyle, że podjął starania dyplomatyczne o wywiezienie do Rosji majątek podległej sobie instytucji ubezpieczeniowej. Sprawę odzyskania pieniędzy z Rosji uczynił nawet jednym z punktów niemiecko-rosyjskich rozmów pokojowych i pod koniec 1917 r. zyskał przepustki z Rosji oraz przydział wagonów kolejowych do przewozu akt wraz z konwojem. Niestety, jak to zanotował: *Zabójstwo atoli posła niemieckiego Mirbacha przerwało nawiązaną łączność, a sprawa cała poszła w niwecz*⁶⁸.

Tak Chomicz, jak Tuliszkowski nie ustawiali w innych działaniach: próbach utworzenia systemu ochrony przeciwpożarowej, umocowanego instytucjonalnie w którymś z ministerstw. Rozumieli, że Związek Floriański to zaledwie krok w drodze

⁶⁸ B. Chomicz, *Garść wspomnień ...*, cz. I, s. 257.

do celu. Ale skoro z nim się udało, to może udać się coś więcej. Rozumieli też, że raz utworzonego systemu zmienić się nie da, co najwyżej zlikwidować, a to będzie bardzo trudne. Podjęli więc próby w celu domknięcia systemu ochrony przeciwpożarowej, poprzez wytworzenie dla niego zwornika rządowego, rangi ministerialnej.

Próby utworzenia systemu ochrony przeciwpożarowej⁶⁹

Sam Związek Floriański nie mógł wystarczyć, by zadziałała ochrona przeciwpożarowa w pełnym zakresie z odczuwalnymi, pozytywnymi skutkami dla społeczeństwa. Należało ją ubrać w odpowiednie ramy organizacyjne i przekuć w obowiązujące przepisy. Niestety, to nie polskie organy władzy stanowiły prawo na terenie okupowanym, lecz pruskie i austriackie, a ściślej rzecz biorąc okupanci zachowali rosyjskie prawo i niechętnie od niego odstępowali na rzecz rozwiązań, proponowanych przez Polaków. Niemniej próby takie Polacy podjęli, zmierzając do faktów dokonanych.

Memoriał Związku Floriańskiego

W ślad za nieszczerą deklaracją cesarza Austrii i Niemiec o powstaniu Polski, poszły czyny władz okupacyjnych. Powołano do życia, pośród innych urzędów centralnych, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Działacze Związku Floriańskiego wykorzystali ten fakt i wyszli z propozycją utworzenia systemu ochrony przeciwpożarowej, z nadaniem mu walorów administracji rządowej, obarczonej nadzorem społecznym. Propozycja ta to *Memoriał w sprawie pożarnictwa krajowego*, złożony w dniu 23 stycznia 1918 r. na ręce Ministra Spraw Wewnętrznych, a potem natychmiast opublikowany na łamach „Przeglądu Pożarniczego” – wszak należało korzystać z wszelkich sposobów na wykazanie konieczności takich działań. Memoriał złożyli: wiceprezes Związku Floriańskiego inż. Józef Tuliszkowski, naczelnik biura inż. Stanisław Arczyński i redaktor naczelny „Przeglądu Pożarniczego” Ludwik Ostaszewski.

Niżej podpisani, pragnąc przyczynić się do wszechstronnego ujęcia sprawy, dotyczącej walki z klęską ogniową, ośmielają się złożyć WASZEJ EKSCELENCJI memoriał w rzecznej sprawie z prośbą o łaskawe wzięcie pod uwagę przytoczonych w nim motywów i wniosków, zanim zapadnie uchwała ostateczna w sprawie stworzenia przy Ministerstwie odpowiednich do tego powołanych organów⁷⁰.

Już z inwokacji wynika, że wnioskodawcy chcieli wpłynąć na kształt decyzji, jakie miały zapaść w zakresie kształtowania aparatu administracyjnego państwa, póki nie zdążył on skostnieć. Dalej myśl tę rozwinęli, charakteryzując – co oczywiste – cel swoich wniosków: ograniczenie liczby pożarów i ich rozmiarów.

⁶⁹ O konieczności budowy systemu ochrony przeciwpożarowej można przeczytać również w P. Rochala, *Bolesław Chomicz i jego czasy. Biografia strażacka*, Warszawa 2019, s. 143–149.

⁷⁰ *Memoriał w sprawie pożarnictwa krajowego*, „Przegląd Pożarniczy” 1918, nr 3–4, s. 17.

Pożary masowe, nawiedzające Kraj nasz rokrocznie i przyprawiające o milionowe straty mienie krajowe, są wynikiem klęski, niemal zupełnie nieznannej na Zachodzie Europy. (...) Pożarnictwo, pojęte we właściwym tego słowa znaczeniu, obejmuje trzy czynniki walki z klęską ogniową, z natury pokrewieństwa swych zadań wzajemnie się dopełniające, a przez to tworzące całość programową, która tylko na szkodę dla sprawy mogłaby być rozczłonkowana. Czynniki te są następujące:

- a) budownictwo racjonalne, jako środek zapobiegawczy w walce z pożarami,
- b) ubezpieczenia obowiązkowe od ognia, jako środek ekonomiczny w tej walce,
- c) straże ogniowe, jako czynnik zmniejszający rozmiary klęski ogniowej.

Powyższe trzy czynniki, związane w jedną całość organiczną, stanowią ów racjonalny, na szerszych bowiem podstawach oparty, program przeciwdziałania niszczącej dobro narodowe sile żywiołowej. (...) ⁷¹

Ponieważ były to trzy, całkiem poważne dziedziny życia społeczno-gospodarczego, trudne do ogarnięcia nawet z osobna, musiały się pojawiać tendencje odśrodkowe, czyli chęć do zajęcia się wyłącznie własną, zaszufladkowaną kompetencją. O ile takie tendencje są zrozumiałe i absolutnie nieszkodliwe na stanowiskach podstawowych, to ich destruktywność rosłaby w miarę pojawiania się na stanowiskach wysokich. To z tego powodu znalazło się w memoriale twierdzenie o szkodliwości rozczłonkowania owych zagadnień. Dobrze to świadczy o projektodawcach: jeszcze system ochrony przeciwpożarowej nie powstał na polskich ziemiach, a jego twórcy już martwili się o jego spoistość. Proponowany system miał się opierać na administracji ubezpieczeń wzajemnych. Pisano o tym tak:

Ubezpieczenia wzajemne nie są ani towarzystwem, ani też przedsiębiorstwem, lecz przeznaczonym do zwalczania klęski ogniowej rozgałęzionym na Kraj aparatem administracji państwowej, z udziałem społeczeństwa. Posiadając w swym łonie rzeczników potrzeb krajowych pod postacią Rady (do czego nawet poprzednia rosyjska administracja kraju zdążyła), gwarantują one działalność odpowiadającą istocie tych potrzeb ⁷².

Owa wymieniona z wielkiej litery „Rada” stanowiła istotny cel przedłożonego do ministra memoriału. Po tym możemy poznać, że Chomicz patronował przedsięwzięciu: na rzecz organizacji ochrony przeciwpożarowej obmyślono coś na kształt rady nadzorczej spółki kapitałowej z kilkoma różnicami. Najważniejszą z nich jest ta, że Rada nie miała zajmować się tylko działalnością instytucji ubezpieczeniowej (a raczej kilku instytucji ubezpieczeniowych), ale nadzorować również pozostałe dwa składniki systemu – budownictwo ogniotrwałe i straże ogniowe. To bardzo interesujące rozwiązanie prawne, świadczące o naprawdę szerokich horyzontach myślowych szefostwa Związku Floriańskiego, wyartykułowano następująco:

Niech nam wolno będzie (...) przedłożyć (...) nasz pogląd (...), iż akcja do zwalczania tej miary klęski społecznej, jaką są pożary masowe, nie może być organizowana w oderwaniu

⁷¹ Tamże, s. 17.

⁷² Tamże, s. 18.

od życia i wycucia potrzeb życiowych, lecz musi być prowadzona samorządnie, to znaczy z udziałem przedstawicieli społeczeństwa, który to udział miałby swój wykładnik w rzeczowej radzie, złożonej z przedstawicieli sejmików powiatowych. (...)

Wykonanie tego programu osiągnięte być może jedynie przez zachowanie samorządnego ustroju tej gałęzi administracji państwowej, lecz z przekazaniem inicjatywy, obok gospodarczej kontroli, utworzonej ad hoc Radzie w osobie przedstawicieli społeczeństwa do czuwania nad działaniami:

- a) budownictwa racjonalnego,
- b) straży ogniowej,
- c) ubezpieczeń od ognia⁷³.

Zatem twórcy propozycji systemu ochrony przeciwpożarowej postawili na to, by kontrolę nadzorczą nad ochroną przeciwpożarową sprawowali wybierani przez społeczeństwo przedstawiciele samorządów. Oczywiście w warunkach okupacji niemieckiej oznaczało to zarządzanie ochroną przeciwpożarową wyłącznie przez Polaków. Jednak nie sam cel patriotyczny był tu istotny. Zauważmy, że systemu ochrony przeciwpożarowej nie proponowano podporządkować jakimś pojedynczym osobom, pełniącym funkcje z wyboru, ale grupie przedstawicieli, wylanianej przez ciała samorządowe. Jest tu naprawdę znaczna doza ufności w rozsądek polityczny, co już niedługo po uzyskaniu niepodległości miało być boleśnie zweryfikowane. Ale zauważmy, że nie wójt, nie burmistrz, nie prezydent miasta nadzorowałby sprawy ochrony przeciwpożarowej, ale osobne ciało wybieralne, wyposażone w uprawnienia podobne, jak mają rady nadzorcze w spółkach (i jak odpowiednia komórka w Warszawie nad WSO). Nie było jednak mowy o kolegialnym zarządzaniu, podobnie jak spółkami w przypadku spółek finansowych i przemysłowych. Musi być prezes, któremu rada nadzorcza patrzy na ręce, ale decyzji za niego nie podejmuje. Memoriał stanowił.

Powodzenie tego programu wiąże się z ujęciem w jedną ręce kierownictwa tych działów, wówczas bowiem jednolitość wykonania, współmierność pracy oraz łączność organów wykonawczych decydować będzie mogła o pomyślnym dla kraju wyniku⁷⁴.

Twórcy memoriału ostrzegali przed zakusami, by jacyś etatyści nie zechcieli stanąć na czele tak klarownie przedstawionej struktury, zresztą już w znacznej części utworzonej. Niestety, przewidzieli, co stanie się w przyszłości, formułując następujące zdania.

Wykonanie tego doniosłego zadania wyłącznie samymi siłami funkcjonariuszy państwowych, bez czynnego udziału przedstawicieli społeczeństwa w tej gałęzi administracji, napotkałoby olbrzymie trudności nie do przezwyciężenia. Przekazanie przeto znacznej części tej pracy na barki samego społeczeństwa, uważać należałoby za wielce pożądane i powitane niewątpliwie byłoby w całym kraju z prawdziwym uznaniem dla myśli kierowniczej Ministerstwa⁷⁵.

⁷³ Memoriał w sprawie..., „Przegląd Pożarniczy” 1918, nr 3–4, s. 18.

⁷⁴ Tamże, s. 19.

⁷⁵ Tamże.

Okazało się, że postulowane ciała nadzorcze w postaci rad powołano do życia. Jednak nie działały one najlepiej – po prostu nadzorowały działalność ubezpieczeniową, co było z kolei dublowaniem funkcji rad nadzorczych danych spółek. To zaś wykonywano z fatalnym skutkiem, bo nie wykryto żadnych nieprawidłowości. Pomysł jednak wart jest przypomnienia, choćby ze względu na jednoznaczne nazwanie części składowych systemu i próby zdefiniowania sposobu jego działania.

Projekt Rady Stanu

Był też inny jeszcze pomysł, zwany projektem Rady Stanu, tj. ciała ustawodawczego, powołanego do życia przez Radę Regencyjną, który z perspektywy czasu należy uznać za nowoczesny. Prawdopodobnie byłby skuteczny, gdyby go zastosowano, czyli znaleziono na niego pieniądze.

Już w okresie działań wojennych Tymczasowa Rada Stanu Królestwa Polskiego podjęła prace nad ustaleniem jednolitej organizacji organów bezpieczeństwa publicznego, do których zaliczano: żandarmerię krajową (ziemską), milicję miejską i wiejską, straż skarbową i straż pożarną.

Projekt organizacji organów bezpieczeństwa, w wypadku straży, zakładał powołanie straży państwowych o następujących organach nadzorczych:

- departament lub wydział w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, w sumie 28 osób, w tym 3 oficerów, 4 sierżantów, 5 podoficerów i 16 szeregowych;
- w guberniach – 28 osób (3 oficerów i 25 szeregowych);
- w powiatach – 28 osób (3 oficerów i 25 szeregowych).

Projektowanie w guberniach i powiatach stanowisk dla 25 szeregowych jest dowodem na to, że oprócz istniejących zawodowych straży pożarnych projektowano na szczeblu guberni i powiatu zawodową straż pożarną mającą charakter straży państwowej. Dodatkowo proponowano powołanie straży zawodowych miejskich:

- 1 oddziału liczącego 30 osób w miastach i liczbie mieszkańców ponad 20000;
- 2 oddziałów liczących 60 osób w miastach o liczbie mieszkańców ponad 50000;
- W Warszawie i Łodzi po 6 oddziałów liczących 180 osób.

W pozostałych miastach, miasteczkach i gminach miały być powołane ochotnicze straże pożarne⁷⁶.

Można dyskutować o realności finansowej powołania do życia zawodowej służby strażackiej, liczącej kilka tysięcy osób, w warunkach wojennej i powojennej biedy. Do uzawodowienia ochrony przeciwpożarowej, oznaczającego centralizację straży pożarnych, jednak nie wrócono aż do końcówki lat 40-tych (za wyjątkiem epizodu niemieckiego w Generalnej Guberni), co działo się w zupełnie innej rzeczywistości politycznej, nacjonalizującej i centralizującej wszystkie dziedziny zarządzania krajem.

⁷⁶ W. Piławski, *Komendy straży pożarnych w latach 1950–1974*, w: *Komendy Straży Pożarnych 1950–1995*, Warszawa 1995, s. 8–9, za: *Projekt organizacji organów wykonawczych i organów bezpieczeństwa publicznego w Królestwie Polskim opracowany przez Tymczasową Radę Stanu Królestwa Polskiego*, Centralne Archiwum Wojskowe, bez sygn.

Trudno jest wskazać autorów tego programu. Niepodobnym jest, żeby Chomicz poparł tak daleko idące uzawodowienie ochrony przeciwpożarowej, zwłaszcza czynnej. Za to odpowiadałoby ono bardzo pomysłom Tuliszkowskiego. Niestety, brak ku temu dowodów, na łamach „Przeglądu Pożarniczego” właściwie nie ma o nim żadnych wzmianek.

Wkrótce te i inne poczynania państwowotwórcze zostały poddane poważnej próbie. Oto bowiem w całej pełni miało się okazać, jakimi istotnie były zamiary okupantów względem polskiej państwowości.

Sytuacja polityczna zmienia się na gorsze

Chomicz, Tuliszkowski i współpracownicy, powołując Związek Floriański, podjęli się zadania utworzenia nowoczesnego systemu ochrony przeciwpożarowej. Napotykali jednak na trudności, wynikające nie z samej biedy kraju, i nie z trwającej wojny, a również z nieszczerości okupanta, który nie miał zamiaru postawić kropki nad „i”, gdyż nie uważał, że w przyszłości może powstać Królestwo Polskie. Można przypuszczać, że Niemcy zaprowadziliby w podbitym kraju własne porządki ogniowe. Tym bardziej, że mówiąc „Polska”, myśleli o całkiem innym obszarze niż to sobie wyobrażali Polacy.

Z początkiem 1918 r. było jasne, że Rosja, wstrząsana wewnętrznymi sprawami, jest już pokonana – w lutym 1917 r. wybuchła tam rewolucja lutowa, przez co car stracił władzę, a Rosja stała się republiką. Nie trwało to długo, bo nowy rząd Kiereńskiego nie podpisał rozejmu z Niemcami, a nawet próbował przejść do działań ofensywnych, choć wojsko już nie chciało wojować.

Żeby uniknąć jakichkolwiek problemów ze stojącym co prawda na glinianych nogach, ale zawsze kolosem, Niemcy postanowili pogłębić rosyjski kryzys. W tajnej operacji przywieźli ze Szwajcarii na teren Rosji Włodzimierza Lenina wraz z jego świtą, złożoną z najbardziej fanatycznych zwolenników przewrotu rewolucyjnego. Wkrótce Lenin stanął na czele kolejnej rewolucji, zwanej z racji kalendarza rosyjskiego (juliańskiego) październikową, ale według europejskiej miary czasu startowy wystrzał z krążownika Aurora nastąpił nocą z 6 na 7 listopada 1917 roku. Za sprawą tych wydarzeń zdetronizowany już wcześniej i uwięziony car stracił życie wraz z całą rodziną, a Rosja pogrążyła się w chaosie wojny domowej. Niemcy mogli być spokojni o wschodni front – zrewoltowane przez bolszewików wojska strzelały w plecy wszystkim swoim oficerom, więc nie było mowy o żadnej wojnie. Zresztą Lenin, gdy tylko objął choć częściową władzę, natychmiast zawarł z Niemcami pokój, by pod hasłami dyktatury proletariatu rozprawić się z „burżujami i kulakami”, co oznaczało po prostu fizyczną likwidację ludzi, mających jakikolwiek majątek na własność, a przy tym – co gorsza – będących pracodawcami.

Wiadomo było, że nie wszyscy mają ochotę być zarżnięci przez pozbawionych moralności bandytów na ołtarzu ateistycznej rewolucji, więc chaos wojny domowej w Rosji

przybrał rozmiary biblijnego końca świata. Rosja w tym wydaniu, póki któraś ze stron nie zwyciężyłaby ostatecznie, chwilowo nie stanowiła zagrożenia dla Niemców. Tak się jednak składało, że z tych samych powodów zajęta swoimi sprawami Rosja była czasowo mało groźna także dla niepodległościowych dążeń Polaków. Pojawiły się jednak inne, bardzo poważne trudności.

Na tle tych wydarzeń źle zaczęła się przedstawiać sprawa poczynionych Polakom obietnic państwowotwórczych. Obietnice te od samego początku były nieszczerze, aż przyszedł czas obnażenia intencji. To nie duże Królestwo Polskie, dążące do samodzielności politycznej było Niemcom potrzebne, a mały krąk bez znaczenia. W dodatku Stany Zjednoczone Ameryki 6 kwietnia 1917 r. przystąpiły do wojny po stronie Anglii i Francji, rozkręcając na jej rzecz cały swój potencjał przemysłowy i ludnościowy. Zanosilo się na to, że w 1918 r. na froncie zachodnim pojawią się miliony żołnierzy amerykańskich. Z tego powodu Niemcom i Austriakom się śpieszyło – potrzebowali natychmiastowego wsparcia mas ludności wdzięcznej im za cokolwiek. Polacy, jako już niepotrzebny czynnik antyrosyjski, stracili rację bytu. Wobec tego nowi okupanci rozbudzali na zajętych ziemiach dążenia „niepodległościowe” Litwinów, Białorusinów i Ukraińców. Z początkiem 1918 r. Niemcy i Austriacy rozpoczęli rokowania pokojowe z Rosją sowiecką. W Brześciu. Tym Litewskim.

Na tle tych wszystkich wydarzeń doszło do brzemiennych w skutki zaburzeń na terenie Królestwa Polskiego, zwłaszcza w Warszawie. I nie były to działania państwowotwórcze, lecz raczej zaprowadzające chaos. Nie uniknęła ich także Straż Ogniowa m. st. Warszawy.

Strajk warszawskich strażaków na początku 1918 roku

Rok 1918 miał być jeszcze gorszy niż poprzedni. Życie stało się nieznośne w samych Niemczech, a cóż dopiero mówić o kraju okupowanym. Rekwizycje nasilone do absurdu, głodowe przydziały żywności, brak wszelkich artykułów potrzebnych do życia cywilnego – wszystko zjadała wojna.

Polacy nastawieni patriotycznie mieli dodatkowe rozczarowania okupacją niemiecką. Kryzys przysięgowy był tu tylko symbolem, a jako wydarzenie samo w sobie okazał się ważny jedynie dla osób, których dotyczył bezpośrednio. Istotniejszą była zmiana polityki okupantów wobec Polski, dokonana jej kosztem terytorialnym.

Dla ludzi prostych najważniejsze były warunki ekonomiczne. I wyłącznie z tych powodów zastrajkowali pracownicy w Warszawie i Łodzi. Zastrajkowali również strażacy.

Tradycje strajkowe w warszawskiej straży

Wbrew temu, co myślał i pisał w chwili najwyższego wzburzenia nasz bohater, nie był to strajk pierwszy w tej jednostce organizacyjnej. Otóż wszyscy zastrajkowali wcześniej, 22 grudnia 1905 r., przy czym organizatorem strajku był polski oficer Henryk Bukowski, brandmajster (kapitan) oddziału IV.

Początkowo podłożem ruchu była ciężka sytuacja ekonomiczna strażaków, lecz wkrótce zakres dążeń i walkę rozszerzono i postanowiono domagać się spolszczenia komendy oraz zatrudnienia na wszystkich stanowiskach w Straży wyłącznie Polaków. W tym celu grupa strażaków z telefonistą IV Oddziału Jagodą na czele oraz ze strażakiem Bielaniem i telefoniistą Rosjaninem Wasilewem z Oddziału V, mając poparcie moralne kapitana Polaka Henryka Bukowskiego zorganizowała w dniu 22 grudnia 1905 roku wiec w Filharmonji. Na wiecu, po przemówieniach Jagody i innych strażaków zapadła jednomyślna uchwała wystosowania do władz deklaracji z omówionymi powyżej żądaniami. Ze swojej strony kapitan Bukowski zainicjował zebranie dowódców oddziałów w celu wciągnięcia ich do akcji czynnej w wypadku zastosowania przez władze represyj.

Na zebraniu tym postanowiono w razie objęcia funkcji strażackich przez wojsko, nie wyjeżdżać do pożarów. Uchwale tej przeciwstawili się jedynie Rosjanin kapitan Isajenko, który oświadczył, że w tym wypadku będzie wyjeżdżał do pożarów⁷⁷.

Mamy tu bardzo interesujące informacje, dające nam nie tylko bezpośredni wgląd w przebieg strajku, ale pośrednio również w obyczajowość strażacką, a nawet ich dodatkowe obowiązki.

Można powiedzieć, że sytuacja ekonomiczna strażaków była na tyle zła, iż dosłownie oczekiwali okazji do jakiejś formy protestu. I to był czynnik jednoczący wszystkich strażaków, niezależnie od szarż, również oficerów rosyjskich. Początkowo strażacy nie zamierzali stosować najostrzejszej formy strajkowej, tj. odstąpienia od wykonywania jakichkolwiek czynności gaśniczych i ratowniczych – konkretnie co do tego brak, ale wyraźnie było powiedziane, że odmówią wyjeżdżania do wszystkich pożarów, jeśli władza wprowadzi do koszar łamistrajków. Sprzeciw zgłosił Rosjanin, jako wojskowy (w wojsku rosyjskim nie było strajków) i jako Rosjanin (wrzenie strajkowe warszawskich strażaków miało wyraźnie narodowy charakter). Jednak kadra oficerska była poza tym zgodna, że strajk trzeba poprzeć – jego błyskawiczne rozlanie się na wszystkie oddziały świadczyło o jednomyślności w tym zakresie.

Natomiast wiec w Filharmonji pozornie ma w sobie coś romantycznego. Bo dla czego filharmonia, czyżby byli takimi melomanami? Otóż najprawdopodobniej przyczyna była inna, niesłychanie prozaiczna. Strażacy pełnili tam, jak w każdym teatrze, dyżury (teraz też tak się dzieje), więc dyrekcja nie widziała przeszkód, by im za darmo udostępnić nieużytkowaną chwilowo widownię.

Po otrzymaniu deklaracji z żądaniami strażaków, ówczesny Naczelnik Straży Warszawskiej Popławko wiedząc, że ogniskiem akcji strażaków jest Oddział IV, pojechał tam w celu przekonania strażaków o bezskuteczności ich wystąpienia. Gdy na zarządzanej przez siebie zbiórce Popławko pozdrowił strażaków słownie, strażacy milczeli. Wkrótce Popławko odjechał, udając się do Oberpolicmajstra, a strażacy we wszystkich oddziałach przystąpili do strajku. Oberpolicmajster zarządził internowanie w oddziałach wszystkich strajkujących

⁷⁷ E. Boss, *Dzieje Warszawskiej Straży Ogniowej w latach 1836–1936*, Warszawa 1937, s. 23.

strażaków, obstawiając wyjścia wartami wojskowymi i przysyłając żandarmów do obsługi koni, pomimo chęci strażaków czyszczenia i karmienia koni⁷⁸.

Można powiedzieć, że naczelnik Popławko był jedynym zaskoczonym rozwojem sytuacji, co jest objawem typowym dla każdej władzy oderwanej od rzeczywistości. Z tego zresztą powodu stał się pierwszą ofiarą strajku. Za to niczym nie zaskoczono Oberpolicjamstra, gdyż po pierwsze, o wszystkim był informowany na bieżąco przez agenturę, a po drugie, co wyraźnie ujmuje agenturze rzeczywistych zasług i przydatności, o dojrzewaniu strażaków do strajku było od jakiegoś czasu całkiem głośno, na tyle, że nawet w miesięczniku „Strażak” zamieszczono wzmiankę o następującej treści.

*Pożar bez straży ogniowej. Kołowacizna strejkowa opanowała obecnie i straż ogn. Warszawską, która niepomna na mogące wyniknąć nieszczęścia, zaprzestała pracy*⁷⁹.

Oberpolicjaster nie dość, że nie był zaskoczony, to w dodatku był na strajk dobrze przygotowany. Zatem ledwie strażacy zaczęli strajkować, a zobaczyli wycelowane w siebie lufy karabinów zakończonych bagnetami. Nie stawili żadnego oporu przy aresztowaniu. Mało tego! Odsunięto ich nawet od obsługi koni, a konie były wówczas bodajże jedyną radością ich życia koszarowego, wszak wielu z nich marzyło, by posiadać tak dużego, silnego, pięknego i mądrego konia na własność. I kawalek ziemi.

Natychmiast z powodzeniem wcielono w życie pozostałe punkty planu rozbicia strajku. I przyznać trzeba, że realizacja ich miała żenująco łatwy przebieg.

*Do wyjazdów do pożarów przysposobiono oddziały I, III i V z zamianą obsługi strażackiej na wojskową, żołnierzy lejbgwardii pułku litewskiego piechoty. Na dowódców przygotowanych do wyjazdów oddziałów byli wyznaczeni kapitanowie Pieczko, Isajenko i Hłasko. W pozostałych dwóch oddziałach II i IV umieszczono internowanych strażaków, a dowódcami tych oddziałów byli: Losiewski i Bukowski. Władze rosyjskie bezzwłocznie zemerytowały Naczelnika Popławkę i mianowały na to stanowisko pułkownika Sudrawskiego*⁸⁰.

Nieudolny naczelnik stracił więc stanowisko, a trzech brandmajstrów nie przystąpiło do strajku w żaden sposób, godząc się na dowodzenie oddziałami wojskowymi w miejsce strażaków. Końcówki ich nazwisk wskazują na wschodnie pochodzenie, jeśli nawet nie rosyjskie, jak u Isajenki. Jeden był Polakiem – Józef Hłasko, późniejszy bohater kilku akcji wchodzenia w dym po drabinach hakowych i wynoszenia na własnych plecach zaczadziałych ludzi, ale też podpadający na różne sposoby naczelnikowi Edwardowi Lundowi. Oddziałami przeznaczonymi na więzienia dla strażaków dowodzić mieli Polacy.

W tym czasie wynikł pożar w fabryce Frageta przy ul. Elektorальной, do którego wyjechały dwa oddziały, a Naczelnik Sudrawski, jadąc do pożaru, zabrał z sobą kapitana Bukowskiego, przebywającego chwilowo na Nalewkach. Po drodze Sudrawski namawiał Bukowskiego do

⁷⁸ Tamże, s. 24.

⁷⁹ „Strażak” 1905, nr 12, s. 15.

⁸⁰ E. Boss, *Dzieje Warszawskiej...*, s. 23–24.

wzięcia udziału w gaszeniu pożaru, lecz Bukowski stanowczo odmówił i w drodze wyskoczył z powozu⁸¹.

Brak wyszkolonych strażaków znacznie odbił się na pożarze.

Saperzy, zastępujący strejkujących strażaków, poubierani w mosiężne kaski, tak nieudolnie wykonywali rozkazy brandmajstrów, że ogień przeniósł się do przylegającej oficyny fabryki wyrobów platerowanych Erageta. Zajął się dach nad bronzownią, następnie zaczęły się tlić ściany składów z wyrobami gotowymi. Jedynie dzięki niezmordowanej „pracy i osobistej pomocy brandmajstrów pożarnie przyjął groźniejszych rozmiarów. Ostatecznie spłonął cały dach i pierwsze piętro w fabryce Bornsteina (...)”⁸².

Podczas gdy pożar rozwijał się zgodnie z logiką pożaru, strajk rozwijał się zgodnie z logiką strajkową.

Tymczasem internowani w IV Oddziale strażacy, pomimo konwoju, opuścili koszary i wraz z delegatami udali się ze swoimi żądaniami do Oberpolicmajstra. Oberpolicmajster Meyer polecił aresztować delegatów i zatelefonował do Bukowskiego pytając, dlaczego dopuścił do wyjścia z koszar aresztowanych strażaków i nie polecił użyć broni obecnym tam wartownikom. Kapitan Bukowski odpowiedział Meyerowi, że polecenie strzelania do bezbronnych ludzi uważa za niezgodne ze swoim sumieniem. W niespełna pół godziny Bukowski został aresztowany przez komisarza VII Cyркуlu policyjnego i przewieziony do Komendy Miasta, a stamtąd do Cytadeli⁸³.

Strajk bez przywódcy, nadającego wydarzeniom cele wyższe, stał się zwyczajnym protestem ekonomicznym, a z takimi władza wiedziała, jak postępować. Po pokazaniu kija (aresztowanie) zawsze oferowano marchewkę (pieniądz). Strażacy bardzo łatwo odstąpili od innych niż ekonomiczne postulatów, więc ze znaczną pewnością można powiedzieć, że ich przywiązanie do języka polskiego i obsady stanowisk dowódczych Polakami było wyłącznie hasłowe.

Następnego dnia strajk został zakończony. Strażacy otrzymali podwyżkę uposażenia służbowego w wysokości 50%. Pozostałych żądań, a mianowicie spolszczenia komendy i mianowania na stanowiska w Straży tylko Polaków, nie zdołano wywalczyć⁸⁴.

Należy zgodzić się z opinią zawodowego historyka, który to napisał, z jednym wszakże zastrzeżeniem. Zamiast sformułowania „nie zdołano” należało zastosować nieco inne, mianowicie: „nie próbowano”. Strażacy po prostu dali się i zastraszyć, i przekupić, o czym może świadczyć nie tylko fakt błyskawicznego zakończenia strajku, ale również i to, że ani słowem nie wspomniano o poprawie warunków pełnienia służby czy socjalno-bytowych.

Informację o tym strajku warto zakończyć tak, jak się kończyła w oryginale. Wspomniany poniżej los kapitana Henryka Bukowskiego pozostawiamy bez komentarza.

⁸¹ E. Boss, *Dzieje Warszawskiej...*, s. 24.

⁸² „Strażak” 1905, nr 12, s. 16.

⁸³ E. Boss, *Dzieje Warszawskiej...*, s. 24.

⁸⁴ Tamże.

Co do losów kapitana Bukowskiego, to w wyniku starań został on uznany za nienormalnego i zwolniony z Cytadeli oraz ze służby bez prawa do emerytury. Po pewnym czasie wyjechał do Rosji i tam też życie zakończył. Do Komitetu strajkowego należeli: Jagoda (telefonista), Choiński (oddziałowy), Pągowski (wachmistrz), Jędraszkiewicz (ojciec). „Cichym” przywódcą właściwie był kpt. Henryk Bukowski. Czynność łącznika nieoficjalnego pełnił Włostowski⁸⁵.

Wybuch strajku w styczniu 1918 r.

U podstaw strajku z 1918 r. leżały podobne przesłanki faktyczne, jak tego z grudnia 1905 r. Rozszerzony był jednak o inne elementy niż płace: tzn. warunki bytowe i – przede wszystkim – przerwanie rozkładu służby bez początku i bez końca. Niemniej i w tym przypadku można uznać, że dopisanie żądań socjalnych było zabiegiem taktycznym: kilka postulatów czyniło wydarzenie poważniejszym niż jeden, dotyczący braku wypłacenia pensji. Jednocześnie żadnych elementów patriotycznych nie podnoszono, gdyż zarówno komenda, jak cała kadra były polskie.

Gdyby nie trwające działania wojenne, strajk byłby wyrazem niezadowolenia jednych Polaków ze sposobu działania i zaniechań innych Polaków. Jako że strajk służby mundurowej wybuchł w apogeum niepowodzeń niemieckich i łatwo mógł się stać przykładem dla innych jednostek, władze okupacyjne wzięły te wydarzenia bardzo serio, traktując je jako szkodliwe dla interesu wojennego Niemiec.

Poniekąd Niemcy mieli rację. Do strajku jawnie zaczęła nawoływać Polska Partia Socjalistyczna Frakcja Rewolucyjna (ta Piłsudskiego, bardziej patriotyczna). Tymczasem w Brześciu wyjątkowo opornie toczyły się rokowania pokojowe Niemiec, Austro-Węgier, Rosji Sowieckiej, Ukrainy, a rząd Królestwa Polskiego znajdującego się pod okupacją niemiecką żądał, by mógł w tych rozmowach wziąć udział. Za strajkami agitowano wówczas z mniejszym lub większym powodzeniem we wszystkich miastach Europy, w czym można się dopatrywać działań komunistycznych agentów.

W Warszawie strajk objął tzw. robotników magistratu, protestujących ze względu na złą sytuację aprowizacyjną miasta. Ponieważ zastrajkowali, sytuacja ta stała się katastrofalna, gdyż nie było komu rozładować składów kolejowych z żywnością. Zatem strajk zaczął się rozszerzać na kolejne grupy niezadowolonych. Strażacy również dali posłuch namowom agitatorów i w dniu 16 stycznia przystąpili do strajku.

Przebieg strajku można prześledzić dzięki publikacjom w „Kurierze Warszawskim”, w których poinformowano o wydarzeniach z 16 stycznia.

Publiczność, zaniepokojona pogłoskami o możliwości rozszerzenia się bezrobocia na inne działy służby miejskiej, przede wszystkim na wodociągi i kanalizacje, rozpoczęła wczoraj zaopatrywać się w wodę⁸⁶.

W dniu 17 stycznia, w wydaniu wieczornym, gazeta podała następujące informacje, dające wgląd w sytuację ogólną.

⁸⁵ Tamże.

⁸⁶ „Kurier Warszawski” 1918, nr 16, wyd. poranne, s. 2.

W strajku pracowników miejskich nastąpiła zmiana o tyle, iż, jak już o tem donosiliśmy, powrócili dziś do pracy pracownicy szpitalni. W szpitalach św. Ducha i św. Rocha pracownicy objęli pracę dobrowolnie. Wobec tego dziś wznowiono przyjmowanie chorych w ambulatoriach szpitalnych. W szpitalu żydowskim personel posługaczów strajkuje w dalszym ciągu. Służba pogrzebowa dziś powróciła do pracy⁸⁷.

Tamże przytoczone zostało strażackie pismo z żądaniami skierowanymi do magistratu.

Wczoraj, o godz. 6 wieczorem, delegacje oddziałów Warszawskiej Straży Ogniowej wręczyły swym przełożonym na piśmie żądania i niezwłocznie przystąpiły do bezrobocia. Podane warunki brzmią jak następuje:

Do komendanta straży ogniowej!

Niniejszem zawiadamiamy, że, solidaryzując się całkowicie z wystąpieniem ogółu robotników miejskich, domagających się poprawy bytu, składamy od siebie poniższe żądania:

1) podwyższenie pensji o 100%, 2) wydanie 3 par butów na każdego człowieka rocznie, 3) mieszkanie, opał i światło dla rodzin strażaków, 4) dwóch zmian na dobę, 5) uwalniania pracowników za zgodą ogółu, 6) asekuracji od nieszczęśliwych wypadków, 7) ubezpieczenia od wypadków choroby i na starość, 8) nie zwracanie się do robotników na „ty” przez przełożonych, 9) urlopu 28 dni na rok, 10) pomocy dentystycznej dla pracowników straży i ich rodzin, 11) nowo przyjęty pracownik po trzech miesiącach służby ma korzystać z wszelkich dodatków drożyznianych, jakie otrzymują starzy pracownicy, 12) udzielania bezpłatnych kąpiel (...).

Na wypadek pożaru pozostawiamy do usługi dwa automobile komendantury i dwóch ludzi z każdego oddziału, przytem pozostawiamy jednego dyżurnego w oddziale i jednego dyżurnego do obsługi koni.

Pracownicy Straży Ogniowej m. Warszawy⁸⁸.

W postulatcie tym jest zawarta wyraźna drwina z Komendanta i jego starań (pozostawiamy do usługi dwa automobile komendantury – tj. wszystkie dwa samochody), a też pokazanie ich w sposób sugerujący, że wyprawy Tuliszkowskiego do pożarów są elementem spektaklu i szukaniem popularności dla poklasku publiczności, która przekona się, jak jest w istocie, gdy przy pożarach zabraknie anonimowej masy strażackiej.

Tuż pod postulatami strażackimi „Kurier Warszawski” informował również o tym, w jaki sposób Niemcy postrzegają strajk i wykorzystują go dla własnych celów. Co ważne, informował bez jednego słowa komentarza, dając tylko odpowiedni cytat.

Warschauer Zeitung [gazeta codzienna niemiecka – PR] donosi:

Wodociągi, których personel także strajkuje, czynne są tylko dlatego, iż do roboty stanęli tam żołnierze niemieccy, i jedynie z powodu ich interwencji miasto jest zaopatrzone w wodę. Żołnierzy delegowano również do wyladowywania wagonów z żywnością, przeznaczoną dla wydziału zaopatrywania miasta. Tak samo w magazynach wydziału pracują żołnierze niemieccy. Żywność z magazynów do sklepów rozwożą ekspedytorzy dotychczasowi.

⁸⁷ „Kurier Warszawski” 1918, nr 17, wyd. wieczorne, s. 3.

⁸⁸ Tamże, s. 3.

Dnia 15 stycznia do strajku przylłączyli się również urzędnicy biurowi milicji miejskiej⁸⁹.

Jak widać, dla wielu ludzi strajk nie miał wyłącznie podłoża ekonomicznego. Wielu z jednej strony jawił się jako prowokacja komunistyczna, a z drugiej jako narzędzie do pokazania polskiego nieporządku, choć w Niemczech zaczynały się nieporządki takie same, które za rok miały przyjąć postać wojny domowej.

Z przekazów można wnosić, że nie wszyscy strażacy przystąpili do akcji strajkowej w sposób jednakowy. Postawy poszczególnych oddziałów były różne: od pogotowia strajkowego i ogłoszenia postulatów, przez odmowę wyjazdów do wybranych grup obiektów, po – jak to uczynił natychmiast Oddział II – całkowite zaniechanie działań. Chwilowo brak działań był deklaracyjny, gdyż nie było powodów do wyjazdów, czyli pożarów. Miało się to zmienić, a sytuacja zaostrzyć – okazało się, że Oddział II istotnie pożarów nie gasił.

Reakcje władz

Tuliszkowski był konsekwentnie przeciwny strajkowi strażaków, czemu dał wyraz w bezpośrednich rozmowach z nimi – bez rezultatu. Władza okupacyjna nie była jednak taka rozmowna ani skłonna do przyjmowania czy odrzucania argumentacji, jak strażacki komendant. Strajk służby mundurowej w czasie wojny był dla niej niemal jak sabotaż, zwłaszcza w sytuacji, gdy na ulice zaczęły wychodzić grupy strajkujących z czerwonymi sztandarami. I nieważne było, że na granicy ze zrewoltowaną Rosją panował względny spokój. Postanowiono aresztować wszystkich strażaków Oddziału II, którzy jako pierwsi, w sposób zdecydowany przystąpili do strajku.

Tu okazało się, że Tuliszkowski nie miał zamiaru pozwalać na nadmierne szyskany wobec swoich podwładnych, nawet gdy według niego racji nie mieli bądź okazywali ją w sposób skrajnie niewłaściwy. W towarzystwie Henryka Barylskiego, czynnego członka Sekcji Straży Ogniowej m. st. Warszawy i Floriańskiego Związku Straży Pożarnych oraz członka Zarządu Kasy Pomocy Straży Warszawskiej, udał się do – jak to określił Bolesław Chomicz w swoich wspomnieniach – *Oberpolizei-przydzium*. Zatem wizyta nie miała charakteru prywatnego, lecz jak najbardziej urzędowy, z podkreśleniem sytuacji prawnej: komu ten strajk powinien najbardziej przeszkadzać. Polacy obstawali przy tym, że strajk ten nie jest sprawą administracji okupacyjnej, pełniącej funkcję rządową, ale władz miasta, czyli pracodawcy strażaków. Oto wspomnienie tej wizyty pióra Tuliszkowskiego.

Gdy w styczniu 1918 r. powszechny strajk ogarnął Stolicę i II-gi Oddział nie wyruszył do pożaru, okupanci bezzwłocznie wywieźli tych wszystkich Strażaków do cytadeli. Natychmiast udaliśmy się ze ś.p. Prezesem do dyrektora policji niemieckiej, który za to, że komenda straży wystąpiła ostro i kategorycznie o wypuszczenie uwięzionych, nazywając to bezprawiem, kazał aresztować. Wtedy nasz zacny Obrońca użył całej wymowy i logicznej argumentacji, dowodząc, że pozbawienie Straży Ogniowej naczelnej komendy przekreśla rękojmię bezpieczeństwa

⁸⁹ Tamże, s. 3.

Stolicy i obiektów zajętych przez wojsko; zagroził, że zaraz się uda do Regencji i wpłynął w końcu na zmianę decyzji; a potem dopóty trwały zabiegi Jego u różnych dygnitarzy, aż uwięzieni zostali wypuszczeni na wolność⁹⁰.

Z całą pewnością informacja o postępkach Tuliszkowskiego rozeszła się pośród strajkujących. O mały włos nie trafił do więzienia za to, że z poświęceniem bronił tych, których czyny gorąco potępiał.

Przebieg dalszych wydarzeń

Co działo się potem, redakcja „Kuriera Warszawskiego” relacjonowała z jedno- lub dwudniowym opóźnieniem, co jednak daje dobry wgląd w chronologię poszczególnych wydarzeń. Ich osadzenie w kontekście dni jest jak najbardziej istotne, bo pozwala na orientację, kto, co i w jakim momencie zrobił. Cytaty nastąpią po sobie w porządku chronologicznym ich publikacji. Wyróżnikami będą daty i pory ukazania się wiadomości. W ten sposób możemy wczuć się w sytuację przeciętnego, piśmiennego Warszawa-
wianka tamtych styczniowych dni. Oto wydarzenia oczami ówczesnego czytelnika gazet.

Niedziela, 20 stycznia (wydanie dwudniowe, bez podziału na wiadomości poranne i wieczorne).

Wczoraj oddziały straży ogniowej zakończyły strajk. Zanosilo się również na zakończenie strajku listonoszów poczty miejskiej, którzy w południe wyrazili chęć powrotu do pracy, wieczorem jednak delegacja tych pracowników oświadczyła, że musi jeszcze uzyskać zgodę na to ogółu swych współtowarzyszy w pracy. Kuchnie dla inteligencji były czynne. Kuchnie tanie, ludowe były jeszcze nieczynne⁹¹.

Poniedziałek, 21 stycznia, wydanie poranne.

Strażacy warszawskiej straży ogniowej, po trzydniowym strajku, postanowili: 1) powrócić na razie do pracy, 2) wystąpić do magistratu w sprawie strażaków z 2-go oddziału i 3) prosić magistrat, aby w jaknajkrótszym czasie rozpoznano postulaty strażaków⁹².

Poniedziałek, 21 stycznia, wydanie wieczorne.

Dziś w godzinach rannych podłożono nabój wybuchowy na szynach tramwajowych w celu zniszczenia zwrotnicy na ul. Żelaznej. ... Uszkodzenie toru jest bardzo nieznaczne. Za pomocą naboju wybuchowego usiłowano również uszkodzić tor tramwajowy w innym miejscu, lecz bezskutecznie.

*

Strajk dzisiejszy ma charakter manifestacyjny. Jest on wyrazem solidarności ze strajkiem robotników miejskich. Strajk dzisiejszy proklamowała lewica P.P.S. w odezwach, obficie rozrzuconych po mieście. Tak zwani „delegaci” strajkowi usiłowali wywołać bezrobocie w bankach. Agitacja w tym kierunku była bezskuteczna⁹³.

⁹⁰ J. Tuliszkowski, *Ś.p. Prezes Henryk Barylski*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 3.

⁹¹ „Kurier Warszawski” 1918, nr 19–20, s. 9.

⁹² Tamże, nr 21, wyd. poranne, s. 2.

⁹³ Tamże, nr 21, wyd. wieczorne.

Wtorek, 22 stycznia, wydanie poranne.

Strajk wczorajszy proklamowała nie — jak mylnie podano — „lewica P.P.S.”, lecz frakcja rewolucyjna P.P.S. (...)

Komendant straży ogniowej wydał następującą odezwę do strażaków:

Strażacy!

Popelniliście czyn, który dnia plama zaciążył na naszym sumieniu strażackiem. Opuśczenie posterunku jest w straży niedopuszczalne. Nie zdawaliście sobie sprawy, jaka zbrodnię popelniacie wobec najuboższej części ludności stolicy, która, mieszkając na poddaszach kamienic lub w drewnianych domkach na przedmieściach, najczęściej ponosi strat od pożarów. Nie zastanawialiście się, że dopuszczacie się zdrady wobec ojczyzny naszej, która wyzwoliła się z pęt wieloletniej niewoli i zaczyna się dopiero organizować i wy, jej synowie, podcinacie podwaliny jednej z nielicznych instytucji polskich, instytucji, która winna być zawsze przykładem niewzruszonego ładu i porządku, łamiecie dyscyplinę i karność strażaka.

Historja strażactwa polskiego nie zna podobnie hańbiącego czynu. Dopuściła się go straż ogniowa stolicy, która powinna być dla innych przykładem! Wiem, że opętani zostaliście siecią intryg i agitacji zewnętrznej, widzę, że żałujecie waszego, niebacznego kroku. Plamę zmyć możecie tylko przykładną pracą, absolutnem posłuszeństwem. Choć nie jesteśmy organizacją ściśle wojskową, rygor jednak wojskowy i karność surowa musza być podwaliną naszego porządku.

Czyniliśmy i czynimy starania u władz, aby strażacy II-go oddziału zostali wypuszczeni na wolność. Petycja wasza została przeze mnie przedstawiona władzom miejskim, i mam nadzieję, że będzie możliwie uwzględniona z wyjątkiem tych żądań, które w organizacji straży są zupełnie nie do przyjęcia.

Strażacy! Wierzę, że skruczą szczerą i przykładną pracą zyskacie stopniowo przychylną opinię ogółu całego, który się obecnie od was odwrócił, że dzielnem stawaniem w walce z ogniem pozyskacie miłość mieszkańców i będziecie ulubionymi dziećmi Warszawy.

Podp. komendant straży ogniowej m. st. Warszawy⁹⁴.

Można się z tego domyslać, że aresztowanie strażaków Oddziału II przyniosło również inne skutki, jak podburzenie pozostałych na wolności strażaków do zaostrenia akcji strajkowej o całkowity bojkot pożarów. To nastąpiło, ale wielu z nich umiało czytać, a wielu też słyszało o różnych wydarzeniach. Zdawali sobie sprawę, że od rozwoju tych wydarzeń będą zależały reakcje faktycznych władz, tj. Niemców. Że mogą oni, zamiast do rozładowania wagonów z mąką, by Warszawa nie wpadła w głód śmiertelny, użyć niemieckich żołnierzy do likwidacji wszelkich buntów. Choć na razie klasyfikacja czynów strajkowych była stosunkowo łagodna, mogła przecież ulec zaostreniu. Aresztowanie większej liczby strażaków nie było dla władz żadnym problemem. W tej sytuacji 40-tu strażaków Oddziału II stało się zakładnikami sytuacji ogólnej. Zatem strażacki strajk, jak nagle zaczął się 16 stycznia, tak skończył się po trzech dniach – 19 stycznia.

⁹⁴ Tamże, nr 22, wyd. poranne, s. 3.

Strajk w innych miejscach trwał dalej, dochodziło do bitew między zwolennikami strajku, a jego przeciwnikami (jak w przypadku napadów na tramwaje wożące żywność). Okazało się, że strajkujący dysponują bojówkami, zmuszającymi do przerwania pracy, przy tym szczególnym ich celem były zakłady pracy czy inicjatywy, mające na celu zapewnienie żywności, np. jadłodajnie dla ubogich. Trzeba naprawdę dużej dozy naiwności, by wierzyć, że ktoś o bardzo złej woli nie pociągał za te sznurki. A z drugiej strony „Warschauer Zeitung” skwapliwie donosił, że tylko dzięki dobrym zarządzeniom armii okupacyjnej Warszawa nie pogrążyła się w całkowitym głodzie i chaosie. W domyśle: Polakom nie można powierzać tak istotnych spraw.

List Tuliszkowskiego został napisany po decyzji strażaków o zaprzestaniu strajku i powrocie ich do służby.

Konsekwencje strażackiego strajku

Konsekwencje były krótko-, średnio- i długofalowe. Doraźnie konieczne było ratowanie przed więzieniem 40 kolegów, którzy się w nim znajdowali. Kwestia wizerunkowa nie dla wszystkich była ostatnia. Może to z tych powodów zaistniał w prasie przytoczony poniżej list. Pośród autorów brakowało ludzi zdolnych do formułowania myśli oryginalnych dlatego zawiera on sporo zapożyczeń z listu Tuliszkowskiego. I choć Komendant jest jego adresatem, to przecież nie tylko do niego go skierowano, skoro zdecydowano się na opublikowanie go w prasie.

W dniu 16 stycznia 1918 r., stawiając poprawienie bytu materialnego bez uprzedzenia i porozumienia się ze swoimi zwierzchnikami, nie zastanowiwszy się nad tym, jaką straszną odpowiedzialność bierzemy na siebie przez opuszczenie posterunku w tak ważnej i obywatelskiej instytucji, jaką jest Straż Ogniowa, która ma na celu niesienie pomocy w nieszczęściu i pożarze, ochronę własności zwykle najbiedniejszych i walkę ze strasliwym żywiołem ogniowym.

Dziś, po dojściu do równowagi z prawdziwym żalem i szczerze przyznajemy się do winy i sami potępiamy swój nieczyny czyn, jakiego dopuściliśmy się przez chwilową anarchię, która nas pochłonęła, a co było powodem, że wylamaliśmy się spod rygoru, poczucia obowiązków strażackich i dyscypliny prawie wojskowej, jaka nas obowiązuje. Pośpieszamy więc przede wszystkim przeprosić Wielmożnego Pana Komendanta za wszystkie przykrości, jakich W.P. Komendant doznał z naszej winy podczas tych strasznych dni naszego bezrobocia i oświadczamy:

- 1. że zrozumieliśmy stanowisko swoje wobec społeczeństwa,*
- 2. że gorliwą pracą, poświęceniem i sumiennością starać się będziemy naprawić nasz błąd, aby znów zyskać dla IV Oddziału dotychczasowo pokładane w nas zaufanie W.P. Komendanta,*
- 3. że w każdej sprawie z całą otwartością zwracać się będziemy nie inaczej, jak po porozumieniu się z naszymi zwierzchnikami do W.P. Komendanta uważając Go nie tylko jako swego Naczelnika, ale i Opiekuna, pokładać w Nim będziemy najgłębsze zaufanie i absolutną pewność, że W.P. Komendant zawsze będzie zwalczać każdą krzywdę, jaka się nam dzieć będzie.*

*Szeregowcy IV Oddziału Straży Ogniowej m.st. Warszawy (kilkadziesiąt podpisów).
Warszawa, dnia 25 stycznia 1918 r.*

List pokorny strażaków oddziału IV (a więc nie wszystkich) stał się powodem do wysnucia wniosków uogólniających, np. o relacji sługa-pan. O jego społecznym wydźwięku nie mówiono w ogóle. A przecież miał funkcję przeproszącą społeczeństwo, bo z całą pewnością niezbyt miło było, po trzech dniach – jak to wtedy mówiono – „bezrobocia” wychodzić na ulice w mundurze strażackim. Nawiasem mówiąc, zarówno list Tuliszkowskiego, jak i list strażaków, nie były niczym niezwykłym – na łamach „Kuriera Warszawskiego” można znaleźć kilka podobnych inicjatyw po stronie pracodawców i pracowników. Jak się przekonaliśmy, sprostowania prasowego dokonała nawet partia polityczna czyniąca zamieszki. Tymczasem strażacka pokora opłacała się zarówno w oczach społeczeństwa, jak i władzy. Oto finał:

Obwieszczenie

Na mocy rozporządzenia Ces.- niem. gubernatorstwa w Warszawie z d. 21/24 wzgl. 31 stycznia r. 1918 skazano na mocy §§ 1 i 2 ustawy jeneral-gubernatorstwa z d. 20 kwietnia r. 1917, tyczącej się ochrony interesów wojskowych w przedsiębiorstwach przemysłowych, 82 robotników przy wodociągach i 40 członków miejskiej straży ogniowej na 6 miesięcy więzienia, ponieważ d. 14 wzgl. 16 stycznia r. 1918 bez kontraktowego wypowiedzenia i bez względu na miarodajne dla ukończenia zajęcia przepisy porzucili wspólnie pracę przy wodociągach wzgl. przy straży ogniowej, a więc przy militarnie ważnych przedsiębiorstwach.

Wykonanie wyroku na razie odroczone, ponieważ skazani niezwłocznie podjęli znów pracę⁹⁵.

Tak wyglądały skutki krótkofalowe. Do średniofalowych należy zaliczyć następujące konsekwencje.

1. Pierwszą była dymisja Józefa Tuliszkowskiego z funkcji Komendanta, złożona z początkiem listopada 1918 r., co jeszcze omówimy. Nikt tego nie chciał, zdecydowały ambicje tego człowieka, a może i wgląd w przyszłość: jego projekty modernizacji i reorganizacji Straży Ogniowej m. st. Warszawy zostały odrzucone bądź też odłożone *ad acta* na czas nieokreślony. Oznaczało to, że byt strażaków również się nie poprawi.
2. Drugim skutkiem było to, że w 1919 r., pod rządami nowego komendanta, Józefa Hłaski, strażaków podzielono na dwie zmiany służbowe. Oznaczało to zwiększenie intensywności działań w czasie służby, ale też możliwość odpoczynku po działaniach, gwarantowaną regulaminem.

Ponadto strajk pociągnął za sobą dalekosiężne, bardzo negatywne konsekwencje – zresztą jak zwykle, gdy prywatnie społecznie motywowana dochodzi do bezwzględnie wyrażanego głosu. Mianowicie w niedalekiej przyszłości Bolesław Chomicz doszedł do wniosku, że nie można oprzeć kośćca ochrony przeciwpożarowej na zawodowych strażach pożarnych, gdyż nie traktują swojego zawodu ideowo, tylko jak najmici. Obawiał się, że próby obarczania strażaków zawodowych obowiązkami przez nich niechcianymi skończą się strajkami. To nastawienie okazało się

⁹⁵ „Kurier Warszawski” 1918, nr 22, wyd. poranne, s. 2.

czynnikiem decydującym w chwilach kluczowych, gdy już w wolnej Polsce trwała dyskusja o uzawodowieniu ochrony przeciwpożarowej. W jej toku zabrakło głosu poparcia prezesa wszystkich polskich strażaków – Bolesława Chomicza.

Perturbacje wojenne i około wojenne

W dniu 9 lutego 1918 r. Austro-Węgry i Niemcy podpisały separatystyczny układ pokojowy z Ukrainą Republika Ludową, przekazując jej terytoria oderwane od okupowanego przez nich Królestwa Polskiego, a mianowicie Chełmszczyznę i część Podlasia. To spowodowało powszechne oburzenie wśród Polaków. Polityka proaustriacka legła w gruzy. W Polskim Korpusie Posiłkowym doszło do buntu. (...) W nocy z 15 na 16 lutego 1918 r. oddziały dawnej II Brygady pod dowództwem pułkownika Józefa Hallera, po walce z oddziałami austriackimi, przerwały umocnienia pod Rarańczą. (...) 11 maja 1918 r. przyszło temuż Korpusowi, już pod dowództwem Hallera, walczyć tym razem z Niemcami pod Kaniowem⁹⁶.

W marcu 1918 r. Niemcy podpisali z Rosją sowiecką układ pokojowy, tworząc przy tym fakt dokonany utworzenia dotatkowego państwa na terenie ziem zabranych I Rzeczypospolitej, a też naruszając ziemie Królestwa Polskiego.

Niemcy wygasili front wschodni, by zabrać stamtąd wojska na zachód. Ale żadne przerzuty wojsk niemieckich i austriackich z frontu wschodniego na zachodni nie mogły już niczego zmienić, gdyż przewaga ilościowa Francuzów, Anglików i Amerykanów była nie do zniwelowania.

Mimo to wojna trwała nadal. Nim się skończyła, Tuliszkowski zdążył wydać w druku zwartym swoje artykuły z „Przeglądu Pożarniczego”, dotyczące usprawnienia WSO.

Projekt reorganizacji Straży Ogniowej m. st. Warszawy

Jesienią 1917 r., tuż przed wybuchem strajku Tuliszkowski złożył do druku zwanego *Projekt reorganizacji Straży Ogniowej m. st. Warszawy* – publikację, której fragmenty już od jakiegoś czasu ukazywały się na łamach „Przeglądu Pożarniczego”. Jej wydawcą było to samo czasopismo. Cenzura niemiecka zatwierdziła treść do druku w dniu 7 grudnia 1917 roku⁹⁷.

Nie wszystkie artykuły zebrane w publikacji zdążyły ukazać się wcześniej na łamach „Przeglądu Pożarniczego”. Ale temat opracowania nie był przedmiotem wyłącznie prac teoretycznych inżyniera Tuliszkowskiego, bo Komendant w połowie 1917 r. złożył w Delegacji XII Wydziału Urzędu Miejskiego projekt reorganizacji Straży Ogniowej m. st. Warszawy⁹⁸.

W formie książkowej nie było to dzieło bardzo duże – 36 stron druku plus plan, wszak jego tematem była reorganizacja wyłącznie samej ochrony czynnej jednego tylko miasta. Ważne jest z tego względu, że autor zauważył w nim bardzo niepokojące

⁹⁶ J. Nowak, *Szlak bojowy Legionów Polskich*, Kraków 1914, s. 111–112.

⁹⁷ J. Tuliszkowski, *Projekt reorganizacji Straży Ogniowej m. st. Warszawy*, Warszawa 1918.

⁹⁸ Tamże, s. 22.

tendencje (zresztą na własnym przykładzie), tj. skłonność dyletantów do autorytarnego wypowiadania się i wpływania na decyzje w dziedzinie tak skomplikowanej, jak ochrona przeciwpożarowa. Autor dał temu wyraz we wstępie – to stamtąd pochodzi motto do niniejszego opracowania. Posłuchajmy innych fragmentów wstępu, zwykle pomijanego u początku lektury jakiegokolwiek książki.

Daleki jestem od mniemania, że przedstawiony przeze mnie projekt jest skończenie doskonały. Możliwy jest trafniejszy podział miasta na rejony, więcej celowe ugrupowanie i rozmieszczenie oddziałów i posterunków, inne ich nawet wyekwipowanie. Krytyka więc tego projektu jest pożądana, ale krytyka rzeczowa.

Niestety jednak w ostatnich czasach w naszym życiu na polu autonomicznym, spotyka się sporo ludzi, którzy, nie będąc specjalistami, wszystkiego się imają; słyszy się laików, rezonujących o tym, o czym mają słabe pojęcie, a szczególnie łatwej i nieoględnej krytyce podlega straż ogniowa. (...) Toteż zastrzec się tu należy przed niefachowością krytyki; wszelkie natomiast trafne spostrzeżenia i uwagi rzeczowe będą przyjęte z wdzięcznością⁹⁹.

Niestety, zjawisko o którym napisał autor, miało się w miarę upływu lat pogłębiać, przyjmując koniec końców (ale nie za długo, bo w ciągu dekady) postać instytucjonalną, związaną z etatyzmem. Póki dyletanci wypowiadali się w kwestiach straży ogniowych, szkody jakie mogli przynieść, były mocno ograniczone. Gdy jednak okazało się, że na skutek układów politycznych obejmują stanowiska kluczowe dla ochrony przeciwpożarowej, to całokształt jej redukowali w czynach i ich skutkach do stanu wiedzy własnej, przyczyniając się do utworzenia i działania kulejącej służby czynnej i absolutnego zaniku – wszak nie mieli tego w głowach – służby zapobiegawczej. Zatem miało być gorzej. I było.

No i jeszcze jedno. *Projekt...* to pośrednie świadectwo samooceny własnej pracy, jaką Tuliszkowski wykonał na stanowisku Komendanta Straży Ogniowej m. st. Warszawy. Chciał daleko idących zmian, zatem w dwa zaledwie lata doszedł do kresu prac, jakie można było owoconie wykonać w stanie dotychczasowym.

Stan obrony czynnej Warszawy w 1917 r.

Zasadniczo opracowanie Tuliszkowskiego dotyczy Warszawy lewobrzeżnej, tj. Warszawy. Warszawa prawobrzeżna, tj. Praga, jest potraktowana marginalnie, ale systemowo – oddział centralny z dookólną siecią posterunków-pogotowi.

W 1915 r. nowy okupant zaznaczył swoją obecność w mieście w sposób charakterystyczny, mianowicie wyłączył telefony, które wówczas były podstawowym środkiem alarmowania o pożarach. Na szczęście nie zakazał kolportażu gazet, więc gazeciarze na swoich szybkich nogach pełnili rolę gołębi pocztowych. Tuliszkowski skorzystał z okazji, by postulować o system sygnalizacji pożarowej niezależny od telefonii ogólnodostępnej, na wzór działających w cywilizowanym świecie rozwiązań.

⁹⁹ Tamże, s. 6–7.

Koniecznym warunkiem niesienia szybkiej i skutecznej pomocy przez te wszystkie wyżej opisane oddziały i posterunki straży ogniowej jest dobra, dokładnie działająca sygnalizacja pożarowa. (...) Na skrzyżowaniach ulic, na placach, przy większych gmachach publicznych są ustawione t. zw. sygnalizatory słupy, mieszczące w skrzyni za szybą przycisk i telefon. Są one pomalowane jaskrawą farbą (czerwoną lub żółtą) i mają u góry kolorowe latarnie. Sygnalizatory są w łączone grupami do kilku łańcuchów przewodnikowych. Każda grupa sygnalizacyjna jest połączona ze swoim posterunkiem straży, gdzie mieści się specjalna tablica sygnałowa. Na niej, w razie naciśnięcia guzika w sygnalizatorze, odzywa się dzwonek alarmowy i wyskakuje odpowiedni Nr sygnalizatora.

Chcąc się dostać do przycisku, trzeba zbić szybę lub też specjalnym kluczem otworzyć drzwiczki skrzynki. Telefon, umieszczony w skrzynce, służy do zawiadomienia posterunku o rozmiarach ognia i dokładnego wskazania miejsca pożaru¹⁰⁰.

Ale to nie brak sygnalizacji był powodem do opracowania projektu reorganizacji działania warszawskiej straży. Niemiecki okupant zaznaczył swoją obecność w mieście również i w ten sposób, że przyłączył do niej okoliczne wsie, mające już kształt przedmieść. A przecież już wcześniej Warszawa była miastem rozległym, a zarazem gęsto zabudowanym i zaludnionym, przy czym o znacznym stopniu zabudowy drewnianej. W 1906 r. stan ten przedstawiał się następująco:

Mieszkańców stałych – 763.384, czasowych – 132.239; domów murowanych 5699, drewnianych i innych 1473, podmiejskich 5063; zakładów przemysłowych 485¹⁰¹.

Rozszerzenie obszaru miasta oznaczało objęcie terenów zamieszkałych przez około 100 tys. ludzi, użytkujących kilka tys. budynków i innych zabudowań. Owe tereny i zabudowania nie posiadały ochotniczych straży ogniowych ani żadnych innych form obrony czynnej przed pożarami (biernej również nie). W tym kontekście informacja Tuliszковского nabiera zupełnie innego wydźwięku.

Gdy się rzuci okiem na plan Warszawy, a szczególnie na plan jej nowych granic wraz z przyłączonymi przedmieściami, uderza swą niecelowością rozmieszczenie Oddziałów Straży Ogniowej. Trzy z nich I, II i IV są zgrupowane w centrum miasta w pobliżu siebie, a tylko III i V leżą cokolwiek dalej od śródmieścia.

Od I Oddziału III oddalony o 2,7 kilom., V-ty o 3,5 kim., gdy tym czasem IV zaledwie o 1,5 km., a II tylko o 859 metrów. Ta odległość jest nieproporcjonalnie mała w porównaniu do długości dróg, jakie straże wypada przebywać do ognia, wybuchłego na krańcach Wielkiej Warszawy, odległych od bliższych oddziałów o 5-6 i w więcej kilometrów.

Wobec tak rażących różnic, wobec obowiązków, jakie z przyłączeniem przedmieść spadły na naszą Straż, zreformowanie choć częściowe Oddziałów Straży Warszawskiej staje się koniecznym¹⁰².

¹⁰⁰ J. Tuliszkowski, *Projekt reorganizacji...*, s. 23–24.

¹⁰¹ E. Boss, *Dzieje Warszawskiej Straży Ogniowej w latach 1836–1936*, Warszawa 1937, s. 45.

¹⁰² J. Tuliszkowski, *Projekt reorganizacji...*, s. 9.

Wzorce

Wzorców Tuliszkowski dopatrywał się za granicą. Spośród różnych przykładów, jakimi dysponował (wiele z nich przedstawił na łamach „Przeglądu Pożarniczego”), jako wzorec wybrał organizację obrony czynnej przed pożarami Wiednia, łączącej szybkość działania ze znaczną siłą.

(...) ideałem obrony od ognia większego miasta powinno być rozmieszczenie w różnych punktach niewielkich oddziałów i posterunków w odległości 2-3 kilometrów jeden od drugiego z dużym centralnym oddziałem, mieszczącym silne rezerwy, które wysyłane są do większych pożarów. (...).

W 1903 roku, kiedyś zwiedzał urządzenia Straży Wiedeńskiej, w kilkunastu jej oddziałach były tabory, składające się tylko z 3-4 wozów i po kilka par koni z osadą 30-40 ludzi, gdy w centrali było około 150 koni i kilkuset ludzi, stanowiących silne rezerwy, podzielone na kilka samodzielnych taborów, uruchamianych w pewnej kolei.

Duża ilość koni i ludzi oraz możliwość wprowadzenia dzięki temu kolejnych dyżurów pozwoliły urządzić w Centrali Wiedeńskiej tabor, stale znajdujący się w gotowości do natychmiastowego wyjazdu. Tabor ten składał się z sikawki gazowej, z wozu rekwizytowego, drabiny mechanicznej i parowej sikawki. Każdy wóz stał zaprzężony w parę koni, a ludzie dyżurującej osady byli całkowicie uzbrojeni i znajdowali się przy narzędziach w gotowości do wyjazdu.

Wyjazd następował w parę sekund. Po uruchomieniu tego oddziału zaraz stawał na jego miejsce następny tabor w zaprzęgu uzbrojonym i strażakami również w gotowości zupełnej. Tym sposobem w razie dużego ognia tabory rezerwowe były mobilizowane kolejno jeden po drugim¹⁰³.

Tuliszkowski nie ominął kwestii motoryzacji straży, zyskującej na popularności już na przełomie wieków. Sam w wprowadził ją do straży warszawskiej. W projekcie, odnośnie wzorcowej straży wiedeńskiej, tak opisywał ten temat.

W owym czasie automobilizacja Straży Wiedeńskiej stawiała dopiero pierwsze kroki i w remizie centralnej znajdowało się zaledwie parę samochodów elektrycznych. Kiedyś, jadąc na międzynarodowy konkurs strażacki do Turynu w r. 1912-ym, zwiedzał urządzenia przeciwpożarowe w Wiedniu i Monachjum, zastałem tam już duże zmiany. Każdy z oddziałów, rozrzuconych w różnych dzielnicach tych miast, miał tabory, składające się z 3-4 samochodów, a mianowicie: z samochodu-sikawki z rotacyjną lub ośrodkową pompą, samochodowej drabiny oraz z samochodu-tendru z zapasem węży i dla przewożenia większej ilości ludzi. W centrali zaś stało kilkanaście samochodów, stanowiących również jeden główny i kilka rezerwowych taborów; prócz tego znajdowało się jeszcze kilkadziesiąt koni do wywożenia sikawek parowych rezerwowych.

Reorganizacja Oddziałów Straży Warszawskiej na modłę, zbliżoną do ustroju Straży Wiedeńskiej, staje się wprost konieczną, szczególnie wobec przyłączonych znacznych obszarów¹⁰⁴.

Dał tym samym sygnał, że motoryzacja straży pożarnej nie wpływa na koncepcję silnego centrum z ciężkimi odwodami i licznych, słabszych peryferii, za to szybko mobilnych, a co najważniejsze – szybko docierających na miejsce zdarzenia.

¹⁰³ Tamże.

¹⁰⁴ Tamże.

Zmieniają się tylko niektóre gadżety, zasada pozostaje ta sama – być jak najbliżej potencjalnego pożaru.

Charakterystyka oddziałów WSO

Tuliszkowski omawia poszczególne oddziały warszawskiej straży, pokrótce charakteryzując ich funkcjonalność i skuteczność w działaniu w odniesieniu do warunków koszarowych, dalekich – ogólnie mówiąc – od optymalnego stanu. Już samo nieprzystosowanie budynków do strażackich potrzeb powodowało niemożność ugaszenia pożaru w zarodku lub niewiele później – przez stratę czasu na czynności zbędne. Przypatrzmy się warunkom działania strażaków warszawskich. Poznamy zarówno warunki życia koszarowego, jak i charakterystyczne dla każdej strażnicy manewry, by do pożaru wyjechać. Dowiemy się wówczas, jak było, a także jak być powinno.

Jak zaznaczyłem na początku, w śródmieściu są zgrupowane w pobliżu trzy oddziały: I, II i IV. Reorganizację więc należy zacząć od tego, że jeden z tych oddziałów należy przenieść na centralę, dwa inne zaś zmniejszyć albo przenieść dalej. Który z tych trzech oddziałów nadaje się najwięcej na urządzenie centrali?

Oddział IV-ty ma pomieszczenie ciasne i wysoce wadliwe, bo po jednej stronie ulicy jest remiza, a po drugiej stajnia; przy tym koszary są ciasne i bardzo wilgotne (patrz protokół Komisji Sanitarnej). (...) Więc na urządzenie Centralnego Oddziału rzeczne pomieszczenie absolutnie nie nadaje się.

Oddział II-gi mieści się w Ratuszu i zajmuje dwa prawie całe skrzydła oficyny w drugim podwórzu ratuszowym. W przeciwieństwie do ubikacji IV-go Oddziału pomieszczenia w tym Oddziale są obszerne, suche i widne. Jednak pomimo tych zalet nie odpowiadają one, jak zresztą we wszystkich oddziałach, wymaganiom nowoczesnym, chociaż oś stajni jest równoległa do osi remizy, jednak budynek ten jest z boku remizy przed bramami i podczas wyprowadzania koni i zaprzęgania jest dużo zamieszania i trudności; sypialnie szeregowców mieszczą się zdaleka od remizy a przy tym na piętrze, gdy tymczasem w racjonalnie urządzonych budynkach strażackich, stajnia bywa tuż za remizą, równoległa do niej, a każde dwa stanowiska koni, przeznaczonych do wozu, znajdują się po obu stronach środkowej linii wozu tuż za nim; przy czym do każdego stanowiska prowadzą małe drzwi do remizy, co umożliwia nadzwyczaj szybki zaprząg bez mitręgi i obracania koniem. Sypialnie w takich strażach są albo tuż przy remizie albo lepiej jeszcze, jeżeli mieszczą się nad remizą, do której zaalarmowani strażacy spuszcza się bezpośrednio po pionowych drągach zamiast biec po karkołomnych schodach, popychając się, padając i wykręcając często nogi, jak to ma miejsce obecnie w II-gim i innych oddziałach. Jeżeli ubikacje w Ratuszu dla obecnego składu II-go Oddziału Straży są zaciasne (patrz protokół Komisji Sanitarnej), to cóż mówić o urządzeniu Centrali, która wymagałaby co najmniej dwa razy obszerniejszych pomieszczeń¹⁰⁵.

Nic dziwnego, że przy okazji reorganizacji Tuliszkowski proponował, by przenieść całe oddziały. Znalazł dobre ku temu zabudowania – po rosyjskich koszarach

¹⁰⁵ J. Tuliszkowski, *Projekt reorganizacji ...*, s. 12.

wojskowych. Uważał to za konieczne, bo dotychczasowe budynki większości oddziałów straży nosiły cechy wielkich improwizacji już w chwili ich adaptowania, a współczesnych wymogów nijak nie spełniały. W straży warszawskiej odnotowywano pośród strażaków kilkaset wypadków rocznie. Stan koszar miał w tym swój udział.

Nadal jednak nie widzimy, gdzie Tuliszkowski zorganizowałby centrum.

Omawiając tę sprawę, musimy więc zatrzymać się na koszarach I-go Oddziału, jako również leżących w śródmieściu. (...) Spoglądając na plan Warszawy w dawnych jej granicach, znajdziemy matematyczne centrum miasta w okolicach Placu Saskiego. Biorąc pod uwagę świeżo przyłączone przedmieścia, możemy oznaczyć środkowy punkt w przybliżeniu w okolicach koszar III-go Oddziału. Czy jednak zorganizowanie tam głównych rezerw Straży byłoby celowe?

W danym wypadku muszą być brane pod uwagę nie tyle dane geograficzne, ile warunki większego lub mniejszego niebezpieczeństwa, na jakie w wypadku większego pożaru jest narażona ta lub inna dzielnica miasta, oraz ewentualne straty, spowodowane przez późne przybycie znacznie oddalonych głównych sił strażackich.

Dzielnice miasta, położone na południe (rejon Oddziału III-go) są nowsze, zabudowane nowoczesnymi domami zamieszkałe przez zamożną klasę i inteligencję, mniej więc przedstawiają niebezpieczeństwa; natomiast dzielnice, leżące na północ i północno-zachód miasta, są to polacie gęsto nieplanowo zabudowane często drewnianym i domami, zamieszkałym i przez ubogą ludność robotniczą. Tu znajdują się duże fabryki, są tu nawet tartaki, położone wśród b. dużych składów drzewa, przedstawiających dla miasta groźne niebezpieczeństwo. Tu również w dzielnicy, ciasno zamieszkałej przez żydowską ludność (rejon Nalewkowski), znajdują się olbrzymie składy i zapasy różnego rodzaju towarów, przedstawiających dużą wartość. Są nawet ukryte materiały łatwopalne, jak celluloid, benzyna, spirytus i t.p., oraz mieszczą się znaczne zapasy żywności (składy na Stawkach). W tych dzielnicach, jak opiewa statystyka Straży Warszawskiej, najczęściej bywa pożarów. Wreszcie znajdujące się w pobliżu Stare Miasto przedstawia zabytki i drogie polskiemu sercu pamiątki, jak Zamek, stare historyczne kamienice, Muzeum Narodowe i t.p.; są tu zgrupowane i teatry.

W pobliżu więc tych dzielnic, przedstawiających poważne niebezpieczeństwo, powinna być urządzona projektowana centrala, w tych okolicach mniej więcej, gdzie się mieści Oddział Nalewkowski, mający na północ handlową dzielnicę żydowską wraz ze składami drzewa i tartakami, składami i żywnościowymi, na zachód — dzielnicę fabryczną na Woli, na wschód — Stare Miasto z zabytkami przeszłości z pobliskimi teatrami, na południe zaś — nowszą dzielnicę handlową.

Koszary I-go Oddziału mają obszerny plac, przydatny z czasem do rozszerzenia, i przedstawiają stare budowle o grubych ścianach, nadających się do nadbudowy przy powiększeniu pomieszczeń dla strażaków, mieszkań dla kierowników, dla centralnych magazynów i t.p.¹⁰⁶.

Zatem centralnym oddziałem miał być oddział nalewkowski, czyli Oddział I.

¹⁰⁶ Tamże, s. 13–14.

Co miało być docelowo?

Warszawa miała inny kształt niż Wiedeń, więc dokładne odwzorowanie tamtejszego modelu nie było możliwe. Natomiast zastosowanie pomysłu – już jak najbardziej tak. Zobaczmy, jak dokładnym analitykiem był Tuliszkowski.

Figura miasta, jak również warunki rozmieszczenia w nim dzielnic Starego Miasta z Zamkiem i Zabytkami, położenie handlowej dzielnicy starej i nowej, oraz fabrycznej, rozmieszczenie wreszcie przyłączonych przedmieść dokoła Miasta, przemawiają za podzieleniem Wielkiej Warszawy na trzy duże rejony. Nazwijmy je inspektorjatami: Północnym, Południowym i Wschodnim. W każdym z tych inspektorjatów winien być większy oddział z taborem rezerwowym i posterunki pomniejsze.

Inspektorjat Północny połączy obecne rejony I, II i IV oddziałów, położone w największej zagrożonej dzielnicy, mając tu Centralę Główną. Dwa inne inspektorjaty: Południowy (obecnie oddział III-ci) i Wschodni (Praski) będą posiadały każdy „podcentralę”. (...)

Dokoła oddziału głównego w każdym inspektorjacie są rozmieszczone półkolem, mniej więcej równomiernie po 3–4 posterunki pomniejsze; znajdują się one w środku większych zgrupowań budowli oraz przy głównych ulicach przyłączonych przedmieść¹⁰⁷.

Zatem nie jedna, a kilka central, a wokół nich sieć posterunków.

Czy Warszawa ma rzekę?

Oczywiście, że ma i jest to największa z polskich rzek – Wisła. Tylko że Warszawa jest od niej odwrócona. Tuliszkowski uważał, że gdy skończy się wojna, nastąpi żywiołowy rozwój Warszawy właśnie w kierunku rzeki jako naturalnej drogi transportu towarów. Oto wizje Komendanta Tuliszkowskiego, który pisząc je, rozumował nie tyle jako strażak, co jak inżynier i jak gospodarz. Niestety, niewiele z jego pomysłów zrealizowano.

Drugą wątpliwością jest pewien brak posterunków nad rzeką do obrony Powiśla, szczególnie po przeniesieniu III-go Oddziału na Plac Zbawiciela.

Zaniedbane dotychczas oba brzegi Wisły i stojące pustkiem całe polacie Powiśla muszą się w przyszłości zabudować. Na bulwarze Tadeusza Kościuszki stanie z czasem cały szereg wspaniałych gmachów publicznych. Oba wybrzeża, jak to widzimy w innych miastach nadrzecznych Europy, staną się z pewnością najzamożniejszą, najczęściej poszukiwaną dzielnicą miasta, a otwarte wyjście na morze z portem w Gdańsku skoncentruje handel w naszej stolicy i usieje dalsze brzegi uregulowanej, splawnej rzeki spichlerzami i składami. W razie ognia obrona tych wszystkich nadrzecznych dzielnic i zasobnych składów z odległych posterunków byłaby trudna i nieraz spóźniona. (...)

Nie ulega za tym wątpliwości, że z czasem na zachód i na północo-zachód od naszego inspektorjatu Północnego powstaną nowe dzielnice i koszary teraźniejszego I Oddziału staną się następną Centralą i pod względem geograficznego położenia, a inspektorjat ten wypadnie może wtedy nazwać centralnym, stwarzając nowe inspektorjaty Zachodni i Północny¹⁰⁸.

¹⁰⁷ J. Tuliszkowski, *Projekt reorganizacji ...*, s. 19–20.

¹⁰⁸ Tamże, s. 20–21.

Czytając powyższe informacje nie ma się wątpliwości, że tak być powinno. Ale nie było. Nie było też czego innego, co – wydawać by się mogło – było sprawą oczywistą z różnych innych względów, o których zresztą przeczytamy.

Co się tyczy obrony obu brzegów Powiśla, to na poważny wypadek pożaru bardzo dużą i skuteczną pomoc może okazać statek pożarowy. Wszystkie duże miasta nadmorskie i nadrzeczne oraz większe porty posiadają t. zw. statki pożarowe po jednym, dwa i więcej; np. Londyn posiada 5 statków, Brema 2 statki, Peterburg 3 statki pożarowe. Statki te przy gaszeniu płonących okrętów lub podczas pożarów nadbrzeżnych spichrzów oddają olbrzymie usługi, a nawet są w takich wypadkach wprost niezastąpione. (...)

Widziałem w roku zeszłym, zwiedzając urządzenie przeciwpożarowe w porcie Bremeńskim, statek pożarowy, na którym było parę mniejszych prądownic o przekroju pyszczka dwucalowym i jedna olbrzymia o otworze czterocalowym (około 105 mm.). Rzuciła ona istny potop wody, dając bardzo obfity, silny prąd o rzucie na odległość chyba przeszło 100 metrów.

Każda prądownica bywa osłonięta tarczą azbestową, chroniącą strażaków, kierujących prądem od żaru, gdy wypada statkowi blisko podejść do gorejącego statku i nacierać na rdzeń pożaru mocnym rzutem zwartego prądu wody¹⁰⁹.

A poniżej coś dotyczącego wniosków po pożarze mostu ks. Poniatowskiego, które w wielu aspektach z powodzeniem można odnieść do współczesności, chociażby zaistniałego w 2015 r. pożaru mostu Łazienkowskiego.

Wprawdzie koszt takiego statku może wynieść 60–80 tysięcy marek, lecz nabycie (...) stanowczo się opłaci. Za tym bardzo przemawia ostatni pożar mostu Ks. Poniatowskiego. Straty wynoszą podobno 300.000 marek. Gdyby Straż Ogniowa Warszawska posiadała taki statek, mogłaby uratować znaczną część mostu. Warszawa posiada i drugi most – Kierbedzia, oraz dwa mosty kolejowe, gdzie również jest sporo części drewnianych. Może być wypadek i na jednym z tych mostów taki sam, jaki wydarzył się ostatnio na moście Ks. Poniatowskiego, wtedy skuteczną pomoc i rzetelny ratunek może przynieść bezwzględnie tylko statek pożarowy¹¹⁰.

Koszty takich samych drabin

Ciekawostką jest, że zastąpienie trakcji konnej samochodową w przypadku drabin mechanicznych niosło ze sobą nie tylko walory operacyjne, ale i ekonomiczne.

Straż Warszawska używa 3-ch drabin mechanicznych systemu Magirusa, z tych 2 stanowiące własność miasta, mieszczą się w koszarach II-go i IV-go Oddziałów, a jedna jest własnością Zakładów Żyrardowskich, dana do użytku czasowego, stoi w 1-szym Oddziale. Wszystkie te drabiny są do pociągu konnego; z nich tylko Żyrardowska ma koła o kulkowych łożyskach, a pozostałe są tak ciężkie, że para mocnych koni z wielkim trudem ciągnie je i to powoli.

Szczęśliwym trafem w ciągu paru ostatnich lat nie było pożaru na wysokich piętrach, pożaru groźnego dla życia ludzkiego. (...) Coby się stało jednak, gdyby wybuchł podobny ogień w 4–5 piętrowej kamienicy?

¹⁰⁹ Tamże, s. 22.

¹¹⁰ Tamże, s. 24.

Zanim konie przyciągnęłyby drabinę mechaniczną z Oddziału Nalewowskiego lub Ratuszowego, upłynęłoby sporo czasu (20-30 minut), mieszkańcy by zginęli w płomieniach lub udusili się w dymie.

Tylko drabina samochodowa, przybywająca bardzo szybko do ognia i momentalnie, napędem elektrycznym sprawiona, może tu oddać nieocenione usługi. Kosztuje w prawdzie ten przyrząd do 40 tysięcy marek, ale nabycie jej pozwoliłoby na zredukowanie ilości koni o 3, a ilości strażaków o 5 ludzi, co w ciągu niespełna trzech lat zamortyzowałoby nakład (...)¹¹¹.

Co wyszło z tych projektów? Książeczka ukazała się w 1918 r., ale opisuje stan na połowę roku 1917. Pozostał on jednak aktualny aż do końca lat 30., z niewielką doprawdy zmianą utworzenia jednego posterunku. Zmiana istotna nastąpiła w innym miejscu i oznaczała jednocześnie wyraźny skok jakościowy –chodzi mianowicie o pełną motoryzację straży. Pod innymi względami w połowie lat 30. miał miejsce wyraźny regres Warszawskiej Straży Ogniowej, do czego przyczyniły się zarówno władze miasta, jak i związek zawodowy strażaków.

Zaczyna się Niepodległość¹¹²

Niemcy wojnę przegrywali, nie mówiąc już o Austro-Węgrach, gdzie rozprężenie przyjmowało rozmiary katastrofalne. Przewaga materiałowa i ludzka Ententy, po przybyciu wojsk amerykańskich, stała się miazdzącą. Niemcy podjęli ostateczne próby ofensyw, zakończone taktycznymi sukcesami, jednak wkrótce alianci przeszli do kontrofensyw, odzyskując tereny i nawet zyskując kolejne zdobycze. Na kontrataki armie niemieckie nie miały już sił – wyczerpano rezerwy ludzkie.

Jesienią 1918 r. rezerwy istniały jeszcze w marynarce wojennej, stojącej beczynnie na kotwiczowiskach aż od Bitwy Jutlandzkiej. Postanowiono nie tyle zrobić z marynarzy piechotę, co wysłać flotę wojenną do walnej bitwy morskiej. W obliczu wykonania rozkazów iście samobójczych znudzone dotychczas załogi wielkich okrętów podniosły bunt. Wkrótce okazało się, że jest to bunt o podłożu socjalistycznym, czyli identyczny – również co do skutków – jak ten w Rosji. Nastąpiły więc czasy rewolucji w Niemczech, bo bunty marynarzy rozlewały się na wielkie miasta i bardzo długo nie dawało się ich zdławić – przecież broń przeciw rządowi wycelowano kilkadziesiąt tysięcy ludzi szkolonych do jej użycia. Tak oto międzynarodówka socjalistyczna przystąpiła do działania.

Oddziały wojskowe armii lądowej nie wszystkich rozkazów chciały słuchać. Cesarz uciekł. Rząd republikański postanowił jak najszybciej wygasić wojnę, by rozwiązać problemy wewnętrzne, nim przybiorą obraz katastrofy, jak w Rosji sowieckiej. A na to właśnie się zanosilo, stamtąd płynęły nie tylko wzorce, ale i rozkazy.

¹¹¹ J. Tuliszkowski, *Projekt reorganizacji...*, s. 31.

¹¹² Chcąc pogłębić zagadnienie odzyskania niepodległości przez Polskę oraz udziału w tym polskich strażaków, poleca się następujące pozycje, pokazujące najnowszy stan wiedzy na ten temat: *Strażacka Niepodległa 1918–1920*, Warszawa 2018; „Przegląd Pożarniczy” 2018, nr 11; „Muzealny Rocznik Pożarniczy” 2018–2020, t. XIV.

Na tej sytuacji zyskała sprawa polska, bo musiała się pojawić jakaś siła, zdolna do powstrzymania Sowietów, gdyby zechcieli przyjąć z pomocą towarzyszom niemieckim. A nie kryli, że chcieliby. Niemcy zdali więc sobie sprawę, jak wielkiego potwora w postaci Rosji sowieckiej wyhodowali. Potwór ten, nie licząc się z kosztami, próbował ich zjeść. W tej sytuacji należało coś jak najszybciej przedsięwziąć.

Na Zachodzie niemieccy i austro-węgierscy wysłannicy usiedli do rokowań z Francją i Anglią, na razie odnośnie zawieszenia broni, a potem przemienionych w pokojowe, by jak najszybciej uwolnić wojska, potrzebne im do likwidacji kilku rewolucji socjalistycznych. Na wschodzie widzieli, że nowe bądź odnowione kraje, jak Estonia, Łotwa, Litwa, Białoruś i Ukraina nie są żadnymi przeszkodami dla Rosji sowieckiej. Zatem by odciąć się od wielkiego potwora sowieckiego, dokonali rozpaczliwej kalkulacji politycznej i postanowili wytworzyć na czas jakiś mniejszego – jak to traktowali – potworka, w postaci Polski. Były to kalkulacje tego rodzaju, że czas polityczny liczono nie w latach, a dosłownie w miesiącach i tygodniach. Również ze Wschodu należało ściągnąć żołnierzy niemieckich, którzy chętnie rzuciliby broń, aby tylko wrócić do domu.

Tonący brzytwy się chwyta. W Polsce już w od początku października rządził polski *de facto* rząd. Rządził i wcześniej, od jesieni końca 1917 r., powołany do życia przez Radę Regencyjną – ciało trójosobowe (z gabinetem pomocniczym), wyznaczone przez okupantów jako wyraz ich dobrej woli w odbudowie Polski. W dniu 7 października Rada Regencyjna proklamowała niepodległość Polski. Okupanci mało się już o to troszczyli – zajmowała ich ewakuacja. By tworzenie buforu polskiego od strony Rosji bolszewickiej przyspieszyć, na początku listopada 1918 r. z twierdzy Magdeburskiej wypuszczono Józefa Piłsudskiego, który przybył do Warszawy 10 listopada. Dzień później Rada Regencyjna złożyła władzę wojskową na ręce Piłsudskiego. Ten dzień przyjęło się uważać za datę powstania odrodzonej Polski, ale na terenie okupowanym już istniało kilka ośrodków władzy. Na szczęście nie konkurowały ze sobą.

Jakby na jeden sygnał w całej Polsce wybuchło wielkie powstanie zbrojne, kierowane myślą i wolą Piłsudskiego. Przystąpiono do rozbrajania Niemców i Austriaków.

Polska Organizacja Wojskowa a strażę pożarną

Niestety, w polskiej historiografii niepodległościowej strażę pożarną są niedostrzegane jako czynnik niepodległościowy. Istnieje Polska Organizacja Wojskowa, straży zaś nie widać. A przecież POW mogła tak wydajnie działać głównie dzięki temu, że istniała służba mundurowa, doskonale nadająca się do zamaskowania działalności niepodległościowej. Pod jej przykrywką pracownicy budowano struktury, szkolono ludzi i gromadzono broń.

Dużego rozmachu nabrała działalność szkoleniowa straży ogniowych w kierunku wojskowym po wybuchu wojny, w latach 1914–1915. Pod pozorem ćwiczeń strażackich prowadzono ćwiczenia wojskowe, nauczano szermierki, walki wręcz, posługiwania się bronią. Później tego

rodzaju konspiracyjną działalność szkoleniową prowadziła już we współdziałaniu ze strażami POW. Zasadniczo lokalne struktury POW powstawały na bazie ochotniczych straży ogniowych, choć były też liczne przypadki, że to właśnie peowiacy byli inicjatorami powstawania ochotniczych straży ogniowych, by pod maską ich legalnej działalności rozbudowywać POW i działalność patriotyczno-niepodległościową. Tak było np. we wsi Zbuczyn w Siedleckiem¹¹³.

Ale też nie trzeba było POW, by straże pożarne tamtych czasów stawały na wysokości zadania. Tam, gdzie inteligencja miała wiele do powiedzenia, gdzie straże nie zmieniły się w karykatury samych siebie, straże ogniowe ochotnicze były jedynymi organizacjami reprezentującymi społeczny ład. Mundur oznaczał tu wiele więcej niż tylko przynależność do organizacji pożytku społecznego, ograniczonego do pomocy na wypadek pożaru czy powodzi. Mundur oznaczał ład i dyscyplinę, co pokazały wydarzenia czasu ewakuacji Rosjan w 1914 i 1915 r., gdy straże pożarne w dziesiątkach miast chroniły ludzi przed bandytyzmem, a mienie wspólne przed rozgrabieniem.

Dość powszechną rzeczą było, iż na terenach opuszczonych przez Rosjan, a jeszcze niezajętych przez Niemców lub Austriaków, straże organizowały komitety bezpieczeństwa publicznego, straże obywatelskie lub milicje obywatelskie, zabezpieczające w miastach spokój, ład i porządek. (...) Podobną rolę spełniały również najaktywniejsze straże wiejskie¹¹⁴.

Nic zatem dziwnego, że w chwili upadku Niemiec i Austrii straże pożarne znów – póki nie powołano odpowiednich służb policyjnych – obejmowały służbę porządkową. Przede wszystkim w ramach POW i innych organizacji niepodległościowych przystępowały do rozbrajania Niemców i Austriaków (co równało się dołączeniu do powszechnego powstania zbrojnego). Tadeusz Olejnik w cytowanym opracowaniu zbiorczym wymienia jako zbiór otwarty następujące miasta i miejscowości, w których strażacy rozbrajali żołnierzy niemieckich: Praszka, Ryki, Gąbin, Ostrowiec, Mińsk Mazowiecki, Działoszyn, Różan, Latowicze, Lubraniec, Busk Zdrój, Chodecz, Ciechanów, Lipno, Warta, Wróblew, Ostrowiec Świętokrzyski, Kielce, Szczuczyn, Ostrolęka, Ostrów Mazowiecka, Kalisz, Mława i dziesiątkach innych miast, miasteczek i wsi, gdzie strażacy uczestniczyli w rozbrajaniu okupantów¹¹⁵.

Z reguły Niemcom nie zależało na oporze, tylko na jak najszybszym dostaniu się do domów, więc rozbrajanie miało przebieg na ogół bezkrwawy. Typowym obrazem tamtych czasów jest przytoczona w cytowanym opracowaniu relacja Teofila Kurczaka, naczelnika Ochotniczej Straży Pożarnej z Dąbkowic k. Łowicza.

Dnia 10 listopada przed wieczorem dowiaduję się, że oddział POW Bocheń, w którym byli przeważnie strażacy, dostał zawiadomienie, że od trzech dni jest Kominek aresztowany, a oni mają dzisiaj wyruszyć do Łowicza, o czym nie omieszkali zawiadomić. Niedługo przemaszerowali z obu pomocnikami przed mój dom. Pożegnałem się z żoną i dziećmi, objąłem

¹¹³ T. Olejnik, *Udział strażaków w walkach o wolność i niepodległość Polski (na terenie zaboru rosyjskiego)*, w: *Strażacka Niepodległa*, Warszawa 2018, s. 40–41.

¹¹⁴ Tamże.

¹¹⁵ Tamże, s. 43–44.

nad oddziałem komendę, przydzieliłem jeszcze do nich kilku strażaków najdzielniejszych z Ostrowa, reszcie kazałem czekać rozkazu i w drogę. Bocheniacy mieli ze sobą kilkanaście karabinów z nabojami. Podchodzimy pod Łowicz [...]. Podniosłem oddział na nogi. Jednego strażaka odkomenderowałem z rozkazem zaalarmowania sąsiednich straży i resztę z Ostrowa, a sami pośpiesznym krokiem poszliśmy do magistratu. Tu dostałem pióro i papier, rozesłałem rozkazy do wszystkich wiejskich straży w powiecie. O godzinie 11 było już ich kilkanaście. Dowiadujemy się, że w koszarach jest 600 żołnierzy niemieckich, którzy wybrali już spomiędzy siebie radę żołnierską i chcą pertraktować z nami. Chcieliby oddać broń, byleby im zapewnić bezpieczny przemarsz do stacji kaliskiej (dziś Zielkowice). Wysyłamy delegatów do umowy z nimi. Zawarli układ, że żołnierze z bronią pójdą do stacji i tam dopiero, po nadejściu pociągu złożą broń w kozły, gdyż obawiali się, że ludność może na nich po drodze napaść i wyrządzić im krzywdę. (...) powędrowaliśmy do koszar, zajmując je o godz. 4. Żołnierzy niemieckich wyprawiliśmy na stację, obstawiając ich kordonem strażackim, ażeby nie doszło do zakłócenia porządku publicznego [...]. Gdy pociąg nadszedł, żołnierze niemieccy złożyli broń w kozły, wsiadli do pociągu, zaśpiewali pieśń niemiecką, a nasi chłopcy wołali „do matek swoich jedźcie”. (...) Rozbroiliśmy niby Niemców, lecz nie padł ani jeden strzał. Ludzie tego dnia – ze łzami w oczach – rzucali się na siebie ze słowami „Jesteśmy wolni” (...). Część strażaków dostała rozkaz pilnowania mostów i obu linii kolejowych. Państwowy las „Sopy” zaczęła grabić miejscowa ludność. Straż w Domaniewiczach dostała rozkaz ukrócenia rabunku. Las uratowano od zniszczenia (...). Ochotnicze straże ogniowe trzymały posterunki prawie do Bożego Narodzenia, aż się zorganizowało Wojsko Polskie¹¹⁶.

Nie wszystkie rozbrojenia miały przebieg pokojowy. W historii ochotniczej straży pożarnej w Międzyrzeczu Podlaskim w dniu 16 listopada niemieckie oddziały z Białej Podlaskiej wsparły poddający się garnizon niemiecki z Międzyrzecza i uderzyły na posterunki POW (czyli w znacznej mierze strażackie), a po ich pokonaniu dokonały samosądów w mieście.

Tuliszkowski jako dowódca wojskowy

W Warszawie wielką aktywnością i skutecznością w rozbrajaniu Niemców wykazali się strażacy, a wśród nich Józef Tuliszkowski, który jednak od 1 listopada 1918 r. nie był już ich komendantem, tylko dowódcą wojskowym.

Początkowo Tuliszkowski postępował według z góry określonego planu. Kilkuset umundurowanych ludzi dostało odpowiedzialne zadania. Co prawda poniższa informacja wygląda na podjęcie akcji spontanicznej, ale z całą pewnością tak nie było.

W listopadzie, wraz z grupą strażaków, podjął akcję rozbrajania niemieckich okupantów. W koszarach na Nalewkach i w Pałacu Mostowskich zdobyli przeszło 600 karabinów ręcznych, 3 karabiny maszynowe oraz kilka skrzyń granatów i rewolwerów¹¹⁷.

¹¹⁶ T. Kurczak, *Jak daleko pamięć sięga*, Warszawa 1958, s. 124–126; cyt. za: Tadeusz Olejnik, *Udział strażaków w walkach o wolność i niepodległość Polski (na terenie zaboru rosyjskiego)*, w: *Strażacka Niepodległa*, Warszawa 2018.

¹¹⁷ W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski ...*, Warszawa 1995, s. 63.

Nie był to koniec podobnych działań zarówno Tuliszkowskiego, jak warszawskich strażaków.

Józef Tuliszkowski, jako komendant WSO, wybitnie współdziałał organizacjami woskowymi przy rozbrajaniu Niemców w listopadzie 1918 r. Przez racjonalne przyjmowanie stanowisk i placówek najniebezpieczniejszych, przyczynił się do uratowania krociowego majątku wojskowego¹¹⁸. Pod te czyny można podciągnąć: zabezpieczenie składów sapersko-minerskich na Powązkach oraz podobną akcję w Modlinie.

Jak widać Tuliszkowski był specjalistą od przejmowania ważnych obiektów wojskowych, tj. magazynów z bronią, amunicją i z materiałami wybuchowymi.

Na tym nie było koniec jego przygód, bo dowiedziawszy się o oblężeniu Lwowa przez Ukraińców, (...) zorganizował również spośród warszawskich strażaków ochotniczy oddział na odsiecz Lwowa, obejmując nad nim dowództwo, ale do wyjazdu tego, decyzja wojskowa, nie doszła. Uważano, że był bardziej potrzebny w Warszawie jako Komendant Straży¹¹⁹.

W chwili odzyskiwania niepodległości Tuliszkowski miał skończone 51 lat, a wkrótce miał obchodzić 52. urodziny.

¹¹⁸ Wniosek o nadanie Krzyża Walecznych Józefowi Tuliszkowskiemu, Centralne Archiwum Wojskowe 1921-25-I-300, 42(72).

¹¹⁹ W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski ...*, Warszawa 1995, s. 63.

W wojsku (1920–1926)

Śledząc uważnie tytuły poszczególnych części niniejszego opracowania rzuci się zapewne w oczy luka w danych. Mianowicie brak roku 1919. Tak okres ten od lat przedstawia się w ujęciu ogólnym.

Po rezygnacji w końcu 1918 r. ze stanowiska komendanta Warszawskiej Straży Ogniowej w następstwie strajków, których nie uznawał w straży pożarnej, pełnił przez rok obowiązki inspektora ochrony przeciwpożarowej w Dyrekcji Ubezpieczeń Wzajemnych. Przyczynił się do zasilania straży przez tę instytucję dotacjami na sprzęt i budownictwo strażnic OSP oraz na przeprowadzenie kursów pożarniczych¹.

Zdania te są prawdziwe, ale nie zgadzają się ze szczegółami biografii. Nie jest to winą Stanisława Pągowskiego, gdyż zarówno on, jak inni (np. Władysław Pilawski²) powtarzali te skróty myślowe za Stanisławem Rudnickim, który tuż po śmierci Tuliszkowskiego takie informacje opublikował³.

Bo luka jest tu nieprzypadkowa. Rok 1919 był czasem w życiu Tuliszkowskiego, gdy podjął kilka czynności zarobkowych, ale też oddawał się działalności społecznej, jednak stałego etatu długo nie posiadał. Tzn. pracował na etatach na początku i na końcu roku, lecz ów początek to czas urlopu, a koniec – praca dorywcza. Zatem jego stałe zatrudnienie, zaledwie kilkumiesięczne, nie może być powodem do wyróżnienia go jako wielkiego bloku życiowego. A już w szczególności, będąc zatrudnionym w firmie ubezpieczeniowej, nie musiał się przyczyniać (...) *do zasilania straży przez tę instytucję dotacjami na sprzęt i budownictwo strażnic OSP oraz na przeprowadzenie kursów pożarniczych*, gdyż z woli Bolesława Chomicza i tak były zasilane. Chomicz po prostu zatrudnił bezrobotnego kolegę, a Stanisław Pągowski poczynił uogólnienia.

Omówmy to, co faktycznie się działo.

Rok 1919...

...To był dziwny rok w życiu Tuliszkowskiego. Co nie znaczy, że Tuliszkowski nie był sobą. Poruszał się po kraju z niespożytą energią, angażując się w przedsięwzięcia z jednej strony zapewniające mu byt, a z drugiej podtrzymujące byt odrodzonej Ojczyzny. Nie tylko w jego życiu trwał nieporządek.

Zawirowania polityczne roku 1919

W dniu 11 listopada 1918 r. nastąpiło symboliczne przekazanie władzy przez rząd, powołany za sprawą okupanta człowiekowi, który przez tegoż okupanta był

¹ S. Pągowski, Józef Tuliszkowski. Pionier polskiego pożarnictwa i piśmiennictwa pożarniczego, „Przegląd Pożarniczy” 1981, nr 11, s. 9.

² W. Pilawski, Pionier polskiego pożarnictwa inż. Józef Tuliszkowski, „Przegląd Pożarniczy” 1990, nr 2, s. 13–14.

³ S. Rudnicki, Z żałobnej karty. Inż. Józef Tuliszkowski, „Przegląd Pożarniczy” 1939, nr 2, s. 48.

więziony za odmowę złożenia mu przysięgi. A sytuacja wcale nie była dobra – należało walczyć, w dodatku na wszystkich granicach.

Monarchia austro-węgierska uległa kompletnej katastrofie i z jej strony nie groziło Polsce wiele, za wyjątkiem czeskich roszczeń do Śląska Cieszyńskiego (czego Czesi dopięli, gdy Polska walczyła z Rosją sowiecką).

Trwała wojna z Ukraińcami o przynależność Małopolski Wschodniej, Wołynia i Podola. Wojnę tę Ukraińcy przegrywali, aż pojawiło się zagrożenie ze strony bolszewików, co zarówno na Polaków, jak Ukraińców podziało otrzewiająco.

Niemcy, choć przegrali wojnę, nie chcieli się zrzec Wielkopolski, ścigali więc siły wojskowe z Niemiec. W grudniu 1918 r. do Poznania przyjechał Ignacy Jan Paderewski, entuzjastycznie witany przez Polaków. Mniejszość niemiecka urządziła prowokacje wojskowe, więc 27 grudnia wybuchło powstanie wielkopolskie. Wkrótce Polacy wyparli Niemców z większości terenu Wielkopolski. Walki oficjalnie zakończono 16 lutego 1919 r., gdy Francja i Anglia podpisały z Niemcami układ przedłużający rozejm po Wielkiej Wojnie. Rozejmem tym objęto również front wielkopolski, co oznaczało faktyczną nienaruszalność polskich zdobyczy. Był to wielki polski sukces.

W dniach 23–25 sierpnia 1919 r. trwało powstanie sejneńskie przeciwko władzy i administracji litewskiej. Powstanie okazało się zwycięstwem dla Polaków i Sejny pozostały w Polsce. Nie był to jednak koniec zatargu polsko-litewskiego.

Także na Śląsku wybuchło powstanie. Trwało od 16 do 24 sierpnia 1919 r. i zakończyło się przegraną powstańców. Miało przejść do historii jako pierwsze, bo za rok, w dniach 19/20–25 sierpnia 1920 r. trwały walki II-go powstania śląskiego, zakończonego na korzyść Polski. Wspomnieć należy jeszcze III powstanie śląskie – najdłuższe, bo trwające od 2/3 maja 1921 r. do 5 lipca 1921 r. Tu sukces był połowiczny.

Na terenach spornych, już pod nadzorem rozjemców francuskich i angielskich, odbywały się plebiscyty, czyli głosowania ludności miejscowej, czy chcą Polski, czy Niemiec. Prawdziwą klęską był plebiscyt na Warmii i Mazurach, w wyniku którego polskojęzyczna ludność opowiedziała się za przynależnością do Niemiec, a Polska zyskała zaledwie siedem gmin. Zdobyto za to dostęp do Morza Bałtyckiego, co dla gospodarki kraju było tak wielką koniecznością, że gdyby przegrano na tym polu zmagania plebiscytowe, należałoby przystąpić do działań wojennych. I takie były zamiary.

Plebiscyty odbywały się na różnych ziemiach. Sposób ich organizacji stawiał w uprzywilejowanej pozycji Niemców, gdyż jednym z warunków uczestnictwa w plebiscycie nie było samo tylko miejsce zamieszkania na terytorium spornym – wystarczyło się tam urodzić. W związku z tym przyjeżdżały całe pociągi „obywateli” z głębi Niemiec, po to tylko, by zagłosować, wypić, zakąsić i na drugi dzień odjechać. Z Polski nie miał kto przyjeżdżać, wszak to przed wojną było za granicą. Również z tych powodów wybuchały powstania śląskie.

Największym zagrożeniem dla Polski okazali się bolszewicy. Jak to śpiewali w swojej głównej pieśni⁴: ruszali z posad bryłę świata. Początkowo miliony ludzi poszły dobrowolnie za ich propagandą, przyczyniając się do zwycięstwa systemu niewolniczego, o jakim świat nie słyszał. Następne miliony, jeśli nie chciały iść, czyniły tak pod przymusem, bez żadnego miejsca na jakiegokolwiek dyskusje czy wątpliwości. Kto wątpił, ten w pojęciach bolszewickich stawiał opór i był eliminowany.

Stara Rosja, reprezentowana w pobliżu polskich granic przez wodza Antona Denikina, była po staremu butna i pewna siebie. Niepodległej Polski sobie nie życzyła, więc ta wzajemnie jej nie wspomogła. Gdy jednak wycofujący się Niemcy zaoferowali Rosjanom szereg miast, leżących w granicach dawnej Rzeczypospolitej, a oni je przejęli prosto z rąk garnizonów niemieckich na przełomie 1918/19 r., w Polsce obudziła się konieczność walki z nowym, bezwzględny wrogiem, który zajął Wilno (i co na to ich ówcześni sojusznicy, Litwini?) i Mińsk, a chciałby sięgnąć po jeszcze więcej, na razie po Ren, ale docelowo – po Ocean Atlantycki. Rosja sowiecka najchętniej starłaby starą Rosję carską na proch i skazała na zapomnienie we wszystkim niemal, z wyjątkiem jednego – imperializmu. Z tego powodu, niejako kontynuując tradycję, nie uznawała istnienia wolnej Polski.

Wiosną 1919 r. odrodzona Polska uderzyła na wschód. Polacy zdobyli Mińsk, Bobrujsk i Borysów, odbili Wilno. Bolszewicy, zajęci na innych frontach wojny domowej, tymczasem nie mogli zebrać całości sił przeciw Polsce, więc do odniesienia tak spektakularnych zwycięstw wystarczyła Polakom „zaledwie” półmilionowa armia.

Wojna jednak trwała dalej. Biali, reprezentujący stary porządek w Rosji, przegrywali wojnę z czerwonymi. Dla interesów Polski korzystnym było zamieszanie w Rosji, ale szybko zrozumiano, że gdy czerwoni zwyciężą, zbiorą siły i uderzą na zachód. Należało uprzedzić te działania i stworzyć kilka faktów dokonanych, nim Rosja sowiecka pozbędzie się wewnętrznych problemów.

Niemcy mieli w tym czasie problemy własne. Na ich terenie trwały właśnie skutki rewolucji w kilku wielkich miastach, zapewne „przypadkowo” wywołanych w jednym czasie, z jedną myślą. Jeszcze w 1919 r. w Berlinie dosyć szybko uporano się z rewolucją komunistyczną, noszącą nazwę Powstania Spartakowców, a kierowaną przez Różę Luksemburg, Eduarda Bernsteina, Karla Kaustsky’ego i Karla Libknehta. Ciekawostką pozostaje, że – za wyjątkiem ostatniego – ludzie ci byli pochodzenia żydowskiego. Przywódców rewolty szybko schwytano i po prostu zastrzelono bez sądu. Podobna operacja likwidacji rewolucji nie powiodła się w Bawarii, gdzie Kurt Eisner (również żydowskiego pochodzenia) powołał do życia, na łamach rewolucyjnego ruchu, Wolne Państwo Bawarię. Eisnera zabito w zamachu, ale nie jego

⁴ *Międzynarodówka (L'Internationale)*, słowa Eugene Pottier, muz. Pierre Degeyter, powstały pod koniec XIX w., nieformalny hymn międzynarodowego ruchu socjalistycznego, przetłumaczony na 117 języków, w języku rosyjskim hymn Rosji sowieckiej, a potem Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich w latach 1918–1944, przeł. na jęz. polski przez Marię Markowską, działaczkę Polskiej Partii Socjalistycznej.

pomocników (Ernsta Tollera, Gustawa Landauera), którzy zmienili nazwę kraju na Bawarską Republikę Rad i natychmiast przystąpili do bardzo aktywnego, fizycznego likwidowania wszelkich jej przeciwników, również domniemych. To ściągnęło na nich wojska rządowe i dopiero wtedy czerwoną secesję bawarską zlikwidowano.

Na terenie Węgier w listopadzie 1918 r. powstała Węgierska Republika Ludowa, w dniu 21 marca 1919 r. zmieniona w Węgierską Republikę Rad. Rządził nią przy pomocy terroru Bela Kun (właściwie Bela Kohn, znów człowiek żydowskiego pochodzenia) aż do sierpnia 1919 r., gdy siły praworządne, wspierane wojskami Rumunii, Bułgarii i Czechosłowacji, przywróciły normalność. No i na Słowacji, tuż za granicą z Polską, powstała Słowacka Republika Rad, zlikwidowana przez Czechów, z pomocą Ukraińców w dniu 7 lipca 1919 roku.

W Austrii doszło do rewolucji, na skutek której rady żołnierskie uznały przywództwo rad robotniczych, te zaś rady uznały władzę Friedricha Adlera, polityka żydowskiego pochodzenia, wsławionego tym, że w 1916 r. zastrzelił premiera Austrii. Doszło do nieudanej próby przejęcia władzy przez komunistów.

Gdyby ktoś dziwił się fali nowego antysemityzmu europejskiego tamtych czasów, to powinien wziąć pod uwagę tych kilka powyżej przytoczonych faktów. Współcześni nie znali pojęcia poprawności politycznej, a na własnej skórze odczuli skutki rządów samozwańczych przedstawicieli ludu. Owe ruchy rewolucyjne, równie bezwzględne jak bolszewickie w Rosji, z adekwatną brutalnością stłumiono. Tym samym kawiarniani krzykacze pokroju Adolfa Hitlera mogli utożsamiać komunizm z judaizmem, choć komuniści żydowskiego pochodzenia likwidowali również niekomunistów żydowskiego pochodzenia: kryterium do likwidacji (rewolucje, oparte na czynnikach emocjonalnych, a nie racjonalnych, nikogo nie przekonywały do siebie wyszukaną argumentacją, po prostu kto był przeciw, musiał zginąć) wcale nie było tu rasowe, tylko stanowe i światopoglądowe. A jednak zastanawiającym było, jak wielu przedstawicieli tej narodowości parło, by z posad ruszyć bryłę świata, dając tym samym silną pożywkę antysemityzmowi.

Perturbacji socjalistycznych nie uniknęła też nowo powstająca Polska. Piłsudski i PPS dokonali króciutkiego zamachu stanu, ogłaszając, że odrodzona Polska to Polska Republika Socjalistyczna, ale szybko potraktowano to zamieszanie jako swoisty żart, podobnie jak wyjątkowo nieudolnie przeprowadzony przez kilku oficerów o przekonaniach narodowych zamach na Piłsudskiego.

Dymisja Tuliszkowskiego ze stanowiska Komendanta WSO i jej finał

W tym czasie, gdy ważyły się losy Polski, w życiu Tuliszkowskiego następowały poważne zmiany. W opracowaniach na ten temat można znaleźć różne daty jego rozstania ze stanowiskiem Komendanta Straży Ogniowej m. st. Warszawy. Trauma strajkowa była tu podobno czynnikiem decydującym, ale też całkiem długo wytrwał na stanowisku, skoro niektórzy liczą datę jego zerwania na 4 marca 1919 r., czyli ponad

rok po zakończeniu strajku. Wygląda to jak próba dopisania jakiejś wielkiej idei do podjęcia przez Tuliszkowskiego decyzji pragmatycznej. Tymczasem wyjaśnienie może okazać się całkiem proste, lecz nie leżące w sferze dokumentów i myśli jawnych.

Rzeczywistość pod okupacją niemiecką formalnie sprzyjała Polakom. Ot, nawet strażacy brali udział w uroczystych obchodach z okazji dnia 3 maja, czyli polskiego święta narodowego. Równie uroczysto obchodzono rocznicę powstania styczniowego. Ba! Wystawiano przedstawienie, o czym można było przeczytać w prawie każdym wydaniu styczniowym z 1918 r. „Kuriera Warszawskiego”, pt. „Tanki angielskie pod Cambrai”. Co prawda równie dobrze mogło to być przedstawienie propagandowe armii pruskiej, jak to sobie doskonale pod Cambrai z nową bronią angielską poradziła – przecież nie od rzeczy byłby wtedy domysł, że ta pruska armia nie posiada tego rodzaju gadżetów.

Dalej o otwartości okupanta mogło świadczyć i to, że rokowania pokojowe niemiecko-bolszewickie w Brześciu relacjonowano w prasie szczegółowo, nie wahając się przed formułowaniem kąśliwych uwag pod adresem Rosji, Niemców i Ukraińców, jawnie mówiąc o interesach polskich. Radę Regencyjną z rządem traktowano jako polski rząd (wszak była rozbudowana o ministerstwa) i oczekiwano od niej nie samego tylko sprawnego działania w zarządzaniu obszarami okupowanymi, ale przede wszystkim uwzględniania polskich interesów (w wyniku niedopuszczenia do rokowań pierwszy polski rząd, w dniu 11 lutego 1918 r. rząd Kucharzewskiego zgłosił dymisję, a w jego miejsce Rada Regencyjna powołała 27 lutego prowizorium rządowe Antoniego Ponikowskiego). Ale...

...Ale i tak wszystkie decyzje zależały od czynników, na które Polacy wpływu nie mieli, choć wolno im było we własnych, polskich gronach dyskutować sobie do woli. W dodatku tak szeroko komentowany przebieg negocjacji pokojowych wyraźnie wskazywał, że cesarstwa niemieckie zawrą pokój z Rosją sowiecką kosztem nie tylko dawnej, wielkiej Rzeczypospolitej, ale nawet tego małego Królestwa Polskiego. Że utworzą kilka państw, które nie dość, że ogarną połacie ziemi z milionami Polaków, to staną się również z gruntu wrogimi państwem polskiemu (Litwa, Białoruś, Ukraina). Że nie będzie mowy o oddaniu ziem utraconych w czasie zaborów na rzecz Austrii i Prus. Że Polska, jaka wyjdzie z tych porządków, będzie krakiem małym, w dodatku okrojonym przez – jak mówiono – „apetyt ukraiński” aż niemal po Kraków i Lublin. W tej sytuacji walka zbrojna o byt albo niebyt kraju o tysiącletniej bez mała tradycji będzie koniecznością.

W przygotowanie tej walki bardzo zaangażował się Tuliszkowski. Nawiązał mnóstwo niezbędnych, konspiracyjnych kontaktów, przygotował ludzi i plany działania. To, że omal tych przygotowań nie wywrócili do góry dnem warszawscy strażacy, nie oznaczało, że mógł tak po prostu na nich się pogniewać za tę niesubordynację. Przekreśliłby bowiem szereg planów, jakie propolska i ponad zaborami siła wyższa, czyli Polska Organizacja Wojskowa, wiązała z garnizonem strażackim Warszawy. Osoba Tuliszkowskiego, tak rzutkiego przy akcjach gaśniczych, popularnego

w społeczeństwie warszawskim i w magistracie miasta, imponującego profesjonalizmem nawet Niemcom, posiadającego autorytet tego rodzaju, że strażacy publikowali listy prześlągalne, była w tym przedsięwzięciu kluczowa.

Oficjalnie Józef Tuliszkowski przestał być komendantem warszawskiej straży 1 listopada 1918 r., a przecież dowodził strażakami w akcjach rozbrajania Niemców, przejmowania od nich koszar i magazynów wojskowych, tudzież brał ze strażakami – niezbędny ze względu na powodzenie przedsięwzięcia – udział w przejęciu twierdzy Modlin. Oficjalnie Rada Miasta rozstała się z nim w dniu 3 marca, podejmując w tym zakresie specjalną uchwałę dziękczynną.

Co zatem zaszło między tymi datami, jak je pogodzić?

Prawdopodobnie było tak:

Tuliszkowski złożył dymisję z dniem 1 listopada 1918, co jednak nie oznaczało natychmiastowego jej rozpatrzenia i przyjęcia. Ale przestał z tym dniem pełnić funkcję komendanta, gdyż, tak po prostu, udał się na zaległy urlop, należący mu się za ponad trzy lata nieprzerwanej służby. Urlop taki powinien trwać około trzech miesięcy. Między 1 listopada a 3 marca jest właśnie trzy miesiące. I był to urlop związany z działalnością komendanta-strażaka, bo przecież nie komendanta-żołnierza.

Funkcję komendanta-strażaka objął z dniem 1 listopada 1918 r. kapitan Józef Hłasko, który najprawdopodobniej dopiero na mocy zawartego pokoju w Brześciu powrócił ze strażakami warszawskimi z trzyletniej poniewierki w Moskwie. Wrócił wyczerpany fizycznie i psychicznie, z rodziną, która przeszła gehennę bandyckich rządów bolszewizmu, ale też w sytuacji takiej, że trzeba było dla niego znaleźć jakieś miejsce do życia. I dla strażaków, co wytrwali. Czy to działo się bezkonfliktowo z obsadą dotychczasową, strajkową? Roszady w straży już trwały, kilku żyrardowskich strażaków wróciło do Żyrardowa, podobnie jak część taboru i koni.

Tym samym Hłasko zajął się w WSO sprawami strażackimi, a Tuliszkowski – wojskowymi.

Wkrótce sprawy wojskowe chwilowo ucichły, zajęli się nimi wojskowi, których było mnóstwo, również w korpusie oficerskim. Tuliszkowski, korzystając z urlopu i nadarzających się okazji, zaczął się rozglądać za jakąś posadą stałą. Jako wiceprezes Związku Floriańskiego odbywał podróże służbowe, w tym również mające na celu zjednoczenie polskich strażaków. Jako że Poznań był świeżo po zwycięskim powstaniu wielkopolskim, na stanowiskach dowódczych w strażach zabrakło wykształconych dowódców – dotychczas takie funkcje mogli pełnić wyłącznie Niemcy. Tuliszkowski zaoferował się na komendanta poznańskiej straży i naprawdę niewiele brakowało, by nim został, bo miał wszelkie dane ku temu, łącznie z preferowaną znajomością języka niemieckiego. Sprawa była bardzo zaawansowana, kandydat z Warszawy dostał niezwykle pochlebne referencje od warszawskiego magistratu, ale w końcu nic z tego nie wyszło, z przyczyn do dziś niejasnych. A w Wielkopolsce jeszcze czas jakiś zatrudniano Niemców na ważnych posadach – by system się nie rozleciał – w tym również w strażach pożarnych.

Tak oto Tuliszkowski okazał się bezrobotny, tzn. nie objął żadnego etatu. Publikował w „Przeglądzie Pożarniczym”, dorywczo robił jakieś projekty, ale pracy stałej nie miał. Pomocną dłoń do przyjaciela wyciągnął Bolesław Chomicz, zatrudniając Tuliszkowskiego jako inspektora w Polskiej Dyrekcji Ubezpieczeń Wzajemnych (tak wtedy nazywała się objęta wcześniej przez niego firma: Instytucja Ubezpieczeń Wzajemnych od Ognia), na ostatnich parę miesięcy 1919 roku.

Tuliszkowski w wojsku

Rok 1918 był zaledwie początkiem długiej walki o wolność, jaką Polska musiała przejść. Rozpychały się wszystkie kraje Europy Środkowej, stare, nowe i odnowione. O kształcie granic miały zdecydować plebiscyty, ale najczęściej do powiedzenia miały karabinowe kule i bagnety. Zasadniczą instytucją, której Polska w danej chwili potrzebowała do istnienia, było wojsko. A wojsku potrzeba było broni, amunicji i żywności, co jest oczywiste, ale też mundurów i innej odzieży, uprzęży, różnych paliw, opon, samochodów, wozów i wszelkich innych dóbr, które byłyby do dyspozycji, tudzież kwater, koszar, stajni, garaży i magazynów.

Wojsko gromadziło te dobra, w sposób – bywało – chaotyczny, ale też zewsząd. Dość powiedzieć, że samych karabinów używano kilkunastu systemów, nawet japońskich! Każdy miał inny rodzaj amunicji. Jednostki wysyłano na fronty wielu wojen, a w ślad za nimi te dobra, do magazynów strategicznych, głównych, etapowych, podetapowych itd. Mimo różnorodności typów i często znacznego zużycia, a co za tym idzie, ograniczonej w czasie przydatności, każdy sprzęt wojskowy był cenny w sytuacji, gdy na miejscu produkowano głównie ubrania i rzemienie, a wojny nie ustawały. Nie było ani czasu, ani środków na to, by ustalić jakieś wzory pojazdów, broni i oporządzenia, przyjąć najlepsze z nich i dopiero ruszyć na wojnę. Wojny przychodziły same i trzeba było radzić sobie tym, co posiadano. Jeśli nie posiadano, było się bezbronnym. I na to przeciwnik liczył. Wojskowi dobrze wówczas rozumieli te kilka prawd, wyrażonych tak precyzyjnie na piśmie kilkanaście lat później.

Każdy pożar obiektu wojskowego nie tylko naraża majątek państwowy na straty materialne, tym dotkliwsze i bardziej bezpośrednie, że majątek ten z różnych względów nie jest i nie może być ubezpieczony od ognia, ale ponadto, przez zniszczenie sprzętu wojskowego, którego ponowne wyprodukowanie wymaga pewnego czasu, obniża potencjał obronności Państwa, co może być o wiele groźniejsze od strat materialnych. Dlatego też, poza normalnymi przyczynami, powodującymi zazwyczaj pożary, trzeba się liczyć jeszcze z dodatkowym zagrożeniem obiektów wojskowych ze strony czynników, którym może zależeć na osłabieniu siły bojowej naszej armii. Jest rzeczą zrozumiałą, że w tych warunkach sprawa należytego zorganizowania akcji przeciwpożarowej na terenie wojska nabiera szczególnego znaczenia, które od dawna już zostało w całej pełni docenione przez władze wojskowe⁵.

⁵ M. Radwan, Obrona przeciwpożarowa w wojsku, „Przegląd Pożarniczy” 1938, nr 11, s. 350.

Sformułowania „od dawna” i „w całej pełni” w przypadku Polski oznaczały datę zatrudnienia Tuliszkowskiego, czyli 1920 rok.

Wszystkie te dobra, których było wiele, a ciągle za mało, zaczęły płonąć w rozlicznych pożarach. Wojsko postanowiło zasięgnąć rady, co robić, w Związku Florianńskim. Tam udzielono mu samych dobrych rad, tylko by i to zrealizować, należało się na tym znać. Wojsko po krótkim zastanowieniu zaproponowało, że wytworzy odpowiednie struktury, ale na ich czele musi stanąć najlepszy fachowiec w kraju, bo działać trzeba już, od wczoraj. Najlepszym fachowcem był Józef Tuliszkowski.

I takim to sposobem Józef Tuliszkowski, lubujący się w mundurach, z początkiem 1920 r. przywdział najskromniejszy z dotychczas noszonych: wojskowy. Starania o to podjął jako świeżo zatrudniony inspektor w ubezpieczeniach, bo podanie złożył 18 października 1919 roku. Można powiedzieć, że jak na biurokrację wojskową działano całkiem szybko. Prawdę mówiąc, zatrudnienie przez polskie wojsko kogoś pokroju Tuliszkowskiego było koniecznością. Wojna z Rosją sowiecką weszła bowiem w stadium decydujące, a bez właściwej ochrony przeciwpożarowej sabotażyści zniszczyliby pożarami większość skromnych zasobów.

16 stycznia 1920 r. zgodę na przyjęcie J. Tuliszkowskiego na kierownika tego wydziału wydał I wiceminister gen. Stefan Majewski. Referencji udzielili: B. Chomicz, Piotr Drzewiecki – ówczesny Prezydent m. st. Warszawy i Władysław Grabski – poseł do Sejmu Ustawodawczego⁶.

Z osób rekomendujących dotychczas nie znaleźmy tylko prezydenta Warszawy.

(...) referat pożarnictwa wojskowego powstał w Min. Spraw Wojskowych w lutym 1920 roku przy b. departamencie VIII-ym budownictwa, a od 2-ch lat przydzielony został do departamentu V-go inżynierów i saperów⁷.

Referat ten natychmiast został obsadzony.

Inż. Józef Tuliszkowski rozpoczął służbę w Wojsku Polskim 14 lutego 1920 r. w tymże Departamencie, na stanowisku kierownika Wydziału II, sekcji II, jako urzędnik wojskowy VII rangi, powołany dekretem Naczelnego Wodza (...)⁸.

Stanowiska tego nie utworzono raz na zawsze, ale – mimo reorganizacji – nie zlikwidowano go, przynajmniej nie od razu.

W lutym 1920 roku objął w Ministerstwie Spraw Wojskowych stanowisko kierownika działu pożarnictwa początkowo w Departamencie Budownictwa, a następnie w Departamencie Inżynierii i Saperów. Przez pięć następnych lat pracy zawodowej wniósł duży wkład w organizację ochrony przeciwpożarowej w wojsku polskim⁹.

Wojna z bolszewikami

Bolszewicy życzyli sobie, by cały świat ogarnęła rewolucja socjalistyczna, no i po trosze go ogarniała. Dla istnienia Polski nie było w tych życzeniach miejsca.

⁶ W. Jabłonowski, Józef Tuliszkowski..., Warszawa 1995, s. 67.

⁷ S. Pągowski, Wojskowe straże pożarne (wywiad z Józefem Tuliszkowskim), „Przegląd Pożarniczy” 1923, nr 9, s. 136.

⁸ Tamże, s. 67–68.

⁹ S. Pągowski, Józef Tuliszkowski. Pionier polskiego pożarnictwa i piśmiennictwa pożarniczego..., s. 9.

Powołana do życia Komunistyczna Partia Polski usilnie starała się o to, by wyraz „Polska” usunąć z map – i czyniła tak aż do 1938 r., gdy partię tę wykreślił łącznie z członkami jej wódz, Józef Wissarionowicz Dżugaszwili, tj. Stalin (ocaleli z czystki tylko ci, którzy siedzieli w polskich więzieniach, a jednak nie zmienili poglądów).

Naczelnik Piłsudski nie chciał prowadzić walki w osamotnieniu. Skoro stara Rosja nie życzyła sobie Polski, postawił w rachubach politycznych na nowe państwa, powstałe na gruzach Rosji. Tak wsparł niepodległościowe dążenia Ukraińców – tych samych, przed którymi kilka miesięcy wcześniej Polskie Orleża broniły Lwowa. Pod koniec kwietnia 1920 r. polskie i ukraińskie wojska rozpoczęły ofensywę na Kijów, który zajęły 7 maja. U ludzi świadomych historii pojawiły się skojarzenia z I Rzeczpospolitą, z czasów, zanim wybuchło fatalne w skutkach powstanie Chmielnickiego z 1648 r. – Polska znów jest wielka i sięgnęła tam, gdzie sporo swego czasu zainwestowała materialnie i intelektualnie.

Bolszewicy na granicy z Polską zgromadzili potężne siły. Wkrótce zaczął się ich napór na północy, a gdy tam przekierowała się uwaga polskich czynników decyzyjnych, okazało się, że na południu uderzyły nowe, wielkie siły bolszewickie, w dodatku bardzo doświadczone w walce. Wkrótce Polacy opuścili Kijów, a z nimi polscy cywile, mieszkający dotychczas w Kijowie, wśród nich brat Bolesława Chomicza, Leonard z rodziną.

W czerwcu 1920 r. polskie wojska zaczęły ponosić dotkliwe porażki na rozciągniętym froncie wschodnim. Porażki to jeszcze nie klęski, ale raz rozpoczętego odwrotu z pozycji pod Kijowem czy Mińskiem nie było gdzie zatrzymać, a odwrót zawsze oznacza straty, zwłaszcza sprzętowe. Polska prowadziła wojnę z wrogiem ludzkości, niestety – ludzkość niechętnie udzielała wsparcia Polsce. Broni i amunicji w Europie było wiele. Można było ją pozyskać całkiem tanio, a nawet za bezcen. Praktycznie każdy kraj zwycięski w Wielkiej Wojnie mógł kupować dowolne ilości taniej broni, tylko nie Polska. To znaczy broń dawało się kupić, natomiast bardzo trudno było ją przywieźć tam, gdzie była najbardziej potrzebna.

Polska miała niezbyt wielu prawdziwych sojuszników, a właściwie tylko jednego, który próbował udzielić czynnej pomocy – Królestwo Węgier. Generalnie rzecz biorąc, Anglicy uważali, że dogadają się z Rosją sowiecką kosztem Polski właśnie, w związku z tym lord Curzon – na nasze nieszczęście – wymyślił linię etnicznej granicy Polski na Bugu, zwaną potem linią Curzona. Anglicy nie chcieli Polski, ale nie wysyłali wojsk, by ją niszczyć. Francuzi zaś raczej byli Polsce przychylni, ale nie wysyłali wojsk, by ją wspomóc, za to udzielali pomocy materialnej. Lecz między Francją a Polską były Niemcy, które Polski nie życzyły sobie pod żadnym względem.

Propaganda bolszewicka, jakoby wszyscy robotnicy świata byli braćmi, też wydawała owoce: pracownicy transportu, „towarzysze” z wielu krajów blokowali transporty broni do Polski na różne sposoby, od strajków po rekwizycje. Całą epopeję można napisać o pociągu z bronią i amunicją z Węgier, który dotarł akurat w sam czas, by wspomóc Bitwę Warszawską, zwaną Cudem nad Wisłą. W węgierskich zakładach Manfred Weiss w Csepel (Budapeszt) załadowano do pociągu 22 mln szt.

amunicji karabinowej, poważne ilości amunicji artyleryjskiej i części do karabinów systemu Mausera, następnie całość odprawiono do Polski. Czesi zablokowali ten transport. Podobnie zablokowali takie transporty socjaliści austriaccy, trwale uniemożliwiając dostawy uzbrojenia z Francji do Polski tą drogą. Jedyna dostępna droga prowadziła przez Rumunię – kraj przychylny Polsce, a następnie szlakami kolejowymi wzdłuż, a nie w poprzek Karpat. Po wielu przygodach pociąg z Węgier z amunicją (80 wagonów) dotarł w dniu 12 sierpnia 1920 r. do Skierniewic¹⁰, choć normalnie rzecz biorąc powinien dotrzeć do Polski znacznie wcześniej. W dwa dni później, 14 sierpnia, węgierskiej amunicji użyto pod Radzyminem, odpierając bolszewików spod Warszawy. Dzień później, 15 sierpnia, zaczął się Cud nad Wisłą.

Ogólna sytuacja transportowa przedstawiała się tak źle, że jedyny w tym czasie port morski, dostępny dla transportów broni i materiału wojennego potrzebnego Polsce, znajdował się w rumuńskiej Konstancy.

Takie mieliśmy otoczenie.

Tymczasem, zanim nastąpiły czasy sierpniowych cudów, sytuacja strony polskiej przedstawiała się coraz gorzej. Rachuby na powstrzymanie bolszewików można było wiązać z błyskawicznym powołaniem do życia nowych, wielkich jednostek wojskowych. Na tym tle okazało się, jak potrzebne są organizacje społeczne, do których ducha można się odwołać. Jedną z największych, jeśli nie największą, okazał się Związek Floriański.

Strażacy idą w bój (ale bez Tuliszkowskiego)¹¹

Na pierwszej stronie wydania nr 10–14 „Przeglądu Pożarniczego” z 1920 r. (czerwiec–lipiec), pojawiła się odezwa Józefa Piłsudskiego – Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza z dnia 3 lipca 1920 r., skierowana do wszystkich obywateli kraju. Zaczynała się od słynnych słów:

Obywatele Rzeczypospolitej! Ojczyzna w potrzebie!

Zastępcy najeźdźców, ciągnące z głębi Azji, usiłują złamać bohaterskie wojska nasze, by runąć na Polskę, stratować nasze niwy, spalić wsie i miasta i na cmentarzysku Polskiem rozpocząć swoje straszne panowanie. (...) Niech śpieszą wszyscy: i ci, młodszy, ci siłę czujący w żyłach, co żelazem odpierać będą najazd wroga, i ci, którzy stanąć mogą do pracy w instytucjach wojskowych, by zwolnić z nich i zastąpić tych, co na froncie przydatni być mogą. Niech na wołanie Polski nie zabraknie żadnego z jej wiernych i prawych synów, co wzorem ojców i dziadów pokotem położą wroga u stóp Rzeczypospolitej.

Wszystko dla zwycięstwa! Do broni!¹²

¹⁰ T. Mysiek, *Jak Węgry pomogły Polsce wygrać wojnę z bolszewikami*, „Najwyższy Czas” 2012, 15 sierpnia, <https://nczas.com/2012/08/15/jak-wegry-pomogly-polsce-wygrac-wojne-z-bolszewikami/>, [dostęp: 10.08.2023].

¹¹ Najnowszy stan wiedzy w zakresie czynu zbrojnego strażaków w wojnie polsko bolszewickiej, z obszernym tłem w zakresie ochrony przeciwpożarowej przedstawiono w „Przeglądzie Pożarniczym” 2020, nr 8 oraz w „Muzealnym Roczniku Pożarniczym” 2018–2020, t. XIV.

¹² „Przegląd Pożarniczy” 1920, nr 10–14, s. 65.

To, co może wydawać się po latach językiem propagandy, było językiem prawdy, bo nic nie przesadził Naczelnik Państwa, pisząc powyższe słowa. To rzeczywistość była taka, że twórcy plakatów mogli ją tylko dosłownie zrysować, bez wyteżania wyobraźni dla zwiększenia efektu.

Na następnej stronie strażackiej gazety, nominalnie drugiej, ale noszącej nr 66 (w kolejnych numerach „Przeglądu Pożarniczego” kontynuowano numerację stron w danym roku kalendarzowym), znalazły się dwa teksty podpisane przez Bolesława Chomicza. Zaczniemy od drugiego, który był przedrukiem pisma, skierowanego przez Związek Floriański w dniu 8 lipca do gen. Józefa Hallera – jak widać sympatia do gen. Hallera jeszcze z czasów przebywania za linią frontu niemiecko-rosyjskiego miała tu chyba swoje pozytywne znaczenie. Pismo było krótkie, ale bardzo bogate w treść, w związku z tym warto je przytoczyć w całości.

Panie Generale! Oddajemy się pod Twoje rozkazy z tysiącem organizacji obywatelskich, pod sztandarem Związku naszego pozostających.

Pięćdziesiąt tysięcy zaseregowanych w Związku synów Ojczyzny czeka skwapliwie Twoich, Generale, rozkazów, by w hufcu zbrojnym pod przewodnictwem Twojem pierś mężnie nawale wschodniej stawiać.

Lokal biura naszego na rozkaz Komitetu gotowiśmy oddać na biuro werbunkowe, delegat zaś nasz, w miarę uznania Komitetu, służyć mu może pomocą i pracą. Cześć!

Prezes Zarządu B. Chomicz

Naczelnik Biura inż. St. Arczyński¹³.

Zatem największa strażacka w kraju, obejmująca ziemie byłego zaboru rosyjskiego, opowiedziała się jednoznacznie, bez wahania i konkretnie za udziałem w walce zbrojnej. Symptomatyczne jest, że listu nie skierowano do Naczelnika Państwa i Wodza Naczelnego, a do dowódcy jednej z polskich armii, nazywanej Armią Ochotniczą. W dodatku ten dowódca był nieco poróżniony z wodzem naczelnym od czasów kryzysu przysięgowego, a za to zaprzyjaźniony z jego rywalem politycznym, Romanem Dmowskim. Z całą pewnością Józefowi Tuliszkowskiemu, mającemu silne poglądy narodowe, wydawał się sympatyczny.

Różnice polityczne nie były wówczas istotne. Generał Haller był blisko, przystępny i dawało się z nim porozumieć, gdyż to on organizował wówczas zaplecze walk. W dodatku jawił się jako dowódca bardzo kompetentny, a przy tym niezwykle sprawny organizator. Jego armia była świetnie wyposażona i wyszkolona, sprawiała wrażenie wojska kompletnego. Chomicz i Tuliszkowski chcieli pchnąć strażaków do boju, ale do walki sensownej, czyli pod dowództwem dającym gwarancję jakości. Haller takie wymagania spełniał, pozostali dowódcy – jeszcze nie.

Jeśli zrealizowałaby się intencja listu Chomicza i Arczyńskiego, to jest utworzenie biura werbunkowego dla strażaków, ze skierowaniem ich już jako żołnierzy do jednej

¹³ „Przegląd Pożarniczy” 1920, nr 10–14, s. 66.

armii, to *de facto* powstałaby jednolita armia strażacka, którą w marzeniach zredukowano wkrótce do wielkości pułku. Na jego czele oferował się stanąć Tuliszkowski, ale wojsko miało dla niego ważniejsze zadania.

Gdyby stworzenie strażackiego wojska doszło do skutku, już w czasie działań wojennych dodawałoby całej korporacji znaczenia, którego nie sposób byłoby pominąć, a po wojnie czyniłoby z niej formację o znaczeniu ustrojowym. Do aż takiego podniesienia roli strażactwa nie dopuszczono, zresztą również z przyczyn czyisto praktycznych, gdyż sytuacja militarna, ocierająca się ustawicznie o katastrofę, wymagała, by jacykolwiek ochotnicy znaleźli się jak najszybciej w istniejących, a nie w samych tylko specjalnie im dedykowanych oddziałach wojskowych, które nie wiadomo kiedy powstaną.

Armii strażackiej nie utworzono, ale powstały za to kompanie strażackie. Tu znów władze Związku Florianńskiego wyszły naprzeciw potrzebie wzmocnienia armii, angażując do pomocy biuram werbunkowym terenowy aparat organizacyjny Związku, w postaci 46 okręgów, nominalnie utworzonych na rzecz ćwiczeń przeciwpożarowych. Nie o ćwiczenia jednak tym razem chodziło, a o walkę.

Drugim pismem, podpisanym przez Chomicza, a umiejscowionym w druku nad listem do generała Hallera, była odezwa pt. „Do straży ogniowych ochotniczych”, zawierająca apel, by do walki o wolność nie zaangażować samego tylko „aparatu”, ale strażackie masy. Ze względu na charakterystyczny styl, można z pewnością wnioskować, że jest to dzieło autorskie Chomicza, pod którym z przyczyn proceduralnych podpisał się również Naczelnik Biura, inż. Arczyński.

Apele naczelnych władz państwowych i korporacyjnych strażackich przyniosły pożądany skutek. Gdy bolszewicy przekroczyli sztucznie wyznaczone przez angielskich polityków granice Polski etnicznej, do polskiego wojska zgłaszały się już dosłownie masy ochotników. Trochę szkoda, że wysiłku zbrojnego strażaków nie wyróżniono na ogólnym tle, że ten znaczny udział strażackich mas – bo apeli posłuchano powszechnie i z zapalem – nie został zauważony przez czynniki państwowe w sposób dobitny, a jedynie w listach gratulacyjnych. Późniejsze słowa Piłsudskiego, że straż pożarna jest siostrzycą armii, pozostały tylko słowami, za którymi konkrety nie poszły.

Zasadniczy cel, również dzięki zbiorowemu wysiłkowi strażaków, został osiągnięty – stał się Cud nad Wisłą, przeciwnika odparto, a potem pogoniono aż za Wilno i Mińsk. Polska ocalała pod względem terytorialnym, choć nie udało się wywalczyć granic wymarzonych. Wysilek zdewastowanego kraju był olbrzymi, a samodzielne wygranie wojny z przeciwnikiem mającym więcej zasobów pod każdym względem – imponujące. Tylko że wojna na terenie Polski trwała już aż siedem lat. Zostawiła po sobie spustoszenia demograficzne, zdrowotne, gospodarcze i moralne, tudzież linie zaborów trwalsze, niż można to sobie wyobrazić. Tymczasem, ledwie armaty umilkły na wchodzie, strażacy z wielkim zapalem wzięli się za zacieranie zaborczych granic.

Działania Tuliszkowskiego w wojskowej ochronie przeciwpożarowej

Tuliszkowski rwał się na front, ale więcej był wart dla powodzenia działań wojennych na jego zapleczu. Bez ludzi takich jak on działania frontowe kończyły się w kilka dni. Mając takich ludzi, wielcy wodzowie mogli się chlubić zwycięstwami.

Zadania, jakie miał Tuliszkowski w dziedzinie wojskowej, pozornie niczym nie różniły się od działań w sferze cywilnej. Miał ni mniej, ni więcej, tylko uruchomić skuteczny system ochrony przeciwpożarowej. Musiał go jednak obmyśleć nieco inaczej, niż dla świata cywilnego zamierzali uczynić z Chomiczem. Jak to słusznie zauważył tuż przed II wojną światową inspektor Radwan, ogólnie rzecz biorąc, całość akcji przeciwpożarowej da się podzielić na trzy zasadnicze kierunki:

- 1) zapobieganie powstawaniu pożarów, czyli akcja prewencyjna,
- 2) gaszenie pożarów przy użyciu odpowiednio w tym celu zorganizowanych i wyposażonych jednostek straży i pogotowi pożarnych, wreszcie
- 3) ubezpieczenie od ognia.

Jak już zaznaczyłem wyżej, ten trzeci dział nie ma w wojsku zastosowania, gdyż stoją tu na przeszkodzie względy zachowania tajemnicy wojskowej. Gdyby jednak nawet było rzeczą możliwą tak zorganizować ubezpieczenie majątku wojskowego, aby tajemnica wojskowa była w całej pełni zachowana, przeciwko temu przemawiają względy natury finansowej, gdyż wobec wielkiej ilości obiektów, rozrzuconych na terenie całego państwa, ubezpieczenie nie kalkulowałoby się, mamy tu bowiem do czynienia ze zjawiskiem t. zw. samoubezpieczenia¹⁴.

Samoubezpieczenie jest tu ładnym słowem, chodzi jednak o to, że wartość majątku wojskowego niekoniecznie wyraża się w pieniądzu – taką jest wyłącznie w chwili nabywania i już nigdy nie rośnie, chyba że trafi się klient, gotów przepłacić, aby tylko mieć jakąś broń. Jednak zastąpienie utraconego sprzętu nowym zawsze oznacza większe wydatki nominalne. O co więc tu chodzi? O to, że nie wszystko na raz się spali, a wszystko na raz należałoby ubezpieczyć do sumy wartości odtworzenia. Byłyby to kolosalne wydatki, rokrocznie pochłaniające znaczną część budżetu wojskowego. Tak to wyjaśniono:

Jak dowodzi statystyka strat pożarowych w wojsku łączna wysokość tych strat nawet w pierwszych kilkunastu latach po odzyskaniu Niepodległości, kiedy wskutek niedostatecznego zabezpieczenia przeciwpożarowego pożary wyrządzały wielkie straty w obiektach wojskowych, była mimo to wielokrotnie niższa od ewentualnych kosztów ubezpieczenia od ognia, nawet przy najniższej możliwej kalkulacji tych ostatnich¹⁵.

Czy to oznaczało, że nic nie należy robić? Oczywiście, że należało coś robić, tylko nie w zakresie ubezpieczeń.

Dlatego też akcja przeciwpożarowa w wojsku ogranicza się do dwóch pierwszych z pośród wymienionych wyżej działów, t. zn. do akcji prewencyjnej i do organizowania obrony czynnej. Z tych dwóch działów akcja prewencyjna celowo wymieniona została na pierwszym miejscu, gdyż na nią kładzie się w wojsku największy nacisk.

¹⁴ M. Radwan, *Obrona przeciwpożarowa w wojsku...*, s. 350.

¹⁵ Tamże.

Idealnym rozwiązaniem byłoby, rzecz oczywista, doprowadzenie do takiego stanu, aby w obiektach wojskowych w ogóle nie było pożarów. Jest to, ma się rozumieć, niemożliwe do osiągnięcia w praktyce, dlatego też nie można zaniedbywać organizowania obrony czynnej, stanowiącej konieczne uzupełnienie najlepiej nawet postawionej prewencji przeciwpożarowej¹⁶.

Zatem Tuliszkowskiemu odpadł jeden z czynników ochrony przeciwpożarowej, czyli ubezpieczenia. Nie były w wojsku potrzebne jako źródło finansowania – armia miała własny budżet. Przydałyby się jako źródło wiedzy, ale ta miała się znaleźć w specjalnych placówkach wojskowych. W zakresie przezorności, na rynku cywilnym tak nieskutecznie propagowanej, wojsko musiało samo siebie pilnować.

Zatem zostały Tuliszkowskiemu dwie gałęzie do wytworzenia i organizacji: zabezpieczająca przed pożarem i interwencyjna. Niestety, z zabezpieczeniem były duże trudności zasadnicze, trwające nawet i po kilkunastu latach.

Najpoważniejszą przeszkodą w osiągnięciu idealnego stanu bezpieczeństwa pożarowego obiektów wojskowych, jest zły stan budynków, odziedziczonych po zaborcach. Wiele jest jeszcze budynków drewnianych, szczególnie we wschodniej połaci kraju, a i budynki murowane pozostawiają wiele do życzenia pod względem bezpieczeństwa pożarowego. W ciągu ostatnich lat dwudziestu dużo zostało zrobione dla polepszenia tego stanu rzeczy, że wymienimy na przykład usunięcie najbardziej rażących braków konstrukcyjnych instalacji ogrzewania (belki wpuszczone w przewody dymowe itd.), przeprowadzone we wszystkich dawnych budynkach, przeróbki instalacji elektrycznych w znacznej części budynków, instalowanie piorunochronów itp. Pomimo to wiele jeszcze pozostaje do zrobienia w tym zakresie, a istniejące braki wymagają tym większej czujności ze strony oddziałów, zakwaterowanych w tych niebezpiecznych obiektach¹⁷.

Można powiedzieć, że pierwsze sprawozdania Tuliszkowskiego z lustracji wstępnych wyglądały identycznie, z tym, że stan obiektów był znacznie gorszy. Przecież to on wprowadził piorunochronność obiektów, proponował przeniesienia niektórych magazynów do bezpieczniejszych budynków, wreszcie postulował remonty przewodów kominowych. Sam zrobić tego nie mógł, przecież chodziło o setki obiektów. Aby doprowadzić budynki do odpowiedniego stanu, należałoby większość z nich postawić od nowa. Ogólnie przedsięwzięcie jawiło się jako ogromne, liczone na dziesięciolecia. Nic dziwnego, że po prawie 20-tu latach stan procesu był niezadowalający – takim być musiał ze względu na nieprawidłowości strukturalne zabudowy.

Jest jednak inna jeszcze sfera bezpieczeństwa, mianowicie porządkowa. Tę można całkiem prosto uregulować przy pomocy kilku instrukcji, sprowadzonych w swej treści do spraw oczywistych, a więc łatwych do identyfikacji oraz nadzoru. W przypadku wojska jest to o tyle łatwe i skuteczne, że wystarczy nadać instrukcji gryf rozkazu, by każdy podoficer, bez zastanawiania się nad sensem, mógł go wykonać.

¹⁶ M. Radwan, *Obrona przeciwpożarowa w wojsku...*, s. 351.

¹⁷ Tamże.

Niezależnie od starań, zmierzających do poprawy stanu budynków i urządzeń, prowadzona jest z dużym nakładem pracy akcja w kierunku podniesienia t. zw. dyscypliny przeciwpożarowej, czyli, inaczej mówiąc, w kierunku wdrożenia zarówno żołnierzy, jak i personelu cywilnego, zatrudnionego w obiektach wojskowych, do unikania tego wszystkiego, co może spowodować pożar. A więc ostrożne obchodzenie się z ogniem oraz z materiałami i urządzeniami, niebezpiecznymi pod względem pożarowym, zapobieganie wypadkom samozapalenia się różnych materiałów itp.

Jest to praca niezwykle mozolna i wymagająca nieustannej uwagi, daje ona jednak, jak to wykazało doświadczenie, doskonałe rezultaty¹⁸.

Tym sposobem przeszliśmy do struktury, jaką musiał Tuliszkowski wytworzyć, by w poszczególnych jednostkach nie zapomniano, jak ważne są zakazy palenia w miejscach niedozwolonych. Należało wyszkolić ludzi nie tyle nawet w przepisach przeciwpożarowych, co w myśleniu kategoriami zdrowego rozsądku, z minimum wiedzy w zakresie teorii spalania, ogniotrwałości materiałów i rozwoju pożarów. Można się domyślać, że w tym zakresie Tuliszkowski niczego nie wymyślał na nowo, tylko zastosował gotowe rozkłady kursów, prowadzonych wcześniej dla inspektorów Związku Floriańskiego, tudzież dla oficerów Straży Ogniovej m. st. Warszawy, którzy obarczeni zostali za Tuliszkowskiego dodatkowymi zadaniami w zakresie zapobiegania pożarom w gmachach publicznych i należących do miasta Warszawy (np. magazynów żywnościowych). Oto, co wymyślił, a co działało nawet po kilkunastu latach, nawet jeśli jego następcy naniesli jakieś zmiany na lepsze lub gorsze.

Główny ciężar tej pracy spoczywa na komendantach pogotowi przeciwpożarowych, istniejących w każdej formacji wojskowej. Komendanci ci niezależnie od pracy wyszkoleniowej oraz czuwania nad stanem sprzętu i urządzeń przeciwpożarowych, pełnią funkcje referentów przeciwpożarowych swych formacji, polegające na nieustannym czuwaniu nad przestrzeganiem dyscypliny przeciwpożarowej.

Uzupełnieniem pracy, prowadzonej w oddziałach w zakresie akcji prewencyjnej, są periodyczne inspekcje, przeprowadzane przez fachowych referentów przeciwpożarowych dowództw okręgów korpusów. Referenci ci obowiązani są co najmniej dwa razy w roku kontrolować na miejscu stan bezpieczeństwa przeciwpożarowego we wszystkich formacjach i zakładach wojskowych na terenie swego O. K. [okręgu korpusu – PR], udzielając przy tym potrzebnych wskazań fachowych i stawiając wnioski co do przeprowadzenia koniecznych zmian i inwestycji.

Niezależnie od tych periodycznych inspekcji, przeprowadzane są dorywczo w miarę potrzeby podobne inspekcje przez referat przeciwpożarowy M. S. Wojsk., w którym koncentruje się ogólne kierownictwo sprawami pożarnictwa wojskowego¹⁹.

Tak – trochę dookoła – doszliśmy do miejsca pracy Józefa Tuliszkowskiego na stanowisku Kierownika Referatu Spraw Przeciwpożarowych w Ministerstwie Spraw Wojskowych.

¹⁸ M. Radwan, *Obrona przeciwpożarowa w wojsku...*, s. 351.

¹⁹ Tamże.

System wytworzony przez Tuliszkowskiego działał aż do II wojny światowej, czyli prawie 20 lat. Uległ niewielkim zmianom, głównie wtórnym względem następujących w cywilnej ochronie przeciwpożarowej oraz za sprawą korzystania z jej specjalistów w celach szkoleniowych. Jednak w strukturze, w opisanych zakresach działania, w celach do osiągnięcia, był taki sam w chwili utworzenia z niczego w 1920 r., jak go opisał w 1938 r. inspektor pożarnictwa Michał Radwan.

Drugą gałęzią ochrony przeciwpożarowej w wojsku była ochrona czynna. Na tym polu Tuliszkowski odniósł znaczne sukcesy. Gdy więc Bolesław Chomicz w sierpniu 1924 r. mówił o 100 strażach wojskowych, Tuliszkowski sprostował go i powiedział, że straże tych jest 400, a ponad 300 z taborami²⁰. Tak było w 1924 r., tymczasem jeszcze w 1920 r. tę służbę również należało stworzyć dosłownie od zera, i to bardzo szybko. Szkoda, że nie dysponujemy materiałami, ilustrującymi działania w rozgardiaszu 1920 r., w pełni wojny z bolszewikami, gdy wszystko było obliczone na szybkość, wiele magazynów należało ewakuować lub zniszczyć, by nie dostały się w ręce zwyciężającego wroga. Zwyciężającego w czerwcu i lipcu, ale od sierpnia 1920 r. bitego na wszystkich frontach. Tymczasem rwącego się do walki Tuliszkowskiego władze wojskowe zatrzymały w Warszawie – ważniejsze były tutejsze magazyny, dla których ochrony był człowiekiem niezastąpionym. Na wojnie mógł zginąć dowolny oficer, ze szkodą jednostkową, może nawet regionalną, ale nie strategiczną.

Niestety, nie wiemy – możemy jedynie snuć domysły – czy Tuliszkowski wykorzystał tę samą wiedzę do tych samych obiektów, które gasił podczas ewakuacji wojsk rosyjskich w sierpniu 1915 roku. Tym razem Rosjanie nacierali, byli niedaleko, należało się więc przygotować do oblężenia miasta. Rosjan pokonano w kilku wielkich bitwach: pod Warszawą – zwanej potem Cudem nad Wisłą (teren działań był ogromny, sięgał od Wieprza po Prusy i od Płocka po Białystok), w – jednocześnie z warszawską – bitwą pod Komarowem oraz jesienią, w bitwie nad Niemnem.

Utworzenie nawet namiastek straży ogniowych przy magazynach kolejowych i wojskowych radykalnie poprawiło stan ich ochrony, gdyż dawało znaczne szanse na zlikwidowanie pożarów w zarodku.

Tuliszkowski miał na tym polu wyraźne sukcesy. Jak to sam mówił w 1923 r.:

Wojskowe straże pożarne możnaby podzielić na dwie kategorie. Do kategorii 1-ej należą straże stałe w obozach warownych z konnemi taborami, rekrutujące się z żołnierzy, przydzielonych na stałe w czasie pełnienia służby w armji, do wojskowej straży pożarnej. Stałe straże z zawodowemi kierownikami są w następujących twierdzach: Brześciu n/Bugiem, Dęblinie, Modlinie, w Przemyśle i w Lublinie (z samochodowym taborzem); na lotniskach: w Warszawie (Mokotów) i w Ławicy po Poznaniu, oraz na lotnisku hydroplanów w Pucku. Do kategorii 2-iej należą straże w garnizonach, których jest około 260. Straże te są wyposażone w tabory typu wiejskiego. Prócz powyższych

²⁰ J. Tuliszkowski, odpowiedź w dyskusji z referatem Bolesława Chomicza Program naszej działalności, czyli jej wytyczne i sposoby urzeczywistnienia, „Przegląd Pożarniczy” 1924, nr 6, s. 84.

w paruset garnizonach są zorganizowane pogotowia, wyposażone w stare narzędzia, bosaki, tłumnice i t. p. (...)

Sprawozdania z pożarów, wynikłych w obrębie obiektów wojskowych, wykazały dużo korzyści z istnienia wojskowych drużyn pożarnych. Na szczególne wyróżnienie zasługuje straż twierdzy Modlin, która w przeciągu 3-ich lat brała udział w tłumieniu 60 pożarów, opanowując je niemal zawsze w zarodku. Między temi pożarami straż twierdzy Modlin opanowała skutecznie 2 groźne pożary składów amunicji. Straż na lotnisku Mokotów w Warszawie stłumiła w tymże czasie około 20 pożarów również niemal zawsze w zarodku²¹.

Straże pożarne wojskowe Tuliszkowski uformował w oparciu o tę samą strukturę, jaka służyła zapobieganiu pożarom. Zarówno zapobieganie, jak gaszenie wymagały – przynajmniej po części – odpowiednio przygotowanych fachowców, na stanowiskach decyzyjnych. Tych należało wyszkolić.

W roku 1921-ym przeprowadzono 4-y kursy pożarnicze (2-ośmiodniowe i 2-dwunastodniowe), z których 3 odbyły się w Warszawie, a jeden w Krakowie. Z rzeczonych kursów dwa były dla podoficerów, a dwa dla oficerów i podoficerów. Ukończyło te kursy 180 uczestników z różnych D. O. K. [Dowództw Okręgów Korpusów – PR]. W roku 1922-im odbyły się w Warszawie dwa kursy pożarnicze dla oficerów (1-czternastodniowy, 1-szesnastodniowy), przyczem ukończyło je 79 oficerów z różnych D. O. K.²²

Co oczywiste, system kursów i szkoleń miał trwać. Z perspektywy 1923 r. według twórcy systemu wyglądało to tak:

Oprócz dalszego ekwipowania straży w narzędzia, przeprowadzone będą w dalszym ciągu kursy pożarnicze i lustracje. Organizowanie drużyn będzie w dalszym ciągu postępowало, przyczem na sprawność zawodową strażacką będzie zwracana zawsze specjalna uwaga. W niektórych Dowództwach Okręgów Korpusów są referenci do spraw pożarnictwa. W innych referenci tacy z zakresem działalności pożarniczej, jako pracą dodatkową, mają być niebawiem powołani²³.

Nikt nie przewidywał, że system ten, wraz z armią, będzie zwiijany z końcem 1925 roku. Ale praca Tuliszkowskiego dała inny jeszcze wymiar.

Prowadzono intensywne szkolenie przeciwpożarowe dowódców wojskowych i żołnierzy wyznaczonych do służby pożarniczej, a wielu z nich zasililo po odbyciu służby wojskowej szeregi ochotniczych i zawodowych straży pożarnych²⁴.

Raz wytworzony system działa nawet po próbach jego likwidacji. Po latach odtworzony system szkolenia wyglądał następująco:

Wyszkolenie komendantów pogotowi przeciwpożarowych (z wyjątkiem zawodowych) przeprowadzane jest na urządzanych przez wojsko kursach 5-tygodniowych, których program, ustalony w porozumieniu ze Związkiem Straży Poż. R. P., odpowiada mniej więcej

²¹ S. Pągowski, *Wojskowe straże pożarne (wywiad z Józefem Tuliszkowskim)*, „Przegląd Pożarniczy” 1923, nr 9, s. 136.

²² Tamże, s. 137.

²³ Tamże, s. 136.

²⁴ S. Pągowski, Józef Tuliszkowski. *Pionier polskiego pożarnictwa i piśmiennictwa...*, s. 9.

programowi wyszkolenia 4-go stopnia w dotychczasowej instrukcji o organizacji wyszkolenia straży pożarnych. Wyszkołenie członków pogotowi przeciwpożarowych przeprowadzają ich komendanci pod kontrolą referentów przeciwpożarowych D.O.K., wg programów, ustalonych przez M. S. Wojsk. Obecnie, wobec przeprowadzanej przez Związek Straży Poż. R. P. rewizji programów wyszkoleniowych, projektuje się zrewidowanie również i programów wojskowych, celem dostosowania ich do nowej organizacji wyszkolenia pożarniczego, opracowanej przez Związek²⁵.

Oczywiście wszelkie teorie i szkolenia nie zdałyby się na nic, gdyby nie posiadano w dyspozycji sprzętu: sikawek, beczek, węży, bosaków itd. Te znaleziono, różnej co prawda jakości, przy czym mowy wówczas nie było o motoryzacji. Piętnaście lat później, gdy armia dostała nowy zastrzyk pieniędzy w obliczu nadciągającego zagrożenia wojennego, o tym okresie nie zachowało się wiele informacji.

Co się tyczy wyposażenia w sprzęt przeciwpożarowy, to trudno byłoby podać tutaj jakieś szczegółowe dane, zadowolimy się przeto ogólnym scharakteryzowaniem tego zagadnienia. Początkowo formacje wojskowe wyposażone były prawie wyłącznie w sprzęt ręczny; stopniowo stan ten ulegał zmianie na korzyść sprzętu motorowego, a w szczególności motopomp, których wojsko posiada już dziś poważną ilość. Niektóre formacje, bardziej narażone na niebezpieczeństwo pożaru i posiadające cenniejsze obiekty, zostały wyposażone w sprzęt całkowicie zmotoryzowany najnowszego typu, z uwzględnieniem najnowocześniejszych urządzeń gaśniczych pianowych i śniegowych²⁶.

Pozostał jednak ślad jeszcze innego działania Tuliszkowskiego. Koszty zakupu sikawki z węzami czy wozu rekwizytowego z wyposażeniem były wysokie. Tymczasem już od lat funkcjonowało w użytkowaniu coś, co w razie potrzeby działało od zaraz. I nie kosztowało wiele: gaśnice. Tuliszkowski nakłonił władze wojskowe do ich natychmiastowego zakupu i stosowania na skalę masową. To i tak wychodziło taniej od wyposażenia wojska w 500 sikawek ręcznych i zestawów do nich od zaraz, tudzież jakieś 50 sikawek mechanicznych (np. parowych). Przedsięwzięcie to dobrze się przyjęło, bo też Tuliszkowski, który zasiadał w niejednej komisji sprzętowej, wiedział, co dobre i czego chce.

Bardzo ważną rolę odgrywa w wojsku sprzęt gaśniczy .podręczny, przeznaczony do gaszenia pożarów w zarodku. Do niedawna używane były do tego celu prawie wyłącznie gaśnice (pianowe i śniegowe), obecnie istnieje dążenie do szerszego zastosowania hydronetek zwykłych i wodno-pianowych. Rzecz oczywista, że nie we wszystkich wypadkach gaśnice mogą być zastąpione hydronetkami, które, aczkolwiek skuteczniejsze w działaniu, wymagają jednak bardziej wykwalifikowanej obsługi i nie wszędzie mogą być utrzymywane w stanie, gotowym do natychmiastowego użycia (z wodą). Dlatego też te dwa rodzaje sprzętu muszą się wzajem uzupełniać²⁷.

²⁵ M. Radwan, Obrona przeciwpożarowa w wojsku, „Przegląd Pożarniczy” 1938, nr 11, s. 352.

²⁶ Tamże.

²⁷ Tamże.

Można z tego wnosić, że w czasach Tuliszkowskiego bardziej polegano na gaśni-
cach, a później wojsko zaczęło ciąć koszty. W 1923 r. sam Tuliszkowski mówił tak:

*Poza ekwipowaniem straży w narzędzia pożarne bardzo wiele obiektów zabezpieczono
gaśnicami, których departament V rozdzielił już przeszło pięć tysięcy*²⁸.

Tuliszkowski zwrócił wojsku uwagę na jeszcze jeden aspekt zabezpieczenia prze-
ciwpożarowego – zaopatrzenie w wodę. Wiemy, że dążył do tego na obszarach wiej-
skich, skrętnie wykorzystując każdą okazję, by namówić do budowy stawu lub
przynajmniej oczka wodnego. Trudno przypuszczać, by pominął ten, jakże istotny
aspekt, zwłaszcza w odniesieniu do obiektów, zlokalizowanych poza siecią hydran-
tową miast. Tak o tym informowano po latach:

*W ciągu ostatnich paru lat dość dużo zrobiono w tym zakresie, jednak wiele pozostało
jeszcze do zrobienia. Opracowane zostały normy zapotrzebowania wody do celów przeciw-
pożarowych, a na ich podstawie opracowano szczegółowy plan zaopatrzenia w wodę wszyst-
kich obiektów wojskowych. Plan ten jest stopniowo realizowany (...)*²⁹.

Warto wiedzieć, że normy, o których się mówi, to najprawdopodobniej cywilne
przepisy o zaopatrzeniu w wodę do gaszenia pożarów, które niedawno się ukazały,
bądź opracowanie na ich podstawie. Czy je wdrożono w życie tak, jak to napisano,
to już inna sprawa, bo nikt nie był w stanie tego wówczas zweryfikować.

W miarę jak rozrastała się wojskowa ochrona przeciwpożarowa, awansował jej dowódca.

*W 1922 r. przeniesiono go do Departamentu Inżynierów i Saperów. W roku 1923 skierowany
do Kościuszkowskiego Obozu Saperów, przeszedł dziewięciomiesięczny kurs służby saperskiej.
Z dniem 1 stycznia 1925 r. mianowany został na podpułkownika Korpus Inżynierów i Saperów
– oficera rezerwy z przeniesieniem do pospolitego ruszenia (...) z prawem noszenia munduru.*

*Od 18 marca 1925 r. już jako urzędnik kontraktowy V kategorii, pracował w VI Depar-
tamencie Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych*³⁰.

Twórca hełmów

Tuliszkowski, będąc na wojskowym etacie, pozwolił sobie na wzięcie udziału
w konkursie na projekt hełmu dla Wojska Polskiego, ogłoszonym w 1921 r. przez
Departament III Artylerii i Uzbrojenia. Za zajęcie I miejsca w konkursie oferowano
nagrodę w wysokości 25 tys. mkp, za II miejsce – 15 tys. mkp.

Tuliszkowski przedstawił na konkurs dwa projekty, pod kryptonimami „Atak”
i „Omega”. W gruncie rzeczy wojsko nie wiedziało do końca, czego oczekuje. Chciało
połączenia zalet dwóch hełmów z dwóch kultur: niemieckiego Stalhelm z 1916/18 r.
i francuskiego Adrian z 1915 roku. Projekt „Atak” odpowiadał na zamówienie woj-
ska, łącząc rozmiary i kształty obydwu hełmów. Projekt ten otrzymał wyróżnienie.
Pierwszą nagrodę dostał projekt „Omega”, w którym inż. Tuliszkowski podał własną

²⁸ S. Pągowski, *Wojskowe straże pożarne (wywiad z Józefem Tuliszkowskim)*, „Przegląd Pożarniczy” 1923, nr 9, s. 137.

²⁹ M. Radwan, *Obrona przeciwpożarowa w wojsku...*, s. 352.

³⁰ W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski...*, s. 68.

koncepcję hełmu. Był to wzór tak nowoczesny, że ostatecznie nie wszedł do produkcji. Można powiedzieć, że kształtem odpowiadał hełmom z XXI wieku, z tym, że od frontu miał wydarty kant, nadający mu bardziej opływowy kształt. Po wyprodukowaniu próbnej partii kilku sztuk hełmów wojsko rozwiązało komisję hełmową, a wraz z tym aktem problem wyboru hełmu – po prostu nie zrealizowano żadnego, bo chciało taki, jak niemiecki.

Niemniej Józef Tuliszkowski tak się w wojsku spodobał, że w roku 1923 wysłano go do Kościuszkowskiego Obozu Saperów, gdzie przeszedł dziewięciomiesięczny kurs służby saperskiej³¹.

Jakiś czas potem projekt „Atak” posłużył za wzór dla dwóch, a nawet trzech hełmów: wz. 28 (okazał się dla wojska za ciężki), wz. 28 OPL i wz. 35. I te hełmy nie przyjęły się w wojsku, bo miało ono już – nieco mniejszych rozmiarów, prostszy technologicznie – bardzo udany hełm wz. 31, projektu inż. Krauzego. Ale to nie był koniec historii projektu Tuliszkowskiego. Stał się on pierwowzorem całej serii polskich hełmów strażackich, o bardzo charakterystycznym kształcie, które z łatwością przyjęły się w strażach pożarnych. Był to strażacki hełm Huty Ludwików.

Wzór hełmu został opracowany przez inżyniera Kossowskiego. Czerep hełmu jest identyczny ze wzorem „28”, który został zaprojektowany przez inżyniera J. Tuliszkowskiego. Jednocześnie hełm wykonano ze stali nierdzewnej, zwieńczonej grzebieniem o przekroju trójkątnym przyspawanym do czerepu punktowo. Hełm posiada podpinkę skórzaną i pasek skórzany pod brodę³².

Następne hełmy o tym kształcie powstawały z materiałów tańszych niż nierdzewna stal: bakelitu, plastiku. Bardzo sensownym był model bakelitowy, ze względu na zastosowany materiał.

Jego głównymi zaletami jest niepalność, nietopliwość, nierozpuszczalność, niskie przewodnictwo elektryczne, dobra wytrzymałość dielektryczna, słaba przewodność cieplna oraz względnie duża odporność chemiczna. Ponadto bakelit może pracować w powietrzu o normalnej wilgotności oraz w oleju transformatorowym. Bakelit stosowany był przede wszystkim w przemyśle elektrotechnicznym jako materiał konstrukcyjny i izolacyjny, oraz w wielu innych zastosowaniach, gdzie potrzebne było tworzywo odporne na szereg czynników (...)³³.

No ale te ewolucje hełmowe działały się już bez udziału Józefa Tuliszkowskiego. Natomiast kształt „Atak”, czyli wz. 28, służył strażakom przez długie lata.

Efekty służby Tuliszkowskiego w Wojsku Polskim

Trudno konkretnie ocenić efekty działań Tuliszkowskiego, gdyż co do tego brak istotnych danych. W cytowanym wyżej artykule inspektora Radwana z 1938 r. znajdują się odniesienia do sytuacji pożarowej w wojsku w latach poprzednich, ale tylko

³¹ W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski...*, s. 68.

³² <http://cmp-muzeum.pl/ekspozycja/helm-huty-ludwikow/>, [dostęp: 10.08.2023].

³³ <https://pl.wikipedia.org/wiki/Bakelit>, [dostęp: 10.08.2023].

jeden z dwóch wykresów zahacza o czas działania Tuliszkowskiego. Wykres ten nie był podany w żadnych jednostkach, jedynie kształtem odzwierciedlał liczbę zdarzeń w danym roku kalendarzowym³⁴.

Zachowały się dane dla dwóch lat: 1924 i 1925. Wykres wskazuje na drastyczny spadek liczby pożarów w tym okresie. W latach 1926–1927, gdy Tuliszkowski już nie było w wojsku, liczba pożarów utrzymuje się na niskim poziomie. Spada dodatkowo w 1928 r., by w 1929 r. poszybować w górę, z osiągnięciem połowy stanu z 1924 r., a w 1930 r. przewyższyć ten stan. Następnie znów wystąpił spadek w 1931 r., by w 1932 r. osiągnąć rekordowo wysoki rezultat – niemal trzykrotność z roku 1924, a w 1933 r. osiągnąć poziom z roku 1925.

Trudno tu więc o miarodajne wnioski, tym bardziej, że w latach 1926–1927 wojsko znacznie ograniczyło własny stan posiadania.

Jako miarę jego zasług można uznać fakt, że przez nieco ponad 5 lat służył w armii na nietypowym stanowisku dowódczym, przyjęty na nie w stopniu majora. Awansowano go do stopnia podpułkownika w 1925 roku. Wysłano na pełny kurs saperów, zapewne w uznaniu konieczności zaznajomienia z właściwościami materiałów wybuchowych i amunicji, z którymi stykał się w czasie pożarów.

Opinię za działania własne na rzecz ochrony przeciwpożarowej mienia wojskowego zyskał bardzo pochlebna. W czasie jego służby przedstawiono go do odznaczenia Krzyżem Walecznych, przyznany za działania z końca 1918 roku.

Sam Tuliszkowski był bardzo dumny z noszenia munduru wojskowego, z którym się nie rozstawał już do końca swoich dni (miał takie prawo). Na zdjęciach z okresu zatrudnienia w wojsku zawsze jest w mundurze, bardzo często przy szabli oficerskiej wz. 21. Służba wojskowa dawała mu nie tylko zatrudnienie, ale też zaspokajała jego ambicje. Była też bardzo absorbująca, więc na działalność w Związku Floriańskim czy w Głównym Związku Straży Pożarnych poświęcał relatywnie mniej czasu niż w latach poprzednich. Można to prześledzić na fotografiach z istotnych wydarzeń, gdzie na niektórych zbiorowych po prostu go brak.

Nadal zaliczał się do osób najważniejszych dla ochrony przeciwpożarowej, a jednak nie wybrano go wiceprezesem Głównego Związku Straży Pożarnych w 1921 roku. Wszedł wówczas w skład Rady Naczelnej. W roku 1924 było jeszcze gorzej, gdyż trwał w rozwiniętym konflikcie z ogólną tendencją uczynienia Związku ruchem amatorskim. Sytuacja była więc paradoksalna. Człowiek, który z niezwyklejmi sukcesami zarządzał ochroną przeciwpożarową, tworząc w armii jej gałąź właściwie od zera (która po kilku latach okazała się niemal tak silna, jak cały ruch strażacki Królestwa Polskiego tuż przed Wielką Wojną, a uwzględnwszy wdrożenie zasad obrony biernej – silniejszą, bo kompletną), był marginalizowany przez osoby, niemogące pochwalić się ani osiągnięciami, ani wiedzą (zresztą jedno i drugie najczęściej szło w parze).

³⁴ M. Radwan, *Obrona przeciwpożarowa w wojsku...*, s. 350.

Przyjrzyjmy się tym zjawiskom bliżej i po kolei, bo nakładały się na sprawy najwyższej wagi, tj. zjednoczenia ruchu strażackiego i nadania mu odpowiedniego charakteru. Co do tego pierwszego, współcześni byli zgodni. W tym drugim wystąpiły znaczące różnice, z jedną częścią wspólną, większościową: w pewnym momencie strażacy pokroju mniej więcej przedwojennego powiedzieli i uczynili: „Ochrona przeciwpożarowa to my”.

Zorganizowanie ochrony przeciwpożarowej w zjednoczonej Polsce (1919)

Może i wielu ludzi zastanawiało się nad tym, jak ma wyglądać ochrona przeciwpożarowa w wolnej Polsce, lecz ich wyobrażenie nie sięgało dalej, niż doświadczenia z podwórka, na którym się wychowali. Wróćmy do motta książki, bo większość planistów – ba! – większość osób podejmujących decyzje, a nawet wypracowujących grunt pod nie, nie spełniało tego oto kryterium fachowości, podanego przez Tuliszkowskiego.

Dotychczas jeszcze niektóre mniej świadome jednostki sądzą, że gasić ogień i dowodzić strażą – to jedna z łatwiejszych czynności; a nawet większość społeczeństwa naszego nie zdaje sobie sprawy, że od ludzi, stojących na czele zawodowych straży ogniowych, wymagany jest zagranicą cenzus wyższego technicznego wykształcenia i gruntowna znajomość zasad statyki, termodynamiki, hydrauliki i chemii, że technika pożarnicza i taktyka zostały szczegółowo opracowane, ujęte w ramy teorii i podniesione do poziomu nauk ścisłych, wykładanych w wyższych uczelniach³⁵.

Jednak ludzi w mundurach strażackich (nie mówimy tu o pracownikach firm ubezpieczeniowych), z przygotowaniem wymarzonem przez Tuliszkowskiego, dałoby się w ówczesnej części zaboru rosyjskiego, zwanej Królestwem Polskim, policzyć na palcach może nie jednej, ale dwóch rąk z pewnością, a i tak część z nich najchętniej koncentrowałaby się na aspektach taktyczno-dowodczych lub jeszcze sprzętowych, o innych w ogóle nie myśląc. Co gorsza, realizację własnego zakresu zapatrywań braliby chętnie za całość systemu ochrony przeciwpożarowej. Zatem niewielu ogarniało umysłem wszelkie aspekty ochrony przeciwpożarowej tak, by tworzyły spójny system.

Można też powiedzieć, że w każdej części zaborczej wyobrażano sobie ochronę przeciwpożarową taką, do jakiej się przyzwyczajono. W dodatku na te wyobrażenia swoje naniosły lata wojny, ze spustoszeniami w ludności, majątkowymi i moralnymi. Z tej perspektywy w byłym królestwie Polskim Kongresowym nawet bałagan rosyjski wydawał się wyśnionym porządkiem.

Zresztą tuż po odzyskaniu niepodległości co innego angażowało myśli – Polska co prawda powstała, jednak nie było powiedziane, że będzie istnieć nadal. Trwały działania wojenne na wszystkich dosłownie granicach o ich kształt, a Rosja sowiecka

³⁵ J. Tuliszkowski, *Projekt reorganizacji Straży Ogniowej m. st. Warszawy*, Warszawa 1918, s. 7.

szkowała się do wielkiego skoku na zachód, by przynieść Europie swój „dobrobyt”, w postaci masowych mordów, zniszczenia własności prywatnej i więzów rodzinnych.

W obliczu rozwiązywania takich problemów naprawdę niewielu myślało o tym, że czas pokoju wreszcie nastanie, że trzeba będzie ujednolicić trzy systemy prawne tak, by przyniosło to jak najmniej strat. Jednym z nielicznych, którzy w czasie tak niespokojnym i niestabilnym projektowali spokój i stabilność na wąziutkim polu, jakim jest ochrona przeciwpożarowa, był Józef Tuliszkowski. Nie dość, że miał plan, to postarał się o jego utrwalenie i to takiego rodzaju, by tworzył zwartą całość. Oczywiście to, co myślał, opublikował w „Przeglądzie Pożarniczym”, w artykule pt. *Przyszła organizacja straży ogniowych w Odrodzonej Polsce*³⁶. Jednak inny wymiar ma publikacja zwarta, a więc jako taka koncentrująca uwagę czytelnika wyłącznie na sobie, a inny – artykuł w gazecie, nawet tak profesjonalnej, jak ówczesny „Przegląd Pożarniczy”, gdzie tekst musi walczyć o uwagę czytelnika z innymi tekstami. Tu podziwiać należy obrotność Tuliszkowskiego, bo wydanie w tak niepewnym czasie publikacji, nawet wielkości broszury, to jednak wyczyn. O ile w 1918 r. wydanie książkowe czegoś było niezmiernie trudne, o tyle w 1919 r. graniczyło z cudem. Ten cud zmaterializował się w Wydawnictwie Związku Miast Polskich, jako publikacja pt. *Zorganizowanie ochrony przeciwpożarowej w Polsce zjednoczonej*³⁷.

Siłą rzeczy autor powtórzył kilka spostrzeżeń z wykładu, który odbył się w drugim dniu obrad wrześniowych z 1916 r. w czasie zjazdu, mającego na celu zjednoczenie ruchu strażackiego w Związku Floriańskim. Z tym, że wówczas była inna sytuacja – jednoczono ruch okupowanego Królestwa Polskiego. Teraz należało zjednoczyć trzy zabory. Zatem należało odnieść się do zagadnień na zasadzie większej ogólności, gdyż chodziło o ziemie z dwoma dodatkowymi porządkami prawnymi, również w zakresie ochrony przeciwpożarowej. W tej sytuacji tekst Tuliszkowskiego okazał się ostrożniejszy, ukierunkowany bardziej na budowanie pozytywów niż wykazywanie problemów. O problemach również pisał, z tym że inaczej rozłożył akcenty. Nie mógł skupić się wyłącznie na Królestwie Polskim i na Związku Floriańskim. Musiał sięgnąć szerzej, w dodatku z zasadą proporcjonalności. I nie mógł wydawać osądów krzywdzących. Zobaczmy, jak mu się to udało.

Wstęp, mówiący wiele o ówczesnej sytuacji

Tuliszkowski pisał szczerze, ale też używając sformułowań takim sposobem, jaki stosuje się przy głoszeniu kazań – w każde zdanie wplatając jakieś odwołanie do „świętości”. Zatem próba podważenia takiego zdania oznaczałaby jednocześnie atak na tę „świętość”. Poniższe akapity pomagają ten efekt osiągnąć.

Iści się chwila zjednoczenia wszystkich Ziem Polskich. Lecz Ojczyzna nasza z zapasów dziejowych wychodzi mocno osłabiona: przemysł zrujnowany, wsie i miasteczka w wielu

³⁶ J. Tuliszkowski, *Przyszła organizacja straży ogniowych w Odrodzonej Polsce*, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 2.

³⁷ J. Tuliszkowski, *Zorganizowanie ochrony przeciwpożarowej w Polsce zjednoczonej*, Wyd. Związku Miast Polskich, Warszawa 1919.

miejsowościach popalone, gospodarstwo rolne mało wydajne, w niektórych okolicach zaniedbane; długotrwałe okupowanie ziem naszych wyssało z nich soki żywotne. Resztki zasobów gospodarczych, jak budowle, pozostałe ruchomości i inwentarze tembardziej przedstawiają bardzo cenny materiał, że są jedyną prawie podstawą, na której przyszła gospodarka kraju ma się oprzeć.

Ochrona tych cennych materiałów przed zagładą winna być przedmiotem troski tak Państwa, jak i całego społeczeństwa, a również tych instytucyj, których bezpośrednim zadaniem jest ubezpieczanie mienia narodowego i warsztatów pracy. Władze państwowe przedewszystkiem winny ująć tę sprawę w swe ręce³⁸.

Jak widać, Tuliszkowski pisał zgodnie z powszechnymi odczuciami i o sprawach najbardziej oczywistych. Szybko jednak porzucił tony najwyższe, ale jak już ton nadał, to on w świadomości czytelnika do końca wybrzmiewał. Najważniejsze, jak w trzech zdaniach potrafił ująć ochronę przeciwpożarową jako integralną część organizmu państwowego, niezbędną dla jego funkcjonowania. Tym samym osiągał cel – uzmysławiał czytelnikowi, że nie można tej gałęzi bezpieczeństwa traktować jako osobnego tworu. A przecież wielu zaczęłoby nie od wizji Ojczyzny, lecz ochrony przeciwpożarowej, jaką sobie wyobrażają, pokazując ją tym samym jako abstrakcję przeznaczoną dla specjalistów, a nie coś do rozważenia dla ogółu.

Ochrona przeciwpożarowa, która i przed wojną była w kraju naszym wysoce niedostateczna, obecnie przedstawia się jeszcze gorzej, a w niektórych miejscowościach stan pożarnictwa jest wprost rozpaczliwy. Parokrotna inwazja armij mocarstw wojujących, krwawe walki, ustawiczne rekwizycje poczyniły olbrzymie wylomy w kompletach taborów strażackich, a w bardzo wielu miejscowościach je zniszczyły³⁹.

Istotny jest tu akcent dotyczący skuteczności działania Związku Florjańskiego i ubezpieczycieli.

Dzięki intensywnej działalności Związku Florjańskiego i poparciu Ubezpieczeń Państwowych powstało podczas wojny wprawdzie kilkaset nowych organizacyj strażackich przeważnie na wsi, jednak brak narzędzi ogniowych, a szczególnie tak niezbędnych węży, wpłynął ujemnie na wykwapowanie niektórych drużyn, przez co one nie wszystkie przedstawiają poważną siłę bojową. Budowa Państwa Polskiego musi być intensywnie prowadzona we wszystkich dziedzinach życia społecznego⁴⁰.

Warto zauważyć, że Tuliszkowski opierał się na optymistycznych założeniach – liczył, że przywrócone zostaną granice z czasów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, to jest I Rzeczypospolitej.

I pożarnictwo krajowe czeka wzmoczona praca nad reorganizacją obrony ogniowej, przede wszystkim po miastach dzielnicowych, wojewódzkich i powiatowych oraz po większych osadach, fabrykach, a również nad organizacją nowych straży na wsi i po miasteczkach. Praca

³⁸ J. Tuliszkowski, *Zorganizowanie ochrony przeciwpożarowej w Polsce zjednoczonej*, Wyd. Związku Miast Polskich, Warszawa 1919, s. 3.

³⁹ Tamże.

⁴⁰ Tamże.

ta będzie olbrzymia, a przytem o bardzo szerokim zakresie, zwłaszcza z chwilą, gdy do b. Królestwa Kongresowego dołączona będzie prócz Galicji, Poznańskiego ze Śląskiem i Pomorzem, Litwa z Białorusią i część ziem ruskich.

Z tych prowincyj jedynie Galicja może się poszczycić większą ilością straży, zogniskowanych w t. zw. „Związek Straży pożarnych”. Jednak i tu organizacje te posiadają dużo braków. Co się tyczy Poznańskiego, to zachodzi poważna okoliczność, że Niemcy, opuszczając prowincje zachodnie, zabrali i zdekompletowali tabory straży ogniowych, które tu miały charakter i ustrój wybitnie niemiecki. Czekają więc nas tutaj duża robota przy rozpoczynaniu organizowania nanowo prawie całej samoobrony pożarowej.

Na wschodzie i południu Polski, t. j. na Litwie, Białorusi, Wołyniu i Podolu, organizacje przeciwpożarowe były wysoce niedostateczne, a przytem o charakterze rosyjskim; i tu wypadnie poświęcić bardzo wiele trudu.

Wszystkie te zamierzenia musi poprzedzić cały szereg długich, fachowych. O nich więc należy pomówić⁴¹.

Zakres opracowania

Wbrew zagajonemu przez nas wstępowi, projekt Tuliszkowskiego nie był drobiazgowym traktatem na temat ochrony przeciwpożarowej, ogarniającym wszelkie jej aspekty, a w ślad za tym nie omawiał proporcjonalnie wszystkich jej gałęzi. Tuliszkowski chciał trafić do ludzi podejmujących istotne decyzje w tym zakresie. Z założenia więc nie mógł napisać czegoś, co byłoby obarczone specjalistyczną terminologią czy zagadnieniami, od których głowy by tych ludzi rozboleły. W tej treści nigdzie nie pozwolił sobie na uwagę co do fachowości adresatów broszury, jak to uczynił w przedmowie do *Projektu reorganizacji Straży Ogniowej m.st. Warszawy* (zresztą fiasco tego projektu wiele mu dało do myślenia). Zatem mamy do czynienia z jednym chyba opracowaniem Tuliszkowskiego o charakterze ogólnopożarniczym, w którym nie dość, że odwrócił kolejność działań, pisząc najpierw o aspektach interwencyjnych, to w dodatku zachwiał proporcjami zagadnienia, bo poświęcił im 95% objętości. Tym samym *Zorganizowanie ochrony przeciwpożarowej w Polsce zjednoczonej* prezentowało obraz powszechnie zrozumiały, bo zgodny nie tylko z krytykowanymi gdzie indziej przez Tuliszkowskiego odczuciami przeciętnych ludzi o ochronie przeciwpożarowej, ale też taki właśnie, że „niektóre mniej świadome jednostki”, a mające mimo to wiele do powiedzenia, nie musiały czuć się zakłopotane zakresem własnej nieświadomości. Autor chciał, by te osoby, skoro już są na stanowiskach decyzyjnych, o których twierdził iż „sądzą, że gasić ogień i dowodzić strażą – to jedna z łatwiejszych czynności”, powinny podjąć zasugerowane im decyzje bez oporów, gdy zrozumieją, jaka to dla nich błahostka.

⁴¹ J. Tuliszkowski, *Zorganizowanie ochrony przeciwpożarowej w Polsce zjednoczonej*, Wyd. Związku Miast Polskich, Warszawa 1919, s. 4.

Mamy zatem opracowanie Tuliszkowskiego, z którego można wysnuć wniosek, że cała ochrona przeciwpożarowa to przede wszystkim zakładanie straży pożarnych w odpowiednich proporcjach między zawodowymi a ochotniczymi, tudzież z odpowiednim wyposażeniem dla obszaru ich działania. Kwestiom ochrony biernej i podstawom prawnym działania poświęcono w nim jedynie kilka ostatnich zdań. W tym świetle na wysnuć wniosek, że dla celów wyższych Tuliszkowski poświęcił nieco prawdy na rzecz propagandy i stworzył broszurę polityczną.

Zasadnicze treści

Pisał o sytuacji w całej zjednoczonej Polsce, ale nie krył, że czyni to z perspektywy byłego Królestwa Kongresowego. Miał ku temu powody – było największym obszarem, zachowało imię Polski, stało się ośrodkiem odzyskania niepodległości i to do niego przyłączano pozostałe krainy.

Skoncentrowanie się na bylej Kongresówce uzasadniał również na inne sposoby.

Z dziesięciu miast b. Królestwa Kongresowego tylko trzy (Warszawa, Lublin i Siedlce) posiadają straże zawodowe, a z osiemdziesięciu powiatowych miast tylko trzy (Łódź, Częstochowa i Zamość) miały przed wojną płatne pogotowia. Reszta miast posiada tylko straże ochotnicze.

Podczas zajęć instruktorskich w ciągu sześciu prawie lat przy Centralnem Towarzystwie Rolniczem objechałem bardzo wiele straży i stanowczo twierdzę, że może zaledwie 8–10 proc. tych zrzeszeń odpowiada potrzebom i warunkom miejscowym. Chociaż bardzo wiele tych organizacji jest fachowo wyrobionych i składa się z dzielnych oddanych sprawie jednostek, jednak trafiają się wśród nich i organizacje luźne, mało sprawne. Tabor w bardzo znacznej większości są przestarzałe, za ciężkie, narzędzia nieudolne. Dobór ich zupełnie odbiega od wymagań warunków miejscowych (...)»⁴².

Jak zatem podstawa z Kongresówki, złożona w ponad 90% ze straży źle wyposażonych, miała się stać fundamentem ochrony przeciwpożarowej dla wszystkich ziem odzyskanych, gdzie porządki ogniowe były lepsze? Chodziło o to, by tę lepszość rozciągnąć na byłą Kongresówkę.

To też władze w Galicji doszły do wniosku, że w większych miastach muszą być stałe straże. W myśl § 16 ustawy ogniowej w dn. 9 lutego 1891 r. (...) *w miastach, liczących ponad 10.000 mieszkańców, powinna być bez względu na istnienie ochotniczej straży pożarnej zawodowa miejska straż pożarna*⁴³.

Mamy zatem cel projektu Tuliszkowskiego – powołanie do życia zawodowych straży pożarnych bądź częściowo odpłatnych, z którym to celem można łatwo się pogodzić. Za nim tkwił jednak cel ukryty, o którym nie informował, jakim było uzawodowienie ochrony przeciwpożarowej, również tej czynnej, a co za tym idzie, utworzenie etatów dla zawodowych inżynierów i techników pożarnictwa – bo tylko takich

⁴² J. Tuliszkowski, *Zorganizowanie ochrony przeciwpożarowej w Polsce zjednoczonej*, Wyd. Związku Miast Polskich, Warszawa 1919, s. 5.

⁴³ Tamże, s. 5–6.

widział na czele zawodowych straży ogniowych. Tymczasem umiejętnie uzasadniał powołanie straży zawodowych. Zauważmy, jakiego podstępu użył, by pomysł został zaakceptowany. Mianowicie komu miałyby być podporządkowane małe straże zawodowe...? Bo kto brał udział w gremiach decydujących o przyszłości Związku Floriańskiego? Oczywiście, że delegaci straży pożarnych ochotniczych. A kogo delegowano...?

Otóż należałoby objechać wszystkie miasta wojewódzkie i powiatowe i dokładnie zbadać warunki miejscowe, projektując stosownie do tych wskaźników odpowiednie choćby niewielkie straże stałe i zawodowe pogotowia, które w harmonii mogłyby pracować z miejscowymi organizacjami ochotniczymi, podporządkowane ich naczelnikowi wspólnemu, zależne od nich w tych wypadkach, gdy, te, służąc jako rezerwy, byłyby uruchomiane do pożarów poważniejszych⁴⁴.

W innym miejscu czytamy:

Projektując urządzenie zawodowego pogotowia straży przy istniejącej organizacji ochotniczej, należy bezwzględnie zharmonizować ich działalność, podporządkowując obje organizacje jednej władzy, jednemu zwierzchnikowi, najlepiej naczelnikowi miejscowej straży ochotniczej⁴⁵.

Jak widać, Tuliszkowski bardzo głęboko uklonił się naczelnikom straży ochotniczych z urzędu uznając ich fachowość do zarządzania strażami zawodowymi. Nie był tu do końca szczery, ale też cały omawiany memoriał do końca szczery nie był. Zaraz jednak pokazał kryteria powoływania straży pożarnych, gdzie pobrzmiewa nieodległe echo jego ostatniej publikacji na temat czynnej ochrony przeciwpożarowej Warszawy.

Czynniki, od których zależy każda organizacja obrony od ognia, są następujące:

- 1) Położenie, rozległość i właściwości geograficzne danego miasta lub miasteczka.*
- 2) Rodzaj budynków, ich wysokość, konstrukcja i tworzywo, z którego są wzniesione budowle i t.p.*
- 3) Właściwości ulic i dróg, rodzaj zabrukowania, pochyłość.*
- 4) Położenie i rodzaj zbiorników wodnych, jak wodociągi, stawy i rzeki⁴⁶.*

Przyjrzyjmy się jednemu z tych kryteriów, mianowicie wysokości budynków, a zrozumiemy, że zakres zadań związanych z gaszeniem takich obiektów wykraczał poza kompetencje nawet dobrych strażaków niezawodowych, nie mówiąc już o ich wyposażeniu w sprzęt wysoce specjalistyczny, a więc kosztowny i wymagający starannego przeszkolenia jego użytkowników.

Od wysokości i rodzaju budynków zależy w pewnej mierze dobór narzędzi ogniowych, szczególnie drabin, ich systemu i wysokości, sposobu przewożenia⁴⁷.

⁴⁴ J. Tuliszkowski, *Zorganizowanie ochrony przeciwpożarowej w Polsce zjednoczonej*, Wyd. Związku Miast Polskich, Warszawa 1919, s. 6.

⁴⁵ Tamże, s. 9.

⁴⁶ Tamże, s. 6.

⁴⁷ Tamże.

Tu zalecał Tuliszkowski, jeśli drogi były dobre, pozyskać z demobilu samochody ciężarowe, a po wyposażeniu ich w autopompy o wydajności 500–600 l/min i odpowiednim skarosowaniu mieć tanim kosztem autopogotowia. Uzasadnienie było również ekonomiczne i naprawdę szkoda, że nasza armia go nie słyszała, zwłaszcza argumentu końcowego.

*(...) samochód w przyszłej organizacji przeciwpożarowej winien odegrać bezsprzecznie bardzo poważną rolę. Ma on ogromną przewagę nad siłą pociągową końską, dzięki możliwości momentalnego uruchomienia wozu, dzięki wielokrotnie większej szybkości, dzięki zastąpieniu siły ludzkiej w pompowaniu wody silnikiem, oraz dzięki oszczędnej eksploatacji, ponieważ samochód kosztuje tylko wtedy, gdy jest uruchomiony*⁴⁸.

Takim oto sposobem autor niemalże potocznym językiem zachęcał do myślenia pozytywnego, wszystko wiążąc z jakże miłą sercu każdego perspektywą lania wody w ogień. Ale żeby ją lać, trzeba ją mieć – to oczywiste (a przynajmniej powinno takie być) dla wszystkich strażaków. I tu, jeśli idzie o wodę, zakradł się do tekstu język specjalistyczny.

Uznanie wiedzy przez skinienie głową

Tuliszkowski tak to ułożył, by czytelnik, który zgadza się z tym, że woda jest ważna, po prostu przytaknął. Tym samym zaakceptował to, co między wierszami wyrażnie było widać – do właściwego zaopatrzenia w wodę potrzeba inżynierów. Tym oto sposobem pojawili się oni w szeregach strażackich w memoriale Tuliszkowskiego, bez epatowania tym faktem.

Trudno jest tu szczegółowo opisywać wszystkie warunki i czynniki, jakie grają rolę przy organizowaniu obrony od ognia w danym mieście lub okolicy. Wszystkie jednak te dane muszą być brane przez organizatorów w rachubę do najmniejszych szczegółów i subtelności (...).

Teoria i dokładna znajomość zasad pożarnictwa i hydrauliki stanowią tu wiele; jednak praktyka i dokładne zbadanie wszystkich czynników na miejscu dopiero umożliwiają stworzenie obszernego a szczegółowego planu ochrony przeciwpożarowej.

Przy tych pracach w inna być zwrócona baczna uwaga również na stan zbiorników wodnych; bez racjonalnego urządzenia tych bowiem i bez obfitości wody żadna najlepiej pomyślana organizacja straży nie będzie zadowalająca. W miejscowościach więc ubogich w wodę muszą być zaprojektowane studnie z pompami i zbiorniki żelbetowe lub kadzie. W miastach, położonych nad rzekami i szczególnie na wysokim brzegu, jak Wyszogród, Dobrzyń, winien być urządzony choć niewielki wodociąg ze stacją pomp u dołu i choćby paroma hydrantami lub zbiornikiem na górze, w rynku, skąd beczki mogłyby czerpać wodę. W innych znów miastach i miasteczkach wypadnie projektować stawy, sadzawki i t.p. sztuczne zbiorniki wodne. Podczas tych prac i badań organizator winien porozumiewać się i szczegółowo informować się u władz miejskich, u inżynierji oraz w zarządzie miejscowej straży ogniowej, zasięgając ich opinji, oglądając

⁴⁸ J. Tuliszkowski, *Zorganizowanie ochrony przeciwpożarowej w Polsce zjednoczonej*, Wyd. Związku Miast Polskich, Warszawa 1919, s. 7.

i oceniając sprawność posiadanych narzędzi ogniowych, biorąc pod rozwagę przy opracowaniu przyszłego planu lub reorganizacji istniejącej obrony wymagania i opinie obywateli⁴⁹.

Przeczytawszy powyższy fragment, ocenmy zdanie poniższe i przyznajmy, co nam przyszło na myśl.

Do tych prac przedewszystkiem należy powołać nasze straże ogniowe ochotnicze⁵⁰.

Odruch myślowy, że straże ochotnicze do zagadnienia inżynierii hydraulicznej niezbyt się nadają, następuje sam. Ale autor likwiduje ten dyskomfort, podsuwając w następnym akapicie rozwiązanie – współpraca między strażą ochotniczą a powołanym w jej ramach ogniowym pogotowiem zawodowym powinna być ścisła, a podporządkowana naczelnikowi OSP...

Takim oto sposobem, bardzo sprytnym, Tuliszkowski wplotł myśl o inżynierii do zasobu wiedzy o kompetencjach strażackich – bez dotychczasowych pretensji i bez narzucania własnego zdania z pozycji wiedzy i siły. W domyśle: naczelnikami straży ochotniczych powinni być inżynierowie.

Stan straży po Wielkiej Wojnie

Wbrew pozorom odbudowanie od nowa straży ogniowych dotyczyło nie samego tylko zaboru rosyjskiego. Wojna zburzyła również to, co było dobrze zorganizowane.

Trzeba będzie zabrać się do szczegółowego zbadania warunków przedewszystkiem w ziemach byłego zaboru pruskiego, zaczynając od miast większych, jak Poznań, Toruń, Gdańsk i miast powiatowych.

Ponieważ straże tam były rdzennie niemieckie, więc przypuszczać należy (...), że Niemcy pozostawili remizy i taborry zdewastowane. Wobec tego nawet wskazanem byłoby prace rozpocząć od tych prowincyj, które, jako zasobniejsze i kulturalniejsze, tem bardziej będą potrzebowały jak najszybszego zorganizowania obrony od ognia.

Ochrona ta będzie już potrzebna bardzo prędko, szczególnie w naszym porcie polskim Gdańsku, kiedy to już tego lata, miejmy nadzieję, będą nagromadzone w porcie duże zapasy surowców i różnych towarów, dowożonych dla Polski z Ameryki, kiedy na jesieni będą dopływać ały tam Wisłą i kolejami transporty zbywającego w kraju zboża (...). Konieczną się staje sprawą opracowanie zawczasu projektu szczegółowej obrony spichlerzy, elewatorów, statków i barek i wszystkich wogóle u rządzeń portowych; a specjalne statki przeciwpożarowe z dużymi silnikami spalinowymi i wydajnymi pompami zająć powinny miejsce pierwszorzędne.

Galicja będzie wymagała w sprawach ochrony pożarowej znacznych reform i ulepszeń. Chociaż istniejący tam kilkadziesiąt lat „Związek straży pożarnych” działał bardzo wiele, organizując około tysiąca straży, jednak wyrodził się tam pewnego rodzaju szablon, a myśl twórcza wskutek wojny jakby zastygła. (...)

⁴⁹ J. Tuliszkowski, *Zorganizowanie ochrony przeciwpożarowej w Polsce zjednoczonej*, Wyd. Związku Miast Polskich, Warszawa 1919, s. 8.

⁵⁰ Tamże, s. 9.

Wypadnie powołać w Galicji specjalną komisję z udziałem znanych działaczy na polu pożarnictwa galicyjskiego i poddać szczegółowej rewizji i krytyce obecny stan ochrony pożarowej, projektując rozległe a daleko idące reformy. One by poruszyły szablon z posad i ożywiły istniejące formacje strażackie, doprowadzając obronę do należytej wysokości i wymagań nowoczesnych. (...)

Na Litwie, Białorusi, Wołyniu i Podolu, praca prawie od podstaw, od początku. Stan bowiem pożarnictwa tutaj jest w dużym zaniedbaniu- Nawet w stolicy Litwy, w Wilnie, urzędnienia przeciwpożarowe pozostawiają bardzo wiele do życzenia, przedstawiając stary typ straży na wschodnią rosyjską modłę wyekwipowanej, rosyjskim duchem prześląkniętej⁵¹.

Jaki system ochrony przeciwpożarowej?

Odpowiedź na to pytanie pada między wierszami, niejako przy okazji. Jest jednak wyraźna i jednoznaczna. Bo wszystkie prace, jakie proponuje autor, w tym rozesłanie obszernych kwestionariuszy do wypełnienia przez komisje wojewódzkie, mają na celu wszechstronne oszacowanie zagadnień ochrony przeciwpożarowej, z (...) zebraniem materiału, tyczącego się dawnych i teraźniejszych przepisów prawnych, ustaw budowlanych, gminnych, wydanych w Polsce i w innych Państwach, i opracowaniem projektu ustawy, obejmującej ochronę przeciwpożarową w całym Państwie dla przedstawienia Sejmowi do zatwierdzenia. (...)

Tego rodzaju akcja, skoncentrowana w specjalnym wydziale Ubezpieczeń Państwowych i w Związku Straży Ogniowych, obejmująca opiekę Państwa nad całością majątku narodowego, przyniesie społeczeństwu korzyści nieobliczalne, ujednostajni rozbieżne dotychczas, często nieudolne dążenia, powstające z inicjatywy prywatnej, przyspieszy sprawę racjonalnej ochrony od ognia, przyczyniając się w znacznej mierze do ogólnych dążeń i prac przy odbudowie skolataniej Ojczyzny⁵².

„Tego rodzaju akcja”, ze wszech miar potrzebna i racjonalna, nie doszła niestety do skutku. Wymagałaby bowiem – o czym Tuliszkowski celowo nie pisał, by nie spłoszyć adresatów artykułu-memorjału – powołania do służby fachowców oraz rozciągnięcia nad nimi instytucjonalnego nadzoru państwowego. Innymi słowy – autor co prawda nie proponował, ale pośrednio rozumiało się samo przez się (wszak kiedy indziej zgłoszono kilka postulatów do rządu polskiego pod okupacją niemiecką – urzędnicy niepolityczni pozostali tam na stanowiskach również w wolnej Polsce), że w którymś z ministerstw, np. do spraw wewnętrznych, powinien powstać wydział złożony z odpowiednio wykształconych fachowców, co samym swym istnieniem wymusiłby zatrudnienie takich fachowców na niższych szczeblach, jeszcze niesprecyzowanych. Powinna zatem powstać struktura pionowa, którą za jakiś czas, zgodnie z profilem jej działalności, nazwano by policją ogniową. Nie powstała, bo zawsze

⁵¹ J. Tuliszkowski, *Zorganizowanie ochrony przeciwpożarowej w Polsce zjednoczonej*, Wyd. Związku Miast Polskich, Warszawa 1919, s. 9–10.

⁵² Tamże, s. 12.

inne względy były ważniejsze, bo zabrakło ludzi kompetentnych, którzy zechcieliby posłuchać głosu fachowców.

Tak oto okazuje się, że nawet dostosowanie języka i poziomu pojęciowego do dyletantów nijak nie gwarantuje, że pojmą oni wykładaną im konieczność, skoro z tym, że czegoś nie wiedzą, jest im bardzo wygodnie. Są przy tym w stanie wygenerować na takie postulaty, na podchwytliwe nawet sugestie działań najwłaściwszych, odpowiedź połączoną z zagadką: „A po co?”

No właśnie, po co?

Dajmy na to odpowiedź pośrednią.

Artykuł – również w tytule ograniczony do samych straży ogniowych – wydał Tuliszkowski w 1917 r., natomiast broszurę o szerszym zakresie w 1919 roku. Ustawa o sprawach ochrony przeciwpożarowej wyszła dopiero w 1934 r., a przy tym w takim kształcie, jakby twórcy dosłownie przeczytali niniejszym omawiane opracowanie, wierząc, że gdzieś tam kto inny zajmie się sprawami ochrony biernej. W efekcie pominięto kwestie, jakie Tuliszkowski z Chomiczem rozwiązywali wcześniej, niejako przy okazji.

Niestety, nie opłaciło się wytwarzanie tekstu propagandowego, z którego wprost można było wniesć, że cała ochrona przeciwpożarowa to sieć straży pożarnych i nic więcej. O ile broszura ta odniosła jakiś skutek, to jednak utwierdziła wielu decydentów w przekonaniu, że mogą podejmować najważniejsze decyzje, nie mając ku temu należytej wiedzy. Taki sposób myślenia został przyjęty niezależnie od zaboru, bo przecież samych wewnątrzstrażackich problemów, z jakimi borykano się, tworząc i utrzymując ruch zjednoczeniowy, było aż nadto, ponad możliwości fizyczne i umysłowe ludzi, którzy zajmowali się tym – jak to ochotnicy – dorywczo, np. pełniąc jednocześnie funkcje wojewody czy starosty, o wiele dla nich ważniejsze i bardzo pracochłonne. W związku z tym, nawet jeśli sobie zdawano sprawę, że gdzieś tam potrzebne jest wyższe wykształcenie techniczne, to tak sterowano problemami, by wypchnąć je z orbity straży pożarnych na zupełnie inną. A kto w tym przeszkadzał, musiał odejść....

Innymi słowy, władze strażackie całkiem szybko stały się takimi w swoich działaniach i dążeniach, jak sobie ochronę przeciwpożarową wyobrażał przeciętny strażak-ochotnik – z bardzo przeciętną strażą, ledwo egzystującą, z której inteligencja zwyczajnie uciekła. Niewiele to odbiegało od wyobrażeń strażaka zawodowego, którego bardziej zajmowały socjalno-fiskalne warunki pełnienia służby, niż zapobieganie pożarom czy budownictwo ogniotrwałe. Nie takie cele przyświecały działaniu Chomicza i Tuliszkowskiego.

Ale... Publikując omawianą książkę, w opinii autora Tuliszkowski w niczym nie zawinił, to jest nie przyczynił się jej treścią do utrwalenia w pewnym sensie patologicznego porządku rzeczy. Być może tym razem chciał być na swój sposób ugodowy i sprytny. Niestety wydaje się, że zamierzonego efektu nie osiągnął.

Tymczasem jednak obaj pionierzy ochrony przeciwpożarowej robili co mogli, by ruch strażacki zjednoczyć. Związek Florianowski okazał się w tym siłą przewodnią.

Zjednoczenie polskich strażaków

O historii ruchu strażackiego na ziemiach polskich można przeczytać bardzo dużo, bo wytworzono obszerną literaturę, którą jednak należy czytać z wielką ostrożnością⁵³. Problem w tym, że większość opracowań powstała w wyniku swoistej metodologii, mającej na celu ukazanie wyłącznie pozytywnych aspektów opisywanych zagadnień. Zatem nie dość, że przyjęto za dobrą monetę materiały źródłowe, nie poddając ich weryfikacji, to w dodatku nierzadka była praktyka nakładania na nie własnej warstwy informacyjnej.

Tak układana narracja historyczna daje niewielki lub nawet żaden wgląd w kulisy działań, w tło wydarzeń, czyli w problemy, z jakimi przyszło borykać się założycielom straży, ubezpieczeń i budownictwa ogniotrwałego, ich działaczom i pracownikom. Z tych powodów zasadne wydaje się ponowne przeprowadzenie szeroko zakrojonych badań podstawowych, by oprzeć wiedzę historyczną na większej liczbie materiałów źródłowych i ich pogłębionej analizie.

Dodatkowym problemem jest tu fakt, że niektórzy historycy, a także część osób zajmujących się kwestiami ochrony przeciwpożarowej, nie rozumieli dostatecznie znaczenia wszystkich jej aspektów, marginalizując znaczenie obrony biernej przed pożarami. A przecież trudno zakładać, że Chomiczowi i Tuliszkowskiemu chodziło o to, by straże ogniowe ochotnicze miały piękną, ognistą scenerię do swoich bezskutecznych manewrów, wykazując się isticie teatralnymi, a bezsensownymi przykładami brawury i poświęcenia, niestety, nadaremnie, a potem spożywały zakrapiane alkoholem, zasłużone poczęstunki w sąsiedztwie dymiących zgłiszcz, w obliczu zrozpaczonych pogorzelców, a przy tym, bywało, na ich koszt. Straże te miały być skutecznymi jednostkami, a zatem walczącymi z pożarami małymi. Chodziło więc o to, by na wszelkie sposoby te pożary zniwelować.

I jeszcze jedno. Mieli też współczuć strażacy tym, którym nieśli pomoc, mieli wobec nich wykazywać odruchy ludzkie. Jeśli tak w jakiejś straży pożarnej nie było, jeśli pożar traktowano jako ekscytującą przygodę, łatwo zmieniała się każda taka jednostka w siedlisko patologii.

O wspomnianych patologiach wiedzieli Chomicz i Tuliszkowski, walczyli z owymi zjawiskami, każdy na swój sposób: jeden poprzez uświadamianie, drugi – poprzez dyscyplinę. Oba te czynniki można było wdrażać w miarę skutecznie tylko wtedy, gdyby zostały określone właściwe ramy organizacji strażackich, gdyby etos został przekuty w przepisy, a przynależność tak do większego ruchu, jak i do najmniejszych jednostek organizacyjnych, byłaby warunkowana spełnieniem pożądanych i – co ważne – określonych jasno standardów.

⁵³ Są to m.in.: J.R. Szaflik, *Dzieje Ochotniczych Straży Pożarnych w Polsce*, Warszawa 2005; P. Matusak, *Bolesław Chomicz w trosce o jedność i siłę ruchu strażackiego*, Warszawa 2015.

Praca formująca, czyli nowy statut⁵⁴

Siła merytoryczna Związku Florianńskiego, organicznie związanego z terytorium byłego zaboru rosyjskiego i pracowitość jego zarządu objawiła się w pierwszym w Polsce, wzorcowym dokumencie, dotyczącym organizacji ochrony przeciwpożarowej, przekraczającym granice zaborów. W dniu 10 maja 1919 r. Minister Spraw Wewnętrznych zatwierdził pierwszy polski Wzorcowy Statut Towarzystwa Ochotniczej Straży Pożarnej⁵⁵. Data zatwierdzenia statutu świadczy również i o tym, że Chomicz z Tuliszkowskim nie tracili ani dnia na jałowe rozważania o przyszłości i dosłownie chwyтали każdy dzień. Stworzyli statut w czasie największej zawieruchy wojennej w Wielkopolsce i w Galicji, czyli w chwilach, gdy do takich spraw na tamtych terenach nikt głowy nie miał. Nikt im zatem nie przeszkadzał w zatwierdzeniu dokumentu, nikt swoich uwag nie zgłaszał – postawili wszystkich polskich strażaków przed faktem dokonanym.

Co prawda statut nie był aktem prawnym rangi rozporządzenia, nie był też two-rem pionierskim, gdyż jego treść oparto na statutach z Królestwa Kongresowego⁵⁶, ale i tak okazał się pierwszą w wolnej Polsce, skuteczną, w pełni i powszechnie dostępną regulacją prawną, dotyczącą ustroju, podstaw i zakresu działania straży pożarnych. W odrodzonym kraju miało to ogromne znaczenie symboliczne. Dla działaczy strażackich z innych dzielnic było swoistym impulsem – Kongresowiaci robią swoje niezależnie od okoliczności i wszystkich wyprzedzają.

Jednocześnie statut ten miał wielki wymiar praktyczny. Jeśli bowiem grupa wolnych obywateli odrodzonej Polski chciała założyć wielce pożyteczną straż ogniową, statut był w tym zakresie bardzo dobrą instrukcją, jak to zrobić – wskazówką, co dalej mają czynić i odpowiedź, skąd brać pieniądze na to przedsięwzięcie. Już choćby z tego powodu mógł być dumnym prezes Chomicz i cały zarząd Związku Florianńskiego. Tym samym w ramach odrodzonego kraju Chomicz wyprzedził działania stowarzyszeń byłych zaborów pruskiego i austriackiego, nadając ton całej gałęzi polskiej ochrony przeciwpożarowej, jaką były straże pożarne.

Tu należy jasno powiedzieć, że statut ten odpowiadał jego nazwie co do joty. Zatem nie chodziło w nim o samą tylko ochotniczą straż pożarną, ale o jej towarzystwo. Wszak straże nie działają same dla siebie: statut był czymś znacznie więcej niż dokumentem opisującym działanie danej ochotniczej straży ogniowej, bo zawierał łączniki z pozostałymi częściami systemu, zwłaszcza z budownictwem racjonalnym.

⁵⁴ O ile nie zaznaczono inaczej, na podstawie: P. Rochala, *Bolesław Chomicz i jego czasy. Biografia strażacka*, Warszawa 2019, s. 164–167.

⁵⁵ Znaczące fragmenty statutu, w kontekście ograniczonym do działalności ochotniczej straży ogniowej, przytoczone zostały w opracowaniu Eugeniusza Walczaka pt. *Podstawy prawne działalności polskich straży pożarnych od ich powstania do 1939 r.*, „Zeszyty historyczne ZOSP RP” 2009, nr VIII, s. 87–90, pełny tekst statutu opublikowano w: „Zeszyty historyczne ZOSP RP” 2008, nr VII, s. 178–189.

⁵⁶ O perypetiach w tym zakresie traktują szczegółowo opracowania Tadeusza Olejnika: *Podstawy prawne działalności stowarzyszeń pożarniczych w Królestwie Polskim*, „Muzealny Rocznik Pożarniczy” 1992, t. 3; *Rozwój organizacyjny ochotniczych straży ogniowych w Królestwie Polskim*, „Muzealny Rocznik Pożarniczy” 1993, t. 4; *Towarzystwa straży pożarnych w Królestwie Polskim*, Warszawa 1996; *Powstanie i warunki działania Towarzystw Ochotniczych Straży Ogniowych na Ziemiach Polskich w okresie zaborów*, w: *Z myślą o Niepodległej*, Warszawa 2008.

Zasadnicze walory statutu wyglądały następująco:

Aby założyć ochotniczą straż ogniową, należało najpierw założyć Towarzystwo Straży Pożarnej – zrzeszenie o charakterze bardziej ogólnym, zawierającym w sobie również straż. Pomysł ten nie wynikał z przypadku ani z widzimisię autorów, ale z głębokich przemyśleń oraz z tego, co było prawnie dopuszczalne za zaborów w Królestwie Kongresowym – zakładano w nim nie ochotnicze straże ogniowe, ale towarzystwa straży pożarnych. Twórcy nowego statutu, czyli głównie Chomicz z udziałem Tuliszковского, nadali jeszcze głębszy sens owemu rozróżnieniu. Towarzystwo oznaczało przedsięwzięcie o bardzo szerokim zakresie: kulturalnym, oświatowym, społecznym i – jeśli idzie o ochronę przeciwpożarową – zapobiegawczym. Straż ogniowa była jednym ze składników towarzystwa, mianowicie jego częścią interwencyjną.

Twórcom statutu wyraźnie chodziło o to, by nie tworzyć samych straży ogniowych, skupionych wyłącznie na gaszeniu pożarów, co podświadomie mogłoby prowadzić do patologicznych sytuacji, że w istocie strażacy pragną ognia, by mieć po co istnieć. Towarzystwo, zawiązując się zgodnie z wzorcowym statutem, przyjmowało na siebie dwa zadania, związane z walką z klęską pożarów masowych i jedno, dotyczące walki z klęskami żywiołowymi. Oto one:

- 1) gaszenie pożarów,
- 2) przedsięwzięcie środków zaradczych zmierzających do zapobiegania pożarom,
- 3) niesienie pomocy przy ratowaniu życia i mienia w czasie klęsk żywiołowych.

Działania gaśnicze strażaków są jak najbardziej oczywiste, ale – w kontekście tego, co się rozwinęło ze straży ochotniczych w latach 30. XX w. (działalność praktycznie wyłącznie interwencyjna) – podkreślenia wymaga, że pierwsze przyjmowane dobrowolnie przez każdą ochotniczą organizację strażacką polskie prawo statutowe zobowiązywało ją do *przedsięwzięcia środków zaradczych zmierzających do zapobiegania pożarom*. Zadanie to było równie ważne jak obydwa pozostałe, o czym świadczy najlepiej umiejscowienie dokładnie po środku: pomiędzy gaszeniem pożarów a niesieniem pomocy w czasie klęsk żywiołowych.

Dalej w statucie tkwiła kolejna wskazówka, jak te środki zaradcze zmierzające do zapobiegania pożarom miały wyglądać, przyczyniając się jednocześnie do utrzymania straży w sensie finansowym. Przyjęła ona postać zapisu:

Towarzystwu przysługuje prawo (...). Prawo to miało się ziścić na kilka sposobów, m.in. przez:

- (...) *czuwanie nad przestrzeganiem przepisów budowlanej ustawy pod względem bezpieczeństwa ogniowego,*
- *tudzież roztaczanie swej pieczy nad lokalami zebrzań publicznych,*
- (...) *nadzór nad wszelkimi zbiornikami wody w obrębie działania Straży,*
- *utrzymywanie oddziału kominiarzy w celu czyszczenia kominów i przewodów dymowych w budowlach za osobnem wynagrodzeniem.*

Przyznać trzeba, że gdybyśmy tak czytali te statutowe wskazówki, nie wiedząc o ich statusie prawnym (np. przypuszczając, że pochodzą z jakiegoś ministerialnego rozporządzenia, regulującego zakres działania straży wcale nie ochotniczej, tylko zawodowej), to jawiłoby się nam zjawisko następujące: straże pożarne już od zarania niepodległości Polski mogły, a nawet powinny były zajmować się zapobieganiem pożarom, a nie samym tylko ich gaszeniem. Jeśli jednak pominąć część zapobiegawczą, w ogólnych założeniach organizacyjnych pierwszy wzorcowy statut bardzo przypomina te funkcjonujące dziś.

Członkowie mogli być czynni (od zadań bojowych), popierający (czyli płatnicy składek) i honorowi (wyróżnieni przez wybór za wybitne zasługi na polu statutowym).

Towarzystwo żyło nie samym tylko gaszeniem pożarów i możliwością im zapobiegania. Mogło urządzać kursy pożarnicze, wystawy, popisy, zawody i zjazdy, utrzymywać własną orkiestrę, chór, bibliotekę i czytelnię, nabywać i zbywać nieruchomości, no i urządzać imprezy kulturalno-oświatowe, w tym zabawy. I dopiero pośród tych przedsięwzięć, dających nieco szerszy wymiar niż samo gaszenie pożarów, TSP miało utrzymywać straż pożarną, zwaną z jakichś tajemniczych przyczyn Korpusem Straży Pożarnej. Być może chodziło o to, by nieco oderwać się od sformułowania „ochotnicza straż ogniowa”, które uległo spopolitowaniu, a nawet degeneracji i awansować w powszechnym języku straże ogniowe do pojęć kojarzących się z czymś, co rzadko miało okazję widzieć: bardziej wzniosłym. Poza tym słowo „korpus” ma w sobie pierwiastek jednolitości, bo przecież oznacza coś zwartego, całościowego, jak pień, kadłub.

Wyróżniono następujące ciała organizacyjne TSP: walne zgromadzenie, zarząd, rada sztabowa, a jeśli chodzi o indywidualne funkcje, wymieniono: naczelnika, pomocnika naczelnika, gospodarza, adiutanta, dowódcę oddziału (i jego pomocnika), lekarza, kapelana, plutonowych i szeregowych. Dla osób będących członkami dzisiejszych ochotniczych straży pożarnych większość nazw tych funkcji brzmi znajomo.

Warto zwrócić uwagę, z czego się TSO miało utrzymywać. Oczywiście ze składek członkowskich, ale też z opodatkowania mieszkańców gminy uchwałą władz, z dochodów od kapitału, z zasiłków, ofiar, darowizn no i z dochodów, osiągniętych przez własną orkiestrę, loterie, przedstawienia, ale też działalność kominiarską, a i za „pieczę” na obiektami czy imprezami mogło pobierać opłaty.

Wzorcowy statut okazał się dziełem trwałym. W nadanym mu w 1919 r. kształcie obowiązywał aż do stycznia 1935 r., kiedy został zastąpiony Statutem stowarzyszenia ochotniczej straży pożarnej⁵⁷, gdzie akcenty działalności przesunięto na interwencyjność. Jako baza następnych statutowych uregulowań trwa do dziś.

Statut okazał się bardzo istotnym czynnikiem przetargowym w grze o przewożenie nad strażakami w Polsce. Nie dało się tego zignorować w innych zaborach

⁵⁷ Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 14 stycznia 1935 r. o statucie wzorcowym stowarzyszenia ochotniczej straży pożarnej (Dz.U. 1935, Nr 7, poz. 35).

i ziemiach przyłączonych. Sam jednak statut niczego jeszcze nie jednoczył, tylko dawał wspólny wzorzec prawny działania.

Ruchy organizacyjne ku zjednoczeniu

Pod każdym zaborem strażacy próbowali organizować się w zrzeszenia, dające możliwość skuteczniejszego działania, a zwłaszcza wyłonienia reprezentacji, zdolnej do formułowania postulatów, pozyskiwania środków, ułatwiającej wybór i zakupy sprzętu, jednocześnie czyniącej zbędnymi wymyślanie komend czy regulaminów. Niepodległa Polska objęła swoim obszarem kilka związków strażackich⁵⁸:

1. Wielkopolski Związek Straży Pożarnych – utworzony uchwałą z dnia 11 stycznia 1920 r. walnego zgromadzenia delegatów straży pożarnych woj. wielkopolskiego, przekształcającą pruskiego pochodzenia Związek Prowincjonalny na związek o charakterze polskim. Pierwszy prezes – Karol Rzepecki. Pod koniec 1923 r. do związku należało 149 straży pożarnych.
2. Pomorski Związek Straży Pożarnych z siedzibą w Grudziądzu – przeorganizowany z poprzedniego (o charakterze pruskim), w 1921 r. Liczył 65 straży pożarnych.
3. Krajowy Związek Ochotniczych Straży Pożarnych w Królestwie Galicji i Lodomerii z Wielkim Księstwem Krakowskim – utworzony w 1875 r., przekształcony w 1923 r. na Małopolski Związek Straży Pożarnych z siedzibą we Lwowie. W 1923 r., już po podziałach wojewódzkich liczył 225 straży pożarnych.
4. Krajowy Związek Polskich Straży Pożarnych – założony na Śląsku Cieszyńskim w 1914 r. W 1923 r. liczył 54 straże pożarne.
5. Związek Floriański – imponujący wielkością i sposobem zorganizowania, zrzeszający straże pożarne z terenu Królestwa Kongresowego (zaboru rosyjskiego), pod zarządem Bolesława Chomicza i Józefa Tuliszkowskiego charakteryzujący się największą dynamiką (niemal lawinowo wzrastała wówczas liczba ochotniczych straży ogniowych). O ile w 1916 r. należało do niego ok. 70 (na kilkaset), to w 1919 r. zrzeszał ich 750, a w 1921 r. aż 1020 straży z ponad 60 tys. członków (czyli dwa razy więcej).

Zadziwiać musi słabość ówczesnego związku z Galicji, mającego najdłuższe tradycje i doświadczenia. Niestety, związek ten trwał wówczas w głębokim kryzysie. Nie dość, że był rozdzierany kłótniami, to na większości ziem przedwojennych Galicji i Lodomerii najdłużej toczyły się intensywne działania wojenne, co oznaczało całkowitą dezorganizację ruchu strażackiego. A jeśli przeszli gdzieś bolszewicy, likwidacja fizyczna strażaków była pewna. Sytuacja była tym bardziej niewdzięczną, że główna myśl związku miała siedzibę we Lwowie, nie w Krakowie.

W tej sytuacji na czoło działań dotyczących całokształtu ochrony przeciwpożarowej, a nie tylko zjednoczenia ruchu strażackiego, wysunęli się działacze Związku

⁵⁸ J. Boguszewski, *Pierwsze związki strażackie*, „Przegląd Pożarniczy” 1948, nr 1, s. 8–10.

Floriańskiego, z Chomiczem i Tuliszkowskim na czele. Mieli wszelkie dane ku temu: silny liczebnie związek, świetny periodyk oraz kilkanaście osób świadomych celów i sposobów działania. Żaden ze związków nie mógł się z tym równać w żadnym z aspektów działania. W poniemieckich związkach Polacy nie mieli doświadczenia w zarządzaniu, w poaustriackich borykano się jeśli nie z rozbiem wewnętrznym, to ze świeżymi skutkami walk. Tylko w Warszawie trwał względny spokój i możliwość działania. Przy tym, co niebagatelne, Warszawę ogłoszono stolicą kraju.

Toteż z podziwu godną odpornością nerwową, konsekwencją i wiarą w powodzenie działacze byłej Kongresówki dążyli do obrad zjednoczeniowych. Postępowali naprawdę dyplomatycznie, starając się nie urazić uczuć i ambicji działaczy z innych ziem. Jednocześnie cały czas to do nich – jako najlepiej zorganizowanych i posiadających najlepszą wiedzę – należała inicjatywa.

Przed wszystkim zdołano utworzyć Międzydzielnicowy Komitet do spraw pożarniczych. Była to platforma wymiany myśli. Spotkania miały miejsce w miastach znaczących dla poszczególnych zaborów. Prace postępowywały bardzo sprawnie. Związek Floriański przodował – należało do niego ponad 900 straży pożarnych. Na przykład zanim rozgorzała wojna bolszewicka, udało się doprowadzić do spotkania komitetu we Lwowie wiosną 1920 roku.

W dniu 27 kwietnia r.b., w salach Krakowskiego Towarzystwa Ubezpieczeń Wzajemnych we Lwowie, odbyło się posiedzenie Międzydzielnicowego Komitetu do spraw pożarniczych. Na posiedzeniu byli obecni delegaci Związku Floriańskiego w Warszawie: inż. S. Arczyński i inż. S. Waligórski, delegaci Krajowego Związku Straży Pożarnych we Lwowie prez. J. Neumann i radca poż. B. Wójcikiewicz; Wielkopolski Związek Straży Poż. zastępował p. D. Toth, dyr. repr. Krakowskiego Tow. Wz. Ubezpiecz. we Lwowie, wreszcie w charakterze gości wzięli udział w posiedzeniu: ks. W. Sapieha, delegat Rządu radca Namiestnictwa Broszkiewicz i inż. J. Tuliszkowski (...)⁵⁹.

Zwróćmy uwagę, że w charakterze gości pojawili się: miejscowy autorytet, ksiązę Władysław Sapieha, delegat rządu – zatem nadawano przedsięwzięciu charakter państwowotwórczy (w domyśle administracyjny) oraz Józef Tuliszkowski. Może nas to dziwić, ale już wówczas Tuliszkowski wchodził za ledwie w skład Rady Naczelnej Związku Floriańskiego, gdyż nie był już wiceprezesem. Jak widać, nie przeszkadzało to mu aktywnie włączyć się w działalność zjednoczeniową strażaków.

Obrady – choć w tak małym gronie i z symboliczną za ledwie reprezentacją strażaków z innych niż rosyjskiego, byłych zaborów (nieobecni przedstawiciele z Wielkopolski, Pomorza i Śląska, a także ze Śląska Cieszyńskiego) – było bardzo owocne. Co wówczas ustalono?

Według oświadczenia radcy B. Wójcikiewicza, Międzydzielnicowy komitet (...) jest organizacją przejściową, mającą na celu przystoczenia się w instytucję strażacką ze stale określonej siedzibą o szerokim zakresie działania. Na skutek odpowiedniego wniosku uchwalono,

⁵⁹ Międzydzielnicowy Komitet do spraw pożarniczych, „Przegląd Pożarniczy” 1920, nr 10–14, s. 74.

aby obrady odbywały się kolejno we Lwowie, Warszawie i Poznaniu, aby naczelnik Związku, w którego siedzibie odbywa się posiedzenie Komitetu, był przewodniczącym posiedzenia, drugi zaś członek tego Związku sekretarzował (...)⁶⁰.

Delegaci nie zważali na toczącą się wojnę, zresztą w chwili, gdy umawiali się na kolejne spotkanie Komitetu, polskie wojska sięgnęły bardzo daleko, bo po Mińsk i Kijów. A zatem spotkali się znów, tym razem w gronie bardziej reprezentatywnym.

Stosownie do powyższej uchwały następne z kolei posiedzenie Komitetu odbyło się w dniach 29 i 30 maja r.b. w Warszawie w lokalu Związku Florjańskiego. Obecni na niem byli delegaci Krajowego Związku Straży Pożarnych radca poż. Wójcikiewicz ze Lwowa i inż. Tuliszkowski; delegaci Wielkopolskiego Związku Straży Pożarnych pp.: E. Jahnke z Poznania i F. Kaczorowski z Wrześni; delegaci Związku Florjańskiego pp. Prezes B. Chomicz i naczelnik biura St. Arczyński oraz jako goście pp.: Henryk Gruber, radca Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, insp. T. Brzozowski z Warszawy, J. Drzewiecki z Sosnowca, A. Grohman z Łodzi, K., Jurkowski z Lipna, J. Kon z Częstochowy, J. Sztromajer z Garwolina, S. Waligórski z Chełmicy, E. Wachtman z Sosnowca, L. Zagrodzki z Warszawy⁶¹.

Tuliszkowski powtórnie miał status gościa, zresztą gości ze Związku Florjańskiego było więcej, przeważnie założycieli tegoż związku. Był też przedstawiciel rządu, Henryk Gruber, były legionista. Miał się wkrótce okazać zaprzysięgłym wrogiem Bolesława Chomicza wewnątrz przyszłej organizacji strażackiej, szkodzącym tak Chomiczowi, jak ojczyźnie, na polu ubezpieczeń. Rządy się zmieniały, a Gruber ciągle trwał na coraz to wyższych stanowiskach. Niemniej i te obrady były owocne.

Omawiano sprawy: zasady przyszłego zjednoczenia straży ogniowych, ujednolajnienia rozkazodawnictwa i ustalenie terminu zjazdu delegatów straży ogniowych z całej Polski w Warszawie. (...)

Uznając jednogłośnie potrzebę takiego zjednoczenia, postanowiono po obszerniej i gruntownej dyskusji powierzyć Prezydium Komitetu opracowanie statutu przyszłej organizacji, której nazwę ustalono jako: „Wszechpolski Związek Straży Pożarnych”⁶².

Jak widać, mimo udziału w posiedzeniu komitetu kilku osób pochodzenia żydowskiego, np. Henryka Grubera, słowo „wszechpolski”, zaproponowane przez delegata z Wielkopolski, nikomu z obecnych nie przeszkodziło. Miało przeszkodzić już wkrótce, gdy po odparciu bolszewików zaczęła się walka o władzę w Polsce.

Sprawę ujednolajnienia rozkazodawnictwa zdecydowano przekazać Wszechpolskiemu Związkowi Straży Pożarnych, przygotowując już teraz odpowiednie materiały.

Termin Zjazdu delegatów straży pożarnych z całej Polski, organizowanego z inicjatywy Związku Florjańskiego, ustalono na dzień 18, 19 i 20 września t.b., przyczem delegaci z Małopolski i Wielkopolski przyrzekli całkowite współdziałanie w sprawie⁶³.

Jak się okazało, wojna z Rosją sowiecką popsuła ten plan, a zjazd trzeba było przesunąć o rok.

⁶⁰ Międzydzielnicowy Komitet do spraw pożarniczych, „Przegląd Pożarniczy” 1920, nr 10–14, s. 74–75.

⁶¹ Tamże, s. 75.

⁶² Tamże.

⁶³ Tamże.

Zjazd zjednoczeniowy polskich strażaków

W dniach 8–9 września 1921 r. w Warszawie odbył się I Ogólnopanstwowy Zjazd Delegatów Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej. Oficjalnie zjazd trwał tylko dwa dni, z udziałem 3690 przedstawicieli z 742 straży ogniowych z całego kraju. Czas zjazdu był bardzo napięty, przy czym uczestnicy musieli wykazać się sporą kondycją fizyczną: codzienne msze, uroczysty przemarsz delegatów w przytomności prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, uroczysty przemarsz najświetniejszej delegacji (w jej składzie nie było Tuliszkowskiego) do Belwederu ze złożeniem wyrazów powinszowania marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu, na co on odpowiedział łaskawymi, a na nic konkretnego nie przekładającymi się słowy: „Straż pożarna jest siostrzycą armii”. Znalezione w tym wszystkim czas na obrady, ale wydaje się niemożliwe, by dopiero wówczas ustalano ze zgodą tak pełną, jak demonstrowano, nowy kształt wspólnej organizacji strażackiej. Zjazd był tylko podniosłym, a przy tym gremialnym podsumowaniem wcześniejszych prac, jakich dokonano w żmudnych trybach roboczych.

Zasadnicze ustalenia były następujące:

Przed wszystkim powołano nie Wszechpolski (bo nazwa ta zbyt kojarzyła się przedstawicielom mniejszości narodowych z Narodową Demokracją, a przede wszystkim z nazbyt wyraźną polskością), a Główny Związek Straży Pożarnych RP. Jak we wzorcowej spółce kapitałowej, powołano do życia radę nadzorczą, nazywając ją Radą Naczelną. Dalej powołano zarząd, jednomyślnie wybierając Bolesława Chomicza na stanowisko jego prezesa.

Kolejnym ważnym ustaleniem była decentralizacja dotychczasowych struktur strażackich. I tu przyszło do składania ofiar. Zjednoczenie miało polegać na zachowaniu dotychczasowych związków straży pożarnych, z wyłonieniem wspólnej reprezentacji, w postaci Zarządu Głównego Związku RP – ale tylko pozornie, przez pierwsze lata. Problemem samym w sobie, a dla niektórych solą w oku był fakt, że Związek Floriański, wyposażony w pieniądze oraz wsparcie specjalistów z największej w kraju, na dokładkę świetnie zarządzanej firmy ubezpieczeniowej, przemawiający do strażackiej braci za pomocą prężnego i porażająco fachowego organu prasowego, jakim był „Przegląd Pożarniczy”, liczący aż tak wielu członków, dysponował nazbyt wielką przewagą nad pozostałymi związkami. O tym, że wymagał od innych zbyt wiele, nie mówiono, ale wielu czuło się urażonych sugestiami co do braku wykształcenia w zakresie np. termodynamiki czy chemii.

Uradzono (co mimo wszystko bardzo nie spodobało się wielu działaczom z Galicji, bo dzieliło na części również ich skłócony do imentu związki), że wszystkie związki regionalne w ciągu kilku najbliższych lat przekształcą się na związki wojewódzkie straży pożarnych, zgodne zasięgiem terytorialnym z podziałem administracyjnym państwa. O ile w przypadku związków małych wiązało się to po prostu ze zmianą nazwy, bez żadnych zmian terytorialnych, to w przypadku Związku Floriańskiego

oznaczało jego podział na kilka związków wojewódzkich (w tzw. międzyczasie rozszerzył się na wschód, poza zasięg Królestwa Polskiego): lubelski (wrzesień 1922 r.), nowogrodzki (marzec 1923 r.), wileński (maj 1923 r.), łódzki (wrzesień 1923 r.), białostocki i kielecki (czerwiec 1923 r.), warszawski (październik 1924 r.), poleski (1926 r.). Widać, że proces przekształcania zajął kilka lat, ale inaczej się nie dało (doszło nawet do próby uzurpacji w przypadku związku poleskiego). Niektóre ze struktur wojewódzkich należało przecież tworzyć od nowa, a przede wszystkim wykształcić ludzi, gotowych i zdolnych skutecznie w nich działać.

W efekcie końcowym struktury związków straży pożarnych odpowiadały strukturom podziału administracyjnego kraju, co było posunięciem naturalnym i łatwo przyswajalnym przez ogół.

Rozwiązania ze Związku Florianńskiego rozpowszechniono na wszystkie związki. Pomysł Tuliszkowskiego z Kongresówki na fachowców od ochrony przeciwpożarowej, tj. inspektorów wojewódzkich i instruktorów powiatowych bardzo się wszystkim spodobał. Tak dalece, że zastosowano go powszechnie, z subtelną modyfikacją, która może ująć uwagę każdego badacza. O ile taki inspektor w Związku Florianńskim działał jako głos doradczy podejmujących decyzje prezesa i wiceprezesa, którzy poza zapalem mieli wiedzę, wykształcenie kierunkowe i wybitne osiągnięcia w zakresie ochrony przeciwpożarowej, to poza tym związkiem owi zawodowcy mogli doradzać prezesom i wiceprezesom, posiadającym – niestety – co najwyżej zapal, a przecież wyposażonych w możliwości podejmowania decyzji.

Zatwierdzono Statut Głównego Związku Straży Pożarnych RP. Różnił się on, co naturalne, od poprzedniego (omówionego wyżej wzorcowego statutu dla Towarzystw Ogniowych) wagą poruszanych problemów. O ile ten z 1919 r. stanowił o problemach oddolnych, to ten z 1921 r. dotyczył problemów „odgórnych”. Minister Spraw Wewnętrznych zatwierdził go w dniu 4 października 1921 roku. Od tej chwili, jeśli ktoś chciał korzystać z dobrodziejstw przynależności do ogólnokrajowej organizacji strażackiej, musiał podporządkowywać się jej wymaganiom statutowym. Oczywiście można było założyć jakąś straż pożarną i nie należeć do Głównego Związku Straży Pożarnych, a zatem nie podlegać obowiązkom statutowym. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę z faktu, że dana jednostka byłaby wówczas zdana wyłącznie na własne siły, a jako taka nie liczyłaby się nawet – a może zwłaszcza – w zetknięciu z taką siłą, jak lokalna administracja. Budowa zaufania społecznego też przyszlaby jej z trudem.

Główny Związek Straży Pożarnych RP nie jednoczył w sobie tylko strażaków ochotników. Należeli do niego również strażacy zawodowi, należeli producenci sprzętu pożarniczego oraz instytucje wspierające, zwłaszcza ubezpieczyciele. Wszystko razem dawało ogromny potencjał organizacyjny oraz, poprzez masowość, znaczną możliwość oddziaływania na polityków.

Prace Głównego Związku Straży Pożarnych

Stanąwszy na czele ogólnopolskiej organizacji społecznej, Bolesław Chomicz i jego współpracownicy nie spoczęli na laurach. Wkrótce Zarząd Głównego Związku Straży Pożarnych RP przystąpił do prac związanych z uregulowaniem kwestii podstawowych nie tylko dla samych straży, ale i dla przemysłu związanego z wyrobem sprzętu. Należało wprowadzić jednolite regulaminy służby, kursów i ćwiczeń, hierarchię, umundurowanie, nazewnictwo oraz to, co najważniejsze dla sprawnego działania przy pożarach masowych – ujednolicić sprzęt. Węży gaśniczych były dziesiątki rodzajów, łączników wężowych – kilka różnych rodzajów (zależnie od zaboru), a w dodatku występujących w odmianach. Generalnie rzecz biorąc, występowały ogromne braki sprzętowe w kraju zniszczonym działaniami wojennymi i w wielu miejscach należało zaczynać praktycznie od zera, więc zaczęcie od początku w sposób jednolity nie powodowało nazbyt wielkich kosztów, które wystąpiłyby, gdyby wymieniano wielkie ilości sprzętu istniejącego na stypizowany.

Prócz wyżej wykazanych braków był jeszcze jeden – należało pracować nad właściwą postawą moralną strażaka-obywatela.

O tym, jak ma wyglądać przyszłość, toczyły się gorące dyskusje na łamach prasy pożarniczej. Ich otwartość oraz klarowność przekazu argumentów mogą być dla nas wzorem sposobu kształtowania opinii publicznej w wolnym kraju. Tę właśnie otwartość również należy zaliczyć w poczet zasług Bolesława Chomicza, ale też Józefa Tuliszkowskiego. Otwartość, bo dobrowolne przyjęcie zasad moralnych, zadań do wykonania i celów do osiągnięcia gwarantowało ich trwałość – wprowadzenie tych zasad jako praw było w takiej sytuacji formalnością, co oznaczało przestrzeganie prawa bez konieczności stosowania rozbudowanej administracji.

Tak wówczas kształtowała się strażacka przyszłość.

Wspomnieliśmy jednak także o ofiarach.

Po ich stronie należy zapisać ustępstwa z uniwersalizmu ochrony przeciwpożarowej na rzecz straży, zwłaszcza ochotniczej. Żaden ze związków wchodzących w skład Głównego Związku nie poczuwał się do tak szerokiego spektrum działań, jakie prezentował Związek Floriański (etos galicyjski z czasów Szczerbowskiego dawno już umarł). Widoczna była tendencja do odpychania od siebie problemów, więc branie na siebie dodatkowych nie wchodziło w rachubę. Dla większości największym problemem do rozwiązania było, by dotychczasowe straże ochotnicze przetrwały, to jest ich własne sprawy egzystencjalne. Przy tym zarówno strażacy z Wielkopolski, jak z Galicji czy Śląska Górnego i Cieszyńskiego, niezbyt rozumieli problemy budownictwa ogniotrwałego Kongresówki oraz powody, dla których strażacy mieliby się tym zajmować. Na ich terenach (nie dotyczyło to całej Galicji, tam też dochodziło do pożarów masowych) nie dość, że te problemy nie występowały, to w dodatku od lat myśleli o ich ewentualnym rozwiązywaniu zupełnie inni ludzie niż strażacy. Funkcjonowały ustawy niemieckie i austriackie, więc nie widzieli konieczności zmiany

prawa poza mile widzianym w odległej perspektywie ich ujednoliceniem na modłę im znaną.

W tej sytuacji Główny Związek Straży Pożarnych stał się *de facto* związkiem na rzecz strażaków, a nie na rzecz ochrony przeciwpożarowej. O ile takie postawienie sprawy nie wydawało się niczym zdrożnym, bo przecież straże ogniowe miały być jednym z trzech ogniw ochrony przeciwpożarowej, to tendencja do zamykania się w charakterystycznych problemach własnej formacji miała z czasem coraz bardziej ciążyć. W końcu niedouczeni w chemii, fizyce, materiałoznawstwie, fizykochemii spalania i termodynamice strażacy mogli powiedzieć, jak to wcześniej wspomnieliśmy: „Ochrona przeciwpożarowa to my”, z całkiem dużą dozą poparcia społeczeństwa, które pozostawało równie nieoduczone. W takich okolicznościach łatwo było sięgać po władzę nad strażakami, nie posiadając ku temu kompetencji postulowanych przez Tuliszkowskiego. Co gorsza, sięgając po władzę nad strażakami, sięgano tym samym po władzę nad całą ochroną przeciwpożarową.

Zjednoczenie strażackiego ruchu odbyło się nie tylko kosztem Związku Floriańskiego, ale też osobistej pozycji Józefa Tuliszkowskiego. Pozycja jego była silna tylko do zakończenia obrad zjazdowych, tj. do popołudnia 9 września 1921 roku. Potem wszedł w skład Rady Naczelnej Głównego Związku Straży Pożarnych, przecież bez zajmowania w nim funkcji głównych. Pozostał na stanowisku wiceprezesa Związku Floriańskiego – organizacji nie głównej i z założenia malejącej. Okazało się, że jego głos już się nie słucha z uwagą, już się nie stosuje do jego rad. Poleceń wydawać nie mógł. I choć nieprzerwanie stał na czele Komisji Technicznej, żywcem przeniesionej o poziom wyżej ze Związku Floriańskiego do Głównego, to przecież ta funkcja była wyłącznie doradcza, a nie decyzyjna – zupełnie na podobieństwo funkcjonowania inspektorów pożarnictwa. Była też ograniczona do danego zagadnienia, jakie Komisji do wykonania zlecono. Zatem jeśli mówić o początku jego marginalizacji w ruchu strażackim, to jako datę startową można wskazać 9 września 1921 roku.

Jednak Józef Tuliszkowski nie poddawał się łatwo. Tendencje trafnie zidentyfikował, wszak ciągle był szefem Komisji, która miała nieustanne zajęcie. Podjął środki zaradcze. Zaczął przeć ku uzawodowieniu strażactwa, co najwyraźniej objawiło się najpierw w toku jednej z dyskusji Rady Naczelnej w sprawie ukierunkowania działu Związku, a znalazło finał w sprawie jego głównego w tym zakresie postulatu, tj. utworzenia szkoły pożarniczo-technicznej, a potem szkoły pożarniczo-budowlanej.

Tu napotkał sprzeciw – jak dotychczas, przyjaciela – Bolesława Chomicza. Sprzeciw ten wiązał się z fatalną sytuacją polityczną i gospodarczą II Rzeczypospolitej w tamtym czasie. Wobec niej nacisk strażackich mas na załatwienie ich spraw egzystencjalnych zyskiwał dodatkowe znaczenie. Jednak czy słusznie skoncentrowano się na tych wyłącznie problemach, inne odkładając na potem, to już zupełnie inna sprawa.

Perypetie polityczne i strażackie

O tym, że kontekst historyczny i polityczny wydarzeń strażackich jest ważny, przekonał się nie raz. Pomijając go opracowania historyczne większego sensu nie mają, gdyż łatwo wówczas zamiast wyrobić sobie pojęcie o opisywanych czasach i wydarzeniach, przenieść na nie doświadczenia własne czy nawet aktualną sytuację i oceniać wydarzenia z przyłożeniem dzisiejszych miar.

Zajmijmy się na chwilę działalnością Bolesława Chomicza, by ten paradoks zobaczyć w pełni. Wszak dopiero ostatnimi czasy zmienia się nieco ukazywanie jego osoby w kontekście historycznym. Do niedawna twierdzono bowiem z całą stanowczością, że odszedł z prezesostwa wszystkich strażaków z powodu zamachu majowego Piłsudskiego. Było to nieprawdą, choć źródła historyczne wskazywały na coś zupełnie innego, gdyż jego odejście nastąpiło na przełomie 1925 i 1926 roku. Odszedł, bo Rada Naczelna, czyli władze Głównego Związku Straży Pożarnych, skutecznie przegłosowała wobec niego votum nieufności bez podawania istotnych ku temu powodów. Tymczasem mamy cały zbiór opracowań poświęconych Chomiczowi, w których jest nieledwie herosem dla ochotniczych straży pożarnych, z pominięciem wszelkich przykrych na linii strażacy – ich prezes. A przecież dogłębne wyjaśnienie tamtej sytuacji nie jest wyczynem niemożliwym. Przyjrzyjmy się, jak to wyglądało⁶⁴.

Pozorne sukcesy Bolesława Chomicza

Z końcem 1921 r. Bolesław Chomicz odnosił na polu ochrony przeciwpożarowej największe sukcesy życiowe, łącząc w sobie – niczym król zbierający tytuły poszczególnych ziem – najważniejsze funkcje w ochronie przeciwpożarowej jej trzech działów: ubezpieczeń od ognia, straży ogniowych i budownictwa ogniotrwałego. Piastował stanowisko prezesa największej w kraju firmy ubezpieczeniowej: Polskiej Dyrekcji Ubezpieczeń Wzajemnych, a sejm ustawodawczy uchwalił ustawę ubezpieczeniową jego autorstwa. Strażacy zjednoczyli się pod jego przewodnictwem w Głównym Związku Straży Pożarnych. Ponadto pełnił funkcję prezesa Patronatu Spółdzielni Budowlanych. Zatem jeśli zechcieć sporządzić obraz propagandowy sukcesów Chomicza, fakty, na podstawie których można opracować odpowiednie hasła, są gotowe. Rzeczywistość niosła jednak ze sobą szereg problemów, których rozwiązywanie pochłaniało czas i siły twórcze.

Przed wszystkim żadna z trzech organizacji, będących tylko po części składnikami systemu, nie osiągnęła programowej jakości. Oczywiście każdego karierowicza samo piastowanie tak istotnych funkcji napawałoby samozadowoleniem. Jednak Chomicz nie dla ich pełnienia je piastował, a dla skutecznego kierowania powierzonymi mu strukturami, by działały jako spójny system. Z tym miał ogromne problemy, których – mimo włożenia całej energii życiowej i pomysłowości – nie rozwiązał.

⁶⁴ Szerszy obraz sytuacji zob.: P. Rochala, *Bolesław Chomicz i jego czasy. Biografia strażacka*, Warszawa 2019, s. 176–216.

Ubezpieczenia

Chomicz był co prawda prezesem zarządu PDUW, ale nie całego ruchu ubezpieczeniowego. Tak i ustawa o przymusie ubezpieczeń od ognia i Polskiej Dyrekcji Ubezpieczeń Wzajemnych⁶⁵ była jego autorstwa, ale zawierała w sobie istotne wady z dopisków ludzi złej woli, przez które pieniądze z przymusowych składek ubezpieczenia od ognia zasilaly prywatne konta, zamiast działać na rzecz ochrony przeciwpożarowej. Firm pobierających ubezpieczenia od ognia było za wiele, a nadzór państwowy istniał tylko nad jedną z nich, wykonywany zresztą wyłącznie po to, by pozbyć się jej dbającego o wykonywanie ustawy prezesa Bolesława Chomicza (co zresztą się powiodło w połowie 1923 r. – wyczerpany nerwowo Chomicz odszedł ze stanowiska). Duże firmy nie powołały ogólnego zrzeszenia, nie miały więc wspólnej taktyki działania. Z czasem zadziałało zrzeszenie małych firm prywatnych, ale w ich przypadku był to ruch całkowicie pozorny, bo większość z nich nastawiła się na zysk, mimo że działały pod hasłem ubezpieczeń wzajemnych. A przecież pobierana przez nie przymusowa składka nazywana była niekiedy, a zgodnie z prawdą, podatkiem ogniowym.

Straże ogniowe

Chomiczowi udało się zjednoczyć strażaków w strukturę ogólnopolską, masową, ale kosztem wyraźnego obniżenia wymagań jakościowych i rezygnacji z uniwersalności strażackiej na rzecz wyłącznej działalności interwencyjnej. Straże nie przyjmowały i nie realizowały zadań zapobiegawczych. Poza tym działalność straży pożarnych nie została uregulowana ustawowo. Przyjrzyjmy się, jak tu potoczyły się dzieje Chomicza.

Budownictwo ogniotrwałe

Tu sytuacja była najgorsza. Nie zanosilo się bowiem na wydanie wspólnych dla kraju przepisów budowlanych – jeszcze długo obowiązywały przepisy zaborców. Jedyną organizacją propagującą budownictwo ogniotrwałe stał się więc Patronat Spółdzielni Budowlanych – stowarzyszenie, istniejące wyłącznie dzięki subwencji z PDUW (i żadnej innej firmy ubezpieczeniowej, a więc była to organizacja ograniczona terytorialnie do byłego zaboru rosyjskiego!), złożone z pogorzalców, przeszkolonych w zakresie wytwórczości materiałów ogniotrwałych. Chomicz zabiegał o wsparcie go, tj. umocowanie w którymś z ministerstw na zasadzie działu administracji budowlanej, ale te starania zakończyły się fiaskiem. Była to więc organizacja bez struktury mającej trwale podstawy funkcjonowania, działająca bez solidnych podstaw prawnych, działająca wyłącznie z woli jej prezesa.

Poza tym składniki systemu ochrony przeciwpożarowej, owe higieny ogniowej, powinno spajać coś innego niż unia personalna, nawet jeśli koronę nosi człowiek wybitny. Tego spoiwa również nie było.

⁶⁵ Ustawa z dnia 21 czerwca 1921 r. o przymusie ubezpieczeń od ognia i Polskiej Dyrekcji Ubezpieczeń Wzajemnych (Dz.U.1921, Nr 64, poz. 395).

Była za to sytuacja polityczna, która napawać optymizmem na przyszłość nie mogła, w której nie sposób było naprawić wady istniejącej tudzież opracować i wydać brakujące dwie ustawy, nie mówiąc już o załatwieniu owego spoiwa. Przyjrzyjmy się jej, a zrozumiemy, w jak trudnych okolicznościach przyszło działać Tuliszkowskiemu i Chomiczowi, co nawet wtedy nie poddawali się i robili, co uznawali za słuszne.

Obraz sejmowej anarchii

Już przy zabieganiu o uchwalenie ustawy ubezpieczeniowej Chomicz otarł się o kłębowski intryg politycznych, co było dla niego tak solidnym wstrząsem, że pisząc wspomnienia w końcu lat 50-tych XX w., z łatwością przytaczał szczegóły własnych działań sprzed prawie czterech dekad.

Sejm Ustawodawczy, uchwalający ustawę ubezpieczeniową w 1921 r., całkiem skutecznie zniechęcił do ówczesnego poziomu kultury parlamentarnej nawet tak prospołecznie jak Chomicz nastawionego człowieka. Sejm I kadencji (1922–1927) był pod tym względem jeszcze gorszy od ustawodawczego, gdyż zmienił się w arenę ustawicznych, gorszących awantur, targów, torpedowania inicjatyw. Sprzyjało to realizacji interesów różnych, ale z pewnością nie polskich, a w szczególności nie państwowotwórczych.

Największą siłą polityczną był Chrześcijański Związek Jedności Narodowej (Wojciech Korfanty), mający 169 mandatów na 444, zatem niezdolny do stworzenia samodzielnego rządu. Gdyby polskie partie chłopskie nie skłóciły się, miałyby 125 mandatów, tymczasem największe z tych ugrupowań (PSL „Piast” Witos) posiadało ich 70. Mniejszości narodowe miały łącznie 89 mandatów, z czego zdecydowaną większość posiadała mniejszość żydowska. Były jeszcze partie lewicowe, gromadzące 85 głosów, w tym 41 Polska Partia Socjalistyczna, tj. matecznik Józefa Piłsudskiego. Gdyby miano głosować na człowieka, wybory wygrałby zapewne Józef Piłsudski, ale jego ugrupowanie polityczne miało tyle głosów, ile miało – mniej od mniejszości narodowych.

W powyższych realiach sojusze były krótkotrwałe, zależne od kaprysów przywódców poszczególnych stronnictw czy mniejszości. Co prawda stronnictwa łączyły nazwy (np. aż trzy PSL-e), ale dzieliły ambicje liderów oraz partykularne interesy. Gdyby więc ktoś mówił o niedostatku demokracji na początku istnienia II Rzeczypospolitej (kobiety zyskały prawa wyborcze w czasie obrad Sejmu Ustawodawczego), popełniłby istotny błąd lub celowo innych w błąd wprowadzał – ustrój był reprezentatywny sejmowo dla wszelkich ruchów politycznych, tj. również etnicznych. Zaznaczyć należy, że działo się tak w kraju wcześniej rozczłonkowanym na trzy różne systemy prawne, co nie ułatwiało prób wspólnego działania w słusznym celu. Za to łączenie sił przeciwko szło znakomicie.

Na skutek tego ugrupowanie sejmowe o najwyższym poparciu społecznym nie było w stanie stworzyć stabilnego rządu, choć gdy już rządziło, bywało zadziwiająco skuteczne i pożyteczne. Mniejsze partie zajmowały się głównie destabilizacją kolejnych rządów.

Chroniczna niemożność wytworzenia większości sejmowej miała porażający skutek uboczny, bo czas trwania rządów liczono nie w latach, a w miesiącach. I tak w 1922 r. powstało i podało się do dymisji aż sześć gabinetów rządowych. W dodatku w dniu 16 grudnia 1922 r. Eligiusz Niewiadomski, malarz, prawicowiec, zastrzelił Gabriela Narutowicza z PPS-u, prezydenta kraju, co na ponad rok odsunęło Chrześcijański Związek Jedności Narodowej od szans na władzę – wahający się nie chcieli oddawać głosów na radykałów.

Karuzela rządowa nieco zwolniła, ale niewiele: w 1923 r. powstały i podały się do dymisji trzy gabinety rządowe.

Skutki tego były fatalne. Ceny wzrastały dziennie o 20%. Strajki całych branż były codziennością. W październiku zmilitaryzowano kolejarzy, by nie strajkowali – strajkujących traktowano jak dezertów. Rząd zaprowadził zakaz zgromadzeń, co tylko sprowokowało ludność do masowych wystąpień. W dniu 3 listopada 1923 r. działacze PPS proklamowali strajk generalny w całym kraju, w związku z tym w dniach 5–7 listopada doszło w Krakowie do zamieszek. Na skutek fatalnego dowodzenia oddziałami oraz braku przygotowania wojska do działań przeciw tłumowi (brak decyzji o strzelaniu w tłum), protestujący rozbroili wielu policjantów i wojskowych, opanowali jeden samochód pancerny.

(...) zginęło 18 osób cywilnych i 14 żołnierzy, w tym 3 oficerów, rannych zostało co najmniej 30 osób cywilnych, 101 żołnierzy (w tym 12 ciężko) i 65 policjantów (w tym 6 ciężko). Większość ran pochodziła od postrzałów, u ułanów wielu rannych miało złamania i ogólne potłuczenia od upadków z wierzchowców. Zastrzelono 37 koni, a 83 zraniono. W czasie walki rozbrojono oraz pojmano około 200 żołnierzy i 180 policjantów⁶⁶.

W takiej atmosferze nawet najszczytniejsze idee przegrywały w zetknięciu z rzeczywistością – sprawy bytowe musiały wziąć górę. Ale też przyszło chwilowe otrzymanie. Znowu prawica utworzyła rząd, tym razem na tyle stabilny, że mogła przystąpić do działania:

- 28 kwietnia 1924 r. – poprzez powołanie Banku Polskiego rozpoczęła się reforma walutowa Władysława Grabskiego,
- 29 kwietnia 1924 r. – marka polska została zastąpiona złotym polskim jako obowiązującą walutą w kraju.

Doszło do stabilizacji pieniądza, w ślad za tym gospodarki państwa. Można było wreszcie planować i budować. Również na polu ochrony przeciwpożarowej.

Straż pożarna a społeczeństwo, czyli nowa taktyka Prezesa Chomicza

W polityce działo się wystarczająco wiele, by psuć nawet najlepsze społeczne inicjatywy. Ale Chomicz nigdy łatwo się nie poddawał w zetknięciu z trudnościami. Mimo że widział, iż ubezpieczenia od ognia nie w pełni działały jak należy, mógł jednak

⁶⁶ P. Hac, Czarny scenariusz. Udział żołnierzy Wojska Polskiego w starciach na ulicach Krakowa w listopadzie 1923 r., „Militaria” 2016, nr 2(71), s. 66.

przyjąć, że rolę systemową pełnią przynajmniej dostatecznie – przecież odchodził ze świetnie zorganizowanej firmy, wykonującej właśnie swoje zadania naprawdę dobrze. W dodatku w 1924 r. do obrazu porażki na tym polu było daleko. Chomicz co prawda już nie pełnił w ubezpieczeniach roli wiodącej, ale uczynił wszystko, co było w siłach i możliwościach jednego człowieka: zebrał wykwalifikowaną kadrę, wytyczył jej cele, dał ustawowe podstawy działania no i bardzo dobre wzorce postępowania. Mógł zatem uważać, że należycie wykonał swoje zadanie. Ze względu na własne zmęczenie psychiczne walką o prawny kształt ubezpieczeń oraz z uwagi na politycznie nieusuwalnych wrogów, na polu ubezpieczeń mógł zrobić jeszcze tylko jedno – od tego zagadnienia jakiś czas odpocząć.

Na czym skoncentrować wysiłki?

Chomicz na polu budownictwa ogniotrwałego również nie mógł czynić dalszych kroków, gdyż i tu doszedł do ówczesnego kresu możliwości działania. Żeby zdziałać więcej, musiałby wejść do rządu jako minister. Ten kres przedstawiał się naprawdę imponująco, choć z dzisiejszej perspektywy może się wydawać inaczej, wszak o tym przedsięwzięciu nic nie wiadomo, nie jest przedmiotem żadnych badań i analiz, a więc wydaje się nieważny. Ale wówczas był ważny, a nawet doniosły. Wysiłki Chomicza były konsekwentną kontynuacją inicjatyw, prowadzonych wspólnie z Tuliszkowskim jeszcze w Centralnym Towarzystwie Rolniczym, tylko tym razem w sposób instytucjonalizowany nie przez organizację społeczną, a państwowo – poprzez próbę umocowania w ministerstwie właściwym do spraw budownictwa (odbudowy kraju) kooperatyw budowlanych. Utworzenie kilkuset przedsiębiorstw mających na celu budowanie wyłącznie ogniotrwałe, z wyszkoleniem ich kadr i dalszym kształceniem przy pomocy firm ubezpieczeniowych przy instytucjonalnej ochronie ministerialnej, to bardzo duże osiągnięcie w warunkach kryzysu gospodarczego i szalejącej hiperinflacji. Szkoda, że o Patronacie Spółdzielni Budowlanych wiadomo tak niewiele.

Oczywiście nie można mówić, że kooperatywy budowlane, opierające się głównie na dobrej woli ludzkiej, mogły zastąpić w działaniu solidną administrację, wyposażoną we władzę policyjną, czyli w możliwość wydawania nakazów prawnych i ich egzekwowania. Tej nadal jeszcze nie było, co nie oznacza, że w tym zakresie ludność II RP miała do czynienia z pustką absolutną. Były przecież przepisy wydane przez zaborców. Ponieważ w byłym zaborze rosyjskim wcale nie działały, więc na tym obszarze skupiła się działalność kooperatyw budowlanych, poprzez swoje istnienie z sukcesami propagujących ideę i praktykę budownictwa ogniotrwałego. W końcu gros członków owych spółdzielni tworzyli ludzie, którym pożary strawiły dobytek, więc oni najlepiej zdawali sobie sprawę z tego, że ogniotrwałość budowli oznacza istotną trwałość dobytku, czyli dorobku życiowego.

Mając już może nie pełne, ale częściowe oparcie systemu ochrony przeciwpożarowej na dwóch rozpoczynających pełną działalność filarach – ubezpieczeniowym

i budowlanym, oraz ze względu na przymusową bierność na tychże polach, Chomicz mógł więcej czasu poświęcić sprawom trzeciego filaru, to jest straży ogniowych.

Chomicz koncentruje się na sprawach bytowych straży ogniowych (ochotniczych)

Trudności gospodarcze w kraju, a co za tym idzie powszechny niedostatek oraz idąca w ślad za nim demoralizacja, dokonały znacznych szkód w ruchu ochotniczym, który i wcześniej, jak wiemy, miał olbrzymie trudności z osiągnięciem doskonałości na jakimkolwiek polu. Wiele jednostek popadło w marazm, nie rozwijało się – i co gorsza – stało się areną waśni politycznych i etnicznych. W dodatku lokalni politycy dostrzegli w ochotniczych strażach ogniowych potencjał władzy, próbując przejmować ich struktury i wykorzystywać dla własnych celów. Mimo zjednoczenia, mimo zakładania nowych straży ogniowych i tworzenia struktur zarządów wojewódzkich, działo się źle. Bez udziału skłonnej do społecznej pracy inteligencji nie mogło być mowy o jakichkolwiek ambitniejszych działaniach programowych wewnątrz ochotniczych straży ogniowych. No i zatomizowana społeczność strażacka nie mogła stać się bazą do skutecznych działań systemowych. Gdyby pozwolić na dalsze poddawanie się słabości gospodarczo-moralnej owych czasów, to każda idea ugrzęzłaby w błocie waśni, pretensji i niemożności.

Prezes Chomicz pokusił się o podjęcie czynności naprawczych w strażach ogniowych. Na ile mu się ta operacja udała, przekonamy się pod koniec niniejszego rozdziału. Powinniśmy spodziewać się sukcesu. Bo, inaczej niż Związek Floriański, zbierający wszelkie inicjatywy na rzecz ochrony przed pożarami Główny Związek Straży Pożarnych, jednoczący wszelkie związki regionalne (przekształcane konsekwentnie w latach 1921–1926 w związki wojewódzkie) okazał się w istocie związkiem strażaków, jednoczącym ruch strażacki takim, jakim jego członkowie sobie wyobrażali w swej wielkiej masie, a nie takim, na jakie zamierzała przetworzyć ten ruch garść światłych działaczy. Niestety, organizacja nie stawiała się związkiem na rzecz ochrony przeciwpożarowej, jak to Bolesław Chomicz usiłował wymóc na stu-tysięcznej rzeszy. Tym razem Chomicz nie zamierzał przeć pod prąd, tylko skupić się na bolesnych problemach egzystencjalnych straży ogniowych, widząc w nich główny powód zła. Podjął duże ryzyko.

Proces jednoczenia straży pożarnych, prowadzony pod hasłem decentralizacji, okazał się w istocie procesem demontażu uniwersalnego w swej wymowie Związku Floriańskiego na rzecz zbioru „czysto” strażackich związków wojewódzkich, czyli wyspecjalizowanych w samych akcjach i reagowaniu na wyłączne problemy strażaków. Chomicz zastrzegał, że nie poddaje się podobnym prądom, tylko chwilowo poświęca uwagę jednej z gałęzi ochrony przeciwpożarowej – tej strażackiej, interwencyjnej. Zatem i na niego podziałał niemy, a jakże wymowny nacisk tej masy na władze Zarządu Głównego Związku. Doceniśmy tę jego walkę o podniesienie etycznej

postawy każdego strażaka, na której zamierzał budować dobro wspólne bez etatyzacji, biurokracji i ekonomicznej czy politycznej prywaty. Pozytywista Chomicz okazał się tu romantykiem. Ale jakże pozytywistycznych środków użył, by tej utopii dokonać! I był od pełnego sukcesu dosłownie o krok. Najpierw jednak musiał postawić krok pierwszy – określić główny cel działania Głównego Związku Straży Pożarnych na rok 1924. A rok ten już trwał.

Jałowa dyskusja Rady Naczelnej w marcu 1924 r. o uzawodowieniu straży pożarnych

W dniu 16 marca 1924 r. odbyło się posiedzenie Rady Naczelnej Głównego Związku Straży Pożarnych. Prezes Chomicz może nie zaskoczył jej uczestników tym, że przemawiał, ani tematem przemówienia, o którym musieli być uprzedzeni, ale formą już tak. Przygotował bowiem referat, wkrótce opublikowany w całości, łącznie z częścią dyskusyjną, na łamach "Przeglądu Pożarniczego", gdyż materiały z posiedzeń Rady Naczelnej i Rad Wojewódzkich publikowano jako istotne dla strażackiej społeczności.

Referat ten nosił nazwę *Program naszej działalności, czyli jej wytyczne i sposoby urzeczywistnienia* i był odpowiedzią na szereg wniosków, zgłoszonych wcześniej przez członków Rady. Wnioski te można sprowadzić do jednego: jak przetrwać w trudnych czasach. Do rzeczy przeszedł tak:

Na tym miejscu nie będę rozwijał innych współrzędnych sposobów walki z klęską ogniwą, jak to racjonalnego budownictwa i ubezpieczeń, zajęłoby to bowiem sporo czasu. Natomiast postaram się poddać pod rozważenie Rady Naczelnej program obrony przeciwpożarowej na gruncie doraźnej walki z klęską ogniową [podkreślenie ówczesne – PR]. Tym środkiem doraźnej walki z pożarami wszędzie są – i na długie pokolenia jeszcze pozostaną – prawidłowo i sprawnie zorganizowane straże pożarne⁶⁷.

Słowa „tym razem” oznaczają, że w poprzednich przypadkach mówiono o innych gałęziach ochrony przeciwpożarowej oraz że wcale nie zamierzał uczynić walki doraźnej – oraz kwestii pozyskania na nią funduszy – jedyną, jaką mieli prowadzić straże. Tym razem uzmysłowił Radzie Naczelnej, że akcja przeciwpożarowa to obowiązek samorządów (magistratów i gmin). One to właśnie powinny zakładać i utrzymywać straże zawodowe (w całej ówczesnej Polsce było ich 28). Natomiast zakładanie ochotniczych straży pożarnych (w całej Polsce niespełna 3 tys.) to wyraz samoorganizacji społeczeństwa, wyřęczającego na tym polu władze samorządowe. Takim sposobem przeszedł prezes Chomicz do kwestii najżywotniej obchodzących Józefa Tuliszkowskiego. Powiedział:

Wylania się tu przedewszystkiem zasadniczy problemat:

Czy trwać należy przy zachowaniu nieskażonego oblicza ochotniczej formy organizacji straży, czy też podążać w kierunku przeistoczenia tych placówek na organizacje gminne? (...)»⁶⁸

⁶⁷ B. Chomicz, *Program naszej działalności, czyli jej wytyczne i sposoby urzeczywistnienia*, „Przegląd Pożarniczy” 1924, nr 6, s. 79.

⁶⁸ Tamże, s. 81.

Gminne, to znaczy zawodowe. Prezes dał odpowiedź na postawione przez siebie pytanie, twierdząc, że sam fakt istnienia Polsce tylko 28 straży zawodowych oznacza, że samorządy, mające skłonność do biurokratyzacji swych działań na wzór administracji państwowej, nie są gotowe do odpowiedzialnego wykonywania zadań ochrony przeciwpożarowej. W strażach zaś ochotniczych widział kuźnię dla społeczeństwa obywatelskiego, coś w rodzaju samonapędzającego się mechanizmu samorządności i edukacji.

*Skoro ochotnicze straże zmierzają ku ochronie dobrobytu mas ludowych, to masy te muszą być utrzymywane na należytych poziomie uświadomienia i zainteresowania*⁶⁹.

W tym zdaniu, podkreślonym przez samego autora referatu, tkwi sedno jego ogólnej wypowiedzi oraz istotny cel organizacji strażackich. W wyedukowanym, świadomym społeczeństwie ochrona przeciwpożarowa dokona się sama, bez konieczności tworzenia ku temu biurokratycznych, a zatem bezideowych i kosztownych struktur – nieważne: państwowych czy samorządowych. Jednocześnie przez sam fakt jej przykładowej samoorganizacji, inne dziedziny życia też się zorganizują. Nie było to do końca utopią. W Niemczech, a zwłaszcza w Bawarii, każda wieś chciała mieć swoją fabrykę „czegoś” i straż pożarną ku dobru wspólnemu, do której garnęli się wszyscy, bo to zaszczyt, a skąd wynosili do domów zasady bezpiecznego obchodzenia się z ogniem.

Postulaty Chomicza nie stały w poprzek żadnej dosłownie polityce.

Prezydent RP Stanisław Wojciechowski, bardziej proludowy niż sojusznik wielkiej własności, był oddanym zwolennikiem ruchu spółdzielczego. Obydwa PSL-e – zarówno „Piast”, jak i „Wyzwolenie” – też chciałyby widzieć chłopów bardziej świadomymi i bogatszymi. Jak wiemy z czasów CTR i kółek rolniczych, które nadal z powodzeniem działały, ziemiaństwo wcale nie miało na celu zgniebienie ludności wiejskiej i trzymanie jej w stanie zarobionych na śmierć, biednych i brudnych niewolników. Praktycznie rzecz biorąc, każde z polskich ugrupowań politycznych (nie liczymy do nich komunistów) popierało samorządność chłopską, ruch spółdzielczy i kółka rolnicze.

W ślad za tym Chomicz twierdził, że skoro samorządy nie łożą na straże zawodowe, to powinny współutrzymywać samoorganizujące się straże ochotnicze. Wysokość zaangażowania gmin Chomicz oszacował na 75% kosztów funkcjonowania straży.

*Resztę 25% budżetu przełożyć należałoby na barki zarządów straży, przez pokrywanie tych kosztów źródłami innymi, jak to składkami członkowskimi, doraźnymi imprezami i ofiarnością publiczną. Unikanie tych źródeł dochodów, czerpanych bezpośrednio od społeczeństwa, a zwłaszcza zakładów ubezpieczeniowych, nie byłoby usprawiedliwione, bo wszak działalnością swoją straże pożarne przyczyniają się do ochrony interesów zakładów ubezpieczeniowych (...)*⁷⁰.

Ostrzegał przed administracyjnym przymusem (sposób, który w Prusach się sprawdził, ale tam działała policja ogniowa, pilnująca tego zagadnienia) do zakładania

⁶⁹ B. Chomicz, *Program naszej działalności, czyli jej wytyczne i sposoby urzeczywistnienia*, „Przegląd Pożarniczy” 1924, nr 6, s. 80.

⁷⁰ Tamże, s. 81.

nieprofesjonalnych straży ogniowych i wprowadzania dodatkowego opodatkowania na ten cel.

Wydanie takiego nakazu przymusowego, nie popartego u ludności świadomością obowiązków własnych, pozostawałoby martwym zarządzeniem, względnie posłużyłoby za podstawę dla niższych organów administracyjnych do czynności, obrzydzających ludności wogóle należenie do straży (...). Przymusowe należenie jednych a zwalnianie za opłatą innych obniżałoby poziom intelektualny straży oraz ich ideologię⁷¹.

Ideologii Chomicz poświęcił spory fragment końcowy referatu, zawierający wytyczne co do etyki strażaków. Wymagania ustawił wysoko:

Na gruncie takiej organizacji wszelkie czynniki, trąące porachunkami osobistymi lub też chęcią zysków, nie powinny mieć miejsca. (...) Wszelką dążność wprowadzenia do życia strażactwa partyjnych pobudek, czyli służenie interesom grup, nie zaś ogółu całego, poczytywać należy za niewłaściwość. Straż pożarna jako placówka o charakterze służby obywatelskiej wolna być musi od wszelkich więzów partyjnych, waśni rozkładowych i porachunków osobistych⁷².

Prezes zaproponował, by w ramach powstającej właśnie ustawy o samorządzie wojewódzkim, gdzie istotną rolę miały odgrywać rady wojewódzkie, wyposażyć owe rady w możliwości stanowienia przepisów przeciwpożarowych.

Unormowanie przepisów bezpieczeństwa ogniowego i sposobów walki z klęską ogniową nie da się osiągnąć w sposób jednolity na terenie całości państwa, różniącego się zasadniczo odmiennym stopniem rozwoju kulturalnego w poszczególnych województwach. Rady Wojewódzkie, jako ciała o lokalnym zakresie działania, będą miały bez wątpienia lepsze wyczucie sytuacji i potrzeb gospodarczych, a przeto i normy obowiązujące w zakresie obrony przeciwpożarowej (z lepszą niż dotychczas egzekutywą) zostaną wprowadzone w drodze ustawodawczej⁷³.

Wiemy, że z tego pomysłu nic nie wyszło, bo po zamachu majowym Piłsudskiego z 1926 r. nie było mowy o wyposażonym we władzę ustawodawcze samorządach wojewódzkich. Pełnia władzy należała od tego czasu do rządu, a sprawowali ją wojewodowie. Przeważnie mieli oni wówczas inne sprawy na głowie niż ochrona przeciwpożarowa, ale kilku z nich poczyniło pewne działania w zakresie innym niż interwencyjna walka z klęską pożarów.

Dla słuchającej przemówienia Rady przewidział prezes zadania organizacji szkolenia sił kierowniczych oraz technicznego udoskonalenia akcji przeciwpożarowej, w tym ujednolicenia typów narzędzi, umundurowania, musztry, ujednolicenia księgowości w strażach, organizacji zjazdów regionalnych, urządzania pokazów, co zresztą uznał za częściowo zrealizowane.

Jednym z punktów wystąpienia Chomicza było szkolnictwo strażackie. Jego ideą było upowszechnianie wzorca strażaka-ochotnika, a nie strażaka-zawodowca.

⁷¹ Program naszej działalności, czyli jej wytyczne i sposoby urzeczywistnienia, „Przegląd Pożarniczy” 1924, nr 6, s. 81.

⁷² Tamże, s. 83.

⁷³ Tamże, s. 82.

Tymczasem szereg zadań, jakie chciałby nałożyć na straże ogniowe, wprost wymagała wykonywania ich przez siły fachowe. Aby je wykształcić, nie wystarczały proponowane kursy i zloty ćwiczebne, co zauważył pręży ku uzawodowieniu ochrony przeciwpożarowej Józef Tuliszkowski. W toku wywiązanej dyskusji domagał się powołania do życia szkoły pożarniczo-technicznej, o której utworzeniu zapadła przecież uchwała na I Zjeździe w 1921 roku. Prezes Chomicz nie był jej zasadniczo przeciwny, ale z braku możliwości finansowych proponował odłożenie tematu na później, a jako działanie doraźne uznawał *utworzenie specjalnego wydziału przeciwpożarowego w jednym z istniejących wydziałów technicznych, chociażby w Warszawie (...)*⁷⁴.

Tuliszkowski nie chciał się z tym zgodzić, jako z półśrodkiem konserwującym stan obecny. Bo też słuchając prezesa, wiążącego duże nadzieje z tym, że ochotnicze straże ogniowe przejmą się jakimiś ideami pomocy bliźnim i służby obywatelskiej, że w ślad za tym zechcą same z siebie się kształcić, doszkalać i zrobić lepszymi, po prostu nie dowierzał. Wiedział, że bez sieci profesjonalnego nadzoru, jakkolwiek by go nazwać, coś takiego udać się nie może. Oczywiście myśli takich nie mógł sformułować wprost w takim gronie, ale wiara, że przez zwiększenie ilości straży ochotniczych przepisy przeciwpożarowe, których brak, a nie ma komu nad nimi myśleć, zrobią się same, była utopią – zwiększyć mogłaby się tylko liczba ludzi niedouczonej o istotnych aspektach ochrony przeciwpożarowej, uważających, że wiedzą i tak wystarczająco dużo, by było dobrze. Użył tu innych argumentów, interwencyjnych. Podkreślił, że ochotnicze straże pożarne są rażąco mniej skuteczne w działaniach od zawodowych, a sześciotygodniowe kursy dla dowódców nie spełniały należycie swojej roli. Ponadto sprostował wypowiedź prezesa co do ilości straży wojskowych, gdzie właśnie aktywnie działał, tworząc tamtejszą czynną ochronę przeciwpożarową. Chomicz mówił w referacie o 100 strażach, natomiast Tuliszkowski stwierdził, (...) *że wojskowych straży pożarnych jest już przeszło 400, a z nich do 300 wyposażonych w kompletne tabory*⁷⁵.

W toku dalszej dyskusji jej uczestnicy przytłoczeni fachowością referatu i talentem oratorskim Chomicza, generalnie rzecz biorąc, popierali prezesa. Znalazł się nawet człowiek (prezes Cieszyńskiego Związku, druh inspektor Klemens Matusiak) twierdzący kojąco, że nie ma zasadniczych sprzeczności między tym, co mówił o szkoleniach Chomicz a postulatami Tuliszkowskiego – z czego można wnosić, że wymiana poglądów tych dwóch osobowości musiała mieć postać gorącą. Dalej ten sam człowiek postawił wniosek, by w ramach ustawy ogólnej wprowadzono ustawę o policji ogniowej⁷⁶ (zatem podskórne myśli Tuliszkowskiego dało się zrozumieć). Niestety, wniosku tego nawet nie poddano pod dyskusję.

Dyskusję podsumował prezes Chomicz. Odnośnie do szkoły pożarniczo-technicznej wypowiedział się, że zwyczajnie brak jest na nią pieniędzy, zwłaszcza że kształciłaby

⁷⁴ B. Chomicz, *Program naszej działalności, czyli jej wytyczne i sposoby urzeczywistnienia*, „Przegląd Pożarniczy” 1924, nr 6, s. 83.

⁷⁵ Tamże, s. 84.

⁷⁶ Tamże, s. 85.

ona kilka-kilkanaście osób rocznie, bo nie ma większego zapotrzebowania na kadrę instruktorsko-oficerską. Wyjaśnił również, że jego referat zasadniczo był poświęcony sprawom ochotniczych straży ogniowych na terenach gmin wiejskich, gdzie nie ma finansowych możliwości założenia straży zawodowych. Domyślać się z tego należało, że dyskusja o uzawodowieniu straży pożarnych w kontekście bytu wiejskich straży ogniowych ochotniczych nie była na miejscu. Innymi słowy – koncepcja Tuliszkowskiego była nie na temat.

Przypatrzmy się postulatom Chomicza i zapamiętajmy je, by zrozumieć na koniec, jakie efekty przyniosły.

Pełna realizacja sformułowanych przez Chomicza zaleceń sprawiłaby, że ochotnicze straże pożarne byłyby załączkami demokratycznej samorządności i kultury ponad podziałami politycznymi, klasowymi czy etnicznymi. Wdrożenie tych założeń czyniłoby ochronę przeciwpożarową powszechną, świadomą, a co za tym idzie – tanią. Na ochronę przeciwpożarową drogą, zawodową, pieniędzy po prostu nie było, tak jak nie było ich wówczas na postulowaną przez Tuliszkowskiego szkołę. I byłoby idealnie, tylko czy Chomicz uwzględnił w swoich planach ludzką mentalność?

Wielki referat Chomicza, wszechogarniający problem instytucjonalnego istnienia tysięcy straży ogniowych, pobudzający tkwiący w marazmie i biedzie wiejski lud do działania i samoorganizacji, musiał się podobać i się podobał, bo nic lepszego nie dało się wymyślić. Co do spraw finansowych prawda też przedstawiała się tak, jak w referacie, przecież należało uświadomić samorządom ich rolę w ochronie przeciwpożarowej.

Chomicz mówił wprost, że zawodowa ochrona przeciwpożarowa to domena miast – miasta mają pieniądze, niech więc sobie ją założą, my zajmujemy się biedną, łatwopalną wsią. Prezes zakładał, że jego model sprawdzi się w praktyce, gdy do OSP wejdzie ochotczy miejscowa inteligencja, a z urzędu wójtowie gmin, co zastąpi postulowaną przez Tuliszkowskiego strukturę zawodową, gdyż tych inteligentnych ludzi wystarczy naprawdę niewiele doszkolić, żeby docenili wszelkie aspekty ochrony przeciwpożarowej. W tym właśnie miejscu jego projekt okazał się zupełną utopią: w obliczu kryzysów gospodarczego politycznego ogółem, a moralnego w strażach w szczególności, czynników zniechęcających inteligencję do poświęcania się na rzecz ogółu było aż nadto. W dodatku nawet i przy spełnieniu tej idei ktoś musiał tych wójtów i inteligentów strażackich wyszkolić. Zatem, mimo braku pieniędzy, należało już wówczas posłuchać głosu Tuliszkowskiego, czego nie uczyniono. Nie chodzi przy tym konkretnie o utworzenie strażackiej szkoły z prawdziwego zdarzenia, a o przyjęcie większego niż dotychczas uzawodowienia straży pożarnych, również w ramach struktury organizacyjnej tych ochotniczych. Przy tak ogromnej masie ludzkiej, jaką tworzyły straże ogniowe, kilkanaście osób na płatnych stanowiskach inspektorów (doradcy w zarządach wojewódzkich), kilkudziesięciu instruktorów w powiatach oraz kilkudziesięciu pólamatorów (czynnych, społecznych członków

zarządów związków wojewódzkich) nie mogło udźwignąć trudu codziennej, organizacyjnej pracy z kilku tysiącami straży ogniowych, których miało być docelowo dziesięć tysięcy. Sam zapal już nie wystarczał.

Tuliszkowski na koniec dyskusji obstawał już tylko przy istotnym symbolu – zakupie gruntów pod szkołę i wylanie fundamentów, co nie byłoby aż tak wielkim kosztem, jak zbudowanie jej całej. Ale Chomiczowi nie chodziło o budowę fundamentów pod zawodową ochronę przeciwpożarową, która siłą rzeczy trafiłaby głównie do miast, lecz o rozruch i kształtowanie ochotniczych straży ogniowych na obszarach wiejskich, gdzie stan ochrony przeciwpożarowej przedstawiał się – zwłaszcza w byłej Kongresówce, ale też i w Galicji – tragicznie. Przy czym, jak to wyrażnie mówił, pragnął tworzenia nowych i wzrostu w siłę moralną starych ochotniczych straży ogniowych w oparciu o ideę służby bliźnim, bez tworzenia ku temu aparatu urzędowego, który siłą rzeczy byłby zawodową administracją ochrony przeciwpożarowej. I postawił na swoim.

Można uznać, że od tamtego czasu drogi obydwu twórców polskiej ochrony przeciwpożarowej zaczęły się rozchodzić, ze szkodą zarówno dla tejże ochrony, jak i dla każdego z nich z osobna.

Uchwały, zgodne z postulatami Chomicza, podjęto, w tym o zwołaniu kolejnego zjazdu, który wysłuchałby znów referatów i dyskusji oraz nadalby uchwałom Rady Naczelnej powszechną obowiązkowość. Ustalono, że wielki zjazd (drugi w Niepodległej) odbędzie się w dniach 15–17 sierpnia w Warszawie. Pomysł Tuliszkowskiego na zawodową szkołę pożarniczą musiał poczekać, a wraz z nim uzawodowienie straży pożarnych. Do postulatu o policji ogniowej prezes nie odniósł się wcale, bo widział jej miejsce w firmach ubezpieczeniowych.

Zyskawszy sobie Radę Naczelną, bądź co bądź elitę strażacką, Chomicz przeniósł swoją uwagę na członków szeregowych. Do tych postanowił trafić na dwa sposoby: przez naukę i pracę. Uchwalony zjazd był ku temu najlepszym pretekstem, by szarpnąć cuglami i dźgnąć ostrogami. I przyznać trzeba, że tytanem myśli był Chomicz.

Sierpniowy zjazd strażaków (1924)

Można powiedzieć, że proces marginalizacji Józefa Tuliszkowskiego postępował w czasie II zjazdu, mimo że nadal jako inżynier i druh miał tam wiele do powiedzenia i był uważnie słuchany. Żeby zrozumieć, co wówczas się wydarzyło, ile goryczy zawierało wystąpienie Tuliszkowskiego, należy mieć na względzie zarówno wyżej opisane efekty marcowego spotkania Rady Naczelnej, jak i kwestie, o których mowa w rozdziale niniejszej książki poświęconym klęsce ogniowej. Zjazd był przecież ogromnym sukcesem organizacyjnym Zarządu Głównego Związku Straży Pożarnych, a zwłaszcza Bolesława Chomicza. Sierpień 1924 r. był miesiącem największej jego chwały na stanowisku strażackiego prezesa. Tym samym i Tuliszkowski musiał z tej chwały korzystać. Tymczasem to w czasie tego zjazdu miało się okazać,

że marginalizacja innych niż interwencyjna części ochrony przeciwpożarowej już trwa jako proces, a sukcesy organizacyjne Chomicza zjawisko to utwierdzają. Bo też problemów do rozwiązania na polu walki czynnej z pożarami było bez liku.

Przypomnijmy: zwłaszcza ochotnicze straże ogniowe nie stały wysoko pod względem wyposażenia, stanów ilościowych, a zwłaszcza motywacji do działania. Zrobiono dużo, by ten stan poprawić i właściwie więcej nie dało się wymagać. Ale pozwolenie na zamknięcie się strażaków na sprawy inne niż te, którymi chcieliby się zajmować, a zwłaszcza odsunięcie w czasie koniecznego uzawodowienia spraw ochrony przeciwpożarowej (w tym również takich, jak taktyka działań gaśniczych, czyli coś, czego by chcieli), oznaczało brak wytworzenia struktury administracyjnej ku temu. Struktury, która wymagałaby jakości i od której można by oczekiwać, by takie wymagania formułowała.

Tuliszkowski nigdy nie występował przeciw ruchowi ochotniczemu. Osobiście przyczynił się w swoim życiu do założenia kilku tysięcy ochotniczych straży pożarnych. Brał kandydatów na oficerów w swojej Straży Ogniowej m. st. Warszawy spośród strażaków ochotników, ale... Nie decydował się na ludzi pierwszych lepszych z brzegu, tylko na wykształconych, o wypróbowanych umiejętnościach i charakterze. To ludziom takiego pokroju dał szansę i miał zamiar dawać szansę do wybicia się ponad nieskłonny do nauki ogół, by stawali się siłą i myślą przewodnią. Miał doświadczenie w tym zakresie zarówno z lustracji setek straży ogniowych ochotniczych, jak i zbudowania dwóch jednostek zawodowych oraz dowodzenia jedną z nich. Wiedział, co jest konieczne, by również pion gaśniczy działał zdrowo. Wiedział, że sama idea nie wystarczy. Że strażacy muszą się zainteresować szeroko pojętą ochroną przeciwpożarową, a jeśli nie, to przynajmniej zdać sobie sprawę, jak jest skomplikowana, by byli skłoni do uznawania nad sobą przywództwo tych, którzy się na niej znają. Że jednak – wbrew temu co pisał w broszurze Zorganizowanie ochrony przeciwpożarowej w Polsce zjednoczonej – nie naczelnikowi straży ochotniczej powinien podlegać zawodowy oficer, najlepiej mający tytuł zawodowy inżyniera, lecz odwrotnie – to naczelnik powinien podlegać takiemu oficerowi pod względem merytorycznym.

Tymczasem Tuliszkowski był właśnie świadkiem szeregu czynności, zmierzających do instytucjonalnego zakonserwowania ruchu strażackiego w ramach wyobraźni i zakresu pojęciowego przeciętnego amatora gaszenia pożarów. Bo, jako praktyk, zdawał sobie sprawę, że skoro Chomicz raz pokazał, że tak może być, to już drogi odwrotu z tej równi pochyłej nie będzie – cały ruch strażacki osunie się nie w stronę ochrony przeciwpożarowej, a własnych problemów egzystencjalnych. A tych, zupełnie jak przed Wielką Wojną (skoro to one będą zasadniczymi, a nie walka z pożarami), nigdy nie uda się rozwiązać.

Organizacja zjazdu

Choć Tuliszkowski raczej niewiele uczestniczył w organizacji zjazdu, warto zapoznać się z tym przedsięwzięciem, jako wzorcowym. O ile bowiem postanowienia zjazdu nie przyczyniły się do przyjęcia właściwych kierunków w polskiej ochronie przeciwpożarowej, to powinien on znaleźć się w podręcznikach lub instrukcjach do logistyki, ucząc, w jaki sposób wdrażać w sposób praktyczny przedsięwzięcia o charakterze ideowym⁷⁷.

Dotychczas kilkunastu społeczników i profesjonalistów, mających do dyspozycji własną wiedzę, pasję i wsparcie pojedynczych osób fachowych, potrafiło organizować konkursy na projekty strażnic, otworzyć łamy „Przeglądu Pożarniczego” dla wszystkich chyba dostępnych w kraju fachowców, a nawet troszczyć się o to, by rychło wprowadzone (jak optymistycznie zakładano) budownictwo ogniotrwale nie miało skutków ubocznych kulturowych, w postaci zatarcia regionalnych różnic architektonicznych w zabudowie wiejskiej. Zakres osiągnięć był imponujący, a możliwości mobilizacyjne wręcz niezwykle, zwłaszcza przy specjalnych okazjach.

Przygotowania do II ogólnopolskiego zjazdu straży pożarnych objawiły ten potencjał w całej pełni. Dzięki przejrzystym instrukcjom, jawnym działaniom (wszelkie ruchy władz dokumentowano na łamach „Przeglądu Pożarniczego”) oraz jasnemu wytyczeniu celów, wszyscy polscy strażacy przystąpili do w miarę jednolitej akcji promocyjnej ochotniczych straży ogniowych.

Informacje dotyczyły organizacji zjazdu w dniach 15–17 sierpnia oraz ząbwiąjącego się z nim tygodnia strażackiego, który należało uroczystie obchodzić od 10 do 17 sierpnia, z kulminacją działań na ostatnie dni tygodnia, a więc w czasie, gdy w Warszawie będą zapadały uchwały zjazdowe. Instrukcje dotyczące obydwu tych przedsięwzięć były na tyle szczegółowe i przejrzyste, że nie trzeba było niczego wymyślać – wystarczyło tylko je zastosować, by pokazać jednolitość strażackich struktur, dążeń i celów.

Wszystkie działania terenowe były podporządkowane ogólnemu hasłu, jakie Chomicz na ich rzecz wymyślił: „Społeczeństwo – strażakom”. W sumie, dzięki zaangażowaniu wszystkich strażaków, całe społeczeństwo jednocześnie musiało się dowiedzieć, jak ważne dla zachowania w całości dorobku materialnego, a i życia ludzi, jest istnienie sprawnych straży ogniowych.

Cel był jeszcze jeden, nieco ukryty. Chomicz na ten jeden tydzień, na zasadzie poruszenia całkowitą masą, wyrwał z bezruchu nawet najbardziej bierne ochotnicze stráže ogniowe. Bez konieczności napominania i moralizowania osiągał efekty współpracy w jednostkach. Także publiczne wystąpienia – jeśli nie z przemówieniami (tych treści profilaktycznie rozesłano w świat, by nieumiejący, jeśli się zdecydują, mówili mądrze), to choć z samą obecnością w umundurowaniu, co dla wielu osób musiało być ogromnym przeżyciem. Publiczne zawody sportowe i pokazy oznaczały

⁷⁷ Obszerny opis organizacji obchodów dni ochrony przeciwpożarowej i zjazdu zob.: P. Rochala, *Bolesław Chomicz i jego czasy...*, s. 187–200.

konieczność choć powierzchownego przygotowania się do nich, a że przy okazji dochodził element rywalizacji, to efekty przygotowań mogły być tylko lepsze. No i zebranie datków na cele funkcjonowania straży, z udziałem kontrolerów społecznych, samo w sobie wiązało nie-strażaków ze strażakami. Ten sierpniowy tydzień ochrony przeciwpożarowej miał i musiał być wydarzeniem lokalnym, ponadlokalnym i w skali całego kraju. Sam udział w tak ogromnym przedsięwzięciu dawał świadomość budowania czegoś niebywałego, wyjątkowego, no i poczucie istnienia w wielkiej, wszechogarniającej wspólnotcie. Tego nie trzeba było rozumieć, wystarczyło doświadczyć.

W instrukcji zjazdowej przywołano odpowiednie punkty regulaminu, stanowiące o konieczności odbycia zjazdu raz na trzy lata. Poinformowano o programie merytorycznym przedsięwzięcia oraz o imprezach towarzyszących, np. wycieczkach do warszawskich atrakcji: Zamku Królewskiego, Starego Miasta, Łazienek, Sejmu, Muzeum Narodowego, wieży ciśnień i stacji filtrów.

Sformułowano oczekiwania co do liczby delegatów. Każda związkowa straż pożarna miała wysłać co najmniej jednego delegata, wskazywano jednak, żeby strażacy przybyli jak najliczniej, zwłaszcza członkowie zarządów straży. Jeśli miałyby przybyć ponad ośmiu delegatów, musieli zabrać ze sobą sztandar, a liczniejsze delegacje powinny zabrać ze sobą umundurowane orkiestry.

Wszyscy uczestnicy zjazdu musieli przybyć w mundurach, przy czym podkreślono napomnienie: *Umundurowanie bez względu na krój, lecz dystynkcje – oznaki starszeństwa – dopuszczalne są tylko obowiązujące według regulaminu umundurowania Gł. Zw. Str. Poż. R.P. (...)*⁷⁸.

Nie zaniedbano przy tym poinformowania o kosztach przedsięwzięć, możliwości załatwienia tańszych biletów kolejowych, ale też uprzedzając, że od każdego uczestnika zjazdu będzie pobrana opłata w wysokości trzech złotych przy wydawaniu legitymacji zjazdowych. Zapewniono możliwości bezpłatnych noclegów wspólnych i zwiedzania stolicy pod warunkiem powiadomienia organizatorów do dnia 1 sierpnia włącznie. Koszt utrzymania jednego uczestnika zjazdu określono na około 20 zł, informując bardzo praktycznie, a uroczo: *W celu zmniejszenia kosztów utrzymania, wskazanem jest zabrać ze sobą posiłek, jak: chleb, nabiał, tłuszcze itp.*⁷⁹.

Zarządzono też konieczność godnego, zdyscyplinowanego zachowywania się i punktualności.

W instrukcji dotyczącej tygodnia strażackiego zalecano, by zawiązać komitety w składzie maksimum siedmioosobowym, z powołaniem dodatkowo na skarbnika: *(...) z pośród miejscowego społeczeństwa obcą (nie ze składu Straży) jednostkę, cieszącą się powszechnym zaufaniem i popularnością*⁸⁰.

⁷⁸ Przed II-im ogólnopanstwowym zjazdem, „Przegląd Pożarniczy” 1924, nr 11–12, s. 174.

⁷⁹ Tamże.

⁸⁰ Tamże.

Szczegółowo rozpisano, w jaki sposób należało zbierać datki pośród ludzi mniej zamożnych. Tam, gdzie ludzie niechętnie dawali pieniądze (wsie), sugerowano urządzić zbiórkę darów w naturze, używając do tego strażackiego wozu rekwizytowego, przystrojonego plakatem i dwoma-trzema strażakami w kaskach. Należało odwiedzić wszystkich gospodarzy, a następnie zebrane plody rolnie „spieniężyć”, a pieniądze przelać do wspólnej kwoty zbiórki. Wóz rekwizytowy należało też wystawiać w widocznym miejscu w dni targowe.

Po odliczeniu kosztów zbiórki pieniężnej należało przelać 40% czystego wpływu do kasy straży, resztę zaś związkowi straży pożarnych. Sumy miały być podliczane i opisywane odręcznie, a wszystkich operacji podliczenia i wpłat należało dokonać w ciągu dwóch dni. Miało to nastąpić do dnia 21 sierpnia 1924 r. Rada Naczelna miała publikować wyniki zbiórki. Po zakończeniu tych działań wyniki finansowe zbiórki należało podać do wiadomości miejscowej ludności.

Zakończono instrukcję następująco:

Nie o jałmużnę, nie o datki przygodne będą straże ochotnicze zwracały się do społeczeństwa, lecz o spełnienie przez ogół miejscowy obowiązkowi moralnego względem swych obrońców bezinteresownych, pod których dzielną opieką znajduje się dach nad głową, życie i mienie milionów ludności w Państwie⁸¹.

Jak widać, umiał Chomicz natchnąć ludzi do czynienia zbożnych dzieł. Żeby zaś nie pobłądzili w działaniach, choćby przez niezamierzenie śmieszne przemówienia, sporządzono wspomnianą już wcześniej jednodniówkę.

Podobną jednodniówkę, czyli jednorazowe pismo w formie gazety, wydano w 1921 r., z okazji I zjazdu (zjednoczeniowego). Nosila nazwę własną „Gore!”. To z tamtej publikacji najczęściej cytuje się Chomicza w celach wiecowych. Tekst jednodniówki z 1924 r. był inny. Bo prezes wiedział, że po demoralizacji wojennej, kryzysie finansowym i galopującej inflacji nie może wznowić jednodniówki takiej jak „Gore”, jako wzniosłego apelu. Trzy lata później jej postulaty natrafiłyby na grunt bierności, wyznaczony granicami ojczyzny, ograniczonych do ciasnych podwórek. Tej rzeczywistości nie dało się zakłąć samym wzbudzaniem w członkach OSP poczucia przynależności do korporacji o sile moralnej wyższej nad otoczenie. Dlatego w 1924 r. Chomicz zaprzęgał ochotników do wypróbowanej pracy u podstaw, pracy formującej ludzi bardziej niż piękne słowa. Słowa zaś kierował tym razem nie do strażaków, a do społeczeństwa.

Jednodniówka z 1924 r. miała tytuł „Społeczeństwo – Strażakowi”. Zasadniczą częścią tego wydawnictwa była informacja kierowana do ludzi, nie będących strażakami. Strażacy mieli im tę informację przekazać, a żeby tak zrobić, musieli się z nią utożsamiać, nieco zmienić siebie na lepsze, by nie wywoływać dysonansu poznawczego u nie-strażaków. Zatem przy pomocy sprytnego zabiegu literackiego Chomicz nie musiał

⁸¹ Przed II-im ogólnopanstwowym zjazdem, „Przegląd Pożarniczy” 1924, nr 11–12, s. 175.

pouczać strażaków, by byli lepsi – oni pouczali sami siebie, by takimi, jak przedstawiono ich w jednodniówce, wydawać się ludziom, wśród i dla których działali.

Znalazła się w tej jednodniówce ulotka, będąca przedstawieniem ochotniczych straży ogniowych. Jeśli ktoś nie umiał przemawiać, mógł ją po prostu odczytać zebranym – tak Chomicz, za pośrednictwem lektorów, przemówiłby starannie przemysłanymi i złożonymi słowy do tysięcy. Sześć akapitów zaczynało się od słów pogrubionych, tworzących następującą informację: walka z klęską ogniową; ochotnicze straże pożarne; poświęcenie się, ofiarność; demokratyzm; samorządność; hart ducha.

Piękne słowa, prawda...?

Zjazd

Plan Chomicza na obrady zjazdowe obejmował zaangażowanie na chwałę strażacką nie tylko społeczeństwa, ale i jego przywódców. Społeczeństwo zaangażowano poprzez uroczyste msze, defilady, koncerty orkiestr strażackich, pokazy i ćwiczenia, władze zaś – poprzez zaproszenie na zasadnicze obrady, bankiety i uroczystości. W dniu 15 sierpnia odbywały się główne wydarzenia: msze, przemarsze i bardzo efektowne pokazy dyscypliny i sprawności strażackiej, ale nie tylko strażackiej – wojsko miotało ogień. Oprócz nazwisk organizatorów zjazdu, dostojnych gości zagranicznych (przedstawiciele strażaków z Francji, Belgii, Słowacji, Łotwy, Jugosławii, Czechosłowacji) i miejscowych urzędników rządowych, upamiętniono na łamach „Przeglądu Pożarniczego” osobę, pełniącą funkcję chorążego zjazdu, któremu Chomicz po przemówieniu wstępnym przed katedrą warszawską wręczył poświęcony przez ks. kanonika Kossowskiego sztandar Związkowy. Świadczy to o bardzo przemyślanym wyborze osoby chorążego, co zapewne starano się rozgłosić zgromadzonej publiczności.

*Chorąży Lissowski jest jednym z tych, którzy imię żołnierza polskiego roznosili w chwale po całym świecie. Bobrujsk, Archangielsk, Murmańsk, pochód na Kijów, odwrót, wreszcie ofensywa, powstanie Górnśląskie są etapami jego walk o Polskę. Odznaczony został odznakami wojskowymi angielskimi i francuskimi, posiada również strażacki medal za 30 lat nieskazitelnej służby*⁸².

Pochód strażacki, idący od katedry do politechniki, był imponujący. Sam hufiec sztandarowy niósł 72 sztandary, przy odpowiedniej liczbie pocztowych.

Zasadnicze obrady odbywały się w auli Politechniki, gdzie prezes Chomicz, wyposażony w kilka dużych plansz z wykresami i danymi liczbowymi, zaprezentował wykład inauguracyjny, bardzo podobny w treści do wygłoszonego w dniu 16 marca 1924 r., na opisanym wyżej posiedzeniu Rady Naczelnej.

Potem nastąpiły wykłady innych prelegentów, wszystkie wydrukowano w „Przeglądzie Pożarniczym”, w tym trzyczęściowy wykład Tuliszkowskiego. W pierwszej był to bardzo rozbudowany przegląd nauk i wykazanie ich związku z pożarami,

⁸² „Przegląd Pożarniczy” 1924, nr 12, s. 2.

jak: chemia, mechanika, hydraulika, wytrzymałość materiałów, mechaniczna teoria ciepła, gazownictwo – celowo omawiał te gałęzie, straszliwie męcząc delegatów i dostojnych gości. W drugiej części omówił techniki wojskowe, które można będzie wykorzystać w działaniach gaśniczych: peryskop, samoloty, „heliskoptery”, co również miało podskórny podtekst, konieczności posiadania specjalistycznej wiedzy, by nad tą zaawansowaną techniką panować. W trzeciej odniósł się do stanu liczebnego polskich straży ogniowych i życzył sobie i innym, żeby powstało ich jeszcze 40 tysięcy, co można uznać za lekką drwinę z masowości, nie chcącej przejść w jakość. Ale wyraził też myśl (wiemy na podstawie marcowych obrad, że życzeniową), która miała kształtować pogląd braci strażackiej na edukację.

*Napawa nas również otuchą, że powstanie szkoła pożarniczo-budowlana, że da ona naszym siłom fachowym trwale podstawy naukowe [nauk wymienionych w pierwszej części referatu – PR], że będzie wyrabiała zastępy dzielnej zahartowanej młodzieży*⁸³.

Tuliszkowski zgłosił wówczas interesujące wnioski końcowe do protokołu obrad, będące znaczącym uzupełnieniem jego referatu. Bo wnioski te podsumowywały nie tyle jego właśnie zakończony referat zjazdowy, co wygłoszone przezeń poglądy w czasie posiedzenia Rady Naczelnej z marca 1924 roku. Brzmiały one następująco:

- 1) *II-gi Zjazd Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej, uznając w zupełności, że nauka i technika muszą być podstawami nauki pożarnictwa, usilnie zaleca, aby, zanim powstanie uchwalona przez I Ogólny Państwowy Zjazd Straży Pożarnych szkoła pożarnicza, kursy pożarnictwa dla instruktorów były minimum 2-u miesięczne, a technika i taktyka pożarna oraz budownictwo ogniotrwale były traktowane na kursach, jako główne przedmioty teoretyczne.*
- 2) *II-gi Zjazd Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej zleca Zarządowi Gł. Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej, aby, przy prowadzeniu prób i doświadczeń przez Gł. Kom. Techn. nad technicznymi udoskonaleniami narzędzi przeciwpożarowych, osiągnięte rezultaty były komunikowane wraz z uchwałami ogółowi Strażactwa, umieszczając opisy doświadczeń i rysunki narzędzi na lamach „Przeglądu Pożarniczego”*⁸⁴.

Wnioski te, jak się okazuje, uchwalono bez zmian w ich treści⁸⁵, a potem nawet częściowo zrealizowano, jednak na szkołę pożarniczą przyszło czekać aż 15 lat, a sam temat szkolnictwa stał się okazją do wykazania oporu środowiska wobec pomysłów Tuliszkowskiego.

Strażacka moc

Trzeci dzień zjazdu zaczął się od emocjonalnego wiązania z ochroną przeciwpożarową najważniejszych w kraju czynników politycznych, co – jak zwykle – nic pożarnictwu nie dało.

⁸³ Praca strażacka dla przyszłości, „Przegląd Pożarniczy” 1924, nr 16, s. 236.

⁸⁴ Tamże, s. 236.

⁸⁵ „Przegląd Pożarniczy” 1924, nr 17, s. 260.

O godz. 9½ Rada Naczelna Związku wręczyła Panu Prezydentowi artystycznie wykonaną statuetkę, dyplom i oznakę członka honorowego Związku, zaś p. Premierowi Wł. Grabskiemu – założycielowi Związku Florjańskiego – dyplom i oznakę członka honorowego Zw. Str. Poż. oraz ozdobnie wykonany adres⁸⁶.

Nieco później, o godz. 11.00, rozpoczął się przegląd przybyłych straży przed Prezydentem Rzeczypospolitej Wojciechowskim.

Pan Prezydent po raporcie insp. Matusiaka zwrócił uwagę na dziarski wygląd strażaków, co rzadko daje się widzieć gdzieindziej i zapytał, co jest tego przyczyną. Na to insp. Matusiak odrzekł, że w strażach ochotniczych gromadzi się wszystko, co wieś i miasteczko ma najlepszego wśród siebie. (...) Nic dziwnego, że wygląd strażaków jest dzielny, jeżeli mamy takich przewodników, jak chorąży Lissowski i insp. Matusiak⁸⁷.

Bolesław Chomicz przez cały czas zjazdu występował w regulaminowym mundurze, zresztą z tamtego okresu jego fotografie są głównie mundurowe, a ton jego wystąpień żołnierski, a nie – jak to zazwyczaj bywało – cyveroński. Nikt nie wątpił, że jest szefem formacji zdyscyplinowanej, świetnie zorganizowanej, a przy tym bardzo licznej. A jednak w jego wypowiedziach nie dominował radosny ton, za to z ponawianych co jakiś czas informacji o celach działania straży biła ustawiczna troska o strażacki etos.

Tymczasem zjazd z 1924 r., a w dużej mierze również okoliczności mu towarzyszące, przekonał strażackie władze różnych szczebli, jak wielką siłą dysponują i jaką cieszą się popularnością w społeczeństwie. Cokolwiek by przecież nie robili, to wartością samą w sobie był fakt, że po prostu są i w razie czego – służą innym pomocą. W tej sytuacji jakość działań jawiła się jako sprawa wtórna. Reasumując, można powiedzieć, że podstawowa wiedza, jaką przyswoili uczestnicy zjazdu dotyczyła tego, skąd i w jaki sposób brać pieniądze na to, by trwać. Natomiast cała reszta to były dla nich słowa, słowa, słowa...

Szkoła Pożarniczo-Budowlana (1924–1925)

Pierwszy postulat w sprawie utworzenia instytucji pod nazwą szkoła pożarniczo-techniczna Tuliszkowski zgłosił w tym samym dniu, w którym strażacy zaczęli go marginalizować, tj. 9 września 1921 r., w czasie obrad Zjazdu Zjednoczeniowego. Wówczas jednomyślnie podjęto uchwałę, by taką szkołę powołać. Ponieważ nie zanościło się na jej utworzenie, Tuliszkowski kilka razy przypominał o tym na zebraniach Rady Naczelnej. Niewiele to dawało, oprócz najbardziej prawdopodobnej argumentacji, że kraj znajduje się w głębokim kryzysie, z hiperinflacją i każde przedsięwzięcie finansowe może spowodować zapaść. Okazało się, że tego pomysłu nie popierał nikt w Radzie Naczelnej, a najciśniej przeciw opowiadał się sam prezes Chomicz, używając jednak argumentów natury finansowej, a nie ideowej, bo był jak najbardziej za profesjonalnym szkoleniem specjalistycznym strażackich kadr.

⁸⁶ „Przegląd Pożarniczy” 1924, nr 17, s. 260.

⁸⁷ Tamże.

Józef Tuliszkowski, niezrażony oporem materii, sarkastyczny, acz mocny zajmowanym w wojsku stanowiskiem i podbudowany odnoszonymi tam sukcesami, doprowadził w czasie obrad II zjazdu do podjęcia uchwał zjazdowych o szkolnictwie strażaków, wykazując, że bez nauki specjalistycznej ochrona przeciwpożarowa obejść się nie może. W międzyczasie opublikował własnym sumptem ośmiostronicową broszurkę o nazwie „Szkoła pożarniczo-budowlana”⁸⁸.

Założenia programowe

Autor zakładał, że będzie to dwuletnia szkoła, z miesięcznymi wakacjami, gdzie kursanci będą poznawać nauki teoretyczne, jeździć do pożarów oraz spędzać czas na zajęciach praktycznych (budowlanych). Zajęcia teoretyczne: 760 godzin, w tym: matematyka – 80, fizyka – 120, przyrodoznictwo – 40, historia Polski i powszechna – 40, literatura – 40, mechanika – 80, chemia – 80, technologia – 80, elektrotechnika – 80, topografia – 40, zajęcia specjalne – 1160 (w tym 360 godzin wiedzy pożarniczej). Łącznie 1920 godzin teorii, a do tego 1920 godzin praktyki zawodowej.

Jeśli wziąć pod uwagę liczbę godzin, czas kursantów na dwuletnich naukach byłby szczelnie zapelniony. Autor zakładał, że tryb nauki teoretycznej bardzo ściśle będzie połączony z praktyką. Zatem skoszarowani słuchacze uczyliby się, murowali budynki nie tylko szkolne oraz jeździli do pożarów i innych zdarzeń.

Wkrótce broszura zaczęła żyć własnym życiem.

Krytyka

Długo nad ową szkołą – zwłaszcza nad jej częścią budowlaną – zbierały się czarne chmury strażackiej niechęci. Nie było jednak odważnych, by zmierzyć się z autorem, który nigdy nie unikał konfrontacji i zawsze walczył do końca, czemu od czasów sika-wek wiejskich w „Strażaku” nie raz dawał wyraz. Na niwie prywatnej dyskutowano, również z autorem, co było sprawą zwyczajną. I mogło się wydawać, że na „kularowej” wymianie poglądów skończy się sprawa, bądź wreszcie zacznie, gdy dopiero z początkiem 1925 r. krytyka koncepcji powołania szkoły pożarniczo-budowlanej znalazła pełny wyraz w słowie drukowanym na łamach „Przeglądu Pożarniczego”.

Redakcja (a redaktorem naczelnym był wówczas Stanisław Pągowski, który po latach określał siebie jako przyjaciela Józefa Tuliszkowskiego), oficjalnie uchyliła się od zajęcia własnego stanowiska... Nie takim był „Przegląd Pożarniczy”, gdy go zakładano (zresztą w najbliższym czasie redakcja miała się uchylić od jeszcze jednej sprawy, gdzie ten sam redaktor również był przyjacielem osoby jak najbardziej zainteresowanej, wspominającej go po latach z uznaniem). Tymczasem w sprawie szkoły pożarniczo-budowlanej prezes Chomicz stanowiska nie zajął, co równało się braku poparcia dla pomysłu Tuliszkowskiego.

⁸⁸ J. Tuliszkowski, *Szkoła pożarniczo-budowlana*, nakładem autora, Warszawa 1924.

Krytyka, z jaką wystąpił na piśmie inż. Tadeusz Brzozowski, naczelnik VI Oddziału Łódzkiej Straży Ochotniczej (czyli zawodowej) i – co należy podkreślić – zawodowy strażak, bardzo zasłużony działacz, autor artykułów i członek Rady Naczelnej GZSP, była bardzo gwałtowna, obszerna i zjadliwa. Krytyka była tym bardziej dziwna, że jeden z nielicznych strażaków-inżynierów torpedował bez pardonu, a przy tym tendencyjnie, pomysł drugiego z nielicznych strażaków-inżynierów na podniesienie poziomu wykształcenia pożarniczego w obliczu krzyczących zaniedbań w tym zakresie, zakładających się na to, że klęska ogniowa ciągle miała się bardzo dobrze. Zobaczmy, jakich argumentów użyto dla zabicia tego pomysłu.

Krytyk podważał, na pozór bardzo fachowo, każdy z aspektów powołania szkoły, nie znajdując ani jednego powodu, by taka zaistniała: od spraw programowych, przez egzystencjalne, aż po celowościowe. Najpierw czynił Tuliszkowskiemu zarzuty natury ogólnej: przeładowanie programu zagadnieniami powszechnymi, ogromny koszt budowy samej szkoły, domniemywał wychowywanie w niej przemądrzałych dyletantów. Potem przeszedł do szczegółów, gdzie bardziej liczyło się własne mniemanie niż twarde argumenty.

Przed wszystkim inż. Brzozowski całkiem nieuczciwie ocenił program nauki, mówiąc, że zajęcia z pożarnictwa są zbyt krótkie, gdyż obejmą tylko 360 godzin, a tymczasem innych zajęć jest znacznie więcej. Jednak w tym problem, że aby dobrze zrozumieć zajęcia z pożarnictwa na poziomie ponadpodstawowym, należy zapoznać się z naukami ogólnymi, które miały pochłaniać większość czasu przeznaczonego na studia. Gdyby nauki te miały służyć wyłącznie samym sobie, można by argumenty Brzozowskiego zrozumieć, jednak – odpowiednio ukierunkowane – są one przecież niezbędnymi składnikami wykształcenia pożarniczego. Dotychczasowe kursy dla instruktorów pożarnictwa, czyli kadry oficerskiej GZSP, których rozbudowanie Brzozowski polecał, nie obejmowały nawet 360 godzin, nie mówiąc już o zawartości w nich nauk pożarniczych. Trwały 6 tygodni, tj. maksymalnie 240 godzin, a przecież w ich zakres wchodziło szereg różnych przedmiotów, a nie tylko samo pożarnictwo... I dziś można by było znaleźć zagorzałych zwolenników zawężania programów nauczania do jedynie „niezbędnych” przedmiotów pożarniczych.

Nie podobała się również krytykowi liczba godzin z przyrody (głównie z hippiki – 40 godzin), choć konie nadal były przeważającą siłą napędową ówczesnych pojazdów pożarniczych i długo być miały.

Najbardziej krytykował Brzozowski pomysł na to, by wznosić budynki szkoły siłami studentów, którzy jednocześnie mieliby jeździć do pożarów – a tych w Warszawie było bardzo dużo. Tu uwaga: krytykantowi nie podobało się, że jak na potrzeby praktyk dla kursantów tych pożarów jest za dużo! Ponadto wbrew temu, co Tuliszkowski pisał bardzo wyraźnie, Brzozowski sugerował czytelnikom, że studenci rzucają kielnie i hurmem jadą do pożaru, a budowa czeka. Ten sposób dowodzenia własnych racji zakrawał o kpinę.

Redakcja „Przeglądu Pożarniczego” oficjalnie odcięła się od zajęcia stanowiska w tej sprawie.

Miał jednak inż. Brzozowski również inne argumenty dotyczące samego już podejścia systemowego do kształcenia. Należał bowiem do tych ludzi, którzy uważali, że wiedza przychodzi nie tyle z wykształceniem, co z wiekiem. Oczywiście po części tak jest, ale pomijał znaną regułę, że raczej tylko młodych ludzi można nauczyć czegoś nowego, tudzież ukształtować na pożądaną modłę, to jest wpoić im coś bardzo ważnego: wartości. A przecież brak wartości był zasadniczą przyczyną kłopotów z etosem strażaków. Oto argument omijający istotę problemu łukiem najszerszym z możliwych:

Niepodobna jednak myśleć o tem, aby z młodzieńców 18–20-letnich, przy ich 6-klasowem przygotowaniu w 2-ch zaledwie latach pobytu w uczelni specjalnej można było wytworzyć „wykwalifikowanych techników budowlanych, gruntownie obeznanych z pożarnictwem”⁸⁹.

Wypada w tym miejscu zauważyć, że istniała polska instytucja państwowa znacznie silniejsza od Głównego Związku Straży Pożarnych, która nie obawiała się systemu kształcenia własnych kadr ludząco podobnego do tego, jaki dla strażackich dowódców i oficerów-instruktorów zaproponował Tuliszkowski. Ba! Gdyby zarzucić Tuliszkowskiemu, że na niej się wzorował, pisząc projekt własny kształcenia pożarniczego młodzieży, z dumą odparłby, że tak właśnie było! Otóż instytucją tą było miejsce jego zatrudnienia: wojsko.

Wojsko przyjmowało do swoich dwuletnich wówczas szkół oficerskich młodych, zdrowych, posiadających maturę młodzieńców 18–20-letnich, by w dwa lata zrobić z nich wykwalifikowanych oficerów, zdolnych do dowodzenia w czasie pokoju plutonami czy działonami, a po kilku latach praktyki – także kompaniami, szwadronami i bateriami. Przyszli oficerowie uczyli się tam od podstaw wojskowej murarki: rozbierania, czyszczenia i składania broni, obsługi koni, kopania okopów i budowania schronów, dużo, a nawet bardzo dużo biegali. Prócz strzelania byli uczeni także zasad dobrego wychowania, tańców towarzyskich i historii kraju, by wiedzieli, czego mają bronić i za co warto ginąć. Mieli również zajęcia z matematyki, balistyki, geometrii oraz obsługi specjalistycznego sprzętu, wykładano im taktykę ogólną i szczególną, odpowiednią do profilu broni. Jeśli ktoś był zdolny, a w służbie się sprawdzał, szedł na studia dodatkowe. Wówczas zostawał oficerem dyplomowanym i miał otwartą drogę do zajmowania stanowisk zagwarantowanych dla oficerów starszych.

Za kilka dosłownie lat miało się okazać, że wyłącznie spośród takich właśnie ludzi, wykształconych przez wojsko, bierze się kandydatów na strażackich oficerów, których Główny Związek Straży Pożarnych doszkalał na kilkumiesięcznych kursach strażackich, w warunkach lokalowych urągających sformułowaniu „szkolenie”. Krytyka Brzozowskiego z Łodzi przyczyniła się do tego osiągnięcia lokalowego nie w jakimś innym, tylko właśnie w łódzkim ośrodku szkolenia pożarniczego, że stołówka była zarazem salą wykładową, kaplicą i sypialnią dla przyszłych oficerów

⁸⁹ T. Brzozowski, *Uwagi krytyczne w sprawie szkoły pożarniczo-budowlanej*, „Przegląd Pożarniczy” 1925, 3, s. 44–45; „Przegląd Pożarniczy” 1925, nr 4, s. 64–66.

straży pożarnych, a funkcja pomieszczenia cudownym zrządzeniem woli ludzkiej w ciągu dnia zmieniała się zależnie od tego, gdzie leżały sienniki i gdzie stały stoły.

Pan Brzozowski powiedział też coś nadmiernie szczerego, co zmierzał sprytnie ukryć, acz niezbyt zręcznie mu to wyszło, bo prawda wyziera za sprawą sposobu sformułowania myśli. Prawda ta jest uniwersalna, a przy tym niezależna od epoki.

Pozostawiając przeto naukę budownictwa innym, dobrze prowadzonym szkołom fachowym, których Polska, niezależnie od politechnik, liczy kilka, zajmijmy się jako strażacy tem, co nas żywotnie obchodzi i krytycznie zauważmy, jaką drogą pragnie Autor szkoły przeprowadzić w niej studia pożarnicze⁹⁰.

Tu wreszcie mamy istotny powód krytyki – mianowicie strach strażaka Brzozowskiego, że z czasem, jako komendant będzie musiał zajmować się sprawami budownictwa ogniotrwałego, czyli zapobieganiem pożarom. Bo wiedział, że oficerowie w Straży Ogniowej m. st. Warszawy jeszcze przed wojną zostali obarczeni obowiązkiem lustrowania obiektów pod kątem ich ochrony przeciwpożarowej, co Tuliszkowski zmienił w skuteczny system. Nie mogło mu tego środowisko gaśnicze darować. Tego też, jak wielu, nie chciał autor krytyki, gdyż uważał, jak prawie wszyscy, że straż pożarna jest od gaszenia.

Po uświadomieniu tegoż jakże dziwnie znajomo brzmi ten głos: zostawmy sprawy budowlane budowlącom, a pożarami niech się zajmują strażacy! Zupełnie tak samo, jak z dzisiejszych czasów: niech prewencją zajmują się prewentyści, a gaszeniem tacy... A czemu Brzozowski tak ukrył ową myśl pod płaszczykiem jakości wykształcenia...? Ano temu, że nadal jeszcze (ale już niedługo tak miało być) w nagłówku „Przeglądu Pożarniczego” były trzy zagadnienia: strażę ogniową, ubezpieczenia od ognia, budownictwo ogniotrwałe.

Jak widać, podejście takie, bardzo szkodliwe dla ochrony przeciwpożarowej, bo nieuwzględniające jej interdyscyplinarności, powstawało w świadomości ludzi naprawdę świątłych. Co zatem mówić o tych, którzy niczego poza gaszeniem nie widzieli? Gdzie tu zmieścić zasadniczy cel każdej zdrowej ochrony przeciwpożarowej, tłumaczony – ba! bębniiony – przez Chomicza czy Tuliszkowskiego od kilkunastu lat: pożarów ma nie być, a jeśli się zdarzą, powinny zamykać się w jednym budynku, a najlepiej pomieszczeniu?

Z inż. Brzozowskiego wyszła też, zupełnie niechcący, osobista małość. Proponował, by ambitni ludzie, chcący odgrywać poważną rolę w ochronie przeciwpożarowej, szli w ślady jego i Tuliszkowskiego, to jest ukończyli uczelnie politechniczne, a potem aplikowali do straży. Zapomniał jednak, albo świadomie przemilczał, jak długo taki proces trwa i jaki jest kosztowny. I dla jakże niewielu jest dostępny.

Na koniec krytyk pomysłu Tuliszkowskiego użył argumentu z kategorii tych „nie do podważenia”.

⁹⁰ T. Brzozowski, *Uwagi krytyczne w sprawie szkoły pożarniczo-budowlanej*, „Przegląd Pożarniczy” 1925, 3, s. 44–45; „Przegląd Pożarniczy” 1925, nr 4, s. 64–66.

Stwierdzam nadto, że szkoły takiej, jaką zainicjował Autor, nie ma żadne z państw cywilizowanych, znacznie od Polski zasobniejszych, a tworzenie przeto sumptem z górą miliona złotych noworodka szkolnego nie wytrzymuje krytyki i byłoby czynem mało rozważnym⁹¹.

Inżynier Brzozowski zapomniał jednak, że w całym cywilizowanym świecie istniały szkoły wojskowe o profilu licealnym i wyższym, kształtujące w trybie mundurowej dyscypliny nie tylko wojskowych, ale i urzędników administracji cywilnej. W Polsce nie minęło nawet jedno pokolenie, gdy okazało się, że jednak należało powołać do życia szkołę prawie jak oficerską dla strażaków, bo bezwzględnie wymagał tego sam rozwój ochrony przeciwpożarowej, nawet mimo rozumienia jej wówczas w sposób zawężony do spraw czysto gaśniczych.

No cóż – należy powiedzieć, że wizjonerem to inż. Brzozowski nie był, ale człowiekiem odważnym niewątpliwie tak. Inni nie mieli tej śmiałości. Z tego właśnie powodu należy jego krytykę rozumieć jako głos środowiska strażackiego, co żadnych spraw budowlanych nie miało (i w większości nadal nie ma) zamiaru się uczyć, a już w szczególności narażać się miejscowym społecznościom poprzez namawianie ich, by przepisów przeciwpożarowych koniecznie przestrzegać... No bo komu i na co będą oni potrzebni, gdy pożarów zabraknie?

Dosłownie nikt nie stanął w obronie pomysłu Tuliszkowskiego, mimo że krytyka była jawnie niesprawiedliwa, a nawet wyraźnie krzywdząca dla spraw polskiego pożarnictwa. Za obronę wziął się – jak zwykle zresztą – sam autor pomysłu na szkolenie oficerów-profesjonalistów.

Odpowiedź na krytykę

Tuliszkowski odparł zarzuty z łatwością.

Jedynie obawa, którą mi nasunęły rozmowy z kilkoma wytrawnymi strażakami, że technik pożarniczo-budowlany będzie mógł łatwiej zdobyć pracę w zakresie budowlanym, niż w pożarnictwie, które przez to nie zyska jak najwięcej sił wykwalifikowanych (...) wpłynęła na zmianę poglądu i zgodziłem się na jednym z posiedzeń Komisji Szkolnej, aby szkoła była techniczno-pożarnicza, z zastrzeżeniem jednak bardzo obszernego traktowania budownictwa, szczególnie ogniotrwałego. (...)

Urządzenie specjalnych wykładów pożarnictwa w szkołach technicznych jest projektem bardzo nieudolnym, ponieważ właśnie pożarnictwo nie zadowala się samą teorią, lecz wymaga bezwzględnie przede wszystkim zajęć praktycznych i ćwiczeń, a głównie praktyki na pożarach. (...)

Tylko przesilenie gospodarcze, jakie przeżywa Rzeczypospolita nasza i trudne warunki finansowe zmuszają nas na razie do odroczenia tej ważnej sprawy na pewien czas⁹².

A jednak szkoły nie powołano. Przypomnijmy, że w tej sprawie zapadły dwie uchwały zjazdów powszechnych.

⁹¹ T. Brzozowski, *Uwagi krytyczne w sprawie szkoły pożarniczo-budowlanej*, „Przegląd Pożarniczy” 1925, 3, s. 44–45; „Przegląd Pożarniczy” 1925, nr 4, s. 64–66.

⁹² J. Tuliszkowski, *Odpowiedź na krytykę projektu szkoły pożarniczo-budowlanej*, „Przegląd Pożarniczy” 1925, nr 10, s. 172.

Krytyka padła na podatny grunt, bowiem wielu członków strażackich władz w sprawach ochrony przeciwpożarowej dysponowało zapalem, ale nie wiedzą, a stan ten miał się w miarę upływu czasu pogłębiać. Można powiedzieć, że sam fakt wykazania konieczności powołania takiej szkoły do życia odczuwali jako osobistą obrazę. Im, do zarządzania strażami, wystarczyło przekonanie, że sobie poradzą, a za obce im problemy ochrony przeciwpożarowej powinni odpowiadać zupełnie inni ludzie, gdzie indziej pracujący. Gdzie? To już ich nie obchodziło.

Tak oto dyletanckie poglądy pospolite zogniskowały się u szczytów strażackich władz. Tuliszkowski przegrał, a z nim ochrona przeciwpożarowa.

Margines dochodzi do głosu

Musimy dopić kielich goryczy do końca. Zmiany na gorsze w ochronie przeciwpożarowej dokonały się co prawda z początkiem 1926 r., ale nie po (jak można wyczytać w niektórych opracowaniach), a długo przed krwawym przewrotem majowym Józefa Piłsudskiego. Ich zbieżność w czasie jest zadziwiająca, podobieństwo skutków niemal identyczne. Chodzi o zmiany w strażackim życiu zarówno Bolesława Chomicza, jak i Józefa Tuliszkowskiego. Bo przecież nie o samo fiasko szkoły pożarniczo-budowlanej chodziło, a o marginalizację autentycznych idei (Chomicz) i wymagań merytorycznych (Tuliszkowski) na rzecz etatyzmu. Skoro bowiem istniało świetnie zarządzane ciało społeczne, jednoczące w sobie ponad sto tysięcy ludzi, naturalnym było, że ludzie władzy zechcą na nim żerować.

Odejście Chomicza

Co prawda w czasie zjazdu sierpniowego Bolesław Chomicz przeżywał chwile chwały, ale jego pozycja była znacznie słabsza, niż to mogło się wydawać. Poza tym przechodził wyraźny kryzys osobisty. Przygotowanie Zjazdu z 1924 r. było tak imponujące, gdyż miał na to czas. Mianowicie za sprawą ustawicznego nacisku osobistego wroga, Henryka Grubera, który mimo zmian rządów permanentnie pozostawał na czele ministerialnej komórki nadzorującej rynek ubezpieczeniowy, został zmuszony do odejścia ze stanowiska prezesa Polskiej Dyrekcji Ubezpieczeń Wzajemnych i przesunięty tam na niższe stanowisko. Jak już wiemy, działo się tak w połowie 1923 roku. Na osłodę dostał Chomicz krzyż „Polonia restituta”, a żeby ukoić zszarpane nerwy, wziął długi urlop zdrowotny od obowiązków. O tym, że dymisja była rażącą niesprawiedliwością, świadczy fakt, że pracownicy PDUW postanowili nazwać jego imieniem dom wczasowy w Zakopanem.

Po powrocie z urlopu Chomicz zajął się zjazdem z najwyższą energią i pomysłowością, co okazało się nominalnym sukcesem, ale też jednostkowym zrywem. Czuł, że skoro stracił wpływ na dysponowanie pieniędzy PDUW, stracił też w oczach członków Rady Naczelnej. Na wielu z nich piękne jego słowa o ochronie przeciwpożarowej nie robiły dosłownie żadnego wrażenia. Przeszkadzał im.

W 1925 r. aktywność pisarska Bolesława Chomicza znacząco spadła, a jego funkcja prezesowska stała się dekoracyjna, jak w czasie „Nadzwyczajnego ogólnopolskiego zjazdu delegatów straży we Lwowie w dacie złotych godów Małopolskiego Związku Straży Pożarnych”, gdzie wygłosił płomienne, acz urzędowe i pompatyczne przemówienie okolicznościowe⁹³, jak na niego raczej słabe. Czyli był, jeździł, działał, przemawiał, składał wieńce i odznaczał, uczestniczył w posiedzeniach Rady Naczelnej, a jednak z jakichś powodów nie był sobą. Wyglądał źle.

W dniu 14 grudnia 1925 r. odbyło się posiedzenie Rady Naczelnej Głównego Związku Straży Pożarnych. Wbrew zwyczajom zaprowadzonym przez Bolesława Chomicza, przebiegu tego posiedzenia nie udokumentowano na łamach „Przeglądu Pożarniczego”, choć jednocześnie dano całkiem obszerną relację na kilka kolumn z trwającego równolegle posiedzenia Rady Związku Straży woj. warszawskiego. W związku z tym Stanisław Pągowski, redaktor naczelny „Przeglądu Pożarniczego” dostał list o następującej treści:

Do Pana Redaktora „Przeglądu Pożarniczego”

Przywykliśmy dotychczas, że „Przegląd Pożarniczy” odzwierciedlał dokładnie wszystkie zagadnienia, związane z działalnością, życiem i rozwojem pożarnictwa polskiego. Niezmiernie przeto jesteśmy zdziwieni, że ostatnie wypadki, związane z osobą Prezesa Głównego Związku Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej, a mające decydujące znaczenie dla dalszego rozwoju prac zrzeszonego strażactwa polskiego, nie zostały dotąd podane do wiadomości na łamach „Przeglądu Pożarniczego”.

Wobec powyższego, życząc sobie, aby „Przegląd Pożarniczy” nadal spełniał swoje posłannictwo, uprzejmie prosimy Pana Redaktora w imieniu i z upoważnienia osób pod odezwą podpisanych o zamieszczenie niniejszego pisma i odezwy w najbliższym numerze „Przeglądu Pożarniczego”.

Z głębokim poważaniem. inż. S. Waligórski, inż. S. Arczyński, Warszawa, dnia 21 stycznia 1926 r.

Takiego postulatu redaktor „Przeglądu Pożarniczego” nie miał jeszcze odwagi pominąć milczeniem (za miesiąc, pod nową władzą, odważnie zignorowałby to pismo, podpisane przez same autorytety, ale żadnych władców), wobec czego opublikował zarówno list, jak i załączoną do niego odezwę:

Druhowie!

Długoletnia niczem niezmacona współpraca na polu pożarnictwa ojczystego niżej podpisanych z Prezesem Bolesławem Chomiczem każe nam w chwili obecnej publiczny głos zabrać.

Na zebraniu Rady Naczelnej Głównego Związku w dniu 14 grudnia 1925 r. większością 10 głosów na 19 osób głosujących, nieoczekiwanie, lecz świadomie i planowo, udzielono votum nieufności Prezesowi Bolesławowi Chomiczowi, nie mając po temu żadnych motywów, ani

⁹³ Przemówienie Bolesława Chomicza w opracowaniu zbiorczym: *Przez półwiecze – ku tężyźnie narodu. Nadzwyczajny ogólnopolski zjazd delegatów straży we Lwowie w dacie złotych godów Małopolskiego Związku Straży Pożarnych*, „Przegląd Pożarniczy” 1925, nr 12, s. 198–199.

motywów tych nie zgłaszając. Atak ten, jako strzał z za plotu, przeprowadzony nagle, bez możliwości wypowiedzenia się w tej sprawie poszczególnych Związków Wojewódzkich przez uprawnionych do przedstawicielstwa w radzie Prezesów tych Związków, boleśnie musi dotknąć każdego, któremu dobro i rozwój pożarnictwa ojczystego leży na sercu.

Przypadkowy skład Rady Naczelnej, przytem wzięcie udziału w głosowaniu niektórych przedstawicieli subsydiujących Związek, którzy, aczkolwiek tylko luźno związani z pożarnictwem, uznali za możliwe w tak drażliwym momencie rzucić na szalę swe ważne głosy – wszystko to złożyło się na wynik głosowania – i zadano skryty cios nieskazitelnemu działaczowi, który lat tyle w czy-
stych swych rękach wysoko dźmierzył sztandar nasz i nadawał ideowy kierunek naszym pracom, twórcy Związku Floriańskiego, inicjatorowi i twórcy zjednoczenia strażactwa polskiego w Główny Związek, człowiekowi, który ma tę cywilną odwagę, by zawsze rzeczy po imieniu nazywać, który nie dopuszczał do odchyień od wytycznych naszej ideologii strażackiej i który nie zawahał się dla dobra i przyszłości Związku z całą powagą i bezstronnością odróżniać karierowiczostwo społeczne od bezinteresownej a ofiarnej pracy na polu samopomocy społecznej w szeregach naszych.

Więć o przykrości moralnej, jaka spotkała Prezesa Głównego Związku, jednostkę wybitną i czołową strażactwa, musi odbić się głębokiem echem w naszych szeregach i nie może być traktowana jako wypadek sporadyczny, lecz jako walka z ideologią, jakiej reprezentantem jest druż. Bolesław Chomicz; musi ona wywołać żywiołowy odruch, który winien znaleźć swój wyraz w zgodnej i jednolitej opinii, że w szeregach strażackich jest miejsce tylko na pracę twórczą, a nie destrukcyjną robotę.

W poczuciu krzywdy, jaka stała się druhowi Chomiczowi, czujemy się w obowiązku podać powyższe do wiadomości Wam, Druhowie, którzy od chwili powstania Związku Floriańskiego jesteście świadkami niezmordowanej, bezinteresownej, nieskazitelnej, nacechowanej męską energią i sercem obywatelskiem pracy druha Chomicza.

St. Arczyński, b. naczelnik Biura Zw. Floriańskiego,

E. Balcer, prezes straży Łowickiej,

T. Brzozowski, naczelnik V Oddz. Straży Łódzkiej,

W. Chełmoński, nacz. Straży Pruszkowskiej,

A. Grohman, komendant straży Łódzkiej,

J. Kon, prezes straży Częstochowskiej,

St. Okulski, naczelnik straży Koneckiej,

Z. Przyjałkowski, prezes straży Radomskiej,

E. Wagner, vice-komendant V. oddz. straży Łódzkiej,

St. Waligórski, prezes straży Czerskiej.

Warszawa, dnia 21 stycznia 1926 r.94.

List pozostawiła redakcja bez choćby słowa komentarza. Nie wiemy zatem nic więcej, niż w nim podano. Możemy więc tylko domyślać się, że na owym feralnym posiedzeniu Rady Naczelnej nie było prezesów zarządów wojewódzkich, ale też

⁹⁴ „Przegląd Pożarniczy” 1926, nr 3, s. 47.

nie oni – co charakterystyczne – podpisali się pod listem protestacyjnym. No i nie wiemy, jaką postawę wobec tego zamieszania przyjął Józef Tuliszkowski.

W grudniowym numerze „Przeglądu Pożarniczego”, a ściślej rzecz biorąc – w wydaniu wigilijnym, bo sygnowanym 24 grudnia 1924 r. – ukazał się artykuł Chomicza pt. *Na progu Nowego Roku*. Zaczął i zakończył jego treść słowami Z. Krasieńskiego: *Idź i czyn, choć Serce twoje wyschnie w piersiach twoich – choć zwątpisz o braci twojej... czyn ciągle a bez wytchnienia...*⁹⁵. Chomicz zrozumiał, że zrobił swoje i może, a nawet musi odejść. A zrobił swoje – nauczył, skąd i jak brać pieniądze „na działalność statutową straży ogniowych ochotniczych”.

Rada Naczelna zebrała się ponownie w styczniu, czego efektem był list oburzonych i zasłużonych działaczy pożarnictwa. Podjęła wówczas jeszcze jedną uchwałę, o powołaniu Komisji Trzech, najprawdopodobniej dla wyjaśnienia sprawy Chomicza. W dniu 22 lutego 1926 r., o czym wiemy z bardzo lakonicznego sprawozdania, opublikowanego na łamach „Przeglądu Pożarniczego” (redakcja w ten nieudolny sposób odpierała zarzut, że nie informuje o istotnych sprawach, nadal nie informując o przebiegu przegłosowania wotum nieufności wobec prezesa Chomicza), odbyło się kolejne posiedzenie Rady Naczelnej. Oto, czego się dowiadujemy.

*Z dniem 22 lutego r. b. dotychczasowy prezes Głównego Związku Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Druh BOLESŁAW CHOMICZ przestał piastować ten mandat*⁹⁶.

Nowy prezes Choromański, w tej samej chwili, gdy to stanowisko objął, (...) *weswał członków Rady Naczelnej do uczczenia przez powstanie z miejsc zasług dla pożarnictwa polskiego dotychczasowego pierwszego prezesa (...) p. Bolesława Chomicza, wyrażając przy tem przeświadczenie, że p. Bolesław Chomicz będzie i nadal brał nieprzerwanie czynny udział w pracach Rady Naczelnej*⁹⁷.

Tak oto Chomicza, mimo jego zasług, bezceremonialnie odstawiano w kąt. Na apel z 21 stycznia grupy oburzonych działaczy nikt z druhów nie odpowiedział (tzn. może i ktoś odpowiedział, ale redaktor Pągowski odpowiedzi nie zamieścił).

Tak się złożyło, że w przeciągu trzech lat Chomicz odszedł z dwóch stanowisk, a jego miejsce za każdym zajmował ktoś o nazwisku Choromański. W PDUW prezesem został Józef (zmarł w 1925 r.), a w ZG ZOSP – Zygmunt. Zadziwiająca reguła, świadcząca o tym, że przypadków na tym świecie nie ma, są tylko znaki. W końcu Zygmunt Choromański stał na czele zrzeszenia prywatnych firm ubezpieczeniowych, które zajmowały się głównie ściąganiem składek obowiązkowego ubezpieczenia od ognia, ale udzielaniem subwencji na straże ogniowe lub wodociągi – bardzo rzadko.

Jest wysoce prawdopodobnym, że na odejściu Chomicza zaważyły dwa zasadnicze zagadnienia, zresztą powiązane ze sobą: idące w stronę etatyzmu ubezpieczenia wzajemne od ognia oraz nastawienia środowiska strażackiego do etosu, który

⁹⁵ „Przegląd Pożarniczy” 1925, nr 23–24, s. 379–380.

⁹⁶ S. Pągowski, *Siewca ideologii strażackiej*, „Przegląd Pożarniczy” 1926, nr 6, s. 91.

⁹⁷ „Przegląd Pożarniczy” 1926, nr 5, s. 76.

Chomicz nazywał ideologią. Wskazują na to perypetie z nazwą i adresem „Przeglądu Pożarniczego” w ciągu 1925 r. PDUW pod nowymi rządami nie widziało potrzeby finansowania periodyku pożarniczego, wszak wydawało „Przewodnik Ubezpieczeniowy” (jego twórcą także był Bolesław Chomicz). Nie widziano też konieczności dalszego finansowania Zarządu Głównego Związku Straży Pożarnych, gdyż PDUW była jedną z wielu firm ubezpieczeniowych (owoc troski Henryka Grubera o „interesa” firm prywatnych), a ponosiła – na skutek zaangażowania Bolesława Chomicza – zasadnicze koszty funkcjonowania ochrony przeciwpożarowej. A przecież firmy Grubera zbierały składki ogniowe, ale nic nie dawały na ochronę przeciwpożarową, ani bierną, ani nawet czynną. Tym samym odbyły się daleko idące zmiany adresowe, oznaczające rozstanie siedzib Polskiej Dyrekcji Ubezpieczeń Wzajemnych i Zarządu Głównego Związku Straży Pożarnych, a co za tym idzie – redakcja „Przeglądu Pożarniczego” też musiała zmienić adres.

Nie skończyło się jednak na samych tylko zmianach adresowych.

Styczniowy numer „Przeglądu Pożarniczego” z 1925 r. miał jeszcze podtytuł z czasów założenia: *Dwutygodnik poświęcony ubezpieczeniom od ognia, sprawom straży ogniowych i budownictwa ogniotrwałego*. Adres redakcji i administracji to wówczas Warszawa, Al. Jerozolimskie 41 – identyczny, jak Polskiej Dyrekcji Ubezpieczeń Wzajemnych. Jubileuszowy numer periodyku, który ukazał się na dziesięciolecie wydawania pisma (liczono 10 faktycznych lat wydawania) w czerwcu 1925 r., adres miał co prawda ten sam, ale inny podtytuł: *Dwutygodnik poświęcony pożarnictwu*. Nikt nie mówił co prawda, jak owo pożarnictwo jest rozumiane, ale wszyscy wiedzieli, a większość strażactwa oddychała z ulgą: pożarnictwo, to oczywiście gaszenie pożarów (niedługo miały dojść musztra i przysposobienie wojskowe). W 1926 r. nadal był to dwutygodnik poświęcony pożarnictwu, ale od numeru 6 już z nowym adresem: Warszawa, ul. Królewska 23 (IV piętro).

W ślad za zmianami wizerunkowymi i adresowymi „Przegląd Pożarniczy” utracił bezpośredni, codzienny kontakt ze specjalistami PDUW, piszącymi większość artykułów o budownictwie ogniotrwałym, urządzeniach przeciwpożarowych i wpływie tychże na wysokość składki ubezpieczeniowej – w strażactwie nikt po nich nie płakał. Po roku 1925 o budownictwie ogniotrwałym i urządzeniach przeciwpożarowych pisano znacznie rzadziej niż w poprzednich dziesięciu latach istnienia periodyku, a przy tym z bardzo powierzchownym traktowaniem tych tematów. Bo też i redakcja całkowicie straciła zainteresowanie budownictwem ogniotrwałym. Interesowała się ubezpieczeniami – w kontekście kilku procent ze składek ogniowych na działalność gaśniczą straży pożarnych.

Dla Chomicza opisane wyżej zmiany musiały być serią osobistych ciosów. Budowany z trudem system ochrony przeciwpożarowej, ledwie powstały jego załączki, zanim właściwie zadziałał, zaczynał się rozkładać na części pierwsze. A przecież w tej właśnie chwili potrzebował pielęgnacji, by się utrwalić instytucjonalnie i w świadomości ludzkiej! Nie pozwolili na to ci, którzy powinni być najbardziej zainteresowani jego trwaniem.

Na oczach Chomicza rozsypywało się to, co ponad dziesięć lat budował w ustawicznej walce z zaborcą, okupantem, waśniami partyjnymi i prywatą. Gorzka była świadomość, że ostatecznego odejścia od idei dokonali strażacy, których tak porywał do szlachectwa, często z powodzeniem.

Czegoś się jednak strażacy, a zwłaszcza działacze, nauczyli. Chętnie powtarzali w ślad za prezesem jego hasła (również i dziś chętnie się je powtarza), ale ze stosowaniem były już istotne problemy.

Chomicz pokładał jeszcze wielkie nadzieje w ustawie o samorządach, licząc na to, że ochrona przeciwpożarowa stanie się zadaniem własnym tych jednostek organizacyjnych, realizowanym poprzez współudział finansowy w utrzymywaniu straży pożarnych. Z tego też nic nie wyszło, bo przecież był zamach majowy Piłsudskiego, czyniący z samorządów farsę. Można się jednak domyślać, że i bez zamachu niewiele udało się zrobić.

Pożarnictwo rozstawalo się z Chomiczem na łamach prasy na raty, bo też nie wiadomo, jak sobie poradzić z człowiekiem, który czasem pojawiał się, korzystając ze swych praw zasiadania w Radzie Naczelnej, przysłuchiwał się jej obradom.

Tuż po „zaprzestaniu piastowania mandatu” przez Chomicza, w marcu 1926 r. nakładem Związku Floriańskiego ukazały się dwa artykuły jego autorstwa: „X-ciolecie Korporacji” i „Nasza Ideologia”. Miały one swoją wymowę – były prezes żegnał się z dziełem swojego życia, które za kilka miesięcy miało przestać istnieć, rozcięte na kilka związków wojewódzkich straży pożarnych. Bo z perspektywy czasu dzieje Związku Floriańskiego i los Bolesława Chomicza wydają się dziwnie zbieżne. Już sam podział tak wielkiej i skutecznie zarządzanej organizacji na związki wojewódzkie pozbawiał prezesa Chomicza wpływów, a w nowych strukturach nigdzie go nie chciano.

Ostatni w okresie międzywojennym artykuł Chomicza w zakładanej przez niego w 1912 r. gazecie miał tytuł „Spójnia międzynarodowa”. Ukazał się w „Przeglądzie Pożarniczym” nr 7 z 1926 r. Poświęcony był w całości pożarnictwu w Czechosłowacji. Motto artykułu zaczerpnął autor z prozaika pozytywisty, Bolesława Prusa, a brzmi ono nieco jak przestroga: *Użyteczność jest fundamentem szczęścia*. Cóż – już nie był Chomicz użytecznym polskiemu strażactwu, choć polskiej ochronie przeciwpożarowej byłby jak najbardziej.

Swój wyraz dał temu Stanisław Pągowski, redaktor naczelny „Przeglądu Pożarniczego” zarówno z czasów dyskusji nad szkołą pożarniczo-budowlaną Tuliszkowskiego, jak i głosowania nad odwołaniem Chomicza z funkcji prezesa. To jego nazwiska nie podali oburzeni działacze w liście protestacyjnym ze stycznia 1926 roku. Wiedzieli, co czynią – Pągowski zawsze pisał niczym na zamówienie władz, a że żył bardzo długo, mógł się podawać za przyjaciela wielkich ludzi, co wcześniej pomarli.

Tymczasem Chomicz jeszcze żył i żyć miał całkiem długo. Na łamach „Przeglądu Pożarniczego” redaktor naczelny wystawił byłemu prezesowi i redaktorowi naczelnemu pożegnalną laurkę, bardzo jednak kulawą. Najwymowniejszą przy tym przez to, co ostrożny Pągowski pominął. Chwalił bowiem Chomicza za tylko jedną gałąź

działalności, mianowicie strażacką. Użył wielu górnolotnych słów: altruizm, państwo, byt narodu, ożywcze soki, nieskazitelność, opatrzonych jednak w bardzo niewiele konkretnych faktów. Ani razu nie padły w artykule pochwalnym słowa „klęska ogniowa” czy „akcja przeciwpożarowa”, które Chomicz wbijał strażakom do głów przez kilkanaście lat. Czytamy za to co akapit: „pożarnictwo ojczyście, placówki strażackie, ideologia strażacka, korporacja strażacka”. Słusznie ktoś powiedział, że patos jest największym dowodem fałszu. Brakuje wspomnienia choćby jednym słowem o głównej roli Chomicza w tworzeniu systemu ochrony przeciwpożarowej, o nauczaniu zasad budownictwa ogniotrwałego i przewodzeniu patronatowi w tym zakresie (a właśnie to upadło po cichu), o zaprzęgnięciu finansowym firm ubezpieczeniowych do dzieła zapobiegania pożarom, o najważniejszym wreszcie z jego celów działania, którego zrealizować nie zdołał – likwidacji pożarów masowych na wsiach.

Tym sposobem idee propagowane przez Chomicza zdegradowano na potrzeby korporacyjnego etatyzmu, a kompetencje zastąpiono pompatyecznością.

Marginalizacja Tuliszkowskiego

Niemal równoległe z odejściem Chomicza zaszła jeszcze jedna symptomatyczna zmiana: Józef Tuliszkowski, drugi filar propagowania wiedzy o ogniotrwałości budynków pośród strażaków, również przestał mieć istotny wpływ na dzieje ruchu strażackiego, choć w jego oficjalnych strukturach pozostał (był jakiś czas prezesem odległego Związku Wołyńskiego Straży Pożarnych), do „Przeglądu Pożarniczego” pisywał (głównie o wyjazdach zagranicznych). W oficjalnych wizytach brał udział – co istotne – nawet po zamachu majowym, u jawnie nielubianego przezeń Naczelnika Piłsudskiego. Po prostu, jak to bywa, nawet w najbardziej zetatywowanej instytucji ktoś od roboty być musi. Nadal przewodniczył więc Komisji Technicznej, ceniony i podziwiany przez fachowców. Dlatego gdy chciał gdzieś wejść i wziąć bierny udział w dyskusji, wchodził i brał udział, lecz z istotnymi poglądami na ochronę przeciwpożarową musiał przejść do konspiracji. Już nie przeszkadzał grupie trzymającej władzę, skoro poniósł klęskę tak spektakularną, jak w sprawie szkoły pożarniczo-budowlanej.

Od 1923 roku zaczął być krytykowany za niektóre poglądy i działalność, przez innych działaczy pożarniczych. Zarzucano mu, jak wspominał płk Władysław Piławski, między innymi zbyt dużą rolę budownictwa ogniotrwałego, które próbował szeroko wprowadzić do pożarnictwa. (...) Tuliszkowski zaczął być odsuwany od głównego nurtu polskiego pożarnictwa. Powoli zaczął też ograniczać swoje publikacje na łamach prasy pożarniczej⁹⁸.

Prawda była taka: środowisko strażackie stawiało zacięty opór próbom ubogacenia jego wiedzy i zadań o systemowe zapobieganie pożarom, uzawodowienia problematyki ochrony przeciwpożarowej, a co za tym idzie – uzawodowienia straży. Symptomatyczne, że niespełna 30 straży pożarnych zawodowych nie tworzyło struktury

⁹⁸ W. Jabłonowski, Józef Tuliszkowski..., Warszawa 1995, s. 70–71.

własnej. Straże te należały co prawda do Głównego Związku Straży Pożarnych, ale ani Związek nie miał pomysłu na ich działanie (nic im nie dawał, bo nie potrzebowały), ani one w nim się nie udzielały, ani nie wytworzyły w nim własnego przedstawicielstwa. Z druhami ochotnikami druhów zawodowców łączyło jedno: również i oni uważali, że straż pożarna jest od gaszenia pożarów (nie dodawali, że i od zamiatania ulic).

Co prawda Tuliszkowski nie odszedł ze strażackich struktur jak Chomicz, za to nastąpiła w jego życiu inna zmiana, niemalże identyczna jak w życiu Chomicza i to dosłownie w tych samych dniach. Być może to tłumaczy brak jego zaangażowania w sprawę Chomicza. Mianowicie z dniem 26 lutego został zdymisjonowany ze służby wojskowej, czyli stracił stanowisko i uposażenie⁹⁹. Stało się tak w związku z tym, że na fali samoograniczania armii (takie przedsięwzięcia przeprowadziło większość państw – uczestników Wielkiej Wojny) zlikwidowano jego etat. Oczywiście znalazło to wymiar w statystykach – liczba pożarów w następnych latach rosła, co pokazaliśmy wcześniej.

Z chwilą rozstania z Wojskiem Polskim Józef Tuliszkowski liczył sobie 59 lat i 22 dni.

Potem nastąpił zamach majowy Piłsudskiego, a w strażackich organizacjach nastąpiła pełną falą czasy etatyzmu. Jednak całkowite usunięcie Tuliszkowskiego ze strażackich struktur nigdy nie było możliwe z jeszcze jednej przyczyny. Przecież nigdy nie przestał się przyjaźnić z Ignacym Mościckim, kolegą z Weleccji. A nie kto inny, tylko ten człowiek został Prezydentem Rzeczypospolitej. Tym sposobem kiedzy po toporze, jak to często mawiał, nie mogli go równie łatwo jak Chomicza zepchnąć w strażacki niebyt. Co prawda odepchnęli go, ale nie dalej niż do drugiego szeregu. A i tu jeszcze przez kilka lat musieli się z nim liczyć. Bo strażacy i różni możni ludzie w województwach lubelskim czy wołyńskim nieodmiennie pałali do niego sympatią, czemu dawali najlepszy wyraz, nie oglądając się na pomruki z góry.

⁹⁹ W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski...*, Warszawa 1995, s. 67.

Na kolei (1926–1933)

Pplk inż. Józef Tuliszkowski nie był długo bezrobotnym. Wkrótce po rozstaniu z Wojskiem Polskim dostał kolejny trwały etat, w dodatku przy czynnościach, które wykonywał jeszcze będąc zatrudnionym w wojsku, czyli inspekcjach w obiektach Polskich Kolei Państwowych. Dla Tuliszkowskiego było to działanie niejako już rutynowe – zweryfikować stan ochrony przeciwpożarowej biernej i czynnej, wykazać niedomagania i zaproponować środki zaradcze. Czyli miał robić coś podobnego, jak za czasów CTR, Związku Floriańskiego i Wojska Polskiego.

Miejsce pracy było o tyle dobre, że – jak głosiła fama w kolejnictwie jeszcze długo potem (piszący te słowa jest absolwentem Technikum Kolejowego w Warszawie, gdzie kultywowano dobrą pamięć o kolejnictwie) – Józef Piłsudski, wdzięczny kolejarzom za pomoc w przewiezieniu wiernych mu (czyli zbuntowanych przeciw rządowi) wojsk oraz zablokowanie (niedowieszenie) wojsk rządowi wiernych, których było więcej, ale za daleko od Warszawy, dofinansowywał tę państwową branżę. W gruncie rzeczy stała się ona branżą rządową, ale też zapewniała Polsce niezależność transportową. W Polsce produkowano szyny, podkłady kolejowe, wagony i – najważniejsze – lokomotywy. Udało się przy tym zbudować taki etos kolejarza, że jeszcze po II wojnie światowej, na kolei panowały zupełnie inne porządki. Mianowicie, gdy robotnik z zakładów naprawczych taboru kolejowego naprawiał bezpiecznik elektryczny, ucinął sobie taki kawałek srebrnego drucika, jakiego do tego potrzebował. Oczywiście niedługo zapanowało typowe komunistyczne złodziejstwo, ale długo wspomniano inne, lepsze czasy.

Nim jednak przejdziemy do działań Tuliszkowskiego w kolejnictwie, przypatrzmy się, jak zwykle, stosunkom politycznym.

Przewrót (zamach) majowy Józefa Piłsudskiego

Na przełomie lat 1925 i 1926 sytuacja polityczna w Polsce przedstawiała się źle. Rozproszenie partyjne w Sejmie nie pozwalało na utworzenie rządu większościowego przez partię zwycięską. Najlepszy wynik zawsze uzyskiwała partia związana z Narodową Demokracją, nigdy jednak na tyle dobry, by utworzyć samodzielny rząd. Przypomnijmy, że gdy to się udawało, pozytywne efekty przychodziły natychmiast. Reforma walutowa Władysława Grabskiego zlikwidowała hiperinflację, dała podstawy do zdrowej działalności gospodarczej. To jednak nie spowodowało trwałości jego rządu. Jętrzyście nie życzyli sobie stabilności gospodarczej, niebędącej ich dziełem, wojna celna z Niemcami obniżyła wartość złotego, z kolei jego utrzymanie obniżyło wartość kredytową. Wybuchaly strajki, zarówno spontaniczne, jak i ogłaszane przez centrale związkowe, sterowane politycznie przez Polską Partię Socjalistyczną (PPS). Władysław Grabski, wobec braku większości sejmowej, w listopadzie 1925 r. złożył tekę premiera, a w ślad za nim podali się do dymisji ministrowie. Rząd, mający jak

dotychczas największe, wyraźne przy tym sukcesy w walce z kryzysem gospodarczym, upadł. Być może z tym upadkiem rządowym należy wiązać głosowanie nad odwołaniem Bolesława Chomicza z funkcji prezesa Głównego Związku Straży Pożarnych RP.

Kraj bez rządu

Nowy rząd, na czele którego stanął Aleksander Skarżyński, powstał z próby pogodzenia ognia z wodą, czyli Związku Ludowo-Narodowego, Polskiego Stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji, Narodowej Partii Robotniczej, Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast” i PPS. Wiele te nazwy dziś nie mówią – niech nas to nie martwi, bo większości mieszkańców Rzeczypospolitej również i wtedy niewiele mówiły. Bez wyjaśniania, kto był kim, możemy powiedzieć jedno: ludzie o poglądach narodowych i socjalistycznych zawsze mieli przeciwstawne wartości podstawowe.

Nadal więc między tymi, którzy faktycznie chcieli mieć rząd polskich dusz i mieli ku temu etyczne podstawy (patriotyzm), trwała bezpardonowa walka polityczna. Chodzi o Narodową Demokrację i PPS (nie mylić z nielegalną, bo komunistyczną, czyli antypolską PPS-Lewica).

Jeszcze w listopadzie 1925 r. zarówno z przyczyn programowych, jak i by rozchwiać scenę polityczną, PPS wyszła z rządu Aleksandra Skarżyńskiego. Tym samym rząd upadł. Próby powierzenia teki premiera przez prezydenta Woyciechowskiego kolejnym politykom kończyły się fiaskiem – zawsze większość sejmowa była przeciw. Tym samym Polska pozostawała bez rządu od połowy listopada 1925 r. do początku maja 1926 roku.

Postawa Józefa Piłsudskiego

W to wszystko mieszał się w bardzo sprytny sposób Józef Piłsudski, który wkrótce po wojnach o niepodległość potracił swoje nadzwyczajne funkcje Wodza Naczelnego i Naczelnika Państwa na rzecz organów konstytucyjnych. I choć bardzo zręcznie argumentował, to w gruncie rzeczy pogniewał się, że jego pozycja nie jest wyjątkową i podlega takim samym regułom, jak pozycje innych polityków. Ciągłe oczekiwał kolejnych funkcji nadzwyczajnych. Gdy mu proponowano utworzenie rządu, odmawiał – wiedział, że przy rozdrobnieniu partyjnym i bardzo niskim poparciu jego partii macierzystej (PPS), utrzymanie rządu dłużej niż przez kilka miesięcy będzie niewykonalne. W szczególności Józef Piłsudski nie był wyspecjalizowany w sprawach gospodarczych – swego czasu pozyskiwał pieniądze, napadając na pociągi rządowe.

Jednocześnie Józef Piłsudski nie zamierzał ustąpić ze sceny politycznej. Zaciekle niszczył podstawową konkurencję polityczną do rządów dusz nad Polską, czyli Narodową Demokrację. Po zamachu na Gabriela Narutowicza nazwał całą formację polityczną zapłutym karłem, rzucał oskarżeniami o rusofilizm. Po wygłoszeniu kolejnych emocjonalnych mów, że jest żołnierzem, co z poczucia obowiązku, z bronią w ręku walczył w interesie polityków, za których prywatnie nigdy nie ryzykowałby

życiem, zrzekł się wszelkich funkcji i ostentacyjnie wycofał ze sceny politycznej do willi w Sulejówku. Stamtąd budował aurę wodza ponad podziałami.

Jednocześnie w armii i społeczeństwie zwolennicy Piłsudskiego kontynuowali budowę jego kultu, jako jedyne go męża opatrnościowego, który w razie prawdziwego kryzysu jest w stanie własnoręcznie dźwignąć ciężar odpowiedzialności najwyższej. Popularność jego była znaczna i gdyby ogłoszono wybory na głowę państwa, wygrałby je. W dobrze zorganizowanym środowisku legionistów kult Marszałka, bo tak nazywali Piłsudskiego, był sprawą oczywistą i już ugruntowaną, poza tym środowiskiem również się rozwijał. Marszałek mógł wykazać się czymś, czego żaden z polityków nie miał, łącznie z Romanem Dmowskim, czyli rzeszami absolutnie bezkrytycznych wyznawców.

Piłsudski grał przy tym, jak to politycy, na emocjach. Nie nazywał siebie politykiem, tylko żołnierzem, choć przecież nieustannie wspierała go jedna partia – PPS, której z kolei poparcie obywatelskie było niewielkie. Partia ta jednak potrafiła rozhuścić nastroje społeczne, zwłaszcza przez ścisłą współpracę ze związkami zawodowymi. Chętnie zatem pogłębiała kryzysy akcjami strajkowymi. Rząd, próbujący kryzysy poskramiać, w tym łamać strajki przy pomocy policji i wojska, okazywał się wtedy aspołecznym, a PPS zyskiwała nowych zwolenników w anarchizacji życia gospodarczego.

Obraz kryzysów, bezrobocia, anarchii sejmowej, walk bojówek (obydwie strony posiadały własne bojówki) tym bardziej przekonywał coraz szersze kręgi społeczeństwa, że uzdrowić sytuację mogą jedynie rządy silnej ręki. Oczywiście powinna to być ręka tego, z kim sympatyzowano. Piłsudski wydawał się sympatycznym wielu ludziom. Najważniejsze, że miał poparcie kilku oddziałów wojskowych z okolic Warszawy. Ich dowódcy namawiali go do sięgnięcia po władzę siłą i zaprowadzenia porządku.

Gdy w dniu 10 maja 1926 r. tekę premiera objął Wincenty Witos z Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast”, zarówno Piłsudski, jak i jego zwolennicy przestali czekać. Nowa koalicja sejmowa, gdzie duża Narodowa Demokracja uznaje przewodnią siłą mniejszej partii utożsamianej z chłopstwem, obróciłaby w niwecz wszelkie hasła PPS-u i Piłsudczyków. Wszak to chłopów, nie robotników, było w Polsce najwięcej. Wyobraźmy to sobie tak: chłopci zawarli sojusz z ziemianami, premierem jest chłop, słuchać go będą ministrowie-ziemianie, jak np. Władysław Grabski...

Zmęczenie dotychczasowym bezhołowiem zarówno społeczeństwa, jak sceny politycznej, tudzież widoki na poprawę sytuacji gospodarczej, groziły powrotem stabilizacji, czyli zmianą klimatu politycznego na niesprzyjający rewolucjom. Piłsudski wiedział również, że poparcie wojska wiecznym nie będzie, gdyż wielu, zwłaszcza starszych stopniem oficerów nie było jego zwolennikami (oni wiedzieli więcej, byli bardzo blisko wielu wydarzeń, więc piękne słowa nie mogły ich uwieść), a wahający się skłonni byli wybrać wierność rządowi, wszak obowiązywała ich przysięga wojskowa, niebędąca osobistym hołdem lennym. Zwolennicy Marszałka przegrywali wybory do wojskowych ciał honorowych, mających znaczne uprawnienia karno-dyscyplinarne,

co oznaczało, że np. składy sędziowskie w armii nie będą brać pod uwagę członkostwa w Legionach Piłsudskiego jako okoliczności łagodzącej występki. Jednocześnie Wincenty Witos należał do zdeklarowanych przeciwników Piłsudskiego, już od czasów Legionów, uważając go za dowódcę z austriackiej łaski.

Zatem sytuacja przedstawiała się tak, że jeśli Piłsudski nie wyszedłby z Sulejówka wówczas, to już być może nie wyszedłby nigdy. Spisek jego i oficerów zostałby z całą pewnością ujawniony, gdyż najświeższa koalicja rządowa łączyła w sobie najzjadlejszych przeciwników piłsudczyków.

Przewrót i jego skutki

Jednostki wierne Piłsudskiemu ruszyły na Warszawę w dniu 11 maja. W kolejnym dniu na moście Poniatowskiego doszło do osobistego spotkania marszałka Piłsudskiego z prezydentem Wojciechowskim. Ultimatum stawiane prezydentowi Polski przez osobę niepiastującą żadnych oficjalnych funkcji państwowych było następujące: rząd Witosą ma podać się do dymisji. Wojciechowski odmówił, a Piłsudski wydał rozkaz swoim oddziałom zajęcia Warszawy, w szczególności mostów w centrum miasta i gmachów rządowych.

Piłsudczycy nie mieli ogólnej przewagi liczebnej, tylko miejscową. Ta jednak wystarczała, gdyż związek zawodowy kolejarzy przystąpił do obszarowych strajków wyborczych: pociągi nie jeździły z terenów stacjonowania wojsk wiernych rządowi (z zachodu), dostarczały za to do Warszawy wojska wierne Piłsudskiemu (ze wschodu).

W dniu 14 maja Piłsudski przejął zbrojną kontrolę nad Warszawą. W walkach zginęło 379 osób. Witos i Wojciechowski złożyli urzędy, by nie eskalować przemocy i nie mnożyć ofiar.

W dniu 31 maja Zgromadzenie Narodowe wybrało Piłsudskiego prezydentem. Otrzymał on 292 głosy. Miał kontrkandydata, reprezentującego Narodową Demokrację, który zyskał 193 głosy. Piłsudski wygrał głosowanie, ale... nie przyjął oferowanej mu godności! Słowo „konsternacja”, choć pojemne, jest zbyt małym, by opisać wrażenie, jakie wywarł na obecnych, również na własnych zwolennikach. Zamiast siebie wskazał na prezydenta Ignacego Mościckiego, dobrego znajomego Józefa Tuliszkowskiego z czasów Weleci w Rydze, ale jako polityka mało kto go znał. Po powtórным głosowaniu ten właśnie, mało znany człowiek został prezydentem Polski. Trudno o mocniejsze wykazanie, że prezydentem II Rzeczypospolitej zostawało się decyzją jednej osoby.

W dniu 2 sierpnia 1926 r. Sejm uchwalił tzw. „nowelę sierpniową” konstytucji, dzięki której prezydent zyskał możliwość rozwiązania Sejmu, korygowania budżetu i wydawania rozporządzeń własnych z mocą ustaw sejmowych – takim miało się okazać rozporządzenie prezydenckie, czyli ustawa Prawo budowlane z 1928 r. Tak nastał czas rządów sanacji, mający trwać do września 1939 roku.

Z czasem sanacja dorobiła się cenzury politycznej, własnego więzienia politycznego, procesów przeciwników politycznych i ich izolacji, ograniczania praw wyborczych

obywatelom wedle urzędowego uznania, prewencyjnego ograniczania wolności działaczom ugrupowań politycznych przezeń nielubianych i bezkarności działaczy własnych, również co do bardzo poważnych nadużyć finansowych. Ba! Marszałek Józef Piłsudski doznał kultu jeszcze za życia. Po śmierci (12 maja 1935 r.) broniono jego imienia bardzo aktywnie. Przykładowo na początku 1938 r. doszło do pobicia kilku członków redakcji Dziennika Wileńskiego, za użycie sformułowania „kabotyń” jako aluzji do Józefa Piłsudskiego, niewymienionego jednak w tekście z imienia i nazwiska. Autora artykułu, prof. Stanisława Cywińskiego pobito dotkliwie kolbami pistoletów i rewolwerów, a leżącego skopano dwukrotnie, raz w jego mieszkaniu w obecności żony i nastoletniej córki, a drugi raz w siedzibie redakcji. W wyniku tego stracił oko i miał połamane żebra. Został też skazany na 3 lata więzienia za obrazę Narodu Polskiego. Sprawcy pobicia i podżegacz nie ponieśli żadnych konsekwencji. Pobicia, a w zasadzie skopania, dokonali oficerowie Wojska Polskiego służby czynnej, w mundurach galowych, wystrojeni w order, szablę i broń krótką, na rozkaz gen. Stefana Dąb-Biernackiego (manierą oficerów legionowych było dodawanie sobie do nazwisk pseudonimów, przyjętych w czasie konspiracji w POW), w przyszłości bodajże najgorszego z dowódców Kampanii Wrześniowej¹.

Na kanwie tej sprawy postanowiono chronić imię Józefa Piłsudskiego ustawowo. Nim zapadł wyrok w procesie, uchwalono ustawę o pożądanej treści². Minister sprawiedliwości dostał do wykonania taki przepis – *art. 2. Kto uwłacza Imieniu JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO, podlega karze więzienia do lat 5.*

Zauważmy, że z uwagi na brzmienie przepisu kara taka groziła nie za rozpowszechnianie informacji o charakterze paszkwila, tylko również prawdziwych. Uwłaczanie jest przecież wartością subiektywną. I o to chodziło.

Ochrona przeciwpożarowa w transporcie kolejowym

Na temat ochrony przeciwpożarowej w transporcie kolejowym w okresie zatrudnienia tam Józefa Tuliszkowskiego uchowało się sporo informacji, z tym, że wiele z nich ma charakter oficjalny, co osłabia ich dokładność i wiarygodność. Poza tym nie odnoszą się do działalności Tuliszkowskiego jako takiej, tylko do sytuacji ogólnej, którą oczywiście traktowano jeszcze mniej mówiącymi ogólnikami. Niemniej informacje przetrwały w takiej ilości i jakości, że możliwe jest wyrobienie sobie poglądu na działalność Józefa Tuliszkowskiego.

¹ Opinia przedwojenna o gen. Stefanie Dąb-Biernackim, sporządzona przez płk. Stefana Roweckiego, późniejszego komendanta ZWZ i AK. Jego metody z taktycznych ćwiczeń indywidualnych prowadzą do oglupiania zarówno kierowników, jak i uczestników ćwiczeń. Reprezentuje bezwzględność i brutalność w przeprowadzeniu swoich zamierzeń. Czasem w rozwiązaniach swych może być nieprawdopodobnie ryzykowny. Umysł doktrynerski, nie nadający się do projektowania i realizowania skomplikowanych operacji. Tymczasem tego rodzaju człowiek dostał pod dowództwo w Kampanii Wrześniowej 1929 r. najważniejszą, bo odwodowo-uderzeniową armię „Prusy”, którą doprowadził do likwidacji przez nieprzyjaciela serią sprzecznych rozkazów.

² Ustawa z dnia 7 kwietnia 1938 r. o ochronie imienia Józefa Piłsudskiego, pierwszego marszałka Polski (Dz.U. 1938, Nr 25, poz. 219).

Gdy w 1926 r. Tuliszkowski podpisywał w Ministerstwie Komunikacji kontrakt na objęcie stanowiska inspektora pożarnictwa, celem zorganizowania ochrony przeciwpożarowej w kolejnictwie, dobrze znał tę działalność. Gdy został Komendantem Straży Ogniowej m. st. Warszawy jedną z jego pierwszych akcji było gaszenie magazynów kolejowych. W 1920 r. on i inż. Arczyński, jako reprezentanci Związku Floriańskiego, pomogli w reformie (próbie wytworzenia, zakończonej częściowym powodzeniem) ochrony przeciwpożarowej w transporcie kolejowym. Ponadto kilka razy uczestniczył jako ekspert w doborze sprzętu gaśniczego na kolei. Wreszcie, jako podpułkownik Wojska Polskiego zauważył, że na składach i bocznicach kolejowych zagrożony jest majątek wojskowy. W 1924 r. z upoważnienia ministra spraw wojskowych gen. Władysława Sikorskiego, w porozumieniu z ministrem komunikacji (mówiono, że na jego prośbę), dokonał lustracji co ważniejszych obiektów, składając stosowne raporty i oceny. Zatem przystępując do pracy w kolejnictwie, wiedział, co go czeka.

Stan ochrony przeciwpożarowej w ujęciu historycznym na przykładzie Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej

W miesięczniku „Strażak” uchował się artykuł opisujący nader optymistycznie organizację ochrony przeciwpożarowej na Drodze Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej³. Można powiedzieć, że nawet jeśli tak nie było w owym 1902 r., to tak być miało. Zobaczmy jak, by mieć jakiś punkt odniesienia do tego, co faktycznie działo się przez dwie dekady, po siedmiu latach nieustannych wojen.

Już pierwsza informacja brzmi absolutnie niewiarygodnie, zwłaszcza w konfrontacji z mnóstwem przeszkód, na jakie napotykały chcący założyć w tamtym czasie ochotniczą straż ogniową. Byłaby ochrona przeciwpożarowa Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej najlepszą w Królestwie Polskim we wszystkich kategoriach? Zatem, gdzie byli jej komendanci w działaniach ogólnych straży pożarnych, np. w późniejszym Związku Floriańskim...?

Kolej W. W. ma 45 stacyj z których z małemi wyjątkami, każda ma zorganizowaną straż ogniową zaopatrzoną w niezbędne przyrządy i narzędzia do gaszenia ognia. Szeregowcy do tych komend rekrutują się z niższej służby i personelu roboczego na stacyach oraz z okolicznych mieszkańców—ochotników. Tylko do 4 i 5 oddziałów wybierani są ochotnicy z inteligencji pracującej w biurach kolejowych lub na komorach celnych.

Zwierzchni nadzór nad komendą należy do miejscowego naczelnika stacji. Ogólna liczba członków ochotników czynnych sięga 1000 głów⁴.

Zaznaczyć należy, że ta niebagatelna siła, choć niezawodowa, miała własne struktury organizacyjne w ramach obsługiwanych (chronionych) obiektów.

Każda straż stacyjna podzielona na 5 oddziałów: sikawek, wodny, toporników i prądowników, ratowników i porządkowy. W tym ostatnim biorą też udział miejscowi żandarmi niższych stopni.

³ Służba pożarnicza na drodze żelaznej Warszawsko Wiedeńskiej, „Strażak” 1902, nr 4, s. 11–12.

⁴ Tamże.

Sprzęt, jaki był na wyposażeniu, ilościowo wyglądał bardzo imponująco. Niestety, sikawki nie spodobałyby się Józefowi Tuliszkowskiemu – skrzyniowych typów nie lubił, uważał je za niepraktyczne. Bo rzeczywiście takie nie były. Natomiast fakt, że były one jednego typu, uznalby za istotny plus.

Sikawki na kolei W. W. są jednego typu ze skrzyniami i węzami ssącymi. Cały tabór pożarniczy na drodze żel. W. W. składa się z następujących przedmiotów: Sikawek 125, beczek dwukolowych 301, wiader 633, drabin składanych 120, drabin pojedynczych 73, toporów w pochwach na pasach z karabinierami 411, przyrządów ratowniczych 12, linek ratunkowych 214. Bosaków 248, łopat 139, oskardów 51, pochodni naftowych metalowych 181, widel mechanicznych 88⁵.

Jak widać sprzętu nie brakowało. Idealnie przedstawiała się również kwestia zaopatrzenia w wodę do zewnętrznego gaszenia pożarów.

Wody do gaszenia dostarczają stacyjne hydranty, przy niektórych z nich znajdują się stale przykręcone węże parciane, powleczone masą woskową, Tam, gdzie hydrantów brak korzystają z drogowych kranów, do których zakładają przewodowe rękawy parciane. Hydranty znajdujące się na dworze na zimę obwiązywane są słomą albo krajkami, Beczki stale napelnione wodą. Ustawione są po obydwu stronach toru. Beczek na każdej stacji znajduje się najmniej 6, a na większych liczba ich dochodzi do 10. Na większych też stacjach brygada strażacka podzielona jest na 2 lub na 3 części⁶.

Wcale nie gorzej wyglądało zaopatrzenie w podręczny sprzęt gaśniczy w budynkach i w wagonach taboru kolejowego.

W korytarzach Zarządu kolei i kancelaryi służby ruchu umieszczono hydranty wraz z węzami, także same urządzenia znajdują się w zewnętrznych ścianach poczekalni pasażerskich. W każdym wagonie bagażowym znajduje się: hydropult, bosak topór, łopata i 2 wiadra, a stan tych przedmiotów sprawdzany bywa każdorazowo na stacjach wyjezdnych. W lokomotywach również znajdują się podręczne przybory do gaszenia⁷.

Niestety wówczas nie upowszechniło się jeszcze użycie gaśnic, dlatego nie wspomniano o nich tym artykule.

Jak się okazuje, każda taka straż pożarna była błogosławieństwem dla okolicy. Co jednak, jeśli skonfrontujemy to nieco z faktami, wówczas okaże się nie do końca prawdziwe. Bo pamiętamy perypetie olkuskich strażaków. W tej grotesce gaśniczej, w jakiej współuczestniczyli, czy też ją współtworzyli, ani razu nie wspominają o pomocy strażaków kolejowych. A gdy mieli jechać do pożaru kolejną, to pan naczelnik stacji (wszak nominalny komendant strażacki, a więc człowiek, który powinien znać się na rzeczy), wysłał pociąg, nie czekając na nich.

Każda straż stacyjna oprócz gaszenia ognia na miejscu, obowiązana jest śpieszyć do pożarów wynikających w okolicy, w promieniu 5 wiorst od stacji⁸.

⁵ Służba pożarnicza na drodze żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej....

⁶ Tamże.

⁷ Tamże.

⁸ Tamże.

Posiadamy również informację, ile rocznie kosztował taki system ochrony przeciwpożarowej. Jeśli przemnożyć całość przez np. 20 lat, zyskamy obraz kosztów usprzętowania kilkudziesięciu dobrze wyposażonych straży pożarnych.

W r. 1895 na kupno nowych narzędzi wydano 19,010 rb, a na reparacje taboru budżet kolei W. W. naznacza corocznie rb. 3000. Naczelnikiem i organizatorem służby pożarniczej na kolei W. W. jest czcigodny i zasłużony p. Aleksander Ostrowski, który swoim kompetentnem a bezinteresownem współpracownictwem nasze pismo zaszczycać raczy⁹.

Tak oto przedstawiały się, bądź raczej przedstawiać się miały sprawy, idealnie prowadzonej ochrony przeciwpożarowej czynnej, z niewielkimi elementami ochrony biernej. Czy tak faktycznie było, można wątpić, bo poza propagandą na łamach „Strażaka” nic o kolejowych strażakach nie słychać. Ale co do ilości wydanych pieniędzy można mieć pewność, że je wydano. Trochę obniża skuteczność przedsięwzięcia brak informacji, jakim sposobem owe środki dostarczano na miejsce zdarzenia. Bo informacji o koniach – brak. Tudzież o drezynach.

Niestety w 1912 r. prywatne przedsięwzięcie, zwane Koleją Warszawsko-Wiedeńską bądź Drogą Żelazną Warszawsko-Wiedeńską, zostało upaństwowione przez Rosjan. Znając panujące u nich stosunki, można powiedzieć, że było to niekoniecznie dobrym dla kolei rozwiązaniem. Co by nie było, wszystko zniszczyła Wielka Wojna. Tuliszkowskiemu przyszło działać w zupełnie innej sytuacji.

Stan ochrony przeciwpożarowej na kolei w chwili odzyskania niepodległości

Jak to było z ochroną przeciwpożarową w kolejnictwie po wojnach, najlepiej opowiedzą współcześni.

Administrowanie kolejami po powstaniu Państwa Polskiego przedstawiało początkowo poważne trudności wskutek tego, że w skład polskiej sieci kolejowej weszły koleje, administrowane przez trzy państwa zaborcze w sposób w wysokim stopniu niejednolity. Zniszczenie ogromnej części urządzeń kolejowych, brak taboru i konieczność podolania potrzebom wojennym, w okresie inwazji bolszewickiej, utrudniały prace bieżące ówczesnego centralnego zarządu kolejowego do tego stopnia, że nie mogło być mowy o organizowaniu choćby zaczątków obrony przeciwpożarowej na kolejach. Jednocześnie stan bezpieczeństwa pożarowego wszelkich obiektów kolejowych na terenach b. zaboru rosyjskiego i austriackiego przedstawiał się w chwili powstania Państwa Polskiego – rozpaczliwie. Kilkuletnie działania wojenne na tym terenie pozostawiły po sobie ruiny i zgliszcza. Niezależnie od tego w spadku dostaliśmy szereg niebezpiecznych pod względem pożarowym, prowizorycznych budowli, wznoszonych naprędce przy Państwowych: Warszawskiej, Radomskiej, Wileńskiej i Lwowskiej, które uległy największemu zniszczeniu, ilustruje (...) zamieszczona tabela¹⁰.

⁹ Służba pożarnicza na drodze żelaznej Warszawsko Wiedeńskiej, „Strażak” 1902, nr 4, s. 11–12.

¹⁰ K. Kosewski, Obrona przeciwpożarowa na P.K.P., „Przegląd Pożarniczy” 1938, nr 11, s. 353.

Tabela 1. Stan budowlanej infrastruktury kolejowej w 1921 r.

Rodzaj budynków	Liczba budynków w okresie przedwojennym	Liczba budynków zniszczonych	Budynki zniszczone [%]
Dworce, przystanki i mijanki	910	574	63%
Magazyny	986	506	52%
Stacje wodne i wieże ciśnień	601	489	82%
Parowozownie i warsztaty	162	78	48%
Domy administracji i mieszkalne	9921	2189	22%

Źródło: K. Kosewski, *Obrona przeciwpożarowa na P.K.P.*, „Przegląd Pożarniczy” 1938, nr 11, s. 353.

Jak widać zasadnicze zniszczenia dotyczyły obiektów bezpośrednio związanych z ruchem kolejowym. Szczególnie łatwo było niszczyć stacje wodne i wieże ciśnień – bez wody parowozy nie mogły jeździć.

Na terenie pozostałych Dyrekcji Kolejowych częściowemu zniszczeniu uległy budynki kolejowe w obrębie Dyrekcji Krakowskiej w roku 191 – 15 i Dyrekcji Poznańskiej w czasie powstania Wielkopolskiego w roku 1918–19¹¹.

Stan zniszczeń pogłębił się przez brak konserwacji budynków i urządzeń (ujrzymy też informację, zadającą kłam optymistycznym danym odnośnie do kolejowych straży pożarnych Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, jakie zamieszczono wyżej zgodnie z treściami czasopisma „Strażak”).

Podkreślić należy, że w państwach zaborczych, a zwłaszcza w Austrii i Rosji, ochrona przeciwpożarowa obiektów kolejowych na ziemiach polskich stała niezmiernie nisko, w następstwie czego odziedziczyliśmy w tych dwóch byłych zaborach znaczną ilość warsztatów kolejowych, magazynów, dworców, parowozowni i innych budynków kolejowych; zupełnie zaniedbanych pod względem wymagań obrony przeciwpożarowej. W miarę rozwoju polskiego kolejnictwa braki te stopniowo były usuwane. Niemniej z natury rzeczy obiekty kolejowe zawsze narażone są w dużym stopniu na niebezpieczeństwo pożarów¹².

Można więc powiedzieć, że w 5 lat po zakończeniu ostatnich wojen Tuliszkowski zastał stan niewiele lepszy niż za czasów wojennych. Z pewnością odbudowano stacje wodne i wieże ciśnień, bo bez tego nie dałoby się prowadzić ruchu kolejowego. Cała reszta, poza dworcami w większych miastach, pozostawała w stanie złym, a nawet pogarszającym się z roku na rok.

Wiedza oficjalna

Przyjrzyjmy się, jak przedstawiano, a nie jakim był, stan bezpieczeństwa pożarowego w kolejnictwie tuż po objęciu stanowiska przez Tuliszkowskiego. Materiałem

¹¹ K. Kosewski, *Obrona przeciwpożarowa na P.K.P.*, „Przegląd Pożarniczy” 1938, nr 11, s. 353.

¹² Tamże.

informacyjnym jest tu niemal cały numer 1 (styczniowy) „Przeglądu Pożarniczego” z 1928 roku. Nim do jego omówienia przejdziemy, wziąć musimy pod uwagę kilka czynników, bez których nie odczytamy prezentowanych treści, jak należy.

Pierwszy to taki, że z chwilą, gdy składano ten numer do druku, od krwawego objęcia rządów przez tzw. sanację minęło zaledwie półtora roku. Gdy ten numer przygotowywano, minął rok. Rok, to wystarczający szmat czasu, by zmienić każde pismo w porządowe. A rząd ten zaprowadził – użyjmy wyrażenia z dziedziny ówczesnej mechaniki kolejowej – pełną parą etatyzm, z wszelkimi tego konsekwencjami. Oznaczało to nieomyślność władzy pod każdym względem. Tym samym każdy urzędnik w każdej firmie państwowej, niezależnie od wcześniejszych predyspozycji przygotowania zawodowego, horyzontów myślowych i umiejętności, z chwilą powołania na stanowisko nabierał niedościgle wysokich kompetencji. Zatem cokolwiek czynił, to na pewno co najmniej dobrze. To w celu wykazywania tego rodzaju rzeczywistości zaprowadzono cenzurę.

Zatem w prasie prorządowej i branżowej związanej z władzą, a tego rodzaju periodykiem był „Przegląd Pożarniczy”, obowiązywało coś w rodzaju propagandy sukcesu. Nie można było pisać, że gdzieś jest źle. Skończyły się zatem czasy piętnowania wad, dyskusji nad jakością poczynąń czy niedostatkami. Działania czy zagadnienia czynników oficjalnych zawsze przedstawiano jako kompletne i akuradne.

PKP miały dobrą prasę sanacyjną, jednak związkowcy kolejni umożliwili dokonanie przewrotu. Redakcja „Przeglądu Pożarniczego”, przedstawiając kolejową ochronę przeciwpożarową, mogła skupić się wyłącznie na pozytywach. Było to oczywiście na rękę Józefowi Tuliszkowskiemu, który z chwilą przygotowywania tego bloku tematycznego, funkcję swą sprawował od roku. I jest w tym numerze Tuliszkowskiego zadziwiająca mało. Bo jako człowiek szczerzy nie mógł się wypowiedzieć bezpośrednio o tym, co robił.

Czytając poniższe informacje, miejmy na uwadze powyższe zastrzeżenia.

We wstępie podano interesującą definicję ochrony przeciwpożarowej.

Całokształt zagadnień w dziedzinie obrony pożarowej obiektów kolejowych obejmuje, tak jak i całość akcji przeciwpożarowej w Państwie, te wszystkie środki, których dostateczne uwzględnienie decydować dopiero może o istotnem podniesieniu stanu bezpieczeństwa pożarowego danych ośrodków.

Środki te dzielimy przytem na 4-y kategorie. Z nich do pierwszej zaliczamy środki zapobiegawcze, jak np. budownictwo ogniotrwałe, urządzenia przeciwpożarowe, zaopatrzenie wodę do akcji ratunkowej i t. p. Kategorję drugą obejmują środki doraźnej walki z klęską pożarową, to jest w danym razie kolejowe straże pożarne. Do kategorii trzeciej zaliczamy środki ekonomiczne, łagodzące skutki pożarów, a więc np. odszkodowania za straty wyrządzone przez pożary. Wreszcie do grupy czwartej należą środki prawne, czyli wszelkie przepisy, normujące program, zakres działania i organizację racjonalnej walki z pożarami¹³.

¹³ Wstęp, „Przegląd Pożarniczy” 1928, nr 1, s. 1.

Jaka szkoda, że redakcja, zdając sobie sprawę z istoty systemu ochrony przeciwpożarowej, nie umiała wskazać w tym zakresie bardzo istotnych braków, ani nie wykazała, co ważnego robią władze Głównego Związku, żeby system ochrony przeciwpożarowej wreszcie zadziałał. Opisując działanie tego systemu jako kompletnego na kolei, nie umiano odnieść tych samych czynników do rzeczywistości ogólnej.

Z prawdziwym też zadowoleniem stwierdzić można i należy na tem miejscu, że organizacja obrony pożarowej obiektów kolejowych rozwinęła się w latach ostatnich pomyślnie. Ze strony władz kolejowych przejawia się żywa troska o jak najwydajniejsze zabezpieczenie kolei przed kląskami pożarowymi; fundusze na ten cel preliminowane wzrastają stale, a zapal, samozaparcie w pracach i poświęcenie tych, którym akcja na tern polu przypadła w udziale, są wymownym sprawdzianem żywotności wszelkich poczynañ¹⁴.

Widzimy zatem, że bieżącą sytuację nie wyjaśniano dokładnie, ale przedstawiano jak najlepiej.

Z większych pożarów na terytorium kolejowym wypadła zanotować: 2 pożary warsztatów głównych na stacji Warszawa Wschodnia, pierwszy w 1921 r. i drugi roku 1927, pożar warsztatów wagonowych na st. Nowo-Święciany w 1922 r. pożar warsztatów głównych na stacji Lapy w 1923 r., pożar parowozowni na st. Warszawa Gdańska i pożar magazynu towarowego na st. Kraków w r. 1927. Dochodzenia przeprowadzone z całą skrupulatnością przez miejscowe władze kolejowe i Ministerstwo Komunikacji ujawniły, że część tych pożarów należy przypisać zbrodniczym zamachom na obiekty kolejowe. Wypadki te wy rzędziły dość znaczne straty kolejnictwu polskiemu, zwłaszcza ostatni wypadek pożaru warsztatów wagonowych na st. Warszawa Wschodnia, kiedy to w jednym z budynków warsztatowych spłonęło kilka wagonów osobowych¹⁵.

Tego rodzaju zdarzenia powodowały, co oczywiste, wysokie straty. Ponieważ co roku wydatkowano na rzecz usunięcia skutków pożarów znaczne sumy, w budżecie Ministerstwa Komunikacji zaczęto planować na ten cel coraz większe środki finansowe.

Na pokrycie tych strat, tudzież odszkodowań stronom trzecim za straty powstałe wskutek pożarów, spalenia przesyłek kolejowych i t. d. Ministerstwo Komunikacji ustanawia rokrocznie do budżetu pewne sumy. Dla charakterystyki wysokości tych sum przytoczyć można, że w r. 1927 preliminowano na to 300.000 złotych, a wydatkowano 1.090.000 zł., na rok 1928/29 preliminuje się suma 690.000 zł¹⁶.

Oczywiście pokazano również, co zrobiono wcześniej, by te straty ograniczać.

Planowa akcja walki z pożarami została rozpoczęta przez Ministerstwo Komunikacji natychmiast po ukończeniu działań wojennych. W r. 1921 uzyskano pierwszy większy kredyt w wysokości 150 milionów marek na zakup najniezbędniej szych narzędzi pożarnych. W tym że roku opracowano, a w następnym wydano regulamin kolejowych straży pożarnych

¹⁴ Wstęp, „Przegląd Pożarniczy” 1928, nr 1, s. 2.

¹⁵ Bieżące zagadnienia obrony pożarowej na kolejach (wywiad „Przeglądu Pożarniczego” w Ministerstwie Komunikacji), „Przegląd Pożarniczy”, 1928, nr 1, s. 5.

¹⁶ Tamże, s. 6.

i rozpoczęto energicznie organizację drużyn pożarnych z pośród licznie zgłaszających się pracowników kolejowych.

Przy pomocy instruktorów ówczesnego Związku Florjańskiego rządono we wszystkich Dyrekcjach Kolei wykłady pożarnictwa dla dowódców kolejowych drużyn pożarnych. W tymże czasie wydano szereg zarządzeń, mających celu uporządkowanie i doprowadzenie do stanu używalności urządzeń przeciwpożarowych, którymi rozporządzały Dyrekcje. Od tego czasu rok rocznie przydzielano Dyrekcjom kredyty trzymanie i wymianę przyrządów pożarnych, na zakup nowych narzędzi, umundurowanie i wynagrodzenie, zresztą drobne, członków straży pożarnych za godziny ćwiczebne, pogotowie i kontrole nocne¹⁷.

Jak się musiało okazać, te środki zawodziły. Sięgnięto więc do środków nadzwyczajnych.

Oprócz tego, w celu podniesienia bezpieczeństwa pożarowego kolejach. Min. Kom. na wniosek nadzwyczajnego komisarza oszczędnościowego w r. 1924 zaprosiło do współpracy znanego fachowca w sprawach pożarniczych inż. J. Tuliszkowskiego — przewodniczącego Komisji Technicznej Gł. Związku Straży Pożarnych R. P., któremu powierzone zostało zbadanie stanu obrony przeciwpożarowej w większych warsztatach kolejowych, parowozowniach, magazynach i innych budynkach kolejowych. Do końca r. 1927 zbadało w ten sposób sto kilkadziesiąt najważniejszych obiektów kolejowych i w miarę posiadanych kredytów wykonano najniezbędniejsze roboty i uzupełniono urządzenia przeciwpożarowe¹⁸.

Redakcją powodowały inne jeszcze pobudki, niż wykazywanie doskonałości etyzmu państwowego. Miała bowiem na oku również własny interes, bardzo tożsamy z interesem Głównego Związku Straży Pożarnych, którego organem był „Przegląd Pożarniczy”. Przygotowując materiały, zorientowano się, że obok tego związku działa całkiem prężnie zarządzana struktura, z należytym uposażeniem i wyposażeniem, która jednak nie buduje chwały Głównego Związku, bo do niego nie należy. Sprawa nie leżała w samym tylko fakcie, że przybyłoby pismu kilkuset prenumeratorów, tylko w przypisaniu zasług za sukcesy. To należało zmienić. Zauważmy więc, kogo zabrakło w litanii podziękowań, jaką redakcja wystosowała w nadziei zawiązania więzów braterstwa ze strukturą, w której właśnie wszystko wychodziło, jak należy.

Poczuwamy się do miłego obowiązku złożenia na tym miejscu wyrazów szczerego podziękowania władzom Polskich Kolei Państwowych, a w szczególności PP. Ministrowi Komunikacji inż. P. Romockiemu, Wice-Ministrowi inż. W. Czapskiemu, Dyrektorowi Departamentu Mechanicznego inż. B. Skupiewskiemu, Naczelnikowi Wydziału Mechaniczno - Trakcyjnego inż. S. Wasilewskiemu, Referentowi spraw pożarnictwa Z. Szumskiemu i radcy Stopczyńskiemu, którzy Swą decyzją, współdziałaniem i wskazówkami okazali nam wydatną pomoc przy grupowaniu materiałów.

Wyrazy podziękowania składamy również władzom poszczególnych Dyrekcji za zainteresowanie i życzliwość przy udzielaniu odpowiednich informacji¹⁹.

¹⁷ Bieżące zagadnienia obrony pożarowej na kolejach..., dz. cyt.

¹⁸ Tamże.

¹⁹ Od wydawnictwa i redakcji, „Przegląd Pożarniczy” 1928, nr 1, s. 2.

Gdyby oprzeć się na tym artykule jako jedynie źródle, nie dowiedzielibyśmy się nie tylko o roli Józefa Tuliszkowskiego w sprawach ochrony przeciwpożarowej w kolejnictwie, ale też nie wiedzielibyśmy, że istniał. Na szczęście jego sylwetka znalazła się w tym numerze. Oczywiście również i propagandę sukcesu należało oprzeć na jakichś realnych podstawach. Przedstawmy je.

Zaległe i bieżące zagrożenia pożarowe w kolejnictwie

Zasadnicze zagrożenia pożarowe identyfikowano nie w ruchu pasażerskim, a towarowym oraz w zakresie zaplecza warsztatowego. Oprócz przewożonych towarów, gdzie zagrożenie stwarzały magazyny spedycyjne, kolej dysponować musiała własnymi składami materiałów pędnych, tj. głównie węgla, drewna, smarów, czyściwa.

Zagrożenie pożarowe w obiektach kolejowych zwiększają ogniska w kuźniach, odlewniach, rurkowniach, blacharniach oraz niektóre działy w warsztatach, w których zgromadzone bywają łatwopalne materiały, jak w stolarniach, tapicerniach i malarniach, gdzie nawet drobna na pozór nieostrożność może spowodować groźny w swych skutkach pożar²⁰.

Osobny rodzaj zagrożenia stwarzał sam ruch kolejowy, gdyż koleją przewożono dosłownie wszystko, w tym materiały wysoce niebezpieczne, od odzieży po paliwa płynne, substancje trujące, amunicję i materiały wybuchowe. Jak w każdym procesie, tak i tu największe zagrożenia generowały rozruchy i zatrzymanie procesu, czyli transportu. W tym zakresie szczególnego zabezpieczenia wymagały nie dworce kolejowe, lecz tzw. stacje rozrządowe, niekoniecznie wchodzące w skład zabudowy dworcowej oraz parowozownie i wagonownie. Zagrożenie od zaplecza było potęgowane przez efekt skali: chodziło o obsługę kilkudziesięciu tysięcy wagonów i kilku tysięcy parowozów.

Reorganizacja kolejowej ochrony przeciwpożarowej

Wspomnieliśmy już o kontaktach PKP ze związkiem Floriańskim (Tuliszkowski, Arczyński), jakie odnotowano w 1920 roku. Zaowocowały one szeregiem przedsięwzięć organizacyjnych, które z perspektywy 15 lat zapamiętano następująco:

Już w roku 1921 zdołano uzyskać pierwszy większy kredyt na zakup najpotrzebniejszego sprzętu pożarniczego. W następnym roku wydano tymczasowy regulamin kolejowych straży pożarnych, który przetrwał do roku 1929, i rozpoczęto usilną organizację zespołów kolejowych straży pożarnych z pośród zgłaszających się pracowników kolejowych. Jednocześnie przy pomocy fachowej instruktorów pożarnictwa ówczesnego Związku (t. zw. Związku Floriańskiego) Straży Pożarnych zorganizowano we wszystkich Dyrekcjach Kolejowych wykłady z dziedziny pożarnictwa dla dowódców kolejowych straży pożarnych²¹.

Wiadomo, że w 1924 r. czynnych było 165 straży pożarnych, do których przypisano 4206 członków. Po zaangażowaniu Tuliszkowskiego liczebność ta wzrosła. W 1928 r. było to 250 straży pożarnych z 5960 ludźmi²².

²⁰ K. Kosewski, *Obrona przeciwpożarowa na P.K.P.*, „Przegląd Pożarniczy” 1938, nr 11, s. 353.

²¹ Tamże, s. 354.

²² *Pożarnictwo kolejowe na P.W.K.*, „Przegląd Pożarniczy” 1929, nr 24, s. 353.

W międzyczasie Tuliszkowski dokonał poważnej pracy inspekcyjnej. Działał niejako dwu-, a nawet trzytorowo, o czym najlepiej opowie sam.

Na jesieni 1924-go roku ówczesny minister Kolei Tyszka i nadzwyczajny komisarz oszczędnościowy wojewoda S. Moskalewski podczas objazdu większych obiektów kolejowych zwrócili uwagę na niedostateczny stan zabezpieczenia przeciwpożarowego tychże. I wtedy to wyłoniła się z ich strony myśl organizowania specjalnych inspekcji takich obiektów. Przeprowadzanie tych inspekcji zostało mnie powierzone w porozumieniu i za zgodą ówczesnego ministra spraw wojskowych gen. Sikorskiego, gdyż w tym właśnie czasie byłem szefem pożarnictwa wojskowego.

Tak więc w listopadzie 1924-go roku rozpocząłem pierwsze objazdy inspekcyjne większych obiektów kolejowych.

W pierwszej mierze inspekcje moje obejmują już istniejące środki obronne na wypadek pożarów, a więc wszelkie urządzenia przeciwpożarowe i kolejowe straże pożarne. Poza tem inspekcje te mają na celu zobrazowanie całokształtu stanu bezpieczeństwa pożarowego, a więc zwracam uwagę na rozplanowanie budynków kolejowych, na ich ogrzewanie, oświetlenie, na wszelkie ogniska i wreszcie leż na sposoby przechowywania łatwopalnych płynów, tlenu, odpadków bawełnianych i t. p. materiałów, mogących być przyczyną powstawania pożarów²³.

Początkowo Dyrekcja Generalna PKP uważała, że zatrudnienie tak wybitnego fachowca to wartość sama w sobie i pozwoli zmniejszyć liczbę pożarów. Tuliszkowski początkowo gospodarzył więc tym, co miał, bez możliwości zwiększenia liczebności załogi, taborów i innego doposażenia. Mógł zaprowadzać porządki organizacyjne, ale niewymagające zmian strukturalnych, niosących za sobą poważniejsze wydatki. Tym samym zmiany na lepsze następowały powoli.

Co zatem robił? To, od czego zawsze zaczynał – jeździł po kraju, lustrował stan ludzi, taborów i sprzętu, dokonywał kontroli kluczowych budynków.

W raportach, składanych Ministerstwu Komunikacji poddaję krytyce stan bezpieczeństwa pożarowego danego obiektu, a nadto kończę każdy raport projektami zarządzeń, jakie należałoby wydać dla wzmocnienia stopnia bezpieczeństwa pożarowego. Zarządzenia te dałoby się po dzielić na 3 kategorie.

Do 1-ej kategorii zaliczylbym te zarządzenia, których wykonanie jest łatwe i nie pociąga za sobą specjalnych wydatków. Są to zarządzenia, dotyczące np. usuwania łatwopalnych przedmiotów, znajdujących się w nieodpowiednich miejscach, ustawiania kadzi z wodą lub zawieszania tłumnic, ustanawiania dyżurów i t. p.

Druga kategoria obejmuje zarządzenia, których wykonanie wymaga już pewnego czasu i większych wydatków, a więc np. zarządzenia dotyczące budowy remiz i wspinalni dla straży pożarnych, wyekwipowania straży w jakieś narzędzia itp.

Do trzeciej wreszcie kategorii zarządzeń zaliczylbym te, które wymagają już znacznie-szych nakładów, związanych z koniecznością przebudowy danych obiektów kolejowych,

²³ Prace nad organizacją bezpieczeństwa pożarowego w warsztatach i magazynach (Wywiad „Przeglądu Pożarniczego” z P. Inż. J. Tuliszkowskim), „Przegląd Pożarniczy” 1928, nr 1, s. 21.

względnie budowy nowych gmachów, jak np., murowane składy na modele, sklepione piwnice do przechowywania łatwopalnych płynów, wznoszenie murów ogniowych itp²⁴.

I tak Tuliszkowski pisał sprawozdania, dawał propozycje, ostrzegał przed pożarami. W czasie lustracji z pewnością udzielał fachowych wskazówek, ale wszystko obracało się w stanie posiadania i wiedzy ogólnej, jakie na kolei Tuliszkowski zastał. I może tak działałby dalej, bo w opinii osób decyzyjnych zainwestowano w ochronę przeciwpożarową wystarczająco wiele, gdyby nie seria niefortunnnych zdarzeń. Mianowicie wybuchły pożary, które przyniosły duże straty.

Pożary (...) warsztatów głównych na stacji Warszawa Wschodnia (...) w roku 1927, pożar zabudowań ekspedycji towarowej na stacji Leszno w 1926 r., pożar parowozowni na stacji Warszawa-Gdańska, pożar magazynu towarowego na stacji Kraków w 1927 roku i pożar warsztatów głównych na stacji Warszawa-Wschodnia w tymże roku.

Dochodzenia przeprowadzone przez władze ujawniły, że część tych pożarów należy przypisać zbrodnicyz zamachom na obiekty kolejowe²⁵.

To te katastrofalnie dezorganizujące ruch kolejowy zdarzenia spowodowały, że władze uznały starania i postulaty Tuliszkowskiego za właściwe, a co ważniejsze – rozsądne. Zatem, jak to zwykle bywa, dopiero kilka dojmujących klęsk pożarowych skłoniło wreszcie władze, tym razem kolejowe, do wydatkowania znacznej części środków na organizację ochrony przeciwpożarowej, niż kosztowne odtworzenie zniszczonego mienia. Trzeba jednak wiedzieć, że wydatkowano w sposób rozsądny. To również wyraźnie inicjatywa i zasługa Tuliszkowskiego. Zatem zainwestowano w poprawę bezpieczeństwa pożarowego znaczne środki w kilku obszarach jednocześnie, z nadaniem tym przedsięwzięciom znacznej wagi. Przede wszystkim uczyniono to nie na zasadzie prowizorycznej reakcji na dane zagrożenie, lecz zadziałano systemowo, budując strukturę i nowe zasady bezpieczeństwa pożarowego.

Rok 1929 był już czasem bardzo poważnego zaangażowania Józefa Tuliszkowskiego. To z jego inicjatywy zatrudniano instruktorów pożarnictwa z Głównego Związku Straży Pożarnych do szkolenia dowódców straży ogniowych kolejowych. Jego pomysłem było również – jak to jasno wynika z powyższych zdań – odnowienie składu osobowego straży pożarnych i zwiększenie ich liczebności, a także utworzenie oddziału ochrony biernej obiektów. Chodziło tutaj o zastosowanie powszechnych rozwiązań systemowych, a nie rozproszonych inicjatyw indywidualnych.

W tym też czasie wydano szereg zarządzeń, mających na celu uporządkowanie i doprowadzenie do stanu używalności wszelkich urządzeń przeciwpożarowych, którymi Dyrekcje rozporządzały, jak również wzmożenie czujności administracji kolejowej na bezpieczeństwo ogniowe. Od tego czasu datuje się właściwy rozwój pożarnictwa kolejowego, gdyż rok rocznie

²⁴ Prace nad organizacją bezpieczeństwa pożarowego w warsztatach i magazynach (Wywiad „Przeglądu Pożarniczego” z P. Inż. J. Tuliszkowskim), „Przegląd Pożarniczy” 1928, nr 1, s. 21.

²⁵ K. Kosewski, Obrona przeciwpożarowa na P.K.P., „Przegląd Pożarniczy” 1938, nr 11, s. 354.

*Ministerstwo Komunikacji przyznawało Dyrekcjom kredyty na utrzymanie, wymianę i zakup nowego sprzętu pożarniczego. umundurowanie i wynagrodzenie członków kolejowych straży pożarnych za godziny ćwiczebne, pogotowia i kontrole nocne*²⁶.

Zatrzymajmy się na chwilę i prześledźmy dokonania Tuliszkowskiego w tamtym czasie. Przede wszystkim znalazły się środki na naprawę, uzupełnienia i wymianę sprzętu jednostek gaśniczych, który pozyskiwano w czasach największych zawirowań finansowych, przed reformą walutową Grabskiego. Sprzęt nie był zatem ani dobry, ani sprawny, ani – co oczywiste – jednolity. Zastrzyk finansowy pozwolił na praktycznie natychmiastowe wprowadzenie zauważalnych zmian. Tuliszkowski, jak wiemy, dysponował w tym zakresie doświadczeniem, więc pojawiły się nowe sikawki, beczki, węże, bosaki, drabiny itp., tudzież umundurowanie bojowe, optymalne co do jakości. Sprzęt ustandaryzowano, jego zestawienie również, a dodatkowo oparto jego użycie na jednolitych instrukcjach.

Dalej zaczęto porządkować zasady przechowywania i składowania materiałów palnych, ogólnego porządku, zakazów palenia tytoniu i używania ognia otwartego w miejscach niebezpiecznych.

Nastąpiła wyraźna reorganizacja ochrony czynnej. Tuliszkowski utworzył kolejowe straże pożarne właściwie na nowo, nadając im odpowiednie, powtarzalne struktury, na wzór prawdopodobnie wiejskich straży ochotniczych małych, albo pogotowia w Straży Ogniowej m. st. Warszawy. Nie wprowadził więc ścisłego podziału na funkcje toporników i prądowników, gdyż pożary były incydentalne, a dostępność załogi zależna od pory dnia. Tu nie było podziału bojowego, tylko każdy strażak był szkolony do wszelkich funkcji na wypadek zdarzenia.

Za sprawą Tuliszkowskiego podniesiono stany liczebne, a zarazem morale kolejowych strażaków ochotników. Najlepszym na to sposobem było otrzymanie pieniędzy na wynagrodzenia dla nich za zajęcia ponad ich kontrakty pracownicze – to uczyniło służbę strażacką bardzo atrakcyjną.

Coraz bardziej powszechne stały się również szkolenia nie tylko naczelników straży ochotniczych, ale także osób zarządzających strażami. W dodatku instruktorzy pożarnictwa zyskali nowe zajęcie szkoleniowe, oczywiście za opłatą, więc i na tym polu wzrosło poważanie dla Tuliszkowskiego. Jak niedwuznacznie wynika z kilku artykułów, Tuliszkowski przyczynił się również do zwiększenia i właściwego ukierunkowania aktywności intelektualnej zatrudnionych specjalistów z zakresu ochrony przeciwpożarowej, tj. instruktorów pożarnictwa. Nie sprawował nad nimi bezpośredniej, bieżącej władzy, nie wydawał rozkazów – działał na zasadzie inspekcji, kontroli i zarządzeń. Dla wielu z tych ludzi były to oczekiwane bodźce do działania. Tuliszkowski nie był autorem wszystkich instrukcji, regulaminów i przepisów – delegował te zadania ludziom, którzy zajmowali się związanymi z nimi obszarami. Potencjał ten zaczął się tak rozwijać, że

²⁶ K. Kosewski, *Obrona przeciwpożarowa na P.K.P.*, s. 354.

budżet ministerstwa nie tylko przewidywał środki na straty, lecz również wysokie dotacje celowe dla poszczególnych okręgów. Przyczyniło się to do decentralizacji decyzyjności wydatkowej przy stosowaniu centralnych standardów jakościowych, dot. zabezpieczeń przeciwpożarowych biernych, sprzętu do walki czynnej z pożarami i armatury wodnej, zakresów obowiązków i szkoleń. W takiej sytuacji wydatki na budownictwo ogniotrwałe idealnie uzupełniały system ochrony przeciwpożarowej, zwłaszcza gdy były prowadzone razem z pracami budowlanymi, koniecznymi z innych względów.

Większe i groźniejsze pożary w ostatnim roku, jak np. pożary warsztatów na dworcu wschodnim w Warszawie, magazynów towarowych w Krakowie, parowozowni w Bydgoszczy i Warszawie, stały się bodźcem do znacznego zwiększenia kredytów na należyte zabezpieczenie tych obiektów kolejowych., Należy żywić nadzieję, że dalsza akcja obrony przeciwpożarowej większych obiektów kolejowych, w myśl trafnego orzeczenia b. Komisarza oszczędnościowego, wojewody Moskalewskiego, który powiedział że: „akcja przeciwpożarowa to prawdziwa, najistotniejsza akcja oszczędnościowa”, – będzie energicznie podejmowana w całokształcie zagadnień decydujących o rozwoju kolejnictwa polskiego²⁷.

Nie był to koniec przedsięwzięć w zakresie bezpieczeństwa, których dokonał Tuliszkowski. Należy wspomnieć o czynnościach oczywistych z dzisiejszego punktu widzenia, ale wówczas niekoniecznie tak na to patrzono.

Szczególłą uwagę w latach następnych zwrócono na zaopatrzenie warsztatów, parowozowni i składów materiałów łatwopalnych w odpowiednią ilość gaśnic, uważając je za jeden z lepszych przyrządów do tłumienia ognia w zarodku. Niektóre większe warsztaty stopniowo zaopatrywano, w motopompy, zwłaszcza na tych stacjach, gdzie ciśnienie wody w hydrantach było niewystarczające dla celów pożarniczych²⁸.

Widzimy zatem rozmach, szeroki zakres oraz planowość działania. Jak to wyglądało organizacyjnie, strukturalnie? Szczęśliwie zachowały się ślady tego działania. Dla osób obeznanych z organizacją ochrony przeciwpożarowej nie będzie to nic nowego. Bo też nic od 100 lat nie zmieniło się w tym zakresie i się nie zmieni.

Przedsięwzięcia Tuliszkowskiego zyskały wymiar regulaminów i instrukcji. Zaangażowano do nich nie tylko strażaków, ale również dosłownie wszystkich pracowników PKP, od sprzątaczek do dyrektorów. Samo uświadomienie zagrożenia pożarowego i wdrożenie prostych zasad zapobiegania pożarom przyniosło należyte efekty w postaci zmniejszenia liczby zdarzeń, ale też wytworzenia przychylnego podejścia do inwestycji w ochronę bierną i czynną.

W ogólnym zarysie prace organizacyjne poszły w kierunkach następujących:

- a) zapobiegania pożarom przez opracowywanie i ścisłe przestrzeganie przepisów ostrożności;
- b) w obchodzeniu się z ogniem, przepisów przewożenia i przechowywania materiałów łatwopalnych;

²⁷ J. Tuliszkowski, *Obrona przeciwpożarowa warsztatów i magazynów kolejowych*, „Przegląd Pożarniczy” 1928, nr 1, s. 21.

²⁸ K. Kosewski, *Obrona przeciwpożarowa na P.K.P.* ..., s. 354.

- c) zaopatrywania wszystkich obiektów kolejowych, zwłaszcza bardziej zagrożonych niebezpieczeństwem pożaru, w odpowiednią ilość hydrantów, kadzi wodnych, „skrzynek do piasku, gaśnic chemicznych, dzwonów alarmowych i innych urządzeń, pozwalających na tłumienie ognia w zarodku;
- d) zwiększenia ilości sprzętu pożarniczego, jak sikawek, motopomp, beczkowsów, drabin, bosaków itp.
- e) organizowania we wszystkich większych skupieniach pracy kolejowych straży pożarnych z pośród pracowników kolejowych, należyte ich wyszkolenie i uzbrojenie osobiste.

Wychodząc z założenia, że nawet najlepiej pomyślane i najbardziej wszechstronne urządzenia nie mają wartości, o ile nie znajdują się w rękach sprawnych i z zapałem pracujących osób, Ministerstwo Komunikacji zwróciło szczególną uwagę na organizację kolejowych straży pożarnych i przypisuje im ogromne znaczenie w biernej i czynnej obronie przeciwpożarowej obiektów kolejowych²⁹.

Zwróćmy uwagę na to ostatnie zdanie – powołani do służby ochotniczej. Jednak razem z wynagrodzeniem strażacy dostali zadania dodatkowe, przed którymi usilnie broniło się środowisko straży -- zarówno ochotniczych, jak i zawodowych. Mianowicie mieli oni obowiązek nie tylko obrony czynnej przed pożarami, ale również biernej. W ten sposób powstała kolejowa policja ogniowa, jak najbardziej strażacka, czyli najskuteczniejsza w działaniu, zresztą utworzona najprawdopodobniej na wzór rozwiązań, jakie Tuliszkowski zastosował w wojsku. Tym samym system kolejowej ochrony przeciwpożarowej stał się prosty i skuteczny – strażacy dostali nie tylko pieniądze za ich dodatkowe czynności ćwiczebne, gaśnicze czy kontrolerskie, ale również odpowiedzialność osobistą za potencjalne i wyniki zdarzenia. Stały rozwój obrony przeciwpożarowej na kolejach spowodował w roku 1929 opracowanie przepisów obrony przeciwpożarowej na PKP, jak również regulaminu kolejowych straży pożarnych, co miało na celu unormowanie oraz dostosowanie istniejących zarządzeń do warunków rzeczywistych³⁰.

Jednym z ważniejszych elementów organizowanego wówczas systemu ochrony przeciwpożarowej było przeszkolenie pracowników niebędących strażakami z używania do gaszenia pożarów dostępnych narzędzi. Jednymi z najważniejszych były parowozy! I nie można temu się dziwić – z punktu widzenia techniki pożarniczej parowóz to sikawka parowa. Prawdopodobnie tę Tuliszkowski oczywiście dostrzegł. Jediną trudnością było tu wyposażenie parowozów w węże z prądownicami.

Przykład wagonu pożarniczego

Tuliszkowski nie realizował wyłącznie pomysłów własnych. Choć był wymagającym organizatorem, przecież zawsze, gdy napotkał dobre pomysły, nie wahał się wyrazić dla nich podziwu. Swego czasu chwalił żeńską drużynę pożarniczą, dowódcę

²⁹ K. Kosewski, *Obrona przeciwpożarowa na P.K.P. ...*, s. 354.

³⁰ Tamże, s. 355.

skomplikowanej akcji gaśniczej, a nawet swojego krytykanta szkoły pożarniczo-budowlanej, inż. Brzozowskiego z Łodzi za innowacje w dziedzinie dostępu do budynków z drabin hakowych. Tym razem to nie on wyrażał pochwały, przecież niedwuznacznie z zachowanej informacji wynika, że inicjatywy lokalnej nie zablokował – wręcz przeciwnie.

Jak się okazało, wileński okręg PKP dbał o ochronę przeciwpożarową nie tylko poprzez realizację wytycznych centrali, ale także podejmowaniem własnych inicjatyw. Do takich należał wagon pożarniczy, zaprezentowany na Powszechnej Wystawie Krajowej w 1928 roku.

Wagon pożarowy to zwykły wagon towarowy odpowiednio tylko wewnątrz przystosowany do pomieszczenia i transportowania narzędzi pożarnych. (...) W omawianym wagonie znajdują się dwie sikawki przenośne: 1-na dwucylindrowa, 2-ga jednocylindrowa oraz dwie beczki dwukółowe i hydropult. Poza tym pod dachem wagonu umieszczone są drabiny: francuska (trzyprzęsłowa), przystawna, 2 hakówki, a zaś po bokach wagonu – łopaty, łomy, pila, bosaki podręczne, topory, pochodnie itp. narzędzia podręczne, oraz 12 kręgów węży tłocznych zapasowych.

Wszystkie narzędzia umieszczone są w odpowiednich tulejach i podstawkach. Przez umieszczone rozmieszczenie narzędzi i przyrządów dostęp do nich jest ułatwiony, przyczep wszystko jest należycie przymocowane rzemieniami, zapewniającymi każdemu przedmiotowi utrzymanie się na przeznaczonym dla niego miejscu, a jednocześnie pozwalające z łatwością na szybkie wyjmowanie pojedynczych przyrządów.

Uzupełnia wyekwipowanie wagonu apteczka. Pomiędzy narzędziami znajduje się na pomoście wagonu pośrodku i po bokach dość miejsca dla zgrupowania oddziału strażaków, którzy mogą łącznie z narzędziami być przewiezieni na miejsce wypadku pożarowego³¹.

Przy okazji sprawozdawca zanotował element sympatycznie humorystyczny, odnoszący się do naszego bohatera.

Dla uzupełnienia obrazu wyekwipowania straży kolejowej umieszczono jeszcze we wnętrzu manekiny strażaków w pełnym uzbrojeniu bojowym, to jest w nieprzemakalnym ubraniu brezentowym, w hełmie itd. (...) Jeden z instruktorów rzucił żartem:

- „Patrzcie, Druh Tuliszkowski stoi w tym wagonie” – na co inny z inspektorów odrzekł:

- E, gdzież tam Tuliszkowski, to Druh Myśliński.

Ten żartobliwy szczegół może być, niewątpliwie, dla obydwu wymienionych Druhów dowodem, że ich praca nad rozwojem pożarnictwa krajowego, mająca swój wyraz na Powszechnej Wystawie Krajowej, jest dość popularna w strefach straży naszego³².

Należy tutaj wspomnieć, że rozkład narzędzi w wagonie zaprojektował kierownik działu pożarowego Wileńskiej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych, druh komendant J. Myśliński, bardzo pręźnie zarządzający tamtejszymi sprawami.

³¹ Pożarnictwo kolejowe na P.W.K., „Przegląd Pożarniczy” 1929, nr 24, s. 354.

³² Tamże, s. 354.

Uwzględnijmy, że do celów przeciwpożarowych dostosowano nie tylko pojedyncze wagony, ale, jak wynika z kilku informacji (w tym poniższej) również parowozy, których było dostępnych blisko kilkaset sztuk. Z racji ich budowy były gotowymi sikawkami parowymi o dużej wydajności i możliwości wytworzenia znacznych ciśnień, zawierającymi zbiorniki z wodą o pojemności kilku metrów sześciennych. Wystarczyło tylko wyposażyć je w węże i prądownice, by stały się, w razie potrzeby, autonomicznymi wozami gaśniczymi.

Efekty wprowadzanych zmian

Oczywiście najbardziej zauważalne były efekty ilościowe wprowadzanych przez Tuliszkowskiego zmian, ale w systemie wdrożonym przez niego za ilośćą szła jakość, bo poprawa następowała na wielu płaszczyznach jednocześnie. Najszybciej tam, gdzie nie trzeba było ponosić nakładów finansowych.

Od dnia 20-go listopada 1924-go roku do dnia 22-go grudnia 1927 zwiedziłem 163 obiekty kolejowe, składając Ministerstwu Komunikacji 147 raportów, zawierających projekty 898 zarządzeń. Już pod koniec 1926-go roku rozpocząłem powtórne zwiedzanie niektórych większych warsztatów i magazynów zasobów, aby przekonać się, które zarządzenia, z liczby wydanych przez Ministerstwo na podstawie moich inspekcji, zostały wykonane. W ten sposób w okresie roku byłem powtórnie w 16-tu miejscowościach, gdzie mogłem przekonać się, że znaczna większość zarządzeń została wykonana, przez co stan obrony przeciwpożarowej podniósł się wydatnie. Wszędzie przejawia się myśl przewodnia unikania niebezpieczeństwa pożarowego i należytego przygotowania się do walki z pożarami. Kolejowe straże pożarne zdobyły szereg doskonalszych narzędzi i zwiększyły niemal wszędzie swą sprawność³³.

Nowoczesne gaśnice chemiczne robiły swoje, władza policyjna dana strażakom kolejowym również, lepszy sprzęt gaśniczy, obsługiwany przez dobrze przygotowanych ludzi wykorzystywany był sprawnie i efektywnie, a wodę zapewniały hydranty, sadzawki i beczki.

(...) w roku 1924 było we wszystkich Dyrekcjach 165, kolejowych straży pożarnych, to po pięciu latach w r. 1929 ilość ta wzrosła do 252, a obecnie [1938 r. – PR] dochodzi do liczby 400³⁴.

Było to również efektem wcześniejszych prac inspekcyjnych Tuliszkowskiego oraz jego dobrych rad, przekutych w regulaminy, instrukcje i przepisy.

A oto jak wykorzystano zdobycze myśli Tuliszkowskiego przy jednym z pożarów.

Pierwszy zoczył ogień stróż nocny, który natychmiast zaalarmował miejscową Straż Pożarną kolejową, zorganizowaną przy parowozowni. Straż ta, w ilości kilkunastu członków, stawiała się do pożaru w niespełna 2 minuty (w odświętnych ubraniach) ze swą sikawką 4-kołową 5-calową z odpowiednią ilością węży, z drabinami, bosakami i t. p. i pod komendą dowódcy, p. Balcarka (...) rozpoczęła energiczną nast. akcję. (...)

³³ Prace nad organizacją bezpieczeństwa pożarowego w warsztatach i magazynach (Wywiad „Przeglądu Pożarniczego” z P. Inż. J. Tuliszkowskim), „Przegląd Pożarniczy” 1928, nr 1, s. 21.

³⁴ Tamże, s. 354–355.

Uruchomiono 4 parowozy (...), od których dwa prądy (...) oskrzydliły ogień, nacierając z dachu zagrożonej remizy, znajdującej się pod wiatr wiejący z zachodu, a trzeci parowóz podał prąd (...) na dach przylegającej odlewni i kuźni, broniąc je od północy; 4-ty parowóz był jako rezerwa.

Sikawkę 4-kołową ustawiono na drodze, okalającej remizę i atakowano prądem ogień przez okna na przyziemiu od strony południowej, w czym sekundował prąd (...) od hydrantu wewnętrznego (H), znajdującego się w remizie parowozowej, skąd linja wężowa od tego hydrantu została przeprowadzona przez wybite okno remizy.

Ogień z powodu drewnianej podłogi, przesyconej benzolem i smarami, oraz takichże przepierzeń i wiązań dachowych, rozszalał się na dobre.

Zmagającej się z nim Drużynie kolejowej, której dzielnie sekundowało kilkunastu majstrów i maszynistów oraz urzędników kolejowych, przybyła z pomocą Straż Pożarna ochotnicza miejska z m. Rybnika ze swoją sikawką 4 -kołową i natarła jednym prądem na ogień na przyziemiu od strony zachodniej, a drugim od hydrantu. (...)

Uporczywa walka trwała przeszło 2 godziny (...); przyczem wypaliło się do cna tylko wnętrze budynku, gdzie powstał ogień, a zagrożone sąsiednia remiza, kuźnia, odlewnia, biuro i magazyny ocalały głównie dzięki ogromnym wysiłkom Drużyny Kolejowej i pomocy miejskiej Straży Ochotniczej (...)³⁵.

Swoistym podsumowaniem działalności Tuliszkowskiego był jego referat pt. *Racjonalna obrona przeciwpożarowa na PKP* na wileńskim IX Zjeździe Technicznym Inżynierów Wydziałów Mechanicznych wszystkich Dyrekcji Kolejowych w dniach 9–11 października 1933 roku. Referat, jak zaznaczono w materiale źródłowym, był kilkugodzinny. Był to ostatni rok urzędowania Tuliszkowskiego na kolei. Miejmy nadzieję, że o rozwiązaniu kontraktu z Tuliszkowskim nie zdecydowała długość referatu i zmęczenie zebranych jego słuchaniem.... Po latach streszczono go do objętości przyswajalnej w kilka minut. Jeśli wierzyć relacji, referat wywarł bardzo duże wrażenie na zebranych i nieznudzeni jego treścią przystąpili do gorącej, długotrwałej dyskusji, podczas której głos zabralo kilkunastu delegatów. Oto, co pod wpływem Tuliszkowskiego uchwalili:

IX Zjazd Techniczny Inżynierów Wydziałów Mechanicznych, mając na uwadze, że sprawa obrony przeciwpożarowej ma znaczenie ogólnopaństwowe, zwłaszcza podczas wojny, wyraża opinię, że sprawę tę należy traktować łącznie z obroną przeciwlotniczą i przeciwgazową i wobec tego nawiązać ścisły kontakt z zainteresowanymi czynnikami.

Dla podniesienia sprawności istniejącej organizacji obrony przeciwpożarowej na PKP, Zjazd uznaje za konieczne:

- 1) Zorganizowanie okresowych kursów dla referentów pożarnictwa, oraz dowódców straży, i obsadzanie w przyszłości tych stanowisk wyłącznie przez siły fachowe.
- 2) Stopniową zamianę starych, mało przydatnych narzędzi na sprzęt nowoczesny, najczęściej odpowiadający miejscowym warunkom terenowym.

³⁵ J. Tuliszkowski, *Pożar w warsztatach kolejowych powozowni w Rybniku na Śląsku*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 1, s. 17–18.

- 3) Przydzielanie w miarę możliwości mieszkań dla członków straży pożarnej, a zwłaszcza dla dowódców i ich zastępców, na terenie, gdzie jest remiza ze sprzętem pożarniczym lub w pobliżu.
- 4) Unikanie — jeżeli nie zachodzi konieczność służbowa — przenoszenia członków straży pożarnej poza teren jej działalności.
- 5) Przywrócenie poprzedniej ilości godzin ćwiczebnych, t. j. zwiększenie z dwóch do czterech miesięcznie. przy odpowiednim zwiększeniu kredytów.
- 6) Zwrócenie uwagi na możliwe ułatwienie przejazdu sikawek przez tereny kolejowe.

Poza tym ze względu na zdarzające się pożary, spowodowane iskrami, wydobywającymi się z parowozów i parników, konieczne jest wzmocnienie kontroli stanu urządzeń odiskierowanych i ustawienia klap popielnikowych w parowozach i parnikach podczas służby, a także zwracanie uwagi na należyte utrzymanie pasów ochronnych wzdłuż lasów, sąsiadujących z torem kolejowym³⁶.

Jak widać, w uchwale tego zjazdu pobrzmiewało sporo Tuliszkowskiego. Wspomniano tu również o pasach wzdłuż lasów – wyszedł pionierski przepis w tym zakresie, więc i na to inż. Tuliszkowski, referent (konsultant) ds. pożarnictwa w Ministerstwie Komunikacji, miał wpływ.

Od powzięcia powyższych dezyderatów do ich zrealizowania prowadziła żmudna droga spiętrzona trudnościami natury finansowej, w jakich znajdowały się koleje. Jednak polepszający się z roku na rok stan finansowy kolei pozwolił na stopniowe uwzględnianie tych postulatów, tak że w dobie obecnej niektóre z nich w pewnej mierze zostały zrealizowane³⁷.

Ta długa i wyboista droga dokonała się już bez udziału Józefa Tuliszkowskiego, który z końcem 1933 r. odszedł z kolejnictwa.

Konstruktor drabiny mechanicznej

W niniejszym opracowaniu ciągle musimy sobie przypominać, że Józef Tuliszkowski był inżynierem-konstrukтором. To znaczy – on sam nie pozwala nam, byśmy o tym zapomnieli. W czasie pracy w kolejnictwie zdołał znaleźć czas na dopracowanie konstrukcji drabiny mechanicznej – nie mylić z autodrabiną. Mianowicie drabinę tę trzeba było przewozić przy pomocy samochodu, ale zdejmować i ustawiać przy pomocy siły ludzkich mięśni. Następnie drabinę rozstawiano nie przy pomocy prostego ciągu linkowego łapanego rękami, tylko uruchamianego mechanizmem korbowym z zębatkami i wielokrążkami. I w tym sensie była to drabina mechaniczna. Można się spodziewać, że kolejnym krokiem w jej rozwoju byłoby wzmocnienie układu napędowego, dodanie silnika spalinowego lub elektrycznego i wydłużenie drabiny o jeszcze jedno przęsło, tj. do 25 metrów.

³⁶ K. Kosewski, *Obrona przeciwpożarowa na P.K.P. ...*, s. 355–356.

³⁷ Tamże, s. 356.

W 1928 r. ukazał się niepodpisany artykuł (inicjał R) – notka prasowa o najnowszym osiągnięciu konstruktorskim inż. Tuliszkowskiego. Jeśli przyjrzyć się opisowi bliżej, można w nim dopatrzyć się sporych fragmentów autorstwa konstruktora.

Obecnie inż. J. Tuliszkowski skonstruował nowy typ drabiny mechanicznej zdejmowanej, której model znajdujemy na Powszechnej Wystawie Krajowej. Drabinę tę można szybko i łatwo wkładać i zdejmować z samochodu, przyczem wymaga to niezbyt trudnej pracy 2-ch ludzi, a to dzięki zastosowaniu odpowiedniej podstawy drabiny.

*Konstrukcja podstawy tej nowej drabiny ma 2 zasadnicze elementy: ramę i koziół, zbudowane z żelaznych kątówek, powiązanych w specjalne ustroje, które dają lekkość, a zarazem znaczną moc. Dość powiedzieć, że drabina z temi żelaznemi ustrojami jest lżejsza o jakieś 200 kg., niż drabina takiej samej wysokości z kozłem drewnianym (...)*³⁸.

W artykule bardzo komplementowano pomysłowość w operowaniu drabiną, co było wynikiem redukcji niektórych mechanizmów i ich uniwersalizacji. Uzyskano w ten sposób efekt zdumiewającej prostoty obsługi, nie mówiąc o oszczędnościach na masie czy uproszczeniach technologicznych, a zatem finalnie – cenie zakupu.

Przy podnoszeniu i opuszczaniu drabiny te same uzębione luki ramy zastępują w zupełności niepewne i niewygodne taśmy.

*Nowością pomysłu jest i to, że trzeci ruch, służący do rozsuwania i zsuwania przesł drabiny, uskutecznia się tym samym wałem korbowym, a to dzięki zastosowaniu na wale korbowym specjalnego ruchomego sprzęgła, które raz się zczepia z trybem potrójnej przekładni, drugi raz z trybem, który jest połączony (łańcuchem Galla) z kołem zazębionem przy bębnie do liny. Ten bęben osadzony jest na głównej osi drabiny*³⁹.

Chwalono także potencjalną stabilność drabiny, zapewnianą w różnych warunkach terenowych za pomocą regulowanych podpór.

*Znacznem ulepszeniem tej drabiny są dwie skrzyżowane rury teleskopowe (T), znajdujące się u spodu kozła. Z nich, po ustawieniu drabiny na miejscu działania, wysuwać można dwie długie rury stalowe, zakończone śrubami (S, S), które służą do ustawienia drabiny na nierównym terenie. Dzięki temu urządzeniu cała podstawa drabiny jest szeroko i mocno wsparta o ziemię na 2-ch kołach i 2-ch śrubach, co zapewnia zupełne jej bezpieczeństwo*⁴⁰.

Drabina została zaprojektowana jako trzyprzęsłowa, o długości po rozłożeniu 18 m. Na wystawie przedstawiono jej funkcjonalny model, wykonany w skali 1:5. Od początku zakładano znaczną popularność tego urządzenia, jako lżejszego i łatwiejszego w obsłudze od konkurencyjnych wyrobów zagranicznych. W rezultacie, jak się potem okazało, model wdrożono do produkcji.

Całkiem dużo informacji na temat procesu produkcyjnego drabiny zawarto w „Strażactwie Zawodowym”. Informację tę spisał Józef Milewski, którego bliżej poznamy z jego wypowiedzi jeszcze w tej części książki.

³⁸ Nowy typ drabiny mechanicznej, „Przegląd Pożarniczy” 1929, nr 24, s. 364.

³⁹ Tamże, s. 365.

⁴⁰ Tamże, s. 266.

Podczas bytności mej wraz z komisją Z.Z.O.S.P. [skrót tego nie należy odczytywać jako Zarząd Związku Ochotniczych Straży Pożarnych, gdyż nie istniał jeszcze w kraju związek strażacki, z określeniem „ochotniczy” w nazwie, choć w wielu opracowaniach historyków ruchu ochotniczego chętnie, a w sposób nieuprawniony, stosuje się ukształtowaną w 1959 r. dla komunistycznego Związku Ochotniczych Straży Pożarnych nazwę jako przedwojenną. Chodzi tu o Związek Zawodowy Oficerów Straży Pożarnych, nie wchodzący w skład Głównego Związku Straży Pożarnych, zajmujący się różnymi czynnościami w celach zarobkowych – PR] w fabryce „Strażak” w styczniu r. b. miałem możność zapoznania się z drabiną mechaniczną dwukołową do zdejmowania, przystosowaną do przewożenia na samochodzie. Drabinę tę fabryka wykonała według wskazań i ulepszeń konstrukcyjnych, dokonanych przez p. Inż. Józefa Tuliszkowskiego. Już przy pobieżnych oględzinach drabina robi doskonale wrażenie, dzięki swej lekkości, gdyż widać na pierwszy rzut oka, iż konstruktor usunął wszystko to, co drabiny Magirusa i Metza robi zbyt ciężkimi, a więc mniej wygodnymi w użyciu⁴¹.

Dalej poznajemy szereg zalet drabiny, zobrazowanych fotografiami, które mają odróżnić pomysłowość Tuliszkowskiego od pierwowzorów. Główne ulepszenia konstrukcyjne, które zostały zawarte w tym materiale, podzieliłem na pięć zasadniczych punktów, a mianowicie:

1. Zawieszenie samej drabiny na ramie wraz z przyrządem do ustawiania i regulowania drabiny na nierównym terenie w pionowej płaszczyźnie. Rama posiada cztery segmenty, z których górne zaopatrzone są w szereg sworzni stalowych, zczepionych z 2-ma stalowymi uzębionymi kółkami, które łączą się przez system kół zębatych z wałem korbowym, znajdującym się w górnej części żelaznej podpory.
2. Bardzo ważnym szczegółem jest to, że dzięki specjalnemu sprzęgłu jednym wałem korbowym wykonuje się przez 2-ch tylko ludzi cztery czynności: a) zdjęcie drabiny z samochodu oraz wprowadzenie na samochód, b) opuszczenie podpory do poziomu, c) podniesienie drabiny i ustawienie jej pod pożądanym kątem pochylenia, d) rozsunięcie drabiny do żądanej wysokości.
3. Trójkątna podpora, wykonana z kątówek, poza mechanizmem przekładniowym, zaopatrzona jest w rury teleskopowe, mające na końcach śruby oporowe (...).
4. Koła zębate przekładni są wykonane z fosforbronzu, dzięki czemu są mocne i lekkie. Wał korbowy osadzony na kulkowych łożyskach; dwa inne wały przekładni zaopatrzone są w cierne samoczynne hamulce, niezależnie od czterech samoczynnych bezpieczników (...).
5. Przęsła 2-gie i 3-cie spoczywają na rolkach brązowych i podtrzymywane są silnymi prowadnicami, co zapewnia drabinie łatwość posuwu. Zmontowane w dolnych końcach ruchomych przęseł, samoczynne bezpieczniki mają za zadanie z jednej strony unieruchomienie posuwu drabiny, z drugiej umożliwienie zsuwania jej z każdej wysokości⁴².

⁴¹ J. Milewski, *Drabina mechaniczna dwukołowa na samochodzie do zdejmowania*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 4, s. 11.

⁴² Tamże, s. 11–12.

W informacji przedstawiono także fotografię rozstawionej drabiny – wolnostojącej, pod kątem ok. 75–80°. Jej szczyt znajduje się na wysokości dachu pięciokondygnacyjnego budynku, zatem sięga 16 metrów. Jak wykazano w tekście, drabinę produkowano w Fabryce Narzędzi Pożarniczych „Strażak”. Jako że błąka się po Internecie informacja, iż drabinę tę produkowano w Łodzi, należy się jej sprostowanie. W Łodzi produkowano wówczas inne drabiny. W odniesieniu do drabiny Tuliszkowskiego trudno mieć inną firmę „Strażak” na myśli, niż tę, która zareklamowała się w tym samym numerze „Strażactwa Zawodowego”, z którego pochodzi entuzjastyczna recenzja drabiny. Fabryka mieściła się przy ul. Syreny 3 w Warszawie.

Organizacja ochrony przeciwpożarowej w Polsce w latach 1926–1933

Wiemy, że w zamierzeniach Chomicza i Tuliszkowskiego miały istnieć trzy filary ochrony przeciwpożarowej: ubezpieczenie od ognia, budownictwo ogniotrwale i straże pożarne. Co z tego wyszło w czasach rządów sanacji? Otóż te filary istniały, jednakże z poważnymi niedoskonałościami. W dodatku stale brakowało im elementu spajającego. W związku z tym wspierały one określone obszary, ale nie stanowiły kompleksowego systemu ochrony przeciwpożarowej.

Filar I – straże pożarne

Oficjalnie wszystko było w najlepszym porządku i można to przedstawić następująco.

Akcja zapobiegawcza pożarom (prewencja) podjęta została przez rozmaite instytucje, zainteresowane w osiągnięciu dodatnich wyników tej pracy. W pierwszej kolejności praca ta przypadła w udziale straży ogniowej, która jest specjalnie powołana i przygotowana do tych czynności, jak również instytucjom samorządu miejskiego i powiatowego, oraz zakładom ubezpieczeniowym o charakterze prawnopublicznym jak i prywatnym. Każda z tych instytucji, w miarę możliwości i w zrozumieniu ważności spełnienia tego zadania, wzięła na swe barki do wykonania pewną część pracy nad obroną przeciwpożarową, związaną z nią bezpośrednio.

W akcji zapobiegawczej strażom ogniowym przypadły prace komisyjne i kontrole. Każda straż ogniowa doskonale rozumie, że akcja przeciwpożarowa jest jedną z najważniejszych i że praca ta musi być wykonywana planowo, po głębszym zastanowieniu się nad usunięciem niebezpieczeństwa ogniowego w każdej dziedzinie⁴³.

Niestety można w tym tekście znaleźć pewne nieścisłości, ponieważ w tamtych czasach straż niestety nie rozumiała zadań zapobiegawczych, a praktycznie żadna ich nie realizowała. Z kilku przyczyn, które już wcześniej wyjaśniliśmy. Doszły jednak dodatkowe, które powodowały, że służba nie była realizowana zbyt sumiennie, choć jednocześnie, przy dobrej woli władz, naprawdę wiele dałoby się dokonać.

Po zamachu majowym Piłsudskiego skończyły się czasy swobodnego wybierania sobie władz przez istotne dla bezpieczeństwa państwa instytucje. Administracja rządowa

⁴³ J. Sztromajer, *Obrona przeciwpożarowa*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 9, s. 1.

ingerowała w tym zakresie we wszelkie organizacje społeczne, mające wpływ na bezpieczeństwo powszechne. Nie inaczej było w strażach pożarnych, tworzących poprzez związki okręgowe i wojewódzkie Główny Związek Straży Pożarnych R.P. Na czele większości terenowych związków straży pożarnych stanęli ludzie, pełniący eksponowane funkcje w lokalnej administracji. Z kolei na czele zarządów wojewódzkich stawiali często wojewodowie, natomiast do rad wojewódzkich Związku wchodził z urzędu przedstawiciel wojewodów, co czyniło owe rady bardzo podatnymi na żądania administracji rządowej.

Żeby się o tym przekonać, wystarczy prześledzić skład głównych organów zarządzających Głównego Związku Straży Pożarnych R.P. Zgodnie z wcześniejszymi pomysłami Chomicza takie organy były trzy. Z pomysłu, aby związek funkcjonował na wzór spółek kapitałowych nie zrezygnowano, tylko przejęto gotowe produkty: Zjazd Walny, Rada Naczelna i Zarząd (Główny). Rolę zarządczą Walnych Zjazdów można pominąć, ze względu na ich sporadyczność (co kilka lat) i przebieg ograniczony do męczących uroczystości, wysłuchania referatów starannie wybranych autorów i głosowań nad uchwałami. Na dłuższe dywagacje, analizy i dyskusje zwyczajnie czasu nie wystarczało.

Bieżące zarządzanie strażami pożarnymi zrzeszonymi w związku sprawowała sporadycznie Rada Naczelna. Miała ona siłę sprawczą, ale spotykała się periodycznie. Zasadniczą władzę sprawował Zarząd Główny, gdyż działał stale.

Rada Naczelna składała się z:

- a) przedstawicieli Związków Wojewódzkich, przyczem Związki, liczące do 300-tu straży związkowych, delegują po jednym przedstawicielu, Związki zaś, liczące ponad 300-ta straży – dwóch przedstawicieli, Związki: Pomorski, Poznański i Śląski deleguje po 2-ch przedstawicieli bez względu na ilość reprezentowanych przez siebie straży;
- b) członków Zarządu Głównego, wybranych spoza grona Rady,
- c) po jednym przedstawicielu: Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Ministerstwa Spraw Wojskowych, Ministerstwa Komunikacji, Ministerstwa Skarbu, Związku Miast, Związku Sejmików, Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych, Krajowego Ubezpieczenia w Poznaniu, Pomorskiego Stowarzyszenia Ubezpieczeń i Zrzeszenia Polskich Towarzystw Ubezpieczeń od ognia,
- d) przewodniczących komisji stałych,
- e) naczelnego inspektora Głównego Związku⁴⁴.

Wydawać się może, że mamy powyżej obraz równowagi między tym, co samorządne (przedstawiciele pochodzący z wyborów) oraz tym, co rządowe (przedstawiciele ministerstw). Jednak w rzeczywistości było nieco inaczej. Niestety wszystko sprowadzało się do administracji rządowej, o czym świadczą dane dotyczące stanowisk osób, sprawujących funkcje prezesów zarządów okręgowych Związku Straży Pożarnych Województwa Warszawskiego.

⁴⁴ W. Mierzanowski, *Zarys historyczny pożarnictwa w Polsce*, w: *Bezpieczeństwo pożarowe w województwie warszawskim*, S. Lopatto i in. (red.), Warszawa 1929, s. 32–33.

Związków okręgowych było 23. Na ich czele w 17 przypadkach stali starostowie, w dwóch adwokaci, oraz po jednym: burmistrz miasta, inspektor PZUW, dyrektor cukrowni, ziemianin. Pytanie brzmi:

Jeśli na czele $\frac{3}{4}$ zarządów powiatowych straży pożarnych stali miejscowi politycy, sprawujący władzę samorządową, w warunkach sanacyjnych rządów – zwolennicy rządu, jeśli do władz zarządów wojewódzkich wchodziła przedstawiciele wojewodów, a ich prezesami byli sami wojewodowie, to czy nie można stwierdzić, że Rada Naczelna była instytucją rządową, a już z całą pewnością upolitycznioną?

Przecież regulaminowo wchodziło w jej skład ponadto czterech przedstawicieli kluczowych ministerstw, głosujących z całą pewnością tak, jak tego chcieli ministrowie, czyli rząd! Czynnikiem samorządowy w Radzie Naczelnej, rozumiany tak, jak to mówił Chomicz, czyli na zasadzie demokratycznych wyborów w strażach pożarnych, był w tej sytuacji zjawiskiem marginalnym i – w praktyce – marginalizowanym.

Warto też wspomnieć nie tylko o urzędowaniu Rady Naczelnej, ale i o jej uzawodowieniu. Wchodziła przecież w jej skład przewodniczący komisji stałych, które to komisje należy traktować jako ciała fachowe w Zarządzie Głównym Związku. Szczególnie taką była Komisja Techniczna, w całości złożona z osób o solidnym przygotowaniu zawodowym. W skład Rady Naczelnej wchodził również naczelny inspektor Zarządu Głównego Związku, czyli zawodowy strażak (oficer) nadzorujący inspektorów wojewódzkich (takich jak on zawodowych oficerów), którzy mieli nadzorować zawodowych instruktorów okręgowych (również zawodowych oficerów), o ile ich powołano w celu opieki nad ochotniczymi strażami pożarnymi.

Była więc w Głównym Związku Straży Pożarnych RP zawodowa struktura, której niepoślednią rolę było przygotowanie i opiniowanie różnych aktów prawnych, regulaminów, instrukcji i wytycznych. Jednak ta zawodowa struktura pełniła funkcję wyłącznie doradczą, natomiast rządził Zarząd Główny. W 1929 r. w skład Zarządu Głównego wchodziła:

*Prezes – inż. Stanisław Twardo, Wojewoda Warszawski,
I-szy wiceprezes – dr P. Wielgus, prezes Związku Straży Pożarnych woj. Krakowskiego,
II-gi wiceprezes – dr J. Klarner, prezes Lubelskiego Okręgowego Związku Straży Pożarnych,
skarbnik – E. Bartoszewicz, wiceprezes Związku Straży Pożarnych woj. Wołyńskiego,
sekretarz – inż. S. Waligórski, prezes Związku Straży Pożarnych woj. Warszawskiego,
kustosz – K. Matusiak, prezes Cieszyńskiego Związku Straży Pożarnych,
członek Zarządu – W. Gołuchowski, Wojewoda Lwowski, prezes Małopolskiego Związku Straży Pożarnych⁴⁵.*

Zatem na siedmiu członków Zarządu Głównego było aż dwóch czynnych wojewodów. Było też dwóch fachowców strażackich: Waligórski i Matusiak. Reszta to działacze, z reguły polityczni, zawsze liczący się z opinią większości, czyli z wolą

⁴⁵ W. Mierzanowski, *Zarys historyczny pożarnictwa w Polsce...*, s. 33.

dziesiątek, a nawet setek tysięcy strażaków, tworzących jedną organizację związkową, dysponującą zarazem bardzo dużą siłą perswazji.

Urządowienie i upolitycznienie Głównego Związku Straży Pożarnych wskazuje, że możliwe było utworzenie policji ogniowej, bazując na strukturze straży pożarnej. Wspomniane wyżej komisje stałyby łatwo przekształcić się nie tylko w działy naukowe, dysponujące z czasem laboratoriami, ale też odpowiednio w działy administracji, mogące wykonywać zadania policji ogniowej. Podobnie mogły przekształcić się zarządy wojewódzkie straży pożarnych, zyskując oprócz dotychczasowych funkcji księgowych, tj. dystrybutorów środków na zakupy sprzętowe i organizatorów szkoleń dla strażaków, również zadania zarządców bezpieczeństwa pożarowego.

Niezależnie od tego, czy istniejące jednostki organizacyjne Związku stałyby się czynnikami naukowymi czy administracyjnymi, a najlepiej jednym i drugim, wywierałyby merytoryczny i/lub władczy wpływ na strażaków, ubezpieczycieli czy pracowników administracji budowlanej, by myśleli kategoriami dobra wspólnoty, w której żyją, w sensie zapewnienia jej bezpieczeństwa pożarowego. Wytworzyłyby również zapotrzebowanie na odpowiednio przygotowaną kadrę, kształconą czy to w którymś z działów odpowiedniej szkoły technicznej, jak to proponował Chomicz, czy też w szkole pożarniczo-budowlanej, jak o tym marzył Tuliszkowski. Bo do myślenia o ochronie przeciwpożarowej kategoriami specjalistycznymi (jeśli chodzi o technikę) oraz strategicznymi (jeśli chodzi o organizację), siły samych pasjonatów nie mogły już wystarczyć i wyraźnie nie wystarczały.

Niestety, wspomniane wyżej komisje nie przekształciły się ani w laboratoria, ani w działy administracji. Z przykrością należy stwierdzić, że rozumienie, czym jest akcja przeciwpożarowa, bardzo zmieniał się w czasie na gorsze. Początkowo miała być zapobieganiem pożarom w sensie ogólnym – budownictwo ogniotrwałe, ubezpieczenia od ognia, straże ogniowe. Po odejściu z władz strażackich Chomicza i Tuliszkowskiego akcja przeciwpożarowa przybrała jednostronny, a nawet karykaturalny wyraz, jako wspieranie rozwoju głównie ochotniczych straży ogniowych. Ochotniczych, bo straże zawodowe były domeną miast, posiadały odrębne władze, umundurowanie i regulaminy, i niekoniecznie chciały słuchać działaczy związkowych. Można więc powiedzieć, że samo środowisko strażackie nie chciało przejąć zadań policji ogniowej, czyli zajmować się zapobieganiem pożarom.

Oto obraz tego środowiska z 1932 roku.

Na ogół mówi się: dzielni druhowie, ofiarni członkowie, karna drużyno, pracowity zarządzie, energiczny naczelniku i t.p.

A jak się dzieje?

Bywa, że wybuchł pożar i „dziarsko” ogarnął całą wieś lub miasteczko. Mniej „dziarsko”, co prawda, zjechało się do miejsca pożaru aż kilkanaście straży pożarnych okolicznych. Mimo takiego zjazdu – na pogorzelisku pozostał popiół tylko, nic nie uratowano, bo ogień strawił wszystko, co było do zniszczenia. Jakież to straze pracowały przy pożarze? Ano jedna z nich przyjechała aż

14 kilometrów, ale bez prądownicy, bo dzieci zrobiły sobie z niej trąbę i o gdzieś zawieruszyły. Druga nie przywiozła w ogóle węży tłocznych, bo po ostatniej próbie zostały rozwieszane do suszenia i nie zwinięte po wysuszeniu – więc z pośpiechu zapomniano je zabrać. Jeszcze inna straż przywiozła węże i prądownicę, ale wąż ssawny przykręciła od strony tłocznej, a tłoczny od ssawnej. – Pełni zapалу strażacy pompują, aż im pot perli czoła, a woda ani myśli się ich słuchać i nie tryska z prądownicy. Była i taka znów straż, która nie przywiozła beczek, bo gospodarz wypożyczył je do polewania ogrodów i nim je oddział wodny odnajdzie – to pożar zeżre wszystko, co mu smakuje (...).

Ostatnio dużo mówi się o tem, że pośród organizacji społecznych tylko straż są na wysokości zadania, że przodują w sprężystości organizacyjnej, w gotowości do czynu. Możliwe, że w innych organizacjach jest gorzej, ale i u nas nie najlepiej. (...)

Jakżeż niewłaściwym jest mówienie drużynie strażackiej, świeżo zorganizowanej, niewykształconej i niewyekwipowanej – że przedstawia zbiór cnót i doskonałości, boć przecież ta straż niczem się jeszcze nie zaznaczyła, żadnego dowodu pracowitości, ani poświęcenia nie złożyła.

Równie niewłaściwe jest prawnienie pochwał i zachwytów takim starym strażom, często zdeorganizowanym i beczynnym: ich zasługi są nieraz urojone w głowach chwalców, którzy przy kieliszku jubileuszowym lubią bakę świecić rozmaitym „groźnym” bąkobjaczom⁴⁶.

Widać, że autor był instruktorem pożarnictwa, który zaznał na sobie samym uroków współpracy z „bąkobjaczami”, co jednak nie osłabia jego słów prawdy, jakie napisał, wręcz przeciwnie. Wiele wskazuje na to, że posłużył się przykładami jak najbardziej typowymi. W sumie chodziło mu o to, by nie popadać w samozachwyt. Istotne jest to, gdzie ta informacja się ukazała, czyli w „Lubelskiej Gazecie Strażackiej”, tj. dodatku do „Gazety Strażackiej”. Przecież ani w „Przeglądzie Pożarniczym”, ani w „Gazecie Strażackiej” Stanisław Pagowski (redaktor naczelny obydwu periodyków) nie pozwoliłby na opublikowanie takich poglądów – straż pożarna była dobre, tylko świat był zły. Acz i jemu zdarzały się chwile szczerości, np. taka.

W roku 1926-tym wydarzyło się ogółem na terenie państwa (z wyjątkiem Warszawy i 3-ch województw zachodnich: pomorskiego, Poznańskiego i Śląskiego) – 7.586 wypadków pożarowych, to już w trzy lata później, w roku 1929-ym liczba pożarów się podwoiła, osiągnąwszy cyfrę 14.764-ch wypadków i w dalszym ciągu uwidacznia tendencję wzrastania. (...) Na podstawie tych danych statystycznych co do rozmiarów klęsk pożarowych autorzy wspomnianej wzmianki dochodzą do wniosku, że akcja przeciwpożarowa „nie daje poważniejszych rezultatów”, konkludując też więc, że „jest ona niedostateczna”.

W pojęciu naszym przez akcję przeciwpożarową należy rozumieć nie tylko zapobieganie powstawaniu pożarów, ale też i bezpośrednią walkę z pożarami już wynikłymi, co jak wiemy należy wszak do najistotniejszych zadań podstawowych straży pożarnych i ich związków⁴⁷.

Z tej informacji można wyczytać, że za fiasko powszechnego bezpieczeństwa pożarowego nie odpowiada brak przepisów przeciwpożarowych i ich przestrzegania, lecz niedoinwestowanie straży pożarnych. Artykuł jest o tym, że za mało pieniędzy

⁴⁶ A. Niedbalski, *Verba veritatis*, „Lubelska Gazeta Strażacka” 1932, nr 5, s. 33.

⁴⁷ S. Pagowski, *Dlaczego brak nam funduszków?*, „Gazeta Strażacka” 1932, nr 15.

z ubezpieczeń spływa do ochrony czynnej (o tym, że na zapobieganie pożarom ani grosza – ani słowa). W innym miejscu artykułu za zwiększenie palności obwiniał podpalenia i nieostrożność.

W tej sytuacji jest całkowicie zrozumiałe, że wytworzenie policji ogniowej, w dodatku mającej zadania z zakresu zapobiegania pożarom, nie było możliwe w strukturze organizacyjnej straży pożarnej, bo nie mogło spotkać się ze zrozumieniem zarządzających. No i nadal nie było ustawy regulującej sprawę ochrony przeciwpożarowej.

Filar II – ubezpieczenia od ognia

Co prawda dwie firmy ubezpieczeniowe miały swoich przedstawicieli w Radzie Naczelnej Głównego Związku Straży Pożarnych, jednak niewiele miały do powiedzenia. I te dwa przedstawicielstwa powinny być dla nas wielce wymownymi. Był jeszcze jeden przedstawiciel ubezpieczycieli, to jest delegat Zrzeszenia Polskich Towarzystw Ubezpieczeń od ognia. Owo zrzeszenie powstało jako wynik dopuszczenia praktycznie każdej firmy ubezpieczeniowej do ściągania przymusowej składki ogniowej. Próżno szukać na łamach prasy pożarniczej konkretnych informacji o pozytywnym działaniu tegoż, czy wykazaniu jakichkolwiek istotnych pożytków płynących z jego istnienia. Nie było też informacji o nadzorze państwowym nad owym zrzeszeniem, czy wchodzącymi w jego skład firmami, mimo że ów nadzór istniał jako zbiór etatów.

Duże firmy ubezpieczeniowe miały niezaprzeczalny atut w postaci gotowych struktur obejmujących cały kraj i wykształconych kadr, dysponujących wiedzą i umiejętnościami, nie tylko rachunkowymi, ale również inżynierskimi. Niewiele brakowało, by z tych struktur zrobić policję ogniową, wyposażoną nie tylko w środki do zbierania podatku ogniowego, ale i w laboratoria badawcze i ośrodki naukowe do opracowania metod zapobiegania pożarom, co wiązałoby się z uzyskaniem standardów budowania i zabezpieczania budynków. Dosłownie tak działo się w Niemczech, czego dzisiejszymi efektami są naśladowane na całym świecie, bądź stosowane dosłownie zbiory norm, sygnowane skrótami: VdS, czyli Verband der Sachversicherer e.V. – Związek Ubezpieczycieli Majątkowych. VdS działał na polu ochrony przeciwpożarowej już przed I wojną światową, wyznaczając kierunki rozwoju niemieckiej ochrony przeciwpożarowej w pełnym tego słowa znaczeniu. W naszych warunkach istniała szansa na rozwój ochrony przeciwpożarowej na ten właśnie wzór. To się jednak nie udało, również przez zajęcie znacznej części rynku przez ubezpieczycieli małych, nad którymi kompletną klęską okazał się nadzór instytucjonalny, prowadzony nad tym zagadnieniem przez MSW poprzez Państwowy Urząd Kontroli Ubezpieczeń.

Oficjalne wiadomości były optymistyczne. Poniżej przedstawiono, jak to widział jeden z głównych strażaków Polski.

Poza wymienionymi instytucjami [samorządami – PR] w walce przeciwpożarowej wybitne miejsce zajmują instytucje ubezpieczeń od ognia o charakterze publiczno-prawnym a również prywatne; a mianowicie:

Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych, który posiada przymus ubezpieczania budynków od ognia na terenie całej R.P., za wyjątkiem województw poznańskiego, pomorskiego i śląskiego. Zakład ten ma specjalny Wydział Prewencyjny, zależny bezpośrednio od Naczelnego Dyrektora. Wydział ten udziela zasilków i pożyczek ulgowych na prace, związane z akcją zapobiegawczą następującym instytucjom:

- wszystkim Związkom Straży Pożarnych na prace wyszkoleniowe i organizacyjne, Zarządom straży ogniowych na zakup narzędzi ogniowych, na budowę i ogniotrwałe pokrycie remiz,
- Związkom Komunalnym (sejmikom i magistratom) udziela pożyczek na budowę studzien i zbiorników wody, jak również na wytwórnie betonowe pustaków i dachówek,
- udziela również pożyczek ulgowych pogorzelcom na pokrycie budynków ogniotrwałymi materiałami,
- urządza kursa pożarnicze w szkołach rolniczych,
- subsyduje kasę strażacką od nieszczęśliwych wypadków,
- wydaje pismo „Przewodnik Ubezpieczeniowy” oraz zbiera dane statystyczne, co do przyczyn, powodujących pożary wg niżej podanego podziału: podpalenia, od pioruna, przez nieostrożność, przez swawolę dzieci, przez wadliwe urządzenie kominów, eksplozje, wskutek samozapalenia się i nieznanne.

Zakłady Ubezpieczeniowe w Poznaniu i Toruniu mają też wydziały prewencyjne i również bardzo wybitnie subsydują Związki Straży Pożarnych i Straże Ogniowe. Zakłady te jedne z pierwszych, w trosce o zwalczanie pożarów masowych, wyznaczyły nagrody pieniężne, w kwocie 1000 złotych, za wykrycie podpalacza w każdym poszczególnym wypadku.

Dodać trzeba, że zasilki na walkę z ogniem, udzielane przez te Zakłady, są bardzo duże w stosunku do posiadanych funduszy.

Zakłady prywatne Ubezpieczeniowe mają swoje Zrzeszenie, które również w miarę możliwości przydziela zasilki dla Straży Ogniowych na kupno narzędzi oraz udziela nagród za akcję przy gaszeniu pożarów.

Wspomnieć należy, że z Towarzystw prywatnych Ubezpieczeń jedno tylko Warszawskie T-wo Ubezpieczeń zatroszczyło się o strażaków zawodowych i subsydiowało kasę od nieszczęśliwych wypadków Straży Warszawskiej. Nie wiem czy w innych miastach były takie dążenia Tow. Ubezpieczeniowych, lecz ta gotowość Warszawskiego Tow. Ubezpieczeń świadczy o Wysokiem społecznieniu Władz Towarzystwa i o zrozumieniu i ocenie ofiarnej służby strażaka zawodowego⁴⁸.

Ładnie to wygląda, tylko jest to oficjalna propaganda tych instytucji, przełożona na artykuł przez chcącego, by tak było, starego, poczciwego strażaka. Prześledźmy poniższe informacje, a zrozumiemy, że sprawozdawczość również w tamtych czasach była dziedziną twórczą. Zaczniemy od artykułu Klemensa Matusiaka, jednego ze współpracowników Chomicza, prezesa Krajowego Związku Polskich Straży Pożarnych

⁴⁸ J. Sztromajer, Obrona przeciwpożarowa, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 9, s. 2–3.

na Śląsku Cieszyńskim, dalej Związku Cieszyńskiego Straży Pożarnych okresu tuż powojennego, wreszcie członka Rady Naczelnej Głównego Związku Straży Pożarnych. Już w 1923 r. poinformował na łamach prasy pożarniczej o bardzo niepokojącym zjawisku. Dał mu przy tym rys historyczny.

Jeżeli pożarnictwo przynosi wielkie materialne korzyści towarzystwom ubezpieczeń, to nawzajem towarzystwa te powinny wspierać wydatnie straże pożarne – jeżeli tego czynić nie chcą, powinien Rząd zmusić je do tego.

Tak na tę sprawę zapatrywały się władze rządowe na Śląsku austriackim i ustawą zd. 6 grudnia 1882 r. zobowiązały wszystkie na terytorium Śląska działające towarzystwa do uiszczania rokrocznie kwoty w wysokości 2% od wpłaconych brutto wszystkich ubezpieczonych obiektów. § 2 tej ustawy zezwalał na utworzenie z 10% powyższej kwoty kasy zapomogowej dla unieszczęśliwionych przy pożarze lub ich rodzin. Z kwoty tej opłacono ubezpieczenie koni użytych przy pożarze. Na podstawie powyższej rozbudowało się całe pożarnictwo na obecnym Śląsku Cieszyńskim. Szczególnie około 1910 r. powstały liczne polskie straże pożarne.

Tytułem owych 2% powinienby Cieszyński Związek otrzymać na rok 1923 kwotę około dwóch milionów marek polskich. Że kwoty tej dotychczas ani feniga nie otrzymał, wina spada wyłącznie na ślaskie władze wojewódzkie, które dotychczas nie zdobyły się na bezwzględne ściągnięcie od najrozmaitszych, głównie zagranicznych towarzystw ubezpieczeń owych 2%. Związek Cieszyński wspiera jedynie i dobrowolnie Polska Dyr. Ubezp. Wzaj. która dobrowolnie zgłosiła Związkowi większe opodatkowanie się na rzecz naszego pożarnictwa i dlatego zdobyła naszą wdzięczność⁴⁹.

Zatem w 1923 r. Bolesław Chomicz, póki był na stanowisku prezesa PDUW, wspierał związek strażacki, z którego ziem składek na ubezpieczenie od ognia nie zbierał... Ale jesteśmy już w latach 30. XX wieku, więc minęła niemal dekada od czasów, gdy Klemens Matusiak napisał tak gorzkie słowa. Przecież wszystko mogło się zmienić na lepsze! Zobaczmy, czy tak było na podstawie informacji z 1932 roku. Będzie to również niejako świadectwo jakości czuwania władz nad ochroną przeciwpożarową.

W Polsce działają, jak wiemy, tak zwane publiczne zakłady ubezpieczeń, jako instytucje prawno-publiczne, a więc Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych [dawne PDUW Chomicza – PR], obejmujący terenem swej działalności województwa centralne, południowe i wschodnie, a zaś na terenie województw zachodnich Krajowe Ubezpieczenie Ogniove w woj. Poznańskim i Pomorskie Stowarzyszenie Ubezpieczeń w woj. Pomorskim, oraz cały szereg prywatnych zakładów ubezpieczeniowych.

Kiedy jednak publiczne instytucje ubezpieczeńłożą rokrocznie dosyć pokaźne fundusze na cele akcji przeciwpożarowej, to prywatne (...) uchylają się od świadczeń na rzecz akcji przeciwpożarowej, chociaż całokształt zadań tej akcji, a w szczególności istnienie i działalność ochotniczych placówek strażackich pozostają w ich bezpośrednim interesie.

Aby nie być gołosłownym, sięgnijmy do cyfr (...). Oto widzimy z nich, że Pow. Zakład Ub. Wzajemnych zebrał w roku 1928-ym składek ubezpieczeniowych na sumę 48 milionów

⁴⁹ K. Matusiak, *Jak zbudować fundamenty pożarnictwa?*, „Przegląd Pożarniczy” 1923, nr 23/24, s. 274.

złotych, wówczas gdy pozostałe towarzystwa ubezpieczeniowe zebrały w tymże roku składkę na sumę prawie 130-tu milionów złotych.

Ale P.Z.U.W. przy tej tej skali zbioru (...) przeznaczył w roku obecnym, na cele akcji przeciwpożarowej 2 miliony 400 tysięcy złotych, gdy zaś prywatne towarzystwa ubezpieczeń udzieliły (...) kwotę 25.000 zł (dosłownie dwadzieścia pięć tysięcy złotych)⁵⁰.

Zatem możemy się przekonać, jakie efekty przyniosła etatystyczna polityka państwowa opcji rządzącej, czyli umieszczanie na kluczowych stanowiskach swoich ludzi – brak istotnego nadzoru nad poważną gałęzią gospodarki finansowej. Rację miał Chomicz, wróżąc, że dopuszczenie do działania na rynku ubezpieczeń od ognia towarzystw prywatnych, doprowadzi do prywaty. Doszło do istotnego osłabienia rynku ubezpieczeń i ukształtowania go w ten sposób, że działał on zachowawczo, a nie rozwojowo. Tym samym ubezpieczenia z czynnika mającego powodować rozwój budownictwa ogniotrwałego i zabezpieczeń przeciwpożarowych, przekształciły się w przedsięwzięcie czysto biznesowe, zainteresowane nie tyle zmniejszeniem klęski ogniowej, co ciągnięciem z niej zysków.

Zamarła niemal całkowicie kwitnąca za czasów Chomicza myśl zapobiegawcza, gdyż jej nie rozwijano. W dodatku ubezpieczyciele potraktowali jedną z gałęzi ochrony przeciwpożarowej jako całe drzewo, przyczyniając się do utrwalenia chaosu semantycznego. Przejawiało się to tym, że bardzo chętnie, aby uniknąć nawału pracy, utożsamili płynące z Głównego Związku Straży Pożarnych pojęcie ochrony przeciwpożarowej z działalnością straży ogniowych, choć te działały i działać chciały tylko w zakresie interwencyjnym. Przede wszystkim jednak rynek ubezpieczeń od ognia był zepsuty. Czas pokazał, jak wiele racji miał Chomicz, żywiąc na tym polu uzasadnione obawy. Niestety – był to czas nieodwracalnie stracony.

Dopiero w 1937 r., po zakrojonej na szeroką skalę akcji kontrolnej, wymuszonej kolejnymi wnioskami o zbadanie skutków układów polityczno-finansowych i dymisjami osób ważnych dla ubezpieczeń, wyszło na jaw, że trwały wypływ kapitału ubezpieczeniowego za granicę sięgał ponad 70% składek wszystkich rodzajów ubezpieczeń, a przecież większość z nich to przymusowe ubezpieczenia od ognia! Czyli ściągane na zasadzie przymusu pieniądze nie pracowały na rzecz ubezpieczanych. Resztówki składkowe przeznaczano głównie na wsparcie straży ogniowych, a tylko sporadycznie na różne dziedziny budownictwa ogniotrwałego.

Samo PDUW (wtedy już jako PZUW) w 1929 r. kupiło 650 sikawek, 784 beczki, 31 498 węży oraz dało strażom pożarnym 3302 zapomogi na sumę 1 778 265 zł. Zakupy sprzętu gaśniczego traktowano, jak już wiemy, jako pełną „ochronę przeciwpożarową”. Z nieśmiertelnym usprawiedliwieniem: przecież sami strażacy, którzy znają się na tych sprawach najlepiej, niczego innego, prócz następnych sikawek (samochodów gaśniczych) nie chcą! Już wtedy takie myślenie przekładało się na wymiar medialny i statystyczny.

⁵⁰ S. Pągowski, *Dlaczego brak nam funduszków?*, „Gazeta Strażacka” 1932, nr 15.

Zresztą zanosilo się na to, że wysilek finansowy poczyniony przez PZUW w 1929 r., będzie na jakiś czas ostatnim. W końcu sierpnia 1929 r. władze GZSP RP zawiadomiły swoich inspektorów wojewódzkich, że kredyt na akcję przeciwpożarową został wyczerpany, o czym ukazał się artykuł od redakcji na pierwszej stronie „Przeglądu Pożarniczego”, wyrażającej tą informacją głębokie zaniepokojenie⁵¹.

Jeśli jednak prześledzić stanowione wówczas prawo ubezpieczeniowe, to wszystko było w porządku. Z rozporządzeń Prezydenta RP wynika zupełnie co innego niż jednostronne płacenie na straże pożarne. Mianowicie w 1924 r. (Chomicz wówczas jeszcze istniał jako strażacki prezes, ale jako ubezpieczeniowy już nie) z nadwyżek składowych miano utworzyć w PDUW fundusz pożyczek ulgowych na akcję zapobiegawczą, z możliwością wspomżenia straży ogniowych⁵². Od 1927 r. (czyli już bez wpływu Chomicza na zagadnienia strażackie) nadwyżki kierowano do związków samorządowych, które miały przeznaczać te pieniądze przede wszystkim na rzecz propagowania budownictwa ogniotrwałego⁵³. Być może słowem kluczowym jest owo przede wszystkim, bo faktem pozostaje, że PZUW „pozbyło się” kłopotu rozdysponowania celowego środków na rzecz prostego przeksięgowania pieniędzy do pośredników i otrzymywania od nich sprawozdań. Zatem, praktycznie rzecz biorąc, ubezpieczyciele przestali pełnić aktywną rolę na rzecz budownictwa ogniotrwałego.

Wypredźmy nieco czas. Od 1934 r. skierowanie pieniędzy z ubezpieczeń na rzecz akcji przeciwpożarowej (na skutek utrwalenia chaosu semantycznego była to zupełnie inna akcja przeciwpożarowa, niż ta, o której mówili Chomicz czy Tuliszkowski) zyskało ustawowy wymiar⁵⁴, choć teoretycznie znów wszystko było w porządku. Otóż do 7% sumy zebranych przez PZUW składek przymusowych oraz do 3% składek ubezpieczeń dobrowolnych od firm komercyjnych kierowano do gmin na niezdefiniowaną akcję przeciwpożarową. Niezdefiniowaną, bo nie było potrzeby, by ją identyfikować, gdyż wszyscy wiedzieli, co mają robić. Mianowicie gminy wydatkowały je na ogólne cele ochrony przeciwpożarowej, gdzie szczególnie były wymienione straże ogniowe, a o budownictwie ogniotrwałym nawet już nie wspomniano. W dodatku nigdy nie osiągnięto pułapu 7% i 3%, gdyż rozporządzenia rządowe⁵⁵ wyznaczały ten pułap do najwyżej 4% i 2%. Tak oto cała akcja pożarowa zyskała wymiar czynności doraźnych, gaśniczych. Słowem – systemowy upadek, słusznie przewidywany przez Chomicza, ale ku radości strażaków, że wreszcie mają stabilne źródło utrzymania.

Zamęt, jaki w istocie panował w ubezpieczeniach, przekładał się całkiem mocno

⁵¹ *Przerwanie pożyczek na akcję przeciwpożarową*, „Przegląd Pożarniczy” 1929, nr 39, s. 603.

⁵² § 44 i 45 rozporządzenia prezydenta RP z dnia 10 października 1924 r. o reorganizacji Polskiej Dyrekcji Ubezpieczeń Wzajemnych (Dz.U. 1924, Nr 92, poz. 862).

⁵³ § 48 rozporządzenia prezydenta RP z dnia 27 maja 1927 r. o przymusie ubezpieczenia o ognia i o Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych (Dz.U. 1927, Nr 92, poz. 862).

⁵⁴ Art. 39–42 ustawy z dnia 13 marca 1934 r. o ochronie przed pożarami i innymi klęskami (Dz.U. 1934, Nr 41, poz. 365).

⁵⁵ Corocznie ogłaszane rozporządzenie Ministrów Spraw Wewnętrznych i Skarbu o wysokości sum na koszty akcji przeciwpożarowej.

na stan palności. Miał wpływ zarówno na zwiększenie liczby podpaień, jak i wzrost wrogości społeczeństwa do strażaków, próbujących gasić pożary. Pamiętamy takie przykłady z przełomu wieków. Na początku lat 30. nie było lepiej, zwłaszcza na terenie bylej Kongresówki.

Oto z różnych stron kraju sygnalizują nam ostatnio o zdumiewających wprost faktach obojętności wobec nieszczęścia tych, których dotknęła klęska pożaru lub wobec przybywającej na ratunek straży pożarnej. Również dochodzą nas wieści o faktach wręcz wrogiej postawy wobec strażaków, których ludność albo nie dopuszcza do tłumienia pożarów, albo też w pracy tej zdecydowanie im przeciwdziała. (...)

Tak w Dzierniakowie (w powiecie Białostockim) nie dopuszczono strażaków do zbiorników wody i do czynności ratunkowych przy samym pożarze. Postawa przytem ludności miejscowej była do tego stopnia wroga, że dwaj obecni funkcjonariusze policji zaniechali interwencji. (...)

Kiedy indziej we wsi Bialkach (w powiecie Siedleckim) ludność miejscowa przeszkadzała przybyłej na ratunek zawodowej Straży Siedleckiej tak, że doszło do starcia ludności ze strażakami, którzy doznali licznych obrażeń od potłuczenia kamieniami, kubłami i kijami. Walka przybrałaby, niewątpliwie znacznie poważniejsze konsekwencje, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności, że wystąpił tu czynnie przechodzący oddział wojska, który zdołał zlikwidować zajście. (...)

Z trudności finansowych, spowodowanych ciężkiemu położeniem gospodarzem, ludność chce się ratować drogą uzyskiwania odszkodowań ubezpieczeniowych, tembardziej, że wartość ich wzrasta w miarę spadania cen na materiały budowlane⁵⁶.

Miarą upadku ubezpieczeń od ognia jako czynnika zmniejszającego palność kraju, niech będą słowa Bolesława Chomicza, odnoszące się do sposobu działania instytucji, którą odtworzył za okupacji niemieckiej czasu Wielkiej Wojny, wypiełgnował po wojnie i musiał z niej odejść, gdy zaczęła działać tak dobrze, że każdy mógł nią zarządzać, jak mogło się wydawać, bez spowodowania katastrofy.

W latach dopiero 1926-27, gdy był już wyraźny zamach na Instytucję zrobiony, któremu patronował H. Gruber – cały nonsens połączenia nadzoru nad PDUW w jednym kotle z zakładami prywatnymi uwidocznił się w całej swej jaskrawości, a przez wydarcie z jej ustroju samorządu przeistoczył wreszcie ten aparat w sztywny biurokratyczny organizm oderwany od oddolnych potrzeb narodu w dziedzinie budownictwa racjonalnego i organizacji straży ochotniczych. (...)

Jakkolwiek w Instytucji publicznych interesów, jaką była PDUW, nie było i być nie mogło przeciwstawnych między pracodawcą a pracobiorcą – tendencji, opartych na wyzysku pracy, to jednak pewien odłam Związku Pracowników PDUW, dążący w czasie opracowania projektu tej ustawy do zupełnej etatyzacji Zakładu – pozostawał w tym okresie jak i później pod wyraźnym nastawieniem PUK-u w stosunku do mojej osoby, żeby tylko tworzyć ferment i niezadowolenie z mojej – rzekomo – apodyktycznej roli. To się udzielało bezkrytycznie i reszcie personelu. Ta garstka personelu z Centrali, rozzuchwalona przez orędownictwo PUK-u ubocznie, prowadziła hulaszczę życie, a po moim opuszczeniu prezesury zakończyła

⁵⁶ S. Pagowski, *Wielce niepokojące przejawy*, „Gazeta Strażacka” 1931, nr 13, s. 1.

swe rozpasanie skandalem wewnętrznym, a nawet karnym wyrokiem za roztrwonienie fundusów swego Związku – jak na czasy ówczesne o dużym rozmiarze (ponad 70 tysięcy zł), a na marginesie tej destrukcji Prezes Związku Pracowników zastrzelony został przez własną żonę w swoim gabinecie⁵⁷.

Istotnie, sytuacja była całkiem kuriozalna, skoro urząd państwowego nadzoru posługiwał się związkiem zawodowym, by usunąć ze stanowiska prezesa zarządu firmy, który ją odbudował ku pożytkowi kraju...

Ogółem skutki opisanych wyżej zaniechań ubezpieczycieli były takie: program choć częściowej wymiany pokryć dachowych na ogniotrwałe nawet nie wystartował, wodociągi finansowano sporadycznie. Nie utworzono laboratorium badawczego, ani nie opracowano norm technicznych z zakresu ochrony przeciwpożarowej, jak to działo się już wcześniej w Niemczech i w USA. Finansowanie przez PDUW Patronatu Spółdzielni Budowlanych anulowano. Za to postulowano do rządu o wprowadzenie dla ludności powszechnych przepisów porządkowych w zakresie ochrony przeciwpożarowej, czyli przeniesienie ciężaru działań zapobiegawczych z ubezpieczycieli na administrację państwową.

Jak widać, ustawa ubezpieczeniowa nie gwarantowała prawidłowości działania filarowi ubezpieczeniowemu ochrony przeciwpożarowej.

Filar III – budownictwo ogniotrwałe

Nie raz czytaliśmy o Patronacie Spółdzielni Budowlanych, tj. amatorskim (ochotniczym, dobrowolnym) substytucie struktury administracyjnej na rzecz budownictwa ogniotrwałego. Po upadku Chomicza nikt tego dzieła nie kontynuował, np. władze PDUW, jak to wspomniano wyżej, anulowały dotowanie tego stowarzyszenia.

Budownictwo polskie dorobiło się jednak jednolitego dla całego kraju Prawa budowlanego, co było istotnym plusem. Minusy i tam się znalazły. Prześledźmy jedne i drugie.

W 1928 r. ukazał się przepis o nazwie: Prawo budowlane⁵⁸. Ten jeden akt normatywny nie dość, że zastępował około 30 różnych ustaw i rozporządzeń z czasów zaborów, to zawierał przy tym imponujący i solidny dział ochrony przeciwpożarowej budynków. Gdyby go wdrożono do stosowania, zlikwidowałoby to plagę pożarów masowych. Niestety, słowo „gdyby” jest tu kluczowe.

Przepisy przeciwpożarowe znalazły się w części II rozporządzenia pt. *Przepisy policyjno-budowlane* – co dziwnie znajomo brzmi po postulatach Chomicza sprzed Wielkiej Wojny. Te zaś dzieliły się na dwie części: I: *dla gmin miejskich i uzdrowisk, uznanych za posiadające charakter użyteczności publicznej* – które dla uproszczenia będziemy dalej nazywać miejskimi oraz II: *dla gmin wiejskich*. Zalecenia dla budynków miejskich i wiejskich były podobne, lecz nie jednakowe, w związku z tym rozdzielono je. Dzięki temu

⁵⁷ B. Chomicz, *Garść wspomnień* ..., cz. 2, „Zeszyty Historyczne ZOŚP RP” 2005, t. VI, s. 279.

⁵⁸ Art. 172–319 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 16 lutego 1928 r. O prawie budowlanym i zabudowaniu osiedli (Dz.U. 1928, Nr 23, poz. 202 i 203).

przepisy są bardzo czytelne. Poniższy wybór przepisów dotyczy miast.

Budynki miały być nie wyższe niż 22 metry. Poza tym nie mogły być wyższe niż szerokość ulicy lub odległość między liniami zabudowy, co miało wybitne znaczenie dla możliwości gaszenia pożarów, gdyż oznaczało tym większą swobodę rozstawienia sprzętu gaśniczego, im wyższy był budynek. Przewidywano powstawanie budynków wyższych, ale z koniecznością uwzględniania dodatkowych zabezpieczeń. Budynki w sposób prosty podzielono na ogniotrwałe i nieogniotrwałe, nie przewidując innych kategorii.

Za ogniotrwałe uważa się budynki, których ściany zewnętrzne, ściany nośne (kapi-talne), filary nośne i pokrycie dachu są wykonane z materiałów niezapalnych, a mianowicie: ściany i filary z kamienia, betonu, cegły i tym podobnych materiałów, a pokrycie dachu – z dachówki, blachy, papy, szkła, kamienia, łupku, cementu i t.p.

Zatem te budynki, których jakieś elementy ogniotrwałymi nie były, zaliczano do budynków nieogniotrwałych. Jednocześnie usankcjonowano prawnie sytuację, w której palne pokrycie dachu (papa) zostało uznane za ogniotrwałe, co odpowiadało sytuacji faktycznej – trudno było je zapalić.

Zabroniono wznoszenia budynków nieogniotrwałych i krycia dachów takimi materiałami po minięciu okresów przejściowych rozporządzenia. Jednocześnie określono, że *budynki nieogniotrwałe nie mogą posiadać więcej od dwóch kondygnacji (parter i jedno piętro)*, ale poddasze nad piętrzem nie mogło być mieszkalne. Bardzo mądrze zapisano, że *zalecenia dotyczące ogniotrwałości budynków nie mają zastosowania do wolno stojących drobnych budynków, jak wychodki, altany, gołębniki i t. p., o ile przepisy miejscowe nie postanowią inaczej.*

Już po krótkiej analizie przepisu można zauważyć chęć zaoszczędzenia miejsca w miastach, co przekładało się na formułowanie wymagań w zakresie odległości między budynkami. Tu zaś zasadnicze znaczenie zyskał znany nam już z niemieckiego „brandmur”, czyli „ogniomur”, nazwany swojsko i trafnie murem ogniochronnym.

Odległość budynków nieogniotrwałych, nieposiadających murów ogniochronnych od strony granicy działki sąsiada lub od innego budynku na tej samej działce, powinna wynosić co najmniej: od granicy działki sąsiada - 4 metry, od budynku - 8 metrów i od stodoły - 20 metrów. – proszę się nie dziwić, stodoły w niektórych miastach stoją do dziś.

Mury ogniochronne pełniły dwie istotne funkcje: pozwalały na zwiększenie intensywności zabudowy, a jednocześnie potencjalny pożar zamykały w ograniczonej, łatwej do przewidzenia przestrzeni. Mogło to mieć (bo żeby miało, musiało działać dłuższy czas) wybitne walory taktyczne: każdy pożar miał z góry znane wymiary maksymalne, a zatem wytwarzał powtarzalne, maksymalne potrzeby ratowniczo-gaśnicze.

Mur ogniochronny zdefiniowano bardzo czytelnie: *bez otworów i próżni, grubości równącej się co najmniej długości jednej cegły, wykonany z cegły palonej lub innego materiału ogniotrwałego, wyprowadzony od fundamentów przez wszystkie kondygnacje, a wystający 30 centymetrów ponad dach.* Wykonywanie otworów w takim murze, wypełnianych szkłem zbrojonym albo ceglami szklanymi uzależniano od uznania

właściwej władzy, podobnie jak wykonanie drzwi, które gdy: (...) znajdują się na strychu, powinny być żelazne, lub drewniane obite ze wszystkich stron blachą - i tak urządzone, aby się samoczynnie szczelnie zamykały.

Mur ogniochronny należało stawiać, jeśli budynek ogniotrwały wznoszono bezpośrednio przy granicy sąsiadów oraz jeśli budynek nieogniotrwały zbliżono do tej granicy na mniej niż 4 metry. Ponadto *budynki ogniotrwałe, dłuższe od 25 metrów, powinny być poprzedzielane murami ogniochronnymi w odstępach co najmniej 25-metrowych przy stropach nieogniotrwałych, w odstępach zaś 40-metrowych, przy stropach ogniotrwałych (...)*. Mury ogniotrwałe należało stosować co 25 m w budynkach nieogniotrwałych.

Ważnym elementem bezpieczeństwa ludzi były schody ogniotrwałe, przewidziane zawsze dla budynków o więcej niż dwóch kondygnacjach. W budynkach dwukondygnacyjnych należało je zastosować, *jeśli odległość tych schodów od środka najdalszego przeznaczonego na pobyt ludzi pomieszczenia (pokoju), znajdującego się powyżej parteru, przekracza 20 metrów* (można było nie wykonywać tych schodów, jeśli zastosowano dwoje schodów nieogniotrwałych).

Przewidziano, że lokalna władza może zażądać urządzania dodatkowych schodów ogniotrwałych w przypadkach uzasadnionych bezpieczeństwem ludzi. Niezależnie od ogniotrwałości schodów, zabroniono urządzania pod nimi jakichkolwiek palenisk.

W zakresie parametrów ewakuacji wymiary schodów miały być następujące: szerokość użytkowa nie mniej niż 1 m, wysokość stopni do 19 cm, szerokość stopni nie mniej niż 25 cm, a w przypadku schodów zabiegowych (klinowych) – 25 cm w odległości 50 cm od ich zewnętrznej krawędzi.

Wiele miejsca poświęcono lokalizacji pieców, palenisk, przewodów kominowych i kominów. Odległość palnych materiałów konstrukcyjnych od metalowych, nagrzewających się i otwieranych części urządzeń grzewczych: nie mniej niż 50 cm, od ścian kominów 25 cm. Przy zastosowaniu zabezpieczeń (tynkowanie elementów palnych, osłony elementów grzewczych) odległości te można było zmniejszyć o połowę. Kominy należało wznosić na własnych fundamentach, z cegły odpowiedniej jakości, z zachowaniem grubości ścian co najmniej na jedną cegłę (13 cm), z obustronnym tynkowaniem. To wtedy określono zasady, które zna chyba każdy strażak.

Przy pokryciu dachu materiałem ogniotrwałym wysokość komina ponad powierzchnią dachu powinna wynosić co najmniej 30 centymetrów, a odległość górnej krawędzi komina w kierunku poziomym od powierzchni dachu – co najmniej 1 metr. Przy pokryciu dachu materiałem nieogniotrwałym, komin powinien być wyprowadzony do wysokości 60 centymetrów ponad kalenicę. Przepisy dla gmin wiejskich różniły się nieco od miejskich. W zakresie ogniotrwałości budynków była różnica polegająca na tym, że do budynków ogniotrwałych zaliczono: (...) *budynki o obustronnie otynkowanych ścianach z materiałów niezapalnych w szkielecie drewnianym (np. mur pruski) i o pokryciu ogniotrwałym (...)*. Natomiast w miastach nie dopuszczano drewnianych szkieletów budynków. Z drugiej strony o ile w miastach dopuszczano powstawanie budynków nieogniotrwałych i to o dwóch kondygnacjach, dla terenów wiejskich

dopuszczono jednokondygnacyjne, ale tylko tam, gdzie wcześniej nie było to zabronione.

Rozwiązano kwestię pokryć dachowych w ten sposób, że zabroniono naprawy nieogniotrwałego pokrycia materiałem nieogniotrwałym:

- a) *budynków istniejących, a znajdujących się w gminach, w których pokrywanie dachów materiałem nieogniotrwałym jest zabronione i*
- b) *budynków, które nie czynią zadość przepisom o odległościach od granic sąsiadów i od innych budynków.*

Wyznaczono większe niż w miastach bezpieczne odległości od granic sąsiadów: dla budynków nieogniotrwałych – 6 metrów, a dla budynków ogniotrwałych – 3 m, jeśli ściany nie miały otworów (okien i drzwi) od strony sąsiada i 4 m, jeśli je miały.

Przy zakładaniu nowych osiedli odległość wszelkich nieogniotrwałe krytych budynków od granic sąsiadów tudzież od środka przyległej drogi powinna wynosić co najmniej 15 metrów.

Dopuszczono zmniejszenie tych odległości przy zastosowaniu murów ogniochronnych.

Zarówno miejskie, jak i wiejskie przepisy były bardzo czytelne, logiczne i łatwe w stosowaniu nie tylko dla specjalistów. Normy prawne w zakresie ochrony przeciwpożarowej sporządzono z uwzględnieniem zdobyczy nauki i techniki. Dużo miejsca przeznaczono w nich na bezpieczeństwo ludzi i możliwość prowadzenia akcji ratowniczo-gaśniczych. W sumie – ręce same składają się do oklasków.

Miały jednak te nowe przepisy kilka zasadniczych wad, nieleżących w konkretnych zaleceniach technicznych, lecz w uwarunkowaniach polityczno-prawnych: bardzo długie okresy przejściowe, wyjątki oraz uzależnianie stosowania tego prawa od prawa miejscowego. W sumie wszelkie odsunięcia w czasie czyniło nakazy racjonalnej zabudowy miast i wsi martwymi na okres co najmniej 10 lat od dnia ogłoszenia. Dla wsi przewidziano możliwość zaostrenia prawa przez władze lokalne, lecz nikt tego nie zrobił.

Skoro w prawie zagwarantowano absurdalnie długie okresy przejściowe jest oczywiste, że żadne organy nadzoru budowlanego, czy to rządowe, czy samorządowe, nie pały się do wykonywania zadań policji ogniowej. Pozytywne efekty wdrożenia przepisów byłoby widać dopiero za kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt lat, czyli w momencie, gdy w rządzie byłoby osoby z innego już pokolenia. Natomiast konsekwencje wdrożenia prawa, czyli starcie z aktualnym gniewem ludu, z całą pewnością niedoceniającym przyszłych pożytków z niepalności budynków, ponosiłaby władza bieżąca. Na coś takiego żadna władza samorządowa nie zgodzi się bez przymusu.

Wszystkie wymienione wyżej czynniki powodowały, że struktury związane ze stosowaniem prawa budowlanego (a w nim zawierały się przeciwpożarowe przepisy budowlane) najmniej nadawały się do roli policji ogniowej, choć – teoretycznie – były one najbliższe tych spraw pod względem prawnym oraz w dodatku istniały w bardzo podobnym celu, tj. w postaci policji budowlanej. Zdawać by się mogło, że instytucjom odpowiedzialnym za prawidłowość budowania obiektów wystarczyłoby rozszerzyć nieco zadania o sprawy ochrony przeciwpożarowej. Niestety – sprawy te już wtedy były skomplikowane, wymagały zatrudniania specjalistów (inżynierów) od ochrony

przeciwpozarowej. Urzędnicy od spraw budowlanych woleli się tym nie zajmować.

Sytuację pogarszał rząd. Na tyle skutecznie, że wywołał czynny niepokój Stanisława Pągowskiego, na ogół bardzo ostrożnego w formułowaniu opinii na piśmie wobec czynników rządowych. Ale tu wyrażał opinię po dziesiątkach pełnych oburzenia komentarzy w prasie codziennej, poza tym, mimo wszystko, dał jedynie wyraz własnym niepokojom.

Co jest jednak dla naszych rozważań na tem miejscu najważniejsze, to fakt, że zamierzenia Rządu idą w kierunku budowania domów drewnianych. Rząd (...) rozpoczął już wspólnie z samorządami akcję popierania budownictwa tanich domów drewnianych i tą drogą dalej iść zamierza. (...) wypowiedzielibyśmy się zawsze za budownictwem murowanem, a więc, jak go zwiemy – ogniotrwałem. Obecnie nie zamierzamy jednak bynajmniej protestować przeciwko budownictwu drewnianemu⁵⁹.

Dalej były delikatne ostrzeżenia, postulaty zaostreżenia przepisów budownictwa drewnianego (tylko jakich?) i deklaracje współpracy straży pożarnych z rządem, bo tylko wtedy przedsięwzięcie może się udać... I tak dalej pisał Stanisław Pągowski – wyższy funkcjonariusz pożarnictwa, świadek walki Chomicza i Tuliszkowskiego o zaprowadzenie budownictwa ogniotrwałego. Pisał tak w sytuacji, gdy rząd zamierzał zmienić nowe osiedla w stopy łatwopalne, czyli wspomóc wcale nie zanikającą klęskę ogniową. Gdzie protesty władz GZSP RP...?

Oczywiście możemy uwierzyć w następujące optymistyczne informacje:

W wielkich miastach przy magistratach funkcjonują stale komisje przeciwpozarowe, które mają za zadanie pilnie baczyć na bezpieczeństwo ogniowe. W skład takich instytucji obowiązkowo wchodzi: inżynier budowlany, doktor, przedstawiciel straży ogniowej i przedstawiciel bezpieczeństwa publicznego. Komisje te badają urządzenia fabryczne, składy materiałów łatwopalnych i wybuchowych, urządzenia teatrów i kinoteatrów, warunki bezpieczeństwa w gmachach publicznych, jak to w szpitalach, szkołach i t.p.

Z tego widzimy, że akcja ta w miastach dużych daje prawie zupełną pewność troskliwej pieczy nad bezpieczeństwem ogniowym przez specjalne komisje, że obronę przeciwpozarową prowadzą straże ogniowe zawodowe lub ochotnicze z pogotowiem zawodowym.

Gorzej przedstawia się ta sprawa na prowincji t.j. w miasteczkach, osadach i wsiach.

Tam do akcji przeciwpozarowej powołane są w powiatach Sejmiki Rada Gminna, a w miasteczkach Rada Miejska. Tu też istnieją specjalne komisje przeciwpozarowe, które mają za zadanie zapobieganie pożarom; lecz na ogół brak ustawy przeciw pożarowej utrudnia im wykonywanie tych prac, a przepisy istniejące są bardzo stare i zbyt odbiegają od obecnych warunków.

Dodać muszę, że jednak sejmiki i ich przewodniczący w osobach p.p. Starostów doskonale rozumieją doniosłość akcji przeciwpozarowej i bardzo się przyczyniają do ułatwienia tej pracy przez wydawanie okólników i zasiłków na budowanie zbiorników wody i subsydiowania straży ogniowych na zakup narzędzi.

To samo robią w miarę możliwości i magistraty⁶⁰.

⁵⁹ S. Pągowski, *Wobec dążeń w akcji budowlanej*, „Gazeta Strażacka” 1931, nr 14, s. 1.

⁶⁰ J. Sztrömajer, *Obrona przeciwpozarowa*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 9, s. 2.

Cóż powiedzieć. Tak właśnie miało być w zamysłach Bolesława Chomicza. Ale niestety tak nie było nawet w najbardziej wzorcowych placówkach, tylko w sprawozdawczości. Jedynym działaniem było zatrudnienie specjalisty ds. ochrony przeciwpożarowej, czyli... instruktora dla straży ochotniczych. Ale to nie była akcja zapobiegawcza.

Przepisy przeciwpożarowe w systemie czy poza systemem ochrony przeciwpożarowej?

Oprócz wspomnianego wyżej prawa budowlanego, będącego w istocie warunkami technicznymi, jakim powinny odpowiadać budynki i ich usytuowanie, powstał w wolnej Polsce szereg przepisów przeciwpożarowych, o których strażacy, a chyba i ubezpieczyciele, nie mieli większego pojęcia. Bardzo dobrze, że te przepisy powstawały, gdyż podobnie jak prawo budowlane (abstrahując od jego okresów przejściowych), wyznaczały warunki brzegowe bezpieczeństwa już w zakresie projektowania różnych obiektów. Bardzo źle, że dosłownie nie było komu sprawować nadzoru nad ich przestrzeganiem. Oto ich krótkie charakterystyki, dla zrozumienia istoty problemu.

Rozporządzenia Porządkowe Wojewody Poznańskiego

Wojewoda Poznański ma pierwszeństwo, bo już w 1923 r. wydał na podstawie pruskich ustaw z dnia 11 marca 1850 r. oraz z dnia 30 lipca 1883 r. rozporządzenie policyjne, w którym określił zadania dla miast i gmin w zakresie ochrony przeciwpożarowej⁶¹. Rozporządzenie to nakładało na miasta obowiązki związane z czynnym zwalczaniem pożarów, w tym m.in. powoływanie ochotniczych i przymusowych straży pożarnych, sprawowanie nad nimi nadzoru, zapewnienie wody do gaszenia pożarów, zapewnienie zaprzęgów konnych do transportu sprzętu i strażaków, wystawianie posterunków przeciwpożarowych w miejscach szczególnie zagrożone pożarem (imprezy masowe, przedstawienia teatralne)⁶².

Dalej Wojewoda Poznański decyzją z dnia 25 marca 1923 r. opublikował rozporządzenie policyjne dotyczące zapobiegania pożarom, a wydane przez Prezesa Rejencji Poznańskiej dnia 21 czerwca 1912 r., w którym wprowadził obowiązek zachowania największej ostrożności przy użyciu ognia i światła, zapewnienia dojazdów do posesji oraz dróg ewakuacyjnych w budynkach, przestrzegania zasad bezpieczeństwa przy przechowywaniu materiałów łatwopalnych, bezpiecznego użytkowania piecy i innych palenisk, przeciwpożarowe wymagania przy omlotach, dopilnowanie przeprowadzania czyszczenia kominów. Ustalono również obowiązek wyposażania budynków krytych słomą w drabiny oraz tłumice, a warsztaty i zakłady, w których stosowano materiały łatwopalne, powinny być wyposażone w kadzie z 100 litrami wody oraz 2 czerpakami. (...) Dla zapewnienia przestrzegania

⁶¹ W. Piławski, *Ochrona przeciwpożarowa Czarnkowa Powiatu Czarnkowsko-Trzcianeckiego*, Czarnków 2006, s. 8.

⁶² Tamże.

*ustalonych wymagań w zakresie zapobiegania pożarom, organy miasta i policji zostały zobowiązane do prowadzenia nadzoru nad przestrzeganiem ustalonych przepisów, a wszelkie wykroczenia przeciwko temu rozporządzeniu mają być karane grzywną 60 zł względnie odpowiednim aresztem*⁶³.

Na podstawie powyższego widać, że zapobieganie pożarom stawalo się coraz bardziej. Stan ten miał się utrwalac.

Fosfor biały i żółty...

Z dniem 1 lipca 1927 r. zakazano⁶⁴ używania fosforu białego i fosforu żółtego do wyrobu zapalek lub innych przedmiotów zapalnych. Zakazano też używania, przechowywania, sprzedaży, rozpowszechniania i przywozu z zagranicy produktów zapalnych zawierających zakazane substancje, gdyż obydwa fosfory zapalają się samorzutnie w kontakcie z powietrzem, a przy tym nie daje ich się ugasić w sposób prosty, a środkami domowymi wcale.

Oleje mineralne, czyli paliwa płynne

W II Rzeczypospolitej wydobywano i przetwarzano ropę naftowa. W związku z tym wprowadzono przepis o przechowywaniu i magazynowaniu olejów mineralnych przez zakłady przemysłowe⁶⁵. Oleje mineralne to: ropa naftowa i jej przetwory, gazolina z gazu ziemnego, płynne węglowodory otrzymane z destylacji węgla, ze smoły łupkowej i płynne węglowodory syntetyczne. W zainteresowaniu przepisu były te substancje, których temperatura „zapłonicnia” (dziś zapłonu) była niższa od 100°C przy ciśnieniu 760 mm słupa rtęci.

Oleje mineralne podzielono wówczas na trzy klasy niebezpieczeństwa, zależne od temperatury „zapłonicnia”: I poniżej 21°C, II 21–50°C, III powyżej 50–100°C, uzależniając dalej od tej kwalifikacji sposób przechowywania i magazynowania substancji pod względem ilości i odległości między naczyniami (zbiornikami). Wymagany był dowód stwierdzający, do jakiej klasy zaliczona jest dana ciecz palna. Jeśli dowodu nie było, władza zaliczała substancję do klasy I. Określono też, że obliczeń ilości olejów należy dokonywać w oparciu o maksymalną pojemność naczyń.

Wyznaczono ilości dopuszczane do składowania i stosowania w warsztatach, lokalach „dla sprzedaży drobnicowej”.

Sposób magazynowania określono w zależności od ilości i klasy niebezpieczeństwa oleju, przy czym im większa ilość, tym większym ograniczeniom podlegały lokalizacje danych składów. Składy podzielono na małe, średnie i wielkie. Stacje

⁶³ W. Pilawski, *Ochrona przeciwpożarowa Czarnkowa Powiatu Czarnkowsko-Trzcianeckiego*, Czarnków 2006, s. 8–9.

⁶⁴ Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 22 kwietnia 1927 r. o zakazie używania białego i żółtego fosforu przy wyrobie przedmiotów zapalnych (Dz.U. 1927, Nr 43, poz. 380 i 381).

⁶⁵ Rozporządzenie Ministrów Przemysłu i Handlu, Pracy i Opieki Społecznej oraz Spraw Wewnętrznych z dnia 13 kwietnia 1928 r. wydane w porozumieniu z Ministrem Robót Publicznych o przechowywaniu i magazynowaniu olejów mineralnych przez zakłady przemysłowe (Dz.U. 1928, Nr 53, poz. 508).

paliw były zaliczane do składów małych, bez możliwości składowania ilości większych, niż to określono. Oleje klasy I od 1000 do 7000 l trzymano w beczkach stalowych. Miejsce składowania zależało od dostępu dla straży pożarnych i zabudowy oraz od tego, czy skład był w budynku temu dedykowanym, czy pod gołym niebem, oraz czy miejsce to służyło również innym funkcjom, czy tylko składowaniu. W zbiornikach podziemnych magazynowano zbiorniki o pojemności od 2000 do 6000 l, przy czym zbiornikiem podziemnym był taki, który przykryto ze wszystkich stron warstwą ziemi grubości co najmniej 1 m. Wokół stacji benzynowych, lokalizowanych na ulicach i placach publicznych należało zachować strefy ochronne, przy czym jeśli strefa miała 10 m szerokości, zbiornik podziemny nie mógł przekraczać pojemności 2500 l, a jeśli 15 m – 5000 litrów.

Małe składy olejów II klasy to pojemność łączna naczyń nieulegających rozbiciu (beczki, zbiorniki), znajdowały się one na placach niedostępnych dla osób postronnych oraz w oddzielnych budynkach do 30 tys. l bez pasa ochronnego, a z pasem ochronnym szerokości 15 m – do 50 tys. litrów.

Prostota przepisu była znaczna. Nie obawiano się, że między słowami będą nie-domówienia, bo w polskiej tradycji stanowienia prawa dawano miejsce na intuicję i rozsądek. Oto dane na temat lokalizacji małych składów.

Małe składy mogą być urządzone wszędzie z wyjątkiem gęsto zaludnionych dzielnic osiedli, o ile przepisy budowlane nie stanowią inaczej, z wyjątkiem składów wymienionych w A 3) niniejszego paragrafu [czyli zbiorników podziemnych – PR], które mogą być urządzone wszędzie.

Mogą być urządzone wszędzie... Bądź co bądź chodziło o przechowywanie cieczy palnych, których pary wybuchają w każdych warunkach, więc urządzenie wszędzie podlegało kontroli administracyjnej. Oto jak:

Urządzenie małych składów zatwierdza władza przemysłowa I instancji. Do podania o zatwierdzenie należy dołączyć w 3 egzemplarzach opis i plan sytuacyjny składu w skali 1:1000, plan orientacyjny w skali 1:5000 uwidaczniający zabudowanie terenu w promieniu 20 m dookoła składu (mury, drzwi i okna budynków, wychodzące do składu). W opisie składu należy podać rodzaj, ilość i rozmieszczenie poszczególnych partij magazynowanych olejów, ewentualnie i sposób przechowywania próżnych beczek.

Odnosnie do składów średnich i wielkich można powiedzieć, że rosły zarówno ilości składowanych olejów danych klas niebezpieczeństwa, jak i szerokości pasów ochronnych (do 30 m), przy czym można było je lokalizować poza granicami osiedli, czyli już nie wszędzie. Lokalizację średnich i wielkich składów zatwierdzała władza przemysłowa II instancji, przy czym miały one obejmować teren w promieniu 50 metrów.

A co z olejami III klasy niebezpieczeństwa? Znów pełna prostota:

§ 13. Przechowywanie i magazynowanie olejów mineralnych III klasy niebezpieczeństwa podlega jedynie warunkom wymienionym w § 8 [zakaz używania światła lub ognia

otwartego oraz palenia tytoniu – PR] oraz w części IV załącznika niniejszego rozporządzenia [m.in. ograniczenia co do lokalizacji w budynkach, zasady bezpiecznego świetlenia składów, zapewnienie wentylacji pomieszczenia, zapewnienie możliwości wychwycenia 2/3 pojemności zbiornika w razie jego nieszczelności – PR].

Magazynowanie ilości ponad 15 000 litr. Wymaga zatwierdzenia projektu urządzenia przez władzę przemysłową I instancji.

Jak widać, biurokracja nie była znanadto uciążliwa w okresie międzywojennym.

W II części rozporządzenia zawarto załącznik pt. *Zasady technicznego wykonania przepisów o magazynowaniu i przechowywaniu olejów mineralnych*. Zasady te nieco komplikowały uregulowania zawarte w zasadniczej części przepisu, ale były niezbędne. Podano wymogi dla: naczyń hermetycznych, oświetlenia składów, wymagań ogniotrwałości budynków, oddzieleń ogniotrwałych części magazynowych od części przeznaczonych do pobytu ludzi, bezpiecznego nalewania olejów mineralnych. Zawarto również, w jakich warunkach terenowych i częściach budynków nie wolno urządzać składów i magazynów olejów mineralnych, nakazano odpowiednie oznakowanie terenu składów (np. tabliczki z zakazem wstępu, czytelne informacje o karach porządkowych za nieprzestrzeganie zakazów). Podano parametry pasów ochronnych. Określono też sposób budowania i ochrony zbiorników podziemnych i nadziemnych. Interesująco określono sposób zabezpieczenia zbiornika przed rozrywaniem przez ciśnienie (i podciśnienie) par cieczy, tj. poprzez zastosowanie przewodów oddechowych, tudzież zabezpieczenie przed dostaniem się do nich płomienia, tworząc coś w rodzaju pierwotworu bezpiecznika ogniowego.

W pobliżu najwyższego punktu zbiornika należy umieścić rurę metalową odpowiedniej średnicy i wysokości, służącą do wypuszczania gazów, przyczep wylot jej powinien być zaopatrzony w ochronę zapobiegającą przedostawaniu się ciał obcych oraz tak położony, aby wydobywające się zeń gazy nie zbierały się w pobliżu zbiorników.

W rurze należy umieścić w równych od siebie odstępach trzy siatki Davy'ego z miedzi, mosiądzu lub innego nierdzewiącego metalu – w ten sposób, aby je można było bez trudności kontrolować, czyścić lub odnawiać. Zamiast siatek można używać i innych równie skutecznych urządzeń (jak np. zaworów piaskowych, wiązek drutu, zaworów z rurek włoskowatych, zamknięć hydraulicznych lub rur oddechowych) uznanych przez władze przemysłowe.

Radzono sobie również z elektrycznością statyczną. Przepis, którego obszerny wybór przedstawiono wyżej, obowiązywał aż do lat 60. XX wieku.

Taśma filmowa

Jest przepis przeciwpożarowy okresu międzywojennego, obowiązujący do dziś! Ściśle związany jest z fabrykami snów. Polski, międzywojenny przemysł filmowy rozwijał się bardzo prężnie. Niestety, wytwory końcowe rejestrowanie były na wybitnie łatwopalnym produkcie – taśmie celuloidowej. Spowodowała ona niejedną groźny pożar, więc szybko nauczono się z nią postępować. W warunkach polskich powstał

w tym zakresie odpowiedni i całkiem szczegółowy przepis⁶⁶, który nakazywał postępować z taśmą filmową prawie tak samo ostrożnie, jak z dynamitem.

Określono, że przepis dotyczy pomieszczeń, przeznaczonych do przechowywania ponad 35 kg taśmy celuloidej. Zabroniono umieszczania taśmy filmowej w wystawach sklepowych. W pracowniach zabroniono gromadzenia jej ponad 300 kilogramów. Musiała ona być przechowywana w specjalnie do tego przeznaczonym pomieszczeniu, o ścianach i stopie wykonanych z materiałów ogniotrwałych. Jeśli ilość taśmy filmowej przekraczała 100 kg, należało ją lokalizować na najwyższej kondygnacji budynku. Okna pracowni należało oszkląć szkłem matowym, nieprzepuszczającym promieni słonecznych. Wszelkie procesy z ogniem otwartym były w pracowni zabronione, a ogrzewanie mogło być tylko centralne lub przy pomocy pieca kaflowego z paleniskiem zlokalizowanym w innym pomieszczeniu. Poza godzinami pracy taśma filmowa musiała być zawsze zamknięta w pudełkach metalowych.

Dalej określono surowe wymagania dla składów taśmy filmowej przekraczających 300 kg tego produktu. Nad składem nie wolno było urządzać żadnych pomieszczeń użytkowych. Odległość składu od klatki schodowej nie mogła przekraczać 4 m. Ściany oddzielające składy od innych pomieszczeń powinny być wykonane z cegły o grubości ok. 55 cm (wliczając pustkę wentylacyjną o grubości 13 cm), bądź jeśli je wykonano z innych materiałów ogniotrwałych, to o równoważnej odporności na ogień. Do pomieszczeń składowych powinien prowadzić przedsionek o powierzchni nie mniejszej niż 4 metry kwadratowe.

Ponadto określono szereg wymagań, jakie powinny spełniać instalacje grzewcze i elektryczne, oraz zasady pracy z taśmą filmową.

Pasy przeciwpożarowe wzdłuż linii kolejowych w lasach

W 1930 r. ukazał się przepis określający sposób wykonywania pasów przeciwpożarowych⁶⁷ (w czym należy dopatrywać się działania Józefa Tuliszkowskiego, zatrudnionego w Ministerstwie Komunikacji), upoważniający Ministra Komunikacji do wydawania odpowiednich zarządzeń, ale wskazany minister nie skorzystał z danego mu prawa i rozporządzenia nie wydał. Przepis wykonawczy zaczął obowiązywać dopiero w 1934 r., już po zakończeniu pracy Tuliszkowskiego w kolejnictwie, gdy sprawę tę uregulowano ustawowo⁶⁸, co ukształtowało sposób myślenia o pasach przeciwpożarowych aż po dzisiejsze czasy.

Zarząd kolei ma prawo za odszkodowaniem (...) urządzać i utrzymywać na obcym gruncie pasy ochronne przeciwpożarowe i zasłony odśnieżne.

⁶⁶ Rozporządzenie Ministrów: Robót Publicznych, Spraw Wewnętrznych, Przemysłu i Handlu oraz Pracy i Opieki Społecznej z dnia 7 maja 1929 r. w sprawie przechowywania taśmy celuloidej (filmu) (Dz.U. 1929, Nr 36, poz. 327).

⁶⁷ Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 30 października 1930 r. (Dz.U. 1930, Nr 76, poz. 599) o oddaleniu od terytorium kolejowego budynków i składów materiałów oraz o szerokości pasa ognioochronnego.

⁶⁸ Ustawa z dnia 13 marca 1934 r. o oddaleniu budowli, składów, zadrzewienia i robót ziemnych od linii kolejowych oraz o pasach ochronnych przeciwpożarowych i zasłonach odśnieżnych (Dz.U. 1934, Nr 28, poz. 220).

Koszty urządzenia i utrzymywania pasów ochronnych przeciwpożarowych i zasłon odśnieżnych ponosi zarząd kolei, jednakże w przypadkach, gdy zadrzewienia (zakrzewienia), powodujące potrzebę pasów ochronnych przeciwpożarowych, powstały po wybudowaniu kolei, urządzenie i utrzymanie tych pasów oraz związane z tym koszty obciążają właścicieli zadrzewionych (zakrzewionych) gruntów.

Zgodnie z ustawą szczegóły wykonania pasów miało regulować odpowiednie rozporządzenie, które ukazało się jeszcze w tym samym roku⁶⁹. Podobnie jak ww. ustawa, owo rozporządzenie stało się kluczowe w sporządzeniu późniejszych edycji przepisów, łącznie z dzisiejszymi. Wówczas widziano to tak:

W obrębie lasów powinny być urządzone z obu stron linii kolejowych pasy ochronne, w celu zabezpieczenia lasów od pożarów, mogących powstawać od iskieł przejeżdżających parowozów. Pasy przeciwpożarowe powinny być urządzone tylko tam, gdzie koszty ich urządzenia pozostają w odpowiednim stosunku do strat, mogących powstać wskutek pożaru.

Służące do zabezpieczenia lasów przed pożarami pasy ochronne (§ 1) powinny składać się z dwóch drózek o szerokości od 1 do 1,5 m każda, przeprowadzonych równolegle do linii kolejowej, w odległości od 10 do 15 m jedna od drugiej i łączonych między sobą co 25-50 m drózkami poprzecznymi tej samej szerokości co i podłużne. Pierwsza równoległa do linii kolejowej drózka powinna być założona w odległości od 2 do 5 m od dolnej krawędzi nasypu lub górnej krawędzi przekopu. Drózki powinny być całkowicie oczyszczone od wszelkiej roślinności, na gruntach zaś torfiastych posypywane piaskiem. Prostokąty między drózkami powinny być zadrzewionej wybór gatunku drzew t. j. liściastych czy iglastych zależy od rodzaju gleby. Gałęzie drzew powinny być obcinane do wysokości 1,5 m od powierzchni ziemi, pozatem prostokąty należy oczyszczać z krzaków, suchych liści, gałęzi i t. p.

Przepis ten obowiązywał w zacytowanej treści do 1962 r., a jako pasy Kienitza do drugiej dekady XXI wieku, gdy dopuszczono zamiast nich wykonywanie jednego pasa o szerokości 4 metrów.

Rozporządzenie porządkowe Wojewody Warszawskiego i Wojewody Wołyńskiego

Stanisław Twardo, Prezes Zarządu Głównego Związku Straży Pożarnych RP, nie dokonał wiele na tym stanowisku. O wiele więcej uzyskał na polu ochrony przeciwpożarowej jako Wojewoda Warszawski. Mianowicie wydał w dniu 31 maja 1929 r. długie na cztery strony dziennika urzędowego rozporządzenie porządkowe w sprawie zapobiegania pożarom na terenie Województwa Warszawskiego⁷⁰. Takiego przepisu brakowało nie tylko w województwie warszawskim, ale w skali całego kraju. Dzięki

⁶⁹ Rozporządzenie Ministra Komunikacji z dnia 7 września 1934 r. wydane w porozumieniu z Ministrami: Spraw Wewnętrznych oraz Rolnictwa i Reform Rolnych o urządzaniu i utrzymywaniu pasów ochronnych przeciwpożarowych i zasłon odśnieżnych (Dz.U. 1934, Nr 84, poz. 759).

⁷⁰ Rozporządzenie porządkowe Wojewody Warszawskiego z dnia 31 maja 1929 r. w sprawie zapobiegania pożarom na terenie Województwa Warszawskiego (Dz.Urz. Wojew. Warszawskiego Nr 6 z dn. 5 czerwca 1929 r., poz. 144), treść rozporządzenia powtórzono w opracowaniu zbiorowym *Bezpieczeństwo pożarowe w województwie warszawskim*, Warszawa 1929.

temu Henryk Józefski Wojewoda Wołyński wydał pół roku później nieco różne w tytule, ale niemal identyczne w treści rozporządzenie⁷¹.

Rozporządzenie Wojewody Warszawskiego składało się z czterech działów: Zapobieganie pożarom, Obowiązki ludności w razie wybuchu pożaru, Organizacja akcji ratowniczej, Przepisy końcowe (odpowiedzialność karna).

Zapobieganie pożarom zawierało szereg czynności zabronionych i zaleceń porządkowych. W jego treści określono, w jaki sposób używać i nie używać ognia otwartego. Zakazano: strzelania w obrębie budynków z ładunków z palnymi przybitkami, pozostawiania dzieci bez dozoru w warunkach umożliwiających im wzniesienie ognia, rozpalania ognia w paleniskach pieców i kuchni przy pomocy łatwopalnych płynów, gromadzenia w zakładach stolarskich wiórów i trocin ponad produkcję dzienną.

Znajdujemy tu pierwowzór dzisiejszych przepisów.

Określono zasady bezpiecznego palenia śmieci i odpadków oraz wypalania beczek: w odległości nie mniejszej niż 100 m od budynków lub stert. Wypalanie łąk, sitowia i ściernisk było dozwolone, *ale po uprzednim zawiadomieniu władzy gminnej lub posterunku policji, albo najbliższej straży pożarnej i winno się dobywać zawsze w warunkach, uniemożliwiających przeniesienie się ognia na zabudowania lub lasy*⁷².

Podgrzewanie smoły, asfaltu i dziegiu możliwe było w odległości nie mniejszej niż 6 m od zabudowań i łatwo zapalnych przedmiotów, z kotłem zakrytym pokrywą i z niezbędną ilością piasku do zasypania płomienia.

Wojewoda Warszawski zakazał rozpalania ognisk w odległości 100 m od lasów w okresie od 1 kwietnia do 1 listopada. Podał przy tym zasady bezpiecznego rozpalania ognisk:

- a) *przed rozpaleniem ogniska winna być zagrabiona ściółka w promieniu 1 metra od ogniska,*
- b) *ogniska należy nieustannie pilnować,*
- c) *przed opuszczeniem ogniska należy je zgasić i zasypać ziemią*⁷³.

W okresie, kiedy palenie ognisk w lasach było zabronione, nie wolno też było palić tytoniu osobom w nich niezatrudnionym. Mamy obecnie kłopot z fajerwerkami. Wówczas z problemem poradzano sobie następująco.

*Palenie ogni sztucznych, puszczanie rakiet, fajerwerków w pobliżu osiedli wiejskich dozwolone jest za uprzednim zezwoleniem zarządu gminy i w każdym razie nie bliżej, niż w odległości 200 metrów od najbliższych budynków, stert, lasów, zagajników itp. W miastach i osadach powyższe czynności mogą być skutecznie za zezwoleniem zarządu gminy w warunkach, uzależnionych od okoliczności miejscowych*⁷⁴.

⁷¹ Rozporządzenie Wojewody Wołyńskiego z dnia 13 listopada 1929 r. o zapobieganiu pożarom (Wołyński Dziennik Wojewódzki Nr 15, poz. 171).

⁷² Tamże.

⁷³ Tamże.

⁷⁴ Tamże.

Mimo całkiem sporej dozy zakazów rozporządzenie nie przewidywało zakazu składowania palnych materiałów na strychach oraz zastawiania klatek schodowych. Musi to dziwić, gdyż „zakaz strychowy” to najstarszy ze wszystkich przepisów (i najmniej w historii przestrzegany, z najtragiczniejszymi skutkami dla całości ludzkich osiedli, poczynawszy od wsi a skończywszy na miastach).

Obowiązki ludności dotyczyły ułatwień w walce z pożarami zarówno w pierwszej fazie ich rozwoju, jak i prowadzenia regularnej akcji gaśniczej.

Tam, gdzie pokrycie dachów było łatwopalne, każdy właściciel nieruchomości powinien posiadać gotowe do użytku na wypadek pożaru w każdym budynku: wiadro, siekierę, łopatę, tłumicę. W warsztatach, gdzie trwała obróbka materiałów palnych (np. w stolarni, tkalni itp.), należało mieć kadzie z wodą, dwa wiadra oraz ewentualnie gaśnice.

W przypadku pożaru właściciele studni, stawów, sadzawek, jezior musieli udostępnić je do czerpania wody na rzecz akcji gaśniczej, urządzając dojścia, a nawet dojazdy do tych obiektów.

W razie wezwania wójta, sołtysa, policji lub kierownika oddziału straży pożarnej należało udostępniać do celów akcji gaśniczej konie z uprzężą i z obsługą, narzędzia do gaszenia, a także przyjąć do przechowywania mienie pogorzalców. Na wezwanie tych samych czynników władczych należało wziąć osobisty udział w akcji gaśniczej. W przypadku pożaru lasu do jego gaszenia mieli się zgłosić wszyscy okoliczni mieszkańcy niewykonujący pracy.

Organizacja akcji ratowniczej uczyniła ją obowiązkiem powszechnym wszystkich ludzi. Obowiązkowe były „stróże nocne” wyposażone w przyrządy alarmowe, których użycie bez potrzeby było zabronione. W każdej miejscowości miał być dzwon alarmowy. Poleceniom kierownika akcji należało się podporządkować.

Przeglądu gotowości sprzętowej i operacyjnej ludności miał dokonywać co najmniej raz na rok, w szczególności w porze letniej, wójt gminy (burmistrz) osobiście, bądź wyznaczona przez niego osoba w obecności przedstawiciela straży pożarnej. Miał też sprawdzać, czy ludność przestrzega przepisów zabezpieczających przed wybuchem pożaru, a każdy mieszkaniec miał udostępnić własną posiadłość do kontroli.

Przepisy końcowe były bardzo istotne, gdyż szereg zakazów, nakazów i obowiązków zawartych w rozporządzeniu zamykał się w odpowiedzialność karną: grzywnę do 500 złotych lub karę aresztu do 14 dni, bądź obydwie te kary łącznie. Jeśli wykroczenie popełniła osoba niepełnoletnia, odpowiedzialność spoczywała na osobie sprawującej nad nią prawną opiekę.

Pilnować tego mieli: wójt, burmistrz, sołtys i zwyczajna policja porządkowa, ale wszystko to wyłącznie w odniesieniu do podstawowych obowiązków ludności. Podmiotów sprawujących kontrolę było aż za wiele, zaś kompetencje bardzo ograniczone, gdyż nie określono, co i jak mieliby robić owi wszyscy policjanci ogniowi w przypadku stwierdzenia nieprawidłowości.

W dodatku skuteczność działań policyjno-ogniowych zależała od obecności w składzie inspekcyjnym znajdującego się na rzeczy strażaka. Teoretycznie – w porządku. W praktyce takich strażaków ciężko było znaleźć, z powodów już nam znanych: zawodowych inspektorów i instruktorów było stanowczo za mało, jak na potrzeby (istniało kilkunastu na województwo), zaś przeważający liczebnie strażacy ochotnicy i sprawujący władzę nad nimi lokalni politycy nie kwapili się do zadań zapobiegawczych.

Na tym jeszcze nie koniec działań prezesa wszystkich strażaków na terenie tylko jednego województwa. Wojewoda Twardo postanowił wydać poradnik skierowany do strażaków⁷⁵. Zamieścił w nim zarówno omówione wyżej rozporządzenie, jak i komentarz do niego, autorstwa Jerzego Kowalczewskiego. Dalej Konstanty Wyszynski, niegdyś współpracownik Chomicza, opisał stan ochrony przeciwpożarowej województwa, przytaczając dane statystyczne nt. liczby i wielkości pożarów oraz ilości sprzętu gaśniczego w strażach pożarnych. Poradnik mieścił jeszcze kilkanaście artykułów, m.in. o historii straży pożarnych w województwie, wzory statutów dla straży pożarnych, instrukcje do ćwiczeń ze sprzętem strażackim, wykaz strażackich władz (w korpusie inspekcyjnym zatrudniono 18 oficerów, obsługujących 23 okręgowe związki straży pożarnych), wykaz wszystkich ochotniczych straży pożarnych w województwie (kilkaset). Dawało to całkiem solidną samowiedzę strażackim władzom.

Po zapoznaniu się z działaniami Stanisława Twardy jako wojewody nasuwa się pytanie: dlaczego nie zdziałał tak jako minister, mimo że był w swojej karierze również Ministrem Spraw Wewnętrznych? Dlaczego nie wytworzył zwornika systemu w postaci policji ogniowej w sensie administracyjnym i władczym? Dlaczego nie wytworzył komórki fachowej, która spajałaby wszystkie wysiłki organizacyjne na rzecz ochrony przeciwpożarowej przynajmniej jako opiniodawca? Albo dlaczego Stanisław Twardo nie uczynił również zbyt wiele jako prezes wszystkich strażaków? Tym bardziej, że jego podwładni wypracowali odpowiednie koncepcje, które tylko wystarczyło przekuć w prawo i doprowadzić do jego ustanowienia. Oto, co wydarzyło się w czasie jednej z porad inspektorów i instruktorów pożarnictwa, czyli strukturalnej siły fachowej Głównego Związku Straży Pożarnych RP.

Próba ulokowania policji ogniowej w strażach pożarnych

W dniach 17–19 lutego 1930 r. odbyła się w Warszawie odprawa i konferencja inspektorów i instruktorów pożarniczych, czyli zawodowej siły Głównego Związku Straży Pożarnych, której zasadniczym zadaniem był nadzór nad działalnością OSP. Udział w naradzie wziął Józef Tuliszkowski, niezajmujący co prawda głosu, ale sama jego obecność mogła inspirować lub zniechęcać do działania. A w czasie tej narady działo się bardzo dużo.

⁷⁵ S. Łopatto i in. (red.), *Bezpieczeństwo pożarowe w województwie warszawskim*, Warszawa 1929.

Środowisko instruktorsko-inspektorskie w ostrych słowach wyrażało swoje opinie o pracy, jaką przyszło mu wykonywać. Z jednej strony nie było to miłe dla Tuliszkowskiego, wszak to on wpadł przed laty na pomysł, by prawidłowość działania strażaków ochotników sprawdzali instruktorzy pożarnictwa. Z drugiej strony mógł być zadowolony, bo właśnie ziściły się jego obawy, że ochotnicy pozostawieni sami sobie, bez fachowego nadzoru i doradztwa, nie będą działać skutecznie, a tym nie będzie można dawać im żadnych ambitniejszych zadań. Mógł też Tuliszkowski odczuwać satysfakcję, że przez niedoszacowanie etatów w służbie instruktorskiej (postulował min. 1 etat na powiat, a do niektórych powiatów dodatkowo 2–3 pomocników, tymczasem jeden instruktor obsługiwał 2–3 powiaty) jest ona przeciążona i niewydolna. Bo instruktorzy narzekali, że ich praca nie ma nic wspólnego z twórczym nadzorem nad wydatkowaniem pieniędzy przez poszczególne OSP, organizacją szkoleń czy podnoszeniem poziomu ochrony przeciwpożarowej. Wszystko przedstawiało się odwrotnie, bo zamiast coś budować (np. z uwzględnieniem zasad etycznych, proponowanych swego czasu przez Bolesława Chomicza), użerali się z ochotniczymi strażami pożarniczymi o sprawy dosłownie podstawowe.

Warunki służby były takie, że jeden instruktor przypadał na 60–100 straży pożarnych, co czyniło z niego człowieka osamotnionego, a w dodatku poddanego na skutek skarg szykanom. Zatrudniały ich bowiem związki okręgowe straży pożarnych, które nie zwracały uwagi na sytuację rzeczywistą, tylko na rzekome zniewagi wobec OSP i nienależyte im słuzenie wiedzą i pracą instruktorską.

Na skutek tego Korpus Techniczny Głównego Związku Straży Pożarnych RP składał się z grona osób zgorzkniałych i nierzadko swojej pracy nienawidzących. Skoro zebrano ich w jednym miejscu, by przekazać piękne, a wielce nieprzydatne im myśli urzędowe, wyrazili swoje niezadowolenie tak, by nikt nie wątpił w ich przekaz. Ich władza naczelna, czyli Główny Inspektor Związku, zadowolona nie była. Nie znalazła żadnych słów pocieszenia dla podwładnych, za to poczucie sprawiedliwości i ładu próbowała zaprowadzić lajaniem i groźbami. Mowa tutaj była m.in. o oczyszczeniu Korpusu Technicznego z ludzi nieodpowiednich, których to liczono na kilkanaście osób, a zatem ponad 10% całości.

Oprócz wzajemnych narzekań i niemożności, czego istotne ślady mamy w wystąpieniu Głównego Inspektora Związku, kilku fachowców wygłosiło zaplanowane na naradę referaty. Jeden z nich dotyczył interesującej nas kwestii policji ogniowej. Jego autorem był Adam Biedroń-Kalinowski, były oficer wojskowy, bardzo przejęty jednak stanem ochrony przeciwpożarowej nie tylko ze względu na sprawowaną funkcję (był inspektorem Związku Straży woj. Krakowskiego), ale również poprzez tragedię życiową: jego żona straciła życie w pożarze⁷⁶. Ten człowiek próbował rozwiązać trzy problemy trapiące ochronę przeciwpożarową. Pierwszym był brak policji ogniowej.

⁷⁶ O tym fakcie dowiedziałem się od Władysława Piławskiego znającego osobiście Adama Biedronia-Kalinowskiego (niepublikowany wywiad z Władysławem Piławski, przeprowadzony w dniu 28 stycznia 2015 r.).

Drugim – brak do niej kadr. Trzecim – frustracja kadry instruktorskiej jałowością, a właściwie bezsensem jej działań. Otóż Adam Biedroń-Kalinowski zaproponował połączenie tych trzech czynników w jeden z pożytkiem dla wszystkich.

Przymusowym środkiem zabezpieczenia przeciwpożarowego jest stosowanie i przestrzeganie obowiązujących ustaw państwowych oraz przepisów samorządowych. W obecnej chwili w Państwie naszym obowiązuje szereg ustaw, które pośrednio lub bezpośrednio, stanowią przymusowy czynnik zabezpieczenia przeciwpożarowego. Jeśli atoli wyniki akcji tych ustaw są albo negatywne, albo bardzo małe, jest to wina braku fachowego nadzoru i braku koniecznej w tym celu organizacji w osiedlach ludzkich, t.j.: miastach i miasteczkach, osiedlach i wsiach⁷⁷.

Dalej autor omówił rolę samorządów w zabezpieczeniu mienia, rolę gmin w zakresie prawa budowlanego oraz fakt, że województwa południowe i zachodnie (czyli były zabór austriacki i pruski) posiadały ustawę przeciwpożarową, zaś województwa centralne (czyli były zabór rosyjski) – nie. Brak ustawy był jak najbardziej brakiem poważnym, a zaniedbaniem krzyczącym (władze Związku nie brały tego jako wyrzutu do siebie). Istniejące ustawy to oczywiście przepisy wydane przez zaborców, jeszcze niezmienione z powodu braku prawa krajowego, zatem obowiązujące w 12 lat po odzyskaniu niepodległości.

Autor dał szereg pomysłów, wziętych z pragmatyki ustaw pochodzenia niemieckiego. Dodał jednak od siebie, że nadzór nad obowiązkami gmin oraz przedsięwzięć, mających na celu ochronę przeciwpożarową, powinien spoczywać na wyspecjalizowanych organach fachowych, czyli nie w policji porządkowej, jak w Niemczech. Te kompetencje w warunkach polskich widział w wojewódzkich inspektoratach pożarniczych Związku.

Zakończył wystąpienie znanymi słowami:

Niniejszy referat dotyczy tylko organizacji zabezpieczenia przeciwpożarowego, nie wkraczając ani na chwilę w szczegóły wykonania fachowego, czyli poszczególnych instrukcji, gdyż te ostatnie mogą mieć tylko wtedy wpływ na poprawienie się stanu zabezpieczenia przeciwpożarowego gminy, powiatu, województwa i Państwa, gdy znajdą zorganizowany aparat wykonawczy, - który w tej chwili jest już zmontowany przez Główny Związek Straży Pożarnych R.P. i jego części składowe są na terenie całego państwa, oczekując przekazania mu tych agend przez właściwe władze⁷⁸.

Powyższe słowa to nic innego, jak próba utworzenia policji ogniowej na bazie inspektorów i instruktorów związkowych, bo inna kadra fachowa, którą mógłby mieć na myśli autor referatu, nie istniała. Próbę podjęto w czasie najlepszym z możliwych. Wtedy bowiem na czele Zarządu Głównego Związku Straży Pożarnych stał Stanisław Twardo, który w roku poprzednim, jako wojewoda warszawski, wydał rozporządzenie porządkowe dotyczące spraw ochrony przeciwpożarowej.

⁷⁷ A. Biedroń-Kalinowski, *Organizacja zabezpieczenia przeciwpożarowego (Referat insp. Związku Str. woj. Krakowskiego, D-ha A. Biedroń-Kalinowskiego)*, „Przegląd Pożarniczy” 1930, nr 9-10, s. 202.

⁷⁸ Tamże.

Niestety, głos referenta był głosem wołającego na puszczy. Mówił te słowa do ludzi sobie podobnych, czyli takich, którzy co prawda są siłą fachową, ale przemęczoną i zniechęconą obowiązkami. W dodatku nie mieli władzy, która była w rękach prezesów, czyli polityków, będących strażackimi dyletantami. Ci zaś w ogóle już nie zajmowali się zagadnieniem, gdziekolwiek ta policja ogniowa miałaby się znaleźć, a nawet czy miałaby istnieć. Nie zajmowali się tym, bo nie tylko nie potrafili, ale nawet nie zdawali sobie sprawy, że coś takiego jak policja ogniowa, czyli administracja władczego nadzoru nad przestrzeganiem przepisów przeciwpożarowych, istnieć powinna.

Jeśli bowiem prezesami zarządów powiatowych i okręgowych straży pożarnych byli starostowie, zarządów wojewódzkich wojewodowie, zaś na czele Zarządu Głównego stał wojewoda (urzędnik rządowy) albo prezes PDUW (urzędnik teoretycznie wybieralny, w praktyce rządowy), to skąd miała się brać odpowiedzialna decyzyjność? Przecież ci ludzie byli politykami, piastującymi kluczowe funkcje w ochronie przeciwpożarowej tylko dorywczo i dzięki państwowemu etatyzmowi. O szeroko, czyli prawidłowo pojmowanej ochronie przeciwpożarowej wiedzieli równie niewiele, jak strażacka brać, w głównej mierze ochotnicza, którą zarządzali. Zapobieganie pożarom nijak nie było priorytetem w ich myśleniu. Dopiero nadchodząca II wojna światowa wymusiła spóźnione o tym myślenie i – właściwie – nic więcej.

Co więc było ich priorytetem na tych stanowiskach? Jedno: by strażacka brać nie okazała się antyrządową.

O kształcie ochrony przeciwpożarowej decydowała wola większości, więc akcja przeciwpożarowa przebiegała tak, jak sobie tego życzyła strażacka większość, czyli gaszenia pożarów oraz wspierania struktur organizacyjnych ochotniczych straży ogniowych działalnością biurokratyczną. Tym właśnie zajmowali się owi zgorzkniali instruktorzy, jeżdżący od jednej do drugiej OSP na rowerach lub motocyklach: pomocą w wypełnianiu wniosków, dopilnowaniem prawidłowości zakupów, księgowością, namawianiem do kupna w pierwszej kolejności sprzętu gaśniczego, zamiast wymarzonych mundurów galowych. Przekonywali też do kupna taboru odpowiadającego istotnym potrzebom i możliwościom finansowym, a nie wydumany ambicjom. Między tymi zajęciami instruktorzy obserwowali, że ich ogromne wysiłki naprawdę niewiele pomagały na zmniejszenie palności.

Na niewiele zdało się również i to, że „Przegląd Pożarniczy” po paru latach zwrotu w stronę interwencji, otworzył się na zagadnienie zapobiegania pożarom. O ile od 1926 do 1929 r. artykuły o zapobieganiu pożarom nie przekraczały 2–3 na rok, to od 1930 r. systematycznie ich przybywało. W 1935 r. było już 13 artykułów dotyczących urządzeń przeciwpożarowych i zabezpieczenia przeciwpożarowego obiektów oraz 4 w sprawie zaopatrzenia w wodę do celów przeciwpożarowych, do czego należy doliczyć kilka artykułów z dziedziny obrony przeciwlotniczo-przeciwgazowej, w których traktowano o zabezpieczeniu przeciwpożarowym budynków i zakładów produkcyjnych. Wśród tych artykułów pojawiały się tłumaczenia opracowań obcojęzycznych, np. organizacji policji ogniowej w Szwajcarii, technik

zabezpieczenia przeciwpożarowego budynków, ogniotrwałości konstrukcji budowlanych. To pozytywny efekt zarządzania prezesa Twardo, w tym dorobienia się własnych kadr fachowych, gdyż pośród autorów przeważali liczebnie nad cywilami (świetne artykuły kilku inżynierów) inspektorzy i instruktorzy pożarnictwa.

Niestety, o ile na łamach prasy oficerowie pożarnictwa mieli do powiedzenia coraz więcej i coraz lepiej, to w zakresie zarządzania ochroną przeciwpożarową i prawodawstwa ich głos był całkowicie marginalny. Wszyscy ci ludzie, łącznie z zatrudnionymi w Zarządzie Głównym, zajmowali się kwestią jak najlepszej organizacji ochrony przeciwpożarowej, ale tej czynnej. Pracowano intensywnie na wszystkich szczeblach, czego efektami były normalizacje w zakresie armatury wodnej czy sprzętu ratowniczego. Choć struktura, o której mówił Adam Biedroń-Kalinowski w 1930 r. istniała, z uwagi na jej nieliczność już i tak pracowała na granicy wydolności, a każdy zawodowy oficer w niej zatrudniony miał się między niekompetencjami tych, którym miał władczo pomagać i tych, którym powinien być posłuszny. I naprawdę trudno wskazać, która z tych niekompetencji frustrowała go bardziej.

Głos Adama Biedronia-Kalinowskiego był zawołowany, bo wyraźny głos w tym zakresie nie mógł ukazać się w „Przeglądzie Pożarniczym”. Ukazał się gdzie indziej. Oczywiście, jak można się domyśleć, duży wpływ na to miał Józef Tuliszkowski. Nim do tego przejdziemy, przyjrzyjmy się jeszcze jednej strukturze popadniętej w niepamięć strażackich dziejów.

Kilka słów o Związku Zawodowych Oficerów Straży Pożarnych

Dziewiętnastego grudnia 1926 roku odbyło się w Warszawie zebranie delegatów zawodowych straży pożarnych, korpusu inspekcyjnego Głównego Związku Straży Pożarnych RP i zarządów miast, w którym uczestniczyło 57 osób. Podczas zebrania powołano Związek Zawodowych Oficerów Straży Pożarnych, który postawił sobie następujące zadania: zespolenie zawodowej kadry oficerskiej, podnoszenie jej fachowości, organizowanie i prowadzenie jej kształcenia i doskonalenia zawodowego. Inicjatorem utworzenia Związku był inż. Józef Tuliszkowski, który (...) został jego prezesem. Realizację zadań Związek rozpoczął od okresowego zamieszczania, od 25 grudnia 1927 roku, własnego działu fachowego na łamach Przeglądu Pożarniczego⁷⁹.

Innymi słowy oficerowie strażacy założyli nie tyle nawet związek zawodowy, co własną organizację na rzecz ochrony przeciwpożarowej, w czym frustracje Józefa Tuliszkowskiego odegrały niebagatelną rolę. A skoro był już taki związek i się przyjął, zechciał mieć głos własny, czyli organ prasowy. Początkowo była to rubryka w „Przeglądzie Pożarniczym”, udostępniona częściowo komercyjnie na podstawie umowy, gwarantującej gazecie zwrot kosztów wydania⁸⁰. Wkrótce to prowizorium miało się zmienić.

Związek Zawodowych Oficerów Straży Pożarnych (Z.Z.O.S.P.) powstał oczywiście po to, by podnieść znaczenie tej grupy zawodowej. Nie była ona liczna, np. w jednym

⁷⁹ W. Piławski, *Polska Prasa Pożarnicza*, Warszawa 2002, s. 49

⁸⁰ *Sprawozdanie z czynności władz związku za okres trzyletni*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 4, s. 1.

z walnych zebrań wzięło udział 35 osób⁸¹ (oczywiście nie wszyscy mogli przyjechać do Warszawy), ale jego inicjatorzy mieli bardzo wysokie ambicje i cele działania stawiali sobie wysoko.

Przed wszystkim związek musiał się stać silniejszym liczebnie. W tym celu uchwalono połączenie z Małopolskim Związkiem Straży Zawodowych Pożarnych. Dalej musiał wykazać się fachowością, wykraczającą poza bylejąkość ogólną. Zatem sporządził programy ćwiczeń konkursowych dla zawodowych straży pożarnych oraz kursu dla podoficerów straży zawodowych. Zamiary sięgały dalej, bo nawiązano kontakt z Instytutem Normalizacyjnym – jak należy się domyślać, w celu opracowania norm z zakresu ochrony przeciwpożarowej.

Ponadto podjęto rozmowy z Głównym Związkiem Straży Pożarnych, w celu wejścia w jego struktury. Tu sytuacja zrobiła się dwuznaczna. Wejście w owe struktury nie miało oznaczać zaszerzegowania na niskich stanowiskach. Żądano, by zarząd oficerskiego związku był reprezentowany w Radzie Naczelnej Głównego Związku. Zatem wystąpiłaby sytuacja, w której w skład ciała zarządzającego weszliby wreszcie fachowcy z dziedziny pożarnictwa. Zmieniliby to wiele, bo zdecydowanie zwiększyłby się wpływ fachowców na jakość podejmowanych decyzji – z urzędu był tam dotychczas tylko jeden oficer, tj. Główny Inspektor Głównego Związku Straży Pożarnych, który co do zasady miał jedynie głos doradczy, a nie władczy.

Początkowo zanosilo się, że tak się stanie, że pożarowi zarządzający Głównym Związkiem Straży Pożarnych nie zauważą konkurencji. Członkowie Rady Naczelnej Głównego Związku zachowali jednak czujność – nie po to przed trzema niespełna laty pozbyli się ze swego składu Bolesława Chomicza i zmajoryzowali Tuliszkowskiego, by ich zastąpić kilkoma innymi, podobnego pokroju.

Sprawa ta w fazie zakończenia była przedmiotem obrad na dwóch posiedzeniach Rady Naczelnej Głównego Związku, lecz z powodu należenia do naszego Związku Korpusu Inspekcyjnego Głównego Związku, wylonione zostały obiekcje niektórych członków Rady Naczelnej, że razem będą zasiadać na posiedzeniach Rady Naczelnej przedstawiciele pracodawców i pracowników. Pomimo dobrej woli Zarządu i Komisji Regulaminowej Głównego Związku, na decydującym posiedzeniu Rady Naczelnej o przyjęcie nas na członka Głównego Związku, wytworzona została taka sytuacja, przez liczne opuszczenie posiedzenia członków Rady Naczelnej, że przewodniczący p. Prezes Choromański uznał, iż w tak zdekompletowanym składzie Rady Naczelnej tej sprawy nie może poddać pod głosowanie. Delegaci nasi, przekonawszy się naocznie o nastrojach, a uważając, że wyczerpali wszystkie środki, zmierzające do połączenia się z Głównym Związkiem, które tam nie znalazły należytej oceny i zrozumienia, uznali, że wobec zaszłego faktu dalsze pertraktacje uchybiałyby godności naszego Związku, zakomunikowali o tem Prezesowi Głównego Związku i posiedzenie Rady naczelnej opuścili⁸².

⁸¹ Sprawozdanie z Walnego Zebrania, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 6, s. 1.

⁸² Sprawozdanie z czynności władz związku za okres trzyletni, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 4, s. 2.

Nie był to jednak koniec pomysłów na podniesienie znaczenia organizacji. Jak wiadomo, w jedność siła. Przystąpiono więc do działań scaleniowych z małopolskimi strażakami zawodowymi, a jednocześnie:

Na dalszych posiedzeniach Zarządu naszego Związku wyniesiono uchwały o przystąpieniu do Związku Związków Zawodowych Pracowników Samorządowych R.P., o czym postanowiono wydać okólnik⁸³.

Oprócz tego zapadły jeszcze inne ważne postanowienia, z których możemy dowiedzieć się o istotnych celach działania Związku.

(...) odbyło się posiedzenie Komisji Technicznej w dniu 9.X. 1929 r., które obejmowało uchwały z ostatecznem nawiązaniem stosunków z Instytutem Normalizacyjnym na wzór zagranicy, gdzie Związki zawodowe oficerów są uważane przez sfery rządowe za instytucję, oficjalnie powołaną do tych prac. Również powzięto uchwały o nawiązaniu kontaktu z prywatnymi towarzystwami i ubezpieczeniowcami od ognia, celem uzyskania ekspertyz przy pogorzelnach, i żeby lustracje, przeprowadzane przez Kolegów zaw. oficerów straży w instytucjach rządowych, były uważane jako wykonane przez członków naszego Związku⁸⁴.

Jak widać, oficerski związek strażaków dalece odbiegał od wyobrażenia o organizacji związkowej. Nie powstał w celu wywierania presji na pracodawców, lecz miał cele o wiele wyższe, mniej partykularne, mimo że działał w dobrze pojętym interesie członków. Mianowicie starał się wypełnić ogromną lukę w systemie ochrony przeciwpożarowej, w zakresie: normalizacji, lustracji, akredytowania wyrobów i usług. Skoro Główny Związek nie chciał i nie potrafił wytworzyć takich struktur, ze względu na nieuleczalną chorobę etatyzmu, tuż obok i to siłami jego pracowników, wyrosła mu organizacja konkurencyjna, gotowa wziąć na siebie zadania policji ogniowej. Na razie nie wszystkie, bo bez możliwości oddziaływania władczego na otoczenie, ale uznanie przez administrację rządową np. działań lustracyjnych za miarodajne, bo prowadzone pod egidą tego związku, to znaczący krok w takim właśnie kierunku.

Członkowie Z.Z.O.S.P już robili swoje, w tym dokonywali nawet lustracji zakładów produkujących sprzęt pożarniczy. Certyfikat jakości wydany przez Z.Z.O.S.P. zyskiwał swoją wagę.

To, że część strażaków tworzy klub elitarny z własnym działem w „Przeglądzie Pożarniczym” musiało rezonować w środowisku strażackim, również u władz Głównego Związku. Wyodrębnienie rubryki dla nielicznych w gazecie dla wszystkich, świadczyło o pragnieniu odróżnienia się od pospolitej większości. Mogło to skończyć się źle, mianowicie rozbuchaniem tłącej się nieustannie niechęci strażaków ochotników, a więc również ich przedstawicieli, do nazbyt ambitnej mniejszości. Bo co by szkodziło po prostu zamieszczać w „Przeglądzie Pożarniczym” artykuły z zawartością specjalistyczną, bez przykładania do nich pieczęci „dla zawodowców”? Oczywiście szkodziłoby, gdyż od kilkunastu miesięcy ogólna jakość poznawcza

⁸³ Sprawozdanie z czynności władz związku za okres trzyletni, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 4, s. 2.

⁸⁴ Tamże, s. 3.

artykułów w „Przeglądzie Pożarniczym” spadła, coraz mniej zamieszczano materiałów o zapobieganiu pożarom, a w miejsce informacji weszły propaganda i deklaratywność. Na przykład Tuliszkowski zamiast uczyć ochrony przeciwpożarowej w różnych jej aspektach, opisywał przebieg wycieczek zagranicznych – robił to świetnie, dobrze się przy tym bawiąc, jednak waga poruszanych przezeń spraw była niższa niż w latach 1912–1924. Jednocześnie rozgościła się na łamach urzędowość, a podejmowane próby naśladownictwa stylu Chomicza dawały mizerne efekty, w co górnolotnie celował redaktor naczelny Stanisław Pagowski, pisząc o problemach tak, by ich nie zaczepić. Nawet gdy podejmowano tematy trudne i z rozmachem, jak w nr 1 periodyku z 1928 r. o kolejnictwie, koniec końców urzędowy optymizm brał górę nad identyfikacją problemów.

W gruncie rzeczy „Przegląd Pożarniczy” stał się gazetą już nawet nie popularnonaukową, tylko czymś niewiele lepszym od „Strażaka”, którego tak gwałtownie, a dobitnie skrytykował Tuliszkowski w 1912 roku.

Wziąwszy wszystko to pod uwagę naturalnym było, że jak strażacy-reformatory w 1912 r. potrzebowali własnego organu wydawniczego, tak i teraz nie mogli się bez tego obejść.

Miesięcznik „Strażactwo Zawodowe” (1927–1932)

Pojęcie „strażactwo” pokazuje, jak dalece nasz język zubożał w odniesieniu do czasów dawniejszych. Przecież ono samo określa coś innego niż znacznie szersze pojęcie ochrony przeciwpożarowej, które opisuje całokształt spraw, przedsięwzięć i zasobów, w tym siły i środki. Strażactwo to oczywiście wyłącznie siły. Z kolei pojęcie „zawodowe” mówi samo za siebie.

Założenie periodyku pod tym, jakże wymownym tytułem to najwyraźniejszy znak, że Józefa Tuliszkowskiego może i dało się marginalizować, ale całkiem pozbyć – jak Bolesława Chomicza – już nie. Pan Józef nie ustępował i konsekwentnie realizował jeden ze swoich celów. Skoro nie udało się ze szkolnictwem na wzór szkół oficerskich, to przynajmniej można spróbować zaszczepić kadrze dowódczej etos wiedzy quasi-inżynierskiej. Temu to pismo miało służyć.

Najpierw rubryka w „Przeglądzie Pożarniczym”

Oczywiście nikt tego na głos nie mówił, ani nie utrwalił na piśmie, jednak obniżkę jakości PP po wykołajeniu koncepcji Chomicza i Tuliszkowskiego widać było gołym okiem: o istotnych problemach nie pisano, używano wielkich słów w celu maskowania degrengolady etosu, nie podejmowano trudnych spraw, bo czytelnicy (ochotnicy) nie chcą o nich czytać i się płoszą. Schlebienie niskim gustom zawsze kończy się degeneracją. „Przegląd Pożarniczy” nie można było od tego wyłączyć. I w takiej sytuacji powstaje w „Przeglądzie Pożarniczym” osobny dział pt. „Strażactwo Zawodowe”, kultuwujący co prawda nieostentacyjnie, ale (uwaga!) cele założycielskie gazety „Przegląd Pożarniczy”,

które już dawno zniknęły ze strony tytułowej: ubezpieczenia od ognia, budownictwo ogniotrwałe, straże ogniowe... To musiało drażnić, bo jeśli nie wprost, to podświadomie wytykało nie tylko brak strażackiej wiedzy, ale też brak chęci jej posiadania.

Redakcja rubryki już od pierwszych słów próbowała zapobiec roznieceniu pożaru niechęci ogółu i ich przedstawicielstwa. Zaczęła się ona tak:

Przystępując do periodycznego wydawania tych paru kart, poświęconych zagadnieniom zawodowego strażactwa polskiego i osób, pracujących zawodowo w pożarnictwie – pragniemy zawiązać między nimi ścisły kontakt, którego głównym celem jest podniesienie fachowości i kształcenia zawodowego.

Za sprawę bowiem bardzo ważną i wprost nieodzowną uważamy również ścisłą łączność z istniejącymi Związkiem i Ochotniczymi Strażami Pożarnymi, z którymi jesteśmy związani wspólnymi celami i i zadaniami. To też współpraca i godziwe szlachetne współzawodnictwo przyczynią się, niewątpliwie, do pogłębienia wiedzy i sprawności całego strażactwa polskiego.

Zwracamy się zatem do Sz. Druhów Czytelników z prośbą o współpracę z nami na niwie pożarnictwa ojczystego. Oczekujemy od Was nadsyłania korespondencji, dotyczących różnych przejawów życia fachowego Strażactwa, spostrzeżeń dotyczących akcji ratowniczej i przeciwpożarowej, fachowych zapytań itp., bo te wspólne wysiłki staną się przyczynkiem do pogłębiania wiedzy w dziedzinie taktyki i techniki pożarniczej⁸⁵.

Czytając te słowa trudno oprzeć się wrażeniu, że gdyby nie powstała rubryka „Strażactwo Zawodowe”, redakcja „Przeglądu Pożarniczego” nie zwracałaby się z apelem do czytelników, bo nie miała takiej potrzeby, o nadsyłanie *spostrzeżeń dotyczących akcji ratowniczej i przeciwpożarowej, fachowych zapytań itp.* ...

Osobny i samodzielny miesięcznik

Jak było do przewidzenia, etatyzm i zdrowe ambicje nie mogły bardzo długo mieszkać pod jednym dachem. Rubryka zyskała rzesze czytelników. I choć nie do oficerów czy instruktorów należało podejmowanie decyzji, to przecież oni byli głosem fachowym, doradzającym podejmowanie tych decyzji. Czytelnicy rubryki „Strażactwo Zawodowe” byli zasadniczym celem dla reklamodawców wszelkiego sprzętu pożarniczego, to zaś dawało podstawy do usamodzielnienia rubryki. Jednocześnie rubryka już z końcem 1928 r. zrobiła się za ciasna na treści, jakie zamierzali przekazywać ambitni ludzie. Uwierała też z jednego jeszcze powodu – obu związkom zrobiło się nie po drodze. W 1929 r. rozmowy Głównego Związku Straży Pożarnych i Z.Z.O.S.P. zakończyły się fiaskiem, dlatego własny periodyk stał się koniecznością.

W dziale wydawnictwa naszego organu odbyły się cztery posiedzenia, a mianowicie: 9.X, 14.X, 18.XI i 21.XI.

Na posiedzeniach tych została omówiona sprawa wydawania własnego miesięcznika. Ustalono format, zebrano oferty rozmaitych firm drukarskich, rozpatrzono sprawę zwiększenia

⁸⁵ Słowo wstępne, „Przegląd Pożarniczy” 1927, nr 51–52.

liczby prenumeratorów przez pozyskanie straży zawodowych, kolejowych i fabrycznych; uchwalono szatę i układ pisma, oraz podział organu na: 1) artykuł wstępny, 2) dział zapobiegania pożarom, 3) dział czynnej walki, 4) kronikę pożarów (statystykę) i akcję straży, 5) korespondencje z prowincyj, 6) zapytania i odpowiedzi zawodowe, 7) przegląd prasy fachowej, 8) dział lustracji i komisji, 9) ogłoszenia. (...). Uchwalono również zamieszczać w numerach fotografie i rysunki, związane z technicznymi pracami straży zawodowych. (...) ustalono tytuł organu: „Strażactwo Zawodowe”. Uchwalono wyrobić koncesję pisma na imię Związku z tem, że Naczelnym Redaktorem będzie inż. J. Tuliszkowski⁸⁶.

Zauważmy kolejność działów: najpierw zapobiegać, potem leczyć.

Zatem po dwóch latach więzi z PP nastąpiło rozstanie. Z satysfakcją redakcja informowała o tym fakcie w styczniowym numerze z 1930 r. „Strażactwa Zawodowego”.

Związek Zawodowych Oficerów Straży Pożarnych posiada już własny organ wydawniczy, który powinien być wyrazicielem potrzeb i rozwoju pożarnictwa zawodowego we wszystkich jego dziedzinach⁸⁷.

Wszelkie te dziedziny podejmowano na łamach. My przybliżymy jedną, nieistniejącą w strażactwie systemowo (hasłowo ją wspominano), nieważne zawodowym czy ochotniczym: zapobieganie pożarom.

Postulat kompetencji na stanowiskach władczych w ochronie przeciwpożarowej

Istotny jest tu pewien szczegół – w jaki sposób redakcja, czyli Tuliszkowski, zainicjowała artykuł problemowy, który otworzył niektórym umysły do działania w tym celu (patrz wystąpienie Biedronia-Kalinowskiego w sprawie policji ogniowej). Artykuł nosił tytuł: *Pożarnictwo jako czynnik gospodarczy*. Napisał go Józef Milewski, dowódca Oddziału II w czasie komendantury Tuliszkowskiego w Straży ogniowej m. st. Warszawy, obecnie tytułowany „Komendantem”, w dodatku kawaler Złotego Krzyża Zasługi. Zaledwie jedno zdanie wprowadzenia, a pokazuje ważkość tematu dla środowiska.

Redakcja zamieszcza niniejszy artykuł jako fragment rozważań obszernej treści, zawartej w powyższym tytule⁸⁸.

Oto fragmenty tego artykułu.

Wątpliwą jest rzecz, czy szerokie koła naszego społeczeństwa zastanawiają się nad tem, czem w życiu gospodarczem jest pożarnictwo, i na jakim poziomie winno być ono postawione, aby sprostać swemu zadaniu. Mam wrażenie, że społeczeństwo nie docenia tego, gdyż wysiłki niewielu fachowców w tej dziedzinie, którzy poświęcili się temu zawodowi, pozostają bez oddźwięku. A co smutniejsze, że nawet czynnik powołane do tego, aby dbać o pożarnictwo, traktują je z pewnego rodzaju pobłażliwością, jakby coś w rodzaju nieszkodliwej, a czasami

⁸⁶ Sprawozdanie z czynności władz związku za okres trzyletni, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 4, s. 3.

⁸⁷ Łączmy i uczmy się, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 1.

⁸⁸ J. Milewski, *Pożarnictwo jako czynnik gospodarczy*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 1, s. 2–3.

i ładnej zabawki. Przyczyny owego niedoceniań należy szukać w tem, że pożarnictwo nasze podczas zaborów opierało się wyłącznie na obywatelu ochotniku, gdyż straż zawodowe były pod ścisłym nadzorem zaborców. Straże Ochotnicze, jako prawie jedyne instytucje społeczne na prowincji, siłą faktu poza swoim głównym celem musiały uprawiać i cele uboczne. Z czasem te ostatnie musiały nieraz stać się pierwszemi, bo tak się układały warunki.

Dziś jednak należałoby inaczej pokierować sprawami pożarnictwa, bo nie dość jest dawać subsydja na to, aby, jak niektórzy mniemają, bawiono się w strażaka – „pożarnika”, lecz trzeba mu dać podstawy prawne, trzeba określić zakres jego kompetencji, ująć w pewne ramy jego prawa i obowiązki⁸⁹.

Jest to naprawdę duże odczucie ulgi, gdy natrafia się na treść pisaną, świadczącą o tym, że w całej strukturze ochrony przeciwpożarowej znajdowali się ludzie potrafiący o niej myśleć nie przez pryzmat partykularnych interesów branżowych, a szerzej, jako dobra dla społeczeństwa! Znalazł się wreszcie ktoś (oprócz Tuliszkowskiego), kto boleć nazwał po imieniu. Poniższy cytat zawiera święte doprawdy słowa.

Pożarnictwo na całym świecie już wyszło z pierwszego stadjum rozwoju i przestało służyć wyłącznie do gaszenia pożaru – włożono na nie znacznie poważniejszy obowiązek, bo obowiązek zapobiegania pożarom. Dzisiejszy oficer straży pożarnej musi być nie tylko strażakiem, ale i technikiem w szerokim tego słowa rozumieniu; w przeciwnym bowiem razie nie sprostą zadaniu. Jakże inaczej, niestety, przedstawia się sprawa ta u nas!

Jakie ma kompetencje Oficer Straży Pożarnej u nas, bez względu na to, czy to będzie osobnik, pełniący służbę w straży zawodowej, czy też w straży ochotniczej lub należący do Korpusu Inspekcyjnego? Odpowiedź – żadnych; bo kompetencje, które mają znaczenie wyłącznie doradcze, nie są kompetencjami.

Czytałem przepisy wydane przez jednego z p.p. Wojewodów. Z przepisów tych dowiedziałem się, że na wsi sołtys w dziedzinie pożarnictwa jest wszystkim⁹⁰.

Wyżej, przy omawianiu tego samego aktu prawnego, mieliśmy podobne wątpliwości i spostrzeżenia. Nic nie znaczący oficerowie, sfrustrowani rolą, jaką przyszło im pełnić, a obok abnegacji, którym można co najwyżej doradzać, jeśli łaskawie słuchają. Przeczytajmy, co było dalej.

Zapyta czytelnik, gdzie tu znaczenie gospodarcze pożarnictwa. W tej chwili do niego przejdę. Państwa z nami sąsiadujące, a szczególnie Niemcy, prowadząc szczegółową statystykę, nie tylko swoją, lecz i sąsiadów, dają ciekawe cyfry i komentarze do nich. I tak: przed wprowadzeniem w życie prawa policyjno-ogniowego, przypadało w Niemczech strat od pożarów, eksplozji i t.p. wypadków Mk. 10 na jednego mieszkańca. Po wprowadzeniu tego prawa, straty spadły do Mk. 6, a obecnie wynoszą 3–4.

Niemieckie prawo policyjno-ogniowe dało uprawnienia zupełnie wyraźne oficerom straży pożarnych. Mają oni głos nie doradczy, lecz decydujący tam, gdzie tego bezpieczeństwo ogniowe wymaga. Jak daleko są te uprawnienia posunięte, niech służy w tłumaczeniu następujący ustęp:

⁸⁹ J. Milewski, *Pożarnictwo jako czynnik gospodarczy...*, s. 3.

⁹⁰ Tamże.

„Plany nowych budowli muszą być przedkładane Urzędowi Straży Pożarnej. Wszystkie przez ten urząd postawione wymagania, tak w znaczeniu zapobiegania pożarom, jak i również te wymagania, które ułatwią akcję straży pożarnej na wypadek pożaru, mają być ściśle wykonane”.

Inny artykuł powiada:

„Przy zakładaniu nowych osiedli, plany tych osiedli musi przejrzeć i zaakceptować Urząd Straży Pożarnej, albo prowincjonalny Dyrektor pożarnictwa (Inspektor wojewódzki). Urząd ten określi szerokość ulic, zbiorniki wody, rodzaj hydrantów, da instrukcje takie, jakie w celu dalszego zabezpieczenia od pożarów ma nowe osiedle posiadać” i t.d.

Jak widzimy kompetencje szeroko zakrojone⁹¹.

Autor nie krył ironii, bo przecież z tego wynikało, jak żadanymi są kompetencje polskich oficerów pożarnictwa. Czytelnicy wiedzieli to doskonale, wszak wielu z nich tymiż oficerami było.... Dalej Milewski uderzył w brak podstawowy, tj. coś, co zostało utracone przed pięciu laty, a co ziało dziurą widoczną gołym okiem.

Żeby tym kompetencjom sprostać, trzeba posiadać odnośne wykształcenie fachowe. Toteż zwrócono tam baczną uwagę na tych wykonawców, postawiono im wprawdzie znaczne i racjonalne wymagania, lecz zarazem i odpowiednio usytuowano, dzięki czemu powoli doprowadzono do tego, że na tych tak odpowiedzialnych stanowiskach znaleźli się ludzie wykształceni, przeważnie inżynierowie, świadomi swoich obowiązków i umiejący te obowiązki wykonywać. Dzięki takiemu postawieniu sprawy stało się pożarnictwo zagranicą ważnym czynnikiem, chroniącym majątek narodowy.

Tak jest w Niemczech, Francji, Szwajcarii i innych krajach Europy. Prawda, że nasza literatura pożarnicza w sprawach zapobiegania pożarom jest jeszcze uboga, za to jest ona niezmiernie bogata u blizkich i dalszych sąsiadów – skąd można zaczerpnąć dużo pożytecznego materiału i z powodzeniem zastosować u siebie⁹².

Można to odczytać jako postulat posiadania wyższego wykształcenia zawodowego przez oficerów pożarnictwa oraz pełnienia stosownych funkcji w zakresie zapobiegania pożarom, a nie tylko gaszenia ich. Ale jest tu również podskórny wyrzut, odnoszący się do absolutnego braku przygotowania do zarządzania ochroną przeciwpożarową tych wszystkich prezesów, naczelników, i innych bardzo ważnych członków rad i zarządów, w istocie duszących ochronę przeciwpożarową, a tym samym konserwujących nieustający stan klęski ogniowej.

Na te gorzkie słowa nikt nie zareagował. Nikt przez kilka miesięcy nie opublikował żadnego komentarza, nie zastosował kontrargumentów, a redakcja „Przeglądu Pożarniczego” zachowała, co oczywiste, milczenie, wszak stosowała taktykę ślepoty na istotne problemy – po czasach Chomicza i Tuliszkowskiego zawsze, niezależnie od epoki, płynęła z wiatrem i na ten wiatr niezmiernie była czułą. Zatem autor, kpiąc w żywe oczy, zareagował za jakiś czas sam.

⁹¹ J. Milewski, *Pożarnictwo jako czynnik gospodarczy*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 1, s. 3–4.

⁹² Tamże, s. 4.

*Ponieważ nikt z zawodowych strażaków nie był laskaw zabrać głosu, idąc więc konsekwentnie po wytkniętej linii, pozwalam sobie temat ten rozwinąć tak, jak na to zasługuje związane z nim zagadnienie*⁹³.

Zagaiwszy w ten sposób do kolegów, którzy wyraźnie nie palili się do posiadania wiedzy nadmiernie trudzącej umysły, poinformował ich o stanie rzeczy, jaki ma miejsce tam, gdzie podchodzi się do spraw ochrony przeciwpożarowej racjonalnie.

Z potężnym rozwojem techniki ogólnej w dzisiejszych czasach, i technika pożarnicza kroczy równorzędnie. Dlatego też nastąpił naturalny jej podział na dwa zasadnicze działy: dział zapobiegawczy oraz dział walki czynnej. Tam, gdzie taki układ został uznany za najzupełniej racjonalny, walka zapobiegawcza zajmuje pierwsze miejsce. U nas niestety zajmuje ona omal że nie poślednie. Wynika to z tej prostej przyczyny, że znaczenie walki zapobiegawczej zaledwie zaczyna wychodzić w okres początkowy zdobywania praw obywatelskich. Że tak jest, winy nasi technicy pożarniczy nie ponoszą, gdyż wynika to w 90% z przyczyn od nich niezależnych. Przyczyn tych należy szukać pomiędzy czynnikami kierowniczymi, tak państwowymi, jak i komunalnymi.

*Aby ten dział pożarnictwa wprowadzić na odpowiednią drogę i nadać mu właściwe znaczenie, należy ustawicznie zwracać uwagę tych czynników na rolę, jaką odgrywać powinny straże zawodowe w życiu gospodarczym społeczeństwa. Jedyną drogą, prowadzącą do tego celu, jest stale wykazywanie korzyści, jakie otrzymywać będzie społeczeństwo wtedy, gdy straże pożarne zawodowe zajmować będą należne im stanowisko w całokształcie bezpieczeństwa publicznego*⁹⁴.

Z ironią zauważa autor niezwykle trwałą prawidłowość. Tuliszkowski mógł być dumny – oto znalazł się ktoś, kto powtarza jego stare już myśli, precz odrzucone przez całe środowisko pożarnicze.

*Gdybyśmy chcieli stosować się do naszych warunków, trzeba by walce czynnej dać pierwsze miejsce, a przecież ma ona tylko jedno zadanie t. j. ratowanie tego, co jeszcze uratować można od klęski pożaru. Toteż tam, gdzie pożarnictwo zajęło już należne mu miejsce i gdzie oceniono wartość pożarnictwa zawodowego, walka zapobiegawcza musiała zająć pierwsze miejsce. Dlatego to zwrócono baczną uwagę na stopień wykształcenia technicznego tych, którzy w strażach zawodowych mają zajmować stanowiska kierownicze, żądając, jako dopełnienia tego wykształcenia, umiejętności prowadzenia walki czynnej za pomocą wszystkich, wchodzących w skład tej umiejętności, elementów, gdyż najdalej posunięta zapobiegawczość nie usuwa całkowicie możliwości powstania pożaru. Zapobiegawczość bowiem jest czynnikiem tylko zmniejszającym ilość pożarów do możliwego minimum*⁹⁵.

Zatem wiedza, że najpierw trzeba umieć zapobiegać, by móc leczyć, nie była wówczas tajemną. Mało tego – propagował ją zastępca Tuliszkowskiego na stanowisku związku zawodowego oficerów straży pożarnych. To chyba pierwszy i ostatni raz,

⁹³ J. Milewski, *Pożarnictwo jako czynnik gospodarczy*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 5, s. 3.

⁹⁴ Tamże.

⁹⁵ Tamże, s. 4.

gdy jakiś przedstawiciel strażackich związków zawodowych wypowiadał się w sposób racjonalny o ochronie przeciwpożarowej jako dobru powszechnemu.

O walce czynnej pisze się bardzo dużo, zapelniając całe szpalty pism, i w tej lub innej formie wpływa się na odpowiednie czynniki miarodajne, przekonywując je, że kością pacierzową pożarnictwa to są jedynie wspaniałe narzędzia gaśnicze i cudownie do walki czynnej wyszkolony materiał ludzki. Jestem również zwolennikiem jak najlepszego ekwipunku i wyszkolenia fizycznego, lecz uważam, że jest to faworyzowanie walki czynnej na niekorzyść zapobiegawczej. Faworyzowanie wynika stąd, że walka czynna jest działem bez porównania łatwiejszym, nadzwyczaj efektywnym i dającym widoczne rezultaty przy przewadze wysiłku fizycznego⁹⁶.

To już nie jest kpina, ale najostrejsza gorycz. Dyletanci powodowali, że ochrona przeciwpożarowa (czyli w ujęciu autora artykułu – pożarnictwo) nie rozwija się, bo źle są rozłożone środki. Jest ona w istocie tym, co wspomniał autor w artykule ze stycznia 1930 r. – jałową zabawą w strażaków.

Walka zapobiegawcza natomiast wymaga żmudnej i zgoła nieefektywnej pracy umysłowej, która dopiero w rezultatach ostatecznych daje efekty bardzo poważne, lecz nie tak jaskrawo widoczne, w postaci znakomicie zmniejszonej ilości pożarów. Dzięki więc tej żmudnej pracy pożarnictwo dopiero staje się czynnikiem gospodarczym.

A ponieważ walka zapobiegawcza wymaga nieprzerwanej ciągłości pracy, skutecznie więc w tem dziale pracować mogą przeważnie ci, którzy poświęcają się zawodowo pożarnictwu i mają do pomocy również zawodowy personel. W interesie więc społeczeństwa leży organizowanie straży zawodowych wszędzie tam, gdzie warunki tego wymagają, oddając stanowiska kierownicze jednostkom z odpowiednim wykształceniem technicznym⁹⁷.

Jednostkom z odpowiednim wykształceniem technicznym... Jakże współcześnie brzmi ta staroświecka składnia! Ileż jest prawdy w tym, że ludzie bez odpowiedniego wykształcenia, a więc bez udowodnienia w trudach nauki, że są w stanie pojąć wiedzę na wymagających jej stanowiskach, faktycznie ją posiadają! Że zarządzać służbą techniczną nie powinni np. politolodzy, bo tak łatwiej było spełnić wymóg formalny, czyli uzupełnić wykształcenie wyższe, tylko inżynierowie, znający gruntownie zasady matematyki, chemii, termodynamiki.

To, co autor zaproponował dalej, powinno napęłnić dreszczem grozy każdego człowieka myślącego o ochronie przeciwpożarowej w sposób odpowiedzialny. Bo jest to obraz tego, czego nie było, a być powinno. Dosłownie.

Gdybyśmy pragnęli ująć wszystkie działy walki zapobiegawczej w ścisły rejestr, zajęło by to zbyt wiele miejsca, więc ograniczamy się do wymienienia zasadniczych działów. A więc:

- 1. Budownictwo ogniotrwale mieszkalne i zapobieganie powstawaniu tam pożarów.*
- 2. Budownictwo fabryczno-przemysłowe i zapobieganie powstawaniu tam pożarów.*
- 3. Zapobieganie pożarom w muzeach, bibliotekach, budynkach o wartości historyczno-zabytkowej.*

⁹⁶ J. Milewski, Pożarnictwo jako czynnik gospodarczy, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 5, s. 4.

⁹⁷ Tamże.

4. Zapobieganie pożarom w świątyniach, teatrach, kinematografach i innych miejscach skupień publiczności.
5. Zapobieganie pożarom w spichlerzach, domach towarowych oraz przedsiębiorstwach handlowych.
6. Zapobieganie pożarom we wszelkiego rodzaju drobnych przedsiębiorstwach i pracowniach⁹⁸.

Wyobraźmy sobie, że podobna, niewinna wyliczanka, przechodzi do ustawy o ochronie przeciwpożarowej i tym sposobem, sama przez się, ustawia myślenie o pożarnictwie przyszłym pokoleniom. Niestety o treści tego artykułu zapomniano bardzo szybko, bo w ciągu 4 najbliższych lat od jego publikacji.

Autor dalej zaproponował, aby przy porządkach ogniowych w budownictwie wzorować się na brytyjskim podejściu (dobrze chciał, sprawdziło się bardzo w praktyce II wojny światowej i niemieckich nalotów bombowych, a Niemcom w Berlinie sprawdziły się porządki niemieckie w tym zakresie). To, co napisał powinno być kluczem do ustalania warunków bezpieczeństwa w budynkach, tj. ich odporności na pożary. Nigdy nie było.

Zanim przystąpimy do omawiania każdego z wymienionych działów, konieczne jest ustalenie klasyfikacji materiałów w znaczeniu tak ogniotrwałości, jak i ognioodporności, gdyż pojęcia te są względne i uzależnione od temperatury oraz działania na nie wody wtedy, kiedy znajdują się one w wysokiej temperaturze. Ponieważ nie mamy własnych instytucji, zajmujących się takimi badaniami, musimy korzystać z doświadczeń cudzych.

W danym wypadku korzystać będziemy z doświadczeń Brytyjskiego Komitetu zapobiegania pożarom, „British Fire Prevention Committee”, tem bardziej że na tę instytucję powołuje się Prof. Dr. Heinrich Henne w swoim dziele „Einführung in der Beurteilung der Gefahren”. („Wstęp do badań nad niebezpieczeństwem”).

Brytyjski Komitet zapobiegania pożarom, dzieli materiały na trzy zasadnicze stopnie wytrzymałości w ogniu:

- a) tymczasowa wytrzymałość (temporary protection),
- b) częściowa wytrzymałość (partial protection),
- c) całkowita wytrzymałość (full protection).

Wymagania, stawiane tym materiałom, są następujące:

od gatunku a) wymaga się, aby materiał był poddany działaniu temperatury 816°C przez przeciąg 45–60 minut i wytrzymał działanie prądu wody przez 2 minuty.

Od – b) wymaga się, aby poddany działaniu temperatury 982°C przez 90–120 minut, wytrzymał, działanie wody jak w (a).

Od – c), aby materiał wytrzymał temperaturę 982°C przez 150–240 minut i działanie wody przez 5 minut.

Opierając się na tem systemie, w omawianiu poszczególnych działów materiały względnie ognioodporne oznaczać będą literą A, ognioodporne literą B, ogniotrwale literą C⁹⁹.

⁹⁸ Tamże.

⁹⁹ Tamże, s. 5.

Niestety i na ten artykuł reakcja środowiska była dosłownie żadna. Oczywiście przemilczano go również na łamach „Przeglądu Pożarniczego”. I ani jeden fragment nie trafił jako przepis do przyszłej ustawy o ochronie przed pożarami. Dosłownie nic, jakby tak ważny tekst nie istniał i o nim nie dyskutowano.

Brak przepisów brakiem ładu i wiedzy

W drugim podejściu Józef Milewski powiedział o kolejnej oczywistości, już nie tylko dla zawodowych strażaków czy pasjonatów pożarnictwa, ale również dla przeciętnych konsumentów prawa: o konieczności ujednolicenia przepisów przeciwpożarowych w całym kraju.

W każdej z dzielnic Polski istnieją, wydane przez władze zaborcze, przepisy przeciwpożarowe. Przepisy te, zależnie od zrozumienia i dobrej woli miejscowych władz administracyjnych, są albo ściśle przestrzegane, albo dowolnie komentowane. Ponieważ są one wogóle przestarzałe, więc ci, którym poleca się ich wykonanie, zmuszeni są naginać te przepisy do potrzeb życiowych doby obecnej. Nie byłoby to złem, gdyby owe naginanie skutecznie ludzie fachowi, posiadający przygotowanie, tak teoretyczne, jak i praktyczne—lecz niestety jest inaczej. Kierownicze bowiem stanowiska w pożarnictwie są u nas zwykle prawie obsadzone albo przez ludzi posiadających tylko praktykę, albo przez teoretyków bez praktyki. Stąd wynikają znaczne trudności, jakie ta ważna kwestja napotyka¹⁰⁰.

Patrzac na efekty działalności, jakie znamy z dłuższej perspektywy, musimy stwierdzić, że Józef Milewski obszedł się z władzami pożarnictwa bardzo oględnie. Inaczej wszakże nie mógł. Zjawisko nazwał prawidłowo, przy czym założył, że dyletanci nawet mając dobrą wolę, są w stanie zrobić wiele złego. I były to wystarczająco mocne słowa. Autor znalazł tu drogę wyjścia z kompletnego bałaganu, który im dłużej trwał, tym więcej szkód przynosił.

Jak już w jednym z artykułów zaznaczyłem, władze administracyjne same, odczuwając brak jednolitych przepisów bezpieczeństwa ogniowego, tworzą te przepisy na swoją modłę, dzięki czemu wytwarzają coraz większy zamęt. Podobny zamęt panował do niedawna w dziedzinie przepisów o instalacjach elektrycznych. Kres takiemu stanowi rzeczy położył Polski Komitet Elektrotechniczny przez wydanie w marcu 1928 r. przepisów pod tytułem: „Przepisy budowy i ruchu urządzeń elektrycznych prądu silnego”. W słowie wstępnem do tych przepisów czytamy:

„Po przestudjowaniu przepisów amerykańskich, austriackich, niemieckich, szwajcarskich i francuzkich, Komisja zdecydowała wziąć przepisy niemieckie, jako w naszych stosunkach najodpowiedniejsze, a za podstawę stan wykształcenia ogólnego i technicznego w Polsce”.

Jest więc, mojem zdaniem, nie tylko w skazane, ale konieczne iść za przykładem ludzi światłych i, jeżeli uważamy się za dość silnych, przystąpić do opracowania przepisów przeciwpożarowych takich, które zostaną przez władze miarodajne uznane za dobre i zatwierdzone¹⁰¹.

¹⁰⁰ J. Milewski, Konieczność ujednolajnienia przepisów przeciwpożarowych, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 4, s. 5–6.

¹⁰¹ Tamże.

W tym miejscu autor postulował nie tylko naśladownictwo, ale też obudzenie środowiska z bezruchu, z braku reakcji na działania różnych resortów, opracowujących przepisy własne, bez udziału w ich tworzeniu czynnika, który pogrążył się w bierności absolutnej – Głównego Związku Straży Pożarnych RP.

Władze III-ej instancji [czyli rządowe – PR] wydają wprawdzie cały szereg przepisów o kinematografach, teatrach it.p., lecz w przepisach tych widać, że przy ich układaniu nie było fachowców z dziedziny pożarnictwa. Typowym przykładem Ustawa Budowlana, z roku 1928.

Jeżeli nie bylibyśmy w stanie sami omawianej sprawie podolać, to musimy wprost żądać, aby przy opracowaniu przepisów, mających bezpośrednią styczność z pożarnictwem, dano nam chociażby głos doradczy¹⁰².

Widzimy zatem następujący obraz pomysłu Milewskiego – organizacja brytyjska, przepisy niemieckie, władze polskie, oficerskie. Na taki prztyczek w nos władze Głównego Związku Straży Pożarnych musiały jakoś zareagować, przecież zaniegowano zasadność ich istnienia, zarzucając absolutne nieróbstwo w zakresie ochrony przeciwpożarowej.

Reakcja obronna czynników rządowych

Brak ustawy o ochronie przeciwpożarowej stał się kanwą rozważań innych autorów. Tego było za wiele dla niektórych czytelników, gdyż aż tak jawne wykazywanie niekompetencji władz nigdy nie należało i nie należy do obyczajów mile widzianych. Jednak gdy urzędy piastują ludzie kompetentni, po prostu wzruszą ramionami na zaczepki. Niekompetentni etatyści zawsze reagują nerwowo i nadmiarowo, a w użycie jako argumenty wchodzą sformułowania dotyczące się honoru i godności. Tacy Milewski czy Sztromajer (były już główny inspektor GZSP, który też pisał na łamach „Strażactwa Zawodowego” o braku rozwiązań systemowych) uderzyli w stół. Nożycy się odezwały.

Merytoryka nie była tu istotna, liczył się fakt, że niektórzy ministrowie albo prezesi mogą okazać się niezadowoleni i coś złego z tego wyniknie. Oto coś, co możemy potraktować jako odpowiedź daną nie tylko Sztromajerowi, jak to wykazano w poniższym cytacie, ale również Milewskiemu. Odezwał się pracownik Zarządu Głównego Związku Straży Pożarnych RP, podinspektor Jan Łuczyński, swoją drogą inteligentny człowiek, ale zmuszony działać w obronie niekompetencji pracodawcy. Napisał tak:

W artykule wstępnym N.9-go, niniejszego organu p. J. Sztromajer, poruszając ogólnikowo szereg zagadnień z obrony przeciwpożarowej, twierdzi: „na ogół brak ustawy przeciwpożarowej utrudnia im (t.zn. komisjom przeciwpożarowym) wykonywanie tych prac, a przepisy istniejące są bardzo stare i zbyt odbiegają od obecnych warunków”.

O ile w pierwszej części twierdzenie jest pod pewnemi względami słuszne, o tyle w drugiej nie odpowiada rzeczywistości. Albowiem w lipcu r.b. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, na skutek starań Zrzeszonego Strażactwa, na zasadzie art. 108-go Rozporządzenia Prezydenta

¹⁰² Tamże.

Rzeczypospolitej z dn. 19.1.1928, *O organizacji i zakresie działania władz administracji ogólnej*, zarządziło – drogą rozporządzeń Wojewodów – wydanie przepisów o zapobieganiu pożarom, które, jakkolwiek nie zastępują ustawy przeciwpożarowej, nowelizują jednak i ujednastniają przepisy istniejące, a jednocześnie przez wprowadzenie szeregu uprawnień dla straży pożarnej, po raz pierwszy wymienionej, jako instytucji urzędowo uprawnionej do wykonywania szeregu postanowień omawianego rozporządzenia, stanowią nadzwyczaj ważną zdobycz dla strażactwa.

Pragnę więc na łamach niniejszego pisma te rozporządzenia omówić, uważając je za bardzo ważne, i sądzę, że wszyscy działacze strażacy muszą być dokładnie poinformowani co do zakresu swoich uprawnień¹⁰³.

Dalej autor omówił bardziej istotne fragmenty znanego nam aktu (bo był kopią omówionego wyżej rozporządzenia Wojewody Warszawskiego Stanisława Twardy). Zakończył wypowiedź poniższymi słowami.

Mam nadzieję, że Redakcja naszego Organu Zawodowego nie poprzestanie na umieszczeniu tych wyciągów, ale poda do wiadomości treść rozporządzenia *in extenso* i dlatego tak pobieżnie je omawiam. Na zakończenie muszę jeszcze dodać, że w artykule p. Sztromajera w szeregu instytucji, przyjmujących udział w organizacji obrony przeciwpożarowej, nie było wymieniono Głównego Związku Straży Pożarnych R. P., który w tych pracach zajmuje przodujące stanowisko¹⁰⁴.

Redakcja zamieściła do tego swój komentarz.

Kol. St. Insp. J. Sztromajer, pisząc o pracach przeciwpożarowych, nie wymienił w ogóle całego Stażactwa, zrzeszonego i zorganizowanego w poszczególne Związki, gdyż wiadome jest ogólnie i dla każdego samo przez się oczywiste, że w akcji przeciwpożarowej Strażactwo, w postaci tak pojedynczej straży, jak i Związku, wysuwa się zawsze na stanowiska czołowe. Ostatnie rozporządzenia M.S.W. są poważne i będą podane w całości w listopadowym numerze naszego pisma¹⁰⁵.

Cóż się wydarzyło? Otóż wzięto sobie wreszcie do serca głosy ze środowiska, tudzież do ręki rozporządzenie Wojewody Warszawskiego i – po roku jego obowiązywania – nakazano pozostałym wojewodom wydać je jako własne. Czyli Minister Spraw Wewnętrznych coś jednak zrobił. Nie zmieniło to wcale faktu, że nadal to sołtys, a nie instruktor pożarnictwa wydawał istotne decyzje w sprawach ochrony przeciwpożarowej. Niezadowolająca była ta ochrona przeciwpożarowa, nawet gdy wszystkie czynniki rządowe do niej dołączały.

Rozstanie z Tuliszkowskim i zanik pisma

Z czasem okazało się, że również strażacy zawodowi nie chcą zajmować się wszelkimi dziedzinami ochrony przeciwpożarowej, a ściślej rzecz biorąc – zapobieganiem pożarom. Tuliszkowski zniechęcił się do własnego dzieła, zresztą nawet on nie

¹⁰³ J. Łuczynski, *Ostatnie rozporządzenia przeciwpożarowe*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 10, s. 1.

¹⁰⁴ Tamże, s. 3.

¹⁰⁵ Tamże.

miał już tej energii co wcześniej, gdyż skończył już 63 lata. Po dyskusjach w gronie redakcyjnym w dniu 1 lipca 1931 r. ogłosił rezygnację z funkcji redaktora naczelnego „Strażactwa Zawodowego” – jak to później zaznaczył – nie z własnej woli. Zmiana nie była nagła, tylko starannie przygotowana.

W dniu 3 czerwca w gremium związkowym zapadła decyzja o powołaniu na stanowisko redaktora naczelnego kpt. Jana Janowskiego, komendanta Warszawskiej Straży Ogniowej. Słowo wstępne nowego redaktora obnażyło chęci i oczekiwania co prawda niedużej, ale zawsze grupy oficerów. Przeczytajmy je uważnie, acz ze znanym nam kluczem tego rodzaju: zapobieganie pożarom wymaga znacznego wysiłku umysłowego, na co nie każdy ma ochotę...

Do programu, w jego ramach zasadniczych, nakreślonego przez Komitet Redakcyjny w grudniu 1929 r., zmian żadnych wprowadzać nie zamierzam. Dążyć natomiast będę do pogłębienia pewnych jego działów tak, aby droga szeregu artykułów ujętych w zamknięty cykl wyczerpać możliwie całkowicie pewne zagadnienia z zakresu pożarnictwa, zagadnienia, z jakimi w naszej praktyce spotykamy się najczęściej i co do których nasuwają się nam zawsze liczne wątpliwości i zastrzeżenia.

Specjalną troską otoczone będą sprawy dotyczące hydrauliki, motoryzacji straży pożarnych oraz chemii, a zwłaszcza te dwa ostatnie działy, które, z racji osiągniętych zdobyczy, otwierają pożarnictwu nowe drogi działania¹⁰⁶.

Przyjrzyjmy się tym zdaniom bliżej. Bo z jakimi zagadnieniami spotykali się zawodowi oficerowie w ich praktyce najczęściej? Przecież nie z zapobieganiem pożarom – szereg artykułów Józefa Milewskiego świadczył najdobitniej o tym, że strażacy zawodowi powinni mieć tego rodzaju zadania, bo ich nie mają wcale. Zatem nie mogli spotykać się z zagadnieniami budownictwa ogniotrwałego, stałych urządzeń gaśniczych, a nawet – co zakrawa na nieporozumienie – zaopatrzenia w wodę do zewnętrznego gaszenia pożaru. Ich interesowały przede wszystkim zagadnienia podziału bojowego, sprowadzone do czynności sikawkowych i toporników, ewentualnie sprzętu i armatury wodnej (i coraz częściej pianowej) ich wozów bojowych. Zatem interesowała ich taktyka działań ratowniczych poziomu zastępu, góra sekcji. To w tym zakresie oczekiwali poprawy jakości środków technicznych, troskę o większą skalę działań, zwłaszcza zapobiegawczych, pozostawiając innym. Komu? Tego nie tylko nie wiedzieli. To ich po prostu nie obchodziło.

Pod nowym kierownictwem pismo przetrwało jeszcze tylko półtora roku. Ostatni numer, łączony z dwóch (11 i 12) ukazał się grudniu 1932 r. z bardzo skromną zawartością merytoryczną. Mianowicie był tam tylko jeden artykuł tematyczny: *Gazy trujące i substancje chemiczne* autorstwa M. Lewickiego, który ukazywał kierunek zmian, jakie następowały w Głównym Związku Straży Pożarnych RP. Otóż skoro strażacy nie wiedzą, czym mają się zajmować, to mogą się zajmować tym, czego od nich chce wojsko.

¹⁰⁶ J. Janowski, *Do P.T. Czytelników*, „Strażactwo Zawodowe” 1931, nr 7.

Z drugiej strony strażacy i tak zajmowaliby się obroną przeciwlotniczą i przeciwgazową, więc edukacja w tym zakresie była jak najbardziej wskazana. Poza tym numer wypełniły dwie rubryki stałe: „Rozmaitości” oraz „Kronika pożarów”... Aż nadto blisko „Strażaka” sprzed dwóch dekad.

Historyczne wyjaśnienie zaniechania krachu tego ambitnego miesięcznika było takie: utworzenie „Gazety Strażackiej”, periodyku o charakterze popularnym. Tym samym łamy „Przeglądu Pożarniczego” zostały uwolnione do poważniejszych treści.

Wydawanie „Strażactwa Zawodowego” zakończono w grudniu 1932 r., ponieważ od stycznia 1931 r. problematyką fachową z dziedziny pożarnictwa zajął się wszechstronnie miesięcznik „Przegląd Pożarniczy”¹⁰⁷.

Trudno zgodzić się z tym stwierdzeniem, zwłaszcza po zapoznaniu się z artykułami w „Przeglądzie Pożarniczym”. Przyczyny upadku periodyku były z pewnością głębsze niż reorganizacja wydawnictw przez Główny Związek Straży Pożarnych RP. Co prawda w każdym numerze od 1932 r. pojawiał się jakiś artykuł lub dwa o zapobieganiu pożarom z inklinacjami technicznymi. Faktem jest, że istotnie utworzono od stycznia 1931 r. dwutygodnik „Gazeta Strażacka”, która przejęła od „Przeglądu Pożarniczego” popularną tematykę pożarniczą. Nie oznaczało to jednak drastycznego podniesienia jakości artykułów w gazecie macierzystej. Przyjęły one w „Przeglądzie Pożarniczym” wyraz nie tyle bardziej fachowy, co jeszcze bardziej urzędowy. Z ich wartością poznawczą było różnie, poziomem wiedzy też. Bo przecież nie znaleźli się odważni, by jak Tuliszkowski w „Strażactwie Zawodowym” zamieszczać artykuły obciążone obliczeniami z użyciem całek lub sygnałów dźwiękowych z zapisem nutowym.

Zasadniczym powodem, dla którego przestano wydawać „Strażactwo Zawodowe” był opór środowiska przed ideami Tuliszkowskiego, tudzież brak jego samego, jako koła napędowego przedsięwzięcia. O tym poniekąd zdecydowali odbiorcy, których wyrazicielem woli był nowy redaktor naczelny pisma. Co było dla nich ważne? Walka czynna z pożarami, wszak tym zajmowała się większość z nich. Co też nie wychodziło, a chcieliby choć w tym zakresie pozytywnych skutków. Niestety, sami siebie skazywali tu na porażkę. Bo w oderwaniu od myśli inżynierskiej, nieodłącznie związanej z zapobieganiem pożarom, nie potrafili wytworzyć w sposób interesujący i możliwie w pełni wyczerpać pewnych zagadnień z zakresu pożarnictwa, z którymi w ich praktyce spotykali się najczęściej. Za to pozostały im liczne wątpliwości i zastrzeżenia, i to za każdym razem, gdy brali się pisania.

Podobnie rozsyłał się Z.Z.O.S.P. Bez celów wyższych, jak stanie się zwornikiem ochrony przeciwpożarowej, by z czasem przybrać wymiar administracji rządowej, tj. policji ogniowej, związek mógł się przemienić jedynie w wyraziciela partykularnych interesów grupy zawodowej. Jako taki też nie działał, wszak nie uchronił przed

¹⁰⁷ W. Piławski, *Polska Prasa Pożarnicza*, Warszawa 2002, s. 50.

czystkami kadry oficerskiej w Straży Ogniowej m. st. Warszawy, jakie magistrat przeprowadził dla celów oszczędnościowych, z pretekstem nieumiejętności utrzymania dyscypliny pośród szeregowych strażaków i młodszych podoficerów.

Dwa tomy wielkiego dzieła

W każdej części niniejszej książki przedstawiamy któreś z wielkich dzieł Tuliszkowskiego. Robimy to zgodnie z chronologią ich powstawania.

Podjmując pracę w Ministerstwie Komunikacji, Tuliszkowski skończył 60 lat. To już było w sam raz, by zacząć patrzeć wstecz drogi życiowej. Patrzył zarówno z potrzeby własnej, a częściowo z namowy innych strażaków. Nie trzeba było wiele go namawiać, bo miał plan. Ten plan realizował konsekwentnie, wytwarzając i publikując zamierzone dzieło życia w małych fragmentach, aż doszedł do tomów zbiorczych, wydawanych nakładem „Przeglądu Pożarniczego”. Teraz przyszedł czas podsumowań, zebrania poszczególnych tomów w większe części. Tuliszkowski swój dorobek intelektualny zebrał i utrwalił w dziele zbiorczym o charakterze podręcznikowym pt. *Obrona przed pożarami*.

Dzieło miało być ogromne i wszechogarniające. Wielkich tomów docelowo miało być siedem, składających się z trzydziestu dwóch osobnych broszur – rozdziałów. Mimo że tomy I i VII zostały wydane kolejno w 1927 r. (z okazji sześćdziesiątych urodzin autora) i 1929 r., przedstawiają wiedzę znacznie wcześniejszą, nawet o dekadę. Nie odbiera to jednak dziełu żadnych wartości poznawczych – gdyby tę wiedzę uwzględniono w zarządzaniu ochroną przeciwpożarową w dwudziestoleciu międzywojennym, byłibyśmy pod względem „higieny pożarowej” krajem przodującym w Europie. Można powiedzieć, że jest to wiedza aktualna do dziś.

Niestety system zarządzania naszą ochroną przeciwpożarową, zwłaszcza w aspekcie strażackim, był niemal całkowicie amatorski. Nie było obowiązku, by władze Głównego Związku Straży Pożarnych spełniały jakieś kryteria wiedzy, bo w etatyzmie to nie wykształcenie i predyspozycje, a samo objęcie stanowiska czyniło z kandydata fachowca. Tuliszkowski nie miał złudzeń. Swoje dzieło zadedykował „Druhom Oficerom Straży Pożarnych Ochotniczych i Zawodowych oraz Korpusu Inspekcyjnego”, a więc najlepszym w kraju fachowcom, z tym, że niewiele mającym do decydowania. Przeznaczył zaś dzieło wszystkim strażakom. Opublikował w całości dwa tomy I i VII, czyli pierwszy i ostatni, jakby ramy całej serii, które sam autor nazywał podręcznikami.

Podręczniki te, mimo braku tomów II–VI, są kompletną wiedzą zapobiegawczą i taktyczną, na bazie której dałoby się w następnych kilku dekadach wytworzyć jeszcze wyższe standardy, to jest przepisy, normy i regulaminy. Jest to z górą 1500 stron tekstu i ponad 700 ilustracji wysokiej jakości. Wiele z tych ilustracji to sztychy, mogące zdobić każdy gabinet komendanta czy naczelnika straży, większość ma znaczenie historyczno-poznawcze, gdyż ilustruje daną rzeczywistość. Wykonywali je artyści-malarze, w tym jeden z tytułem profesorskim, sam autor oraz strażak, który zakończył karierę jako

komendant Centralnego Ośrodka Wyszukolenia Pożarniczego w Warszawie. Są przy tym pod względem estetyki i stylu nieodrodnymi dziełami epoki. Wiedzę wyłożono sposobem najjaśniejszym z możliwych, bo czystą a soczystą i też piękną polszczyzną, a przecież w języku pisanym prostota jest najtrudniejsza. Autor uwzględnił przy tym polską specyfikę polityczno-gospodarczą, nie omijając spraw kulturowych. Dzieło jest obszerne, a czyta się jednak dosłownie samo.

Tuliszkowski przemyślną konstrukcją dzieł spowodował, że są dostępne na dwóch poziomach przyswajania. Wiedzę podstawową wyłożył czcionką zwykłą, wiedzę dla profesjonalnego dowództwa dał czcionką mniejszą, a tę trudniejszą treść ubogacił o wzory matematyczne, fizyczne i chemiczne, wplatając niezbędny tu język techniczny. Czyli w ten sposób otrzymano podstawy, dzięki którym nie można było zrobić błędów w działaniu. Dodatkowo, jeśli ktoś chciał pogłębić tę wiedzę, mógł stać się mistrzem.

Zobaczmy zatem, co takiego stworzył Józef Tuliszkowski, że zapomnienie tegoż spowodowało do dziś trwające, trudne do powetowania straty w polskiej nauce i kulturze pożarniczej.

Obrona przed pożarami (1927) – tom I

Mistrz zaczął po kolei: od rzemyczka do koniczka. Najpierw bowiem należy zapobiegać, a potem leczyć. Tylko dlaczego, co? Należało gruntownie poznać przeciwnika.

Istota pożarów. Ich przyczyny i podział

Tuliszkowski omówił zjawisko spalania, zaczynając od poniższego zdania.

Przy każdym łączeniu chemicznem następuje w ogóle wywiązywanie się ciepła, które wszakże nabiera znacznego natężenia i występuje z objawami światła, gdy powinowactwo chemiczne łączących się ciał jest silnem i gdy się odbywa szybko; tak np. antymon (metal) w zetknięciu się z chlorem (zjadliwy gaz) rozżarza się natychmiast¹⁰⁸.

Czyli nie zaczął, jak wszyscy od tego, że tlen z powietrza łączy się z materiałem palnym, tylko wyjaśnił ogólną zasadę, w myśl której działa świat, a ogień jest tego częścią. Dopiero w dalszej kolejności pojawia się tlen. Przy czym: *łączenie się tlenu z różnego rodzaju ciałami bywa powolne, szybkie i gwałtowne*, na co daje przykłady: rdzewienie, spalanie, wybuch.

Plomieniem nazywa się mieszanina gazów, wydobywająca się z gorejącego ciała, łączących się z tlenem, w których znajdują się rozżarzone cząstki węgla¹⁰⁹.

Wymienił i scharakteryzował te gazy: wodór, gaz błotny (czyli dziś – metan) i etylen.

Jeśli jesteśmy zdziwieni, że 100 lat temu nazywano rzeczy nie dość, że po imieniu, to w dodatku lepiej niż dziś, podajmy jeszcze jedną ciekawostkę.

Ciepłotka (kalorja) t.j. jednostka cieplna, jest to ilość ciepła potrzebna do ogrzania jednego litra wody o je stopień C¹¹⁰.

¹⁰⁸ J. Tuliszkowski, *Obrona przed pożarami*, Warszawa 1927, s. 14.

¹⁰⁹ Tamże, s. 15.

¹¹⁰ Tamże, s. 21.

Podał autor w tabeli, ile ciepłostek mają różne ciała: drzewo świeże: 1300–1700, węgiel kamienny: 5000–8000, benzyna: 11000. Zmieniło się coś?!...

Dalej klarowny wykład idzie przez przyczyny powstawania pożarów, podzielone na dwa działy. Pierwszy to przyczyny zależne od zjawisk przyrody, np. nagrzewania od słońca, wyładowań atmosferycznych, czy samozapaleń (tu uwzględnił materiały wybuchowe). Drugi opisuje przyczyny zależne bezpośrednio od woli ludzkiej: w czasach, gdy do oświetlenia pomieszczeń używano ognia otwartego (łuczyczo, nafta, acetylen), miało to swoją wagę. Ale też wśród tych przyczyn wykazał „figle dziecięce” oraz plagę tamtych czasów: podpalenia. Dużo miejsca autor poświęca pożarom w rolnictwie i przemyśle.

Przyczyny zostały podzielone na kategorie i stabelaryzowane. W podpaleniach widać następujące podkategorie: z chęci zysku, podpalenie przez zemstę, rewolucyjne nastroje, dążenie do ukrycia zbrodni.

Swoją drogą przegląd przyczyn pożarów, obejmujących również oświetlenie, ogrzewanie, iskry z parowozów i lokomobili, tudzież awarie mechaniczne w zakładach pracy, jest świetnym przyczynkiem do poznania kultury obchodzenia się z ogniem otwartym i zamkniętym. Lista przyczyn pożarów obejmuje ponad 60 stron.

Dalej opisane są przyczyny „rozszerzania się” pożarów. W tamtym czasie szczególną plagą były pożary masowe, wynikające z ciasnoty i palności zabudowy. Tuliszkowski propagował nie tylko budownictwo ogniotrwałe, ale również sadzenie drzew liściastych między budynkami, które chroniły przed promieniowaniem i ogniami lotnymi. Niechęć do roślinności drzewiastej utożsamiał z niskim stanem kultury.

Im dalej na wschód, tem kultura jest niższa, a objawia się to w pierwszej mierze brakiem poczucia piękna i zamilowania do roślinności. W Rosji natenprzykład są całe wsie absolutnie bez jednego drzewa czy krzaka, a jeżeli kto z tej dziczy zoczy jakieś drzewko przy drodze, ścina je, bo ono go razi, jak to tłumaczyli znawcy tamtejszych stosunków (...)”¹¹¹.

Każdy zrozumie, że susza, wiatr i brak wody sprzyjają rozwojowi pożarów. Przecież nie mniej ważyły według autora inne czynniki, jak ilościowy niedostatek straży pożarnych oraz „wstrzymywanie się inteligencji od wstępowania do straży pożarnych”¹¹², czy „brak w wielu strażach dobrych, wyrobionych komendantów”¹¹³. Z tego wniossek, że złych i niewyrobionych komendantów nie brakowało. Niestety Tuliszkowski nie nazwał jeszcze jednego zjawiska, które pojawiło się w przyszłych latach, czyli rugowania ze straży inteligencji, tudzież dobrych i wyrobionych komendantów.

Środki zapobiegające powstawaniu pożarów

Ta część jest nieco większa od poprzedniej – zajmuje ponad 120 stron. Jej układ tematyczny jest genialny w swej prostocie, ponieważ nawiązuje do części poprzedniej.

¹¹¹ J. Tuliszkowski, *Obrona przed pożarami*, Warszawa 1927, s. 100.

¹¹² Tamże, s. 113.

¹¹³ Tamże, s. 114.

O ile wcześniej autor przedstawiał przyczyny powstawania i rozwoju pożarów, niby wiedzę podstawową, to teraz, jako jej rozwinięcie, wyklada w tej samej kolejności, jak tym zjawiskom zapobiegać.

Podstawą bezpieczeństwa ogniowego są według Tuliszkowskiego wysoki poziom oświaty i kultury oraz ciągle zdawanie sobie sprawy z niebezpieczeństwa pożaru¹¹⁴. Sami możemy wysunąć logiczny wniosek, że decydentami w zakresie ochrony przeciwpożarowej powinni być ludzie oświeceni i wykształceni, mający przy tym odpowiednie przymioty charakteru. To trudne już przy pierwszym warunku, bo wiedza zapobiegawcza już za Tuliszkowskiego była bardzo szeroka.

*W społeczeństwach o wysokiej kulturze, w państwach, gdzie rządzą ludzie odpowiedzialni, uświadamiający sobie cały ogrom strat (...), sprawa ochrony przeciwpożarowej postawiona jest wysoko: specjalne prawodawstwo ujmuje cały szereg zagadnień bezpieczeństwa ogniowego w ramy racjonalnych ustaw, tworzone są fachowe przepisy, zorganizowana jest tzw. policja ogniowa, a straże pożarne otoczone są specjalną pieczęcią władz (...)*¹¹⁵.

Dalej autor przedstawia, jak zapobiegać pożarom wywołanym przez zjawiska naturalne. Zaczyna od walki ze skutkami nasłonecznienia – a zatem drzewa liściaste, które tak lubił i gładkie powierzchnie tudzież jasne kolory dachów, białe i niebieskie. Dalej omawia piorunochrony aż czterech systemów, z których upowszechnił się „Findelsen’a-Rupppel’a” zbudowany tak, jak dzisiejsze, a mianowicie:

*(...) na tej zasadzie, że nie tylko ostrza stanowią ochronną i odbiorczą część piorunochronu, lecz i niektóre części budynków, mające na sobie metalowe pokrycie (...), które nawet mogą zastąpić owe ostrza; są to grzbiety (kipy, kalenice) dachów, krzyże metalowe, pręty chorągiewek itp.*¹¹⁶.

Autor wspominał także o ochronie specjalnej składów amunicji czy zbiorników nafty. Mamy zatem wskazanie, skąd wzięły się normy piorunowe, z tym że na początku wszystko było czytelne, a dopiero po przejściu przez umysły europejskich wulkanów intelektu trudno to przeczytać, pojąć i zastosować.

Jest też mowa o zapobieganiu „samozapłonieniu” i wybuchom. Sporo miejsca zajmuje prewencja wybuchów i pożarów w kopalniach, co samo w sobie jest bardzo interesujące, np. wybuch pyłu węglowego zamierzano gasić przeciwwybuchem rozrzucającym pył krzemowy.

Natomiast jeśli chodzi o zapobieganie zdarzeniom powstającym z przyczyn zależnych od woli ludzkiej, jest oczywiste, że dostajemy opisy bezpiecznego obchodzenia się z wszelkiego rodzaju urządzeniami (i paliwami) do wytwarzania światła i ciepła. Skąd jednak kto dziś wie, że było oświetlenie żarowo-naftowe i gazolinowe? A lampki górnicze nie były tylko acetylenowe. Niemniej poniżej przedstawiono sposoby na walkę z przyczynami pożarów, które dziś są skrajnie nieoczywiste, bądź o zapomnianej genezie.

¹¹⁴ J. Tuliszkowski, *Obrona przed pożarami*, Warszawa 1927, s. 126.

¹¹⁵ Tamże.

¹¹⁶ Tamże, s. 131.

Ogólnie rzecz ujmując, Tuliszkowski postrzegał zwiększenie bezpieczeństwa poprzez rozwój kultury i oświaty. Zaczynać należało od początku. Z tego się wzięło, że receptą na „figle dziecięce” miały być ochronki dla dzieci, czyli przedszkola, gdzie maluchy nabierałyby dobrych nawyków, w tym przeciwożniowych. Tuliszkowski był autorem takiego projektu – sale edukacji bezpieczeństwa dla dzieci w komendach Państwowej Straży Pożarnej wymyślano więc po latach od nowa. Na plagę podpałów radził autor podnieść kulturę i moralność, a jako środek doraźny stróżowanie i zaostrenie kar dla podpalaczy. Przed podpalaczami mieli strzec zabudowy nie emeryci-ochroniarze, lecz ludzie młodzi i silni, o czujności sprawdzanej systemem rejestrująco-zegarowym, ubrani w stroje maskujące, wygodne i ciepłe. Bo chodziło o to, by podpalacza złapać, a nie spłoszyć.

*Każdy wartownik powinien być uzbrojony w rewolwer dużego kalibru, celny i mocno bijący oraz w latarkę elektryczną o długotrwałej i pewnej baterji. (...) Wartownik powinien mieć przy sobie 1-2 psy policyjne, rasy tzw. wilków (...)*¹¹⁷. Jak to miało działać w praktyce, pokazała odpowiednia ilustracja.

Autor zauważył również niebezpieczeństwa nowe, pochodzące od instalacji elektrycznych, podając zestaw rad, aktualnych również dziś.

Wiemy, że taki parowóz czy inna maszyna napędzana kotłem na paliwo stałe to miotacz iskier. Ale iskrochrony (bardzo pomysłowe) to nie wszystko. Trzeba jeszcze dobrze czyścić i smarować cały sprzęt.

Dalej widzimy (nie)bezpieczeństwo w kuźniach, odlewniach, na stacjach paliw (tu omówione ich rodzaje), w tym ze zbiornikami i instalacjami zabezpieczonymi gazami obojętnymi – już wtedy!

W zakresie zapobiegania pożarom masowym autor przytoczył odnośniki do wskazania, jakie można w tym zakresie znaleźć w poszczególnych tomach. Tym sposobem przeszedł płynnie do następnego rozdziału, który był logicznym następstwem poruszonego tematu.

Podstawy budownictwa ogniotrwałego

Nie dajmy się zwieść tytułowi. Generalnie Tuliszkowski zalecał stosowanie materiałów ogniotrwałych, niemniej materiałów palnych nie wykluczał, pod warunkiem odpowiedniego i celowego ich zastosowania. Bo bardzo zależało mu, by budownictwo wiejskie zachowało swój regionalny charakter. Autor nie wszędzie zwalczał stosowanie ścian z drewna czy krycie dachów strzechą lub gontem. Pokazywał za to, jak uczynić je odporniejszymi na ogień, a bezpieczniejszymi dla sąsiednich budynków również przez odpowiednią lokalizację.

Zaczął od omówienia kwestii rozplanowania miast i miasteczek, parcelacji i komasacji gruntów, urządzania zagrod, sadów i ogrodów, lokalizacji stogów i stert. Wszystko poparte przykładami projektów, odnoszącymi się do zamożności właścicieli: od domów jednoizbowych i takich obórek i stodół, po dwory z rozległymi folwarkami. Mają te

¹¹⁷ Tamże, s. 201.

wskazania część wspólną: na wszystkich planikach zagród są pokazane odstępy budowli od granic, które muszą wynosić co najmniej 5 m i są konieczne ze względów bezpieczeństwa ogniowego¹¹⁸. W tych miejscach są sady, a dwory są chronione parkami i ogrodami.

Mówimy dziś żargonem naukowym, jakby to było jakieś Bóg wi co: ściana, strop oddzielenia przeciwpożarowego. Tuliszkowski mówił „mur ogniowy” – prościej, czytelniej i na temat. W miastach zalecał zabudowę ogniotrwałą, z (...) poprzecznymi murami ogniowymi. Odległość pomiędzy murami ogniowymi zależy od długości danego budynku i wynosić powinna od 20-40 metrów. Drzwi w takich murach powinny być dębowe, obite blachą, „zamykające się samoczynnie za pomocą sprężyny”¹¹⁹. – proszę bardzo – nawet samozamykacze w drzwiach przeciwpożarowych 100 lat temu mieli!

Zaleceń jest znacznie więcej, popartych szczegółowymi planami, również samych budynków: chat, czworaków, dworów, zabudowań gospodarczych, domów ludowych, kin (tu zabezpieczenie taśmy celuloidowej), zakładów pracy. Omawiane są m.in. kwestie ogrzewania, wentylacji i ewakuacji. Oto cytaty z przepisów dla teatrów i kinematografów.

(...)

3. Każda widownia powinna mieć minimum dwa wyjścia.
4. Wszystkie drzwi na widowni i poczekalni otwierać się muszą tylko w kierunku wyjścia; najmniejsza szerokość drzwi na sali 1,25 m. (...)
6. Krzesła i ławki na widowni winny być przytwierdzone i ustawione w takich odstępach, aby widzowie mogli opróżnić salę w 1-2 minut. Przyczem pomiędzy dwoma przejściami w każdym rzędzie może być najwyżej 12 miejsc, a pomiędzy każdym bocz-
nem przejściem a ścianą 6 miejsc (...)¹²⁰.

Dalej autor omawia poszczególne części składowe budynków, w tym taki oto parametr: przewodnictwo ciepła poszczególnych materiałów budowlanych.

Spółczynnikiem przenoszenia ciepła (λ) nazywa się ilość ciepłostek, jaka wchłania i oddaje w ciągu godziny powietrze (lub woda) jakimś ciału na powierzchni stanowiącej 1 m², przy-
czem temperatura powietrza różni się od temperatury owego ciała o 1 stopień. (...) Przy promieniowaniu ciepło przechodzi od jednego ciała do drugiego, nie znajdującego się w bezpośredniej styczności z pierwszym. (...) To zjawisko szczególnie intensywnie występuje podczas pożarów jako żar, bijący z gorejącego budynku¹²¹.

Dalej jest współczynnik promieniowania, wzory dla obliczeń „przenikania ciepła” (przewodności cieplnej). Czyli coś, co dopiero od dwóch dekad funkcjonuje w przepisach techniczno-budowlanych.

Są wykłady z konstrukcji i materiałoznawstwa pożarniczego, w odniesieniu do poszczególnych części składowych budynków. Mnóstwo przykładów rysunkowych dot. szczegółów konstrukcyjnych, również z odniesieniami do historii. Podejmowane są

¹¹⁸ J. Tuliszkowski, *Obrona przed pożarami*, Warszawa 1927, s. 280.

¹¹⁹ Tamże, s. 290.

¹²⁰ Tamże, s. 323.

¹²¹ Tamże, s. 371.

sprawy wytrzymałości konstrukcyjnej z przytoczeniem podstawowych wzorów. Są torf i mech jako materiały izolacji cieplnej. Gлина mieszana ze słomą jako materiał na ściany. Jest to encyklopedia wiedzy budowlanej – i znów, aktualność tej wiedzy jest zadziwiająca.

*Warstwa powietrza, zawarta między podwójnymi szybami, nie dopuści zimna do izby, bo powietrze ma tę właściwość, że z trudem przepuszcza ciepło i zimno. Dlaczego nas kożuch grzeje w zimie? Bo między włosami jest dużo powietrza*¹²².

Tuliszkowski nie twierdził, że drewno należy wyrugować z budownictwa. Dawał jednak przykłady, jak go nie podpalić. Np. omówił z rozrysowaniem sposoby przejścia przewodów dymowych przez drewniane stropy i ściany. Przy materiałach budowlanych omówił cement, beton, gips, zaprawę wapienną i gipsową.

Właściwości metali w ogniu również były wówczas dobrze znane.

*Charakterystyczną jest różnica zachowania się w ogniu konstrukcji żelaznej i drewnianej (belki i słupy). Gdy pierwsza już przy 500°C traci połowę swej siły nośnej i zawala się pod ciężarem maszyn i aparatów znajdujących się na niej, druga (drewno) wolno się paląc, długi czas (przez parę godzin) zachowuje jeszcze swą wytrzymałość*¹²³.

Znano metody podniesienia odporności drewna na zapalenie. Autor podaje recepty na samodzielne sporządzenie środków ogniochronnych.

Pustaki nazywane są w książce „kamieniami”. Propagowany jest „kamień Alfa”, do dziś znanego kształtu, jako kruchy pustak z żużlobetonu. Niemniej to wynalazek najświeższy, tj. „beton komórkowaty”, polecał autor jako najlepszy materiał budowlany, mający znaczne przewagi ogólne nad cegłą, betonem i kamieniem (lekkość, izolacyjność, wytrzymałość).

Wśród materiałów pokryciowych pojawia się eternit. Niemniej sprawom uodpornienia słomy na działanie ognia oraz odpowiednim sposobom jej kładzenia poświęconych jest aż 40 stron książki.

Kończy się ten tom rozdziałem *Charakterystyczne cechy polskiego budownictwa*. Jest on najbogaciej ilustrowany, szczególnie z pokazaniem architektury wiejskiej, a przy okazji strojów ludowych regionów: Kujaw, Łowicza, Kurpi, Lubelskiego, Polesia, Wołynia, Gór. To najlepiej świadczy o kulturze autora – przepisy mogą być wartością wyższą tylko wtedy, gdy nie służą same sobie, lecz wpisują się w kulturę ogólną, w jej regionalnych przejawach.

I w tym ostatnim aspekcie, czyli umiłowaniu urody regionów, różnorodności podstaw polskiej kultury, Tuliszkowski okazał się największym mistrzem. To nie była chłopomania z czasów jego młodości, tych Reymontów, Tetmajerów, Chelmońskich, Rydlów. Tuliszkowski nie idealizował czasów chłopskich, nie robił też żywego skansenu. Nie chciał tylko, żeby umarło poczucie wiejskiej estetyki, dopracowane do doskonałości w jej przejawach artystycznych zarówno w budownictwie, jak i strojach ludowych, muzyce czy poezji. I również w tym różnił się skrajnie od tych, co ruszali z posad bryłę świata.

¹²² J. Tuliszkowski, *Obrona przed pożarami*, Warszawa 1927, s. 399.

¹²³ Tamże, s. 426.

Taktyka pożarna (1929) – tom VII

Tom VII, czyli *Taktyka pożarna*, wydany został w drugiej kolejności w 1929 r., mimo gotowości do wydania tomów wcześniejszych. Wiązało się to z zapotrzebowaniem rynku – druhowie i zawodowcy chcieli wiedzieć, jak gasić. Wyszło 856 stron. tekstu (i 471 rysunków), w którym zasadniczo czcionki drobniejszej autor używał mało – prawie cała wiedza jest dla wszystkich. Wszak, jak już wiemy, jest to wiedza łatwiejsza od zapobiegawczej, więc obowiązki poznawcze sięgają szerzej. Zaczniemy od zastrzeżenia, które autor umieścił na samym początku.

*Główną zasadą taktyki pożarnej jest oszczędne wprowadzanie do akcji części sił bojowych, będących w dyspozycji kierującego i osiągnięcie jaknajlepszych wyników; oraz kierowanie się przeświadczeniem, że nadmiar wody przelanej, nieumiejętna akcja ratunkowa i zbyteczne burzenie budowli, mogą poczynić nieraz daleko większe szkody, niż sam ogień*¹²⁴.

Działania straży pożarnych przy ogniu

Raczej mało kto wie, skąd wzięło się pojęcie „podział bojowy”. W tej książce jest to wyjaśnione. Otóż nie chodzi o strażnicę i przebywanie w niej, tylko o to, kim się będzie, gdy coś się wydarzy.

*Podział czynności na pożarze winien przewidzieć dosyć drobiazgowo wszystkie funkcje i celowe rozdzielenie ich pomiędzy poszczególnych członków załogi. (...) Straż pożarna ochotnicza przedstawia co do ścisłego podziału pewne trudności, gdyż nigdy nie jest wiadome, jaki zespół ochotników zjawi się na dany alarm w remizie (...)*¹²⁵.

Z głównej mierze chodzi o podział funkcji na: toporników (wchodzących w dym i ogień po ludzi i w celu rozpoznania), prądowników i sikawkowych, co w miarę mechanizacji zmieniło się na toporników i ratowników, prądowników oraz oddział wodny.

Wielkie usługi dawała tzw. lampka Davy’ego, dająca nie tylko światło, lecz pozwalająca na określenie zawartości powietrza w otoczeniu pożaru i zawartość w gazach pożarowych i dymie gazów wybuchowych. Mieli ją „wywiadowcy”, tudzież maski przeciwgazowe (czasami tlenowe aparaty izolujące), prądownicę z węzem albo hydro-netkę, służące do lokalizacji w dymie źródła temperatury na zasadzie polewania i nasłuchiwania syczenia. Zagadnieniu wywiadu ogniowego poświęca się 10 stron, wywiadowi wodnemu – jedną. Mnóstwo jest schematów rozstawienia prądowników. Są zadania do rozwiązania, podane czcionką drobną.

*Podstawową regułą być powinno, że dowodzący akcją na pożarze winien być nie wykonawcą, a kontrolerem wypełniania przez podwładnych wydanych przez niego rozkazów*¹²⁶.

Dowiemy się, jakie są czynności poszczególnych funkcji.

Topornicy ratują ludzi i zwierzyne, wykonują przerwy ogniowe, pomagają prądownicom, wyszukują zarzewi i uprzątają pogorzelisko.

¹²⁴ J. Tuliszkowski, *Taktyka pożarna*, Warszawa 1929, s. 5.

¹²⁵ Tamże, s. 18, 20.

¹²⁶ Tamże, s. 70.

Oddział sikawkowy ustawia i sprawia sikawki i pompy, dba o ich bezawaryjną obsługę, prowadzi linie wężowe i rozstawia prądownice. W tym dziale mieszczą się czynności prądowników – czyli umiejętnie i oszczędne lanie wody.

Poszczególne czynności danych funkcyjnych są omawiane do strony 260.

Gaszenie różnego rodzaju pożarów

Omówione jest zachowanie gaśnicze od pożarów domów mieszkalnych, przez budynki użyteczności publicznej, młyny, fabryki: włókiennicze, wyrobów drzewnych, chemicznych (o produkcji szkodliwej i nieszkodliwej dla zdrowia), materiałów wybuchowych, po kopalnie, pożary wiejskie i specjalne. Rozpisanie tego w szczegółach i bogate zilustrowanie zajmuje strony 261–502.

Wśród rodzajów pożarów wymieniono i omówiono pożary rusztowań. Są też omówione pożary w świątyniach, w tym wież kościelnych, podczas których działano na granicy ryzyka.

Lepiej jest, gdy straż posiada sikawkę motorową wysokociśnieniową (13–16 atm); wtedy pomimo wysokości i oporów linii wężowej, otrzymać można na górze prąd dosyć silny i wysoko sięgający. (...) Przeprowadzanie linii wężowej może być zewnętrzne i wewnętrzne. To ostatnie jest lepsze (...). Obowiązkiem naczelnika, kierującego tą akcją, jest pilnowanie, alby odwrót dla prądownica i przydzielonych mu do pomocy toporników był zapewniony¹²⁷.

Jako specjalne wymienione są pożary: mostów, statków, pociągów, samochodów, samolotów, tych ostatnich również pod ogniem nieprzyjacielskim.

Akcja ratunkowa podczas katastrof

Większość miejsca zajmują opisy czynności podczas powodzi. Wśród dobrych rad jest projekt do samodzielnej budowy prostej, a niezawodnej łodzi pływającej, bosaków, wioseł, ale też płaskodennego pontonu z drewna czy tratw, łączenia tych statków w większe jednostki. Podano sposoby wykorzystania drabin jako przyrządów ratowniczych, budowy improwizowanych kładek i mostów. Szeroko omówiono sposób ochrony mostów i innych budowli hydrotechnicznych w czasie powodzi letnich i zimowych, w tym sporządzania i kotwienia zapór. Omówiono z wieloma przykładami budowę i naprawę wałów. Drobnym drukiem są zadania do rozwiązania, np. obliczyć siłę naporu wody na ścianę młyna.

Pośród likwidacji skutków katastrof omówiono też huragany, zagrożenie lawinami, wypadki przy osuwaniu się ziemi i zapadania studni, a nawet jako ciekawostki, wybuchy wulkanów i obronę przed lawą, czy trzęsienia ziemi.

Jeśli ktoś chciałby zobaczyć, jak wyglądały wzory meldunków z pożarów sprzed stu lat – znajdzie je na s. 853–856. Szkoda że nie znali ich twórcy programu „Ewid”.

¹²⁷ J. Tuliszkowski, *Taktyka pożarna*, Warszawa 1929, s. 333–334.

Ostatni tom został zakończony rozdziałem *Pomoc sanitarna dla ludzi i koni*. I można powiedzieć, że tylko ilustracje zawarte w tym rozdziale, najgorsze pod względem technicznym (prawdopodobnie wzięte z popularnych broszur), przeszły jakoś do późniejszych podręczników – żadne inne. Bo przecież potem nikomu nie chodziło o jakość.

Co się stało z tymi podręcznikami?

Lezka się w oku kręci, a i złość bierze – mające sto lat wszystkie problemy i sposoby radzenia sobie z nimi pozostają aktualne, bo przecież fizyka kwantowa nie ma zastosowania przy pożarach, a zniszczenie krajobrazu zabudową pozostaje problemem niezmiennym od pokoleń. A uczono nas o tym samym, co tak prosto opisuje Tuliszkowski, językiem znacznie mniej uduchowionym.

Bo o dziele Tuliszkowskiego zapomniano. Niestety nie z samego lenistwa, tylko w sposób celowy i polityczny, aby w latach 50. XX w. zrobić miejsce półanalfabetom, którym dawano stanowiska komendantów i wykładowców, tudzież „przodującej w świecie nauce radzieckiej”. Wycinając z ogólnej wiadomości tak wysokie jakościowo oraz kompletne wykłady, zbrodnią komunistycznych decydentów było zniekształcenie sposobu myślenia o ochronie przeciwpożarowej wszystkich dosłownie strażaków, a w szczególności tych, co mieli nadawać ton myśleniu innych. Nie opierano wykładów na tym dziele, ani skryptów czy podręczników. Ba! Nie posłużono się nawet ilustracjami, będącymi dziełami sztuki!

Raz odstawione do lamusa książki Tuliszkowskiego szybko obrosły kurzem i jako stare, stały się ciekawostką, dla niektórych nawet czczoną relikwią, przekazywaną następnym pokoleniom jako najwyższej wagi pamiątka, Niestety – nie źródłem wiedzy. Często nawet nie zaglądano do nich, nie czytano, czasami oglądano jedynie obrazki... Bo nikt nauczony bylejakości nie sprawdzał, co tam jest. Nawet właściciele egzemplarzy wcale ich nie czytali, tylko traktowali jako piękne pamiątki, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Niczym stara, dobrze oprawiona szabla – służyły tylko ozdobie i satysfakcji z posiadania. Walorów bojowych nikt nie sprawdzał.

A przecież dzieła Tuliszkowskiego nic nie straciły na funkcjonalności, a sposobem i jakością przekazu zawstydzają dosłownie wszystko, co na tym polu w Polsce dotychczas wytworzono. Wszystko! O czym przekonywali się ci nieliczni, którzy do tego zaglądali i zaglądają, nieraz mając już siwe włosy na skroniach. Wrażenie było jednakowe za każdym razem, również u specjalistów od ratownictwa wysokościowego: „A myśmy wyważali otwarte drzwi!”.

Skutki zapomnienia ponosimy do dziś. Bo sposoby nauczania w zawodowej ochronie przeciwpożarowej, oparte w latach 50. XX w. o dokonania radzieckie, odbywały się na podstawie kiepskich tłumaczeń, bardzo amatorskich wydań i dodanych przez przepisujących błędów własnych, biorących się zarówno z żenująco słabego wykształcenia, jak i niskiej kultury słowa. Nie było mowy o elegancji języka, skoro nie posługiwano się nim na poziomie przedwojennej matury, a wiedzę, z braków

wykształcenia technicznego, przekazywano wybiórczo z niewiedzy własnej, o ile nie wprowadzano w błąd. W ślad za tym kilka razy przyjęliśmy obce sposoby myślenia (również zachodnie) jako lepsze. I znów wybiórczo.

Na skutek tego każde pokolenie strażaków, a w szczególności oficerów, uczyło się podstaw zawodu z podręczników (o ile istniały!) mętnych i pełnych błędów, fatalnych edytorsko, powstałych pierwotnie w zupełnie innych bytach prawno-ustrojowych lub naśladujących tam powstałe, pozostawiających wielkie pola nierozpoznane. Co gorsza – oderwanych od rzeczywistości. W dodatku, jako że zasadnicze decyzje podejmowali ludzie niedouczeni, a stanowiska obejmowano z klucza politycznego, utrwalając ten schemat przez kolejne pokolenia, nigdy nie było możliwe wytworzenie w niczyjej decydenckiej głowie pełnego obrazu ochrony przeciwpożarowej. Bo przecież, w ślad za wzorcami jeszcze z Rosji carskiej, podwładny nie mógł być mądrzejszy od przełożonego. Tym bardziej, że do wielu przedmiotów zawodowych nie wytworzono żadnych dosłownie skryptów, nie mówiąc o podręcznikach! W wyniku naśladownictwa dokonań wschodnich niektóre powstające przepisy (jak techniczno-budowlane) zmuszały do nauki abstrakcyjnych, trudnych pojęć, a do pojmowania wymagały długotrwałego wykształcenia wyższego bądź całkowicie specjalistycznego. Tymczasem przedwojenne przepisy każdy piśmienny majster budowlany był w stanie zrozumieć i zastosować na placu budowy.

Jedno jest pewne. Gdyby podręczniki Tuliszkowskiego były w obiegu, to wytworzenie marniejszych od nich pod każdym względem skryptów byłoby bardzo trudne. Książki Tuliszkowskiego uczyłyby tych siermiężnych autorów i tłumaczy, jak pisać. Zatem przez samo swoje istnienie oddziaływałyby na poziom merytoryczny i kulturowy dzieł następnych. Niestety, nie było ich, więc zaczęto od dna. I zasadniczo jeszcze kilka razy próbowano się od niego odbić, z marnym skutkiem. Było ono zbyt grzaskie, a nawet wciągające, na co złożyły się działania i zaniechania wielu niedouków.

I tak doszliśmy do punktu, w którym przyszło się rozstać Tuliszkowskiemu z kolejnictwem, gdzie znów praca okazywała się bardzo efektywnym zajęciem, nie przeszkadzającym jednak w osiągnięciu wybitnych wyników na innych polach – przeszkody pojawiały się gdzie indziej. Wiek też już zaczynał robić swoje. W 1933 r. Józef Tuliszkowski przekroczył 66. rok życia.

W tym czasie nastąpiła też zmiana w pożarnictwie. Nie chodzi tu tylko o kolejną marginalizację pomysłów naszego bohatera i uparte, a zarazem bezradne brnięcie w ślepą uliczkę interwencyjności, opartej o bylejakość, gwarantowaną dyletantstwem zarządców. Chodzi o coś innego. Mianowicie Główny Związek Straży Pożarnych stracił z nazwy słowo „główny” i stał się po prostu Związkiem Straży Pożarnych. Znaczy – zrobił się w nazwie jednolitym. Czy była to zmiana na lepsze...?

Przekonamy się niebawem.

W przemyśle cukrowniczym (1934–1936)

W 1933 r. Józef Tuliszkowski skończył 66 lat. W dzisiejszych czasach w tym wieku przechodzi się na emeryturę, wówczas taki wiek charakteryzował człowieka zwyczajnie starego. Tym bardziej jest to imponujące, że o rozwiązanie problemu pożarów, trapiącego przemysł cukrowniczy, zwrócono się do człowieka, który z racji na wiek powinien mieć największe sukcesy zawodowe już za sobą. Świadczy to o klasie Tuliszkowskiego oraz o jego ogromnym autorytecie w całym środowisku pożarniczym. Wyraźnie też punktowały jego publikacje, jakich mnóstwo na każdy temat można było znaleźć w dowolnej prasie pożarniczej byłego zaboru rosyjskiego. Nie bez znaczenia była też opinia o nim, jako o człowieku do zadań specjalnych: w kilku przypadkach, niezawodnie, potrafił dźwignąć czy nawet utworzyć od nowa ochronę przeciwpożarową w bardzo poważnych branżach: wojsku, kolejnictwie, a też i Warszawa sporo mu na tym polu zawdzięczała. Tylko cały kraj na raz nie kwapił się, by skorzystać z jego doświadczeń i rad.

Zatem gdy należało wskazać kogoś, kto będzie potrafił uzdrowić całą gałąź przemysłu, nikt inny nie przychodził do głowy decydom, jak właśnie Tuliszkowski. Z pewnością brano pod uwagę też jego początki, tj. projekt jednej z polskich cukrowni czy uzdrowienie z plagi ogniowej carskiego przemysłu cukrowniczego na Ukrainie, o czym można było przeczytać w każdym jego życiorysie. To była kropka nad „i” domysłów, kto mógłby zająć się nad wyraz palącym problemem strategicznego przemysłu.

Cieszyć nas powinna i napawać podziwem forma Józefa Tuliszkowskiego oraz szacunek, jakim go darzono oraz iście profesorski autorytet, jaki posiadał. Mamy w tym jednak dwie informacje ukryte, dotyczące tragicznej słabości polskiego systemu ochrony przeciwpożarowej.

Pierwsza to taka, że przyszło najstarszemu strażackiemu inżynierowi rozwiązywać te same dosłownie problemy, co przed prawie czterdziestu laty. Minęło ponad całe pokolenie, cywilizacja dorobiła się radia i płyty gramofonowej, gdzieś tam działały już systemy automatyczne sygnalizacji pożaru z monitoringiem pożarowym, a cukrownie w Polsce miały stan zabezpieczeń przeciwpożarowych taki, jak carskie na przełomie wieków. Bo traf chciał, że ten przemysł, przynoszący krociowe zyski, stanął na krawędzi zagłady ogniowej, bo nie doczekał się własnych przepisów przeciwpożarowych czy choćby specjalistów w tym zakresie. Ubezpieczyciele stawali na wysokości zadania tylko pobierając składki, a strażacy tkwili w swych własnych problemach egzystencjalnych. Tuliszkowski dostał więc naprawdę łatwe zadanie, gdyż lustrując kilkadziesiąt cukrowni, stwierdzał bardzo podobne w nich nieprawidłowości, zwłaszcza w strukturze organizacji pracy, zabudowy i ochrony interwencyjnej przed pożarami. Różni ludzie tworzyli te zakłady, różni nimi zawiadywali, a przecież pokusy oszczędnościowe były jednakowe, bo technologie takie same. Pójścia na skróty w związku z tym również, nie mówiąc o jednakowych właściwościach

pożarowych zarówno technologii, jak i surowców oraz produktów. No ale to była słabość, choć symptomatyczna, ograniczona do jednej gałęzi przemysłu.

Druga słabość jest jeszcze boleśnieszka, bo nie można o niej było powiedzieć, że dotyczyła jakiegóż gałęzi gospodarki, tylko była to wada systemu większego, bo ochrony przeciwpożarowej. A właściwie nie tyle wada systemu, co objaw jego braku. Zauważmy, że gdy zagrożona była strategiczna branża, na której opierała się część dochodu narodowego, w całej ochronie przeciwpożarowej nie znalazł się ani jeden inżynier w wieku przedemerytalnym, który miałby odpowiednie przygotowanie do zajęcia się tym problemem w sposób odpowiedzialny. Czyli w branży pożarowej nie było ludzi rozwiązujących problemy natury technicznej, dotyczącej biernej ochrony przeciwpożarowej. System polskiego szkolnictwa pożarniczego czy ogólnego nie dorobił się własnych inżynierów ochrony przeciwpożarowej.

Niepokojące jest to, że ustawę o ochronie przeciwpożarowej mieli tworzyć i zatwierdzać właśnie tacy niekompetentni ludzie! Przyjrzyjmy się temu, co im z tego wyszło. Ale najpierw zobaczmy, co wyszło Józefowi Tuliszkowskiemu.

Tuliszkowski naprawia cukrownie

Widzieliśmy dotychczas Tuliszkowskiego inżyniera, konstruktora, organizatora czynnej i biernej ochrony przeciwpożarowej obszarów wiejskich, organizatora i dowódcę czynnej i biernej ochrony przeciwpożarowej w wielkim mieście. Widzieliśmy go jako działacza ruchu strażackiego, organizatora kompleksowej ochrony przeciwpożarowej w wojsku i na kolei. Nie widzieliśmy go działającego w przemyśle. Na koniec przyszedł czas i na to.

Jakim sposobem dokonał Tuliszkowski ostatniego w życiu sukcesu strukturalno-przeciwpożarowego, poinformował nas osobiście. A że do spisania tego podszedł bardzo skrupulatnie, dostaliśmy aspekty przemysłowego wytwarzania cukru z buraka podane jak na dłoni. Jest tu czystość przekazu: technologia, linia produkcyjna i sposób odniesienia się do niej pod względem bezpieczeństwa pożarowego. Dzięki tej prostocie możemy prześledzić wyjątkowo dokładnie zawodowy sposób myślenia i działania Józefa Tuliszkowskiego.

Poznanie procesu produkcji

Pozyskanie z buraka soku zawierającego cukier odbywa się poprzez ługowanie, czyli płukanie czystą wodą. Proces wykorzystuje również zjawisko dążenia roztworów do równowagi. Oczywiście musi to się odbywać w odpowiednich naczyniach, tj. w dyfuzorach.

Dyfuzor jest to żelazny zbiornik w postaci pionowego walca, zwężonego u góry i u dołu, o pojemności od 40 do 80 (średnio 60) hektolitrów i służy do wylugowywania soku cukrowego z krajanki za pomocą wody.

Dyfuzory łączą się w baterie (po 10, 12 lub 14 dyfuzorów; najczęściej po 12), za pomocą rur sokowych i wodnych, przy czym kurki tych rur są tak nastawione, że na świeżą krajankę trafia sok, który już przeszedł np. 11 dyfuzorów, po czym przez ten dyfuzor przepływa sok

z 10-go dyfuzora, następnie z 9-go i t. d., a na ostatku wylugowuje krajankę wyjalowiona świeża woda. Tym sposobem stopniowemu wylugowywaniu podlega każdy dyfuzor 12 razy, coraz to uboższym w cukier sokiem. Dzięki więc takiemu urządzeniu dyfuzja soku w krajance odbywa się stopniowo i krajanka wskutek tego bywa wylugowana kompletnie.

Po przepłynięciu przez ostatni dyfuzor świeżej wody, wylugowane wysłodki są spuszczone zeń przez otwór dolny i kłapy dyfuzora, do kanału, skąd spływają one do dolów wysłodkowych lub przesyłane są na suszarnię wysłodków, o czym będzie mowa dalej. Opróżniony z wysłodków dyfuzor zapełnia świeża krajanka i t. d.¹.

To był dosyć prosty proces, całkiem mechaniczny, ale dalej pojawia się chemia, z kolejnym użyciem wody. W tle pojawia się ogień.

Otrzymany z dyfuzji sok buraczany zawiera dużo zanieczyszczeń w postaci ciał białkowych, różnych soli i t.zw. niecukrów, musi więc być poddany parokrotnemu oczyszczeniu za pomocą wapna. Każda cukrownia posiada w tym celu piec wapienny, w którym podczas kampanii stale wypalane jest wapno.

Wapno wypalone, rozcieńczone wodą w postaci t. zw. mleka wapiennego dodawane jest w t. zw. defekacji, tj. w szeregu żelaznych zbiorników pionowych, do soku buraczanego; w zbiornikach tych wapno łączy się z wszelkiego rodzaju zanieczyszczeniami i niecukrami.

Następnie sok ten poddawany jest działaniu dwutlenku węgla, który podczas wypalania wapna wydziela piec wapienny i za pomocą pompy gazowej wprowadzony bywa do kotłów saturacyjnych. Przez t. zw. strącanie tym gazem wapno wraz z niecukrami formuje się w t. zw. błoto saturacyjne i jest tłoczone na t. zw. prasy błotniarki.

Oczyszczony tym sposobem sok poddawany jest jeszcze raz takiej samej saturacji i filtracji, a nieraz jeszcze t. zw. siarkowaniu działaniem nań tlenkiem siarki. Podczas wszystkich wymienionych uprzednie czynności jak i w dyfuzji i podczas saturacji bywa ustawicznie ogrzewany przez t. zw. reszofery (ogrzewacze parowe)².

Jak opisano powyżej cały proces produkcji cukru składa się z namaczania, używania roztworu wapiennego, dwutlenku węgla gazowego, siarkowania i ogrzewania. Zatem środowisko jest agresywne chemicznie. A że dzieje się to pod ciśnieniem, to procesy korozyjne mogą ulec przyspieszeniu.

Wylugowanie soku z krajanki za pomocą ustawicznie dodawanej w dyfuzji wody, dodanie podczas defekacji mleka wapiennego czyni sok buraczany bardzo rozcieńczonym. Trzeba więc zużyć dużą ilość pary, aby stężenie soku było jak najskuteczniejsze. W celu możliwej oszczędności w rozchodowaniu pary stosowana jest specjalna stacja tężni, zwana inaczej wyparką. Do tężni sok wprowadza się mocno odgrzany za pomocą podgrzewaczy. Tężnia bywa 3, 4-o i 5-oddziałowa. Najczęściej stosowana bywa tężnia 4-oddziałowa. Składa się ona z 4 aparatów (najczęściej używane są stojące) w postaci dużych walcowatych zbiorników o różnej średnicy i jednakowej wysokości. Każdy aparat ma wewnątrz u spodu specjalny grzejnik w postaci niewysokiego cylindra, który ma pośrodku górnego dna rurę doprowadzającą

¹ J. Tuliszkowski, Zabezpieczenia przeciwpożarowe cukrowni w Polsce, cz. I, „Przegląd Pożarniczy” 1938, nr 2, s. 34.

² Tamże, s. 34.

parę oraz małe rurki pionowe, mosiężne lub stalowe, przechodzące na wylot i ogrzewane parą. Przez owe rurki, których bywa od kilkuset do kilku tysięcy, przepływa wewnątrz sok, który dzięki tej cyrkulacji szybko wydziela parę i stopniowo stęży się³.

Proces zagęszczania soku do stadium syropu jest kluczowe dla przemiany go w cukier. Woda odparowywała z soku buraczanego w interesującym i pomysłowym procesie.

Aparat pierwszy tężni bywa ogrzewany parą świeżą, a najczęściej parą wydechową (z parowej maszyny); następne aparaty ogrzewane są parą sokową w następujący sposób: do grzejnika aparatu drugiego wprowadzana bywa para, powstająca z odparowywania soku w aparacie pierwszym; ciepło jej użyte bywa do stężania soku w aparacie drugim, z którego para sokowa przechodzi do grzejnika aparatu trzeciego itd. Dzięki temu osiąga się znaczną oszczędność pracy i paliwa. Dla zwiększenia jeszcze oszczędności ostatni aparat tężni łączy się z t. zw. kondensatorem, gdzie działa rozrzedzone powietrze, dzięki czemu parowanie odbywa się szybciej przy znacznie niższej temperaturze⁴.

Następnym etapem jest krystalizacja, czyli wytworzenie produktu jeszcze nieznanego z ówczesnych sklepowych pól, ale już jako ciało stałe, krystaliczne.

Krystalizacja odbywa się w specjalnych warnikach. Są to wysokie cylindryczne aparaty, ogrzewane od wewnątrz, u spodu węzownicami parowymi z całym szeregiem kurków parowych. Od przewodu każdego warnika jest ustawiony cały pion okienek, służących do obserwacji tworzenia się podczas gotowania kryształów czyli t. zw. ziarnowania. Po odpowiednim skryształizowaniu syropu, zostaje on spuszczone do specjalnych mieszadeł w postaci leżących półcylindrycznych aparatów, w których są wały z łapami. Wskutek przebywania przez pewien czas w ruchu syrop jeszcze więcej podlega krystalizacji, która znacznie powiększa ziarna kryształów. Następnie cukrzycę spuszcza się do wirówek, gdzie dzięki sile odśrodkowej kryształ oddziela się od t. zw. Odcieku. Ten ostatni, zawierający jeszcze dużą ilość cukru, bywa dodawany do syropu i idzie znów do warników, a kryształ otrzymany na wirówkach suszy się i ochładza za pomocą specjalnych kaskad oraz podlega segregacji za pomocą trzęsiankowych rynien aparatów Krejsa; wreszcie jest pakowany w worki i przechowywany w specjalnych magazynach cukru⁵.

Taki cukier jeszcze nie nadawał się do sprzedaży, dlatego musiał przejść jeszcze proces rafinacji.

Cukier kryształ rozpuszczany jest w małej ilości wody przy pomocy pary (topienie), po czym przepuszczany jest przez filtry kostne i postępuje na specjalny warnik, gdzie krystalizuje się i stamtąd przechodzi do mieszadła. Jako gęsty, czysty syrop bywa albo nalewany do form, gdzie tężeje w głowy, albo postępuje na prasy i wirówki. Sprasowany cukier w postaci tabliczek przechodzi do suszarni, po czym rąbie się go na kostki na t.zw. rąbaczkach⁶.

Co prawda zasadniczym produktem cukrowni był cukier, ale podczas jego produkcji powstawało mnóstwo odpadu zwanego wysłodkami. Są to buraczane zrębki pozbawione cukru, a zatem bardzo dobra pasza dla bydła. Dalsza ich obróbka jest

³ J. Tuliszkowski, Zabezpieczenia przeciwpożarowe cukrowni w Polsce, cz. I, „Przegląd Pożarniczy” 1938, nr 2, s. 34–35.

⁴ Tamże, s. 35.

⁵ Tamże.

⁶ Tamże.

połączona z potęgowaniem zagrożenia pożarowego, niemniej zyskiwały wówczas wartość handlową, a cukrownia produkowała mniej odpadów.

Otóż w wielu „cukrowniach (około 30) są urządzone t. zw. suszarnie wysłodków w celu przygotowania do dalszego transportu. Zazwyczaj suszarnia znajduje się w oddzielnym budynku, gdzie suszenie odbywa się w specjalnym bębnie za pomocą gazów spalinowych z pod kotłów parowych. Wysłodki z pod dyfuzji dostają się na t zw. cyklony – specjalne prasy, skąd w stanie wilgotnym są kierowane do bębna suszarni.

Bęben dużej średnicy (około 2 m) i kilkunastu mtr. długości, z grubej żelaznej blachy jest osadzony na łożyskach poziomo i ma wolne obroty. Na płaszczy tym są przynitowane kawałki blachy, po których spadają wysłodki, posuwając się stopniowo od jednego końca do drugiego: trafiają one na swej drodze na coraz gorętsze gazy spalinowe, wpuszczane do dołu z kanału kotłowni do cylindra wewnętrznego. Dzięki temu najwięcej wilgotne wytłoki wrzucane u góry do cylindra są obejmowane przez gazy spalinowe już nieco oziębione i stopniowo suszone przez gazy, których temperatura – w miarę posuwania się wysłodków – stale wzrasta, przyczyniając się do ich zupełnego wysuszenia. Suche wysłodki są gromadzone w magazynach za pomocą przenośników taśmowych lub wdmuchiwane przez rury w specjalne dmuchawy⁷.

W tych ostatnich procesach – suszenia, transportu i magazynowania, istnieje wyraźne zagrożenie pożarowe. I zasadniczo byłby to koniec opisu technologii obróbki przemysłowej buraka cukrowego, ale nie zakładu produkcyjnego, który by działać, musi mieć zaplecze remontowe, transportowe, socjalne, muszą być jakieś pompy do przetłaczania mnóstwa wody i zbiorniki do jej przechowywania. W związku z powyższym zabezpieczenie przeciwpożarowe zakładu wymaga kompleksowego podejścia.

Oprócz korpusu fabrycznego i suszarni cukrownie posiadają jeszcze różnego rodzaju zabudowania gospodarcze, jak magazyn efektów, warsztaty itp.

Magazyn efektów bywa najczęściej urządzony w oddzielnym budynku, chociaż w niektórych cukrowniach działy magazynu znajdują się w korpusie fabrycznym, co dla ogólnego bezpieczeństwa pożarowego jest wysoce niepożądane (...).

Warsztaty przy cukrowniach posiadają następujące działy: warsztat mechaniczny z obrabiarzami do metali, kuźnia, blacharnia ze spawalnią, stolarnia i ślusarnia. Warsztaty zazwyczaj mieszczą się w oddzielnych budynkach i tylko w niektórych wypadkach poszczególne działy warsztatów bywają umieszczone w tej samej fabryce.

Oprócz wyżej wymienionych zabudowań gospodarczych przy każdej cukrowni są jeszcze: biuro, domy mieszkalne dla urzędników oraz koszary i zabudowania dla robotników, zwłaszcza przy tych fabrykach, które są położone dalej od miast i innych osiedli⁸.

Identyfikacja zagrożeń ogólnobudowlanych i technologicznych

Już sam przebieg procesu nasuwa szereg wniosków i pytań odnośnie do zagrożenia pożarowego. Przede wszystkim rzuca się w oczy konieczność posiadania przez

⁷ J. Tuliszkowski, *Zabezpieczenia przeciwpożarowe cukrowni w Polsce...*, s. 35.

⁸ Tamże.

cukrownię dostępu do znacznych ilości wody i paliwa. Towar ciągle jest namaczany, przemieszczany i suszony, co sprawia, że cukrownia zużywa i przetwarza mnóstwo energii – w szczycie produkcji kominy musiały tam mocno dymić. Można podejrzewać gromadzenie się elektryczności statycznej, z pewnością będą pyły zarówno cukru (rozdrabnianie, pakowanie), jak i wysłodków. Zobaczmy, co napisał o tym Tuliszkowski tą swoją przejrzystą polszczyzną.

Jak zwykle przeszedł od ogółu do szczegółu. Ogółem były oczywiście warunki budowlane. Praktycznie w każdym aspekcie, tj. ścian zewnętrznych, murów ognio-
wych, przez konstrukcję i pokrycie dachów.

Stan bezpieczeństwa pożarowego w niektórych cukrowniach pozostawia dużo do życzenia. Wprawdzie budynki fabryczne są prawie wyłącznie murowane, które ogniotrwałym poszyciem, jednak wewnątrz urządzenia nie zawsze odpowiadają wymaganiom bezpieczeństwa pożarowego.

Mury ogniowe, dzielące zazwyczaj korpus cukrowni na odrębne działy, jak buraczarnia, sala maszyn, dyfuzja, saturacja i tężnia, sala warników, mieszadeł i wirówek oraz góry cukrowe, nie zawsze bywają budowane z uwzględnieniem zasad bezpieczeństwa pożarowego. Nieraz za mało występują ponad dachy, albo nawet nie dochodzą do nich; posiadają też otwory w postaci drzwi i okien; przez niektóre mury przechodzą przenośniki (transportery) i.t.p. Oprócz tych niedomagań mury ogniowe w budynkach o pokryciu papowym mają tę wadę, że dachy nie mają przy murach żadnych przerw i stykają się okapami, wskutek czego ogień z jednego działu może przejść bez przeszkód na drugi. Takie wadliwe mury ogniowe spotyka się nieraz na magazynach cukru i składach suchych wysłodków. Okapy dachu, wystając ponad szczytową ścianę, mają końce krokwi i poszycie dachowe nie zabezpieczone, co niezmiernie ułatwia przeniesienie się ognia w razie palenia się budynku przylegającego tej ściany⁹.

Sytuacja była tym groźniejsza, że z uwagi na rodzaj substancji palnej i jej stan skupienia, pożar rozpoczynał się od wybuchu. Tym samym omijał fazę wstępną i był od razu rozwinięty na całe pomieszczenie. Nawet bez początkowego wybuchu pożar rozwijał się bardzo szybko i miał szanse objąć wysokie partie budynku, które były poza zasięgiem środków gaśniczych z gaśnic i hydronetek.

Dachy. Zabudowania fabryczne, tak główne jak i gospodarcze, są w przeważającej liczbie cukrowni kryte tekturą smołowcową (papą), rzadziej znacznie blachą. Wiązania dachowe na korpusie głównym przeważają żelazne, chociaż spotykają się, wprawdzie rzadziej, wiązania z drzewa; na paru korpusach fabrycznych i na magazynach cukru spotkać jeszcze można wiązania z cienkich desek (t. zw. system „Polstefan”). Podszalowania dachowe prawie wszędzie są z desek, co przedstawia znaczne niebezpieczeństwo wobec tego, że gorące powietrze, unoszące się podczas fabrykacji ku górze, bardzo wysusza deski podszycia i czyni je podatnymi na zapalenie¹⁰.

Pożar był groźny nie tylko dla wartości materialnych. Ze względu na szybkość jego rozwoju, jak niedwuznacznie wynika z dalszej części opracowania, ewakuacja

⁹ Tamże, s. 35–36.

¹⁰ Tamże, s. 36.

ludzi musiała być bardzo zdecydowana. Kto się zawahał, mógł zginąć. Poza tym opisane niżej „warunki ewakuacji” znacznie przyczyniały się do szybszego rozwoju pożaru drogami komunikacyjnymi.

Podesty w większości cukrowni są ułożone z desek na żelaznych (rzadko drewnianych) belkach i żelaznych podciągach, wspartych na kolumnach żeliwnych lub z kutego żelaza. Schody są przeważnie z kutego żelaza, boczne natomiast schody bardzo często bywają sporządzane z drzewa¹¹.

To nie koniec niespodzianek. W zabudowaniach cukrowni nie wykorzystywano do poprawy stanu ochrony przeciwpożarowej nawet naturalnie wykonywanych podziałów wewnętrznych budynków. I – jak zwykle – wiele dokładały do bilansu ogniowego opakowania, nie dość, że wykonane w postaci podatnej na zapalenie, to w dodatku składowane w znacznych ilościach, oraz materiały łatwopalne.

Do niebezpiecznych części budowli w wielu cukrowniach należy zaliczyć drewniane przepierzenia z cienkich desek, a również ścianki i odgrodenia z listew, jakie się nie raz widuje w pakowniach i magazynach cukru, a zwłaszcza w magazynach efektów (zasobów) oraz duża ilość drewnianych półek w tych składach z różnego rodzaju artykułami technicznym¹².

Do zagrożeń materiałowych dochodziły organizacyjne.

Przechowywanie tych artykułów pozostawia wiele do życzenia. Gromadzone są w magazynie smary, nafta, a nawet nieraz benzyna. W jednej cukrowni spostrzegłem np. w magazynie efektów kilka beczek z olejami i pokostem, a tuż obok kilkanaście butli z tlenem. Niebezpieczeństwo pożarowe przedstawiają w niektórych cukrowniach i warsztaty. Wiązania dachowe są prawie wszędzie z drzewa. Pował, ani sufitów najczęściej nie ma. Okapy nad ogniskami w kuźni i blacharni bywają nieraz za małe i lada iskra od ogniska, trafiając na silnie wysuszone krokwie, może z łatwością wzniecić pożar. Ogrzewanie stanowi nieraz zwykły piec żelazny z długą rurą blaszaną dymową, ogrzewający stolarnię, gdzie jest pełno wiórów i materiału tartego, suszonego przy rozgrzanej rurze dymowej, która — jak się to zdarza, przechodzi poza ścianę i kończy się tuż pod okapem dachu. Nie zawsze poszczególne warsztaty oddzielone są od siebie murem; nieraz zastępuje mur zwykle przepierzenie z cienkich desek¹³.

Tyle, jeśli chodzi o niebezpieczeństwa ogólne, uniwersalne, które mogłyby wystąpić w każdym zakładzie produkcyjnym, a nawet w każdym większym budynku. Jako że jesteśmy w cukrowni, zapoznajmy się z zagrożeniami pożarowymi, specyficznymi dla tego typu przedsiębiorstwa.

Cukier i zagrożenia pożarowe z nim związane

Sposób przedstawienia tych zagrożeń jest może i największą ciekawostką historyczną, pokazującą, że nasza wiedza wcale nie musi być dużo szersza, większa czy lepsza od tej sprzed lat stu.

¹¹ J. Tuliszkowski, *Zabezpieczenia przeciwpożarowe cukrowni w Polsce...*

¹² Tamże.

¹³ Tamże, s. 36.

Niebezpieczeństwo połączone z fabrykacją cukru. W działach, gdzie fabrykacja połączona jest z dodawaniem dużej ilości wody, (dyfuzja, saturacja, tężnie oraz działy warników i mieszadeł) niebezpieczeństwo pożaru jest niewielkie; najwyżej zachodzi obawa zapalenia się izolacji na korpusach tężni, o ile ta jest sporządzona nie z masy krzemianu, a ze słomianych powróseł lub innego palnego materiału. Natomiast niebezpieczeństwo powstania pożaru występuje na górach cukrowych, t. j. tam, gdzie odbywa się suszenie cukru kryształu, a zwłaszcza jego segregowanie. Przede wszystkim niebezpieczeństwo rozszerzenia się ognia w razie powstania pożaru przedstawiają t. zw. kaskady, służące do ostudzania cukru oraz podnośniki, przechodzące przez wszystkie piętra, poczynwszy od parteru a nawet suterenu (w niektórych cukrowniach są tu stacje wirówek), aż do górnego (2 piętra) gór cukrowych. W razie powstania pożaru na którymkolwiek piętrze, rozszerza się on bardzo szybko przez pionowy wyciąg kaskadowy lub podnośnik na wszystkie piętra¹⁴.

Widzimy zatem, że względy technologiczne, tj. ciągle przemieszczanie produktu, stwarzały idealne warunki do szybkiego rozwoju pożaru, z ominięciem lub przeniknięciem nawet murów ogniowych, w których musiały być otwory transportowe. Do tego dochodziły specyficzne właściwości pyłu cukrowego.

Szczególne niebezpieczeństwo zachodzi tam, gdzie odbywa się segregacja cukru i gdzie powstaje pył cukrowy. Dużo zwłaszcza pyłu powstaje w dziale, rafinerii, gdzie wznecają go piły do głów cukru i rąbaczki kostki, a szczególnie młyny, na których cukier jest przerabiany na mączkę, tzw. puder. Pył cukrowy, podobnie jak i inne pyły, posiada własności wybuchowe. Szczególnie w Ameryce wydarzyło się szereg groźnych eksplozji w młynach zbożowych, fabrykach wyrobów drzewnych i przetworów z cukru, pociągając nieraz wiele ofiar w ludziach. Skłoniło to uczonych amerykańskich do zajęcia się badaniem stopnia wybuchowości pyłu drzewnego, mącznego i cukrowego. Jeden z nich, prof. Peckhom, po szeregu prób i doświadczeń, ułożył ciekawą tablicę porównawczą stopnia wybuchowości różnego rodzaju materiałów wybuchowych oraz pyłu cukrowego, przy czym potencjał wybuchowy jest wyrażony w tonometrach.

Porównawcza siła wybuchowa różnych materiałów

Proch czarny 290

Kwas pikrynowy 345

Proch nitrocelulozowy 380

Bawelna strzelnicza 465

Dynamit okrzemkowy 550

Nitrogliceryna 630

Żelatyna wybuchowa 700

Pył cukrowy 759¹⁵.

Pamiętajmy – jest to rok 1938, czyli opisywany jest stan o kilka lat wcześniejszy, a wzięwszy specyfikę polskich cukrowni – sprzed niemal półwiecza. Tymczasem inżynieria poczyniła ogromne postępy. Od pokolenia istniała krzywa piecowa temperatura-czas, którą wymyślono po to, by za jej pomocą badać odporność ogniową elementów

¹⁴ Tamże.

¹⁵ Tamże, s. 36–37.

budowlanych, co się przekładało na zastosowania praktyczne (ale nie w Polsce, wówczas nie mieliśmy pieców tego rodzaju ani badań). Dopracowano się również wiedzy o materiałach wybuchowych. I była to wiedza ubrana w precyzyjne pomiary i terminologię. Warto wiedzieć, że wówczas posiadano i taką wiedzę, której parametry opisywano zjawiskami o największym znaczeniu. Czy była to wiedza powszechnie dostępna, upowszechniana wśród strażackiej braci? No cóż. Wiedza istniała, ale jej upowszechnienie, już nie. Bo od kogo się tego dowiadujemy? Od jednego z najstarszych ówczesnych strażaków, który nie wahał się, by o tym napisać w 1938 roku.

Oto, co Tuliszkowski napisał o pyłe cukrowym przy pomocy jednostek zwyczajnie zrozumiałych intuicyjnie. Coś, co po prostu warto wiedzieć, oczywiście po wzięciu pod uwagę, że jest to wiedza sprzed lat stu – do tego czasu trochę się zmieniło w jej zakresie.

Widzimy z tego zestawienia, że pył cukrowy przewyższa swoją siłą wybuchową najsilniejsze materiały eksplodujące, skład bowiem chemiczny cukru (według wzoru $C_{12}H_{22}O_{11}$) wykazuje, że cukier składa się z palnych cząstek węgla (C_{12}), najwięcej wybuchowego palnego gazu wodoru (H_{22}) oraz tlenu (O_{11}) podtrzymującego palenie. Na uwagę zasługuje niska temperatura zapalania się pyłów cukrowych w powietrzu, wynosząca zaledwie 410–411 st. oraz granice wybuchowości i koncentracji pyłu cukrowego w powietrzu, z których górna wynosi 13,5 gr. na 1 m³, a dolna 17,5 gr. na m³ [tu jest wyraźna pomyłka, gdyż dolna granica wybuchowości powinna być tą niższą, poza tym obecnie nie wyznacza się górnej granicy wybuchowości dla pyłów – PR].

Znaczne niebezpieczeństwo powstawania i gwałtownego rozszerzania się pożaru przedstawiają z powyższych względów w rafineriach suszarnie głów i kostki. Zwłaszcza te ostatnie, z powodu ogromnej ilości t. zw. „tacek”, „sporządzanych z cienkich drewnianych szczebelków, służących do układania na nich tafelek kostki w komorach suszarni”¹⁶.

I znów trudno uciec od wrażenia, że gdyby pisano podręczniki wiedzy ogólnostrażackiej językiem Tuliszkowskiego tudzież jego zakresem pojęciowym, mielibyśmy świetnie wykształcone kadry. Ale nie przytoczyliśmy jeszcze wszystkich niebezpieczeństw w cukrowni.

Do niebezpiecznych działów pod względem pożarów zaliczyć należy również suszarnie wysłodków, a zwłaszcza magazyny z wysłodkami. Zdarza się nieraz, że bęben, służący do suszenia wysłodków, zatrzymuje się i gorące spaliny powodują pożar mocno nagrzwanych wysłodków. W magazynach wilgotność wysłodków, przekraczająca 15–18% zawsze grozi samozapaleniem się. Ta przyczyna a również wybuchowość pyłu wysłodków są często powodem pożarów¹⁷.

Obecnie wysłodki są tak samo groźne, jak przed stu i więcej laty. Mniej może jest niebezpieczeństw instalacyjnych, w tym ochrony odgromowej. Tuliszkowski stwierdził takich wiele.

Instalacje elektrycznego oświetlenia pozostawiały w niektórych cukrowniach wiele do życzenia. Przewody były i są nieraz prowadzone po belkach i krokwiach drewnianych na

¹⁶ J. Tuliszkowski, *Zabezpieczenia przeciwpożarowe cukrowni w Polsce...*, s. 37.

¹⁷ Tamże, s. 37.

zwykłych izolatorach, „a w kablach „są tam, gdzie występują duże opary: na błotniarkach i na stacjach cedzideł. Zabezpieczenia budynków fabrycznych od wyladowań atmosferycznych były i są zaniedbywane w cukrowniach. Zabezpieczenia te sprowadzają się jedynie do tego, że ostrza odbiorcze są urządzone na wysokich kominach kotłowni i to nieraz uziemienia są niedostatecznego przekroju. Instalacje piorunochronowe, racjonalnie zaprojektowane, spotkać można zaledwie w kilku fabrykach¹⁸.

Niedostatki w zakresie walki czynnej z pożarami w cukrowniach

Tyle jeśli idzie o powstawanie i rozwój pożarów. Osobną zupełnie sprawą były możliwości czynnej z nimi walki. Te przedstawiały się w cukrowniach równie źle, jak zapobieganie im. Czytelnicy dysponujący dobrą pamięcią zapewne odniosą wrażenie, że już czytali poniższy tekst. Będzie to wrażenie prawidłowe, bo też i Tuliszkowski musiał odnieść wrażenie, że po raz tysięczny widzi to samo. Mianowicie, jak po amatorsku niedoposażonymi i niezorganizowanymi były straże ogniowe ochotnicze początku XX wieku, takimi były straże w cukrowniach pod koniec czwartej jego dekady. Z jedną różnicą – o ile wcześniej niedomaganiem były sikawki ręczne, to teraz pojawiły się w tymże charakterze dodatkowo sikawki spalinowe, czyli motopompy. Zatem amatorski sposób pojmowania ochrony przeciwpożarowej czynnej jest taki sam, niezależnie od epoki. Można powiedzieć, że niedouczenie jest tu wartością dziedziczną. Wiele tu znaczy myślenie życzeniowe. I tylko gadżety trochę się zmieniają.

Organizacja obrony przeciwpożarowej w postaci przemysłowych straży pożarnych przed pięcioma laty przedstawiała bardzo wiele do życzenia, zwłaszcza, jeśli chodzi o wyposażenie w sprzęt. W niewielu cukrowniach straże pożarne były należycie zorganizowane, ale zaledwie kilka straży było wyposażonych w sikawki silnikowe i to nie zawsze dobre. Niektóre straże miały ręczne sikawki o cylindrach 150 mm, ciężkie, wymagające do uruchamiania kilkunastu ludzi obsługi, a do nich zaledwie po kilkadziesiąt metrów węża. Inny sprzęt przedstawiał się jeszcze gorzej (stare drabiny, ciężkie wozy itp.)¹⁹.

Jeszcze gorzej było z zaopatrzeniem w środek gaśniczy, czyli w wodę. To parados, bo przecież z samej technologii ługowania soku z buraka wynikało, że potrzeba mnóstwa wody, pomp, przewodów do nich, rurociągów i armatury powrotnej bądź ściekowej (o oczyszczalniach nie było mowy). Tymczasem wody było dużo, ale nie do wykorzystania na wypadek pożaru.

Zaopatrzenie w wodę w większości cukrowni nie przedstawiało się dodatnio: hydranty były w niewielu cukrowniach i to przeważnie o wylotach 30–40 mm, połączone ze zbiornikiem, znajdującym się na wysokości 3-go lub 4-go piętra. Wyloty hydrantów były albo poziome albo pionowe, powodujące załamywanie się węży. Te ostatnie często widywało się parciane, lichego gatunku, nieraz na stałe przymocowane do wylotu i przegniłe wskutek wyciekania wody. Hydranty zewnętrzne były rzadkością, a przy tym zazwyczaj o niskim

¹⁸ Tamże.

¹⁹ Tamże, s. 37.

ciśnieniu. W paru tylko cukrowniach w Poznańskim znajdowały się na terenie fabryki hydranty połączone z siecią wodociągową sąsiedniego miasta.

Stawy znajdujące się przy każdej cukrowni, lub przepływające rzeki i strumienie nie były przystosowane do celów przeciwpożarowych. W niewielu cukrowniach przepływają przez teren fabryczny kanały podziemne, łączące odległy staw z t. zw. studnią, przy której koncentrują się pompy, zasilające fabrykę podczas kampanii. W tych wypadkach na kanale bywa nieraz -urządzony szereg studzienek, ułatwiających korzystanie z nich w razie pożaru. Rzadko jednak widuje się podobne kanały lub zbiorniki podziemne. Na ogół znaczna większość cukrowni jest pozbawiona obfitujących w wodę zwykłych lub podziemnych zbiorników, i jedynym nieraz źródłem wody jest oddalony staw²⁰.

Jest to zrozumiałe, że dostęp do źródła wody był bezużyteczny, jeśli nie było węży, dodatkowych sikawek i siły do ich uruchomienia czy motopomp. Ale nie tylko ten brak powodował, że pożar, zwyczajnie ugaszony w zarodku jako mały, miał wielkie szanse stać się średnim lub dużym.

Dawał się również zauważyć w wielu cukrowniach brak środków gaśniczych, choćby prymitywnych, jak: piasek, konwie czy wiadra; hydropultry i hydronetki rzadko gdzie się spotykało. Były nieraz gaśnice, ale rzadko kiedy dobrze utrzymane, najczęściej zaniedbane, pokryte rdzą, niepewne w użyciu²¹.

Zatem nawet w zakresie gaśnic sprawa przedstawiała się źle.

Jaki zatem obraz przemysłu cukrowniczego widział Tuliszkowski? Jako niebezpieczną technologię, produkującą znaczne ilości wybuchowych pyłów, a też transportującą ogień w miejsca trudne do ugaszenia. Warsztaty powodujące zagrożenia własne. Zabudowę prowokującą pożar do rozwoju. Straże zakładowe może i zorganizowane, ale fatalnie wyposażone. Brak wody do zewnętrznego gaszenia pożaru oraz niesprawne gaśnice. W sumie obraz oczywisty, przecież dlatego też zatrudniono najlepszego w kraju specjalistę w tym zakresie.

Wiele takich i innych jeszcze niedomagań w zakresie obrony przeciwpożarowej stwarzało w fabrykach cukru znaczne niebezpieczeństwo pożaru, mogącego z łatwością powstać oraz szybko się rozszerzać²².

Środki zaradcze

Można powiedzieć, że identyfikacja zagrożenia to już połowa sukcesu, pod jednym warunkiem – że znajdą się pieniądze na poprawę. Zestawienie nieprawidłowości w cukrowniach podane jest przez Tuliszkowskiego w taki sposób, że czytelnik sam wpadał już na pomysły, co i jak można by poprawić, gdyż wiele w tym było oczywistości. Ale rolą rzeczoznawcy ds. zabezpieczeń przeciwpożarowych nie jest, by żądać zburzenia czegoś postawionego źle, by to postawić dobrze. On ma za zadanie tak obmyślić system

²⁰ J. Tuliszkowski, *Zabezpieczenia przeciwpożarowe cukrowni w Polsce...*, dz. cyt.

²¹ Tamże.

²² Tamże.

zabezpieczeń, by nie rujnując dotychczasowej substancji materialnej, stan ochrony przeciwpożarowej wyraźnie poprawić. Czyli ma uwzględnić twardy rachunek ekonomiczny, w którym – mimo wszystko – nie bierze się pod uwagę całkowitego zniszczenia przedmiotu opracowania przez pożar. Jego propozycje mają się opłacać inwestorowi. A wtedy się najbardziej opłaca, gdy wiele prac może wykonać sam.

Zadanie Tuliszkowskiego takie właśnie było. Zdawał sobie jednak sprawę, że przemysł cukrowniczy ma naprawdę wielkie możliwości prowadzenia wszelkiego rodzaju prac, gdyż posiada odpowiednich ku temu specjalistów, narzędzia i sprzęt. Znalazł się również płatnik tj. pracodawca Tuliszkowskiego: Polskie Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń Cukrowni. Towarzystwo nie dysponowało co prawda nieograniczonymi środkami, ale zniszczenie pożarem kolejnego zakładu zachwiałoby istnieniem tej instytucji. Propozycje Tuliszkowskiego były tańsze, a przy tym rozłożone w czasie, gdyż zakres prac nie był możliwy do wykonania w jednym roku budżetowym.

Zestaw zaleceń pokontrolnych był bardzo obszerny i szczegółowy. Jedno i drugie spowodowane było jego uniwersalnością: zalecenia miały jednakowo pasować do każdej cukrowni, miały być łatwe do wykonania, ale też zweryfikowania przez dyrektorów czy inspektorów zewnętrznych. Zatem wytworzył coś więcej niż instrukcję. W istocie był to zestaw przepisów do stosowania, o tyle jednak różny od tego, co można przeczytać w rozporządzeniach ministrów, co prawda napisany językiem technicznym, ale nie prawniczym, a przy tym nie tylko określający, co zrobić, ale i jak. Jest to zatem jednocześnie coś na kształt decyzji administracyjnej wraz z uzasadnieniem. Jest to zarazem okazja do poznania drugiego języka polskiego Tuliszkowskiego – technicznego. Tym również posługiwał się po mistrzowsku.

Tuliszkowski podzielił zestawienie na trzy części, które nazwał grupami. W grupie I podał zalecenia ogólne, porządkowe i budowlane. Były znacznie obszerniejsze, niż jakiegokolwiek przepisy porządkowe wojewodów. Grupa II objęła zaopatrzenie w wodę do wewnętrznego i zewnętrznego gaszenia pożaru oraz organizacji straży ogniowych. Grupa III dotyczyła organizacji zakładowych straży pożarnych.

Z powyższych zaleceń zacytujmy fragmenty odnoszące się do zaopatrzenia w wodę oraz organizacji straży ogniowych, pozwalające na zapoznanie się z logiką przekazu i językiem, jakie stosował Tuliszkowski. Swoją drogą jest to interesujące, jak jego ekspertyza zostałaby przyjęta w którejś z komend wojewódzkich PSP, na zasadzie art. 6a dzisiejszej ustawy o ochronie przeciwpożarowej? Jakie uwagi by do niej sporządzono...? Pozostawmy to pytanie otwartym, również dla przyszłych pokoleń. A może by tak zaryzykować i przedstawić ją do zatwierdzenia...?

Grupa II. — Zarządzenia, dotyczące racjonalnego zaopatrzenia cukrowni w wodę do gaszenia pożarów. W tym zakresie należy przewidywać:

- 1) Urządzenie hydrantów wewnętrznych i zewnętrznych oraz podniesienie w nich ciśnienia.*
- 2) Przeprowadzenie rur pionowych z wylotami w miejscach najwięcej zagrożonych.*
- 3) Urządzenie zbiorników podziemnych do zasilania sikawek.*

4) Zużytkowanie istniejących studzien i innych zbiorników.

1) Urządzenie hydrantów wewnętrznych, zewnętrznych oraz zwiększenie w nich ciśnienia. Na podstawie zbadania podczas lustracji stanu i działania hydrantów zaprojektowane być powinny odpowiednie zmiany, przy czym za zasadę należy przyjąć dążenie, aby w każdym punkcie cukrowni można było zaatakować pożar dwoma silnymi prądami. Należy tu uwzględnić dwa rodzaje hydrantów: zwykłe, zasilane tylko z wieży ciśnień, oraz o ciśnieniu wzmożonym przez włączenie do sieci specjalnej pompy lub też sikawki silnikowej.

a) Teoretyczne obliczenia oraz cały szereg praktycznych pomiarów, przeprowadzonych w przeszło 40-tu cukrowniach, wykazały niedostateczną sprawność działania prądów z hydrantów, zasilanych tylko z wieży ciśnień. Minimalna bowiem wysokość ciśnienia dla prądów wody – jeśli chodzi o ich skuteczność gaśniczą – wynosi 3–4 atmosfery przy prądownicy, którego to ciśnienia w wypadkach korzystania tylko z wieży ciśnień niepodobna jest osiągnąć. Na należytą więc obronę przeciwpożarową fabryki za pomocą hydrantów zasilanych tylko z wieży ciśnień liczyć nie można i należy zapewnić sobie możliwość zwiększenia ciśnienia w sieci hydrantowej. (...)

W miejscach zaś, w których grozić może powstanie pożaru, jak w sortowni lub pakowni cukru, należy urządzać specjalne rury pionowe, umożliwiające włączanie sikawki silnikowej (...).

b) Inaczej przedstawia się sprawa, jeśli sieć hydrantowa jest urządzona niezależnie od całej fabrycznej instalacji wodnej. Wtedy hydranty mogą być zainstalowane w większej od siebie odległości, gdyż przy wprowadzeniu do sieci sikawki silnikowej lub specjalnej pompy, zasięg prądów można doprowadzić ponad 30 m²³.

Widzimy tu zatem koncepcję następującą. Walka z pożarami w cukrowniach miała być podejmowana natychmiastowo, przez pracowników, w chwili zauważenia pożaru, przy pomocy hydrantów wewnętrznych rozmieszczonych tak, by zasięgami rzutów prądów gaśniczych pokryć wszystkie miejsca wewnątrz zabudowy, szczególnie w budynkach najbardziej zagrożonych. Hydranty wewnętrzne pełniły zatem rolę główną. Zasadniczo cała koncepcja ochrony przeciwpożarowej została temu podporządkowana.

Wszystkie hydranty w cukrowni powinny być 52 mm. Rozmieszczenie hydrantów może być następujące: na sali maszyn i pomp na przyziemiu 1 hydrant (przy wejściu); na piętrze dwa hydranty: jeden w pobliżu dyfuzji i saturacji i jeden przy tężni; czasem instaluje się jeszcze 1 hydrant na drugim piętrze do obrony pomostu i jeden przy wadze i krajalnicy. Na warnikach musi być zainstalowany hydrant na drugim piętrze i czasem na pierwszym przy mieszadłach.

Hydranty należy zawsze tak umieszczać, aby dojscie do nich było jak najlepsze: przy drzwiach lub schodach.

Przy górach cukrowych, przy silosach, krejsach oraz w pakowni powinny być również zainstalowane hydranty. Ogółem zatem w głównym korpusie cukrowni powinno być 5–8 hydrantów.

²³ J. Tuliszkowski, Zabezpieczenia przeciwpożarowe cukrowni w Polsce, cz. II, „Przegląd Pożarniczy” 1938, nr 4, s. 100.

Każdy hydrant powinien mieć głowicę na wysokości 1,5 m nad podłogą i wylot pochylony na dół pod kątem 45 stopni z kurkiem i połączeniem szczepianym²⁴.

Hydranty nie by nie znaczyły bez odpowiednich ilości i ciśnienia wody. Tuliszkowski proponował nie tylko budowanie zbiorników przeciwpożarowych (te proponował sytuować z tyłu zakładów), wież ciśnień oraz stosowanie małych zbiorników przy studniach i ujęciach wody, ułatwiających pobór wody przez sikawki. To jeszcze nie zapewniało właściwego ciśnienia, które należało wspomagać. W tym celu proponował użyć „sikawek spalinowych”, czyli motopomp zarówno przy „rurach pionowych”, jak i przy punktach czerpnia wody. W celu zobrazowania problemu posłużył się przykładami z konkretnych projektów, jakie zastosował w praktyce. W jednym przypadku wieża ciśnień nie zapewniała właściwego ciśnienia w kilku hydrantach.

Zaprojektowałem więc wieżę ciśnień 10 mtr wysokości na wzgórzu: na dole w hydrantach fabrycznych osiągnięto ciśnienie przeszło 3 atmosfery. Zainstalowano pompę odśrodkową z napędem elektrycznym podając wodę do zbiornika na wieży, skąd magistrala 75 mm prowadzi wodę do sieci hydrantowej w cukrowni.

Dla obrony budowli, znajdujących się na stokach wzgórza bliżej wieży, zaprojektowano 5 hydrantów zewnętrznych. Wobec jednak bliskiego położenia tych hydrantów od wieży ciśnienie w nich było zbyt słabe, wynosiło bowiem zaledwie 1,2–1,3 atm. Wtedy przyszło mi na myśl włączenie do sieci hydrantowej sikawki silnikowej, która ustawiona przy studzience, łączącej się z rzeczką Woźuczynką przy cukrowni, podała wodę na magistralę w kierunku odwrotnym i podniosła znacznie ciśnienie w owych 5-ciu hydrantach zewnętrznych położonych bliżej wieży. Dyrekcja cukrowni była b. zadowolona z tych wyników. Opis tego wodociągu i prób znajduje się w książce pt. „Zaopatrzenie osiedli w wodę” (str. 180–183)²⁵.

Z powyższego wynika, że Tuliszkowski był bardzo pomysłowym człowiekiem, umiejącym dostosować się do danej sytuacji terenowej. Przy okazji dowiedzieliśmy się o kolejnej publikacji książkowej naszego bohatera, jaka ukazała się drukiem, a była częścią wielkiego dzieła życia.

Odnosnie do organizacji straży ogniowych zakładowych Tuliszkowski również wykazał się daleko idącą elastycznością. Nie wymyślał w tym zakresie rozwiązań autorских dedykowanych tylko i wyłącznie cukrowniom, tylko posłużył się wypróbowanymi wzorami, zarówno przekutymi w istniejące, sprawdzone regulaminy, jak i zastosowanymi przezeń pomysłami np. pogotowia w Straży Ogniowej m. st. Warszawy.

Grupa III. — Zarządzenie dotyczące obrony fabryki w wypadkach pożaru.

W zakres tych zarządzeń wchodzi:

- 1) Organizacja straży pożarnych i pogotowi.*
- 2) Wyposażenie straży w sprzęt, odpowiadający zadaniu racjonalnej obrony i warunkom terenowym.*
- 3) Wyszakowanie straży i prace nad jej wyrobieniem fachowym²⁶.*

²⁴ J. Tuliszkowski, *Zabezpieczenia przeciwpożarowe cukrowni w Polsce*, cz. I, „Przegląd Pożarniczy” 1938, nr 2, s. 101.

²⁵ Tamże, s. 105.

²⁶ Tamże.

W tym zakresie zapoznamy się z punktami nr 1 i 2, dotyczącymi struktur jednostek. Nie będzie to dla nas nowością, niemniej warto wiedzieć, że jeśli nie można utworzyć wymarzonej straży pożarnej, to utworzenie jakiegokolwiek, ale należącego do wyposażonej, jest czymś lepszym niż nic.

1) Organizacja straży pożarnych i pogotowi wzorowana jest na formach i podstawach przyjętych przez Związek Straży Poż. R. P. Skład i liczebność korpusu straży fabrycznych w cukrowniach zależy przede wszystkim od warunków miejscowych, a gł. od warunków mieszkaniowych. Są cukrownie położone obok większych miast i osiedli, jak w województwach poznańskim i pomorskim, gdzie znaczna większość rzemieślników i robotników mieszka poza fabryką w pobliskim osiedlu. Natomiast w województwach centralnych, południowych i na Wołyniu przy cukrowniach znajdują się domy robotnicze, dzięki czemu cały prawie personel fabryczny znajduje się na miejscu. Są to sprzyjające warunki dla utworzenia liczniejszych straży pożarnych.

W niektórych miejscowościach, zwłaszcza na zachodzie kraju, spotyka się cukrownie, przy których mieszka nieraz na stałe zaledwie 6–8 ludzi. Wtedy organizacja obrony przeciwpożarowej może być ograniczona do niewielkiego pogotowia, składającego się z kilku strażaków (...)²⁷.

Straż pożarna bez specjalistycznego wyposażenia niewiele może zdziałać. Jak wiemy, zasadniczo wszyscy pracownicy zakładu powinni umieć gasić przy pomocy hydrantów wewnętrznych, więc można by się spodziewać wyprofilowania wyposażenia straży ogniowej zakładowej w sprzęt uzupełniający. Nie wynika to z zestawień, gdyż sprzęt miał nie tylko uzupełniać działania przy pomocy hydrantów, ale też być skutecznie użytym w gaszeniu indywidualnym. Zwraca uwagę znaczna liczba drabin i ich różne rodzaje. Ponadto dał się zauważyć wyraźny postęp techniczny, w porównaniu z taborem i sprzętem sprzed pokolenia, jaki Tuliszkowski proponował w swym pierwszym podręczniku dla straży wiejskich i dworskich. Otóż pojawiły się: sprzęt motorowy, resory i ogumienie. Nie bez kozery Tuliszkowski uwypuklił te aspekty jako znakomicie ułatwiające działania.

2) Niemniej ważną sprawą jest wyekwipowanie danej straży lub pogotowia w narzędzia, odpowiadające miejscowym potrzebom obrony powierzonych straży obiektów. Mając za sobą kilkunastoletnią, praktykę przy organizowaniu straży wojskowych i kolejowych; za podstawę wyekwipowania przyjąłem taki sam rodzaj taboru i wyekwipowania i dla straży fabrycznych w cukrowniach. Podstawą jest t. zw. podręczny tabor na 3-ech dwukołowych a wózkach, więc:

- 1) Sikawka silnikowa I-ej lub II-ej wielkości z normalnym wyekwipowaniem.
- 2) Zwiądadło dwukołowe (w miarę możliwości na ogumowanych kołach) na 250–300 mtr. węży.
- 3) Wózek rekwizytowy dwukołowy na ogumowanych kołach, na którym są wożone:
 - a) drabiny: francuska, Szczerbowskiego i nieraz drążkowa 3-przęsłowa 14–15 mtr. wysokości;
 - b) 1 bosak dwuzębny ciężki; 2–3 jednozębne lżejsze;
 - c) mniejszy sprzęt do burzenia: drągi żelazne, 2 bosaki podręczne, piła, duży topór, parę łopat;

²⁷ J. Tuliszkowski, Zabezpieczenia przeciwpożarowe cukrowni w Polsce, cz. I, „Przegląd Pożarniczy” 1938, nr 2, s. 105.

- d) 2 tarcze azbestowe ochronne;
- e) 2 maski dymowe, 2 latarki elektryczne, lampa .Davy'ego;
- f) sprzęt dla ochrony od prądu elektrycznego.

Dzięki ogumowanym kołom, półresorom i kulkowym łożyskom ten lekki tabor może być dostarczony do miejsca pożaru b. szybko przez 6-ciu ludzi pomimo przeszkód w postaci licznych torów kolei normalnej i wąskotorowych, znajdujących się na terenie fabryki²⁸.

Wniosek patentowy (1936)

Niewątpliwie pomysł na urządzenie gaśnicze wziął się Tuliszkowskiemu z analizy właściwości palnych wysłodków. Jak wiemy z podanego wyżej cytatu, wysłodki miały tendencje do samozapłonów biologicznych. Nie tylko one. Problemy tego rodzaju stwarzało niedosuszone siano, ale też węgiel w hałdach. Tu musiały przeważać szalę wysłodki, składowane w głębokich przyzmach, a też czasem zbyt mocno „przesuszone” w bębnie piecowym i w związku z tym zapalające się. Jak zwykle w takich przypadkach, było widać dym, ale ogniska pożaru – nie. Polewanie wodą po dymiących materiałach nic nie dawało, zatrzymywała się ona w warstwie wierzchniej, nie płynąc w głąb, bądź jak zwykle przy pożarach, spływając niezgodnie z intencją polewających. Trzeba było odgrzebywać pożar, lecz zanim się do niego dokopano, sam się ujawniał, już jako duży i nie do opanowania.

Już w 1933 r. Tuliszkowski lustrował najpilniejsze przypadki cukrowni. Wkrótce przyszedł mu do głowy pomysł, jak sobie poradzić z problemem głęboko lokowanych samozapłonów, który 28 sierpnia 1934 r. przedstawił w urzędzie patentowym jako: *Przyrząd do gaszenia dwutlenkiem węgla palących się ciał sypkich i strzępiastych*. Patentu udzielono w dniu 28 lutego 1936 r., jednak opublikowano go dopiero w dniu 20 maja 1936 r.²⁹. Oto fragmenty opisu wynalazku, bardzo prostego w konstrukcji i działaniu.

Niniejszy wynalazek dotyczy przyrządu do gaszenia palących się sypkich i strzępiastych ciał za pomocą dwutlenku węgla, doprowadzanego nad ogniska wewnętrzne palących się ciał sypkich i strzępiastych, które łatwo podlegają samozapaleniu się wskutek zwilgotnienia. Są to wytłoki, palone zboże, miał węglowy, bawełna, siano, przetłuszczone lub zwilgotniałe odpadki bawełniane i szmaty i t. d.

Ponieważ ciała te wskutek zawilgotnienia fermentują, co pociąga za sobą znaczne podnoszenie się ich temperatury i wchłanianie tlenu z powietrza, kończące się zwykle pożarem, nie mogą więc być wskutek tego gaszone wodą, potęgującą tylko zjawisko samozapalenia się, przeto jedynym środkiem jest tłumienie takiego pożaru za pomocą gazów niepalnych i cięższych od powietrza. Z tych najwięcej skutecznym okazuje się dwutlenek węgla, około 1,5 razy cięższy od; powietrza. Działanie tego gazu na płomień jest podwójne: tłumiące przez wycieśnianie z nad płonącego ciała powietrza, a z niem i tlenu, oraz gaszące wskutek

²⁸ Tamże.

²⁹ J. Tuliszkowski, *Przyrząd do gaszenia dwutlenkiem węgla palących się ciał sypkich i strzępiastych*, opis patentowy nr 22890, KL 61a 12/05, Warszawa 1936.

mocnego oziębienia ciała dzięki rozprężaniu się gazu ze stanu ciekłego w butli stalowej w stan lotny³⁰.

Tuliszkowski przewidział dla swojego urządzenia dwojakie zastosowanie: jako stacjonarne urządzenie gaśnicze (dziś powiedzielibyśmy – stałe) oraz przenośne, z ręcznym uruchomieniem. Budowa i zasada działania urządzenia była następująca.

Najważniejszą część składową przyrządu stanowi rura R. Jest to zwykła rura żelazna lub stalowa o średnicy 20-30 mm. Rura R składa się z kilku oddzielnych rur, nakręcanych jedna na drugą, przyczem ilość tych części zależy od głębokości, na którą wtyka się rurę.

Dolny koniec pierwszej rury R_k posiada stalowe ostrze O (fig. 2), w pobliżu którego rura jest zaopatrzona w szereg otworów d, d, d, przez które wycieka gaz. U góry rura jest zaopatrzona w gwint G (...). Dolny koniec każdej następnej rury, służącej do wydłużania, stanowi nakrętkę N (fig. 4), a górny koniec jest zaopatrzony w gwint z pierścieniem oporowym, jak w rurze pierwszej.

Na gwint ostatniej rury nakręca się łącznik od rurki gumowej R_g, która jest połączona przez zawór redukcyjny z butlą stalową, zawierającą zgęszczony do 60 atmosfer w stanie płynnym dwutlenek węgla.

Działanie przyrządu jest następujące: ponad tlejącą warstwę (ognisko pożaru) danego ciała wtyka się pierwszą rurę ostrzem naprzód. Jeżeli warstwa ciała jest bardzo zwarta, to na górny koniec rury nakłada się kaptur i bije się weń młotem. Po zagłębieniu się rury kaptur zdejmuje się i nakręca się drugą rurę, którą znów się wbija i t.d. dopóki ostrze pierwszej rury nie znajdzie się w pobliżu ogniska pożaru, poczem do ostatniej rury przyłącza się wąż gumowy i przez kurek redukcyjny wpuszcza się wolno dwutlenek węgla, który spływa w dół i wycisnia powietrze, a z nim i podsycający ogień tlen.³¹

Urządzenie stacjonarne różniło się wetknięciem na stałe pionowych rur w chroniony materiał, połączonych rurami zbiorczymi poziomymi oraz baterią butli z dwutlenkiem węgla, rozbudowaną do obliczeniowych rozmiarów chronionej strefy.

Urządzenie nie było tylko teoretycznym pomysłem, przeniesionym na papier. Już rysunki wskazują na to, że było to urządzenie funkcjonalne, które najpierw skonstruowano, a dopiero potem przerysowano. W 1937 r. wynalazca zgłosił je na konkurs wynalazków pożarniczych na Międzynarodowych Targach Poznańskich. Zdobył II nagrodę (200 zł).

Ale na tym nie kończyły się zastosowania tego urządzenia, bowiem ostatni pracodawca Tuliszkowskiego zakupił 30 szt. takich urządzeń. W 1938 r. ugaszono dzięki niemu pożar w magazynie wysłodków w Cukrowni „Strzyżów”.

Podsumowanie

Na tym zakończymy przedstawianie pomysłów Tuliszkowskiego na zabezpieczenie cukrowni, które same w sobie tworzyły całkiem sporą publikację. Dokonania na ostatnim w życiu stanowisku pracy on sam podsumował następująco.

³⁰ J. Tuliszkowski, *Przyrząd do gaszenia...*, opis patentowy nr 22890, KL 61a 12/05, Warszawa 1936, s. 1.

³¹ Tamże, s. 2

Na zakończenie poinformuję Szan. Czytelników o rezultatach zabiegów nad podniesieniem stanu obrony przeciwpożarowej w cukrowniach. W ciągu pięciu lat zwiedziłem 51 cukrowni, odbyłem 172 wyjazdy lustracyjne, przy czym w 40 cukrowniach stan obrony został doprowadzony prawie do porządku. Wypadki kilkunastu pożarów, ugaszonych poważnie w zarodku lub z niewielkimi stratami, a zwłaszcza słowa paru pracowników podnoszących z uznaniem „uratowanie warsztatu pracy” oraz dzielność fabrycznych straży pożarnych jest dla mnie wielką nagrodą i podniecią do dalszej fachowej pracy na tym wdzięcznym polu³².

Ustawa o ochronie przed pożarami i innymi klęskami oraz jej skutki

Jak wiemy, ustawy regulującej sprawę ochrony przeciwpożarowej wyczekiwano w środowisku strażackim od dnia niepodległości, najbardziej w byłym zaborze rosyjskim. Najbardziej, bo w byłych zaborach pruskim i austriackim obowiązywały takie ustawy jeszcze z czasów zaborczych, a więc pruska i austriacka. Tak też było na ziemiach przyłączonych spoza zaborów, jak Śląsk Górny (porządek pruski) czy Cieszyński (porządek austriacki). Niemniej obydwie te porządki szybko dostosowywały się do ogólnego nieporządku. Nie tylko dlatego, że skoro zaborcy byli źli, to ich prawo nie lepsze. W niepodległej Polsce zabrakło organów, które dbałyby o przestrzeganie prawa. Wreszcie zabrakło jakiegokolwiek prawa.

Legislacyjna bierność strażacka

Kompromitujący zastój legislacyjny w sprawach ochrony przeciwpożarowej trwał bardzo długo. Co prawda przez pierwsze lata niepodległości na czele Głównego Związku Straży Pożarnych stali ludzie gotowi przygotować odpowiedni projekt, a szczególnie prezes Bolesław Chomicz. Najpierw jednak musiała nastać niepodległość, o którą trzeba było walczyć. Potem energia Chomicza została zużyta na ustawę ubezpieczeniową, która miał regulować w sposób należyty te sprawy, tj. dopilnować zbierania i wydatkowania podatku ogniowego w sposób należyty, dokonała znaczących deregulacji na rzecz firm prywatnych, co skwapliwie trwoniły te pieniądze na własne funkcjonowanie. Jak już wiemy, prezes nie wyszedł z tego bez szwanku. Potem był kryzys gospodarczy, a w momencie wyjścia z niego, w czasach reformy Grabskiego, dyskusja w środowisku strażaków, w którą stronę ta ochrona ma iść. Z końcem 1925 r. poszła w stronę amatorszczyzny i etatyzmu, o czym najlepiej świadczyły ruchy kadrowe na szczytach władzy, gdy ludzi mających ambitne cele zastąpiono ludźmi z samymi tylko ambicjami posiadania stanowisk. Ci uosabiali samymi sobą jakże zgodne, powszechne, strażackie pragnienie, by już nigdy więcej niczego trudnego się nie uczyć.

Gdy już etatyści-dyletanci po przewrocie majowym Piłsudskiego zajęli swoje stanowiska zarządcze w ruchu strażackim, znów zaczęły się głosy, tym razem ze strony zawodowych oficerów, że sprawy ochrony przeciwpożarowej należy uregulować

³² Tamże, s. 107.

ustawą. Etatysty nie widzieli potrzeby żadnych zmian, gdyż ochrona przeciwpożarowa była taką, jaką chcieli widzieć: siecią ochotniczych straży pożarnych, do zarządzania którymi wystarczały statut i trochę dobrych chęci. Myśli o tym, że są jakieś inne poza porządkowymi przepisy przeciwpożarowe, że należałoby szkolić kadry dowódcze na rzecz taktyki nie na kursach stołówekowych z kadrą dorywczą, tylko w ośrodkach szkolenia z kadrą stałą, nie trafiały do nich, bo przecież wyobrażali sobie, a nawet doskonale wiedzieli, że cała ochrona przeciwpożarowa to strażak z sikawką, w hełmie i z węzem, a jej kompletność utożsamiali z możliwie gęstym rozmieszczeniem takich strażaków. Tymczasem ustawa musiała zakładać choć częściowy profesjonalizm czynników decyzyjnych, tak to przecież intuicyjnie odczuwali. Gdzie wówczas byłoby dla nich miejsce...?

Tej wiedzy/wyobrażenia nie zmienił zasadniczo kryzys roku 1929, gdy główny płatnik, tj. Polska Dyrekcja Ubezpieczeń Wzajemnych od Ognia, oznajmiła, że pieniędzy na straże pożarne nie ma i nie da. Zatem nadal uważano, że gęstniejąca sieć OSP to coraz kompletniejszy system ochrony przeciwpożarowej. Zmiana nastąpiła w jednym tylko aspekcie. Mianowicie nagle zrozumiano, że skoro ubezpieczyciele nie będą dawać pieniędzy, to trudno będzie dalej się zajmować się strażami pożarnymi, bo nie będzie za co. I to był zasadniczy powód myślenia o tym, że działalność strażacką należy ubrać w przepisy rangi ustawowej. W dodatku seria uszczypliwych artykułów w „Strażactwie Zawodowym” miała mocniejszy wydźwięk, niż autorzy sobie wyobrażali – główni aktorzy pożarnictwa, postanowili coś udowodnić nie tylko na polu dyscyplinowania krytykantów, co uczyniono. Wzięli się więc za sporządzenie ustawy, która choć trochę regulowałaby tę postępującą amatorszczyznę, jaką był w owym czasie Główny Związek Straży Pożarnych RP.

Ponadto pojawił się jeszcze jeden ważny gracz na rynku bezpieczeństwa pożarowego, mianowicie wojsko, które miało swój system w tym zakresie, autorstwa Tuliszkowskiego. Nie zamierzało ono jednak zadbać o przywrócenie prawidłowości myślenia o ochronie przeciwpożarowej w strażach pożarnych. Wojsko za pomocą sieci straży pożarnych zamierzało realizować cele własne, czyli obronności państwa. Jeśli tu sobie wyobrażamy, że obronność tę rozumiało wojsko jako brak pożarów na zapleczu działań frontowych, czyli (od Wielkiej Wojny) w całym państwie, mylimy się. Wojsko chciało mieć armię rezerwową w strażakach, coś w rodzaju pospolitego ruszenia połączonego z partyzantką. Nawet ppłk inż. Józef Tuliszkowski po zdymisjonowaniu z wojska dostał przydział w pospolitym ruszeniu – tak to się oficjalnie nazywało.

Wojsko wkracza do ochrony przeciwpożarowej

Tradycje wojskowe w polskim ruchu pożarniczym były nieodłącznie z nim związane, zwłaszcza na ziemiach byłego Królestwa Polskiego. To tam zaborca nie pozwalał na zakładanie straży pożarnych, a jak już pozwolił, to nie pozwalał na ćwiczenie przez strażaków musztry (jakby dzięki musztrze wygrywano wojny w erze prochu

bezdymnego i broni maszynowej), by przypadkiem nie zrobili się z nich polscy żołnierze. W godzinie próby okazało się, że zaborca miał rację – polscy strażacy wzięli masowy udział w rozbrajaniu żołnierzy niemieckich i austriackich. W 1920 r. strażacy deklarowali wytworzenie własnej jednostki bojowej, np. pułku, ale nie było czasu na formowanie takiej jednostki od nowa, niemniej masowo zasilili polskie oddziały wojskowe w walce przeciw nawale bolszewickiej.

Zatem tradycje wojskowe były wśród strażaków znaczne, zwłaszcza w strażach ochotniczych, choć w dziejach zawodowych straży pożarnych znalazłyby się epizody ściśle wojskowe. Straże pożarne wzorowały własne regulaminy na wojskowych, a już musztra była całkiem podobna, nawet za bardzo. Straże pożarne chciałyby być takie, jak wojsko i mieć szacunek społeczny, jakim cieszyli się wojskowi.

Nic zatem dziwnego, że strażacy chętnie przyjmowali na siebie różne obowiązki z zakresu obronności kraju. Zatem wojsko nieustannie widniało na horyzoncie działań straży ogniowych.

Od 1926 r. ten związek się pogłębił, gdyż na czele strażackich władz często stawali ludzie w wojskowych mundurach. Zresztą nie brakło takich na czele cywilnej administracji rządowej, ślepy traf przy tym chciał, że głównie z Legionów Piłsudskiego, a najlepiej z I Brygady. Znalazło to wymiar edukacyjny w ochronie przeciwpożarowej, mianowicie przez kilka lat w „Przeglądzie Pożarniczym” nie brakło artykułów o: obronie przeciwgazowej, obronie przeciwlotniczej, kulturze fizycznej oraz przysposobieniu wojskowym. Bo też struktury straży pożarnych coraz bardziej wiązano z obroną przeciwlotniczą i przeciwgazową, przedsięwzięciami początkowo zupełnie cywilnymi, stowarzyszeniami, które po urośnięciu do wszechpolskich organizacji połączyły się w jedną Ligę Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, a następnie zostały przejęte przez wojsko.

Samo przejście to było jednak za mało. Wojsku nie wystarczało kadr nawet do zapewnienia siły intelektualnej oddziałom frontowym, więc nie mogło poświęcać żadnych etatów na rzecz służby tylowej. Doceniało rolę walki powietrznej i środkami masowej zagłady (jak się jednak miało okazać, jeszcze długo tkwiło w tym obszarze w zakresie pojęciowym okopów I wojny światowej), ale jako ochrony własnej. Ochrona ludności przed tymi czynnikami musiała się przebijać do świadomości wojskowych.

I oto natrafili na instytucję mającą strukturę ogólnopolską, która mogła wyreżycić wojskowych w działaniach na tyłach, a jednocześnie być posłuszną wszelkim rozkazom: w miarę już jednolicie wyposażony w mundury, regulaminy i dyscyplinę Związek Straży Pożarnych RP. Szybko powiązali Ligę ze strażami, określili i rozdzielili zadania i nadali temu ład administracyjny w zakresie prawa stanowionego. Tak oto, wraz z ustawą z 1934 r. o obronie przeciwlotniczej i przeciwgazowej³³ wojsko zaistniało jako istotna władza w sprawach ochrony przeciwpożarowej.

³³ Ustawa z dnia 15 marca 1934 r. o obronie przeciwlotniczej i przeciwgazowej (Dz.U. 1934, Nr 80, poz. 742).

Okazało się, że straże pożarne działały na swoim gruncie w sposób nieustawowy. Zatem gdy wojsko przejęło stery we własne ręce, niemożliwe stało się możliwym: w legislaturze znalazło się miejsce i dla strażackiej ustawy. Jest to bowiem symptomatyczne, że ustawa o ochronie przed pożarami i innymi klęskami³⁴ wyszła w tym samym roku co ustawa o obronie przeciwlotniczej i przeciwgazowej.

Wprowadzenie ustawy

Środowisko strażackie długo oczekiwało własnej ustawy, żywiąc w jej uchwaleniu nadzieję na rozwiązanie wszelkich problemów własnych, czyli finansowania działalności. Wojsko też tak uważało. Ustawę uchwalono w marcu 1934 roku. Jest ona dowodnym przykładem, jak powinno pisać się przepisy, by język prawniczy był zrozumiałym dla przeciętnego człowieka i brzmiał jednoznacznie nawet wtedy, gdy odwołuje się do intuicji. No ale tak jest ze wszystkimi międzywojennymi przepisami, więc zrozumiałość nie jest tu zaletą szczególną, a pozostaje niemalże jedyną. Bo ustawa nie odpowiadała w swej zawartości tytułowi, jaki nosiła.

W interesującym nas zakresie ustawa zaprowadziła ład, porządek i nadała odpowiedni kierunek inicjatywom, ale tylko w jednej gałęzi – interwencyjnej. Z całą pewnością nie jest to ustawa *O ochronie przed pożarami i innymi klęskami*, jak to wieścił jej tytuł. Ustawa wyrażała bowiem wiedzę i przekonania jej twórców: wg niej cała ochrona przeciwpożarowa to straże pożarne i jakieś niedookreślone przydatki, gdyż jest to w istocie ustawa o organizacji straży ogniowych i prowadzeniu akcji gaśniczych, coś w rodzaju współcześnie obowiązującej ustawy o Państwowej Straży Pożarnej. Wszystkie jej przepisy zapobiegawcze zajmowały tak niewiele miejsca, że daje się je przeczytać na głos na jednym oddechu, dlatego łatwo je przytoczyć i poddać analizie bez nużenia czytelnika.

W art. 3 umieszczono następującą delegację prawodawczą dla władzy rządowej: *Minister Spraw Wewnętrznych w porozumieniu z właściwymi ministrami władny jest w drodze rozporządzeń wydawać szczegółowe przepisy o zapobieganiu powstawania oraz rozszerzania się pożarów i innych klęsk, o zaopatrzeniu osiedli i budowli w urządzenia oraz przyrządy ochronne i zapobiegawcze, tudzież ustalać postępowanie przy nadzorze nad wykonywaniem tych przepisów.*

Na tym jednym zdaniu można by skończyć wymienianie ustawowych przepisów dotyczących zapobiegania pożarom, ale znajdziemy jeszcze dwa passusy, które na siłę można podciągnąć pod to, co potocznie uważa się za zapobieganie pożarom. I tak, w art. 25 pkt 4 zobowiązano gminy w ramach ich budżetu: *zapewnić dostarczenie dla akcji ratunkowej dostatecznej ilości wody*. Ponadto w art. 26, traktującym o obowiązkach „każdej osoby” na rzecz alarmowania o zdarzeniu i prowadzenia akcji ratowniczej, znalazł się przepis rodem ze średniowiecznych porządków ogniowych:

³⁴ Ustawa z dnia 13 marca 1934 r. o ochronie przed pożarami i innymi klęskami (Dz.U. 1934, Nr 41, poz. 365).

właściciele budynków obowiązani są posiadać, przechowywać w tych budynkach i utrzymywać w stanie zdatnym do natychmiastowego użytku narzędzia, potrzebne przy prowadzeniu akcji ratunkowej. Szczegółowy zakres tego obowiązku ustali rozporządzenie wykonawcze.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o przepisy ściśle ustawowe. Natomiast Minister Spraw Wewnętrznych, ponieważ mógł, wydał na podstawie tejże ustawy kilka zapobiegawczych rozporządzeń. Uczynił to bardzo nieśpiesznie. Biorąc pod uwagę ich daty, można śmiało zaryzykować twierdzenie, że gdyby nie nadciągająca wojna, nie wydałby żadnych przepisów. Oto one.

W połowie listopada 1938 r. gdzieś tam zaczęło obowiązywać (bo na terenie większości kraju dopiero po wydaniu przez wojewodów własnych rozporządzeń wdrażających, co musiało trwać) pierwsze w II Rzeczypospolitej centralne rozporządzenie³⁵ regulujące sprawy ochrony przeciwpożarowej w budynkach. Nie było długie, bo mieściło się na jednej stronie. Oto część jego treści.

Zabrania się przechowywania i gromadzenia na nieprzeznaczonych do zamieszkiwania częściach strychów budynków wymienionych w § 1 jakichkolwiek materiałów łatwopalnych, a w szczególności: słomy, trawy morskiej, drzewa, wełny drzewnej, wiórów drzewnych, papieru, szmat, olejów mineralnych, celuloidu itp. oraz przedmiotów wykonanych w całości lub w przeważającej części z takich materiałów. Zastrzeżono dalej, że przepis ten nie dotyczy budynków, jeżeli konstrukcje dachów tych budynków są wykonane z żelazobetonu, o grubości płyty co najmniej 8 cm, lub z żelaza, pokryte płytami o tej samej wytrzymałości na przebicie, a stropy tych budynków są wykonane w całości z materiałów ognioodpornych.

Dalej przepis przytoczył najstarsze zalecenia zapobiegawcze porządków ogólnych, które pozostają aktualne do dziś. O tyle jednak różniło od średniowiecznych, że nie o zapobieżenie rozwojowi pożaru tu chodziło, a o ewakuację ludzi na wypadek pożaru i dostęp do tegoż dla strażaków:

Zabrania się przechowywania i gromadzenia na nieprzeznaczonych do zamieszkiwania częściach strychów, w korytarzach piwnicznych, klatkach schodowych, przejściach i przejazdach w budynkach wymienionych w § 1 jakichkolwiek przedmiotów w sposób, utrudniający przejazd lub przejście³⁶.

Byłby to przepis pożyteczny, niestety zawierał następujący passus, czyniący go całkowicie martwym (musiał to wymyśleć jakiś wybitny teoretyk):

Wszelkie przedmioty, znajdujące się na nieprzeznaczonych do zamieszkiwania częściach strychów, w korytarzach piwnicznych, klatkach schodowych, przejściach i przejazdach w budynkach wymienionych w § 1, powinny być tak przechowywane, aby mogły być niezwłocznie usunięte z tych pomieszczeń do innych części budynku³⁷.

³⁵ Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 31 października 1938 r. wydane w porozumieniu z Ministrami Spraw Wojskowych oraz Przemysłu i Handlu o zapobieganiu powstawania i rozszerzania się pożarów w budynkach (Dz.U. 1938, Nr 87, poz. 590).

³⁶ Tamże.

³⁷ Tamże.

Cóż owo zdanie oznaczało? Otóż to, że można było wszystko trzymać w miejscach zabronionych, aby dało się dowolnie przenosić. W atmosferze nadciągającej wojny zdarzało się, że przepis wdrażano co prawda wolą władz miast, ale za to siłami strażaków, jakimi lokalnie dysponowano. Zauważyć należy, że przepis ten zastępował zarządzenie porządkowe wojewody warszawskiego Twardy, które było lepsze pod każdym dosłownie względem, choć zostało ono poddane zjadliwej krytyce przez autora niniejszego opracowania w XXI w. oraz Józefa Milewskiego ówczesnie.

A właśnie w tamtym czasie Józef Milewski został Inspektorem Naczelnym Związku Straży Pożarnych RP. Może to jemu, który jak mało kto rozumiał znaczenie zapobiegania pożarom, należy przypisać opublikowanie następnych przepisów?

W lipcu 1939 r. miało wejść w życie rozporządzenie³⁸ regulujące sprawy powszechnego udziału ludności w czynnym zwalczaniu pożarów. W § 2, w którego 10 punktach określono obowiązki dla ludności przy akcji ratowniczej, dodano punkt 11 o treści lekko wskazującej na zapobieganie: *wykonywaniu prac koniecznych dla zapobieżenia rozszerzaniu się pożaru lub innej klęski*, nie precyzując jednak, na czym miałyby te czynności polegać, ale domyślać się można, że chodzi o czynności przy już trwających pożarze lub klęsce, a zatem raczej z dziedziny interwencyjnej, a nie ściśle rzecz biorąc zapobiegawczej.

W § 6–9 określono inną czynność, którą na siłę możemy nazwać zapobiegawczą, a w istocie jest alarmową, mianowicie obowiązek pełnienia wart.

Dosłownie tuż przed wojną, bo w dniu 22 sierpnia 1939 r. ukazało się ostatnie przedwojenne rozporządzenie³⁹, wydane w oparciu o ustawę o ochronie przed pożarami. Było to coś, co powinno być uchwalone dwie dekady wcześniej, mianowicie o konieczności zaopatrzenia osiedli i budynków w wodę przeznaczoną do gaszenia pożarów.

Na sieci wodociągowej powinny być założone hydranty przeciwpożarowe w miarę możliwości płytkie w odległościach nie przekraczających 150 m dla dzielnic o zabudowaniu luźnym i bliźniaczym oraz 100 m dla dzielnic o zabudowaniu zwartym. Hydranty powinny być łatwo dostępne. Położenie ich powinno być dokładnie oznaczone w terenie.

Wodociąg powinien być tak urządzony, aby na wypadek pożaru mógł zwiększyć odpowiednio swą wydajność. Zwiększenie to powinno być liczone co najmniej na dwa równoczesne pożary, trwające co najmniej 2 godziny. Jednokierunkowa zdolność transportowa rurociągów zasilających do miejsca pożaru powinna wynosić co najmniej 10 l na sekundę, a z rurociągów rozdzielczych - 5 l na sekundę - przy niezmnieszonej wydajności średniej letniej i przy ciśnieniu w sieci wynoszącym co najmniej 0,7 atmosfer.

Minimalna średnica rurociągu ulicznego powinna wynosić 100 mm. (...)

We wszystkich osiedlach należy założyć specjalne urządzenia przeciwpożarowe stosownie do wymagań niżej określonych:

³⁸ Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 6 kwietnia 1939 r. o obowiązkach ludności w wypadkach pożarów lub innych klęsk (Dz.U. 1939, Nr 37, poz. 242).

³⁹ Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 29 lipca 1939 r. wydane w porozumieniu z Ministrem Opieki Społecznej o urządzeniach publicznych i prywatnych do zaopatrywania ludności w wodę i usuwania nieczystości oraz o specjalnych urządzeniach przeciwpożarowych (Dz.U. 1939, Nr 75, poz. 506).

- 1) Należy urządzić szereg punktów poboru wody dla celów przeciwpożarowych niezależnie od istniejącego wodociągu, wykorzystując w tym celu wszelkie wody, znajdujące się na obszarze osiedla i przystosowując je do użytku przez: oczyszczanie, pogłębianie, spiętrzanie oraz przez ułatwienie bezpośredniego dojazdu i czerpania.
- 2) Dzielnice osiedla, pozbawione naturalnych punktów poboru wody lub nie posiadające dostatecznej ich ilości, powinny być zaopatrzone w wystarczającą liczbę punktów sztucznych, jak zbiorniki otwarte albo kryte, specjalne wodociągi, stacje pomp, studnie, zbiorniki płuczące przy kanalizacji rozdzielczej i tym podobne urządzenia o wydajności odpowiedniej dla celów przeciwpożarowych.
- 3) Odległości między punktami poboru wody nie mogą przekroczyć w dzielnicach o zabudowaniu zwartym – 500 m i w dzielnicach o zabudowaniu luźnym lub bliźniaczym – 700 m. Przy rozmieszczeniu tych punktów należy uwzględnić stopień zagrożenia pożarowego dzielnic albo poszczególnych punktów miasta.
- 4) Przy obliczaniu wydajności punktu poboru wody należy uwzględnić możliwość jednoczesnego gaszenia co najmniej dwóch pożarów⁴⁰. Podano przy tym tabelę obliczania ilości wody w zależności od liczby mieszkańców, przypadających na 1 ha osiedla.

Można zatem zaryzykować stwierdzenie, że gdyby nie nadchodząca wojna, żądanych rozporządzeń zapobiegawczych w zakresie ochrony przeciwpożarowej nikt by nie opracował i nie przedstawił do zatwierdzenia.

Wojsko przejmuje władzę nad strażami pożarnymi

W strażach pożarnych już po przewrocie majowym z 1926 r. szybko i bezboleśnie wdrożono w życie zasadę, że na czele straży, zwłaszcza zawodowych, powinny stać osoby z profesjonalnym przeszkoleniem wojskowym. Potem tę tendencję pogłębiano, aż na mocy wspomnianej ustawy o obronie przeciwlotniczej i przeciwgazowej, ale jeszcze bez solidnych podstaw prawnych (rozporządzeń Rady Ministrów), zarówno terenowe oddziały Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, jak i Związku Straży Pożarnych RP, zaczęły dostawać wspólne i spójne w ramach całego kraju zadania do wykonania.

Generalnie rzecz biorąc, ponieważ na czele strażackich związków stali zawodowi wojskowi, a często instruktorami i inspektorami też byli ludzie z oficerską przeszłością wojskową, to ich właśnie przeszkolono na kursach szefów służby o rzadko używanej w całości nazwie, zastąpionej skrótowcem „OPL i ppoż.” (obrony przeciwlotniczej i przeciwpożarowej). Takimi szkoleniami objęto również naczelników rejonowych OSP⁴¹. Działo się tak z woli władz, ale wyrażanej doraźnie i na mocy administracyjnych poleceń. W końcu zrozumiano jednak, że organizacja wymaga nie tylko ustawowych ram prawnych, ale też przekucia woli sprawczej czynników rządzących w odpowiednie instrukcje, czyli rozporządzenia. Z tym był identyczny kłopot, jak z rozporządzeniami przeciwpożarowymi – długo się nie ukazywały.

⁴⁰ Tamże.

⁴¹ J. Jankowski, *Najtrudniejsze lata w służbie 1939–1949*, Warszawa 1989, s. 9.

Dopiero w końcu lat 30. z wcześniejszych porozumień zawieranych między stowarzyszeniami, czy też działania bez porozumień, zrobiły się rozporządzenia Rady Ministrów⁴², opublikowane w datach: styczeń 1937, kwiecień 1938, styczeń 1939, marzec 1939, a więc już pod silną presją wojny. Można o nich powiedzieć, że były całkiem nieźle pomyślane, ale wyłącznie jako zasłony dymne nieróbstwa tych, co powinni je wymyślić pięć lat wcześniej. Zwłaszcza to z kwietnia 1938 r. o przygotowaniu w czasie pokoju obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej w dziedzinach regulacji i zabudowania osiedli oraz budownictwa publicznego i prywatnego, miało postać prawa dobrego tylko na papierze. Gdyby je spełnić, gwarantowałoby całkiem dobrą ochronę przeciwpożarową zabudowy miast i osiedli, niestety – wszystkie miasta i osiedla już stały i przesunąć ich, czy choćby porozsuwać budynki na bezpieczne odległości, nie dałoby się.

W sumie żadnych praktycznych rad dla ludności w owych przepisach nie było, za to pobożnych życzeń wiele, wyrażanych okrągłymi sformułowaniami z dziedziny myślenia życzeniowego, jak: wyposażyć w niezbędny sprzęt albo przygotować odpowiednie... itd. W szczególności nikt niczego nie zabezpieczył, bo i nikt nie wiedział (co maskowano tajemnicą), czego tak naprawdę potrzeba, nawet Inspektor Obrony Powietrznej Państwa, zatroskany przede wszystkim fatalnym stanem lotnictwa wojaskowego, a myśliwskiego w szczególności.

Mizerne efekty tych działań muszą dziwić w porównaniu z dużym wysiłkiem ze strony Zarządu Związku Straży Pożarnych, związanym z intelektualnym przygotowaniem strażaków do pełnienia działań przeciwgazowo-przeciwlotniczych. W „Przeglądzie Pożarniczym” przez kilkanaście lat opublikowano o tym dziesiątki artykułów: więcej, niż o zabezpieczeniach przeciwpożarowych. Widocznie sam fakt publikacji nie gwarantował ich czytania i stosowania, dlatego wciąż je powtarzano.

Nadzór wojskowy nad strażakami przyniósł kilka korzyści, w postaci lepszego przygotowania do działań gaśniczych i ratowniczych. Połączenie wysiłków obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej z gaśniczą (a tym samym, w błędnym pojęciu czynników decyzyjnych, z „kompletną” ochroną przeciwpożarową) było bardzo dobrym rozwiązaniem: powszechnie oswojono strażaków z podstawową wiedzą o gazach niebezpiecznych, jakich przecież nie brak również przy pożarach, używanie masek przeciwgazowych nie było już abstrakcją, wdrażano zasady zachowania się w przypadku użycia gazów bojowych, zabezpieczenia ludzi, zwierząt i żywności przed skażeniem. Zwrócono baczniejszą uwagę na kwestie sprawności fizycznej. Ponadto wzbogacono programy szkoleń i ćwiczeń, przybierających na intensywności

⁴² Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 29 stycznia 1937 r. o przygotowaniu w czasie pokoju obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej Państwa (Dz.U. 1937, Nr 10, poz. 73); Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 29 kwietnia 1938 r. o przygotowaniu w czasie pokoju obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej w dziedzinach regulacji i zabudowania osiedli oraz budownictwa publicznego i prywatnego (Dz.U. 1938, Nr 32, poz. 278); Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 24 stycznia 1939 r. o obowiązkach osób fizycznych i prawnych oraz władz i instytucji w dziedzinie przygotowania personelu o obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej w czasie pokoju (Dz.U. 1939, Nr 10, poz. 54); Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 24 marca 1939 r. o przygotowaniu w czasie pokoju obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej w dziedzinie budownictwa przemysłowego (Dz.U. 1939, Nr 31, poz. 207).

z roku na rok, o zagadnienia z biernej obrony przeciwlotniczej. Bardzo podniesiono poziom wyszkolenia medycznego, nie tyle jednak strażaków, co drużyn samarytańskich. Kobiecte drużyny samarytańskie stały się ogniwem wręcz niezbędnym w nowym ujęciu bezpieczeństwa państwa, dzięki czemu nastąpił ich żywiołowy rozwój, a tuż przed wojną, nie wiedzieć czemu, likwidacja odrębności strukturalnej.

To były pozytywne. Jeśli jednak przyjrzeć im się bliżej, okażą się rewelacjami raczej dziedziny propagandy, niż informacji. Masek przeciwgazowych nie wystarczyło dla wszystkich strażaków, nie mówiąc już o ludności cywilnej, dla której nie było ich wcale. Samarytanka nie stały się pogotowiem ratunkowym, ani tym bardziej ruchomym szpitalem, tylko co najwyżej mogły komuś założyć bandaż, bo do miejsca zdarzenia mogły dotrzeć tylko pieszo, względnie na prywatnych rowerach.

Gdyby jednak ograniczono zakres szkoleń strażaków i samarytanek do opisanych wyżej zagadnień, byłoby dobrze. Niestety, widząc takie masy umundurowanych ludzi, wojsko popuściło wodze wyobraźni i poszło dalej, marnując sporo czasu i energii na działania, które żadnych efektów, prócz czysto propagandowych, przynieść nie mogły: postanowiło uczynić ze strażaków jeszcze jedną armię.

W szkoleniu strażaków uwzględniono przygotowanie ogólnowojskowe – to jest zasady obchodzenia się z bronią i taktyki działań do szczebla plutonu, oczywiście z zapleczem medycznym (sanitariuszkami) w postaci drużyny samarytańskiej. *Na wypadek wojny oddziały strażackie, kierujące się dyscypliną wojskową, rozsiane po całym terytorium państwa stanowiły ochotniczą armię rezerwową*⁴³. Prawdę mówiąc, nie było to niczym nowym, przecież już przed Wielką Wojną właśnie tak szkolono konspiracyjnie polskich strażaków, a i po wojnie prowadzono takie szkolenia, a nawet manewry i pokazy. Np. już w 1929 r. kielecka OSP w porozumieniu z wojskiem i członkami ochrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej urządziły ćwiczenia mające pokazać, czego oczekiwano od straży pożarnych w ramach przysposobienia wojskowego – przyznajmy, że mocno na wyrost i z niemałą fantazją. Przyjrzyjmy się temu działaniu, bo kto wie, czy podobne działania teatralne, odgrywane według ściśle zaplanowanego scenariusza, nie utwierdzały niedouczonej na polu ochrony przeciwpożarowej polityków i wojskowych w słuszności ich postępowania względem straży pożarnych. Pośród strażaków nikt zaś nie widział w tych manewrach marnowania czasu i potencjału, ani programowego nad optymizmu ćwiczeń, gdyż przeżywano uczestnictwo w czymś wielkim i mądrym.

Zadaniem była obrona przed nieprzyjacielem, który po walkach z polskim wojskiem rozpoczął odwrót, niszcząc po drodze osiedla, zasiewy itp. O powyższym ludność dowiedziała się z odezw zrzuconych przez samoloty. Na dany sygnał strażacy chwycili za broń i rozpoczęli natarcie na wroga. Nieprzyjaciół jednak pod osłoną dymów bojowych dotarł do wsi i rzucając granaty z trującymi gazami podpalał domy. Doszło do walki wręcz. Na pomoc pospieszył

⁴³ U. Oettingen, *Ochotnicza straż pożarna w Kielcach 1919–1939*, Kielce 2012, s. 62.

inny oddział straży i wróg został przepędzony. Ta walka w dymach gazów trujących na tle płonących domków prowizorycznych, w maskach gazowych, przy pomocy żeńskich oddziałów samarytańskich, sprawiła na widzach ogromne wrażenie⁴⁴.

Jak widać, w sytuacjach w których armia z lotnictwem, czołgami, artylerią, karabinami maszynowymi, służbami zaopatrzenia okazała się zbyt słaba, zwyciężyły w dymach gazów bojowych dwa małe oddziały strażaków, wyposażone jedynie w broń osobistą (raczej przestarzałą), pojedyncze jednostki amunicji i maski przeciwgazowe, mające samarytanki zamiast sanitariuszy. Tylko szkoda, że w czasie wojny takie pospolite ruszenie nie miało najmniejszych szans powodzenia, a całe okolice narażało na straszliwy odwet, z czego niektórzy wojskowi musieli doskonale zdawać sobie sprawę już od Wojny Bolszewickiej.

Ogólnowojskowe zajęcia z taktyki, musztry i strzelania zajmowały bardzo dużo czasu ludziom, którzy prócz tego musieli jakoś zarabiać na życie i dopiero w wolnych chwilach mogli trenować to, czego – odwołując się do ich poczucia obywatelskiego i słów przysięgi – od nich wymagano. Zatem mieli gasić pożary, przygotowywać kraj na wypadek nalotów bombowych i ataków gazowych, wreszcie umieć wziąć broń do ręki i walczyć z wrogiem jako partyzanci, gdy linie frontu przewalały się nad ich głowami. Choćby z braku czasu zajęcia nie uwzględniały dosłownie żadnych konkretnych zadań z dziedziny zapobiegania pożarom. Zresztą kto miał przewidzieć, że będą one potrzebne?

Ku ogólnemu zaskoczeniu, tuż przed wojną, czyli znienacka, pojawiła się taka potrzeba, i to poważna. Potrzeba ta nie wynikała niestety z przemysłów w kręgach strażackich, lecz z raportów wywiadu wojskowego, bijących na alarm. Mianowicie przykłady bombardowań przez nowoczesne, szybkie samoloty miast w czasie wojny domowej w Hiszpanii ukazały wojskowym decydom całą groźbę pożarów masowych, będących elementem prowadzenia wojny: spalone miasto nie daje żadnego oparcia żołnierzom, przestaje być węzłem komunikacyjnym i zapleczem logistycznym, natomiast samo w sobie staje się ogromnym obciążeniem humanitarnym, a przeto czynnikiem dezorganizującym możliwość prowadzenia walki. Wniosek był następujący: należało zmniejszyć palność miast od zaraz.

Wojskowym, po uświadomieniu tej przykrej prawdy wydawało się, że kto jak kto, ale strażacy powinni wiedzieć, jak pożarom zapobiegać – wszak było coś o tym w rozporządzeniach porządkowych niektórych wojewodów. Niestety nie wiedzieli, że wszelkie zapisy o zapobieganiu pożarom pełniły funkcję głównie dekoracyjną.

W przededniu wojny okazało się, że nigdy nienabyte umiejętności powinny być nieodłącznie związane ze strażakami, a przynajmniej jawiły się takimi w oczach tych, co strażakami zarządzali, a nimi nie byli. Z orbity Inspektora Obrony Przeciwlowniczej Państwa wyszło zapotrzebowanie skierowane do Zarządu Związku Straży

⁴⁴ Tamże, s. 71–72.

Pożarnych, by strażacy kontrolowali budynki na rzecz ich odporności na pożary (nie dodawano, że od bombardowań). Zarząd nawet się nie zająknął, że kilka lat wcześniej definitywnie pozbył się wszelkich czynności zapobiegawczych ze strażackiego statutu wzorcowego dla OSP. Gdy przyszło działać zupełnie inaczej, sporządzono mgliste wytyczne do realizacji przez nie wiadomo kogo i rozesłano w świat.

Zarząd, kierując w dół enigmatyczne wytyczne dotyczące kontroli budynków pod względem ochrony przeciwpożarowej, po prostu umył ręce, nie przyczyniając się do rozwiązania problemu. Nadal nikt nie wiedział, kto i jak miał realizować kontrole, gdyż nie regulowało tego dosłownie żadne prawo, prócz wskazania, że za kształt obrony przeciwlotniczej i przeciwigazowej odpowiadają gminy, i że łączy się to zadanie z ochroną przeciwpożarową, oraz że szefami tego zamieszania są naczelnicy OSP. A skąd naczelnicy OSP mieliby wiedzieć, jak zapobiegać pożarom w sytuacji, gdy mało który z nich umiał je skutecznie gasić...?

Niezależnie od odgórných wytycznych mających znaczną dozę dyletanctwa, w obciążonych nagle zadaniami zapobiegania pożarom gminach i tak intuicyjnie te zadania powierzano strażakom, jako że uważano, iż to oni o pożarach powinni wiedzieć najwięcej. I w ten sposób, z zupełnego zaskoczenia, akcja przeciwpożarowa, którą dla powszechnej wygody strażacy rozumieli dotychczas jako gaśniczą, z nagle, pod naciskiem rychłej wojny, stała się również zapobiegawczą.

Jak to się działo w praktyce, możemy prześledzić na następującym przykładzie.

W 1938 r. w ramach obrony przeciwlotniczej i pożarowej straż skontrolowała strychy i poddasza budynków w Kielcach. Dokonała również pod tym kątem przeróbek w swojej siedzibie⁴⁵ – co oznacza, że w 1938 r. jako tako zdano sobie wreszcie sprawę, jakimi drogami i dlaczego rozprzestrzeniają się pożary masowe, choć ta wiedza była dostępna już od czasów średniowiecza. W dodatku Chomicz, Tuliszkowski i spółka już ćwierć wieku wcześniej o tym nauczali – jak widać, bez większych efektów. Okazało się bowiem, że w natłoku różnych zajęć, szczególnie takich jak musztra, strzelanie i nauka kopania rowów przeciwlotniczych, nie ma czasu w strażach pożarnych na realizację tak prostych zadań zapobiegawczych, jak wykazanie celowości i sposobu wykonania kontroli strychów. Nikomu nigdzie nie przyszło też na myśl, że tego rodzaju lustracje to doskonały sposób na zapoznanie się z budynkami, jakie trzeba będzie gasić. A nie przyszło, bo taktyka była równie nieznaną dziedziną w strażach pożarnych, jak zapobieganie pożarom. Przecież w razie pożaru jechało się do niego, czyniąc mnóstwo hałasu, lało się wodę zgodnie z wydajnością armatury i dokonywano czynów bohaterskich, na ogół zbędnych.

Wyszła więc na jaw granicząca z bezradnością niewiedza, jak te kontrole wykonać, nie mówiąc już o tym, jak wyegzekwować to, co konieczne. Zarówno druhowie ochotnicy, jak i zawodowi strażacy, po raz pierwszy w życiu, a przy tym bez

⁴⁵ U. Oettingen, *Ochotnicza straż pożarna w Kielcach 1919–1939*, Kielce 2012, s. 65.

żadnego przygotowania (nigdy ich z tego zakresu nie szkolono nawet w stopniu podstawowym, a w dodatku podstaw prawnych do takich działań też nie było) zadziałali w charakterze policji ogniowej i natychmiast wyciągnęli z tego całkiem logiczne wnioski. W przypadku strażaków kieleckich, naprawdę dobrych w swoich działaniach, przyjęło to następującą postać.

*Straż wystąpiła do zarządu miejskiego z propozycją zatrudnienia specjalnego instruktora-referenta, który byłby częściowo opłacany przez miasto*⁴⁶.

Dalej w piśmie wykazano, że potrzebny on był jako siła fachowa do prowadzenia działalności dotyczącej szkolenia strażaków i prowadzenia całej księgowości – co pokazywało, że choć powód był zupełnie inny, to przecież to, co zawsze musiało nawet w takiej chwili wypłynąć na wierzch: istotne problemy strażackiego bytu lub niebytu. Dopiero w dalszej kolejności wspomniano o istotnym powodzie napisania pisma, gdzie napisano, że taki specjalista przydałby się również do: *sporządzania planów obrony obiektów specjalnego znaczenia, przeprowadzania kontroli strychów itp.*⁴⁷. Ów trzyliterowy skrót „itp.” za słowem „strychów” oznacza, że nie potrafiono przytoczyć z pamięci, przy okazji pisania pisma, żadnych innych konkretnych przepisów porządkowych dotyczących bezpieczeństwa pożarowego (a w ślad za tym kontroli) części budynków innych niż strychy. A istniały takie przepisy, bardzo łatwe do zapamiętania, gdyż zajmowały jedną stronę druku urzędowego. Skłania to do wniosku, że mimo obowiązku kontroli strychów i napotkanych problemów, strażacy z podstawowym przepisem porządkowym z zakresu ochrony przeciwpożarowej nie zapoznali się w sposób gwarantujący trwałość wiedzy. Liczyli bowiem, co niedwuznacznie wynika z treści pisma, że ktoś jak zwykle zdejmie z nich przykry obowiązek posiadania wiedzy o rozwoju pożarów i ewakuacji ludzi. Tym kimś, jak po głębokim namyśle w oszczędnych słowach proponowali, miał być zawodowy instruktor pożarniczy grodzki, a ściślej: referent obrony przeciwlotniczo-pożarowej.

Pismo posiada drugie dno logiczne, gdyż jednoznacznie wynika z niego, iż ów referent w czasach, w których nie groziłyby naloty bombowe, byłby niepotrzebny. Jest ta sugestia oczywiście nonsensem, no ale taka była wówczas najlepsza wiedza o ochronie przeciwpożarowej w jednej z najlepszych w kraju straży pożarnych. Doskonale to obrazuje stan tej wiedzy również gdzie indziej, jak choćby w Głównym Zarządzie Związku Straży Pożarnych.

Interesujące jest, co było dalej. Jak informuje autorka opracowania: *władze wojewódzkie i miejskie nie wyraziły zgody na powołanie instruktora. Motywowano to tajemnicą przedsięwzięć. Stwierdzono również, że sprawy te leżą w gestii ZSPRP*⁴⁸.

Czyli wobec braku instytucjonalnej policji ogniowej, doszło do przepychanki z użyciem kuriozalnych argumentów dotyczących tajemności tych przedsięwzięć – tak

⁴⁶ U. Oettingen, *Ochotnicza straż pożarna w Kielcach 1919–1939*, Kielce 2012, s. 65.

⁴⁷ Tamże.

⁴⁸ Tamże, s. 66, przypis 31.

zwykle kryje się niekompetencję. Poza tym kto miałby utworzyć policję ogniową dla miasta Kielce w postaci choć jednoosobowego, za to profesjonalnego stanowiska, skoro żaden przepis nie nakładał takiego obowiązku, bo w ustawie o ochronie przed pożarami nie było o tym dosłownie ani słowa? Nie było też o tym mowy w ustawach o samorządach. Potrzeby zaistnienia takiego stanowiska nie negowano, ale – i tu padał argument nie do zbitcia, obnażający miślność ustawy „o ochronie przed pożarami” – kto miał za to zapłacić i jakim prawem?

Urzędnicy miejscy wiedzieli swoje – sprawy organizacji ochrony przeciwpożarowej leżały przecież w sposób naturalny w gestii Związku Straży Pożarnych RP, dostającego i dzielącego pieniądze tudzież obowiązki. Jednocześnie fakt, że Związek dawno temu zapomniał o zapobieganiu pożarom nijak nie obciążał władz miasta Kielce.

W gruncie rzeczy przytoczony wyżej przykład rażącej niewiedzy o zapobieganiu pożarom i ich rozwojowi obrazuje ogólnokrajowy sposób podejścia do tych zagadnień. W istocie, bez Chomicza i Tuliszkowskiego w strukturach władzy nie rozumiano, jak ważny dla bezpieczeństwa jest nadzór nad przestrzeganiem przepisów przeciwpożarowych. Bardzo często posługiwano się jedynie pustymi hasłami.

Warto ponownie zwrócić uwagę, że straże pożarne zajęły się kontrolami strychów (i tylko strychów – co by było, gdyby chciano skontrolować coś więcej, np. korytarze czy piwnice?...) nie z przyczyn ochrony przeciwpożarowej, ale przeciwlotniczej. Płynie z tego wniosek, że w czasach pokoju nie zajmowano by się tym wcale, tylko do utraty tchu ćwiczono by gaszenie pożarów dachów z bieganiem po drabinach, a w wolnych chwilach musztrę paradną i strzelanie z karabinów z błyszczącymi hełmami na głowach. Niestety, nawet groźba wojny nie spowodowała, by w całkiem pokaźnym mieście jak Kielce, załatwić sprawę jak należy, czyli profesjonalnie, ale tam choć spróbowano. Niestety nie wszędzie podejmowano takie starania.

Wykroczmy nieco w przyszłość i pokażmy efekty działań wojska w ochronie przeciwpożarowej, na które wojsko najmocniej oddziaływało.

Uważny czytelnik zauważył pewnie, że między kontrolą strychów a musztrą i strzelaniem istnieje spory rozdzźwięk, przecież gdy przyjdzie do wojny i bombardowania miast i zakładów produkcyjnych, strażacy będą potrzebni do innych zadań. Będą oni gasić pożary, wyciągać ludzi z gruzów, pomagać w udrożnieniu ulic, dowozić wodę spragnionym itp. Nie będą więc mogli jednocześnie strzelać, bo po co i do kogo? Wojsko miało jednak własną logikę i realizowało ją z żelazną konsekwencją.

Z chwilą rozpoczęcia działań wojennych poszły w niwecz wszystkie te szkolenia, musztry, strzelania i udawanie przygotowania do walki ze skutkami nalotów bombowych, jakie zaaplikowali strażakom wojskowi ku entuzjazmowi Głównego Zarządu Związku Straży Pożarnych, a też i wielu historyków, szczególnie ruchu ochotniczego. Przed wojną chętnie obsadzano wojskowymi stanowiska podoficerskie i oficerskie w strażach pożarnych, przenosząc na nie ciężar decyzyjny biernej obrony przeciwgazowej i przeciwlotniczej. Można było się więc spodziewać, że będą dowodzić obroną

cywilną miast, czy też wykonywać ją w imieniu władz cywilnych. Tak miało być według jednych wojskowych ale nie było, bo inni wojskowi wiedzieli inaczej. Praktycznie cała kadra oficerska Związku dostała przydziały mobilizacyjne do jednostek frontowych. Podobnie postąpiono z naczelnikami OSP, których również szkolono do obrony przeciwlotniczej zaplecza działań, w związku z tym zamiast zarządzać obroną przeciwgazową i przeciwlotniczą, poszli nosić broń jako silni, zwarci i gotowi. Mało tego – silnych, zdrowych strażaków ochotników powoływano masowo do armii.

Tym samym tak szumnie rozwijana obrona przeciwgazowa i przeciwlotnicza czasu pokoju, w czasie wojennej próby przeszła w ręce tych resztek strażackich, jakie pozostały po mobilizacji, to jest kompletnych amatorów bądź ludzi ocierających się o starość lub wychodzących z dzieciństwa.

Aż nader często bywało, że Niemcy pozostałych strażaków, znając zakres ich szkolenia wojskowego z okresu międzywojennego, czyniącego z nich półoficjalną partyzantkę, traktowali jak dywersantów – zwłaszcza na terenie byłego zaboru pruskiego. Zapewne nie brakło donosów od obywateli polskich niemieckiego pochodzenia, że strażacy przechowują broń albo że strzelali do Niemców, a teraz udają strażaków, a taki donos równał się wyrokowi śmierci.

Wielu spośród strażaków niezmobilizowanych spędzało czas wojny, tułając się po kraju w czerwonych samochodach i niczego nie gasząc, chyba że przejazdem. Po wybuchu wojny polskie władze wojskowe i administracja cywilna nie bardzo wiedziały, jak zachowywać się wobec szybkich postępów nieprzyjaciela. Całe oddziały zawodowej straży pożarnej dostawały rozkazy ewakuacji z miast, których miały przecież bronić. Jaki był istotny cel, czy w ogóle sens tych rozkazów, do dziś nikt nie umie wyjaśnić w sposób przekonujący, zresztą przyjęło się, by niewygodnych pytań w tym zakresie nie zadawać. Za sprawą owych ewakuacji aż nazbyt wielu strażaków zawodowych i ochotników czas nalotów na bezbronne miasta spędzało na drogach, zamiast przy pożarach wznieczonych bombami. Wiele wskazuje na to, że nie było konkretnych rozkazów tylko enigmatyczne polecenia ewakuacji. Warszawa jest tu najlepszym (albo najgorszym) przykładem.

W sumie działania strażaków i służb związanych ze strażą w czasie Kampanii Wrześniowej świadczą o tym, że ówczesne władze nie miały wiedzy ani wizji, czym strażę miałyby się zajmować w czasie wojny. Dla rządzących krajem wojskowych strażacy byli w istocie rezerwuarem rekrutów, cała zaś reszta niewiele ich obchodziła, nawet ci, którym przypadł zaszczyt/obowiązek obrony Warszawy (wyrzucali strażaków z ich koszar i warsztatów na rzecz wojska).

Historyczny wniosek z tego jest taki, że nie należy powierzać wojsku do zarządzania żadnymi sprawami cywilnymi, bo nawet przy dobrej woli postawi na pierwszym miejscu coś, co nazwie stanem wyższej konieczności. Podobnie jak w strażach pożarnych większościovym jest pogląd, że lanie wody to jedyna forma walki z pożarami, tak większościovym jest w wojsku pogląd, że strzelanie to jedyny sposób prowadzenia wojny. Jedno i drugie mniemanie prowadzi do klęski.

Pomaturalna szkoła strażacka

Dopiero gdy nastąpiła ustawa regulująca strażacki byt, zorientowano się, że system szkolenia niezbędnych kadr jest źle zorganizowany, że nie przystaje do większości zadań wymaganych od dowódców, np. obrona przeciwgazowa i przeciwlotnicza niosły ze sobą nie tylko obowiązki, ale też wiedzę o zagrożeniach.

Zrozumiano to wreszcie w Głównym Zarządzie Związku Straży Pożarnych w 11 lat po utopieniu wniosku Tuliszkowskiego dotyczącego dosłownie tego samego – utworzenia szkoły pożarniczo-budowlanej, ale pod inną nazwą. I bez wspomnienia choćby słowem o Tuliszkowskim czy jego pomysły.

Mianowicie w 1936 r. wysłano kilkusobową delegację za granicę, żeby zapoznała się z systemami kształcenia strażackiego Niemiec, Szwajcarii i Włoch. *Po powrocie zgodnie stwierdzono, że nasze rodzime pożarnictwo, w porównaniu z zagranicznymi jednostkami, jest znacznie opóźnione, wybudowanie zaś pożarniczego ośrodka naukowo-badawczego jest koniecznością*⁴⁹. Dlatego w 1937 r. rozpoczęto budowę Centralnego Ośrodka Wyszczolenia Pożarniczego (COWP), który zlokalizowano na Żoliborzu w Warszawie. Kształt przybrał ten ośrodek bardzo podobny do zaproponowanego swego czasu przez Tuliszkowskiego – nie umiano wyjść z sugestywnego pomysłu. Były to wchodzące w siebie, kubikowate bryły, tylko już nie zwieńczone kilkuspadowymi dachami, lecz zgodnie z modernistycznym ruchem dachy zrobiono płaskie. Kształt ten zachował się do dziś w zasadniczej bryle Akademii Pożarniczej (wcześniej – Szkoły Głównej Służby Pożarniczej, jeszcze wcześniej – Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej) na rogu ulic Słowackiego i Potockiej.

Budowano bardzo sprawnie. Pierwszy kurs oficerski, tym razem złożony w całości z kandydatów niewojskowych, rozpoczął się w marcu 1939 roku. W programie znalazły się takie przedmioty jak: budownictwo i zabezpieczenie przeciwpożarowe, czyli takie, o które przed 18 laty bezskutecznie postulował nasz bohater. I w ten właśnie sposób uchylono wreszcie drzwi do uzawodowienia ochrony przeciwpożarowej, czego kadra instruktorska zatrudniana do pomocy ochotniczym strażom pożarnym domagała się od lat, coraz głośniej.

Jeśli policzyć lata dyskusji, opóźnienie w realizacji pomysłu Tuliszkowskiego w sprawie podjęcia właściwej decyzji wyniosło 15 lat, a w realizacji sięgnęło 18 lat. To był czas, w którym kadry szkolono metodami iście partyzanckimi. Co charakterystyczne, nie było komu przez te wszystkie lata zatroszczyć się, by uruchomić kierunek pożarniczy na którymś wydziale jakiegokolwiek uczelni wyższej. A uruchomiony w marcu 1939 r. COWP pod względem zawartości programowej, a zwłaszcza liczby godzin przedstawiał się ubogo w odniesieniu do propozycji Tuliszkowskiego sprzed 15 lat. Z całą pewnością ukończenie półrocznego kursu nie dawało tytułu inżyniera, bo dać nie mogło, a nawet tytułu technika pożarnictwa. Dawało świadectwo

⁴⁹ H. Turska, *Centralny Ośrodek Wyszczolenia Pożarniczego*, w: *Tradycje Szkoły Głównej Służby Pożarniczej*, Warszawa 1989, s. 15.

ukończenia kursu, który był lepszy od dotychczasowych, ale jednak nie tego rodzaju, by móc mówić o absolwencie, że posiadał gruntowną *znajomość zasad statyki, termodynamiki, hydrauliki i chemii, albo że technika pożarnicza i taktyka zostały szczegółowo opracowane, ujęte w ramy teorii i podniesione do poziomu nauk ścisłych*⁵⁰.

Czas nauki był na tyle krótki, że nie wystarczało go by przeczytać wszystkie podręczniki Tuliszkowskiego, a co dopiero mówić o nauczaniu się tego, co w nich zawarł. Zresztą wykładowcy mieli ambicje i opracowania własne do przekazania kursantom, a w chwili uruchomienia pierwszego kursu Józefa Tuliszkowskiego już nie obchodziły sprawy doczesne. Zdążył jednak wydać jeszcze jeden wzorzec nauki, jak wszystkie inne – niesłusznie zapomniane.

Hydraulika w pożarnictwie (1938)

Wielotomowe zamierzenie Tuliszkowskiego powstawało co prawda według planu, ale nie w kolejności. Najpierw ukazały się części, które po pierwsze, najbardziej chciał napisać (budownictwo ogniotrwałe), a następnie te, których najbardziej pożądali strażacy (taktyka). Był zmuszony na później odłożyć części mniej konieczne czy popularne, a też trudniejsze do przełożenia na język zrozumiały dla braci strażackiej, wreszcie na koniec zostały najtrudniejsze.

O rzetelności autora świadczy fakt, że opisywał również tematy, którymi nikt nie chciałby się zajmować, gdyby nie musiał. Tym razem nie chodzi o zapobieganie pożarom, a o obliczeniowy dobór narzędzi – temat wyjątkowo niewdzięczny, ocierający się jednak bardzo mocno o inżynierię. Z bardzo istotnego powodu. Tuliszkowski do rangi dogmatu podniósł pogląd, że osoby podejmujące decyzje z zakresu ochrony przeciwpożarowej powinny posiadać wykształcenie inżynierskie. Mając na względzie jego różne wypowiedzi, dotyczące szkodliwego wpływu dyletantów pożarniczych na straż pożarną (w domyśle – nieuprawnione i w gruncie rzeczy niemoralne zajmowanie przez nich stanowisk decyzyjnych), nie sposób nie snuć domysłów, iż trudniejsza nauka, gdzie należało poznać kilkadziesiąt wzorów i umieć je zastosować do rozwiązywania zadań, miała służyć wyborowi najlepszej osoby na dane stanowisko. Słowem – nie potrafisz zastosować równania, nie będziesz dowodził, zwłaszcza fachowcami. Gdyby go zrealizować, byłby to najlepszy sposób na dopływ inteligencji do straży pożarnych, zwłaszcza zawodowych. A na brak inteligencji w straży żalono się od ćwierci wieku, a może i dłużej.

Takiej selekcji doskonale służył ostatni opublikowany podręcznik Tuliszkowskiego pt. *Hydraulika w pożarnictwie*⁵¹. Poniżej przedstawimy jego fragmenty. Czytelników uspokajam – nikt nie będzie musiał tej selekcji przechodzić, czyli nie będzie obowiązku niczego liczyć, a obliczeń w tym podręczniku jest sporo. Po prostu dowiemy się, jak przystępnie autor wyłożył sprawy, które potrafiły i potrafią przysporzyć o ból głowy

⁵⁰ J. Tuliszkowski, *Projekt reorganizacji Straży Ogniowej m. st. Warszawy*, Warszawa 1918, s. 7.

⁵¹ J. Tuliszkowski, *Hydraulika w pożarnictwie*, Warszawa 1938.

zarówno wykładowców, jak słuchaczy. Wielu czytelników może odczuć to samo co piszący te słowa: mieć wrażenie niezwykle łatwego, w ciągu kilkunastu minut uporządkowania wiedzy, której zaliczenie zajęło miesiące, a praktyczne nabycie, lata.

Wydawcą podręcznika był Zarząd Główny Związku Straży Pożarnych RP. Ponadto na tę rzecz dotację w wysokości 500 zł przeznaczył Minister Spraw Wewnętrznych.

Już we wstępie Tuliszkowski zaznaczył, że każdy oficer powinien znać zasady i prawa hydrauliki, a każdy podoficer i szeregowy gaszący pożar powinien mieć ogólne pojęcie o zjawiskach, jakie towarzyszą przepływowi wody. Zatem zechciał wyłożyć te prawidła „najpopularniej”. Ukazał on hydraulikę jako część fizyki, podlegającą tym samym prawom, którymi fizyka świat opisuje. Dał więc do zrozumienia, że hydraulika jest częścią świata, a więc w domyśle, częścią nas.

Hydraulikę nazywamy nauką, stanowiącą część mechaniki, zajmującą się badaniem praw równowagi cieczy i praw, jakim podlega ciecz, będąca w ruchu. Hydraulika zatem dzieli się na dwie części: na statykę cieczy, czyli hydrostatykę, badającą praw o równowagi cieczy i dynamikę cieczy, czyli hydrodynamikę, poświęconą badaniom praw, jakim podlega ciecz, znajdującą się w ruchu. Każde ciało, będące w stanie spoczynku, nie może zmieniać dowolnie swego miejsca, jeżeli na to ciało nie oddziaływa przyczyna zewnętrzna, powodująca ruch.

Również i ciało będące w ruchu nie może zmienić dowolnie raz osiągniętej prędkości i kierunku, jeśli nie wpływa na nie zewnętrzna przyczyna, wywołująca zmianę w prędkości lub kierunku.

Ta właściwość ciała nazywa się bezwładnością (inercją).

Przyczyna zewnętrzna nazywa się siłą⁵².

Poniekąd jasnością przekazu to nazwanie pojęć podstawowych przypomina Wykład pacierza⁵³ Tomasza z Akwinu, który każde ze słów modlitwy „Ojcze nasz” umiał osadzić w porządku życia człowieka. Posłuchajmy dalszego ciągu.

Każdą ciecz (ciało ciekłe) możemy traktować jako ciało stałe, ponieważ na nią działa tak samo siła przyciągania ziemi. Masy wody, spadając w dół, czy to w postaci wodospadu pionowo, czy też jako potok po zboczu góry, podlegają tym samym prawom natury⁵⁴.

Obrazowość wykładu była potrzebna, by opisywane reguły fizyczne nie wyobcowały się w jakieś abstrakcje. My dokonujemy tu wielkiego skrótu, omijamy wzory, zadania i niektóre definicje, nie mniej udane od zacytowanych – pokazujemy tylko łączniki między nimi. Ot, zagadnienie! Co to jest praca?

Pracą nazywamy iloczyn siły (stałej co do wielkości i kierunku) oraz drogi danego ciała, odbytej w kierunku i pod wpływem tejże siły.

Jednostką pracy jest kilogramometr, t.j. praca zużyta na podniesienie 1 kilograma na wysokość 1 metra⁵⁵.

⁵² Tamże, s. 9–10.

⁵³ K. Suszyło, M. Starowieyski, W. Giertych, *Tomasz z Akwinu, Wykład pacierza*, Poznań 2005.

⁵⁴ J. Tuliszkowski, *Hydraulika w pożarnictwie*, Warszawa 1938, s. 13–14.

⁵⁵ Tamże, s. 13.

Do rangi poezji można podnieść przejście Tuliszковского z pojęcia pracy do pojęcia mocy.

Pracę można wykonać w ciągu dłuższego lub krótszego czasu. Im mocniejszy jest dany silnik, człowiek, zwierzę pociągowe lub maszyna, tym daną pracę jest w stanie wykonać szybciej. Przybywa więc nam jeszcze jedna wielkość: czas. Zestawienie trzech wielkości: siły – P , drogi – s i czasu – t daje nam moc – E .

Moc równa się pracy odbytej w ciągu pewnej określonej ilości czasu.

Jednostką, przyjętą w technice do określenia mocy, jest t. zw. koń mechaniczny. Znak – KM.

Otóż koń mechaniczny stanowi moc 75 kilogramometrów-sekund i wyraża pracę podniesienia 1 kilograma na wysokość 75 m lub 75 kilogramów na wysokość 1 metra w ciągu sekundy.

W technice moc wszystkich parowych, wodnych i spalinowych silników bywa określana miarą ilości koni mechanicznych⁵⁶.

Obecnie moc liczy się w watach [W]. Przytoczony przez Tuliszковского KM odpowiada 735 W.

Energia

W sposób niezrównany przedstawił Tuliszkowski pojęcie energii. Aż nazbyt wielu nauczycieli zabijało ciekawość uczniowską, cytując w tym miejscu wyuczone formuły, dochodząc aż za szybko do einsteinowskiego $E = mc^2$. Tymczasem można się zatrzymać na czymś innym, można użyć obrazowych przykładów z życia codziennego a z nich przejść do takich, co by żywoły opisywały. Tak to uczynił Mistrz.

Przedstawmy sobie kocioł parowy, napełniony parą pod ciśnieniem kilku lub kilkunastu atmosfer. W kotle tym widzimy ukrytą siłę prężną pary, która po otwarciu zaworu parowego, łączącego kocioł z maszyną parową, może wprawić ją w ruch, poruszyć pędnię, ta zaś ze swej strony nadaje pęd obrabiarkom lub maszynom, wykonywującym pewną określoną pracę np. obróbkę metali, drzewa lub mielenie zboża i t.p. (...)

Jako drugi przykład weźmy nabój armatni lub karabinowy, umieszczony w lufie. Proch, znajdujący się w łusce danego naboju, posiada też ukrytą siłę, która po spuszczeniu kurka na spłonkę i zapaleniu przez nią prochu, wywiązuje się z zapalonego prochu, dając ogromną ilość gazów, wyrzucających z olbrzymim impetem pocisk. (...)

Jako trzeci przykład ukrytej siły może służyć akumulator. Po przeprowadzeniu od akumulatora do prądnika (elektromotoru) przewodników lub po włączeniu ich do instalacji oświetleniowej, wywiązuje się prąd i powoduje wykonywanie pewnej pracy, polegającej na wprawieniu np. w ruch silnika czy też rozżarzeniu włókienka w żarówkach.

Zatem w kotle parowym, w prochu naboju oraz w akumulatorze jest ukryta energia, zdolna do wykonania pracy. Jest to t. zw. energia potencjalna, t.j. pewien zapas pracy. (...)

⁵⁶ K. Suszyło, M. Starowieyski, W. Giertych, *Tomasz z Akwinu...*, s. 15.

Najlepszy przykład energii potencjalnej, inaczej zwanej energią bezwładności lub możliwą, dla naszych dalszych wywodów z dziedziny hydrauliki stanowi woda, znajdująca się na pewnej wysokości⁵⁷.

Zależność ruchu od siły i mocy

Charakterystyczne dla Tuliszowskiego jest z jednej strony posługiwanie się przykładami z przyrody, a z drugiej zaawansowanymi wytworami technicznymi myśli człowieka. Oddziałuje to na podświadomość, przekonuje, że myśl ludzka, przemieniona w czyn, umie choć część sił natury obrócić na korzyść własną, i że choć czyni to za pomocą skomplikowanych mechanizmów, da się to rozebrać na części proste. Znów omijamy szereg wzorów i zadań, a przecież nabieramy przeświadczenia, że one są niezbędne, bo przed oczy dostajemy lokomotywy z wagonami.

Widzieliśmy na początku, że przyczyna, wywołująca ruch, nazywa się siłą. Jedna i ta sama siła nadaje ciałom o różnych masach rozmałą prędkość. Prędkości te mają się odwrotnie do poruszonych mas: im masa jest większa, tym przy tej samej sile szybkość jej jest mniejsza i odwrotnie.

Weźmiemy dla przykładu dwa parowozy o jednej i tej samej mocy i sprzęgniemy: jeden z niewielkim składem wagonów osobowych, a drugi z długim pociągiem naładowanych wagonów towarowych. Rozumie się, że pierwsza maszyna, mając do poruszania niewielką masę, rozwinie z łatwością szybkość daleko większą, niż parowóz drugi, ciągnący wolno z dużym wysiłkiem ciężki pociąg towarowy⁵⁸.

Tak Tuliszowski napisał o oczywistości. Ale bez zrozumienia opisu oczywistości, nie da się poznać prawideł hydrauliki. Bo tu ten opis jest ważny, czyli metodyka poznawania zjawisk.

Równowaga cieczy w naczyniach połączonych

Przytaczamy jedną z takich oczywistości, pokazywaną od setek lat na wszelkich zajęciach z fizyki i hydrauliki. Tuliszowski ten prosty przykład opisał niby jak wszyscy, a przecież bardziej obrazowo. Następnie przeszedł od modelu teoretycznego, do przykładu praktycznego.

Ciecz w kilku naczyniach połączonych zawsze ma jednakowy poziom, bez względu na formę i wielkość tych naczyń. (...) Poza tym ciśnienie, jakie wywiera ciężar słupa cieczy na dno naczynia, zależy nie od formy naczynia, a tylko od wysokości słupa cieczy.

Na podstawie tego prawa budowane są wodociągi w miastach i na stacjach kolejowych. Słup wody, wysoko podniesionej na wieży ciśnień, wywiera, na zasadzie tego prawa, ciśnienie, dążące do utrzymania w całej sieci (nie licząc oporów) jednakowego poziomu. Jeśli otworzymy więc w którymkolwiek miejscu hydrant, to nastąpi silny wytrysk. Dzięki temu prawu woda w sieci wodociągowej dochodzi do najwyższych pięter, o ile oczywiście położenie tych pięter będzie niższe od poziomu wody na wieży ciśnień, albowiem wskutek różnego rodzaju

⁵⁷ Tamże, s. 15–16.

⁵⁸ Tamże, s. 20.

oporów w sieci rur wodociągowych poziom wody w różnych punktach miasta będzie nieco niższy: im dalej od wieży ciśnień, tym poziom będzie tam niższy i ciśnienie mniejsze⁵⁹.

Zauważyliśmy różnicę między teorią a praktyką? Różnica ta to opory hydrauliczne. Modele teoretyczne nie uwzględniają takich przeszkód, modele praktyczne – tak. I dotyczy to zarówno modeli hydraulicznych, gdzie przeszkody w przepływie wody muszą być uwzględniane, jak i procesów nauczania, gdzie należy uwzględniać opory w przyswajaniu wiedzy. O naturze oporów hydraulicznych będzie nieco dalej.

Szybkość wody i ciśnienie

Znów zastosowaliśmy w tytule podrozdziału tytuł z książki. Zauważmy, że ten tytuł ma w sobie zakodowaną równowagę między słowami „szybkość” i „ciśnienie”. Punkt równowagi leży w słowie „woda”. I czytamy teraz, jak to rozwinął Tuliszkowski.

Ilość przepływającej cieczy zależy od szybkości przepływów w różnych punktach przewodu, jak również i od powierzchni przekrojów danego przewodu w tych punktach.(...) dla przepływu w określonym czasie jednej i tej samej ilości cieczy szybkość jej powinna być tym większa, im mniejsza jest powierzchnia przekroju i odwrotnie. (...)

Przykład, rzucający się w oczy, stanowi potok górski lub rzeka, której brzegi raz się zwężają, to znów rozszerzają, przy czym dno jest albo płytkie, albo też napotyka się głębie. Łódź, płynąca po tego rodzaju rzece, w miejscach o rozszerzonych brzegach i głębszym dnie (powierzchnia przekroju duża) posuwa się wolniej, natomiast przy zbliżonych do siebie brzegach i płytkim dnie (powierzchnia przekroju mała), woda tworzy rwący potok, nabierając większej szybkości⁶⁰.

Prawda, że obrazowo i czytelnie?

Straty ciśnienia dla wytworzenia prędkości

Wiele razy uczono nas, strażaków, o stratach ciśnienia. Tuliszkowski też tak to nazywał, ale przede wszystkim zobrazował jako konieczność dostarczenia na starcie ciśnienia większego, jako równoważącego stratę. W takiej postaci strata ma zupełnie inną wymowę, bo praktyczną.

Aby wywołać ruch w cieczy, pozostającej w bezruchu w rurze ssawnej sikawki lub pompy, trzeba zużyć pewne ciśnienie. (...)⁶¹.

Te dodatkowe ciśnienia są po to, by pokonać... Właśnie co?!

Oporem przyśpieszenia masy cieczy ssanej (przez sikawkę lub pompę) nazywamy ciśnienie, zużywane dla wprowadzenia w ruch cieczy, która podczas każdego skoku tłoka musi w martwych punktach dojść do bezwładu.

Ciecz, przepływającą przez jakikolwiek przewód, podlega pewnego rodzaju hamowaniu wskutek t. zw. oporu tarcia. Cząstki cieczy, płynące tuż przy ściankach przewodu, zawadzają o wystające na powierzchni ścianki chropowatości (supelki i włoski w wężu parcianym, grudki

⁵⁹ K. Suszyło OP, M. Starowieyski, W. Giertych OP, Tomasz z Akwinu, Wykład pacierza, Poznań 2005, s. 33–34.

⁶⁰ Tamże, s. 35–36.

⁶¹ Tamże, s. 39.

rdzy w rurze żelaznej i t.p.), zwalniając swój bieg i wpływając również hamująco na sąsiednie cząstki cieczy, znajdujące się bliżej osi przewodu; te wywołują znów tarcie z cząstkami będącymi jeszcze bliżej osi i t.d. Wskutek całego szeregu tych różnych tarć cząstek wody o ścianki przewodu i między sobą, powstaje opór, dla przewyciężenia którego potrzebne jest pewne ciśnienie⁶².

Opór przy zmianie kierunku

Tuliszkowski do istoty oporów hydraulicznych przywiązywał wielkie znaczenie, gdyż rozpiął je na naprawdę drobne części. Znów omijamy szereg wzorów, przykładów i zadań, jakie są w książce, by przejść do niezrównanego w swej prostocie i trafności opisu zjawisk.

Podczas przepływu przez przewód ciecz na zasadzie prawa bezwładności płynie po linii prostej. Łuk na przewodzie lub inna krzywizna zmusza ciecz do zmiany kierunku i wtedy powstaje opór. Cząstki cieczy, trafiając na krzywiznę, podlegają zahamowaniu. Przy łuku o małym promieniu powstają uderzenia, wiry, które hamująco wpływają na bieg cieczy i zmniejszają jego szybkość. Dla przewyciężenia tego oporu musi być zwiększone ciśnienie⁶³.

Opory przy zmianach przekrojów

To już ostatni przykład z opisów oporów, jakie przytaczamy. Po przeczytaniu tego będzie nagroda dla wytrwałych.

W przewodach okrągłych przy zmianach przekrojów, zarówno z mniejszych na większe, jak również z większych na mniejsze, a więc i wtedy, kiedy przewód raptownie się zwęża, a zaraz po tym znów rozszerza – powstają opory wskutek zmian w szybkości przepływającej cieczy, która, płynąc z pewną określoną szybkością, natrafia nagle na ciecz o szybkości przepływu zmniejszonej, wskutek czego powstaje jakby uderzenie tamujące, albo też odwrotnie wskutek raptownego zmniejszania się średnicy przewodu następuje dławienie cieczy, wiry i t.p. objawy hamujące, które sumarycznie formują opory; dla przewyciężenia ich musi być użyte pewne ciśnienie. Przy zmianach przekrojów w przewodach okrągłych rozróżnić się dadzą cztery zasadnicze wypadki:

- a) nagle rozszerzenie się przewodu,*
- b) nagle zwężenie się przewodu,*
- c) nagle zwężenie się i zaraz potem nagle rozszerzenie się przewodu,*
- d) przepływ przez otwór w błonie⁶⁴.*

Prądownice udoskonalone o pysczkach zmiennych i rozpylających

W tym miejscu zostało opisane szczególne znaczenie wiedzy o skuteczności gaśniczej wody. Niestety w książce została ona opisana na przykładzie konkretnych urządzeń i ich działania, zilustrowanych przekrojami, wykonanymi jako rysunki techniczne. Już wtedy wiadano o tym wszystko, co trzeba. Ale nie tylko wiadano

⁶² Tamże, s. 41.

⁶³ Tamże, s. 46.

⁶⁴ Tamże, s. 50.

– podjęto próby zastosowania tej wiedzy. Z kolei w XXI wieku prądy mgłowe tak opornie się przyjmują... Zwłaszcza w świadomości użytkowników.

Zatem poniżej wykład o podawaniu wody, czyli o pyszczkach prądownic.

Usiłowania konstruktorów w pomysłach nad ulepszeniem pyszczków szły w dwóch kierunkach: budowy takiego typu pyszczka, który pozwalałby zmieniać dowolnie i szybko grubość prądu bez zatrzymywania działania danej sikawki oraz skonstruowanie pyszczka, dającego idealny rozbryzg prądu, graniczący z mgłą (...)⁶⁵.

Tuliszkowski, zanim przeszedł do zalet mgły wodnej, uznał za konieczne wrócić do wiedzy podstawowej o właściwościach gaśniczych wody. Bo przecież mgła wodna to woda... I znów zjawisko chłodzenia opisane w sposób niezrównany. Musimy sobie uzmysłowić, że pisał to człowiek uważający, że aż za często lanie wody w czasie pożaru przynosi więcej szkód niż pożytku.

Zanim przejdziemy do spraw y użycia prądów kroplistych, a zwłaszcza rozpylonych, musimy tu uprzytomnić sobie właściwości gaśnicze wody. (...)

- 1) Woda, pokrywając płonące ciało, oddziela je od tlenu powietrza, czyli wywiera działanie tłumiące.
- 2) Przez parowanie przy zetknięciu się z rozgrzanym ciałem, cząstki wody zamieniają się w parę, pochłaniając ciepło ciała, oziębiają je, czyli wywierają działanie gaszące.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że dla przejścia 1 kg wody o temperaturze 0° do stanu pary potrzeba zużyć około 640 ciepłostek (kalorii), to oczywistym się staje, że oziębiające działanie wody jest dominującym w tym wypadku, kiedy znaczna część wody, której prąd działa na płonące ciało, będzie zamieniona na parę. Im więcej rozdrobniony zostanie prąd wody na bryzgi, a jeszcze lepiej na drobny pył wodny, tym łatwiej i szybciej te cząstki ulegną wyparowaniu, a tym samym działanie takiego prądu będzie bardziej oziębiające.

Zaczęto robić różnego rodzaju doświadczenia z rozpylonym i prądami i osiągnięto dobre rezultaty. Należycie rozpylony prąd grał podwójną rolę: oziębiającą, wskutek szybkiego parowania i tłumiącą, t.j. oddzielał płonące ciało od tlenu otaczającego go powietrza, tak przez masę pyłu wodnego, jak i przez obłok formującej się z niego pary (...)⁶⁶.

Dopiero teraz, skoro wszystko jest zrozumiałe, bo wstęp nie tylko nam wyjaśnił zjawisko, ale też ukierunkował sposób myślenia o nim, dostajemy wiedzę właściwą – o niełatwej sztuce modyfikacji prądów gaśniczych. Sztukę rozpoznaną i stosowaną przed ponad stu laty.

Pierwszym, najdawniejszym rozpylaczem był pyszczek w prowadzony przed kilkudziesięciu laty w wiedeńskiej straży miejskiej. Pyszczek ten posiadał na końcu zwykłego wylotu prądownicy rodzaj kielicha, w którym przez pokręcenie specjalnego pierścienia zbliżało się do osi prądownicy kilkanaście ostrych kielków, rozbijających prąd wody na drobne bryzgi. Były to jednak tylko bryzgi, a nie pył wodny. Dopiero we Francji komendantowi straży pożarnej

⁶⁵ K. Suszyło OP, M. Starowieyski, W. Giertych OP, Tomasz z Akwinu..., s. 89.

⁶⁶ Tamże, s. 93.

w Paryżu, gen. Pouderoux oraz w Niemczech Steinowi udało się wynaleźć pyszczek istotnie rozpylający prąd na mgłę wodną. Szczególnie pyszczek Steina zasługuje na wyróżnienie⁶⁷.

Tu następuje opis czegoś, co każdy dzisiejszy strażak miał w rękach choć raz.

Składa się ten pyszczek z dwóch części: właściwego pyszczka z grzybkim pośrodku i z ruchomego dzwonu w postaci rozwartego wylotu, który pełni tu rolę regulatora. Regulator ten obraca się dokoła płaszcza pyszczka z rowkiem wytoczonym spiralnie i śruby w nim osadzonej. (...) Im więcej zbliżamy płaską, rozwartą część górną dzwonu do czapeczki grzybka, otrzymujemy tym więcej rozdrobnione cząstki wody, formujące t. zw. pył wodny, którego zdolności oziębiające potęgują się coraz więcej. Rozwarty ten stożek wodny prądu rozpylnego może służyć również jako tarcza wodna, osłaniająca prądownika od żaru.

Chociaż prąd t. zw. zwarty z pyszczka Steina ustępuje nieraz co do jednolitości i siły prądom zwykłym, otrzymywanym z pyszczków normalnych, to jednak pyszczek ten wytwarza bardzo dobry prąd rozpylony, skuteczny w działaniu nie tylko przy gaszeniu ciał palnych zwykłych, lecz i przy opanowywaniu pożarów płynów łatwopalnych, jak przetwory ropy naftowej (nafty, benzyny, smarów i t.p.), których prądem wodnym zwykłym gasić nie można⁶⁸.

Obecnie raczej nie gasilibyśmy benzyny prądem mgłowym, ale Tuliszkowski nie mylił się, że jest to możliwe.

Pyszczek uniwersalny „Grom”

A teraz największa z ciekawostek, czyli zapowiedziana wcześniej nagroda dla wytrwałych – polski wynalazek, czyli prądownica uniwersalna – urządzenie ludzaco podobne do zwykłej prądownicy z pyszczkiem stożkowym z zaworem kulowym, ale dająca wiele możliwości gaśniczych, a przede wszystkim prąd rozproszony. To tych właśnie prądownic używano przez następnych 80 lat, często bez zrozumienia właściwości, głównie niestety do podawania prądów zwartych – być może z powodu niewiedzy, że trzymany w rękach sprzęt ma w sobie coś jeszcze, tylko rączkę zaworu należy przekręcić w drugą stronę – na co nigdy nie wpadła większość użytkowników. Szokującym jest, że wynalazek ma przedwojenny rodowód. Tuliszkowski poświęcił mu wiele miejsca w swoim podręczniku.

Podstawą polskiego wynalazku jest połączenie pyszczka wrzecionowego ze specjalnym rodzajem pyszczka rozpylającego, który zamiast grzybka, jaki widzieliśmy w pyszczku Steina, posiada rozpylające urządzenie na zewnętrznej powierzchni regulatora. (...) uniwersalny pyszczek spełnia cztery zadania:

- 1) formuje prąd jednolity zwarty, o cylindrycznym przekroju od 10 do 20 mm
- 2) wytwarza nadzwyczaj rozdrobniony prąd, formujący mgłę wodną;
- 3) pozwala działać prądem zwartym z jednocześnie wytworzoną osłoną tarczy wodnej;
- 4) umożliwia operowanie jednocześnie dwoma prądami: zwartym i rozpylnym⁶⁹.

⁶⁷ Tamże, s. 94.

⁶⁸ Tamże, s. 95–96.

⁶⁹ Tamże, s. 98–99.

Zakończenie hydrauliki

Ten podtytuł nie jest wzięty z książki, tylko dany dla wyróżnienia treści zacytowanej. Bo tak właśnie, opisem polskiej prądownicy, zakończył merytoryczną treść podręcznika 70-letni Józef Tuliszkowski. Jasności umysłu, podążania za nauką, niechodzenia na skróty, a zarazem umiejętności przedstawienia spraw trudnych w sposób prosty, a przede wszystkim – werwy, mogliby pozazdrościć mu ludzie, których ze względu na wiek nazywa się młodymi. Takimi słowy pożegnał czytelników stary, niezawodny Mistrz.

Na tym opisie ulepszonych prądownic kończę swoją pracę. Poświęciłem tej sprawie nieco więcej uwagi z tego względu, że dobre sikawki, a zwłaszcza ich ulepszone główne części składowe – prądownice stanowią podstawowe narzędzie w walce z pożarami. Można je utożsamić z dobrą, celną artylerią i doskonałymi karabinami maszynowymi, których sprawne i intensywne działanie najczęściej ma decydujący wpływ na przebieg walki i stanowi o zwyciężskiej ofensywie armii.

Świadome umiejętnie zastosowanie prądów, to zwartych o większym lub mniejszym przekroju, to znów rozpylonych, wywiera również najczęściej rozstrzygający wpływ na przebieg akcji ratunkowej. A ta będzie tym skuteczniejsza, im lepsze i więcej fachowe będzie zastosowanie sikawek i ich linii z całą świadomością i zrozumieniem istnienia oporów i strat, na jakie narażona jest woda, przepływając w liniach węzowych od sikawek aż do pyszczków. Stosując więc te wszystkie wiadomości i praktyczne dane z hydrauliki, uniknąć albo zmniejszyć możemy do pewnych granic te straty⁷⁰.

Takie były ostatnie słowa Tuliszkowskiego w podręczniku. W chwili ich publikacji miał za sobą ponad 71 lat życia. Był już po wylewie krwi do mózgu, jakiego doznał w wieku lat 70, będąc w delegacji służbowej w Gdyni⁷¹. Niczego więcej już napisać nie mógł.

I tu pojawiają się nam dwie refleksje.

Pierwsza dotyczy ostatniego z jego dzieł – o hydraulice. Jego pełny tytuł miał nieco barokową postać, a brzmiał:

Hydraulika w pożarnictwie. I-a część książki (Nr. 9) p. t.: PRZYRZĄDY GAŚNICZE, stanowiącej III tom pracy p. t.: OBRONA PRZED POŻARAMI.

Jest to dość skomplikowane, prawda? A przecież rzecz również i w tym, że nie było ani kolejnych części, jak druga czy trzecia, ani tym bardziej kolejnych tomów. Bo Józef Tuliszkowski zmarł w dniu 26 stycznia 1939 r., czyli 9 dni przed 72 urodzinami, po obłożnej chorobie.

Pogrzeb odbył się w dniu 30 stycznia 1939 r. na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Długa to była uroczystość, bo przecież dotarło nawet do świadomości żałobników, że odszedł tytan myśli, ostoja prawdy, niedościgły wzorzec pod każdym względem – zarówno zawodowym, jak i zwyczajnie ludzkim.

⁷⁰ K. Suszyło, M. Starowieyski, W. Giertych, *Tomasz z Akwinu...*, s. 99–101.

⁷¹ W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski...*, Warszawa 1995, s. 89.

I jakby wszyscy chcieli zaistnieć jako wielcy ludzie na tym pogrzebie, każdy musiał coś mądrego na ten koniec powiedzieć. Mów było wiele i długich, a oprawa pogrzebu im sprzyjała. Oprawa wskazywała bowiem na rangę zmarłego, jakiej za życia formalnie nigdy nie osiągnął. Pogrzeb komasował wszystkie jego funkcje, jakie wcześniej pełnił. Niestety – taką była logika wyłącznie pogrzebu, bo już nie ludzka. Nigdy przecież nie był najważniejszym ze strażaków, nigdy też nie realizowano na najwyższych szczeblach jego ze wszech miar udanych pomysłów, których akuratność udowadniał w mniejszej skali w różnych branżach, za każdym razem z wielkim sukcesem. Pogrzebu jednak, choćby był najwspanialszym, nie można rozpatrywać w kategoriach sukcesu życiowego.

Wzięli w nim udział przedstawiciele władz państwowych i strażackich oraz liczne grono delegatów okręgów, oddziałów i straży pożarnych ze wszystkich województw. Przed trumną niesiono sztandary Zarządu Głównego, Straży Warszawskiej, straży kolejowych, liczne sztandary ochotniczych straży pożarnych (...). Wystąpiły kompanie honorowe Straży Warszawskiej, straży pożarnych kolejowych i straży pożarnych przemysłu wojennego. Na grobie złożono mu wieńce, a wśród nich od Prezydenta Rzeczypospolitej z napisem „Śp. Józefowi Tuliszkowskiemu – Ignacy Mościcki” (...)”⁷².

Zatem nie mogło obyć się bez przemówień.

Oto stanęliśmy nad trumną człowieka, którego całe życie było jednym nieprzerwanym pasmem konsekwentnego oddawania hołdu i służenia prawdzie katolickiej. Religijnie wychowany w domu, nie krył się nigdy z prawdami, wyznawanymi w życiu, ale praktykował je według przykazań kościoła i sam osobiście, i w instytucjach, którym przewodził⁷³ – nic nie przesadził ksiądz kan. dr M. Skopowski, kapelan naczelny Straży Warszawskiej.

Przemawiali też inni: Józef Milewski, Inspektor Naczelny Związku Straży Pożarnych, znany nam autor krytycznego spojrzenia na przepisy przeciwpożarowe i brak policji ogniowej; Inspektor Stanisław Pągowski, redaktor naczelny „Przeglądu Pożarniczego” i „Gazety Strażackiej”; płk W. Hryniewicz z wojska; prezes Müller z Weleci.

Po pogrzebie pod adresem rodziny i Zarządu Głównego Związku długo jeszcze nadpływały depesze kondolencyjne od działaczy i straży pożarnych ze wszystkich zakątków Polski⁷⁴.

Ale my nie będziemy przytaczać listów konsolacyjnych i mów pogrzebowych. W tym miejscu powiedzmy coś o człowieku żywym, jakim zachował się w oczach bliskich. Oto informacja, jaką uzyskał Wojciech Jabłonowski w liście od Zofii Haykowskiej, córki Józefa Tuliszkowskiego.

Ojca cechowała ogromna witalność i energia. Nie widziałam nigdy, by był zmęczony czy zniechęcony. W młodości był bardzo jak na tamte czasy, wysportowany – a do końca życia co rano się gimnastykował i brał zimne natryski. Prowadził ruchliwy tryb życia, dużo chodził, dużo wyjeżdżał. Bardzo lubił wieś i przyrodę, zwierzęta, ptaki. Dużo czytał, mimo słabego

⁷² Tamże, s. 89.

⁷³ Tamże, s. 89–90.

⁷⁴ Tamże, s. 90.

wzroku. Interesował się malarstwem, sam nieźle malował i próbował po amatorsku malować obrazy olejne. Jednym z takich obrazów było „Rozbicie się jachtu Trio”. Często bywał w filharmonii, był bardzo wrażliwy na muzykę. Był głęboko wierzący, ale nie znosił bigoterii.

Ojciec był bardzo spontaniczny i wybuchowy. Miał dobre serce, ufał ludziom i oceniał każdego według jego osobistych wartości. Nie miał żadnych uprzedzeń narodowościowych, rasowych czy religijnych. W ludziach cenił solidność, uczciwość, punktualność – pod tym względem był bardzo wymagający. Miał bardzo dużo przyjaciół, ale na pewno może nie wrogów, ale ludzi niechętnych. To normalne, bo jednak był indywidualnością. W domu rodzinnym był wspaniałym, kochającym ojcem, pełnym ciepła, serdeczności, troskliwości i miłości, z ogromnym poczuciem humoru, wprowadzającym w trudnych chwilach pogodny nastrój i rozładowującym wszelkie konflikty. Tak go teraz oceniam jako nie tylko córka, ale kobieta, która przeżyła kawał życia i dużo ludzi spotkała⁷⁵.

I tu koniec refleksji pierwszej – wspomnienia o człowieku. Druga znajduje się w kolejnym rozdziale tej książki.

⁷⁵ W. Jabłonowski, Józef Tuliszkowski. Pionier polskiego pożarnictwa, Warszawa 1995, s. 92.

Zakończenie, czyli o rezonansie (1939 i dalej)

Refleksja druga dotyczy rezonansu dzieł Józefa Tuliszkowskiego. Zbyt nikłego już w chwili ich publikacji, czego nie zmieniły najwznioślejsze mowy pogrzebowe, poczty sztandarowe i kompanie honorowe. Wielkie słowa łatwo mówić, ale przecież mało kto z żałobników przeczytał wszystkie dzieła Mistrza. Ba! Mało kto z tych ludzi, może poza Józefem Milewskim, zgadzał się z nim odnośnie do prawd podstawowych o ochronie przeciwpożarowej. Więc już wtedy nic nie mogło rezonować. Zresztą, jak wiemy, już w pierwszej połowie lat 20. nie rezonowało, a nawet trwało w dysonansie.

Powojenny brak rezonansu

Po II wojnie światowej komunistyczne władze wytlumiły ze szczerem i skutecznie istniejący jeszcze rezonans dzieł Tuliszkowskiego. Nie z jego książek uczono strażaków, a już w szczególności nie brali ich do rąk przyszli oficerowie, co weszło im w nawyk, gdy już tymi oficerami zostali. Posłużmy się tekstem badacza.

Po wojnie wśród działaczy strażackich dojrzewała myśl, by pamiętać o tym wielkim człowieku uczcić w bardziej znaczący sposób. W związku z odbudową Centralnego Ośrodka Pożarniczego (notabene utworzonego w 1939 roku), będącego ucieleśnieniem jego idei, delegacja pożarnictwa PKP, w osobach: ppłk Kazimierz Kosewski oraz druhowie Roman Ludwiczak, Stanisław Jusis, Kazimierz Hajduk i Paweł Suchocki w czasie wizyty u naczelnego inspektora Związku, w listopadzie 1948 r. złożyła ofiarną odbudowę szkoły (200 tys. zł) i ufundowanie tablicy i popiersia inż. J. Tuliszkowskiego, jej twórcy (w wys. 88 tys. zł). Na sumę powyższą złożyły się dobrowolnie składki członków kolejowych straży pożarnych. Jednocześnie przedstawiciele Ministerstwa Komunikacji wezwali straż przemysłowe do dalszych ofiar na ten cel. Do ufundowania tablicy i popiersia jednak nie doszło¹.

Autor nie wyjaśnia, dlaczego tak się stało, tylko stwierdza fakt z pokorą badawczą. Wyjaśnijmy co nieco.

Przytoczyliśmy wyżej kilka nazwisk osób, które wystąpiły z wnioskiem o uhonorowanie Tuliszkowskiego. Należy te nazwiska zapamiętać, bo w imię uczciwej pamięci o wielkim człowieku dokonali aktu strzelistej odwagi. Mianowicie był to czas czystek ze stanowisk decyzyjnych w ledwie co odnowionej strukturze Związku Straży Pożarnych. Strukturę skutecznie odnawiał tuż po wojnie Bolesław Chomicz, jako prezes przymusowy, a więc tymczasowy. Pełniąc tę funkcję kilkoma prostymi zarządzeniami przywrócił działanie Związku. Rozpoczął też odbudowę gmachu obecnej Akademii Pożarniczej – tam mieściły się biura Zarządu Przymusowego Związku Straży Pożarnych. Ale gdy już wszystko zaczęło działać, Chomicz przestał być potrzebny, zresztą nie tylko on. Oto, co odkryła na ten temat Maria Smoleń.

¹ W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski. Pionier polskiego pożarnictwa...*, s. 91.

Na najwyższym szczeblu partyjnym obmyślono nowy skład osobowy zarządu przymusowego Związku, w wyniku przesunięć i kooptacji nowych członków. Spośród dotychczasowych osób założono pozostawienie W. Garncarczyka (jako prezesa) A. Remiszewskiego (PPS), S. Czernielewskiego (bezpartyjnego) i płk. poż. M. Zdzeszyńskiego jako inspektora naczelnego, wchodzącego z urzędu oraz wprowadzenie innych osób delegowanych z ramienia różnych ministerstw: pplk. Jana Kwiatkowskiego (PPR), głównego inspektora Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej (ORMO) i delegata Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, A. Olewskiego (PPR) i H. Toruńczyka (PPR), delegowanych przez Ministerstwo Ziem Odzyskanych, Jana Markowicza (PPR), delegowanego przez Ministerstwo Komunikacji, oraz mjr. Wojska Polskiego, Tadeusza Dobrowolskiego, jako delegata Ministerstwa Obrony Narodowej. Te plany personalnych układanek, doskonale obrazujące przemyślaną taktykę działań zmierzających do podporządkowania sobie Związku Straży Pożarnych RP przez partię stojącą wówczas u steru władzy, warte są zacytowania w całości:

- 1) „Użyć nacisku na Chomicza, aby się podał do dymisji, a wtedy
- 2) Garncarczyk automatycznie wchodzi na Prezesa,
- 3) Pozostałby na stanowisku II. Viceprezesa Remiszewski,
- 4) Na I. wiceprezesa zaproponować pplk. Kwiatkowskiego, jako przedstawiciela ORMO i delegata Min. Bezp.,
- 5) Ponieważ Araszkiewicz jest aresztowany (utracił mandat) pozostałby ponadto:
- 6) Czernielewski – jako delegat Min. Przemysłu
- 7) Jerzy Ziętek i Zdzeszyński, jako starzy członkowie Związku,
- 8) Dokooptować przedstawicieli M.Z.O., M.O.N. i Min. Komunikacji.

Byłaby to reorganizacja zdekompletowanego Zarządu Głównego za aprobatą zainteresowanych Ministerstw (ponieważ Araszkiewicza aresztowały władze U.B., a Chomicz ewtl. poda się do dymisji” – cytata z aktu Ministerstwa Administracji Publicznej w Archiwum Akt Nowych, sygn. 809².

Zgodnie z powyższym planem Chomicz, całkiem inteligentnie, podał się do dymisji z powodu niezgody na włączenie OSP do Ochotniczych Rezerw Milicji Obywatelskiej (ORMO). Dymisję przyjąto skwapliwie 10 grudnia 1947 roku³. Nowym prezesem przymusowym Związku został Witold Garncarczyk, przewidziany na to stanowisko przez czynniki partyjne. Porównajmy w tym miejscu dwa cytaty z „Przeglądu Pożarniczego”, odległe od siebie o rok. Co ważne, każdy z nich ukazał się na samym początku gazety. Pierwszy cytat pochodzi z opublikowanego tuż po wojnie numeru „Przeglądu Pożarniczego”, który wyszedł w druku tuż przed Wielkanocą 1947 roku. Zgodnie z wolą Bolesława Chomicza otwierający artykuł napisał ksiądz, będący jednocześnie prezesem OSP.

Strażactwo ma wielkie cele przed sobą. Doba obecna jeszcze je zwiększa.

Obniżenie poziomu moralnego przez przejmujące trwogą opilstwo, ukryte gorzelnictwo,

² M. Smoleń, *Od reaktywacji do likwidacji 1946–1949*, „Strażak” 2017, nr 3, s. 27–28.

³ Szczegółowo o okolicznościach dymisji Bolesława Chomicza zob.: P. Rochala, *Bolesław Chomicz i jego czasy. Biografia strażacka*, Warszawa 2019, s. 386–400.

szaber, nieposzanowanie cudzej własności, waśnie i zemstę, lekkomyślne burzenie życia rodzinnego przez lekceważenie prawa publicznego, brak karność organizacyjnej i cały szereg cech ujemnych – to groźna choroba społeczna prowadząca bezpośrednio i nieodwołalnie do ruiny jednostki i rodziny. (...)

Szeregi strażackie rekrutują się z tych samych chorych społecznie ludzi. Ale w imię dobra swej organizacji muszą nie tylko wykorzystać zło we własnym gronie, lecz wyrzucić skuteczny wpływ na swoje otoczenie⁴.

Dosłownie po 11 miesiącach na pierwszej stronie „Przeglądu Pożarniczego” zadebiutował nowy prezes przymusowy Związku Straży Pożarnych. Oto jego słowa:

Wiekami wmawiano w chłopu polskiego poczucie niższości, twierdząc, że Bóg go stworzył „do roboty” a „do rządów” przeznaczeni są inni, tzn. magnaci, szlachta i kler. (...) Doczekaliśmy się własnego chłopsko-robotniczego rządu. (...) Nasi ministrowie, wiceministrowie, wojewodowie i inni – to chłopci, robotnicy lub inteligencja, lub też ich synowie. Myślimy ich tam posłali, naszą oni wypełniają wolę, jesteśmy więc razem z nimi odpowiedzialni za losy Ojczyzny. (...) Musimy się wszyscy uaktywnić, by wspólnie z innymi budować nową, sprawiedliwą Polskę.

Lecz każdy strażak winien być przodującym obywatelem w swoim środowisku. (...) Musimy wyzwolić się z narzuconego nam tradycyjnym jaśniepańsko-klerykałnym wychowaniem poczucia niższości. Musimy wyzwolić się z psychiki parobków, a poczuć się świadomymi swych praw i obowiązków gospodarzami – budowniczymi Nowej Polski, Polski Ludowej, w której nie będzie miejsca dla pasożytów społecznych, w której świat pracy nie tylko będzie producentem dóbr materialnych i kulturalnych, lecz będzie również ich pełnoprawnym konsumentem⁵.

Jak widać, nowy prezes miał zupełnie inne sprawy do rozwiązania niż stare kierownictwo. Nie widział problemu w złodziejstwie, alkoholizmie, upadku moralnym, rozbiciu rodzin. On zamierzał budować socjalizm. I budował, jak umiał. To dlatego każdy strażak-ochotnik musiał zostać ormowcem. Ale czy przez to stawał się lepszym człowiekiem?...

Jak to kiedyś, jeszcze w czasie studiów, nazwali Tuliszkowskiego koledzy socjaliści? Czyż nie „starym, szlacheckim romantykiem”?... Dla takich ludzi nie było miejsca w nowym, wspaniałym świecie. Więc przestawali istnieć. Bo kimże dla takiego Garnarczyka był jakiś tam Tuliszkowski? Odpowiedź jest jasna: jaśniepanem, pasożytem społecznym, który innych wychowywał w poczuciu niższości, a na ich pracy zerował. A z takimi władza właśnie zaczynała robić porządek i to raz na zawsze. Zatem jako zmarły, w dodatku szlachcic, a przy tym endek, nie miał żadnego prawa głosu. Musiał zamilknąć. I by ująć represjom, zamilczeli o nim inni, ci żyjący.

Tym sposobem aż do 1981 r., z małym wyjątkiem na rok 1949, w prasie strażackiej nie ukazało się nic o Tuliszkowskim. I żaden z jego podręczników nie zaistniał jako obowiązujący do nauki strażackiego zawodu. Dosłownie żaden!

⁴ W. Grochowski, *Zwycięstwo + Tryumf + Alleluja!!!*, „Przegląd Pożarniczy” 1947, nr 1, s. 1.

⁵ W. Garnarczyk, *O przebudowę psychiki obywatela*, „Przegląd Pożarniczy” 1948, nr 3, s. 1–2.

Dlatego podziwiać należy odwagę tych kilku, którzy upomnieli się o pamięć Tuliszkowskiego. Ludzi, którzy pragnęli ufundować mu tablicę, należy uznać za wyjątkowo odważnych. Nie za takie czyny szło się wówczas do więzienia, jak upamiętnienie starego, szlacheckiego romantyka.

Upamiętnienie człowieka

Właściwe upamiętnienie Józefa Tuliszkowskiego możliwe się stało dopiero po upadku w Polsce komunizmu. Pojawiły się artykuły Władysława Pilawskiego oraz Tadeusza Olejnika w „Przeglądzie Pożarniczym” i w „Muzealnym Roczniku Pożarniczym”, ukazała się broszura autorstwa Władysława Pilawskiego, a Władysław Jabłonowski napisał biografię, którą Tadeusz Olejnik zrecenzował. I takim to sposobem, za pomocą pracy ludzi uczciwych, Józef Tuliszkowski znów zaczął się przebijać do pamięci strażaków.

Bo i na szczytach władzy znaleźli się ludzie, którym zgodnie z piękną, a ludzką myślą Cyserona, nic z wielkości własnej nie ujmowało przyznanie wielkości komu innemu. W październiku 1993 r. Komendant Główny Państwowej Straży Pożarnej nadbryg. Feliks Dela powołał kapitułę Medalu Imienia Józefa Tuliszkowskiego, wysokiego odznaczenia honoryfikacyjnego⁶. W pierwszej turze odznaczonych znaleźli się: Zofia Haykowska, córka i Michał Haykowski, wnuk Józefa Tuliszkowskiego.

Dalej w 1997 r. Józef Tuliszkowski stał się patronem Centrum Naukowo-Badawczego Ochrony Przeciwpowodzi Państwowego Instytutu Badawczego w Józefowie k. Otwocka⁷. Pozostaje nim do dziś, wpleciony w nazwę oficjalną placówki niezmienną od 2010 roku.

Można powiedzieć, że upamiętnienie strażackiego wysiłku twórczego wybitnego człowieka zostało zrealizowane w sposób najlepszy z możliwych.

Rezonans...

Przecież nam chodzi o coś więcej: o rezonans. Dopóki bowiem nie ożywimy dzieła Józefa Tuliszkowskiego, musimy wyłącznie na wiarę przyjmować, że był on wielkim człowiekiem. A przecież, gdyby tak dokładnie przyjrzeć się jego karierze, to na jakiej zasadzie uznaje się jego wielkość? Kryterium kariery nie przekonuje, bo choć piastował wysokie, to nigdy nie zajmował najwyższych możliwych stanowisk w ochronie przeciwpożarowej. Kryterium oddziaływania na otoczenie też się nie sprawdza, gdyż co prawda uzdrowił ochronę przeciwpożarową w kilku branżach, ale całkowitego sukcesu nie osiągnął, bo to nie on podejmował decyzje w zakresie tworzenia ogólnopolskiej struktury bezpieczeństwa pożarowego. A może kryteria pierwszeństwa...? Też nie. Był pionierem polskiego pożarnictwa, ale da się wskazać

⁶ Decyzja Komendanta Głównego Państwowej Straży Pożarnej nadbryg. Feliksa Deli z dnia 11 października 1993 r. w sprawie ustanowienia Medalu Honorowego im. Józefa Tuliszkowskiego.

⁷ Zarządzenie nr 4 Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji z dnia 23 stycznia 1997 r. (Dz.Urz. MSWiA Nr 2., poz. 22).

starszych, jak np. Antoni Szczerbowski. Nawet pod względem pisarstwa pożarniczego został wyprzedzony, gdyż podręcznik z 1901 r. Józefa Zagórskiego z Przemysła był pierwszym w języku polskim.

O co więc chodzi? O wynalazki i konstrukcje? O niewdrożony hełm wojskowy czy wdrożone urządzenie gaśnicze na CO₂? O produkowaną drabinę mechaniczną? O wykonane projekty wozów strażackich i sikawek? Nie. Również nie to. I nie o te 170 artykułów i ich cyklów.

Chodzi o dzieło. O wielotomowe, uporządkowane i stworzone z żelazną konsekwencją kompendium wiedzy na temat ochrony przeciwpożarowej. Dzieło niekompletne, a przecież wszechstronne, uniwersalne, a przecież szczegółowe i bezbłędne, jakiego nikt nigdy nie stworzył i raczej już nie stworzy. W dodatku napisane polszczyzną, jakiej powinno się uczyć.

To dzieło nie jest nam znane, więc nie jest podziwiane ani naśladowane. Dlatego nie wywołuje rezonansu. Wydawać się może, że jest przestarzałe, a przecież nadal posiada potencjał poznawczy tak znaczny, że budzi podziw specjalistów. Podziw nie dla fizycznych swych rozmiarów, a dla zakresu i poziomu wiedzy. Znawczy z dziedzin zapobiegania pożarom, taktyki zwalczania pożarów czy techniki pożarniczej ze zdumieniem przyznają, że czytają je nie dla niewątpliwych zalet literackich czy jako ciekawostkę historyczną. Oni z tych treści po prostu się uczą! A przecież to nie jest tak, że czegoś nie wiedzieli, aż przeczytali w stuletniej książce, tylko Józef Tuliszkowski swoją pracą sprzed pokoleń porządkuje tę wiedzę, wykazując jej sens, zagubiony gdzieś po drodze. Naprawdę, można mieć wszelkie tytuły wypracowane ciężką pracą, być autorytetem w swej dziedzinie, by po przeczytaniu którejsz z książek Tuliszkowskiego dokonać odkrycia: „Dotychczas błędziłem (błędziłam) po omacku!”.

Warto zatem czytać dzieła Józefa Tuliszkowskiego. Przecież nawet najpiękniejsze słowa o nim, że wielki był, będą tylko jeszcze jedną mową pogrzebową, czyli bardziej świadectwem naszej elokwencji niż jego dokonań. A przy tym świadectwem nie do końca szczerym, wszak ludzie pełni żalu milczą, a nie popisują się darem wymowy. Najlepiej, gdy on sam przemówi do nas z tych kilku tysięcy świetnie ilustrowanych stron, a wtedy rezonanse jego słów w naszych głowach same ułożą się w obrazy wielkości. Tak, jak to się przytrafiło piszącemu te słowa o Mistrzu.

Paweł Rochala, Józefów, czerwiec 2024

Aneks

Jeszcze raz oddajemy głos Józefowi Tuliszkowskiemu. Przytaczamy w całości dwa teksty: *Wstęp* i *Słowo wstępne* do dwóch z zamierzonego na 7 tomów (32 części) dzieła pt. *Obrona przed pożarami. Podręcznik dla użytku Straży Pożarnych, Organów Samorządowych, Miast, Gmin i Dworów*.

Wstęp ukazał się w tomie zatytułowanym *Pożary, przyczyny, klasyfikacja, środki zapobiegawcze*¹, natomiast *Słowo wstępne* ukazało się w tomie *Taktyka pożarna*².

Całe poniższe teksty, łącznie z przypisami, pochodzą od Józefa Tuliszkowskiego. Zawarł w nich całościowy plan dzieła oraz część perypetii związanych z jego wydawaniem. Naszą ingerencją jest wytłuszczenie części dzieła, które zostały opublikowane. Finalnie w postaci książek (broszur) ukazały się zaledwie dwa pełne tomy z siedmiu (nr 1 i 7) i ich poszczególne części: 2 części tomu nr 2 i jedna część tomu nr 3. A i tak jest to dzieło wielkie.

WSTĘP [do tomu I Obrony przed pożarami]

„Prawdziwie sama tylko Puszcza jest owym Feniksem, który z popiołów swoich nanowo powstaje. Na to prawie nieustannie buduje się, aby się coraz rozległej palila”, z odezwy 1791 r.

Smutku i goryczy pełne są powyższe słowa, a świadczą o wielowiekowej bezradności naszej i zaniechaniu sprawy bezpieczeństwa ogniowego. Istotnie tak jest. Sięgnijmy myślą wstecz do prastarych dziejów rodzimych. Ówczesne kroniki wspominają o częstych klęskach pożarów, mówią o wodzach zastępów wrażeń, Niemców, Pomorzan, Jadźwingów temi słowy: „pobił wojów i rycerzy, zabral do niewoli mnogo ludu, włościę spalił do cna”.

Większe grody i stolice również nawiedzały częste ognie. Kraków gorzał razy kilkanaście, poczynszy od 1241 r., kiedy „srogiego doznał losu, złupiony będąc i całkowicie spalony przez Tatarów”. W 1528 roku „Krakowa wielka część zgorzała y około stu strzelby (armat) na murzech stopiło się”.

Mądrzejsi, lepiej myślący władcy, książęta, wojewodowie i kasztelani czynili pewne usiłowania ku zmniejszeniu tego zła zmiernie. Król Kazimierz Wielki marzył, aby „z drewnianej uczynić Polskę murowaną”. Nie tylko marzył, lecz zamiary swe dzielnie i wytrwale w czyn zamieniał. Dotychczas widzimy wspaniałe pomniki i dzieła tego Wielkiego Monarchy: monumentalne, w ślicznym swojskim stylu „odrodzenia polskiego” wzniesione kamienice, spichlerze naprz. w Kazimierzu nad Wisłą, gmachy ratuszowe w Sandomierzu, w Krakowie Sukiennice, mnogie kościoły, zamki i t. p.

Pomimo tych usiłowań, znaczna większość budowli nie tylko po wsiach i miasteczkach, lecz i po miastach większych była stale wznoszona z drzewa.

A czy zmienili się coś w Polsce od owych starych czasów?

¹ J. Tuliszkowski, *Obrona przed pożarami. Podręcznik dla użytku Straży Pożarnych, Organów Samorządowych, Miast, Gmin i Dworów. Pożary, przyczyny, klasyfikacja, środki zapobiegawcze*, t. 1, Warszawa 1927, s. 7–12.

² J. Tuliszkowski, *Obrona przed pożarami. Podręcznik dla użytku Straży Pożarnych, Organów Samorządowych, Miast, Gmin i Dworów. Taktyka pożarna*, t. 7, Warszawa 1929, s. 3–4.

Niewiele: jeno po miastach dużych widzimy budowle murowane; natomiast miasteczka, osady i wsie, jak również zabudowania dworskie, są prawie wyłącznie drewniane, gontem a słomą kryte.

Szczególnie upośledzone są b. Królestwo Kongresowe, Małopolska, Litwa, Polesie i Wołyń. Budynków drewnianych, krytych słomą i gontem jest tu około 90%! Tylko Kresy Zachodnie, Pomorze, Poznańskie, Śląsk mają zabudowania przeważnie ogniotrwałe.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę jeszcze ogromne skupienie budowli po wsiach i miasteczkach, nieostrożność i niedbalstwo mieszkańców, ich apatię i brak uspołecznienia – ponury i smutny obraz staje w całej pełni; obraz niezaradności naszej i bierności wobec smoka ogniowego, który bezkarnie, prawie bez walki, zbiera swój haracz roczny, haracz placony ciężką krwawicą. Bo mało tego, że budynki spalają, mało że i inwentarz i zapasy zboża i paszy strawi ogień, ale, co najgorsze, że powoduje wykoślenie zupełne gospodarki i to na parę lat, że zniszczony warsztat pracy pozbawia tysiące rodzin środków wyżywienia i kładzie ciężar na cały kraj w postaci setek, tysięcy bezdomnych pogorzalców.

Statystyka dowodzi, że w całej Polsce płonie rocznie po kilkadziesiąt tysięcy budowli, a to przeważnie dzięki masowym pożarom, trawiącym całe wsie i miasteczka, oraz wskutek braku szybkiego ratunku i należytej organizacji samoobrony pożarnej.

Istotnie Polska staje się tym Feniksem, który co kilkadziesiąt lat musi z popiołów powstawać nanowo.

Czy zdajemy sobie sprawę z tych olbrzymich strat³, jakie kraj ponosi? Czy wolno z założeniami rękoma patrzeć bezzadnie, lub tylko budować nad temi klęskami?

Coraz więcej ludzie z postępem oświaty i kultury u nas, uświadamiają sobie grozę położenia i stają ochotnie do pracy: organizują się straże pożarne, łączą się w związki, lecz jeszcze należytego poparcia w całym społeczeństwie te wysiłki nie znajdują. Tu w pierwszej linii Władze Państwowe winny przyjść z dużą pomocą i opieką, tu Organa Samorządowe muszą wesprzeć te usiłowania lepszych jednostek, wesprzeć hojniej, niż dotychczas, a społeczeństwo powinno, wzorem kulturalnych państw zachodnich, więcej się zainteresować tą palącą sprawą i traktować ją, jako poważne zagadnienie naszej lepszej przyszłości gospodarczej i potęgi materialnej Polski.

Każdy obywatel w poczuciu owej troski winien położyć cegielkę pod ten gmach przyszłego rozkwitu kraju. Powodowany tern samem, mając za sobą 35-letnią pracę na polu pożarnictwa. teoretyczną i praktyczną, jako członek kilku dobrych organizacji pożarnych i uczestnik akcji podczas bardzo wielu pożarów – pragnę również przyjść z pewną pomocą fachową przez wydanie niniejszego podręcznika p. t. „Obrona przed pożarami”, podręcznika, który będzie zawierać wszystkie zdobycze i zmiany w rozwoju techniki i taktyki pożarnej, jakie dokonały się w ciągu ostatnich kilkunastu lat, w którym zebrane muszą być wszelkie spostrzeżenia i wyniki, drukowane w kilkunastu oddzielnych broszurach i w pismach.

³ Statystyczne dane z dziesiątków lat dowodzą, że ogólna ilość pożarów w ciągu roku wynosi w Polsce przeciętnie 8–11 tys., przy czym ginie w ogniu 60–100 tysięcy budowli o wartości około 50–90 milionów zł. Doliczając do tego znaczne szczyby i przymusowy zastój w gospodarstwie i przedsiębiorstwach, otrzymamy kolosalną cyfrę niepowetowanych rocznych strat, w ogólnym majątku narodowym, wynoszącą 130–220 milionów zł.

Pragnę, aby ta książka stworzyła całość i stała się pewnego rodzaju cegiełką w rozwoju wiedzy pożarniczej, aby wobec bardzo ubogiej naszej literatury fachowej i braku w dobie obecnej wyczerpujących dziełek z tej dziedziny, wypełniła choć w części tę dotkliwą lukę i mogła się stać pomocą dla wszystkich Druhów Strażaków, wskazówką dla przyszłych założycieli straży pożarnych, a dobrą towarzyszką dla Druhów Inspektorów i Instruktorów w ich zbożnej pracy.

Zanim przejdziemy do samej treści niniejszej książki, musimy jeszcze rzec parę słów o jej układzie i skreślić, choć w kilku słowach program.

Jeden z wybitnych angielskich działaczy na polu walki z klęską pożarów, bardzo trafnie porównał tę walkę z medycyną. Nauka medycyny służy ku zwalczaniu chorób trapiących ludzkość. Długotrwałe studia medyczne, w połączeniu z praktyką, mają na celu ułatwienie przede wszystkim lekarzowi postawienie dyagnozy t. j. poznania rodzaju i rozmiarów choroby, którą on, lecząc chorego, ma zwalczać; podają (farmacja, farmakologia, chirurgia) szereg środków leczniczych, skutecznie usuwających niedomagania i niszczących przyczynę choroby, a oprócz tego pouczają o zasadach higieny, których przestrzegając, ludzie unikają chorób i żyją w jak najzdrowszych warunkach.

Powyższą analogię można doskonale zastosować do walki z pożarami. A więc nauka pożarnictwa powinna dążyć przede wszystkim do tego, aby poznać, co to jest ogień, jego właściwości, aby umieć konstatować rodzaje pożarów i rozmiary; następnie technika pożarna poucza o środkach, jakimi rozporządzając, możemy bronić się przed ogniem, a taktyka pożarna uczy umiejętnego użycia tych środków do skutecznego nacierania na wroga. Hygieną znów w pożarnictwie jest cały dział, zmierzający ku zapobieganiu powstawania pożarów. Treść więc pracy „Obrona przed pożarami”, winna obejmować trzy zasadnicze działy:

1. Istotę pożarów; ich przejawy, przyczyny i klasyfikację.
2. Zapobieganie powstawaniu pożarów.
3. Gaszenie pożarów.

Najobszerniejszy jest dział trzeci, traktuje bowiem cały szereg prac organizacyjnych, technicznych, przygotowawczych, wyszkoleniowych, omawia szczegółowo budowę narzędzi, przeznaczonych do walki z ogniem, ich przechowywanie, uruchamianie i wskazuje sposoby ich użycia, wreszcie podaje taktyczne sposoby zwalczania pożarów.

Praca więc niniejsza dzieli się⁴ na następujące części:

I tom. Pożary. Przyczyny. Klasyfikacja. Środki zapobiegawcze.

1. Istota pożarów; ich przyczyny i podział.
2. Środki zapobiegawcze.
3. Podstawy budownictwa ogniotrwałego.

II tom. Przygotowania do walki.

1. Środki gaśnicze.
2. Wodociągi i zbiorniki wodne.

⁴ Praca ta ma być wydana również w 30 oddzielnych broszurach.

3. *Roślinność jako środek ochronny.*
4. *Organizacja straży pożarnych i związków.*

III tom. Przyrządy gaśnicze. (1-sza część techniki pożarnej).

1. *Zasady hydrauliki.*
2. *Przyrządy do działania wodą (sikawki).*
3. *Przyrządy dla dostawy wody.*
4. *Gaśnice chemiczne.*

IV tom. Przyrządy pomocnicze (2-ga część techniki pożarnej)

1. *Drabiny w strażach pożarnych.*
2. *Narzędzia do burzenia.*
3. *Przyrządy ratunkowe, osłaniające, ochronne, do oświetlania, do elektrycznych instalacji i uzbrojenia.*
4. *Narzędzia do leśnych pożarów.*
5. *Sprzęt do działania podczas katastrof.*

V tom. Tabory pożarne, ich przechowywanie i uruchamianie. (3-cia część techniki pożarnej).

1. *Zestawienie narzędzi i sprzętu w tabory.*
2. *Silnik spalinowy.*
3. *Samochody, statki pożarnicze.*
4. *Konie w strażach pożarnych.*
5. *Nabywanie narzędzi, próby i konserwacja.*
6. *Zabudowania w strażach pożarnych.*

VI tom. Usprawnienie straży pożarnych.

1. *Sygnalizacja: alarmowa i rozkazownicza.*
2. *Instrukcja ćwiczebna.*
3. *Metody szkolenia straży.*
4. *Szkoła pożarnictwa.*

VII tom. Taktyka pożarna.

1. *Obowiązki i przepisy dla poszczególnych szarż, oddziałów i pogotowi.*
2. *Gaszenie różnego rodzaju pożarów.*
3. *Akcja straży pożarnych podczas katastrof.*
4. *Pomoc sanitarna na pożarach.*

Na zakończenie pragnę zamieścić kilka uwag.

Ponieważ praca niniejsza przeznaczona jest nie tylko dla oficerów straży pożarnych, lecz również dla szeregowców, więc starałem się wyłożyć wszystko jaknajpopularniej, prosto

i dostępne. Jednak w tej książce musi być przytoczony cały szereg wiadomości technicznych, specjalnych wzorów i obliczeń, potrzebnych dla szarż strażackich. Wiadomości owe są drukowane drobniejszym drukiem (t. zw. *petitem*).

Dla jasnego zobrazowania i usystematyzowania przyczyn, zjawisk pożarów, sposobów gaszenia, grup narzędzi i przyrządów i t. p., ułożone zostały „specjalne tablice, obejmujące każda całokształt danego działu.

Dla lepszego przedstawienia i wyjaśnienia, niektóre działy zawierają znaczną ilość rysunków; a część, poświęcona szkoleniu z narzędziami, zobrazowana jest całymi szeregami rycin, przedstawiających plastycznie ruchy poszczególnych strażaków i całych zastępów, co powinno znacznie ułatwić instruowanie.

Opracowując tę książkę, korzystałem w znacznym stopniu z szeregu nowszych wydawnictw z literatury fachowej niemieckiej, francuskiej i rosyjskiej, a również z poprzednich prac własnych i doświadczenia, czerpiąc z nich to, co przedstawia wartość tegoczesną, a odrzucając rzeczy przestarzałe.

W dziale szkolenia na pierwszym planie znajduje się zawsze instrukcja ćwiczebna, obowiązująca w Głównym Związku Str. Poż. R. P., a oprócz tego umieszczone są (na drugim planie) projekty innych instrukcji, jako materiał, który z jednej strony może służyć do udoskonalenia szkolenia, a z drugiej przyczynić się do urozmaicenia ćwiczeń w poszczególnych organizacjach, w tych wypadkach, kiedy członkowie dokładnie posiadli metodę obowiązującą i pragną pracować nad ulepszeniem znanych sposobów i nad szukaniem nowych dróg i metod, gwoili postępu i rozwoju Pożarnictwa Polskiego.

J. T.

SŁOWO WSTĘPNE [do tomu VII Obrony przed pożarami]

We wstępie do I tomu pracy p. t. „Obrona przed pożarami” nakreślony został plan podziału tego wydawnictwa na 7 tomów, mających stanowić całokształt wiedzy pożarniczej, które jest również wydawane jednocześnie w postaci 32 oddzielnych książek, jako „Nowoczesna księżnica strażacka”.

Pomimo prawie gotowych dla tłoczni rękopisów do II tomu, obejmującego środki gaśnicze, zbiorniki wody, roślinność, organizację straży pożarnych i związków, oraz do III, traktującego obszernie

I-ą część techniki pożarnej, zmuszony zostałem do odłożenia narazie tych prac, a natomiast energicznie się wziąłem do opracowania VII tomu, zawierającego „Taktykę pożarną”.

Powodem tej zmiany jest bardzo duża ilość zgłoszeń, namowy i prośby wielu Druhów - Oficerów Straży Pożarnych, a głównie zupełny brak wyczerpującego podręcznika w tej tak ważnej dziedzinie, która właściwie jest jakby koroną wiadomości pożarniczych, albowiem „Przygotowania do walki” (II tom), „Technika pożarna” (III, IV i V tom), oraz „Usprawnienie straży pożarnych” (VI tom), wszystkie te wiadomości stanowią właściwą naukę wstępną, przygotowawczą, której zadaniem jest przysposobienie staży pożarnych do walki z ogniem; a o tern, jak skutecznie i celowo gasić pożary poucza właśnie taktyka.

Ponieważ straże pożarne w naszych osiedlach większych i mniejszych stanowią karne organizacje, zaprawione już do zwalczania jednego groźnego żywiołu – ognia, przeto i podczas klęsk, spowodowanych przez rozpadanie innych żywiołów, jak woda (powodzie, zasy i zatory), ziemia (zawalenia się ziemi, studzien i domów), oraz powietrze (huragany i nawałnice), – strażactwo nasze winno brać również żywy udział w akcji ratowniczej; do taktyki więc należy zaliczyć ten dział prac strażackich, jak również pomoc sanitarną, w razie wypadków, jakie przytrafiają się podczas pożarów i powyższych czynności, ludziom i koniom strażackim.

Obecnie wydawana „Taktyka pożarna” dzieli się zatem na następujące części:

1-a część: „Działania straży pożarnej przy ogniu (książka Nr. 29).

2-ga część: „Gaszenie różnego rodzaju pożarów (książka Nr. 30).

3-cia część: „Akcja straży pożarnej podczas katastrof (książka nr 31)

4-ta część: „Pomoc sanitarna dla ludzi i koni” (książka Nr. 32).

Opracowując taktykę, którą to pracę rozpocząłem jeszcze w 1925 roku, posilkowałem się częściowo fachową literaturą francuską, belgijską, niemiecką, rosyjską i po części amerykańską, a głównie obszerną praktyką i spostrzeżeniami, zdobytymi na wielu pożarach podczas długoletniej służby w większych ochotniczych i zawodowych organizacjach.

Aby lepiej objaśnić niektóre czynności, dotyczące się działania poszczególnych strażaków i oddziałów, a również, aby plastycznie przedstawić umiejętne opanowywanie ognia, zamieściłem paręset rysunków i planów, a również wprowadziłem nowe działy, jak strategia pożarna, gaszenie pożarów pod ogniem nieprzyjacielskim, walka gazowa, udział w usuwaniu zatorów, zasp, pomoc sanitarna koniom i t. p.

Bez wątpienia praca ta, a szczególnie nowowprowadzone działy, zawierają pewne braki i niedomówienia, przeto będę bardzo wdzięczny Szanownym Druhom za fachowe, rzeczowe uwagi i uzupełnienia. .

Niech ta skromna praca wypełni choć w niewielkiej części lukę w naszej ubogiej literaturze fachowej, niech będzie z pożytkiem dla Was, Koledzy po toporze, w Waszej dzielnej pracy.

Bibliografia dzieł Józefa Tuliszkowskiego

Autorzy biografii mieli i mają problem ze spuścizną literacką Józefa Tuliszkowskiego. Mianowicie szereg jego publikacji powiela się pod kolejnymi, nieco zmienionymi tytułami (nie mówiąc o prasie, gdzie wychodziły one w mniejszych odcinkach, pod tytułami jeśli nie identycznymi, to zbliżonymi), by wreszcie ukazywać się zarówno w tomach zbiorczych, jak i jako osobne części. Zatem kilkakrotnie można przeczytać, że ukazało się około 30 jego publikacji w postaci druków zwartych. Około, bo nikt, łącznie z piszącym te słowa, nie jest w stanie podać liczby dokładnej.

Poniższy wykaz pokazuje, na czym polega problem klasyfikacyjny.

Chronologia i logika powstawania dzieł

Czytając poszczególne dzieła w kolejności publikowania, widać, że koncepcja łączenia prac w większe całości dojrzała Tuliszkowskiemu z czasem, co jest procesem jak najbardziej naturalnym. Modyfikował własne pomysły, uwzględniał doświadczenia praktyczne, zmiany w technice i nauce, dokonywał autopoprawek itd. To powodowało, że materiały rozrastały się, rozsadzając ramy dotychczasowych publikacji. Niebagatelną rolę odgrywało zapotrzebowanie rynkowe na daną wiedzę, za czym szły możliwości wydawnicze bądź nawet okazje tego rodzaju, jak konkursy na opracowania w zadanej tematyce, z których Tuliszkowski skwapliwie korzystał, na ogół wspomniane konkursy wygrywając. Nagrodą był druk.

Oczywiście twórca musiał dysponować odpowiednią ilością wolnego czasu, który mógł przeznaczyć na przemyślenie i systematycznie sporządzenie większych publikacji. Tu niezmiernie pomocne były mu artykuły prasowe, które przygotowywał w cyklach jako gotowe podrozdziały dzieł większych. Jako że kropla drąży skałę, systematyczne dokładanie kolejnych kamyków pozwalało na zbudowanie całkiem pokaźnych całości. Publikacja małych form miała też i tę zaletę, że pozwalała na udoskonalenie treści i zbieranie doświadczeń – wszak inaczej czyta się rękopis czy maszynopis, a inaczej tekst w druku profesjonalnym.

Sposób działania Tuliszkowskiego możemy prześledzić na przykładzie ewolucji zagadnienia budownictwa ogniotrwałego na obszarach wiejskich. Omówione gruntownie w poz. [2] (1909) jako część większej całości, zostało następnie w bardzo ograniczonym tematycznie fragmencie, ale rozwinięte treściowo, wydane w poz. [3] (1910). Dalej w poz. [4] (1913) kompletne zagadnienie z pozycji [2] zostało rozszerzone, przy czym uszczegółowione na wzór z poz. [3]. Tu jednocześnie autor dostosował język do zakresu pojęciowego osoby, mającej co prawda wykształcenie literackie co najwyżej podstawowe, ale głowę otwartą, skłonną do interesów, a przy tym smykałkę techniczną – popularność dzieła jest podkreślona jego tytułem. Po 10 latach temat znalazł wyraz w bardziej uniwersalnej niż popularnej pozycji [15] z 1923 roku. Finał zagadnienia widać w pozycji [19] „c”, jako najdoskonalszej w sensie przedstawienia

problemów, na wzór wykładu przedmiotu szkolnego, mającego postać i tytuł nie – jak dotychczas – poradnika, a podręcznika. Przy tym podręcznik ten uwzględniał najnowsze wynalazki budowlane.

Podobnie można prześledzić rozwój sprzętu czy taktyki działań gaśniczych. Punktem wyjściowym zawsze pozostaje poz. nr [2].

Nie oznacza to, że następne dzieła były lepsze jakościowo od poprzednich, gdyż to zależy od kryteriów, jakie wziąć pod uwagę. Były tylko inaczej kierunkowo dostosowane do danego adresata, gdyż autor wyraźnie miał na myśli w poszczególnych tytułach inne grupy czytelnicze jako docelowe. Co też ma swoją logikę i samo w sobie świadczy o wysokiej sprawności merytorycznej i pisarskiej Tuliszkowskiego. Prześledźmy bliżej to zagadnienie kierunkowości adresatów poszczególnych dzieł, również językowej.

Pozycja nr [2] powstała jako poradnik przeznaczony dla amatorów, ale mających dosyć wysoką pozycję społeczną, gruntowne wykształcenie i możliwości działania, czyli siłę sprawczą. To oni musieli osiąść dosyć rozległą wiedzę, wymaganą na stanowisku zarządcy ochrony przeciwpożarowej w danej społeczności wiejskiej. Wiedzę tę Tuliszkowski wyłożył na zasadzie ogólności, co prawda ze szczegółami technicznymi, ale bez nacisku na wykonawstwo na poziomie warsztatu, którym zarządzający strażami nigdy zajmować się nie mieli. Pozycja nr [4], choć tematycznie i merytorycznie zbliżona, jest jednak skierowana do innych czytelników, tj. do przeciętnych konsumentów bezpieczeństwa pożarowego, którzy mają je zastosować przy pomocy własnych rąk, w dobrze pojętym interesie własnym. Jest więc podana w formie instruktażu, tj. wyposażona w poszerzoną wiedzę wykonawczą, techniczną, pozwalającą wytwarzać materiały budowlane i budować z tychże. Natomiast pozycja [19] „c” to już podręcznik, łączący cechy wiedzy ogólnej ze szczegółami technicznymi oraz elementami kultury wyższej (swojskość budowli), wpisujących nabytą wiedzę w szerszy kontekst społeczny, a nie tylko w sam aspekt nabycia umiejętności dla zyskowego zajęcia.

Poniższy wykaz publikacji zwartych Tuliszkowskiego jest podany w porządku chronologicznym. Należy zwrócić uwagę na daty publikacji, będące jednocześnie wskaźnikami fizycznego zaistnienia danego tytułu. Ma to znaczenie przy porządkowaniu głównego dzieła Tuliszkowskiego, jakim była omówiona wyżej przez jej autora, wielotomowa w założeniach *Obrona przed pożarami*: podręcznik dla użytku Straży Pożarnych, Organów Samorządowych, Miast, Gmin i Dworów.

Tuliszkowskiemu nie udało się skutecznie doprowadzić całości przedsięwzięcia do finału – pracę przerwała śmierć. Oto jak wygląda stan zaawansowania prac.

Pozycje [19] i [20] mają daty wydania, są więc kompletnymi w zamierzeniu autora tomami *Obrony przed pożarami*, w wykazie oznaczanymi cyframi arabskimi nr 1 i 7 (u twórcy są to cyfry rzymskie). Zawierają w sobie wszystkie części (wypunktowane od „a” do „c” lub „d”), opatrzone również datami indywidualnych wydań, co oznacza, że publikowano je osobno od tomów głównych, zarówno wcześniej, jak i później. Na tej zasadzie pozycja [21] czyli tom 2 i pozycja [24] czyli tom 3 *Obrony przed pożarami*

nieprzypadkowo nie zawierają dat rocznych wydań, gdyż nigdy – ze względu na brak wszystkich części – nie ukazały się jako tomy zbiorcze. Są wypunktowane w wykazie wyłącznie dla należytego umiejscowienia na osi czasu (porządkowej) wydanych części nr 1 i nr 2 dla tomu 2 i części nr 1 dla tomu 3.

Brak zebrania w tomy główne nie oznacza jednak, że ich części składowe noszą w sobie cechy niekompletności. Przeciwnie, są one wyczerpującymi tematycznie i logicznie, obszernymi (ok. 200 stron), bogato ilustrowanymi podręcznikami, mogącymi samodzielnie istnieć w świadomości i wiedzy czytelników. Dlatego też były wydawane osobno. Z tego względu widnieje w wykazie wydany osobno rozdział takiej części, pt. *Czynności i służba podczas powodzi* (1929). Niewykluczone, że znajdują się następne rozdziały wydane osobno – tak było taniej i takie było zapotrzebowanie.

Warto też wiedzieć, że kompletne tomy nr 1 i nr 7 zostały wydane – czy raczej oprowiane przez ich autora – również w wersji luksusowej, w czerwony safian. Nie wyodrębniano ich jako osobnych pozycji literaturowych, gdyż są treściowo identyczne z poz. [19] i [20].

Wykaz publikacji zwartych

- [1] *Millenium: lepsze światło gazowe*, Warszawa 1904.
- [2] *Walka z pożarami. Dla użytku miast mniejszych, gmin, dworów, wsi i osad*, Warszawa 1909.
- [3] *Budynki piaskowapienne*, Warszawa 1910.
- [4] *Budowle wiejskie zdrowe, ogniotrwałe i tanie*, Warszawa 1913.
- [5] *Projekt obrony pożarnej na przyłączonych przedmieściach. Opracowany przez Komendanta Straży Ogniowej m. stoł. Warszawy*, Warszawa 1917.
- [6] *Projekt reorganizacji Straży Ogniowej m. st. Warszawy*, Warszawa 1917.
- [7] *Konie w Warszawskiej Straży Ogniowej*, Warszawa 1917.
- [8] *Straże ogniowe we wsiach i miasteczkach: rady i wskazówki, jak wieś powinna się ratować od klęsk pożaru*, Warszawa 1917.
- [9] *Sikawka w straży ogniowej*, Warszawa 1919.
- [10] *Zorganizowanie ochrony przeciwpożarowej w Polsce Zjednoczonej*, Warszawa 1919.
- [11] *Taktyka pożarna*, Warszawa 1919.
- [12] *Instrukcja szczegółowa do ćwiczeń z sikawką (projekt)*, Warszawa 1922.
- [13] *Najnowsze sikawki samochodowe*, Warszawa 1922.
- [14] *Pożar jako zjawisko fizyczne. Co to jest ogień i jak z nim walczyć*, Warszawa 1922.
- [15] *Budowanie ogniotrwałe*, Warszawa 1923.
- [16] *Instrukcja szczegółowa do ćwiczeń z drabiną zestawianą polską (Szczerbowskiego)*, Warszawa 1924.
- [17] *Gaśnice ręczne: aparaty przeciwpożarowe, typy, systemy i sposoby ich użycia*, Warszawa 1924.
- [18] *Szkoła Pożarniczo-Budowlana*, Warszawa 1924.

- [19] *Obrona przed pożarami: podręcznik dla użytku Straży Pożarnych, Organów Samorządowych, Miast, Gmin i Dworów. Tom 1. Pożary, przyczyny, klasyfikacja, środki zapobiegawcze*, Warszawa 1927:
 - a. Część 1. Istota pożarów, ich przyczyny i podział, Warszawa 1927.
 - b. Część 2. Środki zapobiegające powstawaniu pożarów, Warszawa, 1927.
 - c. Część 3. Podstawy budownictwa ogniotrwałego, Warszawa 1927.
- [20] *Obrona przed pożarami: podręcznik dla użytku Straży Pożarnych, Organów Samorządowych, Miast, Gmin i Dworów. Tom 7. Taktyka pożarna*, Warszawa 1929.
 - a. Część 1. Działania straży pożarnych przy ogniu, Warszawa 1928
 - b. Część 2. Gaszenie różnych pożarów, Warszawa 1928.
 - c. Część 3. Akcja ratunkowa podczas katastrof, Warszawa 1929.
 - Część 3. Rozdział 1. Czynności i służba podczas powodzi, Warszawa 1929.
 - d. Część 4. Pomoc sanitarna dla ludzi i koni, Warszawa 1929.
- [21] *Obrona przed pożarami: podręcznik dla użytku Straży Pożarnych, Organów Samorządowych, Miast, Gmin i Dworów. Tom 2. Przygotowania do walki*.
 - a. Część 1. Środki gaśnicze, Warszawa 1931.
 - b. Część 2. Zaopatrzenie osiedli w wodę, Warszawa 1936.
- [22] *Yacht Trio*, *Garść wspomnień z życia studentów polskich w Rydze*, Warszawa 1935.
- [23] *Opis patentowy: Przyrząd do gaszenia dwutlenkiem węgla palących się ciał sypkich i strzępiastych*, Warszawa 1936.
- [24] *Obrona przed pożarami: podręcznik dla użytku Straży Pożarnych, Organów Samorządowych, Miast, Gmin i Dworów. Tom 3. Przyrządy gaśnicze*.
 - a. Część 1. Hydraulika w pożarnictwie, Warszawa 1938.

Publikacje w czasopismach dot. ochrony przeciwpożarowej

W ślad za poprzednikami-biografistami (Władysław Pilawski 1989, Wojciech Jabłonowski 1995) i na podstawie ich pracy sporządzono i uzupełniono wykaz artykułów Józefa Tuliszkowskiego w czasopismach dot. ochrony przeciwpożarowej.

Przyjęto układ od najstarszego czasopisma do najnowszego. Wykaz nie obejmuje wszystkich artykułów, np. krótkich wzmianek, komentarzy, niektórych zadań i ich rozwiązań itp.

Rok	Tytuł artykułu	Nr pisma w danym roku
	„STRAŻAK” (rok założenia 1900)	
1910	<i>Sikawki dla straży wiejskich</i>	9
1911	<i>Pożarnictwo w szkołach (przedruk z „Gazety Warszawskiej”)</i>	5
1912	<i>Węże tłoczne i ich zwijanie</i>	1, 4
	<i>Przekłête narzędzie</i>	4
	<i>Jeszcze o przekłêtem narzędziu</i>	11/12
	„PRZEGLĄD POŻARNICZY” (rok założenia 1912)	
1912-13	<i>Jakie powinno być pismo fachowe strażackie</i>	1
	<i>Na dobie (najważniejsze narzędzia strażackie)</i>	1-7, 11, 12
	<i>Wywiady na pożarach</i>	1, 2
	<i>Budynki mieszkalne dla małorolnych</i>	5, 7, 9
	<i>Wspinalnie</i>	8
	<i>Szlify strażackie</i>	8
	<i>Z objazdów i lustracji</i>	3-8, 11
	<i>Szkodliwe nieuctwo</i>	7
	<i>Dzielna przodownica</i>	9
	<i>Budowanie drabin dla straży wiejskich (krytyka)</i>	9
	<i>Życia więcej</i>	10,11
	<i>Zjazd strażacki w Lipsku</i>	9
	<i>Zadania z taktyki pożarniczej</i>	1, 7, 5, 9
	<i>Rozwiązania</i>	4, 8, 11
	<i>Przewodnik Pożarniczy</i>	12
1914	<i>Nasza wigilia</i>	1
	<i>Przyrząd ratunkowy linkowy (Höniga)</i>	1
	<i>Z objazdów i lustracji</i>	3, 7
	<i>Domy ludowe</i>	1

	<i>Na dobie</i>	2, 5
	<i>Garść wrażeń z zagranicy — Berlin</i>	8
1917	<i>Przyszła organizacja straży ogniowych w Odrodzonej Polsce</i>	2
	<i>I Ogólnokrajowy Zjazd Straży Ogniowych Królestwa Polskiego</i>	1
	<i>Garść wrażeń z zagranicy</i>	4, 9/10, 18/19, 20/21
	<i>Projekt obrony pożarnej na przyłączonych przedmieściach m.st. Warszawy</i>	5/6, 7/8, 9/10
	<i>Konie w Warszawskiej Straży Ogniowej</i>	18/19, 20/21
	<i>Statek pożarowy na Wiśle</i>	16/17
	<i>O działalności przeciwpożarowej Centralnego Towarzystwa Rolniczego słów parę</i>	13, 14/15
1918	<i>Badanie zaworów sikawki ręcznej</i>	1/2, 3/4
	<i>Projekt reorganizacji Straży Ogniowej m.st. Warszawy</i>	1/2, 3/4, 5/6, 9/12
	<i>W sprawie interpelacji dot. kar dyscyplinarnych w Straży Ogniowej m.st. Warszawy</i>	9/12
	<i>Przykazania dla prądownika</i>	15/16
	<i>Kolej normalna dla naszych wozów</i>	17/18
	<i>Garść wrażeń z zagranicy</i>	17/18, 19/20
	<i>Hydrofor — zaopatrywanie w wodę sikawek</i>	19/20
1919	<i>Pożary teatrów</i>	1/2, 3/4
	<i>Pogotowie wodne</i>	5/6
	<i>Zorganizowanie ochrony przeciwpożarowej w Polsce Odrodzonej</i>	7/8
	<i>Szkola Techniczno-Pożarnicza</i>	11/12, 13/14
	<i>Ulepszona drabina Szczerbowskiiego</i>	15/16
	<i>Narzędzia ogniowe do burzenia</i>	19/20
1920	<i>Narzędzia ogniowe do burzenia</i>	1/2, 6/9, 10/14, 23/24
	<i>Wielki pożar w Lublinie</i>	3/5
1921	<i>Narzędzia ogniowe do burzenia</i>	1/2, 7/8
	<i>Najnowsze sikawki samochodowe</i>	11/12
	<i>W sprawie ćwiczeń z drabiną ustawioną na linkach</i>	13/14
	<i>Ujednastajnianie w całej Polsce węży tłocznych i ich połączeń</i>	15/16
	<i>Ocena krytyczna niektórych ćwiczeń strażackich</i>	21/24
1922	<i>Zwrot ku archaizmowi</i>	1
	<i>Najnowsze sikawki samochodowe</i>	2, 3, 4, 5, 6, 7, 8
	<i>W sprawie handlu narzędziami strażackimi</i>	2

	<i>Instrukcja szczegółowa ćwiczeń z sikawką</i>	2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9
	<i>Luźne uwagi w sprawie technicznej</i>	9
	<i>Pożar jako zjawisko fizyczne</i>	10, 11, 12, 14, 15, 16, 17, 18, 19/20, 21/22
	<i>Budowanie ogniotrwałe</i>	11
	<i>Materiały ogniotrwałe i ich przygotowanie</i>	12, 13, 14, 15, 16, 17, 21/22, 23/24
1923	<i>Sposoby budowania się i rozplanowania zagrody</i>	1, 2, 3
	<i>Swojski wygląd budowli</i>	4
	<i>Pożar jako zjawisko fizyczne</i>	1, 4
	<i>Laboratorium hydrotechniczne</i>	1
	<i>Instrukcja szczegółowa do ćwiczeń z drabiną zestawianą polską (Szczerbowski)</i>	5/6, 8, 11/12, 15, 16, 17
	<i>Niedomagania sikawki ręcznej dwucylindrowej</i>	3
	<i>W odpowiedzi na krytykę sikawki „Triumf”</i>	5/6
	<i>Pożytek z budowli ogniotrwałych</i>	7
	<i>Tworzywo używane do betonu</i>	9, 10, 11/12, 13/14, 15
	<i>Stosunek składowych części w betonie</i>	16/17
	<i>Przygotowanie masy betonowej</i>	18
	<i>Ubijanie betonowej masy</i>	19
	<i>Uodpornienie betonu na wpływy atmosferyczne</i>	20
1924	<i>Gaśnice ręczne</i>	1, 2, 3, 4, 5, 7, 9, 10, 13, 18
	<i>Tłumnica</i>	8
	<i>Uwagi fachowe o linkach i pasach</i>	9
	<i>Z objazdów i lustracji</i>	19, 20, 21, 22
1925	<i>Zatrzaśnik</i>	1
	<i>Tabor straty wiejskiej</i>	2, 3, 4, 6, 9
	<i>Odpowiedz na krytykę szkoły pożarniczo-budowlanej</i>	10
	<i>Wycieczka zagranicę</i>	13, 14, 15, 16
1926	<i>Gaszenie pożarów w zarodku</i>	34, 35, 36
	<i>Wycieczka zagranicę</i>	34, 35, 37
1927	<i>Samozapalanie się ciał</i>	2
	<i>Tarcze ochronne</i>	4
	<i>Nieodpowiedni dobór narzędzi w strażach</i>	9
	<i>Wpływ pogody na przebieg pożaru</i>	10
	<i>Instalacje mechaniczne i odlewnie jako ośrodek powstawania pożaru</i>	6

	<i>Zachowanie ostrożności przy obchodzeniu się z ogniem</i>	11/12, 13
	<i>Przestrzeganie ostrożności przy oświetlaniu</i>	14, 15
	<i>Postępy w pożarnictwie w dobie obecnej</i>	28, 29
	<i>Rozwiązanie zadania Nr 2 z praktyki pożarniczej</i>	37
	<i>Bezpieczeństwo przeciwpożarowe instalacji elektrycznych</i>	17
	<i>Wobec klęski powodzi</i>	39, 40
	<i>Międzynarodowe Zawody Strażackie w Turynie</i>	47
	<i>Węzły ratownicze</i>	44
	<i>Zasady strategii pożarnej</i>	51/52
1928	<i>Obrona przeciwpożarowa warsztatów i magazynów kolejowych</i>	1
	<i>Akcja ratunkowa przy pożarze parowozowni w Bydgoszczy</i>	1
	<i>Zawody strażackie w Turynie</i>	2/3
	<i>Ważne zagadnienia doby obecnej</i>	4, 14/15, 23/24
	<i>Wobec pożarów pałaców</i>	4
	<i>Przyczynki do historii pożarnictwa w Polsce</i>	10
	<i>Linie węzowe ssawne</i>	10, 11
	<i>Czynności dowodzącego akcją</i>	12, 13
	<i>Piana jako nowoczesny środek gaśniczy</i>	14/15, 16
	<i>W odpowiedzi na powtórny replikę w sprawie zawodów w Turynie</i>	19
	<i>Praca i dozór na tyłach stanowisk straży pożarnej</i>	21
	<i>Gaszenie pożarów w piwnicach</i>	23/24, 25
	<i>Pożary kościołów i wież kościelnych</i>	23/24
	<i>Pożary dachowe</i>	33/34
	<i>Ogólny rzut oka na wystawę przeciwpożarową w Turynie</i>	35/36
1929	<i>Sikawki motorowe w pawilonie Głównego Związku Straży na P.W.K.</i>	24
1930	<i>Niedomagania naszej motoryzacji</i>	1
	<i>Krytyczny rzut oka na zagadnienia automobilizacji i motoryzacji</i>	6
	<i>Krótkie wskazania taktyczne</i>	18, 21
	<i>Zjazd i zawody jednostkowe w Wilnie</i>	40/41
	<i>Jak prowadzić ćwiczenia z urządzeniami do burzenia</i>	38, 39, 40/41
1931	<i>W sprawie normalizacji węży</i>	4
	<i>Krytyczne uwagi o organizacji najmniejszej komórki bojowej straży pożarnych</i>	5
	<i>Czy nie za szybko (motoryzacja)</i>	5
	<i>Taśmowanie węży</i>	6/7
1932	<i>Samochód pogotowia, jako najmniejsza jednostka bojowa</i>	1

	<i>W sprawie wozu pogotowia konnego</i>	2
	<i>Beczkowozy</i>	4, 5
	<i>Pożar olejarni w Wilnie</i>	6
	<i>Władanie prądownicą</i>	8, 9
1933	<i>Zabezpieczanie drabiny mechanicznej od przewrócenia się pod wpływem wiatru</i>	2
1936	<i>Zabezpieczenie prądowników i toporników na dachach</i>	9
	<i>Przyrząd do gaszenia dwutlenkiem węgla ciał sypkich i strzępiastych</i>	12
1938	<i>Przeciwpozarowe zabezpieczenie cukrowni w Polsce</i>	2, 3, 4
	„STRAŻACTWO ZAWODOWE” (1927)	
1929	<i>Ważne zagadnienie doby obecnej</i>	5
1930	<i>Trzy najpraktyczniejsze przyrządy ratunkowe</i>	1, 2, 3, 4, 5, 6, 7
	<i>Pożar w warsztatach kolejowych powozowni w Rybniku na Śląsku</i>	1
	<i>W odpowiedzi Komendantowi Waligórze</i>	3
	<i>Pożyteczne i ciekawe pomysły</i>	4
	<i>Krytyczne uwagi o pewnym artykule</i>	4, 5
	<i>Pouczające studium</i>	5
	<i>Sygnalizacja tonowa</i>	5, 6, 7, 8, 9
	<i>Instrukcja do ćwiczeń z drabiną mechaniczną zdejmowaną z samochodu</i>	8
	<i>Jeszcze parę słów o warsztatach w zawodowych strażach pożarnych</i>	8
	<i>Potrzeba matką wynalazków</i>	9
	<i>Linie węzowe i ich rozgałęzienia</i>	10, 11, 12
	<i>Współpraca</i>	11
	<i>Pożary wieżowe</i>	12
	<i>Ś.p. Prezes Henryk Barylski</i>	3
1931	<i>Studnie do próbowania sprawności ssawnej sikawek</i>	1
	<i>Zbadanie stopnia zależności oporów tarcia od średnicy węży</i>	1
	<i>Ćwiczenia z prądami wody</i>	2
	<i>Główne zasady hydrauliki</i>	3, 4, 5, 6
	<i>Parę słów odpowiedzi Komendantowi Świdierskiemu</i>	4
	<i>Łączniki szczepiane, ich rozwój, zalety i wady</i>	5
	<i>Czynności straty podczas pożaru na tyłach stanowisk</i>	6
	„LUBELSKA GAZETA STRAŻACKA” (1931)	
1932	<i>Wspomnienia</i>	10

Literatura

- 1-szy Ogólnopolski Zjazd Straży Ogniwych Królestwa Polskiego, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 1.
- 30-lecie istnienia Ochotniczej Straży Pożarnej Zakładów Przemysłowych Ordynacji Zamoyskiej w Zwierzyńcu nad Wieprzem woj. lubelskiego, Warszawa 1936.
- Babel I., przeł. Jerzy Pomianowski, *Dziennik 1920*, Warszawa 2000.
- Bartyś J., *Kółka rolnicze w Królestwie Polskim*, Warszawa 1974.
- Bezpieczeństwo pożarowe w województwie warszawskim*, Warszawa 1929.
- Biały H., *Rola i działalność Centralnego Towarzystwa Rolniczego w procesach modernizacyjnych wsi Królestwa Polskiego w latach 1907–1914*, „Zeszyty Wiejskie” 2020, nr 26.
- Biedroń-Kalinowski A., *Organizacja zabezpieczenia przeciwpożarowego (referat insp. Związku Str. woj. Krakowskiego, D-ha A. Biedroń-Kalinowskiego)*, „Przegląd Pożarniczy” 1930, nr 9–10.
- Bieżące zagadnienia obrony pożarowej na kolejach (wywiad „Przeglądu Pożarniczego” w Ministerstwie Komunikacji)*, „Przegląd Pożarniczy” 1928, nr 1.
- Boguszewski J., *Pierwsze związki strażackie*, „Przegląd Pożarniczy” 1948, nr 1.
- Boss E., *Dzieje Warszawskiej Straży Ogniowej w latach 1836–1936*, Warszawa 1937.
- Brzozowski T., *Uwagi krytyczne w sprawie szkoły pożarniczo-budowlanej*, „Przegląd Pożarniczy” 1925, nr 3 i nr 4.
- Chomicz B., *Pożary a samorząd*, Warszawa 1907.
- Chomicz B., *Budynki ogniotrwałe a tanie: poradnik dla gospodarzy wiejskich*, Warszawa 1908.
- Chomicz B., *Praca społeczną*, „Przegląd Pożarniczy” 2012, nr 1.
- Chomicz B., *Ubezpieczenie od ognia a budownictwo kraju*, „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 1.
- Chomicz B., *Palność i stan ubezpieczeń od ognia miasta Warszawy*, „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 1.
- Chomicz B., *Braki pożarnictwa krajowego*, „Przegląd Pożarniczy” 1913, nr 3.
- Chomicz B., *Pożarnictwo krajowe – jego rozwój i zadania przyszłe (odczyt wygłoszony na Zjeździe w Łowiczu)*, „Przegląd Pożarniczy” 1913, nr 9 i nr 10.
- Chomicz B., *Akcja przeciwpożarowa: odczyt wygłoszony na zebraniu ogólnym w Stowarzyszeniu Techników w Warszawie dn. 27-go marca 1914 r.*, „Przegląd Pożarniczy” 1914, nr 5 i nr 6.
- Chomicz B., *W jedności siła*, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 1–2.
- Chomicz B., *Nasze zadania, referat wygłoszony w czasie Pierwszego Ogólnopolskiego Zjazdu Straży Ogniwych Królestwa Polskiego w dniu 8 września 1916 r.*, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 1.
- Chomicz B., *Zadania pożarnictwa (Palność kraju. Sposoby jej zwalczania. Co uczyniono u nas i gdzieindziej?)*, „Przegląd Pożarniczy” 1918, nr 17–19.
- Chomicz B., *Program higieny pożarowej i jego realizacja*, w: „Przegląd Pożarniczy” 1918, nr 21–22.
- Chomicz B., *Walka z klęską ogniową. Gospodarcze i społeczne zadania instytucji Ubezpieczeń Wzajemnych budowli od ognia w Królestwie Polskim*, Warszawa 1918.
- Chomicz B., *Do straży ogniowych ochotniczych (wezwanie do zgłaszania się do biur werbunkowych)*, „Przegląd Pożarniczy” nr 1920, nr 10–14.

- Chomicz B., *Idea samopomocy społecznej na gruncie straży ogniowych*, „Przegląd Pożarniczy” 1921, nr 7–8.
- Chomicz B., *Patronat Spółdzielni Budowlanych*, „Przegląd Pożarniczy” 1921, nr 7–8 i nr 11–12.
- Chomicz B., *Jednością silni*, w: *Jednodniówka „Gore”*, wydana na pamiątkę Zjazdu Ochotniczych Straży Ogniowych w Warszawie, wrzesień 1921 r.
- Chomicz B., *Po zjeździe*, „Przegląd Pożarniczy” 1921, nr 15–18.
- Chomicz B., *Spółczeństwo strażakowi – okólnik*, „Przegląd Pożarniczy” 1923, nr 16–17.
- Chomicz B., *Podstawy naszej korporacji*, w: „Przegląd Pożarniczy” 1924, nr 4.
- Chomicz B., *Strażak – ochotnik a społeczeństwo*, „Przegląd Pożarniczy” 1925, nr 1.
- Chomicz B., *Przez półwiecze – ku tężyznie narodu. Nadzwyczajny ogólnopolski zjazd delegatów straży we Lwowie w dacie złotych godów Małopolskiego Związku Straży Pożarnych*, „Przegląd Pożarniczy” 1925, nr 12.
- Chomicz B., *X-ciolecie Korporacji, Związek Florjański*, Warszawa 1926.
- Chomicz B., *Nasza Ideologia, Związek Florjański*, Warszawa 1926.
- Chomicz B., *Spójnia międzynarodowa*, „Przegląd Pożarniczy” 1926, nr 7.
- Chomicz B., *Garść wspomnień i przeżyć osobistych Polaka z Białorusi, mgr Bolesława Chomicza na placówkach 55-letniej służby publicznej w byłej Kongresówce i Polsce Odrodzonej*, cz. 1 i 2 odpowiednio w: *Zeszyty Historyczne Związku Ochotniczych Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej* t. V, Warszawa 2005, s. 235–281 oraz t. VI, Warszawa 2007, s. 183–236.
- Chomicz B., *Garść wspomnień...*, materiał niepublikowany, zbiory Muzeum Ubezpieczeń w Krakowie.
- Chuchla A., *Małopolskie ochotnicze straże pożarne wobec wojny polsko-bolszewickiej 1920 r.*, „Przegląd pożarniczy” 2020, nr 8.
- Dmowski R., *Mysli nowoczesnego Polaka*, w: *Cyfrowa Biblioteka Myśli Narodowej*, s. 17 [dostęp: wrzesień 2023].
- Dzięciolowski S., *Centralne Towarzystwo Rolnicze w Królestwie Polski i jego program w latach 1906–1908*, „Przegląd Historyczny” 1969, nr 60/1.
- Dziesięcioro przykazań prawego strażaka, „Strażak” 1920, nr 2.
- Effenberger G., *Walka z ogniem*, „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 3.
- Ehrenberg G., *Gdy naród do boju, pieśń z 1835 r.*
- Falecki D., *Rocznikowe skarby*, „Przegląd Pożarniczy” 2016, nr 4.
- Falecki D., *Śląsk i Pomorze: nieustanna walka*, „Przegląd Pożarniczy” 2018, nr 11.
- Falecki D., *Zarys sytuacji polskiego pożarnictwa na Śląsku Górnym i Dolnym do 1924 r.*, w: *Strażacka Niepodległa (1918–1921)*, P. Rochala i in. (red.), Warszawa 2018.
- Falecki D., *Polskie pożarnictwo na Śląsku Cieszyńskim do 1921 roku*, w: *Strażacka Niepodległa (1918–1921)*, P. Rochala i in. (red.), Warszawa 2018.
- Falecki D., *Wkład strażaków z Pomorza w odzyskanie niepodległości*, w: *Strażacka Niepodległa (1918–1921)*, P. Rochala i in. (red.), Warszawa 2018.
- Falecki D., *Przykłady sztandarów strażackich uszytych przed 1918 r. (obecnie w zbiorach muzealnych)*,

w: *Strażacka Niepodległa (1918–1921)*, P. Rochala i in. (red.), Warszawa 2018.

Falecki D., *Druhowie do broni! Strażacka Niepodległa 1920*, „Przegląd Pożarniczy” 2020, nr 11.

Fic M., *Rok 1920 z perspektywy Górnego Śląska*, „Przegląd Pożarniczy” 2020, nr 8.

Gajos J. (wykonanie), *Kronika ochotniczej straży pożarnej* (skecz), 1982.

Garlicki A., *Józef Piłsudski: 1867–1935*, Warszawa 1988.

Garnarczyk W., *O przebudowę psychiki obywatela*, „Przegląd Pożarniczy” 1948, nr 3.

Gąsiorczyk P.K., *Zabór austriacki: możliwość rozwoju*, „Przegląd Pożarniczy” 2018, nr 11.

Gąsiorczyk P.K., *Pod zaborem austriackim*, w: *Strażacka Niepodległa (1918–1921)*, P. Rochala i in. (red.), Warszawa 2018.

Gąsiorczyk P.K., *Appendix: Materiały z „Przeglądu Pożarniczego” z listopada 1928 r., przygotowane w związku z 10. rocznicą odzyskania przez Polskę niepodległości, wstęp, komentarz i opracowanie*, w: *Strażacka Niepodległa (1918–1921)*, P. Rochala i in. (red.), Warszawa 2018.

Gąsiorczyk P.K., *Losy niektórych strażaków, uczestników wojny polsko-bolszewickiej*, „Przegląd Pożarniczy” 2020, nr 8.

Gmitruk J., *Powstanie Związku Ochotniczych Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej – doniosłe znaczenie*, w: *Z myślą o Niepodległej*, Warszawa 2008.

Gorczyca W., *Stanisław Haykowski (1902–1943). Ułan i malarz batalista*, Bielsko-Biała 2018.

Gorczyca W., *Stanisław Haykowski (1902–1943). Żołnierz Armii Krajowej*.

Grabski W., *Historia Towarzystwa Rolniczego: 1858–1861 r.*, w: *Historia rozwoju rolnictwa i sprawy włościańskiej w pierwszej połowie XIX wieku*, t. 1, Warszawa, Kraków 1904.

Grochowski W., *Zwycięstwo + Tryumf + Alleluja!!!*, „Przegląd Pożarniczy” 1947, nr 1.

Gruber H., *Wspomnienia i uwagi*, Londyn 1970.

Gutkowski J., *Strażacy w Bitwie Warszawskiej 1920 r.*, „Przegląd Pożarniczy” nr 8.

Gwałt popełniony przez Niemców w Bielsku, „Przewodnik Pożarniczy” 1902, nr 12.

Hac P., *Czarny scenariusz. Udział żołnierzy Wojska Polskiego w starciach na ulicach Krakowa w listopadzie 1923 r.*, „Militaria” 2016, nr 2(71).

Hoser J., *Ubezpieczenia od ognia w Stanach Zjednoczonych Ameryki*, „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 4.

Jabłonowski W., *Józef Tuliszkowski. Pionier polskiego pożarnictwa*, Warszawa 1995.

Jabłonowski W., *O Józefie Tuliszkowskim – inaczej*, „Przegląd Pożarniczy” 1995, nr 7.

Jabłonowski W., *Warszawska Straż Ogniowa 1836-1939*, Warszawa 2001.

Jagmiński K., *O walce z ogniem, referat p. (wedł. Gaz. Radomskiej)*, „Strażak” 1902, nr 8.

Janakiewicz-Oleksy D., *Straże pożarne – zaplecze wojny polsko-bolszewickiej*, „Przegląd Pożarniczy” 2020, nr 8.

Janicki K., *Pańszczyzna. Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa*, Poznań 2021.

Jakubczak A., *Pogrom domów publicznych w Warszawie*, Warszawa 2022.

Janowski J., *Do P.T. Czytelników*, „Strażactwo Zawodowe” 1931, nr 7.

Jednodniówka Gore, wydana na pamiątkę Zjazdu Ochotniczych Straży Ogniowych w Warszawie, wrzesień 1921.

- Jednodniówka Społeczeństwo – Strażakowi*, sierpień 1924.
- Jesajtis J., *Palność w Rosji*, „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 5.
- Jędrejek G., *Regulacje prawne dotyczące Ordynacji Zamoyskiej*, „Roczniki nauk prawnych” 2012, XXII, nr 3.
- K-ski, *Niebezpieczeństwo ogniowe młynów*, „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 4.
- K-ski, *Wpływ ubezpieczeń od ognia na zwiększenie palności*, „Przegląd Pożarniczy” 1914, nr 1.
- Kolebski J., *O sygnalizacji pożarowej elektrycznej*, „Przegląd Pożarniczy” 1914, nr 3.
- Koler H., *Wielkopolska: opór w obronie polskości*, „Przegląd Pożarniczy” 2018, nr 11.
- Koler H., *Strażacy wielkopolscy w obliczu wojny polsko-bolszewickiej*, „Przegląd Pożarniczy” 2020, nr 8.
- Kołodziejczyk A., *Zarys polskiego pożarnictwa*, „Zeszyty Historyczne ZOSP RP” 1996, z. 1.
- Komenda Warsz. Str. Ogniowej, *Zarys historii Straży Ogniowej m. st. Warszawy w ostatnim 15-leciu (1915–1930r.)*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 11, 12.
- Koniuch A., *Ratujcie moje ekspedientki*, „Przegląd Pożarniczy” 2017, nr 3.
- Konopnicka M., *Zgorzałemu Miastu*, „Przegląd Pożarniczy” 1924, 3-ci numer zjazdowy, 17 sierpnia 1924 r.
- Korespondencja z Olkusa, „Strażak” 1904, nr 8.
- Korespondencja z Łodzi, „Strażak” 1904, nr 8.
- Korespondencja z Sosnowca, „Strażak” 1904, nr 8.
- Kosewski Kazimierz, *Obrona przeciwpożarowa na P.K.P.*, „Przegląd Pożarniczy” 1938.
- Kościelski J.T., *Pieśń na dzisiaj!*, Poznań 1905.
- Krasicka Z., *Wychowanie fizyczne i przysposobienie wojskowe w strażach pożarnych w okresie II Rzeczypospolitej (1918–1939)*, „Zeszyty historyczne ZOSP RP” 2003, nr IV.
- Laszczkowski M., *Welecja. Dzieje korporacji*, Warszawa 2012.
- Łoziński W., *Zakłęty dwór; zabór austriacki 1859*.
- Łuczyński J., *Ostatnie rozporządzenia przeciwpożarowe*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 1.
- Łukaszewicz C., *Piorunochrony*, „Przegląd Pożarniczy” 1918 nr 17, 18.
- Maj E., *„Zapluty karzeł”, czyli fragment dziejów stosunków między Narodową Demokracją a Józefem Piłsudskim w latach 1918–1921*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska. Sectio K, Politologia” 1997, nr 4.
- Marcinkowska E., *Bolesław Chomicz (1878–1959). Wystawa w Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego*, „Zeszyty Historyczne ZOSP RP” 2005, t. V.
- Matusak P., *80 lat Związku Ochotniczych Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej*, „Zeszyty historyczne ZOSP RP” 2003, t. III.
- Matusak P., *Bolesław Chomicz i strażacy w odbudowie Odrodzonej Polski*, w: *Z myślą o Niepodległej*, Warszawa 2008.
- Matusak P., *90 lat Związku Ochotniczych Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej*, w: *Jednodniówka Zarządu Głównego Związku OSP RP*, Warszawa 2011.
- Matusak P., *Bolesław Chomicz. W trosce o jedność i siłę ruchu strażackiego*, Warszawa 2015.

- Matusiak K., *Jak zbudować fundamenty pożarnictwa?*, „Przegląd Pożarniczy” 1923, nr 23/24.
- Matys K.G., *Jubileusz Łódzkiej Straży Ochotniczej Ogniowej 1876 15/V 1926*, Łódź 1926.
- Meyer, przeł. z j. niemieckiego Świętochowski B., *Bezpieczeństwo ogniowe w stosunku do konstrukcji budowli*, „Przegląd Pożarniczy” 1913, nr 1, 3, 6 i 9.
- Mierzanowski W., *Zarys historyczny pożarnictwa w Polsce*, w: *Bezpieczeństwo pożarowe w województwie warszawskim*, Warszawa 1929.
- Milewski J., *Konieczność ujednostajnienia przepisów przeciwpożarowych*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 4.
- Milewski J., *Drabina mechaniczna dwukołowa na samochodzie do zdejmowania*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 4.
- Milewski J., *Pożarnictwo jako czynnik gospodarczy*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 5.
- Międzynarodówka (L'Internationale)*, słowa Eugene Pottier, muz. Pierre Degeyter, powstały pod koniec XIX w. nieformalny hymn międzynarodowego ruchu socjalistycznego, przeł. na polski przez Marię Markowską, działaczkę Polskiej Partii Socjalistycznej.
- Michalczyk R.T., *Od Włocławka do Wrocławia 1900–1950*, Wrocław 1976.
- Mysiek T., *Jak Węgry pomogły Polsce wygrać wojnę z bolszewikami*, „Najwyższy Czas” 2012, 15 sierpnia.
- N., *Pożary materiałów łatwopalnych*, „Przegląd Pożarniczy” 1913, nr 12.
- Niezbalski A., *Verba veritatis*, „Lubelska Gazeta Strażacka” 1932, nr 5.
- Nowak J.T., *Szlak bojowy Legionów Polskich*, Kraków 1914.
- Nowak M.K., *Ruch strażacki w Królestwie Polskim i w Rosji w świetle pisma „Pożarnoje dzieło” z lat 1905–1906*, „Zeszyty historyczne ZOSP RP” 2007, nr VI.
- Nowy typ drabiny mechanicznej, „Przegląd Pożarniczy” 1929, nr 24.
- Obrona pożarna w Białej*, „Przewodnik Pożarniczy” 1900, nr 10.
- Od redakcji*, „Strażak” 1902, nr 1.
- Oettingen U., *Ochotnicza straż pożarna w Kielcach 1919–1939*, Kielce 2012.
- Oettingen U., *Rok 1920. Polityka i walka*, „Przegląd Pożarniczy” 2020, nr 8.
- Oettingen U., *Od wydawnictwa i redakcji*, „Przegląd Pożarniczy” 1928, nr 1.
- Olejnik T., *100 lat Wieluńskiej Ochotniczej Straży Pożarnej 1877–1977*, Wieluń 1977.
- Olejnik T., *Funkcja kulturalno-oświatowa Ochotniczych Straży Ogniwych w Królestwie Polskim do 1914 r.*, „Actae Universitatis Lodziensis Folia Historica” 1981.
- Olejnik T., *Funkcja wojskowa stowarzyszeń ochotniczych straży ogniowych*, „Muzealny Rocznik Pożarniczy” 1991, t. 2.
- Olejnik T., *Podstawy prawne działalności stowarzyszeń pożarniczych w Królestwie Polskim*, „Muzealny Rocznik Pożarniczy” 1992, t. 3.
- Olejnik T., *Rozwój organizacyjny ochotniczych straży ogniowych w Królestwie Polskim*, „Muzealny Rocznik Pożarniczy” 1993, t. 4.
- Olejnik T., *Organizacja pomocy wzajemnej w towarzystwach ochotniczych straży ogniowych w Królestwie Polskim*, „Muzealny Rocznik Pożarniczy” 1994, t. 5.

- Olejnik T., *Zasłużeni działacze polskiego pożarnictwa – Bolesław Chomicz*, „Muzealny Rocznik Pożarniczy” 1994, t. 5.
- Olejnik T., *Przepisy karne o zapobieganiu pożarom w Królestwie Polskim*, „Muzealny Rocznik Pożarniczy” 1994, t. 5.
- Olejnik T., *Towarzystwa straży pożarnych w Królestwie Polskim*, Warszawa 1996.
- Olejnik T., Bolesław Chomicz – Twórca jedności ruchu ochotniczego, w: *Jednodniówka ZG ZOPS RP*, Warszawa 2008.
- Olejnik T., *Powstanie i warunki działania Towarzystw Ochotniczych Straży Ogniwych na Ziemiach Polskich w okresie zaborów*, w: *Z myślą o Niepodległej*, Warszawa 2008.
- Olejnik T., *Zabór rosyjski: od strażaków do żołnierzy*, „Przegląd Pożarniczy” 2018, nr 11.
- Olejnik T., *Etos patriotyczny roku 1920*, „Przegląd pożarniczy” 2020, nr 8.
- O nas, „Strażak” 1912, nr 11–12/1912, s. 5, za: „Przewodnik Pożarniczy” 1912, nr 11.
- Pastuszka S.J., *Amatorski ruch artystyczny Ochotniczych Straży Pożarnych w latach II Rzeczypospolitej*, „Zeszyty historyczne ZOSP RP” 1996, t. I.
- Pągowski S., *Wojskowe straże pożarne (wywiad z Józefem Tuliszkowskim)*, „Przegląd Pożarniczy” 1923, nr 3.
- Pągowski S., *Założyciel i I-szy redaktor „Przeglądu Pożarniczego”*, „Przegląd Pożarniczy” 1925, wyd. jubileuszowe.
- Pągowski S., *Siewca ideologii strażackiej*, „Przegląd Pożarniczy” 1926, nr 6.
- Pągowski S., *Wielce niepokojące przejawy*, „Gazeta Strażacka” 1931, nr 13.
- Pągowski S., *Wobec dążeń w akcji budowlanej*, „Gazeta Strażacka” 1931, nr 14.
- Pągowski S., *Dlaczego brak nam funduszków?*, „Gazeta Strażacka” 1932, nr 15.
- Pągowski S., *Józef Tuliszkowski. Pionier polskiego pożarnictwa i piśmiennictwa pożarniczego*, „Przegląd Pożarniczy” 1981 r., nr 11.
- Pełka J., *Ubezpieczenia publiczne od ognia w II Rzeczypospolitej*, „Zeszyty historyczne ZOSP RP” 2007, nr VI.
- Pilawski W., *Księga pamięci funkcjonariuszy pożarnictwa i strażaków ochotników 1939–1945*, Warszawa 1986.
- Pilawski W., *Inż. Józef Tuliszkowski 1867–1839*, Warszawa 1989.
- Pilawski W., *Zjednoczenie polskich związków strażackich w latach 1920–1921 oraz organizacja i osiągnięcia władz centralnych Związku Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej do 1939 r.*, „Muzealny Rocznik Pożarniczy” 1990, t. 1.
- Pilawski W., *Komendy straży pożarnych w latach 1950–1974*, w: *Komendy Straży Pożarnych 1950–1995*, Warszawa 1995.
- Pilawski W., *Dzieje profesjonalizmu*, „Przegląd Pożarniczy” 1995, nr 9.
- Pilawski W., *Chronologia powstawania ochotniczych straży pożarnych na ziemiach polskich w latach 1845–1890: OSP ponadstulecie*, Warszawa 1998.
- Pilawski W., *Pięćdziesięciolecie państwowych organów ochrony przeciwpożarowej 1950–2000*, „Muzealny Rocznik Pożarniczy” 2000, t. 9.

Pilawski W., *Ochrona przeciwpożarowa Czarnkowa i Powiatu Czarnkowsko-Trzcianeckiego*, Czarnków 2006.

Pisarek M., *Motoryzacja straży pożarnych w Polsce w okresie międzywojennym (1918–1939)*, „Muzealny Rocznik Pożarniczy” 1997, t. 8.

Popiel P., *Prezysi Zarządu Głównego Związku Ochotniczych Straży Pożarnych RP 1921–1996*, „Zeszyty historyczne ZOSP RP” 1996, t. I.

Popiel P., Stanisław Pągowski. *Strażak i publicysta, redaktor „Przeglądu Pożarniczego”*, „Zeszyty historyczne ZOSP RP” 2003, t. III.

Porządek dzienny zjazdu delegatów Straży Ogniwych Ochotniczych we Włocławku w dn. 18 i 19 sierpnia rb., „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 1.

Pottier E. słowa, Pierre Degeyter muz., Markowska Maria przekł., *Międzynarodówka (L'Internationale)*, nieformalny hymn międzynarodowego ruchu socjalistycznego, koniec XIX w.

Pożarnictwo kolejowe na P.W.K., „Przegląd Pożarniczy” 1929, nr 24.

Prace nad organizacją bezpieczeństwa pożarowego w warsztatach i magazynach (Wywiad „Przeglądu Pożarniczego” z P. Inż. J. Tuliszkowskim), „Przegląd Pożarniczy” 1928, nr 1.

Projekt organizacji organów wykonawczych i organów bezpieczeństwa publicznego w Królestwie Polskim opracowany przez Tymczasową Radę Stanu Królestwa Polskiego, Centralne Archiwum Wojskowe, bez sygn.

Protokół Zgromadzenia Walnego Związku Florianńskiego, odbytego w Warszawie w dniu 17 czerwca 1917, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 13.

Protokół ze zjazdu we Włocławku, „Strażak” 1911, nr 4.

Próby ogniowe z uodpornionymi dachami słomianymi, „Strażak” 1911, nr 1.

Prus B., *Grzechy dzieciństwa*, Warszawa 1883.

Przebieg strajku w Straży Ogniowej m. st. Warszawy, „Kurier Warszawski” 1918, 16–17 stycznia.

Przed II-im ogólnopanstwowym zjazdem, „Przegląd Pożarniczy” 1924, nr 11–12.

Przerwanie pożyczek na akcję przeciwpożarową, „Przegląd Pożarniczy” 1929, nr 39.

„Przewodnik Kółek i Spółek Rolniczych w Królestwie Polskim” 1911, nr 18.

„Przewodnik Kółek i Spółek Rolniczych w Królestwie Polskim” 1913, nr 17.

Radwan M., *Obrona przeciwpożarowa w wojsku*, „Przegląd Pożarniczy” 1938, nr 11.

Reymont Wł. St., *Ziemia Obiecana*, wyd. MEA, Warszawa 2000.

Rochala P., *Powietrzni podpalacze - pożary wywołane z powietrza, poprzez działania lotnictwa: cz. I (I wojna światowa)*, „Przegląd Pożarniczy” 2007, nr 9.

Rochala P., *Powietrzni podpalacze - pożary wywołane z powietrza, poprzez działania lotnictwa: cz. II (Guernica 1937 r. - naloty dywanowe na Warszawę 1939 r.)*, „Przegląd Pożarniczy” 2007, nr 10.

Rochala P., *Powietrzni podpalacze - pożary wywołane z powietrza, poprzez działania lotnictwa: cz. III (bitwa o Anglię 1940 r.)*, „Przegląd Pożarniczy” 2007, nr 11.

Rochala P., *Powietrzni podpalacze - pożary wywołane z powietrza, poprzez działania lotnictwa: z dziejów historii: cz. IV (naloty na Hamburg 1943 r.)*, „Przegląd Pożarniczy” 2007, nr 12.

Rochala P., *Powietrzni podpalacze - pożary wywołane z powietrza, poprzez działania lotnictwa: cz. V (II wojna światowa w Japonii)*, „Przegląd Pożarniczy” 2008, nr 1.

Rochala P., *Człowiek z brązu (o Bolesławie Chomiczu)*, „Przegląd Pożarniczy” 2012, wydanie jubileuszowe.

Rochala P., *Człowiek z żelaza (o Józefie Tuliszkowskim)*, „Przegląd Pożarniczy” 2012, wydanie jubileuszowe.

Rochala P., *O fiasku pewnej idei – Bolesław Chomicz i jego wizja systemu polskiej ochrony przeciwpożarowej: dlaczego nie udało się rozwinąć prewencji opartej na systemie ubezpieczeń?*, „Przegląd Pożarniczy” 2014, nr 5.

Rochala P., *Krótkie dzieje przepisów przeciwpożarowych (cz. 2) – metody zapobiegania pożarom stosowane na ziemiach polskich w epoce brązu, wczesne i późne średniowiecze, początki porządków ogniowych*, „Przegląd Pożarniczy” 2014, nr 11.

Rochala P., *Krótkie dzieje przepisów przeciwpożarowych (cz. 3) – w 1374 r. Kraków, jako pierwsze miasto w kraju uchwalił własne porządki ogniowe, których era w całym kraju rozpoczęła się dopiero w XVI w. i trwała do połowy XIX w., kiedy to władze centralne zaczęły je zastępować dekretemi i ustawami*, „Przegląd Pożarniczy” 2014, nr 12.

Rochala P., *Krótkie dzieje przepisów przeciwpożarowych (cz. 4) – ochrona przeciwpożarowa w I Rzeczypospolitej i w okresie zaborów*, „Przegląd Pożarniczy” 2015, nr 1.

Rochala P., *Krótkie dzieje przepisów przeciwpożarowych (cz. 5) – wiek XIX: nowe uregulowania budowlane, nowe wynalazki gaśnicze*, „Przegląd Pożarniczy” 2015, nr 3.

Rochala P., *Krótkie dzieje przepisów przeciwpożarowych (cz. 6) – ochrona przeciwpożarowa w Królestwie Kongresowym, pierwsze numery „Przeglądu Pożarniczego” i idea szkoły pożarniczo-budowlanej*, „Przegląd Pożarniczy” 2015, nr 4.

Rochala P., *Krótkie dzieje przepisów przeciwpożarowych (cz. 7) – międzywojnie i pierwsze przepisy przeciwpożarowe obowiązujące dla całego kraju: ubezpieczenie od ognia i prawo budowlane*, „Przegląd Pożarniczy” 2015, nr 5.

Rochala P., *Krótkie dzieje przepisów przeciwpożarowych (cz. 8) – cd. historii międzywojnia: klęska koncepcji ubezpieczeń od ognia i ustawa o ochronie przed pożarami i innymi klęskami*, „Przegląd Pożarniczy” 2015, nr 6.

Rochala P., *Krótkie dzieje przepisów przeciwpożarowych (cz. 9) – system nakazowo-rozdzielczy i centralizacja po II wojnie światowej*, „Przegląd Pożarniczy” 2015, nr 8.

Rochala P., *Krótkie dzieje przepisów przeciwpożarowych (cz. 10) – system zapobiegania pożarom, czyli przepisy budowlane w latach 50. i 60.*, „Przegląd Pożarniczy” 2016, nr 1.

Rochala P., *Krótkie dzieje przepisów przeciwpożarowych (cz. 11) – nowe przepisy i zmiany organizacyjne w ochronie przeciwpożarowej: lata 60. i 70. XX wieku*, „Przegląd Pożarniczy” 2016, nr 6.

Rochala P., *Naprzeciw pogłoskom – dyskusja nad kształceniem kadry dowódczej zawodowej straży pożarnej w 20-leciu międzywojennym: między prewencją i taktyką*, „Przegląd Pożarniczy” 2016, nr 10.

Rochala P., *Zanim przyszła Niepodległa*, „Przegląd Pożarniczy” 2018, nr 11.

Rochala P., *Sytuacja geopolityczna ziem polskich w latach 1914–1918, w: Strażacka Niepodległa (1918–1921): udział strażaków w walkach o odzyskanie niepodległości Polski*, Warszawa 2018.

- Rochala P., *Bolesław Chomicz i jego czasy. Biografia strażacka*, Warszawa 2019.
- Rochala P., *Józef Tuliszkowski (1867–1939)*, „Przegląd Pożarniczy” 2020, nr 8.
- Rogowski B., *Jaki powinien być mur ogniowy*, „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 4.
- Rudnicki S., *Z żałobnej karty. Inż. Józef Tuliszkowski*, „Przegląd Pożarniczy” 1939, nr 2.
- Sienkiewicz H., *Janko muzykant, nowela*, „Kuryer Warszawski” 1879, nr 159 z 18 lipca.
- Sienkiewicz H., *Rodzina Połanieckich*, Warszawa 1894.
- Sikorska-Kowalska M., *Wybory do Dumy w cieniu rewolucji 1905–1907 roku w świetle łódzkiej gazety „Rozwój”*, w: *Polityka i politycy XX i XXI wieku*, M. Dajnowicz, A. Miodowski (red.), Wydawnictwo HUMANICA Instytut Studiów Kobiety, Białystok 2016, s. 117-127.
- Słomka J., *Jan Słomka b. wójt w Dzikowie – Pamiątki włościanina od pańszczyzny do dni dzisiejszych*, wyd. II, Kraków 1929.
- Służba pożarnicza na drodze żelaznej Warszawsko Wiedeńskiej*, „Strażak” 1902, nr 4.
- Smoleń M., *Od reaktywacji do likwidacji 1946–1949*, „Strażak” 2017, nr 3.
- Smoleń M., *Strażacy ochotnicy z Milanówka w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r.*, „Przegląd Pożarniczy” 2020, nr 8.
- Sprawozdanie z Walnego Zebrania*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 6.
- Sprawozdanie z czynności władz związku za okres trzyletni*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 4.
- Stoiński J.S., *Walka z pożarami i pierwsze instytucje zabezpieczeniowe w dawnej Polsce*, „Przegląd Pożarniczy” 1913, nr 4 i nr 5.
- Szaflik J.R., *Dzieje ruchu strażackiego do 1918 r.*, „Zeszyty historyczne ZOSP RP” 1996, t. I.
- Szaflik J.R., *Dzieje Ochotniczych Straży Pożarnych*, Warszawa 2001.
- Szaflik J.R., *Dzieje Ochotniczych Straży Pożarnych w Polsce*, Warszawa 2005.
- Szczerbowski A., *O chemii w pożarnictwie*, Lwów 1896.
- Szczerbowski A., *Znaki do planów sytuacyjnych z rysunkami*, Lwów 1897.
- Szczerbowski A., *Obrona Pożarna w gminach wiejskich*, Lwów 1898.
- Szczerbowski A., *Podręcznik dla instruktorów straży pożarnych*, Lwów 1898.
- Szczerbowski A., *Sygnały Dwutonowe*, Lwów 1899.
- Szczerbowski A., *Dodatek do podręcznika dla Ochotniczych Straży*, Lwów 1899.
- Szczerbowski A., *Krajowy Związek OSP w Galicyi i Lodomeryi z Wielkim Księstwem Krakowskim*, Lwów 1900.
- Szczerbowski A., *Szkoła Pożarnictwa, Podręcznik dla instruktorów straży pożarnych*, Lwów 1900.
- Szczerbowski A., *Regulamin ćwiczeń z sikawkami*, Lwów 1901.
- Szczerbowski A., *Ostrożnie z ogniem! Przestrogi i rady dla dzieci i starszych*, Lwów 1901.
- Szczerbowski A., *Pogotowia Pożarnicze podczas publicznych widowisk*, Lwów 1902.
- Szczerbowski A., *Strażackie ćwiczenia gimnastyczne*, Lwów 1903.
- Szczerbowski A., *Przyrządy do samoratownia*, Lwów 1904.
- Szczerbowski A., *Służba prądnika*, Lwów 1904.
- Szczerbowski A., *Sekretarz Strażacki. Zbiór wzorów ksiąg*, Lwów 1904.

- Szczerbowski A., *Regulamin ćwiczeń z drabinami*, Lwów 1905.
- Szczerbowski A., *Regulamin służbowy*, Lwów 1905.
- Szczerbowski A., *Katechizm strażaka*, Lwów 1905.
- Szczerbowski A., *Regulamin nowy ćwiczeń rządowych*, Lwów 1906.
- Szczerbowski A., *Jak obliczać zapasy wody*, Lwów 1907.
- Szczerbowski A., *Ustawy budownicze o ile dotyczą bezpieczeństwa ogniowego*, Lwów 1907.
- Szczerbowski A., *Rodzaje Straży Pożarnych i wskazówki do ich zakładania*, Lwów 1907.
- Szczerbowski A., *Podręcznik dla naczelników i instruktorów straży pożarnych*, Lwów 1908.
- Szczerbowski A., *Podręcznik dla uczestników powiatowych kursów pożarnictwa*, Lwów 1908.
- Szczerbowski A., *Instrukcja dla kierowników powiatowych kursów pożarniczych*, Lwów 1910.
- Szczerbowski A., *Jak przeprowadzać lustracje straży pożarnych*, Lwów 1910.
- Szczerbowski A., *Przyrządy, przybory i ćwiczenia strażackie*, Lwów 1910.
- Szczerbowski A., *Pomocnicze straże pożarne w miastach i miasteczkach*, Lwów 1911.
- Szczerbowski A., *Typy budynków strażackich i wykazy materiałów*, Lwów 1912.
- Sztromajer J., *Obrona przeciwpożarowa*, „Strażactwo Zawodowe” 1930, nr 9.
- Świętochowski B., *Cementownie: ich bezpieczeństwo ogniowe*, „Przegląd Pożarniczy” 1914, nr 3.
- Środki utrzymania dla straży ogniowych ochotniczych, „Strażak” 1901, nr 8.
- Suszyło K., Starowiejski M., Giertych W., Tomasz z Akwinu. *Wykład pacierza*, Poznań 2005.
- Turska H., *Centralny Ośrodek Wyszczolenia Pożarniczego*, w: *Tradycje Szkoły Głównej Służby Pożarniczej*, Warszawa 1989.
- Troetzner J., *W sprawie przekłętego narzędzia*, „Strażak” 1912, nr 5.
- Trzaska F., *Polska Korporacja Akademicka Welecja 1883–1988*, Warszawa 1989.
- Tyrmand L., *Dziennik 1954*, Warszawa 1989.
- Urbanowski B., *Józef Piłsudski do Polaków: myśli, mowy i rozkazy*, Kraków 2017.
- Ulicki B., *Publikacje z historii ochrony przeciwpożarowej, tom I (lata 1981–1991)*, Warszawa 2020.
- Ulicki B., *Materiały do historii ochrony przeciwpożarowej w Volumina Legum: prawa, konstytucje y przywileje Królestwa Polskiego, Wielkiego Xięstwa Litewskiego y wszystkich prowincyi należących na walnych seymiech koronnych od seymu wiślickiego Roku Pańskiego 1347 aż do ostatniego seymu*, wyd 3., Warszawa, 2018.
- Ulicki B., *Budownictwo ognioodporne w polskiej literaturze naukowej i technicznej XVIII–XIX i początku XX stulecia*, „Kwartalnik historii nauki i techniki” 2019, tom 64, s. 93–145.
- Ulicki B., *Gaszenie pożarów dawnego Gdańska na przykładzie porządków ogniowych z XVI w.*, „Rocznik Gdański (Gdańsk)” 2020, tom 80, s. 17–42.
- Ulicki B., *Pożary dawnej Warszawy: materiały do historii ochrony przeciwpożarowej (1261–1795)*, Warszawa 2021.
- Walczak E., *Udział strażaków w walce o granice północno-zachodnią i obronę suwerenności kraju w latach 1918-1920*, w: *Z myślą o Niepodległej*, Wydawnictwo: Agencja Reklamowo-Wydawnicza, Warszawa 2008.

- Walczak E., *Podstawy prawne działalności polskich straży pożarnych od ich powstania do 1939 r.*, „Zeszyty historyczne ZOSP RP” 2009, nr VIII.
- Wawrzyński M., *Kłęska polskiego lotnictwa wojskowego we wrześniu 1939 roku*, „Technika Wojskowa Historia” 2017, nr 5.
- Węgrzyński W., *Ocena odporności ogniowej – historia i perspektywy*, „Ochrona Przeciwpożarowa” 2019, nr 2.
- Wniosek o nadanie Krzyża Walecznych Józefowi Tuliszkowskiemu, w: Centralne Archiwum Wojskowe 1921-25-I-300, 42 (72).
- Wolny P., *Historia podręcznego sprzętu gaśniczego*, „Przegląd Pożarniczy” 2022, nr 12.
- Wolny P., Tuśnio N., *Niektóre możliwości walki z pożarami na początku XX w.*, „Przegląd Pożarniczy” 2020, nr 8.
- Wstęp, „Przegląd Pożarniczy” 1928, nr 1.
- Wyszczelski L., *Polskie drogi do niepodległości w 1918 roku*, w: *Z myślą o Niepodległej*, Wydawnictwo: Agencja Reklamowo-Wydawnicza, Warszawa 2008.
- Wysznacki K., *O czym każdy strażak wiedzieć powinien*, cykl artykułów „Przegląd Pożarniczy” 1917 i 1918.
- Wysznacki K., *Palność naszych wsi i miast*, „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 16–17.
- Wysznacki K., *Kłęska pożarowa w Polsce, referat wygłoszony na II ogólnopolskim zjeździe straży pożarnych w sierpniu 1924 r.*, „Przegląd Pożarniczy” 1924, nr 16.
- Wzajemne ubezpieczenia od ognia w Królestwie Polskiem, „Strażak” 1905, nr 9.
- Zagórski J., *Podręcznik dla straży pożarnej król. wołn. miasta Przemyśla*, Przemyśl 1901.
- Zagrodzki L., *Sprawa naszego budownictwa ogniotrwałego na przełomie XVIII i XIX stulecia*, „Przegląd Pożarniczy” 1918, nr 9–12, nr 15, 16, nr 17, 18.
- Zaleski W., *Dachówka cementowa w budownictwie wiejskim*, „Przegląd Pożarniczy” 1912, nr 1.
- Zasada Z.J., *140 lat straży pożarnej we Włocławku (1874–2014)*, Włocławek 2014.
- Zbyszewski K., *Niemcewicz przodu i tyłu*, Warszawa 1939.
- Z opisu akcji gaśniczej fabryki papy w Olkusz*, „Strażak” 1909, nr 1.
- Ziemkiewicz R., *Cham niezbuntowany*, Lublin 2020.
- Żeromski S., *Szyfrowe prace*, Lwów 1898.
- Żurek J., *„Legiony to...” piosenka i Pieśń Reprezentacyjna Wojska Polskiego*, Warszawa 2017.
- Życiorys Bolesława Chomicza – zbiory rodzinne, niepublikowany.

Strony internetowe

- <https://www.rtu.lv/en/university/history> [dostęp: październik 2023].
- <https://www.pw.edu.pl/Uczelnia/O-nas/Historia> [dostęp: październik 2023].
- <https://www.sarmatia.pl/historia-polskich-korporacji-akademickich> [dostęp: październik 2023].
- <https://www.konwentpolonia.pl> [dostęp: październik 2023].
- <http://arkonia.pl/Historia> [dostęp: październik 2023].

<https://histmag.org/Henryk-Gruber-18921973-self-made-man-z-Sokala-Przyczynek-do-biografii-cz-1-7808> [dostęp: luty 2023].

<https://rewolucja1905.pl/dmowski-a-socjalizm-niepodleglosciowy/> [dostęp: wrzesień 2023].

<https://zwierzyniec.lublin.lasy.gov.pl/historia> [dostęp: sierpień 2023].

<https://roztocze.net.pl/zwierzyniec-historia> [dostęp: sierpień 2023].

<https://www.perlypolski.pl/miasta-i-wsie/historia/140-zwierzyniec/297> [dostęp: sierpień 2023].

[https://pl.wikipedia.org/wiki/Historia_Polski_\(1914–1918\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Historia_Polski_(1914–1918)) [dostęp: grudzień 2023].

<http://cmp-muzeum.pl/ekspozycja/helm-huty-ludwikow/> [dostęp: grudzień 2023].

<https://pl.wikipedia.org/wiki/Bakelit> [dostęp: grudzień 2023].

https://www.phil.muni.cz/journal/proudy/filologie/materialy/2019/2/gorczyca_stanislaw_haykowski_2.php [dostęp: grudzień 2023].

Akty prawne omówione lub przytoczone na łamach opracowania

Ustawy

Ustawa Najwyżej zatwierdzona z 10 czerwca 1900 r. o wzajemnym ubezpieczeniu budynków od ognia w guberniach Królestwa Polskiego.

Ustawa z dnia 21 czerwca 1921 r. o przymusie ubezpieczeń od ognia i Polskiej Dyrekcji Ubezpieczeń Wzajemnych (Dz.U. Nr 64, poz. 395).

Ustawa z dnia 13 marca 1934 r. o ochronie przed pożarami i innymi klęskami (Dz.U. Nr 41, poz. 365).

Ustawa z dnia 13 marca 1934 r. o oddaleniu budowli, składów, zadrzewienia i robót ziemnych od linii kolejowych oraz o pasach ochronnych przeciwpożarowych i zasłonach odśnieżnych (Dz.U. Nr 28, poz. 220).

Ustawa z dnia 15 marca 1934 r. o obronie przeciwlotniczej i przeciwgazowej (Dz.U. Nr 80, poz. 742).

Ustawa z dnia 7 kwietnia 1938 r. o ochronie imienia Józefa Piłsudskiego, pierwszego marszałka Polski (Dz.U. Nr 25, poz. 219).

Rozporządzenia i dekrety

Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 10 października 1924 r. o reorganizacji Polskiej Dyrekcji Ubezpieczeń Wzajemnych (Dz.U. Nr 92, poz. 862).

Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 27 maja 1927 r. o przymusie ubezpieczenia o ognia i o Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych (Dz.U. Nr 92, poz. 862).

Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 22 kwietnia 1927 r. o zakazie używania białego i żółtego fosforu przy wyrobie przedmiotów zapalnych (Dz.U. Nr 43, poz. 380 i 381).

Rozporządzenie Ministrów Przemysłu i Handlu, Pracy i Opieki Społecznej oraz Spraw Wewnętrznych z dnia 13 kwietnia 1928 r. wydane w porozumieniu z Ministrem Robót Publicznych o przechowywaniu i magazynowaniu olejów mineralnych przez zakłady przemysłowe (Dz.U. Nr 53, poz. 508).

Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 16 lutego 1928 r. o prawie budowlanem i zabudowaniu osiedli (Dz.U. z 1928 r. Nr 23, poz. 202 i 203).

Rozporządzenie porządkowe Wojewody Warszawskiego z dnia 31 maja 1929 r. w sprawie zapobiegania pożarom na terenie Województwa Warszawskiego (Dz.Urz. Wojew. Warszawskiego Nr 6 z dn. 5 czerwca 1929 r., poz. 144).

Rozporządzenie Wojewody Wołyńskiego z dnia 13 listopada 1929 r. o zapobieganiu pożarom (Wołyński Dziennik Wojewódzki Nr 15, poz. 171).

Rozporządzenie Ministrów: Robót Publicznych, Spraw Wewnętrznych, Przemysłu i Handlu oraz Pracy i Opieki Społecznej z dnia 7 maja 1929 r. w sprawie przechowywania taśmy celuloidowej (filmu) (Dz.U. Nr 36, poz. 327).

Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 30 października 1930 r. (Dz.U. Nr 76, poz. 599) o oddaleniu od terytorjum kolejowego budynków i składów materiałów oraz o szerokości pasa ognioochronnego.

Rozporządzenie Ministra Komunikacji z dnia 7 września 1934 r. wydane w porozumieniu z Ministrami: Spraw Wewnętrznych oraz Rolnictwa i Reform Rolnych o urządzaniu i utrzymywaniu pasów ochronnych przeciwpożarowych i zasłon odśnieżnych (Dz.U. Nr 84, poz. 759).

Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 14 stycznia 1935 r. o statucie wzorcowym ochotniczych straży pożarnych (Dz.U. Nr 7, poz. 35).

Rozporządzenie Ministrów Spraw Wewnętrznych i Skarbu o wysokości sum na koszty akcji przeciwpożarowej (ogłaszane corocznie w latach 1935–39).

Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 29 stycznia 1937 r. o przygotowaniu w czasie pokoju obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej Państwa.

Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 29 kwietnia 1938 r. o przygotowaniu w czasie pokoju obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej w dziedzinach regulacji i zabudowania osiedli oraz budownictwa publicznego i prywatnego.

Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 31 października 1938 r. wydane w porozumieniu z Ministrami Spraw Wojskowych oraz Przemysłu i Handlu o zapobieganiu powstawania i rozszerzania się pożarów w budynkach (Dz.U. Nr 87, poz. 590).

Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 24 stycznia 1939 r. o obowiązkach osób fizycznych i prawnych oraz władz i instytucji w dziedzinie przygotowania personelu o obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej w czasie pokoju.

Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 24 marca 1939 r. o przygotowaniu w czasie pokoju obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej w dziedzinie budownictwa przemysłowego.

Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 6 kwietnia 1939 r. o obowiązkach ludności w wypadkach pożarów lub innych klęsk (Dz.U. Nr 37, poz. 242).

Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 29 lipca 1939 r. wydane w porozumieniu z Ministrem Opieki Społecznej o urządzeniach publicznych i prywatnych do zaopatrywania ludności w wodę i usuwania nieczystości oraz o specjalnych urządzeniach przeciwpożarowych (Dz.U. Nr 75, poz. 506).

Rozporządzenie o ochronie przed pożarami w Generalnym Gubernatorstwie z dnia 22 kwietnia 1941 r., „Dziennik Rozporządzeń dla Generalnego Gubernatorstwa 1941, nr 36.
Rozporządzenie Rady Ministrów z 24 października 1949 r. w sprawie rozwiązania stowarzyszenia wyższej użyteczności „Związek Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej” (Dz.U. z 1950 r. Nr 6, poz. 56).

Uchwały

Uchwała Nr 19 – 2002/2003 Senatu Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie z dnia 24 lutego 2003 r.

Zarządzenia

Zarządzenie Ministra Administracji Publicznej z dnia 30 listopada 1945 r. o ustanowieniu zarządu przymusowego Związku Straży Pożarnych, M.P. nr 24, poz. 39 z 11 marca 1946 r.

Zarządzenie Ministra Administracji Publicznej z dnia 13 lutego 1946 r. w sprawie Zarządu Przymusowego Związku Straży Pożarnych, M.P. nr 24, poz. 40 z 11 marca 1946 r.

Załącznik I

Ilustracje do cz. Dzieciństwo i czas pobierania nauk (1867–1897)



Radziwiłłów Wołyński – dworek Feliksa i Zofii Tuliszkowskich – miejsce urodzenia Józefa
Źródło: zbiory prywatne rodziny p. Haykowskich, W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski. Pionier polskiego pożarnictwa*, Warszawa 1995.



Feliks Tuliszkowski – ojciec Józefa
Źródło: jw.



Zofia Tuliszkowska z d. Kowalczyńska
– matka Józefa
Źródło: jw.



Gmach Politechniki Ryskiej pod koniec XIX w.

Źródło: <https://www.rtu.lv/lv/universitate/vesture>, [dostęp: luty 2024].



Józef Tuliszkowski w stroju przepisowym korporacji „Welecja”

Źródło: zbiory prywatne rodziny p. Haykowskich, w: W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski. Pionier polskiego pożarnictwa*, Warszawa 1995.



Jacht „Trio” oczami studentów „Polentechnicum Riga”

Źródło: rys. S. Haykowski, w: J. Tuliszkowski, *Jacht „Trio”, Garść wspomnień z życia studentów polskich w Rydze*, Warszawa 1935, s. 9.



Żeglowanie ważniejsze od studiów...

Źródło: rys. S. Haykowski, w: J. Tuliszkowski, *Jacht „Trio”...*, s. 11.



Student Józef Tuliszkowski jako strażak
Ochotniczej Straży Pożarnej w Rydze

Źródło: zbiory prywatne rodziny p. Haykowskich,
w: W. Jabłonowski, *Józef Tuliszkowski. Pionier polskiego
pożarnictwa*, Warszawa 1995.



Bo można było zadawać szyku
w towarzystwie,

Źródło: rys. S. Haykowski, w: J. Tuliszkowski,
Yacht „Trio”..., s. 17.



Tajne wykłady historyczno-patriotyczne
w „Weleccji”

Źródło: rys. S. Haykowski, w: J. Tuliszkowski,
Yacht „Trio”..., s. 33.



Zagłada jachtu „Trio”

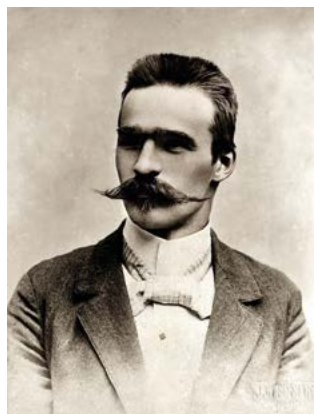
Źródło: rys. S. Haykowski, w: J. Tuliszkowski,
Yacht „Trio”..., s. 41.

Załącznik II

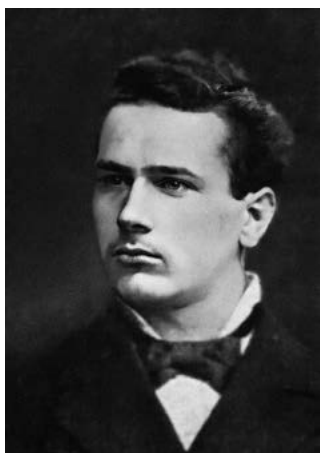
Ilustracje do cz. Inżynier (1898–1905)



Ignacy Jan Paderewski (1860–1941) w 1900 r.
Już światowej sławy muzyk, wirtuoz fortepianu,
ale jeszcze nie polityk
Źródło: domena publiczna.



Józef Piłsudski (1867–1935) w 1899 r.
Źródło: domena publiczna.



Roman Dmowski (1864–1939) w 1886 r.
Źródło: F. Fikus, *Roman Dmowski 1864–1939. Życiorys – Wspomnienia – Zbiór Fotografii*,
Poznań 1939.



Maria Piłsudska, de domo Koplewska,
primo voto Juszkiewicz (1865–1921),
„Piękna Pani” w 1885 r., pierwsza
przyczyna niezgody Piłsudskiego
i Dmowskiego
Źródło: domena publiczna.



Władysław Grabski
(1874–1938) w 1925 r.
Źródło: domena publiczna.



Ignacy Mościcki, Józef Piłsudski, Maria Piłsudska
(siedzi w środku) i nieznanzy przedstawiciele Japonii z żoną.
Berni 1904, przed wyjazdem Piłsudskiego do Japonii
Źródło: domena publiczna.



Reklama firmy „Ignis, Rzewuski i S-ka”,
miejsca pracy Józefa Tuliszkowskiego
Źródło: „Strażak” 1904, nr 12.



Żołnierze carscy strzelający do
demonstrantów w dniu 22 stycznia
1905 r., tj. w „Krwawą Niedzielę”.
Początek rewolucji 1905 r. w Imperium
Rosyjskim
Źródło: domena publiczna

Załącznik III

Ilustracje do cz. Klęska pożarowa w Królestwie Polskim, tzw. Kongresowym na początku XX w.



Ochotnicza Straż Pożarna w Radomiu w 1907 r.
Źródło: Centralne Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach.



Proza wiejskiego pożaru
Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe.



Świetnie wyposażona i umundurowana Łódzka Straż Ognkowa Ochotnicza (w istocie półzawodowa). Napis w j. rosyjskim: „Łódzka Miejska Pożarna Komenda” w dniu 24 marca 1913 r.
Źródło: Centralne Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach.



Pożary wiejskie gaszone w zwyczajnych ubraniach roboczych
Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe.



Górale i góralki obsługujący sikawkę. We wsiach Królestwa Polskiego wyglądało to podobnie
 Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe.



Ocalały komin, który bywał elementem strażackich targów z pogorzelcami
 Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe.



Ocalałe ściany zdewastowanego przez pożar budynku (część dobytku wyniesiona przed dom)
 Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe.



Skutki wiejskiego pożaru
 Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Załącznik IV

Ilustracje do cz. Ordynacja Zamojska



Strażacki zjazd w Częstochowie w 1909 r. 42-letni Józef Tuliszkowski, stojący dokładnie po środku
Źródło: Centralne Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach.

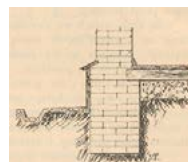


Hrabia Maurycy Zamojski, XV ordynat, pracodawca Józefa Tuliszkowskiego w latach 1906–1909. Obaj należący do Ligi narodowej Romana Dmowskiego
Źródło: domena publiczna.

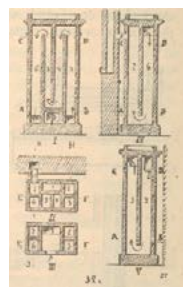


Okładka pierwszej książki Józefa Tuliszkowskiego, wykonana przez niego

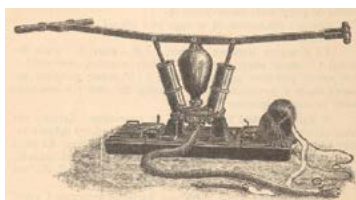
Źródło: J. Tuliszkowski, *Walka z pożarami. Dla użytku miast mniejszych, gmin, dworów, wsi i osad*, Warszawa 1909.



Fundament, czyli w polskim języku: posada.
Źródło: J. Tuliszkowski, *Walka z pożarami...*, s. 25.



Przekrój pieca
Źródło: J. Tuliszkowski, *Walka z pożarami...*, s. 44.



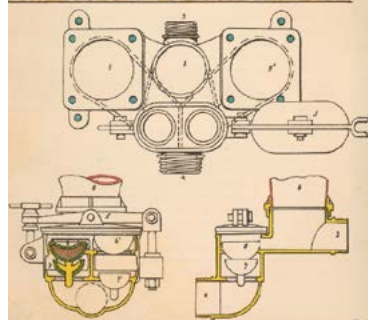
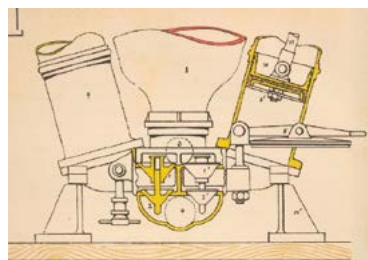
Sikawka dla obszarów wiejskich
wg projektu Tuliszkowskiego

Źródło: J. Tuliszkowski,
Walka z pożarami..., s. 80.



Prądownica
z początku XX w.

Źródło: J. Tuliszkowski,
Walka z pożarami..., s. 95.



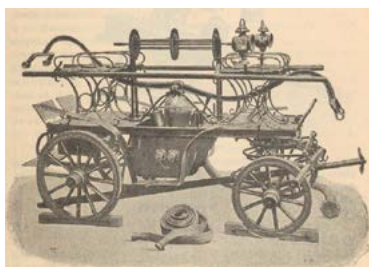
Przekrój sikawki

Źródło: J. Tuliszkowski,
Walka z pożarami..., s. 90.



Zestaw gaśniczy dla ubogich

Źródło: J. Tuliszkowski,
Walka z pożarami..., s. 98.



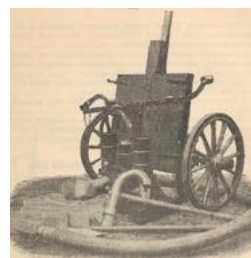
Zestaw gaśniczy dla bogatych OSP

Źródło: J. Tuliszkowski,
Walka z pożarami..., s. 101.



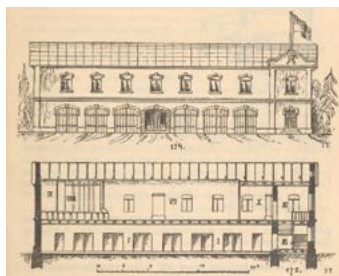
Beczka na wodę. Trakcja ludzka

Źródło: J. Tuliszkowski,
Walka z pożarami..., s. 106.



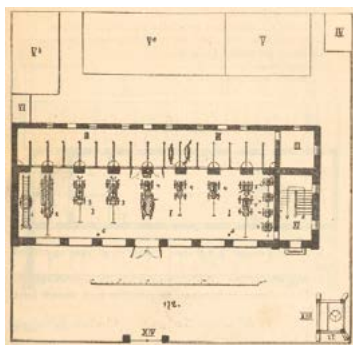
Hydrofor, czyli pompa
do napełniania beczek

Źródło: J. Tuliszkowski,
Walka z pożarami..., s. 109.



Widok idealnej strażnicy

Źródło: J. Tuliszkowski,
Walka z pożarami..., s. 195.



Schemat idealnego
rozmieszczenia sprzętu
(środków) i koni (sił)
w strażnicy

Źródło: J. Tuliszkowski,
Walka z pożarami..., s. 193.

Załącznik V

Ilustracje do cz. Warszawska Straż Ogniowa



Obraz Józefa Siermentowskiego „Widok na oddział straży pożarnej na Nalewkach”, na którym straż można poznać po dostrzegalni, przypominającej minaret

Źródło: domena publiczna.



Straż ogniowa pędząca do pożaru. Projekt do obrazu Józefa Brodowskiego młodszy

Źródło: domena publiczna.



Kapitan (a zatem dowódca oddziału) Skowroński na czele swoich ludzi, opanowujący z grzbietu wierzchowca groźny, duży pożar
Źródło: domena publiczna.



Ochrona dróg oddechowych w II połowie XIX w.
Źródło: domena publiczna.



Wór ratowniczy w II połowie XIX w.
Źródło: domena publiczna.



Ewakuacja przy pomocy linek ratowniczych i skokochronu w II połowie XIX w.
Źródło: domena publiczna.



Koszary Mirowskie, czyli Oddział IV przy ul. Chłodnej 3 na pocz. XX w.

Źródło: domena publiczna.



Dowództwo WSO, czyli głównie Rosjanie na pocz. XX w.

Źródło: domena publiczna.



Dowództwo Straży Ogniowej m. st. Warszawy w połowie 1916 r.
z Komendantem plk inż. Józefem Tuliszkowskim

Źródło: archiwum Rodziny Rychterów.



Pomieszczenie w jednych z koszar WSO o funkcjach zależnych od pory dnia i rozkładu zajęć:
jadalnia, sala gimnastyczna, sala wykładowa, izba mieszkalna, kaplica i sypialnia oraz miejsce
ustawicznego pełnienia służby, przez siedem dni w tygodniu, 24 godziny na dobę, przez wszystkie
lata kontraktu

Źródło: archiwum Rodziny Rychterów.



Ćwiczenia i wygłupy z drabinami
Źródło: archiwum Rodziny Rychterów.

Zjeżdżający po linie Witold Rychter, komendant
Harcerskiej Drużyny Strażackiej w Warszawie, w 1919 r.
Źródło: archiwum Rodziny Rychterów.



Ćwiczenia z drabiną mechaniczną
Źródło: archiwum Rodziny Rychterów.

Strażak-sygnalista z chorągwią i trąbką
Źródło: archiwum Rodziny Rychterów.



Sily i środki Oddziału V WSO. Od lewej: pogotowie (wóz rekwizytowy), dwa wozy z różnej wielkości sikawkami i osprzętem, dwa wozy z beczkami. Stan sił i środków taki, jak w latach 1915–1918

Źródło: archiwum Rodziny Rychterów.



Strażacy biegnący alarmowo z koszar do garażu, co Tuliszkowski opisał jako patologię alarmową

Źródło: archiwum Rodziny Rychterów.



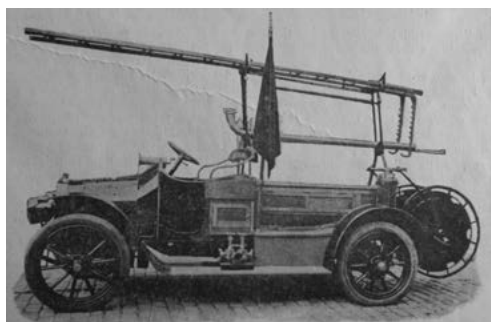
Ćwiczebny wyjazd alarmowy z sikawką parową Oddziału II WSO

Źródło: archiwum Rodziny Rychterów.



Kara dzwonu – codzienny środek dyscyplinujący warszawskich strażaków

Źródło: archiwum Rodziny Rychterów.



Samochód marki Dürkopp przerobiony jeszcze w 1915 r. na autopogotowie

Źródło: „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 9–12, s. 71.



Wóz marki Hansa-Lloyd zakupiony w Niemczech

Źródło: „Przegląd Pożarniczy” 1917, nr 5–6, s. 89.



Część uczestników strażackiego zjazdu w dniach 8–10 września 1916. Tuliszkowski w mundurze Komendanta WSO po środku, w trzecim rzędzie od dołu

Źródło: Centralne Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach.



Uczestnicy wiosennego kursu pożarniczego prowadzonego w 1917 r. w ramach Związku Floriańskiego, w dolnym rzędzie po środku Józef Tuliszkowski oraz prezes Bolesław Chomicz

Źródło: Centralne Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach.

Załącznik VI

Ilustracje do cz. W wojsku



„Krajowy Zjazd Delegatów okręgowych Małopolskich Straży pożarnych” z 1919 r.
W drugim rzędzie siedzących, trzeci od lewej Józef Tuliszkowski w mundurze komendanta WSO
Źródło: „Przewodnik Pożarniczy” 1919 r., 4 (listopad–grudzień), s. 1.



Naczelnik Państwa Józef Piłsudski mówiący delegacji Głównego Związku Straży Pożarnych RP,
że straż pożarna jest „siostrzycą armii” (8 września 1921 r.)
Źródło: archiwum Rodziny Rychterów.



Strażackie manewry z dnia 8 września 1921 r. w Parku Sobieskiego pod ogólnym dowództwem Józefa Tuliszkowskiego

Źródło: archiwum Rodziny Rychterów.

Rok VIII. Warszawa, dn. 1 lutego 1922 r. № 2.

PRZEGŁĄD POŻARNICZY

Składnica Strażacka

Spółdzielnia Członków Zw. Florjańskiego
WARSZAWA, UL. SENATORSKA 29 (Galerja Luksenburga).
TELEFON 277-42.

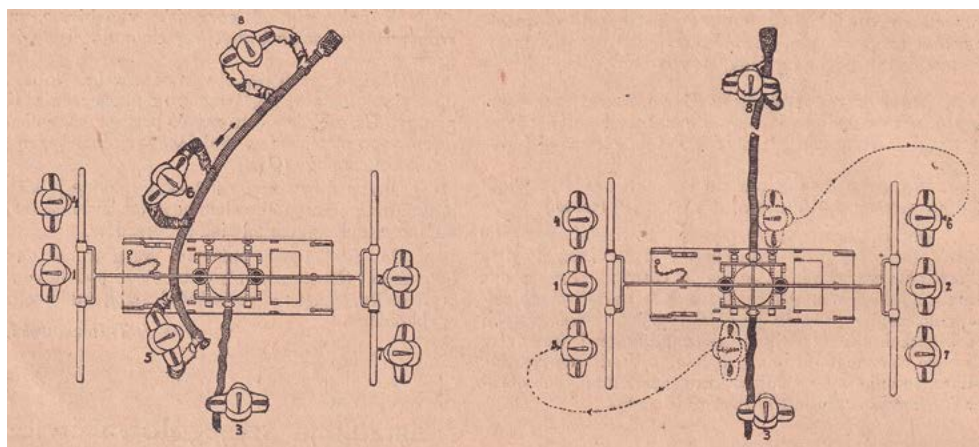
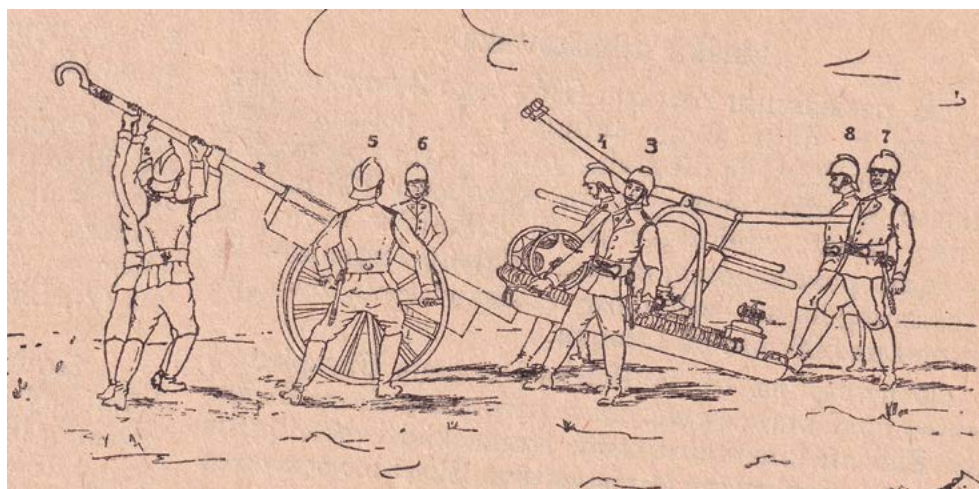
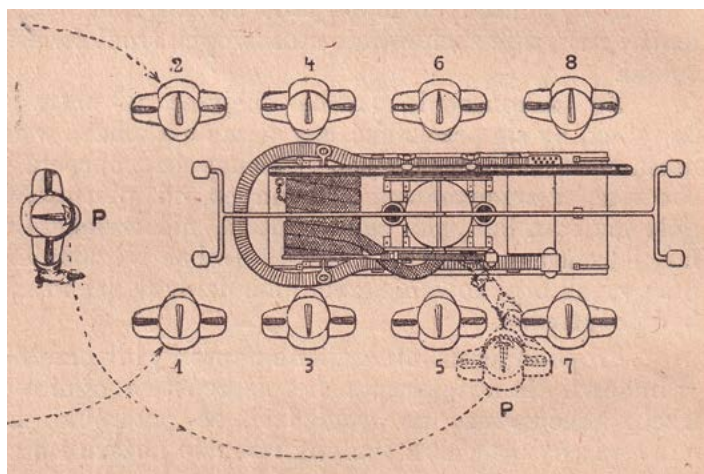
POLICA STRAŻOW OGNIOWYCH:
 SIKAWKI 4" zdejmowane z miedzianym powietrznikiem, wypróbowane przez
 Komisję Techniczną Związku Florjańskiego.
 BECZKI, WĘŻE TŁOCZĄCE i SSĄCE różnej średnicy,
 POŁĄCZNIKI śrubowe do węży, kaski, topory, linki, naramienniki, guziki, ozdoby
 strażackie i t. p.

Materiały włókniste na bluzy i umundurowania
 po cenach pozakonkurencyjnych.

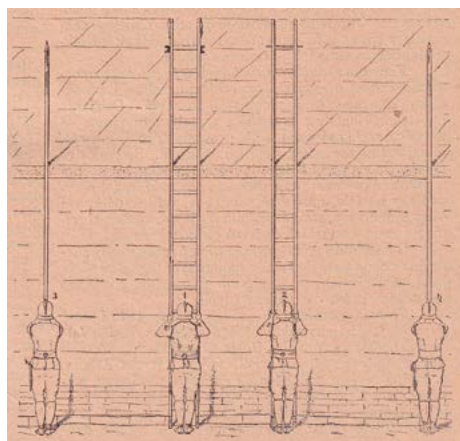
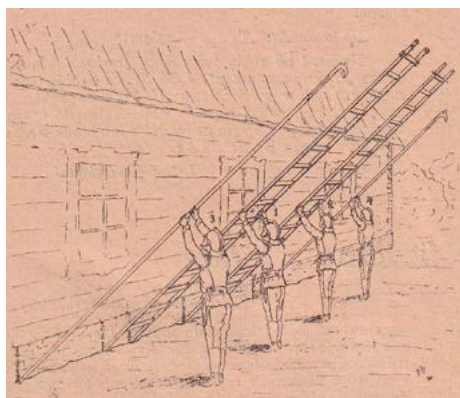
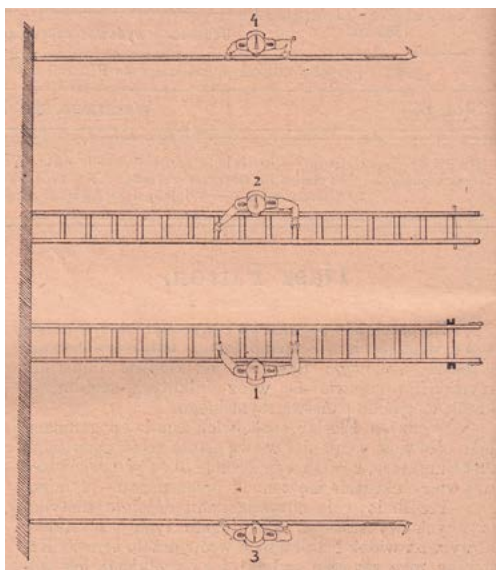
ZNAKI ZWIĄZKU FLORJAŃSKIEGO.
 Z zamówieniami należy się zwracać do Zarządu Składnicy Strażackiej (Warszawa, ul. Senatorska 29).

Związek Florjański jako związek
 interesów wokół ochrony
 przeciwpożarowej

Źródło: „Przegląd Pożarniczy” 1922, nr 2.



Ilustracje do „Instrukcji szczegółowej ćwiczeń z sikawką” autorstwa Tuliszkowskiego
 Źródło: „Przegląd Pożarniczy” 1922, nr 3, s. 44–47.



Ilustracje do „Instrukcji sprawiania
drabiny Szczerbowskiego”
autorstwa Tuliszkowskiego
Źródło: „Przegląd Pożarniczy” 1923, nr 8, s. 120, 121.

Wyszła z druku
nakładem *Przeglądu Pożarniczego* praca płdra inż. J. Tuliszkowskiego

p.l. „Budowanie ogniotrwałe”

Ilustrowana 25 rysunkami.

Broszura ta stanowi zbiór drukowanych w *Przeglądzie Pożarniczym* artykułów:
Materiały ogniotrwałe i ich przygotowywanie,
Sposoby budowania się i rozplanowanie zagrody,
Swojaki wygląd budowli,
Pożytek z budowli ogniotrwałych.

P.P. Wójeł, sekretarz gmin i członkowie rad gminnych winni zapoznać się z popularną, a wyszczególniającą treścią broszury, najdotkliwiezom bowiem niedomaganiem wsi polskiej jest zły stan budownictwa.

Zamówienia przyjmuje Administracja *Przeglądu Pożarniczego*
(Warszawa, Al. Jerozolimskie 41).

Cena 1 złp. Egzemplarze zamówione mogą być wysyłane za zaliczeniem.

FABRYKA WYROBÓW ŻELAZNYCH I SIKAWEK
BRACI MENCEL
w WARSZAWIE, CZERWONEGO KRZYŻA N 3, TEL. 13-53.

WYBORA I PRÓBA NA SKAZANIE



SIKAWKI
najnowszy typ
stabilizacji z obrotowym sterowaniem
zawiesz. Korpusy i cylindry z brzozy, przekształcają wodę, a wielką wydajność i wysoki strumień na 25 metrów.

NARZĘDZIA OGNIOWE
koparki, łopaty, kłoboczniki, łopaty i t.p.

WYROBY MASOWEJ FABRYKACJI JAKO TO „ŁAŃCUCHY GALLA”
NARZĘDZIA I PRZYBORY DO TELEGRAFU
WYROBY Z KUTEGO ŻELAZA I ORNAMENTACJE

Reklama książki Tuliszkowskiego z 1923 r.,
„Budowanie ogniotrwałe”.
Poniżej niej reklama m.in. sikawek
Źródło: „Przegląd Pożarniczy” 1923, nr 13, 14, s. 178.



Józef Tuliszkowski w mundurze podpułkownika Głównego Związku Straży Pożarnych, w pełnej gali orderowej, z oznakami stopnia oficerskiego w postaci łuskowych naramienników i ich poddachowych przewiązek

Źródło: „Przegląd Pożarniczy” 1923, nr 1, s. 13.



Skład wycieczki z ZGZSP RP do Wiednia.

Pplk. J. Tuliszkowski: pierwszy od lewej

Źródło: „Przegląd Pożarniczy” 1923, nr 1, s. 13.



Drugi zjazd inspektorów wojewódzkich i instruktorów powiatowych pożarniczych w Warszawie w dniach 26–29 marca 1924 r.

Źródło: Centralne Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach.



Rada Naczelna Głównego Związku Straży Pożarnych RP w 1925 r. Kolejno od lewej: jako trzeci inż. Józef Tuliszkowski, jako piąty Bolesław Chomicz prezes GZSP RP, jako szósty Władysław Raczkiewicz Minister Spraw Wewnętrznych

Źródło: Centralne Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach.



OSP z 1925 r., ubrana zgodnie z nowym, polskim regulaminem

Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe.

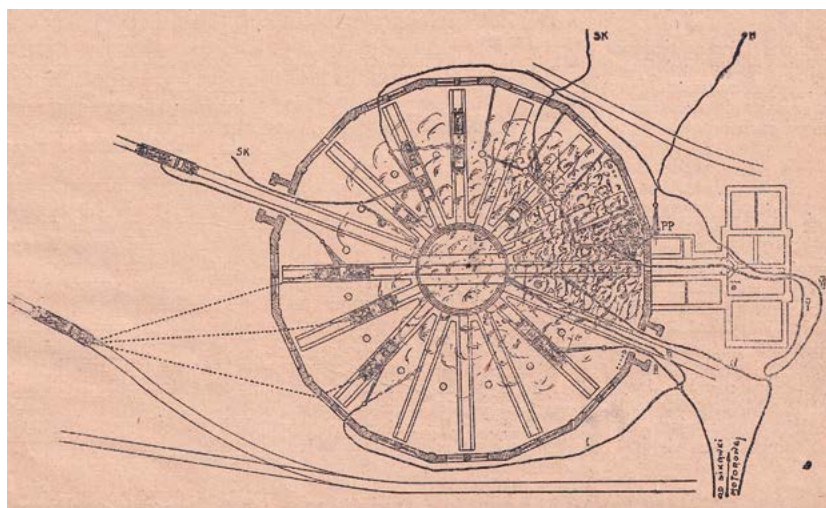
Załącznik VII

Ilustracje do cz. Na kolei



Delegacja Rady Naczelnej ZGSP RP u Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego w 1928 r.

Źródło: Centralne Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach.



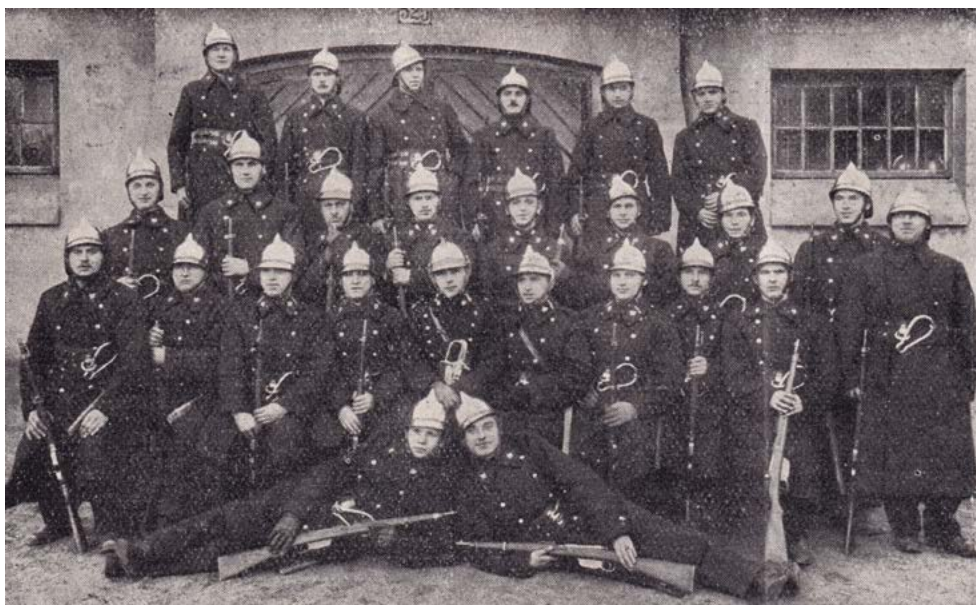
Walka z pożarem parowozowni w Bydgoszczy – parowozy służące za sikawki parowe

Źródło: „Przegląd Pożarniczy” 1928, nr 1, s. 25.



Straże pożarne, które miały być armią rezerwową. „Dzielna Drużyna OSP Szkoły Rolniczej w Siedlcach, która na okręgowych zawodach zdobyła w marszu drużynowym pierwsze miejsce, przebywając 10 km. W czasie 1 godz. 3 min. 22 sek.” Drużyna ta trzyma w rękach karabiny systemu Mausera, tj. uzbrojenie jednostek liniowych Wojska Polskiego

Źródło: „Przegląd Pożarniczy” 1930, nr 6, s. 144.



Kolejowa Straż Pożarna stacji Wilno po odbytych ćwiczeniach z przysposobienia wojskowego, uzbrojona w karabinki systemu Manlichera wz. 1895 – broń drugoliniową

Źródło: „Przegląd Pożarniczy” 1930, nr 6, s. 145.



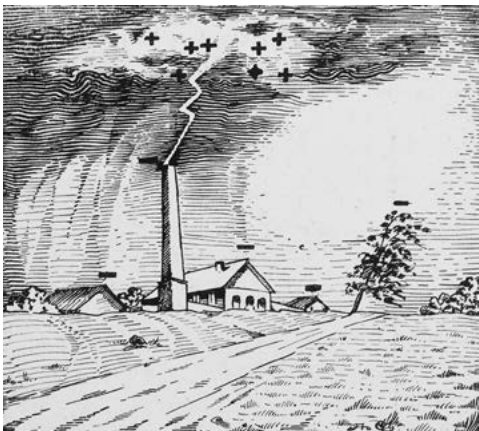
Strażacy z OSP w Radzynie podczas marszu na trasie Sulejówek–Belweder w dniu 19 marca 1932 r., tj. imienin Józefa Piłsudskiego, uzbrojeni w bezużyteczne karabiny francuskie na amunicję jeszcze czarnoprochową (!) systemu Gras lub Gras-Kropatchek 1884

Źródło: Centralne Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach.



Oficerowie Korpusu Technicznego Pożarnictwa, w tym Józef Tuliszkowski, na naradzie w dniach 17–19 lutego 1930 r., gdzie postulowano utworzenie policji ogniowej na bazie inspektorów i instruktorów pożarnictwa

Źródło: „Przegląd Pożarniczy” 1930, nr 9–10.



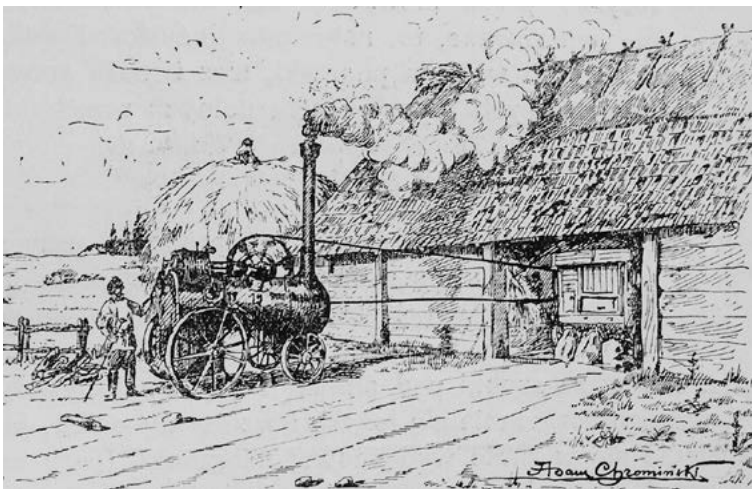
Schemat zagrożenia piorunowego

Źródło: rys. St. Haykowski, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja, środki zapobiegawcze*, Warszawa 1927, s. 28.



Zagrożenie od luczywa

Źródło: rys. A. Chromiński, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 30.



Młocka przy pomocy lokomobili

Źródło: rys. A. Chromiński, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 85.



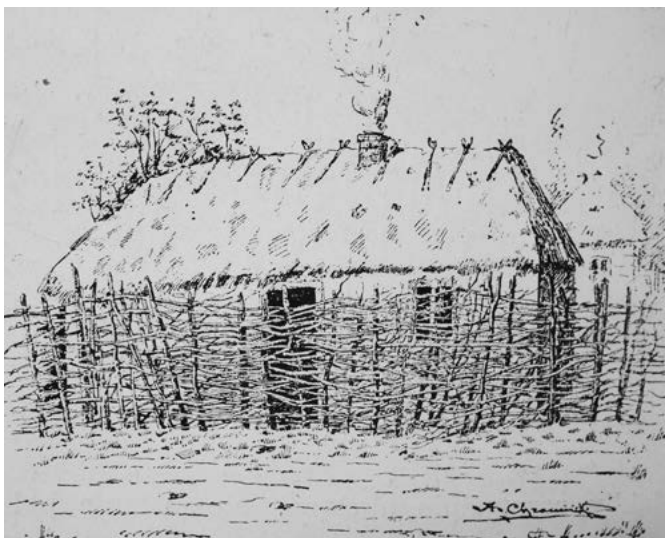
Rzeczywistość wiejska lat dwudziestych, w której nawet budynek straży kryty jest strzechą

Źródło: rys. A. Chromiński, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 94.



Absolutna
nieodporność
na ogień lotne

Źródło: rys.
A. Chromiński,
w: J. Tuliszkowski,
*Pożary, przyczyny,
klasyfikacja...*, s. 95.



Kunsztownie
przedstawiony płot
chruściany, jako
znakomita pożywka
dla ognia.

Źródło: rys.
A. Chromiński,
w: J. Tuliszkowski,
*Pożary, przyczyny,
klasyfikacja...*, s. 95.



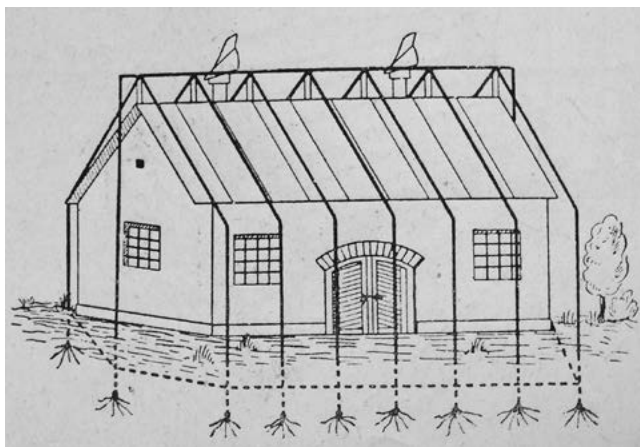
Ciasnota zabudowy
zagrodowej, palne
konstrukcje,
pokrycie strzechami
oraz sterty pośród
tej zabudowy

Źródło: rys.
A. Chromiński,
w: J. Tuliszkowski,
*Pożary, przyczyny,
klasyfikacja...*, s. 95.



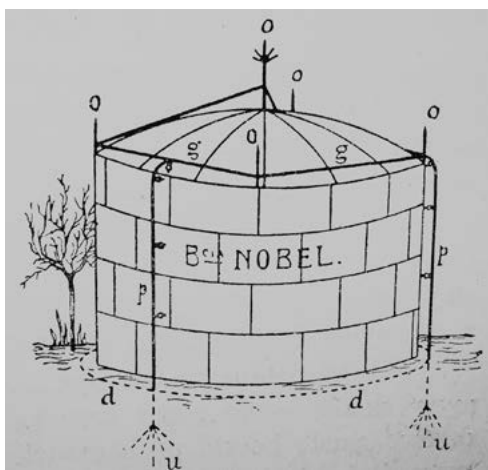
Schemat rozwoju pożaru na przykładzie budynku wolnostojącego, strzałki pokazują obieg powietrza

Źródło: rys. A. Chromiński, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 103.



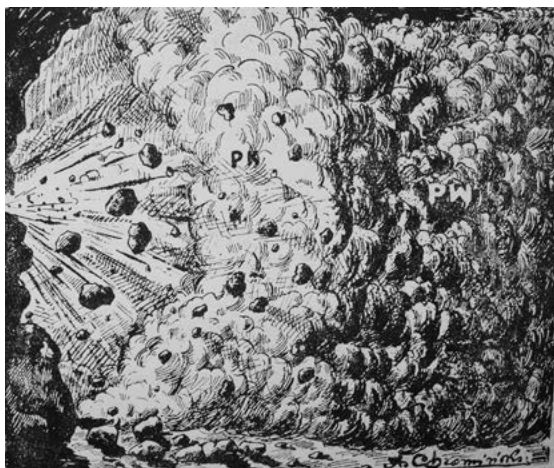
Ochrona odgromowa obiektów specjalnych – magazyn materiałów wybuchowych

Źródło: rys. J. Tuliszkowski, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 146.



Ochrona odgromowa obiektów specjalnych – zbiornik na ciecz palną

Źródło: rys. J. Tuliszkowski, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 147.



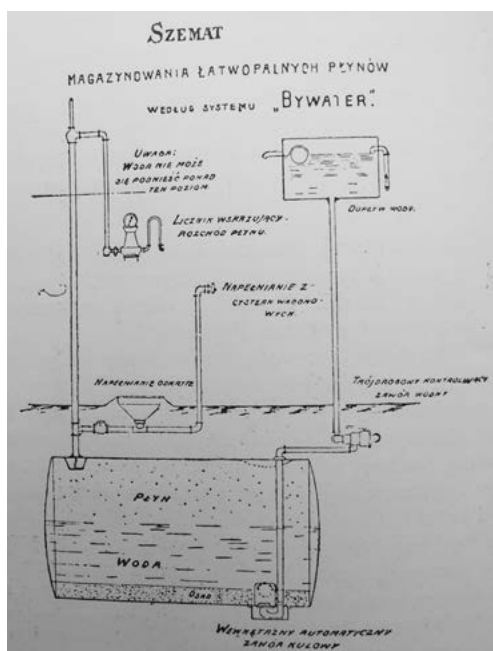
Zapobieganie wybuchowi pyłu węglowego przez rozerwanie wybuchem strzałowym torebek z pyłem krzemowym

Źródło: rys. A. Chromiński, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 167.



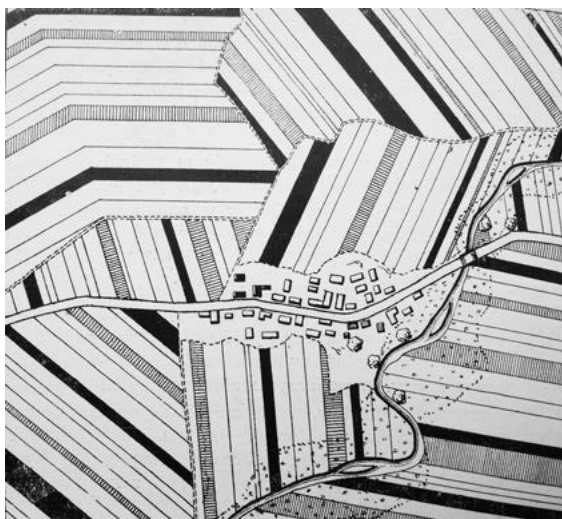
Czynna walka z podpalaczem, czemu służą, zgodnie z radami Tuliszkowskiego, silny i młody wartownik pilnowany zegarem obchodowym, wyposażony w „psy z rasy wilczurów” i „rewolwer dobrze bijący”

Źródło: rys. A. Chromiński, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 203.



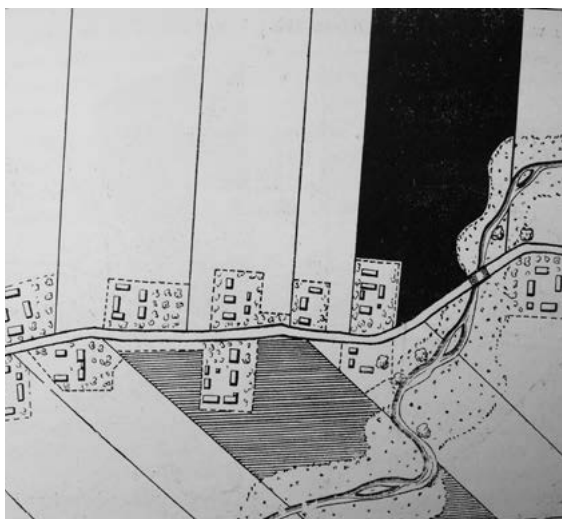
Magazyn łatwopalnych płynów z ich dystrybutorem (na uwagę zasługuje wielofunkcyjność wody w przedstawionym układzie)

Źródło: rys. J. Tuliszkowski, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 242.



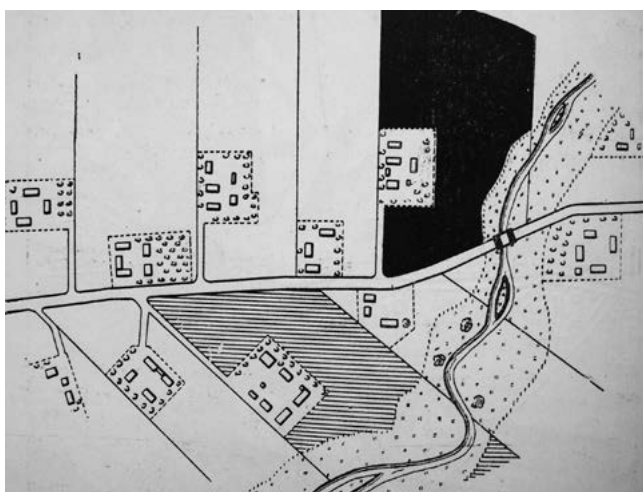
Wieś przed komasacją gruntów.
W razie pożaru spłonie cała zabudowa

Źródło: rys. J. Tuliszkowski,
w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny,
klasyfikacja...*, s. 268.



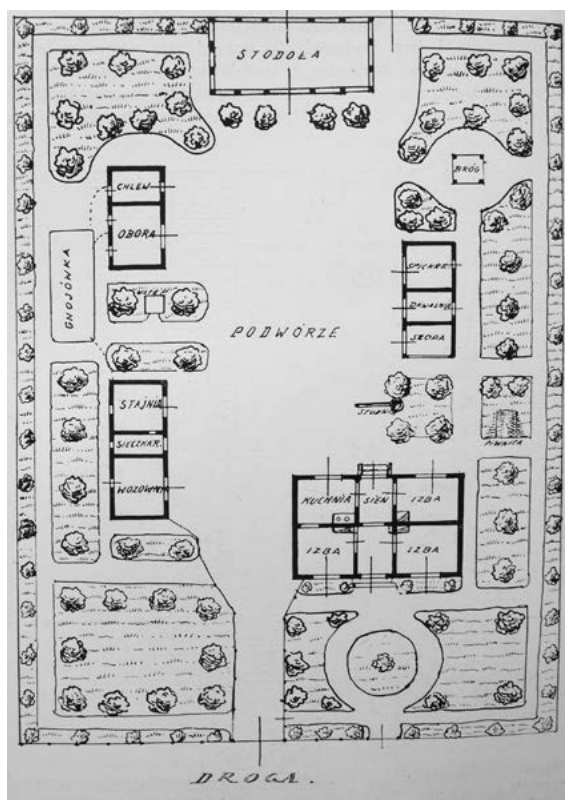
Ten sam obszar po komasacji,
losowaniu ziemi i przeniesieniu
zagród. Siedliska oddaliły się
od siebie, więc pożar zniszczy
tylko jedną zagrodę

Źródło: rys. J. Tuliszkowski,
w: J. Tuliszkowski, *Pożary,
przyczyny, klasyfikacja...*, s. 269.



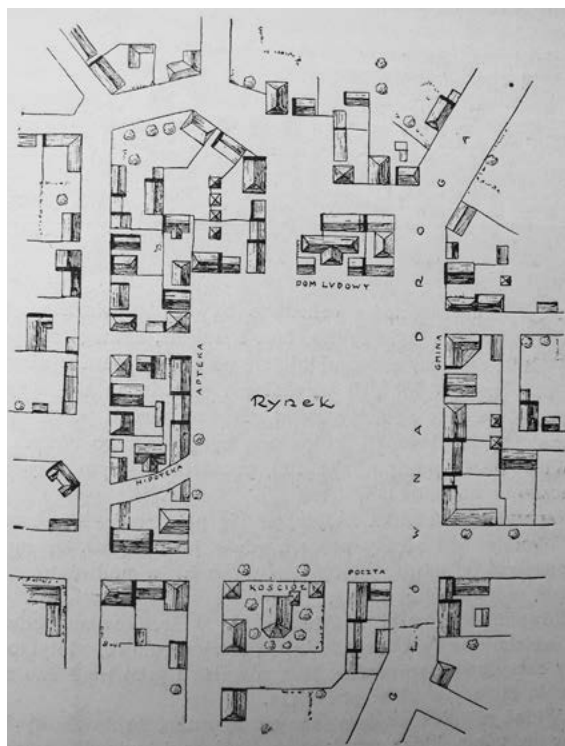
Jeszcze inny przykład scalenia
gruntów tego samego obszaru,
z rozmieszczeniem zagród w
szachownicę, ze znacznym
ich oddaleniem od sąsiednich
siedlisk

Źródło: rys. J. Tuliszkowski,
w: J. Tuliszkowski, *Pożary,
przyczyny, klasyfikacja...*, s. 270.



Rozplanowanie bogatego gospodarstwa rolnego na działce siedliskowej. Z wszystkich elementów, jakie proponował Tuliszkowski, nie przyjęły się tylko drzewa liściaste, między podwórzem, a stodołą

Źródło: rys. J. Tuliszkowski, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 278.

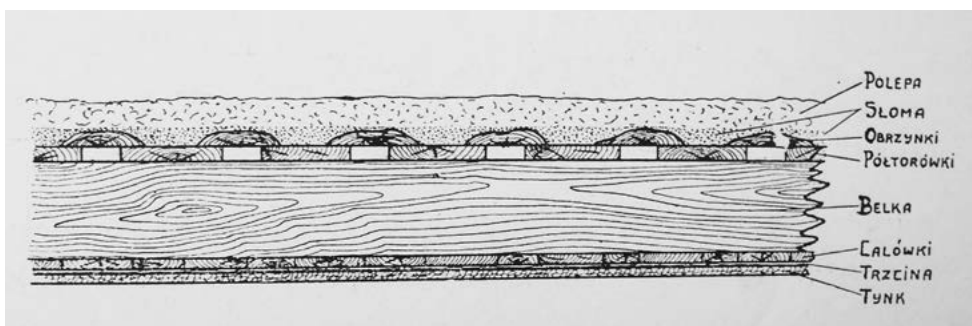


Ciasna zabudowa miejska podzielona murami ogniowymi, widocznymi na rysunku jako grube, czarne kreski przy ścianach

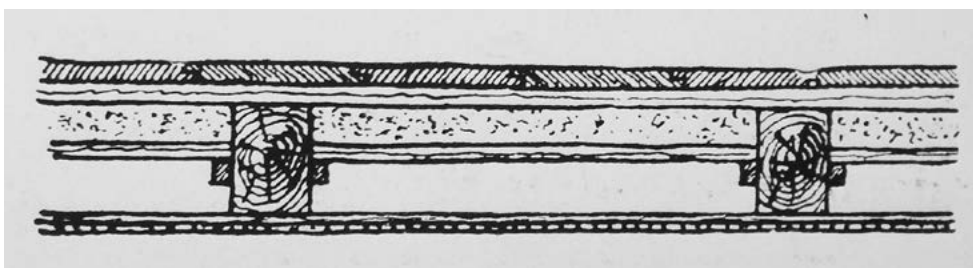
Źródło: rys. J. Tuliszkowski, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 291.



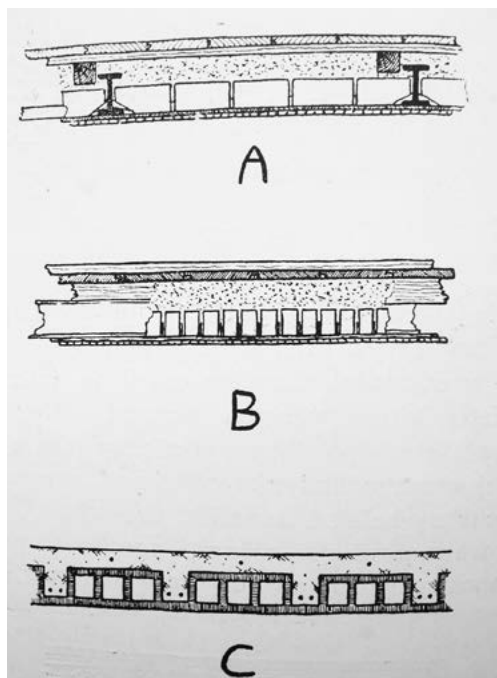
Widok zabudowy pierzejowej z murami ogniowymi, wystającymi ponad dachy budynków
 Źródło: rys. J. Tuliszkowski, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 292.



Elementy powały, łącznie z tynkiem, pełniące bardzo ważną funkcję estetyczną, izolacyjną i przeciwpożarową
 Źródło: rys. J. Tuliszkowski, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 383.

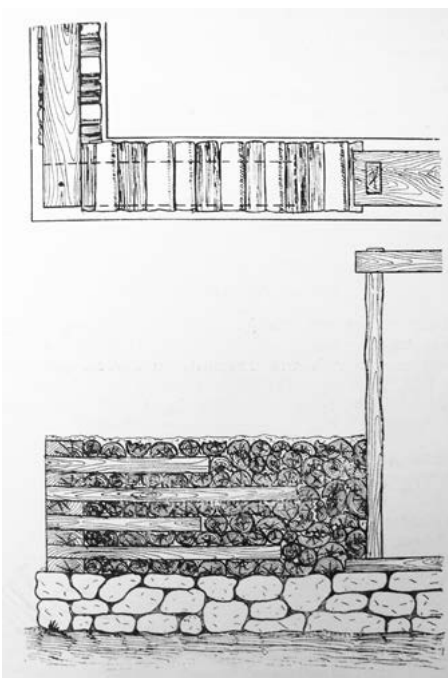


Strop międzykondygnacyjny drewniany, uodporniony ogniowo „na pewien czas”
 Źródło: rys. J. Tuliszkowski, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 383.



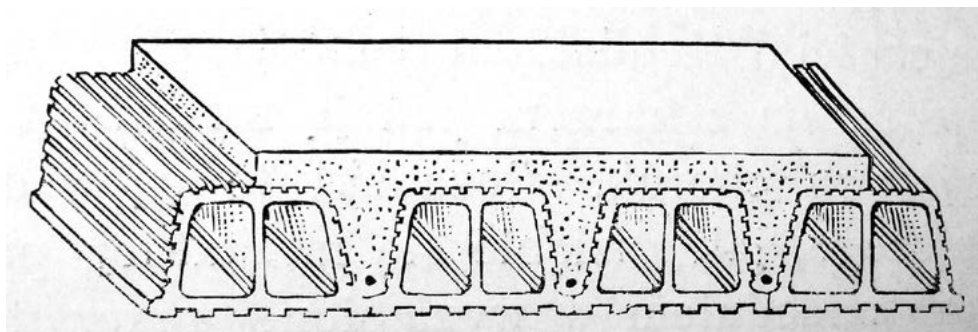
W pełni odporne ogniowo stropy,
wykorzystujące elementy prefabrykowane
(cegły, pustaki stropowe, stal, beton)

Źródło: rys. J. Tuliszkowski, w: J. Tuliszkowski,
Pożary, przyczyny, klasyfikacja..., s. 390.



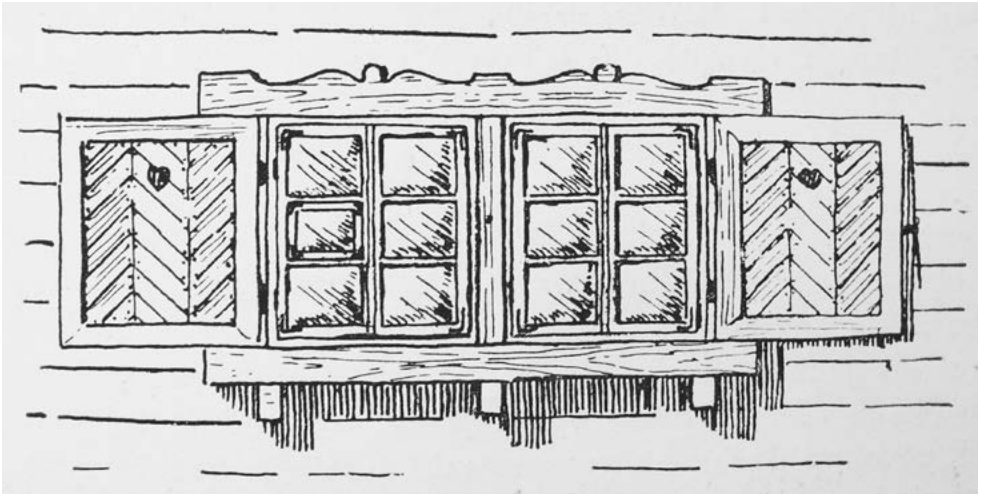
Interesująca konstrukcja drewniana ścian
z klocków układanych sztorcowo,
uszczelnianych zaprawą

Źródło: rys. J. Tuliszkowski, w: J. Tuliszkowski,
Pożary, przyczyny, klasyfikacja..., s. 439.



Żelbetowy strop systemu Teriwa, uznawany przez Tuliszkowskiego za najlepszy pod każdym
względem

Źródło: rys. J. Tuliszkowski, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 391.



Regionalizm wiejski - okna z okiennicami, których kształt Tuliszkowski uznał za typowo polski (autor na tej i kilku następnych fotografiach przejawia stary szlachecki romantyzm)

Źródło: rys. J. Tuliszkowski, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 527.



Wieś księżacka (łowicka). Tuliszkowskiemu zależało, by mieszkańcy wsi zachowywali swoją tożsamość kulturową

Źródło: rys. A. Chromiński, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 530.



Zagroda kurpiowska w lesie iglastym, otoczony drzewami liściastymi

Źródło: rys. A. Chromiński, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 531.



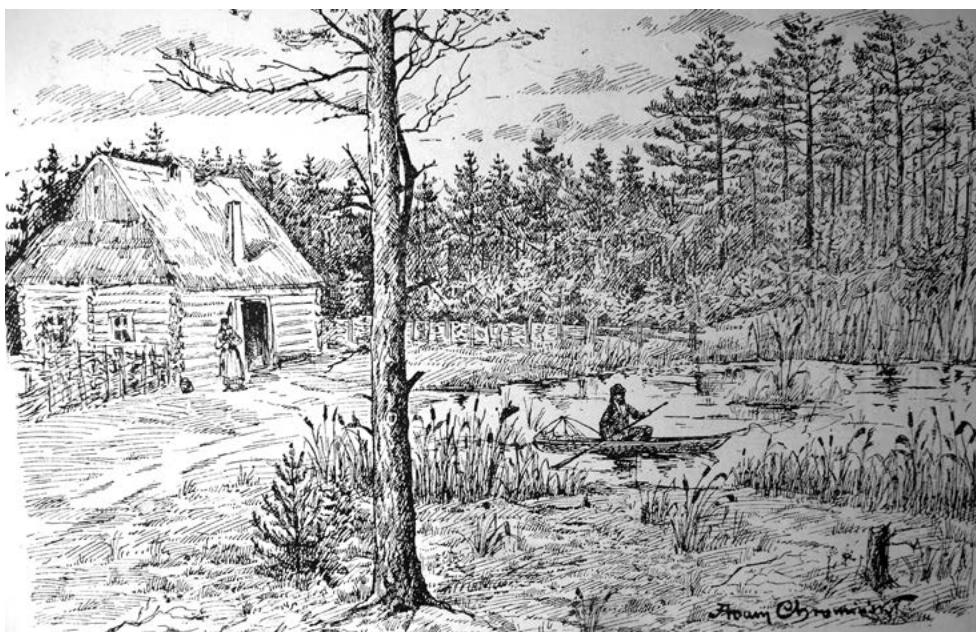
Zagroda kujawska, odgradzona od sąsiedniej zagrody drzewami liściastymi

Źródło: rys. A. Chromiński, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 529.



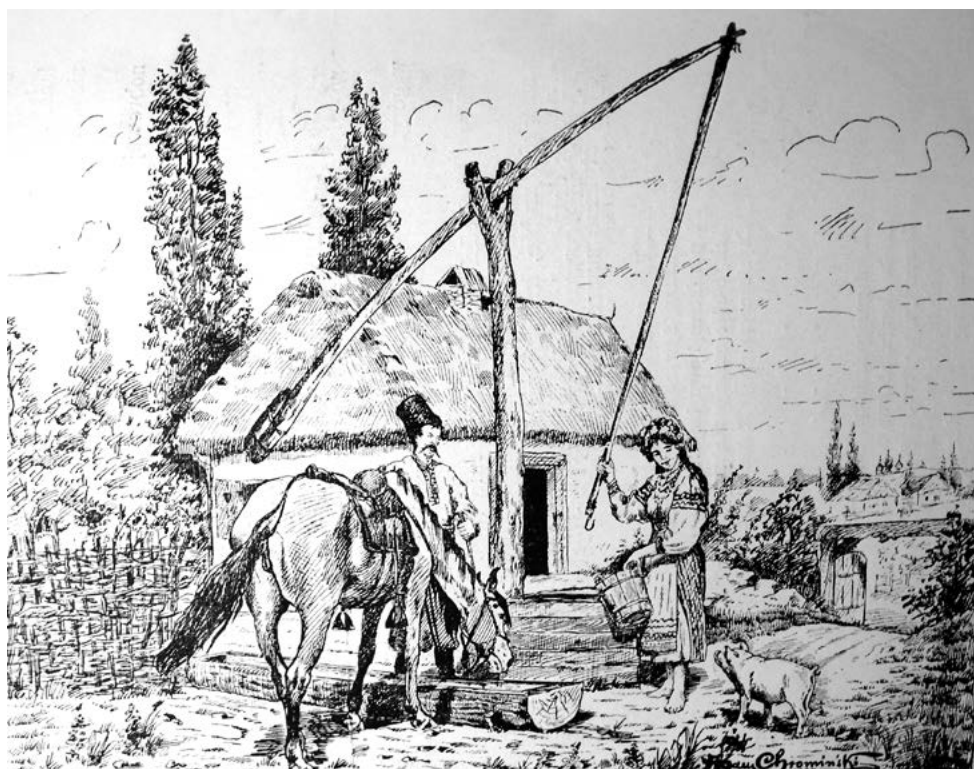
Okazały budynek mieszkalny w okolicach Lublina

Źródło: rys. A. Chromiński, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 533.



Zagroda na Polesiu

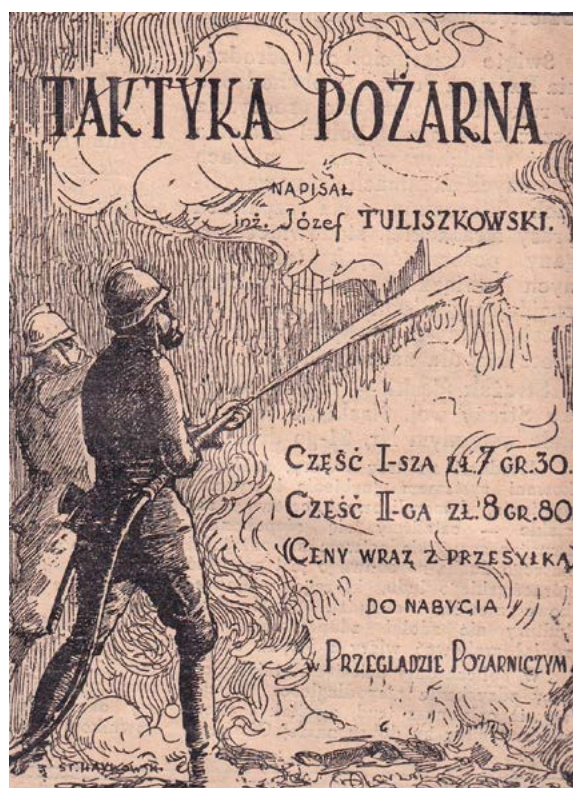
Źródło: rys. A. Chromiński, w: J. Tuliszkowski, *Pożary, przyczyny, klasyfikacja...*, s. 534.



Na Wołyniu...

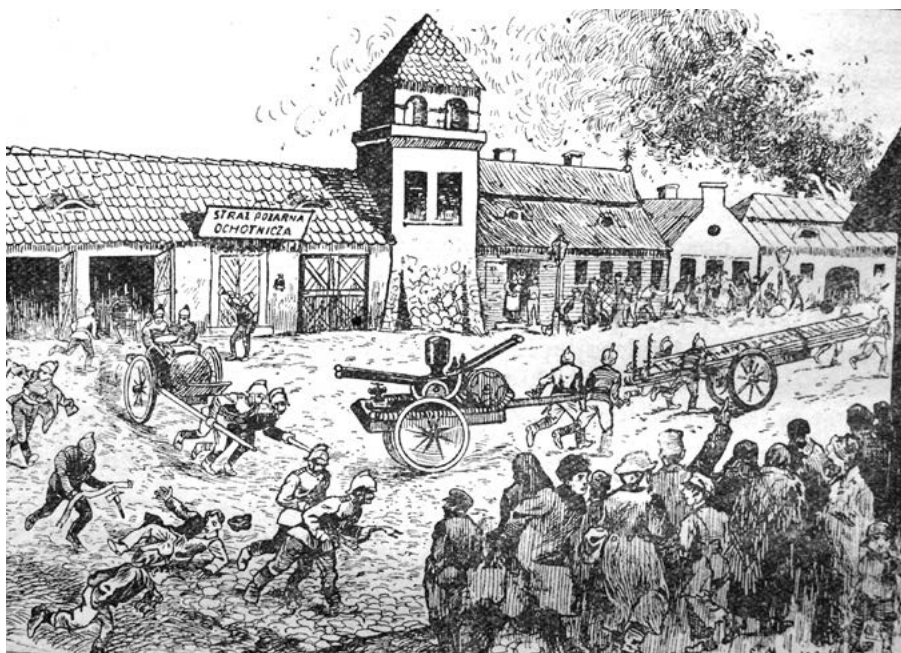
Źródło: rys. A. Chromiński,
w: J. Tuliszkowski,

Pożary, przyczyny, klasyfikacja..., s. 536.



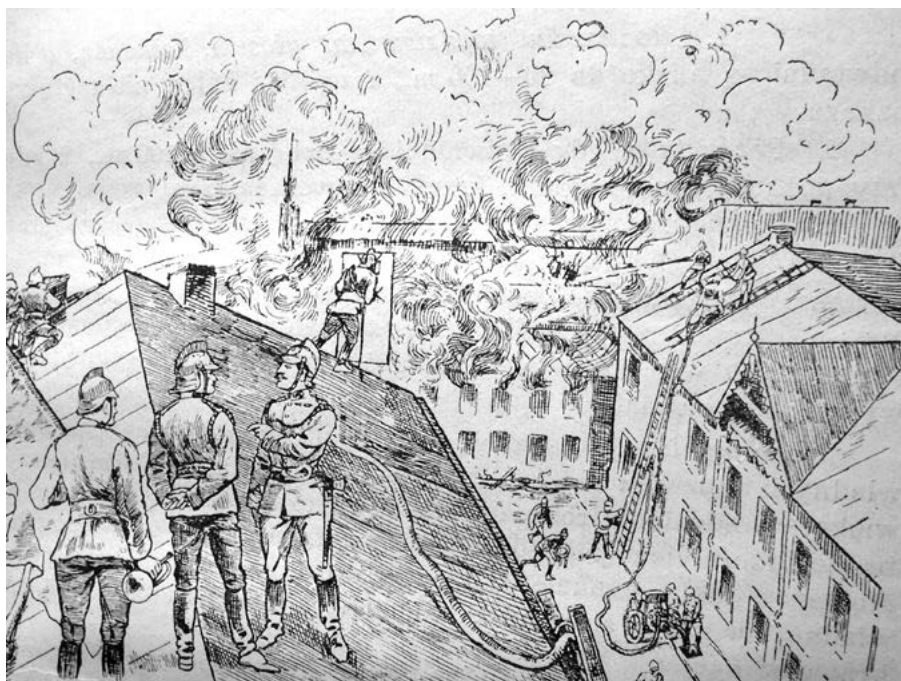
Bardzo dobra artystycznie reklama z „Przeglądu Pożarniczego” z 1928 r. dot. dwóch części przyszłego tomu „Taktyka pożarna”. Autorem rysunku jest przyszły zięć Tuliszkowskiego, Stanisław Haykowski

Źródło: „Przegląd Pożarniczy” 1928.



„Wybieg” alarmowy wiejskiej jednostki OSP – trakcja składa się wyłącznie z ludzi.
Rysunek opublikowany jako pierwszy w *Taktyce pożarnej* z 1929 r.

Źródło: rys. S. Mucharski, w: J. Tuliszkowski, *Taktyka pożarna*, rys. 2, s. 22.



Narada sztabowa na dachu

Źródło: rys. S. Mucharski, J. Tuliszkowski, *Taktyka pożarna*, s. 71.



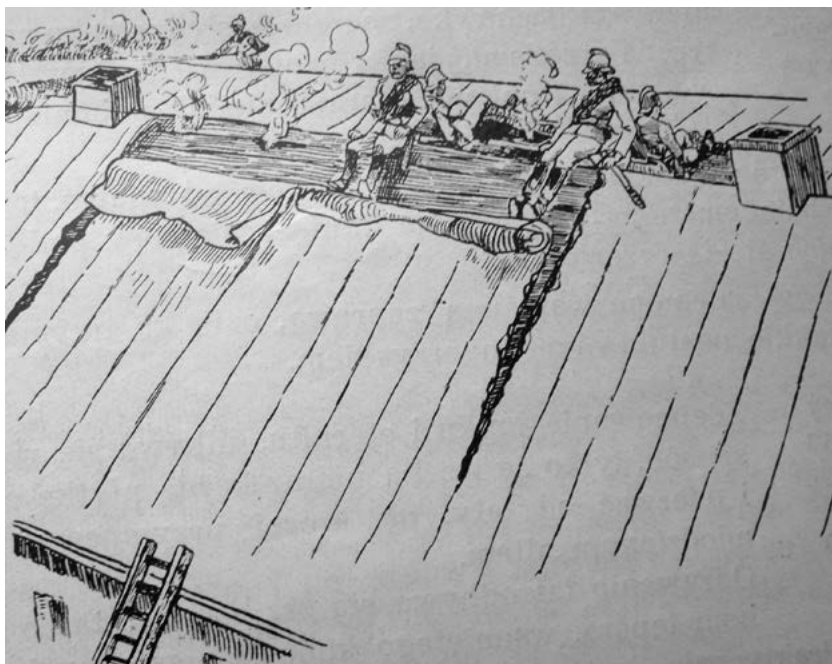
Ewakuacja trzody rogatej

Źródło: rys. A. Chromiński, J. Tuliszkowski, *Taktyka pożarna*, s. 97.



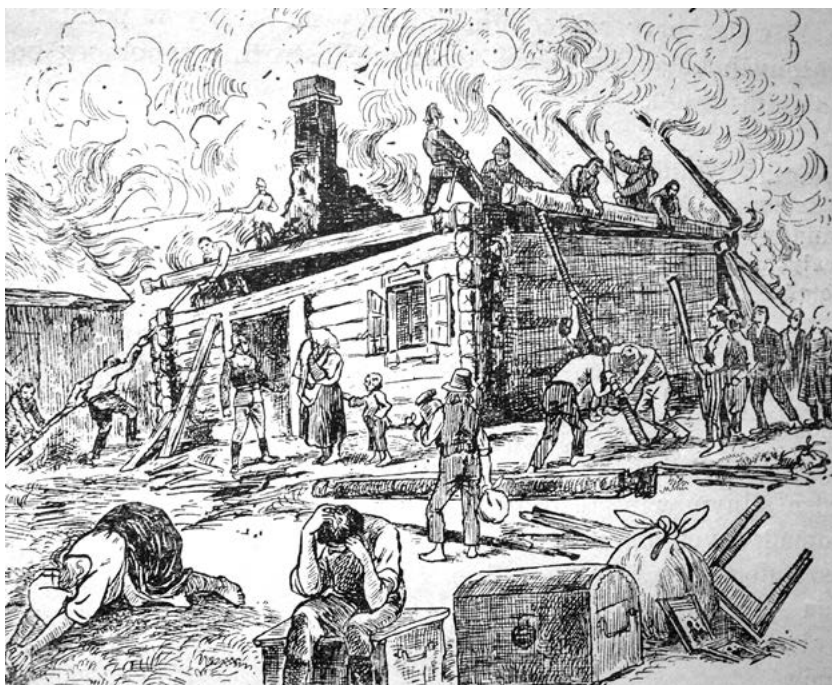
Ewakuacja koni

Źródło: rys. A. Chromiński, J. Tuliszkowski, *Taktyka pożarna*, s. 95.



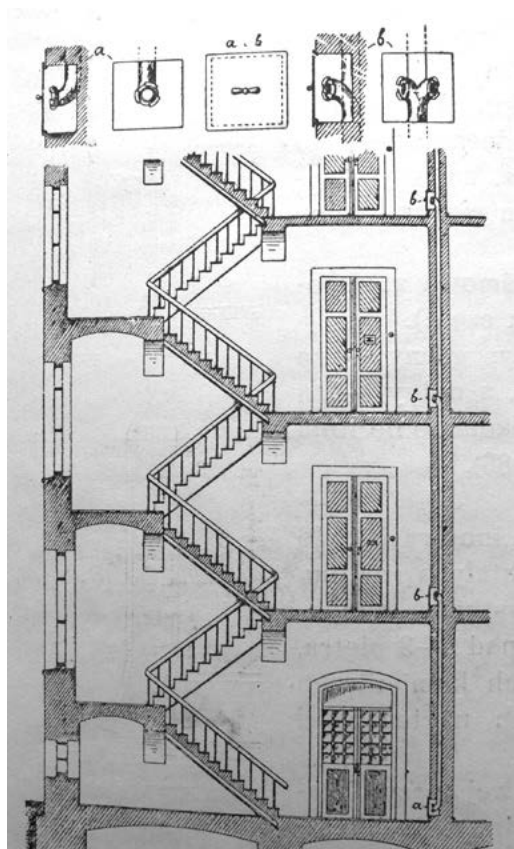
Przecinka na dachu

Źródło: J. Tuliszkowski, *Taktyka pożarna*, s. 103.



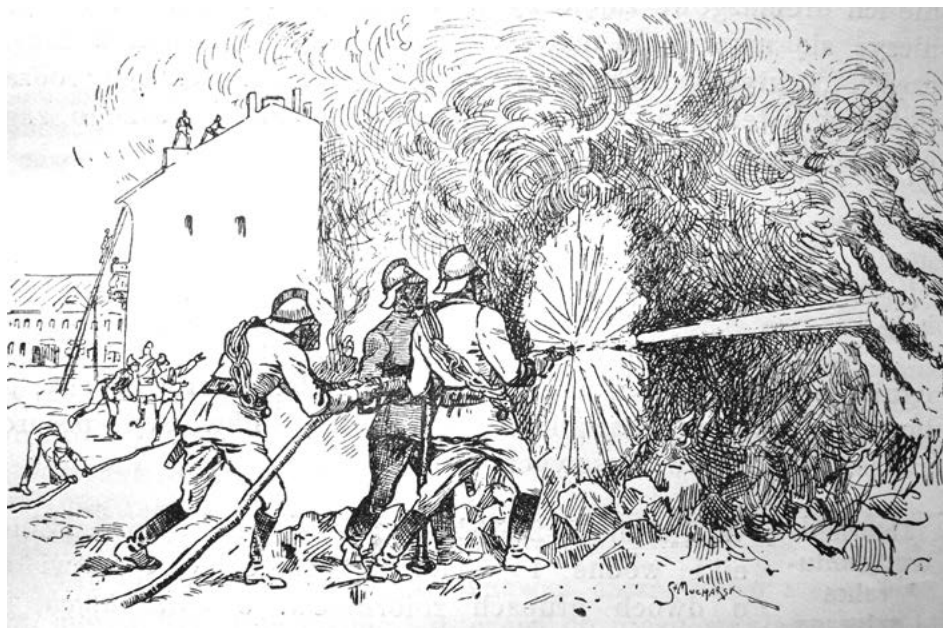
Strażacy burzący cały dom

Źródło: J. Tuliszkowski, *Taktyka pożarna*, s. 109.



Suchy pion w 1929 r.

Źródło: J. Tuliszkowski, *Taktyka pożarna*, s. 154.



Kombinowany prąd wodny

Źródło: J. Tuliszkowski, *Taktyka pożarna*, s. 181.



Dowożenie wody do pożaru

Źródło: rys. A. Chroński, J. Tuliszkowski, *Taktyka pożarna*, s. 195.

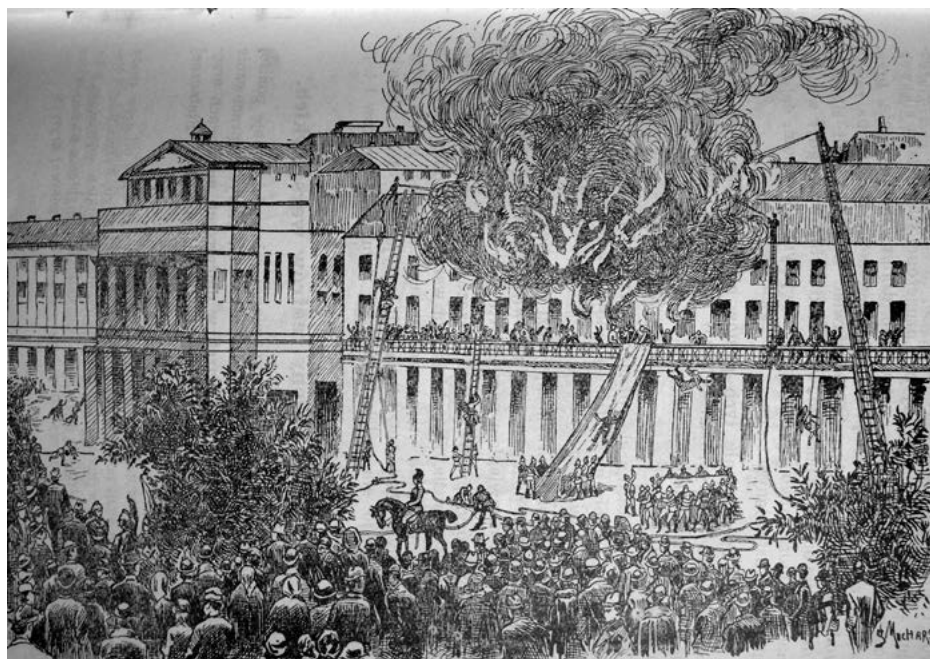


Łańcuch wodny w celu napełniania zbiornika przy sikawce ręcznej

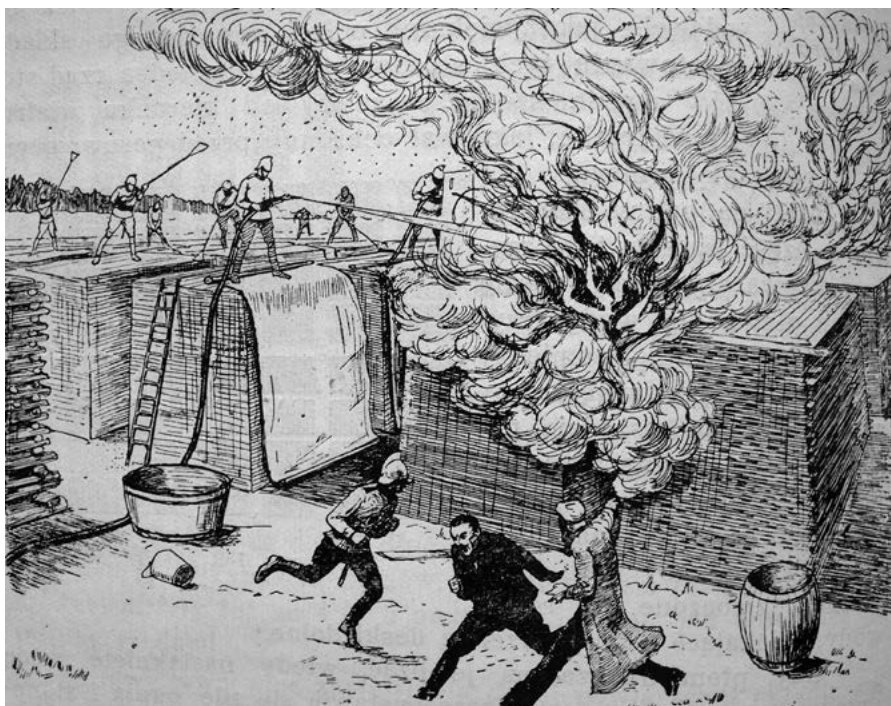
Źródło: rys. S. Mucharski, J. Tuliszkowski, *Taktyka pożarna*, s. 199.



Imponujący pożar wieży kościelnej
Źródło: rys. S. Mucharski, J. Tuliszkowski,
Taktyka pożarna, s. 337.



Pożar budynku użyteczności publicznej, z gaszeniem i ewakuacją
Źródło: rys. S. Mucharski, J. Tuliszkowski, *Taktyka pożarna*, s. 359.



Swego czasu ulubione zadanie wykładowców taktyki: gaszenie tarcicy w sztaplach

Źródło: rys. S. Mucharski, J. Tuliszkowski, *Taktyka pożarna*, s. 418.



Pomoc przy powodzi

Źródło: J. Tuliszkowski, *Taktyka pożarna*, s. 645.



Obrona mostu przed krą
 Źródło: J. Tuliszkowski, *Taktyka
 pożarna*, s. 675.

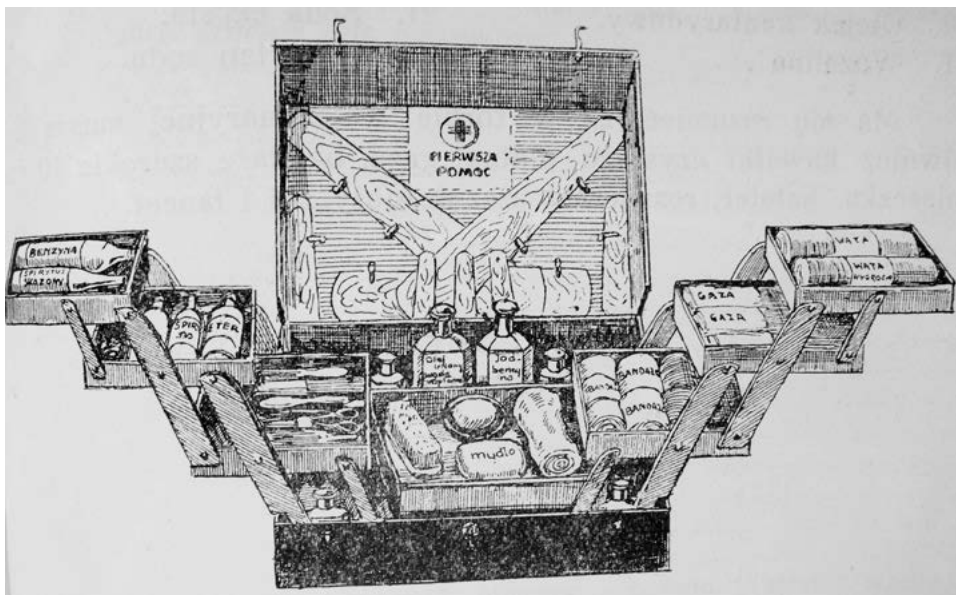


Obrona mostu przed
 zatorem lodowym przy
 pomocy izbicy
 Źródło: J. Tuliszkowski,
Taktyka pożarna, s. 707.



Oświetlenie terenu akcji
w porze nocnej

Źródło: J. Tuliszkowski, *Taktyka
pożarna*, s. 771.



Medyczny zestaw ratunkowy z 1929 r., czyli apteczka strażacka

Źródło: J. Tuliszkowski, *Taktyka pożarna*, s. 851.

K U P

do swej biblioteki strażackiej

następujące wydawnictwa:

Hymny Narodowe (nuty na orkiestrę)	Zł. 3.—
Kwiaty polne " "	Zł. 3.—
Stary kapral " "	Zł. 3.—
Kalendarz strażaka 1929 r.	Zł. 2.—
Kalendarz strażaka 1927 r.	Zł. 2.—
Budowanie ogniotrwałe	Zł. 1.50
Nauka obrony przeciwchemicznej	Zł. 1.—
Nagrodzona dzielność (obrazek sceniczny)	Zł. 1.—
Miłość strażaka (obraz sceniczny)	Zł. 1.50
Lekkaatletyka	Zł. 1.50
Zabawy i gry ruchowe dla stow. P. W.	Zł. 0.60
Podręcznik przysposobienia wojskowego	Zł. 4.50
Regulamin służby wewnętrznej	Zł. 0.65
Statut Straży pożarnej	Zł. 0.30
Zarys dziejów obrony przeciwpożarowej w Polsce	Zł. 1.—
Wzory dystynkcji strażackich	Zł. 0.25

Administracja „Przeglądu Pożarniczego” (Warszawa, Poznańska 11 m. 7) wysyła powyższe wydawnictwa po otrzymaniu należności zgóry (na konto w P. K. O. Nr. 235 lub przekazem pocztowym) ewent. za zaliczeniem pocztowym. Na koszty przesyłki dolicza się 15%.

„TAKTYKA POŻARNA”

Inż. J. TULISZKOWSKIEGO

Całość (905 stron druku z licznymi ilustracjami) Zł. 23.50

Poszczególne części:

I Działania straży poż. przy ogniu . . .	Zł. 6.60
II Gaszenie różnych pożarów	8.—
III Akcja ratunkowa podczas katastrof . . .	6.—
IV Pomoc sanitarna dla ludzi i koni . . .	1.80

Administracja „Przeglądu Pożarniczego” (Warszawa, (Poznańska 11 m. 7) wysyła powyższe wydawnictwa po otrzymaniu należności zgóry (na konto w P. K. O. Nr. 235 lub przekazem pocztowym) ewent. za zaliczeniem pocztowym. Na koszty przesyłki dolicza się 15%.

Reklama w „Przeglądzie Pożarniczym” dotycząca dzieła Tuliszkowskiego i innych wydawnictw. Warto porównać ceny

Źródło: „Przegląd Pożarniczy” 1929, nr 19, s. 352.

Załącznik VIII

Ilustracje do cz. W w przemyśle cukrowniczym



Autopogotowie Austro-Fiat, druga połowa lat 30.
z zabudowaniem zbiornika o znacznej pojemnościach
Źródło: Centralne Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach.



Samochód Miejskiej (a więc zawodowej) Straży Pożarnej
w Stanisławowie z 1937 r., z zakrytą
kabiną załogi, zbiornikiem na wodę
i autopompą (stan blach wskazuje na
samodzielne wykonanie zabudowy)
Źródło: Centralne Muzeum Pożarnictwa
w Mysłowicach.



Autopogotowie Chevrolet Bulldog z zakrytym nadwoziem
Źródło: Centralne Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach.



Fotografie w ostatnim dziele książkowym pt. *Hydraulika w pożarnictwie* z 1938 r.,
z przedstawionym szeregiem zalet prądów rozproszonych wody. Fotografie z 1937 r.
(tymczasem prądy rozproszone przebiły się do świadomości strażaków jeszcze bardzo długo)
Źródło: Centralne Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach.



Fotografie w ostatnim dziele książkowym pt. *Hydraulika w pożarnictwie* z 1938 r., z przedstawionym szeregiem zalet prądów rozproszonych wody. Fotografie z 1937 r. (tymczasem prądy rozproszone przebijały się do świadomości strażaków jeszcze bardzo długo)
Źródło: Centralne Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach.



Ilustracje prądów rozproszonych odnoszące się do pożarów wewnętrznych
Źródło: fragment *Taktyki pożarnej* J. Tuliszковского, wydany w formie broszury, „Strażactwo Zawodowe” 1931, nr 11, s. 18, 21.

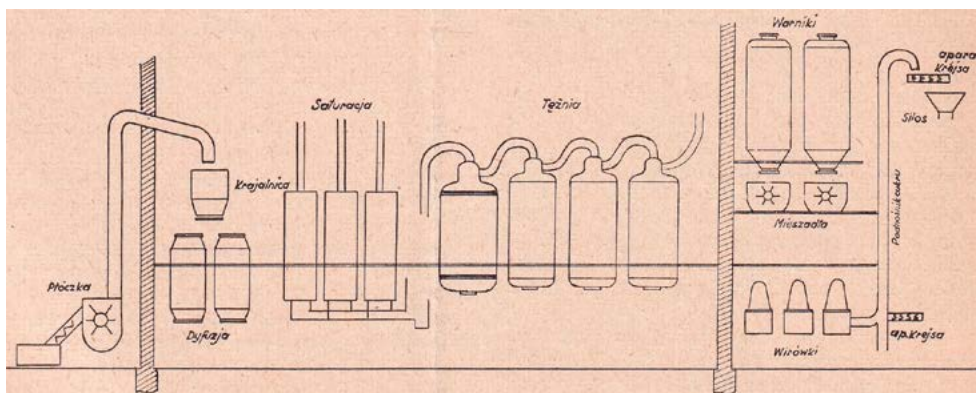


Sylwetki strażaków z lat 20. XX w.
Źródło: Centralne Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach.



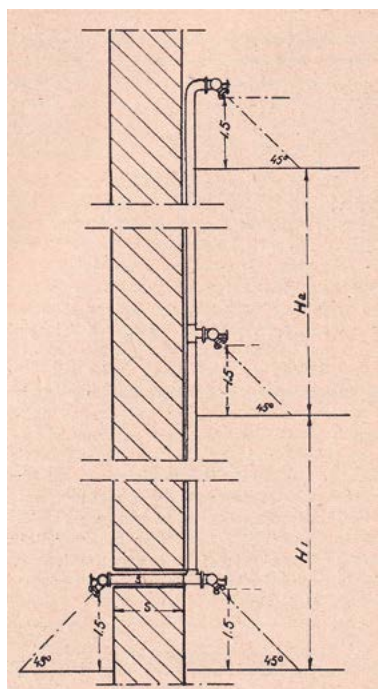
Szkolenie instruktorów w Łodzi w 1935 r. W odniesieniu do strażaków z poprzedniego zdjęcia jest jedna istotna różnica: helmy ludwikowskie o kształcie pomysłu Tuliszkowskiego, czyniące sylwetki strażaków zupełnie innymi

Źródło: Centralne Muzeum Pożarnictwa w Mysłowicach.



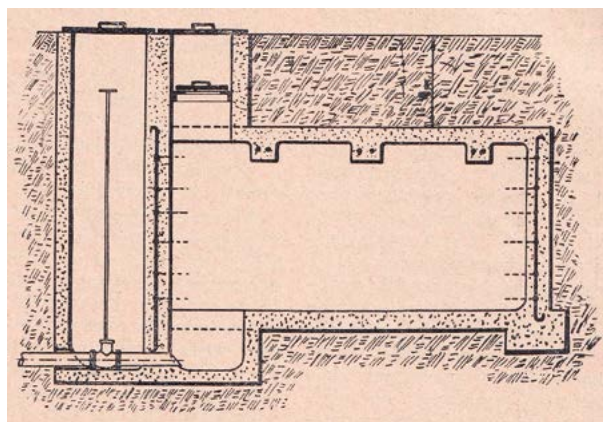
Schemat technologiczny cukrowni

Źródło: J. Tuliszkowski, *Przeciwpożarowe zabezpieczenie cukrowni w Polsce*, „Przegląd Pożarniczy” 1938, nr 2, s. 34.



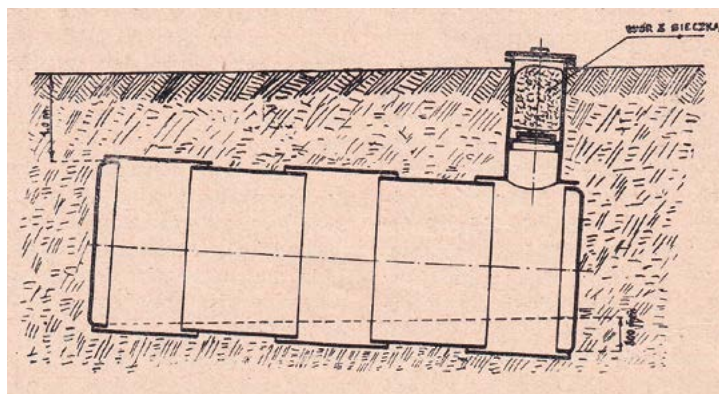
Schemat suchego pionu w budynku cukrowni

Źródło: J. Tuliszkowski, *Przeciwpożarowe zabezpieczenie cukrowni w Polsce*, „Przegląd Pożarniczy” 1938, nr 4, s. 102.



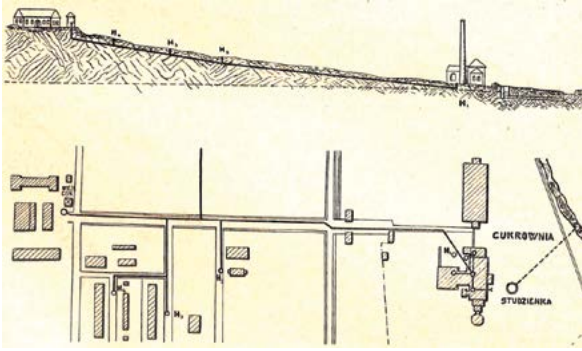
Zbiorniki na wodę projektu Tuliszowskiego

Źródło: J. Tuliszkowski, *Przeciwpożarowe zabezpieczenie cukrowni w Polsce...*, s. 102 i 103.



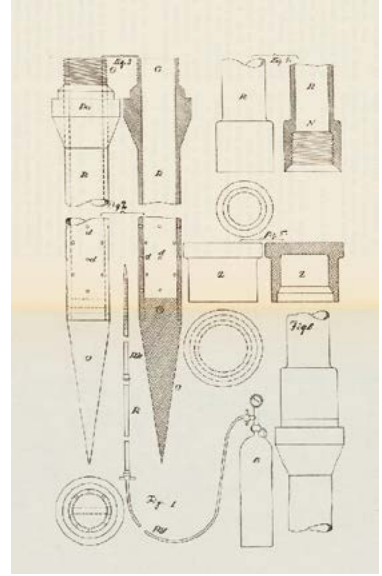
Zbiorniki na wodę projektu Tuliszowskiego

Źródło: J. Tuliszkowski, *Przeciwpożarowe zabezpieczenie cukrowni w Polsce...*, s. 102 i 103.



Wieża ciśnień i wodociąg projektu Tuliszkowskiego

Źródło: J. Tuliszkowski, *Przeciwpowarowe zabezpieczenie cukrowni w Polsce...*, s. 297.



Przewoźne urządzenie gaśnicze na dwutlenek węgla projektu Józefa Tuliszkowskiego

Źródło: Opis patentowy: Przyrząd do gaszenia dwutlenkiem węgla palących się ciał sypkich i strzępiastych, Warszawa 1936.



Gmach Centralnego Ośrodka Wyszolenia Pożarniczego w kształcie podobnym do projektu
Tuliskowskiego sprzed 15 lat

Źródło: „Przegląd Pożarniczy” 1938, nr 1, s. 297.



Grób Józefa Tuliszkowskiego i jego rodziny na Warszawskich Powązkach Wojskowych, w kwaterze A17-1-18. Sąsiedztwo najlepsze z możliwych – obok leży Antoni Godlewski, czyli „Antek Rozpylacz” – symbol waleczności powstańców warszawskich z 1944 r. (919). Na grobie Józefa Tuliszkowskiego i jego rodziny (920) znajduje się ukośna płytka z imieniem i nazwiskiem jego wnuka, Michała Haykowskiego.

Źródło: archiwum autora.



st. bryg. w st. spocz. mgr inż. Paweł Rochala (ur. 1968), absolwent Szkoły Głównej Służby Pożarniczej (1993) i podyplomowego studium administracji na Uniwersytecie Warszawskim (2010), zawodowy oficer Państwowej Straży Pożarnej, rzeczoznawca ds. zabezpieczeń przeciwpożarowych, pisarz historyczny i historyk wojskowości z zamiłowania, meloman, miłośnik i wykonawca muzyki ludowej. Jego kariera zawodowa, choć miała związek głównie z aspektami prawnymi zapobiegania pożarom, przebiegała na styku działań operacyjnych: od bezpośredniego udziału w akcjach ratowniczo-gaśniczych, przez pełnienie funkcji oficera wojewódzkiego stanowiska kierowania, po wykonywanie zadań analityka sztabowego w Komendzie Głównej PSP w Warszawie. Od końca 2022 r. jest redaktorem merytorycznym w kwartalniku „Ochrona Przeciwpożarowa”.

Autor ponad stu artykułów i felietonów do branżowej prasy strażackiej oraz kilkunastu książek o tematyce głównie pożarniczej i historycznej, cieszących się znacznym powodzeniem ze względu na lekkość pióra i dogłębne wyjaśnianie tematu.